

490

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

ANSWARSHAW ANETOLISTA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 254.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1904. — Tom II.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5.

—
1904.

4620. 1904. 2
II



30.000,-

Дозволено Ценаурою.
Варшава 24 Марта 1904 года.

X-14355	
4620/	II 2.
/ 1904	

Józef ks. Poniatowski.*)

I.

Józef Poniatowski urodził się d. 4 maja 1763 r. w Wiedniu, w pałacu Kinskych przy Herrengasse, z ojca Andrzeja, starosty ryckiego, generała, potem feldcechmistrza wojsk austriackich, młodszego brata późniejszego króla Stanisława-Augusta, i matki Teresy z Kinskych; i ochrzczony został tamże w sąsiedniej Schottenkirche. Szczegół to do niedawna mało znany: ks. Józef *ein wiener Kind*, choć dotychczas we wszystkich biografiach podawano mylnie, jako miejsce jego urodzenia — Warszawę. Ale bo też w rzeczy samej ten nasz ks. Józef, choć po raz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu jako generałowicz austriacki, a po raz ostatni zamknął je pod Lipskiem, jako marszałek francuski, choć było mu przeznaczonem pierwsze i ostatnie tchnienie wydać na obczyźnie, jednak naprawdę sam się uczynił rodowitem, ukochanem dzieckiem tej naszej Warszawy, uczynił się wcieleniem pewnych najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został nietylko jednym z najświetniejszych, lecz z najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli.

Przez ojca miał szlachetną krew litewską po babce Konstancyi z książąt Czartoryskich Poniatowskiej, przez matkę starą krew czeską, z domieszką włoskiej po babce Maryi z markizów Rofranco Kinskyj. Sam wkrótce zyskał podwójnie godność książęcą, gdy skutkiem niebawnej, w rok po jego urodzeniu, elekcyi stryja na króla polskiego, całą rodzinę Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim obdarzono tytułem dziedzicznym książąt polskich, gdy nadto jego

*) Z powodu przygotowywanego do druku, z archiwów krajowych i zagranicznych (głównie paryskich i drezdeńskich), wydawnictwa: *Correspondance du prince Joseph Poniatowski (1787—1805) 1806—1813.*

ojcu nadała cesarzowa Marya-Teresa dyplom książęcy czeski z prawem pierworodztwa. Ale nie z tych świeżych, przygodnych tytułów będzie on czerpał istotne swoje dostojenie: własnym czuciem i czynem on się książęcy w opinii swego narodu i świata. Szczęśliwym jakimś przyrodzonym doborem z dziedzictwa krwi, wziął po swoich prawie wszystko co lepsze; wszystko, co najpośledniejsze, odrzucił. Po ojcu, Austryaku raczej niż Polaku, który ostatnią swą kampanię odbył przeciw własnym rodakom, nie wziął nic albo nic celnego. Po dziadzie, towarzyszu broni Karola Szwedzkiego, wziął wspaniałą postawę, animusz rycerski, ale jakże daleko od awanturniczego kasztelana krakowskiego, który naprzemiany kondotyerem służywał Karolowi, Leszczyńskiemu i Sasom, odbiegł wnuk, sługa jednej sprawy! Przejął się poczuciem pańskiej godności i obowiązków obywatelskich Familii, ale jakże obcym pozostał jej popędowi zaciętości stronnicej i ambicyi rodowej. A jeśli przejął dosyć, zadużo, z płochości życiowej stryja—króla, jakże przecie nieskończenie różnym, nawet w wybrykach burzliwego temperamentu, pozostał od rozkładowego sybarytyzmu Stanisława-Augusta. Doprawdy, jeśli z pominięciem drugorzędnych rysów prywatnych, rozpatrywać się w dominujących liniach tej szlachetnej postaci, rozważanej jako zjawisko dziejowe a odbijającej tak silnie od najbliższego, rodzinnego swego środowiska—chciałoby się rzec o niej z Tacytem: *Curtius Rufus videtur mihi ex se natus*. Ale to byłoby mylne. Zapewne, był on istotnie więcej „z siebie zrodzony“ aniżeli ze starszej generacji krewniackiej, lecz przedewszystkiem był już z tej młodszej generacji narodowej, jaką z łona swego wydało społeczeństwo, był przedewszystkiem nieodrodnym tworem tego swego własnego społeczeństwa rodzimego, a tem samem był jednym z wielkich, żywych świadectw dokonywanej w niem naprawy i odnowy wewnętrznej, wiodącej je od zmierzchów XVIII do świtań XIX stulecia.

Wcześnie, w dziesiątym roku życia utraciwszy ojca, zmarłego w marcu 1773 r., jeszcze w sile wieku, na zapalenie płuc, chowany był naprzód w Wiedniu i Pradze, pod okiem czulej, przeczulonej matki, wybuchowo kochającej syna jedynaka, obsypującej go naprzemiany zbyt wyrozumiałą pieśczęcią i zbyt ostrym wyrzutem. A doznawał także już odtąd stałej, nad wyraz troskliwej opieki króla Stanisława-Augusta, szczególnie przywiązanego do tego właśnie synowca, do ukochanego P e p i. Ani dzieci własnych, ani nikogo tak, na ten sposób, król nie kochał. Wprawdzie i dla drugiego swego synowca, ks. Stanisława, bywał równie hojny albo bodaj hojniejszy jeszcze, skoro nawet po sobie przeznaczał mu koronę;—lecz czynił to, wiedząc dobrze, co był wart ten kandydat, powodując się racją polityczną i obowiązkiem familijnym. Względem ks. Józefa powodował się zgola

czem innym. Tutaj szedł za popędem serca, a zarazem za mimowolną nieodpartą reakcją niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu on kochał nietylko krew swoją, ale samego siebie, takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go, wstępującego w życie, z impetem, z blaskiem, jak sam był przychodził ongi, tak już dawno, w swojej dobie wiosennej; widział w nim własną swoją młodość górną, tak już teraz daleką, niemiłosiernie ściętą szronem klęsk męskich i mrozem beznadziejności starczej, a niestety skalaną także, sponiewieraną przez własną ciężką winę. Takim jak ten synowiec, młody, piękny, ubóstwiany,—i on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedoścignętego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego nigdy sam osiąść nie umiał, i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on, jakgdyby brał odwet za samego siebie, jakgdyby zasłaniał się przed ścigającą go własną samowiedzą moralną. A nieszczęśliwy, słaby do końca, skazany grzęznąć do końca w swojej topieli, będzie też usiłował zasłaniać się jego osobą przed groźbą realną i swoje przywiązanie i dobrodziejstwa drogo opłacić mu każe.

Ks. Józef tymczasem chowany na Austryaka, w 1777 r. na manewrach pod Pragą przedstawiony cesarzowi Józefowi II, zachęcony był przez niego do służby wojskowej austriackiej. W następnym roku piętnastoletniem chłopięciem sprowadzony został do Warszawy, wyprawiony na Litwę do ojczystego majątku, i odtąd kilkakrotnie, na wyraźne życzenie królewskie, te wycieczki do kraju ponawiał. W lutym 1780 roku wstąpił do armii austriackiej, jako podporucznik kousystującego w Czechach II regimentu karabinierów im. W. Ks. Toskańskiego, własności feldmarszałka Lascy, sędziwego wodza austriackiego, w którym znalazł opiekuna i kierownika militarnego; w 1781 r. został rotmistrzem *en second*, w 1782—dowódcą szwadronu w 1784—majorem. W służbie bardzo gorliwy, kawalerzysta nadzwyczaj śmiały, zimą t. r. padłszy z koniem, nogę złamał, lecz dość prędko do zdrowia wrócił. T. r. odkomenderowany do formowanych w Galicyi dywizyonów ułańskich, odtąd nad żołnierzem polskim, rekrutem galicyjskim, miał dowództwo. Po wcieleniu jego dywizyonu do pułku szwoleżerów im. v. Levenehr, został tutaj drugim, w 1786 r. pierwszym podpułkownikiem, jesienią t. r. przeszedł do pułku szwoleżerów cesarskich im. Józefa II. T. r. dość ciężką przebył gorączkę nerwową. Do przypadłości tego rodzaju miał skłonność, gdyż, jakkolwiek doskonale zbudowany, krwisty, bardzo żywy, bardzo prosty, nieraz szalenie wesoły, naprawdę przecie uczuciowiec, nerwowiec, na

pozór tylko sangwinik, w gruncie trochę nawet melancholik, miał temperament nadmiernie wrażliwy, subtylizujący, łatwo podlegający czarnowidztwu, niebronny przeciw głębokiej depresji duchowej i przygnębieniu myśli i woli. Ozdrowiawszy, udał się przez Berlin, gdzie przedstawiony był Fryderykowi-Wilhelmowi II, na pobyt dłuższy do Warszawy; wiosną, następnego roku, towarzyszył Stanisławowi-Augustowi w podróży kaniowskiej i prezentował się w Kijowie Katarzynie II. Poznał w ten sposób osobiście trzech monarchów trzech państw ościennych, z którymi po kolei, w pokoju i wojnie, będzie miał do czynienia.

W styczniu 1788 r. został adjutantem przybocznym cesarza Józefa. Już zanosilo się na ową fatalną wojnę turecką, do której od dawna palił się nieopatrzny cesarz, a która miała go wpędzić do grobu. W ślad za monarchą rwano się na tę wojnę, jak do tańca w rozkarnawałowanym Wiedniu t. r. To był ostatni, na długie lata, na przeszło ćwierć wieku, huczny karnawał wiedeński: odtąd zacznie się tutaj długi popielec klęski, doba rewolucyjna, Napoleońska, aż hen do nowego karnawału Kongresu wiedeńskiego, którego już nie dożyje ks. Józef. Tymczasem zegnał się on wesoło z wesołą naddunajską stolicą na premierze *parée* Mozartowskiego *Don Juana*, ostatniej prakskiej nowości, wystawionej właśnie po raz pierwszy w Operze wiedeńskiej dla wyjeżdżającego na kampanię turecką cesarza. Nasz polski Don Juan w mundurze austriackim, piękny podpułkownik szwoleżerów austriackich, był jeszcze wtedy bardzo Wiedeńczykiem, był pod urokiem lekkiej, rozbawionej *Kaiserstadt*, lekkiej, ujmującej, tamecznej kultury. Istniała tam już podówczas, od pierwszego podziału, pierwsza kolonia polska nad modrym Dunajem, bardzo podatna na te przyjemne wpływy wiedeńskie. Ogniskiem jej był salon słynnej księżnej marszałkowej Lubomirskiej, Czartoryskiej z domu, kuzynki a nieprzyjaciółki śmiertelnej króla. Zresztą ks. Józef żył tu w bezpośrednim zetknięciu ze światem, czysto wiedeńskim, przez swoich krewnych macierzystych, Kinskych. Miał on tutaj zamknięte kółko t. zw. „Nierozłącznych“, *Indissolubles*, osób młodych, wykwintnych, czułych, złożone z dwóch tylko mężczyzn, Karola Ligne i ks. Józefa, oraz kilku kobiet niepospolitych: księżnej Jabłonowskiej, księżnej Liechtenstein, pani Lichnowskiej, księżnej Kinskiej, hrabiny Kińskiej-Dietrichstein, w której kochał się Ligne, i młodziutkiej, wdzięcznej panny Karoliny Thun, w której kochał się na zabój starszy od niej o lat sześć Poniatowski. To pierwsze, półdziecinne, czyste i nieszczęśliwe kochanie, to była jednak, być może, jedyna prawdziwa miłość ks. Józefa, który tyle później kochał. W tem ścisłym kółku bawiono się wesoło a czule, walcowano, flirtowano

śpiewano Mozarta, czytano Szekspira, rzecz wtedy bardzo śmiała przed odkryciem Szekspira przez Schleglów, byronizowano przed Byronem, przed romantyzmem robiono romantykę, ale jakąś szczególną, salonową, filigranową, delikatnie przypruszoną sentymentalnym pudrem gasnącego *ancien régime*. Biedny Ligne, nieszczęśliwie żonaty z Polką, a wnet zabity w pierwszej rozprawie starego świata koalicji z nową Francją rewolucyjną, w testamencie swoim, gdzie przekazywał tym paniom rozmaite medaliony, szeslongi, pieski i kokardki, zapisywał też konia i szablę „drogiemu przyjacielowi Poniatowskiemu, za którego chętnie oddałby życie“. Kiedy po dwudziestu latach swój testament będzie redagował ks. Józef, wybierając się na śmiertelną wyprawę wspólnie z Francją przeciw koalicji, będzie tam wprawdzie jeszcze jakieś echo tej staromodnej czułościowości wiedeńskiej, ale stłumione przez ton prostszy, męski, nowoczesny i swojski. Jego tęga, rdzennie polska natura, pod grozą wielkich przewrotów krajowych otrząśnie się z tamtych miłych, wdzięcznych, ale mdłych, osłabiających naleciałości obcych, które już tylko jakgdyby wiotki zapach zaschłego kwiecia, dobywać się będą z jego zmęźniałej duszy.

Pierwszą swoją kampanię 1788 r. rozpoczynał 25-letni młodzieniec pod okiem cesarza a w towarzystwie kilku rówieśników i przyjaciół od serca, z którymi później dziwnie go sprzęgnąć miały losy, takich np. jak ks. Karol Schwarzenberg, potem zdradziecki sojusznik w odwołaniu z pod Moskwy, w końcu przemożny przeciwnik na polu śmierci pod Lipskiem, a teraz po bratersku uderzający u jego boku na Turka. Lecz ta wojna turecka, zła, napastnicza ze strony Austrii, nie przyniosła szczęścia ks. Józefowi. Zaraz przy oblężeniu twierdzy tureckiej Sabaczu, w końcu kwietnia 1788 r., prowadząc osobiście z nadzwyczajną brawurą kolumnę szturmującą, ciężko ranny kulą w udo, ledwo uratowany został przez prostego szeregowca, Körnera, później zaufanego sługę. Posunięty na drugiego pułkownika szwoleżerów cesarskich, ledwo z rany wyleczony, wyprosił sobie uczestnictwo w następnej kampanii 1789 r. i już rozkazem odręcznym cesarza z maja t. r. odkomenderowany był do regimentu Modena armii czynnej na plac boju, — kiedy nagle odwołany został do kraju pod sztandar Rzpltej.

II.

Uchwała Sejmu Wielkiego warszawskiego o wojsku stutysięcznym, spowodowała konieczność wezwania oficerów rodaków z obcych służb, w myśl uchwały sejmowej z grudnia 1788 r. Ks. Józef, podczas ostatniej swojej bytności w kraju, musiał zobowiązać się przed stryjami, królem i prymasem, że wróci na pierwsze zawołanie; a zdaje się, że pierwotnie miano tu na niego widoki polityczne, chciano użyć go w sejmie a nawet zaślubić z jakąś możną dziedziczką polską. Jego te widoki, te żądania wytrącały zupełnie z równowagi. „Poczucie delikatności—pisał do starszej, jedynej siostry latem 1788 r.—wzdraga się we mnie na ten rodzaj oszukaństwa, jakie popełniam; nagrody udzielane mi (przez cesarza) wydają mi się prawie kradzieżą na kolegach, poświęcających się całkowicie służbie (austriackiej). ...Wyznaję, że marzyłem, iż będę mógł kiedyś poślubić kobietę miłą, której charakter byłby mi doskonale znany, która mogłaby mi być przyjaciółką, osłodzić mi wycofanie się z życia czynnego do cichego spoczynku, której zawdzięczałbym swoje szczęście i którą sam mógłbym uczynić szczęśliwą. Karolina (Thun) zdaje mi się posiadać większą część tych zalet i wyznaję, że gdyby na mnie czekała i gdybym był niezależnym,... byłbym w niej znalazł ustalenie losów swoich“. Ale—dodawał z goryczą—„zbyt dobrze wiem, że istnieję i żyję jedynie z dobrodziejstw (królewskich), abym potrafił zdobyć się na jaki projekt.“ Widocznie trzymał go jeszcze Wiedeń, służba, sentyment. Tej karyery politycznej ani małżeńskiej, jaką mu gotowano w Warszawie, jaką mu stamtąd narzucano, on nie chciał. „Cierpię,—pisał z rozpaczą w duszy, a jeszcze rekonwalescent z tureckiej rany—jestem nieszczęśliwy, życie mi ciąży, kiedy myślę o ofiarach tyrańskich, jakich wymagają odemnie.“ Ale warował wyraźnie w tej samej chwili: „gdybym mógł przez swoje wiadomości wojskowe być w czemkolwiek użyteczny ojczyźnie, gdybym z narażeniem życia mógł zachować jej prawa i przywileje,—wtedy nie chcę spoczynku, pogody, wszystko poświęcę.“ To też nie zawahał się teraz, kiedy pora po temu nadeszła i kiedy wezwany został już nie na ławę poselską ani na ślubny kobierzec, lecz do szeregów armii krajowej. Stanisław-August pisał do niego w czerwcu 1789 r.: „Wczoraj senatorowie i posłowie przez Sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesyi sejmowej, abym

Cię odwołał do służby krajowej. Po tym publicznym kroku nie mogę, jak tylko oświadczyć Ci życzenie i wolę moję, abyś nam tu powrócił.“ To zdecydowało ostatecznie o losie ks. Józefa, który ledwo na kilkanaście dni przedtem wybierał się jeszcze na Turków. Po ułatwieniu przeszkód formalnych przez pismo królewskie do cesarza, natychmiast, w początku lipca, wniósł podanie o dymisyę ze służby austriackiej wraz z prośbą o zwrot rewersu (*Quittirungsrevers*) zobowiązującego go, jako poddanego austriackiego, nie podnosić nigdy oręża przeciw domowi habsburskiemu. Niezwłocznie, już w dni kilka, otrzymał żadaną dymisyę, lecz, na wyraźny rozkaz cesarski, z odmową żadanego zwrotu rewersu. Nareszcie znalazł się na stanowisku właściwym, na służbie kraju własnego.

W sierpniu t. r. stanął w Warszawie; w październiku uchwałą sejmową był mianowany generał-majorem wojsk polskich wraz z Kościuszką i innymi; został szefem gwardyi pieszej koronnej i członkiem Deputacyi do ułożenia regulaminu wojskowego. Wszedł w dużą, niewprawnie jeszcze prowadzoną czynność organizacyjną a zarazem w zawiłą robotę polityczną, toczącą się dokoła wielkich przedsięwzięć sejmowych. Dostał się przecie także w szalony wir płochego wielkoświatowego życia warszawskiego, biorącego nastrój od dworu, które wrychle świeżego młodzieńca porwało aż zanadto, rozpalać śpiące w nim dotychczas namiętności. Od wiosny 1790 r. objął dowództwo IV dywizyi braclawskiej, następnie i kijowskiej, z kwaterą główną w Tulczynie. Tutaj, na kresach, zajął się czynnie wyćwiczeniem wojsk sobie powierzonych, zwłaszcza kawaleryi, broni dobrze sobie znanej ze służby austriackiej. Szczególną uwagę zwracał na kozaków granowskich, przysyłanych mu od ks. Czartoryskiego, objeżdżał ich i musztrował często, znał każdą sotnię, połączył ich z kozakami berszadzkiemi, korsuńskimi i in., i utworzył z nich osobny pułk z dziesięciu sotni, pięknie umundurował, trzymał przy swojej kwaterze na biwakach, czterdziestu mołojców do swego dobrał boku. Później jeszcze, podczas przygotowań 1811 r., z żalem wspominał ten pułk ulubiony, przeformowany przez konfederacyę targowicką na lekkokonny bohski i wnet oczywiście stracony. Naogół jednak, dość mierznie przykładając się dotychczas do teoretycznej nauki wojskowości, wyższych wiadomości militarnych z aplikacyi austriackiej nie wyniósł; posiadał natomiast wyborną znajomość techniki kawaleryjskiej; zaś przedewszystkiem przyniósł wrodzony orientacyjny instynkt bojowy, uzdatniający go do wyrobienia się z czasem na wybitnego, nawet na wielkiego wodza. Jeśli przychodzi w tem miejscu stwierdzić wyraźne braki przygotowania pod względem teoretycznym i praktycznym,

dające się postrzegać w Poniatowskim w chwili niniejszej, kiedy wypadło mu w niedoświadczone jeszcze ręce wziąć niepomierne brzemie rozległej akcji organizacyjnej, a niebawem kapitalnej akcji wojennej, to przecież zarazem należy stwierdzić natychmiast i tę ostatnią okoliczność, należy podnieść istotne, utajone w nim wyższe uzdolnienie militarne, które z biegiem czasu, w miarę nabywanego doświadczenia, miało stopniowo dorastać do zadań największych, do najtrudniejszych wymagań strategii Napoleńskiej. Należy tembardziej nacisk położyć na tę okoliczność, że nawet w swojskich ocenach fachowych nie raz pod tym względem działa mu się krzywda, że, chwalony zazwyczaj jako żołnierz, bywał niedoceniany jako wódz, bywał usuwany na plan drugi wobec znamienitych zasług rodaków, Dąbrowskich, Zajączków, Sokolnickich i innych, którym przecie w swoim zawodzie nie ustępował zgola, którym w pewnych rzeczach niewątpliwie nie dorównywał, ale których skądinąd na swój sposób nawet przewyższał. Istnieją w tym względzie świadectwa nieulegające zakwestyonowaniu, pochodzące od rzeczoznawców najpierwszych, a sędziów naocznych i najpowołanszych, zaszczytne świadectwo pośmiertne wydane talentom wojskowym Poniatowskiego przez Napoleona na św. Helenie, albo lapidarne świadectwo surowego Davousta, który wręcz oświadcza, iż ks. Józef więcej, niż którykolwiek inny z generałów polskich, niewyłączając „mądrego Dąbrowskiego“, posiadał w sobie materyału na wielkiego wodza. To wszystko jednak wyhodować miała dopiero przyszłość. Narazie, jak się rzekło, braki ukształcenia militarne w dwudziestokilkuletnim Poniatowskim, były znaczne i niepomału też utrudniały jego obecne zadanie. Sam on przecie najlepiej, aż do przesady, zdawał sobie z nich sprawę, i nad nimi ubolewał. „Może doszedłem do tego—pisał z piękną skromnością królowi latem 1790 r.—że potrafię z dobrą wolą i rozumnie pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na wypełnienie tak ważnego miejsca. Użyję wszelkich sił, jakie mi niebo dało, aby rzeczy szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innej miary niż ja jestem.“ Jesienią t. r., zastąpiony w obozie przez niestrudzonego Kościuszkę, udał się do Warszawy, dokąd ciągnęła go młodość i stołeczne uroki, ale dokąd też powoływał arcydoniosły obrót sprawy publicznej. Asystował przy uchwaleniu Ustawy majowej; w lipcu wrócił do swej kwatery; we wrześniu i październiku w obozie pod Braclawiem odbył większe manewry, wykazując niemały postęp w wyrobieniu wojska, więcej jednak w gatunkach broni opracowanych głównie przez generała Kościuszkę, w piechocie i artylerji, anizeli w jeździe, która dość pozostawiała do życzenia. W połowie listopada znów przybył do War-

szawy na pobyt dłuższy; i tutaj, posunięty w drugiej połowie marca następnego roku na generał-lejtnanta, zabawił do początku maja 1792 r., aby wprost stąd pośpieszyć na rozprawę z nadciągającą armią nieprzyjacielską.

Wyjeżdżał z Warszawy na Ukrainę przekonany o niepodobieństwie dotrzymania trzykroć, w linii zawsze dwakroć silniejszemu, a nierównie sprawniejszemu przeciwnikowi. Prosił króla, „aby powierzył dowództwo jakiemu bieglejszemu odemnie obcemu wodzowi, chętnie pod nim służyć będę“. Szedł w 20 tysięcy, niedoświadczonego i źle opatrzonego żołnierza na 60 tysięczną w ogólnym składzie, blisko 40 tysięczną w linii bojowej, doskonałą armię, wracającą ze zwycięskiej kilkoletniej wojny. Odbywał tę kampanię, jak sam powiada, „bez kwatermistrzostwa, bez sztabu generalnego, bez komisaryatu“. Co gorsza, na samym kresowym terenie walki, spotykał się ze złą wolą w najżywotniejszych sprawach prowiantowych i wywiadowczych; a nawet, co najgorsza, spotykał się z niekarnością we własnych szeregach. Zmuszony był osobiście — ten straszny szczegół stwierdza list naocznego świadka, ks. Eustachego Sanguszki — przebić pałaszem żołnierza z kolumny Lubomirskiego, który za drugich odpowiedział, że w ogień nie pójdą. Śród tak trudnych, niemal rozpaczliwych warunków, nieszczęśliwe lecz zaszczytne toczył walki w przymusowym odwrocie przed przemagającym nieprzyjacielem. Pod Zieleńcami, w połowie czerwca, utrzymał pole; i tutaj osobiście pieszo prowadził w ogień batalion Potockich: stałym odtąd swoim zwyczajem, dając z siebie przykład szeregowcom, dając też upust swej impetycznej brawurze żołnierza, biorącej aż górę nad oględnością wskazaną wodzowi. Ponieważ w raportach swoich o sobie stale przemilczał, podnosząc natomiast zasługi podkomendnych, Kościuszki, Mokronowskiego, Wielhorskiego, doszło to do króla dopiero z boku, zachwyciło go, ale też przeraziło. „Życie Twoje — pisał mu Stanisław-August — jest koniecznie potrzebne i mnie i państwu... Zaklinam Cię, jeśli mnie kochasz, nie oddawaj się rozpacz... Pamiętaj, że jesteś duszą armii i jeśli ona utraci tę duszę, trupem się stanie“. Król pisywał mu ciągle, z początku bardzo często, prawie codzień, niekiedy parę razy dziennie, z otuchą i szczerością; potem i rzadziej i mniej jasno. Otwierał mu tajemnicze jakieś, bałamutne widoki osobiste. A zarazem donosił o zniechęceniu opinii, o rozgoryczeniu Warszawy przeciw cofającemu się wodzowi, na którego już paszkwile rozrzucone są po Ogrodzie Saskim. Nie było tam w tych listach królewskich żadnych instrukcji wprost zdradzieckich, jak później głoszone w skrajnym kącie emigracyjnym, gdzie nawet cień tej rzekomej zdrady ośmielono się rzucać na samego ks. Józefa. Ale

była w tych listach cała wątpliwość duszy królewskiej, napewno niesposobna bynajmniej do podniesienia na duchu w tak ciężkiej potrzebie stroskanego wodza. Już w kilka dni po Zieleńcach, ciągle w odwrocie, musiał on na rozkaz królewski prosić przeciwnika o rozejm—oczywiście nadaremnie. Po okazanej niemożności obrony linii Bugu przez krwawą potyczkę pod Dubienką w połowie lipca, cofał się książę dalej na Lublin; i wtedy, w obozie pod Kurowem, odebrał z Warszawy piorunującą wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy i rozkaz: zaprzestać działań wojennych, cofnąć się na lewy brzeg Wisły, rozproszyć wojsko aż do Wielkopolski, samemu wedle nowej obywatelskiej dyktando stanąć kwaterą w Poznaniu. Król dołączał obszerny wywód usprawiedliwiający, przeznaczony dla oficerów; zaś osobno do swego „drogiego Pepi“ pisał krótko i czule, jakby chodziło o drobnostkę, upewniał, że rzeczy nie stoją tak źle, jak się pierwotnie wydawało: „przybądź, aby odebrać moje uściśnienia, na które tak sobie zasłużyłeś,.. co do Twojej osoby urządzimy się w taki sposób, abyś nie miał wcale zmartwienia“. Pierwsza myśl ks. Józefa była może śmierć: gdyż nie wspominając nikomu o treści odebranej ekspedycy, zaproponował kilku przyjaciółom dla rozrywki mały rekoniesans, gdzie omal nie zginął; dopiero potem ogłosił wojsku fatalną wiadomość warszawską. Ale jeszcze z faktem dokonany się nie godził. „Mój Boże—odpisał zrozpaczony do Stanisława-Augusta—czemuż czekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!“ Nie kwapił się bynajmniej do Warszawy w objęcia królewskie. Przeciwnie, podnosiła się w obozie myśl, przyniesiona tam pewnie z Warszawy od zaciętszych głów stronnictwa majowego, aby króla wziąć do armii i zmusić do wytrwania. Ks. Józef, jak się zdaje, w pierwszej chwili przechylał się ku tej myśli, choć nie decydował się wykonać jej z całą bezwzględnością przeciw swemu monarsze i dobroczyńcy. Pisał do króla w mocnych słowach, lecz tem samem uprzedzając go a nie zabierając wprost choćby przemocą, jak pragnęliby gorętsi; żądał przyjazdu do obozu: „o to W. K. M. prosimy wszyscy, o to błagamy—o to nakoniec będziemy się dobijać.“ Król struchlał. Nie poznał swego łagodnego, posłusznego Pepi. „Jeśli będziesz się przy tem upierał, jestem zgubiony, *je suis un homme perdu*—odpisał drżącą ręką—a co więcej, państwo jest zgubione“. Zaklinał go na „przywiązanie i wdzięczność, jaką mi jesteś winien, jeśli nie chcesz być przyczyną mojej śmierci, bo tego nie przeżyję... Na Boga, Pepi, Pepi, pamiętaj, że tu chodzi o mój honor, o moje życie, co więcej, o całe państwo.“ Ks. Józef uległ zakłębom. Odstąpił od pierwotnej myśli porwania króla. I odtąd to właściwie datuje się głęboki, zadaw-

niony i zatruty zatarg pomiędzy nim a tej myśli inicjatorami, Kołłątajem, Zajączkiem, w pewnej mierze i Potockim Ignacym, zatarg, który jeszcze znacznie później miał wyrządzić niemałą krzywdę sprawie publicznej. Dziś, spokojnie rozważając sytuację, możemy orzec, iż ks. Józef, zaniechawszy w ostatniej chwili doradzanego mu zamachu, którym niczego już naprawić nie było podobna, uczynił roztropnie i dobrze, iż w tem pierwszym już swoim tragicznym przesileniu publicznym, jeśli poszedł za osobistym pociągiem uczucia, poszedł także za trafnym instynktem obowiązku obywatelskiego i zdrowego rozumu stanu. Postąpił, wedle słów własnych, „w sposób jaki przystoi temu, który wprzód się uczył być posłusznym, nim zaczął rozkazywać.“ Ale w posłuszeństwie zatrzymał się ściśle u granicy, nakazywanej przez obowiązek i honor. Podał się natychmiast do dymisji wraz z całą generalicyą. Król ledwo co pocieszony ustępstwem, które ratowało jego osobę, strasznie był dotknięty tą decyzją, która obnażała jego fatalne odosobnienie. Wzywał do subordynacyi tych złych oficerów, co mu zbałamucili synowca: „gdzie ja jestem, gdzie zemną będą, tam honor ich zawsze ocalonym zostanie.“ Samego egzaltowanego synowca próbował na wszelki sposób odwieść od niepraktycznej dymisji, uspić jego sumienie łzawą prośbą, gorzkim wyrzutem a nawet osobliwszą pokusą. Ale tym razem wszystko nie zdało się na nic. Książę pozostał nieugięty, nie ruszał się z obozu: „Boże mnie uchowaj — pisał królowi — ażebym kiedykolwiek miał nadużyć zaufania godnych ludzi, których los w moich rękach jest złożony“; dopiero po podpisaniu swej dymisji przez króla, nazajutrz o północy, serdecznie żegnany i pięknie uczczony od wojska, udał się do Warszawy. Posyłając stąd Kościuszcze dymisyę, pisał, „że największy prezent, jaki mu teraz zrobić może, jest, że mu abszyt posyła“.

W Warszawie, zajętej przez wojska nieprzyjacielskie, zabawił książę krótko. Był zanadto niedogodny swą otwartością bezwzględną, samą swoją obecnością. Król sam go niebawem wydalil, opatrzywszy go zresztą po ojcowsku. Wziął na siebie jego długi, wynoszące wtedy 19½ tys. dukatów; wyznaczył mu ze swojej szkatuły pensyę, jak na trudne stosunki ówczesne, dość znaczną, około 12 tys. dukatów rocznie, skąd po strąceniu 1/3 na rozmaite obciążenia, zostawało mu około 8 tys. dukatów. Z końcem sierpnia 1792 r. wyjechał książę do Wiednia. Od króla, z Warszawy i Grodna, odbierał listy częste i czułe, ale w samej tej czułości bolesne bardzo, okrutne. Tłómaczył się przed nim z grodzieńskiego sejmu Stanisław-August, czemu we wszystkim ulega, czemu do ostatka oburącz trzyma się korony: „muszę zapłacić długi moje i Twoje, *et les vôtres*, zapewnić byt Twój i Twój siostry“. Ostrzącał przecie podobne tłómaczenie synowiec.

W serdecznych, ale też mocnych wyrazach, monitował starca młodzieńca, już dojrzały na męża: „Kocham Cię, Najjaśniejszy Panie, nad życie, ale droższym jeszcze, niż ty sam, jest mi Twój honor, Twoja dobra sława“. W kilku bardzo aktualnych i bardzo drażliwych targach, gdzie wtedy o własną jego chodziło osobę, pomimo nadzwyczajnego nacisku moralnego i nawet materyalnego, wywieranego przez króla, pozostał niewzruszony. W tych jego listach wiedeńskich, tchnących niewysłowioną męką, przebija się cała skala ostrych wzruszeń świeżej, wrażliwej duszy, targanej niemiłosiernie między lojalnem uczuciem synowskiej wdzięczności a wyższym nakazem honoru, którego pogwałcić on nie może, choćby i chciał, fizycznie wprost nie może, bo to przechodzi jego siły, bo byłoby negacją samej jego natury, byłoby szarpnięciem, zerwaniem tego nerwu duchowego, który go utrzymuje przy życiu. „Życie stałoby się dla mnie ciężarem, gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności“. Dyskretnie, prawie wstydliwie dawał do zrozumienia, że życie mu obmierzło, że z niego ucieknie, że nie jest dalekim od samobójstwa, jeśli go dłużej męczyć będą. Wyrzekał się dobrodziejstw królewskich, skoro za taką miałyby być cenę, za cenę własnego dla siebie szacunku. „Zostaw mnie, Najjaśniejszy Panie, zapomnij o mnie, odepchnij od siebie... może za to kiedyś moje ręce, im będą czystsze, tem godniej potrafią Ciebie pielęgnować w potrzebie“. Nie było wątpliwości żadnej: jeszcze on był nazywany od króla „ukochanym Pepi“, jeszcze sam króla nazywał „dobrym ojcem“, ale już był dla niego niepowrotnie stracony.

W Wiedniu długo zagrzać miejsca mu nie dano. Dokonywał się już drugi podział. Równocześnie gotowała się redukcya wojska, t. j. faktyczne zniesienie armii. Wobec tego obecność byłego jej wodza w Wiedniu wydawała się zbyt blizką jeszcze, prowokacyjną, niebezpieczną. Król, skłopotany trudnościami grodzieńskimi, pragnął teraz niewygodnego synowca mieć jak najdalej, gonił go, naglił do najodleglejszych wojażów, do Niderlandów, Anglii, Włoch. Wzdragał się naprzód ksiązę, wreszcie musiał usłuchać, udał się do Brukseli, gdzie przebywała wtedy jego siostra, pani Wincentowa Tyszkiewiczowa. Spoczął tu trochę, ale fatalną zaraz zrobił znajomość. Znużony, zgorzkniały, wyczerpany i przeczulony doznaniem przejściami, a tem bardziej bezbronny, poznał wówczas w domu siostry w Brukseli „margrabinę“ Henryettę Vauban. Nie żyła ona wtedy z mężem, z którym przecie później zejść się miała wybornie, sprowadziwszy go do domu księcia w Warszawie, a o którym mało co wiadomo. Sama pani niepierwszej już była młodości, nieładna, wysoka,

chuda, zdenerwowana, spazmatyczna, grymasna, w dodatku bardzo interesowna, ale nadzwyczaj subtelna, udrapowana w cierpienie nieszczęśliwej, niezrozumianej istoty, ujmująca chorobliwym, mdlejącym jakimś urokiem. Zadzierzgnięty został węzeł na życie całe, z wielu względów z niemałą krzywdą dla reputacyi Poniatowskiego.

Nagle, z wiosną 1794 r., z tych niezdrowych wywczasów brukselskich wytrąciła ks. Józefa wieść o dokonanym czynie Kościuszkowskim. Książę był zaskożony zupełnie, bo nie był zgoła wtajemniczony. Rzecz wydać mu się musiała rozpaczliwą, beznadziejną. Wzwyczajony do karności, do wojny regularnej, do broni liniowej, nie mógł żywić zaufania do wojny insurekcyjnej, do przedsięwzięcia ludowego, którego przygotowanie i zakres były dlań tajemnicą. Nie miał więc wiary. Ale król, który go tak niedawno przegnał, aby uwolnić się od jego nieprzyjemnego moralnego nagabywania, teraz, z tych samych pobudek samolubnych, osamotniony pośrodku wzburzonej Warszawy, na gwałt wzywał go do powrotu, aby okryć się jego moralną osłoną. Ciężko to było wśród takich warunków, pod dwuznacznymi auspicjami królewskimi, wrócić do wstrząśnionego, rozpalonego kraju. Czuł to dobrze ks. Józef, lecz się nie uchylił, w końcu maja stawił się w obozie Kościuszki, niedawno podkomendnego, teraz Naczelnika. Umieszczony był naprzód jako zwykły ochotnik przy korpusie Mokronowskiego w Warszawie, gdzie jak najbliższej przy swym boku chciał go mieć wystraszony król; następnie przy oblężeniu miasta przez Prusaków otrzymał dowództwo części linii obronnej od Powązek do Młocin, odpierał pomyślnie ataki pruskie, lecz pod koniec sierpnia dał się zaskoczyć, wyprzeć z Opalina, zabrać sobie baterię, po części z winy podwładnego dowódcy bateryi na Górach Szwedzkich, lecz po części także skutkiem nieopatrzności własnej. Wziął później jeszcze dowództwo kilkotysięcznego korpusu wyprawionego nad Bzurę, aby utrzymać czucie z generałem Dąbrowskim, działającym w Wielkopolsce, i zapewnić mu otwór do odwrotu, lecz manewrował niefortunnie i chybił celu. Po wzięciu Pragi, zdesperowany zupełnie, a zapewne także nie bez wpływu presyi od Stanisława-Augusta, pierwszy zdał komendę swego korpusu, który też natychmiast w zupełną poszedł rozsypkę, zaczem z kolei poszła całkowita dezorganizacya armii, prowadząc wnet do ostatecznej kapitulacyi radoszyckiej. Na ogół ta kampania była najnieszczęśliwszą dla ks. Józefa, gdyż, jakkolwiek pozwoliła mu niejednokrotnie stwierdzić jego wyższą po nad wszelką wątpliwość brawurę i lojalność osobistą, lecz naraziła na szwank jego reputacyę wodza, a w każdym razie nietylko

nie podniosła go, lecz nawet zepchnęła na plan drugi w opinii wojskowej i krajowej z tego stanowiska naczelnego, jakie był zajmował przed dwoma jeszcze laty. Inaczej zresztą być nie mogło. Związany swoim położeniem z gruntu fałszywem względem króla i względem samego przedsięwzięcia, nie mógł on tutaj dać właściwej miary swojej indywidualności publicznej i bojowej wśród warunków, tak bardzo do niej niedostosowanych. To nie był człowiek insurekcyi.

III.

Tymczasem dokoła waliło się wszystko. Król wyjechał do Grodna po abdykacyę. Ks. Józef, jak Dąbrowski i wielu innych, nie powołanych do Petersburga, pozostał w Warszawie, zajętej przez Suworowa. Był z wizytą u feldmarszałka, podobnie jak inni generałowie polscy, i miał sobie od niego zostawioną zupełną swobodę, z której korzystał z wielkim taktem, ze zrezygnowaną godnością. Środki mając bardzo uszczuplone, zamierzał osiąść w odziedziczonej po prymasie Jabłonnie i zaczął urządzać ją na stalszy pobyt. Ale znalazły się figury podrzędne, Buxhövdén, Diwow i inni, które krzywo patrzyły się narzekomą zbyteczną wyrozumiałość Suworowa; ci gorliwcy jęli na własną rękę oskarżać ks. Józefa przed Bezborodką, Repninem i wyżej, że „on chadza po Warszawie bez orderów, w starym płaszczu rewolucyjnym, ugaszcza i utrzymuje mnóstwo oficerów zniesionej armii“. Pierwszy oczywiście zatrwożył się król. Zaraz zaczął z Grodna molestować synowca, dopytywać, jak on się sprawuje? jak ubiera, czy nie, broń Boże, po parysku? jak włosy nosi, czy czasem nie krótko strzyżone, po jakobińsku? Sumitował się biedny książę, wykazywał zupełną bezzasadność tych obaw, z gorzkim uśmiechem zapewniał króla, że unika wszelkiej polityki w toalecie i fryzurze, że nawet wysiła się na jakiś „cień warkocza“, że *toupetu* wprawdzie nie nosi, ale dlatego tylko, iż nad czołem całkiem wyłysiał, że wprawdzie wielkie peruki, *habits brodés* i *talons rouges* schował do szafy, bo to już nie w modzie, ale zresztą stara się być elegantem, być „podobnym do wszystkich Anglików, do wszystkich emigrantów francuskich“, do wszystkich ludzi dobrze myślących. Ostatecznie, reskryptem cesarzowej Katarzyny do ks. Repnina, wielkorządcy Litwy, w połowie marca 1795 r., został niedopuszczony do przysięgi na starostwa posiadane na Litwie; w kwietniu otrzymał od króla stanowczy rozkaz

wyjazdu z Warszawy do Wiednia. Tutaj, w Wiedniu, siedział odtąd prawie bez przerwy lat blisko trzy, mając przy sobie siostrę i nieodstępną już panią Vauban. Już nie widział tu hrabianki Karoliny Thun, teraz lady Guirfold, którą zabrało mu życie, a niebawem, po kilku leciech, jeszcze w kwiecie wieku, zabierze śmierć przedwczesna. Był w kłopotach materyalnych, w ciężkiej depresji duchowej, gryzł się, chorował na febrę, żółtaczkę, odnowioną starą ranę. Położenie materyalne nieco się poprawiło ze zmianą panowania, gdyż cesarz Paweł I natychmiast, w parę tygodni za ledwo po objęciu rządów, jeszcze przed amnestyą ogólną, reskryptem z początku grudnia 1796 r. do ks. Repnina, zatwierdził ks. Józefa bez żadnych warunków we wieczystej własności dziedzicznej starostwa żyzmorskiego, uszpolskiego i części wieluńskiego w gubernii Wileńskiej, bądź wprost, bądź po dożywociu matki i hetmaństwa Ogińskich. Jednak następnie zamiast Uszpoła, należącego już do Sapiehów, otrzymał księżę Bejsagołę w powiecie szawelskim; wszystkie te dobra niebawem wyprzedał marszałkowi Pusłowskiemu za bezcen. Położenie społeczne pozostało ciągle nader trudne i naprężone. Do króla, pomimo wielokrotnych wzywań, nie kwapił się i już go nie oglądał aż w trumnie. Po śmierci Stanisława-Augusta wiosną 1798 r. udał się do Petersburga, dokąd powoływały go najnieodzowniejsze czynności homagialne i sukcesyjne. Kilka miesięcy zabawił nad Newą, z wielką łaskawością przyjęty przez cesarza, mianowany przeorem Zakonu maltańskiego, później wniesiony do ranglisty wojskowej rosyjskiej w stopniu generała-lejtnanta i szefa kazańskiego regimentu kirasyerów.

Odtąd, od lata 1798 r., osiadł na stałe w pruskiej wtedy Warszawie. Była to niby długa, ośmioletnia pauza w jego życiu. Tam, na Zachodzie, świat stał w płomieniach, Republika francuska wtargnęła poza Ren i Alpy, Bonaparte płynął do Egiptu, legiony wkraczały do Wiecznego Miasta. Ks. Józef kłopotał się i zabawiał w Warszawie. Wiązało go, jak jeńca, położenie. Hamowała rodzinna i osobista sytuacja polityczna w stosunku do trzech rządów podziałowych, uniemożliwiająca styczność z Francją. Krępowały konsekwencye drugorzędnej i niepomyślnej roli, odegranej w ostatniej kampanii, utrudniając styczność z przywódcami legionów. Przygniatał wreszcie spadek majątkowy po królu, w największym nieporządku będący, obciążony ogromem długów, zawisły od pokrycia przyjętego przez trzy skarby podziałowe, wymagający wyjątkowej procedury ulgowej, bo podpadający nadzwyczaj skomplikowanej dystrybucyi pomiędzy niezliczonych wierzycieli, oraz pomiędzy spółsukcesorów, którzy, formalnie zrzekłszy się sukcesyi, cały jej ciężar zwalili z dobrodziejstwem inwentarza na ks. Józefa. Dostał się on tym sposobem w przymusową

zależność od sądownictwa pruskiego, nie dla siebie osobiście, gdyż regulacy spadku nawet nie dożył, ile dla honoru rodziny. Z rządem pruskim stanął w stosunkach dość znośnych, zarówno z administracją lokalną, wielkorządcą prowincyi uczciwym Vossem, gubernatorem Warszawy, zacnym Köhlerem, jakoteż z dworem królewskim. Istotnie też pomocna interwencya samego prawodawcy ułatwiła mu zabójcze kłopoty sukcesyjne: osobny dekret królewski wyznaczył pięciu członków kamery warszawskiej na komisarzów do osądzenia w ostatniej instancyi wszelkich żądań, wytoczonych przez trzystu wierzyteli Stanisława-Augusta na sumę z górą pół miliona dukatów; inne reskrypty proceduralne, uzyskane przez księcia, miały uprościć czynność likwidacyjną; z tem wszystkim jednak na wyrok klasyfikacyjny, regulujący około połowy wierzytelności, wypadło czekać lat ośm, t. j. doczekać się go właśnie w fatalnej porze, kiedy miał zostać nagle zawieszony przez wojnę, przez Jenę. Osobiście w tym czasie pozostawał ks. Józef z dworem pruskim na stopie pewnej uprzejmej zażyłości. Przez przyjaciela, ks. Antoniego Radziwiłła, spowinowaczonego z domem panującym, miał ułatwione zbliżenie z Fryderykiem-Wilhelmem III i królową Luizą, i od obojga za bytności ich w Warszawie i swojej w Berlinie odbierał oznaki życzliwości i szacunku, obwieszony został Orłem Czerwonym i Czarnym, choć zresztą dóbr, wziętych do skarbu, mu nie oddawano.

Naogół przez tych lat ośm pruskich pędził ksiączę życie prywatnego człowieka, w pałacyku Pod Blachą, albo w Jabłonnie, w domu zanadto wystawnie i hucznie, zanadto po kawalersku i zanadto na modłę cudzoziemską prowadzonym przez panie Tyszkiewiczową i Vauban, w kole domowników i ulubieńców, wcale niefortunnie dobranych, życie bardzo swobodne, dostarczające obfitego żniwa stołecznej kronice skandalicznej, poniżej jego imienia, a już nawet ponad jego wiek płocze i puste, do położenia kraju niedopasowane. Taka skala życiowa człowieka, stojącego na świeczniku, nie mogła nie wyrządzić dotkliwej krzywdy i ogółowi, i jemu samemu u ogółu. Z jednej strony niezdrawy przykład ksiączęcy pociągał do naśladownictwa i tym sposobem mimowoli szedł na rękę rządowi pruskim w ich rozkładowej robocie koło oszołomienia i wydziedziczenia społeczności. Z drugiej strony wywoływał uzasadnioną reprobacyę, wyzywał poważniejszą opinię, a uprzedzonej, nieżyczliwej dawał dopiero grunt istotny i łatwą wygraną. Cóż było łatwiejszego, jak w obliczu opinii piętnować oczywiste wybryki bałamuctwa i szalu, i na lekkomyślnego ich sprawcę ściągać surowy wyrok publicznego potępienia? Surowo też, bezlitośnie potępiono te wybryki ks. Józefa. Zapewne — bez nich byłoby lepiej. Chwalić tych zbroceń nikt nie będzie. Każdy nad niemi głęboko musi ubolewać. Ale sąd spra-

wiedliwy znajdzie dla nich wyrozumiałość, poniekąd nawet wytłómaczenie. Położenie ówczesne ks. Józefa było prawie bez wyjścia. On nie mógł, jak pierwszy lepszy ochotnik, pójść do lombardzkiej kwatery Dąbrowskiego albo naddunajskiej Kniaziewiczza. Jakże wyobrazić go sobie z jego stanowiskiem, przeszłością, z jego prostym a niezmiernie czułym punktem honoru, pośrodku rozstrzelonej emigracyi, gdzie dla niego właśnie tyle było nieufności, podejrzliwości, wprost nienawiści śmiertelnej? Jakże wyobrazić go na tułactwie w owych ciemnościach, owych raptownych odmianach polityki dyktoryjalnej i konsulackiej, kiedy to dziś tworzone, jutro zwijano legie, dziś wojowano, jutro traktowano, dziś otwierano najśmielsze widoki, jutro je niweczono? Jakże wyobrazić go z tą jego nadwrażliwą a nieodporną, nawskroś uczuciową naturą, ścieranego na pył wszystkimi temi przeciwnościami i zawodami, albo może dźgniętego sztyletem neapolitańskiego lazzarona lub oszczepem murzyna z San Domingo, — i co nareszcie na tem zyskałby kraj? Że zaś w tej przymusowej w domu bezczynności on nie potrafił, nie miał dość siły zamknąć się w sobie, dostroić codziennego swego życia do powagi okoliczności krajowych, — to niezawodnie było godne pożałowania, a jednak i to nawet w pewnej mierze przynajmniej było zrozumiałe. To nie była pospolita tężyzna obojętnej sybaryckiej duszy. To była, obok pewnej wrodzonej słabości charakteru i błędów wychowania, przedewszystkiem negatywna reakcyja duszy pięknej i szlachetnej, wrywającej się do ambicyi podniosłych, do czynów wielkich, a skazanej na bezwładzę przymusową, trawiącej się w narzuconej przez okoliczności niemocy, i szukającej sobie upustu w wybuchach silnego temperamentu, jak się winem zalewa toczącego robaka, byle oszołomić, znieczulić samego siebie, byle zapomnieć. Zgoła pominąć te wszystkie warunki faktyczne i czynniki psychiczne — niewątpliwie rzecz nadzwyczaj łatwa. Łatwa i tania ciskać bez zastrzeżeń gromy cnotliwego oburzenia, jakich swego czasu i w kraju, i zwłaszcza na emigracyi nie szczędzono ks. Józefowi. Nie brakowało nigdy, a najmniej w emigracyi owocniejszej, sędziów drakońskich, z tego gatunku faryzeuszów i doktorów cnoty publicznej, co to lekką ręką precz odpędzają celników i grzeszników od stołu Pańskiego. A jakże wielu z tych Katonów domowych i emigracyjnych później, za Królestwa Kongresowego, haniebnie spuściło z tonu, pierwszej nie wytrzymało próby, obnażyło całą mizeryę swojej istotnej zawartości ludzkiej i obywatelskiej. W sądach społeczno-dziejowych miara zasadnicza jest jedna, ale właśnie dlatego zastosowanie jej do różnych obiektów musi być różne. Istnieje dyferencyacya obowiązków i win, zasługi

i poczytalności społeczno-dziejowej. Miało się to niebawem okazać jaknajdowodniej na ks. Józefie w nadchodzącej już godzinie najwyższej próby, skoro nad samem uchem jego i kraju ogromną, wytrącającą z letargu pobudką, ozwą się lotne pioruny Napoleońskie, zaniezione na ziemię polską.

IV.

Jak gdyby z długiego letargicznego uśpienia zbudziły ks. Józefa podstępujące coraz bliższą i górnieszszą falą potężne odgłosy epopei Napoleońskiej, coraz jaśniej, coraz konieczniej ogniskowane ze światowej, zachodniej oddali w samym ośrodku ziem i rzeczy polskich. Ale przyszły one do niego nasampierw z wprost przeciwległego krańca. Jesienią 1805 r. cesarz Aleksander I, ciągnąc na pierwszą swoją walną z Napoleonem rozprawę, stanął kwaterą główną w domu książąt Czartoryskich w Puławach. Cesarz szedł na Francję; ale przedewszystkiem podówczas myślał on iść na Prusy, na pruską Warszawę. Wielki plan odnowienia Królestwa Polskiego pod berłem Domu Romanowów, częściowo tylko urzeczywistniony po latach dziesięciu na Kongresie wiedeńskim, wtedy to właśnie, na naradach puławskich, pod kierownictwem rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, ks. Adama Czartoryskiego, gotował się w całej pełni. Za pośrednictwem Czartoryskiego wtajemniczony został w ten plan przez cesarza Aleksandra ks. Józef. Już nawet miał on sobie powierzone stanąć na czele akcji w Warszawie. Lada dzień spodziewano się tutaj z Puław wjazdu monarchy, czekano tylko znaku do rozpoczęcia działań przeciw Prusakom. Tymczasem jednak Poniatowski, bacznie strzeżony przez władze pruskie, widział cesarza przeciągającego na wahaniach pobyt puławski, wstrzymującego się ciągle z podaniem hasła, odciąganego przez Prusy. Dopiero w drugiej połowie października mógł powitać monarchę, przecież nie z zamierzonym wjazdem w Warszawie na Zamku, tylko przejazdem, z ominięciem stolicy, na przelotnej gościnie w pałacu wilanowskim. Doznał ks. Józef przy tem spotkaniu dowodów zaufania cesarza Aleksandra, odprowadzał go z Wilanowa konno, — ale już na drogę wiodącą do Berlina, do sojuszu, nie do wojny z Prusami, a tem samem wiodącą do odroczenia, właściwie zaś do zaniechania tamtego planu. Miewał jeszcze przez parę tygodni u siebie Pod Blachą

przyjazne odwiedziny generałów rosyjskich, śpieszących za cesarzem na plac boju; lecz na zwycięzką ich otuchę nie mógł już zapatrywać się bez wewnętrznej rezygnacji. Wkrótce potem, z początkiem grudnia, nastąpiła bitwa pod Austerlitz. Narazie prysły doszczętnie wszelkie z tej strony widoki. Otwierały się natomiast niebawem inne, całkiem pokrewne, z wręcz przeciwnej strony pruskiej, skoro zaraz w następnym 1806 r. dobiegał wybuchu nowy zatarg wojenny Prus z Napoleonem. Zjawiły się w tej samej chwili rozległe propozycje polskie od dworu i gabinetu berlińskiego. Ks. Antoni Radziwiłł wspólnie z Feliksem Łubieńskim redagowali w Berlinie projekt ustawodawczy na podstawie liberalnych „Prawideł,” aprobowanych uprzednio przez Fryderyka-Wilhelma III. Zarazem za zgodą królewską układany był pośpiesznie przez Radziwiłła plan legii prusko-polskich. Zaś oczywiście przedewszystkiem pomyślano znowu o pozyskaniu ks. Józefa, najpierwszej w Warszawie osoby, starano się zabezpieczyć sobie „przystąpienie dobrze myślącego Poniatowskiego.” Znowu więc, tym razem przez Radziwiłła, jak poprzednio przez Czartoryskiego, został on mimowoli wtajemniczony w te nowe konsyderacje i widoki. Aliści i tym razem miecz Napoleoński inaczej rozstrzygnął. Jak przedtem Austerlitz, tak teraz Jena przecięła jednym zamachem wszystkie te tak sztuczne a tak kruche i śliskie pomysły. Prusy same legły u nóg zwycięzcy. Francya stanęła nad Wisłą. Dziejów Polski porozbiorowej nowa otwierała się era.

Zakotłowała się nieznanem oddawna, gorączkowem życiem Warszawa. Opuszczone przez Prusaków miasto zajęli Francuzi pod Muratem, wnet pojawiły się tutaj oddziały wielkopolskie Dąbrowskiego, zjechał wreszcie Napoleon. Śród tych warunków nadzwyczajnych, drażliwem niezmiernie stawało się raz jeszcze położenie ks. Józefa. Tego człowieka, tak nawskroś prostego, stałe, jakby z umysłu pogrążało przeznaczenie w coraz zawilsze i trudniejsze komplikacje. On onegdaj miał przeciw Francyi tryumfalnie wprowadzić do Warszawy cesarza Aleksandra; wczoraj może konstytucyjnie obwołać przeciw Francyi króla Fryderyka-Wilhelma; dzisiaj przeciw Rosyi i Prusom wstępował tu zwycięscą Napoleon. Był w tem zgrzyt bardzo ostry, rzut bardzo gwałtowny, niebezpieczny. Ale ksiązę rezygnować dłużej ze swych obowiązków nie chciał, nie mógł. Jeszcze przez tydzień, jak się zdaje, ważył w sobie nieuniknione, nieodwołalne postanowienie. A tu tymczasem w początku grudnia stawiał się pośpiesznie w Warszawie Dąbrowski, gotowy do objęcia naczelnej władzy wojskowej. W rzeczy samej, po Kościuszcze, który Napoleonowi odmówił, Dąbrowski był niezaprzeczenie jedy-

nym wodzem powołanym do objęcia tego stanowiska, gdyby go nie objął natychmiast ks. Józef. Dłużej namyślać się nie było sposobu. Książę tym razem nie mógł zostać podkomendnym legionisty, zostac niczem. Nie mógł, jak przed dwunastu laty, pójść na miejsce drugorzędne. Nie był już na to dosyć młody, a zbyt wiele miał do odrobienia. Miał do wyboru albo stanąć na czele, albo zniknąć. Wybrał pierwsze po długich zewsząd, a zwłaszcza od Murata naleganiach, po głębokim namyśle, a z zupełną świadomością, że po raz ostatni przestaje być człowiekiem prywatnym, że całego siebie nieodwołalnie oddaje nowym losom sprawy publicznej na życie i śmierć. Im dłużej rzecz w sobie wprzód ważył, im swojej odpowiedzialności był świadomszy, tem ściślej i jaśniej postanowienie swoje wreszcie objawił. Zapadło ono ostatecznie tegoż wieczora grudniowego, kiedy przybył do Warszawy Dąbrowski, kiedy zatem chwili dłużej nie było do stracenia. Książę otworzył się przed Muratem. Wyraził gotowość objęcia wydziału wojny, zastrzegając się przeciw ubieżeniu go przez Dąbrowskiego na tym odpowiedzialnym posterunku. Ale zarazem zastrzegł stanowczo, że żąda od Murata wyraźnego na to rozkazu w imieniu Napoleona. Żądanie było razem roztropne i godne: okrywało poczytalność moralną księcia, precyzowało polityczną cesarza. Znamionowało w powziętej decyzji nie samą tylko odruchową pobudkę żołnierską, ale głębsze ujęcie racji stanu. Powziąłem tę decyzję — w tych wyrazach odezwał się wtedy ks. Józef przed Muratem — nie jak „entuzjasta, niemający nic do stracenia,“ ale „z dojrzałą rozważą“ człowieka, na którego „można liczyć.“ Odtąd czynem nieprzerwanym, wreszcie krwią serdeczną przypieczętuje on te proste wyrazy: że na niego liczyć można. Szlachetny Francuz, który odrazu ocenił go i pokochał, natychmiast zaszczytnym rozkazem dziennym na mocy najwyższej swej władzy zastępczej polecił mu urzędownie przywdziać z powrotem dawną rangę w stanie czynnym generał-lejtnanta, jaką piastował w b. armii Rzpltej, objąć komendę siły zbrojnej polskiej i zająć się jej organizacją w tych prowincjach, gdzie to jeszcze uskuteczniem nie zostało. Jednakowoż zaraz stwierdzić przychodzi, że ta tymczasowa namiestnicza uchwała Murata w owej chwili bynajmniej nie była sankcyonowana przez powszechność opinii publicznej krajowej i warszawskiej, przeciw księciu poczęści rozgoryczonej, a bardziej jeszcze przeciw niemu przez swoich podniecanej. Tysiączne też najprzykrzejsze z własnymi rodakami rodziły się kolizye, w tej pierwszej zwłaszcza zmaconej dobie gorączkowego podrażnienia umysłów. Tymczasem wypadało zyskać przedewszystkiem sankcyę osobistą cesarza. W drugiej połowie grudnia powitał Poniatowski przybyłego do Warszawy Napo-

leona, Przyjęty był w pierwszej chwili dość chłodno, nawet surowo. Usłyszał od cesarza wyrzut bardzo ostry, że stawiał ów warunek, ów uprzedni rozkaz w imieniu cesarskiem zażądany i otrzymany od Murata. Nie zrażał się jednak, nie oglądał na dobrze sobie wiadome zatrute podszepty do cesarskiego ucha. Nie występował jako dworak, lecz jako sługa swego kraju. Zdał cesarzowi ściśłą sprawę techniczną ze stanu rzeczy wojskowych, a nie wahał się spełnić także wyższego obywatelskiego obowiązku, przekładając mu zarazem, otwarcie i mocno, ogólniejsze zagadnienia społeczne. Ks. Józef spokojnie, jak mu każe sumienie, referujący po raz pierwszy przed chmurnym, nieufnym jeszcze cesarzem Napoleonem na Zamku królewskim:—jakież to obraz uderzający myśl i wyobraźnię. Jakież uczucia w takiej chwili musiały budzić się i burzyć w górnej duszy Poniatowskiego. On stał, świetny, dorodny mężczyzna, pogromca serc niewieścich z Pod Blachy, przed tym małym, szarym człowiekiem, pogromcą państw i ludów z pod Piramid, Marenga, Austerlitzu i Jeny, który z krańców świata przyszedł rządzić w tym Zamku, w którym on się prawie wychował. Stał, polski książe krwi, bogato uposażony od samej kolebki, przed tym ubogim, korsykańskim szlachcicem, upośledzonym przez urodzenie, który był porucznikiem artylerji, kiedy on był naczelnym wodzem, który był jeszcze w mroku i tłumie, kiedy on już był u wielkiego ołtarza, a który potęgą geniuszu i woli wyniósł się na najpierwszego wodza, najpierwszego Francuza, najpierwszego Europejczyka. Stał, 44-letni, a poczynający dopiero, przed tym 38-letnim, przed młodszym, który już doszedł. A tu za nim widział młodzieńcze, śmiałe twarze oficerów rodaków, opalone prochem stu bitew, znaczone zaszczytnymi blizny, promieniące sławą i nadzieją. Cała szlachetna ambicya, tak długo ściągnięta w cuglach, ukrócona, upokorzona, musiała w nim stanąć dęba w tem mgnięciu, i odtąd, niby pełnokrwisty rumak, niewstrzymanym rozpędem ponieść go na nowe życie, na piękną śmierć i chwałę nieśmiertelną.

Tymczasem położenie, jak się rzekło, niesłuchanie było trudne. Wszystko było dopiero w stanie tworzenia, losów wojny, ani kraju niepodobna było przewidzieć. W początku stycznia 1807 r. posłał ks. Józef Napoleonowi do obozu zasadniczy memoriał polityczny. Przemawia tutaj ze szczerością roztropną i silną: przedstawia rzecz ze spokojną i przekonującą powagą, „z punktu widzenia czysto francuskiego“; odwołuje się do przyrzeczeń danych przed dziesięciu laty Sułkowskiemu we Włoszech przez generała Bonapartego; stwierdza doznane ciężkie i zbijające z tropu zawody; usprawiedliwia wstrzeźliwość Kościuszki jego „wielką i uzasadnioną odpowiedzialnością mo-

ralną“; dosadnie maluje niejasne, rozstrzelone położenie kraju; „ja sam—powiada—czyliż nie jestem generałem rosyjskim, austriackim, pruskim?“; zaleca Ustawę majową, zaleca objęcie rządów nad 14-milionową ludnością, jeśli nie przez samego cesarza to przez członka jego rodziny, wyrzekając się narazie conajwyżej Obojga Galicyi. Ale w tym samym czasie z innej strony inaczej także odzywano się do Napoleona. Generał Zajączek, śmiertelnie nienawidzący Poniatowskiego, złożył cesarzowi pismo, całkiem odmiennie brzmiące, tchnące nietyle już krajową myślą obywatelską, ile dworacką, partyjną, emigracyjną. Dopraszał się on ustawy i praw francuskich, nie bez słuszności zapewne oskarżając Ustawę majową o niedostateczną dla włościanina troskliwość; lecz przedewszystkiem podawał ludzi do rządu, do dostojenstw, po staremu do wakansów; oczywiście radził oddać władzę Kołłątajowi, „jedynemu człowiekowi z głową“; odsuwał zupełnie ks. Józefa, zaciekle oskarżał, wprost denuncyował w czambuł całą Familię Czartoryskich, która „od wieków“ spiskuje i pretenduje do tronu, której dziełem była konfederacya barska, porwanie Stanisława-Augusta, uwięzienie Kołłątaja i wszelakie zbrodnie, której „kreaturą i agentem“ był Kościuszko, i którą też należy „stałe trzymać pod dozorem“ i oddalić raz na zawsze od wszelkich urzędów. Ten głos zasłużonego żołnierza, ale tylko żołnierza, głowy napozór postępowej, nawet radykalnej, ale naprawdę po staroświecku wstecznej, mętnej i ciasnej—to był w odnowionej postaci stary, anarchiczny głos fakcji i prywaty. Jeszcze nie było nic, nie było kraju, a już podnosił się zawczasu ten głos fatalny, monopolizując z góry dla jednych dobro i prawość publiczną, odsądzając z góry innych, najlepszych, od rady i służby publicznej, dzieląc to, co należało jednoczyć, osłabiając to, co należało umocnić, podnosił się i wciskał zgrzytliwem, przeczącem echem samobójczych błędów przeszłości pomiędzy czyste i twórcze hasła przyszłości społeczeństwa.

Na szczęście, dzięki zdrowemu sądowi Napoleona, a zapewne też nie bez przyjaznej pomocy Murata, może także dyplomatycznej Talleyranda, te przeciwne wpływy nie wzięły skutku. Ks. Józef, choć narazie tylko zwyczajny dowódca legii czyli dywizyi I, obok Zajączka i Dąbrowskiego jako dowódców II i III, pozostał jednak Dyrektorem wojny w Rządzie Tymczasowym warszawskim. Jeszcze przecie nie dał za wygraną zacięty Zajączek i dochodząc w swej zaciekłości aż do brutalnej zniewagi, do niesubordynacyi, wywołał tak ostry zatarg z księciem, że trzeba było odwołać się do Komisji Rządzącej, francuskiego ministra wojny ks. Neufchätelu, i samego Napoleona, aby większego nieszczęścia uniknąć. Zanosilo się już nawet wprost na odebranie księciu dy-

rektorstwa wojny i oddanie Dąbrowskiemu; a nie ulega wątpliwości, że w tym kierunku u boku cesarza w obozie, wraz z innymi osobistymi nieprzyjaciółmi Poniatowskiego, najsilniej agitował Zajączek, który w ponawianych raportach pisemnych do Napoleona nie przedstawiał uzalać się na „indolencyę“ warszawskiej administracji wojskowej. Ks. Józef zmuszony był w maju 1807 r. zwrócić się z poufnym piśmie do Stanisława Potockiego, prosić go o zasłonę i tłumaczyć, jak szkodliwe skutki dla napoczętych dopiero robót organizacyjnych, dla samej subordynacji w tworzonych dopiero szeregach pociągnęłaby za sobą tak nagle, niczem nieusprawiedliwiona zmiana władzy naczelnej, zrzucenie Dyrektora wojny w kilka miesięcy za ledwie po nominacji, a w chwili zatargu z niekarnym generałem. Można domyśleć się, znając wysoką ambicyę i drażliwość Poniatowskiego, wiele kosztować go musiało to odwołanie się do Potockiego Stanisława, brata Ignacego, będącego w tak bliskiej styczności ze starą partją Kołłątajowską, a którego głęboka, choć zresztą zrozumiała niechęć do domu królewskiego, nikomu lepiej nie była znana, jak księciu, choćby z minionych czasów Kościuszkowskich; ale można też łatwo stąd wywnioskować, jak poważną musiała być groźba utraty dyrektorstwa, skoro wypadło zdobyć się na krok podobny. Co zaś w tem wszystkim było najboleśniejszego, to ta okoliczność, że po stronie takiego przeciwnika, jak Zajączek, stała wtedy część niemała opinii wojska i Warszawy, która większe tytuły do dowództwa przyznawała Dąbrowskiemu, która w ks. Józefie mogła już zapomnieć wodza z pod Zieleniec, nie znała jeszcze wodza z pod Raszyna i Lipska, a pamiętała niefortunnego komendanta z pod Powązek i widziała ciągle „Szarmanckiego“ z Pod Blachy, synowca Stanisława-Augusta, krew abdykacyjną, osławione jeszcze, nie wsławione imię Poniatowskiego. Tak być musiało. Nie mogło być inaczej. Była tu sprawiedliwość nawet w niesprawiedliwości. Zaś dla człowieka tej miary, co ks. Józef, była w tem ostroga, szarpiąca boleśnie, ale też potężnie podnosząca do lotu.

Nastąpił pokój. Po zjeździe monarszym w Tylży ustalone zostały w pewnym zakresie losy kraju przez stworzenie Księstwa Warszawskiego, utrwalone w niem zarazem stanowisko Poniatowskiego, jako ministra wojny i naczelnika siły zbrojnej. Stało się to niezawodnie nie bez uprzedniej zgody na jego osobę między cesarzem Aleksandrem a Napoleonem. Księstwo było kompromisem między Francją a Rosją, nietylko kompromisem jako twór terytoryalny, lecz także jako organizacja administracyjna. W obsadzeniu jego administracji naczelnej brane były na uwagę względy dla sojuszniczej

Rosyi. Dlatego też ludzie, zanadto z poprzedniej doby przeciw Rosyi zdeklarowani, nie byli obecnie nadto wysuwani naprzód, dlatego niektórzy najwybitniejsi, jak np. Ignacy Potocki, całkiem zostali pominięci. Ks. Józef podobnych wątpliwości nie budził, a nawet w jego osobie, jeszcze z czasów planów puławskich i wilanowskiego spotkania w roku zaprzeszłym, pokładano, jak się zdaje, dalsze widoki, których on sprawdzić nie miał zgoła. Wtedy to, wnet po Tylży, oczywiście dla ułatwienia sytuacji księcia, cesarz Aleksander nakazał osobiście generał-adjutantowi Nelidowowi wykreślić go z ranglisty wojskowej rosyjskiej bez wyszczególnienia powodów, gdy równocześnie Napoleon obdarzał go orłem złotym Legii honorowej.

Wypadło teraz nasamprzód w pokojowym czasie przystąpić do ogromnej a naglącej roboty organizacyjno-wojskowej w Księstwie. Zabrał się do niej ks. Józef bez zwłoki, zabrał szczerze, gruntownie, z większą, niż się zwykle przypuszcza, gorliwością, siłą roboczą i rzeczywistym pożytkiem. Świadczą o tem dokumenty, świadczy jego korespondencya wojskowa, polska, saska, francuska, nadzwyczaj rozległa, bardzo rzeczowa, umiejętna, rozumna. Naogół, więcej jest znana i ceniona sama strona uczuciowa, tak powabna i świetna w ks. Józefie, aniżeli jego prosty, zdrowy rozsądek. A przecież on odznaczał się, gdy było potrzeba, takim właśnie trzeźwym rozsądkiem, i to nietylko w swoim zawodzie wojskowym, lecz nieraz i w obcych mu całkowicie materyach publicznych. W podobnych materyach, na posiedzeniach Rady Stanu, zwykle słuchał uważnie i milczał; lecz kiedy czasem, spytany wprost o opinię, głos zabierał i zaczynał jak zwykle od słów: „ja w moim głupim rozumie sędzę”—zawsze to jego zdanie tak dobrze utrafiło w samo sedno, tak było zwięzłe, jasno, dobitnie a prosto z mostu wyrażone i uzasadnione, że najwytrawniejszych członków Rady wprowadzało w zadziwienie i pociągało za sobą. Jednakowoż we właściwej jego działalności szkodziła mu jedna wada kapitalna: zbyttnia dla podwładnych wyrozumiałość, często przechodząca w słabość, a związana ze wspomnianym już niedość rozważnym doborem otoczenia, gdzie byli wprawdzie tacy współpracownicy doskonali, jak Fiszer albo Wielhorski, ale znaleźli się też tacy nieosobliwi, jak Kamieniecki albo Rautenstrauch. To mu szkodziło dotkliwie i w robocie i w opinii. Publiczność, i bez tego nienajlepiej dlań usposobiona była skłoną zwalać na niego winy podkomendnych, do czego zresztą w pewnej mierze niezawodnie miała prawo. Trzeba tu także pamiętać, że opinii ówczesnej bardzo trudno przychodziło zdobywać się na zupełną równowagę sądu. Ogół ludności po przebytych gwałtownych wstrząśnieniach jeszcze nawet nie miał sposobu zorientować się na-

leżycie w sytuacji. Samą Tylżę odczuto pierwotnie nie jako sukces, lecz jako cios; fragmentaryczne Księstwo — nie jako zdobycz lecz jako stratę. W tem nadspodziewanie skromnem rozwiązaniu dopatrywano się ukrytych machinacyi. Burzono się na fakt dokonany i jeszcze długo z nim się nie godzono. Dostrzegać się dawało silne wrzenie umysłów, wiele dające do myślenia, a zapewne z rozmaitych źródeł podsycane. Ostrożny Łubieński, Dyrektor wydziału sprawiedliwości, w tajnych swoich relacjach latem 1807 r. przestrzegał o rosnącym nieukontentowaniu i „szemraniach tak w wojsku jak w cywilności“. Jednocześnie rezydent francuski w Warszawie, Vincent, donosił o rozsiewanych po departamentach pogłoskach o nowej insurrekcyi celem zmasakrowania Francuzów i wyrażał przekonanie, że w Księstwie „jedyne stronnictwo, wymagające nadzoru, to stronnictwo rosyjskie, liczne i wzmacniające się z każdym dniem“. Niezadowolone i niepokój wyładowywały się we zdwojonej podejrzliwości a ta znów najchętniej kierowała się przeciw najwplywowszemu człowiekowi w rządzie, przeciw osobie ks. Józefa. Posądzano go o rzeczy najpotworniejsze a nawet najprzeciwniejsze. Wytykano mu zakulisowe z Talleyrandem intrygi u Napoleona. Oskarżano go zarazem, że utrzymuje tajne stosunki familijne za kordonem i że wedle ułożonego z góry planu stwarza sztuczne przeszkody do skonsolidowania przyszłości Księstwa. Raz zarzucano mu rozmyślną „indolencyę“ niedopuszczającą należytego podniesienia siły zbrojnej kraju; drugi raz rozmyślny zbytek militarizmu, prowadzący *ad absurdum* zubożone państewko. Zaufania do niego nie było, a stąd nie było przywiązania, nie było harmonii. Mściła się tu wszędzie przeszłość; teraźniejszość, zamiast goić, jątrzyła; tracił na tem kraj i tracił człowiek.

Przez dwa lata przeszło, w rozlicznem stopniowaniu, trwał ten stan utajonej scysyi pomiędzy głową siły zbrojnej a znacznym odłamem społeczności Księstwa. Trzeba było dopiero mocnego przesilenia, aby ten stan niezdrowy i krzywdzący przełamać, aby słuszną przywrócić harmonię, aby tę postać wspauiała ostatecznie z ogółem zjednoczyć, postawić w świetle właściwem i na miejscu jej przynależnem. Uczyniła to wojna z Austryą 1809 r. Rozpoczęła się ona pod wróżbą najfatalniejszą i dla Księstwa i dla Poniatowskiego. Księżę w pierwszej chwili dalekim był od przypuszczenia, aby burza wojenna, uderzająca w Napoleona, tak rychło i bezpośrednio przeciw niemu osobście miała się obrócić. Tak więc całkiem zmienacka został zaskoczony nagle wtargnięciem do Księstwa arcyksięcia Ferdynanda z kilkudziesięciotysięcznym korpusem austryackim. Świeża, dopiero

organizowana armia polska, osłabiona przez zaciągi do armii francuskiej, przeszło dwakroć słabsza od nieprzyjaciela, nie mogła obronić kraju ani Warszawy. Na kogo zwalić winę? Oczywiście na wodza. Przypomniano sobie, że on był wszak oficer austriacki, syn feldcechmistrza austriackiego, syn Austriaczki, sam Austryak. Głucha nieufność ogarniała stolicę, przenikała do armii, zatrutym oddechem otaczała każdy krok, każdy rozkaz ks. Józefa. On odpowiedział na to wszystko, wydając Austryakom, swoim dawnym towarzyszom broni, bitwę pod Raszynem. Silne musiały nim miotać uczucia, kiedy w lasku fałęckim pod Raszynem, z lulką w zębach, wzięwszy bagnet od szeregowca, prowadził osobiście w ogień pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty. To potykanie się nierówne z tak znacznie przemagającym przeciwnikiem mogłoby wydawać się nierozważną. A było ono własną, samorodną decyzją ks. Józefa, powziętą przez niego i wykonaną wbrew ostrzeżeniom, odbieranym nawet z nadzorczej strony francuskiej. Lecz ta odruchowa decyzja, raczej honoru niż rachuby, okazała się i pod względem praktyczno-wojskowym i moralno politycznym nie tylko natchnieniem pięknym, lecz, co ważniejsza, zbawiennem. Wojsko polskie utrzymało się w swojej pozycji, zdobyło świadomość swojej sprawności bojowej, zagarnęło ten impet, którego pozbawiło nieprzyjaciela. Ks. Józef mógł zawrzeć krótki rozejm na warunkach nader korzystnych przez zapewnienie neutralności Pragi, odstąpić od Warszawy z całym wojskiem i zapasami, zyskać tym sposobem nową podstawę operacyjną na prawym brzegu Wisły. Lecz jeszcze opinia nie oddawała mu sprawiedliwości. Jeszcze teraz, po Raszynie, opuszczając Warszawę, słyszał zewsząd okrzyki: „na szubienicę zdrajców, co nas nieprzyjacielowi wydali”. Łatwo sobie uzmysłować, co czuć musiał. Odpowiedział Warszawie dopiero po tygodniu, „raportem” z Zegrza, z dyskrecją o sobie, jak zazwyczaj, z pochwałą dla podkomendnych, z uboczną ledwo wzmianką o tamtym pierwszym batalionie, „przy boku moim będąc, prowadzonym przez oficera”, choć naprawdę przez niego samego. Odpowiedział wnet lepiej jeszcze, obracając marsz zdobywczy na Galicyę. Szczęśliwie wykonał tę niespodzianą dywersyę galicyjską, myśl bardzo śmiałą, nie własną wprawdzie, którą wszakże łatwiej było uplanować podkomendnym, aniżeli wodzowi urzeczywistnić, wziąć ją na swoje barki na nieobliczoną swoją odpowiedzialność. I w tem właśnie przyjęciu owej myśli i owej odpowiedzialności, była znakomita zasługa Poniatowskiego w jego niezwykle trudnem położeniu, nie tylko militarym, lecz przedewszystkiem politycznem. On musiał wtedy liczyć się z wieloma rzeczami, które jego sztab mógł pomijać: z polityką pol-

ską, rosyjską, nawet pruską Napoleona, związanego jeszcze nad Dunajem, dziś jeszcze nie wagramskiego zwycięzcy, jutro może zwyciężonego; musiał liczyć się z potężnym korpusem rosyjskim na tyłach, dziś sprzymierzeńcem, jutro może nieprzyjacielem; musiał liczyć się z losem kraju. W świetle tej wielorakiej odpowiedzialności nikną prawie wszystkie główne zarzuty wahania się i ociągania, czynione wyprawie galicyjskiej ks. Józefa, a występuje tem jaśniej jego zasługa fortunnego tej wyprawy obrotu i końca.

Kampania 1809 r., zdwajając niemal Księstwo, świeżą sławą okrywając młodą jego broń, oczyściła nareszcie atmosferę, sprostowała opinię, na prawdziwie naczelne w niej stanowisko wyniosła ks. Józefa. Nareszcie można go było kochać, jak się chciało. On to odczuł głęboko; tem żywiej, im bardziej przedtem cierpiał. To też tem bardziej obecnie, z drażliwością sobie właściwą, unikał na wszelki sposób objawów zewnętrznych tej odmiany. Kiedy stał w zdobytym Krakowie, otoczony uwielbieniem powszechnem, wtedy, trochę zapóźno, zgłosił się do niego z wizytą Kołłątaj, bardzo czujny na takie zwroty opinii,—ale nie był przyjęty. Kiedy później zwycięskie wojsko wracało do stolicy i skruszona, poczciwa, impulsywna Warszawa, pamiętna jak nielitościwie niedawno była żegnała ks. Józefa, zapragnęła z całego serca powetować mu to teraz tryumfalnem powitaniem, on rozmyślnie uchylił się od wjazdu, zostawił owacę wojsku, sam przeciągnął swój pobyt w Krakowie aż do końca roku, i choć bardzo go wtedy właśnie ciągnąć musiało do Warszawy, do kochanej osoby, do urodzonego w początku grudnia synka, jednak powrócił tu w najściślejszem *incognito*, jakby ukradkiem, dopiero w styczniu 1810 r. Dusza była razem wstydliva i dumna. Obchodziła się ona bez demonstracyi zewnętrznych; we własnej świadomości wewnętrznej odzyskanego z krajem moralnego zestroju, odzyskanego rządu dusz polskich, dostateczną odbierała nagrodę, nabywała nowego hartu i poletu na dalszą trudną służbę dla swoich. A tu służba gotowała się coraz trudniejsza i większa. A tu na tę duszę, czującą tak żywo, tak subtelnie, coraz cięższe waliło się brzemie, coraz twardziej cisnęło zwierające się spiżowe koło przeznaczenia.

V.

Już ery Napoleońskiej ostatnia następowała faza, już zbliżał się kres. Rok ledwo upłynął od ostatniej wojny austriackiej, a już zawisł w powietrzu nieskończone groźniejszy zatarg francusko-rosyjski. W naprężonym oczekiwaniu wyglądano nieuniknionego pojedynku między Napoleonem a Aleksandrem I. Cesarz rosyjski postanowił uprzedzić przeciwnika, śmiało cisnąć mu rękawicę, uderzyć na niego wiosną 1811 r. Chodziło o to, aby porwać za sobą Księstwo. W styczniu 1811 r., pismem własnoręcznym do Czartoryskiego Adama, otworzył się przed nim, żądając wysondowania w tym względzie mężów kierowniczych Księstwa. Czartoryski w pierwszych dniach lutego udał się do Warszawy, pokazał Poniatowskiemu odebrane pismo i przełożył mu życzenia i widoki cesarskie. Ks. Józef udzielił odpowiedzi przeczącej, o czem Czartoryski zaraz uwiadomił monarchę. Położenie Poniatowskiego w tej chwili było takie: Odebrał rewelację ściśle poufną. Ale ta rewelacja wagi najwyższej zapowiadała nieodwłoczny atak na powierzone mu Księstwo. Odkryć ją Napoleonowi znaczyło narazić doznaane zaufanie. Nie odkryć—znaczyło gubić armię i kraj. Musiał bardzo się męczyć. 18 lutego napisał do Napoleona. Przemilczał zupełnie o uczynionem odkryciu, unikał wszelkich pozytywnych szczegółów, jakie był wyczytał w piśmie cesarza Aleksandra, powoływał się jedynie na informacje ogólne, z różnych stron i źródeł wywiadowczych czerpane, o gotowości wojennej i widokach Rosyi: ale ostrzegał mocno i stanowczo, błagał o przedsięwzięcie naglących środków obrony przed blizką offensywą rosyjską; „honorem moim ręczę, — pisał—że taki plan offensywny w tej chwili istotnie zajmuje myśli Cesarza Aleksandra“. Ale Napoleon tego ogólnikowego ostrzeżenia nie wziął na seryo. Książę przeczekał kilka tygodni w niepokoju śmiertelnym. Posyłał ponawiane ostrzeżenia, oparte na wywiadach pogranicznych, zaprzyjaźnionemu marszałkowi Davout, wodzowi naczelnemu armii w Niemczech. Potem ostrzegał, ciągle w dyskretnych wyrazach ogólnych, swego monarchę, króla saskiego. Wszystko napróżno. Wreszcie, widząc, że mu nie wierzą, otworzył się przed Bigunem, nowym rezydentem francuskim w Warszawie, odkrył przed nim prawdziwą groźbę, w formie całkiem już pozytywnej i ścisłej, ciągle przecie i teraz przemilczając dyskretnie źródło, lecz oświadczając wręcz, że jestto rzecz tak

pewna, „jakby wyznanie pochodziło od samego cesarza Aleksandra.“ Później, w początku kwietnia, osobiście udał się do Paryża. To poskutkowało. Otworzyły się oczy Napoleonowi. Natychmiast zarządzone zostały olbrzymie zbrojenia. Sytuacja wywróciła się odrazu. Zaniechaną została tegoroczna ofensywa rosyjska; złuzowana przez przyszłoroczną francuską.

Ks. Józef zabawił w Paryżu do końca sierpnia 1811 r. Doznał dowodów łaski osobistej Napoleona. Jednak w rzeczy bardzo ważnej, a jak się wnet okazać miało, najważniejszej, nie znalazł posłuchu. Chodziło o plan przyszłej kampanii. Książę na ówczesnych konferencyach w Paryżu z cesarzem kładł nacisk na prowincje południowo-zachodnie, jako pierwszorzędną obiekt strategiczny; sam ofiarował się z całą armią Księstwa maszerować na Wołyń. Wyobrażał sobie widocznie z tej strony przedsięwzięcie analogiczne do poprzedniej wyprawy galicyjskiej. Ale ta myśl strategiczna, podobnie jak pokrewny plan generała Sokolnickiego, została odrzuconą przez cesarza. Wrócił książę do Warszawy w połowie września. Zaczęła się tutaj w tempie gorączkowem ogromna przygotowawcza robota przedwojenna. Odbywała się ona wśród warunków nader niepomysłnych przy zupełnem wyczerpaniu skarbu i kraju. Wyczerpywała zaś nietylko całą siłę roboczą, lecz i wytrzymałość moralną ks. Józefa. Wszak on musiał być nietylko organizatorem, lecz i egzekutorem; musiał ostatni dech wyciskać z ludności, brać na siebie główne *odium* za wymagane niepomierne wysiłki, słuchać z jednej strony gwałtownych, i na swój sposób zasadnych, żalów opozycyi burzliwego sejmu grudniowego w Warszawie, z drugiej—niecierpliwych, i na swój sposób zasadnych, monitów Napoleona z Paryża; i tak stać spokojnie, swoje robić, pomiędzy ruiną dobrobytu a koniecznością ocalenia publicznego. „Wyznaję,—pisał w tym okresie do Davouta—że jestem w stanie blizkim rozpaczki“; że w chwilach upadku radby usunąć się, dać pokój wszystkiemu. Ale czuł już dobrze, że to nadaremne, że mu tego nie wolno, że już nie do siebie należy. Uderzała w tym czasie wszystkich z nim obcujących głęboka zmiana, jakby przełamanie się w jego temperamentie, nastroju, wyrazie, spojrzeniu; gdzieś ulotniła się lekka, wesoła, niepożyta młodzieńczość ekspansywnej jego natury, wystąpiła natomiast jakaś obca mu dotychczas skupiona, zamysłona, smętna i smutna powaga. Dojrzał zupełnie, utożsamiał się zupełnie z rzeczą publiczną: już nosił na sobie wyciśnięte niewidzialne znamię jej wielkich a posępnych przeznaczeń.

Nastąpiła wiosna 1812 r. Kości zostały rzucone. W końcu marca odebrał ks. Józef dekret cesarski, powierzający mu dowództwo bo-

jowe nad armią Księstwa, jako V korpusem Wielkiej Armii. Natychmiast spisał testament własnoręcznie „na wypadek nagłego zgonu“ (*en cas de mort subite*). Przekazywał cały majątek prawej sukcesorce, siostrze, pani Tyszkiewiczowej; trzem synom swoim wydzielal skromne stosunkowo legaty po 10 i 15 tys. dukatów; tyleż pani Vauban; opatrywał swe sługi i przybliżone osoby; zapisywał 200 dukatów żebrakom, a 1,000 ubogim miasta Warszawy, wstydzającym się zebrać; darował włościom w swych dobrach wszelkie zaległości i pobrane awanse; konie i broń polecał rozłosować między oficerów; zostawiał „całemu wojsku najgorętsze dla wszystkich życzenia i dystrybucję zaległości moich gaży, aby dało sobie chwilę wesołą, pijąc raz jeszcze na moją intencję“. Poczem, po dwumiesięcznej jeszcze wysiłonej pracy mobilizacyjnej, w początku czerwca wyruszył w pole. Kampania napozór zapowiadała się świetnie; lecz naprawdę w samem połowicznym swoim założeniu była chybiona jako całość i spaczona zupełnie w szczegółach. Doznał tego odrazu ks. Józef oddany pod niezdarną komendę króla westfalskiego, dowódcy prawego skrzydła, a mając pod sobą z wojsk 90 tysięcznych, dostarczonych przez Księstwo, ułamek ledwo 30 tysięczny. Odpowiadało to owym założeniem połowicznym, z jakimi do tej wyprawy przystępował Napoleon, rezerwując sobie wolną rękę w sprawie polskiej i rozta-piając też z umysłu siły polskie w oceanie Wielkiej Armii. Skrupiły się wrychle na ks. Józefie oplakane stąd skutki, a zarazem spadły na niego tem ostrzejsze, im mniej zasłużone wymówki cesarza. Niedosć ufał jeszcze wtedy cesarz ani jego energii, ani nawet wyższej ponad wszelkie pokusy hartowności duszy. Jednak już pod Smoleńskiem, jakkolwiek spóźniony, doczekał się Poniatowski sprawiedliwszej oceny od Napoleona, i w końcu lipca, jako zakład przywróconego zaufania, wziął dowództwo prawego skrzydła po usuniętym królu Hieronimie. Powierzenie mu tak wysokiej i samodzielnej komendy marszałkowskiej był to zarazem dowód bardzo wybitny rzetelnego uznania dla jego talentów wodza, tego uznania, które później w pośmiertnych świadectwach Napoleona i Davouta tak zaszczytny znalazł wyraz. Tymczasem wraz z wyższą komendą coraz cięższe zadania spadały na Poniatowskiego. Odtąd w walkach morderczych w marszu na Moskwę topniały szybko słabe kadry jego korpusu, wszędzie w straży przedniej forsowane; niktęły jeszcze gwałtowniej w straszliwych przeprawach odwrotu, wysuwane dla osłony w straży tylnej. Z zakrwawionem sercem patrzył się stroskany książę na rzednące szeregi polskie, sam w najcięższych potrzebach obecny, zawsze w ogniu na czele. W odwrocie pod Wiazmą, w początku listopada, na rekonesansie padł z koniem w skoku, zwichnął nogę i stłukł kolano, krew

puściła mu się ustami; niemógł dosiąść konia; musiał oddać dowództwo Zajączkowi; jechał odtąd przodem karetą z rannym adjutantem, Arturem Potockim. Na Berezynę przybył w przededniu katastrofy, wyczerpany od udręczeń, zimna i głodu; dano mu parę gorących kartofli, jadł ze smakiem, ale i płakał, patrząc na nędzę żołnierza. Szczęśliwym tylko trafem, koło trzeciej w nocy przejechał przez most natłoczony. W Wilnie stanął z Polaków najpierwszy, zatrzymał się dla poczynienia najniezbędniejszych zarządzeń i dodania otuchy. W połowie grudnia stanął w Warszawie, gdzie za nim po dwóch tygodniach nadciągnęły przed Błachę pierwsze niedobitki V korpusu, paruset ledwo ludzi, lecz z artylerją i sztandarami: na ten widok załżał się łzami, słowa nie mógł przemówić. Ale nie było czasu do rozczuleń; opanować wypadło wrazenia; przyszło wyprężyć wolę. Po tak wysokiem wyładowaniu energii, trzeba było bez wytchnienia zdobyć się na wyższą. Po tak wielkiej, dopiero co przebytej próbie, bezpośrednio, bez chwili przerwy, nadeszła większa, największa w życiu ks. Józefa—przedśmiertna.

Zakończona tak fatalnie wyprawa moskiewska oznaczała dla Księstwa Warszawskiego katastrofę nie tylko militarną, lecz nade wszystko polityczną. Przegrany został jego byt. Co więcej — podważony odrazu w posadach cały duch publiczny kraju. Na widok niesłychanej porażki Napoleońskiej zachwiał się rząd Księstwa, zachwiałały najtęższe w nim głowy. Już ministrowie Matuszewicz i Mostowski dawali posłuch propozycjom tajemnym, przychodzącym z kwatery nieprzyjacielskiej. Już ludzie najbliżsi ks. Józefa, osobiści jego przyjaciele, jak wiceregimentarz Konfederacji warszawskiej, ks. Eustachy Sanguszko, naciskali na niego w tym samym duchu: zaprzestać beznadziejnej walki, pozostać spokojnie na miejscu i oddać się w ręce zwycięscy. Inna tymczasem z drugiej strony spadała klęska. Ks. Schwarzenberg, dowódca korpusu posiłkowego austriackiego, mającego osłaniać Warszawę, będąc w porozumieniu z nieprzyjacielem, cofał się za Wisłę i wydawał miasto. Wszystko jakby się sprzymysliło, wszystko pchało do opuszczenia rąk i rezygnacyi. Ale ks. Józef pozostał nieugięty zarówno wobec skrytej namowy, jak jawnego odstępstwa. Na osobistem widzeniu się z Schwarzenbergiem w szlachebnym gniewie zerwał z dawnym towarzyszem broni, rzucił mu w oczy hańbiącą prawdę, jak rękawicę, której tamten nie ważył się podnieść. Zarazem stawił się niespodzianie na sesji Rady ministrów i zażądał wycofania się rządu do Krakowa, skero skutkiem zdrady Austryaków bronić Warszawy nie ma sposobu. W początku lutego 1813 r. opuścił księżę nasze miasto po raz ostatni.

W Krakowie odtąd przez kilka miesięcy wiosennych prowadził gorączkowo organizację armii wśród warunków rozpaczliwych. Był tutaj osaczony przez Austryaków, gotujących się do zrzucenia maski, do złączenia się z koalicją. Był już napierany przez zbliżającego się nieprzyjaciela. Co gorsza, był ciągle męczony przez swoich. Co najgorsza, był rozdzierany przez myśl własną, zapędzoną w położenie bez wyjścia, trzepocącą się, jak ptak ranny w sieci, w tym okrutnym dylemacie: pomiędzy przymusem okoliczności, osłoniętym, ukwieconym przez pozory dobra publicznego, i wlokącym na szerokie, gładkie tory kompromisu, a pomiędzy twardem przykazaniem obowiązku, zaćmionem przez pozory uporczywości samobójczej, lecz wiodącym naprawdę przepaścistą, śmiertelną ścieżyną do istotnych przeznaczeń przyszłości. Ludzie najgodniejsi, równej cnoty, a nawet wyższej od Poniatowskiego rozważli i doświadczenia, w pierwszym obrócili się kierunku i tędy jego pociągali za sobą. Czartoryski Adam nasyłał mu do Krakowa wymownych pośredników, radcę stanu Linowskiego, prokuratora Szaniawskiego i innych, aby przekonać go i zatrzymać. W marcu przywieziono mu do Krakowa dla okazania, własnoręczne pismo monarchy do Czartoryskiego, gdzie była rada „pozostać spokojnie w Warszawie“ i zapewnienie dość ogólnikowe: „nie będą tego żalowali“. Widziano w tem jedyną deskę ratunku. Nie pojmowano, że tą drogą nie uratowanoby niczego; że nie tylko nie zabezpieczonoby tym sposobem interesów Polski, ale nawet w gruncie rzeczy istotnych interesów Rosyi, bo pracowanoby naprawdę jedynie *pour le roi de Prusse*; że podobnie tą samą drogą i temi samymi sposoby nie ocalał się bynajmniej Sasi, którzy trwożliwą chwiejność swego króla i dezercję wojsk swoich na polu bitwy, koniec końcem opłacą utratą połowy Saksonii do Prus. Nie wiedziano, że, równocześnie z propozycjami pod adresem Poniatowskiego, szły tajne rokowania z Austryakami o przymusowe rozbrojenie wojska polskiego, że brane były pod uwagę nie tylko odnowicielskie, lecz wprost aneksyjne projekty Prusaków, powrót do pogorszonych jeszcze zasad trzeciego podziału, mordercze zalecenia i pożądanja Knesebecka i Steina, cesya na rzecz Prus linii Wisły i Narwi t. j. dzisiejszych północno-zachodnich gubernii Królestwa, jednym słowem ewentualności najzgubniejsze. Nie wiedział i Poniatowski, ale szlachetnym instynktem odgadywał zgubę tam, gdzie naokoło niego szukano zbawienia. Wzdrygał się na podsuwaną mu coraz natarczywiej myśl pertraktacyi. Wszystko, na co się zdobył, było że wyczekiwał. Ale kiedy, w ostatniej jeszcze chwili, podsunięto mu propozycje generała Sackena: rozbrojenie i rozproszenie wojska, on obruszył się gwałtownie. W końcu kwietnia wy-

stawiony był na nową przykrą próbę. Otrzymał serdeczne pismo od starego przyjaciela, ks. Antoniego Radziwiłła, który prosił go o prywatne widzenie się za miastem. Nie domyślając się o co chodzi, a nie mogąc wyjechać na jego spotkanie, Poniatowski dość nieostrożnie zaprosił go do Krakowa. Radziwiłł od dworu pruskiego przybywszy nie z osobistych oczywiście powodów lecz z misją polityczną, był zaraz u Stanisława Potockiego prezesa rządu Księstwa, widział się z Zamoyskim wiceprezesem Konfederacyi, z ministrem Mostowskim, namawiał wszystkich usilnie do porzucenia przegranej sprawy Napoleońskiej dla uratowania krajowej, łatwo przekonał przekonanych:—lecz od ks. Józefa o którego głównie chodziło, otrzymał zupełną i stanowczą odmowę. Wynikły stąd w dodatku nieprzyjemne dla księcia skutki, gdyż rezydent francuski, Bignon, wywiedziawszy się o czynnościach Radziwiłła, przystawił mu żandarmów do mieszkania i natychmiast na sesji rządu upomniał się o uwięzienie go; ale wdał się w to ks. Józef, „z właściwą sobie szlachetną lojalnością“ — jak donosił Bignon cesarzowi — całą winę wziął na siebie, na nieostrożne swoje zaprosiny, i uwolnienie Radziwiłła uzyskał. Mylili się zupełnie i Czartoryski i Radziwiłł, kiedy teraz w 1813 r., przemawiali do Poniatowskiego głosem z 1805 i 1806 r.: do innego już teraz przemawiali człowieka.

Tymczasem z dniem każdym rósł nacisk moralny. Robiła się pustka dokoła ks. Józefa. Usuwali się jeden po drugim ludzie mu najbliżsi: podał się do dymisji wiceregimentarz Eustachy Sanguszko, opuścił szeregi pod jego wpływem generał Kniaziewicz, ustąpił pod wpływem brata pułkownik Konstancy Czartoryski, oddalili się Zamoyski i Mostowski, za tym przykładem wnet pójdą tacy nawet, jak Chłopicki albo Chłapowski. Można sobie wyobrazić, jakie chwile przeżywał wtedy ks. Józef w kwaterze głównej w Krzeszowicach pod „tańczącym Krakowem“. To nie była sytuacja tak prosta, jak ongi w Kurowie w 1792 r. I wtedy było ciężko, ale to była zabawka w porównaniu z położeniem obecnem. Wtedy wypadło wybierać między Stanisławem-Augustem i Targowicą z jednej strony, a całym narodem z drugiej: prosty wybór dla Poniatowskiego. Teraz wypadło pójść prawie w pojedynkę z garścią żołnierza, zerwać prawie ze wszystkimi najlepszej woli przewodnikami narodu, ze znakomitą większością społeczeństwa. W tem była tragedia. Dodać jeszcze na dobitkę potrzeba, że książę był pozostawiony bez wskazówek od swego monarchy, króla saskiego, który wtedy w Wiedniu już układał się o kapitulacyę, o przymusowe wydanie Księstwa, byle wyratować Saksonię, zagrożoną przez łakome ręce pruskie. Był bez rozkazów od Napo-

leona, którego nie opuszczała jeszcze myśl odnalezienia drogi porozumienia z cesarzem Aleksandrem, bodaj przez negocyacyę o Księstwo. Nie wiedział nawet, czy Napoleon nie weźmie mu za złe opuszczenia Krakowa i zaniechania stąd dywersyi offensywnej przeciw koncentracji wojsk koalicyjnych. Szarpał się w tym labiryncie sprzecznych wskazań obywatelskich, politycznych, militarych. W jego listach z tych dni fatalnych z końca kwietnia i początku maja 1813 r. znać dobrze to szarpanie się i mękę. Ale w tych listach, wśród wszystkich wątpliń, ciągle, co parę wierszy, wracają, jak busola, te dwa wyrazy: „honor“ i „sumienie,“ *honneur, conscience*. Zdecydował się ostatecznie w początku maja wyjść z Krakowa i ruszyć do Saksonii do Wielkiej Armii. Rankiem dnia wymarszu przybiegł do niego Linowski z ostatnią namową. Zastał go w łóżku. Wymownie jął mu przedstawiać, że gubi siebie i kraj. Księżę słuchał cierpliwie, w końcu wskazał leżącą przy łóżku broń nabitą. „Widzisz — rzekł — te pistolety? Dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem w łeb sobie strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinacyę, nie odstąpię Napoleona“. Determinacya ta wielka, jak przedtem mniejsza raszyńska, — to była osobista, samorodna własność Poniatowskiego, nie wymędrkowana, ale wyczuta, wynikająca z samej głębi jego natury, z koniecznością nieodpartą, z wewnętrzną koniecznością psychiczną, wyższą ponad wszelki nakaz okoliczności fizycznych. Jego piękna i wysoka, a dotychczas nieraz chwiejna i pospolitująca się dusza, już w tym punkcie dochodząc swego szczytu i kresu, zgoła już oczyszczona od wszelkich lichszych przymieszek, jakgdyby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnem ciśnieniem dziejowem, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastku, doszła tem samem do zupełnego, doskonałego utożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dlatego to właśnie w tym instynktownym odruchu woli był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Rycerz bez skazy był czemś więcej jeszcze, stawał się najpierwszym w tej chwili obywatelem, który z powszechnej ruiny siły materialnej wynosił ocaloną siłę moralną, tę, koniec końcem, najwaleńszą, najrealniejszą potęgę. I tak stało się, że koniec końcem nietylko trzeźwiejsza rachuba statystów polskich, ile całopalne postanowienie polskiego wodza, rzuciło realną podwalinę pod Królestwo Kongresowe.

Powoli wybierał się Poniatowski z kraju, jak gdyby dobrze czuł, że go nie ujrzy już nigdy. Wstrzymał się jeszcze w pochodzie na

rozkaz Napoleona, złudzonego dwulicową postawą austriackiego cesarza a teścia; wnet, gdy złudzenia się rozwiały, pomaszerował w polowie maja przez Szląsk i Czechy do Saksonii. Uciążliwy i niebezpieczny był ten przemarsz wół bezbronnych, gdyż broń szła na wozach za piechotą, jazda tylko mogła zostać przy pałaszach; utrudniony nadto złą wolą Austriaków, odmową żywności, namową do dezercyi. Nie obeszło się też bez przykrych stąd skutków w szeregach, dokąd zresztą nie mogło nie przeniknąć szkodliwe echo tamtych u góry zartarów i odstępstw: i poniekąd na podobieństwo onego przebitego żołnierza z kampanii ukraińskiej przed dwudziestu laty, wypadło obecnie w marszu na kampanię saską po drodze paru rozstrzelać dezertersów. Wtedy też, w drodze przez Czechy, wstąpił książę na godzin kilka do Pragi, pożegnać miejsce zabaw dziecińczych, idąc teraz na śmierć. Przybycie jego do Saksonii było tyleż pociechą i posiłkiem, co niespodzianką dla Napoleona. Cesarz bardzo na to nie liczył. On już nawet, w przewidywaniu dezercyi Poniatowskiego, był tworzył dla przeciwwagi drugi korpus polski nad Renem pod Dąbrowskim. Tem serdeczniej obecnie księcia powitał. Odtąd dopiero naprawdę poznał go wedle zasług i spełna ocenił. Wtedy to musiał ostatecznie wyrobić sobie o nim to zdanie, z którem później wynurzy się na Św. Helenie: „Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty: a jednak on zmilczał“ — *il s'est tu*. Milczał, nie upominał się książę, bo nie po nagrodę on przychodził, ale po swój obowiązek. Zaraz przecie postarał się Napoleon zaznaczyć swoją wdzięczność: dekretem z końca czerwca 1813 r. w nowej organizacji przywiedzionego mu wojska polskiego, jako VIII korpusu armii francuskiej, wyznaczył ks. Józefowi, jako wodzowi tego korpusu, „tę samą rangę co marszałkom“ Francyi. Odtąd aż do samego końca utrzymywał z nim wprost ożywioną korespondencyę bezpośrednią; w sierpniu rozważał piękny memoriał Bignona o Polsce, niezawodnie z jego natchnienia. Tymczasem korpus polski krótkiego tylko, na schyłku lata, zażywał spoczynku. Z początkiem jesieni znów stanął ks. Józef, jak zwykle, na najbardziej narażonym posterunku. Bronił najpierw, w straży przedniej, wawozów czeskich przeciw świeżym masom wojsk austriackich, debuszującym do Saksonii; następnie, pod koniec września i początek października, w ustawicznych, coraz ostrzejszych, a przeważnie pomyślnych utarczkach, wstrzymywał ich pochód w aryergardzie, odstępując krok za krokiem, a po kilkakroć nagłym naprzód rzutem boleśnie zarywając przeciwnika i utrzymując go w respekcie. W takiej postawie zwolna ściągnął na Lipsk.

Tutaj, pod Lipskiem, zamykała się nareszcie żelazna obręcz koalicyjna dokoła opuszczonego przez swoją gwiazdę Napoleona; tutaj miały zdecydować się losy świata w wielkiej bitwie narodów. Poniatowski ze swoim korpusem stanął na prawem, południowem skrzydle bojowego półkola, zatoczonego przez osaczoną armię francuską, oparty o błotniste łożyska Pleissy i Elstery, a narażony na najgroźniejsze uderzenie nadciągającej od Czech dwójcesarskiej potęgi. Już 12 października w forpocztowym starciu, sam szarżując na czele pułku trzeciego ułanów został lekko ranny w rękę piką. W przededniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, 15 października zrana, przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armii, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francji. W biuletynie z tegoż dnia wyrażone zostało, iż księżę dotychczas „we wszystkich bitwach okrył się chwałą”. Wojsko wystąpiło pod broń dla wysłuchania rozkazu dziennego o nominacji; wszystkie sztaby, złożone w deputacyi, stawily się przed księciem, by powinszować mu buławy marszałkowskiej, niebywałego dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu. Czemże jednak dla niego w takiej chwili mógł być zaszczyt podobny? Przyjął łaskę cesarską z powinną wdzięcznością, lecz zresztą z obojętnością zupełną. W piśmie i raportach z kilku następnych, policzonych już dni życia, podobnemu podpisywał się po prostu: generał - wódz naczelny korpusu VIII-go. Zaraz nazajutrz, 16 października, wystawiony był na straszliwą próbę ogniową, i zniósł ją z nieporuszonym spokojem, wyszedł z niej bez drgnięcia, z nadspodziewanym nawet sukcesem. W nierównych całodziennych zapasach, pod naporem ataków frontowych, ponawianych od świtu do wieczora głównie ze strony Austryaków nie ustąpił ani na piędź, utrzymał się na stanowisku, generała austriackiego wziął do niewoli. Ale straty poniósł znaczne, tem dotkliwsze wobec liczebnej przeciwnika przewagi, i sam został ranny kulą karabinową. D. 17 października był dniem spoczynku. Z tego dnia mamy jeszcze zachowane ostatnie pismo księcia, z pola bitwy, raport o sukcesie wczorajszym, proste, ścisłe, cechowane spokojną przedśmiertną powagą: „nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi tereenu, ... wojsko okazało zapał i wytrzymałość, godne podziwu“, ale — dodaje — straciłem $\frac{1}{3}$ ludzi i nie mam amunicyi. Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znow w walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze broniąc klucza swojej pozycyi, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataliony dywizyi Izydora Krasińskiego. Utrzymał się raz jeszcze na eksponowa-

nym niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadsięgnęły świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotta. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się wręcz beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejże nocy ten odwrót fatalny, utrudniony nadzwyczajnie przez samą konfigurację okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wązką, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których płytkie zwykle wody, teraz podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem. Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armii, artylerya, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, trzymali Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzieniegdzie, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających się salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11-ej zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagie został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasyerów i Krakusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz, owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odciętego odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „trzeba umrzeć mężnie“ (*il fait mourir en brave*). Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydo był na brzeg przeciwny. Ruszył księżę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyralierką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; ślaniając się, padł

w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiały się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem, na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się raptem sił ostatkami i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w plecy, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak żył i umarł Józef ks. Poniatowski.

SZYMON ASKENAZY.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXIV.

I nadszedł świt.

A był przejasny, przeróżowy, tak świeży, że jego tchnienia aż piersi człowieka ostrością dziwną przejmowały.

I wszystko w kryształ się zmieniało tak, jakby olbrzymia kropla rosy tęczowej objęła całą ziemię przeczystością swoją.

Anka całą noc prawie przeklęczała na ziemi wpatrzona w ojca, wsłuchana w szalejącą i powoli konającą burzę.

Zagrodzki z martwoty, w jaką zapadł, przeszedł w sen ciężki—graniczący jakby z agonją i we śnie tym widocznie przeżywał wrażenia dnia, bo straszny, tępy ból wykrzywił mu pobladłą twarz.

Anka powstała z klęczek i do okna podeszła.

Otworzyła je na rozcież i świergot ptasząt ukrytych w krzakach skweru wpadł do wnętrza redakcyi z nieśmiałą naiwnością czekających u progu, wieszających imieniem—dzieci.

Ta trocha zieleni, te akacye delikatnymi bukietami okalające basen, ta jasna trawa błyszcząca i jakby świeżo po deszczu wyrosła—przejęły Ankę uczuciem ulgi. Pragnęła z całej duszy iść w tę trawę, zmoczyć ręce w niej i myć oczy—twarz rozpaloną. Spojrzała na bruk uliczny.

Trochę podartych afiszy, dwa kije, kilka kamieni—oto wszystko, co pozostało po wczorajszej przeciw jej ojcu demonstracyi. Ci, którzy najgłośniej krzyczeli i gwizdali, w tej chwili wytrzeźwieni i najzupełniej obojętni—budzili się, witając z radością słońce, zdro-

¹⁾ Patrz zeszyt wrzesniowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455.

wie własne i niespożyta siłę. Zdumieni, z niedowierzaniem przyjęliby wiadomość, że tam w redakcyi leży w tej chwili starzec z taką raną w sercu i z duszą tak zmiażdżoną—iż ta dziewczyna, której słonce łyzy oczów wyżera, lęka się i trwoży wyrwać go z bolesnego półsnu—wiedząc, iż ta agonja jest jeszcze dla niego znośniejsza niż jawa, nie mająca ani litości, ani przebaczenia.

Ci, którzy gwizdali wczoraj, ten, który rzucając kamienie rozuzdał się w krzyku: „hamaj kiciu“—albo chrapali w gorącej pościeli, albo zabierali się do porannego posiłku z tym apetytem, który cechuje czyste i spełniające swe obowiązki sumienia.

Jakaś dorożka zabląkana przejeżdżała powoli. Anka zatrzymała ją gestem. Dorożka stanęła. Anka pragnęła usunąć z redakcyi ojca zanim ktoś się zjawi w środkowym pokoju. W przyległych słyhać było ruch i kroki nocnego redaktora, układającego z metrampażem poranne wydanie dziennika.

Delikatnie, jak dziecko chore, Anka zbudziła ojca. Gdy otworzył oczy—leżał długą chwilę, jakby z trudnością przypominał sobie wypadki dni ostatnich. Wreszcie zwlókł się z szezlongu—podjął cylinder, laskę i drząc, zataczając się jak pijany, skierował się ku wyjściu.

— Chodźmy!

Wyszli oboje—ona podtrzymując go—równie blada, z oczyma zapadłemi. Podobieństwo ich dopiero w tem zmizernieniu występowało z ogromną siłą. Gdy wysiadali z dorożki przed hotelem, Anka płacąc dorożkarzowi dostrzegła, że ten miał na piersi błękitną kokardę, zmiętą, zbrukaną—widocznie zapomnianą z dnia wczorajszego.

Ten drobny szczegół przejął ją wielkim bólem. Znak porażki jej ojca obłany wódką i posypany pyłem ulicznym, był jakby widmem pogrobowem, które mignęło przed jej oczyma.

Ojciec jej wszedł już do swego pokoju i tam z pomocą kelnera położył się do łóżka. Gdy Anka weszła, leżał już woskowo bładny na białem tle poduszek. Odmówił wypicia herbaty nieznacznym ruchem rąk. Anka krzątała się przez chwilę, poczem usiadła przy stole i oparłszy głowę na rękach, zdrętwiała w półsennem majaczeniu. Obudził ją chrapliwy głos.

— Proszę panil...

Spojrzała.

Przed nią stał Wierciak, straszny, niewyspany, z okiem podbitem, z rozdartym rękawem. Wiało od niego piwnicznym smrodem, wódką i tanim tytoniem.

— Proszę panil!

— Odejdźcie... czego chcecie?...

— Jakto czego?... pani wie... należy mi się za agitację. Moi ludzie czekają.

— Ja nic o tem nie wiem.

— A któż ma wiedzieć?

— Ojciec... gdy wyzdrowieje. Widzicie przecież, że leży chory.

Ręką wskazała na łóżko, na którym leżał Zagrodzki—prawie martwy, tak wycieńczony, z oczyma zamkniętymi.

Wierciak ramionami wzruszył.

— E... gadanie!... ja też jestem chory... Wczoraj mi boki sprali, a i ślepie mało nie wylupili i to za moją robotę dla pana redaktora. Ja muszę być zapłacony i moi ludzie także... Ankę ogarnął wstręt i jakaś nieokreślona rozpacz nad nędzą tego położenia.

— Ileż się wam należy?

Wierciak głową pokazał w stronę łóżka.

— On wie... bo się godził...

— Ależ ojciec chory!

— E! to zawsze tak panowie chorują po wyborach. Jak się im nie uda, to chorują... co nam do tego! My swoją robotę czysto odrobili. A że i pan Zagrodzki klapnął, to już jego rzecz i jego partyi.

Stawał się zuchwały. Patrzył Ance prosto w twarz w tak dziwny sposób, iż zdawało się jej, że te spojrzenia oblewają ją całymi potokami rozpalonego błota. Podnosił głos i posuwał się do łóżka widocznie w celu zbudzenia Zagrodzkiego. Anka literalnie traciła głowę.

— Proszę stąd wyjść... ja to sama z panem załatwię... proszę iść...

Zdobyła się na energię.

-- Inaczej nic pan nie dostaniesz.

Skrzywił się i przymrużył oko.

— To jeszczebyśmy o tem pogadali!—roześmiał się—znam ja takie redakcyje, gdzie chętnie całą sprawę opublikują, a wtedy źle będzie z pani Tatusiem!

Lecz ku drzwiom się cofał.

— Ja na dole poczekam. Moi ludzie stoją na rogu. Oni muszą być zapłacony...

Otworzył drzwi.

Wyszedł.

Gdy zamknęły się drzwi, Zagrodzki od poduszek głowę dźwignął.

— Anka!... szepnął strwożonym głosem.

Anka przybiegła do łóżka i pochyliła się nad ojcem.

— Powiedz mu... niech idzie do Redakcyi... To oni zobowiązali się koszta ponosić... Tam... dziś będą wypłacać...

Zamknął znów oczy i zwrócił się ku ścianie. Widocznie słyszał wszystko, lecz bał się spojrzeć w oczy swej wyborczej hyenie.

Anka włożyła kapelusz i kierowała się ku wyjściu.

Cichy szept Zagrodzkiego przywołał ją znów do łóżka.

— Zamknij ty mnie na klucz... niech tu nikt nie wchodzi... on znów może przyjść... ja nie chcę... boję się...

— Uspokój się ojcze. Zamknę drzwi i klucz wezmę, a na dole nie pozwolę, aby do ciebie kogokolwiek wpuszczali.

— Tak... tak... a... słuchaj...

Próbował usiąść na łóżku, lecz nie miał sił.

— Daj mi teczkę, atrament, papier... Napiszę artykuł wstępny... Powiedz im... będą mieli na jedenastą... najpóźniej.

— Nie pisz ojcze... odpocznij.

— Nie—nie. Wrogi się będą cieszyć. Pomyślą, że już po mnie... Nie trzeba się dać!...

Lecz oczy przygasłe przeczyły słowom.

— Ja jeszcze...

Nie dokończył. Opadł na poduszki. Ręce jego zaczęły wykonywać w powietrzu jakąś seryę nieokreślonych ruchów, które Ankę przejęły trwogą.

— Ojcze!.. ojcze!.. co tobie!..

Lecz zapadł w milczenie i pół sen.

Anka wyszła z numeru, zamknęła drzwi i zabrała klucz ze sobą. W bramie rozmówiła się z portyerem i zbliżyła się do czekającego na nią Wierciaka. Pod badawczym wzrokiem portyera musiała się wdać w rozmowę z tym dwuznacznym człowiekiem, i duma jej czystej istoty ogromnie na tem cierpiała.

— Proszę iść do Redakcyi—wyrzekła nie patrząc w tę straszną opuchłą twarz— „ja tam zaraz przyjdę”. Nie miała mu odwagi powiedzieć, że Redakcyja ma mu wypłacić pieniądze.

Lękała się, że zaprotestuje, że nie zechce odejść i wywoła zbiegowisko i skandal.

Nie czekała na jego odpowiedź.

Wybiegła z bramy i iść zaczęła szybko w stronę redakcyi. Ogarniała ją gorączka. Porywała ją tęsknota do cichego kąta, w którym był zamknięty jej świat własny—tak różny od tego, w którym obecnie istnieć musiała. Lecz siła faktów rwała ją naprzód. Łańcuch przeznaczeń jej i tych wszystkich innych spełnić się musiał.

Doszedłszy do Redakcyi—przystanąła na chwilę.

Na chodniku roilo się od tego rodzaju indywiduów, jak Wierciak i jego adherenci. Z ulic pobocznych ściągali inni—z rękami w kieszeniach, wlokąc nogi, grzejąc się w słońcu charakterystycznym ruchem ludzi, wprawionych do bezczynności zupełnej. Szli, nie śpiesząc się—rozmawiając ze sobą ochryplemi głosami, śmiejąc się cynicznie. Wszyscy dążyli ku redakcyi, niektórzy już byli pijani—niektórzy nie byli jeszcze trzeźwi. Było to straszne zbiorowisko mętów miejskich, ten grzech i hańba miasta—to nieokreślone a takie silne podłoże najgłębszych warstw, na których wznosił się fałszywy dobrobyt i tandetna kultura pojedynczych jednostek. W ten ranek powyboreczy ciągnęli jak do żłobu tam, gdzie wiedzieli, iż wobec ich groźnej postawy nie będą śmieli im odmówić zapłaty, za ich problematyczną pomoc w szaleństwie politycznej pychy. Schodzili się jakby na schadzkę, a pomiędzy nimi tu i owdzie kręciły się kobiety—żony, kochanki, czyhające na wydarcie im tych pieniędzy, które oni za chwilę chytrąścią i zuchwalstwem innym wydrzeć zdołają.

W jasności słonecznych promieni, i krystalicznej czystości poranku—odzienia ich zdały się być pokryte pleśnią zebraną ze ścian nor, w których mieszkali. Twarze ich miały niemal jeden i ten sam typ, a wyraz tych twarzy cały koncentrował się w ukrytej jakby sile poza widocznymi oznakami wycieńczenia i anemii.

Pomiędzy stojącymi przed bramą dostrzegła Anka Piotruškę. Była olśniewająco biała tą kredową białością złotych blondynek. Tylko na policzkach wykwitły jej dwie plamy gorączkowych rumieńców. Z włosów jej spadła chustka. Piotruška wspierając się na palce starała się zajrzeć do wnętrza bramy. Lecz tłum, cisnący się nie dozwalał jej zobaczyć nikogo. Nagle spostrzegła Ankę. Szybko rozpychając łokciami rzuciła się do niej.

— Pani nie wie gdzie on jest?—zapytała.

— Kto?

— No, Wierciak. Czekam na niego od wczoraj. Teraz już nie śmie do mnie tak mówić, jak dawniej, ale to jeszcze nic... ja z nim za to włóczenie się—inaczej skończę...

— Wierciak idzie tutaj. Będzie za chwilę.

— A... to dobrze!

Zacięła usta. Podniosła hardo głowę. Coś w niej było innego, jakby zbudzonego, ale zarazem nienaturalnego.

Z okien grzeszny sekretarz—spocony, z krawatką przekręconą, dostrzegł Ankę.

— Proszę... niech Pani wejdzie przez drukarnię. Rozstąpcie się... moi panowie i proszę! zróbcie miejsce dla tej damy...

Wychylił się, składał ręce. Tłum, ujęty jego grzecznością i urodą Anki, rozstępował się mimowoli. Lecz zaraz po przejściu zamykał się i Anka znalazła się przez kilka chwil w środku tego wału ciał ludzkich, które zionęły cuchnącą wonią brudu, potu i alkoholu.

Zebrała całą siłę woli i dostała się do małych drzwiczek, prowadzących do drukarni. Chciała je za sobą zatrzasnąć, ale tłum zaczął się tłoczyć, chcąc wtargnąć do środka. Zecerzy rzucili się od kaszt, aby bronić wstępu.

Pod sklepieniem bramy aż huczało od rozpasanych głosów. Po krótkiej walce wyrzucono kilka „hyen“ za drzwi drukarni i drzwi zamknięto.

Anka z porwaną suknią i rozerwanym rękawem weszła do redakcyi, lecz na progu cofnęła się, nie wiedząc dokąd ma wejść, aby czuć się bezpieczną.

Wązki przedpokój wypełniony był doszczętnie masą „Wierciaków.“ Tak samo i dwa pokoje redakcyjne. W środkowym, największym, z biurków i stołów członkowie redakcyi urządzili sobie rodzaj przegrody i schronili się po za nią, broniąc silnie swych stanowisk, mocno naporem tłumu zagrożonych.

Z po za tej zagrody odbywała się rozpląta dziwna, bo niczem nie kontrolowana, rozpląta upokarzająca i demoralizująca zionąca. Cały las rąk wyciągniętych, rąk urągających pysze, wyzyskujących sytuację, rąk groźnych i grożących w razie odmowy.

Naczelny redaktor, człowiek ciężko chory i znużony, usiłował zaprowadzić jakąś kontrolę. Co chwila powtarzał:

— Kto pan jesteś? czego chcesz? nie znam was wcale.

Lecz zaraz podnosił się chór groźnych głosów. Widocznie cały tłum zobowiązał się działać solidarnie. W miarę zmniejszających się kwot, podniecenie i zuchwałstwo rosło. Każda z „hyen“ twierdziła, iż położyła specjalne zasługi przy naganianiu wyborców.

— Ależ nic nie robiliście! — wrzasnęła wreszcie redaktor. — Przecież przegraliśmy przez was...

Na te słowa rozległ się wrzask protestu tak straszliwy, iż sekretarz zaczął czempredziej zamykać okna od ulicy. Powietrze przez to stało się niemożliwe do zniesienia. Odór łachmanów, wódki, źle utrzymanych ciał — wypełnił powietrze. Gorąco było piekielne. Za biurkami współpracownicy z trudnością oddychali. Z czoła redaktora spływały grube krople potu. Sekretarz zwrócił się ku Ance:

— Pani do nas?...

— Od ojca.

— A...

— Kazał mi powiedzieć, że wstępny artykuł będzie gotów na jedenastą.

Zbliżył się redaktor drżący, zdenerwowany.

— Pan Zagrodzki zawsze wtedy, gdy chwila najgorętsza, zwłóczy... My musimy skontrolować, co napisze... Proszę pani powiedzieć, że my musimy wcześniej otrzymać artykuł.

— Ojciec chory...

— I ja jestem chory, mam czterdzieści stopni gorączki, a mimo to stoję tu na stanowisku i ponoszę konsekwencje porażki.

Anka chciała powiedzieć o Wierciaku i jego pretensjach, ale porwał ją lęk wobec tej mowy redaktora, urywanej, pełnej gniewu i maskowanego żalu.

Nagle od drzwi powstał jeszcze większy hałas i wrzawa. Pierwsze szeregi, pchnięte całą siłą, wpadły na przegrodę biurka i stołów, posuwając je prawie do ściany. Cały skład redakcji wraz z Anką został w ten sposób niejako przygwożdżony do ścian kantami stołów. Anka zadrżała, widząc wtargającą przez drzwi gromadę Wierciaka z nim samym na czele. Wierciak szedł spokojnie, rozpychając tłum łokciami, jak to niedawno czyniła Piotruska.

Silny był i straszny — ten i ów próbował mu stawić czoło, lecz on chwycił za kołnierz i usuwał z drogi.

Szedł prosto ku zgniecionym przy ścianie członkom redakcji.

— A ze mną i z moimi to co? — zapytał, stając tuż przed redaktorem.

— Idźcie do dyabła!... Nic już nie mamy. Komitet wszystko rozdał.

— Całuj psa... w nos... z twoim komitetem! Ja za darmo robić nie będę... Ta co? ta słyszane to rzeczy? Tamten się powalił w bety, a ci mówią, że rozdali...

— Wy wzięliście naprzód.

Dokoła rozległ się szmer.

— Com wziął?... com wziął?... dla muchy na piwo nie starczy... To ze mną tak nie będzie... Ja i moi nie damy się zbyć psim śwędem. Co?...

Jak przed burzą zabuczało w gromadzie Wierciaka.

— Tak... tak... nie damy się!...

Pchnęli się naprzód. Jedno biurko przewróciło się. Wpadli na niego i złomotali je butami.

— Płaćcie! Płaćcie!...

— A, o!... Panna, co obiecała, że w redakcyi zapłacił... — wrzasnął Wierciak.

Był tak blisko Anki, że dotykał prawie jej piersi wyciągniętą ręką.

— Ta pani nie miała prawa nic obiecywać!... — krzyczał rozpaczliwie redaktor. — Ta pani nie należy do redakcyi!...

— Nam nic do tego!

— Płaćcie!...

I znów pchnęli się całą masą naprzód.

Powstał krzyk straszny.

Na ziemię, jak martwy, z wyczerpania i zdenerwowania osunął się omdlały redaktor. Upadł prawie pod stopy Anki.

Dziewczyzna w tej chwili rzuciła się ku niemu i zasłaniając go, podnosić zaczęła jego bezwładną głowę.

— Wody! Wody!

Sekretarz rzucił się z zaciśniętymi pięściami w środek tłumu.

— Precz! precz! Zabiliście redaktora!

Ten grzeczny i wytworny chłopak znalazł w nerwach swoich całą moc siły i energii.

W tłumie powstała panika.

To słowo: „zabili“ — podziałało magicznie.

Kryminał! Zbrodnia!

Nikt w tem nie chciał brać udziału.

I rozpoczął się odwrót — pełen scen strasznych, zwierzęcych, bo tratowano się wzajemnie, pragnąc jak najwcześniej wydobyć się z lokalu redakcyjnego.

W przeciągu kilku minut lokal opustoszał od „hyen.“ Z bramy, z ulicy rozbiegały się całe grupy, uciekając przed ewentualnem najeźdźcą policji.

Sekretarz rzucił się do zamykania drzwi, a otwierania okien.

Anka wraz z innymi współpracownikami trzeźwiła redaktora, którego złożono na sofie.

Powoli przychodził do przytomności. Wzrok jednak miał przysłabły i cały płonął z gorączki.

Oczy jego zatrzymały się na drzwiach, prowadzących do pokoju, w którym siadywał Zagrodzki. Drzwi te znajdowały się właśnie w ścianie, do której przyparł tłum Ankę i cały skład redakcyi.

Otwarcie tych drzwi, wydostanie się do wolnego pokoju, mogło ich ocalić przed tą tłuszcą.

Lecz teraz wszyscy przypomnieli sobie, iż naprózno usiłowali te drzwi otworzyć.

Były szczelnie zamknięte od wewnątrz.

— Kto to zrobił? — zapytał zirytowany sekretarz. — Mogliśmy przecież spokojnie cofnąć się do tego pokoju... Kto to mógł zrobić?

Drzwi cicho się otworzyły.

Z pustego pokoju wyłoniła się tylko jedna postać — delikatna, wdzięczna, subtelna, z twarzyczką, jakby wyciętą z jakiegoś pastelu XVIII wieku.

Prześliczne oczy obiegły wszystkich zgromadzonych, biała ręka podniosła ku ustom delikatny kwiat narcyza i jakby cień wytworony a ironiczny, ten chłodny i spokojny człowiek przesunął się pomiędzy zgorączkowanymi i zmaltretowanymi ludźmi.

Redaktor nie poznał go na razie.

— Kto to?

-- To taki sobie... poeta... czy coś... Leljan...

— Czego on tu chciał?

— Przyszedł do Narbutta prawdopodobnie.

Redaktor powstał powoli z sofy.

— Czy on jest z tych wielkich, co to nic nie piszą?

— Podobno pracuje nad studjum o Satanicznym Dekameronie—Moreau...

— Niech go dyabli biorą z jego Dekameronem i podłym egoizmem. Zamknął się spokojnie w pokoju wtedy, gdy nas tratowano. Lecz sekretarz, który delikatnie nacierał ręce pianą z paczulowego mydła, odparł:

— Właściwie dobrze zrobił. To była nasza sprawa, nie jego. Dlaczego więc miał ponosić jej niemiłe konsekwencje?

Anka podeszła do okna, ażeby zobaczyć, czy będzie mogła przejść spokojnie przez ulicę.

Pod samem oknem dostrzegła Piotruskę i Wierciaka. Dziewczyna stała hardo, z oczów jej strzelały błyski.

— Idź do domu!—ryczał Wierciak.

— I zaraz—będę w domu gnić, a ty póndziesz do szynku... widzicie go... i ty chodź! Jaką robotę się chyc... Szewcem jesteś... zeluj w domu.

Wierciak aż drgnął pod tym głosem.

— Odczep się, pókim dobry, bo jak mnie złość chwyci... to cię tak wyzeluje tu na ulicy, że cała poczerniejesz!

Zamierzył się.

Piotruska machinalnie pochyliła głowę, zasłaniając twarz.

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, podniosła głowę i krzyknęła:

— Spróbuj!... Na policję krzyknę, a bić się nie dam... Co to? ja twój bęben, żebyś ciągle w niego walił!

Wierciak machnął ręką, lecz Piotruśka uniknęła ciosu. Oblana rumieńcem, straszna, poskoczyła na środek ulicy. Dostrzegła w oknie Ankę. Ten widok ją podniecił. Otworzyła usta—zabłyły zęby, jak u młodej wilczycy, i nagle we wrzasku nieludzkiem połała się cała struga najohydniejszych przekleństw i słów, mrozących dech w piersiach.

Te słowa, ten głos—były okropne—zionęły błotem, kałem, zaulkami rozpusty. Zdawało się, że wszystkie rzeczy niskie i szpetne rozwyły się w tym głosie, broniącej się od pięści męskiej, kobiety.

Lecz równocześnie — w linii, w wyrazie tragicznym, w czemś bardzo duchowem i dziwnem była godność człowieka, w którym zbudziło się poczucie indywidualnej wartości. Opromieniało to nimbem przechyloną w tył głowę ulicznicy, i Anka uczuła, że serce jej drga jakąś radością, jakby w tem zbudzeniu przejawił się ten głąb duszy, który szarą mgłą do niedawna otaczał widmową postać Piotruśki.

Wierciak stał jakby zdumiony tym nagłym oporem, i w ślad za oczami Piotruśki pobiegł.

Dostrzegł w oknie redakcyi Ankę i natychmiast na maskę jej twarzy wystąpiła zuchwałość wprawnego szantażysty.

— No i co będzie — zapytał, zwracając się ku oknu — czy mam znów iść do hotelu?

— Nie!—zawołała pośpiesznie Anka.—Proszę tam nie chodzić. Ja panu zapłacę!

— Kiedy?

— Jutro proszę przyjść...

Zacięła się.

Nie chciała go sprowadzać do willi Stalewskich. Bała się samej Stalewskiej i jakiś wstyd ją ogarnął na myśl, że Jan dowie się, w jakiej kałuży życiowej tonęła od wczoraj.

Zdawało się jej, że ta nić, która się pomiędzy nimi rozprzędła, tkana w cudowne brylanty, że ta nić straci na uroku, na połysku, na pięknie.

— Proszę czekać na mnie jutro przy moście—wieczorem, od strony miasta.

— No... żeby tylko żadnych śpasów nie było, bo jak Boga mego kocham mam ich dosyć...

Odwrócił się na pięcie i gwizdnął na Piotruśkę, która cofnąwszy się na skwer, usiadła na skraju basenu.

Lecz Piotruśka na to gwizdnięcie nie reagowała. Patrzyła ciągle zuchwale i wyzywająco.

— Piotruśka... sam tul.. do nogil.. — ozwał się grubijański głos Wierciaka.

Lecz od strony basenu razem z powiewem delikatnych gałęzi akacyi doleciało:

— Gryźnij się baciarszul..

— Sam tul

— Łatynda!..

Wierciak zrobił krok naprzód, lecz postawa zbuntowanej dziewczyny była tak groźna, iż cofnął się i plunąwszy ruszył w kierunku miasta wetknąwszy ręce w kieszenie kurtki.

Piotruśka chwilę jeszcze siedziała na ocembrowaniu studni.

Widocznie walczyła ze sobą.

Wreszcie zsunęła się na ziemię, podwiązała z energią chustkę na głowie i poszła w stronę przeciwną od tej, którą się udał Wierciak.

Anka odstąpiła od okna. W redakcyi chłopcy i współpracownicy zaprowadzili możliwy ład--sekretarz mył ręce, redaktor naczelny siedział na szeszlengu blady i zmęczony.

Anka czuła, że jest tu zbyt cieżką, że wszyscy patrzą na nią, jakby na częstkową sprawczynię dzisiejszej katastrofy.

Poprawiła kapelusz, suknię i ukloniwszy się wyszła na ulicę.

Śpieszyła do ojca.

Postanowiła mu nic nie mówić o tem, co zaszło.

Instynktem odezuwała, że Zagrodzki musi w tej chwili przechodzić straszne, przełomowe chwile.

Gdy weszła do numeru — zastała ojca siedzącego boso w swem jasnym palcie przed stołem i piszącego gorączkowo ów artykuł wstępny.

Zbliżyła się ku niemu, lecz on machnął ręką.

— Nie przeszkadzaj!.. idzie mi wybornie. Zobaczymy czy mnie zgnetli. Wypłynę niezadługo. Będą się musieli ze mną liczyć...

Straszny był w tej chwili.

Oczy krwią mu zaciekły, ręce drżały.

Miał zupełnie wygląd gracza, który zgrawszy się dzień przedtem do nitki—znów siada do zielonego stolika.

— Ojcie—zaczęła nieśmiało Anka—kazali mi powiedzieć w Redakcyi, że oni chcą...

Lecz Zagrodzki przerwał jej wybuchem dziwnego śmiechu.

— Oni chcą!.. oni chcą!..—wołał, gorączkowo numerując kartki—czego oni mogą chcieć, ta zbankrutowana partya, przez którą wczoraj padłem... Tak, tak, tylko przez nich!..

Wstał, drżąc cały czepiał się brzegów stołu — szukał jakichś notatek.

— Ja się z nimi przeliczyłem... oni nie mają żadnego znaczenia..
Znajdę inne silniejsze stronnictwo. Ci mnie wysuną...

— Ochl ojcie, znów chcesz rozpocząć to samo?

— Tak... tak... do ostatniego tchu. Nie zawiodę nadziei, jaką kraj we mnie pokłada.

Potrząsał głową.

Oczy miał szklane — mimo to migotliwe.

— Idź już stąd... idź.

— Jesteś chory — niemożesz zostać sam.

— Ja chory?.. oszalałaś!

Wyprostował się — cały pożółkły — z roztarganą brodą, z włosami zwichrzonymi.

— Idź... idź!.. muszę się ubrać... Pewnie ktoś przyjdzie...

Starał się „trzymać“. Jakaś gorączka wewnętrzna płonęła w nim niezdrowym, niszczącym ogniem.

— Idź!..

Anka czuła, iż pozostając drażni go coraz więcej.

Z oczyma leż pełnemi wysunęła się cicho za drzwi i skierowała się powoli w stronę swej pracowni.

XXV.

Wszystkie płótna odwróciła od ściany i patrzy po nich — patrzy — i jedno snuje i rozumie aż nadto dobrze.

Tego nikt nie kupi, bo to jest malarstwo przyszłości.

A tego co idzie w przyszłość nie kupuje się, nie pragnie, nie pożąda.

Ceni się to w dziedzinie twórczości, jako śmieć bezużyteczny i śmiech wzbudzający. Gdy przejdzie w przeszłość, perłami miłości wysadza się te rzadkie klejnoty, które we wzgardzie, w jakiej powstały, nie straciły nic swego cennego piękna.

Lecz dziś — są niczem.

Anka wie, że za jej syntezy dusz ludzkich, nie da żaden przekupień nawet tyle co za oleodruk.

Pieniądzy dziś Ance potrzeba.

Weszła w błoto drobiazgów światowych i oto wlecze się za nią łańcuch konsekwencyi. Troska materyalna żrąca jej delikatną i niepraktyczną naturę.

Co począć!

Ma kilka drobniuchnych, panięskich klejnocików. Bransoletka z granatów, szpileczka z perłą, pierścionek z turkusem, łańcuszek cieniuchny wenecki. Ona nie wie ile się płaci za usługi hyen wyborczych, ale przypuszcza, że może ta kwota wystarczy. Chodzi jej głównie o to, aby nie szarpano nerwów ojca. Czuje bowiem, że się tam coś rozpręży, coś odmawia posłuszeństwa, jakaś mglistość roztańczona w przestworzu rozpościera się koło niego i wtedy gdy się jest w jego pobliżu—traci się świadomość i równowagę.

Anka schodzi ze świata abstrakcyi i chce działać na realnym gruncie obowiązków dziecka względem rodziców.

Głęb duszy jej ojca odkrył się przed nią z nieubłaganą konsekwencyą—postanawia uczynić coś i dla tej duszy, lecz musi ją ochronić od zewnętrznych wstrząśnień. Przez ciało lęka się o duszę. Uchroni przedewszystkiem ciało. W tę jej troskę i niepokój wchodzi jeszcze rozterka, która aż nadto widocznie opanowała Stalewskich. Ze słów goryczą przepojonych samej pani, dowiaduje się, iż Stalewski zamknął się w swej pracowni i maluje.

Odmówił wykończenia portretu owej damy tak ładnie uczesanej i posiadającej porcelanową gładkość lic i wachlarz z piór strusich. Co więcej—nie powiedział nawet żonie, czy obraz, który maluje, robi na zamówienie i czyje. Teraz właśnie jest czas najgorętszy. Kilka osób dowiadywało się w Towarzystwie o jego adres i badało sekretnie o cenę portretów. Lada chwila mogły się zjawić nowe obstalunki, a ten dziwaczy!..

Stalewska mimo wszystkiego urządza dziś po południu zwykły „fix“ i od rana układa na kryształowych paterach bomby kawowe i makowe placuszki. To jej *spécialité de la maison*. Wyprawiła dzieci z nianką po masy maków, żyta i bławatków. Uważa bowiem, że można ładnie tę ozdobę polną spożytkować jako dekorację salonu. Jest zuchwała i niespokojna. Od kilku dni biega, kręci się — bo po przyjsciu do równowagi, zdecydowała, że pomimo wszystkiego, rąk opuszczać nie należy.

M i m o c h o d e m wpadła tu i owdzie, przypomniwała o fixie, była w teatrze na premierze i dwa antrakty wierciła się jak bąk po kurytarzu, rozdzielając na prawo i na lewo oblesne uśmiechy. Ta żebraczka rozgłosu, ściśnięta jak osa w nowomodnym gorsecie i zbyt wysokim kołnierzyku, cierpiała poprostu tortury dla zdobycia sytu-

cyi, w której zdawało się jej, że przez artykuł Narbutta był jej rodziny zachwiany został.

Na kurytarzu teatralnym, w chwili, gdy niemal wszyscy zwabieni dzwonkiem wracali na swoje miejsca—Stalewska, chichocząca się na pozór rozkosznie w towarzystwie jakiegoś redaktora, dostrzegła Narbutta, opartego o ścianę i patrzącego w przestrzeń zamglonym wzrokiem. Krew jej zbiegła do serca.

Pod blanszem i różem, w świetle elektryczności, stała się nagle aż białą jak maska pośmiertna. Lecz opanowała się szybko.

Wyprostowała się, przygryzła usta. Do skarbu swej mądrości sięgnąwszy, znalazła w nim gotowy aksyomat, iż ludzie wyżsi są w każdej sytuacji wyższymi po nad fakta, które dla innych wyższymi się zdają.

I na blade usta wykwitnąwszy najobleśniejszym uśmiechem—ująwszy w rękę *face à main* ozdobioną monogramem, postąpiła ku Narbuttowi, wchodząc z nadzwyczajną śmiałością w krąg jego zamyslenia.

— Dlaczego pan jesteś naszym wrogiem?—spytała, starając się omotać go w tej chwili swą przeogromną grzecznością.

I stała się rzecz dziwna, ale ogromnie zwykła i ogromnie ludzka.

Narbutt uczuł się zmieszanym i wytrąconym z równowagi, widząc tę kobietę, wkraczającą z całym arsenałem swego fałszu w koło jego spojrzeń i myśli.

Ogarnął go jakiś lęk i—wstyd.

Stanęła mu tuż przed żrenicami i wyciągnęła rękę, a on bardzo grzecznie, brzydkim, pośpiesznym gestem rękę tę ujął i uściśnął.

— Ja wiem...—zaczęła znowu tak, jakby nie chciała mu dozwolnić opamiętać się na chwilę—ja wiem, że to jakieś uboczne wpływy musiały podziałać na pana w ten sposób. I jeżeli do pana przychodzę pierwsza, to dla tego jedynie, aby dać panu dowód, że tak ja — jak mój mąż — jesteśmy wyżsi ponad takie drobiazgi. Mój mąż stoi na tak wysokim stanowisku, iż artykułik pana zaszkodzić mu nie może, ale... zaszkodzić może panu...

Odetchnęła i czekała czy on co nie powie.

Ale ta rzecz „ogromnie ludzka“ — była tak silna i rozrastała się tak jak chwast dokoła niego, iż stał milczący przed nią, jak żak zła-pany na gorącym uczynku.

— Pan jest młody, pan potrzebuje oparcia ludzi solidnych — pan źle robi idąc tak na oślep przeciw nim...

Odzyskiwała coraz więcej pewności siebie — złudzona jego milczeniem. Podniosła głowę—zaczęła go traktować, jak żaka.

— Potem, gdy przyjdzie rozważa, gdy pan istotnie zrozumie, czym jest życie, pożałuje pan swego wystąpienia... Ale my jesteśmy dobrzy, my z mężem nie umiemy chować urazy i dla tego...

Zawiesiła głos i zrobiła się zupełnie *bonne princesse*.

— I dlatego — dokończyła — czekamy na pana jutro u nas, w zwykłą godzinę przyjść.. Spotka pan tam swoich znajomych, przyjaciół.

Przestała mówić, bo złamało się coś pomiędzy nimi. Ona uczuła w jednej chwili że przeholowała. To „ogromnie ludzkie“ prysło, jak banka mydlana. Rozbiła je niebywałą u niej niezręcznością.

— Więcl.. — wykrztusiła jeszcze pomimo tego, iż jakaś siła wytrącała ją poprostu za nawias — poza owe koło nakreślone wzrokiem i myślą Narbutta.

On odzyskał teraz swą dawną krew zimną i otrząsnął się z czapraka dobrze ułożonego młodzieńca, jaki zupełnie niespodziewanie okrył mu plecy.

Ruchem bardzo podobnym do ruchu Wierciaka, wetknął ręce w kieszenie kurtki i przymglonymi oczami patrzył wprost w twarz Stalewskiej.

— A... państwo budę swą rozbili—gdzie?.. koło cyrku?.. — zapytał z całym okrucieństwem, tak dziwnem wobec słodyczy tej Narcyzowej twarzy, obramowanej pasmami czarnych, lśniących włosów.

Stalewska zrozumiała aluzję, lecz zapanowała nad sobą z taką siłą, że aż poczuła ból fizyczny w mięśniach twarzy.

— Niel..—odparła ze słodyczą, a tylko podmalowane oczka płonęły jak dwie świeczki — budy z cyrkiem i menażeryą są przed mostem, n a s z a w i l l a jest za mostem!

Podkreśliła to słowo „nasza willa“ — chcąc chociażby niem zdruzgotać tego „projdyświta“ bez własności — żebraka, prawie cuchnącego fałszowanym absyntem.

I nie czekając na dalszą dyskusję, zaszeleściła suknią i odeszła, pozostawiając go znów samego i jakby wpatzonego w mgławicę, co się przed nim coraz szerzej rozsnuwać zaczynała.

Od strony sali dobiegały do niego tony orkiestry — jakaś fantazja nieokiełznana, pełna żywiołowej siły. Coś się tam rozpętało w duszy twórcy. Pędził na karkach swych frazesów, uchwyciwszy się grzywy ich demonicznej potęgi.

Lecz do uszu Narbutta, do wnętrza jego duszy i te silne tony wpływały przez mgłę koła śmiertelnego, które okrążyło go od niedawnego czasu. Wał mgły melancholii i zwątpienia w konieczny pożytek istnienia coraz silniej się wznosił i odgraniczał go od świata rzeczywistego. To, co stało się pomiędzy nim a Stalewską, było

niemal ostatniem drgnieniem jego dawnego systemu układania swych czynów. Ta zmiana straszna, grozy pełna, dokonała się w nim prawie pod wpływem...

— Leljan!

Tak.

Lecz ten nie potrzebował używać perswazyi, słów, sięgać do głębin ezoterycznej wiedzy, wywoływać widma sferyczne i rozsnuwać przed nim dobroczynne słowa Buddy. Narbutt miał to już wszystko w sobie—niepochwytnie tak jak u Leljana, z rozmaitych broszur wypadkowo znalezionych, lub ze streszczeń dzieł; Narbutt gdy sennym kręgiem się otoczył, znalazł w nim cały świat ten sferyczny gotowy i przez niego przefiltrowany.

I dla tego, gdy Leljan zburzywszy kruchą w każdym człowieku wiarę w konieczność życiowej męki—chciał swoim zwyczajem zbudować czarowny pałac wizyi, spotkał się z rzeczą nieprzewidzianą, spotkał się z linią wyższą ponad tę, która jemu zdawała się już wyższą.

A było to w jeden upalny wieczór.

.

— Chodź do Stefki.

— Głupia dziewczka.

— Nie, nie—przetworzyła się. To Kapalakundala.

— Jak?

— Nasze medyum—Kapalakundala... Lewituje...

— Ach!...

W milczeniu doszli do piętrowej kamienicy na jednej z najhałaśliwszych ulic.

W bramie stał magiel. Potknęli się o przewróconą konewkę. Przed nimi jakieś wązkie plecy znikają właśnie w klatce schodowej oświetlonej małą, nędzną lampeczką.

— O... już idą Yogi...

Leljan rzuca te słowa, jak zdawkową monetę.

Narbutt jednak ma minę tego, któremu rzucono ową monetę, lecz on się po nią nie schyla, pełen wewnętrznej pogardy.

Leljan odwraca się ku niemu:

— Zobaczysz rzeczy nadzwyczajne. Z niej płynie fluid destrukcyjny. Przetworzyła się. Śmierć Rosickiego — pamiętasz... na statku w kajucie... Wtedy dała dowód, jaką niepospolitą ma

w sobie potęgę. Odprowadziła go na kolej, śmiejąc się. I wiedziała... rozumiesz... wiedziała...

Poszli znów dalej po schodach.

Tam, gdzie działa się „rzeczy nadzwyczajne,” ktoś gotował kauptę. Fatalny zapach kuchni aż dławił, aż chwytął za gardło.

U drzwi, na których czerniał na białem tle napis jakiś—stanęli.

*Robes-modes-confections,
Mad. Stéphanie.*

Leljan dzwonek nacisnął.

Dzwonił dziwnie, delikatnie, jakby jakąś melodyę. Dość długo nie otwierano, wreszcie zadudniło bosemi stopami. Przyleciało coś z głębi i otwarło drzwi, a potem uciekło. Buchało z ciasnego przedpokoju wonią mydlin.

Widocznie tam, gdzie działa się „rzeczy nadzwyczajne”—odbywało się pranie.

W niewielkim frontowym pokoiku—prawie ciemno.

Na fortepianie lampa przesłonięta tanim, czerwonym abażurem. Przy klawiaturze mężczyzna, który tonie w cieniu. Na klawiszach spoczywają jego nieruchome ręce. Nie gra—ale rąk z klawiatury nie zdejmuje. Wygląda jakby figura woskowa lub osoba, biorąca udział w żywych obrazach na cel dobroczynny.

Tu i owdzie jakieś cienie. Siedzą, milczą, ssą cygara lub papierosy. Na stole butelka do połowy próżna zielonego płynu. Trochę kieliszków. Na ścianie obraz jeden—dużo rozlanej szarej farby i dziecinnie nakreślona figurka. Ma to być imitacya Syntetystów — coś na kształt genialno-chorobliwych fantazyi Van Pogha.

Na fotelu—kobieta.

Silna, tęga, ukrywająca swe kształty pod długim, czarnym fartuchem, spadającym jej do stóp. Ręce ma tylko ładne, białe i wypielęgnowane.

W zielonych oczach całe morze ironii nawet źle ukrytej. Siedzi w hieratycznej pozie, śledzi zawartość butelki i nadśluchuje chlapania, dopływającego z kuchni.

Ma wygląd statystki, wynajętej na to, aby udawała Destrukcyjną Siłę...

Leljan wsuwa się i skinieniem głowy obdarza milczących towarzyszy.

Ku niemu biegną spojrzenia. Stefka skinęła ręką.

— Siadaj — szept — czekamy wszyscy... Nadejdzie chwila cudu.

Wskazuje w stronę fortepianu.

Lecz nieruchomy do tej chwili mężczyzna porywa się, odtrąca fortepian, chwytając się za głowę.

— Nie mogę... czar prysł... woła — wtargnięcie tych obcych zniweczyło cud... nie mogę.

Idzie do stołu, pije kieliszek absyntu i usuwa się pod piec, gdzie pozostaje kolosalny, chmurny, nieprzystępny.

Narbutt nie siada. Trzyma się blisko drzwi. Patrzy nieufny i rodzaj grymasu usta mu wykrzywia.

Pytające wejrzenia ku niemu zwrócono.

— Nie badajcie—uspokaja Leljan.

I zaraz pyta:

— O czym marzyliście?

— O dostaniu bodaj Yoga-Sutry.

— A!... lecz czemu w sobie samych nie znajdziecie dosyć elementów odpowiednich?

— Nie—nie—skoro już jest wypróbowane...

— Pozwólcie—co dla Indyi odpowiednie, czyż wam posłuży!

— Musi.

Energicznie zaczyna krążyć butelka—w kuchni kłopot miarowy przechodzi w szmer gwałtowny przelewanej do szaffików wody.

— To nasza kapliczka!—zwraca się hieratycznie Stefka do Narbutta.

Lecz on nie może znieść zapachu ługu i tej podłogi źle wyczyszczonej, tej wymęczonej sofie i wytartego pieca. Przytem panuje tu atmosfera fałszu, komedii i obłudy. Nikt tu nie jest szczerzy, nikt nie wierzy. Widocznem jest, że pewna ilość biedaków z małego miasteczka czytała coś w przekładach o kapliczkach tajemniczych z ulic Vaugirard i innych. Zachciało się im wyczuwać „wrażenia.“ Nie czują nic, lecz milczącą ugodą nie przyznają się do tego. Dochodzą do szczytów, potrącają nawet o Huysmanowskie bajdy dla użytku łatwowiernych snobów. Lecz—wszystko kończy się na zimnem niedołęstwie, kłopotaniu tygodniowego prania i fałszowanym absyncie, którego by porządny doróżkarz pić nie chciał. Niedołężne to, śmieszne i głupie...

Narbutta porywa wstręt i nuda. Z tej izdebki—„Modes-robesc-confections“—wychodzi jedno. Wychodzi myśl samobójstwa w przekrwionych mózgach zrodzona. Tu, dojrzewa, jak kwiat białej cykuty, na bagienkach i rozplywa się z chwilą unicestwienia ludzkiego życia. Neurastenia, starannie pielęgnowana, czai się po kątach pustych i smutnych. Pochylone karki — oczy w dół wbite, ciche po-

wolne kroki chorych kotów, stąpających po mchu. I ta cisza, cisza straszna przerywana pluskotem wody!...

Lecz po co w to wtrącono legendowe Tajemnice, wydarte bóstwom? Po co oplwano parą mydlin przedwiekowe myty hinduskie, do których głównie przywarły się małomiasteczkowe biedaki — czciciele absyntu.

— O Kriszna, synu Dewanahi—synu lotusowego kwiatu, sam jak kwiat lotosu... co robisz w izdebce Robes-modes-confections?

Jesteś tutaj, boś jest Jednością—i ci wszyscy skupieni dokoła butelki i ta kobieta oplacana za to, aby grała rolę Destrukcyjnej Siły, i ten nieruchomy olbrzym pod piec wciśnięty—to wszystko jest tobą i częścią twoją — o słodki synu Mahadewy. Lecz oni są dalecy jeszcze od złączenia się z tobą, bo nie dążą do twego serca, lecz dążą do powierzchownych blasków twej Istoty. I przez to są zimni—i przez to, gdy idą na śmierć, nie witają jej znakiem szczęścia, lecz czynią to raczej z zuchwałej pychy,

Nie mają w sobie radosnej ekstazy Kriszny, gdy zwrócił swą twarz w chwili zgonu do jaśni słonecznej, wołając: — Idę ku tobie, Ojcie mój w niebiesiech.

Bo na to nie trzeba trenować się i brać tytuł, lecz mieć wiarę w duszy, iż było się Jednością, było się Słoneczną Jaśnią — i ze śmiercią powraca się do niej.

.

— Dokąd idziesz? jeśli chcesz pić — masz absynt!

Lecz Narbutt wrywa się z rąk Leljana.

— Puść mnie. Ta wasza kapliczka, to chlew. Absynt nawet jest zbezczeszczoney. Czego chciałeś mnie nauczyć? Co chciałeś we mnie wzbudzić? Chęć śmierci?... co?...

— Może!

— Głupiś. Ja ją mam, inną, prawdziwą, uroczyście wielką. Ja rozumiem rozkosz śmierci od dzieciństwa inaczej, niż wy — marne, śmieszne gady!

— Nie piłeś, a rzucasz się, jak pijany.

Już są na schodach. Woń kapusty rozprasza się powoli. Ktoś gra ohydneho walca w parterowym mieszkaniu.

— Puść mnie!...

- O, nie... ja pójdę z tobą.
- Ostrzegam cię, że idę pić.
- Chciałem ci to zaproponować.

.

Stalewska spokojnie starała się czynić swe przygotowania do „fixu“ i hamowała swe nerwy przed możliwą scyssyą z mężem.

Pragnęła bowiem zająć jak zwykle jego pracownię i przyozdobić ją kwiatami (jaki kontrast!) rozrzucając polne wiązanki na tle gobelin i zbroi—urządzić główny teren zebrania właśnie w atelier „mistrza“.

Lecz—gdy w południe zapukała do drzwi pracowni, zastała je zamknięte. Ponowiła pukanie raz i drugi—i wreszcie drzwi szarpięte silnie otworzyły się do wewnątrz.

W progu stał Stalewski z węglem w ręku—blady, i n n y niż do tej pory widywała go przy pracy.

— Czego?

Zbita z tropu urwanym tonem, w którym brzmiało silne zdenerwowanie, usiłowała *quand même* wtargnąć do wnętrza pracowni.

— Chcę poczynić przygotowania...

— Do czego?

— Na dzisiejszy fix.

Spojrzał na nią i rzecz dziwna, Stalewska uczuła to samo wysunięcie jej za nawias, w koło mgły, które myślą i wizyjuym światem zdawały się oddzielać Stalewskiego od niej.

— Proszę mi nie przeszkadzać w pracy.

— Co robisz?..

Nieodpowiedział jej.

Zamykał drzwi, lecz ona nagle przejęta jakąś złością, wsunęła nogę pomiędzy drzwi i silnie się oparła.

-- Pragnęłabym widzieć...

— Nie... proszę cię..

Zadrgała w jego głosie jakby trwoga, jakby prośba. Bał się widocznie, że ta istota wtargnie mimo wszystko i materyalną swą obecnością spłoszy skupienie się sił, które dokoła siebie ściągnął, wysiłkiem rdzenia swej istoty twórczej.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Dlaczego ta tajemnica?

Z pod „tęczowej kopuły myśli“—Stalewski wy dostał się nagle w sam środek domowej scenki znajdującej się na drugim końcu wahałkowej linii każdego jasnego momentu „familijnego człowieka“. Ponieważ Stalewski tak mało do tej chwili w życiu odkładał na Wzniosłość, bez której niepodobieństwem jest być artystą, a W zniosłość tę wyczuł promieniującą dokoła siebie w tej właśnie chwili—doznał dziwnego bólu na myśl, iż tę wykradzioną a należną mu godzinę cudowną—niszczy ten głos skrzekliwy i ta noga kobieca wsunięta zuchwale tam, gdzie przed chwilą on sam był z duszą swoją. Krew mu nabiegła do głowy i zabłysła rubinowymi blaski w oczach.

Postarzał się i zmęźniał w jednej chwili.

Łagodna jego uroda przeobraziła się dziwnie. Stalewska mimowoli usunęła nogę i cofnęła się kilka kroków—lecz on teraz drzwi nie zamykał.

— Urządzasz fix?

— Tak — odparła śpiesznie — rozumiesz, iż musimy pokazać światu, że jesteśmy wyżsi nad głupie artykuły Narbutta i że...

Przerwał jej niecierpliwie.

— I ty sądzisz, iż w ten sposób pokażesz naszą wyższość?

— Naturalnie. Spodziewam się dziś dużo osób ze świata literackiego, urzędę tak, iż napiszą.

Lecz on patrzył na nią, przeszywając ją ciągle krwawem, dziwnem spojrzeniem.

— Nie tędy droga—wyrzekł wreszcie—nie tak się dowodzi wyższości. Dowiodę j a—nie ty...

Odczuła, że w nim całym była dla niej obecnie wielka, wzgardliwa ironia.

— O! przepraszam...—wyrzekła żywo — pozwól! ja dalej działać będę. Wszystkie poprzednie głupstwa twoje puszczam w niepamięć. Muszę puścić w niepamięć. Tu idzie o przyszłość naszych dzieci i tej bronić będę do upadłego.

— Tu idzie o przyszłość moją... — odparł on niskim głosem — a tej, ja bronić będę do upadłego.

— Oszalałeś!.. przyszłość twoja? jaka? przecież ty już doszedłeś. Ty już nie masz przyszłości. Ty staraj się utrzymać teraźniejszość.

Ty już nie masz przyszłości.

W jednej chwili ujrzał przed sobą siebie samego, pochylonego, siwego—z całym dorobkiem swoim na barkach, z uczepioną dokoła jego rąk bandą dzieci w strojnych sukienkach.

To był ten on—który nie miał przyszłości.

Lecz nagle wizya inna, powiewna, dobra i słodka — wizya kobiety tak udychowionej, że abstrakcją się stawała — wionęła nań z rękami wyciągniętymi litośnie. Ciepło przeniknęło jego ciało, ciepło i światło przeniknęło jego duszę. Poczłł się znów silny i spotęgowany w swej działalności psychicznej.

— Proszę — wyrzekł z naciskiem i niemal brutalnie — proszę i każę, ażeby tu dziś była cisza zupełna. Niech nikt się nie waży wejść do tego domu, który powstał z mej pracy i musi być dla mnie kątem do pracy...

Cofnął się i zamknął drzwi na klucz. Za nim zapadła gobelina portyera.

Artysta został sam — ze swoją duszą.

(D. c. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

KARTKI ZE LWOWA.

(W SPRAWIE UPRZEMYSŁOWIENIA GALICYI).

Uprzemysłowienie Galicyi!.. Frazes pusty? mrzonka? czy hasło? a może już sztandar pracy realnej?

Uprzemysłowienie Galicyi—wszakżeż budzą słowa te uczucie niedowierzania. Ileżto już na tym ołtarzu złożono zabiegów, i pracy, i starań; ileż dążeń szlachetnych i marzeń pochłonęło to hasło!

A jednak to hasło ozwało się znowu, bo taką jest już żywiolowa siła zjawisk społecznych i ekonomicznych, że gdy są życiu istotnie niezbędne, wówczas choćby ze zgliszcz, powstają — ale są wówczas silniejsze jeszcze, jędrniejsze, bo doświadczone.

Pomimo wszystko co dotąd było, Galicya — to jeszcze dla przemysłu ziemia do zdobycia. Tu, rzeczywiście, jeszcze zdobycia potrzeba. Więc znowu z rąk jednych przejęto sztandar do drugich, a pod nim idzie tęgi i rosnący niemal z dniem każdym w liczbę, zastęp, co wspólne, jedno ma zawołanie, a zawołaniem tem: praca realna. Hasło, przekazane jakby testamentem Szczepanowskiego Galicyi, niesie dalej ta drużyna sprawnie i rażno pod jedną chorągwią, jak niegdyś husaryja pancerna, — a hetmani jej Lubomirski.

Lubomirski dzierży buławę. Dziwny to człowiek. Dziedzic znacznych włości, ordynat na Przeworsku, ksiązę Andrzej Lubomirski, oddał się całej jednej, prawdziwie obywatelskiej myśli, którą ukochał a której urzeczywistnienie za cel swego życia poczytuje. Tym celem jest rozbudzenie życia przemysłowego w Galicyi. I nie tylko rozbudzenie, ale danie mu trwałych podstaw. Dwa są na to sposoby działania: przykład żywy i zachęta. Jest u niego i jedno i drugie w najwyższem napięciu. Naprzód, jeżeli o dawanie z siebie przykładu

chodzi, to dał ks. Andrzej Lubomirski przykład istotnie dobrej a niezmordowanej pracy przemysłowej. Przełamał zwycięsko trudności, co się piętrzyły w sprawie cukrowni Przeworska. A gdy to uczynił, rozszerza Lubomirski zakres działania, zbiera hufiec i do szerokiej, bo na kraj cały, prowadzi roboty. Stworzył (we wrześniu roku zeszłego) Centralny związek fabryczny, którego zadaniem jest uprzemysłowienie Galicyi. Dzielnym, niezmordowanym pomocnikiem jego został bar. Roger Battaglia, pod hetmańską buławą Lubomirskiego stanął, zaczem zaczęli zaciągać się inni. A jedno spojrzenie na ten hufiec dzielny a sprawny — budzi wiarę w zwycięstwo.

*

*

*

Ktoby uważnie wczytał się w protokoły sejmowe Galicyi z lat 1879 i 1880, zdziwiłby się ich treści. Agraryusze ówczesni tak byli zaciekrzewieni w faworyzowaniu swoich, częstokroć wadliwie zrozumianych, interesów, iż nie baczyli na to, jaką krzywdę wyrządzali takim postępowaniem sprawom przemysłu. Rolnictwo i przemysł były to wówczas, jakby dwie antytezy, wiecznie wrogo wzajem usposobione. Dziś, pod tym przedewszystkiem względem, opinia zmieniła się w Galicyi nie do poznania. Agraryusze galicyjscy nie tylko nie upatrują już antagonizmu w rozwoju współrzednym tych dwóch warstwatów wytwórczych, ale na odwrót, przyznają to głośno sami, że nawet rolnictwo przyjąć już musiało warunki produkcji przemysłowej, a w rozwoju przemysłu widzą zwiększenie pojemności rynku zbytu dla wytwórczości rolnej. Taka zmiana jest już powszechna, a znalazła nawet wyraz w ostatnich obradach sejmowych. Zapanował dziś pośród ówczesnie wrogich agraryuszów nastrój dla spraw przemysłowych przychylny.

Ale to dopiero częściowa zmiana opinii. Narzuca się z kolej rzeczy pytanie, czy opinia ta stanie się powszechną, czy może mieć rzeczowe podstawy. Czy Galicya ma dane niezbędne dla rozwoju swej przemysłowości? Jest pod tym względem pewna dosyć ogólna ignorancya, zresztą, niestety, dosyć rozpowszechniona i u nas, odnośnie do rzeczy swojskich. Opinia rozważna i poważna coraz bardziej,

a w każdym razie nieustannie, nawołuje do poznawania swego społeczeństwa, swoich spraw. Przemysł w Galicyi, choć zapoznany, częstokroć niedoceniany, ale istnieje. Są nawet dosyć liczne gałęzie przemysłu, które za nierozzerwalne z gruntem uznać trzeba, mianowicie te gałęzie przemysłu, które przerabiają surowy produkt krajowy. Wobec tego wszelką zmianę na korzyść uprzemysłowienia uważać można za zmianę korzystną, bo nie opartą na zawodnych złudzeniach, ale na realnych podstawach.

Zanim jednak wejdziemy w szczegóły, dotyczące warunków życia poszczególnych gałęzi przemysłowych w Galicyi, postawmy pytanie ogólne: czy przemysł ten cofa się, czy też naodwrot wzrasta i w jakiej mierze? Rzecz ciekawa: nie ma cyfr. Rzecz to nietylko ciekawa, ale prawie niedouwierzenia: dotychczas nikt się jeszcze nie pokusił o zestawienie statystyczne obrazu wytwórczości przemysłowej w Galicyi. I stąd pochodzi, że na zapytanie to najsprzeczniejsze, bo zawsze tylko subiektywne, odpowiedzi otrzymać można. Jedni, zapaleńsi a optymiści przytem, twierdzą, że przemysł rozwija się niemal z dnia na dzień olbrzymio, drudzy nie widzą żadnego postępu. Zdaje się być słuszną, iż najbliższymi prawdy są ci, dla których pewien postęp na tem polu jest rzeczą dokonaną, ale którzy nie tają, iż postęp ten, od dziewięciu lat w łonie społeczeństwa dopiero istniejący, idzie nie-skończenie wolnym krokiem.

W tem jest sedno sprawy. Wzrost jest, ale niepomiernie wolny. Jaka więc przyczyna tego? Tu właśnie jądro całego zagadnienia.

Różne są ku temu powody. A naprzód, zazwyczaj, wysuwane bywają przyczyny niedostatków przyrodzonych kraju. Stało się to niemal oczywistą prawdą — bo fałsz zbyt często powtarzany nabiera czasem, jakby cech pewnej prawdy — że przemysł w Galicyi stnieć nie może poprostu dla tego, iż Galicya nie posiada żadnych ku temu materiałów surowych. Utrzymuje się więc przekonanie, że bez ceł ściśle protekcyjnych, odnoszących się wyłącznie do Galicyi, nie może się rozwinąć ten przemysł, który sztucznym i tylko sztucznym być może. A cóż dopiero jeśli uprzytomnimy sobie całą groźbę faktu, — a ten istnieje — że Galicya przez Austryę nie za co innego, jeno za Hinterland, za rynek zbytu towarów austrackich jest uważaną!

Jednak idźmy nieco głębiej. Czy istotnie Galicya nie posiada surowców? Są surowce, pożyteczne bardzo w przemyśle, których Galicyi istotnie w znacznej mierze brak, tak np. brak żelaza. Ale za to po-

siada Galicya, jedyna ona na całym zachodzie Europy, nieobliczalne bogactwo nafty, posiada wielkie bogactwa drzewa, a oprócz tego obfitą produkcję rolniczą, która doskonale nadaje się do celów przeróbki przemysłowej, posiada wreszcie niewyzyskane a niezmiernie poważne siły motoryczne w spadkach rzek u podnóża gór wytryskujących. Wszystkie te jednak źródła bogactwa narodowego albo zgoła nie są wyzyskane albo niedostatecznie. Choćby np. owe siły motoryczne wodne, które przedstawiają dla przemysłu bogactwo znaczne, nie wyzyskane są zgoła. Dopiero w ostatnich czasach wyznaczono w Wydziale krajowym bajecznie małą sumę 10,000 kor. na przeprowadzenie badań w tym arcyważnym przedmiocie. A w skarbcu bogactw przyrodzonych Galicyi nawet ów tak nieoszacowany dla przemysłu, czarny dyament, węgiel kamienny, jak się zdaje, mógłby zająć miejsce wydane.

Ale te przeszkody, któreby przyrodzonemi nazwać można, nie są zresztą jedyne. Wysuwany jest jeszcze cały szereg innych przeszkód mniej lub więcej prawdziwych. Naprzód, zależność ekonomiczna i polityczno-celna od innych terytoriów tej różnobarwnej mozaiki, jaką są Austro-Węgry. Nie ma, w rzeczy samej, obrony taryfowej produkcji przemysłowej; wszakżeż nawet na polu dostaw dla kraju współzawodniczą przemysłowcy z całego państwa, nieraz dzielnie wspomagani przez korzystnie dla siebie wyjednaną taryfę kolejową.

Galicya była i jest dla przemysłu austriackiego Hinterlandem. To było i jest—o tem dwóch zdań być nie może. Nawet środków skutecznych samoobrony tu niema. Wydział krajowy uwolnił wprawdzie nowopowstające zakłady przemysłowe od t. zw. dodatków autonomicznych, t. j. podatków na potrzeby kraju idących, ale więcej zrobić nie może,—co ma wpłynąć do kasy państwowej, wpłynąć musi, co ma uleść ogólnym ustawom austriackim, to ustawom tym ulegać musi. Jest to w pewnej mierze błędne koło, biegnące od wymagań centralistyczno-państwowych do lokalno-krajowych: i właśnie w poszukiwaniu wyjścia z tego koła, tak energicznie ostatniemi czasy chwycono się idei „wyodrębnienia Galicyi“. Stąd ta kołacząca się w bezpośrednim, organicznym związku ze sprawą uprzemysłowienia Galicyi, idea samodzielności Galicyi, i stąd do dziś jeszcze tak silnie w tym właśnie związku podnoszone hasło Smolki.

Nie posiada Galicya odpowiednio wyrobionych ludzi. Wszakżeż do życia przemysłowego potrzeba ludzi tęgiej duchowo, wykształconych technicznie, patrzących jasno, dobrych administratorów. Nie

posiada ich Galicya w dostatecznej mierze. Tak jest niewątpliwie. Ci, co się zagranicą technicznie kształcili, zwykle już do kraju nie wracają, bo nie mają pola; ci, co w szkołach krajowych uczą się wytwórczości przemysłowej, nie będąc jeszcze odpowiednią atmosferą przesiąknięci, mają zwykle jedno marzenie: zajęcie urzędu.

Nietylko jest brak ludzi—słyszemy—ale brak i kapitałów. Zbyt ogólnikowem jest takie twierdzenie. Kraj, gdzie przeciętną ceną pieniędzy jest norma 4%, nie może odczuwać braku kapitału. Kapitał jest, ale—i tu znów błędne koło—nie jest jeszcze zaprawiony w ogniu życia przemysłowego, jest ociężały, nieruchawy, albo też zgoła leniwy. Banki, istniejące w Galicyi, tylko w nieznaczej mierze odżywiają przemysł, po większej części kontentują się pożyczkami wyłącznie hipotecznymi, gdzie wszelka rzutkość z góry jest wyłączone.

Zresztą stosunki handlowe są na takim poziomie, że instytucje finansowe nie miały dotąd nawet pola do szerszego rozmachu. Handel galicyjski cierpi na zbyt wielką ilość pośredników o małej wartości moralnej. To z natury rzeczy utrudnia prawidłowe funkcjonowanie stosunków kredytowych. A pozatem na rynku, nietylko na rynku przemysłowym, ale i na rynku handlowym galicyjskim, cięży dotkliwie Austria. Stosunki handlowe austriackie zmieniły się w ostatnich czasach na niekorzyść Austrii. Toczyła się walka zacięta pomiędzy Niemcami i Austrią o zdobycie dla swego przemysłu i handlu państw Bałkańskich. Austria walkę tę przegrała. Gdy w r. 1879 udział w przywozie zagranicznym Rumunii wynosił 50% dla towarów austriackich, a 4% dla towarów niemieckich, dziś Rumunia z Austrii przywozi już tylko 20% ogólnego importu, a natomiast 34% z Niemiec. Wobec takiej przegranej—a cyfry podobne znaleźlibyśmy i w stosunku do innych państw na Bałkanach—przemysł i handel austriacki tem skwapliwiej zwrócił się do zawojowania rynków swego Hinterlandu: Galicyi.

I to jest faktem istotnie ważnym i uciążliwym, ale z zewnątrz pochodzącym. Gorszą jest przemiana, która trwa w łonie samego społeczeństwa galicyjskiego. Społeczeństwo zbiurokratyzowało się. Zjawisko to spostrzegać się daje we wszystkich sferach. Wszakżeż marzeniem chłopca galicyjskiego, posyłającego syna do szkół, jest by syn jego został skromnym urzędnikiem państwowym, dyurnistą. Takie marzenia, względnie do sfer, wyższe lub niższe, są w całej niemal Galicyi na porządku dziennym. I żeby płynęły chociaż z ambicyi, z duchowej potrzeby dojścia do władzy, w celu przeprowadzenia reform,

które się pożytecznymi być wydają. Bynajmniej! Dobijają się młodzi ludzie o urzędy jedynie dla tego tylko, że urząd spokojne bytowanie—powiedzmy szczerze: wegetowanie—zabezpiecza. Taki stan rzeczy, oczywiście, nie może wpływać na wyrobienie się w młodej generacji hartu, przedsiębiorczości, energii; przeciwnie z konieczności wszelki rozmach w zarodku samym niweczy. Niema tego, cobyśmy nazwali, atmosferą przedsiębiorczości przemysłowej. W społeczeństwach, gdzie życie przemysłowe już jest, od najmłodszych lat dziecko słyszy w domu o tych walkach z niepowodzeniami, o tych radościach z powodzeń wynikłych, jednym słowem żyje w ogniu. To hartuje, zaprawia. W Galicyi tego niema—i znowu błędne koło—niema, bo nie może być, bo przemysł sam niedosyć jest rozwinięty.

Niema dostatecznego nastroju. Częstokroć uważanym jest przemysł za hazard, za grę, za spekulację, częstokroć brak jest zmysłu administracyjnego, częstokroć odstrasza ją zdarzające się niepowodzenia, o których przyczynę nikt nie pyta.

Ot i obraz, szkicowo przedstawiający głębsze przyczyny wewnętrzne, dlaczego, pomimo wszystkiego, co dotąd działośo, chcieć uprzemysłowić Galicyę, to znaczy targnąć się na zwycięstwo. Bo przezwyciężyć tu nietylko trzeba istniejący stan rzeczy, t. j. rozwinąć istniejący przemysł i stworzyć nowy, ale przemianę wywołać trzeba w nastroju samego społeczeństwa. Kroki, znowu znaczne, a zmierzające wprost do celu w obydwóch kierunkach, już zrobiono. Lecz, nim się temu przyjrzymy, zdajmy sobie sprawę ze stanu, w jakim ten przemysł galicyjski dziś się znajduje.

*

*

*

„Zginiemy bez przemysłu—tak pisał niedawno jeden z wpływowych organów prasy galicyjskiej—marnieją siły ekonomiczne i społeczne tego kraju; jedyny, stary warsztat pracy—rolnictwo, w upadku, proletaryat rośnie, wzmaga się, ludność ucieka za granice kraju za zarobkiem, miasta w upadku, rękodzielnik w nędzy; w handlu zastój, kredyt hipoteczny zamknięty, banki dławią się własnymi papierami, straszne objawy upadku ekonomicznego grożą katastrofą w tym kraju. Zginiemy bez przemysłu...”

Czy Galicya jest zdolną do rozbudzenia życia wytwórczego? Czy ma ku temu dane przyrodzone? Bo jeśli pozbawioną jest źródeł życiowych, to na cóż tyle zabiegów i starań, które tylko wiecznem szamotaniem się pozostać muszą? A jeśli są ku temu dane istotne, przyrodzone, od życia samego nieodłączne, to wszakżeż w tych właśnie źródłach ożywczej krynicy szuka ten, komu dobro ogólne szczerze leży na celu. Tu, w tem przekonaniu możliwości dojścia do celu, czerpie się przeciw zawsze i pobudkę, i hart, i moc do znoszenia przemijających zawodów. Przemijających, tak jest, bo zawsze co wieczne, to trwa.

Naprzód, w jakich warunkach jest przemysłowo przerabiana produkcya rolna? Nie jest Galicya wyłącznie par excellence krajem rolniczym. Produkcya zboża zdaje się nie wystarczać na miejscowe spożycie i tem tłómaczy się względnie znaczny napływ węgierskiego zboża. Spożycie to musi być znacznem, gdyż przeludnienie Galicyi jest faktem wiadomym, skoro zaludnienie 1 kilometra kwadratowego wynosi 81 głów. Gdy pod uwagę weźmiemy brak dla ludności zarobków przemysłowych, stanie się rzeczą naturalną owe ciągle uszczuplające ogólną ludność wychodźstwo robotnika zagranicę. Emigracya zamorska w ostatnich czasach zmieniła już kierunek: zamiast do Brazylii dąży do Ameryki Północnej. Ale istnieje i nie jest rzeczą małoważną: corocznie 50,000 do 60,000 ludności idzie za morze. Prócz tego istnieje jeszcze emigracya „sezonowa“ na czas robót polnych do Prus. Najbardziej emigracyi podlegają okolice Jasła, Kolbuszowy i Tarnobrzega.

Wszystko to: niedostateczność produkcji rolnej, względne przeludnienie i brak zarobków, zapewne jest przyczyną wychodźstwa. Ale zważmy, że produkcya rolna Galicyi przez podniesienie kultury rolniczej, stojącej w Galicyi na wyjątkowo niskim poziomie, dużo niższym od poziomu kultury rolniczej w Królestwie, zwiększoną być znakomicie może. A nadto i zarobki przemysłowe znaleźć się mogą, z chwilą gdy produkcya cała, zwiększona, w kraju przerobioną na produkt spożycia zostanie.

Zacznijmy od chleba powszedniego, więc od młynarstwa. Jestto przemysł dawny bardzo i mający głęboko zapuszczone korzenie w ustroju społecznym Galicyi. Wielkich młynów, wprawdzie nie-zawsze doskonałych pod technicznym względem, posiada Galicya kilkadziesiąt o dosyć znacznej produkcji. Ale przemysł ten kurczy się od lat czterech; znajduje się mianowicie w uciążliwych warunkach od czasu zniesienia t. zw. „obrotu mlewa“. Obrót mlewa wprowadzonym

był w całym Państwie Austryackim w r. 1882. Polegał on na tem, że rząd zwracał młynarzowi cło pobrane za przywiezione zboże, o ile młynarz odpowiednią ilość mąki (70%, przywiezionego zboża) wywoził zagranicę. Cel takiego rozporządzenia widoczny: danie zarobku młynom przez ułatwienie im możności konkutowania na rynkach zagranicznych. Prawodawstwo to w rzeczy samej dawało możność wywożenia mąki zagranicę, co wobec wyższej ceny na zboże wewnątrz kraju niż w Rosyi lub w krajach Naddunajskich, byłoby zupełnie niemożliwe. Obrót mlewa doszedł do rozmiarów olbrzymich w latach 1890 i 1891. Szczególniej korzystały zeń wielkie młyny peszteńskie i wogóle młyny węgierskie. Ponieważ dowód tożsamości niebył przy wywozie wymagany, Węgry wywoziły zagranicę mąkę poślednią lub zgoła nawet otręby roztertę, a całą ilością mąki ciążyły na rynku, szczególnie austryackim. Prócz tego urzędy celne niepobierały cła w gotowiznie, ale debitowały młyny, co następnie przez wywóz wyrównywać się miało. Wyrobił się z takiego stanu zwyczaj taki, że młyny węgierskie korzystały z tak dogodnego kredytu, nie zawsze kwapiły się z wywozem mąki, a w każdym razie spekulowały na rynku wewnętrznym. Wszystko to spowodowało głośny protest agraryuszy austryackich, do których, może zanadto pochopnie, przyłączyło się Koło Polskie. Rezultatem tych zabiegów było zniesienie (od 1 lipca 1900 r.) obrotu mlewa. Odtąd młyny galicyjskie są w stałym upadku, w położeniu bez wyjścia, niemają ani zatrudnienia, ani zarobków. Koło Polskie teraz dopiero, zbyt późno, spostrzegło się, jak niewłaściwem było przyłączenie się do żądań agraryuszy austryackich. Obrót mlewa w Galicyi bynajmniej nie mógł wpływać na niskie ceny zboża galicyjskiego, skoro produkcya zbożowa na potrzeby miejscowe niezupełnie wystarcza, natomiast mogły młyny istnieć, a to bezwarunkowo i dla rolnictwa i dla całokształtu stosunków gospodarczych niezmiernie jest pożądanem. Obecnie we Wschodniej tylko Galicyi, dokąd przywóz węgierskiej mąki jest kosztowniejszy, młyny jako tako utrzymać się potrafią, (dowodem tego istniejące młyny w Kołomyi) natomiast w Zachodniej Galicyi z upragnieniem oczekują młyny przywrócenia obrotu mlewa. Jestto obecnie ich *conditio sine qua non*.

Posiada Galicya 123 browary, które jęczmień i chmiel krajowy przerabiają. Niektóre z tych browarów są olbrzymich rozmiarów; do nich należą takie, jak browar p. Götza Okocimskiego w Okocimie, który piwo eksportuje nawet za morze, dalej browar w Żywcu „polskiego“ arcyksięcia Karola Stefana, browar akcyjny „Krasieczyn“, pięć browarów akc. towarzystwa Lwowskiego i in.

Sytuacja browarnictwa galicyjskiego od chwili wprowadzenia nowego prawa propinacyjnego, jest względnie dobra, chociaż podczas minionego kryzysu finansowego również i Związek znaczniejszych browarów doświadczył dotkliwego przesilenia. Jak wiadomo, rząd skupił od poszczególnych właścicieli prawo propinacy i sam propinacye osobom postronnym wydierżawia. Naturalnie browary nie zaniechały w okolicach sobie przyległych wziąć w dzierżawę propinacye, gdzie wyłącznie swoje piwo sprzedają. Są to jakby monopole regionalne. Ale ustrój propinacyjny dzisiejszy gaśnie w r. 1910. Jak się następnie ukształtują stosunki, przewidzieć niepodobna. Już dziś drobniejsze browary przewidując możliwość ciężkiego stanu rzeczy, krzątają się około stworzenia syndykatu producentów piwa. Zabiegi te jednak rozbijają się o trudności faktyczne, jak np. znaczny import do Galicyi piwa pilzeńskiego, oraz przywóz niższych gatunków piwa, śląskiego i morawskiego, jak piwa Ołomunieckie i Karwińskie, które z syndykowania się browarów galicyjskich korzyści ciągnąć nie omieszkają. Zresztą browarnictwo galicyjskie pod względem fiskalnym ma trudniejsze warunki bytu niż w całej Austryi z powodu znacznych dodatków autonomicznych (na potrzeby kraju) lub lokalnych (np. specjalne dodatki podatkowe w Krakowie i Lwowie), co się zaś tycze techniki, to, przyznanem to jest powszechnie, browarnictwo galicyjskie stoi na ogólnym wysokim poziomie. Przyczynia się do tego znakomicie jęczmień krajowy wyborowy, oraz doborowa produkcya chmielu. Nadmienić tu jeszcze należy, iż chmiel galicyjski tak jest piękny, iż wywożony zostaje w znacznej ilości do Czech, skąd pod marką znaną zateckiego chmielu rozchodzi się na kraj cały. Czesi jednak żądają bardzo natarczywie ograniczeń bezwzględnych dla chmielu galicyjskiego w tym przedmiocie.

Z kolei słów kilka o gorzelnictwie. Cała produkcya okowity jest skontyngentowaną przez rząd, to znaczy, że wyznaczono każdej gorzelni odpowiedni kontyngens produkcji rocznej. Produkcya tak skontyngentowana w całej Austryi, łącznie z Galicyą, wynosi 1,027,000 hektolitrów okowity. W kontyngencie tym Galicya zajmuje przodujące miejsce, gdyż produkuje rocznie prawie połowę okowity całej Austryi, bo około 500,000 hektolitrów. Takie ustosunkowanie kontyngentu jest niewątpliwie zasługą posła Dawida Abrahamowicza.

Owa znaczna ilość półmilionu hektolitrów okowity jest produktem prawie wyłącznie względnie drobnych, rolniczych gorzelni, których posiada Galicya około ośmiuset. Prawie wszystkie usadowiły

się w Galicyi Wschodniej. Wielką, kapitalistyczną gorzelnię ma Galicya jedną tylko. Stan taki spowodowany jest przez ustawodawstwo podatkowe, galicyjskie, faworyzujące gorzelnie rolnicze. Ale myliłby się, ktoby szukał w tak znacznej produkcji okowity oznak bezwzględnego rozkwitu gorzelnictwa w Galicyi. Gorzelnictwo rozwinęło się w Galicyi więcej niż w innych krajach Austrii, dlatego przedewszystkiem, że cena kartofli jest tam niższą niż gdzieindziej. Przy cenie przeciętnej około 2 do $2\frac{1}{2}$ koron za cetn. kartofli opłaca się pędzić okowitę, natomiast przy cenie płaconej za kartofle w Czechach i Morawie, 4 koron za centnar, produkowanie okowity nie przedstawia korzystnego rachunku. Ale nie dosyć tego. Gorzelnictwo galicyjskie, ogólnie biorąc, jest wprawdzie dobromkiem poważnym, ale nie daje zysku tyle, ile, normalnie, dawać powinno. Prócz pięciu¹⁾, z których trzy są nader niewielkich rozmiarów, nie posiada Galicya rektyfikacyj. Niemal cała produkcya okowity galicyjskiej rektyfikowaną jest na Zachodzie, głównie przez wielkie firmy, mające swą siedzibę w Wiedniu, Czechach i na Ślązku²⁾. Od zmów owych wielkich, dziesięciu firm zależą ceny okowity w Galicyi. Kontrakty, zawierane zwykle wczesną jesienią przez firmy wiedeńskie, oznaczają cenę stosownie do ceny wiedeńskiej w terminie dostawy. A taktyka rektyfikatorów tych polega właśnie na obniżaniu ceny w czasie dostaw, tak np. w listopadzie roku zeszłego w ciągu kilku tygodni obniżono ceny z 42 koron za hektolitr do 35 koron. Równa się to stracie $3\frac{1}{2}$ mil. koron dla Galicyi. Myślą rolnicy galicyjscy o poprawie swego losu w tym względzie. Powstała myśl urzędzenia wspólnemi siłami trzech rektyfikacji: w Stanisławowie, Tarnopolu i Sokalu. Przerazili się tem potentaci wiedeńscy i zwołali naradę w celu zabrania w ramy syndykatu rektyfikacji i produkcji okowity. Dotąd jednak ani narady rolników, ani narady Wiedeńczyków do żadnego pozytywnego skutku nie doprowadziły. Zresztą kontyngent Galicyi upływa w połowie bieżącego roku. Zanim więc

1) Rektyfikacje większe: Baczewskiego i Sprechera we Lwowie, oraz mniejsze: Kapelasza w Brodach, Perlbergera w Wieliczce i hr. Potockiego w Łańcucie.

2) Firmy te są: Wilhelm Graver w Opawie, Adler i Syn w Neutitschein, Malburg w Smiric (w Czechach), Franciszek Brosche i Syn w Wiedniu, M. Fischla Synowie w Pradze, Tow. akc. raf. spir. w Kolinie, Mauthner w Wiedniu, Girardelli & Stern w Wiedniu, Fraenkiel w Bielsku.

o dalszych losach rozwoju tego przemysłu myśleć będzie można, trzeba się będzie zakrzętnąć by mu dać znowu możliwość życia.

W każdym razie sprawa gorzelnictwa jest niezmiernie w Galicyi ważna, również i z tego względu, że przed przemysłem tym, zdaje się, otwiera się obecnie nowa przyszłość od czasu, gdy zaczęto używać spirytusu w celach technicznych i motorycznych, jako światliwa i paliwa. Wszakże Niemcy na cele te zużywają cztery razy więcej niż cała Austria, a przecież w Niemczech jeszcze maksimum spożycia w tym kierunku nie zostało osiągniętem. A oprócz tego, z rozwojem gorzelnictwa związaną jest w Galicyi sprawa rozwoju fabrykacji wódek. Przemysł ten obecnie jest niezmiernie rozwinięty, fabrykatami swemi zaopatruje nie tylko całą Austryę i Węgry, ale znanym jest i na rynku wszechświatowym.¹⁾

Przejdźmy do sprawy cukrownictwa. W dłuższym referacie, wypowiedzianym na zebraniu Galic. Tow. Gospodarskiego²⁾ wyraził się prezes Towarzystwa przemysłu cukrowniczego, ks. A. Lubomirski, że cukrownictwo to przemysł, który „stałby się zbawieniem wielkiej części a nawet całego kraju, przemysł którego stworzenie powinno stać się pierwszym punktem krajowego ekonomicznego programu”. Galicya jedna jedyna, choć otoczona krajami o względnie nawet nieco gorszej glebie, pod względem kultury buraków, stoi wśród nich pustką prawie zupełnie. Jeżeli wziąć za podstawę do porównań jedne Morawy tylko, to Galicya mając trzy razy tyle gruntów podatnych pod doskonałą uprawę buraków, powinna mieć 165 cukrowni. Gdybyśmy wzięli pod uwagę choćby tylko wewnętrzne spożycie cukru w Galicyi to i wówczas Galicya powinna mieć znakomicie więcej cukrowni, skoro rocznie dotąd za 8 mil. koron (bez podatku) cukru przywiezionego z ościennych krajów austriackich spożywała.

Lat temu z górą trzydzieści, w r. 1870, posiadała wprawdzie Galicya pięć cukrowni: Tłumacz, Łańcut, Pisarzowice, Uście i Sędziszów; niemniej jednak wskutek przyczyn różnych, wskutek braku

¹⁾ Do znaczniejszych firm fabrykujących wódki należą między innymi nast. firmy: Arcyksiążęca fabryka w Izdebniku, T. A. Baczewskiego we Lwowie (Zniesienie), Romana hr. Potockiego w Łańcutcie, hr. Drohojowskiego w Bolanowicach, trzy w Lipniku: Adolfa Fraenkla, Jakóba Grossa, Murycego Reicha i in.

²⁾ Dn. 23 marca 1901.

plantacyi buraczanych, nieodpowiednio zorganizowanego zbytu cukru oraz wadliwej administracyi, fabryki te istnieć przestały. Najdłużej ostał się Sędziszów, który następnie przez fabrykę przeworską kupionym został.—Brak przemysłu cukrowniczego dotkliwie dawał się we znaki. Uwydatniła to szczególnie i wyraźnie ankieta przeprowadzona w r. 1894 pod przewodnictwem ks. Andrzeja Lubomirskiego w łonie Towarzystwa gospodarskiego odbyta. Zakrzętnięto się szczerze: założono cukrownię w Przeworsku, opartą na kapitałach wyłącznie krajowych, przeważnie okolicznych plantatorów buraków. Trwoga opanowała rafinerów austriackich: oni mieliby stracić, kto wie, może nazawsze dogodny a poważny rynek Galicyjski? wszakże Galicya konsumuje około 250,000 cent. metr. cukru rocznie, a więc 8% spożycia całej Austrii¹⁾ Nigdy! Przenigdy! Padło słowo, a za niem miał iść—i poszedł—czyn. Należało przedewszystkiem mieć oręż w ręku. Nastęrczył się sam. W r. 1895 wielka Cukrownia „Chropin“ na Morawach upadła z deficytem 15,200,000 koron. Nikt nie byłby się o nią troszczył. Ale wielkim rafinerom austriackim potrzebna była broń dla walki konkurencyjnej: kartel rafinerów kupuje Chropin.

Przed samym założeniem fabryki Przeworskiej cukrownictwo było przedsiębiorstwem zyskownem: cukier na wywóz osiągał cenę 16 fl. Ale oto zaraz po wybudowaniu Przeworska obniżono cenę do 11 fl. Było to pierwsze rozczarowanie. A prócz tego niezaniebdał Chropin użyć wszelkich, nie przebierając wcale, środków, by zniszczyć fabrykę, która rafinerom odbierała faktyczny monopol rynku. Bronić się musiał Przeworsk. Chodziło przedewszystkiem o otrzymanie jaknajwiększego kontyngentu cukru w związku cukrowni, jaknajpoważniejszego głosu. Wprawdzie przyznano fabryce Przeworskiej 25,000 cetn. metr. cukru w ogólnym kontyngencie; było to jednak zamało. Wówczas, po dwu latach istnienia, kupuje Przeworsk cukrownię Sędziszowską, przez co powiększa, z wysiłkiem wielkim, kontyngent swój do 48,782 cent. metr.. Ale i tego nie dosyć. Walczyć można tylko z równie udoskonaloną bronią. W czwartym roku istnienia powstaje w Przeworsku wielka i znakomicie zmontowana rafinerya, a gdy Przeworsk obecnie otrzymał techniczną administracyę tęgą i energiczną—idzie już prosto po zasłużone laury. A sprawa ta jest już zwycięstwem.

¹⁾ Cf. art. „Przeworsk i Chropin“ w zbiorze p. t. „Przedruki z dzienników krajowych o cukrownictwie.“

I to nietylko zwycięstwem w Galicyi, ale i na Bukowinie. Od lat kilkunastu na Bukowinie rząd i społeczeństwo samo, wszyscy, pragnęli postawienia cukrowni. W tym celu nieskończoną ilość razy zwracano się do rafinerów wiedeńskich porady, wskazówki. Rząd Bukowiński chętnie przeznaczał na ten cel subwencję, a nawet znaczny bardzo „fundusz religijny”. Ale nie było w interesie grupy Chropińskiej budować sobie konkurenta. Przez lat kilkanaście pod różnemi pozorami zwłóczono. Aż wreszcie ks. Andrzej Lubomirski, porozumiewszy się w imieniu Towarzystwa Przeworskiego z psem Stefanowiczem i baronem Mustatzy'm buduje cukrownię w Żuczce, pod Czerniowcami. Wówczas Chropin znowu nie przebiera w środkach i intrygach. Grozi budową konkurencyjnej fabryki: wszakżeż, gdy na Morawach zachciało się jednemu z obywateli budować cukrownię i mury już nawet wyprowadził, nie zaniechało towarzystwo Chropińskie zacząć budować tuż naprzeciw swoją cukrownię, aż wreszcie przestraszony i pieniądze ulaskawiony przedsiębiorca zaniechał budowli, a dziś stoją w tem miejscu, na Morawach, mury zaczęte naprzeciw siebie, jakby dwa pomniki chropińskiego zwycięstwa. Nie zapomniano o tem. Ale nie ulękł się Przeworsk. Cukrownię w Żuczce postawiono, przeznaczając cukier z tej fabryki do rafinowania w Przeworsku—a tuż obok, o niespełna 13 kilometrów, choć w obrębie czterystu kilkudziesięciu kilometrów nie ma cukrowni, chropińczycy postawili cukrownię w Łuzanach. Odtąd agitacja wre. Wre pomiędzy plantatorami, o których zdobycie chodzi, wre i pomiędzy konsumentami, bo o zdobycie rynku chodzi, co szczególnej wagi nabrało od chwili uchwalenia konwencji brukselskiej. Walka trudna, bo Chropin posiada znaczne fundusze, oraz mając Łuzany i Tłumacz, nie szczędzi nakładów: ale też ze strony atakowanej nie szczędzi energii ks. Lubomirski i jego kreacya centralny Związek fabryczny.

Tyle o przemysłowej przeróbce produktów rolnych w Galicyi. Teraz o innych materyałach surowych. Wprawdzie nie posiada Galicya żelaza, ale posiada drzewo, węgiel i naftę. Słów kilka o każdym.

Obszaru leśnego posiada Galicya 1,954,570 hektarów, ztąd wynika, że lasy pokrywają prawie 25% całego obszaru. Bezwzględnie biorąc uznać to musimy za obszar znaczny w porównaniu do Zachodu szczególnie; zważywszy jednak gęstość zaludnienia oraz okoliczność, że na jednego mieszkańca przypada zaledwie 0,27 hektara lasu, niemożna uważać za pewnik utartego przekonania, iż Galicya jest krajem *par excellen-*

ce lesistym¹⁾). Nie mniej jednak jest to bogactwo bardzo znaczne, skoro wywozi rocznie Galicya 70,000 wagonów, czyli 1,050,000 metrów sześć. drzewa użytkowego, oraz około 10,000 wagonów, czyli 150,000 metr. sześć. drzewa opałowego. Odbiorcami przeważnie są Niemcy, Austria, Morze Czarne i Wschód²⁾). Z tak olbrzymiej cyfry wywozu nie uależy jeszcze wniosku wyprowadzać o znacznym przyroście drzewa. Owszem, gospodarstwo leśne, pomimo nawet dosyć surowego przestrzegania przez b. namiestnika, hr. Pinińskiego, wymagań ustawy leśnej (datującej od r. 1852), było prawie do ostatnich czasów w zaniedbaniu. Wysyłano co lepsze drzewo, uiszczono lasy. Przyrost roczny zdaje się nie przenosić ogółem 6,000,000 metr. sześć. w czem zapewne mieści się 2,400,000 metr. sześć. użytkowego i 3,600,000 opałowego. A ponieważ dla uzyskania 1,050,000 metr. sześć. towaru, przydatnego do wywozu, trzeba zużyć 2,500,000 surowca, przeto wniosek wypływa, iż Galicya wywozi w stosunku do przyrostu obecnego za wiele, tem bardziej, że i na potrzeby swoje zużywa zapewne około 1,500,000 metr. sześć. drzewa użytkowego. Nie idzie zatem, by wywóz ten tak znaczny, i dziś u szczytu stojący, zmniejszy należało; trzeba tylko zaprowadzić wszędzie rozumną gospodarkę leśną, ku czemu zresztą poważne już porobiono kroki. W każdym razie drzewo jest. Nadaje się ono do wywozu, ale jednocześnie nadaje się ono, szczególnie w miejscowościach leśnych, do użytku opałowego pod kotły w zakładach przemysłowych.

Najwięcej może zaniedbaną, stosunkowo do istotnej wartości, jest podobno eksploatacja węgla kamiennego w Galicyi. Ułożenie węglowe Galicyi jest częścią wielkiego śląsko-morawsko-polskiego zagłębia węglowego. Warstwy węglonośne są w niektórych miejscach tuż pod samą powierzchnią: na przestrzeni 125 kilom. pod Jaworzmem, Niedzieliskami, Szczakową, Sierszą-Myslachowicami, w okolicy Filipowia, Tenczynka, Rudna i w kilku mniejszych miejscowościach. W wielu miejscach formacja węglowa jest w dość znacznej głębokości. Nakrycie to, stanowiące głębokość, pod którą znajduje się węgiel, składa się, stosownie do miejscowości, z warstw permskich i tryaso-

1) Dane te czerpiemy z referatu p. Maryana Małazyńskiego, wypowiedzianego na I-ym zjeździe przemysł. w Krakowie. Vide „Pamiętnik zjazdu”, str. 37 — 42.

2) Rok ubiegły szczególnie był korzystnym dla galicyjskiego przemysłu drzewnego wobec tego, że pamiętny orkan zwałił i zniszczył na Śląsku około 5 milionów kubików drzewa.

wych, a następnie Jura tworzy nakrycie, oraz flysz karpacki (na południe od Wisły) i warstwy trzeciorzędne młodsze.

A produkcya? Jest po prostu minimalna, stosunkowo do takiego bogactwa. Produkuje Galicya rocznie około 13 milionów cetn. metrycznych węgla, pomimo, że węgiel galicyjski jest względnie dobry, a nawet w niektórych miejscowościach nadaje się do koksovania. Zapewne nie jest to węgiel najlepszy. Wiadomo, że węgiel karwiński posiada 6,885 kaloryi, gdy pokład „Adam“ kopalni Tenczyńskich daje 5,739 kaloryi. Lecz nie zapominajmy, że i węgiel śląski z kopalni Mysłowickiej posiada tylko 5,977 kaloryi, a więc jest do tenczyńskiego zbliżony.

Naturalnie, głównie powiat Chrzanowski, jako wysunięty najbardziej na Zachód, jest poważnym węglą siedliskiem. Tu znajduje się gwarectwo Jaworzyńskie, będące własnością wiedeńskiej firmy Guttmanów, oraz kopalnie Sierszy i pod Krakowem kopalnie Tenczyńskie Andrzeja hr. Potockiego. Dwa te gwarectwa, Jaworzyńskie i Sierszyńskie, produkują łącznie przeszło 10 mil. cetn. metr. Wiele fabryk okolicznych, jak np. browar p. Goetza w Okocimiu, korzystają prawie wyłącznie z węgla miejscowego. Cały szmat ziemi od Sierszy, Jaworzna, aż do Zachodniej granicy, nie jest dotąd eksploatowany. Natomiast jeden z finansistów skupuje tereny, nosząc się z myślą założenia towarzystwa akcyjnego dla eksploatowania tych bogactw.

Znajduje się jednak nieco węgla i we wschodniej Galicyi, co jest rzeczą względnie bardzo mało znaną, a niezmiernie dla przemysłu ważną. Przedewszystkiem istnieje formacja węglonośna w okolicach Kołomyi i Śniatyna w Dżurowie i Myszynie. Jest to wprawdzie węgiel brunatny, znajdujący się na głębokości około 60 metr. i mający warstwy około 50 cent., oraz względnie małą ilość kaloryi (około 5,000). Są to te właśnie kopalnie, które w tragedyi Szczepanowskiego tak ważną a smutną rolę odegrały. W błąd wprowadzono Szczepanowskiego – przedsiębiorstwo runęło. Kopalnie nabyła Kasa Oszczędności, i wkrótce odprzedała p. Lityńskiemu, który produkuje obecnie około 3,000 wagonów węgla rocznie i zbyt chętny znajduje na miejscu. Prócz tej kopalni, posiada jeszcze Galicya na wschód, około Rawy i Złoczowa, kopalnie węgla niższego (około 4,000 kaloryi), należące do Romana hr. Potockiego: Glińsko, Potylicz, Skwarzawa. Wreszcie w ostatnich czasach pod samym Złoczowem znaleziono węgiel, w okolicy górzystej, a więc ułatwiającej eksploatacyę, gdyż zamiast szybami, można eksploatować sztolniami, co się daleko taniej przedstawia.

Nafta jest niewątpliwie największem bogactwem Galicyi, a jednak od niedawna, bo dopiero od czasów Szczepanowskiego racjonal-

nie i na wielką skalę jest eksploatowaną. Wprawdzie już w r. 1816 Józef Herder zaczął u siebie, w Truskawcu (pod Drohobyczem), dystalować naftę, wprawdzie później, w latach 1856 — 1857, Ignacy Łukaszewicz przyczynił się do rozwoju tego przemysłu, ale dopiero od chwili, gdy Szczepanowskiemu geniusz przedsiębiorczy zabrał się do dzieła, trysnęła nafta, i odtąd szerokiem płynie strumieniem. Szerokiem strumieniem—bo nienależy zapominać, że na świecie całym trzecie miejsce zajmuje Galicya pod względem produkcji nafty, że nigdzie na Zachodzie Europy żaden kraj nafty nie posiada, że, wreszcie, produkcya jej w Galicyi obecnie waha się około 60,000 wagonów rocznie, a ponieważ spożycie całych Austro-Węgier wynosi 45000 wagonów, przeto 15000 wagonów nafty galicyjskiej wywozi się poza Austro-Węgry. A przemysł ten bynajmniej nie ulegnie zmniejszeniu. Owszem, przypuszczać słusznie można, iż produkcya nafty zwiększoną być może. Na wzrost wielki tej produkcji niewątpliwie ma wpływ znaczny wysokie cło ochronne, które od r. 1893 uniemożliwia przyływ nafty amerykańskiej i rosyjskiej do Austro-Węgier. Czy zyskują na tem krajowcy? Zyskują, niema wątpliwości, ale nie tyle, ileby zyskiwać powinni. Zyskuje robotnik, bo znajduje pracę na miejscu, ale nie zawsze dorabia się kapitał polski, bo zaledwo połowa szybów jest w posiadaniu polskiem, a bardzo nieznaczna ilość dystylarni nafty w całym państwie należy do polskich kapitałów. Są wielkie firmy które dysponują rynkiem i zbierają krocie—ale firmy te są obce. Tak np. znanem jest towarzystwo akcyjne „Karpackie“, będące w rękach wielkiego amerykańskiego bogacza Mac Garvey'a. Zresztą, posiadanie szybów naftowych usuwa się z rąk polskich. Od czasu, gdy nafta galicyjska weszła na rynek wszechświatowy, dwaj wielcy przedsiębiorcy, Mac Garvey i Dawid Fanto, z pośpiechem skupują tereny, przez co posiadanie polskie zmniejszyło się w ostatnich latach o 30%. A prócz tych dwu posiadaczy obcych wymienić jeszcze trzeba t. zw. Bankverein, czyli związek Banków, do którego należą Deutsche Bank, Standard Oil i w. in., wiedeński Credit Anstalt i in. Z polskich właścicieli wymienimy Galicyjską Kasę Oszczędności, która nabyła po Szczepanowskim szyby naftowe i takowemi administruje, lecz o ile wiemy, po nieudanych próbach zainteresowania kapitałów polskich, zmuszoną była temi dniami odstąpić je nabywcom zagranicznym.

Dystalowanie nafty nie daje miejscowej ludności takich zysków, jakieby dawać mogło i powinno. Wprawdzie z 80 rafineryi istniejących w Austrii, 60 posiada Galicya, ale pomimo to zaledwo czwarta część nafty podlega dystalowaniu w granicach Galicyi, co dowodzi, że są to rafinerie drobne, nie przysposobione do walki. A produkcya

nafty najlepiej się opłaca — i opłacać się jedynie może — o ile prowadzoną jest na wielką skalę. Wprawdzie istnieje związek producentów surowca i rafinerów, znany pod nazwą „Petrolea“, ale jest on przeważnie w obcych rękach. Producenci polscy muszą zrzeszyć się i zdobyć się na wystawienie wielkich rezerwoarów, jeżeli chcą dysponować rynkiem. Przygotowania w tym kierunku czynią się już: pertraktuje już Bank Krajowy z Towarzystwem Magazynowem. Ale przyszłość i zatrzymanie nadal w rękach polskich tej niesłychanie ważnej gałęzi wytwórczości od zespolenia zabiegów polskich producentów zależy.

Nie posiada Galicya żelaza, a pomimo to posiada przemysł maszynowy. Nie jest to jednak przemysł na szerszą rozwinięty skalę. Wprawdzie zakładów mechanicznych było w Galicyi w 1898 r. 64; są to jednak zakłady nieznaczne. Jedynie tylko fabryka Towarzystwa akcyjnego w Sanoku oraz fabryka p. Zieleniewskiego w Krakowie są większych rozmiarów. Wyratowanie swe z trudnego położenia, w jakim lat temu kilkanaście się znajdowała, zawdzięcza fabryka Sanocka interwencji Banku Krajowego, który w chwili przełomu zaliczył fabryce 1½ miliona koron.¹⁾ Dziś administrowana wzorowo fabryka Sanocka nietylko umarza straty, ale daje nawet akcyonaryuszom dochody. Fabryka krakowska również rozwija się pomyślnie. Obydwie te fabryki opierają się głównie na istnieniu w kraju taniej robocizny oraz węgla; natomiast surowiec sprowadzać muszą z Witkowic na Ślązku. Skartelowanie w Austrii poszczególnych gałęzi wytwórczości mechanicznej w rzadkich wypadkach ułatwia istnienie i rozwój tego przemysłu w Galicyi: w największej ilości wypadków powoduje ciężkie nieraz walki konkurencyjne, tem cięższe, że kartele austriackie posiadają kapitały i często nie przebierają w środkach. Niemniej jednak produkcja maszyn i narzędzi rolniczych ma wszelkie warunki rozwoju przed sobą: znane są sieczkarnie fabryki Bredta, pługi Faranowskiego w Podhajcach, dobrocią swoją przewyższające nawet pługi Shuttlewortha.

Tkactwo koncentruje się w Białej. Jestto centrum fabryczne niemieckie. Niemniej jednak Niemcy ci w znacznej ilości, w przeważnej nawet liczbie, poczuwają się względem Galicyi do pewnych obowiązków społecznych, ogólnych. Istnienie więc tego przemysłu w Białej, społecznie biorąc, za objaw pożądany uważać należy, chociaż surowy produkt, wełna, przeważnie nie jest galicyjską, gdyż rolnictwo w Galicyi, wełny prawie nie produkuje. Produkcja tkacka galicyjska

¹⁾ Kapitał akcyjny wynosi 2 miliony koron.

ma zapewniony zbyt na Wschód. Jestto przemysł względnie dosyć znacznie rozwinięty, skoro jedna fabryka Zippsera zatrudnia około 2,000 robotników. Prócz tych większych zakładów niemieckich, są jeszcze rozsiane po kraju zakłady drobniejsze, jak w Żywcu, w Kątach, w Rakszawie (własność Tow. akc. dla wyr. tkackich) w Łańcucie, i inne. Przemysł bawełniany również jest na drodze do znacznie-szego rozwoju. Wydział krajowy uchwalił subwencyę 300,000 koron na tkalnię bawełnianą. Powstało kilka projektów założenia szkół zawodowych: zamierzonym jest założenie szkoły takiej w Krośnie, gdzie ludność od niepamiętnych czasów—czego dowodem nazwa sama—krośnami się po dziś dzień zajmuje. Prócz tego Władysław hr. Zamoyski pragnie rozwinąć ten przemysł w Słotwinie i, wreszcie, istnieje projekt skorzystania z subwencji krajowej w celu rozwinięcia tkactwa bawełnianego w Andrychowie. Projekt ten jest bardzo dobrze pomyslanym, gdyż Andrychów znajduje się w zachodniej części Galicyi sąsiadując niemal ze zniemczoną Białą; byłaby to więc przeciwwaga w Galicyi inwazyi elementu niemieckiego z Białej, inwazyi która coraz bardziej się rozszerza.

Przebiegliśmy w ogólnych zarysach warunki rozwoju niektórych ważniejszych gałęzi przemysłu galicyjskiego. Z tego już obrazu wywnioskować możemy jedno: przemysł jest. Ale, z konieczności rzeczy, nie mogliśmy przedstawić całokształtu wytwórczości. Bo ileż jeszcze drobniejszych z pozoru, a niezmiernie ważnych gałęzi przemysłowych w Galicyi naliczyliby można! Znany przecież jest doskonały stan przemysłu papierniczego w Galicyi. W Białej i Czańcu istnieją znakomite fabryki masy drzewnej, papier nadto produkują hr. Zamoyski w Zakopanem i p. Jakubowicz w Rajczy, wreszcie znany jest papier t. zw. „czerpany“ p. Lipińskiego w Karaiewicy, oraz papiery „urzędowe“ p. Koliszera w Czerlanach. Przytęm rozwinięta się na dużą skalę produkcyja tutek cygaretowych, która w znacznej ilości zaspakaja potrzeby austriackiego monopolu tytoniowego. Zaznaczyć jeszcze należy, że nieskończenie ważną, kto wie nawet, czy w przyszłości nie najważniejszą rolę posiada i mieć będzie dział konfekcyi wszelkiej, a więc tej produkcyi gdzie ręka ludzka przeważającą gra rolę.

Tu słów kilka o drobnym przemyśle, bo zeń w tym względzie soki ożywcze czerpać należy. Nie będziemy tu mówić o przemyśle wyrobów z drzewa, który, jak dobrze wiadomo, rozwinięty jest tak znacznie na całym Podkarpaciu. Wspomnijmy tylko o takim ośrodku drobnego przemysłu jak Wiązownica, gdzie staraniem ks. Czartoryskiej cała ludność zabrała się do rozumnej produkcyi drobnej, nie

przeszkadzającej bynajmniej robotom polnym. Godzi się podnieść wielką w tej sprawie zasługę czcigodnej księżnej Jerzowej Czartoryskiej, która nie tylko osobiście wraz z córką nie szczędzi zabiegów dla udoskonalenia techniki i smaku tych wyrobów wśród swego włościanstwa, ale potrafiła nawet uczynić je popularnymi w Wiedniu i wyrobić dla nich szeroki zbył w stolicy państwa. Kilimy, a nawet ornaty wiązownicze na wystawie zeszłorocznej we Lwowie powszechną uwagę zwracały. Wspomnijmy o związku powroźników w Radymnie, o produkcji kapeluszy w Myślenicach, zorganizowanej już na większą skalę przez ks. Kazimierza Lubomirskiego, o kapeluszach słomkowych w Morawicy, wreszcie o makatach i kilimach, które w tym roku na wystawie wiedeńskiej wszystkich poprostu w zachwyty wprawiały. Rzeczą jest charakterystyczną, że makaty i kilimy tem są piękniejsze i wzorzystsze, im bardziej się na wschód posuwają; widocznie ludność tamtejsza, większą domieszkę krwi wschodniej mająca, kocha się w barwach wyraźniejszych. Na zachód idąc barwy szarzeją. Najpiękniejsze są kilimy w Buczaczu, hr. Oskara Potockiego, gdzie ludność jest wyraźnie tatarskiego pochodzenia.

*

*

*

Hinterlandem Austrii jest Galicya. Widzieliśmy to w rozpatrywaniu każdej niemal gałęzi przemysłu galicyjskiego. „Nawet naturalne bogactwo kraju, obfite źródła naftowe—pisze prof. Głębiński¹⁾—stają się dla nas groźną klęską ekonomiczną wskutek naszej niemocy, dezorganizacji i zawisłości od obcego przemysłu, od obcej polityki przemysłowej. Kraj w sercu Europy, mający faktyczny monopol produkcji nafty i wosku ziemnego, upada pod ciężarem tego monopolu, rzesze robotników tracą chleb, zarobek, a rząd centralny rozważa chłodno polityczne korzyści ewentualnej „koncesyi“ w tej sprawie na rzecz Koła polskiego“.

Nie wchodzimy tu w roztrząsanie sprawy wyodrębnienia Galicyi, nie będziemy tu przypominali dziejów tej sprawy od chwili, gdy Paweł Popiel pisał słynną naówczas broszurę, gdy Helcel i Lubomirski rozwijali poglądy ustroju federalcyjnego, gdy mniejszość konserwatywna krakowska na Sejmie z r. 1867 w uchwale z dn. 2 marca

¹⁾ Cf. „Idea samodzielności a finanse Galicyi“, str. 5.

sprawę tę zatwierdziła i znalazła się w mniejszości pomimo poparcia demokracji Smolki—samo zarysowanie tej sprawy, znanej zresztą, zaprowadziłoby zadaleko. Tu stwierdzimy tylko, że wyodrębnienie polityczne Galicyi poprzedzić powinna emancypacja ekonomiczna kraju. Ale oto znowu błędne koło: wyzwolenie gospodarcze bez wyodrębnienia politycznego natrafia na przeszkody tak wielkie, że przewyciężenie ich nieraz niemożliwem się zdaje.

Jednak duch idzie i czyni. Przed samym zebraniem Sejmu w październiku r. z. pisano w jednym z pism lwowskich. „Dział produkcji przemysłowej występuje w tym roku wobec sejmu z podwyższonemi znacznie żądaniami, opartemi na naturalnym rozwoju akcji popierania przemysłu, zainicjowanej już przez reprezentację krajową dawniejszemi uchwałami sejmowemi a nadto wynikającemi z ogólnego nastroju, jaki w kwestyi uprzemysłowienia kraju od niejakiego czasu wybitnie się objawia“.

Tak jest—jest nastrój, który w „kwestyi uprzemysłowienia kraju od niejakiego czasu wybitnie się objawia“. Otóż zawsze i wszędzie zasługą było i jest danie ogólnemu nastrojowi formy konkretnej, pożądanej a pożytecznej. Taką zasługą jest powołanie do życia w d. 1 wrześ. r. z. „Centralnego Związku Galicyjskiego przemysłu fabrycznego we Lwowie.“ Prezesem związku jest ks. Andrzej Lubomirski, dyrektorem bar. Battaglia.

Czego związek chce? Jakie ma widoki? Jak dotąd szedł? Do czego dojdzie?

„Celem towarzystwa (tj. związku) jest przestrzeganie wspólnych interesów przemysłu krajowego, a przede wszystkim systematyczne reprezentowanie wszelkiego rodzaju interesów przemysłu fabrycznego, spełnianie wobec swoich członków funkcji organu doradczego, zarówno w kierunku technicznym jak i komercyjnym, regulowanie kwestyi robotniczej z równorzędnem uwzględnieniem interesów pracodawców i robotników; dążność do stworzenia, względnie podniesienia zbytu naszych wyrobów, zarówno w kraju jak i poza krajem przez trwałe utrzymywanie stosunków w rozmaitych centrach handlowych; badanie warunków poszczególnych gałęzi przemysłu i ewentualnie inicjatywa do zakładania nowych lub rozszerzenia przedsiębiorstw przemysłowych; wreszcie zabieranie w ogóle głosu w wszelkich kwestyach, obchodzących nasz przemysł i handel krajowy.“¹⁾

1) art. 2 Statutu.

Szeroki zakres, nieprawdaż? A środki finansowe? każdy członek obowiązany jest do wnoszenia wkładek stosownie do płaconego podatku zarobkowego ¹⁾. Dziś do związku, choć zaledwie liczy kilka miesięcy istnienia, należy już 176 członków, opłacających przeszło 26,000 koron. Summa niewielka, a jednak, jak zobaczymy, dorobek kulturalny już znaczny, może właśnie dlatego, że Związek szerokie zakreślił sobie zadania.

Opinia publiczna, odczuwając w powstaniu „Związku“ rzecz wielkiej wagi społecznej, powitała sprawę tę godnie i szczerze. „Centralny związek galicyjski przemysłu fabrycznego wprowadza do naszego życia element zupełnie nowy, wyższego ustroju — pisał „Dziennik Polski“ w kilka dni po założeniu Związku ²⁾ — zbliżający nas o duży krok do krajów z wyższą kulturą ekonomiczną. Tam związki takie istnieją wszędzie oddawna, a dobroczynny ich wpływ na indywidualne, nawet drobne interesy przemysłowców jest tak wielki i powszechnie uznany, że niema prawie fabryki, któraby do nich nie należała. Że jednak nasz związek nie jest ślepem naśladownictwem zagranicznych wzorów, tylko wytworem własnych potrzeb i sił, tego dowodzi przede wszystkim fakt, że tak długo potrzebowaliśmy na niego czekać. Został on już grunt tak dalece przygotowany, że na pierwszą wieść o jego powstaniu, stanęły do apelu wszystkie najpoważniejsze firmy kraju, a lista członków wydziału pierwszymi błyszczała nazwiskami. Biuro Związku, ledwie otwarło swe podwoje, jest już zawałone ogromem spraw pierwszorzędnej doniosłości“.

A co dotychczas działo się? Zdziało się już przez czas tak krótkiego, bo zaledwie kilkumiesięcznego istnienia, bardzo wiele. Naprzód dzielnie przoduje Związek cukrowni polskim, Przeworskowi i Żuczce, w walce z Chropińczykami. I chociaż Chropińczycy zarzucali rynki, że strata swoją, cukrem, po cenie, po jakiej Przeworsk nawet nie był w stanie odstępować produktu swego engrosistom, doszedł Związek przez nawoływania ciągle do tego, że ogół nie chce innego cukru kupować, jak tylko cukier przeworski! Dawno — może nigdy jeszcze — nie widziany u nas fakt solidarności. A skutek jest ten, że gdy w poprzednich latach Przeworsk sprzedawał na rynku galicyjskim co najwyżej 490 wagonów cukru rocznie, w tym roku umieścił 1,270 wagonów. Ogół zaś konsumentów ofiar nie poniósł, bo

¹⁾ Minimum dla płacących podatku od 500 do 1000 koron wynosi 100 koron rocznie, maximum dla płacących powyżej 10,000 koron wynosi 800 koron.

²⁾ Vide „Dziennik Polski“ z d. 8 kwietnia 1903 r.

różnicę ceny pokryć musieli engrosiści, nie zaś spożywcy, a ci musieli być dobrze wyćwiczeni i wiedzieli, czego chcą, skoro engrosistom oprzeć się umieli. Wiedzieli, czego chcą — a w życiu publicznem to cnota, ponad którą niewiele cnót góruje.

Ale jeszcze ciekawszym jest fakt inny. Kartele austriackie producentów wyrobów żelaznych postawiły sobie za zadanie zabicie fabryki żelaznej Sanockiej. Obniżono dla konsumentów galicyjskich ceny za rury i inne przedmioty żelazne do niesłychanie niskiego poziomu. Oczywiście, Sanok nie mógł ponosić takich strat i po tak niskiej cenie produkować nie był w stanie. Wdał się w tę sprawę „Związek“. Przez umiejętną agitację dokonał tego, że wszystkie gminy galicyjskie poczyniły znaczne zamówienia swoje nie w fabrykach austriackich, ale w fabryce Sanockiej, choć oferty tej fabryki znacznie były droższe. Jest to już po prostu dowód wielkiej dojrzałości społecznej: nie oglądając się na chwilową oszczędność, zrozumiały zarządy gminy, że przez zabicie Sanoka wprowadziłyby do kraju konkurenta, który w przyszłości nie omieszkałby odbić w dziesięćkroć ofiary, poniesione chwilowo w celu pozbycia się niewygodnego konkurenta.

I tak działa Związek w każdej gałęzi przemysłu. W sprawie gorzelniczej wytwórczości dąży obecnie do założenia wielkiej instytucji, któraby uwolniła producentów okowity od supremacji austriackich rafinerów; w sprawie kopalnictwa przedsięwziął Związek energiczną działalność na korzyść węgla krajowego; w sprawie młynarstwa domaga się przywrócenia obrotu młewa; dalej domaga się jak najszybszego upaństwowienia kolei północnej, a to z tego głównie względu, że towary ze wschodniej Galicyi wysyłane do Austrii, wchodząc za Krakowem w sieć kolei północnej, już nie korzystają z dalszych ulg strefowych, lecz nowej taryfikacyi ulegają, i t. d.

Wyliczyćby nawet się nie dało całego tego ogromu prac i zabiegów Związku. Bo oprócz niezliczonych memoriałów do władz, reklamacyi, porad technicznych — a wszystko są toroboty rzeczowe, konkretne — jest jeszcze cała dziedzina działalności, którąby duchową nazwać można. Społeczeństwo uczyć trzeba, trzeba utrzymywać pewien nastrój. Ku temu służą ciągle wiece przemysłowe, ku temu służy założone kosztem prezesa Związku biuro reklamy wyrobów krajowych, ku temu służą wreszcie ciągle przezeń urządzone wystawy „przeглядowe“. Trzeba pokazać naocznie społeczeństwu, co ma — to jest zadaniem takich wystaw, odbywających się po całym kraju. Niedawno jeszcze odbyły się takie wystawy w Brzeżanach, Gorlicach, Tarnowie, w Krośnie, w Krakowie, obecnie w Samborze, a oprócz tego już w dziewięciu innych miasteczkach projektują się podobne wy-

stawy. A niezależnie od tego, urządza już Związek wędrownie wystawy wzorów.

Związek nie śpi. Działa konkretnie i trzeźwo, gdzie działać trzeźwo potrzeba; działa gorączkowo tam, gdzie nastrój utrzymać potrzeba. Jestto pierwsza w tym rodzaju, z tym impetem, z tą celową świadomością prowadzona robota, mająca na celu zogniskować praktycznie wszelkie warstwy pracy przemysłowej w Galicyi.

Przyczyniać się do wzmacniania świadomości celowej pracy, to znaczy siać zdrowe ziarno, to znaczy przysparzać sił, a gdy jest moc, wówczas jest i wytrwanie i pożyteczny plon.

Tej zbożnej pracy szczęść Boże!

HENRYK RADZISZEWSKI.

Wszystko co stworzył Bóg jest dobre i piękne, a jeśli ktoś nie chce tego, to niech się nie buntuje.

Sobiesi nie bóg, bo on nie stworzył człowieka, tylko Bóg stworzył człowieka, a człowiek nie może się buntuje przeciwko Bogu, tylko przeciwko samemu sobie.

Z cyklu: Życie.

I.

Proch ziemi — w ziemi mam kres.

Nie pójdę dalej

Poza Dolinę łez.

Choć mi się serce spali

Od żarów pożądania

Synajskich szczytów

I światła mórz,

Syn bólu, syn poznania,

Syn błądych ziemi świtów

I ziemi wzgórz,

Nie przejdę za nic

Własnych mych granic,

Nie przejdę Doliny łez!

Tu mi jest dan

Pracy mej łąn,

Tu mego dnia użątek

Po siewaczach z prawieka...

Tu i mój siew,
Dla niezrodzonych żeńców,
Co z prochu mogił wezmą twarz człowieka,
I z chłodu mogił wejdą w życia wrzątek.

Tu jest i bój,
I tryumf mój,
I moja pieśń zwycięska,
I kwiaty moich wieńców.
Tu moja klęska,
I moja krew!

Zamknion jestem sam w sobie,
Jak w dożywotnim grobie...
Zamknion jestem w otoku,
Z którego mi — ni kroku...
Zamknion z moją rozkoszą,
Zamknion z moją rozpaczą,
A wichry mnie ponoszą,
A burze mnie kołaczą...

Biegnę, padam, powstaję,
Przez dróg splełanych wątek,
Przez obłądne rozstaje,
Przez piekła i przez raje
Wracam — gdzie mój początek.
A mój początek ten:

— Rozbity gwiazdny sen,
 Sen w odrzutki rozbity,
 Zaniecający świty,
 W prochach, co dawno były,
 I śmierci sen prześniły,
 I leżą — martwe pyły...

A mój początek ten:
 -- Wicher, co lata -- hen,
 I niesie w chaos dziki,
 Śmiech, klątwy i okrzyki,
 Omdlenia, spazm niemocy...
 — Wicher, co w dzień i w nocy,
 Jak furja zapieniona,
 Ciska życia nasiona,
 Nie dbając, kędy padną.
 Na szczyty, albo na dno.

W czasie poczęty,
 W przestrzeni zaklęty,
 Ja — proch -- rzucony
 W zrodzenia, w skony,

Ja — żywy pył
 Zmartwiałych brył,
 Ja proch — w prochu mam kres.

Nie przejdę za nic
Pośpnych granic
Doliny łez!

.

Ja — duch — wyjdę bez szwanku
Z krwawego szranku,
Wyższy o życie jedno,
O jeden zacios w słońce;
Wylecę nad bezedno,
Rozwieję piór mych końce
W jutrzennosc wiecznych zórz...

Jak gołąb z Arki stropu,
Wylecę z wód potopu
Na jasne Araraty,
Gdzie słońce słońce promieni,
Tam spocznę — duch skrzydlaty.

Jako srebrne łabędzie
Przepłynę skrós krawędzie
I czasu, i przestrzeni,
I własnych wichrów, burz...

Ze krwi wyjdę i z wojny,
Na ocean spokojny,
Po którym cicho żeglują wszechświaty.

Dla mnie jest zbudowana
Jakóbową drabiną,
Co w prochu się poczyna,
A idzie w wieczne światło.
Przez ból, przez łzy,
Przez wizje prorocze,
Przez śmierci sny,
Przez sny globowe,
Przejdę, przekroczę
Własną ośnowę,
A nie zostanie po mnie na powietrznym szlaku,
I tyle drżenia, ile po przelotnym ptaku.

Nad życia krzyki,
Nad życia noc,
Przez własną moc
Wylecę wzwyż
I wielkie skrzydła nad ziemię uniosę,
I z piór otrząsnę krwawą istnień rosę,
I światłolity
Rozchwieję puch,
I w boże świty
Wstąpię — ja — duch!

MARYA KONOPNICKA.

GDZIE ARNO PŁYNIE.¹⁾

IV.

W niedzielę Wielkanocną wszystkie muzea nawet we Florencyi zamknięte; wybraliśmy się tedy wszyscy po nabożeństwie i drugim śniadaniu do sławnego miasteczka, położonego na jednym ze wzgórz, otaczających tokańską stolicę. Tylko pani Helena została w hotelu, nie wiem z jakiego, ale z pewnością z jakiegoś bardzo cnotliwego powodu, a z tego wyniknął ten skutek, że kiedyśmy siedzieli na tarasie, przed Badią, czyli starem dominikańskim opactwem we Fiesole i z tamtąd patrzyli na górzystą i sielską dolinę Arnu, panna Mania była ożywiona i wesoła, z czego znów wszyscy byliśmy bardzo radzi.

Widok z tego tarasu jest istotnie śliczny, a miasto Florencyja ze swojemi kopułami i wieżami wygląda, jak jakiś klejnot, najprędzej jak jakiś ogromny, a misternie rzeźbiony agat, wśród oprawy zielonych gór i gajów. A rzecz to ciekawa; trudno o miasto, w któremby z bliska było więcej okazałych, potężnych gmachów, wielkich kościołów i pałaców, w któremby więcej rzeczy wydawało się być raczej dziełem tytanów, niż ludzi; a z daleka stąd, z Fiesole, albo z przeciwnego San Miniato znika wszystko, prócz jedynej katedry, i całe miasto wydaje się niewielką przybudową do ogromnej świątyni, poświęconej św. Maryi Kwietnej. Nawet *Palazzo Vecchio* ze swoją zuchwałą, szczyrbatą wieżą i wielkie *Palazzo Pitti*, zbudowane z ogromnych, nieociosanych, spiętrzonych na siebie głazów, maleją niktzemnie wobec owej marmurowej góry, olbrzymiej kopuły, jaką Brunelleschi dźwignął nad florencką katedrą. Ta kopuła tworzy środek krajobrazu i tak dalece oczy ku sobie ściąga, że widok na dolinę Arnu, mimo niezmiernej różnorodności szczegółów, tworzy tak klasycznie

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy, str. 1;—lutowy, str. 278.

jednolitą całość, jak mało co innego na świecie. To też i nasza rozmowa wracała ciągle do tej katedry, w której panie nasze sumy wysłuchały. Wszystkie były tym kościołem zachwycone.

Pani Jadwiga najwymowniej spowiadała się ze swego zachwyty:

— Żaden gmach na świecie tak mnie swoją potęgą nie uderza, jak ta katedra, ilekroć spojrzę na nią, wychodząc z *Via del Proconsolo* na *Piazza del Duomo*. Wtedy okrągły ogrom kopuły wyrasta przedemną z otoczenia mniejszych półkopulek, jakby jakiś osobny planeta, który stanął nagle wśród miasta i całe otoczenie swoje obrócił w niwecz samym swoim majestatem. Gdy potem obchodzę dokoła olbrzymią nawę, bywam olśniona bogactwem zewnętrznej powłoki kościoła, hojnością wielobarwnych marmurów, któremi ogromne wyłożono ściany, misternością rzeźb, gźemsów i mozaik po oknach i portalach. Podziw ten wzrasta jeszcze, gdy stanę pośrodku, pomiędzy starą, ośmiokątną chrzcielnicą a frontem katedralnym. Takiej wspaniałości, takiego bogactwa, jak na fasadzie katedralnej, nie widziałam chyba nigdzie, a dzwonnica Giotto, która się obok fasady dźwiga, to doprawdy klejnot niezmiernie kosztowny, a nad wyraz wzięcznie wytoczony, i słusznie mawiał cesarz Karol V, że tę dzwonicę należałoby schować do pudełeczka od brylantów. Kiedym to wszystko po raz pierwszy ujrzała, wyobrażałam sobie, że dopiero we wnętrzu kościoła roztoczy się przed moimi oczyma wprost jubilerskie bogactwo, że tu dopiero ujrzę profuzję kamieni drogich i rzeźb rozmaitych, wobec której zbledną nawet wnętrza katedry Sienneńskiej i bazyliki świętego Pawła w Rzymie; i bałam się, że tego bogactwa będzie nadto wiele, że nie da myśli zebrać, że nie pozwoli na modlitwę. Gdy przeto przestąpiłam progi kościelne, aż wstrząsnęła mną nagość naw olbrzymich, białych sklepień i filarów, wszelkiej prawie pozbawionych ozdoby. Zrazu nie mogłam się opamiętać. Weszłam w jakiś zmrok przezroczysty, pełen potęgi nadludzkiej; w miarę, jak postępowałam dalej, wzmagala się jeszcze ta potęga i rosła wciąż, aż nareszcie stanęłam pod kopułą i owiało mnie tchnienie, już nie potęgi, tylko wszechmocy Bożej. Uczułam się sama w obliczu swojego Stworzyciela i zrozumiałam, że to właśnie taki kościół, jaki być powinien. Na zewnątrz bogactwo i okazałość świadczą, że to świątynia Pańska i wołają wiernych wołaniem donioślejszem od odgłosów dzwonów; na wewnątrz niema już nic, prócz Boga i nic, coby od myśli o Bogu oderwać mogło.

— A przecież—zawołała Mania—ja tam od tych murów nagich, oczu swoich oderwać nie mogłam; każdy ostrołuk, każdy filar, każde murów zagięcie, ma dla mnie jakiś wdźwięk niewysłowiony. Nie rozu-

miem się na tem, ale zdaje mi się, że doskonale, matematyczne kościółka proporcye, bardziej jeszcze działają na duszę od ogromu budowy, że wszelkie ozdoby byłyby tu dlatego nie na swoim miejscu, byłyby wprost grzechem, ponieważżby piękność architektonicznych linii przerywały. Tego zdania od nikogo nie słyszałam, nigdzie nie wyczytałam, ale zdaje mi się, że ten kościół, to najdoskonalsze arcydzieło budownictwa chrześcijańskiego.

Zygmunt, który był po imieniu z Manią, jako ze swoją krewną, nie śmiał się wpiers wprost ciotce sprzeciwić, ale teraz odezwał się ze zdaniem, odbiegającym daleko od podziwu, wyrażonego przez pannę, i taką oto krytykę katedry florenckiej wyrecytował bez zająknięcia się, powtarzając uczone wywody i zdania przeczytane, które go własnego pozbawiały sądu:

— Tej katedry podziwiać nie wolno. Wywarła na tobie ogromne wrażenie; mnie także imponuje ogromem i siłą, a na wewnątrz przenika grozą, skłania do modlitwy; są jednak tacy, którzy powiadają, że na zewnątrz wygląda, jak ogromna posadzka, sztorcem postawiona, albo jak olbrzymi piec kaflowy, że na wewnątrz jest odrażająco zimna i naga. To są wrażenia osobiste, podmiotowe — przepraszam za wyrażenie, ale lepszego nie znajdę — to rzeczy gustu, o które, jak wiadomo, nie uchodzi się spierać. Ale podziwiać wolno tylko dzieło sztuki, nie to, które nam się przypadkiem podoba, tylko to, które jest istotnie piękne, a zatem prawidłowo postawione. Tej katedrze tego przyznać bezwarunkowo nie można; i owszem, jest stękiem grubych błędów architektonicznych. Postawiona bez przypornc, nie przedstawia rozczłonkowania ani na fasadzie, ani na powierzchni naw, a ubóstwo architektoniczne, jednostajność nużącą pokrywa malowniczym raczej, a nie budowniczym efektem wzorzystych marmurów i płaskorzeźb. O efekcie i rozczłonkowaniu architektonicznym jest tylko mowa u wschodniego końca kościoła, dokoła kopuły, właśnie od strony *Via del Proconsolo*. Ale tu, jakkolwiek wykonano budowę imponującą i majestatyczną, podeptano wszystkie zasady struktury gotyckiej; sam pomysł tej ogromnej kopuły jest rażąco herezyą, a cóż powiedzieć dopiero o okrągłych oknach i muszlach renesansowych, które pomieszczono w górnych częściach kościoła? Cała ta budowa na zewnątrz przedstawia takie pomieszanie pojęć, że trudno powiedzieć, czy mamy przed sobą gmach gotycki, czy też renesansowy? Na wewnątrz mrok modlitewny i powszechnie ostrołukowe sklepienia głoszą, że tu chodzi o gotyk. Skoro o tem wiemy, dopiero niczego chwalić nie możemy. Słupy za daleko od siebie rozstawione; luki, sklepienia zanadto szerokie; okna nazbyt rzadkie i nazbyt małe — wcale nas nie zmuszają do tego, abyśmy wzrok

i myśl ciągle ku górze kierowali, wlatywali nieustannie duszą do Boga, do którego nam dolecieć nigdy niepodobna. A tego się od gotyckiego kościoła domagam.

— Tak jest — rzekła na to pani Jadwiga — przyznaję, że się w tym kościele nie zrywam do nieskończenia tęsknego lotu, jak w niektórych niemieckich i francuskich katedrach. Ale zato, kiedy stanę przed tutejszą kopułą, mam wrażenie, że sam Bóg zstąpił do mnie na ziemię i że ja, marne ludzkie stworzenie, spoczywam już na łonie jego nieskończonej wszechmocy. Może być, że ty, będąc młodym i pragnąc walki, wolisz się nieustannie zrywać do tego, czego wiesz, że nigdy nie dopniesz. Mnie miłsze miłosierdzie Boga, który się ku mnie skłonił, nie tracąc nic na swoim majestacie, który mnie objął ogromem swoim i który mnie darzy pokojem. W tamtych północnych tumach czuję niepokój, czy też kiedy Boga znaleźć potrafię? W katedrze florenckiej przenika mnie pewność, że Bóg jest, że go już posiadam.

Odezwałem się teraz: — Widzisz, panie Zygmuncie, tym samym prawem i posługując się zupełnie podobnymi argumentami, jak te, które pan użyłeś, gdyś odmawiał artystycznej wartości katedrze florenckiej, można skrytykować z kretesem te katedry północne, które pan w myśli tutejszemu tumowi przeciwstawiałeś, a mianowicie katedrę kolońską, taką, jaką profesorowie dziewiętnastego wieku wykończyli, według recepty powszechnie w Niemczech przyjętej. Słyszałeś już w tej chwili z ust swojej ciotki, że w tumach północnych dusza szuka niespokojnie Boga, a znaleźć go nie może, i to byłby zarzut najdonioślejszy i najistotniejszy, dający się w pełni tylko do kościołów niemieckich zastosować, a rzucający bardzo ciekawe światło na ustrój ducha rasy germańskiej. Na tem jednak nie kończy się bynajmniej, i dla ilustracji obejdę się równie bez miłosierdzia i z katedrą kolońską, jak się pan obszedłeś z tutejszym tumem. Powiem, że fasada kolońska, to dwie zupełnie jednakowe wieże, niby ośle uszy, albo rogi olbrzymiego ślimaka, połączone z sobą nieorganicznie, wcale nie murem, tylko dwiema dziurami, bramą i ogromnem oknem nad bramą osadzonem. Te dwie wieże przeszkadzają sobie w dodatku nawzajem; dlatego, że jest ich dwie równych, żadna z nich nie wydaje się na prawdę wielką, a ponieważ są zupełnie jednakowe, przestają być wytworem bujnej wyobraźni artysty, a są prozaicznym dziełem jakiejś fabryki, wyrabiającej akuratnie wieże katedralne na obstalunek. Zresztą, w całym tumie nie znajdziesz nigdzie prawdziwego muru, czegoś, coby było architekturą i całością; oko widzi same tylko szczegóły filigranowe, mogące bawić dziecko lub prostaka i widz nie rozumie, po co te szczegóły tak, a nie inaczej,

ustawiono? Same tylko dziury i ramy naokoło tych dziur. Przypomina się powiedzenie, że kto chce zrobić obwarzanek, ma wziąć dziurę i tę dziurę oblepić ciastem, a Vasari pisał w szesnastym wieku, że takie barbarzyńskie kościoły wyglądają, jak budowy nie kamienne wcale, lecz papierowe. Na zewnątrz katedra kolońska, zewsząd przepornicami otoczona, wygląda, jak ogromny pajak, któryby zamiast ośmiu nóg, miał nogi niezliczone; na wewnątrz, to olbrzymia szklarnia, i trudno pojąć, jak to się trzymać może? Na to, aby architekturę tę kuglarską zrozumieć i podziwiać, trzeba dopiero posłuchać wykładów technicznych, które wytłómaczą, jak mądrze te kamienie ułożono, chcąc olbrzymią postawić łamigłówkę; wtedy się dowiemy, że to wszystko obmyślane, że każdy gzems, każdy kamień tu koniecznie potrzebny, że jak jeden szczegół zabierzesz, zarysuje się całe sklepienie. Ale o tem dowiesz się dopiero, tego przenigdy nie zobaczysz; — tak samo, jak się możemy o tem dowiedzieć, że wszystkie szczegóły w arcyszczucznem nowożytnem społeczeństwie mają swoje przeznaczenie i na całość oddziałują, choć widzimy i czujemy, że to same luźne jednostki i kupki jednostek, choć się zdaje ustawicznie, że to społeczeństwo, to wóz, do którego w ten sposób mnóstwo koni zaprzęgnięto, iż każdy koń w inną ciągnie stronę. Tak mógłbym skrytykować katedrę kolońską i tak gmachy gotyckie odsądzano istotnie od wszelkiej estetycznej wartości przez parę wieków, kiedy sądzono każdy budynek podług norm obowiązujących w budownictwie włoskiem. Pan tak samo skrytykował katedrę florencką, domagając się koniecznie, aby wyglądała tak, jak północny tum gotycki. To zupełnie tak samo, jakbyś pan chciał piękność panny sądzić podług tego, czy jest podobną do konia pełnej krwi. Nie prawdaż, iż pan byś się wtedy, wydał sobie nieskończenie śmiesznym? Prawie równie śmiesznym jest estetyk Niemiec, choćby się nawet Burkhardem nazywał, kiedy chce do tutejszego tumu przystosować miarę północnego gotyku, kiedy to coś całkiem odmiennego, to kościół w stylu tokańskim postawiony i najpiękniejszy ideał tokańskiego kościoła. Równie śmieszną, przynaję to bez ogródek, była krytyka tumu gotyckiego na północy, którą przed chwilą wygłosiłem. Piękność klasyczna i romantyczna mają każda w swoim zakresie równe prawa, a ludzie na mglistej wychowani północy, przyzwyczajeni od wielu pokoleń do marzeń nieokreślonych wśród długich zimowych nocy, są niezawodnie zdołni klasyczną piękność podziwiać, tworzyć jej może nigdy nie potrafią, a wyrazem ich duszy najwymowniejszym, wzruszającym także południowca, byle nie miał uprzedzeń, będzie fantastyczność nieuchwytna sztuki romantycznej, której doskonałym wzorem północny kościół gotycki — taki przynaj-

mniej, jaki powstał istotnie w średnich wiekach. Bo złą uczyniono przysługę niejednemu staremu tumowi, a przede wszystkim może katedrze kolońskiej, gdy gmach za dawnych czasów niedokończony, wybudowano według planu i systemu, usnutego przez metodyczną naukę nowożytną. Krytycznie i systematycznie wywnioskowano z różnych, jednakowo niedokończonych budowli, jakie średnie wieki nam pozostawiły, ideał wspólny, do którego wszyscy budowniczowie starzy dążyli, którego jednak nigdzie nie ziszczone w zupełności. Niemiecki tedy naród i królowie pruscy w napadzie retrospektywnej a ciężko uczonej romantyki, znamiennej dla większej części minionego stulecia, wybudowali katedrę kolońską do końca, ziścili średniowieczny ideał za pomocą kapitałów nowożytnych i nowożytnej techniki—i nie mało się radowali swoim dziełem. Z całą powagą nauki kazano narodom podziwiać i posłuszne narody, zrazu przynajmniej, podziwiałały potulnie; aż nagle uczuły, że zamiast cudownego, starego budynku, postawiono kolosalną maszynę nowożytną, że sporządzono coś nakształt fałszywych brylantów i fałszywej koronki, że nie wykończono, ale zabito, zniszczono starą, romantyczną katedrę, której zabytki przychodzi teraz z trudnością odszukać wśród niesmacznie metodycznej, uczonej, nieznośnie wykończonej i niejasnej łamigłówki murów nowożytnych. Urokiem wszelkiej romantyki jest niewykończoność, dążenie do jakiegoś wspaniałego celu, tak wielkiego, że go osiągnąć nie może, tęsknienie za dobrem, którego dopiąć nie zdołamy. To uczucie wyrażają pędzące w górę i w ciemność flary kolońskiego tumu, a dzięki mrokom świątyni, wrażenie wnętrza tego kościoła nie zostało ze wszystkim zatarte i po nowożytnej przebudowie. Na zewnątrz cały urok znikł. Nie jest to przypadek, że nigdy wszystkich wież wielkiej średniowiecznej świątyni nie wybudowano do końca. Podług ideału miało ich być trzy; dwie z przodu, po obydwu stronach portalu, a trzecia, tak zwana sygnatura, nad samym środkiem kościoła. Zazwyczaj żadnej nie doprowadzano do końca, wszystkie drażnią tylko wyobraźnię, każą jej bujać gdzieś pod obłoki, a co najwięcej, jedna tylko sterczy wyniosłe i wydaje się przeto ogromną i nieprzebranie fantastyczną; tamte, niegotowe, wzywają widza, aby je wybudował w myśli. Gdzieniedzie tylko stoją przy murach kościelnych strojne przypornice, których konstrukcyjne znaczenie nauka nowożytna przesadziła śmiesznie; tych kilka przypornic, tu i owdzie z dachu wychodzących, mniejsze wieżyce, ogromne, w posągi strojne portale, przerwane i porzucone przed wiekami nawy, malownicza gmachu nieregularność, każą się domyślać planu mądrego, zamiarów nadludzkich i w najrozkoszniejszą wprawiają zadumę. Ręka świętokradzka, przeszłowieczna tę zadumę odegnała

spróbowała niedorzecznie ideał misterny zamienić w rzeczywistość, przedobrzyła, stworzyła coś przeładowanego, nieprzejrzanego, którego ogrom jednak nigdy snom wyobraźni nie dorówna. W Kolonii nie darowano nawet sygnaturze, a że w miejscu, gdzie stać powinna, żadne się nie mogły ostać mury, nie wahano się postawić — o zgrozo! — sygnatury żelaznej, wieży blaszanej, która całe średniowieczne marzenie w najprozaiczniejszą zamienia prozę. Oby się tak nie stało z całym nowożytnym postępem, z cywilizacją niesłychanie sztuczną, którą się narody dzisiejszej Europy tak dumnie ponad wszystkie inne narody i ponad całą przeszłość wynoszą! Niewykończona, choć tak zawila i sztuczna, do najbujniejszych uprawnia nadziei. Ale niechaj dzieło industrializmu, krytycznej nauki i podziału pracy będzie dookończone i pod bezpiecznym dachem — jak tego chcą przedewszystkiem socjaliści, a bodaj czy się wszystkie marzenia w najokropniejszej nie zaprzepaszczą prozie, bluźniącej dziejom, tak jak tumowi staremu bluźni owa blaszana wieża, przypominająca niemilosierne dach na dworcu kolejowym, nawoływanie konduktora i tłumoki spieszących się podróżnych.

Tu odezwał się zawsze zgryźliwy profesor:

— Sąd, wypowiedziany przez pana Zygmunta, jest echem nauki niemieckiej. Nie winię wcale pana Zygmunta za to, że to echo wydał z siebie; inaczej stać się nie mogło, skoro jest poważnym młodzieńcem, który się dopiero uczy, samoistnego sądu więc naprawdę wydawać nie może. Ale boleję nad tem, że tak być musi, że w całym naszym społeczeństwie, najdojrzałsi nawet i najpoważniejsi ludzie, tak mało posiadają narodowej samodzielności, że powtarzają na oslep niemieckie sądy. Gdy o to chodzi, czy jaka katedra jest piękną, rzecz to wreszcie błaża, która mało na losy społeczeństwa i na rozwój cywilizacji wpłynąć może — choć i tu należałoby zauważyć, iż Niemcy uwłaczają florenckiej katedrze w tym tylko zamiarze, aby własne wzmódz poczucie narodowe, wmawiając w siebie, że najpiękniejsze świątynie chrześcijańskie znajdują się w Niemczech i są dziełem niemieckiego wyłączenie ducha, ubóstwianego obecnie w sposób systematyczny a zgubny, pod egidą i z rozkazu rządu pruskiego. Ale jeśli się nam w tem nawet nie godzi chodzić na oslep, na niemieckim pasku, o ileż gorzej, że we wszystkich sprawach naukowych, a i tam także, gdzie chodzi o nauki filozoficzne i społeczne, wywierające wpływ potężny na całą duszę narodu — nie umiemy odróżnić tego, co jest w Niemczech wynikiem sumiennych, samoistnych badań od tego, co się twierdzi *ad usum delphi*, z rozkazu dworu Poczdamskiego, a na zgubę naszą; nie umiemy tego zrozumieć, że nie tylko cały naród niemiecki poddano mustrze pruskiego kaprała, że ten sam los spotkał

także niemiecką myśl protestancką, a więc tę, która na nas jedynie wpływ wywiera, skoro dotąd tak mało wiemy o ruchu umysłów katolickich w południowych Niemczech. Pierwszem naszym zadaniem powinno być umysłowe oswobodzenie z pod ciasnego a obłudnego jarzma dyscypliny pruskiej, której się udało tak dalece poniżając wpływ na własnym wywrzeć narodzie, że nawet w sprawach nauki rozstrzyga polityczna komenda, że w Niemczech, i w Niemczech jedynie na całym świecie, tytuł i ranga doktora, profesora, radcy dworu, albo tajnego radcy, mają istotne znaczenie, rozstrzygają o pówadze uczonego, a nawet literata i artysty.

— Nie pojmuję tego — rzekła na to pani Jadwiga — dlaczego panowie tak bardzo wygadujecie na tę karność niemiecką? Przepraszam, ale miewam wrażenie, jakoby się u panów odzywały resztki naszych anarchicznych nałogów, odziedziczonych po przódkach. Wszak nas brak karności gubił i gubi; wszakżeż widzę ciągle, jak niepodobna prawie nas skłonić do wspólnej, zorganizowanej, a jedynie skutecznej pracy, jak owszem każdy się Polak wysiła żeby drugiemu Polakowi przeszkadzać, wynajdywać w nim śmieszność, usterki w jego dziełach i jak marnujemy tym sposobem czas i ludzi. Dziękowałabym Panu Bogu, gdybyśmy istotnie wpływowi niemieckiemu ulegli i nabyli niemieckich zalet, których u nas brak taki opłakany, poważania dla uznanej powagi, wdzięczności dla zasługi, a u starszych i zasłużonych, chęci popierania usiłowań młodego pokolenia. Potrzeba nam przywłaszczenia sobie zalet niemieckich nie tylko tam, gdzie chodzi o świat cywilizacji, o naukę, w której Niemcy zdobyli dziś podobno bezsprzecznie przewodnie dla siebie miejsce, właśnie wskutek owej karności i metodyczności, na którą panowie wyrzekacie, ale także w rzeczach poziomych i powszednich. Czyżby nam się nie przydała owa akuratność kupiecka, dzięki której Niemcy bogacą się teraz tak szybko, a której u nas i śladu niemasz, niestety? Czyż niepowinnibyśmy nauczyć się drobnostkowego niemieckiego ochędóstwa, rzeczy drobnej na pozór, a jednak uszlachetniającej życie i przyuczającej wszystkich domowników do akuratnego wypełniania obowiązków? Czyż wreszcie karność i pokora pewna wszystkim Niemcom właściwa, nie nadały niemieckiej rodzinie tej powagi, której nigdy się dość nadziwić nie mogę, ilekroć zajadę do jakiego zakątka północnych Niemiec. Drezno naprzykład wywiera na mnie niezmierny urok, a źródłem tego uroku nie jest wcale wyłącznie galeria jakkolwiek wspaniała — ani taras Brühlowski, wznoszący się tak pięknie nad szeroką Elbą, ani ów niezrównany *Grosser Garten*; nie! przede wszystkim ludność drezdeńska przywiązuje mnie do tego miasta, tak dziwnie przyswoista, tak widocznie cnotliwa i z losu swe-

go zadowolona, że mnie aż zazdrość bierze na myśl o tem, jakich cudów karność społeczna — a może także przyrodzone narodu zalety — w Niemczech dokonały!

Tu wtrąciła pani Róża:

— Spędziłam w Dreźnie dwa lata całe i miałam sposobność to protestanckie, niemieckie społeczeństwo poznać dokładnie. Gdybym się nawet mogła lękać, że myliłam się w swoim osobistym sądzie pod wpływem narodowych antagonizmów, potrzebowałabym tylko zajrzeć do statystycznych wykazów, aby stwierdzić, że to wrażenie zadowolenia i cnoty, którego przelotny podróżny w północnych — a po części w całych Niemczech — doznaje, jest przeważnie złudzeniem, arcydziełem narodowej, może mimowolnej, hypokryzyi, która już niegdyś Tacyta, a na początku minionego stulecia panią de Stael uwiodła, oboje zachęciwszy do napisania panegiryków, na które Niemcy nie zasługują wcale i podobno nigdy nie zasługiwały. Nigdzie nie bywa życie rodzinne tak mało poważnem, jak w Niemczech; nigdzie tyle się nie rodzi dzieci niesłubnych, nigdzie nie bywa miłośćka nieuświęcona prawnie, a przelotna — uważana za rzecz tak naturalną. Kto się ciekawie wypytuje o stosunki sąsiadów, zamieszkujących tę samą kamienicę w mieście, albo sąsiednie na wilegiaturze dworki, ten się dowie niechybnie, że te stadła niby tak przykładne, żyją z sobą po większej części na wiarę i że mają innych prawowitych małżonków, z którymi nie żyją wcale. U ludu małżeństwo na próbę jest prawie wszędzie obyczajem powszechnym, którego się nikt nie wstydzi, a proletaryat tak miejski, jak i wiejski, małżeństwa wcale nie zna, rozwiązłości obyczajów wcale nie ukrywa. Klasom najzamożniejszym i najoświecenijszym nie wpada nawet na myśl zająć się umoralnieniem ludu, a pogańska swawola pospólstwa, tych klas wcale nie razi; bo też wśród arystokracji i wyższego mieszczaństwa, przestrzegają tylko pozorów jakiejś przyzwoitości. Przypatrzwszy się tym stosunkom bliżej, przyszłam do przekonania, że najlepiej jeszcze tam się dzieje, gdzie przychodzi do tak zwyczajnego u protestanckich Niemców prawnego rozwodu, bo za zwyczaj spokój domowy bywa okupiony najsprośniejszą wzajemną pobłażliwością. Wszelkie zbrodnie wydarzają się w Niemczech nierównie częściej, niż u nas, a nałogowych pijaków i kosterów jest nawet w cnotliwym Dreźnie liczba przerażająca. Temu wszystkiemu towarzyszy powszechna obojętność dla religii. Znaleźć można ledwo garstkę tak zwanych pietystów, to jest protestantów, wierzących dotąd w bóstwo Chrystusa i w inne najistotniejsze dogmaty chrześcijańskie. Większość tych nawet, którzy po miastach jeszcze chodzą do Zboru na kazanie, to tak zwani racjonalisci, których religia da się w tem streścić, iż przyznają, że chrześcijaństwo jest rzeczą wzru-

szającą i ważnem zjawiskiem dziejowem; takie same są nawet przekonania u większej części pastorów i takie nauki podają na fakultetach teologicznych niemieckich uniwersytetów, najbardziej wzięci profesorowie. Jeśli pani temu nie wierzysz, proszę zajrzeć do niemieckiej literatury powieściowej i dramatycznej. Jestto literatura na wskroś tendencyjna, podkopująca zasady chrześcijaństwa i chrześcijańskiej rodziny, walcząca niby w obronie postępu a przezywająca postępem wyłącznie brak pozytywnej moralności i niedowiarstwo; kobiety w niemieckich powieściach upadają, nie przeszedłszy nawet wewnętrznej walki, a potem nie bywają wcale świadome swojej hańby, a wrogiem, z którym walczyć trzeba, jest w każdej takiej książce przede wszystkim katolicyzm, a obok tego wszelka żywa wiara chrześcijańska; w tem upatrują autorowie jedyne zło, zabobon, zaco-fanie. Już podlotki taką się karmią literaturą, a dorastającej młodzieży podają jako arcywzór Goethego. Każdego prawie Goethe znudzi, każdy musi przyznać że ani dramatu, ani nawet powieści zbudować nie umiał, że jego postacie sztucznym językiem wyrażają sztuczne uczucie, które wmówiono w siebie na zimno, wtedy nawet kiedy do samobójstwa powiodły. Mimo to, a z jawną krzywdą prawdziwie czujących i zdolnych większy utwór jednolicie zbudować, poetów, jakimi byli Schiller i Grillparzer, Niemcy stawiają Goethego samotnie u szczytu narodowego Parnasu, i jak dotąd skutecznie wmawiają w siebie i w drugich, że Goethe to jeden z największych poetów rodzaju ludzkiego, że się równa z Homerem, Dantem i Szekspirem, a czynią to jedynie dla tego, że Goethe był wrogiem stanowczym chrześcijaństwa, ponieważ był zupełnie pozbawiony uczuć religijnych, ponieważ był nawskroś niemoralnym i przez całe życie, zmysłowe tylko opiewał namiętności, przedstawiając człowieka tak, jakgdyby był tylko zwierzęciem o najdoskonalszym ustroju. Wszystkie dzienniki wszystkie czasopisma, nawet przeznaczone dla ludu albo dla młodzieży, zajęte wyłącznie propagandą bezwyznaniowości, a przyszło do tego, że większa część dzieci w protestanckiej części Niemiec nie bywa wcale chrzczona, że większa część ludności nigdy w życiu kościelnych nie przestąpi progów; religia stała się instytucją urzędową, której się może tylko dwory i szlachta dotąd pozornie przynajmniej trzymają, ze względów policyi społecznej. Więc cóż dopiero mówić o powszechnem zadowoleniu w Niemczech protestanckich, a szczególnie w owej Saksonii, którą pani tak wychwalasz. I owszem, nigdzie niema tylu zrozpaczonych, przeklinających świat, na którym niema dla nich Boga. Tego dowodzą oczywiste fakta, przeraźliwe mnożenie się samobójstw, których powodu nieraz domyśleć się nie podobna i szybkie postępy socjalizmu a nawet anarchizmu. Na spisie

samobójców nie figurują już zrujnowani gracze, stetryczali starzy kawalerowie, dziewczęta shańbione, porzucone żony i zawiedzeni kochankowie. Dzieci kilkunastoletnie odbierają sobie życie, nabywszy już przekonania, że żyć nie warto; pary młodych małżonków popełniają pospółu samobójstwo nazajtrrz po ślubie, aby skończyć dni swoje po chwili rozkoszy, a codzień, w każdym niemal wielkiem mieście, słychać o tem, że ktoś i to bez ważniejszego powodu, tylko z obrzydzenia do świata, zamordował żonę, dzieci, a potem sam siebie. Przytem ponure zastępy socyalistów organizują się systematycznie, wywiesiwszy hasło nienawiści klasowej i walki na zabój, twierdząc, że postęp ludzkości tylko pod sztandarem nienawiści bywa możliwym, że tylko bojem nie znającym litości, można się dobić żywota na prawdę godnego ludzi, że wyrzec się trzeba mrzonki przyszęłego, pośmiertnego życia, zaprzeczyć istnieniu Boga i jakiegokolwiek sprawiedliwości, złorzeczyć chrześcijaństwu, za to, że przyniosło kłamliwe przykazania miłości, przebaczenia i pokory, że trzeba zajrzeć prawdzie w oczy i zdać sobie z tego sprawę, iż jedynem szczęściem, szczęście zmysłowe ludzi, którzy wygodnie mieszkają, dobrze się najedzą i napiją, i że do tego szczęścia można tylko dojść przebojem, że do niego przebojem a mądrze dążyć należy, choć i to wreszcie prawda, że i takie szczęście, to tylko nędza nieco znośniejsza.

— Ależ—zawołała panna Mania—jakiż to pani okropny nakreśliłaś obraz tak potężnego, kwitnącego i wykształconego społeczeństwa niemieckiego! Wierzyć mi się nie chce, aby tak czarne być mogło. Bo jeśli tak jest naprawdę, musi zająć w Niemczech katastrofa straszliwa, gorsza od rewolucyi francuskiej, która wstrząśnie posadami świata całego.

Pani Róża odpowiedziała:

— Mówiłam najzupełniejszą, najtrzeźwiejszą prawdę; a gdy podniósłszy ułudną a świetną zasłonę zewnętrznej ogłady i materialnych dostatków, zajrzałam w te głębie nowożytnej niemieckiej duszy, wydało mi się zrazu, że stoję nad brzegiem przepaści, która pochłonać musi Niemcy, a wraz z nimi kto wie, czy nie całą cywilizację naszą. Ale niebawem przekonałam się, że tak wcale nie jest; że owszem są istotne, poważne zalety niemieckie, takie właśnie, których nam najwięcej brak i które się nam częstokroć niesympatycznymi wydają, i że te zalety, przez samych Niemców cnotami przezywane, trzymają gmach społeczeństwa niemieckiego, nie łatwo mu dadzą runąć a narodowi nadają owe dziwnie poważne pozory, które tylu złudziły. A widząc cudowną prawie tych niemieckich cnót skuteczność, muszę wraz z panią Jadwigą pragnąć tego gorąco, abyśmy się tych właśnie cnót nauczyli. Temi zbawieniami zaletami są: karność społeczna

i obowiązkowość zawodowa, które weszły w krew i kość narodu niemieckiego. Niemiec może być zupełnie niemoralnym i nawet nieuczciwym człowiekiem, ale jako kupiec dotrzyma najakuratniej w świecie swoich zobowiązań, jako urzędnik, wojskowy, nauczyciel, nawet jako uczony, ściśle spełni swoje obowiązki, a Niemka, która potajemnie, albo nawet jawnie męża oszukuje, nie przestanie spełniać porządnie obowiązków swojego stanu, jako gospodyni, pani domu i matka, a nawet będzie w czasie choroby męża pilnowała go przykładnie. Niemiec o wyobrażeniach jaknajradykałniejszych, republikanin, socyalista, nawet anarchista, nietylko spełni najakuratniej obowiązki obywatelskie, nietylko podatek w czas zapłaci, szkołę wojskową odbędzie przykładnie a na ulicy prawem przepisane go porządku dopilnuje, ale wszelką powagę w zawodzie swoim uszanuje, wobec przełożonego nie zapomni się nigdy, a choć go będzie zacięcie zwalczał politycznie przy wyborach i na zgromadzeniach ludowych, okaże mu zawsze winne w biurze lub pracowni uszanowanie. Nawet powszechne narodowe albo europejskie powagi bywają w Niemczech równie powszechnem otoczone poważaniem, a rzeczą budującą bywa widok Niemców nudzących się tłumnie a przykładnie na tragedyi Sofoklesa, albo na operze Wagnera, dla tego, że tak każe przyzwoitość, że się tego cywilizacya domaga. Stąd też każdy zły uczynek, każda zbrodnia, bywa w Niemczech nierównie mniej szkodliwa, niż gdzieindziej; wyrządzi oczywiście szkodę, ale ta szkoda bywa ściśle określona, całem społeczeństwem nie wstrząśnie; dla tego to mogą Niemcy prawie bezkarnie wyznawać przekonania, któreby inny naród o rychłą zgubę przyprawiły. Te cnoty niemieckie nie wystarczają, tam gdzie chodzi o wydanie natchnionego dzieła; geniusze są w Niemczech równie rzadkie, jak gdzieindziej, a zbiorowa praca społeczeństwa wydaje w dziedzinie sztuki i literatury, zgodnie z właściwościami narodu, utwory ponajwiększej części ciężkie, niestrawne, źle zbudowane, przeładowane szczegółami, pedantyczne. Jeśli się jednak geniusz albo wielki talent wśród Niemców zjawi, nie potrzebuje toczyć walki z anarchicznym najazdem tysiąca drobnych zawiści, nie zjedzą króla mysze, nie zmarnieje jak to u nas zbyt często bywa, rozkwitnie owszem wspaniale, wśród podziwu i uznania rodaków. Dla wszelkiego rodzaju zwyczajnych pracowników kadry są gotowe, robota ich nie będzie daremną, a otoczenie nałamię ich niezawodnie do sumiennej pracy, liczmanów za złoto nie przyjmie, marne przechwałki przejrzy, nie da się uwieść względem obcym narodowi i dzielnego pracownika nie odepchnie dla tego, że należy do innego stronnictwa, albo może do klasy społecznej, na którą ogół literatów i niedouków z niechętną

spogląda zawiścią. Nie tylko przeciwnik polityczny, nie tylko człowiek innego wyznania, ale także cudzoziemiec, nawet Polak, spotka się niechybnie z uznaniem, jeśli tylko sumiennie pracować potrafi. Na tak uprawionej roli wyrastają z każdego nasienia na użytek i chwałę narodu bujne plony; tyle jest w Niemczech rzetelnej, choć skromnej naukowej pracy, że się dziś żaden uczonek na świecie bez niemieckiej książki obejść nie może; techniczne wynalazki zaraz znajdują przystosowanie, administracyjna i polityczna maszyna funkcjonuje akuratanie, dostatek, potęga i chwała narodu wzrastają ustawicznie. Gdy się temu przypatrzyła, pierwotne oburzenie ustąpiło podziwowi, zazdrości, pragnieniu, abyśmy sobie te cnoty niemieckie jaknajgruntowniej przyswoili. Pod niejednym względem jesteśmy uierównie lepsi od Niemców i nierównie więcej posiadamy przyrodzonych zdolności, ale przez brak niemieckiej organizacji, przez to, że tak jak Niemcy nad sobą panować nie umiemy, staliśmy się narodem marnotrawców, który się w niczem lepszej nie umie dorobić doli. Nie wygadujmyż tedy na Niemców! Brońmy się przed nimi, ale uczmy się od nich cnót staroniemieckich, którym swoją wielkość zawdzięczają, a wystrzegajmy się tylko pyszałkowatej bezwzględności, która wielu z nich, wskutek zeszłowiecznych zwyczajów, głowę zawróciła, i tych szalbierstw, które zbyt wielki wpływ żydowski ostatnimi czasy w Niemczech rozmnożył.

Pani Róża skończyła mówić, a profesor odrzuciwszy cygaro, podjął temi słowy rozmowę:

— Gdy wczoraj nazwał całą nowożytną cywilizację, germańską i protestancką sprawą, powiedziałaś pani, że musimy jeszcze tę rzecz przedyskutować. Teraz wygłosiłaś pani, jak to z naciskiem poświadczyć muszę, całą prawdę o niemieckim narodzie, a równocześnie poparłaś jak najsilniej moje wczorajsze zdanie. Opisując Niemcy, i to przede wszystkim protestanckie Niemcy, określiłaś pani to, co jest dzisiejszą cywilizacją na najkompletniejszym jej egzemplarzu, jaki po za Stanami Zjednoczonymi egzystuje. A nie trudno będzie dowieść, że to wszystko, cośmy słyszeli, jest naturalnym wynikiem niemieckiego protestantyzmu, że takie społeczeństwo, z takimi straszliwymi przywarami i z zaletami tak wielkimi, iż dla całej mocy występku skuteczną przeciwwagę stanowić mogą—mogło powstać jedynie po reformacji. Co w katolickim naprawdę kraju byłoby niepodobieństwem, jest naturalnym wynikiem protestantyzmu. Gdy w szesnastym wieku dwory świeckie północnych i zachodnich Niemiec, Anglii i Skandynawii, patrycyat miast niemieckich i holenderskich, wreszcie szkocka i angielska arystokracja ziemiska, posłuszeństwo Rzymowi

wypowiedziały, miały na celu wzbogacenie się dobrami klasztorneńmi, wyzwolenie się z pod papieskiej, a gdzieniegdzie także z pod cesarskiej przewagi, a może przedewszystkiem wzmoczenie, poniekąd stworzenie i utwierdzenie absolutnej władzy nad poddanymi, mającymi odtąd wierzyć, jak im rząd każe i uznawać za moralnie dozwolone, albo zabronione, to jedynie, co im rząd każe. Najwymowniejszym rzecznikiem i teoretykiem tego nowożytnego, protestanckiego absolutyzmu, mającego zawładnąć zarówno ciałami jak sumieniami, był anglik Hobbes, ale rzecz przeprowadzono najgruntowniej w protestanckich państewkach Niemiec. Pozbywszy się hierarchii katolickiej, którą przeżywano odtąd z przekąsem państwem w państwie, złamał ksiązę panujący jedyną potęgę mogącą stawić czoło wszechwładzy jego urzędników i jego wojska, wyznawców wszechmocnej monarszej woli; a na niewielkim obszarze państewek niemieckich dała się przeprowadzić organizacya tak ścisła i dokładna, o jakiej w większym królestwie niepodobna było myśleć przy ówczesnym stanie komunikacyi. Wszystko stało się służbą panującego, ludzie podzieleni zostali na różne zarówno posłuszne stany; każdy został powołany do awansu, wedle zasługi położonej około służby, wszyscy stali się kółkami w coraz dokładniejszej maszynie administracyjnej, której ostatniem słowem dzisiejszy system pruski. Dobrobyt społeczeństwa miał służyć monarszemu wyłącznie skarbowi, którego urzędnicy opiekowali się nawzajem pilnie a skrętnie ekonomicznym rozwojem kraju, wedle zasad tak charakterystycznie nazwanego niemieckiego kameralizmu. Pastorowie mieli napominać wiernych do biernego posłuszeństwa; szkoła wreszcie, nad którą kościół dzierżył niegdyś władzę zwierzchnią, miała się odtąd stać *regalem*, rzeczą monarszą i każdy był obowiązany wychowywać swoje dzieci tak jak kazał ksiązę. Przyznasz pani, że to wszystko były zasady wynikłe z protestantyzmu, katolicyzmowi wprost przeciwnie, i że wszystkie katolickie państwa tak dobrze nauczyły się naśladować owe protestanckie pomysły, iż organizacya do pruskiej podobna istnieje w całej prawie zachodniej Europie, i jest rzeczą dla naszych czasów i stosunków tak znamioną, że trudno nam sobie bez tej organizacyi wyobrazić to, czemu się miano cywilizacyi nowożytnej nadaje. Tylko, że rzecz nie dała się nigdzie w katolickich krajach w całej pełni przeprowadzić, a że zła kopia bywa zawsze mniej skuteczną od oryginału, przeto państwa protestanckie musiały się z czasem stać potężniejszymi od katolickich. Sam władca, kimkolwiekby był, królem, radą możnych, czy parlamentem, ponad wszelkie boskie czy ludzkie wynosi się prawo, skoro jest dawcą tego prawa, skoro sam ustanawia bóstwo, któremu się poddani kłaniać mają,

sam im wszystkie przypisuje obowiązki, jego zaś jedynym obowiązkiem dbać o to, żeby mu się wiodło, żeby państwo będące jego nieograniczoną własnością, jaknajrychlej zakwitło. Rząd, czy też lud wszechwładny, o ile się stanie rządem, bywa bezwzględny samolubem, a to samolubstwo może być tylko wtedy uwieńczone powodzeniem, wtedy tylko może się wśród ościennych samolubstw ostać zwyciężko, kiedy bywa po ziemsku rozumne, to jest roztropne i obrachowane, kiedy się we wszystkim kieruje doświadczeniem i wnioskami słusznie z doświadczenia dobytymi. Jeszcze sam książę czasem instynktowi zawierzyć może, nawet powinien, bo instynkt bywa przy śmiałym, politycznym zamachu, nieraz najlepszym doradcą; ale sługom, to jest narodowi, od natchnień i uniesień wara! mają być wcielonym rozsądkiem i posłuszeństwem dla metodycznie obmyślonego prawa; ogół ma robić to, co przepisano każdemu prawem i obejmującą wszystkich urzędniczą hierarchią. Tego się trzymaj ślepo! z własnej głowy nie w tem nie zmieniaj! A że urzędnicy, istniejące wśród ludzi, nigdzie i nigdy doskonałymi być nie mogą, że w najistotniejszym interesie księcia, czy państwa, *des Staates*, leży ustawiczne tych urzędów doskonalenie, przeto osobne utworzono urzędy, osobne zawody uczonych, podzielonych na różne jakby bronie, z których każda, w jasnym a ściśle oznaczonym zakresie, ma badać i doświadczać i pisać referaty, celem wydoskonalenia organizacji administracyjnej, prawodawstwa siły zbrojnej, albo narzędzi ekonomicznej wytwórczości, a rozumie się, że człowiek takim właśnie jest narzędziem i to najcenniejszem, że przeto wydoskonalenie sztuki lekarskiej i metod szkolnych mają także zapewnić posiadanie wzorowych, silnych, zręcznych, a jaknajbardziej niesamodzielnych ludzkich narzędzi. Więc wszyscy ludzie w protestanckich Niemczech są wiecznie na mustrze, zawsze przyzwoici, spokojni, skoro tylko na nich cudze oko spocząć może; wykonywają z największą akuratnością i częstokroć z największym zaparciem się własnej osoby wszystkie zewnętrzne obowiązki, jakie państwo na nich nałożyło, a w czasie służby, zajmującej większą część dnia, tłumią w sobie namiętność, albo rozpacz, które ich pożerają. W chwilach wolnych od służby folgują sobie, bywają występny lub zbrodniarzami, ale to ich niepokojem nie napawa, gdy tylko powrócą do służby państwa, najwyższego dla nich Boga. To się w protestanckich Niemczech udało zupełnie; w krajach katolickich, gdzie to w imię nowożytnej cywilizacji naśladować usiłowano, w tej samej nie mogło się udać mierze, bo katolik, a choćby niedowiarek przez katolickich wychowany rodziców, ma przekonanie wpojone w siebie od dzieciństwa, że istnieje wyższa władza duchowna, której moralnym przykazaniom nawet rząd każdy powinien ulegać, a jak zgrze-

szy, nie przytłumi w sobie wyrzutów sumienia dalszem pilnem i karnem pełnieniem zewnętrznych obowiązków społecznych. Straci wiarę w siebie, sam siebie potępi, sam sobą wzgardzi i gotów się stać nikkczemnikiem. Jeśli się jawnie nie zaprzepaści, jeśli w czynnem życiu i w służbie społecznej wytrwa, a wyrzuty sumienia przytłumi, tem łatwiej będzie nieuczciwym sługą społeczeństwa, że się pocieszył po zaniechaniu świętszych obowiązków; gotów być tedy przeniwiercą, warcholem, złodziejem, jawnym bluźniercą i rozpustnikiem, wszystkim, co społeczeństwu szkodzić może. Dla tego to cywilizacya nowożytna społeczeństwa katolickie o ciężką przyprawiła chorobę, zaś protestanckie wydają się być zupełnie zdrowemi.

Profesor zamilkł, a Zygmunt, chcąc wywody dopełnić, wtrącił:

— To znów, co pani nazywa bezbożnością niemiecką, jest to wolność ducha, która się rozwinęła potężnie, obok zewnętrznej karności społeczeństwa, a może dzięki dobrobytowi przez tę karność wytworzonemu. Protestantowi nie wystarczają przez rodziców za młodu wpojone formuły; on bywa przekonany, że każdemu własnej religii potrzeba, wiary, którą sam w sobie wyrobił i do potrzeb własnej osobistości przystosował, z potrzebami rozumu pogodził. U katolików mnóstwo ludzi w całą naukę kościoła wierzyć nie umie, a wtedy dzieje się jedno z dwojga, albo, jak to u nas bywa, udają, że są dalej katolikami, a w gruncie rzeczy odganiają od siebie utrapioną myśl o religii i żyją, jakby o żadnym nigdy Bogu nie słyszeli; albo, jak to bywa we Francyi, a często tu także, we Włoszech, zrywają z kościołem i z chrześcijaństwem, stają się namiętnymi a zaślepionymi obrońcami zasadniczej bezwyznaniowości, uderzają wstępny bojem na wszelką religię, wprawiają w niepokój wszystkie sumienia, a pośród swoich rozniecają wojnę domową, nie mniej straszną od innych, choć w niej zwyczajnie obchodzi się bez krwi rozlewu. U protestantów tej tragedyi, tego rozdarcia nie ma, granice ortodoksyi są tak niewyraźne i tak chaotyczne, że można być pastorem i kaznodzieją ewangelickim, nie wierząc w bóstwo Chrystusa, ani nawet w Boga osobistego; religia przechodzi niespostrzeżenie w racjonalizm; racjonalizm w bezwzględne wątpienie, a najzupełniejszy sceptyk nie przestaje siebie uważać za człowieka religijnego.

— I w tem właśnie sęk!—zawołał nagle Profesor.—Daremna robota! Trzeba było czemś Niemców zabałamucić; namawiano ludy do zerwania z Rzymem w imię wolności; pod hasłem wolności toczono zaciętą walkę z Austryą; a potem—w Niemczech przynajmniej—protestanckie rządy nie dały ludom tej wolności ani powąchać. Poszły mnogie rzesze z deszczu pod rynnę, przemieniły za siekierkę kijek, za nieznośną częstokroć kontrolę biskupów i zakonów, władzę

rządową nie dopuszczający żadnej prywatnej inicjatywy. A zatem trzeba było tych szermierzy wolności koniecznie czemś okłamać; i wymyślono frazes wolności ducha, która natem zależy miała, że wolno było gadać i pisać co się komu podobało o religii, moralności i historii—czyli jak się dziś w Niemczech wyrażają, uprawiać naukowo naukę. Potworzono nawet dla tych, którzy zawodowo tę wolność uprawiać mieli, osobne urzędowe posady, nadano im wcale poważne naukowe tytuły i poważną rangę w społeczeństwie, nie mówiąc już o tem, że ich wynagradzano pośmiertną chwałą, to jest urzędową reklamą. Rozumie się, że rządy nie zaniechały i tu swoich warunków postawić, że ta wolność miała swoje granice i to wcale ciasne. Przedewszystkiem nie wolno było nic takiego twierdzić co by choć z daleka trąciło powrotem do katolicyzmu; nie dobrze widzianą była także wszelka mistyka, wszelka uczuciowość religijna, wszystko, co by mogło ludzi na to naprowadzić, że religia jest przeciw rzeczą seryo, że Bóg jest starszy od Prus naprzykład. Należało się ograniczyć do gadania o Bogu i moralności na podstawie głupiego rozumu ludzkiego, tego rodzaju rozumu, opartego na samym zmysłowym doświadczeniu i wnioskach z takiego doświadczenia dobytých, który wystarczy zupełnie do ustawienia doskonałego elektrycznego tramwaju, ale o Bogu i tajemicach duszy tak samo nie powiedzieć nie potrafi, jak słuch chyba nie rozróżni kolorów. Dalej trzeba było statecznie wychwalać protestanckie dynastye niemieckie—przedewszystkiem pruską, a swoje filozofowanie tak nakręcić, aby z niego wynikało, że Pan Bóg to wysoki urzędnik pruski, w randze ekscelencyi, a moralnem—i *notabene* także naprawdę niemieckiem—jest to, co król pruski zrobił, naprzykład Fryderyk Wielki, który się z Francją przeciw cesarstwu niemieckiemu sprzymierzył, dworzanom nie pozwalałi naczej jak po francusku mówić, ustawicznie słowo łamał a monety ościennych państw fałszował; albo jego obiecujący bratanek Fryderyk Wilhelm II, który się niemieckimi księstwami duchownymi z Francją podzielił, i który jako bogobojny król pruski w jawnem żył dwożenstwie;—na Austrii zaś nie wolno było jednej zdrowej nitki zostawić, choćby miano tym sposobem prawdę historyczną do góry nogami przewrócić! Przedewszystkiem, skoro się w tak zwane naukowe rozstrząsania filozoficzne wdawano, nie wolno było gadać do rzeczy, w sposób zrozumiały i ze zdrowym rozumem chłopskim zgodny. Tamte, niby podrzędne a specjalne nauki, nie mające nic do czynienia z „wolnością ducha“, nauki, tyżące się środków opanowania przyrody, wzbogacenia społeczeństwa, siły wojskowej, sądownictwa i administracyi państwa, należało uprawiać w sposób jasny i zrozumiały, doprowadzający do wyników praktycznych, uwieńczonych

skutkiem, a zatem takich, na które wszyscyby się zgodzić nie tylko mogli, ale musieli. Przy wolności ducha chodziło przeciwnie o to, aby ta wolność skutków nie miała, na życie praktyczne nie oddziaływała, mądrości rządu nie przeszkodziła. Jeśli zaś kto granice przez rządy zakreślone przekroczył, jeśli wypadkiem pisał z sensem i prawdą, nie tylko narażał się na utratę płatnej profesorskiej posady, ale mógł być w dodatku pewnym tego, że jego dzieła przemilczane, albo wysmiane, przypadną bez śladu. Gdy tedy z jednej strony postawiono nieprzebyte baryery, „wolność ducha“, mogła tem swobodniej bujać po bezdennych przestworach niejasnych pojęć, bałamutnych myśli i religijnej negacyi. To też cudów dokazała niebawem. Mniejsza o to, iż znaczenie słów najprostszych zaciemniła pompatycznie, tak dobrze, że żaden Niemiec tego dziś nie wie, co znaczą naprzykład słowa: rozsądek albo wolność; że w ogóle odzwyczaiła się ze wszystkim od uazywania rzeczy po imieniu, że zagłębiając się w swoim rozumie doszła do zdań budujących, bo jak ktoś twierdzi zgodnie z niemiecką nauką, nie znamy wcale prawdziwego świata, tylko, każdy z nas bierze za świat rzeczywisty własne urojenia. Nikt temu nie uwierzy, nikt się do tego nie zastosuje; podobnież rzeczą obojętną teza, że nie ma ciała, a są tylko kupy atomów, nie będących właściwie ciałami których nikt nigdy dostrzedz nie może; bo i takie twierdzenie może posłużyć do bawienia się w rozmaite matematyczne łamigłówek. a na życie wpływu nie wywrze; ale to już źle, gdy kto twierdzi, że ducha nie ma; gorzej gdy się historyczna nauka dobierze do zaprzeczania objawieniu, gdy podnosi z lubością podobieństwa, jakie między chrześcijańską tradycją, a jakimikolwiek pogańskimi wierzeniami zachodzą, twierdząc bez dowodu, ale z tem większą pewnością siebie, że chrześcijańskie nauki od pogańskich przejęto, nie przypuszczając nigdy, żeby być mogło na odwrót, albo, żeby o wspólną pierwotną tradycję rodzaju ludzkiego chodziło—mimo to, że te dwa ostatnie przypuszczenia wydają się w każdym wypadku, jedynie prawdopodobnymi zdrowemu rozsądkowi, nie bawiącemu się w „wolność ducha“. Z biblii nie pozostało niebawem nic, bo każdy jej ustęp został podany w wątplenie przez krytykę, goniącą za popisem oryginalną nowostką. Chrześcijaństwo z religii zredukowano do zbioru nauk moralnych; a że obowiązującej mocy moralności wkrótce zaprzeczono, wartość chrześcijaństwa stała się dla Niemców czemś zupełnie problematycznym; wszelka religia uleciała w świat mrzonek, po którym się tłułą istotnej treści pozbawione systemata filozoficzne. Publiczność cała dowiedziała się o tych wynikach nauki; i stało się mimo wszystkich ostrożności rządowych, że szperanie to, skutek praktyczny miało. Naród cieszy się cały „wolnością ducha“, religię i moral-

ność starą ma za przedawnione przesady; w świat materyalny, rzeczowy wierzy dalej, z największą usilnością, bo z niego żyje; na wszystkie tak zwane idealne filozofie słusznie ramionami rusza; obowiązkiem nazywa rozumne zachowanie się jednostki, zapewniające byt i dostatki, nurza się, słowem, w materyalizmie. Każdy z tych ateuszów, „wolnych na duchu“, pełni dalej obowiązki zawodu, aby z nich żyć, a gdzie to z potrzebą samolubną da się pogodzić, albo jej posłużyć może, służy namiętnościom; gdzie ukraść można zręcznie—kradnie i coraz śmielej osobistą korzyść publicznej przeciwstawia. Zarysowały się zatem już mury i sklepienia gmachu protestanckiego i nowożytnego ładu, a rysować się będą coraz wyraźniej; nadużycia z wyjątku zamieniają się niebawem w regułę. Masy proletaryuszów, nie wierzące już w żadne naprzyrodzone pociechy, dostrzegły, że celem maszyny rządowej, że zasadą społecznego obowiązku, zapewnienie sobie zmysłowego używania. Zamiast niego, znają nędzę; więc nauczone przez „wolność ducha“, i przecząc istnieniu ducha, organizują się, aby nową stworzyć maszynę społeczną, w której same zdobędą dla siebie znośniejszą egzystencję. Mają słusność, jeśli tylko prawdą jest to, co rzekoma „wolność ducha“ głosi. Wyciągnąwszy ostateczne konsekwencje z zasad niemieckiego protestanckiego państwa, twierdzą stanowczo, że to państwo nowej socyalistycznej organizacyi ustąpić powinno. Więc cywilizację nowożytną burzą zuchwale, a świat drży przed zbliżającym się za ich sprawą barbarzyństwem.

V.

W nocy z wielkanocnego poniedziałku na wtorek grzmiało we Florencyi przeraźliwie; mogło się zdawać, że kampanile Giotta przy katedrze i wieża ratuszowa wałą się, idąc za przykładem swojej starszej siostry, dzwonnicy św. Marka w Wenecyi. Tej katastrofy nie było, ale wszystkie okoliczne góry były nazajutrz pokryte śniegiem, a zimno przeraźliwe zapanowało w mieście. Ani o spacerach, ani o wycieczkach nie było mowy. Panie zatem wyraziły życzenie, które było rozkazem, abym je oprowadzał po galerji *dei Uffizi*. Wszystkie znały już oczywiście skarby w tem wspaniałem muzeum nagromadzone, ale chciały, aby je ktoś, w obecności obrazów i posągów zabawiał opowiadaniem o tem, kiedy powstały, jak wyglądał

właściwie ich twórca, co mógł sobie myśleć malując, albo rzeźbiąc? Ludzie powiadają, że jestem przedewszystkiem z zawodu estetykiem, że coś wiem o historii sztuki; kazano mi zatem rozmaite rzeczy tłómaczyć, żądano przedewszystkiem abym uczynił przystępniejszą właściwą rodowitą sztukę toskańską, ową sztukę czternastego i piętnastego stulecia, do której trzeba się dopiero przyzwyczać, a która potem tak przywiązuje do siebie, iż dla wielu błędą przy niej arcydzieła słonecznej epoki papieży, Juliusza II-go i Leona X-go.

Niemąło nabajałem się paniom; opowiadałem im niektóre rzeczy, o których wiedziałem na pewno, inne, których się domyślałem raczej, które przeczuwałem i zdaje mi się, że się tym sposobem dobrze spisałem, że je nietylko zabawiłem, ale że im otworzyłem oczy na niejedną piękność wpraw przed nimi zakrytą. Sam się uczyłem przytem; niejedną rzecz dostrzegłem dopiero tłómacząc. Między innemi zajął nas niemąło niewielki obraz Botticellego, za szkłem na sztaludze wystawiony; w katalogu nazywa się pokłonem trzech króli; ale w istocie wcale co innego wyobraża. Wśród skał siedzi Bogarodzica z boskiem Niemowlęciem, za nią stoi święty Józef, w postaci zadumanego starca, a wszystkie narody ziemi garną się do światającego dla siebie zbawienia ciżbą nieprzejrzaną, jedni już przyklękli przed Przenajświętszą Rodziną, inni ciągną z tak daleka, że widać tylko wijący się tłum, a nie widać już pojedynczych ludzi, że rzesze sięgają aż do widnokregu, gubią się w mglistej oddali. Oczywiście, że pełno tu rozkosznych zalet malarskich, postaci rozmaicie scharakteryzowanych, a uchwyconych na gorącym uczynku, postaw niespodzianych a wyrazistych i zupełnie naturalnych: że twarze i ręce wykonano z bajeczną subtelnością, a w sposób zasługujący na najwyższe podziwienie, że delikatność przezroczystych cieni wystarczyłaby sama, aby widza w zachwyt wprawić. A jednak podziwiałem ten obraz głównie dla myśli, którą wyraża, i na nią głównie zwracałem uwagę pań.

Ognisko wiary chrześcijańskiej, grupę, w której zasiada dziewiczka Matka z niemowlęciem Zbawicielem świata, pojął stary malarz zarazem, jako ognisko cywilizacji ludzkiej; przy niej stoją przedstawiciele najoświecześniejszych podówczas, a zarazem najdawniej chrześcijańskich narodów południowej Europy. Niektórzy w zachwyt wprawięni, wiarą uszczęśliwieni; inni, stojąc pośród Włochów owych cywilizowanych, przypatrują się jednak Chrystusikowi wzrokiem, w którym waży się z wiarą wątpienie; zdają się pytać samych siebie: czy warto było tak daleką przebyć drogę, aby stanąć u stóp niemowlęcia? Pomędzy tymi ludźmi cywilizowanymi już bardzo, u których oświata zaczyna wypierać wiarę i tem samem podkopywać uświęconą podsta-

wę, na której wyrosła, poznasz piękną postać Leonarda da Vinci, w którym się cały włoski renesans niejako wcielił. Ci zaczynają już wątpić, tak jak św. Piotr zwątpił, gdy chodził po wodach jeziora i jak on wnet zaczął się w ton dziejową zapadać. Już nadciągają, już u celu stanęli ich spadkobierce, zawsze romańskie, południowe jeszcze narody, jezdni Francuzi i Hiszpanie, pełni zapału i wiary, którym przewodzi jakiś natchniony, w piękność wieczną zapatrzony poeta! Ale dalej, choć nie zbyt już daleko celu, jedzie ciżba rycerzy rudyh, o twardych niemieckich rysach, a niecierpliwie usiłuje dotrzeć do celu, orężem pragnie się dobić zbawienia i oświaty; rąbie dokoła mieczem, tratuje końmi, przemocą toruje sobie drogi dziejowe; oni tamtych wszystkich pobijają, powalają, oni niebawem tu u ogniska dziejów ludzkości zapanują wyłącznie. Ale natem nie koniec; oni także będą mieli następców. Tam w głębi, za nimi, ale zupełnie już widoczne, inne ciągną narody, dalekie jeszcze od celu, lecz celu swego w pełni świadome, ufne w przyszłość niechybną, nie tak natchnione i zapalczywe, jak dzieci południa, nie tak niecierpliwie i do gwałtów skłonne, jak owi Niemcy, którzy oto właśnie mają dotrzeć do celu. Płowi jeźdźcy jadą tam w głębi spokojnie na koniach swoich, a poważne delie i żupany przyoblokły ich kibić, kołpaki spoczęły na głowach; nie podobna wątpić, że to Słowianie, którym to właściwie, myśląc o sobie, Teutoni-gwałtownicy przemocą drogę torują. Przyjdzie chwila niezawodnie, że ci spokojni pielgrzymi uklękną wśród ogniska wiary, na pierwszym planie dziejów, przy Chrystusiku i Bogarodzicy. Przeczuwano to już temu czterysta lat, kiedy ten obraz powstał, a i dziś przeczuwają jeszcze tylko, bo dziś u celu Teutonowie pobrzękują zuchwale zwycięskim orężem; ale takie przecucia dziejowe odzywają się zdaleka, długo czekają daremnie na spełnienie swoje, aż w końcu ziszczą się niezawodnie. Jednak i na Słowianach się nie skończy; przyjdą po nich inni i ciągną już, choć sami zapewne dotąd swojego celu nieświadomi i choć ich postaci nikt jeszcze dostrzedz wyraźnie nie zdoła; to owe nieosobiste rzesze, któremi Botticelli zaludnił mglistą głąb cudownego obrazu.

Tak to rzecz tłómaczyłem Paniom, a dopóki stały przed obrazem, opowiadanie moje wydawało im się bardzo zajmującym, tłómaczenie zaś treści obrazu oczywiście trafne. Gdyśmy się jednak wszyscy wieczorem, znowu w bawialni hotelowej, przy naszym stoliku zgromadzili, powstały zupełnie naturalne wątpliwości, którym pani Jadwiga grzeczny wyraz dała, mówiąc:

— Mnie się jednak zdaje, żeśmy się dziś dali wyobraźnią unieść, kiedyśmy w obraz starego Botticellego wmawiali myśli zupełnie no-

wozytne. Przecież niepodobna, aby kto już wówczas myślał o Słowianach.

— A dlaczegoż to nie?—spytalem w odpowiedzi; wiedziano i myślano nie tylko o Słowianach, ale nawet o Mongołach, o państwie Wielkiego Chana, do którego papież już o wiele pierwiej uroczyste wysyłali poselstwa. Na innym obrazie w galeryi *dei Uffici*, na rzeczywistem wyobrażeniu, nie czego innego, tylko pokłonu trzech królów, wykonanem misternie przez innego malarza piętnastego wieku, Mantegnę, oglądaliśmy z pewnością podobiznę Turków i Tatarów, a nikomu z nas nie wpadło na myśl dziwić się tej rzeczy. Dlaczegoż nie miał tedy Botticelli, na swoim znów obrazie Polaków albo Czechów odmalować? Na fresku Pinturicchia, wyobrażającym w Bibliotece Sienneńskiej śmierć papieża Piusa II-go, wyprawiającego się na krucyatę, widać niezawodnie wąsatego Polaka, a Giotto malował już o wiele dawniej książąt Polskich, jako wyobrazicielei cnoty chrześcijańskiej czystości, w podziemnym kościele w Assyżu, gdzie Bolesława Wstydlwego, Bolesława i Henryka Pobożnych, wystawił narodom Italii, jako wzory godne naśladowania. W bulach papieskich piętnastego wieku bywa wspomniane *inclitum Poloniae regnum*, sławne królestwo Polskie, a Papieska dyplomacya spodziewała się przedewszystkiem po polskich Jagiellonach wielkiej krzyżowej wyprawy i wygnania Turków z Europy. Jeszcze w czternastym wieku gorszył się Petrarca tem, że Słowińnin, tytularny Cesarz Zachodu a rzeczywisty król Czeski, Karol IV, śmiał włoskim poetom wawrzonowe przyznawać korony. Na początku wieku piętnastego wstrząsło czeskie kacerstwo Husa posadami kościoła, a wspomnienie bohaterkiej śmierci Warneńczyka było za dni Botticellego jeszcze świeże w pamięci narodów; na tej śmierci wspomnienie dzwoniło już wówczas i dzwonią dziś jeszcze w całym katolickim świecie na Anioł Pański, nie tylko rano i wieczór, ale także w południe. W chwili, w której pokłonu narodów został odmalowany, stali polscy Jagiellonowie u szczytu potęgi, berło synów Kazimierza Jagiellończyka władło całą przestrzenią ogromną od Dźwiny aż do pogranicza Włoch, a morze owo, wśród którego się wznosi Wenecya, morze Adryatyckie, które wszystkie wschodnie Włoch wybrzeża opłukuje, nazywało się pò Włosku nie inaczej tylko morzem Słowińńskim. Jednym z najgorszych skutków naszego intelektualnego zawojowania przez Niemców to, żeśmy dali wmówić w siebie, iż nie jesteśmy nic warci, iżeśmy nigdy nic nie znaczyli i nigdy w przyszłości nic znaczyć nie możemy, iżeśmy nieuleczalni półbarbarzyńcy, na których się nigdy nikt nie oglądał, o których nikt nigdy nawet na prawdę nie wiedział, iż mamy oznaczone sobie miejsce na progu pomiędzy barbarzyństwem a cy-

wilizacyą, w jakimś takim półmroku, że Hindus i Chińczyk oczywiście więcej znaczą od nas.

— Przekonałeś nas pan—rzekła na to pani Róża—że Botticelli o Słowianach myśleć mógł—ani słowa, że tak było. Mimo to, nie chcę mnie odstąpić wątpliwości, czy nasza interpretacya oglądanego dziś obrazu nie była zbyt śmiałą? Przecież za dni Medyceuszów nie bawił się nikt jeszcze w historyzoficzne spekulacye; nikomu nie wpadało na myśl, aby miał istnieć jakiś fatalny płodozmian szczepów i cywilizacji. To zgoła nowożytny pomysł niemieckich filozofów, Hegla i Schellinga, wymyślone dla chwały Prus, a łakomie podchwyczone przez Cieszkowskiego i Krasińskiego, którym się zdawało, że tym sposobem będą mogli, niby naukowo dla nas wielką przyszłość wywróżyć. Podobne spekulacye dziś modnymi być przestały, a ich wartość filozoficzna wydaje mi się rzeczą bardzo wątpliwą. Wiem z pism pańskich, że pan jesteś odmiennego zdania, że w historyzofię i kolejne narodów następstwo, albo wierzysz w istocie, albo chcesz przynajmniej wierzyć. Ale czyż dlatego wolno popełniać anachronizm jaskrawy i wmawiać w starego Botticellego myśli, które mogły się dopiero zrodzić w polskich głowach, w dziewiętnastym wieku?

Odpowiedziałem: Najpierw stwierdzić muszę, że istotnie wierzę w kolejne następstwo narodów i cywilizacji. Wolno w to wierzyć na podstawie analogii zaczerpniętych z dziejów przyrody, a w to wierzyć trzeba chyba koniecznie na podstawie świadectwa wyraźnego dziejów ludzkości. Ale w tej chwili, prawdy moich przekonañ dowodzić nie chcę, bo toby nas może za daleko zawiodło. Poprzestaną na odparciu zarzutów podniesionych przez panią, przeciw mojej interpretacyi obrazu Botticellego. Mógłbym się przedewszystkiem spytać panią o to, czy wypadkiem ludzie dawni byli głępszymi od nas, albo mniej mieli twórczej wyobraźni, albo nie odczuwali potrzeby zrozumienia całokształtu dziejów i przewidywania prawdopodobnej rodzaju ludzkiego przyszłości? Albo czy może posiadali zanadto mało wiadomości, aby się mogli bawić w wielkie historyzoficzne konstrukcyje? Takie zdanie można czasem znaleźć w nieprzetrawionym podręczniku; mogłoby pochlebiać nowożytnemu nieuctwu i nowożytnej próżności, ale pani tego podzielać nie możesz; jesteś na to zbyt wykształconą, zbyt często zagłębiałaś się pani we freskach watykańskich Rafaela i w dramatach Szekspira, i podziwiałaś świat wiedzy i myśli, jaki w nich się mieści. Więc nie wiem, dlaczego tak bardzo, jak wiemy, wykształcony Botticelli nie miał zastanawiać się nad tokiem dziejów rodzaju ludzkiego? Zresztą mógłbym spór odrazu rozstrzyg-

nać przytaczając pogląd historyzoficzny, jaki kardynał Mikołaj z Kuzy spisał w Rzymie na pięćdziesiąt lat mniej więcej przed powstaniem obrazu, o którym mowa. Rzecz to zadziwiająca, zastanawiająca tem, że ów filozof za czasów renesansu, potrafił istotnie przewidzieć, jak nasze czasy wyglądać będą; mogłoby to panie także zająć; ale chcąc rzecz powtórzyć musiałbym formalny wykład wygłosić; musiałbym w dodatku pogląd na dzieje poprzedzić niektórymi szczegółami bardziej oderwanej natury, wzmianką o metafizyce, wcale nieprzystępnej, mądrego kardynała. Tu niema sali wykładowej, lecz bawialnia hotelowa; nikogo nudzić nie myślę, więc poprzestanę na tem, co powiedziałem.

Panie jednak zaciekawione były wzmianką; kazały mi koniecznie poglądy starego historyzofa powtórzyć. Musiałem uleść i rzecz wyłożyłem tak, jak ją tu powtórzę.

Mikołaj Chripps był synem ubogich rodziców, a urodził się w pierwszych latach piętnastego wieku, w miasteczku Kenes, na pograniczu Niemców i Niderlandów. Odebrawszy klasztorne wychowanie, a poczuwszy w sobie wielkie zdolności i silny pociąg do nauki poświęcił się stanowi duchownemu, w którym jedynie mógł podówczas ktoś urodzony na północy o świetnej marzyć karierze, jeśli do rycerskiego nie należał stanu. Chripps był w gruncie rzeczy karyerowiczem i trafiało mu się, że zmieniał przekonania, nie śmiem wątpić o tem, że szczerze, ale jednak w sposób, który pomagał skutecznie jego ambicyi. Były to czasy wielkiego zamieszania i rozdwojenia w kościele; w łonie katolicyzmu tlały już zarodki blizkiej reformacji, a spierano się namiętnie o to u kogo spoczywa zwierzchnia nad kościołem władza? Czy u papieża, czy też u soboru powszechnego? Zrazu zdawało się młodzieńowi, że zwolennicy soboru zwyciężą; więc kiedy szyzmatycki sobór w Bazylei wytoczył walkę papieżowi Eugeniuszowi IV, młody Chripps poświęcił swoje pióro i swoje zdolności na usługi soboru. Ale niebawem przekonał się, że brak jedności u przeciwników papieżstwa, musi ich zwycięstwo udaremnić; więc wczas przeszedł na stronę papieską, a wstąpiwszy do orszaku, słynącego z nauki i ogłady humanisty, kardynała Eneasza Sylwiusza Piccolomini, umiał jego względy pozyskać. Gdy tedy uczony jego opiekun zasiadł na stolicy piotrowej, pod imieniem Piusa II-go, przyoblekł swojego sługę w kardynalską purpurę, a Chripps, który przejął się zupełnie włoską cywilizacją, nazywał się odtąd kardynałem Mikołajem z Kuzy, bo tak wymawiano w Italii nazwę jego miejsca rodzinnego. Powiadają, że byłby może został papieżem, gdyby nie był umarł zaraz po śmierci swojego opiekuna, w pierw jeszcze, zanim się zebrało konklawe. Ale różne rzeczy na świecie powiadają i nikt

tego nie wie, co by się było stało, gdyby nie to, że się nie stało, bo się stać nie mogło?

Kardynał z Kuzy należał do najwszechstronniejszych umysłów, jakie kiedykolwiek żyły. Pisał nie same tylko kanoniczne rozprawy. Zasłynął jako matematyk i astronom, wydał świątobliwe, zupełnie prawowierne rozpamiętywania i kazania chrześcijańskie; najtrwalszy jednak ślad pozostawił po sobie w dziedzinie filozofii. Liczne jego dzieła filozoficzne, elegancką, klasyczną łaciną humanistów spisane, mieszczą w sobie czasem dość niesmaczne łamigłówki. Mikołaj z Kuzy używa w nich czasem wyrazów własnego pomysłu, wielce dziwnych; ale ilekroć używa formy filozoficznego dyalogu, zachwyca tokiem zwrotów i myśli, umie bez pedanterii bawić, godnie wstępuje w ślady swoich wielkich wzorów: Platona, Cycerona i św. Augustyna. Historyzofię swoją wyłożył w jednym z takich dyalogów, któremu nadał dość niespodziany tytuł: „chochły“, *cochlear*.

Ze podstawą, z której swoją historyzofię wynioskował była, poniekąd od współczesnych kabalistów i od starych neoplatoników zapożyczona, ale jednak oryginalnie przetrawiona i przerobiona metafizyka, więc przepraszam za to, ale muszę rzecz właściwą poprzedzić jaknajkrótszem tej metafizyki streszczeniem; krótkiem być musi, aby nie było nudnem, a jeśli się okaże niezrozumiałem, będzie temu zapewne winna krótkość, będzie także winien sam kardynał z Kuzy, którego myśli po nieco zawrotnych chodziły manowcach, ale główną winę chętnie przyjmę na siebie: na karb swojej nieudolności.

Panie wiedzą o tem, że nudziarze logicy odróżniają dowód od wyvodu, czyli jak się z łacińska wyrażają—indukcyę od dedukcyi. Dowodzi się za pomocą indukcyi istnienia ogólnych prawd, gdy się porównywa mnóstwo poszczególnych rzeczy i zdarzeń, nato, aby orzec nareszcie to, co się ich wszystkich tyczy, zbadać istotę jakiegoś rodzaju, albo przynajmniej jakiejś postaci zjawisk; z dowiedzionej prawdy wywodzi się potem za pomocą dedukcyi jej zastosowanie, jakie się wśród rozmaitych okoliczności nadarzy, skoro tylko mamy do czynienia z rzeczami albo zdarzeniami należącemi do rodzaju, albo do postaci, której istota nam już jest znaną. Dzisiejsza nauka zwykła zalecać przejście od dowodu do wyvodu, każe poznawać najpierw szczegóły, a z nich dopiero prawdy ogólne wynioskować i różnych cudów w ten sposób dokazała. Starożytni jednak postępowali przeciwnie i z równie znakomitym skutkiem, skoro dwie najpewniejsze nauki, logikę i przedewszystkiem owe nowożytne bóstwo, matematykę, wywiedli w całości z prawd ogólnych, a bezpośrednio oczywistych, z tak zwanych aksyomatów, a dzisiejsi matematycy nie inaczej od starożytnych postępują, trzymając się twardo metody dedukcyj-

nej. Skoro wiemy, że także prawnicy, i to zupełnie świadomie, w podobny sposób postępują, że przyrodnicy nawet dzisiejsi mają się mimowiednie metody dedukcyjnej, ściśle logicznych jedynie wywodów, skoro tylko dadzą się matematycznym zasadom wkraść do swojej nauki—nie będziemy ramionami ruszać, jak to czyni wielu, gdy sobie przypomnimy, iż starożytni i średniowieczni ludzie mniejszą wagę do doświadczenia i drobnostkowych obserwacji przykładali, wyżej cenili sobie naukę, rozpoczynającą od prawd ogólnych, od pojęć najszerszych, a wywodzących dopiero szczegółowe przepisy. Obie metody mają swoją dobrą i złą stronę, a nie myślę się w tej chwili zastanawiać nad tem, kto ma słuszość, czy starożytni mędrcy, czy dzisiejsi uczeni, o ile mają słuszość jedni albo drudzy? Teraz stwierdzę tylko, że kardynał z Kuzy, zgodnie z większością współczesnych, nie lekceważąc wcale dowodów opartych na doświadczeniu, przyznawał prym wywodom zaczerpniętym z prawd ogólnych.

Mamy bardzo przesadne wyobrażenie o nietolerancyi średniowiecznej. Kościół stał się bojaźliwym dopiero po reformacyi i dopiero przykład srogi dogmatycznej nietolerancyi pierwszych państw protestanckich wpłynął na katolicyzm i wytworzył w pierwszej zwłaszcza siedemnastego wieku połowie tak nieznośną pod tym względem atmosferę, że nam przykro, kiedy czytając dzieła najznakomitszych ówczesnych umysłów, dostrzeżemy, jak lęklonie każdego strzegły wyrazu, jak się formalnie wiły, aby nie popaść w niezgodę z wyznaniem, panującym w ich kraju. Ta nietolerancya wynikała bezwarunkowo z ówczesnej zasady, przyznającej rządowi prawo stanowienia o religii poddanych, z tego, że dogmatykę chrześcijańską w polityczny oręż zamieniono. Za średnich wieków obchodzono się wcale niedelikatnie z każdym, który podburzał przeciw hierarchii kościelnej i opartemu na niej łaadowi społecznemu; brano go na tortury i palono na stosie, bez ceremonii. Patrzano zato wcale obojętnie na wszelkie metafizyczne herezye, domagając się tylko, aby ich w języku żyjącym nie propagowano. Po łacinie wolno było pisać najbardziej nieortodoksalne rzeczy, byle tylko w sposób naukowy. Kiedy słynny Abelard wszelkie podstawy jakiegokolwiek religii zaatakował, w dziele zatytułowanym „Sic et non“, i wszystko podał w wątplenie, co się tylko w wątplenie podać dało, ograniczono się na tem, że mu zakazano wykładów w Paryżu, a oddano mu w zarząd opactwo. Wciągu czternastego i piętnastego wieku wykładano na wszystkich uniwersytetach, mimo to że wszystkie od kościoła zależały, obok prawowiernej scholastycznej filozofii, zresztą wbrew nowożytnemu przesądowi bardzo głębokiej i poważnej—materyalizm i ateizm arabski, zwany aweroizmem, albo też panteistyczną nauką kabalistów. Wca-

le nieprawowierni filozofowie bywali nawet, i to przykładnymi biskupami i kardynałami. Niewypada się przeto dziwić, jeśli się także filozofia kardynała z Kuzy nie koniecznie da pogodzić ze ścisłą chrześcijańską ortodoksją, jeśli mocno panteizmem trąci — choć tegoż kardynała pisma ściśle religijne są bardzo pobożne i budujące.

Dla Mikołaja z Kuzy, Bóg to poprostu był wszechbyt; — a byt, to myśl i jedynie myśl, bo wszystko jest albo myślą myślącą, albo tej myśli wyobrażeniem, zatem myślą pomyślaną. Próbując rzecz wyjaśnić, musiałbym się wdać w metafizyczne wywody, lecz nie dam się porwać tej pokusie i poprzestanę na tem, że powiem tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, aby pogląd Kuzy na dzieje powszechne wyjaśnić. Otóż Bóg sam w sobie jako byt oderwany, to najogólniejsze pojęcie, jakie sobie umysł ludzki wytworzyć zdoła, jakie wogóle istnieć może, obejmując wszystko rzeczywiste i możliwe. Ono jest u początku; z niego myśl spuszcza się powoli ku zjawiskom poszczególnym, ku istotom ziemskim a doczesnym. Z analizy pojęcia bytu, wynikają najpierw pojęcia ogólne praw i rodzajów — *universalia* scholastyków, czyli idee Platona. Rozbierając te dopiero pojęcia ogólne, dojdziemy u końca logicznego wywodu, do jestestw poszczególnych, doczesnych, na których bywają prawa rodzajów ujawnione, do których bywają praktycznie zastosowane, do tego co nie bytuje już tylko jako coś możliwego, lecz istnieje jako tuteczna rzeczywistość. Takie rzeczy poznajemy za pomocą zmysłowego doświadczenia, a za ich znów pomocą możemy się nazad drapać po drabinie Jakóbowej logicznych dowodów, za pośrednictwem najpierw z doświadczenia wywnioskowanych prawd ogólnych o rodzajach i prawach natury, aż do owego najwyższego, oderwanego pojęcia bytu, w którym pełń bóstwa przebywa.

Takie to są koleje myśli, a zatem także wszelkiego bytu koleje. Myśl Boża tem jest i to tworzy, co tylko pomyśli. Zgodnie tedy z prawami myśli istnieją trzy światy: Najwyższy, to świat, w którym pełń trwa bóstwa, świat oderwanego bytu i bezwzględnej jedności; z niego schodzi twórcza myśl Boża do świata tamecznego, do świata wiecznych idei, praw nieprzemiennych, pojęć ogólnych, w których tkwi istota rodzajów i postaci, stąd dopiero zstępuje myśl wiekusta w świat trzeci, w świat tutecznego istnienia, gdzie sama rozpada się na niezliczone, ograniczone duchy ludzkie, poznające, za pomocą zmysłów, istotę rodzajów nie taką, jaką jest w sobie, wśród tamecznego bytu, tylko taką, jaką się jawi wśród czasu i przestrzeni, w poszczególnych przedmiotach stworzenia tutecznego. Wywód istnienia z pełni bóstwa doszedł tym sposobem do kresu swego, a myśl wieczna, w roju indywiduów ludzkich uświadomiona, poznaje świat za pomocą zmysłów i zmysłowej pamięci i zmysłowej wyobraźni, wystarczających do zadośćuczynienia potrzebom

doczesnego, ziemskiego tylko a poziomego żywota. Ale myśl dotąd oderwana i nieosobista, podobnie jak niegdyś Anteusz, dotknąwszy się ziemi, nie tylko w każdym człowieku do osobistej dochodzi samowiedzy, ale nabywszy sił nowych, porywa się do wzlotu powrotnego ku wyższym światom. Obok poznawania zmysłowego budzi się w człowieku rozum, który na podstawie doświadczenia, praw i prawd ogólnych, uczenie dowodzi, wdziera się na powrót w świat tamecznych idei, zamieniając je we własność osobistą, żywotną każdego człowieka. Dla rozumu dostęp do pełni bóstwa wzbroniony; dowieść może tylko, że jest ponad rojem poszczególnych pojęć ogólnych byt oderwany, najwyższy; zrozumieć, pojąć tego bytu nie jest w stanie, chociaż dociera do progów najwyższego świata. Tych progów nie przekroczy rozum. A jednak duch ludzki i tam się wędruje, za pomocą wyższego nad zmysłowe i rozumne poznawanie, boskiego widzenia prawdy bezwzględnej—umysłu doskonałego; i dopiero kiedy człowiek jedność swoją z pełnią bóstwa poczuje i tę pełń bóstwa osobistą uczyni—cel stworzenia bywa w zupełności dopięty.

Skończyłem już bardzo krótkie streszczenie, wcale nie prawowiernej, a ze stanowiska chrześcijańskiego wielce podejrzaney metafizyki kardynała z Kuzy. Raz jeszcze przepaszam, jeśli nudził i jeśli byłem trochę a nawet bardzo niezrozumiały; ale dla rozgrzeszenia siebie samego, dla uspokojenia naukowego sumienia, musiałem tych kilka zdań powiedzieć, skoro filozofia historii kardynała Mikołaja stoi w najściślejszym związku, z jego metafizyką, skoro tę historiozofię uzasadnił tylko odwołaniem się na swoją metafizykę. A teraz przejdę do właściwego przedmiotu.

Wracam tedy do owej „Chochły“, czyli do dyalogu tak dziwacznie zatytułowanego. Otóż kardynał z Kuzy przenosi czytelnika do Rzymu i każe nam się przypatrywać temu, co się tam w roku 1450 działo, kiedy odprawiano wielki jubileusz, jeszcze za pontyfikatu Mikołaja V Porentucelli, wielkiego opiekuna sztuki i nauki, znakomitego humanisty i poprzednika Piusa II-go na stolicy apostolskiej. Trzej bardzo poważni a strojni filozofowie z Włoch, Niemiec i Francji, dokładni znawcy filozofii Platona i Arystotelesa, chcieli się dostać przez Tybr do bazyliki świętego Piotra—a nie mogli, z powodu niezmiernej ciżby tłoczącej się nieustannie przez *Ponte Angelo*, ów wspaniały, murowany most u stóp ponurego pomnika Cesarza Hadryana. Ze wszystkich stron Europy ciągnęły nieuczzone rzesze, mówiące wszystkimi językami, a nie oglądając się na nic, tłocząc się i dusząc po drodze, docierały do papieskiego kościoła, aby mogły ukłęknać przy grobie Rybaka, otrzymać błogosławieństwo apostolskie,—bo cieszyły się bogobożnem nieuctwem, któremu rozumowe abstrakcje

nie stawały na zawadzie, bo ciężka kotara nauki nie zasłaniała im owego oka duszy, nieodbierała zdolności mistycznego rozpoznania najwyższej prawdy, zjednoczenia się z Bogiem, w prostocie ducha i dotarcia do upragnionego celu. Tamci filozofowie zbyt mądrzy byli na to, aby mieli czegoś chcieć naprawdę; niewygodę unikali, na most się nie puszczały, zastanawiali się nad dziejowym znaczeniem oglądanego przez siebie widowiska, dyskutowali o tem w sposób bardzo zajmujący; czekali aż tłumy przeminą i... doczekać się tego nie mogli. Nareszcie postanowili schronić się do sklepiku rzemieślnika, wyrabiającego znakomicie chochle. Otóż ten znakomity chochlarz—czy chochlorób—nie wiem jak go nazwać, a niema tu Trentowskiego, aby dla tej sprawy jakieś niemiłosierne, nowe, nibyto polskie słowo ukuł—miał w sobie coś ze Sokratesa; sływał w całym Rzymie ze swojego mądrego nieuctwa, z daru intuicji, rozpoznającej prawdy najwyższe, bez której żadna nauka i żadne, choćby najumiejętniejsze rozumowanie umysłu ludzkiego, do celu ostatecznego doprowadzić nie zdoła. Dzięki temu darowi umiał ten arcyfilozoficzny rzemieślnik uczeńszych od siebie naprowadzać na wnioski z ich wiedzy wyniki, ale takie, na któreby sami nigdy nie wpadli. Więc w tym dopiero sklepiku nawiązała się arcymisterna i arcyciekawa rozmowa, przy której owi uczeni filozofowie doszli do poglądu na dzieje powszechne, który teraz, już bez dalszych preambułów wyłożę.

Myśl dopiero w człowieku się uświadamia, zestępuje do istnienia ze świata tamecznego bytowania idei nieprzemiennych i z dalszego jeszcze świata pozabytnego, w którym pełń bóstwa spoczywa. Myśl, to Bóg, a zatem dzieje rodzaju ludzkiego, to dzieje Boże, to historia Boga samego; w dziejach powszechnych, ujawnia się docześnie wieczny proces logicznej i twórczej myśli.

Na początku tedy była ludzkość pogrążona w pełni bóstwa, ale nieświadomie jeszcze i nie rozumiejąc swojej z Bogiem współistności. Działo się to pod skwarnem słońcem tropikalnym, w Indjach, w Egipcie i w Syrii—gdyż kardynał z Kuzy te trzy kraje wyraźnie, jako kolebkę cywilizacji wymienia, rozumiejąc pod Syryą także Mezopotamię. Skwary słoneczne rozpały wyobraźnię, myśli samodzielnej budzić się nie dały, a potęgą podzwrotnikowej przyrody, bujność bajeczna dziewiczego lasu, albo straszliwa nieskończoność pustyni, budziły w człowieku wyraźne swojej niemocy poczucie. Więc te narody pierwotne całe były pogrążone w myśli o Bogu—ale nie jako dzieci Ojca, tylko jako niewolnicy Pana; nie śmiały nawet Boga pomyśleć na podobieństwo ludzkie—ani duchowo, ani zmysłowo; Bóstwa nieosobiste i wszelkiego pozbawione miłosierdzia, wyobrażały sobie w postaci poczwar nieludzkich, dziwacznych a groźnych i słu-

chały ich objawienia, drżąc na ciele i duszy. U tych narodów wszystko było religią, ale wszystko było także niewolą i uciskiem; te rzesze nie знаły niczego, coby było ludzkim zupełnie, świeckiem. Obyczaj rodzinny i powszedni, nauka, państwo i ustrój społeczny, były u nich rzeczą religijną, ustanowioną przez Bogów, nietykalną, w której ani zmiany, ani postępu być nie mogło; nawet najbardziej zwierzęce instynkta, najsprośniejsze namiętności, były dla nich rzeczą boską, bogiem była i zmysłowa przyroda, która trzymała narody w niewoli, domagając się katuszy okrutnych i hańbiącej rozpusty — ofiary ze wszystkiego, nawet ze czci, z rozumu i cnoty. A na wzór bóstwa dźwigał się despotą ziemski, król, którego naród nie poddanym był, lecz niewolnikiem, ojciec i pan, u którego żony, dzieci i sługi były zarówno dobytkiem, nie wiele od bydła różnym. Wielkie wykonywano dzieła materyjalnej cywilizacyi, dziwne odprawiano czary, ale na mocy instynktu i świętego a instynktownego obyczaju. Nie obudzona jeszcze i nieuswiadomiona ludzkość liczyła w swoim łonie samych równych pomiędzy sobą niewolników. Bo nikt z ludzi nie był wolnym, król nawet był biernym niewolnikiem swojego bóstwa, i w poddaństwie swoim nawet myśleć nie śmiał.

Dziejów nie było jeszcze na prawdę w owym pierwotnym Wschodzie, były wojny i zmiany dynastyi, ale rodzaj ludzki, pogrążony w łonie powszechnego, nieosobistego bytu, stał na miejscu, sam o sobie nie wiedział, nie rozwijał się, nie postępował. Dopiero w umiarkowanym klimacie krain położonych na północnem wybrzeżu Śródziemnego morza, mogły się pod pogodnem niebem dzieje rozpocząć, mogła ludzkość rozpocząć dzieło myśli, rozróżniającej wyraźnie najogólniejsze prawdy, naczelne prawa i rodzaje przyrody. Grecy i Italicy tudzież późniejsi ich spadkobiercy, narody Romańskie, ludy, które działają w drugiej rodzaju ludzkiego dobie, a pierwszym dziejów właściwych okresie, doznają zimna, niepogody i upału o tyle o ile tego potrzeba do rozbudzenia i ożywienia, cały rok pracować mogą bez trudu, mają do czynienia z przyrodą, która sama wprawdzie nie jest zdolną liczne narody utrzymać i nakarmić, ale która niewielkim da się trudem do potrzeb ludzkich nagiąć. Tu najdzielniejsi pośród ludzi uczyli się nie już niewolnikami, jedno panami sił nieosobistych, zaczęli ich prawa rozpoznawać, a mało dbali o poziomą, drobnostkową powszedniość, rozróżniali to, co ogólne i piękne, to co jest wyrazem prawdy nieprzemiennej, na to jedynie baczność zwracali uwagę. W dyalektycznym procesie myśli i bytu wyłoniła się część rodzaju ludzkiego z toni bytu nieosobistego, wejrzała na świat ideału nieśmiertelnej piękności i dyalektycznych dociekań, i nastał okres dziejowy, o którym kardynał z Kuzy twierdził, że za dni jego trwa jeszcze, ale już

przeznaczonego sobie kresu dochodzi. Nawet wśród narodów wybranych, u których cywilizacya ludzkim teraz zakwitła blaskiem, nie wszyscy ludzie mogli w dziejowej uczestniczyć pracy. Mnogie rzesze pozostały w uiewoli, ale służyły nie już mocom poczwarnym a nieosobistym, tylko ludziom pięknym a dobrym—za pogaństwa mędrcom i bohaterom, za chrześcijaństwa rycerzom i świętym, którzy postacią, rozumem, cnotą i natchnieniem, sami najdoskonalszą piękność ludzkiego ujawniali ideału, a rzeszom dawali bogów, prawa i obyczaj nowy. Religia zamieniła się z religii trwogi w religię piękności, a ludzkość wyobrażała sobie mieszkańców nieba a nawet najwyższego Boga, na podobieństwo doskonałych, nieśmiertelnych, wiecznie szczęśliwych ludzi. Najważniejszymi zajęciami ludzkiemi stały się: sztuka, polityka, nauka. Sztuka szukała ideału, piękność najdoskonalszą po przed oczy ludziom wyprowadzała, bogom pięknym piękne stawiała świątynie, czyny bohaterów i władców opiewała górnie; uprawiana przez najlepszych, wykonywała misterne dzieła skończonej piękności, od powszedniego otoczenia oderwane, dla najlepszych tylko w zupełności przystępne. Politykę i wojnę uprawiano, jako pole popisu dla dzielności, której dziejopis nieśmiertelną potem nadawał chwałę, a państwo i społeczeństwo pojmowano jako urządzenie, mające doskonałych choć wyjątkowych wyrobić ludzi. Nauki poszczególne uprawiano pobocznie, prócz historii zajmowała tylko filozofia myśli przewodców, na poły boskich, ludzkiej rzeszy, i myśl krążyła ustawicznie w świecie oderwanych idei, gardząc umysłowem doświadczeniem. Z filozofii czerpały swoje natchnienia obadwa zajęcia mężów stanu: prawodawstwo zakreślające ogólne normy dla zajęć ludzkich, i górna wymowa, posługująca się spekulatywnemi zwrotami, albo zamieniająca się w sztukę piękną, zachwycającą słuchaczy i rozbudzającą ich uczucia.

Rzekłem już, że dla kardynała z Kuzy obraz ten bohaterski, arystokratyczny, spekulatywny, i w piękność doskonałą zapatrzony, trwał jeszcze w piętnastym wieku, ale zbliżał się ku końcowi. W dalszym ciągu dyalektycznego procesu miała już ludzkość zestąpić w świat trzeci, tutecznej, zmysłowej ale powszechnej świadomości. Miała się wprawdzie na dolnej obudzić ziemi, ale miała się obudzić gromadnie i wszyscy bez wyjątku ludzie mieli być odtąd świadomi swojej godności i swojego społeczeństwa, wszyscy mieli być wolni i równi. Scena dziejów miała się przenieść na północny zachód, a plemię germańskie miało być powołane do przewodniczenia wśród trzeciej rodzaju ludzkiego doby a drugiego dziejów postępowych okresu. Plemię to twarde a praktyczne, w twardej wychowane szkole. Pod mglistem niebem, w zimnym klimacie o srogiej i długiej zi-

mie, musi każdy człowiek bez wyjątku dbać skwapliwie a usilnie o pokarm obfity, ciepłe pomieszkanie i ciepłą odzież; zginąłby niechybnie, gdyby nie pracował, niema czasu na górne spekulacye, ale tembardziej ćwiczyć musi swój zmysł spostrzegawczy, badać przyrodę, którą mu opanować przyszło, uczyć się od doświadczenia. Wśród tej powszechnej a poziomej pracy zetrą się różnice między ludźmi. Nikt już nie zechce być niewolnikiem i sługą, skoro każdy będzie równie zdolnym do zmysłowego poznania i przeróżnych a praktycznie pożytecznych zajęć, nastanie zatem równość powszechna, demokracja prawdziwa, zupełna, jakiej nie znały ani Ateny, ani Florencya, rzeczypospolite z nazwiska tylko demokratyczne, skoro żyła w nich, około garstki wolnych obywateli, rzesza niezliczona poddanych, pozbawionych pełni praw, skazanych na bierne posłuszeństwo. Umysł ludzki zajmie się każdym szczegółem; demokratycznym także i praktycznym a zmysłowym celom poświęcona nauka oprze się wyłącznie na zmysłowym doświadczeniu, każdy szczegół badać będzie skrzętnie, nie dbając o to, czy się który komuś wyda szlachetnym, czy też nikkzemnym. Ludzkość^{ci} w pamięci swojej i po gmachach publicznych zakładać będzie ogromne biblioteki i muzea, gdzie wszelkie wiadomości o tem, co jest i było, będą nagromadzone w osobnych oddziałach, powierzonych w ręce osobnych ludzi, i suma szczegółów nagromadzonych, pojedynczych wiadomości nabytych, przejdzie wszystko, o czem uczeni Aleksandryjczyści kiedykolwiek zamarzyli. Praktycznym skutkiem takiej pracy naukowej, będzie tak doskonałe opanowanie przyrody, że cuda, któreby były dawnych magów i czarnoksiężników w podziw najwyższy wprawily, spowszednieją zupełnie rzeszom przyszłości, a prości mieszczanie nagromadzą skarby, w porównaniu z którymi bogactwa Salomona albo Krezusa były majątkiem żebraka. W tym czasie przyszej demokracji, bibliotekarskiej, skrzętnie zebranej a w całość nie zlanej wiedzy, praktycznej pracy około chleba powszedniego i bajecznego nagromadzenia bogactw, będą: religia, sztuka, poezya i filozofia zapewne dalej istniały—ale tylko jako coś przekazanego przez odległe wieki, jako zajęcie niewielu, niewywierające żadnego wpływu na życie narodów. Bohater lub święty będzie rarogiem niechętnie widzianym przez zazdrosną demokrację, sztuka będzie zabawką, albo rzemiosłem nie dbającym o odtworzenie najwyższej piękności, filozofia mrzonką niepraktyczną, a zatem lekceważoną, będą to czasy, w których Anteusz ludzkością przezwany, ze wszystkim spocznie na ziemi, aby za pomocą zmysłowego poznawania pełną o samym sobie nabyć świadomość, a później kiedyś, w dalekiej może jeszcze przyszłości, wzbić się do powrotnego lotu, za czwartej

doły żywota rodzaju ludzkiego i ostatniego okresu dziejów postępowych.

Powiada kardynał z Kuzy, że na wschód od owych skrzętnych a zmysłowych Germanów, inny żyje naród północny, z usposobienia pośredni pomiędzy Germanami a zakochanymi w ideałach ludami południowej Europy. Sadyby tego plemienia zakresła na ogromnej przestrzeni, która sięga od Oceanu Lodowatego, aż po kresy dawnej klasycznej Hellady; Słowian po imieniu nie nazywa, ale doprawdy zdawać się może, że wskazał ich palcem. Otóż to nowe plemię podejmie kiedyś dzieło przez Germanów spełnione, aby za pomocą nagromadzonej skrzętnie wiedzy, umiejętnego, przez poprzedników zdobytego panowania nad przyrodą i za pomocą nagromadzonych bogactw, wywieść demokrację powszechną ze zbyt poziomej a zmysłowej wyłączności i wprowadzić już całą teraz ludzkość w świat ideałów. Tego plemienia zadaniem będzie kiedyś naukę szczegółową, a w szczególności nieskończenie bogatą, zlać napowrót w spekulatywną całość, obwieścić światu prawa ogólne i dać mu metafizykę, nie opartą już na domyśle, lecz pewną i niezachwianą; to plemię nauczy demokratyczne społeczeństwo tego życia nie zmysłowego już, nie myślącego wyłącznie o chlebie i wygodzie, ale dążącego do uszlachetnienia i udoskonalenia wszystkich ludzi, jako do swojego ostatecznego celu; ono całą ziemię przyzdobi, cały świat przemieni w jedno doskonałe, dla wszystkich przystępne i zrozumiałe dzieło sztuki, cały żywot rodzaju ludzkiego w jeden poemat, w jedną pieśń zestroi.

W tej to dobie procesu dziejowego będą rody ludzkie powracać do Boga. Cały planeta wreszcie i wszyscy na nim ludzie, bez różnicy płci, narodu i stanu będą uczestniczyć w doskonałej cywilizacji, władającej siłami przyrody bez wysiłku a zapatrzonej w ideał, w piękno, dobro i prawdę wiekiustą. Dopóki cel w zupełności nie będzie osiągnięty, dopóki proces dziejowy trwać jeszcze będzie, dopóty będą przewodzić północne a zatem praktyczne i zawsze jeszcze do tuteczności doczesnej przywiązane narody trzeciego, najmłodszego plemienia. Ale ostateczne dokonanie dzieła nie im przypadnie w udziale. Pod zwrotnikami, w Indyach dalekich, pozostał naród mnogi, w bóstwie pograżony. Indowie w dziejach udziału nie brali, pozostali dotąd w stanie, w którym rodzaj ludzki był przed początkiem dziejów, w posiadaniu sił magicznych i wiedzy intuicyjnej; a jak na początku tak i teraz, pozostając w jedności z bóstwem, w bóstwo to spoglądają, jako w coś nieosobistego, poczwarnego, siejącego trwogę, pozostają zatem w sprośnem, albo okrutnem bałwochwalstwie, w zupełnej niewoli wszystkich ludzi, tak mnogiej rzeszy, jakoteż książąt i kapłanów. Ale gdy dyalektyczny proces

dziejowy już do końca dochodzić będzie, gdy cały świat obejmie, porwie ze sobą także ludy Indyi, na chwilę, i gdy im otworzy oczy na to, że Bóg ludziom ojcem, że z duchem ludzkim współlistotny, w myśli człowieczej przybywa, że w niej do świadomości pełnej dochodzi, wtedy posiadanie intuicyjnego wzroku, przenikającego najwyższe tajemnice, i mistycznej mocy cudu, odrazu Indów na czoło narodów wyniesie. Skończą proces dziejowy, przywrócą ludzkość do jedności zupełnej z bóstwem. Nastanie znowu czas, który naprawdę czasem nie będzie, w którym nie będzie już żadnej przemiany, w którym wszystko będzie w Bogu i Bóg wszystkim będzie. Wynosząc ziemię i rodzaj ludzki po nad doczesną tuteczność, przywrócą Indowie czasy pierwotne całemu plemieniu naszemu, ale będzie to bezwzględne panowanie religii przemienionej, utwierdzonej miłością i wiedzą intuicyjną a nie już trwogą zabobonną, władającej nad ludźmi wolnym a zapatrzonymi w piękność nieprzemienną, nie już nad niewolnikami pogrążonymi w ślepy zabobonie.

Skończyłem mój wykład. Koniec jego tak dalece zajął panie, że same tego już nie wiedziały o ile początek był może nadto długi, a przecież niezrozumiały. Po chwili odezwała się pierwsza pani Róża, dziękując za wykład—tak jak tego uprzejmość się domagała, ale dając do zrozumienia, że zapewne zmodernizowałem mimowolnie wyobrażenia przedwiecznego humanisty.

Odpowiedziałem:

— Rzecz wykładam z pamięci, więc ponajwiększej części własnych słów i zwrotów używam, co zresztą przy streszczeniu każdego systematu jest nieuniknionem. Ale te zdania, które panią zapewne jako najbardziej nowożytnie uderzyć musiały, są prawie dosłownem tłumaczeniem zwrotów, użytych w dyalogu kardynała. Uderzyły one i mnie niezmiernie, kiedy ten dyalog czytałem i zadziwiły mnie; powtórzyłem je przeto wiernie z pamięci. Zresztą, gdy chodzi o proctwa, które się sprawdziły już, gdy chodzi o charakterystykę bytu czasów dzisiejszych, w których germańskie przewodzą narody, wolno przypuszczać, że okoliczności współczesne wpływały na piszącego i że kardynał wyobrażał sobie zdarzenia przyszłe, jako coś nierównie bliższego, że się spodziewał, iż dzieje dobiegną do kresu w najbliższym już czasie. Nie śmiem tego twierdzić, ale nie śmiałybym także zbijać dowodów człowieka, twierdzącego, iż Niderlandy, ojczyzna kardynała, były już podówczas bardzo podobne do nowożytnych narodów o demokratycznej a materialistycznej cywilizacji. Podobnie być może, iż kardynał spodziewał się, że ludy północnego wschodu dadzą się porwać, pod przewodem Jagiellonów, albo Habsburgów, do owej krucjaty, o której współcześni papieże marzyli, że wygnawszy

Turków z Europy, oswobodzą Grecyę, w której klasyczna cywilizacja podówczas dogorywała jeszcze i że to zaraz ożywi renesans, sprowadzi powrót do dawnych ideałów, chrześcijańskim i demokratycznym duchem ożywionych. Wreszcie wspomnienie o Indjach, mogło być tem sprowadzone, że myśl ówczesnej Europy zaprzętała się około odnalezienia nowych dróg do Indyi, co, jak wiadomo, doprowadziło nakoniec do odkrycia Ameryki.

Teraz odezwał się profesor:

— Część metafizyczną systematu kardynała z Kuzy znam z podręczników historii filozofii, gdzie bywa streszczaną w sposób podobny do tego coś pan nam tu powiedział. Wiem, że Hegel i Schelling nie przyznając się *nota bene* do tego, ulegli stanowczemu wpływowi kardynała, jego metafizykę sobie przywłaszczyli i jako rzecz nową w świat puścili. Otóż historyozofia tych dwóch niemieckich mędrców, zwłaszcza Hegla, jest mniej fortunną przeróbką tego zadziwiającego pomysłu, który po raz pierwszy teraz ze starego dialogu powtórzony słyszałem. Więc wierzę zupełnie, że to historyozofia Mikołaja z Kuzy, znana niemieckim filozofom z pierwszej połowy ostatniego stulecia i przez nich przekrecona. Nie mniej przeto dziwi mnie to nie mało, że tego wszystkiego w żadnej historii filozofii nie spotkałem, że to teraz po raz pierwszy słyszę.

— I mnie to dziwi—odrzekłem—że tej tak zadziwiającej a głębokiej filozofii dziejów, w podręczniku żadnym nie znalazłem. Świat po prostu o niej nie wie, a szkoda że nie wie. Kończąc już studia źródłowe nad filozofią średniowieczną, pożyczyłem sobie w bibliotece uniwersytetu wiedeńskiego, gruby, wspaniale oprawny w pergamin foliant, wydania bazylejskiego, wszystkich dzieł kardynała z Kuzy, wykonanego w pierwszych latach szesnastego wieku. Księga była od trzech wieków w posiadaniu księgozbioru wiedeńskiego, ale kartek po największej części nie porozcinano, nierozcięte były także kartki wspomnianego dialogu. Przyszedłem zatem do przekonania, że żaden z wydawców historii filozofii nie czytał dzieł Mikołaja Chrippsa, choć wszyscy prawie podnoszą znaczenie kardynała z Kuzy pod obłoki i wychwalają głębokość jego myśli w tonie panegirycznym. Ktoś kiedyś przeczytał to co kardynał z Kuzy napisał o Bogu, jako wszechbycie i ognisku wszelkiej możliwości, o trojakim świecie i trojakim rozumie i zdał z tego dla nowożytnych sprawę, a wszyscy inni uczeni, tylko to, raz już do wiadomości podane, przepisują.

— Oczywiście!—westchnął profesor—źródłowe studia bywają zbyt często u wielkich uczonych w wielkiej pogardzie. Ale to mnie zastanowiło najbardziej, jak mógł filozof, z przesłanek metafizycznych

wątpliwych, wywnioskować pogląd na dzieje, w którym tyle jest prawdy? Posiadał głęboką naukę, znał dzieje starożytnego Wschodu, dzieje klasyczne i dzieje średniowieczne, genialnym wzrokiem odgadł charakter narodów germańskich, dostrzegł dla ogółu może ukryte związki nowożytnej cywilizacji. Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze genialnych horyzontów, jakie przed starym filozofem stały otworem, przewidywań dalekich, które się sprawdziły dosłownie, o ile chodziło o fizyognomię czasów, w których dziś żyjemy.

— A ja znów — rzekła pani Róża — dziwię się temu, że w tak dawnych czasach, mógł już ktoś wpaść na pomysł kolejnego a koniecznego następstwa plemion, fatalizmu jakiegoś, nie dającego się niczem rozumnie uzasadnić.

Odrzekłem:

— Czy się rozumnie uzasadnić nie da, o tem nie jestem zupełnie przekonany, że jednak takie następstwo plemion istniało dotąd w dziejach, jest rzeczą oczywistą, i wiedza głęboka kardynała z Kuzy już go pouczyła o tem, że pierwotnie ludy semickie przodowały — że potem, i to na długo, przyszła kolej na ludy helleńsko-romańskie pelazgijskiego plemienia, a znaki wróżące bliskie panowanie Germanów były za dni jego dość już wyraźne, aby je człowiek o genialnym umyśle dostrzegł. Z analogii już tylko mógł przyszłe Słowian wywnioskować panowanie. Gdy zaś pogląd na dzieje myśli ludzkiej kreślił, uzasadniał rzecz za pomocą zwrotów i wyrazów, trafiających współczesnym do przekonania, modnych znowu przed osiemdziesięciu i siedemdziesięciu laty, dziś chwilowo ze wszystkim, ale może nie na zawsze, zarzuconych. Spróbuję jednak rzecz na język dzisiejszej nauki w kilku zdaniach przełożyć, wywód istotnie zmodernizować, a wtedy wyda się może wcale rozsądnym i trafiającym do przekonania. Na podstawie indukcji z psychologicznego dowiedzionej doświadczenia, można twierdzić, że cywilizacja starożytnego wschodu, była wyrazem instynktów wrodzonych człowiekowi, jako zwierzęciu gromadnemu, a w instynktach ludzkich tkwi może w zarodku wszystko, co ludzkość kiedyś ze siebie wydać zdoła. Ale na to, aby się mógł zarodek rozwinąć, potrzeba rozbudzenia samodzielnej myśli w człowieku. Z razu mogła się obudzić tylko u wybranych, a musiała się od razu z młodzieńczym zapalem zabrać do rozwiązania najwyższych zagadnień, nie nagromadziwszy wpierw tych wiadomości, bez których zamiar był zbyt śmiały. Początek postępowych dziejów musiał zatem wydać cywilizację arystokratyczną zarazem i spekulatywną, w której geniusz ludzki mógł najwyższe prawdy odgadnąć, najdoskonalszej piękności dopatrzeć się wzrokiem wieszczym, w której

jednak prawd tych ani uzasadnić, ani użytkować nie mógł. Gdy cywilizacja dostała się do wszystkich ludzi, lotów tych zaniechać musiała. Nowożytna demokracja może być zrazu utylitarną i materialistyczną, chodząc po ziemi, musi ufać doświadczeniu, musi się zawrotnych wystrzegać lotów, a zbierając skarbiec luźnych wiadomości niezwykajne spełnia posłannictwo, umożliwiając człowiekowi opanowanie ziemi, zwalczanie wrogich sił przyrody, dając wszystkim równą i na dobrobycie opartą godność człowieka samodzielnego, gromadząc wreszcie dane, na których oprze się kiedyś myśl śmielsza znowu, syntetyczna, znów piękności i prawdy bezwzględnej spragniona, która przyszłe kiedyś pokolenia doprowadzi do celów, dziś może przez ogół zapoznanych, do duchowej doskonałości, możliwej tam tylko, gdzie mizernej walki o chleb powszedni ludzkość już nie będzie potrzebowała prowadzić. Wszak takie ugruntowanie filozofii dziejów kardynała z Kuzy, nowożytnego ucha nie razi? A rozsądnem wyda się także twierdzenie, że naród, który w jednym okresie dziejów przodował, nie potrafi już zawrócić z kolei obranej przez siebie, przodownictwa w następnym okresie innym narodom ustąpić musi, tak jak kowal, który się postarzał z młotem ciężkim w rękę, sam złotnikiem nie będzie, chyba syna na złotnika wychowa. Egipt, Syrya, Mezopotamia doprowadziły życie instynktowe do takiej doskonałości, że go już zaniechać nie mogły, że założenie istotnie ludzkich społeczeństw Grekom i Italikom przypaść musiało w udziale. Narody romańskie tak się zżyły z cywilizacją jednostronnie idealistyczną i arystokratyczną, że musiały ustąpić Germanom, kiedy przyszedł czas na cywilizację dzisiejszą, a inne plemię będzie musiało Germanów zluzować, kiedy potrzeba będzie wzbąć się napowrót ponad drobnostkowy empiryzm. Nieprawdąż, że to brzmi wcale rozsądnie, że to ani mistycyzmem, ani apryoryzmem nie trąci? a ilekroć kardynał z Kuzy wskazuje na wpływy klimatu i z nich wywodzi charakter cywilizacji jakiejś, albo jakiegoś plemienia, zdaje się, że słyszymy rozumowanie nowożytnego myśliciela. Przyznam się jednak, że ani do metafizycznych argumentów kardynała z Kuzy, Hegla i Schellinga, ani do trzeźwego niby rozumowania ludzi nowożytnych nie przywiązuję wagi, gdy chodzi o tłumaczenie faktów dziejowych. Możemy wiedzieć, jak się coś działo dotychczas i możemy się spodziewać, że się podobnie dziać będzie w przyszłości, możemy się dopatrywać różnych analogii, mniej więcej słusznych, porównywać na przykład rozwój rośliny do rozwoju społeczeństwa i na odwrót. Ale ilekroć chcemy uzasadnić dlaczego coś się dzieje, dowieść, że tak ma się dziać koniecznie, bywamy prosto śmieszni. Gdy mi ktoś wzrost polnego kwiatka wywiedzie

z praw ogólnych bytu, albo gdy z faktów fizykalnych i chemicznych dowiedzie, że tak a nie inaczej musi się ten kwiatusek rozwijać, przywiążę wagę do jego gadania o racyi dziejowego rozwoju, pozwolę na to, gdy mi zechce tłumaczyć mądrze, dlaczego tu naprzykład, we Włoszech, rodziło się tylu wielkich artystów, w drugiej połowie piętnastego wieku, dlaczego jedne narody mnożą się i kwitną, drugie upadają i wymierają. Tymczasem sędzę, że zdanie prostaka, mówiącego, iż wszystko jest dziełem Bożej wszechmocy, w takich razach tyle, a może i więcej, warte od najuczcieńszej gadaniny filozofa.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

DRAMAT I OPERA.

I.

W teatrze Rozmaitości wznowiono w ciągu ubiegłego kwartału myśl abonamentowych przedstawień, z repertuarem wyłącznie oryginalnym. Próba powiedła się finansowo; przedstawienia były pełne, z czego sangwinierni optymiści skłonni byli wyprowadzać daleko sięgające wnioski, zapomniawszy w swym ferworze wziąć w rachubę jednej drobnej okoliczności: że przedstawień było wszystkiego ośm. Na tyle starczyło już nieraz rozpędu sferom, trzymającym się zwykle zdaleka od teatru; pamiętamy podobną udaną próbę przed kilku laty za reżyseryi p. Bolesława Ładnowskiego. Czy jednak takie fakty czegokolwiek bądź dowodzą? czy można na nich opierać nadzieję, że tą drogą wciągną się do teatru te odłamy publiczności, które, w stosunku do sceny polskiej, zachowywały się zawsze odpornie? Zdaje mi się, że pod tym względem nikt się nie łudził ani w teatrze, ani poza teatrem; było w tych objawach zawsze coś sztucznego, coś wywołanego nie wewnątrzniemi pobudkami zbiorowego widza, lecz zewnątrzniemi bodźcami, wywierającemi na obojętną w gruncie publiczność nacisk społeczny raczej, niż artystyczny; ktoś nawet scharakteryzował psychologię ostatniego abonamentu w ironicznej uwadze, że „zastosowano w teatrze Rozmaitości wielkoświatową filantropię do literatury polskiej”.

Ironia zbyt może zgryźliwa; bo naprawdę wobec pewnych sztuk, które, niewiadomo którędy wcisnęły się do abonamentu; wobec pewnych niespodzianek w obsadzie, które, niewiadomo skąd, zaskoczyły widzów abonamentowych, publiczność wykazała istotnie dużo wyrozumiałości, mnóstwo dobrej woli. Wyzyskać tę dobrą wolę na daleką metę nie próbowano ani poprzednio, ani tym razem; może nietyle z powodu sceptycznych na publiczność zapatrywań, ile z poczucia własnej bezsilności; gdyby bowiem przyszło ułożyć bodaj tylko ośm następnych przedstawień, tak, żeby sama treść repertuaru, bez nawoływania prasy, zgromadziła, bądź tych samych, bądź nowych abonentów; i gdyby nawet twórczość oryginalną wesprzeć zagraniczną, — kierownictwo dramatu i komedyi musia-

loby stanąć bezradne, wobec chronicznej choroby teatru Rozmaitości — wobec braku repertuaru. Jakim sposobem się to dzieje, że są niby sztuki, a rzeczywiście niema repertuaru; co właściwie, poza tytułami różnych nowości, występujących peryodycznie na afisz, nazywa się repertuarem w teatrze, rozumnie prowadzonym, — to było już nieraz na tem miejscu przedmiotem obszerniejszych uwag; powracać więc do tej materji nie widzę potrzeby. Jedną tylko jeszcze do dawniejszych wypadnie dziś dodać uwagę: że na ten brak repertuaru, niezależnie od niekrytycznego kierownictwa, wpływać zaczyna i niedowierzająca publiczność. Wytwarza się stąd anarchia, wobec której kłopoty repertuarowe rozciągają się już na stosunki nie tylko z abonamentowymi, lecz i z codziennymi widzami.

Czego naprawdę ta publiczność chce od teatru, co jej się podoba, a od czego stroni? Na te pytania nikt się w ostatnich czasach nie dobała odpowiedzi, albo raczej codzienną inną odpowiedź dowodziła, że właściwie widz dzisiejszy sam dobrze nie wie, co mu do smaku przypaść mogło. Przyczyn takiego objawu znalazłoby się wiele; jedna specjalna, czysto miejscowa, — to systematyczne od szeregu lat psucie smaku cyrkową strawą farsy i operetki, przenoszącą gusta teatru Nowości do widowni Rozmaitości. Ale są inne, ogólniejsze, ogarniające i kulturalną w całym świecie publiczność; są w atmosferze umysłowości europejskiej kipiące dotąd fermenty, z których, jak się spodziewają wszyscy, ma powstać nowa literatura i nowa sztuka. Jaką będzie ta literatura i ta sztuka, — nikt jeszcze nie odgadł; objawi się zapewne i jedna i druga w arcydziełach, codziennie oczekiwanych, a do dziś dnia nieurodzonych. To tylko widocznem jest w tej przedstworzonej fermentacji, że w niej chaotycznie budzą się indywidualne siły, których powinowactwa, kombinacye, prawa przyciągania i odpychania są tajemnicą przyszłości. O jakimś wspólnem dla nich podłożu, o jakiejś ideowej, czy też formalnej spójni, która niegdyś kojarzyła z sobą klasyków, romantyków, realistów, naturalistów — niema mowy. Wszelkie zmieniające się z dziś na jutro *izmy*, są tylko luźną, wiotką etykietą, rozlatującą się na strzępy pod parciem coraz innej indywidualności. Co artysta — to nowa sztuka; co pisarz — to nowa literatura; możnaby prawie powiedzieć, że niema dzieł — są tylko ludzie, którzy w akcie twórczym usiłują obnażyć swoją duszę i „stan“ jej przedstawiać piórem, pędzlem, dłutem, dźwiękiem.

Otóż, przy ocenianiu stosunku dzisiejszej literatury i sztuki do społeczeństwa nie pamięta się dosyć o tem, że indywidualizm przestał być monopolem artystów, czy pisarzy; im silniejsze bowiem wywierają wpływy w sztuce i literaturze, tem głębiej przenika tam, gdzie go się pisarze i artyści najmniej spodziewają — do tłumu. Dotychczas

sytuacja przedstawiała się bardzo prosto: po jednej stronie byli *oni*, a raczej na stanowisku indywidualnem stała *ja* w liczbie mnogiej, po drugiej tłum. Oni mieli posłannictwo tworzenia, tłum nie miał prawa sądenia; pośredniczką była krytyka, tolerowana wtedy tylko, kiedy jak najmniej mówiła o dziele, jak najwięcej o stanie duszy twórczej. I oto indywidualizm, prawdziwe *enfant terrible*, wypłatał wszystkim figla, natworzywszy bez ceremonii indywidualistów w krytyce i w publiczności. Krytyk impresjonista zaczyna spoglądać na dzieło pod wpływem własnego, indywidualnego „stanu duszy“; a publiczność? — publiczność odzywa się jak Rolewski w „Ostatniem spotkaniu“ Kisieliewskiego: „Ja mam także duszę. Jaką mam, taką mam—ale mam“. I trzeba dodać, że, dzięki właśnie indywidualizmowi, ma widocznie coraz śmielszą, skoro twórcy, który do niej przychodzi i mówi:

— Oto mnie masz w tem, co stworzyłem:

Ona, nie zająknawszy się, odpowiada:

— Ty mnie nic nie obchodzisz, pokaż mi swoje dzieło.

— Moje dzieło, to moje *ja*, a moje *ja*, to moje dzieło.

— Być może; ale ja nie chcę *subiektu*; daj mi *obiekt*.

— To żadne kryteryum.

— To kryteryum bardzo indywidualne. Wszak minęły czasy estetyki, skodyfikowanej w filozoficzne kanony; minęły nawet czasy tak zwanego „smaku“, który był raczej przedsmakiem ubóstwianego dziś przez was indywidualizmu; wy macie swoje *ja* twórcze, my mamy nasze *ja* krytyczne. *A individualiste, individualiste et demi.*

I taka rozmowa powtarza się coraz częściej; *ci* przeciwstawiają się *tamtym*, a przeciwstawiają się nie jako dawna, zwarta masa, lecz jako osobniki, wyemancypowane przez indywidualizm z pod owej psychologii tłumów. Publiczność starego autoramentu zaczyna się rozpadać na uświadomione indywidualnie atomy. Dla tego coraz trudniej z nią sobie poradzić.

Coraz trudniej — zwłaszcza u nas.

Gdzieindziej, ciągłość kultury artystycznej i literackiej wyrobiła szósty zmysł, wyczuwający poezję, artyzm, piękno, niezależnie od motywów, w jakich się te pierwiastki sztuki objawiają, niezależnie od haseł, w imię których do ogółu przemówić pragną: Ibsen, Tołstoj, d'Annunzio, Hauptmann, Wedekind, Wilde, Shaw, Butti, Gorkij—ktoby tam z pomiędzy nich wybierał? każdy z nich poswojemu coś znamiennego wypowiada, a słuchać ich—to właśnie prawdziwa rozkosz artystyczna. U nas inaczej. My stoimy jeszcze na stanowisku, gdzie publiczność zapytuje przede wszystkim: *co* ktoś stworzył, a potem dopiero interesuje się tem, *jak* stworzył.

Czy to „jeszcze“, oznaczające pewną mitręgę w pochodzie kulturalnym, ma być naszym upośledzeniem w stosunku do sztuki europejskiej? Nie sędzę; wydaje mi się raczej, że to nie jest niższość, tylko „inność“, w którą godziłoby się głębiej wniknąć, zanim się lekceważąco wzruszy ramionami na kulturę całego społeczeństwa.

Banalny, zużyty, wytarty do ostatniej nitki frazes o filisterstwie mas wobec literatury i sztuki, był może prawdziwym, a zwłaszcza wygodnym w dobie, kiedy poezya, sztuka, królując w dalekiej, oderwanej od życia krainie, zapatrzona na ideały, sobie tylko dostępne, w kontemplacyi rodziła arcydzieła. Przyszedł naturalizm i zbratał sztukę z życiem w kulcie materji; przyszła po nim adoracya duszy i ona z kolei wyświęciła sztukę na „mistrzynię życia“; więc to życie przez usta swoich dzieci przemawia do niej:

— Masz być naszą inicjatorką; masz uskrzydlić myśli nasze do lotu ku bezmiarom, gdzie kryje się Niepoznawalne; z nieświadomych drgnień naszych najtajniejszych uczuć, masz nam w podziemiach duszy wygrać symfonię Absolutu; masz ogarnąć całą istotę naszą cielesną i duchową, i rozwiązać zagadkę bytu, której nie rozwiązała ani Religia, ani Filozofia. Dobrze. Ale co nam dajesz na tę wędrówkę do Nieskończoności?

— Daję wam Śmierć, — odpowiada „mistrzyni życia“.

„Kulturalna“ Europa przyjmuje tę odpowiedź ze sceptycznym uśmiechem. *Nil admirari*. Z tyloma rzeczami się oswoiła, z tyloma przywykła igrać, dla czego nie miałaby poigrać ze śmiercią, zwłaszcza gdy widzi, że wielcy mistrze obrzędów pogrzebowych dobrze wyglądają, a Śmierć w literaturze i sztuce wywołuje niezwykle przyjemne dreszcze. Nam ten uśmiech trudniej przychodzi; u nas ta cmentarna kokieterya, ten umizg, udrapowany w kir, takim potwornym grymasem wykrzywia oblicze sztuki i literatury, że się od takich amorów ze wstrętem tylko odwrócić można; bo przecież ci oblubieńcy Śmierci, ci kochankowie Nirwany, ci buddyści, aspirujący nad Rudawą i Wisłą do rozplnięcia się w „niebycie“, mienią się „młodą Polską“ — i ideałem dla tej „młodej Polski“ jest — umrzeć!

Jeżeli zatem „filistrami“ mieliby się nazywać ci, co taki ideał męzką ręką odtrącają, — to naprawdę nikt się tego miana wstydzić nie potrzebuje. „Chcę żyć!“ — oto jedyna odpowiedź wodzirejom w tańcu szkieletów, odpowiedź nie „burzoja“, rozpasanego na literaturze Zoli, lecz człowieka świadomego treści i zadań życia; odpowiedź, w której jest więcej idealnej treści, niż w całej tak zwaanej „nowożytnej duszy“. I dziwna rzecz! Ten człowiek, indywidualny, gdy różniczkuje literackie lub artystyczne upodobania, staje się zbiorowym, staje się po dawnemu publicznością, kiedy chodzi o wymówie-

nie dwóch wyrazów: „chcę żyć“, o zajęcie niezależnej postawy wobec „mistrzyni życia“, wyzuwającej dusze ze wszelkich twórczych energii, wobec sztucznych zalotów tej duszy, przymierzającej przed zwierciadłem wszelkie „czarności“, byleby jej było z tem do twarzy. Taka postawa publiczności wyziera nieraz z pustych miejsc w teatrze, nawet wtedy, gdy na scenie dzieło drga artyzmem; ale bywają wypadki, że ona oznacza obojętność nie dla dzieła, tylko dla pewnego na świat poglądu. Pustki są wtedy poglądem publiczności, któremu życie daje silniejszą od sztuki wymowę. Każdy zostaje przy swoim, poeta w teatrze, publiczność w domu — i indywidualizm musi uświęcić tę postawę.

II.

Zdaje się że taka postawa publiczności zadecydowała o losach „Śniegu“ Stanisława Przybyszewskiego. Zdając przed pół rokiem sprawę z wrażeń, doznanych przy czytaniu tego dramatu; wnikając w jego ideową treść i wybiegając myślą ku zagłębionym w dal widnokręgom, dokąd ciągnie przez scenę jakiś „szeroki wiew, wytwarzający naokoło bohaterów niezwykłą atmosferę czystości“, zwróciłem uwagę na piękno, które poeta, tworząc postacie Bronki i Kazimierza, umiał wydobyć, poraz pierwszy może z taką plastyką, ze szlachetnych uczuć. Już wtedy jednak, pamiętając o obojętności, z jaką widzowie przyjęli śliczną parę, Hanki i Konrada w „Matce“, wyraziłem niepewność, czy to piękno oddziało na publiczność w „Śniegu“. Nie oddziało, trafiło bowiem na „zbiorowego widza“, zaprzątniętego w teatrze więcej filozofem, niż artystą, najwięcej filozofią, streszczoną znowu w Śmierci, głoszącej w dramacie ostatnie słowo. Już w domu, który nawiedziła, rozpoczęło się jej żniwo; już nie wróca ci, którzy przed chwilą stąd wyszli, a ona rozgląda się po wszystkich kątach, obchodzi zwolna cały pokój, wreszcie siada nieruchoma i mówi:

— A teraz ja tu już pozostanę.

Tchną te słowa — zauważyłem wtedy — nie mniejszą grozą niż dokonane jednocześnie samobójstwo dwóch ofiar Miłości. Zdają się one przenosić tragizm rzeczy spełnionych, na te, które się dopiero spełnić mają i znamieniem rozkładu piętnować wszystko, co z destrukcyjnej tęsknoty Ewy i złudnej twórczości Tadeusza pocznie się niby czyn Miłości, a co będzie w istocie swojej dziełem zniszczenia.

Czy tu tkwi idea dramatu? Tego scena nie rozstrzygnęła; wydzwignęła natomiast na pierwsze plany postać Makryny, cień jej rozpostarła naokoło, na rzeczy, wypadki, ludzi; na myśli i uczucia; berło

nad całym tym zamroczonym światem jej niepodzielnie w ręce oddała i w dziele, gdzie wszystko ma być symbolem, nietylko życiowym ale i artystycznym, słowami Makryny: „a teraz ja tu pozostanę“, zdawała się zapowiadać panowanie „literatury śmierci“.

Pod to panowanie publiczność poddać się nie chciała. Zbiorowo — to może odruch samoobrony społecznej; w osobnikach — to świadomy, indywidualny protest, w którym odzywa się na prawdę coś innego niż insynuowana z wysokości karawanu przez żałobników literatury *la joie de vivre* filistra, niż mieszczański wstręt do widoku cierpienia.

Cierpienie, jest zapewne potężnym czynnikiem twórczym i dostojnym artystycznym motywem. Wśród dusz obcujących ze sztuką niema takiej, któraby nie odczuła wielkiego piękna Laokoona wijącego się z bólu w węzowych splotach; wojownika rannego, którego smutna głowa zwiesza się na Kapitolu w cieniu śmierci; Nioby, skamieniałej pod ciosami, ciskanemi przez moce niewidzialne, Prometeusza w pętach, rzucającego ku niebiosom *clamores horrenulos*; Frygijki Kassandry, wyjącej wśród Atrydów złowieszcze swoje klątwy; dantejskich wizyj, wcielających niedościgły tragizm cierpienia i tych wszystkich istot rozbolełych, które pod technieniem Shakespera powstawszy z nicości, do dziś dnia nawiedzają nas z oddali wieków. Tak — nie ma duszy obojętnej na cierpienia Werthera, piszącego ostatni list do Karoliny; na płacz Małgosi, rozkrzyżowanej przed wizerunkiem Matki Bolesnej; na westchnienia Bonnivarda, hartującego bólem serce w ciemnościach Chillonu; niema duszy, do którejby nie trafiły męczarnie Konrada, tortury Irydyona, katusze Anhellego.

Ale jest cierpienie i cierpienie. Jest cierpienie czyn i cierpienie frazes. Kiedy Kazimierz i Bronka chronią się w mrok niebytu, przed „straszny pościgiem“ demonicznej, siejącej spustoszenie, Tęsknoty, piękni są w tym czynie idealnej abnegacyi. Kiedy Ewa, pasując Tadeusza na „conquistadora“, każe mu w zwyczajnym pochodzie ku fantastycznym światom, deptać wszystko po drodze „by żyć pięknie i być pięknym“, frazesem jest cierpienie tych bezmyślnych niszczycieli, „gnanych na oślep po trupach“, za czemś „czego nikt nie rozumiał ani nie rozumie“.

Cierpienie bezprzedmiotowe? Zapewne, istnieje i takie i może ma swoje źródło w bezprzedmiotowej tęsknocie za jakimś porządkiem świata, odmiennym od tego, który jest przemijającą spójnią wszechrzeczy na tym padole płaczu. Podobna do rozdźwięku, wynurzającego się z najtajniejszych głębin muzyki ku upragnionemu rozwiązaniu, bezprzedmiotowa tęsknota daje może artyście życiowemu w samym dysonansie rozkoszne cierpienie, lub jeżeli kto woli, bolesną rozkosz. Czy to jednak będzie echo jakichś „prabytowych akordów“,

czy westchnienie do kosmicznej muzyki przyszłości, zawsze ten rozdźwięk jest w terażniejszości tylko przelotnem drgnieniem tych fal istnienia, które pierwotną, przedwieczną siłą rzutu, układają się w przebiegu czasów do harmonii. Twórczą tedy musi być bezprzedmiotowa Tęsknota, nawet z dysonansu zrodzona; zaczem destrukcyjny jej tragizm, wcielony w satańczej postaci kobiety, uosabiającej niby dwa bieguny życia: Miłość i Śmierć—*c'est de la littérature*.

Literatura złudna, powiedzmy to odrazu, tak złudna, że często sprawia iluzję poezyi, zwłaszcza na stronicach książki. Dopiero scena, wydobywając plastycznie na jaw to, co odrazu w wyobraźni doskonałego znawcy teatru poczęte było jako efekt, odziela z nieubłaganą szczerością dwie niby pokrewne a tak w gruncie rzeczy różne dziedziny. Bronka i Kazimierz—to poezya, Ewa i Tadeusz—to literatura. Tragiczna ich walka w dramacie jest może symbolem walki toczącej się na arenie dzisiejszej twórczości. Na którą stronę przechyli się zwycięstwo--to pokaże przyszłość, jak się zdaje, niedaleka. W tej chwili widzimy tylko jedno. Po tamtych, którzy zginęli, pozostało wrażenie Piękną; na zwycięstwo tych, którzy tryumfują w sojuszu ze śmiercią, poeta przezornie zapuszcza zasłonę. Publiczność wychodzi z teatru zgoła nieciekawa tego co się za tą zasłoną kryje, ale Piękno w duszy unieść musi—i to będzie, prędzej czy później, zwycięstwo poety.

Chwiejność powodzenia „Śniegu“, poza filozoficzno-społecznym stosunkiem publiczności do dzieła, przypisać też wypadnie w znacznej mierze grze naszych artystów, świadczącej, że wszyscy, z wyjątkiem może pani Trapszo-Krywultowej, błędzili po omacku. Stało się to częścią z powodu niewłaściwej obsady, w której powinni byli figurować pani Siemaszkowa i p. Śliwicki, częścią z przyczyny pokutowania jeszcze na naszej scenie zużytego aktorskiego szablonu. Nie przeczę, że zadanie do łatwych nie należało; trzeba było bowiem wobec figur chodzących po ziemi z głową zanurzoną w mgły symbolu, stanąć ze środkami, kojarzącymi w sobie realistyczną plastykę z jakąś ideową syntezą. Ale z tem się trzeba pogodzić. Nowoczesny dramat musi wytworzyć przystosowaną do swych wymagań sztukę aktorską, w której, obok tego co się mówi, w równym, może w większym stopniu, chodzi o to jak się mówi. Minęła doba bohaterów, w pięknym porządku układających swoje myśli i uczucia, minął więc dla aktora czas deklamacyi i patetycznej dykcji. Im częściej poeta lekko tylko zaznacza co się w duszy człowieka dzieje, tem więcej żąda od gry niemej aktora. Prawdzie pojedynczego słowa musi towarzyszyć prawda mimicznego wyrazu; formom codziennej mowy muszą odpowiadać linie codziennych gestów. Uboga mowa tradycyjnej mimiki przedstawia-

jąca każdą daną namiętność w stereotypowym wyrazie twarzy i w stereotypowych ruchach, musi ustąpić niewyczerpanemu skarbowi ekspresji i gestów, jakimi rozporządza natura. Piękna poza niknie wraz z pięknem słowem. Z drugiej strony nie można zapominać że na gruncie tego realizmu, wybujała sztucznie cieplarniana wegetacja symbolu, ciągnąca często najsilniejsze swoje soki z głęboko ukrytego naturalistycznego podłoża. Tam gdzie takie soki, przepoiwszy symbole, roztańczają na scenie woń zmysłową, tam artyści oddychają swobodniej i porywają nawet widza grając „Złote runo” lub „Dla szczęścia”; od chwili gdy symbol subtelnie, nie wiedzą jak się z nim obejść. Były w „Śniegu” takie sceny, zwłaszcza między Ewą i Tadeuszem, w których albo snuł się w grze pospolity, mieszczański dramat wiarołomstwa, lub też artyści znajdowali się bezradnie wobec napotykanym trudności. Te trudności gdzieindziej zostały już oddawna pokonane i symbolistyczno-malowniczy styl ma wszędzie pierwszorzędnych przedstawicieli. Eleonora Duse, która, w scenie z „Adryanny Lecouvreur”, stanąwszy przy kominku, przestaje być Adryanną i wygląda jak rzeźbiarski ornament kominka, a w „Heddzie Gabler” podając szklanekę ponczu Löwborgowi, nie jest już Heddą ale jest „pokusą”; Gertruda Eysoldt, igrająca w komedjach Wildego głosem i ruchami, które odtwarzają genialnie falujące linie i mieniące się barwy kreacji angielskiego poety; Basserman, stylizujący „Kolegę Cramptona” sztrychami fantastycznego rysownika — i wielu innych na szerokim świecie, zdobyło już wielkimi talentami prawo obywatelstwa dla impresyonizmu w sztuce aktorskiej.

Czy jednak szamotanie się u nas artystów w ciasnym szablonie jest ich wyłącznie winą?

Bądźmy sprawiedliwi i przypomnijmy znowu, że dramatem i komedią nikt u nas właściwie nie kieruje, że niema tam nikogo, ktoby zdawał sobie z tego sprawę, iż meiningeński ideał, skarykaturowany na naszej scenie do rzemieślniczego kombinowania dekoracyj, kulis i tapicerskich urządzeń, zstąpił dziś wszędzie do dusz ludzkich i wytworzył styl barwności psychologicznej, malowniczego tragizmu. Tego, że do gry aktorskiej zastosować można formułę linii i płam i że taka formuła byłaby najodpowiedniejszą do uplastycznienia widmowych postaci „Śniegu”, nie domyślają się nawet w „reżyserji głównej”. Ale za to dużo papierowego śniegu pada na scenę — i to jest jedyna poezya, którą autor zawdzięcza kierownikowi dramatu i komedyi.

III.

Ze sztuką Gabryeli Zapolskiej stało się odwrotnie; dobra gra artystów uwydatniła pewną nieproporcjonalność między osiągniętym nastrojem, a wewnętrzną istotą motywów, z których się ten nastrój wytworzył. Tytuł „Nieporozumienie“ zdaje się zakreślać dość skromne i spokojne granice streszczonej w nim sytuacji; tymczasem z tego małżeńskiego „nieporozumienia“ wysnuwa się cały domowy dramat, gnębiąco nastrojony, nieledwie tragedia umęczonej duszy. Tak bywa, o ile „nieporozumienie“ jest następstwem „niezrozumienia“ i wyższości bądź intelektualnej, bądź moralnej mężczyzny lub kobiety, skazanych na przymusowe współżycie. Tylko trzeba, żeby ta wyższość, po jednej czy po drugiej stronie, występowała wyraźnie jako widoczne źródło rozdzwisku, żeby pod tym względem nie nastęczał się dla publiczności żaden powód do „nieporozumienia.“ Zadanie w danym wypadku było łatwe; mąż bowiem, towarzysko i kodeksowo „porządny człowiek“ jest moralnie tak zdecydowaną nicością, że wyższa od niego oczywiście kobieta, uczciwa w najlepszym tego słowa znaczeniu, mogła mieć w stosunku do nieciekawego towarzysza piękną rolę. Nie dała jej bohaterce Gabryeli Zapolska. Może whrew wywodom krytyki, podsuwającym autorce „Ahaswera“ feministyczne tendencje, Zapolska nie chciała właśnie tej pięknej roli podkreślić w deklamacjach o prawach kobiety, o ucisku indywidualności niewieściej, o pragnieniach samodzielnej duszy. Ale jeden rys przynajmniej zdawał się niezbędnym w charakterystyce tej milczącej, skupionej w sobie postaci—wstręt etyczny dla marnej figury męża, jako najpierwsza podnieta do buntu. Otóż ten rys występuje w „Nieporozumieniu“ tak słabo, że go prawie nie widać; widać natomiast co innego, odrazę, niemal chorobliwą, do tego, co bohaterka nazywa „drobiazgami życia“. Sztuka zaczyna się od mizernych zrządzeń „pana i władcy“, wołającego ustawicznie z sąsiadującej z jadalnią łazienki, o gąbkę, o szlafrok, o pantofle, a kończy się na dolatujących z kuchni odgłosach siekania jakiejś obiadowej potrawy. Między temi echami „drobiazgów życiowych“ wybucha protest duszy, rwącej się do szerszego życia; odzywa się pragnienie zrzcucenia pęt, przykuwających ją do nieznośnej pospolitości,—co przedstawia nam scena u adwokata, gdzie jesteśmy świadkami konferencji o rozwodzie. Gdy jednak okazuje się, że adwokat od rozwodów jest tylko jednym z ga-

tunków „przyjaciela domu“, a sympatya jego dla przyszłej rozwódki jest tylko pewną odmianą męzkiego, samczego egoizmu; kiedy bezbronna kobieta zawiedziona w nadziejach wyzwolenia, natrafia i u własnej rodziny na opór przeciw ratunkowym aspiracyom,—pozostaje zaprzęgniętej napowrót do jarzma tylko filozoficzna rada ojca, który podobne przebył w małżeństwie szamotania: aby od „drobiazgów życia“ odgrodzić się umiłowaniem rzeczy pięknych i niby ironiczny do tych namaszczonych słów komentarz—drobniutkie stukanie noża o kuchenną stolnicę.

Wszystko to—gdyby w sztuce chodziło tylko o efektowne przeciwstawienia,—wyglądałoby bardzo zgrabnie; ale przecież czujemy to dobrze, że tam o co innego iść musi; czujemy,—i mamy pretensję do bohaterki, że nam się niedość jasno wypowiada; że w krytycznych momentach (w naradzie z adwokatem, w rozmowie z ojcem) przeraża ją nie myśl pożycia z człowiekiem, którego drapieżna bezwzględność, osłonięta prawem, popchnęła jakiegoś biedaka do samobójstwa, lecz perspektywa codziennych gderliwych z nim starć o gospodarskie bagatele; że heroina ma fizyognomię kobiety znudzonej raczej niż oburzonej i więcej podrażnionej drobiazgami, niż poruszonej nędzami życia.

Jakim sposobem dużej miary talent Gabryeli Zapolskiej mógł zostawić w swej kreacyi coś niedotworzonego?—to jedynie wytłómaczyć może, do pewnego przynajmniej stopnia, psychologia jej talentu. Niejednokrotnie miałem już sposobność zwracać uwagę na znamienny rys tej psychologii—na nadzwyczajną siłę, z jaką artystyczna natura Zapolskiej reaguje na wszelkie ewolucyjne prądy europejskiej twórczości. Zaznaczając tę właściwość wybitnego w najrozmaitszych kierunkach talentu, akcentowałem przytem samorzutną jego dzielność. Gabryela Zapolska wchłania chciwie wszystko, co naokoło niej wre twórczą energią, ale asymilując to ze zdumiewającą szybkością, przetwarza jednocześnie na treść własną, niezależnem drgającą życiem, a ten akt przetwarzania tak ją absorbuje, że w pewnej danej fazie twórczości, trudno jej wyrzeć poza świat wrażeń, uczuć i myśli, w którym się zagłębiła. W dobie naturalizmu, tonęła cała w naturalistycznych sensacyach; dzisiejszy mistyczny symbolizm, bujnie kwitnący w krainie sztuki, opanował jej duszę niepodzielnie, o czem świadczy, choćby drukowana obecnie w „Bibliotece“ powieść „A gdy w głąb duszy wnikiemy“, bogata w artystyczne piękności. Otóż sztuka „Nieporozumienie“ sprawia takie wrażenie, jak gdyby autorka przeniosła do niej, mimo woli i wiedzy, tę sferę zadań i aspiracji życiowych, w jakiej dotąd jeszcze, tworząc powieść, przebywa. Chronologiczne dane nic tu nie znaczą. Mniejsza o to, czy sztuka była

napisana przed rozpoczęciem powieści, czy powstała w ciągu jej tworzenia—dość, że oddziaływanie książki na teatr wydaje się niewątpliwem, że odzywają się w sztuce podobne jak w powieści *leitmotywy*.

Dużo się w powieści mówi—co sami czytelnicy „Biblioteki“ sprawdzić mieli sposobność—o „drobiazgach życia“; ale jakież obszar stosunków życiowych ogarniają te dwa skromne wyrazy! Drobiazgiem jest wszystko, co myślą ani uczuciem nie sięga do tajemniczych głębin wewnętrznego życia człowieka. Drobiazgiem jest codzienna szarpanina trosk, zabiegów, udręczeń i zadyszanego wyścigu do jakiejś mety, którą każdy widzi gdzieindziej, a wszyscy celem życia nazywają; drobiazgami są krwawe wysiłki, z jakimi jedni zawiązują, drudzy rozrywają węzły pragnień, żądz, namiętności w tkaninie złudzeń, zwanej szczęściem; i niema prawie rzeczy, która nie byłaby drobiazgiem dla artystki, jak Anka, przetwarzającej życie na dzieło Piękna, wydobyte z dusz ludzkich. Oczywiście, przepaść dzieli tę artystkę, dźwigającą na wyżyny sztuki malarza złamanego „drobiazgami życia“ od mieszczeni, nękanego marnościami filisterskiej atmosfery; gdyby jednak ta mieszczenka nie miała w sobie nic z Anki, gdyby jej „drobiazgi życiowe“ redukowały się istotnie do znużonego pilnowania mężowskiej bielizny i do nudnych z kucharką rachunków, to jedenby tylko był sposób usprawiedliwienia buntu jej duszy i umotywowania dramatycznych tego buntu momentów: silny akcent na poczucie moralnej nad mężem przewagi i na pozytywny jej do życia stosunek. Kiedy Anka odciąga Stalewskiego od „drobiazgów życia“, wiemy nietylko czego nie chce, ale i czego pragnie, co uważa za „drobiazg“, a co za wielką treść życia; kiedy skarży się towarzyska gruboskórnego mieszczenucha, nie mówiąc o tem, co ją najboleśniej zranić było powinno, nie chce nam się wierzyć, żeby w tych utyskiwaniach mógł istotnie tkwić tak gwałtowny materiał wybuchowy. Bo też jest coś więcej i w duszy bohaterki „Nieporozumienia“ i w przygniatających ją drobiazgach“;—jest, tylko nieprzedostało się na scenę. Zdarzyło się to mniej więcej tak, jak się często dzieje w dyskusyi, w której jedna strona, pełna swego przedmiotu, przypuszczając równą jego znajomość u strony przeciwnej, nie dopowiada tego, co by od razu postawiło spór na najwłaściwszym gruncie. Z wyjątkiem figury filistra, narysowanej w „Nieporozumieniu“ z przedziwną plastyką, czuć w charakterystyce wszystkich prawie postaci rzeczy niedopowiedziane, jedynie dlatego, że przenikniona niemi Zapolska widzi je tam, gdzie dla publiczności, nieświadomej stanu duszy autorki, muszą pozostać niedostrzegalnymi. Ucierpiała na tem naturalnie wyrazistość rysunku nietylko głównej bohaterki ale i drugoplanowych figur. Wolno przypuszczać, że ów adwokat, stawiający tak niespodzianie

swoją kandydaturę na kochanka po konferencji rozwodowej z żoną przyjaciela, ma w sobie doskonały materiał na typ egoisty-estety, szukającego dla swoich grubych sensacyj,—pięknego gestu, wytwornej linii i suggestyjnego nastroju. Postać kobiety, swobodnie odwiedzającej kawalerów, jest zapewne szkicem do jakiegoś niewykonanego studium, które przedstawiać miało „istotę rozkochaną w słońcu, w kwiatach, w świetle, w barwach“; nawet stary ojciec niedoszłej rozwódki dłużny nam pozostał wytłomaczenie, jakim sposobem prawiąc córce tak wymownie o „umiłowaniu rzeczy pięknych“ nie poznał się na brzydocie własnego zięcia.

A jednak, takie jest działanie talentu Zapolskiej, że to, co powiedziała wśród różnych niedopowiedzeń wystarczyło do wytworzenia tła, pełnego życia i nastroju, który sprawia, iż chwilami to „Nieporozumienie“ dochodzi na prawdę do dramatycznego napięcia.

Dopomagają w tem zresztą autorce artyści, grający jej sztukę, jak to już na początku wspomniałem, z doskonałym wykończeniem. Pan Żelazowski stworzył świetny typ zakamieniałego burżoja; pani Marczello-Palińska, dyskretnie, delikatnymi rysami traktuje postać jego żony; pan Nowicki stara się wydobyć plastykę z niejasnej charakterystyki adwokata; wyborną „wesołą osobą“ jest pani Przybyłko-Potocka, która w przedstawianiu podobnych figur dochodzi do wirtuozostwa; pan Rapacki, panie Niewiarowska i Palińska, jako rodzina bohaterki, zadawałniająco wywiązują się z nietrudnego zresztą zadania; małe rolki służącej i przedsiębiorcy budowlanego dobrych mają przedstawicieli w pannie Pichorównie i w p. Bednarczyku.

IV.

O „Maszynie“ p. Tadeusza Rittnera mówiliśmy już w „Bibliotece Warszawskiej“ streszczając wyniki konkursu dramatycznego imienia Henryka Sienkiewicza. Z pomiędzy utworów współczesnych dramat młodego pisarza zwrócił na tym konkursie baczniejszą uwagę sędziów. Stało się to z dwóch powodów: najprzód dla tego że bohater sztuki, Aleksander Zawrocki, jest jednym z tych nieudanych poetów, którzy od pewnego czasu narzucają nam bez ustanku „tragedye“ swoich nieudolności, a powtóre, że „Maszyna“ ma być jednocześnie dramatem pewnego „środowiska“ działającego rozkładowo na wszelkie wyższe dusze. Zawrocki byłby może wielkim poetą, gdyby nie biurowa atmo-

sfera, w której zanikło jego natchnienie, zmartwiało jego talent. Taka jest, jak wiadomo, teza sztuki. To „może“ postawiło jednak odrazu dramat na niepewnym, spornym gruncie.

Ze sprawozdania komisji konkursowej, której referentem był piszący te słowa, widać że powstało przedewszystkiem w ciągu rozpraw pytanie zasadnicze: czy wogóle talenty, tam, gdzie są istotnie i gdzie mają istotną siłę twórczą, mogą zmarnieć, w najgorszych nawet warunkach? Dyskutowano dalej nad tem, czy tylko upadek wielkiego talentu może być zajmującym, tragicznym? czy przedstawione artystycznie zamieranie bodaj średniej tylko zdolności nie jest na scenie równie interesującym? czy wreszcie sama pretensya do talentu, jako pewien stan psychiczny, nie miałaby prawa do ukazania się na deskach teatralnych w plastyce scenicznej? Wątpliwości zaś przy dyskusji sięgały tak daleko, że nie zabrakło nawet zdania, przypisującego autorowi intencję stworzenia poprostu kabotyńa literackiego. Dowodziło to oczywiście niejasności w rysunku głównej figury, niejasności tem dziwniejszej, że samo środowisko, owa „maszyna“ administracyjna, miażdżąca wybitne indywidualności, scharakteryzowana została z niezwykłą bystrością obserwacyi, z gruntowną znajomością życia urzędniczego. Uderzyła więc wszystkich dysproporcya między owym potworem biurokratycznym, a niedość wyraźną, nikłą prawie jego ofiarą i pokładano dużą nadzieję w scenie, gdzie uwidocznił dotykalnie rozpęd „maszyny“, sprawi może iż urośnie wobec niej ten, na czyją zgubę taki skomplikowany nastawiono aparat.

Nadzieje pod tym względem niezupełnie się ziściły. Scena nie rozstrzygnęła najważniejszego pytania—kim rzeczywiście jest bohater sztuki i jaki jest do niego stosunek autora?

Że Zawrocki napisał był niegdyś „Prometeusza“—dowiadujemy się od niego samego; że ten „Prometeusz“ był piękny—zapewnia nas tylko kobieta, która kocha poetę, a to dostatecznej nie daje widzowi rękojmi. Pozatem Zawrocki ma w biurze wygląd nie tylko lichego urzędnika,—co jest zupełnie naturalne i co właśnie autor chciał pokazać—ale i niedołążnego życiowo człowieka, co miało może wzmocnić charakterystykę poety, a właściwie zamąciło tylko jego fizyognomię wątpliwym rysem.

Więc może w innym, odpowiedniejszym otoczeniu, ta fizyognomia wydatniej się zarysuje? Bynajmniej. Zawrocki w domu nie jaśniej się widzom tłómaczy, niż w biurze; postawiony między matką, wierzącą święcie w jego talent, a siostrą, która sceptycznie zapatruje się na twórczość brata, zachowuje i poza biurem swoje niepewne oblicze, któremu ekspresywi nie dodaje nawet ta okoliczność, że Zawrocki często przesiaduje w knajpie; knajpa bowiem zostaje za kuli-

sami i autor oszczędził widzom, na szczęście, szablonu cyganeryi literacko-artystycznej, jako tła dla zmarnowanego talentu. Jeden rys w mętnej charakterystyce poety żadnych nie nastęrcza wątpliwości: rozstrój nerwowy Zawrockiego. Wytwarza go prawdopodobnie z jednej strony przeświadczenie poety, słuszne, czy niesłuszne, o zaniku twórczości, rzeczywistej czy też urojonej, w trybach „maszyny“; z drugiej,—falszywa pozycja w biurze, którego naczelnik, poczuwając się do jakiejś wdzięczności dla zmarłego ojca Zawrockiego, niby faworyzuje syna, ale w gruncie rzeczy widzi w autorze „Prometeusza“ tylko materyał na synekurzystę lub biurowe narzędzie. Rozdrażnienie, ustawicznie z tych dwóch źródeł podniecane, wybucha w scenie, kiedy prezydent, dowiedziawszy się o nagłej śmierci matki Zawrockiego, przybywa do domu zmarłej z kondolencją i musi wytrzymać nawałnicę pretensyj, wyrzutów i oskarżeń o chęć upokorzenia podwładnego, o protekcyjonalny do niego stosunek o lekceważenie jego rzeczywistych zdolności,—i tak dalej i tak dalej. Scena ta, odgrywająca się dość dziwnie w sąsiedztwie nieboszczki, której zwłok nie wyniesiono dotąd z przyległego pokoju, nie jest jedyną w tak osobliwych warunkach; w chwilę potem będziemy świadkami miłosnego oświadczenia, wybiegającego ku pani prezydentowej z ust, skrzywionych jeszcze spazmem synowskiej rozpacz.

W psychologii tej miłości neurastenii również niemalą odgrywa rolę. Zawrocki trafił szczęśliwie na Egeryę, która nie wie nawet, że mogłaby nią być, ani też pragnie nią zostać. Prezydentowa kocha, jest kochaną—i to jej tak dalece wystarcza, że się odrazu, bez zastrzeżeń oddała poecie, w którego poezję ślepo wierzy. Ale poeta chciał w niej mieć Egeryę, a gdy po pierwszych uniesieniach podzielnego uczucia, przekonał się, że mu ono twórczości nie zasila, uważa miłość swoją za „omyłkę“ i dość mu takiej błahostki, jak chybiony w atmosferze balowej wierszyk, żeby zwątpić do reszty o sobie, zwłaszcza, iż jednocześnie spostrzegł, iż dzięki „maszynie“, staje się naprawdę coraz lepszym urzędnikiem.

I tu znów nastęrcza się pytanie: czy wiele straciła poezya, literatura, że się ten wierszyk nie udał; czy istotnie winna temu „maszyna“ i czy czasem w Zawrockim nie było lepszego materyału na urzędnika niż na poetę? Autor zdaje się nie zaprzęcać tą wątpliwością, lecz proces psychiczny w duszy Zawrockiego doprowadza konsekwentnie w zapoczątkowanym raz kierunku, aż do katastrofy obłędu, objawiającego się w sferze myśli, które nie przestawały ścigać poety. Oryginalny jest pomysł wywołania w nim waryacji przez *idée fixe* o 'sobowtórze w postaci młodzieńca, równie jak Zawrocki przetruczonego z marzeń o sztuce do biura kancelaryjnego i powta-

wtarzającego poecie, niby w zwierciadle, własną jego dolę z taką obłądną plastyką, że w końcu paroksyzm szału popycha desperata do samobójstwa. Wskoczywszy oknem, Zawrocki roztrzaskał sobie głowę, w której niewiadomo co było, czy wzniosłe myśli wielkiego poety, czy też poprostu majaczenia neurastenika, chorego na manię prześladowczą.

Takim jest bohater, zdruzgotany w żelaznych szczękach „maszyny“. Czy byłby innym, gdyby go życie w paszczę jej nie rzuciło? Wolno wątpić widzowi, skoro sam autor przekonywająco nie zaznaczył nigdzie, co o nim naprawdę myśli? Doła więc poety jest w najlepszym razie „tragedyą złudzenia“, dręczącego dziś zapatrzone w siebie wątle dusze, które samą żądzę twórczenia biorą za moc twórczą i odpowiedzialnością za mniemany zanik problematycznego talentu obciążają otoczenie, zewnętrzne warunki, wszystko, prócz rzeczywistej winowajczyni—przyrodzonej niezdolności. Jest dużo i bez „maszyny“ takich bohaterów impotencyi. O cóż tu więc winić „maszynę“, kiedy ma się po prostu przed sobą jeden z typów wyzutego z wszelkiej woli, „skobieconego“ mężczyzny, który ten jeszcze ma w swej charakterystyce rys modernizmu, że stoi obok niego, silna, rwąca się do życia, do działania, męskim hartem obdarzona dziewczyna. Nie w roli Egeryi, — bo to siostra Zawrockiego, z tajoną trzeźwością na brata patrząca, — ale raczej w charakterze ofiary, pochwyconej w ząbienia maszyny, nierównie potężniejszej niż jego biuro,—między drobne kółka życia. Wszystko w tej kobiecie kipi, wre, burzy się, gotowe zda się do wybuchu jakąś inicjatywą; ale życie wtłacza niemiłosiernie na dno duszy te szlachetne fermenty i wyrabia tam z nich gorycz, wsiąkającą w całą atmosferę, którą tu wszyscy oddychają. I doprawdy, to „środowisko“, gdzie ludzie żyją ze świadomością, że myśli ich i czucia, porwane niewidzialnym mechanizmem, odbywać muszą jakiś automatyczny przebieg, żywiej może zajmuje, niż ów administracyjny smok Zawrockiego; dziewczyna, tuląca w objęciach cudze dzieci z namiętnym instynktem macierzyństwa, który sobie szuka ujścia w robotach społecznych, budzi doprawdy więcej współczucia, niż prometejskie illuzye jej rozkwilonego brata. Kto jednak tak potrafi malować środowiska, kto umie z prostej rozmowy dwóch kobiet wytworzyć nastrój, kto, wprowadziwszy na scenę kilkanaście lekko scharakteryzowanych sylwetek, nietylko usymbolizował w nich biurokracyę, ale w pobieżnem spotkaniu urzędnika, „który odchodzi“, i urzędnika, „który przychodzi“, dał niejako perspektywiczny skrót życia tej biurokracyi — w tym tkwi materiał na pisarza dramatycznego. Jest też „Maszyna“ obietnicą, której p. Tadeusz Rittner, przy niewątpliwym talencie, dotrzymać powinien; ten talent

myli się w chwiejnych konturach bohatera, w pewnej teatralności i psychologicznej wątpliwości dwóch scen aktu trzeciego przy zwłokach Zawrockiej; ale widać go w plastycznym modelowaniu figur, czuć go w sentymencie, przenikającym sceny miłosne; objawia się niezwykłością inwencji w motywie psychologicznym, popychającym bohatera do samobójstwa. — Jest — a to rzecz najważniejsza.

„Maszyna“ grana jest wzorowo i doskonały zespół, od którego odwykliśmy już potrosze, jest dla wszystkich nader przyjemną niespodzianką. Zbyt dużo nazwisk musielibyśmy powtórzyć, gdyby przyszło charakteryzować wartość każdej nuty, dodającej pełności do tego pięknie brzmiącego akordu; poprzestańmy więc na zaznaczeniu, że p. Śliwicki doczekał się nareszcie roli, w której wybitny jego talent mógł się wszechstronnie przedstawić publiczności, wysoko ceniącej tego artystę. Głębia liryzmu w stosunku z prezydentową, siła dramatyczna przy trupie matki, artyzm w stopniowaniu objawów obłędu, — oto momenty wytyczne w psychologii złudzeń, na której p. Śliwicki silnie oparł charakter Zawrockiego. Świetnie towarzyszą mu panie Trapszo-Chodowiecka, przedstawiająca śliczną postać prezydentowej z subtelną w uczuciu dyskrecją, i Barszczewska, która rolę siostry Zawrockiego wysunęła na pierwszy plan mocą temperamentu, pulsującego wszystkimi serdecznymi tętnami.

V.

Śmierć, oznajmiająca ze sceny swoje wszechwładztwo; poroniony geniusz, kończący waryackim samobójstwem; udręczenia kobiety, zapędzonej do filisterskiego kojca, skąd wydostać się chciała do życia — oto wrażenia, które karmiła się publiczność w ciągu trzech ubiegłych miesięcy, że nie wspomnę już o dawniejszych, tej samej natury. Mimo przytłaczającą, gnębiącą atmosferę teatru, mimo ponury nastrój, narzucający jej tyranie literackiego pesymizmu, szła tam, dokąd ją większe lub mniejsze talenty prowadziły, zainteresowana zarówno swemi przewodnikami, jak drogami, które ją prowadzono. W końcu jednak odważa się nieśmiało zapytać: „wszystko to dobrze, ale gdzie jest komedia?“.

Zapewne — może mieć pewną rację p. Edgar Steiger, kiedy, śledząc proces „stawiania się“ nowożytnego teatru, widzi w dziejach artystycznej kultury Europy potężny dramat, którego trzy akty,

plastyczny, malarski i muzyczny odegrały się już w marmurze, barwie i dźwięku, a na czwarty, dramatyczny, podniosła się właśnie w naszych oczach zasłona. Być może, iż wiek nasz będzie istotnie stuleciem dramatu, że wszystko w nim kształtuje się w imponujących, tragicznych kolizjach, stworzonych dla poety. Na świecie dzieją się wielkie rzeczy: stają przeciwko sobie egoizm i altruizm; jednostka walczy ze swoim otoczeniem w rodzinie, w społeczeństwie; ideały socyalne i indywidualne mierzą się nienawistnym okiem; antagonizmy społeczne potęgują tragizm tych walk; przeciwieństwa rasowe przenoszą dramat na dziejową arenę; pękają we wszystkich kierunkach stare formy życia, które w krwawych zapasach usiłuje nowe sobie zdobywać. Wszystko to prawda; ale gdzież to widać na scenie? czy w literackich gabinetach, albo malarskich pracowniach, gdzie bohaterowie, pokazując przez mikroskop drobnoustroje megalomanii, mrowiące się w ich duszach, wmawiają w nas, że ruch ich pod powiększającym szkiełkiem, to życie, to świat, to tajemnice bytu? czy w ogniskach cyganeryi, która ten świat, to życie i te jego zagadnienia zamyka w czterech ścianach dekadentkiej kawiarenki? Być może, iż żyjemy w stuleciu dramatu; ale czyż tensam Edgar Steiger,— jeżeli dalej zechcemy się powoływać na jego świetną syntezę twórczości w nowożytnym teatrze — czy ten sam Steiger, charakteryzując w ten sposób stulecie, nie miał na myśli teatru wogóle, jako formy najintensywniejszej twórczości, i czy nie ogarniał tem określeniem komedyi? Wszakże powiedział: „że pesymistyczny nastrój w literaturze dawno już ustąpił pogodniejszemu na życie zapatrywaniu; radosna afirmacya życia jest ewangelią najnowożytniejszych „modernistów“? Gdy zatem śmiać się teraz wolno i niefilistrowi,— gdzież jest komedia?

Oczywiście, że nie „Wojna domowa“ Zygmunta Przybylskiego odpowiedzieć mogła na to pytanie. Zjawiła się w repertuarze ze swoją szlachecką zagrodą, ze swoimi ekonomami, szafarkami, kucharkami, z mamą pretensjonalną, z córką rozsądną, z wujaszkiem prawdomównym, ze śmiesznym ale poczciwym młodzieńcem; zjawiła się i zniknęła z systematycznością pół roku, powracających na teatralnej wsi autora „Dworu we Włodkowicach“; a publiczność powtarza wciąż: gdzież jest komedia? komedia w nowym stylu, coś nakształt „Futra bobrowego“ Hauptmana, gdzie obrazy życia w ruchu migają świetlaną grą komizmu, humoru i satyry? Znalazł się nawet w krytyce naszej głos, który wymownie stwierdził to „bankructwo komedyi“ i wskazał na jakąś „przepaść między tymi co tworzą, a tymi dla których tworzą“. Więc tłum pożąda komedyi, wołał ten głos — a z poetów ulotniła się dusza i geniusz komedyi. Więc masy chcą śmiechu, a poeta śmiać się nie umie?

Objaw nie od dziś datuje. Przy rozpatrywaniu literackiego plonu konkursu Sienkiewicza, nie wdając się w badania, jak głębokie jest w życiu łożysko smutku literackiego i ile jest kabotyńskiej pozy w literackim tragizmie, stwierdzono, że motywy współczesne wydobywane były z najbliższych i najgłośniejszych prądów gestem najczęściej dramatycznym, tak, że cztery piąte materiału konkursowego, składało się z dramatów, tragedyj, fantazyj, baśni lub wreszcie z tak zwanych „sztuk“, których nazwa maskuje tylko rzeczywistość, zaszepioną ich fizyognomię. Rzecz prosta że na wytłómaczenie tego symptomatu jest w obiegu gotowy frazes o filisterstwie tłumów, ślizgających się bezmyślnym śmiechem po wierzchu życia i o dostojenstwie wybranych, wnikających duchem w tragikomedję tego życia. Dla czegoż więc nawet taka tragikomedya trudno znajduje sobie na scenie plastyczny wyraz, jeżeli tenże sam Hauptmann mógł napisać „Kolegę Cramptona“ i nie wahał się bardzo modny, bardzo nowożytny temat: artystę alkoholika, oprzeć na podstawie przepojonego melancholią uśmiechu?

Tak — ale to było dawniej, a przez ten czas śmiech zwyrodniał; melancholię, która w nim była formą sympatii, wyparła antypatya, która jest także właściwą istotą dzisiejszego tragizmu; radość, śmiech, jeden z czynników twórczości, zamilkł, lub jeżeli się odzywa, to jako *Schadenfreude*, jako zaprawne jadem szyderstwo, wykrzywające wyrazem nienawiści oblicze satyry. I dla tego ten śmiech innego sobie szuka ujścia, dla tego mamy w Galicyi gatunek humorystyki, jakiego napróżno szukalibyśmy w całym świecie. Dwa składniki, odgrywające dziś w twórczości taką znamieną rolę — erotyzm i nienawiść, rozlewają się na kartach humorystycznych brudnymi plamami pornografii i paszkwilu. Dla tego komedya staje się osobliwością: nie można jej pisać w drgawkach zmysłowych, ze śmiechem, w którym szczerzą się zęby, zgrzytające wściekłością.

Cóż tedy począć z publicznością, nieufnie spoglądającą na teatr, gdzie niema tego, coby mieć chciała, a ma to, czem się już czuje przesycona? Była chwila kiedy się zdawało, że wynaleziono na nią sposób — nowy budynek. Katastrofa w Chicago dostarczyła temu projektowi nowych argumentów, a sam projekt zaczął podobno w ostatnich czasach przyoblekać konkretniejsze kształty. Będzie więc budynek — ale czy będzie teatr? Bo to przecież nie wszystko jedno i tylko filister może sobie wyobrazić, że wygodny fotel, bezpieczeństwo od pożaru i doskonale maszynerye wytworzą w nowym gmachu dobry repertuar i atmosferę artystyczną, pod tą samą reżyserją, pod którą w starym budynku mieliśmy nikły repertuar i zatęchłą atmosferę. Budowa gmachu jest niewątpliwie sprawą niemalej wagi, ale

ważniejszą nierównie rzeczą byłaby przebudowa stosunków artystycznych w teatrze, a co do niej, co do owej „reformy“ o której tyle się mówiło, pisało i jeszcze zapewne drugie tyle nadarmo mówić i pisać się będzie, nie można już obronić się od coraz głębiej wnikającego sceptycyzmu. I jeden tylko może byłby środek uzdrowienia chorożego organizmu:—współzawodnictwo, powstanie drugiego teatru.

Więc secessya? Czemużby nie, jeżeli przez secessyę rozumieć będziemy to, co mieści się w jej źródłosłowie: „odstąpienie“ zerwanie, wyswobodzenie się z więzów rutyny, szablonu, wyfrunięcie z zimnej atmosfery „sztuki urzędowej“ szlakiem słonecznym swobodnej twórczości? Od secessyi powiało bądź co bądź świeże tchnienie w sztukach plastycznych; wagnerowska secessya pogłębiła twórczość muzyczną, — a kto przypatrywał się secessyjnym scenom w Paryżu, Berlinie, Monachium, Dreźnie, Wiedniu, ten zdumiał się nieraz jak w małych, ciasnych teatrzykach mieścić się może wielka, szeroka sztuka.

I od małego też zacząłby u nas wypaść, bodaj od czegoś w rodzaju cieszących się uznaniem „Miłośników“. Nie żyjemy w warunkach, w których moglibyśmy marzyć jak Edward Schuré o trojakim teatrze przyszłości: o scenie wiejskiej i prowincjonalnej, gdzieby w drzemiącej duszy ludu budziły się najlepsze jego instykty i najpoetyczniejsze tradycye; o teatrze „wojującym“ poświęconym studyum z życia współczesnego, prowadzonym z bystrą obserwacją i głęboką sympatją; wreszcie o „teatrze duszy“, wywołującym w zwierciadle historii, legendy i symbolu wizye doskonalszej ludzkości. Ale może stałby nas było na wyposażenie jakiegoś polskiego Antoine'a w pomoc, podobną do tej, jaka umożliwiła w Moskwie założenie teatru Stanisławskiego. Tylko trzeba by znaleźć Antoine'a (szukając go naturalnie nie w „reżyseryi głównej“), a znalazłszy, myśleć więcej o sztuce, niż o ścianach w których się mieścić będzie, niż o komforcie tych co na jej wzrost patrzeć zechcą. Odyseja Antoine'a, tego skromnego urzędniczka kompanii gazowej, który wędrował po paryskich zaułkach, gnieździł się w ciemnych, niewygodnych salkach i mieszkował prawie kątem za czynsz nie zawsze zapłacony, dopóki czegoś nowego nie wniósł do sztuki i literatury dramatycznej; przykład niemieckich secesyj, wspinających się po stromych schodach na piętra zwykłych kamienic wszystko to powinny być bodźcem do inicjatywy w tym kierunku. Gdyby się zjawił taki polski Antoine, gdyby zgrupował koło siebie drużynę aktorów choćby niezawodowych, lecz tak swobodnie sobą rozporządzających, żeby się sztuce duszą całą oddać mogli; gdyby teatr swój zorganizował nie jako sztuczną wylegarnię chorych piskląt literackich, ale

jako ognisko, skupiające w sobie same świetlane promienie twórczości swojskiej i europejskiej; nie jako kapliczkę kasty społecznej, czy też literackiej lub artystycznej, lecz jako przybytek, w którym kult sztuki gromadzi wszystkich jej wyznawców, — znalazłby niewątpliwie i równie zamiłowaną publiczność. Tylko ta sztuka musiałaby pamiętać o swoim pochodzeniu; nie zapominać że źródłem jej było drgnięcie myśli i uczucia wobec życia, wobec całego życia, wzruszenie więc musi od niej płynąć w falach tak silnie rozkołysanych, ażeby doścignęło i pociągnęło za sobą wszystkie serca. Teatr jest areną ludzkości, gdzie cała ludzkość znaleźć się powinna, a wszelka sztuka odzywająca się do „elity“, czy kasty, jest sztuką znikomą; bo kasty mijają, „elita“ przekształca się — życie tylko zostaje.

A może taki Antoine dostałby się i do nowego gmachu? Może; ale gmach jeszcze nie wybudowany, Antoine'a jeszcze niema; zajrzyjmy więc tymczasem do starego teatru i zobaczmy co się dzieje w operze.

VI.

Dzieje się nie dobrze. Nie na scenie, gdzie od czasu ostatnich naszych na tem miejscu uwag wystawiono nową operę polską, i przygotowano włoską, której bohaterem ma być najgenialniejszy z naszych muzyków — lecz wśród publiczności, po dawnemu obojętnej na losy opery polskiej, dziś wyłącznie zależne od gorętszego lub chłodniejszego dla niej usposobienia słuchaczy.

Sala teatru Wielkiego wygląda często tak, jak gdyby z tej zależności nie zdawano sobie sprawy. Wirtuozowstwo śpiewaka, czy śpiewaczki, przyciąga jeszcze publiczność kiedy niekiedy, przekształcając scenę teatralną na estradę koncertową; dzieło samo zdaje się pobudzać całe audytorium do zajęcia jakiejś niezrozumiałej, odpornej postawy, którą publiczność rzadko kiedy porzuca. Taki był jej stosunek do „Livii Quintilli“ Noskowskiego, do „Manru“ Paderewskiego, a nie zmienił się niczem wobec „Maryi“ Henryka Melcera.

„Marya“ nie miała powodzenia. Dla czego? Nie pytam o to tych, którzy nie przyszli. Ci albo nie wiedzą dla czego nie przyszli i nie potrafią odpowiedzieć, albo wiedzą, a choćby umieli podać przyczyny, my znów temi powodami zajmować się nie będziemy. Ale wolno zapytać tych, co przyszli, i argumenty ich byłyby istotnie interesujące, bo przecież mamy do czynienia z publicznością, podkształconą już do

pewnego stopnia w artystycznej atmosferze Filharmonii, i to podkształconą w kierunku, który właśnie powinien był zająć ją w dziele Henryka Melcera.

Symfonia gra w „Maryi“ przeważną, rzecby można główną rolę, więc o cóż chodzi wychowawcom Filharmonii? Orkiestry mają pod dostatkiem, orkiestry dobrej, która w stylu bardzo nowożytnym komentuje „stany duszy“ bohaterów; komentarz zaś tyle zajmuje miejsca, tak wszystko wypowiada, że dusza sama lekliwie w śpiewie głos zabiera i zdaje się być przerażona nawałnicą myśli i uczuć w głębiach jej rozpiętą. Szaleje tam tragizm od początku do końca, sroży się prawie rozpaczliwie, chłonąc w sobie wszystkie inne nastroje, i dosięga najwyższego napięcia w beznadziejnej wieszczbie,

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

Kiedy więc idzie o tryumf śmierci, pieśń odrazu wynurza się z fal orkiestrowych, jak gdyby tego tylko momentu czekała, żeby się z samoistną odezwać potęgą. Trudno dać pojęcie o grozie, przenikającej te kilka strof kwartetu masek, rzuconych na tło chóru, trwożliwie wtórującego tragicznym larwom. Orkiestra przycichła, jak cichną w przedzgonnej chwili wszystkie namiętności ludzkie i jedynie melancholia niewysłowiona, smutek, niedający się opisać, gra w tej melodii, jak w duszy owego tajemniczego w poemacie pacholęcia, któremu „śmierć zostawiła czarne w piersiach blizny“. Tylko to pacholę, odbywające po świecie desperacką wędrówkę, świadome piękności „mirtów i cyprysów kraju“, a utyskujące, że jest wszystkim obce wśród swojej ojczyzny“, wraca jednak na stepy Ukrainy, gdzie „wzrok daleko, próżno błądzi po równinie“, gdzie „chmurne na polu niebo i cierpkie jagody“; wróciwszy zaś, rade słucha „dumek o kozaku“. Szkoda, że nie słuchał z niem pan Melcer; szkoda, że na ten jego tragizm, rozedrgany nowożytnym, bezimiennym patosem, nie powiał „duch od stepu“; szkoda, że przez tę orkiestrę, wstrząsaną dreszczami rozpacz, nie przepłynął strumień czystej, ludowej pieśni, w którym, gdyby się przejrzeni bohaterowie ponurego dramatu, możeby nam bliżsi byli fizyognomią i uczuciem.

Bo przecież to zagadkowe w poemacie chłopię, rzucające bajroniczne skargi „wszechbólu“, wychyla z „szarej chwastów zarośli“ głowę, nakrytą kozacką czapką; przecież w tem właśnie tkwi mistrzowski artyzm Malczewskiego, że przez mgły i półcienia bajronowskie rysują się plastycznie kontury ludzi, rzeczy, wypadków, nie-

rozerwalnie związanych z krainą stepów i kurhanów. U p. Melcera krzyk współczesnego neo-bajronizmu zagłusza wszystko inne, i zacierą w charakterystyce bohaterów jednej z najposepniej-szych wśród dziejów Polski tragedji, indywidualne rysy psychologii narodowej.

Oto podniosła się zasłona na burzę, rozgrzmiewającą w naturze i w sercu człowieka. I jedna i druga piorunuje w orkiestrze i wstrząsa słuchacza żywiołową potęgą. Błyskawice, migające przez okna zamkowej komnaty, zdają się być tylko ilustracją tych instrumentalnych gromów, a recitativa, jakby wichrami targane, wydzierające się ze wzburzonej piersi magnata, jednym głosem więcej w symfonicznej nawałnicy. Czujemy, co się dzieje w łonie natury i w duszy ludzkiej: to pan tak wielki i groźny, że do gniewu swego potrzebuje wtóru przyrody; to ojciec, w którego głowie dojrzewa szatański zamysł zgładzenia nienawistnej synowej. Cóż, kiedy to nie wojewoda Zjawia się na wezwanie rodzica Waclaw, i uszczęśliwiony kłamaną aprobatą ojca, pogodzonego niby z myślą o małżeństwie syna, z tem większą radością, przed zdobyciem laurów w rozprawie z połańcem, śpiewa *arioso*, bardzo wdzięczne, pełne rzetelnego sentymentu, które jednak nic więcej nam o nim nie mówi, jak recitativa powiedziały o Wojewodzie.

A oto po raz drugi odsłania się kurtyna. Krajobraz Andriollego i na tem tle upozowani według jego poetycznych linii starzec i niewiasta. Sztuki plastyczne zrobiły swoje. Cóż muzyka? Muzyka maluje nam znów uczucia ojca, zgnębionego niepewnym losem dziecka i tęsknotą córki, której serce, rwąc się do ukochanego, cierpi jednocześnie udręczeniami rodzica. Jest-że to Miecznik, jest-że to Marya? Czy w jego frazesach słyszymy takie akcenty, jak:

Ha, toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem?

Czy w jej marzeniach odzywa się sliczna melodya:

I tę straszną ofiarę, i to rozdzielenie,
Zniosę, cierpliwie zniosę, póki nasze cienie
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze.

W niepewności — słuchacz wyczekuje na duet Maryi i Wacława. Jeżeli gdzie, to tu była sposobność czerpania z krynicy pieśni ludu, który tak o miłości śpiewać umiał i przepoić lirykę dwojga kochanków tem, co Niemcy *Geist der Quelle* nazywają; jeżeli kiedy, to w tym momencie, serca wchłaniają w siebie i przerabiają na uczucie to wszystko, co wkoło nich jest poezją środowiska. Słuchamy więc. Tak — tych dwoje kocha się prawdziwie, silnie, i wypowiada to sobie w sposób, w jakiby mówić do siebie mogli naprzykład... Romeo i Julia; ale gdzież jest męska prostota tego zapytania:

Maryo, czy ty mię kochasz?

i cudna tkliwość odpowiedzi:

Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły...

gdzież szczerłość, płynąca prosto z serca i nie szukająca kunsztownych frazesów, ani efektownych akcentów? gdzie dusza polskiej kobiety w tych teatralnych wizjach i hallucynacjach Maryi po rozłączeniu się z Wacławem? Modlitwa dopiero odsłania całą jej piękność i zdaje się przygotowywać nastrój prawdziwej poezyi, w którym utrzymany jest cały akt trzeci.

O najtragiczniejszym tego aktu momencie mówiłem na początku; poprzedza on bezpośrednio katastrofę i wybuch rozpaczony Wacława kończący dramat obłądnym krzykiem. Zasłona spada; słuchacz jest pod silnem, wstrząsającym wrażeniem; ale mu na myśl nie przyjdzie ostatni wiersz poematu:

I pusto — smutno — tęskno — w bujnej Ukrainie.

Nie chciałbym źle być zrozumianym; nie chciałbym dać powodu do posądzeń, że dopominam się o tak zwany „koloryt miejscowy“, który w operach z przed kilkudziesięciu lat przyczepiał mechanicznie do konwencyonalnej muzyki jakieś motywy egzotyczne i zabarwiał partycyę efektami oleodruku. Ale tam, gdzie poemat dał gotowy, dźwięczny obraz; tam gdzie muzyka wiersza jest tylko echem muzy-

ki, wypełniającej, zda się, życie natury i ludzi, wytwarzającej cały jakiś odrębny świat pieśni,—tam pragnąłem usłyszeć te echa, płynące z samej duszy lirycznego dramatu. Oczywiście, że nie w powtórzonej niewolniczo „dumce“, czy „szumce“ objawiły się ten świat ukraiński, ale-by go trzeba odtworzyć z ducha liryki ukraińskiej, tak jak Paderewski wchłonął, tworząc „Manru“, pierwiastki góralskiej i cygańskiej liryki, lub,—jeżeli tu wyżej sięgnąć wolno—jak Chopin przepoił narodową poezją nawet arcydzieła, wyswabadzające się z form charakterystyki narodowej. Henryk Melcer oderwał swoje dzieło od gruntu, na którym Malczeski cudny kwiat poezji wyhodował; może więc mieć to dzieło i ma niewątpliwie niepospolite piękności, ale nie bije od nich woń tego kwiatu.

Jest-że to powód, aby się niem nie interesować? Są kwiaty, porciągające samą swoją krasą, a tej nie brak w „Maryi“ Melcera. Ukraińska czy nie, zająć może i powinna, jako twór rzetelnego, niepospolitego talentu, który objawił się odrazu oryginalnie w dwóch kierunkach: symfonistą pełnym siły, temperamentu jest p. Melcer w dwóch pierwszych aktach „Maryi“, snując z motywów dramatycznych poematu; muzykę programową, do której wciągnięte zostały głosy ludzkie, jako instrumenty; tragikiem tonów jest młody kompozytor w trzecim akcie swej opery, zapowiadającym poetę, który zdobędzie się niewątpliwie na dojrzały, skończony dramat muzyczny.

Operę wystawiono starannie. Pani Bohuss-Hellerowa, jako bohaterka tytułowa z wdziękiem traktowała swoją partycję; Wacławem pełnym zapału był p. Leliwa; Wojewoda znalazł w panu Górskim bardzo sumiennego przedstawiciela. Orkiestrę i chóry energicznie prowadzi p. Podesti.

Gdy tak opera polska jest ciągle kopciuszkim publiczności polskiej, młodsza jej siostra, Filharmonia, nie przestaje być rozpieszczonym dzieckiem Warszawy muzycznej i udającej muzykalną. Prawda że na pieczętę zasługuje. Rośnie—możnaby prawie powiedzieć że już wyrosła—pięknie, i „zbudziło się w niej serce“, bijące według rytmów sztuki w wielkim stylu. Trzeci sezon niedługiego jeszcze jej życia zakończył się właśnie niedawno, nieznaną w Warszawie kantatą Schumanna do poematu Moora „Raj i Peri“ a przed tem zakończeniem jakież to szereg dzieł różnych epok i mistrzów rozwinął przed słuchaczami dzieje muzyki europejskiej! Wbrew tradycyjnemu u młodych lekceważeniu przeszłości, Filharmonia lubi historię i zamilowanie do niej krzewi w publiczności; dość było spojrzeć na fizyognomię audytorium, wsłuchanego na koncercie historycznym w ewolucję pewnych

form muzyki polskiej, w rozwój pieni religijnych, w przekształcenia poloneza, mazura, w dźwięczną ilustrację przysłowia „do różańca i do tańca“, aby stwierdzić zasługę instytucji artystycznej w tym kierunku. W podobnej historycznej syntezie zapoznaje się publiczność stopniowo z rozwojem muzyki obcej, od klasycznych jej praocjów aż do takich „najmłodszych“ jak Ryszard Strauss w Niemczech, d'Indy, Debussy we Francji. Filozoficzny podkład twórczości Straussa starałem się dawniej scharakteryzować w ocenie jego „Sowizdrzała“ i „Zarathustry“. Wincenty d'Indy, natura na wskroś romańska, jasna, niezatapiająca się w spekulacjach metafizyki muzycznej, obcuje najchętniej z wielkimi dziełami przyrody i z wielkimi tworami sztuki, na szczytach Cevenenów, na wybrzeżach morza czerpie wprost z przyrody motywy grające mu tajemniczą muzyką żywiołów. Pisze „Las zaczarowany“, legendę-symfonię, pełną tajemniczego uroku; tworzy „Poemat gór“, krajobrazy symfoniczne przeplatane z subtelnym artyzmem wspomnieniami miłosnemi; komponuje symfonię na orkiestrę i fortepian pod natchnieniem prostej piosenki góralskiej; zdobywa się wreszcie na operę „Obcy“ (*L'Étranger*) której ocean jest właściwym bohaterem i gdzie inwokacja do morza, cała w wokalnych jękach, jakby wtórujących rozelkanym w orkiestrze falom, przejmujące wywiera wrażenie. Zahartowana w tem mężkiem sam na sam z naturą, wpatrzona we wspaniałe kreacje Odrodzenia, wypielegnowana przez epigona Berlioza, Cezara Francka, twórczość d'Inde'go bywa niekiedy twardą, szorstką, bez wdzięku — ale czuć w niej siłę przyrodzoną, która często opanowuje słuchacza.

Jakże po tych modernistycznych rozpędach w ekspresyji śpiewu i orkiestry wygląda takie dzieło, jak „Raj i Peri“? Jestem pewny, że u naszych modernistów muzycznych — gdybyśmy ich mieli — Schumann należałby do „mydlarzy“. Nie mamy ich — nie wiem: na szczęście, czy na nieszczęście — można więc mówić swobodnie o tym romantyku, który ze swoją bujną fantazją, ze swoim zmysłem dramatycznym, ze swoją głębią uczuciową, ze swoim poetycznym polem, wydaje się... klasykiem. Słucha się tego dźwięczącego w naziemskich przestworach poematu spokojnie — ale jakież to rozkoszny spokój, jakie ukojenie w tem niebiańskim zakończeniu części drugiej! Słucha się — i słuchając snuje się po swojemu wątek poematu. Peri, tęskniąca za rajem, pod tym tylko warunkiem może się tam dostać, jeżeli przyniesie ze swoich po świecie wędrowek dar najmiłszy niebu. Powracając z nich kilkakrotnie anioł wstrzymuje u progu, bo to, co składa w ofierze, nie wystarcza bóstwu. Nareszcie, lza skruchy wielkiego grzesznika, uznana za dar, godny nieba, toruje

spragnionej Peri drogę do krainy wiecznej szczęśliwości. I zdaje się rozmarzonemu słuchaczowi, że Peri — to dusza dźwięku, która wtedy dopiero znajdzie się w niebie, kiedy przyniesie tam, na wyżyny, łzy pokutnicze za wszystkie grzechy, jakich muzyka dopuszcza się dziś względem Sztuki; a wrota raju otworzą jej: Palestrina, Bach, Mozart. Beethoven, Schumann, Wagner — Chopin.

W. BOGUSŁAWSKI.

Władysław Syrokomla.¹⁾

(1823—1862).

VII.

PRZYRODA W POEZJI SYROKOMLI.

Jeden z najznakomitszych badaczy dziejów umysłowości naszej, prof. A. Brückner, nazwał Kondratowicza pieśniarzem ludowym, polskim Burns'em, ograniczając jednak określenie swoje w ten sposób, że lud Syrokomli, to drobna szlachta zagonowa. Wiemy już, jak zastrzeżenie to było potrzebne. Burns zaś był, jak wiadomo, synem szkockiego wieśniaka, i w poezji swej pozostał dziećciem wiejskiej zagrody. Obecnie wszelako mamy na myśli inną stronę sielskości, ujawniającą się w poezji lirnika naszego — przyrodę. W dziejach natchnień śpiewaczych znamy inne analogiczne zjawisko, bliższe Syrokomli czasem i przestrzenią, niż Burns' — to pieśń Kolcowa...

Przytoczymy tu parę zwrotek w parafrazie Niesłuchowskiego, którego organizacja duchowa zawierała w sobie niektóre pierwiastki, wspólne z naturą rosyjskiego samouka. Uczynimy to przedewszystkiem dla tego, by uprzytomić sobie, jakie pojęcie się ukrywa pod tym symbolem: B u r n s.

Hej! woliki siwel
Żwawo naprzód razem!
Niechaj matkę niwę
Kraje pług żelazem.

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 252; — marcowy, str. 481.

Niechaj w równe rzędy
Skląda ziemia skiby,
Jak w ogrodzie grzędy
Wymierzone niby.

Jaskółeczka w kółko
Szybuje jak kula,
W gaju nad rzeczulką
Kukuje zuzula.

Pliszka popielata
Zręcznie muszki goni,
Skowronek ulata
I piosenkę dzwoni.

Gdzie przejdę poparem,
Wszędy za mną śladem
Czarne wrony z gwarem
Podążają stadem.

Wszystko naokoło
Z wiosny tak szczęśliwe,
Nuci pieśń wesołą,
Hej, woliki siwe!

Matka ziemia czarna,
Kiedy ja poorzę,
Chętnie przyjmie ziarna
I wyrośnie zboże.

Ciepły wietrzyk wionie,
Chmura łzę wyleje,
Zboże na zagonie
Wnet pozielenieje.

Piękne będą runie,
Wzrosną wyżej jeszcze,
Kłós się z nich wysunie,
Z wiatrem zaszeleszcze.

W kłosie będzie ziarnko,
To bogactwo nasze,
Hejże, siwa parko,
Puszcę wnet na paszę.

Orzmy, co sił stanie,
Łono dobrotliwe
Na ojczystym łanie!
Hej! woliki siwe!

Nie jest to t. zw. nastrój obcego człowieka, który zbliża się do zjawiska przyrody, jakby w gościnę szedł do niej. Niema tu wspaniałych, umyślnie poszukiwanych widoków, jakichś wyjątkowych, świątecznych chwil. Roztacza się przed nami wzdłuż i wszerz równina czarna, pole, w równe pokrajane skiby. Wszystkie szczegóły zwykłe, proste, jednostajne. Lecz zapach tej ziemi, lecz śpiew pliszki, czy skowronka, natychmiast budzi do życia cały szereg odruchów, szereg wspomnień, rozmyślań, wzruszeń, szereg radości i bólów, nadziei i obaw, po wielokroć już minionych, a wciąż odradzających się. W każdą zda się gródkę ziemi, wraz ze spadającą kroplą potu, wsiąkała jakaś odrobina duszy naszej, i oto teraz te odrobiny wznoszą się oparami i śpieszą się połączyć ze źródłem, które je wydało. A dusza zbiera swą własność zewsząd, z każdego zapachu, szelestu, z każdego połysku, z każdego drgnienia zeschłego badyla. Jest to najbardziej żywy i poufały stosunek z przyrodą, jest to poezya pracy rolniczej...

Już na wstępie zaznaczyliśmy, jak najwcześniejsze wrażenia w tym właśnie kierunku oddziaływały na naszego poetę:

A gdybym słyszał brzekot kosarzy,
A gdybym widział, jako żną zboże.

Jest nieco przesady w tem, co gdzieś powiedział o sobie ¹⁾:

Nie ja śpiewam, lecz świat boży,
Który piosnkę we mnie tworzy,
Puls przyrody bije we mnie...

Nie, potężnego jej tchu nie czuć w jego pieśni. I nie doznaje się nigdy wstrząsających wzruszeń, nie szukać tu uniesień namiętnych lub modlitewnego uwielbienia. Co krok spotykamy rzeczy powszednie, o jakie każdy i wszędzie zawadzi, byle się wydostał za mury miejskie. Codzienne te widoki oblane są łagodnem i pogodnem światłem, i wywołują odruchy proste, zwykłe sercu każdego przechodnia, jeżeli mu nie zabraknie... małej rzeczy: jeżeli się „zbratał z przyrodą, jak

¹⁾ W r. 1845.

z matką“, jeżeli aromat skoszonej trawy, a choćby ostry zapach kopny, świeży wilgotny chłód wystruganej przy stercie ziemi, po-brzęk kłosów dostajej niwy, jeżeli to wszystko zdoła w duszy jego obudzić synowskie dla ziemi uczucia. I nie jeden znajdzie się u Syrokomli obrazek, od którego oderwać się trudno, gdyż wyczuwamy sympatyczną nić, która łączy przyrodę i człowieka:

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,
Kto w pieśni rad powietrze swojskie chwyta,
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,
I prosty lud wioskowy, zaściankowy...

.

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo,
I letni skwar, i jesień szczodrośliwą,
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa...

Zapewne, czytając to, musimy wspomnieć i o Kolcowie, i o Burnsie. A jednak „i letni skwar, i jesień szczodrośliwa“, same przez się — to epizod jedynie dla naszego poety. Najsilniejszymi bowiem i najżywszemi są te ustępy, w których znać działanie najpotężniejszej w uczuciu i w poezji Syrokomli dźwigni — tęsknoty, wspomnienia. Cały „Kęs chleba“, przez wielu na najwyższym niemal stawiany miejscu, temi przedewszystkiem ustępami stoi.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał Nadniemeńską niwę...

.

..... to sielskie zacisze
'Tak mię zbratały z przyrodą, jak z matką...

.

Zda się, bywało, wzrost trawy posłyszę,
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przesłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę

.

*I słuchem duszy, jak gdyby na jawie
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści...*

.

Znamienną atoli jest rzeczą, iż bezpośrednio odruchy poety na zjawiska przyrody, o ile nie napiszą się z zaznaczonymi właśnie pierwiastkami wspomnienia i tęsknoty, są u Syrokomli objawem dość rzadkim. Z „Chodyki“ np. nie upamiętnia się ani jeden ustęp, jakkolwiek tam cała pokuta strzelca jest nieustannem z przyrodą obcowaniem na tle życia lasu. Wszakże gdy życie to porównamy z obrazami Dygasińskiego, a choćby nawet Niesłuchowskiego, przedstawi się ono nam dość niewyraźnie. Wogóle, jak się rzekło, przyroda dla Syrokomli jest epizodem, samoistnego znaczenia nie posiada. Znać, że wrażenia, od niej otrzymane, były częstką wielu przeżytych chwil, i dla tego stały się mu drogie, może niezbędne, ale same przez się rzadko upajały. Bywa często, iż lata całe spoglądamy na znajome twarze, aż widok ten zrasta się z naszą duszą. Uprzytomni to nam dopiero żal, gdy tych twarzy nam zabraknie, ale gdy były przed nami, nie wpatrywaliśmy się w nie z miłością... Wiemy, że poeta, choć opiewał brzekot kosarzy, i tęsknił do widoku, „jak żną zboże“, gospodarstwa przecież nie lubił, uciekając do ksiąg, a gdy się od tych odrywał, wpadał między ludzi. W naturze jego nie było pierwiastków samotniczego, kontemplacyjnego usposobienia, i choć przymusowemu samotnictwu zawdzięczał może najrzewniejsze i najcenniejsze swe pieśni, nie często przebywał sam na sam z niebem i ziemią. Znajdujemy u Kondratowicza wiersz, na pozór wielce zbliżający się do przytoczonego powyżej wiersza Kolcowa:

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,
I my, ludzie, i wy, ptaszki — wszystko dzieci Boże.
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.

Tyś, skowronku mój, towarzyszu, choć w nierównej doli,
O kochaniu jeno marzysz, twemu sercu gwoili...

Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,
Chciałby śpiewać świętą pieśnię, ale rąk nie dźwiga.

Od chwili, gdy rozpoczyna się paralela między skowronkiem a oraczem, widać, jak poeta zbaczać zaczyna od wrażeń bezpośrednich do „nierównej doli“ człowieka i ptaszka. Rozumuje, użala się, ale nie oddaje się bez zastrzeżeń radości pracy wiosennej i radości rozmowy z powstającą do życia po śnie zimowym ziemią. Tak, czy inaczej, w chwili wesołej, czy smutnej, zawsze między poetą a przyrodą stawał — człowiek.

VIII.

TWÓRCZOŚĆ SYROKOMLI W SZCZEGÓŁACH DO R. 1852.

Rozglądając się nieco w szczegółach, zwróćmy przez chwilę uwagę na wiersze liryczne. Wybitnych rzeczy próżno tu poszukiwać. Rzewna jednak, nieuczona nuta lirnika wioskowego da często świadectwo prawdzie naszych o nim rozmyślań. Parokrotnie kładliśmy nacisk na okoliczność, iż osobista poezya Syrokomli, to głównie poezya wspomnień i żalu za ubiegłą chwilą. Rzeczywistość nigdy go nie zadawała, a niekiedy w podziw nas po prostu wprawić może skwapliwość, z jaką poeta w przeszłość usuwa swoje szczęśliwe godziny natchnienia, jak zawsze poza sobą już widzi swobodę umysłu i uczucia. W wierszu do Pietkiewiczów ¹⁾, wspominając o wspólnych z niemi błakaniach się „z książką Adama w ręku“, wzdychając do „niekształtnych, lecz ognistych pieśni“, uskarża się na usychanie serca. „Gdyby ogień dawniejszy wróciły mi Nieba, mógłbym tony wydobyć z mej liry“. Właśnie wtedy z tonów liry spletały się

¹⁾ 15 maja 1846 r.

śliczne i natchnione ustępy „Dęboroga“. Zimą tegoż roku ¹⁾, zwracając myśl swą ku zabawom młodych lat ²⁾, woła w gawędzie z samym sobą: „ej, oddałbym, oddał i duszę i ciało, gdyby się tak rażno, jak d a w n i e j hulało“. Z przejściem się opisuje zabawę kuligową. Ale cóż... „Lubiłem to niegdyś... o Boże mój, Boże! Dlaczegoż gdy rękę na sercu położę, tak bije mi tętno, tak lży z oczu biją?“ („Bywało“). Choć „d z i ś“, w przeciwieństwie do „bywało“, jest bardzo smutne, nie mniej serdecznie go niebawem pożałuje. W d. 15 lutego 1847 r. napisze elegię „O moim starym domku“, najpiękniejszy wiersz tej doby obok takich, jak: „Do Boga“, „Lirnik wioskowy“ i „Dedykacya gawęd gminnych Litwinom“. Właśnie wtedy stawiono poecie nową chatkę zamiast zmurszałego, rozklekotanego i rozsypującego się domku. Do ucha lirnika dochodził stuk siekier z pobliskiego lasku. Więc już obecna chwila zapadała w przeszłość, już się owijała mgłą oddalenia. Tego było dość, by z serca poety trysnął szczery żal:

Stuka, stuka topór w lesie,
Echo wstrząsa cisz gajową,
I mnie wieść *żałosną* niesie,
Że mieć będę chatę nową...

Chatkol ściany twoje stoją,
Lecz cię wkrótce proch zagrziebie.
Już przyrośłem tak do ciebie,
Ty tak wrosłaś w duszę moją!

Prawda, wrosła. Tu każda szpara, każda pajęczyna budzi wspomnienie.

Ot mój stolik, tron potęgi,
Tam szpargałów leżą roje;
A to szafa — a w niej księgi —
Zguba moja, szczęście moje!

Wiemy, iż nie koniecznie i nie zawsze Kondratowicz był od-ludkiem:

¹⁾ 22 listopada 1846 r

²⁾ Właśnie skończył był 23-ci rok.

O, lubiłem w tej izdebce,
 W gwarze gości tchnąć weselem;
 A najbardziej, gdy się szepce
 Z ukochanym przyjacielem.

Lubił! Ale to wszystko już minęło. Już się dusza nie odnowi
 w nowym kątku:

Szukać wrażeń już nie sposób
 Zardzewiałemi oczyma;
 A w tym świecie, wśród tych osób,
 Już pamiątek dla mnie niema,
 Już widoki z okien nowe...

Nie dowierzajmy „zardzewiałym“ oczom, bo i z tą nową siedzibą
 bolesne będzie rozstanie.

Od kiedy Syrokomla uwierzył w swój zawód piewcy, zwracał
 się chętnie i często do rozmyślań o powołaniu poety, o jego losach na
 świecie, o stosunku między pieśnią a rzeczywistością: „Wędrowny
 flecista“, „Do niemowlęcia“¹⁾, „Do Boga“, „Zawcześnie“, „Modła“,
 „Ułamek“... Niekiedy, idąc zwykłym torem romantycznym (i nie ro-
 mantycznym), wytacza proces tłumowi, który utonął w samolubstwie,
 cześć złotemu cielcowi oddaje i t. d. „Two czoło — w wieniec cierni
 ustroję, i zelzę ciebie hańbą sromotną, i w twoje piersi kamieniem
 grzmotną“. Było to jasnowidzenie! I jasnowidzeniem była przepowie-
 dnia „Lirnika wioskowego“: „skonam, grając na lirze“. Wyznania te
 zamykają się śliczną „Dedykacją“ gawęd, w której poeta tak określa
 stanowisko swej poezyi:

O bracia moi z nad Willi, z nad Niemnal

Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!

Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,
 Dla ciebie śpiewam, gminie szaraczkowy!

¹⁾ Pierwotny tytuł: „Poeta“.

O tobie śpiewam i z tobą zespolę
Nadzieje, radość, i smutki, i bole.

Spójrzmy tedy na owe, gminowi szaraczkowemu ofiarowane, nieuczzone pogadanki. Jest to szereg gawęd, o których już wspominaliśmy przygodnie, a z obszerniejszych utworów „Chodyka“, „Urodzony Jan Dęboróg“, „Zaścianek Podkowa“ i niedokończony „Kanonik Przemyski“. Powiadają, iż w pierwszej dobie twórczość Syrokomli miała kierunek moralizujący. Bo oto przecie „Pocztylion“ ponosi karę za brak miłości chrześcijańskiej, w innej gawędzie autor przekonuje, iż „Kradzione“ nie tuczy i t. d. Możemy śmiało przypuścić, iż dydaktyczny zamiar, jeżeli nawet istniał, nie grał roli pobudki twórczej. Dostatecznym wytłómaczeniem pierwszych utworów jest usiłowanie dać żywą charakterystykę pewnej warstwy ludności, w duchu romantycznym poczęte pragnienie wyzyskania takich pierwiastków, jak cudowność, jak gminne podania, lub wyobrażenia. „Pocztylion“ był osnuty na prawdziwym wypadku, „Chodyka“ jest opracowaniem tradycji ludowej, „Żebrak-fundator“ — klasztornej. O „Trzech gwiazdkach“ mówiliśmy już dawniej. Do „Zaścianka Podkowy“ dodał autor uwagę, że za tło wypadku posłużyło zdarzenie miejscowe. „Staraliśmy się oddać szlachtę zaściankową litewską z jej obrazem myśli, z jej dykcją i jej przestarzałemi wyobrażeniami, a zarazem zwrócić uwagę...“ Tu już mowa o pouczeniu, które w utworze zabiera dziesięć wierszy i jest najzupełniej mechanicznym dodatkiem. Spójrzmy na scenę zatargów sąsiedzkich, żywo odmalowanych w „Dyferencji“. Już lby pokiereszowane, aż p. Ambroży wnosi medycynę; i oto sporne morgi już poszły na kościół i zgoda między braćmi zapanowała... Ba, czyż to od Rzewuskiego, a w pierw jeszcze od Mickiewicza, nie dowiedzieliśmy się już dawniej, jaka to szlachta była zapalna, a na rankor trwały przecież zdobyć się nie mogła, jak ją łatwo było imieniem Boskiem, ukazaniem się Przenajświętszego Sakramentu do upamiętania przyprowadzić? W tem świetle wszyscy wtedy, a niebawem Kaczkowski, ukazywali pewne rysy charakteru narodowego, i tylko sfera, którą obrazował Syrokomla, była cokolwiek odmienną. A na zakończenie „Dyferencji“ nie obeszło się bez słabych bodaj śladów nadprzyrodzonego pierwiastka, bo oto

Słyszał nawet dzwonnik głuchy
Z pod grobowca u parkana

Jakieś krzyki i rozruchy,
Spór Marcina i Stefana.

Za zmarłych bowiem już mszy nie odprawiają i morgi kościołowi odebrano.

Szczegółowy rozbiór pojedynczych utworów nie wchodzi w zakres naszych zamiarów. Musimy jednak bodaj kilku słowami dotknąć najważniejszych. Więć najprzód o „Chodyce”. Poemat ten, względnie do swych rozmiarów, posiada treść zbyt szczupłą. Przyroda leśna nie ma u autora dość oryginalności i powabu, a dzieje pokuty Chodyki opowiedziane są cokolwiek za rozwlekłe—częsta wada utworów Syrokomli. „Zaścianek Podkowa” jest niby pierwowzorem późniejszego „Kęsa chleba”, a potrąca zarazem o ową dobę, do której, za przewodem „Pana Tadeusza”, poeta zawsze zwracał się z lubością i zawsze z pomyślnym skutkiem: „Napoleonista”¹⁾, nieoceniony „Terefera”, „Janko Cmentarnik”, „Ułas”. Poeta, zda się, jak i inni współcześni, żywił kult dla korsykańskiego zdobywcy, a na ścianie swego „starego domku” miał przed sobą zawsze jego wizerunek. Śliczny jest opis wioski szlacheckiej, opustoszałej, gdyż ludność męska gdzieś za hrabią pobiegła na dalekie pola.

Nazajutrz, ledwie poranek zabłyska,
Znikła z zaścianka młodzież od wyboru,
Zniknęły konie z naszego pastwiska,
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu...

.

Robocze lato wyzwało (!) nas z domu,
Po ukraińsku rozrosło się żyto,
Kłós z niebem gada i chleba obfito,
Tylko pracować i jeść niema komu...

.

A pora schodzi, przeminął czas suszy,
Mgłami jesieni powlokło się słońce,
Zboże niezżęte sypie się i kruszy,
Trawy stwardniały i zeschły na łące,

¹⁾ Z roku 1846.

Ledwie gdzieniegdzie wytykają głowę
Kopice siana, lub mendle zbożowe,
Nastała jesień, cały plon się kwasi,
I tak zmarniała całoroczna praca...

A oto przeciwstawienie kolei ludzkich i niezmiennego pochodzą
praw przyrody:

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza doła.
Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola,
Strumień otrząśł się z lodu i swobodnie płynie,
I bocian zaklekotał
I przeleciała czarnych jaskółek gromada...
.
. och, ku naszej strzesie
Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie,
I rozpowie krakaniem żartocznego gardła...

Nie wszyscy poszli krukom na żer, ale

. Mała z nich usiuga,
Okaleczała ręce niezdolne do pluga...

Stary ojciec i matka! To cóż, że wy starzy?
Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy.

I wtedy z pałacu spadł grom na dworki szlacheckie. Brać zagonową wypędzono z ziemi, którą pokolenia jedne po drugich uprawiały, na której pokolenia rodziły się, modliły i umierały...

Utwór nie jest dość skondensowany, i dla tego wrażenie ogólne nie stoi na wysokości paru tragicznych ustępów. Czynniki baladowe — na uroczysko spada klątwa za krzywdę ludzką, — mający służyć, jakby za zadośćuczynienie etyczne, rzuca na ostatnie karty pewien konwencyonalno-romantyczny, ponury koloryt, obniżając wrażenie widoku zgliszcz i sierocego taboru, koczującego pod otwartym niebem. Już oto „lunał deszczuik wiosenny, jego święta władza zboleła serca

ochładza“; już oto „nadzieja na każdej zjawiała się twarzy, że Pan Bóg wesprze żniwiarzy“.

„Kanonika Przemyskiego“, który rozmiarami sięga największych niemal poematów Syrokomli, mimo, iż pozostał tylko ułamkiem, należy uznać za utwór, całkiem chybiony. Koloryt czasu zbyt ogólnikowy, a charakter głównej osoby, Orzechowskiego, dziwnie ślamazarny, nie przypominający w niczem namiętnego i zuchwałego wicherzyciela. Parę tylko żywszych stronie spotykamy ku końcowi, gdzie występują biskupi, Dziaduski i Zebrzydowski. „Kanonik przemyski“ nazwany był przez autora „gawędą historyczną“, i urodził się z częstego przebywania wyobraźni poety wśród minionych wieków, kojarzy się tedy z takimi pracami, jak przekłady poetów polsko-łacińskich, jak pisanie „Dziejów literatury“. Podobno zapalił się był Syrokomla do innego pomysłu — dokończenia fragmentu „Bitwy z Amuratem“ Kochanowskiego.

Jeszcze nieco o Urodzonym Janie Dęborogu. Utwór ten nie był owocem jednolitego natchnienia. Rozpoczęty w r. 1846, doczekał się wykończenia zaledwie w r. 1851. Wcielił autor do poematu swego ustępy, które pierwotnie posiadały samoistne znaczenie. Można by nawet poczynić pewne wnioski co do chronologii różnych części utworu. Tak np. w pewnym miejscu mocno podkreśla braterstwo między ludźmi, jako ziemskie urzeczywistnienie zbratania się Boga i człowieka, jakie dokonało się w osobie i życiu Chrystusa. Przypomina to wiersz „Do Boga“, w r. 1848 stworzony. Gdzieindziej skarga na chwiejność kroków ludzkości, która nie wie, co proste, a co krzywe, uprzytomni nam rozterkę w sercu poety, kiedy wpadł pomiędzy wrogie stronnictwa w Wilnie, lub kiedy narzekał, iż młódź uniwersytecka, zamiast orzeźwić go energiczniejszym tchem, zakłóciła tylko jego spokój wewnętrzny. Było to r. 1851. Wiemy, iż zdarzały się takie chwile niezadowolenia autora ze swego dzieła, że o mało nie stało się ono pastwą ognia. Pewnie też praca była parokrotnie odkładana, by znowu później wejść na warsztat. Okoliczności powyższe spowodowały rozluźnienie spistości utworu w niektórych szczegółach. I podania o protoplaście rodu Dęborogów brzmią jakoś niepewnie, i wyobrażenia nasze co do majątkowego i społecznego stanowiska dziedziców na Dęborożu chwieją się czasami. Słyszymy o ich bogactwie, ba, słyszymy o świetnych biesiadach, tych litewskich Montekich, gdy tymczasem Kapuletowie-Brochwicze wystawieni są jako biedota. To znów okaże się, że dziesięć morgów, to już wielka szczerba w szlacheckiej fortunie, i że oddać jedynaka do konwiktu — „możność nie służy“ i „nie masz za co, nie masz widocznie“. Są to przecież drobne tylko nierówności, zeszlifowane nadto przez poetę,

gdy przystosowywał wzajemnie części, z różnych pochodzące czasów; więc zaledwie pozostałe skazy dostrzedz można, a całości zgola nie nadwężają.

Od chwili wydania „Dęboroga“¹⁾, stanowisko poetyckie Syrokomli było zapewnione... a miał przed sobą już zaledwie ośm lat życia! Przedtem wydał (z utworów oryginalnych) dwa tomiki „Gawęd“. Wyjątkowe znaczenie „Urodzonemu Dęborogowi“ nadaje okoliczność, iż w poemacie tym skupiły się i spotęgowały pierwiastki, których obecność w poezji Syrokomli staraliśmy się wykazać, a konieczność istnienia uzasadnić, biorąc pod uwagę organizację poetycką autora. Rozpoczyna się utwór tym samym akordem, co „Pan Tadeusz“: „Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta“. Dalsze wiersze przypominają porównanie drzew włoskich „w wileńskim botanicznym ogrodzie“ z drzewami ojczystej ziemi. Paralela daje się przeprowadzić dalej, bo dotyczyć może całości utworu. Przecież materyalną ośnowę „Pana Tadeusza“ stanowią takie same sąsiedzkie spory graniczne, jak w utworze Kondratowicza, ba, nawet zatargi rodzinne Horeszków i Sopliców, możniejszych i uboższych, kończą się skojarzeniem młodej pary, jak w „Dęborogu“. Tylko tło jest u Syrokomli zeszcuplone i wogóle pomniejszone są wszystkie rzeczy i stosunki. Niema tu ani tej, co w „Panu Tadeuszu“, perspektywy historycznej, ani tej, co tam, epickiej głębi poza charakterami, poza malowidłem życia, ani tej wreszcie pełni i żywości barw. „Urodzony Jan Dęboróg“, to jakby rozszerzona nieco „Dyferencya“. Treść utworu pamięta chyba każdy z czytelników. Rotmistrz Dęboróg posunął kopce graniczne na ziemię sąsiada Brochwicza i spalił dwór jego, niszcząc w ten sposób dowody piśmienne własności. Pamięć tego czynu przetrwała aż do ostatniego pokolenia, i nigdy nie umierała nieprzyjaźń pomiędzy sąsiedzkiemi dworami. Podobnie jest we wcześniejszej drobnej gawędzie, pragnie poeta wystawić tu w rodzajowym obrazie szmat życia powszedniego, a bohaterów swych poszukuje tam, gdzie to

Szlachta drobna, lecz zasobno,
Krzywo pisze, prosto orze,
 Procesuje, strzeże kopców,
 Lasy pali, Boga chwali,
 I hoduje walnych chłopców.

1) 1854 r.

Tylko sfera, w której się teraz obracamy, jest wyższą, aniżeli w „Dyferencji“. I taki sam, jak dawniej, uśmiech pobłaźliwy i pogodny spostrzegamy na ustach autora. Podobnie, jak wtedy, pamięć na przykazania Boskie prowadzi zwaśnionych do upamiętania. Zapewne, trzy wieki grzechu, zaciętości, krzywdy, trzy wieki łez i przekleństw, trudno, biorąc na rozum, położyć na wspólnej szali, wraz z jedną chwilą zgody. Gdy fala, wzburzona kamieniem krzywdy, ułoży się do równowagi w jednym miejscu, któż zaręczy, iż to samo nie rozpocznie się w innym? Zbyt długo i na zbyt wyjątkowe okoliczności, jak się pokazało, trzeba czekać z upamiętaniem. Ale nikt przecież ze słuchaczy po tego rodzaju argumenty rozumowe sięgać nie będzie, jest to bowiem rzeczą widoczną, iż poeta nie wyciąga z arsenału przeszłości broni, by nią walczyć z dążnościami nowszych czasów, i nie upatruje jakiegoś panaceum na wszelkie bóle terażniejsze w krewkości temperamentu szlacheckiego, jak to rzadziej, lub częściej bywało i u Rzewuskiego, i u Kaczkowskiego, i u Pola. On nie apoteozuje, on tylko wybacza, bo „pokochał przeszłość i praojców twarze, i często je wspomina, i często o nich marzy“. A prawnuków obowiązkiem jest odkupić ojców winy. W poezyi zaś, gdzie trzysta lat — tyleż, co kilka stronic poematu, — łatwiej zrównoważyć długi mrok pogodą jednej godziny, łatwiej rozgrzeszyć i — osiągnąć wrażenie harmonijne. Czujemy, jak poeta wypoczywał od swych trosk codziennych, oglądając w wyobraźni to życie, te postaci, krajobrazy, tę sielankę dwojga serc młodych, nakreśloną szkicowo wprawdzie, ale naturalnie, i niepozbanioną wielkiego uroku. Tu ukazał nam śpiewak naszą ową przyrodę swojską w jej domowej szacie, poufną przyjaciółkę i towarzyszkę człowieka w najdrobniejszych jego codziennych zajęciach i pracach, teraz właśnie (nie w „Chodyce“, nie w lirykach swoich) oglądał ją przez nieoceniony swój pryzmat wspomnień dzieciennych, tęsknoty, żalu. W to dzieło wreszcie wcielił poeta najsilniejsze bodaj odruchy na wszystko, co odczuwał, jako podeptanie praw człowieka, jako niesprawiedliwość społeczną, oburzenie zaś swoje i żal uosobił w prześlicznej, prostej a wzniosłej, słodkiej a moralnego hartu pełnej, iście ewangelicznej, a w wysokim stopniu oryginalnej postaci ks. defnitora. Gdy próbujemy uprzytomnić sobie wszystkie osoby i charaktery, stworzone przez Kondratowicza, gdy liczymy w myśli ich bohaterstwa, ofiary, całopalenia, ze siebie składane, a rojno od tego u Syrokomli, przychodzimy do wniosku, do pewności nawet, że w osobie ks. defnitora artyzm i jasnowiedzenie duchowe poety dosięgło swego szczytu, że tak skończonej, jak ta postaci, próżnobyśmy u niego już szukali. Zdaje mi się, że tu właśnie natrafiłszy na

ową nieśmiertelną stronicę, która u każdego istotnego twórcy znaleźć się musi! I gorzka czasem budzi się myśl, że często pogardzamy najcenniejszymi skarbami, by gonić obce błędne ogniki. Nie chcemy wynosić poezji Syrokomli na wysokość, jej nieprzynależną, ale to pewna, iż bywają rzeczy dawne, a proste, z którymi, gdybyśmy się od dzieciństwa poufalili — dobrzeby było. Że tak nie jest, że do pierwiastków naszej świadomości zbiorowej ciągłość nie należy — czy zawsze nasza wina? Nie gadajmy o tem wolej...

Więc już skrwawiona postać zbrodniarza-rotmistrza nie będzie się ukazywała potomkom i straszny nie zawoła głosem: *redde, quod debes!* Oddaj, coś winien! Domowe zatargi między rodami Dęborogów a Brochwiczów zamknięte, cnoty prywatne otrzymały przewagę nad ujemnymi stronami charakteru, o ile się one ujawniały znów w osobistej dziedzinie. Dotychczas według założenia jest to „podanie jednej litewskiej mogiły“, jest to pieśń, co „duży litewskiej choć cząstkę odsłoni“. „Dęboróg“ był drukowany, jak wspomnieliśmy, w r. 1855. A gdy już 7 maja 1855 r. wypadło pisać „Epilog“ do drugiego wydania, autor podnosi nastrój swego poematu o kilka tonów. Stary rotmistrz, powstający z grobu, jak krwawy wyrzut sumienia, to nie protoplasta rodu obecnie i nie pokutnik za krzywdę, jednostce wyrządzoną, — to ukazuje się cień przeszłości narodowej, wzywający potomność, by spłaciła zaciągnięte przez ojców długi.

*Redde, quod debes, płacie dług wasz stary!
Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę
Na wasze ręce silne, na głowy uczone,
Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili,
Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli?
Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
I więcej kwiatów w polu i enót w sercach ludzi,
Lubiliśmy procesy i pieniacze matnie,
U was pewnie zakwitło miłowanie bratnic;
Równych synów ludzkości, odkupionych z krzyża.
U was pycha herbowna pewno nie poniża...*

Podobnie, prosząc o przebaczenie dla starej głowy Dęboroga, wierzącej w odwieczny katechizm, iż „szlachcic stworzon z inszej chłop z inszej gliny“, autor dodaje, iż tem szczerzej przebaczenie to ofiarować należy,

Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.
 Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
 Ochrania ją od głodu, od zimna srogości.
 W wioskach, słyszę, dostatek, wypłenione chwasty,
 Zakwitnęła bujnym kwieciem nasz wiek dziewiętnasty.

Jak zwykle, sarkazm ten rozplynie się w żalu:

Och, bolesno posłyszeć głos taki z mogiły:
 Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
 A choć zda się dokoła zielone przestworza,
 Po trawce nie rozeznac kąkolu od zboża.
 A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
 Przebaczcie, że niepewnym głosem pobrząkiwa:
*Bo nie zgadnie, do jakiej nastroić się nuty,
 Czy stworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty?*

Jednocześnie z ostatnią kartą „Dęboroga“ Syrokomla napisał śliczną baladę-gawędę: „Hetman polny“, jak zwykle nadając „przeinaczeniu“ boskiemu charakter następstw naturalnych. Hetman na czele wojska kwarcianego urządził zasadzkę na Tatarów; chce „brońić niskie strzechy wioskowe krymskich bandytów po bić na głowę“.

Lecz zabezpieczon w żelaznej zbroi,
 Nie zawždy rycerz Boga się boi,
 Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
 Oto po wiosce zagon rozpuszcza...

.

Jeno się śmieje z jęków i wrzawy
 Wielmożny hetman polnej buławy.

Gdy tedy naszli nocą Tatarzy, snadno się domyślili, słysząc jęki, że w wiosce uprzędzili ich już bracia z przedniej straży. Nie

chcąc więc przeszkadzać ich robocie i ochocie, poszli na zamek swego wroga-hetmana.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
 Na niebie gore luna obszerna,
 Hetman na niebo spojrział z oddali:
 „Na koń, rycerswo, mój dwór się palił“.
 Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
 Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze,
 Zamek spalony, służba wyrżnięta,
 Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;
 Na zgliszczach domu modli się łzawy
 Wielmożny hetman polnej buławy.

Pod względem koncentracji budowy i oszczędności w użytych rysach i barwach, pod względem siły wyrazu, gawędę tę obok „Lalki“ należy policzyć do najudatniejszych i najpiękniejszych. Syrokomla za *molto* położył słowa Skargi: „Bo gdy doma lwami okrutnymi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami“. Widzimy tedy, iż ukochanie przeszłości nie było ze strony poety bezkrytyczne, chciałby tylko „wybaczyć starej głowie“. „Hetmana polnego“ możemy uważać za naturalne uzupełnienie „Dęboroga“. Spostrzegamy, że lirnik nasz pogłębia w sobie znaczenie opiewanych podań, spostrzegamy, jak wypadek drobny staje się dlań symbolem rzeczy powszechnej. I gdyby takie podniesienie tonu zaszło było wcześniej, w trakcie twórczości, wówczas jeszcze, gdy „Dęboróg“ był dopiero nieurzezywistnionym pomysłem, lecz nie w odrębnym utworze i nie w mechanicznym dodatku, wsteczne jeno rzucającym światło na utwór, gdyby tak się stało — „Dęboróg“ urósłby może do wyżyny epickiej niemal. Ale tak już snadź przeznaczenie chciało, by Syrokomla pozostał na zawsze w obrębie gawędy.

IX.

WILNO. — PRZENIESIENIE SIĘ DO BOREJKOWSZCZYZNY (1853).

W Załuczu Syrokomla gospodarzył do końca r. 1852. Wiemy mniej więcej, jak mu tam czas upływał. Zaglądał na pole, kopał w ogrodzie, w samotnej izdebce obcował z księgami, o których mówił: „zguba moja, szczęście moje”, rad wyrwał się do najbliższych sąsiadów, lub z radością chwycił gwar wesela, patrząc, jak rozszerzały się ściany jego chaty, gdy się zaludniła ubogimi braćmi. Zaczęły wiejskie sprzyjało pracy, sprzyjało natchnieniu, gdy kajdany robot obowiązkowych wolniały, nie mniej zacisze to miało dla śpiewaka naszego posmak nudy. O swych zatrudnieniach rolniczych sam powiada: „Wiem, że się nigdy nie nauczę, jak posesorskie pełnić rzemiosło”. Odbywał też dalsze lub bliższe wycieczki po Litwie. W r. 1850 zawadza o Hubin Kraszewskiego na Wołyniu, zbiera dla niego gdzie się da, stare sztychy, zagląda gęsto do Wilna, gdzie u przyjaznego sobie Mikołaja Malinowskiego źródłami i erudycją się zasila.

Pisząc elegię o „starym domku”, poeta wspomina o słodkim wczynie „w uściśnieniu lubej żony, lub w pieszczotach mej d z i e c i n y”. We cztery, czy w pięć lat potem, w liście do Marcinkowskiego, nazywa już siebie ojcem trojga dzieci. Obowiązki przybywały, tymczasem rola piaszczysta rodzic nie chciała: „poetyczne Załucze chleba nie daje”. Zarobki literackie były tak obfite, że za pierwszy tom literatury otrzymał 150 rb. Poeta uważał to za świetny interes. Troska o jutro, pośpieszna, a wciąż rosnąca praca obowiązkowa ¹⁾, wyczerpywały poetę. Sam on też dobrowolnie rozpraszał swe siły. Zaprzyjaźniwszy się np. z Moniuszką, wnet pisze libretto do jego oper, kantaty itp. ²⁾. Pod naciskiem konieczności powstaje wówczas fantastyczny projekt nabycia na własność kawałka ziemi. Wreszcie poeta traktuje z zarządem dóbr o zamianę dzierżawy. Zawartą już prawie umowę zniszczył kaprys właściciela, który bez porozumienia się z zarządem, komu innemu wypuścił folwark. W dodatku spadło na Kondratowicza nieszczęście: w r. 1852 na cmentarzu w Mirze spoczęło troje

1) W roku 1852 rozpoczął już tłumaczenie kronikarzy łacińskich.

2) „Cygani“, „Rok w pieśni“.

dzieci. Lirnik rozstaje się wreszcie z Załuczem i z nadniemeńską okolicą. „Wioskowe nudy — pisze do Kraszewskiego — a w ostatnich czasach bolesne wspomnienia wbijały mnie na krzyż, czułem tęsknotę do ludzi, bez ich towarzystwa — książki ani natura nie smakowała mi“. Kończąc zaś swą „Wędrówkę“ po swoich „niegdyś okolicach“ rzucił rozrzewnione poza siebie spojrzenie.

Wzdłuż i wszere zwędrawawszy nadniemeńskie strony,
 Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony;
 A nim w dalszej wędrówce na siły się wzmogę
 Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.
 Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi,
 Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
 Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
 Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dżiatwa luba,
 Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,
 Śpiewa znajome ptactwo, huczy wiatr znajomy,
 I wspominam splekany, rozmarzony cały,
 Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
 I myśli, które niegdyś paliły mi głowę.

: : : : : : : : : : :

A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,
 Gdy bocian zmartwychwstanie, piosnkę zaklekoce,
 Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,
 Polatać nad wioskami, ponad cmentarzami,
 Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
 Gdzie lzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
 Skąd odszedł, rozpaczliwie załamawszy ręce,
 I zostawił pamiątkę w znikomej piosence.

Wierszem tym, już w Wilnie napisanym, zamknął poeta swoje historyczne „Wędrówki po moich niegdyś okolicach“¹⁾, zamknął też Załuczański okres swego życia.

W Wilnie widzimy Kondratowicza już w styczniu 1853 r. Zda się, iż pociągnęły go tutaj niezbyt może określone widoki na inny kawałek chleba, nie gospodarczy. „O archeograficznej komisji... nie jeszcze stanowczego niema. Jestem tu bez stałej posady;

¹⁾ Wydane w r. 1853.

tę jeśli otrzymam, przybędzie mi trochę swobody, trochę cierni..." — czytamy w liście do Kraszewskiego. Założycielem wileńskiej komisji archeologicznej był, jak wiadomo, Eustachy hr. Tyszkiewicz. Syrokomla od lat kilku wszedł był w świat literacki i spotykał w nim uczonego starożytnika. Ślad tych stosunków osobistych pozostał w imienniku Tyszkiewicza, gdzie poeta pod datą 17 maja 1852 r. zapisał wiersz, wyrażający gorące uznanie autora dla obywatelskich iuczonych zasług hrabiego. Ze słów zaś poety, do Kraszewskiego zwróconych, wynikałoby, iż Syrokomla miał nadzieję otrzymania płatnej posady w instytucji, Tyszkiewiczowi zawdzięczającej swe istnienie. Ale dopiero 26 kwietnia 1855 r. założyciel doczekał się zatwierdzenia ustawy. Kondratowicz tymczasem musiał obejrzeć się za innym środkiem do życia, gdyż przekłady, któremi go obarczano, i inne prace erudycyjne, nie mogły dostarczyć chleba dla niego i dla rodziny. Ślęczał właśnie nad dalszym ciągiem „Literatury“¹⁾, nad przekładem kronik łacińskich, nad Coyera „Historją Jana Sobieskiego“, nad „Dwoma koronacjami“ Sasów, nad 2-gim tomem „Wędrówek“. A gdy mu będą wyrzucali, że się wdaje w drukowanie materiałów historycznych, odpowie: *panem careo* (chleba mi brak). Więc już w kwietniu 1853 r. znowu się podejmuje posesorskiego rzemiosła i przenosi się do Tyszkiewiczowskiej Borejkowszczyzny, która aż do śmierci już miała służyć poecie za schronisko. Nie w ponętne światło wystawili świadkowie przytulisko to. „Borejkowszczyzna... była osadą zrujnowaną, odartą ze wszystkich powabów, nadawanych ręką ludzką przyrodzeniu, z gruntami wyczerpanymi i zachwaszczonemi, z ogrodem nieogrodzonym, ze ścianami, paczącemi się w różne strony, z dachami, wyglądającemi, jak łachmany żebracze. Dom mieszkalny, zbudowany na znacznej wyniosłości, miał na nieszczęście pod sobą grunt kryniczny... Zresztą, przy sporym kawałku gruntu było z morg może dobrej łąki, a kilka morgów łąk błotnistych, dalej ogród owocowy, nie dający ani owoców, ani cienia; poza ogrodem na łączce strumyk, mierzący wodę kwaterkami, a poza łączką dwie, czy trzy osady właściańskie. Za tę chatkę w lesie... płaciło się 270, czy też 300 rb. Borejkowszczyzna zaledwie wystarczała na przeżycie. Nie sarkał jednak poeta, nie ubolewał i sumę dzierżawną rok rocznie, „zamiast sochą, wyorywał piórem“. Eustachy Tyszkiewicz nie był właścicielem Borejkowszczyzny, i osobiste stosunki archeologa i poety nie miały wspólnego ze sprawami dzierżawnymi. Wolno jednak mniemać, iż pana posesora niezbyt naciskano terminami. Cha-

¹⁾ Nad 2-gim tomem.

rakterystyczne świadectwo składa Tyszyński, który, przejeżdżając przez Borejkwoszczyznę ¹⁾, ciekaw był dowiedzieć się, jak też to poeta gospodarkę prowadzi. Wdał się tedy w rozmowę z oberżystką. „Wszakże Borejkwoszczyznę w posesyi trzyma, zdaje się, p. Kondratowicz? — A, Kondratowicz! — rzekła wtedy oberżystka — a tak... o! i jabym tak trzymała, jak Kondratowicz; przez całe lato siedzi w Wilnie, przez całą zimę w Wilnie, a na św. Jerzy przyjedzie... pójdzie do pana hrabiego... napożycza panu hrabiemu książek francuskich, niemieckich... i na tem koniec“ ²⁾. Przy takim systemie gospodarki trudno było spodziewać się obfitych plonów. I tym razem, jak niegdyś w Załuczu, wyznaje poeta: „wziąłem dzierżawę, pomimo, iż gospodarzyć nie umiem i nie lubię“. A w rok potem rzuca inne, w kształcie żartu, wyznanie: „Na pniu sprzedaję me plony“. Poetyczne, rozumie się, bo co do plonów ziemnych, jak się dowiadujemy z wierszowanego listu do Ig. Chodźki ³⁾, został zawarty tego rodzaju układ z Apollinem:

Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
 Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,
 I rozkażę strumykom brzęczeć z całej sły,
 I rozkażę słowikom, by pięknie nuciły:
 Aby ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,
 Nie dam ci na dzierżawie ni ziarna, ni słomy,
 Na tych łąkach, byś serce rozrzewniał radośnie,
 Niechaj brzęczą koniki, a siano nie rośnie
 i t d.

Więc nie było rady, trzeba było odsyłać do łaskawych na chów zimowy „odstawną pegazicę i pegaziat dwoje“. Zaiste, nie jeden, o, nie jeden z braci kapotowców posiadał remanent znacznie liczniejszy!

Syrokomlę wyparła z Wilna nie tylko konieczność zadośćuczynienia materyalnym potrzebom własnym i rodziny. Gwar miejski ogłuszał, ożywione stosunki towarzyskie nie pozwalały na skupianie się w sobie, mechanicznie zresztą czas zabierały. Było nadto i coś in-

¹⁾ Stała na trakcie o dwie mile od Wilna.

²⁾ Tyszyński: „Wizerunki“, str. 259 — 260.

³⁾ W r. 1854.

nego. Już dawniej, stronnice waśni postępowców i ortodoksów odziaływały na Kondratowicza w sposób nadzwyczaj przykry. Teraz przedsięwziął zaszczyć gałązkę pokoju wśród walczących. Należy przyznać, iż pomysł to ze wszechmiar naiwny. Jeżeli ludzie mają odmienne wyobrażenia o siłach i środkach działania społecznego, to jakąż między nimi może zapanować zgoda, jeżeli nie wyprą się wiary swojej? Zresztą, słowo Syrokomli nie miało i mieć nie mogło należytej powagi. Chodziło zapewne nietylko o różnicę przekonań, dzielących ludzi na wrogie obozy. Bo co do przekonań... Marcinkowski, filar opozycji przeciw Tygodnikowi Petersburskiemu w kilka lat później przyjmie współpracownictwo w Dzienniku Warszawskim i będzie jedną Rzewuskiemu zwolenników. O wiele trwalsze i dla usposobienia takiego jak Syrokomli, dotkliwsze były osobiste komeraże i niesnaski. Dla tego zapewne dawniej, nasłuchawszy się świadczących o sobie literatów i artystów wileńskich, w samotności „łzami się zalewał”. I obecnie nie powiodła się mu jego misja pojednawcza, i wzięła taki obrót, iż sam się naraził na ostre nagany i zarzuty. O szczegółach, niestety, nic a nic nie wiemy. Zeskwapliwości tylko, z jaką usunął się z Wilna, z głębokiego rozżalenia, trwającego długie miesiące i wytracającego pióro z rąk, sądzić możemy, jak bardzo było zranione to czułe, przyjaznych dotknięć spragnione serce. „Nie mogę, nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali”. Niestety, w postanowieniu tym wytrwać nie umiał. „Do lasu, do przyrody, do modlitwy wołasz mnie”, czytamy w sierpniowym (1853 r) liście do Kraszewskiego, „wśród boleści mojej duszy. Wiem z doświadczenia, że tam można znaleźć spokój, znajdowałem go za dni mojego życia. Dziś nie śmiem, dziś nie umiem dostroić się do harmonii przyrody... Pracuję niby, ale nie czuję tego słodkiego rozmiłowania w pracy, jakie mnie dawniej zbawiało... Przyjaciele tu mi krzyczą, iż próżnuję, że nie przeżył siebie... Wiary dajcie mi, wiary w ludzkość, wiary w najświętsze uczucia...” Napisał właśnie wtedy Korsaka, ale wyznaje, że upada na siłach, że utworowi jego brak siły, ognia, energii. Dopiero w listopadzie powie nasz lirnik: „Długie jesienne wieczory i piękne doświtki, powróciwszy mię pracy, wzmocniły nieco ducha: czuję się zdrowym. A cierpiałem niemało... że dobrzy ludzie pojąć mnie nie chcieli, że moim dobrym chęciom i poczciwym dążeniom Bóg wie, jakie naznaczali powody, cierpiałem za to, że się kochanemu Wilnu podobało było czcić mnie owacyami, o które nie prosiłem... Za rozgwar chwały okrzyknęli mnie obmową, za dym kadzideł napoiłi żółcią, a ja co do pierwszych nie przywiązywałem wagi, nie umiałem znieść drugich. A to skwarne lato, co mi

zdrowie zwykle rozstraja, a te niepowodzenia domowe (zgon ciotki, wszystko przeważnie wpłynęło na pozbawienie mnie soków żywotnych) ciała i wiary w ludzkość...“ Przybycie w tym czasie na świat synka również przyczyniło się do wolniejszego oddechu, do odzycia znękanego poety, bolesne przejścia odbiły się w przedmowie do drugiego tomiku „Gawęd“, który się właśnie miał ukazać pod koniec tego roku. Usprawiedliwiając się ze szczupłego plonu swej niwy, prosi:

..... chociaż jeden z uważnych słuchaczy
 Przed ludźmi niech biednego piewę wytłómaczy:
 Może mu działwa zmarła, może dom się wali,
 Może go Bóg zasmucił, ludzie ogadali,
 Może nauce gwoli lub za grzechy stare
 Bóg mu wrzucił do serca zwątpienia niewiarę.

Drugi tomik rzeczywiście podążył zbyt szybko za pierwszym, więc na nowy wianek starczyło zaledwie „kilka drobnych kwieci“ i „kilka drobnych wierszyków z cudzoziemskiej mowy“ ¹⁾. Nie należy wszakże mniemać, iżby, pomimo wszystkiego, pióro Syrokomli rzadko biegalo po papierze. Oprócz prac prozaicznych, o których wspominaliśmy, i kilku drobnych gawęd, mamy przecież obszerną „Spowiedź Korsaka“, wiele okolicznościowych wierszy, ułamek opery „Margier“ ²⁾, wreszcie wcale obfite dodatki do „Uwag o śmierci niechylnej“ Baki. Wszelako nic z tego nie może iść w porównanie z „Dęborogiem“, „Lalką“, „Lirnikiem wioskowym“, z wierszem „Do Boga“ i t. d. Naśladowanie Baki, to dziecinna igraszka, z której jeno to wyczytać można, jak poeta siłą-mocą, wyrwał się swym smutkom, by zwiastować czytelnikom radosną nowinę, jak to

Książd Baka
 W te czasy
 Z pod prasy
 Wylata
 Do świata.

¹⁾ Między innemi „Laik“ Lermontowa.

²⁾ Dla Moniuszki.

Wśród wierszy lirycznych zasługuje na uwagę tylko: „Pielgrzym“, jako epilog do I-go tomu „Wędrówek“, i „Przedmowa do nowych gawęd“. O jednym i drugim już wspominaliśmy.

Gawęda „O Zabłockim i mydle“ dała początek całemu szeregowi innych, którym za temat służyły przysłowia: „wyskoczył, jak Filip z Konopi“, „przyszła kryska na Matyska“, „tłucze się, jak Marek po piekle“... Autor był bardzo zajęty swą myślą, i zapytywał Kraśzewskiego, co sądzi o tem przedsięwzięciu. Wykonanie zamiaru nie dostarczyło wszakże zbyt cennych plonów. Gawęda o Zabłockim ¹⁾, chybiona w założeniu (morał: unikajcie wymysłów niemieckich...), raz i w wykonaniu dziwnem u Syrokomli niewyrozumieniem na ludzkie przewiny. Gdy Zabłocki źle wyszedł na mydle i na starość zebrać musi:

... na mszę i nieszpory
Szlachta idąc gromadnie
Aż od śmiechu się kładnie...

Każdy w śmiechy i kwita
O mydelko się pyta,
Wybadywa go ściśle
O niemieckim przemyśle,
*Nasztydzi, naurąga,
Lecz nie rzuci szeląga.*

Wnet po „Zabłockim“ szedł „Filip z Konopi“, ale pozostał ułamkiem. W grudniu 1853 r. w czasie pobytu autora u rodziców w Tulonce, powstaje „Marek w piekle“, której morał: do panów się nie puń, ze swojemi przystawaj, gdyż nikt do ciebie się nie przyzna, jak do Marka na Polach Elizejskich. Jak widzimy, jest to gawęda „ku zbudowaniu szlacheckiemu“. Gawęda ludowa „Niepiśmienny“, w tonie „Lirnika wioskowego“, odznacza się zbytkiem rozmarzenia i czułości.

Ja nie zazdroścę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na Bożym świecie,

¹⁾ Napisana jeszcze w Załuczu, w grudniu 1852 r.

Jednego tylko zazdrościć może,
 Że wy, panowie, pisać umiecie...

Jakie rozkosze, jakie rozkoszel
 Umieć wypisać słowo po słowie.
 Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
 Karta zrozumie, piórko wypowie...

Jest coś w zakroju, w kolorycie „Niepiśmiennego“, co nasuwa przypuszczenie, że niektóre rzewne i przeczulone nuty piosenki Le-nartowicza doleciały na Litwę i zostały pochwycone przez wrażliwe ucho Syrokomli:

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
 Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:
 Kiedy zobaczę śliczną dziewczoję,
 Albo aniołów o jasnej twarzy.
 Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
 Ranne skowronka *Zdrowaś Marya*
 i t. d.

Do udatniejszych rzeczy tego roku policzylibyśmy: „Kojec z kurczęty“ i „Żywot poczciwego człowieka“. W pierwszej widzimy, jak biedny, śmieszny wikary przeobraża się naraz w bohatera. „Żywot“ znowu, to męską już ręką opracowany temat „Luli“, rzadki u Syrokomli okaz satyry. Widzimy, jak to „poczciwy człowiek“

Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,
 Popijał wino i pijał smaczno.
 Bóg go obdarzył potomstwem licznem.
 Raz wydał obiad sławny w powiecie,
 Toć go obrano sędzią granicznym...

A później:

Ubrano trumnę w opony sine,
 Bito we dzwony po całym mieście,

Potem ksiądz proboszcz za złotych dwieście
Chwalił zmarłego całą godzinę...

.
 Żona i dzieci sprawiły sobie
 Z białemi pręgi czarne czamary,
 Rok i sześć niedziel były w żałobie,
 Bo tak przepisał obyczaj stary.
 Gdy się po roku żałoba zdarła,
 Znowu się w jasne ubrano kwiatki,
 Żona z kim innym śluby zawarła,
 Synowie toczą proces o spadki...

.
 Ot, jak zwyczajnie na świecie!

Obok satyry na „pocziwość“, rozpoznajemy tu gorycz rozżalowanego uczucia: przypominamy sobie „pogrzeb młodego rolnika“.

Najobszerniejszy poemat: „Spowiedź Korsaka“, przypomina „Chodykę“. Za uniesienie jednej chwili — pokuta całego życia. Wogóle Syrokomla jakby już wpadał w powtarzanie. Ks. Dominik, spowiednik surowy, ale umiejący skruszyć serce; ciśnie się doń ubogi i bogaty — to niby powtórne, lecz pomniejszone wydanie ks. defnitora. On to nakazał „urodzonemu“ Korsakowi ciężką pokutę — zaparcie się szlacheckiego herbu i nazwiska, przywdzianie siermięgi, zniesienie się do pracowitej rzeszy i zastąpienie osieroconym wieśniakom zabitego przezeń syna. Jak w ks. defnitorze, tak w ks. Dominiku Podolcu, uosobiony został ten dogmat Syrokomli, że po to Bóg przywdział na się sukienkę z ludzkiego ciała, iżby człowiek człowiekowi bratem był. W przedmowie wiara ta przeobraża się w dość suchą i ogólnikową formułkę, że grzech przeciw społeczności powinien być odpokutowany w sposób, korzystny dla tejże społeczności“. Wygląda to na usprawiedliwienie się, że specjalnie o chłopca autorowi nie chodzi. Skądinąd ks. Podolec nie jest wyjątkiem, jakim był ks. defnitor, lecz uosobieniem historycznego faktu, że przy całym upośledzeniu ludu wiejskiego w dawnej Polsce, religia, stając między nim a szlachtą, przeważnie wpływała na złagodzenie doli kmiotka, niezabezpieczonej żadną ustawą“. Autor nieznacznie jakby stawał w rzędzie obrońców tradycyi, niemal w jednym szeregu z Rzewuskim, nie postrzegając, iż obrazy jego zadają kłam twierdze-

niu o powszechności faktu. Wszak ks. Podolec nie zażywa miru u starszyny za swą ekscentryczność. Nic tedy dziwnego, że skromny pozór nie zasłonił poety przed zarzutem „przenaturzenia wypadku“, dodaniem do opowieści zabójstwa wieśniaka (tradycya herbowa nie zna tego szczegółu).

A. DROGOSZEWSKI.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w wydawnictwie tym, mimo iż jest ono bardzo cenne, nie należy zapominać o innych, które również są bardzo ważne. W szczególności należy wspomnieć o „Encyklopedii Staropolskiej” i „Encyklopedii Powszechnej”. Te dzieła są bardzo cenne i powinny być czytane przez każdego, kto interesuje się historią i kulturą naszego kraju.

PIŚMIENNICTWO.

ZYGMUNT GLOGER. *Encyklopedia Staropolska Ilustrowana*. Tom I—IV
Warszawa, 1900—1903.

Na cenę ze wszech miar wydawnictwo zwróciliśmy uwagę czytelnika, gdy się pierwszy jego tom ukazał. Dziś, gdy nadspodziewanie rychło dzieła dokończono, wracamy do niego. Nie zamierzamy jednak na nowo wystawiać jego zasług i zalet, jego wagi i znaczenia, jego sposobu traktowania rzeczy; o tem wszystkiem mówiliśmy już dawniej. Przypatrzmy się samej treści, artykułom różnym, czego im niedostaje lub co w nich chwalimy.

Niektóre zarzuty możliwe uprzątniemy zaraz z góry. Ktoby się chciał uskarżać, że niema tego lub owego, że zbyt krótko jedną lub drugą rzecz omówiono, że nie podawano licznych odsyłaczy, źródeł, literatury—na to wszystko ma autor odpowiedź gotową: dzieło i tak już o wiele przekroczyło założone pierwotnie rozmiary, z trzech w cztery rozszerzyło się tomy. Folgując więc krótkości, aby prenumeratorowie zbyt nie rościli pretensyj, uszczuplił autor swe materiały, zamieścił połowę i tekstu i rycin przygotowanych. I tak wyłączył on był z góry wiadomości geograficzne, historyczne, biograficzne i heraldyczne—gdyby to wszystko chciał być uwzględnić, należałoby chyba liczbę tomów podwoić. Nie czyniąc mu więc żadnych zarzutów, możemy tylko z żalem zaznaczyć, że niema np. herbów i rycin a zasługiwały: Leliwa, Pilawa, Szreniawa i t. d. na uwzględnienie w słowniku starożytności, tem bardziej, że od zasady autor nieraz odstąpił i o kilku herbach obszerniej wspomniał, np. o *B u Ń c z y* (nazwa miejscowości), z czego *B o Ń c z ę* zrobiono, t. j. o Jednorozcu (p. w tomie II „Jednorozec”; obszerny artykuł wymienia i familie nawet, pieczętujące się Bończę—jest i pieczęć miasta Wisztyńca, ale

ta pieczęć nie pochodzi z r. 1570, jak podpis uczy, lecz z drugiej połowy XVIII w.); podobnie znajdujemy opisy i wzmianki: Aksaka, Aleksandrowicza, Abdanka, Alabandy, Pomiana i kilku innych, np. pod artykułem Szachy—niema za to nic o Nałęczy, Jastrzębcu, Junoszy, Wieniawie i tylu a tylu innych, równie lub o wiele ważniejszych i ciekawszych, szczególnie, gdyby był autor i pochodzenie nazw herbowych objaśnił, co dziś nie tak trudno.

Drugi możliwy zarzut zwracałby się odwrotnie tym razem przeciw umieszczeniu wielu rzeczy i uwag, popularnych raczej, polemicznych nawet, nie naukowych. Można by np. zapytać, dlaczego autor poświęca nieraz całe łamy apologii dawnych stosunków, nawoływaniom do zbierania i cenięcia wszelkich starożytności, apostrofom do naszego obywatelstwa? Cóż np. znajdujemy pod godłem: Rocznice (IV, str. 162—173)? Najpierw odsyłacz do rocznicy chocimskiej; dalej medale gdańskie na pamiątkę zrzucenia jarzma krzyżackiego; dalej przytoczono w całości znaną pieśń Łukasza Górnickiego na pruską porażkę 1410 r. (mylnie twierdzi o niej p. Gloger, że autor jej, niewiadomy z nazwiska, pieśń r. 1510 napisał; rzecz dawno dowiedziona, że napisał ją Górnicki, a pochwalił—najniepotrzebniej zresztą—Jan Kochanowski); nakoniec idą obszernie opisy rocznicy wiedeńskiej, sławionej r. 1783 po szkołach narodowych, z wyjątkami z listu okólnego Michała Poniatowskiego, biskupa płockiego i mowy warszawskiej Jacka Przybylskiego, z opisem obchodu wileńskiego i wyjątkami odezwy napoleońskiej r. 1805, dotyczącej odsieczy. Albo pod „Sejmami“ przedrukował autor artykuł p. Świętochowskiego „Zestawienia historyczne“ o dzisiejszem i dawnem sejmowaniu. Pod „Szopką“ przytoczono (w skróceniu) artykuł całkiem publicystyczny, całkiem nie naukowy, Wacł. Szymanowskiego, redaktora „Kuryera Warsz.“, z „Tygodnika ilustrowanego“ 1860 r. Pod „Szlachtą“ znajdujemy między typami rysunek „wyryty na pancerzu z czasów Zygmunta I“, ale napis, t. j. kształt liter, dowodzi, że pancerz pochodzi z czasów Zygmunta III, a choćby i późniejszych; w tekście samym obok licznych cytatach literackich (o znaczeniu szlachectwa i t. p.), są wyjątki z odczytu prof. Kariejewa w Petersburgu o szlacheckiej polskiej. Pod artykułem: „Mowa polska“ przedrukowano tylko wymowne słowa o niej, hołd jej złożony przez Sienkiewicza, wobec pomnika miłośników. Pod „Kowalstwem“ znajdujemy odezwę i zachęcenie do miłośników sztuki polskiej itd. itd.

Otóż, gdyby Encyklopedia Staropolska była tylko zbiorem i kompilacją informacyjną, jak najkrótszą i najściślejszą — a ta-

kiemi bywają Encyklopedye zazwyczaj — to powiedzielibyśmy, że te liryczne niemal dygresye i ustępy z jej treścią mało by licowały. Lecz jak niemal we wszystkich swych pracach, tak i w tej, ostatniej i największej, nie zwracał się zasłużony autor-obywatel wyłącznie do specjalistów, do ludzi nauki. Nasz archeolog i etnograf, lingwista i historyk, geograf i turysta, zawsze o najszerszej publiczności i jej potrzebach myśli; więc i zestawiając niniejsze artykuły Encyklopedyi, obywatelską, nie tylko uczoną, wypełniał służbę. Zadaniem jego było budzić poszanowanie, zajęcie się i zrozumienie dawnych stosunków i ludzi, bronić ich przed niewczesnymi lub niesłusznymi zarzutami, słać rzeczywiste ich zasługi i zalety, zachęcać do wzorowania się ich duchem, opierać się prądom niwelującego, zacierającego wszelkie cechy osobliwsze kosmopolityzmu, walczyć z obojętnością narodową i apatyją. Jego Encyklopedya, to nie zbiór suchych a zwiezłych notatek, lecz katedra profesorska i zarazem kazalnica obywatelska: przy każdej nadarżającej się sposobności nie tylko poucza autor, lecz upomina i gromi, pociesza i budzi, chociaż daleki od zaślepienia, od niepoprawnego optymizmu. Wobec popularnej dążności dzieła nie zrobimy mu nawet zarzutu, że należałoby w niektórych partiach, zgęścić nieco cieniów, że należałoby np. przy Jeździe polskiej zanotować, jak się odbiło zależenie narodu szlacheckiego na jego gotowości do walki, jak niepraktycznem, przestarzałem, ciężkiem, było jego uzbrojenie w w. XVI, jak Batory musiał z gruntu wszystko przerabiać.

Ale ton dzieła popularnego trafił p. Gloger jak najlepiej; urozmaicił przedstawienie, nietylko rycinami dla oka, lecz barwnymi opisami z Szajnochy nawet i innych źródeł—nie powtarzamy wyżej właśnie wymienionych. I nie znudzi ani znuży się czytelnik, wertując te karty. To znajdzie facecye lub anegdoty, to przysłowia bardzo licznie zebrane, to epigramy choćby na łysych, to pieśni historyczne i żołnierskie, to opowiadania, to pieśni obrzędowe, to opisy malownicze ludzi i rzeczy, kraju i pódów, to tradycye rodzinne i historyczne, to polemiki nieco, to panegiryku troszkę. Na wszystko razem mógł się zdobyć tylko taki znawca, taki miłośnik rzeczy ojczystych, taki ich zbieracz i szperacz nieznudzony. Tym samym przedmiotem zajmował się p. Gloger już na ławach Szkoły Głównej warszawskiej, potem krakowskiej; już Majer i Szujski zachęcali go do tych studyów, których dojrzałe owoce w Encyklopedyi widzimy i witamy. Trzydzieści siedem lat minęło od pierwszej pracy p. Glogera, umieszczonej właśnie w „Bibliotece Warszawskiej“ (1867 r., o obrzędach rolni-

czych)—i dalsze jego prace pojawiały się często w naszym czasopiśmie—a co tam młodziutki autor zaczął, to prowadził dalej przez całe życie: zbieranie tradycyi ludowej i szlacheckiej, pomników w pieśni i piśmie, wykopalisk i sprzętów, typów i melodyj, ubiorów i zwyczajów, a zbierał to wszystko nie dla zbierania, dla tworzenia jakiegoś muzeum jeżewskiego, lecz dla służby publicznej, żeby pouczać i oświecać i pokrzepiać. W tym duchu powstała i wypadła Encyklopedia i dla tego czyta się każdy jej artykuł z największą przyjemnością; haje z jej kart woń łąnów i łągów, szum topoli nadwiślańskich i jodeł świętokrzyskich, przewija się w nich barwne i szumne życie staropolskie z tysiącnymi szczegółami i mienia się one coraz nowemi barwami.

I fachowiec z największą dla siebie korzyścią przerzuca te karty; znajdzie w nich coraz nowe, nieznane szczegóły, rzadkości bibliograficzne, wypisy z nieznanych mu rękopisów, teksty pieśni, nuty, melodje i t. d.; każdy artykuł opracowany sumiennie, faktycznych omyłek nie wiele. Najwięcej ich jeszcze na polu etymologii; niepotrzebnie ją autor poruszał, skoro rzeczy językowe z góry pomijał. Wymienię kilkanaście błędnych szczegółów, nietylko językowych, lecz i historycznych, niestrzymając się żadnego porządku.

W ł ó c z e b n e (IV, 453), zwyczaj chłopców chodzenia w poniedziałek wielkanocny z śpiewem i oracyami, zbierających jajka i pierożki. Nie zupełne to; w ł ó c z e b n e (od włączenia się po chatach nazwane) oznaczało w ogóle kolędę, i dostawano lub chodzono po włóczebnem np. na Nowy Rok; nawet mamy pisma (pamflety) pod tym tytułem. Włóczebne ofiarowane tym a tym—mybyśmy powiedzieli Kolęda panom Saskim i t. d., boć nazwa to ruska. O włóczebnem wspomina autor i pod wyrazem Kozubalec II, str. 93.

S ł u ż b a (IV, 256): autor mówi tylko o służbie—osadzie rolnej nadawanej za „służbę” wojskową i t. d. Ależ należało koniecznie dodać, że służba znaczyła i serwis, kredens—jest wprawdzie w tomie III, 98 obszerny artykuł o kredensach, ale i tam nie powiedziano, że zwaly się one zawsze w dawnej polszczyźnie służbami; kto zaś tego niewie, nie zrozumie poprostu wielu ustępów dawnych pisarzy i wielu dawnych anegdot, np. owych służb pozłocistych albo jak Rey w Wizerunku (1588 r.) pisze: „przy służbie została pić temulencia“ t. zw. przy kredensie; Żabczyc poeta szuka służby (dworskiej) a żartobliwy towarzysz rai mu ich wiele, u marszałków i t. d. (ale tylko serwisów, z tego to tłumaczono, kredensów).

K o t a c i ą g n ą ć—karę tę śmieszna, frycówkę, źle opisano III, 90 nie od kotwicy i jej ciągnięcia po suszy, lecz od kota uwiązanego do postronka i niby ciągnącego fryca przez wodę lub błoto ją nazwano; a w koszu się nie siedziało, lecz rzezało (i wpadało w błoto) i była to kara równie dotkliwa.

S ą ż y c a, żyto pomieszane z pszenicą (IV, 207), należało pisać s ą—rżycą, ponieważ znaczy z (= s ą, jak w złożeniach s ą-siad s ą-tok) r ż ą (rżany chleb i t. d.) pomieszane. Podobnie, należało pisać: Ż e r z e c, nie „Zerzec, starszy nad stołem“. Nie było „Treptuchów“, lecz s ą K r e p t u c h y i t. d.

S z u b i e n i c a (IV, 339), nie jest słowem niemieckim, lecz odwieczny to termin słowiański, brzmi i s z y b i e n i c a, i od szybania (szybała, szynąć i t. d.) ją przezwano; s z t u r n i c h a b ó w (na tejże stronicy), niebyło, były szturmha(u)by; r e j nie pochodzi od r e g i o, lecz r e j wodzić tyle co korowód, Reigen führen znaczy i t. d.

Starożytności nasze zagęszczone różnemi fałszerstwami, baśniami i plotkami i bardzo chwalimy autorowi, że niejedno energicznie wyplewił, np. wszystkie zakusy osławionego Majeranowskiego, lecz i sami „kozernicy“ należą do mitologii. Pieśń ich sfałszował Majeranowski, jako starodawną piosnkę braci kurkowych, ależ i samych kozerników, niby lekkich strzelców, nigdy nie było, byli tylko kozernicy t. j. karciarze (III, 93). Skoroż mowa o kozernikach, to zaznaczmy, że karciarstwo kwitło nie dopiero w Warszawie Stanisława Augusta, lecz i w Krakowie Jagiellonów i niesłusznie powtarza autor (III, 19) za Estreicherem, jakoby „nie musiały być karty w narodzie upowszechnione, skoro W. A. Maciejowski i K. Wł. Wójcicki nic o nich nie wspominają.“ Zbija się autor sam przytoczeniem skargi Ł. Górnickiego w Dworzaninie (1566 r.) „ta ustawiczna (gra) karty“ a n R e j a w Ż y w o c i e i W i z e r t n k u j e d n o w z m i a n e k o t u z i e ż o ł ę d n y, o grze nocnej, o wygranej w karty, jak się ona marnie rozchodzi, jak ją rozpozyczą lub rozkradną, jak się odgrywają, jak z gry półgrosza żebrakowi rzucają i t. d. Wypisami z tych dwu dzieł Rejowych mógłbym całą stronicę zapełnić, a drugą z najwcześniejszego jego utworu, z krótkiej rozprawy r. 1543 (wiersz 1484—1534).

K a s z t e l a n (III, 25) był nietylko grą staropolską w karty; dawniej grano i w warcaby o kasztelanję, jak my o honor t. z. za darmo, np. w 31 anegdocie z Co Nowego (r. 1650) czytamy: Dwaj towarzysze wyzywali się w warcaby o kasztelanję, jako grają pospolicie

(t. z. przerywający zostawał kasztelanem);—jeden chełpi się z swej sztuki i tak długo powtarza: nie uczynisz mnie kasztelanem, aż mu towarzyszyć się odgryzł: trudno z głupiego uczynić kasztelana. Toż powtarza Opaliński w Satyrze (r. 1650), chwając dawne posiedzenia, kiedy się cieszone:

Po szelągu kart grając abo więc warcabów
O kasztelański stołek, którego tysiąckroć
Godniejsi byli, niż ci teraz, kasztelani warcabowi.

R ó ż a n i e c (III, 185) dobrze określa autor, nie podaje tylko, skąd się nazwa wzięła (od wianka różanego, wkładanego niby na głowę N. P. M., rosarium); zato pominął Koronkę N. P. M. zupełnie, chociaż Koronka starsza niż Różaniec.

K o n i k z w i e r z y n i e c k i (III, 77 i 78): autor powtarza niepotrzebnie ów niefortunny wymysł o ustanowieniu jego na pamiątkę zwycięstwa nad Tatarami odniesionego, chociaż to sobie najzwyczajniejsza zabawa cechowa, z Tatarami tyle tylko mająca związku, co Czomber krakowski z wójtem niby-Czombrem, Combrem (co autor słusznie odrzucił, I, 252). Również mylnie objaśniono inny obchód krakowski, R ę k a w k ę (IV, 161), nie jest ona bowiem bynajmniej „pamiątką starożytnej polskosłowiańskiej stypy pogrzebowej czyli ugoszczenia ludu zebranego na obrzęd pogrzebowy Krakusa (!) dla usypania mu potężnej mogiły.“ Pachnie to strasznie Majeranowskim i jego Pszczółką Krakowską. Rękawka oznaczała tylko mogiłę nasypaną, sztuczną, a ponieważ u jednej z bardzo licznych rękawek polskich odbywały się zabawy doroczne, więc z mogiły nazwę tę na zabawy przeniesiono: o „grobie miłego wodza“ i t.d. mowy być nie może.

O M a r z a n i e wspomina autor III, 195 wedle Strykowskiego i Bielskiego; należało czytelnika poinformować, że ta Cerera słowiańska to wymysł kronikarski; przeciwieź Lelum Polelum pominął autor zupełnie, a oni nie gorsi od Marzany; imię Marzany jest Maryjnym. Brak artykułu o M a r y i (są rozrzucone o Różańcu, koronacyach Jej orbazów cudownych, Regina Poloniae i t. d.) i jej kulcie polskim, że się Marzą zwała u ludu (są dziś jeszcze wsi tej nazwy, np. Świętomarza), że „pirzwą Marzą“ Wniebowzięcie zwano, o Wniebowzięciu i święceniu ziół znowu niema mowy, a brak i innych

wielu świąt i obchodów czy zwyczajów: widocznie niechciał autor powtarzać swych własnych dzieł o zwyczajach dorocznych i Roku polskim.

Artykuł *Resty* (IV, 157) niepotrzebny; należało odesłać do wici, ponieważ *restes* tylko łacińskie tłumaczenie prastarych wici, które i Czesi pierwotni znali (ostatni raz wspomina u nich ich kronikarz pod r. 1037 o rozsyłaniu takich wici, ale ów Koźma, piszący r. 1120, już tego wyrazu i zwyczaju nie rozumiał i fałszywie go wytłumaczył); co u Czechów już w jedenastym wieku z obyczaju wyszło, dotrwało u nas do XVIII.

Lachy. Skoroż autor etymologię pomija z zasady, nie byłoz nią tu narabiać, właśnie w najtrudniejszym zagadnieniu. Zdaje się autorowi, że rozplątał kwestyę, że „mamy przed sobą drogę prostą” — skoro plemiona polskie, mieszkające w lasach nazwały plemiona mieszkające po polach, Polanami, toć musieli odwrotnie Polanie mieszkańców lasów nazwać lachami (por. Piachy—Piaski). Ależ to wierutna bajka; od lasów byliby ich przezwali Drzewianami (porównaj Polan i Drzewian nad Dnieprem na Rusi!), nigdy Lachami: jest to termin ruski, nie polski, i brzmiał pierwotnie *Lęchami*, co Litwini i Węgrzy do dziś zachowali, podczas gdy na Rusi rodzime jej ę w ja przejść musiało (święty—swiatyj i t. d.) *Lech* jest formą sztuczną, kronikarską i ani z *lechą*—zagonem, ani z *lechami* w nazwach *Bolecha*, *Sieciecha* i t. p. związku żadnego niema: podobnie niefortunnie wywodził prof. Baudouin de C. nazwę Słowian od—sław w *Bolesławach*, *Włodzisławach*, *Mirosławach* i t. d. I w innych razach podaje autor wiadomość pewną, która bynajmniej pewną nie jest, np. pod nazwami rzek powie, że „Niemen starożytni zwał *Chronus*” — ba, gdybyż to pewne było! I tak zakwestyonowalibyśmy niejedno inne, np. nawet autentyczność opowiadania Bandtkiego o „rochwiście” pod Wrocławiem (przytoczone pod *Roduś IV*, 174), które nam również *Majeranowskiego* przypomina.

Rękodajny sługa nie nazywał się bynajmniej od tego, że „mógł podawać rękę przy wsiadaniu lub wysiadaniu pana lub pani”; powstało to pomyłką tylko z dawnego *rękodajny sługa* t. j. sługa, którego daniem ręki do służby obowiązywano i przyjmowano; w stuleciu XVI nigdy inaczej nie mówiono, *rękodajnego* spotykamy dopiero później. Np. gdy *Rej* w *Wizerunku* opisuje, jak *Epikurus* zaleca młodzieńca pani *Roskoszy* i za dworzanina go oddaje, czytamy o niej: *Pani*

podrugie rękę słudze nowemu podała
mówiąc: bądźże mi wierzen
i t. d.

Lecz urywamy na tem nasze uzupełnienia i poprawki, bo chociażbyśmy ich znacznie przymnożyć mogli, nie ubliżają one w niczem zasłudze autorskiej. Wolimy natomiast wskazać kilka ciekawych przyczynków, które i najwybredniejszego znawcę czy uczono-
nego zająć mogą.

Oto np. pod artykułem *Rebus* znajdzie czytelnik najdawniejsze łącińskopolskie i polskie, z XVI i XVII wieku, trafnie odczytane. Pod *Wieżą* przedrukował autor z rękopisu *Lament wieży warszawskiej*, która się r. 1605 obaliła i sześcioro ludzi zabiła, społeczny wiersz polski, nie zły co do formy a ciekawy co do treści. Bardzo ciekawe są różne dawne nuty i melodye, np. *cenarowe* z XVI wieku. (*Cenar—Zenner*, taniec), *polonez* z r. 1736 i inne, ale to zasługa innego zbieracza i znawcy, p. Polińskiego, który tych rzadkości p. Glogerowi chętnie udzielał.

Miał p. Gloger i kilku innych współpracowników, a artykuły ich bywają prawdziwą ozdobą wydawnictwa jego, np. prof. Hieron. Łopacińskiego wzorowo opracowane artykuły o pomnikach polskich publicznych i prywatnych, kościelnych i świeckich, dawnych i nowych, z wyczerpującą bibliografią przedmiotu (IV, 72—94); tegoż o *Słownikach polskich*, taki sam; prof. A. Kryńskiego o *Bibliach polskich* (I, 157—160); *Dział dawnej wojskowości* opracował p. Gembarzewski. Prof. Józef Rostafiński dostarczył znakomitego artykułu o *Roślinach miłośniczych* (IV, 177—181): znaczenie tegoż artykułu polega na wykazaniu, że przesady ludowe, podobnie jak znaczna część literatury ludowej, t. j. tradycyjnej, nie są pochodzenia rodzimego, prastarego, słowiańskiego, lecz opadły z warstw wyższych, uczonych itd. w ciągu wieków między niższe, że lud tylko przechował w pamięci i praktyce, co niegdyś księża, żacy, szlachta, mieszczenie, umieli, wierzyli, powtarzali czy używali. Wyróżniamy dalej znakomite artykuły dr. J. Kochanowskiego o *Kalendarzach polskich*; dyrektora Fel. Kopy o *Klejnotach koronnych*; Wikt. Gomulickiego o *litografiach polskich*, specjalnie o warszawskich hr. Chodkiewicza; *Henr. Sadowskiego* o *orderach polskich*; p. Łuniewskiego o *radle i sosze* itd. itd.

Bardzo ładnie i starannie opracował p. Gloger oddział Pieśni; przytoczył ich tyle, w całości i urywkach, że i historyk literatury, czy etnograf, z wielką korzyścią odczyta rozrzucone o nich artykuły; mianowicie obdarzył nas wiązką pieśni historycznych, np próbkami z unikat: „Katalog książąt i królów polskich“ (z początku XVII-go wieku), z rękopisów i t. d. Pod Oczipiny, Wieniec, Adwent, Rezurekcyja, Pieśni wojackie i t. d., pomieszczał autor inne ciekawe próby; przytoczył pod Lamenty różne wiersze na śmierć Wapowskiego i inne rękopiśmienne — nie mówimy o rzeczach historycznych, np. pod Pikiętą, Łażnią (opis wierszowany łaźni pińczowskiej z XVII wieku) i t. d.

Bogaty materiał prastarych nazw rzek, osób, miejscowości, z dokumentów XI — XIII wieku, daje autor pod Rzekami i t. d.; opracował nawet język łowicki i przytacza to nazwy psów, to terminy myśliwskie — szkoda, że innych, flisowych, rybackich, żebraczych nie zebrał, ale czegożbyśmy od niego nie żądali! może jeszcze i słowników prowincjonalizmów? Gdyby on je wszystkie znał, nie powiedziałby np., że „torf nie musiał być jeszcze za Jana Sobieskiego w Polsce używany, skoro i t. d.“, ależ Smogorzewo wielkopolskie właśnie od torfu nazwane. Bogato zastąpiony dział ubiorów, zabaw i gier, monet, broni, terminów dawnej palestry, dawnej administracji — przytoczone ciekawe przykłady edyktów marszałkowskich (w Warszawie) i rozmaitych obwołań i obwieszczeń; teatralny, chociaż głównie z Dykeyonarzyka teatralnego poznańskiego (1808 r., ks. A. Czartoryskiego) czerpany; dla terminów konstytucyjnych i t. p. posługuje się autor chętnie zabarwionymi satyrycznie wywodami księdza Jezierskiego. I znajdzie miłośnik rzeczy dawnych wszystko, i afisze teatralne XVIII i XIX wieku, i klepsydry dawne, i kalendarze, i bilety wizytowe z czasu czteroletniego sejmu, i jeden z najstarszych listów polskich (Jana Potockiego do kasztelana Szydłowieckiego z r. 1529), i Bogurodzicę, i inne dawne teksty i t. d. i t. d.

Musimy jednak wyliczania nasze przerwać. Jeżeli przytoczyliśmy kilkanaście artykułów, które nas nie zadowolily, gdzie pragnęlibyśmy poprawek, lub usunięcia (np. etymologii Mierzei i innych), to musielibyśmy dziesięćkroć więcej wymienić artykułów, z których sami czegoś nowego, pożytecznego dowiedzieliśmy się, co nam oszczędzały szperania po różnych księgach, co czytaliśmy z największym zajęciem. Na zbytki nas nie stać, więc nie będziemy opłakiwać, że nie znalazł się mecenas, coby dział ilustracyjny bogaciej wyposażył, tablic kolo-

rowych np. użyczył (jedna jedyna zdoła książkę i jakżeż odbija ona od zwykłej szarzyzny życia) — podrożyłoby to książkę, która, pragniemy, aby jak najszerzej się rozeszła. I treść, bogata, swojska, ciekawa, zasługuje na to i rzetelny, mozolny trud autorski: dziękuj autorni za to uwienczenie, zsumowanie całej jego dotychczasowej, wieloletniej, gorliwej pracy obywatelskiej i uczonej zarazem!

A. BRÜCKNER.

Dr. E. STEMPFE: Polenfrage und Ansiedelungs Kommission. Darstellung der staatlichen Kolonisation in Posen-Westpreussen und kritische Betrachtungen ueber ihre Erfolge. Berlin.

Na czele swej pracy położył Stumpfę wyjątek z mowy kancelarza Bülowa, orzekający, że kwestya marchii wchodnich nie tylko należy do najważniejszych w niemieckiej polityce, ale od jej rozwiązania zależy najbliższa przyszłość niemieckiej ojczyzny. W imię powyższego kanclerskiego ostrzeżenia, Stumpfę poddaje krytyce dotychczasowe postępowanie komisji kolonizacyjnej, porównywa z niemi działalność polskich banków i stowarzyszeń kolonizacyjnych, a w końcu podaje wnioski i projekta własne, podług których postępując, odeprze się ostatecznie żywioł polski i zdobędzie stanowczo marchie wschodnie dla niemieczyzny. Autor, zajęcie się szczegółowe polską kolonizacją odkłada na później i ma zamiar poświęcić powyższemu przedmiotowi specjalne studyum. Obecnie tylko zaznacza, że w roku 1888, występuje z czynnością, osłaniającą pierwiastek polski, bank ziemski, następnie spółki ziemskie, dalej bank parcelacyjny i spółka rolników parcelacyjna. Dzięki owym instytucjom, polacy w ciągu lat czterech wykupili z rąk niemieckich 63,300 hektarów ziemi, kiedy komisya kolonizacyjna wykupiła w ciągu tego samego czasu zaledwie 83,600 hektarów. Wreszcie istnieją również inne powody, dla których żywioł polski kolonizacyjny przemaga nieustannie nad niemieckim. Polacy opierali swą działalność na szerokiej massie ludności, którą starali się wspierać i pomnażać, gdy tymczasem Niemcy uwzględniali przeważnie wyżej stojące warstwy i myśleli daleko więcej o średniej i większej własności włościańskiej. Z tego to powodu zabrakło Niem-

com w Poznańskim całej masy małych włościan, rzemieślników i robotników, a massy w polskiej walce narodowościowej dają stanowczą przewagę.

Stumpfe zapatruje się pesymistycznie na wszystkie usługi, jakie sprawie germanizacji marchii wschodnich, oddaje większy właściciel, ordynat czy dzierżawca królewskiej. Niemiecki właściciel dóbr rycerskich w marchiach wschodnich, jest obecnie bezwiednie, czy z świadomością, więcej slawizatorem, niż germanizatorem, a domeny państwowe, których dzierżawcy posługują się ludnością rękodzielniczą i robotniczą polską, stają się również prawdziwym grobem niemieczyny. Sprawa germanizacji nie zyskuje nic na tytułach własności, samymi tytułami posiadania nie zdobywa się kraju ani wypiera obcego żywiołu, tego dokonać mogą jedynie ludzie, którzy ów kraj, mający być zdobyty, zamieszkują i własnym go znojem uprawiają. Większość rycerskich posiadaczy w marchiach wschodnich, świeci nieobecnością i obojętnością dla sprawy niemieckiej. Tymczasem polacy obudzili się już oddawna pod względem narodowościowym i świadomi są zupełnie swych publicznych obowiązków. Dziś też nie ma już mowy o spokojnym i zgodnym pożyciu polaków i Niemców w marchiach wschodnich. To dawne wyrażenie „polacy i Niemcy“ przeistacza się stanowczo w inne, t. j. „polacy albo Niemcy“, czyli że jedni muszą drugim ustąpić miejsca. W bieżącej chwili położenie polityczne przedstawia się w tem smutnem porównaniu, że można być tylko albo młotem, albo kowadłem. Kto nie chce być kowadłem, musi wyteńczyć wszystkie siły, aby być młotem, i w tym też duchu należy wszystko czynić, aby dla kultury niemieckiej w marchiach wschodnich, zyskać ostateczne zwycięstwo.

Działaniom komisji kolonizacyjnej przypatruje się Stumpfe ze stanowiska starego i wypróbowanego praktyka. Całą też twórczość kolonizacyjną, poddaje krytyce ze stanowiska technicznego, wskazując sposoby, któremi możnaby przyspieszyć tętno tej instytucji, która w dopomożeniu do zniemczenia marchii wschodnich ma odegrać pierwszorzędną rolę. Komisja kolonizacyjna kładła dotychczas główny nacisk na większe osady, za ich pośrednictwem zamierzała osiągnąć cele nie tylko ekonomiczne, ale i polityczne. Tymczasem większe osady zawodzą pod względem politycznym, a pod względem ekonomicznym nie okazują również wielkich pożytków w porównaniu z drobniejszymi osadami. Komisja kolonizacyjna żywiła uprzedzenia do osad poniżej 10 hektarów, dokładając wszelkiego starania, aby kolonie osadnicze miały więcej niż dziesięć hektarów, co usprawiedliwia utrzymywanie

sprzężaju, do czego drobniejsze gospodarstwo jest niezdolnem. W większem gospodarstwie włościańskiem, posługującym się sprzężajem, nieodzowny jest robotnik rolny i z nim wchodzi do osady niemieckiej pierwiastek polski, gdy tymczasem na obrobienie drobniejszej parceli wystarcza praca rodziny, a tem samem i uchronienie się od obcego pierwiastku. Dopóki komisya kolonizacyjna uważaną była za instytucyę, rozpowszechniającą i krzewiącą kulturę rolniczą, względy powyższe mogły nie mieć wielkiego znaczenia, obecnie jednak pomijać ich nie można, zwłaszcza, że kolonizacya polska wskazuje najwyraźniej kierunek, w jakim można rozwijać parcelacyę z większym pożytkiem.

Stumpfe przyglądał się pilnie i uważnie kolonjom, które bank ziemski i spółka ziemska urządziły niedaleko Torunia. Naturalnie że kolonii polskich nie można porównać z niemieckimi pod względem uposażenia gospodarczego. Ale też zaznaczyć należy, że polskie banki i stowarzyszenia przynoszą 6—8% dywidendy, kiedy komisya kolonizacyjna nie tylko że nie przyniosła żadnego procentu, ale roztrwonila poważną sumę z kapitału. Następnie, kolonizacyi polskiej, mimo wszystkich trudności, nie można uważać za dzieło poronione, jakkolwiek instytucye kolonizujące polskie walczyły z wieloma trudnościami i nie obfitowały w odpowiedni kapitał. Szybsza skuteczność kolonizacyi polskiej polegała na rozpowszechnianiu małych parcel, przeważnie 3—5 hektarów gruntu wynoszących. Ten system zapewniał polskiej kolonizacyi duże koło kupujących, oraz umożliwiał na małej stosunkowo przestrzeni i przy małym kapitale osadzenie sporej ilości familii. Jakkolwiek tak drobne gospodarstwa nie przedstawiają pod względem ekonomicznym wszystkich niezbędnych warunków, jednakże pod względem populacyonistycznym główny cel został osiągnięty i przyznać należy, że polacy obrali najwłaściwszy środek polityczny, aby odeprzeć żywioł germański.

Zdaniem więc Stumpfego należy w obozie nieprzyjaciół szukać odpowiedniego i skutecznego kierunku kolonizacyi wewnętrznej. Kierunek ów jest tem niezbędniejszy, że już swego czasu dążyła do niego praktyka kolonialna Fryderyka Wielkiego. Owa to praktyka powiększyła rzadko zaludnione jego państwo o poważną cyfrę 300,000 kolonistów i w nowo przyłączonych częściach państwa posunęła znacznie naprzód dzieło kolonizacyjne. Już wtedy przekonano się, że większe parcele włościańskie, posługujące się obcym robotnikiem, małe pod względem germanizacyjnym oddają usługi, dziś zaś tem większe usługi oddawać będą, im w danej okolicy będzie więcej pier-

wiastku społecznego polskiego. Statystyka wykazuje i potwierdza ten smutny rezultat, że w koloniach, złożonych z większych osad włościańskich, ludność polska powiększa się szybciej niż niemiecka i grozi zalewem a następnie wyparciem tej ostatniej. Dzięki polityce, popierającej większą własność włościańską, zostały spolonizowane wszystkie rękodzielnictwa i obecnie nie pozostaje nic innego jak naśladować polaków i postępować ich kolonizacyjnymi szlakami.

Stumpfe wykazuje starannie żywotność małych parceli w marchiach wschodnich, choć pozornie zdają się przeciwko temu przemawiać zasady ekonomii społecznej. Namawiając też komisję kolonizacyjną do położenia głównego nacisku na drobne parcele, autor przedstawia cały szereg technicznych środków, które jednocześnie zastosować należy, aby należyście wzmocnić owe drobne gospodarstwa włościańskie. Stumpfemu przedewszystkiem idzie o pozyskanie w marchiach wschodnich ludności rękodzielniczej, wyrobniczej i robotniczej niemieckiej, oraz o skłonienie jej do stałego osiedlenia się na owych rubieżach państwa niemieckiego. W tym celu powinna komisja kolonizacyjna zmodyfikować znacznie swe poprzednie wymagania, wytworzenie większych osad mające na celu. Parcele 1—2 hektarowe, na których osiąść może wygodnie rękodzielnik czy robotnik, posiadający 800 marek fortuny, będą najodpowiedniejszymi dla osiągnięcia ważnego, populacyonistycznego zadania. Nasuwa się przytem inne ważne pytanie, a mianowicie, czy do kolonizacji na wschodzie państwa, należy używać Niemców katolików? Stumpfe do powyższego żywiołu społecznego nie ma pełnego zaufania i nie radby się posługiwać prusakami, którzy lada chwila zdolni są służyć swemu państwu wypowiedzieć (*Preussen auf Kündigung*). Dotychczas katolicy Niemcy, nie są dostatecznie świadomi i pewni pod względem narodowościowym, chociaż jest wszelka nadzieja, że się to zmieni wkrótce na dobre. Zanim to jednak nastąpi, nie należałoby katolików niemieckich osiedlać na pozycjach, zbytecznie naprzód wysuniętych, lecz jedynie w takich, gdzie znajdują oparcie skuteczne w starych wsiach, rozparcelowanych między katolików niemieckich. W takich wsiach bowiem okazali się już katolicy niemieccy materiałem pewnym, zaufania godnym i w odpornej sile przeciw agitacyom polskim, wypróbowanym. Pod względem narodowościowym okazuje się jeszcze i tam osiedlanie katolików niemieckich pewnym i bezpiecznym, gdzie nowi osadnicy mogą znaleźć poparcie i wzmocnienie w większości społecznej niemieckiej, lub nawet w poważnej i silnej mniejszości. W tych warun-

kach jest nawet osiedlanie katolików niemieckich w marchiach wschodnich nakazanem i koniecznem, albowiem bez ich pomocy trudno było odeprzeć napływ polskiej ludności. Komisya kolonizacyjna winna też wszelkimi sposobami starać się o pozyskanie dla marchii wschodnich kolonistów katolickich z Bawaryi, a w każdym razie unikać jej należy tego wszystkiego, coby mogło zrazić katolickich kolonistów do rządu pruskiego i popchnąć ich do obozu Polaków.

Następnie komisya kolonizacyjna powinna baczyć i na to, czy się dogodnego i pożytecznego materiału kolonizacyjnego nie da ściągnąć z zagranicy. Stumpfe uważa, że emigrujący z Rosyi koloniści, fińskiego, szwedzkiego, czy niemieckiego pochodzenia, są wyborynym w tym względzie pierwiastkiem. Kto tylko na miejscu poznał nawskroś usposobienie i naturę polską, ten nabył dostatecznie siły odpornej przeciw polskim pokuszeniom i agitacyom. Stumpfe darzy nawet ów zagraniczny żywioł większem zaufaniem, niż katolików niemieckich i oczekuje też od niego znacznej pomocy w dziele kolonizacyjnem marchii wschodnich. W organizacyi komisji kolonizacyjnej, należy również przeprowadzić liczne ulepszenia technicznej natury, któreby pozwoliły tej instytucyi działać energiczniej i przyśpieszyć tempo rozwoju kolonizacyjnego. Przedewszystkiem jednak komisya kolonizacyjna powinna odsunąć względy oszczędnościowe, które mogą przewodniczyć instytucyom i przedsiębiorstwom prywatnym. Nie należy zapominać, że nie ma i nie powinno być za wysokiej ceny za ziemię, którą się wykupuje z rąk polskich. Zwłaszcza obecnie, gdzie się rozwinęła w przeciwnym kierunku agitacja polska, i to agitacja świadomie, skutecznie i z fanatyzmem narodowościowym działająca. Jeżeli komisya kolonizacyjna nie rozwinie całej energii i nie użyje wszystkich sił, które jej państwo przeznaczyło do dyspozycyi, to Niemcy nie powstrzymają i nie wytrzymają w marchiach wschodnich polskiego naporu i doczekają się tam wkrótce drugiej klęski Taubenbergskiej. Aby uniknąć tej smutnej katastrofy, należy nie pogardzać najdrobniejszym środkiem, jeżeli on tylko może się cokolwiek przyczynić do osiągnięcia przewodniczącego całej działalności celu t. j. do zgermanizowania marchii wschodnich.

Stumpfe zastanawia się i nad drobniejszemi kwestyami rolniczogospodarczemi, które odstręczają osadników niemieckich od kupowania parcel w marchiach wschodnich. Jedną z takich spraw jest właśnie zabudowywanie nowych gospodarstw. Zdaniem autora, należy w powyższym kierunku poczynić wszelkie możliwe ułatwienia, ażeby

kolonistom niemieckim dostarczyć odpowiedni materiał budowlany, albo żeby im do wznoszenia budowli dać tańszego robotnika i uwolnić ich tym sposobem od smutnej ostateczności posługiwania się tanim polskim robotnikiem. Więźniowie powinni w tym celu być przeznaczani, aby tylko osadnicy niemieccy mogli taniej zaopatrzyć się w budowlę gospodarcze, co ich niewątpliwie przynęci do marchii wschodnich. Również powinny być zaprowadzone stacje reproduktorów, w celu podniesienia hodowli inwentarza, i to, nietylko inwentarza większego, ale i mniejszego, jak np. kozy, króliki lub ptactwo, czyli drób. Oprócz ulepszeń, dotyczących techniki gospodarczej, powinny wspierać kolonistę niemieckiego w marchiach wschodnich, różnego rodzaju instytucje ekonomiczne, jak np. kasy oszczędnościowe, kasy pożyczkowe, stowarzyszenia mleczarskie i t. p. Osadom nowym trzeba nadawać nazwy niemieckie, wiadomy jest bowiem wstręt kolonistów niemieckich do osiedlania się wśród słowian. Germanizując nazwy miejscowości robi się przybyszom złudzenie, że się znajdują wśród dzielnic rdzennie niemieckich i usuwa się wstręt kobiet niemieckich do opuszczania rodzinnego kraju.

Jeżeli się rozważy, jakim rezultatem może się poszczycić kilkunastoletnia działalność komisji kolonizacyjnej, to się smutne wnioski każdemu nasunąć muszą. Ogółem nie więcej nad 4,000 kolonistów pozyskała komisya, a z tej cyfry 80% kolonistów pochodziło z Królestwa pruskiego. Cóż ten rezultat znaczy wobec 300,000 kolonistów, których dostarczyła polityka kolonizacyjna Fryderycyńska. Trzeba się przedewszystkiem energicznie starać o osadników, zręcznie ich werbować niż się to dotychczas działo. Dotychczas istnieją całe krainy niemieckie, w których zaniedbano starać się o kolonistów dla marchii wschodnich, chociaż nic nie wskazywało, aby ich tam znaleźć nie było można. Otóż nie należy zaniedbywać najmniejszego środka, aby tylko osiągnąć pomyślniejszy rezultat. Trzeba spotęgować energię, czujność, przedsiębiorczość, czyli, jednym słowem, powrócić do systemu przewodniczącego Fryderycyńskiej polityce. Zwykle zakupywała komisya kolonizacyjna w tych okręgach majątki, gdzie się znajdowały znaczne większości polskie. Był to system brania wołu za rogi. Przytem do takich osad trudno było znaleźć ochotników, bo każdy na propozycję, choćby najkorzystniejszą, odpowiadał: „w tych stronach nie rozumie nikt ani słowa po niemiecku“. Dotychczasowe doświadczenie wykazało również, że trudnem, jeżeli nie wcale nie niemożliwem jest wzmacnianie żywiołu niemieckiego tam, gdzie jest on słabo reprezentowanym. Kiedy napływ kolonizacyjny niemiecki

spotężnieje, będzie można prawdopodobnie usunąć powyższą trudność, ale dopóki on będzie ślepy, wskazanem jest inne, daleko ostrożniejsze postępowanie, które nie roztrwania nadaremnie sił kolonizacyjnych. Wreszcie, ponieważ Stumpfe dowiaduje się od kanclerza Hohenlohego, że jezuici francuscy zaopatrzyli polaków w swe kapitały, w celu prowadzenia walki kolonizacyjnej na kresach wschodnich, przeto nie tylko dozwolouem, ale niejako nakazanem jest ze strony niemieckiej zaczepne działanie, które polega na tem, ażeby polakom zabroniono nabywać więcej ziemi w marchiach wschodnich. Co się tyczy uwag, wypowiedzianych przez Stumpfego pod adresem komisji kolonizacyjnej, to najważniejszą i najdonioślejszą jest ta, że obszar, na którym komisya kolonizacyjna osadziła mniej więcej 30,000 głów, możnaby, racjonalnym systemem postępując, zaludnić pół milionem głów niemieckich. Stałoby się to wówczas, gdyby komisya kolonizacyjna więcej dbała o drobnych włościan, rękodzielników, robotników wiejskich, czyli, gdyby się oparła na masie ludności, a nie na włośkach i bogatszych chłopach.

Wypowiedziawszy tak cierpkie i dotkliwie uwagi komisji kolonizacyjnej, Stumpfe pociesza się jednak tem, że Prusy znajdują się zaledwie u kolebki swej polityki kolonizacyjnej. Wszystko więc jeszcze da się naprawić i wszystko uczynić, tylko nie wolno opuszczać rąk, nie wolno wątpić i oddawać marchii wschodnich na łup żywiołu niekulturalnego, a przynajmniej mniejszej kultury niż niemiecka. Cel jednakże najdonioślejszy nie zostanie osiągniętym, jeżeli rząd, rp. komisya kolonizacyjna nie odwoła się do mas zachodnio-niemieckich. Dopiero źródło niemieckie kolonizacyjne, wpływające z owych mas, zaleje marchie wschodnie i zdobędzie je na wieki dla państwa i narodu niemieckiego. Dla Stumpfego, jak widzimy, polityka kolonizacyjna nie uwzględnia, ani dopuszcza żadnej politycznej etyki. Ażeby zgermanizować marchie wschodnie i wyprzeć gdziekolwiek bądź żywioł polski, nie waha się on wstrząsnąć zasadami podstawowymi, na których spoczywa system rządów reprezentacyjnych i cała budowa konstytucyjna państwowa. Stumpfe zaprowadza, wbrew najwyraźniejszemu brzmieniu konstytucyi, dwie kategorie obywateli, z których tylko jedna, składająca się z niemców protestantów, używa pełnych praw i zaufania rządowego. Druga kategoria, niemców katolików musi cokolwiek zakosztować gorzkiego owocu nierówności w zakresie prawa publicznego; jedni polacy stają się nowożytnymi, konstytucyjnymi paryasami, których dziś należy ograniczać co do możności kupowania majątków, a jutro prawdopodobnie będzie nale-

zało wykupić i wyrzucić z obrębu państwowego niemieckiego. Konstytucjonalizm, natchniony zasadami Stumpfego, musi, prędzej czy później, przejść w stan zwyrodnienia, w którym sprawiedliwość, słuszność, równość prawna i swobody indywidualne, ustępują miejsca samowoli rządowej, wspartej chwilowemi większościami parlamentarnemi, depreczającej wszystko, co tylko nie jest interesem tej większości i zamieniającej państwo konstytucyjne w jedno „magnum latrocinium“.

A. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogromnie pocieszającym objawem w dziedzinie budzącego się u nas ruchu współdzielczego, jest powstawanie coraz to nowych spółek rolniczych włościańskich. Do niedawna opowiadano sobie jeszcze dziwy o „Jutrzence“, założonej w Kieleckiem przez p. Gabryela Godlewskiego, obecnie obok „Jutrzenki“ mamy już w kraju cały szereg pokrewnych instytucyi, wzorowanych na tej pierwszej, i rozwijających się równie pomyślnie. Świadczy to, że włościanin nasz dorósł już zupełnie do należytego pojmowania korzyści, płynących z działania zbiorowego i że zrozumiał konieczność podniesienia kultury rolnej i zwiększenia przez nią wydajności ziemi, która, w braku przemysłu domowego, stanowi jedyne jego oparcie ekonomiczne. Nie dziw też, że w miarę przyjmowania się idei spółek, stopniowo rozszerzać się zaczyna i zakres ich działania, że stawiają one sobie zadania coraz poważniejsze i — rzec można — śmielsze, ogarniające niemal całość kształt życia ekonomicznego rolnika, pracującego na małej posiadłości.

Oto np. program spółki rolniczo-handlowej „Świt“, założonej w Płońsku. Świeżo, jak dowiadujemy się z dzienników, uczestnicy tej spółki na wniosek p. Stefana Modelskiego uchwalili:

1-o) założyć sklep rolniczy, skład maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, żelaza, smarów, worków, soli i t. d., oraz wynająć, a w przyszłości pobudować, magazyn i śpichrze w Płońsku;

2-o) skoncentrować w swoim ręku handel zbożowy, nasienny i poprawnego inwentarza w pow. płońskim;

3-o) dostarczać do siewu członkom swoim doborowych, uszlachetnionych przez selekcye zbóż, nasion, ziemniaków i t. d.

4-o) urządzać stacje szlachetnych, rasowych reproduktorów, a więc ogierów, stadników, knurów;

5-o) zakładać pola doświadczalne z nawozami sztucznymi, oraz różnymi gatunkami zbóż, nasion, ziemniaków, a w przyszłości laboratorium chemiczne i muzeum rolnicze;

6 o) założyć bibliotekę rolniczą i czytelnię dla członków spółki;
7-o) urządzać odczyty z dziedziny rolnictwa, hodowli inwentarza, stosowania nawozów sztucznych i t. d.

8 o) dawać wskazówki członkom, jak należy prowadzić rachunki i rejestra gospodarskie, sporządzać bilanse i t. d.;

9-o zakładać plantacje wierzby koszykarskiej i uczyć członków za pośrednictwem odpowiednich instruktorów koszykarstwa, wyrobów ze słomy, tkactwa i innych drobnych rzemiosł;

10-o) zakładać spółki mleczarskie i inne zakłady przemysłowo-rolne, oparte na udziałach;

11-o) urządzać co kilka lat wystawy powiatowe i

12-o) założyć niższą szkołę rolniczą.

Ten ostatni punkt na szczególniejszą zasługuje uwagę. Dotychczas o takich szkołach rozprawiano u nas teoretycznie i wskazywano na potrzebę zakładania ich po wsiach. Opierano się na przykładach zagranicy, na „rozumie ekonomicznym“, na umotywowanej potrzebie wiedzy fachowej dla rolnika. To wszystko jednak mówiła i nawoływała do tego t. zw. inteligencja. Lud natomiast tej potrzeby prawie nie odczuwał. Siał i orał po dawnemu, niewiedział co to są nawozy sztuczne, nie oceniał siewnika rządowego, nie kwapił się do melioracyi, do osuszania łąk błotnych, do nawodnienia pól. Po bożemu szła praca, ale rozwijała się w ramach, uświęconych odwieczną tradycją, nieczuła na coraz to nowe zdobycze techniki i chemii. „Pola doświadczalne“, „selekcye zbóż“, „stacye reproduktorów“, „laboratorium chemiczne“—o tem nikt nigdy nie słyszał, albo, jeżeli słyszał, dzięki sąsiedztwu z wzorowo zagospodarowanym majątkiem większym—to piąte przez dziesiąte. Nagle to wszystko zjawia się w programie spółki płońskiej, w programie, który, niby klamra, zamyka postulat „założenia niższej szkoły rolniczej.“ To już zupełnie świadomy głos włościanstwa, które dopomina się o należne mu wykształcenie z a w o d o w e, to już trzeźwe żądanie z a w o d o w c ó w, którzy pragną złamać obręcz rutyny, odgradzającej ich od szerszego świata i chcą na ten świat wydostać się przy pomocy jedynej, odpowiedniej drogi—o ś w i a t y. Nadto, znamienne w tem rzeczą jest objaw samodzielności, zerwanie z tradycyjnem u nas oglądaniem się na to, że szkoły takie k i e d y ś powstaną, że je k t o ś założy, a poleganie natomiast na własnych siłach i liczenie na nie przedewszystkiem. „Chcemy mieć szkołę i założymy ją sami“ mówią stowarzyszeni i niewątpliwie dążyć będą wszystkimi siłami do urzeczywistnienia tej myśli. Inna rzecz, że spotkać ich może z tej lub z innej strony pomoc, że mogą otrzymać jakieś subsydjum, jakieś poparcie, czy to właścicieli większych posiadłości, czy gubernialnych Towarzystw rolni-

czych, czy wreszcie ministeryum rolnictwa, w którego programie leży zakładanie takich szkół i opiekowanie się niemi.

Naturalnie, trudno wymagać, aby to wszystko powstało zaraz. Lata przejść muszą, zanim całkowity program spółki płońskiej wejdzie w życie, a zwłaszcza zanim ostatni jego punkt zostanie urzeczywistniony. Ale—*paulatim summa petuntur* i nikt nie może się łudzić tem, aby na tej drodze nie było żadnych przeszkód i żadnego opóźnienia. W każdym atoli razie początek jest zrobiony i życzyć tylko można innym powiatom i innym spółkom, tym, które już istnieją i które się zawiąży, aby corychlej poszły śladem „Świt“.

Ważną sprawę „Zabaw dla ludu“ poruszył p. W. Olechnowicz w świeżo wydanej staraniem „Bluszczu“ książce zbiorowej p. t. „Współczesna kobieta“. — Zamknięcie karczem — mówi szanowny autor—o ile z jednej strony było dobrem, gdyż zmujejszyło rozpustę pijaczą i wszelką inną w miejscach widocznych,—o tyle znów spowodowało brak rozrywki, tak potrzebnej po pracy, brak bardzo do- tkliwy.

Naturalnie, jak każda reakcyja musi przejść ferment, tak i lud wiejski dał folgę namiętności i gra w karty weszła w użycie. Niema wsi, gdzieby nie było parę grup, uprawiających tę „rozrywkę“ z nieodstępną w takich razach tak zwaną „galeryą“. W inteligentnych sferach rzecz dobrze znana i każdy wie, jak to wygląda. Gra w karty u wieśniaków czyni jednakże poważną różnicę w ich kieszeni, dochodzącą j e d n o r a z o w o do kilku rubli. Młodzi uprawiają grę w g u z i k i. Ta rozrywka została znów wprowadzona na jarmarkach po małych miasteczkach, gdzie żydzi i różni inni oszuści, pozwalając czasem wygrać, rozwijają żyłkę do hazardu. Dalej—miłą „rozrywką“ w ostatnich czasach jest rozwinięta k r a d z i e ż d r o b n y c h r z e c z y, czasem większych, jak: trzoda, koniki, koła od wozów i wogóle kradzież przedmiotów, które mogą być zarówno Tomasz, jak Błażeja.

Widzą to starsi i boleją, ale zaradzić temu trudno, bo nikt nie przeciw temu nie działa.

Bogatsi urządzają wieczorki, na których zabawiają się tańcem; w ostatnich czasach wprowadzają gry biegane, „kotek i myszka“, „Przepióreczka“, „Ptaszek“, „Kogo lubię“ i inne. Szczupłe jednak mieszkania są powodem, że tylko mała garstka może wziąć udział, a przyjęcia takie rzadko mogą się zdarzać z powodu kosztów—bo to

i o jadle trzeba pomyśleć i gospodarz musi czekać, aż się wszyscy rozejdą, a tu rano trzeba wstać, i gospodyni z uporządkowaniem ma trud nielada.

Na ten cel potrzebna duża izba, któraby pomieściła bawiącą się młodzież i druga, mniejsza, gdzieby starsi, przy niezbędnem dziś paleniu pogawędzić mogli.

Młodzi mogą się bawić w gry biegane, może być uwzględniony dwugodzinny taniec od 6 ej do 8-ej, a cała zabawa tylko do 10-ej trwać może. W poobiednich chwilach młodzież lubi bardzo loteryjkę, młynek, warcaby, fortecę, domino. Na letnią porę trzeba by kręgle zaprowadzić i podbijanie piłki nogą (foot ball).

Gdzieby można założyć orkiestrę pod dyrekcją organisty, byłoby to wielkiem dobrem dla całej parafii, bo da rozrywkę i zarobek. Na tę ostatnią zabawę potrzeba wkładu około 1,000 rubli, ale, najpierw, po paru latach suma wyłożona wraca się, powtórę—zostaje, jako pamiątka na długie lata w parafii.

Tyle d-r Olechnowicz.

Niewątpliwie uwagi te są bardzo słuszne i bardzo na czasie. Warto też przypomnieć przy sposobności, że w Czechach, w każdej prawie wsi zamożniejszej, istnieją oddawna t. zw. „kasyna wiejskie“, duże, kryte halle, w których odbywają się zabawy taneczne dla młodszych, a gdzie starsi z całą swobodą gawędzą przy piwie, paląc fajkę lub ćmiąc długie cygara. Otóż tego rodzaju „kasyna“ powinny być wzorem i dla nas—oczywiście w granicach naszej możności, nie ulega bowiem kwestyi, że czesi stoją od nas wyżej, zarówno pod względem zamożności, jak i pod względem kultury towarzyskiej włościanstwa. Lud czeski, odczuwając silniej od naszego potrzebę łączności towarzyskiej i rozrywek, a będąc bez porównania zamożniejszym, chętnie wydaje dość znaczne pieniądze na budowę i urządzenie „kasyna wiejskiego“. U nas poszłoby to znacznie trudniej, bo chociaż, jak to widać ze słów d-ra Olechnowicza, i po naszych wsiach zaczynają się budzić pewne objawy życia towarzyskiego i daje się zauważyć skłonność do szukania rozrywek po pracy w grach i zabawach, popularnych wśród ludności miejskiej, to wszakże, na ogół biorąc, przeważna większość naszych wsi składa się jeszcze z mieszkańców tak ubogich, że własnym kosztem nie mogliby oni żadną miarą dźwignąć potrzebnego budynku, zapełnić go choćby najprostszymi sprzętami, oświetlić, jak należy, urządzić przy nim kręgielnię i t. d. Na razie więc pozostaje jedna tylko droga — wyzyskać w tym celu istniejące po wielu wsiach b u d y n k i s z k o l n e, będące, jak wiadomo, własnością gmin. W zimie w godzinach poobiednich, szkoła jest pusta, bez żadnej przeto przeszkody możnaby ją zamieniać w r e s u r s e na kilka wieczorów w każ-

dym tygodniu. Naturalnie, byłoby jeszcze lepiej, gdyby dwory, o ile posiadają jakieś oficyny niezajęte, lub baraki, zechciały używać tych budynków włościanom na cele powyżej wskazane. Sprawa ta, zasługuje na bliższą uwagę, życie towarzyskie bowiem, nawet w najprostszych swoich formach, jest wyprobowanym przymierzeniem rozlewania się kultury na szerokie warstwy, a u nas proces ten na ogół odbywa się tak powoli, że nie należy zaniechać żadnego środka, który go może przyspieszyć.

„Gazeta sądowa“ w jednym z ostatnich swoich numerów zamieściła wiadomość następującą:

„Donoszą nam z Petersburga, iż rada państwa w dn. 23 lutego (7 marca) r. b. po naradach, w ciągu lat kilku ponawianych w sprawie wykupu czynszów wieczystych w Warszawie, postanowiła:

„Dla spłaty zostających w wieczystej dzierżawie placów rządowych w Warszawie i na przedmieściu Pradze, przywrócić moc Najwyższej zatwierdzonych 5 lutego 1896 roku przepisów o spłacie czynszów wieczystych z dóbr rządowych.“

Uchwała ta pozyskała najwyższe zatwierdzenie i po ogłoszeniu jej w zbiorze praw da możliwość licznym wieczystym dzierżawcom oswo-bodzenia się od uciążliwej zależności od *dominus directus'a* i pozyskania zupełnego, niczem nieograniczonego prawa własności—za opłatą niewielkiej stosunkowo kwoty.

Wedle art. 1 rzeczonych przepisów „suma kapitału okupnego“ ustanawia się przez kapitalizację czynszu z 5^o/_o, czyli przez pomnożenie go przez 20.

Za wszelkie inne prawa skarbu, jak możliwość podwyższania czynszu i t. p. spłatę ustanawia się przez pomnożenie $\frac{1}{3}$ czynszu przez 20;— „jeżeli podwyższenie czynszu (kanonu) miało miejsce w ciągu ostatnich lat 10 przed dniem zgodzenia się skarbu na wykup“ (prawo z r. 1892. Z b. p r a w art. 857), to za mnożnik do wymienionej $\frac{1}{3}$ części przyjmuje się cyfry wyższe, dodając po jedenastce za każdy rok, przenoszący lat 10, „tak jednak, aby takowy mnożnik w żadnym razie nie był wyższym nad 30.“ Tam wszakże, gdzie skarbowi nie służy prawo odnawiania i podwyższania czynszu, szacunek spłacalny ustanawia się przez kapitalizację czynszu z 4^o/_o, t. j. przez pomnożenie czynszu przez 25.

Jeżeli więc czynsz wynosił 12 rubli rocznie, to w pierwszym razie, gdy była zastrzeżona możność podwyższenia czynszu, „kapitał okupny“ wyniesie:

a) za czynsz	$12 \times 20 = 240$
b) za prawo podwyższania czynszu może wypaść <i>maximum</i> : $\frac{1}{3}$ część 12 to jest .	$4 \times 30 = 120$
	Razem $\frac{360}{}$

W drugim wypadku, jeżeli skarbowi nie służyło prawo podwyższenia czynszu, spłata będzie wynosiła $12 \times 25 = 300$.

Należy zachęcać każdego—pisze „Gazeta Sądowa“—do skutecznienia tej spłaty, bo, jak wiadomo, cena szacunkowa domów czynszowych, a szczególnie tych, którym grozi podwyższanie co pewien czas czynszu, jest o wiele niższą od domów, nie obciążonych czynszami.

Jednak powyższa uchwała rady państwa nie rozwiązuje jeszcze w całości sprawy czynszowej. Dotyczy bowiem tylko czynszów skarbowych, a nie t. zw. szpitalnych, które podlegały spłacie na zasadach postanowienia komitetu zarządzającego z dn. 12 (24) czerwca 1870 r. Wykup ich został także wstrzymany z mocy postanowienia komitetu ministrów z dn. 15 (27) listopada 1896 r.

Czynsze te o wiele są dokuczliwsze z powodu samowolnego, bez żadnej stałej normy, podwyższania, jak świadczy o tem wypadek z domem № 1394/1496/8 róg Marszałkowskiej i Zgoda, z 16 rb. 50 kop. do 4,711 rb. 99 kop. rocznie! Czynsze te pozostają ostatecznie pod zawiadywaniem p. ministra spraw wewnętrznych—rada państwa zaś rozpatrywała obecnie wniosek ministra dóbr państwa, do których to dóbr zaliczają się czynsze, należne z gruntów, stanowiących niegdyś własność kościołów i zgromadzeń zakonnych.

Rada państwa nie zgodziła się na żądane podwyższenie mnożnika skupu do 100 i do 125—lecz przywróciła skup co do tych tylko czynszów—na podstawie dawnego mnożnika, ustanowionego przez wyżej powołane prawo z roku 1869. Przy rozpoznawaniu powyższego wniosku ministerium spraw wewnętrznych obstawało przy tem, aby skup przywrócić na dawnych zasadach. Jeśli więc ta zasada przeszła—to niewątpliwie w krótkim czasie spodziewać się można nowej uchwały rady państwa, przywracającej skup czynszów szpitalnych na warunkach prawa z r. 1870,—lecz ta nowa uchwała może zapaść tylko

na podstawie oddzielnego wniosku ministerjum spraw wewnętrznych. Pożądanem jest wielce, aby to mogło jaknajprędzej nastąpić i aby znikły te resztki feodalnych stosunków, których już nigdzie w Europie nie spotykamy. Warszawie tylko przypadło w udziale—przechowanie ich do dziś dnia.

Wychodząca w Warszawie od nowego roku „Czytelnia dla wszystkich”—„tygodnik ilustrowany, poświęcony nauce, literaturze, polityce i życiu bieżącemu“ coraz częściej zabiera głos w sprawach pierwszorzędnej doniosłości. Z przyjemnością stwierdzamy, że dotychczasowe artykuły „Czytelni“ sprawom takim poświęcone, odznaczały się zdrowym, jasnym i wyraźnie sformułowanym sądem, że bez pustej retoryki i doktrynerstwa roztrząsano tam uważnie i rozumnie rozmaite objawy naszego życia społecznego i ekonomicznego, oświetlając je o ile można najdokładniej, a zawsze bezstronnie. Oto mamy właśnie pod ręką jeden z ostatnich numerów tego pisma. Autor podpisany literami K. B. porusza w numerze tym sprawę czytelnictwa wogóle, a czytelnictwa wśród ludu specyjalnie, i dochodzi do wniosków następujących: „Od lat paru dziesiątków—czytamy—badając bliżej doniosłe zjawisko czytelnictwa wśród naszego ludu, zarówno wiejskiego, jak i małomiejskiego, stwierdzić możemy stanowczo, że postęp pod tym względem istnieje znaczny. Widać go przede wszystkim z niewątpliwego rozwoju naszych pism ludowych: „Gazety Świątecznej“ i „Zorzy“. Nie mamy danych co do pierwszej, ale wiemy, że ilość przedpłatników „Zorzy“ od r. 1892 wzrosła przeszło 12 razy. Z pewnością nie mniejszym był rozkwit „Gazety Świątecznej“. Nie dość na tem. Od półtora roku zaledwie zaczął wychodzić „Gospodarz“—dwutygodnik, poświęcony wyłącznie sprawom rolnictwa i ogrodnictwa—i oto widzimy, że pismo to zdobyło sobie odrazu grono czytelników, których potrzeby nadzwyczaj umiejętnie zaspokaja. A prócz tego dochodzi do ludu znaczna ilość pism ogólnych, a nawet takich, jak „Tygodnik ilustrowany“. Drugim dowodem rozwoju czytelnictwa po wsiach i miasteczkach jest rozchodzenie się książek ludowych.

Znakomity „Elementarz“ Promyka liczy 37 wydań w 670 przeszło tysiącach egzemplarzy. „Mały Elementarz dla dzieci i samouków“ w ciągu paru lat rozszedł się w przeszło 10 tysiącach egzemplarzy. Książka „Poradnik dla młodzieży“ ma 7 wydań w 70 tysiącach!

Jak widać z katalogów, wiele książek popularnych, nietylko powiastek i opowiadań, ale rozpraw naukowych i rolniczych, mają po kilka wydań, a każde w kilku lub kilkunastu tysiącach egzemplarzy. A ileż rozchodzi się jeszcze różnorodnej tandety, rozpowszechnianej umiejętnie przez spekulantów?

Wszystko to dowodzi potrzeby książek, potrzeby pilnej, gwałtownej, jednej z najważniejszych w naszym życiu społecznym.

A jednak—pisze p. K. B.—o tej potrzebie niebardzo myślimy. Faktem jest, że książek dla ludu wychodzi nadzwyczaj mało, że nasza literatura ludowa ma ogromne braki, że są całe działy dotąd zupełnie prawie nieporuszone.

Nie łudźmy się. Tych kilkaset tytułów, jakie podaje nam bibliografia książek ludowych, są kroplą w morzu wobec olbrzymich potrzeb umysłowych ludu. Potrzeba nam tysięcy książek, a mamy parę setek. To jest fakt, fakt niesłychanie smutny, dowodzący do jakiego stopnia inteligencja nasza nie umie, a raczej nie chce pracy swej poświęcić dla ludu. „Oni nie chcą chcieć!” mimowoli wyrывa się za Wyspiańskim.

Stwierdzając to ubóstwo piśmiennictwa ludowego, wskazuje p. K. B. na dwie główne jego przyczyny: 1-o) na brak autorów, piszących dla ludu i 2-o) na brak uczciwego kolportażu, bez którego rozchodzenie się książek wśród ludu jest niezmiernie utrudnione.

To drugie jest zupełnie słuszne. Co do pierwszego jednak musimy uczynić pewne zastrzeżenie.

Że „pisarze prawdziwego talentu“ nie pisują dla ludu—to prawda, ale czy istotnie zachodzi potrzeba takiego pisywania, czy tak jak jest osobna literatura dla dzieci, musi być koniecznie i osobna literatura dla ludu? Tam gdzie idzie o popularyzowanie zdobyczy naukowych, o wykład przystępny rzeczy trudnych i zawiłych—zgoda. To jednak, co nazywamy literaturą piękną, a co stanowi jeszcze *gros* w czytelnictwie naszym wogóle—popularyzacyi nie potrzebuje, bo na tej popularyzacyi traci. Trylogię Sienkiewicza może czytać każdy—i d-r filozofii i chłop w jednym i tem samym wydaniu, tak samo może czytać Prusa i Orzeszkową, Konopnicką, Żeromskiego i Reymonta. Natomiast żadna przeróbka, żadne „opracowanie popularne“ nie udostępni mu Wyspiańskiego, albo Berenta. Takie zaś „opracowanie“ może zepsuć Sienkiewicza, Orzeszkową i t. d., bo będzie albo zrobione niedołącznie, albo wykoszlawione umyślnie dla celów tego lub innego obozu. Skąd zresztą bierze się to prawo krajania i „operowania“ utworów wybitnych pisarzy?

Zdaje nam się więc, że tu, poruszając słuszną sprawę, „Czytelnia“ uderzyła w ton fałszywy. Nie tyle pisać specjalnie dla ludu,

ile rzeczy dobre t a n i o dla niego wydawać należy. Dawać ludowi dzieła prawdziwych talentów w tej formie, w jakiej one powstały, ale dawać mu je po cenach niskich, przystępnych, groszowych. Nie patrzeć na lud, jak na dziecko, bo jak dzieci wyrastają z okresu niemiek i bon, tak i lud z tego okresu wyrasta, ale pozwolić mu śmiało i bez obaw pić piękno z tej samej krynicy, z której my je czerpiemy. Niech tylko to będzie—piękno prawdziwe.

Ze sprawozdań, nadesłanych do Rady Towarzystwa higienicznego, okazuje się, że działalność istniejących w niektórych miastach prowincjonalnych oddziałów Towarzystwa, daje wyniki bardzo poważne i rozwija się nadspodziewanie pomyślnie. Oto krótki przegląd tej prawdziwie kulturalnej pracy, którą prowadzą na prowincyi oddziały Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego.

1-o) Oddział kaliski odbył od chwili założenia, t. j. od 16 maja r. z. 13 posiedzeń zarządu, oraz 3 zebrania ogólne. Zarząd utworzył trzy sekcye: wychowawczą, biologiczną i higieny ludu, nadto specjalny komitet redakcyjny. Sekcya wychowawcza urządziła zaraz w czerwcu, za pozwoleniem władzy gubernialnej, zabawy dziecięce na wzór ogrodów Rau'a, pod kierunkiem pań, honorowo pracujących; fundusze na ten cel zbiera T-wo głównie za pomocą sprzedaży pocztówek i powinszowań, specjalnie opracowywanych. Nadto oddział urządził w r. b. kolonję letnią dla dzieci we wsi Bartochów i wysyła kilkoro dzieci do Solca na kąpiele, oraz wydaje bilety do kąpiele. Wydział biologiczny prowadzi badania nad tępieniem szczurów, które, według nowych teoryi, odgrywają znaczną rolę w szerzeniu pewnych chorób zakaźnych. Sekcya ludowa czyni wielkie zabiegi nad założeniem łaźni ludowej, oraz utworzyła delegacyę do krzewienia zasad higieny wśród ludności żydowskiej. Sekcya ta nadto zarządziła wiele odczytów z higieny ludu. Delegacya redakcyjna, wreszcie, kwalifikuje do druku różne odezwy, kwestyonaryusze i t. d. nadto: redaguje odpowiedzi na pytania w zakresie higieny, wrzucane do skrzynek, przez Towarzystwo umieszczonych na mieście. Odpowiedzi te udzielane są za pośrednictwem „Gazety Kieleckiej“.

Odczyty ludowe wygłoszono: „O alkoholizmie“—d-r Jaroszewski; „O budowie człowieka“—d-r Wernic; „O pomocy w nagłych wypadkach“—d-r Beatus i t. d.

2-o) Oddział lubelski utworzył wydziały: higieny wychowawczej, higieny miast i mieszkań, higieny szpitali i przytułków higieny zawodowej i higieny ludowej. Zarząd odbył 23 posiedzenia. Oddział czynił zabiegi około ustanowienia nadzoru nad higieną szkół miejskich i wiejskich, oraz urządzenia ambulatoryum dentystrycznego, opracował memoriały do magistratu: o mieszkaniach stróżów i o targu miejskim, zajął się opracowaniem typów łaźni ludowej i krząta się obecnie dokoła sprawy urządzenia ogródków dziecięcych w Lublinie.

W wydziałach ogłoszono 22 referaty, z których ważniejsze są „Pedagog, jako higienista”—ks. Nowosielski; „Cel i zadanie higieny wychowawczej”—pastor Schöneich; „Hygiena zębów wieku młodego”—d-r Brzeziński; „O badaniu mąki”—p. Tyc; „O walce z gruźlicą”—d-r Rudzki; „O wentylacji fabrycznej”—d-r Leskiewicz i t.d.

Oddział liczył 135 członków rzeczywistych i 22 zwyczajnych.

3-o) Oddział częstochowski liczył członków 270, z tych 154 rzeczywistych i 116 zwyczajnych. Ponieważ do oddziału tego należy i kolonia Sosnowiecka, więc w Sosnowcu istnieje oddzielny komitet oddziału częstochowskiego.

W r. 1903 oddział częstochowski zajmował się bezpłatnem szczepieniem ospy (około 600 szczepień); opracował schemat do badania domów pod względem higienicznym i zbadał prawie $\frac{1}{3}$ część ogólnej liczby domów w Częstochowie (wynoszącej 1600). Rozesłano kwestyonaryusz w sprawie rozpowszechnienia gruźlicy i różnych przyczyn jej w powiatach, objętych działalnością oddziału (częstochowski, noworadomski i będziński).

Na prośbę magistratu oddział zajmował się rozpatrzeniem najlepszego sposobu pozbywania się śmieci z miasta; nadto rozesłał odezwę do szkół prywatnych z wnioskiem o wprowadzenie wykładów higieny. Członek oddziału, inż. Poznański, zajął się badaniem mieszkań ludności uboższej. Rozpoczęto też badania wody w studniach i rzecznej, z Warty. Posiedzenia wydziału odbywały się w ofiarowanym bezpłatnie przez p. Majera, dyrektora szkoły handlowej, lokalu. Posiedzeń odbyło się 5, nadto 3 w Sosnowcu. Na posiedzeniach bywało osób około 50. Referatów ogłoszono 12. Między innymi: d-r Wrześniowski mówił „O znaczeniu higieny”; d-r Bellon—„O higienie skóry”; inż. Gryżewski—„O kąpielach ludowych; d-r Dehnel—„O zjeździe higienistów w Warszawie” (sprawozdanie); d-r Batawia—„O dezynfekcyi mieszkań” i t. d.

Dalej zarządzono badania stanu higienicznego ludu w powiecie noworadomskim i utworzono wydziały: popularyzacyi higieny i statystyczny, podzielony na dwie komisye: dla wsi i dla miast.

Odczytów publicznych wygłoszono dwa: „O czystości ciała“ — (d-r Nowak) i „o jaglicy“ — (okulista, d-r Marczewski).

Komitet będziński rozpoczął działalność energiczną, która wszakże dotychczas jeszcze, zważywszy na krótkość czasu od chwili zawiązania się jego, znajduje się w okresie przygotowawczym. Obok innych starań o polepszenie stanu higienicznego miasta, usiłuje oddział skłonić magistrat miasta Sosnowca do założenia ogrodu miejskiego. Myśl ta zasługuje na gorące uznanie i dobrze byłoby, aby podobne postulaty wprowadziły do swych programów i inne oddziały.

4-o) O d d z i a ł ł ó d z k i liczył członków 209, w tej liczbie 80 zwyczajnych. Utworzono przy nim dwa wydziały: higieny teoretycznej i stosowanej, lecz właściwie tylko ten drugi był czynny. Na posiedzeniach jego wygłoszono cały szereg referatów, jak o alkoholizmie, o lekarzach szkolnych, o ankiecie mieszkań suterenowych, lo wilgoci w mieszkaniach, o szerzeniu zasad higieny wśród ludu i t.d. Bardzo energicznie zajmowano się odczytami ludowymi, których wygłoszono sześć na następujące tematy: „O budowie ciała ludzkiego“ — d-r Pieniążek; „O powietrzu“ — d-r Michalski; „O oddychaniu“ — d-r Rundo; „O suchotach“ — d-r Sterling, „O trawieniu“ — d-r Rząd; „O higienie skóry“ — d-r Groszlik.

Dziwiewięciu lekarzy, członków oddziału, zajmowało się bezpłatnem szczepieniem ospy na pięciu stacyach, urządzonych w tym celu. Osobna delegacya obejrzała i opisała mieszkania suterenowe inna zajęła się sprawą urządzenia łaźni wiejskich i małomiasteczkowych.

Na uwagę zasługuje również postawiony przez oddział na porządku dziennym projekt konkursu na polu higieny, oraz ustanowienia nagród dla rzemieślników za higieniczne prowadzenie warsztatów.

Widzimy z tego, że w czterech wymienionych powyżej miastach oddziały znakomicie spełniają rolę czynników cywilizacyjnych, że nie szczędzą sił i starań, zmierzających do podniesienia życia prowincyi na wyższy szczebel rozwoju kulturalnego, że gorliwie pracują nad obudzeniem w szerokich warstwach poczucia potrzeb higieny i świadomego stosowania się do jej zasad. Widzimy również, że na prowincyi, acz w jednym tylko zakresie, spełniają one rolę niejako „uniwersytetów ludowych“ organizując odczyty popularne i wykłady, oświecające ogół. Nie należy też wątpić, że ta strona ich działalności,

prędzej czy później pożądana i obfite wyda owoce i dla tego byłoby rzeczą, ze wszechmiar godną życzenia, aby za przykładem Kalisza, Lublina, Częstochowy i Łodzi poszły corychlej inne nasze miasta prowincjonalne. Z miast tych jeden tylko Radom posiada „Towarzystwo lekarskie“ o tak szerokim zakresie działania, że doskonale mieści się w nim i program Towarzystwa higienicznego. Towarzystwo to wszakże dopiero w roku zeszłym zorganizowane zostało. Pozatem ani Siedlce, ani Łomża, ani Suwałki nie posiadają jeszcze żadnej w tym kierunku organizacji, że jednak i tam niebrak ludzi dobrej woli i do pracy obywatelskiej chętnych, więc można mieć nadzieję, że w niedługim czasie będziemy mieli sposobność włączyć i te miasta do szeregu współpracujących z Warszawskiem Towarzystwem Higienicznym.

Sprawę walki z klęską alkoholizmu poruszaliśmy już niejednokrotnie na tem miejscu, a po raz ostatni poruszyliśmy ją nie tak dawno temu, omawiając dane, dotyczące spożycia gorzałki przez ludność Królestwa Polskiego.

W myśl ówczesnych naszych wywodów, uzasadniających potrzebę założenia u nas, działającego na szerokich podstawach, Towarzystwa ku zwalczaniu pijaństwa, przemówił świeżo w „Kuryerze Warszawskim“ p. W. Szukiewicz, występując z projektem, który wydaje nam się bardzo szczęśliwym. Uważamy też za swój obowiązek zapoznać z tym projektem naszych czytelników.

Zaznaczając, że społeczeństwo nasze nie zajęło do tej pory żadnego określonego stanowiska wobec alkoholizmu i oświadczając się bezwzględnie za potrzebą założenia „Towarzystwa przeciwalkoholowego“, p. Szukiewicz tak mówi dalej:

„Zanim jednak powstanie takie stowarzyszenie, mające za zadanie walkę z alkoholizmem, możnaby tymczasem, tytułem próby, zorganizować systematyczne wykłady popularne, ilustrowane obrazami niknącemi, a wygłaszane w różnych częściach miasta, szczególnie na Woli i na Powiślu, tam bowiem największe zło moralne się szerzy. Próba, jaką obecnie czyni kilku lekarzy (wykłady w domu robotniczym przy ul. Górczewskiej), pokaże, czego się można po tego rodzaju prelekcjach spodziewać. Oczywiście pamiętać należy, iż kropla żłobi kamień nie siłą, lecz ustawicznym padaniem i że, aby osiągnąć jaki taki rezultat, trzeba robotę prowadzić przez szereg lat

niestrudzenie i z niesłabnącą energią, a wtedy dopiero owoce pracy wystąpią.

„Pytanie jednakże zachodzi, czy masy zdemoralizowane i wcale walki z alkoholem nie pragnące, zechcą przychodzić na pogadanki? Wszak może się łatwo zdarzyć, że pomimo najusilniejszych starań sale wykładowe będą świeciły pustkami, ponieważ nie znajdują się słuchacze. Na to trzeba być przygotowanym. Śmiem wątpić, czy obecnie szereg wykładów przeciwalkoholowych, przeznaczonych dla inteligencji, cieszyłby się powodzeniem, tem mniej możemy się tego spodziewać od ciemnych i niekulturalnych mas. To też należy użyć atrakcyj, mających magiczną moc przyciągania, nietylko ludzi, ale nawet zwierząt, atrakcyj elementarnych, a pomimo tego szlachetnych i uszlachetniających! Mam tu na myśli muzykę, a zwłaszcza śpiew. O wpływie muzyki, w szczególności zaś śpiewu, na ducha ludzkiego mówić chyba nie potrzeba, znamy go wszyscy. Gdyby śpiew nie posiadał wysokiego znaczenia etycznego, nie używanoby go we wszystkich obrządkach religijnych, jako części integralnej. My jednak zapatrujemy się w ten sposób na śpiew jedynie w kościele, poza kościołem zaś uważamy śpiew tylko, jako miłą rozrywkę estetyczną.

Otóż zdaje się, że połączenie wykładów przeciw alkoholowi z odpowiednimi koncertami wokalnemi, dałoby doskonałe wyniki w pracy kulturalnej naszego miasta. Rzecz jest tem łatwiejsza do osiągnięcia, że posiadamy odpowiednich ku temu ludzi, o których istnieniu dowiedzieliśmy się z przyjemnością tak niedawno. Wszak Filharmonia urządzała koncerty historyczne, religijne przy pomocy pięciu połączonych chórów kościelnych, których słuchaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Te same chóry powinnyby koniecznie zorganizować cały szereg występów dla najuboższej i najbardziej moralnie upadłej ludności naszego miasta w przekonaniu, że w ten sposób najlepiej użyją swojego talentu i swojej umiejętności, przynosząc bliźnim rozrywkę i pożytek.

Proponowane zgromadzenia wyobraża sobie p. Szukiewicz w ten sposób: zaczyna śpiew, po nim wykład z obrazami świetlnemi, kończy także śpiew.

Nie można wątpić, że tego rodzaju zebrania w krótkim czasie potrafiłyby zdobyć sobie w Warszawie popularność wśród tych warstw, o których mówi się zazwyczaj, że są zupełnie niewrażliwe na piękno. Naturalnie! Bo nikt tej wrażliwości nie próbował w nich obudzić i wykształcić. Piękno tymczasem we wszystkich swoich postaciach, czy to jako dźwięk, czy jako barwa, do każdej duszy w pewnej chwili skupienia i napięcia zmysłów, znajduje przystęp łatwy. Człowieka

cywilizowanego kołysze ono i upaja, barbarzyńcą zachwyca i wstrząsa głębokimi warstwami jego pokładów duchowych, wydobywając na jaw te pierwiastki, o których istnieniu on sam nawet nie wiedział, które istniały w nim wszakże „same w sobie“ i stanowiły gotowy materiał do wewnętrznej przebudowy człowieka, która już po takim jednym wstrząśnieniu staje się wrażliwą.

Nie należy więc projektu p. Szukiewicza bagatelizować i przejść nad nim do porządku dziennego, tak, jak się to u nas zazwyczaj czyni, projekt ten bowiem oparty jest na doskonałych motywach psychologicznych i wprowadzony w życie może się okazać niezmiernie pożytecznym. Trzeba wszakże, aby wykonaniem jego zajęła się jakaś instytucja, czy to już istniejąca, czy umyślnie w tym celu zawiązana, gdyż usiłowania jednostkowe, rozbieżne i nie skoordynowane nic tu nie zrobią.

P. H. St. Pytliński zamieścił w jednym z ostatnich numerów „Gazety Polskiej“ następującą notatkę o domu, w którym umarł Mickiewicz w Konstantynopolu.

„Dom ten był drewniany. Zniszczył go pożar d. 5 czerwca 1870 r. Plac nabyli pp. R., którzy na nim w r. 1879—1880 wybudowali dom, obecnie istniejący, o murowanym parterze i pierwszym piętrze, z drewnianem piętem drugim. Przy budowie zachowano ten sam plan. Wygląd zewnętrzny, oraz cały rozkład domu, jest identyczny z dawnym“.

W r. 1883 nad wejściem wmurowano skromną tablicę pamiątkową, której istnienie było zagrożone, gdy w kwietniu r. 1900 dom miał być wystawiony na licytację. Wówczas jednak znalazł się ratunek. Obecnie wszakże znowu są zaległości podatkowe i ponowne niebezpieczeństwo się zbliża.

„Robiono już starania o kupno domu—pisze p. Pytliński—celem uratowania od zagłady tej wielkiej pamiątki — i przytacza swoją rozmowę w tym względzie z osobą dobrze o stanie rzeczy poinformowaną. Z rozmowy tej dowiadujemy się, że właścicielka, p. R., żąda za dom 10,000 fr., tj. t y l k o 4,000 rb. Część tej sumki jest nawet

podobno zebrana, istniał bowiem we Lwowie komitet specjalny, który na ten cel złożył proboszczowi przy kościele Santa Maria Draporio na Perze, ojcu Mikołajowi Kieferowi, 2,000 fr. i rozwiązał się dla tego, że... utworzył się drugi komitet w Krakowie. Ostatni jest czynny już, zdaje się, dwa lata i zebrał dotychczas 150 — wyraźnie s t o p i ę ć d z i e s i ą t franków. A dom przez właścicielkę musi być sprzedany. A jeżeli nabędzie go spekulant?

„Udawaliśmy się—mówi interlokutor p. Pytlińskiego—ze staraniami do różnych „wielkich“ ludzi—nie odpowiadano. Nie może być! Niestety, tak było.

„Na co dałby się ów dom użyć, prócz zachowania na wieczne czasy pamiątki? Ha, jeżeli to cel zamały, to wiedzcie, że nie mamy szkoły. nie mamy gdzie się skupiać dla braku miejsca. Myślę, że część odnajęta przynosiłaby dochód dostateczny na pokrycie podatków i jakie takie utrzymanie domu. Zresztą, najpierw należy dom nabyć. Bo—może niezadługo—żałować będziemy poniewczasie“.

Słowa powyższe komentarza nie potrzebują. Zaiste, byłoby rzeczą nad wyraz smutną, gdybyśmy pozwolili na zagładę tej pamiątki po Mickiewiczu. A niewiadomością tłómaczyć się już nie możemy.

Ziemiaństwo polskie poniosło stratę ciężką, tem cięższą, że przedwczesną i niespodziewaną.

W d. 21 lutego (a więc już po zamknięciu marcowego zeszytu Biblioteki, wskutek czego dziś dopiero możemy złożyć na tem miejscu hołd, należny pamięci zacnego człowieka i obywatela) zmarł nagle, na aneuryzm serca, ś. p. Tadeusz Kowalski, właściciel dóbr Olbęcín w pow. janowskim, gub. lubelskiej, radca Tow. kred. ziemskiego, jeden z najwybitniejszych naszych rolników i mąż, dobrze zasłużony na niwie pracy publicznej.

Ś. p. Tadeusz Kowalski urodził się w r. 1842 w Warszawie, gdzie też pobierał nauki gimnazyjalne. Po ich ukończeniu przeszedł do słynnej naówczas szkoły rolniczej w Marymoncie, a po odbyciu w niej studyów agronomicznych, wyjechał do Getyngi, gdzie doktoryzował się na wydziale filozoficznym.

Po powrocie do kraju, jako dwudziestoletni zaledwie młodzieniec, powołany został w r. 1862 na katedrę rolnictwa w świeżo zało-

żonym instytucie politechnicznym w Nowej Aleksandryi (Puławach). W r. 1863 wszakże katedrę tę już opuścił, nabył dobra Olbięcín i osiadł na wsi.

Tu wkrótce stał się wzorem światłego rolnika i obywatela. Postawiwszy swój majątek na pierwszorzędnej stopie pod względem zagospodarowania, dzieli się zdobytym doświadczeniem i głęboką wiedzą z szerszym ogółem, zasilając swemi pracami „Gazetę rolniczą” i „Encyklopedyę rolniczą”, oraz tłómacząc kilka wybitnych dzieł fachowych z języka niemieckiego. Pełen inicjatywy i przedsiębiorczy, organizuje on peryodyczne zjazdy ziemian janowskich, pobudza ich do zawiązania kółka wzajemnego kredytu, stowarzyszenia leśnego, wzajemnego zabezpieczenia ziemioplodów od gradobicia i t. d.

Wybrany najprzód na radcę Dyrekcyi szczegółowej Tow. Kred. Ziemskiego, a następnie w r. 1880 na radcę Dyrekcyi Głównej — od tej chwili ś. p. Kowalski poświęca się z wielkim oddaniem sprawom tej instytucyi i przenosi się do Warszawy, gdzie zostaje nadto współredaktorem „Gazety rolniczej”, bierze udział w urządzeniu kilku wystaw rolniczych, w założeniu stacyi oceny nasion, oraz przewodniczy Sekcyi przemysłu rolnego przy Warsz. Oddziale Tow. popierania przemysłu i handlu. Nadto wydał wraz z Al. Trylskim szereg dzieł rolniczych oryginalnych i tłómaczonych. Zgasł w sile wieku z niepowetowaną szkodą dla kraju i społeczeństwa, które w nim utraciły jednostkę, pełną hartu i woli, umiejącą pracować i tworzyć, isć naprzód i prowadzić za sobą innych.

Nie dziw też, że śmierć jego wywołała ogólną żałobę.

W Krakowie zmarł w 58 roku życia ś. p. dr. Wacław Zaremba, autor wielu cennych prac z zakresu historii sztuki lekarskiej. Do prac tych należy: „Szkic dziejów sztuki lekarskiej w Rosyi” (Nowiny lekarskie); „Lecznictwo żydów ze szczególnem uwzględnieniem Talmudu (*ibidem*); „Stanowisko stanu lekarskiego w Rzymie starożytnym wobec nauki, społeczeństwa i państwa”; „Kult Asklepiosa i połączone z nim wykonywanie sztuki lekarskiej w Grecyi starożytnej”; „Choroby nagminne w Wielkopolsce do r. 1800 (dzieło opracowane źródłowo według zapisek archiwalnych); „Kilka szczegółów o lecznictwie

w starożytnym Egipcie, wedle papyrusów dotychczas odczytanych" i w. in. Najobszerniejszem i najpracowitszem dziełem zmarłego była jego ostatnia praca, nagrodzona w Warszawie na konkursie im. prof. R. Płaskowskiego, p. t.: „Zarys dziejów rozwoju psychiatrii“ (Pamiętnik Tow. lekarskiego 1902 r.).

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— POLSKA WYTWÓRCZOŚĆ UMYŚLOWA W R. 1903-cim. —
W jednym z pism warszawskich podniesiono przed rokiem, jako zastraszający objaw, że polska wytwórczość umysłowa znajduje się w upadku w porównaniu z innymi narodami i wyprowadzono stąd krzywdzący wniosek o cofaniu się kultury naszego społeczeństwa. Twierdzeniu temu zadają kłam cyfry i wykazy, podane przez „Przewodnik Bibliograficzny“, znany miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcją d-ra K. Hecka, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Grudniowy zeszyt tego pisma wykazuje, że w roku ubiegłym wyszło ogółem książek i broszur polskich 2,696, nie licząc czasopism.

Ogólna liczba pism peryodycznych wynosi w przybliżeniu 560 — 580. Na 17-milionowy naród jest to jeszcze stosunkowo nie wiele, zwłaszcza np. w porównaniu z Czechami, którzy na 6 milionów ludności (bez Słowaków) mają pism peryodycznych 914. O innych pierwszorzędnych narodach nie mówimy już wcale, bo z tymi nawet porównywać się nie możemy, skoro angielskich pism peryodycznych wychodzi około 30,000, niemieckich przeszło 9,000, a francuskich około 7,000.

Cyfry powyższe, odnoszące się do książek, są o tyle niedokładne, że pewna część książek, datowana na r. 1903, wyszła jeszcze w drugiej połowie r. 1902, tak samo, jak wiele książek, w roku bieżącym wychodzących, nosi na sobie datę roku 1903. Odnośny artykuł „Przewodnika Bibliograficznego“ wyszedł z pewnemi zmianami i uzupełnieniami w osobnej odbitce p. t.: „Spis peryodycznych pism polskich wraz z podaniem ceny i adresu redakcyi“ (Kraków, Warszawa, 1904, Gebethner i Wolff, str. 27). Broszura ta podaje po raz pierwszy wyczerpujący obraz ruchu polskiego na polu dziennikarskiem.

— „MATERIAŁY TOWARZYSTWA POLSKIEJ SZTUKI STOSOWANEJ“. (Kraków, 1903).

Pojawił się w tych dniach trzeci zeszyt tego, ruchliwie przygotowywanego, wydawnictwa. Zawartość jego jest nie mniej od poprzednich interesują-

ca: I. Motyw zakończenia złotolitego czterostronnego pasa z fabryki Franciszka Masłowskiego w Krakowie. Z oryginału malował Bolesław Leszczyński. II. Ganek (wieś Waksmund, Podhale, Galicya); Wejście do sieni (wieś Wojkowice Kościelne, pow. Będziński, gub. Piotrkowska); Słup podsieniowy (obok Modzejów, pow. Będziński, gub. Piotrkowska); Karczma szlachecka (wieś Sołowa na Podolu rosyjskiem); Dworek przy ul. Biskupiej w Krakowie. Z natury rysował Józef Czajkowski. — Dworek przy ul. Bernardyńskiej w Krakowie. — Dworek przy ulicy Nad Wisłą w Krakowie. Z natury rysował Józef Czajkowski. — Zakończenie kądzieli, Żmudź, ze zbiorów Michała Brenszteina w Telszach gub. Kowieńskiej. — Zakończenie kądzieli. — Szpile do kądzieli. — Półeczka i kijanki (Żmudź. Ze zbiorów Michała Brenszteina w Telszach). — Skrzynia, wykończona około r. 1815 (z oryginału malował Jan Wałach). — Ptaki, wycięte z papieru kolorowego (wycięła Julianna Wrzos z Grotowie i dziewczyna w Ks. Łowickiem).

Okładkę zaprojektował i wykonał sposobem drzeworytniczym w drukarni Uniwersyteckiej w Krakowie Jan Bukowski.

— **NOWE DZIEŁO O RUSI.** — Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie, ukazała się publikacja prof. d-ra Władysława Abrahama, pod tytułem: „Powstanie organizacyi Kościoła łacińskiego na Rusi“, tom pierwszy. Cena egzemplarza 8 kor. Członkowie Towarzystwa, zarówno dawniejsi, jak nowoprzystępujący, mogą publikację otrzymać bezpłatnie, jako premium, w miarę postanowień statutu. Zgłoszenia o nadsyłanie adresować należy do sekretaryatu Towarzystwa: Lwów, archiwum Bernardyńskie.

— Wyszedł z druku zeszyt 185-ty „Słownika geograficznego“, zawierający dopełnienia do całości dzieła od „Szczyki“ do „Żyżków“, i dodatek do dopełnień. Z większych opracowań mieszczą się: „Ukraina“, „Warszawa“, „Wisła“, „Wola“, „Wołyń“, „Żmudź“. Zeszyt niniejszy kończy wydawnictwo, rozpoczęte w dniu 1-y m stycznia 1880-go roku i zamknięte w piętnastu wielkich tomów. Cześć cichej a wielkiej zasłudze!

— Wyszedł z druku zeszyt 9 tomu VI-go „Herbarza Polskiego“, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od *Goślinowscy* do *Gotartowa Gotartowscy*.

— Wyszedł z druku zeszyt 8 tomu VI-go „Encyklopedyi Wychowawczej“ i obejmuje następujące artykuły: „Literatura dla młodzieży“, przez St. Karpowicza i A. Szycównę (dokończenie); „Literatura polska“, przez Romana Plenkiewicza.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

Wiktor Cathrein S. J.: Filozofia moralna. Wykład naukowy porządku moralnego i prawnego. Część pierwsza. Ogólna filozofia moralności. T. I. Warszawa, 1904. („Bibl. dz. chrz.“, Luty, 1904, str. 217 + Notatki bibliograficzne, str. 32.

Dr I. Kodisowa: Studya filozoficzne. Wybór pism. Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu „Filozoficznego“, str. VI + 125.

HISTORIA.

Henryk Brandt: Pamiętniki oficera polskiego (1808 — 1817). Przekład M. G. z przedmową prof. S. Askenazego. Cz. I. Warszawa. 1904, str. 176.

Ks. M. Godlewski, prof. Semin. Warsz.: Archeologia biblijna, oparta na ostatnich archeologicznych odkryciach na Wschodzie. T. II. Nakł. i własność autora. Skład główny w księgarni „Kroniki Rodzinnej“, 1903, str. 156.

J. F. Kierzkowski: Pamiętniki majora..., kapitana wojska francuskiego, kawalera Krzyża legii honorowej, a na ostatku majora wojska polskiego 1831 r. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (b. r.), str. 241.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Dr Zofia Golińska: Spółki rolnicze i handlowe. Warszawa, 1904, str. 72, „Bibl. społeczna“. Cena kp. 20. Księgarnia naukowa.

T. Roosevelt: Życie wyteżone. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka. Warszawa, 1904, „Bibl. dz. wybor.“, № 317, str. 159.

Veridicus: Sprawozdania naszych instytucji kredytowych w świetle krytyki! Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. Mazowiecka 8, 1902, str. 30. Cena kop. 25.

HISTORIA LITERATURY I SZTUKI.

Kazimierz Chłędowski: Siena. Kraków, MCMIV. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp., str. XVI + 528. Z 72 fototypiami.

Maurycy Mann: Wincenty Pol. Studium biograficzno-krytyczne. T. I. G. Gebethner i S-ka. Kraków, MCMIV, str. 402. Z portretem kolorowym według akwareli ze zbiorów Akademii Umiejętności w Krakowie.

Prof. R. Muther: *Historia Malarstwa. I. Trecento i Quattrocento.* Przetłumaczył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa. Nakł. Jana Fiszera (b. r., 1902), str. 157.

POEZJA. — DRAMAT. — POWIEŚCI.

Wilhelm Feldman: *Życie. Sztuka w 4 aktach.* Lwów. Nakład księg. H. Altenberga, 1903, str. 112 (E. Wende).

A. France: *Historia komiczna.* Przetłumaczyła E. Węslawska z przedmową Władysława Jabłonowskiego. Warszawa. 1904. („Bibl. dz. wybor.”, № 318), str. 159.

Maryan Gawalewicz: *Dla ziemi. Powieść w dwóch tomach.* Warszawa. Nakł. Jana Fiszera, 1904. T. I, str. 246. T. II, str. 203. (Z portretem autora).

G. of Geyerstam; *Książka o małym braciszku.* Przetłumaczyła Malwina Posner-Garfeinowej. Nakł. Księgarni Naukowej, Warszawa, 1904, str. 153.

Andrzej Gide: *Prometeusz źle spętany.* Nakł. księgarni H. Altenberga we Lwowie. Przetłumaczyła Miriama. Rysunki St. Dębickiego (b. r.), str. 108.

Kazimierz Gliński: *Obrazki z przeszłości.* Z przedmową H. Gallego. Warszawa, 1804 („Bibl. dz. wybor.”, № 319), str. 159.

J. Gordon: *Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla.* Powieść historyczna. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1904, str. 201.

Marya Kazicka: *Akwarelle.* Lwów, Księgarnia Polska, 1904, Warszawa, E. Wende i Sp. Z portretem.

St. Korczak: *Wieczornica wołyńska. Opowiadania i pieśni.* Obrazek rysunku M. Chromcewiczówny. Nakładem autora. Warszawa, Nowy Świat 46. — 1904, str. 80.

Feliks Płazek: *Święta wiosna. Dwa dramaty.* Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1904, Warszawa, E. Wende i Sp.

Edward Słowski: *Okruchy.* Odbito w drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie r. MCMIV, str. 48.

Kazimierz Tetmajer: *Na skalnem Podhalu. II.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1904, str. VIII + 240. Dedykacja: „Pani Filipinie hr. Castell-Ruedenhausen, mojej tłumaczce niemieckiej z wyrazem najwyższej wdzięczności i wysokiego szacunku”.

Kazimiera Zawistowska: *Poezye.* Nakładem Księgarni H. Altenberga we Lwowie, b. r., str. 114. Z portretem poetki.

Borys Żaba: *Poezye.* Lwów, Księgarnia H. Altenberga, 1903 (E. Wende i S-ka), str. 109.

Stefan Żeromski: *Arywan mści się. — Godzina.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1904, str. 85. Wydanie ozdobne na papierze żółtawym, czerpanym; tytułowa okładka i inicjały z motywów egipskich. Druk staranny W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. Cena rb. 2.

C Z A S O P I S M A .

Wisła. Miesięcznik ilustrowany, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu, pod redakcją Erazma Majewskiego. Rok 1904 Zeszyt I. Styczeń—Luty. *Treść zeszytu I-go*: W. J. Jaskłowski: Wieś Mníchów w pow. Jędrzejowskim. — W. Klinger: Do sporu o folklor. (W sprawie polemiki między prof. Kawczyńskim a prof. Porębowiczem). — S. Dąbrowska: Wieś Żabno (pow. Krasnostawski) i jej mieszkańcy. — Witowt: Do pieśni „o starej kowalce”. — M. Parczewska: Gry dziecięce w Kaliszu. — P. Sterling: Koczownictwo czy osiadłość. Pierwszy stan społeczny). — Poszukiwania: XXI. Chleb (przyczynek Witowta). — Drobiazgi ludoznawcze. — Sprawozdania i krytyka: Dr Lorentz: *Slovinzische Grammatik*; Tenże: *Slavjane v Pomeranii*. Dr Nadmorski. — Życie i prace Jana Karłowicza (1836 — 1903): „Jan Karłowicz”. Zarys życia przez Erazma Majewskiego; Mowy pogrzebowe A. A. Kryńskiego, T. Korzona, J. Kallenbacha, E. Majewskiego; Wspomnienia przez A. Cernego, H. Gaidoza, Radowana Koszuticza, F. S. Kraussa, J. Polivkę, M. T. Sumcowa, S. Sołowjewa, Čenka Zibrta, K. Appla, M. Federowskiego, Z. Glogera, L. Szepielewicza, L. Uziębę, L. Benniową, A. Puławskiego, H. Wiercieńskiego, H. Łopacińskiego, E. Majewskiego. Prace ś. p. Jana Karłowicza: I. Historyczne — przez T. Korzona; II. Jan Karłowicz jako językoznawca, — przez A. A. Kryńskiego.

SPROSTOWANIE.

W artykule: „Herbert Spencer i jego systemat filozofii syntetycznej”, w zeszycie marcowym „Bibliot. Warsz.”, wkradły się następujące omyłki: str. 425, wiersz 17-ty od dołu, zamiast: *podmiot*, powinno być: *przedmiot*; str. 431, wiersz 6-ty od dołu, zamiast: *połgądzie*, powinno być: *pochodzie*; str. 434, wiersz 7-my od góry, zamiast: *idrologicznem*, powinno być: *teologicznem*; str. 435, wiersz 19-ty od dołu, zamiast: *metafizycznych*, powinno być: *mechanicznych*; str. 453, wiersz 1-szy od dołu, zamiast: *idealizmu*, powinno być: *idealnego realizmu*.

WYJAŚNIENIE.

Audiat et altera pars.

Ta starodawna zasada prawnicza, tak często u nas, niestety, w praktyce przestarzała, ośmiela mnie do napisania słów kilku w obronie własnej z powodu artykułu hr. W. Dzieduszyckiego: „Gdzie Arno płynie“ („Bibl. Warsz.“, styczeń, 1904), w przekonaniu, iż takowe znajdują gościnność na łamach tego poważnego miesięcznika.

„Proszę mi wytłómaczyć, jakim to się sposobem dzieje, że o tej książce nikt nie wie“ — mówi o mojej pracy o *Fra Angelico* p. Jadwiga w artykule hr. D.

Odpowiedź na to pytanie o ile łatwa, o tyle smutna. Gdyby to była powieść sensacyjna, lub drastyczna sztuka teatralna, albo chociażby poemat symboliczny, którego recenzję możnaby zawrzeć w tych dwóch wierszach:

Z tego wszystkiego to tylko pojmuję,
Że *echo i wieko* nigdy nie rymuje...¹⁾

— w takim razie zarówno pisma codzienne, jak tygodniowe i miesięczne, szeroko, by się o niej rozwdziły. Ale ponieważ jest to praca z dziedziny sztuki, i to jeszcze religijnej, przeto, z bardzo małym wyjątkiem, pisma te uznały za właściwe, przejść nad nią do porządku dziennego. Rzecz więc prosta, iż publiczność, nie będąc o jej istnieniu zawiadomioną, znać jej nie może.

Tem więc miłą dla autora niespodzianką była wzmianka, i to nader przychylna, o jego książce, tak kompetentnego pióra, jak hr. W. D. Jakkolwiek więc jestem za nią bardzo wdzięczny, muszę się jednak bronić od jednego, zdaniem mojem całkiem niesprawiedliwego zarzutu.

„Proszę mi powiedzieć, co panowie myślicie o zdaniu ks. Brykczyńskiego, że obrazy po kościołach powinny naśladować zawsze i jedynie nie malowidła brata Jana z Fiesole?“ — pyta znów p. Jadwiga, i na tak postawioną kwestyę, otrzymuje od profesora bardzo słuszną odpowiedź: „rada, podana przez ks. Brykczyńskiego, stanowczo na nic się nie przyda“.

Otóż, podzielając całkowicie zdanie szanownego profesora, nie jestem jednak w sprzeczności sam z sobą, bo ani w książce mojej *Fra Angelico*, ani w żadnej innej, nigdy nie zalecałem „naśladować zawsze i jedynie“ jego dzieł.

1) „Czyścic“ Słowackiego.

W książce mojej o Janie anielskim zalecam jedynie s t u d y o w a n i e jego prac z tego powodu, że z całych wieków średnich jest on malarzem najbardziej religijnym, a nawet, przewidując ten zarzut naśladowstwa, wyraźnie dodaje: „twierdząc to, nie mam wcale na myśli ślepego kopiowania średniowiecza, ale jedynie wzorowanie się na niem, przy spożytkowaniu wszelkich dodatnich stron odrodzenia i postępu naukowego”. Czyliż więc tak pisząc twierdzę, że obrazy po kościołach powinny naśladować z a w s z e i j e d y n i e malowidła brata Jana z Fiesole?“.

Co innego jest studyowanie jakiegoś artysty, a co innego naśladowanie. Nikt chyba nie posadzi Matejkę, że naśladował mistrzów włoskich, a jednak na *Holdzie pruskim* znać wyraźnie, że go robił po bytności w Włoszech.

Otóż, podzielając zdanie, które wyraził Cartier o Fra Angelico, że „pozostanie on na zawsze wzorem i doskonałym typem artysty chrześcijańskiego“, zalecam i sędzę, że słusznie, artystom naszym, pracującym na polu religijnym, aby, studyując jego prace, przejmowali się jego zaletami. A tych zalet pierwszorzędnych jest niemało: 1-o absolutne unikanie nagości, przeciwko której i hr. D. występuje; 2-o skoncentrowanie charakteru postaci w wyrazie twarzy; 3-o namaszczenie.

Stosując zaś i do Fra Angelico zasadę moją, w jednym z dawniejszych artykułów wyrażoną: „artysta nigdy i w niczem drugiego artysty naśladować nie powinien, bo samodzielność jest główną jego zaletą“ — w innej swej pracy tak myśl moją o studyowaniu mistrza anielskiego wyjaśniam ¹⁾: „jeżeli artyści nasi chcą malować obrazy rzeczywiście religijne, to muszą studyować Fra Angelico. Bo, jak nie można umieć dobrze po polsku, nie studyując Skargi i Kochanowskiego, tak samo nie można być malarzem religijnym bez przejęcia się d u c h e m brata Jana z Fiesole“.

Sędzę, że powyższe moje słowa wystarczą do zwolnienia mnie z tak przykrego zarzutu, jakobym miał zalecać rodzaj jakiegoś kanonu ikonograficznego z góry Atos, twierdząc, że „obrazy po kościołach powinny naśladować z a w s z e i j e d y n i e (!) malowidła brata Jana z Fiesole“. Nie—tego nigdy nie powiedziałem i nie powiem, bo przekonanie moje jest wprost przeciwnie.

Mam nadzieję, że moje to wyjaśnienie nie będzie źle przyjęte przez p. hr. D., któremu za wzmiankę o mej pracy raz jeszcze dziękuję.

Ks. A. BRYCZYŃSKI.

¹⁾ „Przegląd Katolicki“, 1898, str. 130.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXVI.

Zawinąwszy w kawałek gazety wszystkie swe kosztowności, wyszła powoli Anka ze swego pokoiku. W przedpokoju spotkała się ze Stalewską, zapłakaną, zmienioną.

Ciężką chwilę przeżyła sprytna dama.

Musiała przed furtką, prowadzącą do willi, postawić służącą, która, odpowiednio wyuczona, przeproszała idących gości za to, że jej państwo „dziś nie przyjmują“, bo dziecko się ciężko rozchorowało.

Z poza spuszczonej story, ze łzami w oczach, Stalewska sprawdziła, że dziś właśnie szczególnie dużo osób ciągnęło do willi.

Gnała te osoby widocznie ciekawość zobaczenia, jakie też to „nosy“ mają Stalewscy po tym skandalu, a może pewnego rodzaju radość, iż mogą wnieść ze sobą do owej imponującej im willi, trochę zgryźliwości ludzkiej, przypominającej kąsanie psów po łydkach przechodniów.

I wszystko tam było, to „ogromnie ludzkie“, w takiej ilości, że aż przelewało się przez źrenice ciekawe i ręce, wyciągnięte do uścisku. Myny jednak zewnętrzne pełne były pogrzebowej kondolencji, zagrzaną sympatią i szczerą życzliwością. Myny te wydobywały się na jaw już na samo dojrzenie zdaleka willi Stalewskich.

A wewnątrz aż migotało ze złości.

Lecz Stalewska odczuwała to wszystko inaczej. Nie pragnęła kondolencji, ani życzliwości. Była za sprytna i zanadto sama „ludzka“,

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455; — kwietniowy, str. 39.

aby ludzię się sympatją świata. Lecz w niej aż dygotało pragnienie, aby podnieść głowę do góry w oczach tłumu i wzruszyć litościwie ramionami, mówiąc: „ten biedny Narbutt... szkoda go! to podobno zdolny chłopak!“.

Chlebem — za kamień.

Pragnęła nawet bombą czekoladową, lub praliną, byle w oczach ludzi. I wystroiła się w biel dobroci i przebaczenia razem z *robe d'intérieur*, z krepy chińskiej, bogato ubranej muslinem. Wszystko jednak musiało pozostać za roletą, i krepa chińska, i zadarcie głowy, i dobroć chrześcijanki, wybaczącej urazy.

Aż dławił ją płacz bezsilnej histeryi, i drepcąc na miejscu, Stalewska gromadziła w swej duszy wszystkie urazy, jakie miała do męża, a które skrzętnie chowała razem z okrawkami sukien, „które się na coś mogą przydać“.

Te dawne urazy przydawały się rzeczywiście, bo, podsycając obecną chwilę, wydymały ją do rozmiarów katastrofy. To, co się dziś stało, to zamknięcie drzwi willi w zwykły *fix*, właśnie po artykule Narbutta, to było przyznanie się do odczucia i zgnębienia tym paszkwilem, bądź co bądź druzgocącym zręcznie budowany, a raczej lepiony gmach sławy mistrza.

I on tego nie rozumiał.. on!

Zresztą — czy on wogóle co kiedy w tej sprawie rozumiał?

Przecież to ona popychała go po tej szachownicy karyery od pierwszej chwili zamęzcia.

Jeszcze narzeczoną zabrała się do pracy. Umiała pomiędzy dwoma pocałunkami, w cieniu portyer i zdaleka od mamy, wyłudzić postaranie się o reklamy z okazji ślubu, o umieszczenie ich obojga portretów w pismach illustrowanych, o ciepłe wzmianki, których brulion mu sama zredagowała w swym panięńskim pokoiku.

Gdy dziwił się jej wprawie i tej szalonej chęci, aby o nich mówiono, szeptała cała różowa, błyskając oczami:

— To dla dobra pana... chcę, żebyś był sławnym!

W świecie filistrów uważano tę ślubną reklamę, za trochę śmiałą, lecz imponującą. Panienska-narzeczoną kładła podwaliny przyszłej solidności rodzinnej, opartej na artyzmie z wielką gorliwością i siłą.

— Przekonam was, że można być artystą i porządnym człowiekiem... — mówiła do swych kuzynek, które nabawiały się po sklepach swych mężów wieczystej fluksyi, drepcąc za kontuarem, z przekonaniem, że one spełniają obowiązki, a ci „artyści“, to zwierzęta nieczyste, grzeszące siedem razy na dzień, i to w razie wyjątkowej nausy.

Przyjaciółki, uczciwie uczesane i z łańcuszkami złotymi na wydatnych biustach, kręciły nosem, lecz ona rozwichrzyła włosy w prera-

faelicką, złotą, musującą pianę, ułożyła twarz w kształt madon Cimabuego, z domieszką główek Żmurki, i na smoku reklamy wjechała całym pędem w świat.

Przeharcowała tak całe rozłogi i bruzdy życiowe, z powodzeniem biorąc przeszkody.

Nagle smok zaczął kuleć, a obecnie odmówił zupełnie posłuszeństwa.

Coś się w poprzek drogi kładło, a co było najgorsze. to nieuchwytność tego czegoś, to wyczuwanie przez skórę jego istnienia, a niemożność pochycenia w szpony i skręcenia karku.

Więc aż płomienie były po twarzy Stalewskiej na myśl o niewidzialnym wrogu.

Chwilę myślała: Anka... ona...

Lecz silnie wewnętrzność jej zaprzeczyła. Tu było coś więcej, niż obdarzona ruchem i mową istota.

Tu było stanowczo coś więcej.

Mimo to jednak, gdy spotkały się w sieni, Stalewska rozmazana a drżąca złością, błysnęła ślepkami ku Ance. Odczuwała w tej dziewczynie, jakby kryształ, przez który przepływało to coś nieznanego i groźnego w stronę jej męża.

— Pani wie... — syknęła — fixu dziś niema.

— A... to dziś fix?

Anka oczami błędziła po otworze drzwi, przez który w ciemniejącej szarości cicho woniały grzędy narcyzów z teorią rozklęczonych u ich stóp kornych bratków i rezed.

— Tak... a mąż wszystkich gości rozpędził.

— Mąż pani pracuje.

— Może na chwilę przerwać.

— Nie, pani. Pracy twórczej się nie przerywa.

— Więc lepiej z ludzi porobić sobie wrogów?

— Lepiej.

— !!!

— Tak. Lepiej z ludzi, niż z duszy własnej.

Stalewska wykonała ruch, jakby ktoś ją w plecy nahajką świsnął.

— Pani plecie...

Anka nie patrzyła na nią, ciągle wzrok jej przeciągał po grzędach narcyzów sennych.

Lecz Stalewska była uparta.

— Pani plecie... dusza własna nie może być wrogiem, nie może szkodzić.

— Przeciwnie. Niema straszniejszego wroga, nad sponiewieraną i zbuntowaną wreszcie własną duszę.

— Na to człowiek ma rozum i siłę, aby także coś uchodził...

Teraz Anka przeniosła swój wzrok na Stalewską i powoli, lecz silnie zapytała:

— Pani o duszy ciągle mówi?

— Tak.

— Dusza się uchodzić nie da... Ma pani teraz taki niezaprzeczo-ny dowód.

Ręką wskazała ku pracowni Stalewskiego. W goście tym był cały świat dumy, prawie radości, solidaryzowania się z tym zbudzonym, szarpającym się w tej chwili Demonem, czy Archaniołem twórczości.

Stalewska gest ten zrozumiała.

Nerwy jej zatrzęsły się jak breloki, tańczące rozbrzęczoną tarantellę u wrót jej wygorsetowanego brzucha.

— I pani go aprobuje?

Zatopiła swe ślepki w przesliczne, spokojne źrenice Anki.

— Ja jestem z nim całą duszą... — brzmiała odpowiedź prosta, ale wielką swą szczerością bezwzględna.

Stalewska się wyprostowała. jak struna.

— Pani daruje, na *to* jest żona.

— Zapewne.

Anka zwróciła się ku wyjściu. Coś bowiem jakby odepchnęło ją od tego ścisłego spoidła, które Anka wyczuła w jednej chwili w słowach Stalewskiej:

— Na *to* jest żona!

To słowo „żona“ wypełniało całe usta tej kobiety, jako prawne i słusznie jej przynależne. Ance przypomniła się zasłyszana niegdyś z otwartego okna sutereny kłótnia praczki z mężem:

— Ja twoja ślubna żona...

Stalewska w jednej chwili zrozumiała jakieś uczucie niesmaku, połączonego ze zgnębieniem, które targnęło Ankę.

Zdawało się jej to być zwycięstwem i sforsowała nutę:

— Jeżeli kto ma być całą duszą przy Janie — zaczęła syczącym głosem — to ja przedewszystkiem, która mam do tego, zdaje mi się, prawo... Wszak tak, pani nie zaprzeczy?..

Och!.. „ślubna żona“, sutereny...

— Pani nie zaprzeczy?

Anka usiłuje odzyskać równowagę i spokój.

— Tak — odpowiada już, stojąc u progu — jeżeli pani rzeczywiście męża kocha, ma pani do tego prawo i... dobrze pani robi, jeśli z niego skorzysta... Ale tylko... jeżeli pani męża kocha...

Stalewska chce swój zły humor koniecznie na kims wywrzeć.

— Kochał.. kochał.. Uczciwa żona zawsze męża kocha! Co pani ma za sposób wyrażania się, panno Anko!.. Pani takie je ż e l i n a w e t do g ł o w y p r z y j ś c i e n i e p o w i n n o... Żona musi męża kochać, tak s a m o i m ąż ż o n ę.

— Musi?

— Tak... na to są mężem i żoną.

— Och!..

— Tak, dla tego.

— Pani chce powiedzieć: p o m i m o...

— Nie rozumiem...

— Niech pani się uspokoi nerwowo, zejdzie spokojnie pomiędzy kwiaty i w ciszy pomyśli nad tem słowem: „pomimo“... Pomimo, iż są mężem i żoną, kochać się mogą... Niech pani postara się to zrozumieć...

Parsknięcie, jakby kota, przerywa cichy głos Anki.

— Pani jesteś nawskróś zepsutą dziewczyną, zepsutą i niebezpieczną.

Anka nic nie odpowiada.

Była przekonana od początku tej sceny, że spotka ją jakaś wielka od tej kobiety niesprawiedliwość.

To wisało w powietrzu.

— Tak... pani jesteś zepsutą i... muszę na panią zwrócić baczną uwagę... Ja stoję na straży...

Wyprostowała się jeszcze więcej, przybierając minę kury na straży kurnika.

Anka wysunęła się powoli, przejęta goryczą i coraz więcej wzrastającym uczuciem upokorzenia.

Jakis żal przejął ją do Stalewskiego. Był śmieszny prawie, coś go osłaniało szatą, o kroju domowego szlafroka. Ankę bolało to, że dominującą była w niej ta właśnie nuta. Usiłowała obudzić w sobie współczucie nad tym cierpiącym w bólu tworzenia i walki człowiekiem. Lecz współczucie nie przychodziło. Natomiast rosło wrażenie szlafroka, suterena.

Szybko biegła Anka w stronę mostu.

Ściemniało się dziwnie, w liliowo-szafirowy ton. Niebo i cienie, kładące się po ziemi, miały barwę górskich gencyan, zerwanych i schnących w upalny, smutny dzień. Gdzieniedzie włóczyła się mgła, o barwie lawandy delikatnej, jakby zamąconej kroplą karminu. I zaraz ciemny szafir chłonał w siebie te smugi z surowością bezmierzą.

Tu i owdzie zapalały się srebrnawo gwiazdy i nikły nawet nie odbite w ciemnym błękitcie wody. Bez światła, bez woni stał się dzi-siejszy wieczór — bez światła, bez woni...

Na moście, oparty o balustradę, stał Wierciak i pluł w fale.

On zdołał w tej powodzi szafiru ocalić swą szarość charakterystyczną. Był jak z kamienia pospolitego wykuty, brzydki i bez barwy. Stał i pluł bezustannie, rad, że maści choć drobniauchną cząsteczkę posuwających się królewsko fal.

Daleko, nieruchomo, inny szary cień.

Wątlý, drobny, także cały szary w błękitcie wieczoru. Cień ten kobiecy, nieruchomy, przyległ także do balustrady i głowę ma zwróconą w stronę Wierciaka.

Nadchodząca Anka poznaje Piotruškę.

Szybko Wierciak odrywa się od balustrady i do Anki podbiega: — Proszę Wielmożnej Pani...

Czeka, zuchwały, lecz na pozór grzeczny, przystrojony w obleśny uśmiech.

I następuje krótki targ. Z jego strony, gdy nastąpiło zrozumienie, iż „panna“ nie ma pieniędzy, zmieniony ton, ręce w kieszeniach kurtki.

Lecz i w niej budzi się szlachecka buta i głowa wznosi się hardo, usta się zacinają. Mówi przez trzecią osobę, głos ma ostry, zmieniony. Ruchem rozkazującym oddaje paczkę z drobiazgami. Prostuje się, rośnie. Terroryzuje i dominuje nad postacią przedmiejskiego łyka. Krótka to chwila, wyczerpująca jej siłę moralną. Ale dotrwa, i bez gestu pożegnania odchodzi od cuchnącego proletaryusza, który przedstawia się jej, jakby szczelnie zamknięta skrzynia, pełna śmiecia. Jest tak ohydny, że dla Anki nawet nie przedstawia się w żadnej harmonii i ginie ta chwilowa, upiorna zjawia, jaką wypłynął ongi z czeluści piwnicznej, wywołany głosem Zagrodzkiego.

Anka mija opartą o balustradę Piotruškę.

— Dobry wieczór, Piotruško!

Ten szary cień ma przynajmniej harmonię prymitywnej duszy, żrącej się straszną siłą z kagańcem cywilizacji.

Lecz Piotruška marszczy jasne brwi:

— Pst... niech pani nie przeszkadza...

— W czym?

— A no, za nim patrzę... zaraz pognam...

— Czego ty od niego chcesz?

— Jakto? czego?... chciał mnie bić, nie dałam się... i nie dam... Ale muszę wiedzieć, co robi, gdzie chodzi.

Urwała, odgarnęła włosy z czoła. Była spocona i rozgorączkowana.

— Pani mu pieniądze dała? widziałam! To źle, mnie lepiej było dać... Byłabym stancyą zapłaciła i miałabym na zapowiedzi.

— Żeni się?

— Musi!

I tu znów padło „musi“ tak, jak tam, w willi Stalewskich.

I ten „mus“ był znów wtłoczony w dziedzinę uczucia, a więc tego, co powstaje w nas nieświadomie, bezwolnie, rozwija się, potęguje, szaleje i znika równie nieświadomie, jak przyszło z dali, z mgły, z lotnych snów.

— A jeżeli cię nie kocha?

Lecz Piotruśka nie słyszy.

Wierciak skończył przeglądanie drobiazgów, wręczonych mu przez Ankę, i odchodzi, pogwizdując do szynków, rozłożonych za miastem.

Jak wichur, porywa się Piotruśka i biegnie wzdłuż klatki mostowej, biegnie, miga się na tle stalowych belek, biegnie i niknie.

Anka chwilę patrzy za nią, a potem szybko posuwa się w stronę miasta.

Chce koniecznie zobaczyć ojca dziś jeszcze, bo szarpie nią niepokój.

Zdaleka widzi okno jego pokoju ciemne zupełnie. Lęka się, że wyszedł zgorączkowany i chory. Przebiega szybko hotelowe wschody. Puka do drzwi.

Niema odpowiedzi.

Naciska klamkę, drzwi otwarte z klucza.

Wchodzi do środka pokoju.

W nogach łóżka siedzi jasna postać.

Gazowe płomienie, otaczające plac, oświetlają pokój żółtawym, dziwnym blaskiem.

Zagrodzki, w narzuconym na bieliznę palcie, bosi, z rozwieczrzoną brodą, siedzi nieruchomy jak statua i patrzy w okno.

Zdaje się nawet nie dostrzegać wejścia Anki, tak jest cały zmartwiał i pogrążony w sobie. Lecz gdy córka podchodzi tuż ku niemu i przecina swą postacią świetlaną smugę, w której wzrok jego tonie, rzuca się, zdjęty straszną, okropną trwogą.

— Czego?.. kto?.. nie mam nic... komitet... — bełkoce, wyciągając ręce, jakby chcąc obronić się przed napadem hyen wyborczych.

— Nic... nic... uspokój się, ojczy... — prosi Anka — to ja, Anka, przyszłam się dowiedzieć, zobaczyć, jak się miewasz...

Lecz on kryje głowę, drży cały.

— Ko...mitet... — jęczy z poza dłoni, do twarzy przywartych.

Ankę przebiega jakiś dreszcz, zdaje się jej, że wiruje z nią cały pokój, że ona sama porwana jest w krąg niepewnych, rozchwianych myśli. Doznaje zawsze tego wrażenia, gdy ojciec jej popada w tę nagłą trwogę. Siłą woli opanowuje się. Szuka zapalek, rozświeca świecę, zapuszcza story, słowem, stara się sama wejść w zrównoważone czyny i ojca za sobą wprowadzić.

On powoli odrywa ręce od twarzy i śledzi Ankę z pod brwi zsuniętych. Nic nie jest w stanie opisać mętności jego bladych źrenic i tego dziwnego, wydzielającego się z nich niepokoju, a raczej zaniepokojenia.

Anka kilkakrotnie spogląda ku niemu i spotyka się z tym wzrokiem, który targa nią całą. Ręce jej opadają, zaczyna sama się lękać. Siada koło stołu i próbuje rozpocząć rozmowę:

— Ojciec dziś nigdzie nie wychodził?

Niema odpowiedzi.

— To lepiej. Niech ojciec odpocznie po tych wrażeniach... Cisza i samotność uspokoją ojca zupełnie, prawda?

Niema odpowiedzi.

Tylko ten wzrok, ten mętny, dziwny wzrok!..

Anka postanawia nie myśleć o tem, że jest przed nią taki wzrok. Postanawia wziąć, niezależnie od tego mętu, duszę ojca, i zajrzeć w jej głąb, jawnie, zajrzeć w jego obecności, aby i on, uczestnicząc w tej sprawie, zrozumiał wreszcie, jakiej dopuszcza się na sobie samym zbrodni.

— Ojcze... ja sędzę... że dla ciebie, dla nas obojga, najlepiej będzie, gdy wyjedziemy na wieś. Wszak dwór wyłączony z dzierżawy, możemy odpocząć. Ten dzień wczorajszy, ta straszna, tragiczna noc, toż chyba wyczerpała ciebie do dna. Pomyśl, ojcze... spokój! cisza!... drzewa, zieleń, bezkres równin, ciche, słoneczne zachody, to wszystko twój! Możemy czerpać pełną dłońią, rozkoszować się... Czy słyszysz mnie, ojcze?

Niema odpowiedzi.

A poza tem Anka czuje, że wzrok staje się coraz bardziej mętny. Ogarnia to ją, jak fale wezbranej rzeki, fale żółte, wlokące za sobą bagniska gliniaste, gnijące wodorosty, wzdęte trupy.

Prawie rozpaczliwie zaciska Anka splecione ręce dokoła kolan. Mówi, lecz każde słowo boli ją i męczy. Czuje w sobie ton doktrynerski i nie może pobudzić się do nastroju prawdziwego, głębokiego uczucia. I tem jej to straszniejsze, że tam, przy oknie, w willi, naprzeciw Stalewskiego, pomimo, iż właśnie nadawał się nastrój chwili i sytuacja do tonów doktrynerskich, ona była szczerą, ona była bia-

ła, ona była wielką, ona czuła i czuć umiała bez wysiłku, bez pragnienia.

Przypomina sobie ciszę ganku, na którym porzucone wędną koronie bratki, i cudowny bukiet rozpachnionej akacyi o gronach kwiatów wonnych i śnieżystych.

— Ojciec... powróćmy na wieś... porzuć miasto! porzuć politykę... porzuć to, co ci całe życie zatrzymało! Jesteś przeciętnym, rozpolitykowanym galicyjaninem. Nic więcej! Pozostań czemś więcej... Pozostań sobą, człowiekiem cichym, rozmiłowanym w pięknie, którego jest w tobie samym tyle. Bądź rozumnym, mądrym, i mądrością tą napawaj swą duszę i dozwól jej wejść w kontakt z mądrością przyrody. Zobaczysz, ile w tem rozkoszy, zobaczysz, z jakim spokojem patrzeć będziesz na te marne wysiłki, na które się obecnie zużywasz... Powiedz, co ci przyniosła ta chęć polityki — nic, prócz zawodów i gryzot...

Nagły ruch Zagrodzkiego przerwał jej mowę.

Zagrodzki porwał się z miejsca i zaczął chodzić szybko po pokoju, rozwiewając poły pałta. Ruchy jego były niepewne, twarz nad wszelki wyraz ponura.

— Jeżeli... po to przyszedłeś... aby mi urągać... — zaczął.

Lecz Anka nie dała mu dokończyć:

— Nie urągać ci przyszedłem, ojciec, ale chcę, ażebyś raz wejrzał w głąb swej duszy. Co z nią zrobiłeś? co z nią zrobiłeś, ojciec?

Mąż żrenic Zagrodzkiego ustąpił na chwilę jakimś skaczącym, dziwnym ognikiem.

— Nie ja jestem temu winien, że do niczego nie doszedłem, tylko podłe, ludzkie intrygi... — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Anka porwała się z miejsca.

— Ależ właśnie, gdybyś był „doszedł”, byłbyś stał się niczem...

— Oszalałaś?

— Tak! tak!.. Nicość, mara, złuda, to zlepkki wielkości, do których dążyłeś. Ojciec! jest prawdziwa Wielkość, lecz nie tam, nie w salach parlamentarnych i nie w kotle rozwichrzonych namiętności i pychy. Wielkość tę masz w sobie, z nią na świat przychodzimy wszyscy. To Dostojewstwo mądrości naszego ducha, bezmierna równowaga świętej dobroci i ciszy, odczuwającej tylko to, co piękne i szlachetne. Czy mnie rozumiesz, ojciec?

Patrzył na nią z pod brwi ściągniętych, ręce jego, kurczowo zagięte, szarpały zwichrzoną brodę.

Miał coraz straszniejszy wygląd człowieka, który schodzi z rozstajów życia na zupełnie błędną ścieżkę.

— Mogłeś być tak szczęśliwy... — podjęła Anka — i szczęściem swoim wywołać uczucie szczęśliwości w innych. I to było twoim obowiązkiem...

Zrozumiał tylko to jedno słowo, które mignęło przed nim na wir jaskrawej płachty.

— Chciałem właśnie spełnić obowiązek!.. -- krzyknął chrapliwym głosem — nie dali, intrygi.. podli.. podli..

Zawirowało aż od tego głosu, w którym było coś z ryku zwierzęcia, przypartego do skały przez sforę psów.

Anka doznała wrażenia, jakby cała masa czarnych motyli spadła na jej głowę i zaczęła bić ją skrzydłami po opuszczonych powiekach.

— Nie, obowiązek twój był inny — odparła z wysiłkiem — należało siebie uczynić dobrym i szczęśliwym, a potem przez swoje własne szczęście niweczyć cudze nieszczęścia. Tymczasem ty, ojcze, postąpiłeś inaczej. Wybrałeś drogę głośną, zamiast iść cichą ścieżką wewnętrznego zadowolenia. I co ci z tego przyszło? co? Nie dałeś szczęścia ani matce mojej, ani mi, ani sobie. Porwałeś swą duszę na strzępy, skoro się cofniesz myślą w życie, widzisz w niem tylko bezowocne trudy, wysiłki i szpetotę małych intryg politycznych... Czy miałeś choć jedną chwilę odczucia, jak pięknym i rozumnym tworem zrobiło cię Przeznaczenie? A przecież to samopoznanie naszej wartości jest największą rozkoszą życia... Pomyśl.. zastanów się, ojcze...

Zagrodzki cofnął się teraz ku ścianie w najciemniejszy kąt pokoju. Plecami przywarł do muru i ręce na płask przylepił do obicia. Głowa jego niespokojnie poruszała się, trąc tylną część czaszki o ścianę ciągłym, miarowym ruchem.

Choć niknął prawie w cieniu, jednak Anka, spojrzawszy na tę postać, doznała ogromnego niepokoju. Coś się tam działo pod tą czaszką, jakaś praca straszna i stanowcza.

A może to wreszcie zbawienny przewrót, może wreszcie nastąpi upamiętanie i Zagrodzki odrzuci precz swe polityczne mrzonki, jak szatę kłowna, oplutą i palącą go śmiertelnie.

Ta myśl dodaje jej siły. Pragnie, aby i on razem z nią zajrzał w głąb swej duszy. Roztajało w niej i to uczucie, że mówi o b o k swego przekonania,—znika. Widzi tylko całą nędzę tej pychy duchowej, powalonej i zgniecionej w swym upadku.

Pragnie tylko jednego, aby nie powstała więcej, nie odżyła znów na piekielne udręczenie tego człowieka.

-- Składasz swe niepowodzenie polityczne — zaczęła znowu — na intrygi, na wrogów.. Ależ, ojcze, wrogiem swoim ty jesteś sam. Tyś stanął naprzeciw siebie i chwyciłeś za bary swoją lepszą istotę

po to, aby ją ustroić w mundur dwuznaczny jakiegoś pana na święczniku! To nie śmieszne, to tragiczne! Tyś był jak ten szalony siewca, który idzie zagonem o szarym ranku i rozrzuca ziarno na prawo i na lewo na nieuprawną rolę.

Podniosła rękę i mimowoli wykonywać zaczęła gest owego siewcy, którego wizją wykwitła jej myśl smutna pewnego przedwyborczego ranka.

— Rozrzucasz ziarno twego życia... tak i tak...

Sama rozkołysała się tą wizją i tem tempem rozrzucanych ziarn. Smutek ogarnął nią całą. Mało brakowało, aby jej oczy nie zasłoniły łzy.

Lecz z cienia, gdzie wahadłowym ruchem tarła się czaszka starca o ścianę, dał się słyszeć jakby przyciszony chichot.

— Tak... i tak...

Od ściany oderwała się jedna ręka, długa, koścista, rasowa ręka, i powiała w powietrzu.

— Tak... i tak...

I znów chichot niewyraźny, straszny, jakby daleko zaśmiały się puszczyki.

Po Ance przebiegł mróz.

Ręka jej mimowolnie opadła, szeroko rozwartemi źrenicami wpatrzyła się w ojca.

Chichot ustał, ręka Zagrodzkiego zniknęła w cieniu. Natomiast po chwili słyszeć się dało jakby stłumione łkanie.

Anka przewyciężyła trwoję i zbliżyła się ku ojcu.

W cieniu dojrzała, iż spazm płaczu bez łez wstrząsał jego wychudłą pierś.

Zamknął oczy, oparł głowę o ścianę i stał tak strasznie nędzny, nieszczęśliwy, bez woli i chęci do życia.

Ujęła go za zimną jak lód rękę:

— Ojczel..

Dał się powodować, jak dziecko. Wyprowadziła go z cienia, posadziła na łóżku. Miał ciągle oczy zamknięte i drżał cały, jak w febrze. Wreszcie opadł ciężko na poduszki, kryjąc twarz. Anka stała niezdecydowana, nie wiedząc sama, jak postąpić wobec tego cichego smutku i zrezygnowania, w jakie popadł.

— Czy czujesz się chory, ojczu? — zapytała cicho, pochylając się ku niemu.

Podniósł głowę i zwrócił ku niej twarz zmienioną, bladą, z rykami, dziwnie zaostrozonymi.

— Słuchaj... — wyrzekł przyciszonym głosem — słuchaj, czy ty sądzisz, że ja nigdy do niczego nie dojdę? Tylko mów szczerze... bez wykretów...

Pochwycił jej rękę i wpijał palce w jej ciało, jakby stalowe, zimne węże.

Uczuła, iż przysła chwila stanoweza, że tylko siła słowa może dokonać cudu przemiany.

— Nie — wyrzekła dobitnie — nie dojdiesz nigdy do żadnego politycznego stanowiska... będziesz zawsze przy wyborach przepadał... zostaniesz ciągle wieczystym kandydatem... i zostaniesz pośmiewiskiem swych kontrkandydatów... zamiast być dobrym, szczęśliwym i szczęście dającym człowiekiem!

Mówiła wyraźnie, powoli, pochylona nad nim, akcentując każde słowo, jakby wlewała mu w duszę po kropli antidot trucizny, żrącej jego istotę.

Patrzyła mu w oczy, lecz te były prawie martwe, szklane, i jeżeli się w nich odbywała jakaś praca, to już to szkliwo martwe silnie pokryło wyraz, jaki, pod wpływem słów Anki, nabrać mogły...

Przez długą chwilę trwało milczenie.

Tylko palce Zagrodzkiego wpiły się jeszcze silniej w rękę córki.

Wreszcie, z wysiłkiem, jakby z za mgły, dał się słyszeć szept:

— I dlaczego to, Anko? dlaczego?..

— Boś nie był na to przeznaczony, ojcze... — odparła — byleś stworzony do życia ciszy i kontemplacyi, i taką była twa dusza niebłysłkotliwa, a z natury zdolna do odczuwania rzeczy dobrych, cichych, szlachetnych. Dusza twoja czekała tylko na upiększenie, na użyźnienie z twej strony, a tyś powłókł ją na targowisko ludzkich namiętności i żyć jej kazał plugawą walką o krzesło kurulne... w ciasnych salach sejmowych, lub radcowskich komedyi... Och, ojcze!.. ojcze!..

I znów nastąpiła cisza.

Dzwonek tramwajowy zajęczał pod oknami, zgrzytnęły koła i rozplynął się ten zapóźniony głos w czerni nieba.

W lichtarzu dogasała świeca.

Było tyle beznadziejnego smutku dokoła, że Anka zrozumiała, iż należy rzucić choć chwilę jasności przyszłej w tę całą czerń i smutek.

— Lecz przed nami... — zaczęła.

On jej przerwał nieznaczem potrząśnięciem ręki.

— Więc mówisz, że zmarnowałem życie?.. — wyszeptał blademi usty.

— Do tej chwili — tak. I co gorsza, zmarnowałeś sobie wspomnienia, któremi się po pewnym przełomie żyję. Czemu teraz żyć będziesz? — powiedział Wspomnieniem cuchnących pychą chwil? Czemu?..

Zdawało się, iż Zagrodzki przestał oddychać, tak silnie znieruchomiał w natężeniu myślowem.

— Więc mówisz... żem rozsiał... rozrzucił życie?..

Ręka jego zaczęła zakreślać łuk, którym Anka odtwarzała ruch widmowego siewcy nieuprawionych pól.

— Tak... tak...

I nagle z jego piersi wydobył się krzyk — ryk nie krzyk.

Jakiś ryk zwierzęcy, coś graniczącego z wyciem wichru, gdy koronę dębu aż ku ziemi chyli.

Zawył człowiek za znikającym życiem.

Puścił rękę córki i odepchnął garnącą się ku niemu Ankę.

— Idź... idź... chcę być sam...

-- Ojczel..

— Zostaw mnie, nie dręcz więcej... muszę być sam!..

— Jesteś chory, cierpisz...

— Ja?.. nie... ja jestem zdrow!..

Otworzył szeroko oczy. Uśmiechał się uprzejmie. I znów cicho zachichotał.

— Jestem zdrow... idź... idź...

— Świecę ci choć zapalę.

— Nie trzeba... po co? Ja widzę teraz jasno... widzę w ciemnościach to, czego ty nie widzisz. Idź stąd...

Ociągała się niepewna, strwożona.

— Ojczu, pozwól mi pozostać...

Porwał się nagle straszny, groźny. Dolna szczeka wysunęła się, wachlarz brody chwiał się przy ruchu konwulsyjnego drżenia, którym cała twarz dygotała.

— Idź... idź!.. bo cię wygnam precz...

Cofnęła się ku drzwiom, gdyż był jej tak blizki, iż oddech jego palący czuła na swej twarzy, ręce jego wyciągnięte klekotały ponad jej głową.

Otworzyła drzwi i wybiegła na kurytarz.

Posłyszała zgrzyt klucza w zamku i poza drzwiami kroki oddalającego się widocznie w stronę łóżka Zagrodzkiego.

Niepewna, zmieszana, wyszła z hotelu i zaczęła chodzić po skwerku, znajdującym się w środku placu.

Kilka latarni oświetlało posąg kamienny Dziewicy i jej litośnie wyciągnięte ręce w stronę ludzi, ponad strumieniem cicho do basenu cieknącej wody.

Lekko drżały akacje w tej nocnej ciszy, grządka lewkonii białych rozpachła się słodką, miłą wonią.

Anka niespokojny wzrok utkwiała w okno pokoju ojca, lecz tylko krótkie błyski dogasającej świecy rozjaśniały na chwilę czerń dużych szyb.

Nagle światło zupełnie zgasło.

Mimo to Anka nie odchodziła. W duszy jej powstała niepełność, czy dobrze zrobiła, przemawiając tak bezwzględnie do znękanego porażką ojca. Wyraz jego twarzy, gdy chichotał cicho, z oczyma, pokrytymi matowem szkliwem, nie opuszczał ani na chwilę jej rozgorączkowanej wyobraźni.

— Wtedy był najstraszniejszy... — myślała.

Nagle jakiś mężczyzna dotknął ją laską w plecy.

— Pst... pst...

Pot okrył jej czoło.

Uczuła w jednym momencie całą brutalną szpetotę życia. Układ taki a taki nie dozwalał jej czuwać na ulicy nad ojcem, który dręczył się i konał może w tej męce.

Zacząła iść pośpiesznie, jakby to dotknięcie laską zapóźnionego w handelku mężczyzny, poszukującego tanich wrażeń, było uderzeniem rozpalonej do białości żelaznej szpicruty.

Nie szła, lecz biegła teraz w stronę willi.

Jeszcze kilkakrotnie natknęła się na takie „pst-pst“ i dusza jej ociekać zaczęła grozą i trwogą. Puszcza dla niej zdał się ten spiętrzony wał jaskiń, wyciągniętych w szeregi i ponumerowanych hipotecznie i policyjnie. Gdzieniedzie kłębiło się zwierzę bez zwykłej zwierzęcej, szlachetnej piękności. Płynęły strugi błotne ludzkich ugód wspólnych i ustępstw wzajemnych. Anka biegła mimo w swej jasnej sukience kobiety dobrej i przenikniętej wyższą myślą samopoznania własnej głębi duchowej.

Biegła jednak do swej jaskini, do swego legowiska, czując, że jest za drobna, za słaba, za jedna, aby móżdż przewalczyć choćby tę ustawę, przyjętą milcząco, iż kobieta nie ma prawa pozostać pod sklepieniem nieba, gdy czerń nocna rozwlecze swą ciemnię.

Jak zwierzę nieczyste — kobieta czysta chronić się musi i obwarowywać murem.

Natomiast wolność zyskują dusze i ciała zbłocone, na które rozpościera prawo wspaniały baldachim nocnego szafiru, nabijany brylantami i rubinami drżących wysoko gwiazd.

Tak jest... tak jest...

XXVII.

Za kratą ogródka willi, pomiędzy grzędy narcyzów i rezedy, schroniła się Anka.

Wsluchuje się w szmer płynącej rzeki, oddycha chłodnym powietrzem pól i pragnie znaleźć jakieś ukojenie i trochę spokoju.

Napróżno.

Rozwiało się jej dawne zrównoważenie, to ciche, dobre, spokojne zawiśnięcie w przestrzeni milczącego ptaka, który z góry, z ciepła, z kryształu powietrza, patrzy na objawy ziemskiego życia, kłębiące się pod jego skrzydłami.

Teraz Ance zdaje się, że w niej samej wiele istnień ludzkich dręczy się, walczy, stara się strącić ze siebie smutek i zło gnębiące. A te wszystkie istoty mają tę właściwość, iż z podwójną wrażliwością odczuwają swoje zło i swoją melancholię, lecz wyzbyć się ich nie mogą, czy sił nie mają.

I dla tego rozboleła tak duchowość Anki dziwnie do umęczenia najwyższego.

I dla tego w tę noc szafirową i srebrną, rozpachnioną i rozszemraną, Anka do krat ogródka przywarła ręce i na nich złożyła zbolełą głowę, w którą hydra neurastenii stalowe szpony wpija.

Ojciec, Piotruśka, Stalewski — wszyscy walczą, cierpią, kłębiąc się w poświęceniu swych duchowych sił. Ona przez swoją duszę przepuszcza ich ból i wysiłki, i odczuwa je ze zdwojoną siłą.

Myśl jej biegnie ku ojcu i widzi go w tym ciasnym numerze hotelu, jak siedzi w ciemności, wsluchany w jej słowa, które widocznie sprawiły na nim wielkie wrażenie. Widzi jego rękę, jak powiewa nią gestem siewcy, rozrzucającego treść życia na rozłogi i bagna, słyszy jego głos.

— Dla czego, Anko... dla czego...

Golgota duszy, ogrójec, gdzie pot krwawy płynąć będzie w obrachunku przemarnowanego życia...

Szary cień przesunął się lekko przed wyobraźnią Anki.

— Musi dać na zapowiedzi... nie śmie bić...

I oczy, wpadnięte w dół, gorączką spieczona usta, straszna jakaś determinacja pół-zwierzęcia, gotowego do poniesienia śmiertelnego ciosu w obronie swej wyczutej nagle indywidualności. Piotruśka,

gnająca wichrem za kochankiem. Piotruśka, zbuntowana i domagająca się tego, co ludzie zwą prawem.

W cieniach nocy, w cieniach szynku, pod oknami mordowni i lupanarów, kobieta-kochanka, wyjąca o wieczysty węzeł, łączący ją na dośmiertną niewolę z uciekającym od niej mężczyzną..

Anka aż omdlewa w wyobrażeniu sobie tej nędzy kobiecej.

Nie pachną ku niej narcyzy, ani rezedy senne, nie szemrze cicho woda, nie skrzą się brylanty gwiazd...

Wszystko piękne i czyste ginie i maleje wobec tej żałoby, w jaką popada duch ludzki na usługach tak silnie obwarowanego konwencjami cywilizacji ciała.

Oczy Anki senne, smutne, mimowoli szukają wytchnienia.

Ogarniają willę.

W pracowni Stalewskiego błyszczy światło.

Do połowy zaciągnięta stora przecina tę jasność i czyni ją bledszą.

Na storze, jak na rozpiętym ekranie, migoce lekko cień Jana.

Przy wielkiej lampie, opuszczonej z sufitu, Stalewski pracuje.

Żar, gorączka walki zieje z tego, pozornie spokojnego wnętrza.

Ankę przejmuje uczucie wielkiego współzucia. Z ulgą widzi, iż ten bezbrzeżny poprzedni smutek, z jakim uczestniczyła w walce tamtych dusz, rozplywa się tu prawie, jakby w słodycz cichego poświęcenia.

Tamten „niesmak“, wywołany słowami i istnieniem Stalewskiej, zaginął zupełnie. Anka widzi tylko rezultat swego wysiłku w kierunku zbudzenia ducha w „pajacu“, i tryumfuje teraz, przejęta wzruszeniem.

— Przyjmę na siebie wszystko, co on stworzy — myśli, pełna teraz chęci uczynienia czegoś dla tego człowieka, idącego tak ślepo szlakiem jej stóp — przyjmę i przekonam i świat, i jego, że w nim nie zamarała młodość twórcza i siła, lecz usnęła chwilowo, jak usypia ziarno pod ziemią, aby wejść w stokrotne, wybujałe kłosa.

I pragnienie to rośnie w niej coraz silniej. Postanawia przyjąć na wystawę pod swoim nazwiskiem dzieło Jana, postanawia to niezłomnie. Wie, czuje, iż będzie dobre, wielkie i piękne, wie, iż będzie jej, bo cała jej istota lepsza przepaja sobą twórczość Jana ze szcudrobliwością królewską.

— Bierz! czerp z mego ducha... — myśli silnie, zwrócona i rozmodlona wzrokiem i sobą w stronę jasną bielą błyszczącego okna — drogi, dobry duchu!..

Oddaje mu się tak cała jasna i czysta, wykwitając ze śnieżnych szeregów narcyzów.

Dobra jest i dobroć tę swą promienną wysyła jak gońca ku temu, który w noc bezsenną rozrywa pęta wiążących go lata całe kajdan.

W przeświadczeniu tem, że to, co się w nim dzieje, ona sprawiła, zaczyna ją ogarniać nie uspokojenie, ale jakaś дума radosna.

Tam płonie lampa, rozpalona jej dłonią, i rozświeca kręgi istnienia artysty. Poczyna się w jej świetle dzieło natchnienia, rozwijają się skrzydła, które zgmiotła ohydna, straszna miernota, wysługująca się społeczno-towarzyskiemu artyzmowi.

— Drogi... dobry... — powtarza Anka.

Dla niej w tej chwili Stalewski nie jest mężczyzną w sile wieku, mężem pani Stalewskiej, człowiekiem pięknym, o powabnym uśmiechu i ślicznej cerze, pod koroną srebrnych włosów.

Dla niej Stalewski, ten, którego cień przesuwają się na tle bieli story, to sama abstrakcja, to uosobienie i esencja jego duszy, przez którą w tej chwili wypromieniowuje za pomocą Dzieła jego siła twórcza w formie linii, barw i ich Harmonii. Ku tej abstrakcyi wyciąga ręce Anka i ku niej kieruje się jej szept:

— Drogi... drogi...

W zapamiętaniu tem, nadzwyczajnem i słodkiem, zupełnie niespodziewanie wykwiła ku niej twarz blada, trójkątna, obramowana pasmem czarnych włosów. Twarz ta ma dużo w sobie czegoś ludzkiego, lecz otacza ją poszept tak rozwiewny, że Anka przeczuwa treść i istotę tej myśli, nimbującej dokoła czarowną głowę.

Noc to pełna cudu dla Anki, bo oto opływać ją zaczynają wizye piękne i dobrotliwe, a ona ku nich jak brzoza, wichrem gięta, wyciąga swe ręce.

Ku jednemu jako podporę, ku temu drugiemu z wdzięcznością prawie rzewną.

— Przez niego dla nich!..

— Silnie w tej chwili wybiega drogą myśli ku Narbutowski, tam, gdzie on z taką królewską hojnością rzucił jej najpiękniejszy klejnot rozjaśniający blaskiem cel i przeznaczenie jasnovidzeń artyzmu. Poszła jego torem... co będzie?... co wyniknie? nie wie jeszcze, ale iść pragnęła, iść umiała.

Przyzywa go całą siłą ku sobie, trwoży się i oblicza, czy stało się według jego woli, czy taką ścieżką szła, jaką on jej w myśli zakreślił. Pragnęłaby go spytać, lecz to uczucie odgraniczenia, jakiego doznała, widząc go po raz ostatni, przepelnia ją nieśmiałością.

Zrozumiała wtedy, że coś pomiędzy nim a nią zaszło, że przez ten czas on wszedł w krąg wypadków i wydarzeń silnych, na które

ona nie ma wpływu, bo pochodzą z niego samego i są niejako ciągiem jego istnienia.

Narbuttl..

Wspomnienie ręki, wysuwającej się w ciemności i chwytającej jej rękę, zatarło się w niej niemal zupełnie. Wyższy zatoczył się krąg, inteligencja serca nawet działać tu przestała. Zbudziła się Siła oddziaływania i rozbudzania innych przez moc chęci duchowego ruchu w szlachetnym kierunku. Anka przepojona wdzięcznością myśli o Narbucie. To koło, które ją do niego nie dopuszcza, mistyczne i tajemnicze, czyni go w jej oczach jeszcze doskonalszym i wyższym. Wyjawiał jej Tajemnicę, jej przeznaczenie, i odsunął się teraz w swą świątynię, niedostępną i pogrążoną w lazurze. Pozostawił jej wrażenie wielkiej światłości, która przesunęła się przez jej życie, dała cel objawieniom jej artyzmu, i nagromadzoną mądrość jej życia zużytkowała w rozjaśnieniu ciemni innych istnień. Przedewszystkiem ciemni... Stalewskiego.

Tak.

Narbutt dał jej Stalewskiego.

Pozwolił jej zwracać się w tej chwili do tej szarej sylwetki, snującej się na bieli franki z dziwnem, porywającym uczuciem, które sprawia jej rozkosz niezrównaną.

Teraz rozumie, dla czego nie czuje już „niesmaku“ na myśl o Stalewskim żonatym, Stalewskim, uznanym ilustratorze, panu willi, obywatelu, wyborcy i t. d.

Ona po prostu tego Stalewskiego już nie zna.

Ten człowiek z krwi i kości, dla niej nie istnieje. Żyje tylko ten drugi, wolny, wielki, twórczy, cichy i jasny.

Żyje ten — cień!

A właściwie cień ten, to sama treść istoty; cielesność, to powłoka chwilowa, zmateryalizowanie konieczne, i ono to dźwiga ciężary i słodczyce ugód społeczno-towarzyskich.

Ono „musi“...

Ten cień — nie zna musul..

Anka oddechyla lżej.

Ten podział, to wysondowanie swego uczucia, czyni ją nad wyraz szczęśliwą. Nie będzie doznawała goryczy na myśl o Janie. Samo szlachetne i piękne wrażenie wykwitać w niej będzie na myśl o tym... drogim.

Nie popełni nic zdrożnego, nawet w zasadach, przyjętych przez świat, wolno wykwitnąć uczuciem na tej ścieżce. Nie lęka się, że spo-

tką się tam z tą kobietą, rozdzwonioną brelokami i grzechotkami błyskotliwej swej natury. Ścieżka to cicha, po obu stronach obwarowana milczącymi Archaniołami, o stulonych, jak liście hyacentu, skrzydłach. Milczą Archanioły, trzymając nieruchomo ręce, złożone na uśpionych piersiach. Ścieżką tą iść trzeba wolno, spokojnie i cicho, aby nie spłoszyć skrzydlatych Strażników.

.Jeżeli się zbudzą bodaj krzykiem, lub zgrzytem, ulecą, rozwiawszy skrzydła...

A ścieżka w mgłę się rozwija...

.

Anka stoi tak cicha i milcząca przy kracie, sama, jak archanioł, owiana wonią narcyzów.

Nagle, drogą od miasta, wloką się jakieś głosy.

Ktoś mówi, sprzecza się, drwi, szydzi, to znów wybucha gniewem.

W Ance, która zaczynała wnikać w prawdziwą istotę szczęścia, w ten rdzeń, z którego wytryska poznanie, a więc odczucie takiej cichej, szeroko rozpostartej błogości dusz prawych—ten głos, a raczej te zmieszane głosy, odbiły się bolesnem echem.

Doleciały do niej falą—lecz ich treść, ich myśl rozlewa się już w niej tragicznością niecodzienną. Nie może sformułować, czego chcą, ci ludzie, o co im chodzi; ona tylko, będąc sama w ekstazie czystej prawdy, przeczuwa, iż tam jest także pościg za prawdą i spokojem lecz pościg na błędnej ścieżce, pełnej majaków, widm i uludy.

I wie, czuje, kto tak wlecze się tą ścieżką.

Gdyby głos nie rozkołysał dzwonu fal powietrznych, ona, swą astralną istotą, wybiegłaby, na spotkanie. Myślą przed chwilą powiała ku Narbuttowii, jak rozkwitłym pod ciepłym jej dłoni kwiatem.

I oto szedł on sam.

Lecz za nim włókł się czarny cień.

Leljan!

Idą.

.

Kroki Narbutta w zygzak szaleją. Chwilami wstrzymuje się nad brzegiem rzeki i kołysze się tak, jakby wahał się, czy nie paść głową na dół. I zaraz z ironicznym śmiechem rzuca:

— A jakże... wydmie się brzuch... Ofelia jak balon, albo pęcherz, nadęta pływa .. flak, flak... po wierzchu fali. Lubicie Kamelje... Ofe!-jolo.. tobie pisałem, królowo... Zanadto kocham piękno... ażebym ginała, jak ta dziewczka anemiczna... co?..

Zwraca się i przecina gościniec, tuląc się niejako pod mury i sztachety willi.

Natyka się na Leljana.

— Stróżuj! — mówi ochryplym głosem — stróżuj, bo jeszcze łeb gdzie sobie rozwalę i cały „sznitt“ śmierci dyabli wezmą. Stróżuj, Neuronku z Krowodrzy... Żywa pochodnia? ha? Tylko zamiast słomy i smoły, absyntu zielonego, fałszowanego, szklaneczek dwie. Pół jednej w moją wybitną indywidualność, pół za kołnierz w fałdy flanelowej higienicznej koszulki, druga... znów w indywidualność i trochę z niej w mordę kołtuna, który jadł wurstla, i pił... co on pił?..

Zatrzymał się i myśli. Kołysze się na rozstawionych nogach, tragicznie ściga bruzdy na czole i myśli...

— Co on pił?..

Bawi go to, że w tej właśnie chwili, kiedy w najszersze horyzonty dusza mu się wyrывa, kiedy to koło, zatoczone czarodziejско, ogarniać zda się wszechświaty, a z nimi może jasność zagadki bytu, on ma władzę, ma możność ściągać cugle, smagać biczyskiem najdrobniejszych czynów, nie mających dla krótkowzrocznych nic z duchem wspólnego.

— Wurstle... i co on pił?

Tragiczność go otaczała wielkiej, czarnej, tajemniczej nocy. Z ziemi, z wody, z płonących w oddali ogni, dobywały się przecucia uspokojenia tych, którzy zwątpili. Wszystko wiało możnością powrotu rozdrobnienia jedności, rozdrobnienia pozornego, formy przejściowej, łańcucha pereł Buddy, powiązanego ogniwami myśli, pełnych cudu.

Czuł to, rozumiał pijany mózg Narbutta, rozumiał właśnie może jaśniej i doskonalej, niż w chwili sennej twórczości. Płonął, i tym płomieniem łączył się z ogniem, tryskającym purpurą i ciepłem, płynącym z ziemi i z ruchu napozór śpiącego świata. On stał na punkcie, z którego przenikał ciemności, bo wewnętrzny żar podniecał mu myśl, a myślą dążył tam, gdzie objawienie słowa wstępu mieć nie może.

I pomimo to działał podwójnie. Myślą szybował, przenikał, zgadywał, słowami mścił się za nieudolność wyrażenia tego, w czym duch jego nurzał się i pławił.

A więc powtarzał:

— Co on pił?

Leljan syknął zniecierpliwiony:

— Idź!..

Narbutt ramionami wzruszył.

— Czego ty mnie t a m wleciesz? Gdy przyjdzie czas, trafię sam. Pozostanę nieruchomy na właściwym miejscu, i przyjmę na się rolę przeczenia dla tych, co węższą rozkład ciała, aby z czystym sumieniem powiedzieć: Aha... niema nic!.. Szesnaście moich części, z których się złożył mój człowiek, rozleje się w zieloną maź... Ozirys miał wracać po 3,000 lat przecież... zielona maź!..

Leljan ujął go pod rękę i wolno gościńcem włókł.

— Chodź!.. przekonasz się, czy poczujesz dreszcz. Powiesz mi? co?

— Neronku Krowoderski .. Neronku...

— Milcz!

— Co? co? niepodoba ci się to miano? Głupiś! Chcesz wiedzieć?

Głupiś!..

Szarpnął się i znów stanął na środku gościńca.

— Głupiś!

Byli tuż pod willą Stalewskich. Anka ukryła się za sosną amerykańską, rosnącą w kącie ogrodu.

Drżała, było jej zimno, smutno, straszno.

— I chcesz, żebym ci powiedział prawdę?.. — zaczął Narbutt z uporem pijaka — to ci powiem, że ja ciebie całego znam... nawskroś... Ty masz fluid, ale to bezwiedny... fluidem działa szynkarz w karczmie, gdy chce rozpoić chłopa, fluidem działa Napoleon, gdy pchał ludzkie ścierwo na armaty, fluidem działa pomywaczka, z którą zdradza mąż elegancką i mądrą żonę, fluidem wywiódł Mojżesz Izraelitów z Egiptu, fluidem wiał Kryszna, Hermes, Mahomet, Cagliostro i inni prestidygitatorzy, o sławie wszechświatowej... Fluidem działa na nas, na mnie, na ciebie, durniu jeden, księżyc... kiedy wyjesz do niego z tęsknoty...

Zatrzymał się i nagle w dziwny jakiś sposób, strasznie nieludzki, a przecież nie zwierzęcy, zawył przeciągle, jękliwie.

— O... jak mnie roznosi! — dorzucił, wsłuchując się, jak jęk biegł i konał w oddali.

I porwała go czkawka.

Rad jej był, zaakcentował ją silnie.

— Jak się to zwierzę żali... — zachichotał — że mu za pełno po brzeg naleli...

I cichym głosem dodał:

— Nie dobrze mi... tu gdzieś pachną kwiaty... Po co one pachną?.. to w sercu grzebie pazurem... Won z nimi!.. niech zgnijają!..

Czepił się krat i z niepojętą siłą zaczął je rozsuwać.

— Tu... tu są kwiaty...

Leljan pociągnął go znowu.

— Chodź do lasu. Tam niema kwiatów. Zobaczysz, gdzie staniesz się Sahu ¹⁾).

Narbutt, nie puszczając prętów, aż przegiął się, jak kłown, ze spazmatycznego śmiechu.

-- Sahu!.. Sahu!.. Ty durniu... czego ty używasz słowa i słowa. Sahu!.. Ty fluidem swoim bezwiednie możesz nakazać nawet gest śmiertelny, ale nie słowo w m. Tyś... nazwał się Sar Peladánów, Catulle-Mendèsów, błazeństw Rachildy, i teraz wymiotujesz to ze siebie, a kołtuny myślą, że to twoje.

Wstrząsnął prętami i naraz, osunąwszy się na kolana, zaczął się żalić:

— Och, te kwiaty!..

I w ślad potem:

— Och, ta czkawka!..

Nagle ku niemu rzucił się Leljan:

— Jakaś mnie nazwał?

— Durniem!..

— Mnie?

— Ciebie, Kaligulo... Demonie z Mościsk... Fujaro przedęta z wód Gangesu... psie Prestigiariusie snobów, o kołtuńskich pyskach...

— Milcz...

-- Nie, nie zamilknę, boś wżarł się we mnie i jesteś siłą mego czynu i inspiracją mego ostatniego gestu... Ale zrozum, że tyś tylko mechaniczna siła, bo to, co mnie w śmierć niesie, to nie twoja wola... ale moja własna i moje Pragnienie wrócenia do tego, z czego się ode-rwałem...

Leljan pochylił się nad nim.

— Łżesz!.. to ja was wszystkich na śmierć wysyłam.

¹⁾ T. j. istniejącym już tylko duchem.

— Och! och!.. Leljanku... uzurpujesz sobie prawa Imperatora... Chcesz przejść w stan legendy... Ty łżesz... boś za żaden i jeszcześ na dziesiątym podemną stopniu. Ja stoję na granicy, która ma poza swym lasem świętym pojęcia, tobie jeszcze nie wysnione...

— Co ty wiesz?.. Ja będę pisać dzieło o Jaźni.

— Istota bytu... och, te kwiaty!..

Lecz Leljan, rozzłoszczony prawie po dziecinnemu, usiadł Narbuttwi na karku.

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi.

-- Duszo! sercel nie mogę!

— Przyznaj!..

Dławił i dusił pijanego Narbutta. Ten puścił pręty z rąk, a że wetknął głowę do wnętrza ogrodu, pręty zacisnęły się w koło jego szyi i uwięziły go w pułapce.

— Och!... złapały mnie demony — jęczał Narbutt — i uwięziły głowę nad kwiatami!

Zaczął się szamotać, lecz nie mógł się wydostać.

— Trzymają, jak w kleszczach... a te kadzielnice żywe modlą się ekstazą w nocną ciszę pod moim rozemdlonym nosem...

I porwany furją obrzydzenia wszystkiego, co piękne, zawołał:

— Gińcie .. ohydnie... jak ja ginę!..

Struga cuchnącej cieczy polała się z jego ust prosto na śnieżne narcyzy i pokorne, aksamitne bratki.

W Ance zamierała dusza.

.

Szamotanie u prętów trwało dalej.

— Dopomóż, Neronku, wydostać się...

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi.

— Co ci z tego przyjdzie, kiedy ani ja nie wierzę, ani ty...

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi...

— Przyznaję!..

Leljan zeskoczył z karku Narbutta i pręty rozsunał.

— Chodź!..

Ciężko dźwignął się z ziemi Narbutt.

— Dziękuję ci. Człowiek nie lubi patrzeć i wachać własne zbrodnie i nieczystości. Co chcesz?.. jestem jeszcze z szesnastu części złożonym pawianem...

— Chodź!..

— Ty chodź do miasta... ja już wiem, gdzie to jest... ja tu trafię... szlakiem twoim... i tamtego... Tu on jeszcze fosforyzuje... ty go nie widzisz, boś niższy ode mnie... ja go widzę, jak się po drodze rozwłókł... o!..

Ance żywo stanęła przed oczyma wizya czarnego wozu, sunącego drogą ze zwłokami samobójcy, a za nim te świetlane punkty, rozwleczone po drodze, to coś promiennego, co zgasnąć nie mogło.

Teraz Narbutt wziął pod rękę Leljana.

— Wytrzeźwiałem trochę... zapraszam więc Nerona na orgię... Fortepian ochrypli... peniary podejrzaney czystości... kapłanki z Kolumyi, świeżo od balii porwane... a potem czarna kawa z cykoryą w spelunce żydowskiej...

I już z oddali:

— *O!.. la tristesse de tout celal..*

.

Cisza zapanowała zupełna.

Tylko delikatnie szemrzą fale rzeki, a w mieście gasną światła jedno po drugim.

Anka stoi nieruchoma, lękając się nadejścia świtu.

Bo on rozświetli zbezczeszczone kwiaty, i jej twarz poblądła, i jej duszę zmartwiała.

Mimo wszystkiego bowiem, czuje wyższość i siłę Narbutta ponad jej siłą, i jest on zawsze wołą jej woli, tak, jak Leljan jest znów wołą jego woli.

I dla tego rozumie dobrze, iż nie poradzi nic i jest bezsilną względem niego, względem tego stoczenia się na dno po wyzwolenie

mordercze, zbyt wczesne i tem samem katowskie w swych skutkach.

Anka, przeciążona bolem, pragnie jakiegoś wytchnienia.

I oto źrenice jej, łez i smutku pełne, zwracają się tam, ku temu oknu, poza którym światło nie gaśnie.

Snadź zbudzona dusza już zasnąć nie może, czy nie chce.

(D. c. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

RELIGIJNE ŻYCIE LONDYNU.

„Wielkie miasto—ty płatanino dzieł ludzkich i ludzkich ciał, zimnych granitów i serc gorących. Ty wielka sieć, w której szamocą się piękno i ohyda, upodlenie i anielskość! Kto ciebie zdołałby zrozumieć, zrozumiałby tajemnice dzisiejszego życia.“—Temi słowy znany pisarz angielski wita wysuwające się z pośród mgieł kontury miasta. Uczucie i wyobraźnia, podniecone świadomością zbliżania się upragnionego celu, podyktowały powyższe słowa, nie mniej jednak w ostatniem zdaniu kryje się głębokie, obiektywne zrozumienie prawdy dzisiejszych warunków bytu. Zawsze miasta odgrywały wybitną rolę w życiu narodów, lecz dopiero stosunkowo niedawno, z chwilą, gdy—na zachodzie przynajmniej—skupiła się w nich większość ludności, gdy w nich wykluwające się kwestye wstrząsają całemi społeczeństwami, miasta stały się niejako uosobieniem tych społeczeństw. Nasza epoka jest epoką wielkich miast. I wraz ze zrozumieniem tej prawdy, coraz silniej utwierdza się przekonanie, że nie gdzieindziej tylko w miastach szukać należy „tajemnic dzisiejszego życia“. I wszyscy pragnący poznać tajniki bytu dzisiejszych społeczeństw, za specjalny cel swych studyów obierają miasta.

Założycielem czysto nowożytnej nauki o miastach jest, jak wiadomo, Charles Booth. Pierwsze tomy jego pracy noszące ogólny tytuł „Życie i praca ludności Londynu“ („The life and labour of the people in London“) zostały opublikowane w r. 1899. Metoda dzieła, system gromadzenia i użytkowania danych statystycznych, były tak oryginalne a jednocześnie ścisłe, wyniki badań tak przykuwające uwagę, że dzieło zyskało uznanie fachowych statystyków, a cały świat inteligentny odrazu, bez dyskusji, uznał niezmierną, praktyczną wartość nowej nauki. Prace Booth'a znalazły poważnych naśladowców w Europie i Ameryce. Seclohm Bowutree tą samą metodą zbadał York a obecnie analogiczne badania prowadzą się w Sheffield. Lecz i sam Booth nie spoczął na laurach i pracował dalej. Po pierwszej

części zatytułowanej „Bieda“ (Poverty) wyszło pięć tomów „Przemysłu“ (Industry), gdzie znajdujemy klasyfikację ludności według zajęć i przedstawienie warunków pracy każdej grupy. Booth, zgłębiając coraz więcej życie Londynu, przekonywał się, że szczegółowy opis pozostaje niekompletny, o ile, oprócz czynników ekonomicznych, nie są zbadane „inne wpływy społeczne, tworzące nierozzerwalną część samej struktury życia.“ Filantropia, organizacja i wpływ samorządu, kwestya mieszkań--wszystko domagało się systematycznych, szczegółowych badań, lecz Booth wybrał sobie dziedzinę, pociągającą go najbardziej—dziedzinę wpływu religii na masy. I w roku ubiegłym, wraz z nowem, uzupełnionem wydaniem poprzednich dzieł, ukazało się po raz pierwszy siedem tomów zatytułowanych: „Wpływy religijne.“¹⁾ Dzieło to, najzupełniej pomijając wszelkie sprawy dogmatów i przekonań teologicznych, przedstawia obiektywnie stan religijności mieszkańców Londynu i daje dokładny opis działalności różnych kościołów, sekt i organizacji religijnych. Czytelnik jednak nie może nie odczuć, że człowiek, który tekst badania przeprowadził i w którego sądach wprost nie sposób dopatrzeć się najslabszego nawet subiektywizmu, posiada usposobienie głęboko religijne, a już sama ilość tomów wskazuje na wagę, jaką autor przywiązuje do religii, jako czynnika w życiu społecznem.

„Głównym celem książki—jak mówi Booth w przedmowie—jest opisanie stosunków tak, jak one są. Nie miałem na celu określania jak powstały te stosunki, ani też nie wskazuję—chyba tylko przypadkowo—ogólnych tendencji. Te ostatnie zagadnienia są niezmiernie ważne i nie powinny być ignorowane, lecz znajdują się po za obrębem moich badań. Tem bardziej nie występuję, jako krytyk prawd religijnych. Stosunek mój do kwestyi religii polega tylko na dowiedzeniu się, w jakim stopniu ludność przyjmuje doktryny, ulega dyscyplinie i bierze udział w pracach instytucji religijnych...“ oraz jakie są skutki wywierane faktycznie lub pozornie na życie ludności przez te wpływy. Z tak zakreślonym celem, Booth w towarzystwie kilku fachowych współpracowników stanął do pracy. Stosowanie statystyki przy badaniach tej dziedziny jest oczywiście niezmiernie ograniczone, trzeba więc było poprzestawać na zbieraniu opinii, sprawdzaniu zapatrywań wyrażanych przez duchownych i pracowników w misjach kościelnych, oraz notowaniu własnych spostrzeżeń. Przedsięwzięto

¹⁾ „Life and Labour of the people in London“. Pierwsza serya: „Poverty“—4 tomy; druga serya „Industry“—5 tomów; trzecia serya „Religions Influences“—7 tomów i jeden tom dopełniający.

całe lata trwającą „wyprawę“ po Londynie, zatrzymując się po kilka miesięcy w każdym okręgu miejskim. Pierwszą placówką wyprawy była wysunięta najbardziej na wschód część Londynu—„Psia Wyspa“, a stamtąd posuwano się coraz dalej ku północo-zachodowi, by wrócić następnie do centrum, zbadać stosunki w zachodnich dzielnicach i wreszcie—na południowym brzegu Tamizy. Ponieważ, oprócz religijnych wpływów, badano jednocześnie położenie ludności pod względem ekonomicznym, poziom moralności, stopień zainteresowania się sprawami publicznymi i t. p., więc działalność ciał religijnych na takim tle rzucona, uwypukla się i drga życiem; widać warunki wśród których duchowni pracują i wpływ wywierany przez nich na otoczenie.

Oto czysto robotnicza dzielnica „dalekiego wschodu“ londyńskie-go: większość ludności, stosunkowo niedawno dopiero, przybyła ze wsi; wiele osób dorosłych nie było nigdy w środku Londynu; na ogół biorąc, biedy tu niema, okoliczne fabryki dostarczają stałego zajęcia, mieszkańcy są względnie dość oszczędni i zapobiegliwi, choć jednocześnie oddają się sportom i rozrywkom; kobiety—co nie jest wśród mieszkańców Londynu prawidłem ogólnem—pracowite, a pijaństwo wśród nich należy do wyjątkowych wypadków; poziom moralności obyczajowej średni, przestępstwa kryminalne nadzwyczaj rzadkie; dziewczęta, przeważnie robotnice fabryczne, cenią swą niezależność, część z nich chętnie bierze udział w stowarzyszeniach, życie płynie tu równo i spokojnie. Zdawaćby się mogło, że takie warunki sprzyjać mogą krzewieniu się pojęć i uczuć religijnych, tembardziej, że nie brak odpowiednich wysiłków: oprócz anglikańskiego duchowieństwa pracują tu misye katolickie, wesleyanie, metodyści i cały szereg drobnych i uboższych sekt. Lecz religia, a nawet jej cechy zewnętrzne, grają niewielką rolę w życiu ludności i wszyscy księża bez różnicy zgadzają się co do tego najzupełniej. „Ogół—twierdzi jeden z duchownych—ogół poprawił się, lecz w gruncie pozostaje zasadniczo niereligijny“; w kościołach zgromadzają się na nabożeństwa tylko nieliczne zastępy słuchaczy. Przewodniczący jednej z parafii skarży się, że, chociaż niema żadnej antyreligijnej propagandy, jednakże ludność usposobiona jest dla kościoła wprost wrogo. Uczestnicy misyi kościelnej, będący głęboko wierzącymi ludźmi, poświęcającymi cały swój wolny czas pracy misyjnej, oświadczają, że ich trudy idą na marne, gdyż liczba uczęszczających do kościoła i kaplic zmniejsza się stale. Misya protestancka, której udaje się szerzyć swoje wpływy, otrzymuje poparcie głównie, dzięki rozdawaniu wśród najuboższych, odzieży i węgla. Wszędzie, w całym okręgu, skargi i tylko skargi. Jedyną instytucją, utrzymywaną przez duchowieństwo i cie-

szącą się powodzeniem, jest tu stowarzyszenie dziewcząt fabrycznych stowarzyszenie religijne, lecz rozwijające różne formy samopomocy społecznej.

Okręgi położone na wschodnich krańcach miasta, nie są jednak, jak się okazuje, wyjątkowo złe. Booth ze swym obozem posuwał się coraz dalej, badania pokryły kilkumilową przestrzeń od „Pisiej Wyspy“ do Victoria Parku i wszędzie znajdowano podobne stosunki. Ku środkowi miasta coraz częściej spotykać można warstwy ludności, stojącej lepiej pod względem ekonomicznym, lecz równocześnie coraz częściej spotyka się uliczki zamieszkałe przez nędzarzy. Niektóre kościoły, dzięki ciąglej, wytrwałej, z poświęceniem prowadzonej pracy misyjnej, zdołały zgromadzić i utrzymać dość liczne kongregacje wiernych, rekrutujących się przeważnie z warstw zasobniejszych, lecz i tu „nawet ci, którzy uczęszczają na nabożeństwa niedzielne... są absolutnie obojętni na wszelkie dogmaty teologiczne“. W parafiach, zamieszkałych przez ludność uboższą—a takich jest większość—słychać też same skargi na zupełną obojętność religijną. Kilku wikarych oświadcza, że do ich kościołów na nabożeństwa nie przychodzi nigdy więcej niż dziesięciu mężczyzn z całej parafii, liczącej tysiące. „Z pomiędzy 70 rodzin, mieszkających na jednej ulicy—informuje pewien misjonarz—tylko 2 uczęszczają do kościoła, a z pomiędzy 1199 osób zamieszkałych na tych ulicach, zaledwie 29 uznaje się za wierzących chrześcian“. Każdy kościół, każda organizacja religijna posiada grupę szczerych współpracowników i wiernych parafian, lecz rezultaty pracy duchowieństwa bynajmniej nie są proporcjonalne do wysiłków. Nie można twierdzić, że niema żadnych rezultatów, że ludność stoi całkowicie poza obrębem wpływów kościoła, bynajmniej; nie mówiąc już o kościołach: anglikańskim, protestanckim, katolickim, wszyscy nonkonformiści: presbiterianie, baptyści, wesleyanie, unitaryaniści i t. d. mają licznych zwolenników. Mniejsze sekty—braci z Plymouth, swedeborgianów, spirytualistów, mormonów, izraelitów brytańskich, adelfijczyków,—również mnożą się, rosną, gdzieniegdzie nawet dość silnie. Każde z nich uważa swą własną naukę i własne tłumaczenie problemów religijnych, jako najdoskonalsze i głosząc to, co uważa za prawdę, spotyka się zwykle z takim samym powodzeniem, jak inne sekty, powodzeniem, któremu nieraz grozi widmo upadku; niemal wszystkie zajmują się filantropią, jako prowadzącą do dalszych, wyższych celów. Lecz rezultaty tych zbiorowych a różnorodnych wysiłków, są niemal niewidoczne. Szerzego zainteresowania się sprawami religijnymi—żadnego. Masy wschodniego Londynu nie biorą udziału w życiu duchowem i są obce kościołom. Jednocześnie zaś nie można powiedzieć, by wśród tych

mas istniała czynna lub bierna niechęć ku instytucjom religijnym; przeciwnie, wiele celów, o których osiągnięcie kościół walczy, spotyka się z ogólną sympatją, lecz z sympatją, nie wyrażającą się niczem na zewnątrz. W gruncie tej obojętności leży nie niechęć, lecz apatya, której nawet największe wysiłki usunąć nie mogą. Księża-misyjonarze, którzy spędzili po lat kilkadziesiąt w tem środowisku, ze smutkiem wyrażają się o rezultacie swych trudów. „Śród tego wszystkiego—pisze jeden z nich—jedyną nadzieją moją jest osobiste przyjście Chrystusa. Tylko przyjście Pana może zmienić obecny stan rzeczy.“

Wdzięczniejsza jest praca wśród młodego pokolenia. Szkoły niedzielne, utrzymywane przez kościoły, przyciągają młodzież, dzieci lepiej zarabiających robotników chodzą regularnie na naukę religii, nawet, gdy rodzice są wyraźnymi ateistami. Dzieci lubią te niedzielne zebrania, urozmaicone śpiewami i muzyką, a rodzice pozwalają im chodzić do szkół niedzielnych, nie troszcząc się zbytnio o to, jakie dogmaty są tam głoszone. Należy przypuszczać, że w wielu wypadkach ze strony rodziców gra rolę raczej chęć pozbycia się dzieci z domu na kilka godzin, niż świadome uznanie potrzeby nauki religii, w rezultacie jednak dziecko, stale uczęszczając przez lat kilka do niedzielnej szkoły, przyzwyczaja się do poważnego spędzania niedzieli i następnie, opuściwszy szkołę, chodzi regularnie do kościoła. Szkoły ludowe, utrzymywane przez różne organizacje religijne, uważane są przez mieszkańców wschodniego Londynu za lepsze, niż zwykle miejskie szkoły, a wśród starszej generacji już dziś poczyna powoli formować się przekonanie, że właściwem jest, by dzieci uczyły się religii. Próby utrzymania wpływów kościoła na dorastającą młodzież płci obojga również spotykają się z powodzeniem, choć stowarzyszenia, w tym celu pomiędzy młodzieżą organizowane, mają czysto świecki charakter. Specyalna propaganda religijna wśród kobiet cieszy się tylko względnem powodzeniem. „Zebrania matek“, odbywające się regularnie przy każdym kościele, gromadzą niewiele uczestniczek i z pośród tych niewielu część przychodzi głównie w tym celu, by mieć prawo korzystania z zapomogi, udzielanej potrzebującym. „Dorośli mniej są podatni na wpływ kościoła, lecz dzieci garną się do nas—twierdzi pewien duchowny—jest więc nadzieja, że następna generacja inną będzie niż dzisiejsza“. A dziś już rezultatów pracy duchownej szukać należy nie tylko w samej ilości wiernych, gromadzących się w kościołach, lecz również we wpływie wywieranym na usposobienie warstw, które nigdy na nabożeństwa nie chodzą. I, o ile opis niektórych zaułków wśród doków londyńskich nie sprawia wprost przygnębiającego wrażenia, to tylko dla tego, iż widać, że niektórzy du-

chowni potrafią wśród nawpół dzikich mieszkańców zjednać sobie posłuch i poważanie, choć nie potrafią wpłynąć na zmniejszenie się pijaństwa i niemoralności.

W miarę tego jak ku środkowi miasta wzrasta ilość mieszkańców, należących do klasy średniej, stosunki religijne poprawiają się, w kościołach podczas nabożeństw niedzielnych gromadzą się liczne rzesze, w pośród których księży znajdują chętnych współpracowników na polu filantropii i propagandy. Kilka środkowych okręgów znajduje się jednak w stanie przejściowym: przemysł wkrada się do domów mieszkalnych, całe ulice zostają zajęte przez drobne fabryki i rękodzielnie. Zrażone takim sąsiedztwem klasy średnie, wyprowadzają się, a na ich miejsce napływają elementy nie podtrzymujące nawet zewnętrznych cech religijności. A w dzielnicy Whitechapel, z powodu ogromnego napływu żydów, stosunki w ostatnich czasach pogorszyły się znacznie; tutaj nawet zasobne kościoły anglikańskie gromadzą bardzo nieliczne kongregacje; placówki misyjne, jeszcze kilka lat temu dość liczne, zostały zamknięte lub przeniesione, cały szereg kaplic przerobiono na synagogi. W okręgach, nie dotkniętych jeszcze inwazyją żydowską, kościoły są licznie uczęszczane, lecz ci uczęszczający, to różne warstwy klasy średniej, bo robotnicy i rzemieślnicy trzymają się zdala od kościołów, a ubodzy, o ile przychodzą, mają na celu korzyści doczesne, jakie stąd odnoszą. Grają więc, według trafnego wyrażenia pewnego duchownego, rolę „ciurów, wlokących się za obozem kościelnym“. Przy kilku kościołach zorganizowano, w celu osiągnięcia warstw robotniczych propagandę religijną, duże stowarzyszenia; lecz wszędzie, o ile stowarzyszenie miało istnieć i rozwijać się, okazało się niezbędnem zaprzestanie szerzenia odpowiednich wpływów, co więcej w niektórych miejscach istnieje wyraźna nieprzyjaźń pomiędzy takimi stowarzyszeniami a utrzymującymi je organizacjami kościelnymi. W klasie rzemieślniczej wytworzyła się pewnego rodzaju opinia, nakazująca trzymanie się zdala od kościoła i kto ten zwyczaj łamie, jest przez sąsiadów wyśmiewany. Pomimo tej dziwnej odporności klas pracujących, księży różnych denominacji ufają tu w przyszłość więcej, niż księży wschodniego Londynu; kościoły tu są pełne, chętnych słuchaczy nie brak, a wobec tego obojętność warstw niższych nie daje się bardzo odczuwać. Wyjątek stanowią kościoły katolickie, do których uczęszczają nawet najbiedniejsi i gdzie na nabożeństwach znajdujemy całą mozaikę stanów.

Stosunki, napotymane w miarę posuwania się ku zachodowi wzdłuż północnej granicy miasta, stają się coraz więcej złożone, i wskutek tego coraz więcej komplikuje się praca organizacji kościelnych. Na zachodzie kościół ma do czynienia z dwoma warstwami:

z fachowymi i niefachowymi robotnikami. Blżej ku środkowi napotyka się znaczną przymieszkę niższych warstw średniej klasy. Dalej na północ i na zachód — w dzielnicach Highgete, Kentish Town i sąsiednich — niższe warstwy klasy średniej mieszają się z właściwą klasą średnią i wyższymi warstwami klasy średniej. Liczba klas wzrasta z dwóch do pięciu, gdzieniegdzie nawet spotykają się warstwy zamożne, lecz obok wciąż widać najniższe warstwy społeczne — biedaków. Duchowni, pragnąc dotrzeć i utrzymać wpływy pomiędzy ogółem, inaczej muszą przemawiać do każdej klasy, stosować różne metody pracy i stale poruszać kwestyę obowiązków bogatych względem ubogich, kwestyę, której nie potrzeba podnosić we wschodnich dzielnicach. Liczne tutaj kościoły mają szerokie wpływy wśród klas średnich i z pomocą tych ostatnich rozwijają szeroką systematyczną propagandę, mającą na celu zburzenie tej ściany, jaka oddziela kościoł od warstw niższych. Lecz i tutaj, pomimo wszystkiego, rezultaty są takie same jak gdzieindziej, a pod pewnymi względami gorsze. Mianowicie różne, rozporządzające znacznymi środkami sekty, nie znajdując nowych zwolenników, starają się o nawracanie członków sekt konkurencyjnych i to współzawodnictwo, rozwinięte tak silnie jak nigdzie, ma wpływ wysoce demoralizujący. Wesleyanie urządzają odczyty na wieczornych nabożeństwach — protestanci robią to samo; kościół anglikański założył stowarzyszenia zapomogowe — powstaje wkrótce cały szereg podobnych stowarzyszeń założonych przez nonkonformistów. W takich warunkach, celem pracy staje się nieraz li tylko ilościowe lub finansowe powodzenie, a ponieważ dla jego osiągnięcia nie żałuje się datków, więc należy obawiać się, że część ubogich, uczęszczających do kościoła, jest wprost kupiona czysto ziemskimi dobrami. W niektórych okręgach (Lisson Grove) na takim gruncie wyrosła filantropia; przybrała znaczne rozmiary i tak zepsuła mieszkańców, że wszelka prawdziwie religijna propaganda stała się niemożliwa. Armia Zbawienia, gromadząca tam poprzednio do swej sali na śpiewy religijne i kazania sporo ludzi, znalazła się po pewnym przeciągu czasu bez słuchaczy i, przystosowując się do miejscowych warunków, przerobiła salę misyjną na przytułek, a swą czysto religijną działalność przeniosła w inne strony.

Szkoły, przytułki dla sierot, domy dla starców i kalek, utrzymywane przez kościoły zamożnej dzielnicy Hampstead, posiadają trwałe podstawy bytu i są instytucjami wysokiej użyteczności. Obok tych form filantropii, uprawiana jest jednocześnie inna, polegająca na udzielaniu bezpośredniej pomocy każdej potrzebującej rodzinie, ponieważ jednak taka pomoc dawana jest na własną rękę przez kościoły różnych wyznań, więc biedni rozwinęli do niesłychanej gdzieindziej

doskonałości sztukę brania jałmużny odrazu z kilku miejsc; a licząc jałmużnę, jednocześnie chwala się przed sąsiadami, jakich ostrożności muszą używać przy uczęszczaniu na nabożeństwa, by druga strona nie dowiedziała się o tem. Oczywiście, niewłaściwem byłoby przypuszczenie, że jedynym motywem miłosierdzia jest wywieranie religijnego wpływu, lecz prawie zawsze motyw ten jest obecny; w każdym razie, jakiegokolwiek są te motywy—biedni zostają zdemoralizowani, a sprawa religijna cierpi.

Niektóre kościoły — odznaczają się tu szczególnie nonkonformiści—poruszyły, zdaje się, wszystkie możebne sposoby, aby dostać się do tych niedostępnych warstw ludowych. Oto misya lecznicza, złożona z dwóch doktorów, felczera i kilku sióstr zakonnych, darmo ofiarowująca swą pomoc i lekarstwa. W poczekalni, podczas godzin przyjęcia, odbywa się krótkie nabożeństwo i myśli słuchaczów zostają skierowane do Lekarza, uzdrawiającego wszystkie cierpienia ludzkie. Tam znów utrzymywane jest przy kościele biuro bezpłatnej porady prawnej; gdzieindziej—kasy oszczędności, stowarzyszenia zapomogowe, biura pośrednictwa pracy. Niektóre szkoły przy kościołach dają swym uczniom bezpłatne śniadania i obiady. Szkoły niedzielne, dawane w gmachach kościelnych koncerty lub odczyty ilustrowane świetlnymi obrazami — wszystko to stoi otworem dla każdego przechodnia. Widać, że organizatorzy pragną dopomóc ludności zarówno w doczesnem, jak i przyszłem życiu. Nieraz chęć przyciągnięcia szerszej publiczności do kościoła, doprowadza inicjatorów za daleko i wówczas mimowoli rodzi się pytanie, czy nie jesteśmy świadkami niesmacznego zwulgaryzowania religii, spowodowanego zawsze prawie jak najlepszymi chęciami. Każdego mieszkańca katolickich krajów Europy, przybywającego do Londynu, rażą ogłoszenia na kościołach, rażą reklamy zapowiadające kazania, umieszczane tuż obok zwykłych, kupieckich reklam. Tutaj jednak jest to zwyczajem powszechnym, który nie razi nikogo i niebezpieczeństwo zwulgaryzowania pracy religijnej leży raczej w nadużywaniu tych ogłoszeń oraz ich niewłaściwym tonie. „Przyjemnie spędzi popołudnie każdy, kto przyjdzie do kościoła N. N.: kazanie na temat „życie Gladstona,“ muzyka, chór wykona ulubione przez Gladstona hymny.“ Takie zaproszenie, w imię przyjemnego spędzenia czasu, razić musi wszystkich najbardziej przyzwyczajonych do miejscowych zwyczajów i słusznie spotyka się z potępieniem olbrzymiej większości duchownych. Pomijając jednak te nadzwyczajne wypadki, ogłoszenia o nabożeństwach uważane są za niezbędny warunek ściągnięcia liczniejszego grona słuchaczów. A gdy dany kościół znany jest ze swej filantropijnej działalności, gdy posiada dobre chóry, a z kazalnicy przema-

wia zdolny i porywający mówca, — ludzie, garną się na nabożeństwa, przychodząc nawet z innych parafii. A pod wpływem mieszaniny religijnych, artystycznych i materyalnych wpływów, z biegiem czasu formuje się w pośród audytoryum grupa wybranych, związanych wspólnością uczucia i myśli i stanowiących prawdziwy Kościół. Oto jest wynik ostateczny. Stosowane środki odpowiadają poziomowi i potrzebom środowiska i odnoszą skutek. Lecz jakże wązki jest dziś zakres tych wpływów w porównaniu z obszarami londyńskiego życia!

Jaka ciekawa różnorożność panuje w tem pozornie jednolitem mieście! W jednych okręgach ludność bierze żywy udział w sprawach lokalnych. Po reformie 1894 roku weszło do okręgowych rad miejskich sporo ludzi nowych i nastąpił okres przedsięwzięć municipalnych: założono łaźnie publiczne, biblioteki bezpłatne, szkoły techniczne. W tych okręgach wraz z entuzjazmem społecznym idzie w parze i ożywienie religijne: kościoły i misye wiodą egzystencję znośną, skupiając około siebie liczne gromadki, oddane propagandzie religijnej, a z kół chrześcijańskich pracowników wychodzą nieraz polityczni „leaders,” odgrywający następnie wybitną rolę w radzie miejskiej i posyłani do parlamentu. W innych okręgach, posiadających te same prawa i te same warstwy ludności, panuje w życiu publicznem niemal zupełny zastój: o zakładanie instytucji dobra publicznego nikt nie dba, wybory do rad miejskich nie budzą szerszego zainteresowania, nie widać ludzi, którym interesa ogółu leżałyby na sercu. I wraz z tą obojętnością na sprawy publiczne idzie ręka w rękę najzupełniejsza nieczułość na wpływy religijne: kościoły świecą pustkami i największe wysiłki duchownych nie tylko nie znajdują oddźwięku w masach, lecz nawet nie są w stanie utworzyć i stale utrzymać niewielkich grup pracowników na polu religijnem, stanowiących gdzieindziej żywy ośrodek religijnych, oświatowych i politycznych ideałów.

Przechodzimy teraz do środkowego Londynu, do kościołów, posiadających wśród parafian przedstawicieli wszystkich sfer społecznych: ministrów i żebraków, mieszkańców królewskiego pałacu i ruder na pobrzeżu Tamizy. Cały ten okręg, dawniej będący najmłodniejszą dzielnicą mieszkalną, w ciągu ostatnich lat kilkunastu przetransformował się w wielki jarmark światowy: na niewielkiej stosunkowo przestrzeni skupiło się kilkadziesiąt teatrów, wyrosły olbrzymie hotele, goszczące cudzoziemców, przybyłych ze wszystkich stron kuli ziemskiej, aby szukać w Londynie rozrywki. Miejsce zamożnych, stale osiadłych warstw, zostało zajęte przez wybitnie kosmopolityczną ludność, oddającą się zabawom lub też dostarczającą zabawy

innym. Z tą zmianą charakteru ludności, zmienił się i charakter pracy organizacyi kościelnych. Gdy kościoły powoli pustoszały, ich kierownicy, nie prowadzący poprzednio żadnej pracy misyjnej i społecznej, widzieli się zmuszeni do rozpoczęcia tego rodzaju działalności, działalności bardzo trudnej ze względu na rodzaj warstw napływających. Zawiązano stosunki z biedakami, lecz tych było stosunkowo niewiele, przedstawiali zaś materiał głęboko zdemoralizowany stosunkami panującymi w bezpośrednim, wesoło, z dnia na dzień żyjącem otoczeniu. Misye Zachodniego Londynu, pragnąc osiągnąć wespół świąteczne masy, do których inaczej zbliżyć się nie było można, zaczęły używać dla swych celów wielkich sal publicznych. Ta sama St. Jamess Hall, która służy w dniu powszednie za teren koncertowych popisów, w niedzielę zajęta jest na propagandę religijną. Zamiast świeckiej, rozbrzmiewają poważne tony muzyki kościelnej, a środek estrady zajmuje pulpit kaznodziejski. Tematem porannego kazania jest gloryfikacja kościoła, a celem — podtrzymywanie ducha chrześcijańskiego wśród tych, którzy są Kościołowi wierni. Kazanie popołudniowe poświęcone jest wyjaśnieniu stosunku zasad religijnych do społecznego i politycznego życia. A wieczorem „ewangelia zbawienia traktowana jest szeroko i ma wyraźny cel — zdobywanie dusz.“ Oprócz St. Jamesa Hall misya używa jeszcze trzech innych wielkich sal. Rezultat pracy nie da się tutaj ująć i określić tak wyraźnie, jak gdzieindziej, gdyż ci, których nawracają, przychodzą ze wszystkich części Londynu, a nawet ze wszystkich stron świata i idą dalej. Jednakże „pokoje badań“, do których po wieczornych kazaniach schodzą się wzruszeni słowem i nawróceni — pono nigdy nie bywają puste.

Pięćdziesiąt cztery kościoły, nie licząc Św. Pawła, znajduje się w londyńskim City. Są to w znacznej większości kościoły stare, przedstawiające wartość architektoniczną i zawierające sporo cennych pamiątek historycznych. Niemal wszystkie stoją pustkami, z tą tylko różnicą, że gdy w kilku nabożeństwa nie odprawiają się wcale, w innych nabożeństwa odprawiają się regularnie co niedziela. Oczywiście i tu są wyjątki. Pięć, czy sześć kościołów cieszy się, jak na ogólne warunki, dość licznymi kongregacyami, a kościół Panny Maryi (St. Mary at Hill) stanowi wybitny kontrast z otoczeniem, gdyż nie tylko w niedziele, lecz i w dniu powszednie zbierają się w nim niemal tłumy. Stanowi on siedlisko „Armii Kościelnej“ (Church Army), organizacyi na wespół religijnej, na wespół filantropijnej, bardzo energicznej i jednocześnie bardzo zamożnej, rozporządzającej bowiem blisko dwoma milionami rubli rocznego dochodu. Regularnie w każdą niedzielę, około godziny 7-ej wieczorem, kościół

Panny Maryi zaczyna się napełniać, a gdy wraca orkiestra, która obchodziła ulice w celu ściągnięcia słuchaczy, w kościele staje się wprost ciasno. Rozpoczyna się coś, co nie będąc samo przez się nabożeństwem, jest jego wstępem i uzupełnieniem. Najprzód muzyka—organy i poważny śpiew solowy. Kończy się śpiew i muzyka, światła zostają przyćmione i na wielkim tle, zawieszonym w poprzek, pomiędzy nawą i chórem, zaczynają się pokazywać obrazy świetlne. Zgromadzeni w skupieniu przypatrują się widokom Alp lub nadbrzeży Renu, przeplatany scenami z historii świętej lub sentencyjami z Biblii, zjawiającymi się ponad głowami w dużych płomienistych literach. Świetlne obrazy skończone, światła błyszczą jaśniej i w ciszy rozlegają się chropawe słowa olbrzymiego fonografu, powtarzającego wyjątki z przemówień wybitnych mówców i dygnitarzy kościelnych. Po takim wstępie następuje właściwe nabożeństwo, poczem światła znów przygasają i powtórzone zostają obrazy świetlne. Na samym nabożeństwie pozostają jednak wszyscy, którzy weszli. Ciemność, dziwnie brzmiące głosy dygnitarzy kościelnych, słowa Biblii, zapalające się i ginące gdzieś pod sklepieniem, wszystko to wywiera wpływ, jednostka ginie w tłumie i mimowoli poczyna za pastorem powtarzać słowa psalmów. Wielu z pomiędzy tych, którzy weszli za muzyką, przyjdzie następnej niedzieli; wielu z pomiędzy tych, którzy uczęszczali przez czas pewien, zaciąga się w szeregi czynne i idzie kazać na rogach ulic wschodniego i południowego Londynu. Tak, powoli, wzrasta armia nawróconych. W dniu powszednim, pomiędzy 1—2 w południe, odbywają się podobne nieco krótsze nabożeństwa, przyczem każdy z obecnych, wychodząc, może otrzymać w przedsionku kościelnym filiżankę kawy. Codzienne nabożeństwa przeznaczone są dla tych, którzy, mając w południe kilka chwil wolnych, spędziliby je w szynku lub na włóczędze.

Poza nielicznymi wyjątkami kościoły City są tak widocznie bezużyteczne, że wśród kół duchowieństwa rozważany jest projekt zupełnego zniesienia ich, a raczej „przeniesienia” do innych dzielnic miasta. Booth uważa ten projekt za wielce niefortunny, twierdzi natomiast, że kościoły londyńskiego City nigdy nie były tak potrzebne, jak obecnie: religijne uczucie nigdy nie zamiera, zmienia tylko swą formę zewnętrzną i jeżeli dziś w szerokich sferach kościelnych przyjęta jest zasada, że „wszystko jest religijne, co nie jest niereligijne”, to tembardziej nie może być żadnych zasadniczych przeszkód na drodze zmian w formie czynności odbywających się wewnątrz gmachów kościelnych. Kościoły więc—twierdzi Booth—winny być otwierane nie tylko raz na tydzień, w niedzielę, lecz co dzień, by dawać tłumom przychodzącym do City dobrą muzykę, wykłady, konferencye; nie

trzeba znosić kościołów i znosić nabożeństwa, lecz dopełnić je czynnościami, które gdzieindziej, w innych kościołach, stanowią już obecnie uznany i stały punkt programu pracy. Dziś miliony, napływające codzień do City nie odczuwają żadnego wpływu nagromadzonych tu kościołów; po odpowiedniem dopełnieniu prac kościelnych, dostaną one coś, co nie będąc ani wyraźną religią, ani wyraźną edukacją, będzie miało subtelny i ożywczy wpływ, co pobudzi uczucie, wyobraźnię, potrzeby artystyczne i religijne.

W najbogatszej dzielnicy, koło Hyde Parku i ogrodów Kensingtonu, życie organizacyi religijnych płynie spokojnym, regularnym trybem. Niema tu warstw ubogich wśród których możnaby rozwijać propagandę, a warstwy zamożne są dla tej propagandy niedostępne. Parafianie, o ile bawią w mieście podczas sezonu, uczęszczają regularnie na nabożeństwa, dają hojne zapomogi na cele religijne, lecz nie biorą udziału w organizacyach kościelnych i są obojętni na ich sprawy. W innych dzielnicach pracownicy na polu religijnem rekrutują się z różnych warstw klasy średniej, rzadziej — z klas niższych; lecz pracowników, pochodzących z klasy zamożnej, niemasz prawie wcale i organizacje religijne bogatej dzielnicy Londynu są odcięte od społeczeństwa wśród którego żyją. „Bogatym nie brak pieniędzy, lecz brak duszy“ — oto opinia, jaką często słyszeć można z ust księży. W innych dzielnicach zachodniego Londynu, zamieszkałych przez średnio zamożną ludność, stan organizacyi religijnych jest stosunkowo najlepszy. Kościoły mają i słuchaczy, i pieniądze i pracowników. Tutaj jest główne siedlisko nonkonformistów, tutaj D-r Clifford zyskał taki posłuch i rozwija swą działalność. Lecz dalej na zachód, na rubieży miasta, gdzie przeważa ludność robotnicza, stosunki raptownie pogarszają się i znowu znajdujemy tu powtórzenie problemów, jakie widzieliśmy we wschodnich okręgach.

Olbrzymia, na południu Tamizy leżąca część miasta, pod względem różnaitości nie ustępuje północnej. Wzdłuż rzeki, aż po Woolwich, ciągnie się długi szereg dzielnic, skupiających warsztaty okrętowe, składy, fabryki, a poza niemi rozpościerają się milowe przestrzenie południowego Londynu, utworzonego i tworzącego się ciągle z niedawnych wsi, kolonii i miasteczek. Równoległe do rzeki poza linią nadbrzeżnych fabryk, leży „pas ubóstwa“ — skupienie najuboższej ludności, dalej — mieszka klasa średnia i, przeważnie, robotnicza, a dalej jeszcze na południe i na zachód, spotykamy wśród pól i parków leżące modne dzielnice podmiejskie. Warunki i rezultaty pracy religijnej są tutaj bardzo rozmaite, lecz, zależnie od charakteru parafii, odpowiadają stosunkom, jakie panują w odpowiednich parafiach innych części miasta. Więc w dzielnicach robotniczych te

same skargi na obojętność, takie same przy kościołach organizowane stowarzyszenia śpiewackie, kluby rolnicze, kluby dla dziewcząt, misye dla marynarzy, szkoły niedzielne, te same starania rozkrzewienia wpływów religijnych przy pomocy filantropii lub pracy społecznej. „Czasem myślę—powiada jeden z wikarych pracujących w obrębie „pasa ubóstwa”—że wogóle tylko temu kierunkowi naszej pracy zawdzięczamy, iż ktokolwiek chodzi do kościoła.“ W centrach kolejowych zorganizowano specjalne ranne nabożeństwa dla maszynistów, konduktorów, palaczy;—każdy przychodzący dostaje bukiet kwiatów. Gdzieindziej, w Woolwich np., żadne środki, żadna wyowa nie zdołały przełamać ogólnej obojętności. Tu i owdzie misya, wspomagana przez zamożne kościoły zachodnich dzielnic, przez lat dziesiątki pracuje słowem i czynem i w końcu porzuca niewdzięczną placówkę, by w innym miejscu szukać i osiągnąć wreszcie sukces. W Clepham, gdzie lat temu trzydzieści ludność była usposobiona dla nauki chrześcijańskiej niemal wrogo, gdzie nie było ani szkół, ani żadnej organizacji kościelnej, wikary—człowiek obdarzony niezwykłą wymową i talentem organizacyjnym—założył szkoły, otworzył cały szereg instytucji filantropijnych, ucywilizował mieszkańców, obudził w nich poczucie religijne i dziś kościół w Clapham zgromadza co niedziela setki ludzi. I nietylko tutaj, w tym pojedynczym wypadku, lecz wszędzie można zauważyć, że „powodzenie propagandy religijnej zależy od człowieka prowadzącego tę propagandę: on jest wszystkim; kongregacye zbierają się i utrzymują potęgą jego głosu. Lecz również prawdą jest że ci, których głos ten dosięga, należą do pewnej klasy, a raczej ściślej mówiąc, przedstawiają typ umysłowy, dostrojony do tego prowadzącego człowieka tak, jak on do nich.“

Większość mieszkańców Anglii należy teoretycznie do państwowego kościoła angielskiego, w rzeczywistości jednak należy doń tylko niewielka mniejszość: „towarzystwo“ angielskie, cały świat mody i polityki; lecz zarówno klasy średnie, jak i masy pracujące, o ile poddają się wpływom religijnym, to jednak są tak dobrze, jak stracone dla kościoła państwowego. Kościół anglikański, dzięki różnorodności swych doktryn i metod, (są trzy główne działy: Wysoki, Szeroki, Nizki; a Booth rozróżnia jeszcze dwa: Indywidualistyczny i Centralny)—przenika do społeczeństwa z wielu stron. Lecz bez względu na charakter głoszonych zasad, „jeśli chodzi o zebranie kongregacyi, trzeba dać jakąś *attraction*—dobrą muzykę lub dobre kaza-

nia. Kościoły anglikańskie, leżące w środku miasta, posiadają co prawda większe kongregacje niż kościoły innych denominacji, lecz do tego przyczynia się nie wpływ księży, którzy „odznaczają się pewną ospałością”, lecz obecność zamożnych warstw oraz szereg estetycznych wpływów, wywieranych przez piękne, obszerne, stylowe budowle, wpływów, jakich nie wywierają skromne kościoły innych wyznań. I tutaj osobiste zdolności i aspiracje kierowników nie pozostają bez wpływu, jeśli nie na usposobienie, to na skład kongregacji. Pomiędzy pastorami spotykają się ludzie o silnie wyrobionych przekonaniach politycznych, nie brak torysów, nie brak nawet socjalistów chrześcijańskich. Ci ostatni swego czasu „entuzjastycznie propagowali zasady, które uznawali za odpowiadające interesom ludu, praktyka jednak przekonała ich, że społeczne i polityczne ideały pracy nie dają dostatecznej i zdrowej podstawy dla ideałów religijnych lub dla prowadzenia czysto chrześcijańskiego życia.” Na ogół biorąc, „największym powodzeniem cieszą się kościoły najbardziej zaściankowe”, a doktrynerstwo Wysokiego Kościoła zrodziło „pobożność samą ze siebie ślepo zadowoloną, chowającą głowę w piasek, z ciasnymi sympatjami, nie mającą żadnego związku z życiem... ani siły do poruszenia kogokolwiek.”

Kościół kongregacyjny, obejmujący klasę średnią, przedstawia organizację ścisłą i jednolitą. Booth opisuje kongregacyonistów w następujący sposób: „Powodzenie i religia idą według nich ręka w rękę. Uznają to zupełnie szczerze, dziękując Bogu za dary jego i modlą się, aby mogli używać tych darów z pożytkiem dla siebie i dla innych. W ich teoryjach o życiu niema śladu surowości i grozy. Przyjemności nie są zakazywane. Młodych obdarza się zaufaniem i pomocą. Bezpośrednim celem jest szczęście, lecz to szczęście połączone jest ze spełnieniem obowiązku: obowiązku względem siebie samego, względem innych i, w różnych formach, względem całego świata. Pastorzy głoszą ideały i śmiało dążą do ich osiągnięcia. Używają swych kościołów bez wahania do wszystkich celów, które nie są rzeczywiście niereligijne. Koncerty, odczyty popularne, dyskusję w sprawach społecznych i politycznych — wszystko znajduje tam miejsce. Nawet w niedziele, podczas uroczystych nabożeństw, nie wahają się łączyć rzeczy światowych z duchowymi. Wszystko można czynić dla chwały Boga, lecz celem bezpośrednim jest rozjaśnienie, pogłębienie i rozszerzenie życia ludzkiego... Jeśli zbawienie duszy przez głoszenie Chrystusa jest celem ostatecznym, to można uważać, że taka praca celu nie osiąga, bezwątpienia jednak wywiera trwały i zdrowy wpływ dodatni.” Lecz ta pełna ufności pogoda może być osiągnąta kosztem głębszych rzeczy. Przedewszystkiem kongre-

gacyonistom powodzi się tylko tam, gdzie istnieją dostatnie klasy średnie. Bardziej, niż jakikolwiek inny kościół, ograniczani są do pewnej wyraźnej klasy społecznej, a w najgęściej zaludnionych okręgach miasta zniknęli, zdaje się, zupełnie. W północnym Londynie ich organizacja jest najzupełniejszą i największem powodzeniem cieszącą się organizacją religijną z pomiędzy wszystkich innych, lecz na wschodzie nawet nie próbują swej propagandy. W gruncie więc jest to religijny system, możebny do zastosowania tam, gdzie nie istnieją nieprzebyte granice klas lub wykształcenia. Lecz oprócz tych granic ma swe błędy, z których najważniejszy polega na tem, że oprócz pewności siebie, rodzi ducha zadowolenia z samego siebie. Niemasz tu poczucia własnej małości, szukającej Boga w pokorze i uległości ducha i znajdującej podporę we wskazaniach Jego kościoła, ani... pokory zwątpienia umysłowego, które nauczyło się mieszkać w ciemnościach razem z posłuszną wiarą. Tendencją doktryny „nie jest wiara w wielkie poświęcenie Zbawiciela, lecz raczej przyjęcie pewnego ideału, wpływającego na życie i stosunki ludzkie, co można nazwać humanizmem chrześcijańskim.“

Dodatnią stroną kościoła baptystów Booth widzi w wyróżniającej ich niezwyklej sile przekonań. „Piekło gra u nich równie ważną rolę, jak i niebo; przyjemności nie dowierzają, jako pokusie szatana.“ Zasadnicze traktowanie kwestyi powoduje wśród nich rozłamy, lecz oddzielnie, czy zbiorowo, baptyści są wielką siłą duchową w Londynie i wpływy ich sięgają głęboko. W klasie robotniczej mają znacznie większe powodzenie, niż kongregacyoniści, a na południu Londynu są najpoważniejszą i najszerze wpływy mającą organizacją religijną. Ich siła przekonań porywa słuchaczy obojętnych na mniej silne, choć głębsze tłumaczenie nauki Chrystusa.

Nie mniejszym zapałem odznaczają się wesleyanie, lecz, powiada Booth, „pomimo tej całej energii, czynności, entuzjazmu i gorliwości jest w wesleyanizmie, jako wpływie religijnym coś niezadowolniającego i nieprawdziwego, coś, co trudnem jest do wyrażenia w słowach... Zapał i silnie rozbudzone uczucia wesleyanów tworzą fałszywą atmosferę przesady. Uderza się w wysoką nutę po to, aby otrzymać pieniądze...“ Ta oszczędność na punkcie prawdy praktykowana jest również przez innych, i przesada w celu otrzymania pieniędzy jest rozwinięta więcej jeszcze przez niektóre świeckie misye; lecz na punkcie oszukiwania samych siebie wesleyanie nie mają sobie równych i podług mnie, to właśnie pozbawia wartości znaczną część ich prac zarówno wśród własnych kongregacyi, jak i wśród ubogich. A jednakże rozmiary tych prac są duże i pod względem doskonałości organizacyi nie posiadają współzawodników.“

Różnorodne misye również znajdują wszechstronną i gruntowną ocenę swej działalności. Z pośród wszystkich organizacyi misyjnych pierwsze miejsce pod względem „szczerzej wiary, usilnej pracy i rzeczywistego poświęcenia dla dobra bliźnich;“ zajmuje Armia Zbawienia. Założona stosunkowo niedawno, nie mając poparcia duchowieństwa, nie mając środków pieniężnych, Armia Zbawienia rosła z niesłychaną u innych podobnych organizacyi szybkością. Lecz wraz ze zwrotem zmieniał się stopniowo i jej charakter: propaganda czystych zasad została dopełniona szeroką pracą filantropijną i dziś Armia Zbawienia występuje: 1) jako misya propagująca ewangelię, 2) jako odrębna organizacya religijna, posiadająca samodzielne i różnorodne życie wewnętrzne; 3) jako instytucya społeczno-filantropijna. „Armii udało się ponieść ewangelię Zbawienia pomiędzy tłumy pomiędzy te klasy, które dotychczas stały zdaleka. Miało to miejsce w samej rzeczy. I właśnie dlatego tem bardziej jest zuamiennem, że o ile chodzi o szerzenie ewangelii w Londynie na szeroką skalę, cały ten ruch najzupełniej upadł.. Większość zwolenników Armii—to ludzie już religijni lub z usposobieniem z natury religijnem; są jednak i inni, prawdziwie nawróceni—pijacy, którzy się opamiętali i grzesznicy, którzy otrząśli się z samozapomnienia.“ Na mityngach, wzgardzonych przez Armię, pod golem niebem, siłą przyciągającą jest muzyka, a żywe słowo rzadko bardzo posiada siłę lub życie. „Główna zasługa Armii leży nie w nawracaniu, lecz w tem, że połączyła znaczną liczbę ludzi nowymi węzłami, że wzmocniła ich wiarę i zaciągnęła ich do pracy w celach społecznych i religijnych.“ W ostatnich czasach społeczna strona działalności Armii wyrasta coraz bardziej, wznaga się liczba prowadzonych przez nią domów pracy i przytułków. I to wszystko pobudza Bootha do postawienia zapytania, czy aby te tanie przytułki nie ułatwiają szerzenia się tego zła, któremu zapobiedz mają? Lecz jest nadzieja, że zdrowy rozsądek kierowników Armii potrafi z czasem zapobiegać niepożądanym skutkom, wywoływanym bezwątpienia przez instytucye pomocy, oparte nie na samopomocy, lecz na jałmużnie. Inne społeczno-filantropijne zakłady, utrzymywane przez Armię—jak farmy, giełda pracy i t. p. — są dobre, jednakże „całokształt pracy strasznie musi rozczarować każdego,“ choć z drugiej strony prace Armii są upiękzone przez ducha, jaki je przenika.

Podobnie, jak większość badaczy, którzy porównywali różne kościoły, Booth silnie jest uderzony wyższością kościoła katolickiego nad innymi pod względem wpływów wywieranych na wiernych. Katolików w Londynie jest niewielu, zaledwie około 200,000, lecz

dzięki panującej wśród nich dyscyplinie i koncentracji w kilku punktach, wywierają na życie polityczne większy wpływ, niż można by wnioskować z ich czysto liczbowego stosunku do ogółu ludności. Trzecia część katolików chodzi do kościoła regularnie, trzecia część — chodzić nie może, jedna trzecia — nie chce; taki stan rzeczy, niezadawalniający dla wielu katolickich księży, przez anglikańskich uważany byłby za bardzo dobry. Z uznaniem wyraża się Booth o pracach katolickich księży - misjonarzy wśród ubogiej ludności irlandzkiego pochodzenia: oni jedni, dzięki surowemu trybowi życia, dzięki ciągłemu przebywaniu ze swymi owieczkami, potrafili zbliżyć się do warstw najuboższych tak, jak się nie potrafili zbliżyć misjonarze żadnego innego kościoła. „Istnienie wpływu kościoła katolickiego widoczne jest tak samo wśród klasy wyższej, jak wśród klasy biedniejszej, wśród wykształconych zarówno, jak pośród ciemnych, wśród tych, którzy posiadają wszystkie przywileje światowe, jak i wśród tych, którzy żadnych takich przywilejów nie posiadają. Prawdziwa religia, gdziekolwiek się spotyka, niesie wraz z sobą równość w obliczu Boga. U posiadających rangę, bogactwo lub znaczenie w świecie mody — bez względu na to, czy są katolikami z pochodzenia, czy dopiero przyjęli katolicyzm, — wiara wchodzi w życie i rządzi życiem w takim stopniu, jaki rzadko spotkać można u protestantów...“ „Metody działania kościoła katolickiego, począwszy od trudnej dyplomacji, obejmują cały szereg sposobów poruszania umysłu i uczucia stanowiących „propagandę“ w Anglii, aż do wszelkich form kontroli i przewodnictwa, jakie mogą być używane w interesie religii dla wywierania wpływów na mężczyzn i kobiety wszelkich stanów; cały ten system doprowadzony jest do doskonałości i przeniknięty taką gruntownością, że w porównaniu z nim wszelkie systemy protestanckie wydają się nędznym szychem.“ Dzięki tym rozlicznym a gruntownym metodom pracy, kościół katolicki zdobywa sobie nowych zwolenników wśród wszystkich sfer społecznych z daleko większym powodzeniem, niż jakikolwiek inny kościół. Jednakże, pomimo wszystkich sukcesów, bezwzględne znaczenie katolicyzmu jest tutaj niewielkie, „a nawrócenie Anglii na łono kościoła rzymsko-katolickiego jest marzeniem chimerycznym.“

Prace Bootha rozdierają zasłonę, jaka otaczała dotychczas największe na świecie miasto i pozwalają dojrzeć tajniki jego religijnego życia. Należy pamiętać, że Londyn jest stolicą największego Imperyum chrześcijańskiego, jakie kiedykolwiek istniało; że jest główną kwaterą wielu kościołów i organizacji religijnych oraz ośrodkiem misyi, rozsyłanych na wszystkie strony świata; że zawiera wszystkie czynniki dzisiejszej naszej chrześcijańskiej cywilizacji. Dalej należy pamiętać, że Londyn nie jest „jednym miastem z pośród wielu“, lecz stanowi sam przez się całą prowincję o ludności większej niż połowa mieszkańców Królestwa Polskiego i że jego życie może być uważane za typ życia dzisiejszych społeczeństw. Jakież są, w zwięzłą formę ujęte, tajniki jego religijnego życia?

Poszukajmy na to pytanie odpowiedzi.

Dzieło Bootha illustrowane jest mapami, wykazującemi ekonomiczny stan ludności. Domy i ulice pokryte są kolorami, zmieniającymi się odpowiednio do materialnego położenia mieszkańców. Kolor żółty oznacza bogatych, czerwony—dostatnio mające się warstwy, pomarańczowy—„dobrobyt robotniczy“, purpurowy—dobrobyt robotniczy zmieszany z „biedą“, jasno niebieski—„zwykła bieda“, ciemno-niebieski—„wielka bieda“, czarny—najniższe warstwy. Te kolorowane mapy, mapy, oznaczające ekonomiczny stan mieszkańców, jednocześnie—rzecz, która dla wielu wyda się niezrozumiała lub co najmniej dziwna—dają obraz stosunku tych samych mieszkańców do religii. Oto co mówi autor:

„Modne“ i „żółte“ okręgi posiadają, conajmniej, prosperujące kościoły, zgromadzające liczną kongregację na samych nabożeństwach niedzielnych. Co do reszty, gdzie mamy ulice „czerwone“, znajdujemy wśród klasy średniej silnie rozwinięte życie religijne, połączone z czynnie rozwiniętą działalnością społeczną. Gdzie „purpurowe“—tam, co się tyczy zorganizowanego życia religijnego, panuje zacisze. Gdzie „niebiesko“ tam widzimy misye i krok za krokiem, w miarę tego, jak kolor niebieski przechodzi w czarny, tem więcej beznadziejnem stanowi się zadanie. I niema innego wyjścia nad przyjęcie tych ogólnych wniosków“.

Z całego olbrzymiego materiału, nagromadzonego pracą lat kilkunastu, z całego szeregu zebranych faktów i opinii duchownych i misyonarzy wypływa, że religijność mieszkańców Londynu odpowiada ich społecznemu położeniu. Religia stała się tu przywilejem klas uprzywilejowanych. Pewne warstwy przychodzą do kościoła stale,

podczas gdy innych do przychodzenia wcale nakłonić nie można. Kościoły uważane są, jako uprzywilejowane miejsce warstw zamożnych i tych, którzy nie wahają się przyjmować opieki i jałmużny od ludzi z lepszej sfery. Masy ludu są obojętne na religię, nie przejawiają żadnego zainteresowania się obrządkami religijnymi i nie uczęszczają do kościołów: „Wielki dział ludności, któremu dają imię klasy robotniczej... znajduje się, jako całość, poza sferą wpływów ciał religijnych, zorganizowanych bądźto jako kościoły, bądź jako misye; i ponieważ ci z pośród tej klasy, którzy stają się członkami kościoła, prawie nie dają się odróżnić od klasy, z którą w takim razie łączą się, zmiana jaka się dokonytuje, odbywa się nie tyle wewnątrz, ile na zewnątrz klasy robotniczej”.

Religijny cenzus Londynu, przeprowadzony w roku ubiegłym staraniem „Daily News”¹⁾ wykazał, że stan religijności, jest gorszym jeszcze niż to wykazują najbardziej pesymistyczne wnioski Booth'a. Stosownie do statystyki „Daily News” uczęszczanie do kościołów stało się dziś rzeczą wyjątkową i — o ile to się tyczy tego „uczęszczania” — mieszkańcy Londynu, jako masa, nie podlegają wpływom chrześcijańskiego kościoła; ponieważ zaś ogromną większość chodzących do kościoła na nabożeństwa, stanowią kobiety i dzieci, więc można z wszelką słusnością twierdzić, że ogół mężczyzn stoi poza obrębem wpływów kościelnych. Jakkolwiek mogą być różnice zdań co do religijności ogółu mężczyzn lub mężczyzn, tylko należących do średniej lub wyższej klasy, to jednakże obie monumentalne prace ustanawiają niewątpliwy fakt, że klasa robotnicza — stanowiąca więcej niż trzy czwarte ludności Londynu — jest obca kościołowi, religii i wszystkim wogóle formom kościelnych i religijnych wpływów.

Booth zanadto dobrze zna szerokie masy ludowe, by uważał je za wolne od odpowiedzialności za taki stan rzeczy; wie, że dzisiejszy przeciętny robotnik „myśli więcej o swych prawach i krzywdach, niż o swych obowiązkach i nieudolnym wypełnianiu tych obowiązków. Pokora i świadomość grzechu i usposobienie pobożne, robotnikowi, być może, nie są wrodzone”. Część jednak odpowiedzialności leży również na organizacjach kościelnych, posiłkujących się środkami nieraz szkodliwymi dla społeczeństwa i w rezultacie, dla prawdziwego interesu religii. Praca, dobra wiara i poświęcenie pracowników na polu religijnem nie ulega najmniejszej wątpliwości; część filan-

¹⁾ Obecnie rezultaty cenzusu, przeprowadzonego przez „Daily News”, wyszły jako osobne dzieło, opracowane przez p. Mundie-Smith p. t. „The Religious life in London”. Hodder and Co., 1904.

tropijnych instytucji, utrzymywanych przez kościoły, wywiera wpływ zdrowy i budujący; lecz różne misje lekarskie, wydawanie zapomóg biednym, uczęszczającym do kościoła, dopomaganie wiernym wszystkimi sposobami i przyciąganie wiernych widokami materialnego zysku, wywierają wpływ demoralizujący. Wśród ludności wytworzyło się, nie pozbawione pewnej słuszności, przekonanie, że do kościoła, oprócz ludzi zamożnych, chodzą ci, którzy nie mają wysokiego szacunku dla swej niezależności. Reklamowanie się niektórych sekt zraża innych, szczególnie gdy dostrzegają toczącą się pomiędzy różnymi sektami konkurencję. Cały ton nabożeństw w kościele anglikańskim przystosowany jest do potrzeb duchowych sfer wyższych, nie może więc wywierać szerokiego wpływu przyciągającego. „Duch zaparcia się siebie, głoszony w teorii, nie daje się zauważyć pomiędzy członkami tego kościoła i nikt nie wierzy by zasada powyższa była przez nich stosowana, a ta niezgodność osądzaną jest bardzo surowo i krytycznie“. Widząc to wszystko, Booth nie waha się twierdzić, że, pomiędzy innymi, są również i przyczyny bardziej subtelnej natury, tkwiące w samej istocie angielskich organizacji religijnych, które wywierają wpływ odstraszący: „Klasy wyższe szukają w religii poparcia; robotnik — usuwa się przed dyscypliną religijną. Robotnicy posiadają daleko więcej wymagające pojęcie etycznych obowiązków, nakładanych przez religię. Sądzą oni, że człowiek religijny stosuje swe życie do swych przekonań“.

Oto cząstka przyczyn, wywołujących rozdział pomiędzy masami pracowników a kościołem. Jaki całokształt tych przyczyn i na kim ciąży wina?..—kto na to pytanie potrafi odpowiedzieć?.. To też Booth tylko szerokimi liniami zaznacza niektóre z pomiędzy bardziej widocznych, ograniczając się w konkluzjach nawet do uogólnień, przedstawiających rzeczy takimi, jakimi one są. Gdzieniegdzie jednak widać chęć złagodzenia przygnębiającego wrażenia, jakie nagromadzone fakta i płynące z nich wnioski muszą wyrzeć na każdego szczerze wierzącego chrześcijanina. „Można powiedzieć o mieszkańcach Londynu, podobnie jak o mieszkańcach całej Anglii, iż są wyraźnymi chrześcijanami w tym sensie, że wszyscy odrzuciliby jako insynuację, posądzenie o wyznawanie buddyizmu, mahometanizmu lub innej wielkiej religii światowej.“ Uwaga ta jest bezwątpienia słuszną stanowi jednak pociechę bardzo słabą. A jeśli chodzi o skondensowanie w krótkich słowach wrażenia wywołanego wszystkimi przytoczonymi faktami, to daleko słuszniej i głębszym wydaje się nam przytoczony pogląd jednego z duchownych, że „Anglia posiada cywilizację chrześcijańską, sama jednak nie jest chrześcijańską“.

W tej posiadającej chrześcijańską cywilizację Anglii, wzrasta kultura, wzrasta bogactwo i oświata, wzrastają nawet wysiłki mające na celu propagandę religijną, lecz poczucie religijne wśród szerokich mas ludności, stosunkowo nie wzrasta. Bodaj nawet przeciwnie... Cóż się więc dzieje? Jeśli ludzie nie stają się bardziej religijnymi, to może znajdują zaspokojenie swych potrzeb duchowych w szerszym życiu społecznym, w ideach politycznych, może rośnie zainteresowanie się nauką? I na to pytanie, pomimo całego ogromu nagromadzonego materiału, żadnej wyraźnej odpowiedzi dać nie można. Prawdą jest, że rozwija się zainteresowanie polityką, że wzrasta ruch umysłowy że „w niektórych sferach subtelne pojęcie trade-unionizmu zastępuje uczucie religijne“. Lecz z daleko większą pewnością twierdzić można, że umysł publiczności zajęty jest coraz bardziej wyszukiwaniem rozrywek, zabaw, sportów. Czy więc wobec takiego rozwoju stosunków—pyta się Booth—nie jest przesadną nadzieją, że umysły milionowych tłumów zdołają się wznieść i osiągnąć kiedy granicy pojęć religijnych? Czy też granice te zawsze dostępne będą tylko wybrany?..

W każdym razie faktem jest, że ludność spauperyzowana materialnie i moralnie, umarłą jest zarówno dla religijnego, jak i dla wszystkich innych form duchowego życia, i że tutaj pierwszym warunkiem rozbudzenia przeblysków religijności, jest ogólne podniesienie stopy życiowej i wykształcenia. Z drugiej zaś strony rozwój religijnego życia wśród mas znajdujących się powyżej nizin pauperyzmu, zależny jest od wyeliminowania z pośród nich poglądu, uważającego kościół za przynależność warstw zamożnych, oraz tych, którzy dążą otrzymywać ich pomoc. Ponieważ zaś ten pogląd ma swe realne uzasadnienie w stosunkach, istniejących dziś w organizacyi kościelnej, z konieczności w imię religii i dla religii uprawiającej filantropię, więc niema żadnej nadziei, by można go wykorzeńić dopóki istnieją dzisiejsze warunki społeczne, które uniemożliwiają stosowanie wszystkich nakazów Chrystusa w życiu praktycznym, nawet przez tych, którzy całe swe życie i siły poświęcili szerzeniu wpływów religijnych.

T. FILIPOWICZ.

METEORYTY.

Na powierzchni ziemi znajdujemy tu i owdzie ciała twarde nieorganiczne, o szczególnym wyglądzie i niezwykłym składzie mineralogicznym; są to jakby odłamki skał perydotowych i anortytowych lub jakby kawałki żelaza metalicznego. Poznawszy bliżej ich własności, znajdujemy w nich związki chemiczne, nie znane na ziemi; stąd nasuwa się przypuszczenie, że ciała te nie są pochodzenia ziemskiego, lecz, że są szczątkami ciał kosmicznych, na równi, z ziemią i innymi planetami krążących na około słońca. Owe szczątki światów ciemnych, nieświecących światłem własnym, ani odbitem, zowieśmy aeorolitami, albo meteorytami. Po za interesem, jaki przedstawiają one dla astronomów, nie mniej ciekawymi są dla geologii, ile że dają możność porównania ogółu właściwości ciał niebieskich z ziemią. Historia jej powstania staje się wraz z tem o wiele jaśniejszą; zdobywamy przy tem możność dokładniejszego zdania sobie sprawy z natury obszarów podziemnych, niedostępnych z przyczyny głębokości dla badań bezpośrednich. Meteoryty stanowią w ten sposób jeden z podstawowych działów geologii nowoczesnej.

Meteoryty nie należą obecnie do zjawisk tak rzadkich, za jakie były poprzednio poczytywane. Dzięki zainteresowaniu, wzbudzonemu przez nie wśród ludzi nauki, każdy ich upadek skrzętnie jest notowany. Według obliczeń astronomicznych z 10—12,000,000 gwiazd spadających, przebiegających codziennie przez atmosferę ziemi, zaledwie kilka spada na ziemię w postaci meteorytów. Skoro atoli uprzytomnimy sobie szczupłą ilość wiadomości o nich, wiadomości zawartych w rękopisach i kronikach wieków starożytnych, średnich, a nawet nowych do początku bież. stulecia, 2—3 upadków dziennie, notowanych w samej Europie, jest już wielkością poważną. Nie będzie zbytecznym dodać, że co najmniej $\frac{2}{3}$ ogólnej ilości meteorytów, przeryniają atmosferę i spadają, nie zwracając na siebie uwagi ludzi kompetentnych; odnosi się to zwłaszcza do tych kamieni kosmicznych, które nawiedzają okolice niezaludnione, niedostępne, dzikie wyżyny, błota,

puszcze, tudzież kraje, będące siedliskiem ludów niecywilizowanych, oraz przestrzenie wodne, jak oceany i morza.

Dawniejsze wieści o meteorach sięgają głębokiej starożytności. Niezwykłe to zjawisko zainteresowało najprzód chińczyków. W r. 694 przed narodzeniem Chrystusa znajdujemy pierwszą wzmiankę o aerolicie, spadłym w państwie Niebieskiem. W ciągu następnych bezmała XI wieków, t. j. do 333 roku, po Chrystusie, spotykamy w kronikach Chińskich 16 podobnych wzmianek. Mniej pewne są wiadomości, czerpane z ksiąg greckich i rzymskich. Pierwszą z nich należy odnieść do 465 przed Chrystusem; poczynając od tego czasu, pisarze greccy i rzymscy od czasu do czasu notują wzmianki o meteorach, bez zwrócenia na nie należytej uwagi.

Zjawiska, towarzyszące przebiegowi bolidów przez atmosferę, a przedewszystkiem spadanie odłamków skał lub żelaza wraz z towarzyszącem mu oślepiającym światłem i hukiem, wzbudzały w obserwujących je tłumach strach paniczny i mistyczną cześć: meteorach poczytywano za talizmany, przysyłane przez Bóstwa, a zatem za przedmioty, godne kultu niemal boskiego. Składano je tedy w świątyniach i wielbiono, jako widome znaki łaski Bogów. Znane były podobne kamienie święte w świątyniach: Teb, Efezu i Pessyny, na Krecie tudzież w wielu innych miejscach świata starożytnego; wielki czarny kamień, zwany Hadżr-El-Aswad, wmurowany w południową ścianę meczetu Kaaba w Mekce, zdobył sobie nie mniejszą sławę od rzymskiej Ancile, żelaza meteorycznego, spadłego w Rzymie za panowania Numy Pompiliusza.

*

*

*

Spadek meteorów łatwo zauważyć: towarzyszą mu huk, oraz silne, oślepiające niemal, światło. Niezmierna szybkość, z jaką bolidy spadają na ziemię, powoduje kurczenie się atmosfery. Ponieważ skurczenie jest nagłe i gwałtowne, powietrze, nie mogąc się uwolnić z pod ciśnienia, pochłania znaczną ilość energii kinetycznej meteoru, zamieniając ją na ciepło—t. j. zaczyna się żarzyć. Wywiązane ciepło udziela się meteorowi—ostatni poczyna się świecić: wydaje się wówczas kulą ognistą, mknącą z niesłychaną szybkością po sklepieniu niebios. Światło jest tak silne, że według Daubrée go „znaczące jest nawet w południe“, a nocy nadaje pozory dnia jasnego. Światło,

to zresztą trwa krótko, a rozpoczyna się wraz z wejściem meteoru w atmosferę. Dzięki rozżarzeniu bolidów łatwo jest obserwować ich trajektorę, która zazwyczaj mało pochyloną jest do horyzontu, tudzież sprawdzić szybkość, z jaką dążą do powierzchni ziemi. Początkowy ich rozpęd nie mniejszy jest od prędkości, z jaką planety poruszają się wokół słońca, t. j. równy 20—30 kilometrom na sekundę; w miarę przybliżania się do powierzchni ziemi, pierwotna niesłychana szybkość, wskutek oporu, stawianego przez atmosferę, stopniowo maleje, a przy końcu swej drogi, meteory, straciwszy zupełnie siłę pierwotnego rozpędu, spadają na ziemię z prędkością, właściwą każdemu ciału, podległemu li tylko sile przyciągania ziemi.

Nie obserwowano dotychczas spadku bolidów, przy którym nie byłoby słycać gwałtownej detonacji, podobnej do huku baterii dział lub do grzmotu, a którą słycać na wielkich przestrzeniach, przechodzących 100 kilometrów w promieniu. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że detonacja owa ma miejsce w najwyższych warstwach atmosfery, gdzie powietrze jest bardzo rozrzedzone, a zatem mało odpowiednie do przenoszenia dźwięku, to zrozumiemy, jak wielkiem jest jego napięcie, skoro słyszana jest na ziemi.

Przypuszczano dawniej, że detonacje powodują gazy, wyswabzające się z wnętrza meteorytu. Ponieważ skruszenie tegoż w atmosferze jest skutkiem ciśnienia, wywieranego przez prężność skurczonego powietrza, a nie nacisku gazów, znajdujących się, jakoby, we wnętrzu bolidu—objaśnienie to należy poczytywać za błędne.

Według Heidingera, przyczyny owych odgłosów szukać wypada w tem, że meteor, wykonywując pracę ściskania powietrza, traci stopniowo energię pierwotną, tj. ruch jego postępowy znosi się przez opór powietrza aż do chwili, gdy zatrzymuje się na mgnienie oka, a następnie spada na ziemię, ulegając li tylko prawu ciężkości. W chwili zatrzymania się, powietrze odzyskuje nagle zwykłą prężność i, wypełniając próżnię poza meteor, wywołuje gwałtowną detonację.

Ponieważ, jednak, zmniejszanie się szybkości odbywa się stopniowo, i o zatrzymaniu się meteoru, nawet na mgnienie oka, mowy być nie może, powietrze przeto nie jest w stanie wypełnić nagle pustej przestrzeni z tyłu kuli ognistej, dla tej prostej przyczyny, że próżni takiej w rzeczywistości nigdy niema. Mach i Doss objaśniają przyczyny gwałtownego huku przy spadku bolidów w odmienny sposób. Według nich każdy pocisk, a zatem i meteor, pcha przed sobą falę, t. z. czołową, powietrza, dopóki szybkość jego nie stanie

się mniejszą od szybkości głosu. Wraz z tą chwilą fala powietrza pospiesza przed pociskiem, a akustyczny jej efekt sprawia wrażenie huk-

Daubrée wreszcie przypisuje powód detonacji, słyszanej w trakcie przebiegu meteorów przez atmosferę, zgruchotaniu tychże przez powietrze, doprowadzone do gwałtownego skurczenia.¹⁾

Odgłosy, towarzyszące spadkom bolidów, mogą być słyszane wielokrotnie, ile że odłamki, pochodzące od pierwszego skruszenia, wchodząc w atmosferę coraz bardziej gęstą, doznają oporu, wzrastającego w miarę przybliżania się do powierzchni ziemi, a wskutek tego większą ilość razy ulegz mogą skruszeniu.

Meteory, biegnąc przez atmosferę, pozostawiają za sobą ślad chwilowy w postaci świecącego dłużej lub krócej ogona. Pyły i pary, wytworzone wskutek obtapiania się powierzchni meteoru, przyczyniają się w znacznej mierze do powstawania owych świetlnych warkoczy, znaczących w atmosferze ślad trajektorii bolidu; często pozostają one widocznymi bardzo długo, niekiedy przez kilka godzin po zniknięciu zjawiska.

Wielkość meteorytów nigdy znaczną nie bywa: nie znaleziono dotychczas większego nad 1 metr sześcienny. Największy, znany dotychczas okaz tego rodzaju z Brazylii²⁾, ważący około 7,000 kilogramów, nie osiąga nawet tej miary. Za to wśród meteorytów, spadających rojami w postaci „deszczu kamiennego“, wiele bywa mniejszych od ziarnka grochu, a prawdopodobnie jeszcze większa ilość spada na ziemię w postaci subtelnych cząsteczek pyłu, który tylko w wyjątkowych okolicznościach, jak naprzykład na śniegu i lodzie, rozróżnić można.

Zachodzi pytanie, w jakim stanie tak liczne kawałki jednego „deszczu kamiennego“ dochodzą do powierzchni ziemi, to jest, czy rozdział jednolitego początkowo ciała na drobniejsze odłamki nastąpił w obrębie atmosfery, lub też, czy cały rój meteorytów, jako taki, wszedł w morze powietrzne otaczające ziemię.

Według Heidinger'a i Juliusza Schmidt'a, należałoby przypuszczać, że większa ilość ciał meteorycznych może przeciągać przez atmosferę, sprawiając wrażenie jednolitej kuli ognistej. Mniemanie to popiera poniekąd spostrzeżenie Schmidt'a³⁾, któremu udało się obserwować przez teleskop podobny meteor. Uczony ten dojrzał mianowicie, że składa się on z kilku oddzielnych części: dwa większe kawałki dą-

¹⁾ Daubrée: „Géologie expérimentale.“

²⁾ Daubrée: „Géologie expérimentale.“

³⁾ Neumayr: „Erdgeschichte“.

żyły naprzód, reszta mniejszych śpieszyła za nimi; wszystkie były jaskrawo zielonego koloru i zuczyły za sobą ślad w postaci ognisto-czerwonej smugi. Całość sprawiała wrażenie jednolitej kuli, która przez teleskop, wydawała się mniejszą, aniżeli obserwowana nieuzbrojonym okiem. Należałoby przeto wnosić, że różnica między wielkością meteoru, a nieznacznymi rozmiarami kamieni kosmicznych, znajdujących na ziemi, polega na złudzeniu optycznym, powodowanym osłepiającym światłem, które towarzyszy temu zjawisku.

Innego zdania jest Daubrée, a popiera je nie tylko faktem, że meteoryty jednego i tego samego spadku znajdowane bywają na powierzchni ziemi, stosunkowo niewielkiej i wydłużonej w kierunku trajektorii bolidu („płaszczyzny dyspersyi“), lecz także rozumowaniem teoretycznym. Zgoła nieodrzuca on możliwości ukazywania się bolidów, złożonych w danej chwili z mnóstwa oddzielnych części, przypuszcza tylko, że skruszenie ich odbyć się musiało w atmosferze, lecz w tak wysokich jej obrębach, że odgłos, którego musiało być przyczyną, nie zdołał dotrzeć do naszego ucha. „Gdybyśmy przypuścili, że odłamki, z których się składa meteor, były rozdzielone przed wejściem w atmosferę, to, wskutek różnicy w wielkości, byłyby się niebawem rozłączyły; jeżeli bowiem ciśnienie powietrza jest tak znaczne, że wystarcza do rozżarzenia, to naturalnie, wystarcza i do rozsortowania ich według objętości. Zanim bolid, złożony z roju rozmaitej wielkości odłamków, przebiegłby w stanie rozżarzonej przez atmosferę, rozsypałby odłamki swoje na części przebieżonej przestrzeni; nie znajduwalibyśmy ich wtedy skoncentrowanemi w ten sposób na niewielkich przestrzeniach (mniej więcej 15 kilometrów długości i znacznie mniejszej szerokości). Małe odłamki nie mogłyby przebyć tak znacznej trajektorii na równi z wielkimi, o przekrojach częstokroć 10—100 razy większych, opór, bowiem, stawiany małym kawałkom, wzrasta w tym samym stosunku, winien więc w znacznym stopniu zmniejszyć szybkość ich przenoszenia się, która, wskutek wpływu przyciągania ziemi maleje do tego stopnia, że trajektoria ich zbliża się do linii pionowej. Kawałki meteoru, na które opór powietrza działa nie tak silnie, nieznacznie tylko uchylają się od trajektorii pierwotnej.“¹⁾

Należałoby w ten sposób przypuścić, że odłamki mniejszej wielkości znajdowane być winny w pobliżu początku „powierzchni dyspersyi“, podczas gdy wielkie—przy jej końcu. Opis meteorytu

¹⁾ Daubrée: „Géologie expérimentale.“

z Caen, Verneuil i Alençon we Francyi, przytoczony przez Neumayr'a, ¹⁾ przeczy, zdawałoby się, temu pogładowi. Bolid ów dążył mianowicie z południo-wschodu ku północo-zachodowi. Powierzchnia dyspersyi jego odłamków—elipsa—miała 2½ mili długości i jedną szerokości; największe kawałki znajdowano na południowo-wschodnim jej krańcu, najmniejsze na północno-zachodnim, a średniej wielkości—po środku.

Bolidy, z niesłychaną szybkością, wchodząc w atmosferę, powodują kurczenie się powietrza; pochłania ono część ich energii kinetycznej i poczyna się żarzyć; ciepło przenosi się na meteor, który nie tylko świeci silnem, przeważnie zielonem światłem, lecz obtapia się na powierzchni. Dlatego to wszystkie meteoryty pokryte są cienką warstwą powłoki szklistej, czarnego koloru, matowej lub błyszczącej. Nie zawsze odziewa ona równomiernie dany odłamek. Na wielu aerolitach nierówności na skorupie przyjmują układ promienisty, a z kierunku, w jakim biegną owe „sople“, można rozpoznać „czoło“, to jest stronę, którą meteoryt podczas przebiegu przez atmosferę był zwrócony ku przodowi. Powłoka jest bardzo cienką; inaczej być nie może, ponieważ, gdyby nawet większa ilość substancyi bolidu została stopioną, nie zdołałaby się utrzymać na powierzchni, lecz zostałaby rozpyloną w przestrzeni, przyczyniając się do wytworzenia ognistej smugi.

Jeżeli w meteorycie, spadającym na ziemię, istnieją szczeliny, to, wskutek gwałtownego ciśnienia, stopiona masa zostaje w nie wtłoczoną i tworzy w jego wnętrzu żyły, wypełnione szklistym czarnym zespołem.

Okrom sopli, pokrywających czołową część powierzchni meteorytu, zauważyć na nim można drobne wgłębienia rozmaitej wielkości, podobne do odcisku palców. Doświadczenia, dokonane przez Daubrée'go, ²⁾ wykazały, że zupełnie podobne wgłębienia powstają na ciałach twardych, poddanych działaniu gazów skurczonych, wywiązujących się przy wybuchu prochu, dynamitu, nitrogliceryny, bawełny strzelniczej i t. d. Tak naprzykład, ziarno prochu armatniego, pomieszczone w próżni i doprowadzone przez stos Wolty do rozżarzenia, nie spala się gwałtownie, lecz rozkłada na powierzchni, wydzielając gazy, w postaci wirów popielatych i nieprzezroczystych. Skoro reakcyę zatrzymamy w środku, reszta przedstawia powierzchnię obtopioną, o nieprawidłowych zarysach i wyglądzie jaszczurowa-

1) „Neumayr: „Erdgeschichte“.

2) Daubrée: „Géologie expérimentale.“

tym, to jest zaopatrzoną w liczne wgłębienia miseczkowate, powstałe wskutek wierzącego niejako działania wywiązujących się przy reakcji gazów. To samo ma miejsce przy wystrzałach armatnich, do których użyto prochu wielkiego kalibru; część ziarenek, niezupełnie spalonych, spada przed otworem działa, a wszystkie mają wtedy powierzchnię głęboko powyżłabianą i pokrytą mnóstwem wgłębień, mniej lub więcej prawidłowych. Przy doświadczeniach z dynamitem na powierzchni, bezpośrednio poddanej działaniu gazów wybuchowych, powstają podobne wgłębienia; natura ich jest taką samą, jak w poprzednim wypadku, odróżniają się tylko większymi rozmiarami, stosownie do znaczniejszej siły gazów dynamitowych.

Ażeby jeszcze bardziej zbliżyć się do warunków, mających miejsce w naturze, Daubrée poddał działaniu dynamitu wielką kulę, wykutą z żelaza. Doświadczenie odbywało się w niegłębokiej studni i było prowadzone w ten sposób, że wybuch działał tylko na jedną połowę kuli, a to dla tego, że skurczone powietrze ciśnię także tylko przednią, czołową powierzchnię meteorytu. Po wybuchu okazało się, że zespół kuli żelaznej nie uległ skruszeniu; za to na jednej, górnej, jej połowie, przyległej do naboju dynamitowego, ukazało się mnóstwo wgłębień miseczkowatych, o przekroju eliptycznym; były one zwłaszcza gęsto ułożone około środka górnej połowy kuli. Głębokość ich zmniejsza się w miarę oddalenia od centru; tak więc części powierzchni kuli, na które gazy wybuchowe działały w kierunku więcej ukośnym, zostały mniej uszkodzone.

Porównywując działanie gazów, wywiązujących się przy wybuchach w doświadczeniach Daubrée go, z warunkami, towarzyszącymi meteorom, pamiętać należy, że w pierwszym wypadku działanie jest zawsze chwilowe (drobna część sekundy), podczas gdy w drugim trwa ono całe minuty, w czasie których ciśnienie gazów nie tylko nie zmniejsza się, lecz przeciwnie wzrasta, ile że meteory w miarę postępu czasu przedostają się do coraz gęstszych warstw atmosfery.

Na mocy tych doświadczeń, oto jak Daubrée tłumaczy, powstawanie wgłębień na powierzchni kamieni kosmicznych: ¹⁾ „Co się tyczy nierówności, obserwowanych na powierzchni meteorytów, to, opierając się na wynikach doświadczeń, można objaśnić ich pochodzenie w następujący sposób: gdy bolidy wchodzą w obręb atmosfery, obdarzone są niesłychaną szybkością, dochodzącą do 30 kilometrów na sekundę. Olbrzymie ciśnienie, jakiego doznają od atmosfery,

¹⁾ Daubrée: Géologie expérimentale.

tlómaczy nam ich rozżarzenie i obtopienie powierzchni; czołowa część meteorytu tłoczy powietrze i ciśnię go z niesłychaną siłą do tego stopnia, że zaczynają się w niem ujawniać około wielu centrów ruchu wirujące. ¹⁾ Mechaniczne to działanie poparte jest w dodatku działaniem chemicznem, którego przyczyna tkwi w naturze palnej meteorytu przy tak wysokiej temperaturze. Gdy zespół bolidu składa się wyłącznie z metalu, i na punkty jego, położone w sąsiedztwie, działa powietrze skurczone oraz obdarzone ruchem wirującym, sprzyja ono spalaniu się tegoż około tych właśnie centrów, a w ten sposób wywiera, jak gdyby działanie wierzące w punktach, w których ma miejsce spalanie się metalu. Podobny też skutek ma miejsce, gdy bolid jest kamienny; wraz z krzemieniami, z których głównie się składa, zawiera on ziarna metaliczne, tudzież siarczek pojedynczy żelaza—ciała palne przy wysokiej temperaturze. Meteoryty węglowe, oraz inne asyderyty ²⁾, również zawierają ciała, chętnie łączące się z tlenem. W ten sposób daje się wytłómaczyć analogia warunków, wśród których przebywały z jednej strony meteoryty, od chwili wejścia w atmosferę, z drugiej zaś ziarnka prochu, niezupełnie spalone, spadające tuż przed otworem działa, tudzież kule cynkowe, wyłobione przez gazy pod wpływem wysokiego ciśnienia. W obu wypadkach mamy do czynienia jak gdyby z wierzchołkiem ognia dmuchawkowego, działającego pod ciśnieniem wielu setek atmosfer. W ten sposób wytłómaczyć można powstanie wgłębień miseczkowatych, będących zawsze niejako, świadkami niesłychanych ciśnień oraz wirów gazowych, którym poddane były ciała twarde w przeciagu kilku chwil. Budowa ikrowcowa, (oolityczna), tak często występująca u meteorytów kamiennych, mogła w pewien sposób dopomóc do powstania podobnych wydrążeń: dostając się pod oddzielne kuliste skupienia, gazy, na podobieństwo dłuta, mogły je podwajać, a w końcu odrywać od pozostałego zespołu kamiennego.“

Według Goldschmidt'a bardzo podobne ³⁾ wgłębienia mogą powstać wskutek różnicy temperatury między rozżarzoną powierzchnią meteorytu, a jego zimnem wnętrzem; różnica ⁴⁾ ta może spowodować

¹⁾ Właściwe gazom silnie skurczonym, gdy przez wąski otwór, z przestrzeni, w której ulegają ciśnieniu, wydostają się na zewnątrz.

²⁾ Bolidy, nie zawierające w swym składzie żelaza.

³⁾ Prawdopodobnie znacznie płytsze i nie tak prawidłowe.

⁴⁾ Według Daubrée'go spostrzeżenia dokonane natychmiast po spadku meteorytu wykazały, że temperatura jego wnętrza jest mniejszą znacznie od 0°.

odrywanie się od głównego zespołu kamiennego większych lub mniejszych odłamków, o boku wewnętrznym, wypukłym. W ten sposób odbywa się odpryskiwanie drobnych kawałeczków, formy płasko-zakręglonej od strony wewnętrznej, od kamieni, podlegających nagłym zmianom temperatury, w pustyniach podzwrotnikowych.

Wiele meteorytów, jak na przykład meteoryty z Pułtuska i Atakamy, mają powierzchnie gładkie i błyszczące, albo przeciwnie, pokryte wąziutkimi bruzdami równoległymi; przy doświadczeniach z metalami, poddaniem działaniu gazów wybuchowych, Daubrée zauważył, że wiele powierzchni strzępów ciał metalowych odznaczało się tym samym charakterem: kapsla ołowiana, po wybuchu naboju nitroglicerynowego, została rozerwaną na strzępy płaskie, o brzegach silnie do wnętrza pozaginanych, całkowicie pokryte równoległymi bruzdami. Przyczyna powstawania powierzchni gładkich, albo żłobkowanych może być nader rozmaita, najczęściej wszakże szukać jej należy w przesuwaniu oraz tarceniu o siebie zespołów twardych.

*

*

*

Postacie, w jakich znajdują się bywają meteoryty na powierzchni ziemi, po największej części bywają ostrokanciaste, lubo zdarzają się i kawałki, o krawędziach zakręglonych—obtopionych. Fakt, że wielokrotnie znalezione zostały odłamki, które, po złożeniu, doskonale przystają do siebie i dają postać całkowitą, potwierdza przypuszczenie Daubrée'go, że bolidy pękają dopiero w powietrzu. Tak, na przykład, po spadku meteoru w Butsura, w Indyach wschodnich, 12 maja 1861 r. znaleziono trzy odłamki, które leżały w odległości mniej więcej dwóch mil angielskich jeden od drugiego. Każdy z nich miał krawędzie obtopione, a, złożone razem, doskonale przystawały jeden do drugiego. Wielu meteorytom właściwą jest budowa okrucowcowa (brezczowa), polegająca na ścisłym zespoleniu pierwotnie rozdzielonych odłamków, o krawędziach ostrokanciastych. Takim jest złożenie meteorytu, znalezionego w prowincyi Św. Katarzyna, w Brazylii. Pomimo ciągłości żelaza, zespół żelazny tego bolidu został rozerwany na mnóstwo części o ostrych krawędziach, które natychmiast po zdruzgotaniu, zostały spojone ze sobą za pomocą lepiszcza, widocznego na przekroju, w postaci siatki; lepiszcze w danym wypadku składa się z pirytu magnetycznego i magnetytu. Że zaś zespolenie

nastąpiło natychmiast po rozerwaniu, widocznem jest z tego, że krawędzie odłamków są ostre, nieobtopione, co by nieodzwonnie musiało nastąpić, gdyby dłuższy czas swobodnie mknęły przez atmosferę, a zatem i przyczyniały się do kurczenia powietra. Budowa przeto ikrowcowa, wskazując na pierwotne zgruchotanie ciągłego żelaza i następne spojenie rozdzielonych kawałków, ma niepoślednie znaczenie dla historii powstania meteorytów. Złożenie podobne jest tak często u meteorytów, że Heidinger zaproponował wszystkie, tego rodzaju, okazy, z powodu analogii ich do tufów wulkanicznych, obejmować ogólną nazwą t u f ó w m e t e o r y c z n y c h.

*

*

*

W skład chemiczny meteorytów, jak dowodzi mnóstwo analiz, nie wchodzi ani jeden pierwiastek, nie znany na ziemi. Podobieństwo konstytucyi chemicznej ciał kosmicznych, stanie się jeszcze bardziej widocznem, skoro dodamy, że żelazo, krzem i tlen, trzy przeważające części składowe meteorytów, przeważają także w zaludnionym przez nas globie. Przeciwnie, wapń, potas, sód i glin są daleko słabiej w nich reprezentowane. W każdym razie, mimo dość nawet wybitnych różnic, ciała kosmiczne dają nam niespodziewany, a nie mniej pewny, dowód jedności materyi we wszechświecie. Analogja do tego stopnia bije w oczy, że w meteorytach spotykamy nie tylko znane na ziemi związki chemiczne, lecz związki te tworzą te same minerały, krystalizujące na wzór minerałów ziemskich. Między nimi najczęściej spotykamy oliwin, pyroksen, bronzyt, anortyt, magnetyt, tudzież piryt magnetyczny. Znajdują się wszakże w holidach i minerały nieznanne dotychczas na ziemi, jak naprzykład żelazo rodzime, zawierające nikiel, szrejberzyt, związek żelaza, niklu i fosforu, odpowiadający niekiedy wzorowi $Ni_2 Fe_3 P$, częściej jednak $(Fe, Ni, Co)_3 P$; oldhamit t. j. siarczek wapnia ($Ca S$), znaleziony w kamieniu kosmicznym z Busti oraz pewne połączenie siarki, żelaza i chromu nazwane przez Lawrence Smitha Daubrélitem, a ukazujące się w niektórych meteorytach żelaznych.

Ważnem jest odkrycie Grahama, który dowiódł, że meteoryty zawierają w sobie często gazy wchłonięte. Po dokonaniu przez innych uczonych szeregu odnośnych badań, okazało się, że gazy owe składają się z wodoru, węglowodoru i azotu. Badania te wykazują z jednej strony podobieństwo meteorytów do law wulkanów ziemskich, które zawsze wchłaniają gazy, z drugiej strony naprowadzają nas na myśl o pokrewieństwie meteorytów z kometami, w których analiza spektralna stwierdziła obecność węglowodorów.

*

*

*

W myśl podziału, podanego przez Daubrée'go, meteoryty możemy podzielić na 4 gromady.

- 1) Holosyderyty
- 2) Syssyderyty
- 3) Sporadosyderyty
- 4) Asyderyty

1) **H o l o s y d e r y t y** (holos—cały, syderos—żelazo) składają się wyłącznie z żelaza kosmicznego, chemicznie połączonego z niewielkimi ilościami innych metali, z których najczęściej i w największej ilości występuje nikiel; procentowa zawartość jego nie dochodzi 20%, a zwykle ogranicza się na 3—8%. Holosyderyty zgoła nie zawierają substancji kamiennej. Za to w mniejszej lub większej ilości właściwe im są domieszki rozmaitych związków z siarką i fosforem, w rodzaju Dobrelitu, Szrejberzytu, i t. d.

Holosyderyty składają się przeważnie z jednego osobnika: przez całą bryłę biegnie jedna i tama sama płaszczyzna łupliwości. Żelazo niklowe w jednym i tym samym kawałku przedstawia połączenie aliaży, w których oba metale występują w rozmaitych stosunkach; ponieważ kwasy nagryzają chętniej żelazo uboższe w nikiel, żelazo, zawierające więcej tego pierwiastku, tworzy po wytrawieniu holosyderytu kwasem saletrzanym, wyniosłości, w postaci grzebyków, tworzące tak zwane figury Widmanstätten'a, t. j. szeregi równoległych, oraz przerzynających te ostatnie pod pewnym kątem linii. Baron v. Reichenbach odróżnia gatunki żelaza meteorycznego ściślej i nazywa żelazo, tworzące smugi wydłużone i ciemne—żelazem *belkowem* (kamacytem); zawiera ono szczupłą ilość niklu. Smugi aliażu tego obrzeżone są z obu stron wązkami prążkami żelaza w s t ę g o w e-

go (tenitu), bogatszego w nikiel. Pomiędzy wymienionymi tylko co przekrojami blaszek, pozostają pola pośrednie, trój—lub czworoboczne, zajęte przez żelazo wypełniające (plesyt), składające się albo z żelaza wstęgowego lub też przeważnie z żelaza belkowego. Substancya Holosyderytów składa się z cienkich blaszek, ułożonych zwykle równoległe do płaszczyzn ośmiościanu, podczas gdy żelazu, pochodzenia ziemskiego, właściwe jest położenie kostkowe.

2) Syssyderyty, t. j. meteoryty, o zespole zasadniczym, składającym się z żelaza, w którego mniej lub więcej licznych wgłębieniach tkwią ziarna kamienne, przedstawiające przeważnie krzemian magnezyi i żelaza, podobny do oliwinu zarówno ze składu chemicznego, jak z postaci krystalicznej. Niekiedy ukazuje się i pyroksen.

Do syssyderytów należy meteoryt, odkryty w pobliżu Krasnojarska, w końcu ubiegłego wieku, przez znanego przyrodnika niemieckiego, Pallasa. Wielka bryła tego ciała kosmicznego ważyła 1,600 funtów i przedstawiała typowy syssyderyt; we wgłębieniach zespołu żelaznego tkwią w nim ziarna oliwinu; meteoryty typu podobnego, według nazwiska odkrywcy, nazywane bywają także Pallaszycami.

3) Sporadosyderyty. W meteorytach tej gromady żelazo ukazuje się w postaci ziarn, rozrzuconych w masie zasadniczej kamiennej, w której tu i owdzie dają się spostrzegać także maleńkie ziarenka, wytworzone przez krzemiany, nierozpuszczalne w kwasach: są to chondry nazwane tak przez G. Rese'ego z powodu formy kulistej.

Należą tu także meteoryty, w których żelazo zawarte jest w tak nieznacznych ilościach i w postaci tak drobnych cząsteczek, że długi czas pozostawało nieznanem. Zespół ich kamienny składa się z anortytu i perydotu (oliwinu), lub angitu i anortytu (feldszpat sodowy), a także wyłącznie, bez mała, z perydotu.

4) Asyderyty zgoła nie zawierają żelaza; są przeważnie natury węglowej; węgiel atoli znajduje się tu w połączeniu z wodorem i tlenem, a nie w stanie rodzinnym, w niektórych meteorytach stwierdzono obecność wody, lecz ta jest prawdopodobnie, pochodzenia późniejszego—ziemskiego. Obecność substancji łatwo ulatniających się i ulegających zmianom, dowodzi, że temperatura wnętrza meteorytów takich nigdy wysoką nie była. ¹⁾

¹⁾ Daubrée przytacza przykład, że gdy raz do świeżo spadłego i rozłupanego meteorytu przyłożył rękę, poczuł gwałtowne zimno i stracił w porażeniem miejscu na jakiś czas czucie.

Ciała kosmiczne, nie zawierające żelaza, są zwykle kruche i pod wpływem tarcia łatwo zamieniają się na subtelny proszek (meteoryt z Orgueil), przenikający przez najlepsze filtry. Nie dziw przeto, że, krom meteorytów typowych, istnieje tak zwany pył kosmiczny. Istnienie tegoż nie zwróciło na siebie należytej uwagi z powodu trudności odróżnienia go od pyłu pochodzenia ziemskiego. Ze wszechmiar ciekawe jest spostrzeżenie Renard'a, który w osadzie, zaczerpniętym z dna oceanu spokojnego, znalazł drobne kulki bronzytu, otoczone powłoką magnetytu; utwory te, podobne do chondrów, Renard, poczytuje za cząstki meteorytów rozpylonych.

W celu dokładniejszego zdania sobie sprawy ze sposobu opadania na ziemię pyłu kosmicznego, podaję według Daubréego opis niezwykłego tego zjawiska, któremu w danym razie towarzyszyły donośna detonacya i silne światło. Opis ten zaczerpnięty jest z katalogu, ogłoszonego przez Chladni'ego: W 1819 roku w Montréal (Kanada) zaobserwowano deszcz, koloru czarnego; jednocześnie niebo zaciemniło się, a mrok chwilowy rozjaśniło jaskrawe światło; słychać było przytem huk, podobny do wystrzałów armatnich. Początkowo szukano przyczyny zjawiska w burze oraz pożarze sąsiedniego lasu. Całość atoli jego przebiegu i dokładne zbadanie opadłej substancyi dowiodły, że spowodowane ono było przybyciem do atmosfery materii kosmicznej, w postaci pyłu.¹⁾

*

*

*

Gdy wiele mineralów, wspólnych zarówno meteorystem, jak skałom ziemskim, wskazuje, że w obu wypadkach, przy ich powstaniu, działały czynniki analogiczne, cały szereg związków mineralnych, spotykanych li tylko w bolidach, zdaje się dowodzić, że przy ich wytworzeniu się musiały współdziałać czynniki obce, nieznanne na ziemi. Synteza utworów podobnych byłaby o tyle ciekawą, że dałaby pewne wskazówki co do sposobu ich powstania. Doświadczenia tego rodzaju dokonane zostały przez prof. geologii w Paryżu, A Daubrée.

Syntetyczne doświadczenia swoje dzieli Daubrée na 4 części:

¹⁾ Daubrée: „Geologie experimentale“.

- 1) Odtwarzanie za pomocą topienia.
- 2) Naśladowanie meteorytów zwyczajnych drogą odtleniania pokrewnych im skał ziemskich.
- 3) Naśladowanie meteorytów zwyczajnych za pomocą utleniania częściowego krzemków.

4) Doświadczenia syntetyczne, mające na celu objaśnienie składu mineralogicznego holosyderytu ze Św. Katarzyny (Brazylja).

1) Synteza za pomocą stopów. Stopienie żelaza meteorycznego z Caille i z Charcas (Meksyk), dało w rezultacie zespół zgoła nie przedstawiający budowy, charakterystycznej dla żelaza kosmicznego, pomimo, iż starano się nie dopuścić do połączenia metalu tego z węglem.

Przeciwnie, żelazo, pochodzenia ziemskiego, stopione w tych samych warunkach, dało masę o naturze budowy, analogicznej do żelaza kosmicznego. Dodawano w tym celu do niego stopniowo: nikiel, krzem, siarek pojedynczy żelaza i fosforek żelaza. Ostatni związek spowodował utworzenie się na stopie przedziwnie prawidłowego rysunku dendrytycznego: pojedyncze linije, z których się składał, były, zdaje się, ułożone równolegle do dwunastościanu rombowego.

Meteoryty kamienne (do 30 okazów), stopione w tyglach, wydały zawsze zespół wyraźnie krystaliczny, złożony z masy zasadniczej krzemianowej, przedstawiającej mieszaninę wyraźnych kryształów perydotu (oliwinu) i eustatytu (minerał z gromady piroksenów rombowych) i z rozrzuconych w niej ziarenek metalowych. Różnica polega głównie na tem, że w meteorytach kamiennych naturalnych krzemiany łatwo (perydot)—i trudniej (eustatyt) rozpuszczalne w kwasach są tak ściśle zmieszane ze sobą, że nie sposób ich dokładnie rozróżnić; w stopie zaś sztucznym wyraźnie są rozłączone. Eustatyt okazuje się tu w większej ilości od perydotu. Niekiedy, jak w meteorytach w Chantonay, Ensisheim, Agen, Chateau—Renard i Vouillé, oliwin nie wykrył w kryształach wyraźnych. W produktach stopienia innych kamieni kosmicznych, jak na przykład bolidu z New-Concord znajduje się w ilości przeważającej. Redukcyja żelaza, które było związane z krzemianem w meteorycie, nie wywołała innego skutku nad powiększenie ilości eustatytu ze szkodą perydotu.¹⁾ Położenie obu gatunków mineralnych w stopie zasługuje na zaznaczenie. Jeżeli perydot istnieje w mieszaninie, tworzy on na powierzchni ciekłą powłokę krystaliczną, wewnątrz zaś zespołu składa się z cie-

¹⁾ Eustatyt jest czystym krzemianem magnezyi, a perydot—krzemianem magnezyi i żelaza.

niutkich igielek eustatytu. Ułożenie to odpowiada topliwości (?) obu gatunków.

Mieszaniny, których części składowe, rozpoznawalne są okiem nieuzbrojonym, za pomocą przejść stopniowych łączą się z takimi, których substancja wydaje się na pozór jednorodną i dopiero, po działaniu na nie kwasami, rozpada się na części łatwiej i trudniej rozpuszczalne. Meteoryty węglowe z Alais i Orgueil dają zespoły podobne do tych, jakie są produktami stopienia meteorytów zwyczajnych.

Zgoła odmienny wytwór dają bolidy, zwane eukrytami (odmianna sporadosyderytów); jest to, mianowicie, masa szklista, wykazująca niekiedy początki odszklenia, która nie zawiera wcale kryształów eustatytu i perydotu.

Co się tyczy stopów, wypełnionych ziarnkami metalu, a otrzymywanych przy zamienianiu za pomocą nagrzewania, wielu meteorytów kamiennych na masę ciekłą, to ziarna owe składają się nie tylko z żelaza metalicznego, które było obecnem w bolidzie przed stopieniem, lecz i z odtlenienia ze związków chemicznych w krzemianach.

2) Naśladowanie meteorytów zwykłych (sporadosyderytów) za pomocą redukcji skał krzemianowych ziemskich.

Topienie meteorytów zwyczajnych dawało w produkcji mieszaninę dwóch krzemianów: eustatytu i perydotu. Chcąc przeto odtworzyć ciała kosmiczne drogą sztuczną, ze skał ziemskich, należy zwrócić się w tym celu do utworów, charakterystycznych obecnością obu tych minerałów. Skały takie topiono w tyglach z gliny; perydot czysty zamienia się na masę zieloną, przezroczystą, krystaliczną wewnątrz, a na powierzchni pokrytą wyraźnymi kryształkami oliwinu. Budowę ma blaszkowatą, na wzór perydotu w żuzlach. Widzimy zatem, że krzemian magnezyowo-żelazny, stopiony, różni się złożeniem od oliwinu ziarnistego, właściwego bazaltom. Lertzolit (kombinacja perydotu, eustatytu i pyroxenu) topi się jeszcze łatwiej i daje zespół, do złudzenia naśladowujący skałę naturalną, z tą różnicą, że i na powierzchni i we wnętrzu widoczne są igielki eustatytu, których przed stopieniem rozróżnić było niepodobna.

Dodając pewną ilość krzemionki, można dowolnie zmieniać ilości oliwinu lub eustatytu i wytwarzać mieszaniny przejściowe od perydotu do lertzolitu, podobne do spotykanych w naturze.

Dodając do oliwinu 15% krzemionki, tj. ilość, niezbędną dla zamiany jego w eustatyt, i topiąc wszystko na węglu, otrzymano zespół najeżony na powierzchni kryształkami perydotu. Wnętrze wszakże,

składa się z substancji włóknistej, nierozpuszczalnej w kwasach, wykazującej właściwości eustatytu. Jednoznaczny wynik otrzymany był przy topieniu meteorytów.

Utworki, poddane stopieniu, doznawały takich samych zmian, jakim ulegały przy odtlenianiu. Przy warunkach podobnych chloryt z góry Sw. Gotarda i pyroksen z Sommy dają zespół kamienny, w którym żelazo, związane przed stopieniem z krzemionką, rozrzucone jest w masie stopionej w postaci mikroskopijnych ziarenek, część zaś kwasu krzemowego, która była z nim chemicznie związana, idzie na wytworzenie perydotu.

Nie wszystko wszakże żelazo doprowadzone zostało do stanu metalicznego; część jego pozostaje w związku z krzemianami. Godnym zaznaczenia jest, że kolor zielony, charakterystyczny dla oliwinu, ginie i ustępuje miejsca barwie szarej, właściwej meteorytom zwyczajnym (kamiennym).

Widzimy zatem, że produkty redukcji skał oliwinowych podobne są do wytworów stopienia meteorytów. Analogia tyczy się nie tylko masy kamiennej, lecz i ziarenek metalicznych. W istocie żelazo, otrzymane za pomocą odtlenienia perydotu z Langeac, zawiera do 6% niklu.

Charakterystyczniejsze rezultaty Daubrée otrzymał, stapiając perydot w większych ilościach (do dwunastu kilogramów). Otrzymano więcej żelaza, które traktowane kwasem saletrzanym, dało rysunek prawidłowy. Analiza chemiczna wykazała znaczną stosunkowo obecność niklu. Można było przytem zauważyć, że niektóre ziarenka mają postać kanciastą, przyjętą prawdopodobnie podczas ochładzania się, wskutek nacisku na ciekłe jeszcze żelazo przez substancję kamienną, już stwardniałą lub przynajmniej ciastowatą. Ziarna podobne spotykamy również w niektórych meteorytach, np. w bolidzie z Charcas i San Francisco del Mesquital.

Pewne szczegóły budowy meteorytów odzwierciedliły się w wytworach syntezy, tylko co wymienionych: Badając cienką blaszkę oliwinu lub lertzolitu znajdziemy w niej szeregi linii równoległych, uderzających niezwykłą prawidłowością wśród szczelin, nieregularnie przerzynających całą masę. Linie te są wynikiem łupliwości. Cieniutkie igielki eustatytu, ułożone wiązkami, przypominają szczegóły złożenia mikroskopowego meteorytów. Budowa ikrowcowa (oolityczna), właściwa wielu meteorytom kamiennym, naśladowaną jest przez liczne kulki metaliczne, znajdujące w wytworach stopienia krzemianów magnezyowych. Powierzchnie tarcia, opatrzone powłoką o charakterze grafitu, dają się naśladować, gdy 2 kawałki,

zawierające drobne ziarnka żelaza odtlenionego, będziemy tarli mocno jeden o drugi.

Reakcyja za pomocą odtleniania wodorem dała wyniki zgodne z poprzedzającemi, a wykazujące analogię z meteorytami pod względem chemicznym.

3) Naśladowanie meteorytów zwyczajnych drogą utleniania częściowego krzemków.

Metoda ta, odmienna od poprzedniej, polega na ogrzewaniu aż do stopienia w atmosferze utleniającej ciał, wchodzących głównie w skład meteorytów. Przy zastosowaniu jej otrzymano stopy, naśladowujące dokładnie meteoryty.

Krzemek żelaza, poddany działaniu podobnemu, dał produkt, przypominający, w głównych zarysach, bolidy, zwłaszcza stopione. Żelazo wydziela się albo w postaci metalicznej, albo w postaci krzemianu tlenku żelazowego; perydot ukazuje się w części krystalizowanym.

4) Doświadczenia syntetyczne w celu wyjaśnienia składu mineralogicznego holosyderytu ze Św. Katarzyny.

Holosyderyt ze Św. Katarzyny odznacza się budową okruczowcą (brezczową). Pomimo znacznej ciągłości żelazo zostało rozerwane na mnóstwo większych i mniejszych kawałków, połączonych następnie lepszczem, składającym się z pirytu magnetycznego i magnetytu. Pierwotnym zlepiem był tu piryt magnetyczny; po nim dopiero w czynności zespolenia wzięł udział magnetyt; dowodem następstwa podobnego obu związków mineralnych jest ich sposób występowania w bolidzie: magnetyt wielokrotnie przerzyna zarówno żelazo, jak cienkie warstewki pirytu magnetycznego.

Oszlifowana powierzchnia meteorytu ze Św. Katarzyny, traktowana kwasami, przedstawia nad podziw delikatne figury Widmanstättena, składające się z linii, z geometryczną prawidłowością uszykowanych wzdłuż trzech kierunków: dwóch prostopadłych jeden do drugiego i trzeciego, pochylonego do poprzednich pod kątem 45°. Krom żelaza widać na wygładzonym i odpolerowanym przekroju bolidu, w żelaznym jego zespole substancję błyszczącą, jasno brązowego koloru. Substancya ta działa na igłę magnesową i rozpuszcza się w kwasach, wydzielając siarkowodór tudzież siarkę; jestto prawdopodobnie piryt magnetyczny. Otacza on w kształcie powłoki odłamki meteorytu, albo przerzyna jego zespół żelazny w postaci drobniutkich żyłek. Piryt magnetyczny zawiera niewielkie ilości niklu i grafitu. Obecność pirytu magnetycznego w żelazie, w którym spotykamy zaledwie ślady siarki, godną jest zaznaczenia. Nie możli-

wem jest przypuszczenie, aby obie te substancje znajdowały się jednocześnie w stanie stopienia, siarka bowiem, w przestrzeni bez powietrza, ulotniłaby się bez śladu, w atmosferze zaś tego ostatniego wstąpiłaby w związek z tlenem.

Fosforek żelaza i niklu znajduje się w Holosyderycie ze Św. Katarzyny w nieznacznych ilościach. Kolor jego jest srebrnobiałym. Tu i owdzie ukazuje się w postaci krystalicznej, jednoznacznej z tą, w jakiej się ukazuje sztucznie odtworzony przez M. Sidot.

Odłamki meteorytu ze Św. Katarzyny, badane przez Daubrégo, pokryte były cieniutką powłoką magnetytową, czarnej barwy, która składa się z mnóstwa maleńkich płaszczyzn, o konturach rombów, odpowiadających przypuszczalnie dwunastościanowi rombowemu. Piryt magnetyczny, zarówno jak żelazo, pokryty jest cienką warstwą ciemnej substancji przypominającej magnetyt, a odznaczającej się złożeniem analogicznym do opisanego przed chwilą. Magnetyt nie tylko pokrywa cały zespół meteorytów, nie wyłączając ani żelaza ani pirytu magnetycznego (lepszeza pierwotnego), lecz przenika do wnętrza cieniutkich żyłek i tworzy powłokę, odziewającą z wewnątrz ich ściany; w samym zaś wnętrzu meteorytu zbiera się w drobne gniazda, znaczne na pierwszy rzut oka w skutek ciemniejszego koloru. Magnetyt ma budowę krystaliczną.

Powłoka magnetytowa rzadko jest grubszą nad jeden milimetr i bardzo silnie przystaje do substancji bolidu; stosując nawet znaczną, stosunkowo, siłę, trudno jest oddzielić ją w czystym stanie.

Po baczem zbadaniu właściwości meteorytu ze Św. Katarzyny narzuca się myśl, że zespół metaliczny, posiadający jeszcze wysoką ciepłotę, został wystawiony na utleniające działanie środowiska, jakim jest tlen, albo woda. Utlenianie, nie zadawalając się chemiczną zmianą powierzchni meteorytu, dotarło aż do środka przez szereg drobnych spękań, przerywających bolid. Nie od rzeczy będzie dodać, że przy działaniu parami wodnymi na żelazo rozżarzone, ostatnie pokrywa się cienką powłoką magnetytu, chroniącą je od rdzewienia.

Piryt magnetyczny, zespalaający odłamki żelaza meteorycznego ze Św. Katarzyny, zawiera nieco grafitu. Asocjacja podobna zwykłą jest w meteorytach; dla tego to i ten ostatni pierwiastek włącza często siarkę w postaci związku jeszcze niedokładnie poznanego. (Doświadczenia Lawrence'a Smith'a). Zespolenie podobne nie może być wypadkowem. Jeżeli siarek węgla pomieścimy na sztabę żelazną, rozżarzoną do czerwoności, ostatnia pokrywa się żółto-brązową powłoką, o połysku metalicznym. Substancja owa ma budowę krysta-

liczną, rozpuszcza się w kwasach, wydzielając siarkę i wogóle przedstawia wszystkie właściwości pirytu magnetycznego; wydzielona zeń siarka zawiera grafit. Możemy przeto przypuścić, że skojarzenie siarku żelaza z węglem w meteorytach pochodzi prawdopodobnie od działania siarku węgla na żelazo. Do wniosku tego doszedł jeszcze Berthelot przy badaniu grafitu w żelazie meteorycznym z Carnbourne.

Siarek i fosforek, na równi z żelazem metalicznym zawierają nikiel.

Jakież siły mogły sprowadzić zdruzgotanie zespołu żelaznego, metalu, jak wiemy, *par excellence* ciąglego i kowalnego.

Według Daubrée'go jedyną możliwą przyczyną mogło być działanie gazów, silnie skurczonych, na wzór gazów, wydzielających się przy wybuchu dynamitu. Istotnie Daubrée kładł w pewnych odstępach na szyny i sztaby żelazne naboje dynamitowe; po wybuchu okazało się, że ciała te zostały nieco spłaszczone i rozerwane na kilka części.

Możliwym jest, że gazy i pary, które wywołały zgruchotania żelaza meteorycznego, dostarczyły również substancji potrzebnej do zespolenia odłamków, a to dla tego, że emanacja, która wytworzyła owe materyały, zwłaszcza zaś magnetyt, dotarła przez drobne spękania do wnętrza bolidu, do czego potrzebnem jest silne ciśnienie. Rzecz podobną obserwować można, gdy gazy dynamitowe, rozerwawszy żelazo, zniewalają pyły, towarzyszące wybuchowi, przedostać się w najdrobniejsze szczeliny zgruchotanego ciała żelaznego.

Wiele okazów meteorytu ze Św. Katarzyny otoczonych jest powłoką ugrowatą, tworzącą rodzaj kory, której grubość dochodzi do kilku centymetrów. Jest to limonit, który powstał przy okolicznościach zgoła odmiennych od tych, przy których wytworzył się magnetyt i piryt magnetyczny. Pierwociny powstania tych ostatnich odnieść wypada do chwili zgruchotania meteorytu; limonit zaś jest produktem utleniającego działania atmosfery ziemi na spadłe na nią ciała kosmiczne żelazne.

*

*

*

Bolidy niejednokrotnie spadają z nieba w postaci „deszczu kamiennego“. Pytanie, skąd one się biorą w pustej przestrzeni mię-

dzygwieżdnej, wypełnionej tylko eterem, ciałem nieskończenie subtelniejszem od gazów? Gdzie szukać ich początku? Z jakich odległych przestworów wszechświata dochodzą one do nas—zatrudniało umysł człowieka od chwili ich zaobserwowania.

Pierwotnie uważano je za zgęszczone „wyziewy“ wszechświata; stąd ma początek ich nazwa aerotity.

Następnie, za przykładem Laplace'a i Berzelius'a, szukano ich pochodzenia na planetach i ciałach niebieskich, najbliżej leżących od ziemi. Wielu uczonych poczytywało je za produkty wybuchów wulkanicznych księżyca. Atoli satelita ziemi zbyt wielkiem jest ciałem kosmicznem, aby wytwory jego wybuchów wulkanicznych mogły, przewyciężywszy siłę jego przyciągania, dojść do obrębów neutralnych wszechświata i krążyć dookoła księżyca lub ziemi. Z powodów powyższych hipoteza ta przez długi czas pozostała zarzuconą; pomimo to szereg wybitnych astronomów czasów najnowszych, podźwignął ją na nowo, a, poparłszy sprytnemi dowodami, uczynił możliwą do roztrząsania.

Badacze, opierający się głównie na podobieństwie meteorotów do magmy, wyrzucanej przez wulkany, przyjmują je albo za produkty wybuchów wulkanicznych planet, zbudowanych na podobieństwo ziemi, lub za szczątki pozostałe po rozpadnięciu się ich na oddzielne części.

Niewielka liczba zwolenników poczytywała holidy za produkty wybuchów słonecznych nie biorąc pod uwagę olbrzymiej wielkości tej gwiazdy, a zatem i niesłychanie daleko sięgającej sfery jej przyciągania: nie liczono się z tem, że, wyrzucona przez wybuchy substancya, ukazująca się w postaci protuberanc, zawsze powraca na słońce.

Chladni w 1874 roku pierwszy utorował drogę prawdzie, utrzymując, że meteoroty są asteroidami (drobnemi planetami), które siłą pierwotnego rzutu, wszedłszy w sferę przyciągania ziemi, spadają na nią, podlegając w końcu tylko sile ciężkości,

Obecnie najwięcej zwolenników ma teorya, której zasady są dziełem znakomitego astronoma Schiaparellego, a według której meteoroty znajdują się w bezpośrednim związku z gwiazdami spadającemi, i co za tem idzie, z kometami.

W każdą noc pogodną, patrząc na niebo, usiane gwiazdami, spostrzedz możemy, jak nagle jeden z nierucliomych punktów świetlnych wyrывa się z pośród innych, w niesłychanie szybkim biegu mknie po przestworach niebieskich, a następnie ginie bez śladu.

METEORYTY.

Stwierdzono obecnie, że owe gwiazdy spadające są, jak i meteoryty, ciałami twardymi; przyczyna nagłego ich znikania polega przypuszczalnie na tem, że wskutek nieznacznej wielkości, a nader szybkiego ulatniania się ich substancyi, ciała te nader prędko pozostają wchłonięte przez atmosferę. Zjawisko to, które w pierwszą noc ukazuje się tylko pojedynczo, w pewnych odstępach czasu przybiera rozmiary niezwykle świetne: widzimy wtedy mnóstwo gwiazd jednocześnie wysypujących się, jakoby, z jednego punktu na niebie i opisujących na niem promienisto rozchodzące się trajektorie. Naojobfitsze roje gwiazd spadających na półkuli północnej, przypadają między 9—13 sierpnia, 19—25 października, 13—14 listopada. Punkt, z którego wysypują się one, (punkt radjacyi), nie zmienia się nigdy—jest stałym. Rój z dnia 10 sierpnia mknie z punktu, leżącego w pobliżu gwiazdy γ , w gwiazdozbiornie Perseusza; rój z 13 listopada, ma swój punkt wychodni między gwiazdami γ i μ w konstelacyi Lwa.

Jedynie możliwe objaśnienie zjawiska tego rodzaju jest przyjęcie, że wszystkie meteory, widzialne jednej nocy, należą do jednego roju, składającego się z niezliczonej ilości drobnych ciał, które krążą naokoło słońca wzdłuż jednej i tej samej linii krzywej. Ta ostatnia przecina orbitę ziemi w punkcie, w którym ziemia znajduje się w chwili ukazywania się deszczu gwiazdowego. Przechodząc przez rój tak małych asteroidów, dzięki ciężarowi swemu, a zatem znacznemu przyciąganiu, porywa pewną część tychże.

Roje perseidów (9—13 sierpnia) i Leonidów (13—14 listopada) są najliczniejsze. Nie każdego atoli roku zjawisko to jest jednako wspaniałem; Leonidy najwyższą świetność osiągają mniej więcej co 33 lata. Rój perseidów najokazalej przedstawia się co lat 108. Powtarzanie się zjawiska z niezwykle mocą co pewien stały przeciąg czasu, naprowadza na myśl, że gwiazdy spadające nie tworzą jednego zbitego roju, lecz, że rozrzucone są nierównomiernie wzdłuż całej orbity roju i tylko w pewnych miejscach ściślej są skupione, co jest właśnie przyczyną peryodycznego powtarzania się maximum świetności zjawiska. Ponieważ wiadomym jest czas obiegu, kierunek, szybkość meteoroidów i ognisko ich drogi—słońce, można dokładnie wyznaczyć ich drogę. Okazało się, że linie, wzdłuż których krążą naokoło słońca, najbardziej pokrewne są liniom opisywanym przez komety. Schiaparelli wykazał, że wydłużona droga Perseidów jednoznaczna jest z linią krążenia 3-ej komety 1862 r. Droga roju z 27—29 listopada zbiega się z linią opisywaną przez komety

Bieli. Komety zaś, jak wiadomo, zbliżywszy się zanadto do słońca, albo do którejkolwiek planety, rozpadają się na części.¹⁾ Powstałe, wskutek skruszenia się, odłamki, rozdzielają się i krążą wzdłuż pierwotnej drogi, tworząc w ten sposób rodzaj pierścienia, złożonego z meteorów, z którego, w pewnych odstępach czasu ukazują się gwiazdy spadające. Mimowoli narzuca się pytanie, czy meteor można utożsamić z gwiazdą spadającą. Zarówno pierwszy, jak druga są ciałami twardymi. Oba z niesłychaną szybkością przebiegają przez atmosferę i kurczą ją, wywołując silne rozżarzenie. Spadająca gwiazda jest wprawdzie drobnej wielkości i mknie przez atmosferę bez żadnego huk: meteory zaś są o wiele większe i towarzyszą im silne detonacje. Zdaje się, atoli, że i ten i tamta są krańcowymi objawami jednego i tego samego szeregu zjawisk; małe bowiem, a znaczną szybkością obdarzone ciała, wchłaniane są przez atmosferę, zanim zdążą do sięgnięcia ziemi, żaden zaś odgłos, gdyby nawet istniał, z tak wysokich obszarów nie może aż do niej przeniknąć.

Potwierdzeniem wywodów powyższych, przypisujących gwiazdom spadającym i meteorom wspólne pochodzenie ze szczątków komet, znajduje potwierdzenie w kilku spostrzeżeniach, według których drogi meteorów sprowadzić można do kilku punktów wychodnich, odpowiadających punktom radjacyi znanych rojów gwiazd spadających.

*

*

*

Doniosłe doświadczenia syntetyczne Daubrée'go mają nie tylko charakter specjalny. Wyjaśniają one wprawdzie mnóstwo ciemnych dotychczas pytań, dotyczących się powstania, budowy i składu chemicznego oraz mineralogicznego meteorytów; po za temi wszakże mają inne bardziej filozoficzno-przyrodnicze znaczenie, wpajając w nas przekonanie, że różnice, istniejące między trzema stanami materii, gazowym, płynnym i stałym, nie są tak charakterystyczne dla każdego z nich, za jakie wobec człowieka, nie wtajemniczonego w tajniki przyrody, uchodzić mogą. Gazy, przy pewnych warunkach, mianowicie, przy niesłychanie wysokich ciśnieniach, zachowują się na podo-

¹⁾ Kometa Bieli w 1846 r. rozdzieliła się na dwie części.

bieństwo ciał stałych i żłobią powierzchnie najtwardszych przedmiotów, jak najostrzejsze narzędzia stalowe. Przeciwnie, też same wysokie ciśnienia doprowadzają ciała stałe do stanu plastycznego, pośredniego między stałym, a płynnym, i zniewalają je nawet do wyciekania na wzór cieczy z przestrzeni, w której zostały uwieszone.

Przeto z doświadczeń syntetycznych Daubrée'go wyprowadzić możemy ogólniejszy nieco wniosek: Nieprzerwana ciągłość łączy trzy stany materji i wykazuje jej rzeczywistą jedność.

STANISŁAW JANISZEWSKI.

Prace i dnie ludu polskiego w „Chłopach“ Reymonta.

Szlachetna dążność ku zgłębieniu duszy chłopskiej, wykryciu wszystkich jej tajników i ujęciu ich w formę wysoce artystyczną jest jednym z najcenniejszych znamion naszej literatury dzisiejszej. Dusza chłopska! Poezja romantyczna nie знаła jej, a jeżeli znała, to powierzchownie, chociaż wspierała się na jej pojęciach i jej twórczości, chociaż rozbrzmiewała nutą jej piosenki-tęskuicy. Czyż „Dziady“, chociaż na wierzeniach ludowych zbudowane, dadzą nam wszechstronne pojęcie o życiu i psychologii chłopa polskiego? Czyż dumki Zaleskiego, gawędy Kondratowicza, mazurki Ujejskiego, pieśń o ziemi Pola, piosenki Lenartowicza, obrazy podolskie Gośławskiego, choć nieraz wiernie odtwarzają zewnętrzną stronę bytu chłopskiego, sięgają do najgłębszych pokładów duszy ludowej?

Nie mówimy już o dziełach dramatycznych, w których pod względem ludoznawczym nie posunęliśmy się wtedy bodaj ani na krok od czasów „Krakowiaków i Górali“ Wojciecha Bogusławskiego przez całe lat dziesiątki, chociażśmy mieli tu dzieła dużej wartości literackiej, jak np. „Karpaccy Górale“ J. Korzeniowskiego; najczęściej charakteryzacja kończyła się tu na mazurzeniu i kostyumach, czasem na zabarwionem zlekką tle społecznem.

W dobie realizmu, ta tendencja społeczna w utworach ludowych wychodzi na plan pierwszy. I znowu zaczynamy pod kątem fałszywym patrzeć na „kmiotka“ i „chatę“; jasność patrzenia i postrzegania przesłania sentymentalizm demokratyczny, przeciwstawiający „pocziwego chłopa“ jego okrutnemu władcy i tyranowi; byt „chaty“, umysłowość i moralność chłopa malują się w różowych barwach, promiennie, słonecznie, a często nieprawdziwie, zaprawione kazaniem moralno-społecznemi o potrzebie niesienia światła pod strzechy i t. p.

Z biegiem czasu warunki bytu zmieniły się do niepoznania. Chłop z poddanego stał się obywatelem, z pozostającego pod opieką

równym sąsiadem, zaczął wieść odrębny żywot ekonomiczny, rzadko korzystając z sąsiedztwa dworu, częściej potrzebny „dziedzicowi“, jako siła robocza, której brak daje się uczuwać coraz bardziej.

Ale mimo zniesienia poddaństwa, tego kamienia obrazy dla międzystanowej wspólności duchowej, stosunki nie uległy zmianie na lepsze; wzrasta wzajemna niechęć, nieufność, odosobnienie zwiększa się zamiast maleć, zachodzi obawa, że „ciarach“ i „cham“ staną się sobie zupełnie obcy.

To groźne niebezpieczeństwo spostrzegła czuła na wszystkie objawy społeczne literatura beletrystyczna, przeraziła się niem i rzuciła się ku pomocy. Zbliżyć się do ludu z sercem gorącym, zrozumieć i odczuć wszystkie potrzeby jego ciała i ducha, poznać do głębi jego charakter i byt codzienny, wygrać, wyśpiewać wszystkie ciche szepty jego duszy prostej i potężnej, pierwotnej i zarazem wykwintnej—oto, jaka otworzyła się droga przed tymi, co chcieli nieść „oświaty kaganiec“.

I stąd ta wielka, żywiołowa demokratyczność naszej poezyi i beletrystyki, wolna od wszelkich przymieszek sentymentalizmu i fałszywej pozy. W pawie piórka frazeologii „społecznikowskiej“, sztywnej doktryneryi i dydaktyzmu nudnego w swoich nawoływaniach zawsze tych samych i jednostajnie ekliwych stroją się mniejsze talenty i talenciki, zapominając o tem, że przedtem należy poznać grunt, na którym chce się coś budować, a potem dopiero brać się do wznoszenia teoryi. I dlatego doraźne środki, zalecane przez tych lekarzy społecznych, noszą charakter paliatyw: kilkanaście rozdanych książeczek, kilkoro dzieci, uczących się czytać i pisać, kilka butelek lekarstw, korezyk żyta na przednówku nie zasypią przepaści.

Ale więksi duchem zrozumieli, że należy sięgnąć głębiej, szersze zakreślić widnokregi. Zasługa dotarcia po raz pierwszy do wewnętrznej istoty psychologii chłopskiej należy się starszemu pokoleniu pisarzy: Sienkiewicza „Bartek zwycięzca“ i „Szkice węglem“, Prusa „Placówka“, Sewera słoneczne obrazki ludowe, przenikliwe duszoznawstwo Dygasińskiego—oto pierwsze etapy tej drogi, która stała się jedną z wytycznych dzisiejszej twórczości.

Za nimi poszli następcy z namiętą żądzą odkrywców nowych łądów, nieznanym zgoła cywilizowanemu światu. Konopnicka oświecła łagodnym promieniem serdecznego umiłowania tajne wnętrza „dusz prostych i miernych“, i w nowelkach, i bardziej jeszcze w „Panu Balcerze z Brazylii“, który, jak drogosciaz, stoi na rozdrożu wieków; Kasproicz w swych poematach daje kunsztowny wyraz tragedyi duszy chłopskiej; Wyspiański wprowadza na scenę groźne zagadki psychologii ludu w „Kłątwie“ i „Weselu“, Żeromski roztacza po-

nure obrazy nędzy i opuszczenia, krwawemi łzami płacząc nad beznadziejnością losu; Orkan przenika nawskroś stosunki wiejskie, zapoznaje nas z losem nędznych „komorników“, których „chałupnicy“ krzywdzą i wyzyskują; Tetmajer w ostatnich nowelach maluje szerokim pędzlem przedziwne tajniki duszy podhalańskiej; Rydel na wiejską nutę wyciąga piosenki, pieści się arcydziełami wyobraźni ludowej w baśniach; Przybyszewski nawet, choć od wszelkich zagadek społecznych i z umysłu, i z charakteru twórczości tak niezmiernie daleki, wtedy jest najdoskonalszy, gdy śmiały mi ruchy rzuca na płótno posępny obraz natury kujawskiej i groźnego w swej zaciętości kujawskiego ludu.

W tym procesie „schłopiania“ naszej dzisiejszej twórczości beletrystycznej Reymont odegrał niepoślednią rolę. Bystry postrzegacz, o bujnym, żywym temperamencie, o malej zrazu kulturze artystycznej, o gorącej wyobraźni, czuły na wszystkie podniety zewnętrzne, przez długi czas nie umie znaleźć drogi właściwej, nie potrafi uporać się z nawałem materiału obserwacyjnego i przetopić go w kryształ skończonych całości artystycznych; jego „Ziemia obiecana“ przy nadzwyczajnem bogactwie nagromadzonych postrzeżeń, typów, wybornie uchwyconych w jednym ruchu, w jednym powiedzeniu, mimo dużej plastyki i żywości w oddzielnych scenach nie posiada zalet symetrycznej budowy estetycznej.

Z biegiem czasu talent Reymonta wzmógł się w sobie, zmężniał, nie rozrósł się, lecz pozyskał panowanie nad sobą i nad wrażeniami a wydana przed dwoma laty powieść p. t. „Sprawiedliwie“ jest najlepszym dowodem, że autor pozbył się dawnej rozbieżności szczegółów i epizodów życia. Przytem w powieści tej mieliśmy kilka typów chłopskich i scen z życia ludu, które zaszczyt przynoszą swemu twórcy.

Te dwie ostatnie zalety: symetryczność budowy i przenikliwe duszoznawstwo chłopskie występują w większych bodaj jeszcze rozmiarach w ostatniem dziele Reymonta, wielkiej powieści p. t. „Chłopi“.

Oczywiście, to, co mówimy o architektonice utworu, jest, jak dotychczas, rzeczą tylko względną; nie mamy bowiem jeszcze całości kształtu powieści: z tetralogii, która ma złożyć się na pełny obraz życia chłopskiego w różnych porach roku, dał nam Reymont dwie pierwsze części: I. „Jesień“ i II. „Zimę“, na wiosnę i lato musimy jeszcze poczekać.

Ale i z tej połowy, którą nas obdarzył dotychczas autor, wniesić możemy, że mamy tu do czynienia z pomysłem, doskonale obmyślonym we wszystkich szczegółach, według z góry nakreślonego i czujnie przestrzegane go planu; niemasz tu, jak bywało w „Ziemi obiecanej

nej" lub „Fermentach“, ani jednej postaci, ani jednej sceny, któraby nie była niezbędna już to dla samego przebiegu akcji, już to dla uwydatnienia tła obyczajów i krajobrazów.

Nie pamiętamy powieści, gdzieby życie chłopskie wystąpiło w obrazie tak pełnym, wszechstronnym, a mimo to nie rozpryskującym się na odrębne epizody i szczegóły. Czegóż tu niema? Dobrobyt i niedola, uciechy i smutki, tajne namiętności i jawne, gwałtowne ich wybuchy, miłość i nienawiść, cnota i zbrodnia, pokora i hardość, chciwość i rezygnacya, śmierć i wesele, zaciętość i przebaczenie, słodycz i opryskliwość, tchórzliwość i bohaterstwo, ciemnota i przedziwna jasność umysłu, głęboka religijność i sceptycyzm, przebiegłość i dobroduszość — wszystko odbiło się tu, jak w zwierciadle.

Reymont w całym szeregu scen epizodycznych, ściśle wszakże związanych z przebiegiem akcji, daje obraz codziennego życia chłopów w różnych okresach roku: więc kopanie kartofli, zbiór kapusty, obieranie jej, sądy, jarmark, swaty i wesele, wypominki w dzień zaduszny, advent i długie wieczory jesienne, wigilia i pasterka, kościół i karczma, wieczornice zimowe i chłopcy, co z „nie-dźwiedziami“ chodzą, nienawiść do „dziejzica“, która w końcu drugiego tomu, na wieść, że rąbią las, na którym chłopcy mają serwituty, wybucha lawą długo tajonej namiętności w silnej scenie walki chłopów z „dworskimi“, cały szereg scen o śmiałych konturach, jaskrawych a ruchliwych, żywych a barwnych, składa się na całość o wielkiej sile realizmu, nie pozbawionych uroku piękna poetyckiego.

A i wewnętrzne dzieje wsi mają tu swój obraz: stosunek chłopów do „dobrodzieja“, duma gospodarska, pogarda innych stanów, a zwłaszcza „szaraków“ z sąsiedniego zaścianka, niedola rodziców, którzy cały grunt swój oddali dzieciom, a sami poszli na „wycug“, buta gospodarzy, co na gruntach i chałupach siedzą, nędza komorników, wzajemne intrygi i niechęć, chciwość na ziemię, wytworna obyczajność chłopska, słodka łagodność i rezygnacya krzywdzonych, bezwzględność krzywdzicieli, stosunki rodzinne wreszcie — występują w „Chłopach“ w zarysach wyrazistych, silnie przemawiających do wyobraźni.

Na tem tle rozwija się nić intrygi powieściowej. Niezłożone to stosunki, a mimo to pełne siły dramatycznej. Stary Boryna po śmierci drugiej żony postanowił się ożenić. Ma już dzieci dorosłe: Grzelę w wojsku, Antka i dwie córki, jedną za kowalem z tej samej wsi, i drugą, młodkę jeszcze, Józkę. Ale krzepkim się jeszcze czuje, a zresztą — źle mu u dzieci, nie ma komu chodzić gorliwie koło gospo-

darstwa kobiecego, a usłużyć staremu i wygodzić też nikomu się nie chce, bez gospodyni wszystko rozłazi się w rękach.

Węzeł dramatyczny zadzierzgnął się z chwilą, gdy Borynie narajono młodą dziewczynę z zamożnego rodu gospodarskiego, Jagnę Paciesiankę. Płocha to była dziewczyna i wietrznicą, w całej wsi ją znano i źle o niej mówiono, jako że za parobkami po nocy się uganiała; ile w tem było prawdy, Bóg to wie i „dobrodziej“ na spowiedzi—jedno wiadomo, że Antek Boryna, choć od kilku lat żonaty z dobrą i łagodną Hanką, należał do szczęśliwych wybranych.

Dawna niechęć między starym Boryną a dziećmi, które czuły się skrzywdzonymi, iż ojciec pomiędzy nie gruntu nie rozdzielił, wybuchła teraz ze zdwojoną siłą; słyhać bowiem, że stary uczynił zapis na rzecz narzeczonej z sześciu najlepszych morgów, wreszcie i w Antku zaczyna burzyć się namiętność; jakto? Jaguś, która jego była i obiecała jego być przez całe życie, wychodzi teraz za innego, i to za jego własnego ojca! Wybuchła sprzeczka, ojciec wypędza z chaty Antka z żoną i dziećmi.

Napięcie dramatyczne wzrasta z każdą chwilą. Jaguś została już żoną Boryny; zrazu czuje się szczęśliwą i dumną na nowem stanowisku gospodyni na trzydziestu kilku morgach, ale po pewnym czasie wspomnienia dawnej miłości przemawiają w niej coraz gwałtowniej, Boryna już zaczyna się czegoś domyślać, już się staje podejrzliwym i przykrym w obejściu, już wie o wszystkim; o ile w pierwszych miesiącach pożycia dogadzał swej ukochanej Jagusi, o tyle teraz odsuwa się od niej, trzyma ją krótko, nieraz obchodzi się z nią brutalnie. Następuje scena przełomowa: Boryna podpala swój własny bróg, gdzie schronili się przed zawieją śnieżną Antek i Jagna.

A potem jeszcze jedna scena: cała gromada chłopów, uzbrojonych w cepy, widły i kosy, napada na „dworskich“, wyrąbujących las, wywiązuje się walka; Antek przybiega ze strzelbą, mierzy w głowę ojca, raz, drugi, ale ęmi mu się w oczach; a kiedy w tej właśnie chwili borowy powala starego Borynę, w Antku—odzywa się uczucie synowskie, głos krwi, z nieludzkim rykiem rzuca się on na nieprzyjaciół, rozdzielając pomiędzy nich straszliwe razy.

Na tej wysoce efektownej scenie kończy się druga część powieści, ostatnia, jaką dotychczas mamy. I przyznać należy, że, jeżeli autor nie ustanie w pracy, jeżeli i dalsze ogniwa będą wykute z równie hartownego kruszcza, jeżeli natężenie dramatyczne nie osłabnie w dalszych epizodach, będziemy mieli w „Chłopach“ wielki obraz życia i obyczajów wsi polskiej, misternie wykonany, istne „prace i dnie“ chłopów naszego.

Subtelność i głębia duszoznawcza Reymonta mają tu szerokie pole do popisu. Postacie pierwszoplanowe odmalowane są w „Chłopcach” wszechstronnie i drobiazgowo; nie ogranicza się autor uwydatnieniem jednego rysu, nadającego postaci pewien charakter wybitny, ale jednostronny, nie potrąca wciąż w tę samą stronę, ale roztacza całą gamę przeżyć duchowych, uczuć, myśli i porywów różnorodnych i sprzecznych, dzięki czemu figury te celują nie tyle plastyką zewnętrzną, malarską, ile wewnętrzną prawdą i siłą wyrazu.

Weźmy np. takiego Borynę. Wiemy, że jest to zamożny gospodarz, ze starego chłopskiego rodu, poważany przez całą wieś, jako głowa i przewodnik, chociaż urzędem żadnym nie chce się parać, ni wójtuje, ni sołtysować nie pragnie. Ale kiedy przyjdzie ruszyć do walki z „dworskimi”, on występuje na czoło gromady, przemawia do niej ogólnie a rozumnie, prowadzi innych i pierwszy uderza na nieprzyjaciela. Wszyscy we wsi, ba! nawet w całej okolicy, wiedzą wybornie, że w Lipcach Boryna jest pierwszy, nic się bez niego nie obejdzie, w każdej ważniejszej sprawie milczącą zgodą on jest wybierany naczelnikiem. I sam wie o swojej wyższości i nosi ją z powagą i statecznością; nie robi nic takiego, co mogłoby mu ujmę przynieść lub ośmieszyć w oczach gromady, nie wyjawia np. głośno, że ma wielką ochotę do ożenku z Jagusią, ale uda, że jeszcze się namyśli i dopiero coś postanowi; jako narzeczony, nie będzie też czulił się do Jaguny na oczach wszystkich, bo nie przystoi to statecznemu gospodarzowi; a kiedy słuchy pójdą po wsi o jego złem pożyciu z Jagunią, o Antku, sam będzie chodził po chatach i zapobiegał szerzeniu się uwłaczających mu wieści nie gwałtownem zaprzeczeniem, co by się na nic przydało, ale udanem lekceważeniem sprawy i spokojem, choć w duszy mu wre.

Dumny też jest ze swego bogactwa i ze swojej przewagi w Lipcach i przed nikim się nie ugnie. Udając się na jarmark, przysiadzie się na wózek organisty, ale wróci już własnymi końmi; jeszcze by powiedzieli, że się do „kalikowania” godzi, a on, przecie „nuty nijakiej nie wyciągnie i świeców gasić nie nauczny.” (Chociaż skąpy jest, jak każdy chłop, nie żałuje wszakże grosza, żeby pokazać się wobec całej wsi, jak np. na własnym weselu. A popatrzeć tylko na niego, z jaką butą zawadyacką, z jaką hardością, jako pan młody, idzie w orszaku ślubnym, otoczony drużbami, aż naprawdę jest mimo lat urodny; a jak łaskawie pozwala gościom weselnym na różne dowcipy i przycinki, ciesząc się, że jego osoba i los są przedmiotem powszechnego zainteresowania.

Takiego człowieka stawia autor wobec różnorodnych, a nieraz tragicznych wypadków życia; z ciekawością też obserwujemy, jak

załamują się w jego duszy te wszystkie wrażenia, jakich są powodem odruchów i czynów.

W pierwszych kilku scenach mamy obraz pożycia domowego w chacie u Borynów. Nie wesołe to życie! stary chciwy a chytry grunt dzieciom nie oddał, one radeby wszystko zagarnąć, wre więc cicha a ciągle wojna: to Antek okuniem mu się postawi, to Józka odwarknie, to kowal wystąpi z pretensyami, nic, tylko ciągle użerać się trzeba! Na dobitkę złego jeszcze i krowa mu zdechła, i głupia komornica Jewka pozwała go o dziecko, ot—ręce załamać...

Ale naraili mu Jagnę. Cieszy go to niewymownie; bo to i podobala mu się hoża dziewczyna, i o grunt mu chodzi, śliczne pięć morgów ziemi, przylegające do jego pola, a wreszcie pochlebia mu to, że uważają go we wsi za dzielnego chłopca, co i młodym jeszcze dostoi placu.

Po ślubie buta i szorstkość Boryny gdzieś znikły, ukryły się. Śm. cją się z niego sąsiedzi, że uległy jest żonie, pieści się z nią, jak z bawidelkiem, nie pozwala brać się do żadnej grubej roboty, dogadza, jakby jakiejs pani. Ale niedługo to trwało. Raz i drugi zanwazył coś podejrzanego, niedobrzy ludzie nakładli mu plotek wuszy, budzi się w nim uśpiona pierwotność natury chłopskiej. W doskonałej scenie w karczmie, kiedy Antek długo tańczy z Jagusią, aż ludzie zaczynają szeptać i dziwować się wokoło, on zbliża się do niej, ujmuje za ramię i brutalnym ruchem wyprowadza z karczmy; a kiedy Antek ujmuje się za macochą, rzuca mu w twarz straszne wyrazy: „Mówię ci, odejdz, bo, jak Bóg na niebie, zakatrupię cię, jak psal Słyszysz!”

Zrywa się w nim też prawdziwie chłopska podejrzliwość. Od chwili, gdy zaczął się obawiać, że Antek go spali, nie ma ni godziny spokoju: i dniem, i nocą obchodzi wciąż chatę i budynki gospodarskie, strzegąc ich z rozpaczliwą bacnością. I w stosunku do żony zmienia się zupełnie: przedtem czuły i uległy, teraz huka na nią ostro, do roboty zapędza i tropi na każdym kroku; co przedtem gospodynią była całą gębą, teraz jest sługą ostatnią, aż wreszcie i ona zbuntowała się, i odtąd piekło zapanowało w ich domu.

Żywiołowość natury starego Boryny objawia się w jednej jeszcze scenie, już wspomnianej powyżej, kiedy blady, przygięty, straszny, „kiej trup“, podpala bróg i z widłami czatuje u wejścia, by popełnić dwa straszliwe morderstwa: żonobójstwo i synobójstwo, bodzie widłami wiarołomnych, aż ledwo z życiem uciekli; a potem biega wokoło brogu, jak „zły w krwawym brzasku“, i okropnym głosem woła: „Gore! Gore!”

Doskonałym jest też typem Jagusia, odmalowana przez autora wielce subtelnymi rysami, we wszystkich swoich różnorodnych przejściach duchowych.

Dlaczego pozwala się całować i kochać to dziarskiemu Mateuszowi, to znów namiętnemu Antkowi? tak, to grzech wielki i wstyd wobec ludzi, ale cóż ona temu winna? krew winna gorąca, której pohamować nie zdolna, która wybucha wielkim płomieniem, z potęgą niepowstrzymaną? „Zawsze się z nią tak dzieje—tak się sama przed sobą usprawiedliwia—że niech kto a ostro spojrzy na nią albo i ścisnie mocno... to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak mdli w dolku, że już o niczem nie wie... co ona winowata“?

Dlaczego wyszła za starego Borynę? próżność i chciwość ją uniosły. Pochlebiali jej, że najpoważniejszy we wsi gospodarz z wódką do niej przysyła, wabiły ją morgi liczne i stanowisko najbogatszej w całych Lipcach gospodyni, a bardziej może jeszcze—piękne sznury koralu po nieboszczce Borynowej, zresztą uległa namowom matki, której uśmiechało się bardzo mieć Borynę za zięcia.

Ale w miarę zbliżania się dnia ślubu, smutnieje coraz bardziej. Nie to, żeby płakała i rozpaczała, ale nie cieszy się bynajmniej, jakby tu nie o nią wcale chodziło, jakby na cudzym była ślubie, zamysłona jest i obojętna.

Znakomicie odmalował autor przejścia duchowe Jagusi po ślubie. Zrazu jest prawie wesoła; czuje się panią na swoich śmieciach, bawi ją nowość i władza, pochlebia uległość męża. Szybko wszakże zachmurza się widnokrąg jej ducha. Spotkała się z Antkiem w kościele na pasterce, gdy dusza jej rozplywała się w ogromnej pieśni kolendowej, a szczarowana wyobraźnia zmąciła jej równowagę ducha; on jej szepnął w ucho kilka słów gorących, i od tej chwili ogarnął ją straszliwy lęk, lęk przed nim, przed samą sobą, przed złem. I od-tąd zaczyna wrzeć w jej duszy walka namiętności z sumieniem; coś ją ciągnie na umówioną schadzkę pod brogiem, że i oprzeć się trudno; ale coś inne chwyta za kark i przytrzymuje na miejscu; kiedy-indziej zdecyduje się w ostatniej chwili pojechać z mężem do miasteczka zamiast wylecieć do Antka. A jednocześnie zmienia się jej stosunek do męża, czuje ku niemu nie miłość, której nigdy zresztą nie było, nie przyjaźń nawet, ale wstręt i obawę, potem—wprost nienawiść. Ale do czasu nie zdradza go, nie dlatego, że go nie chce oszukiwać, ale przez wrodzoną odrazę do występku. Potem dopiero ulega potędze, której oprzeć się nie zdoła.

Wreszcie pewnego razu Jagusia spotkała Antka na wieczornicy zimowej, gdzie prządki prawily straszne baśnie i gadki o topielcach, upiorach, wilkołakach i południcach; wyobraźnia jej rozogniła

się czarami świata nadprzyrodzonego, co od życia tego nędznego i szarego tak daleki, lśni i gra barwami tęczy i duszę chwyta w kleszcze. I nie wiedziała nawet, kiedy Antek uchwycił ją za ramię, i wyszli razem na wicher i śnieg, co dziko grał po polach, nie tak strasznie wszakże, jak huragan ich rozkolysanych namiętności, które teraz wybuchają lawą półsłów i półszeptów, to rozścielając się ciszą bezbrzeżną w ich sercach, to wyjąc dziko, jak rozszalały ocean.

Rozumiemy, że żywiołowość uczuć tych dwojga natur takie a nie inne musiała przyjąć kształty, że nie może tu być miejsca na jakiegokolwiek karby i więzy konwenansu czy etyki; ale zaraz usuwają się pewne wątpliwości. Czyż to pierwsza jest schadzka i pierwszy uścisk? Czyż to jest nowością dla wiarołomnej żony, dla kazirodczego syna? Dlaczego więc teraz ta schadzka została opisana z taką drobiazgowością? A to, że w tej właśnie chwili czyha na ich życie zaczajony pod stogiem Boryna, zdwaja oczywiście, tra gizm sytuacji, ale nie może wpłynąć na podniesienie skali namiętności tych dwojga, którzy o zamachu ojca nic zgoła nie wiedzą.

A wobec tego tej sceny, wspaniałały krajobraz nocy zimowej, wśród świszczącego wichru i tumanów śniegu, wśród rozlegających się wokoło tajnych głosów natury, wydaje się nam zbyt wielkim, zbyt majestatycznym.

Te wszystkie wątpliwości znikłyby bez śladu, gdyby był autor wyraźnie zaznaczył, że tu właśnie nastąpiło uszczknięcie pierwszego listka z drzewa zakazanego miłości kazirodziej.

Dalsze dzieje duszy Jagusinej są też niezmiernie ciekawe. Po przemięciu nawałnicy zmysłów, po zbrodniczym zamachu starego Boryny następuje reakcja, reakcja przesytu i poczucia winy. Wybiega teraz niejednokrotnie do Antka, ale nie jak dawniej, gdy wyrwała się doń całą duszą, lecz z musu, jak niewolnica; nie obumiera teraz z rozkoszy w jego objęciach, dusza jej nie pała mu do nóg „z onej uciechy niepowściągliwej“, lecz czuje względem niego lęk i przerażenie, miasto urywanych wyrazów wyznań namiętnych padają pomiędzy nimi pierwsze słowa niechęci, czują oboje, że to już koniec ich miłości i szczęścia, że choć ciała są blisko, dusze odbiegają precz daleko od siebie. Klątwa grzechu śmiertelnego leży brzemieniem na ich duszach.

Antek jest równie doskonale wystudyowany. Jego przejścia duchowe podobne są do skreślonego powyżej przebiegu dramatu wewnętrzznego u Jagny. Tylko temperament jego jeszcze wyrazistszy, serce, unoszące się jeszcze namiętniej to miłością, to nienawiścią, tylko instynkty, i złe, i dobre, przemawiają u niego językiem jeszcze go-

rętszym, tylko natura jego bardziej jest pochopna do czynu, podczas gdy Jagna odznacza się biernym charakterem; tylko szybkie przejścia z jednej ostateczności w drugą gwałtowniejsze są jeszcze, jak u ludzi pierwotnych, nie znających więzów konwenansu, a uczucia uzewnętrzniają się szybko i potężnie. Doskonała jest scena z ojcem, jeszcze przed weselem starego: Antek, namówiony przez chytręgo kowala, przychodzi do ojca z pokorą i rezygnacją, na wszystko przystaje, pragnie zgody i układów. Ale nie z tego! po wymianie kilku zdań pokojowych wybucha sprzeczka, krzyżują się wzajemne przymówki, wyrzuty, wreszcie przychodzi do bójki, aż ludzie ich musieli rozważać — i wtedy to Boryna wypędza syna z domu. Albo wyborny jest Antek, kiedy na propozycję kowala, by do zjednania starego użył pośrednictwa Jaguny, wybucha spienioną falą nienawiści i oburzenia. Gorzej jeszcze postąpił sobie z Mateuszem, który chwalił się przed wszystkimi posiadaniem miłości Jagusinej: uchwycił go za gardło, za pas i cisnął w rzekę, aż go ledwie ludzie uratowali. Ale wprost znakomicie odtworzył Reymont psychologię Antka w ostatniej scenie drugiego tomu, w owej subtelnej grze namiętności sprzecznych, które burzą się w jego duszy podczas walki w lesie.

Przy popędliwym i szorstkim, brutalnym nieraz w objawach namiętności Antku, żona jego, Hanka, stanowi istne przeciwieństwo. I ona też scharakteryzowana jest nie w jednym jakimś momencie psychologicznym, ale w całym szeregu chwil różnorodnych, z których każda inaczej oddziaływa na jej wrażliwą duszę. Zrazu uległa jest, cicha i pokorna, potulna, jak zahukane dziecko, względem męża, którego kocha, którego też boi się szalenie.. Z jakąż nieśmiałością prosi go o byle drobną przysługę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, z westchnieniem sama bierze się do roboty! z jakąż obawą śledzi każdy jego ruch, każdy objaw niezadowolenia lub gniewu! z jaką delikatną miłością chodzi dokoła niego, kiedy widzi go smutnym i przygnębionym, zzuwa nawet trepy, aby go nie rozdrażnić stukotem! z jakąż ostrożnością wyznaje mu, że wystarała się dlań o robotę przy młynie, bo nie chce go urazić, że wtrąca się w jego sprawy, ale musi to uczynić, gdyż od czasu wypędzenia z chaty ojcowej bieda zajrzała do ich domu! z jakąż rezygnacją znosi krzyż ciężki, co spadł na nią, tem cięższy, że z przedziwną przenikliwością czuje stratę serca Antkowego! W tej swojej delikatnej czułości dla niewdzięcznego męża jest ona prawdziwie piękna, w tej np. scenie kiedy nieśmiało dopomina się o pieszczotę Antka, a ten odpowiada szorstko: „Cóż to, ceckał się z tobą będę, może jamorował! Nie to mi w głowie!”.

Uczuciowość jest wogóle najsilniejszą władzą duchową Hanki. Ona nietylko męża kocha, ma też wiele czułości dla starego, zniedołężnianego

ojca, dzieci zwłaszcza miłuje nad życie. Jeżeli stara się o zapobieżenie nędzy, narażając się przytem na gniew Antka, jeżeli i sama bierze się do roboty, długie noce przesiadując nad przedziwem, to dla dzieci to czyni, nie dla kogo innego. To nie instynkt macierzyński tylko, zwierzęcy w swoich objawach, ale miłość szlachetna i poświęcenie. Ta miłość objęła niepodzielnie jej duszę od chwili, kiedy się przekonała, że Antek ją zdradza — dla własnej macochy. Zmieniła się odtąd w duchu do niepoznania. Już teraz nie boi się męża, do teścia nawet pójdzie w odwiedzinę, nie lękając się gniewu Antka, a kiedy mąż zrobi jej jakąś uwagę, ofuknie go z wściekłością i goryczą. Odbyła samotną spowiedź w kościele przed własnym sumieniem, policzyła się z grzechami i została odrodzona. Już teraz Antek i jego sprawy wcale jej nie obchodzą, on sam wydaje się jej obcym i dalekim; za wdowę się już teraz uważa, jedynym celem jej życia jest teraz miłość macierzyńska, a zresztą — niech się świat cały w gruzy zapada! Jej dusza podobna jest do lasu, przez który przeszła pożoga, wypaliła wszystko, ku czemu dawniej rwało się jej serce. Wszystkim przebaczyła, pogodziła się ze wszystkimi po chrześcijańsku, ale dawne latorośle jej ducha nie zazielenią się już, nie zakwitną!

Nie tak wszechstronnie odmalował autor postać zięcia Boryny, kowala. Mądry to chłop i przebiegły, kuty na wszystkie cztery nogi. Już samym zewnętrznym wyglądem wyróżnia się z pośród pospolitego ruszenia Lipczaków: ubiera się całkiem z miejska, w czarną kaptotę i granatowy kaszkiet, spodnie nosi na buty i srebrną dewizkę na kamizelce, twarz ma czerwoną, rude wąsy i pokręcone włosy. Mówi głośno i wiele, nieraz wcale rezolutnie, dużo przytem mniema o swoim rozumie. W samej rzeczy jest wcale rozumny: sam czyta gazety i wiele z nich korzysta, i syna posyła na naukę do dworu, dumny z jego szybkich postępów — ba! nie dziwotać to, kowalowe nasienie!

Wie dobrze, że nauka jest skarbem wielkim i orężem wybornym w walce życiowej, nie gardzi więc jej owocami. Ale używa ich nie ku dobremu, nie dla innych, jeno wyłącznie dla siebie, dumny przytem, że stąd poważanie mu rośnie u ludzi. Chytry jest, jak lis, ze wszystkich stron obchodzi zdobycz, upatrując, skąd najspadniej uderzyć. Z teściem zawsze jest niby w zgodzie, choć tajnie dołki pod nim kopie, schlebia mu, aby wyłudzić od niego to jałówkę, to worek krup i drugi mąki, to znów inny podarek. Jednocześnie namawia Antka, żeby z ojcem rozmówił się po dobremu; po co to go jątrzyć? niech się żeni, albo i nie żeni; niech nawet robi zapis z części gruntów na rzecz żony, byleby resztę pomiędzy Antkiem a kowalową podzielił; można nawet użyć pośrednictwa Jagny...

Obecny jest kowal i na weselu starego Boryny, wesoly i ochoczy, duzo pije, duzo gada i wszystkich czętuje, wyręczając teścia, wszelkich używa sposobów, by go sobie zjednać, choć w głębi duszy nienawidzi go za doznane „krzywdy“. Nie jest też w niczem podobny do Antka, potrafi trzymać na wodzy swoje namiętności.

Ciesz się np. kowal, że Antek popadł w niełaskę u ojca; rozdmuchuje też gorliwie a ostrożnie płomień wzajemnej niechęci, rozgłaszając po wsi, że to Antek podpalił ojca przez zemstę, choć domyśla się doskonale, kto żagwiew na bróg cisnął. A może w ten sposób uda się zupełnie usunąć Antka od spadku po Borynie?

Podobnie nietoperzowa jest jego dyplomacya w stosunku do dworu. Wrzeszczy na wyzysk pański, podjudza wzburzone namiętności, chce uchodzić w oczach gromady za wielkiego gorliwca; a jednocześnie knuje tajne zamysły z dworem, wężąc zyski stąd niemałe. W wielu razach jest on tajną sprężyną akcji, ukrywając się przebiegliwie za kulisami.

Nie możemy tego powiedzieć o jego żonie, która nie wyłania się ani razu z tła opowiadania. Niewiele też zajmują miejsca w powieści dwoje pozostałych dzieci Boryny: o Grzeli wiemy tylko, że służy w wojsku, listy nawet od niego nie przychodzą, najmłodsza zaś Józka małym jest jeszcze skrzatem, uwija się po obejściu, ale nie bardzo jej idzie z gospodarstwem, czasem odburknie coś ojcu, naogół jednak dobra to dziewczyna i pracowita, o dziecinnej jeszcze wyobraźni i szczerem sercu dziecięcem.

O wiele lepiej uwypuklają się postacie dwóch domowników Boryny: parobka Kuby i chłopaka Witka.

Kuba, to jedna z najsympatyczniejszych, a zarazem najbardziej plastycznych postaci powieści. Widzimy go, jak krząta się, utykając, po podwórzu, zabiegliwy i pracowity; widzimy, jak dzień zaczyna od modlitwy, z czułością patrzy na śpiącego Witka i sam bierze się do roboty, nie chcąc zbyt wczesnie przerywać mu spoczynku. Złote to serce u Kuby, choć niepozorny z niego parobek, choć nikt go nie umie ocenić. Względem starszych wiekiem i stanowiskiem i poważniejszych ma on cześć bogobojną, względem słabszych i upośledzonych — miłość ojcowską. Tak z nieśmiałością wielką i uwielbieniem patrzy na „dobrodzieja“ i nie chce wejść do jego pokojów, gdzie tyle obrazów na ścianach i tyle śliczności, aż w oczach się lśni; a i wzglę-

dem Boryny i innych gospodarzy-chałupników czuje się onieśmielonym wielce.

Ale kocha serdecznie biednego znajdę, Witka, kocha miłością rodzicielską, uczy go pacierza, tłumaczy mu wszystko, co dla niego samego jest dostępne, opowiada w ślicznym epizodzie o dawnych czasach i dawnych bojach, których ofiarą i jego matka padła, strofuje i napomina chłopaka, wpaja weń to głębokie i szczere uczucie religijne, które jest jego duszy najpotężniejszą zaletą. Kocha też niemniej i te bydłatka, około których chodzi, pogaduje do nich przyjaźnie i czule, jak do druhów serdecznych i towarzyszków; kiedy Boryna go dzi go na rok przyszły, Kuba prosi cicho i nieśmiało: „Zgoda na trzy ruble i dwie koszule, ino... ino... nie przedawajcie żrebicy... przy mnie się uległa... kożuchem swoim przyodziewałem, żeby nie przemarzała... tobym nie ścierpiał, żeby ją żyd jaki bijał libo i lachmytek z miasta...“.

Gołębia natura Kuby raz tylko ulega pokusie. Rolę szatana odgrywa tu żyd-karczmarz, który, dowiedziawszy się, że Kuba jest celnym strzelcem, daje mu fuzyę i namawia do kłusownictwa. Stare jakieś nałogi i przypomnienia odezwały się w Kubie, bo dał się uwikłać w sidła, tem bardziej, że trzeba było zapłacić zwierzyną za wypitą już naprzód wódkę, którą mu zręcznie podsunął kusiciel. Wyborna jest scena w karczmie, kiedy Kuba upija się, a pod wpływem trunku pozbywa się swej wrodzonej nieśmiałości, zaczyna wykrzykiwać i dworować: ale kiedy go owiało chłodne powietrze, przychodzi „rozeznanie“: „Pijanica jesteś i świnią zapowietrzona! — tak klnie samego siebie. — Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem, żeś pies i pijanica... żeś dwa po dwa półkwatki... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydłę, abo i gorszy!.. żeś...“. A wtem żalność go zdejmuję, że aż przysiada przy drodze i wybuch płaczem...

Nie na dobre mu jednakże wyszło kłusownictwo: postrzelił go kiedyś borowy, otworzyła mu się dawna rana, i oto umierać chyba już przyjdzie w stajni, na barłogu, i to umierać w tej właśnie chwili, kiedy stara Dominikowa sprawia Jagusi huczne wesele z Boryną. Po barwnej, hałaśliwej scenie weseliska, dziwne sprawia wrażenie posępna cisza, która otacza chorego. Ckni mu się okrutnie samemu i żalność mu strasznie: myślał, że choć raz w życiu podje sobie na uczcie weselnej, a tu leż i zdychaj samemu. „Żeby choć te oczy napaść... żeby...“ Ale wnet dodaje z wrodzoną sobie słodyczą i rezygnacją: „Niech im ta pójdzie na zdrowie, niech choć oni użyją...“ A kiedy stara Jagustyńka, która była „znająca się na chorobach“, powiada

mu, że księdza mu raczej trzeba zawołać, niż doktora, przeraża się nie na żarty: „Jezusi! a miałbym to śmiałość, w ten gnój do mnie?..“ A przytem występuje u Kuby zwykła u ludu nieufność względem owoców kultury przy bohaterskiem samozaparciu: boi się udać do szpitala dla amputacji chorej nogi i sam ją sobie obcina na progu stajni...

W tej chwili właśnie odbywają się „przenosiny“ poweselne w chacie Borynowej. I o Kubie nie zapomniano: przynieśli mu placków, chleba i mięsa. Rozradowała się dusza parobka: „Podjem se choć raz do syta!“ Ale jedzenie w ustach mu rosło: „Mój Jezus, tyle kielbasy, tyle mięsa, a nie mogę... całkiem nie mogę... mój Boże, tyle tego, że nigdy w życiu nie miałem, a nie mogę...“, skarżył się żałościwie, lzy pociekły mu po twarzy, płakał rzewnie, aż się zanosił. I z tem gorzkim uczuciem krzywdy i niedoli życiowej dusza jego „umęczona“ wzniosła się we światy, „jak ten ptaszek Jezusowy“, wśród zgielku muzyki, okrzyków tanecznych, hołubców i okrzyków pijanej ochoty, buchających z chaty...

Pięknaż to dusza, choć w niepozorną kształty przybrana, prawdziwe arcydzieło kunsztownej roboty i przedziwnej przenikliwości duszoznawczej.

Witek znajduje, dziecko nieznanych rodziców, tułający się po ludziach w poniewierce, często bity przez gospodarza za winy i bez winy, nie wyrzyna się z tła tak wyraźnie, ale i on ma chwile przedziwne, gdy otwiera się jego dusza chłopięca: kiedy zmarzłe jaskółki na piersi ogrzewa i do życia przywraca, kiedy wyrabia z drzewa misterne, samoporuszające się ptaki, kiedy z Józką w noc wigilijną udaje się do stajni, by podsłuchać, jak krowy i konie ludzkim przemawiają głosem, lub kiedy na wypominkach ból rozdziera mu duszę, bo przypomina sobie, że nie znał nigdy ojca ni matki i nie wie, jakie imiona polecić modłom w ten dzień uroczysty...

Prócz tych kilku postaci pierwszorzędnych mamy tu jeszcze cały tłum epizodycznych, z których żadna wszakże nie jest „niemą figurą“, każda z nich posiada swoją odrębną fizyognomię duchową i plastykę wybitną. Więc wójt, poważny i dumny ze swej godności, wysoko noszący swój urząd, przytem podstępny i dwulicowy w swoim postępowaniu, radby i dworowi dogodzić, i gromadzić się nie narażać; więc panoszący się organista i syn jego wyrostek, co ma iść na księdza, a za Jagną się ogląda; więc Jambroży kościelny, który niegdys w jakimś wojsku i na jakiejś wojnie był, ale gdzie i kiedy,

Bóg go tam raczy wiedzieć! leczy ludzi i bydło, gadatliwy jest i natrętny, lubi coś niecoś wypić, a najczęściej niema za co, przysiadła się więc przy każdej sposobności do pijących, zagaduje, prawi historyjki i żarciki, aż go nie poczęstują. Oto arystokracja lipiecka, co, choć aż sama się puszy i nadyma, doznaje nieraz od gospodarzy pogardy i lekceważenia.

Doskonale również jest odmalowany stosunek chłopów do proboszcza. „Dobrodziej“ jest prawdziwym ojcem i opiekunem swych dziatek duchowych, chce wiedzieć o wszystkich ich potrzebach i zaradzić im, strzeże pilnie moralności swych parafian i bez miłosierdzia, jawnie wypomina grzesznych z ambony i z przed ołtarza; doznał tego i Antek, kiedy po takim wypominaniu wszyscy odsunęli się od niego, jak od wyklętego. A i cała wieś drży przed „dobrodziejem“, bo, kiedy zaczną rękami wytrząchać na kogo z ambony, to święta zgroza wszystkich obejmie.

Dobrotliwa i łagodna natura proboszcza boleje nad krzywdą ludzką, nie znosi swarów i niechęci wzajemnych, zawsze nakłania do zgody i pokoju. Słuchają go chłopci z pokorą i przejęciem, ulegają nieraz jego woli, ale tylko do czasu, byleby nie zadrasnąć najczulszych strun serca chłopskiego: żądzy ziemi i niechęci do dworu. To też w sprawie lasu, przeznaczonego na wycięcie przez dziedzica, nie sobie proboszcz z chłopami poradzić nie może, natrafia na upór kamienny i zawziętość żywiołową. „Dobrodziej jucha z cudzego!“, mówią pomiędzy sobą chłopci, a kiedy ksiądz stanie przed gromadą, uzbrojoną w widły i cepy, a szykującą się do wyprawy na las, i zaczną przemawiać w imię miłości i zgody, spotka się z zacięciem, ponurem milczeniem, lub co gorsza, z okrzykami urągliwymi: „Płacą mu, to prawi!“ — „Kazaniem krzywdy nie zapłaci!“

Pierwiastku mistycznego niema nic w charakterze „dobrodzieja“, nie wniebowzięta to postać nieziemska, lecz po ziemi chodzi i pośród ludzi, podobny do nich mową gwarową, szorstkością i gwałtownością ruchów i temperamentu, rubasznością obejścia. On wie, że przeznaczeniem jego jest nie wzlatywać ku niebu na skrzydłach ekstazy religijnej, lecz niebieskie dobro na ziemię ściągać, o ziemskich też sprawach nie zapomina. Wyborny jest np. ksiądz w pierwszej zaraz scenie powieści, kiedy czyta brewiarz, jednocześnie pilnie zważa, co się dzieje na drodze, a od czasu do czasu strofuje ostro chłopaka, orzającego w parę tłustych siwków proboszczowych, albo w innej scenie, kiedy, modląc się, chodzi po ogrodzie, potrzasa to gruszą, to jabłonną i zbiera owoce w połę sutanny.

Bardziej mistyczny charakter mają dwie inne postacie, nie dość jasno wszakże postawione: Jacek, brat dziedziców, co się po chłopsku ubiera, w lesie mieszka, po chatach chodzi, po drogach odludnych, po mogiłkach się błąka, a wieczorem żalodne melode na skrzypkach wygrywa, i stary wędrownik Roch, o którego pochodzeniu nikt nie wie, ni o nazwisku; nie musi to on być z chłopskiego stanu, bo nuczny bardzo, po świecie szerokim chodził, różańce ma na szyi, obcierane o grób Jezusowy, obrazki różne dzieciom rozdaje, i różańce, i książeczki, zimową porą uczy je czytać, a ludowi dziwne prawi historye i cudne legendy. Być może, że figury te wyjaśnia się w dalszym ciągu opowiadania.

A innych postaci nie zliczyć: i Jagustynka komornica, co ją dzieci skrzywdziły, zła a przekorna baba, co wszystkim dokucza swoją zgryźliwością i szyderstwem, zła na wszystkich, na świat cały, że dzieci ją wypędziły na starość z chałupy, przekorna i nieustępliwa, nikogo nie szczędzi, nawet „dobrodzieja“, uosobienie sceptycyzmu życiowego i rozgoryczenia. Jagusię podnieca przeciw mężowi, Borynę przeciw Jagusi i cieszy się, że zło rośnie i kwitnie, że ludzie żrą się pomiędzy sobą, prosto „dyabelska kuma“ albo i co gorszego; i staruszka Agata komornica, którą gospodarze z chaty wypędzili na zimę, kiedy roboty dla niej nie stało, a ona bierze na siebie ten krzyż z pokorą chrześcijańską i iście chłopską rezygnacją, żadnego żalu do nich nie czując; i podobny do niej charakterem, łagodny i uległy ojciec Hanki, co na nikogo słowa nie rzeknie, choć mu ten i ów, a nawet własna córka, Weronka, trajkotka i piekielnica, niejedną krzywdę wyrządzi — jakże on sympatyczny, kiedy rozmyśla, jakie to cacka wnukom kupi za dwa złote postronkowego, otrzymane od żyda przy sprzedaży krowy, a potem z taką wielką pokorą godzi się, by mu je Hanka odebrała i obróciła na potrzeby domowe; i stara Dominikowa, matka Jagusi, co krótko trzyma dwóch synów-wąsali, pędząc ich do roboty to chłopskiej, to nawet babskiej; i Mateusz, co, pobity przez Antka, pierwszy doń rękę ze zgodą wyciągnął i serdecznym mu przyjacielem został; i dziadwłóczęga, sypiący przysłowiami, tak jędrnemi i pięknemi w swej doświadczeniu, i wiele, wiele innych jeszcze postaci, które składają się na obraz obyczajów i życia wsi naszej tak wszechstronny, jakiego dawno już nie mieliśmy w powieści.

Ale autor nie ograniczył się skreśleniem tła obyczajowego: on tych ludzi i ich byt codzienny rzucił na wspaniałe tło natury, stworzył cały szereg obrazów, w których malowaniu jest prawdziwym mistrzem, o czem zresztą i dawniej już mieliśmy się sposobność przeko-

nać. Nie egzotyczna to przyroda, nie zawiera pierwiastków nadzwyczajności i olśniewającego bogactwa, powszednie to rzeczy, jakie i na Mazowszu, i na Kujawach, i na Podlasiu na każdym kroku spotkać można, ale wykonane z takim artyzmem, że obrazy te biją w oczy plastyką, narzucają się zmysłom i długo tkwią w wyobraźni.

Dotyczy to nietylko wielkich opisów, jak np. cisza jesienna, jesień w całej pełni, wichry zwiastuny zimy, zima i pierwszy śnieg, pierwsze objawy wiosny, ale i drobnych obrazów, w których Reymont nieraz osiąga niezwykle silne wrażenie nadzwyczajną prostotą środków artystycznych. Weźmy np. taki obraz kopania kartofli: „Wzięli się chyżo do roboty i w cichości, że ino słyhać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś nie ktoś wyprostował zgięty i zbolący grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza, przed się stojącego...”. W opisie tym niema ani jednego efektu stylistycznego, a mimo to jest tak wysoce artystyczny.

Albo np. taki obraz: „Miądlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach, i tylko co raz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich październików, zwijała ją w kukłę, libo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie”. Jakże umiejętnie potrafił autor w podobnych obrazach połączyć wrażenia wzrokowe ze słuchowymi i ruchowymi.

Niekiedy wszakże wrażenia wzrokowe przeważają. Otrzymujemy wtedy świetne plamy barwne, czarujące zmysły bogactwem kolorytu. Do takich należą np. opis procesyi w kościółku wiejskim, pochodu weselnego, wsi, osypanej pierwszym śniegiem, albo boru zimą, owiewanego wichurą, gdzie znajdujemy np. taki efektowny szczegół: „Krzyż stał na kraju lasu, tuż przy drodze, broniły go od boru cztery ogromne brzozy w białych gźlach, z obwisłemi, niby warkocze, gałęziami; na czarnem drzewie był rozkrzyżowany Chrystus z blachy, pomalowany w takie kolory, że, jak żywy się widział, śnać wiater oderwał go, bo wisiał tylko na jednej ręce, trzaskał sobą w drzewo i skrzypiał zardzewiałym głosem, jakby litości prosił i poratunku. Brzozy, targane wichurą, okrywały go ciągiem sobą, trzęsły się, przeginały, a śniegowe tumany zasypywały kurzawę, i stał cały w mgłach, przez które migotało Jezusowe sine ciało i jego blada okrwawiona twarz wychylała się raz po raz z bielizn, aż się luto robiło na sercu“ i t. p.

A oto jeszcze jeden przykład świetnej, iście malarskiej barwności obrazów Reymonta. Antek, przechodząc zimą aleją topolową, spotyka sanki, a w nich Borynę i Jagusię; przemknęli koło niego i utonęli w kurzawie śnieżnej, tylko czasem „wychylali się ze śnieżycy, to zaczerwieniły się Jagusine wełniaki, to dzwonki mocniej zajęczały, i ginęli, przepadali, jakby wskroś tej bielizny pędzili... pod dachem oszroniałych gałęzi, co splecione jakby sklepienia czyniły, jakoby ducht, przebity w śniegach, a podstemplowane czarniawymi pniami topoli, które stały z obu stron drogi i pochylone przeginały się, niby w ciężkim, utrudzającym chodzie pod wzgórze...“.

Oto są środki techniczne autora „Chłopów“: owe czerwieniące się w śnieżnej dali wełniaki Jagusine, na tle nieprzejrzanej bieli, podstemplowanej czarniawymi pniami topoli, to wrażenie barwne tak silne, że naprasza się po prostu pędzla i płótna.

I takich obrazów jest w „Chłopach“ więcej, jak np. zbiór kapusty wśród mgły nieprzebytej, noc zimowa, w którą Boryna zasadza się na Antka i Jagusię, i wiele innych.

Pozostawałoby jeszcze poddać ścisłemu rozbiorowi styl i język „Chłopów“, a zwłaszcza ten język, który trzyma pośrednie miejsce między mową literacką a gwarą, język niezwykle bogaty i różnorodny, nieraz aż przykry w swym realizmie, ale mimo to nie pozbawiony czaru piękna prawdziwego, jędrny, śmiały i obrazowy, nie zawsze zapewne salonowy, ale nigdy nie dochodzący do trywialności. Czy godzi się wprowadzać do języka literackiego wyrazy gwarowe?—pytanie to, językoznawcy (np. ostatnio prof. Brückner) rozstrzygnęli na korzyść t. zw. modernistów, którym oddać należy zasługę rozszerzenia ram suchego języka książkowego. Młodszy nasi pisarze (Żeromski, Wyspiański, Tetmajer, Orkan i in.) szeroko otwarli podwoje mowy naszej przed t. zw. prowincjonalizmami, które wkrótce przestały być takimi i stały się dobytkiem całego inteligentnego ogółu. Wśród tych twórców nowoczesnego języka literackiego, Reymontowi należy się miejsce poczesne, a „Chłopi“ w dziejach tego przewrotu językowego zajmą nieposlednią kartę. Sądzymy tylko, że zbyt częste jest, a może nawet poniekąd szkodliwe, używanie w tekście (nie w dialogu) gwarowych form fleksyjnych, które i tak aż nazbyt często używane są w mowie potocznej, jak np.: „niesła“, „biere“ i t. p.

O „Chłopach“ nie możemy jeszcze powiedzieć ostatniego wyrazu: mamy ich ledwie połowę i po ukończeniu całości będziemy mogli dopiero wyrobić sobie pojęcie o tym nieposlednim bądź co bądź utwo-

rze. Ale to, co nam dał autor dotychczas, zapowiada bardzo wiele, i jeżeli napięcie dramatyczne i plastyka nie zawiodą Reymonta do końca, będziemy mieli w „Chłopach“ niewątpliwie najrozleglejszy w naszej literaturze beletrystycznej obraz duszy chłopskiej i bytu chłopskiego, wykonany przytem przez prawdziwego artystę.

HENRYK GALLE.

GDZIE ARNO PŁYNIE.¹⁾

VI.

Męska część naszego towarzystwa wybrała się na wycieczkę do Arezzo, górskiego miasteczka, położonego w Toskanii, na południe od Florencyi, a przyłączyły się do nas pani Róża i polecona jej opiece panna Mania. Wyjechaliśmy z hotelu dodnia, a po trzygodzinnej, jeździe koleją zwiedzaliśmy Arezzo dokładnie. Najdłużej bawiliśmy w kościele świętego Franciszka, przy słynnych freskach malarza połowy piętnastego wieku, znanego w historii sztuki pod nazwą: *Pier della Francesca*. O tych freskach twardego realisty wyrażał się już stary historyk sztuki włoskiej, Vasari, mówiąc, że były jak na czasy, w których powstały, aż zanadto dobre. Nie ze wszystkiem mogę się pisać na sąd tego ucznia Michała Anioła, zważywszy, że prawie pół wieku przedtem młody a przedwcześnie zmarły Massaccio, freski pod każdym względem lepsze i piękniejsze odmalował we Florencyi, w kościele *Santa Maria del Carmina*. Nie przeszkadza to jednak bynajmniej temu, że Pier della Francesca był malarzem znakomitym i nadzwyczaj zajmującym, którego obrazy we Florencyi, Londynie i Medyolanie, oddawna znałem i podziwiałem; a dalej przyznać trzeba, że kto fresków Awentyńskich nie widział, słusznego wyobrażenia o tym malarzu nie ma, nie wie z jaką siłą i z jaką wytrawną sztuką umiał tworzyć wielkie historyczne kompozycye, w których życie na gorącym uczynku uchwycono i nie małą rozumowi sprawiono uciechę—choć prawda w niczem do uczucia i serca nie przemówiono. Tu tylko w kościele świętego Franciszka można się o tem dowiedzieć, jak stary Pierro sumiennie a cierpliwie studyował konia i jak sam jeden pośród malarzy piętnastego stulecia nauczył się istotnie pięknie i prawdziwie konie malować. Nie ma wreszcie dość

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy, str. 1;—lutowy, str. 278; — kwietn., str. 89.

słów podziwu dla siły postaci męskich u prostego ludu, wyobrażonych tu monumentalnie na murach kościelnych, a już nadewszystko dla obrazu wyobrażającego cesarza Konstantego śpiącego w namiocie przed bitwą. Jest to obraz, w którym po raz pierwszy usiłowano naprawdę wyobrazić noc rozświetloną sztucznym światłem i w którym też zadanie spełniono tak doskonale, że żaden Włoch, ani nawet żaden Holender późniejszy, lepszego, bardziej ładującego, nocnego obrazu nie wykonał.

Te freski to rzecz najciekawsza w Arezzo, ale to wcale nie wszystko. Jest tam jeszcze dużo rozmaitych rzeczy do widzenia, a między innymi jest wielka katedra gotycka, do którejby jeżdżono umyślnie, gdyby się nie znajdowała we Włoszech, ale w Niemczech naprzykład, albo we Francji; jest inny — także bardzo wielki kościół romański, do zupełnej czystości stylu z wielkiem znawstwem przywrócony, którego ponure a harmonijne kształty są tak niezwykle, u którego tak dziwne widać głowy rzeźbione u głowic filarów, iż wyobraźnia ludu i turystów złożyła się, na przekór historycznej prawdzie, na legendę, iż to dzieło tajemniczych Etrusków, którzy żyli wtedy, kiedy nawet we Włoszech historii jeszcze nie spisywano. Jest wreszcie muzeum miejscowe, w którym przyrodnicze i archeologiczne zbiory świadczą o tem, jak bardzo cywilizacja silnie zapuściła we Włoszech korzenie, (wielu też jest poważnych pracowników naukowych w najmniejszym nawet włoskiem miasteczku), a w którym prócz tego jest ogromny obraz Signorellego, wyobrażający Małonnę wśród proroków. Gdyby ten obraz znano, gdyby nie był tu za światem, zaliczonoby to dzieło słusznie pomiędzy najlepsze sztuki malarskiej utwory.

Zwiedziliśmy jednak to wszystko przez kilka godzin. Wracaliśmy potem, popołudniowym pociągami do Florencji, okolicą malowniczą, ale przypruszoną śniegiem, z czem jej nie było do twarzy. Siedzieliśmy nas pięcioro w wagonie, nie chciało się zatem nikomu więcej do naszego zajść wagonu i mogliśmy swobodnie wieść rozmowę.

Jak zwykle panna Mania podała do niej temat, unosząc się całym sercem nad pięknosciami, które widziała w podróży, a któremi się tak szczerze cieszyła, skoro była jeszcze, chwala Bogu, dość młodą, aby myśleć o czemś innym, jak o swoim przyszłym zameściu. Wołała:

— Co to za dziwny kraj te Włochy! Jakaż tu niezrównana przed wiekami kwitła cywilizacja! Do każdego zaszła zakątka, w każdym miasteczku wydawała geniusze. Aż się w głowie kręci, kiedy kto pomyśli, że w takim partykularzu jak Arezzo, takie wspaniałe niegdyś pobudowano świątynie, że w tem miasteczku, mogli się

kiedyś rodzić Petrarca i Avelino, że mogli w niem Pier della Francesca i Luca Signorelli tworzyć arcydzieła. Trzeba było na północy stolicy potężnego królestwa, aby mogła takiemu Arezzo sprostać; i jeszcze ani takich ludzi, ani takich arcydzieł nie wydała. Dziś Londyn albo Paryż szczycą się kolejami podziemnymi, wodociągami, światłem elektrycznym, automobilami, telefonami, ogromnymi teatrami, dziennikarstwem obrzydliwym i wszystkim, na co nowożytnemu Babilonowi stało; w dziełach, które do duszy przemawiają, dzisiejsze wielkie stolice sprawdzają istotnie przepowiednie kardynała z Kuzy. Są w nich ogromne biblioteki i wielkie muzea, w których pełno dzieł wspaniałych, tylko że to same dzieła przekazane nam przez dawniejsze pokolenia, a mam wrażenie, że nasze czasy zdolne tylko wydać, kłótnie i bluźnierstwa, obrazki, powieści i komedye, których jedynym przeznaczeniem chwilowe zabawienie gawiedzi, albo płody schorzałej wyobraźni; mam wrażenie że wszystko lub prawie wszystko z tego co dzisiejsza literatura i sztuka (albo przynajmniej sztuka — bo o literaturze sądzić nie mogę, skoro mnie nowych książek po największej części czytać nie wolno) wydały, pójdzie w zapomnienie już za lat pięćdziesiąt. A tu, we Włoszech, przed wiekami, kilka pokoleń stworzyło taką nieprzejrzaną ilość dzieł cudownych, wiekopomnych, dostarczających późnym pokoleniom tyle pokarmu duchowego! Nie tylko Rzym, Florencyja i Wenecya są godne podziwu, każde miasteczko, do którego zajadę, Padwa albo Brescia, Siena albo Orwiet, przepełnione arcydziełami. Jak to wytłómaczyć? Panowieście tacy mądrzy, więc to może wytłómaczyć potraficie. Zygmunt ciągle gada o wpływie klimatu i rasy. Ale to mnie jakoś do przekonania nie trafia, bo klimat tu został przecie ten sam, rasa się nie zmieniła, a jakoś dzieł podobnych, podobnych ludzi, z wyjątkiem chyba papieża Leona XIII, ani śladu.

Zygmunt odpowiedział:

— O klimacie mówiłem dawniej, teraz już nie mówię, bo przekonałem się, że wpływ klimatu na rozwój cywilizacji w dziewiętnastym wieku oczywiście przeceniono. Klimat mógł chyba za pierwotnych czasów wpływ przeważny wywierać, a bodaj czy istotnie na cywilizację i na tok dziejów oddziaływający wpływ klimatu, nie ograniczył się na wytworzeniu rasy. Dość spojrzeć na Żydów rozsianych po wszystkich lądach świata, aby się przekonać dowodnie o dwóch rzeczach: raz, że klimat ustalony, rasy ludzkiej zmienić nie potrafi; a powtóre, że ludzie tej samej rasy, tak samo w każdym klimacie żyć myśląc i działać będą, bo Żydzi nietylko są zupełnie takimi samymi Żydami gdziekolwiek osiedli, w Polsce, czy Algeryi, albo Indyach,

ale są w dodatku wyraźnie tym samym narodem, który żył i działał w starożytności, oddziaływują na nas nowożytnych zupełnie tak samo, jak oddziaływali niegdyś na starożytnych Rzymian, a bodaj czy nie na Egipcyan, za czasów Faraona. Rasa jest wszystkim, a przeczę temu, żeby istniała dziś jeszcze we Włoszech owa rasa, która tu niegdyś tyle cudów stworzyła, a przynajmniej jest już dziś bardzo nie wielu ludzi we Włoszech, którychby można było zaliczyć do owej twórczej a potężnej rasy wielkich polityków i myślicieli, wielkich poetów i artystów.

— Teraz dopiero—zawołała Mania—nie rozumiem ciebie zupełnie! Nigdzie chyba na świecie nie ma tak starej, stałej a niezmiennej rasy, jak we Włoszech. Przecież potomkowie dawnych założycieli mieszkają dotąd po niezliczonych pałacach, pobudowanych za czasów renesansu, albo dawniej jeszcze, dotąd odgrywają przewodnią rolę w społeczeństwie ojczyznanego miasta. Kiedy spojrzę na lud, w którejkolwiek części Włoch, poznaję typy te same zupełnie, które widzimy na obrazach i posągach, z czasów renesansu. Wszak rozmawialiśmy o tem niedawno, patrząc na przechodnich Florentczyków w Cascine; kiedyśmy wodospad w Terni zwiedzały, spotkałyśmy po drodze Sybille Michała Anioła, z sufitu kaplicy Sykstyńskiej, w postaci bab wiejskich, a co więcej profil ogolony rzymskiego prałata albo kardynała, przypomina żywcem popiersia starorzemych imperatorów albo konsulów. Powiedz że mi, proszę cię, jakie masz na to dowody, że się stało coś, o czem historia milczy ze wszystkim, i że jakaś wielka wędrówka narodów uszła wprawdzie współczesnych i potomnych uwadze, a mimo to wytępiła co do nogi ową wspaniałą rasę, jaka tu w XV i XVI wieku żyła, a starych Włochów zastąpiła jakimś niekzennem plemieniem, które nie tylko zamieszkało w siedzibach wytępionego narodu, ale przybrało jego język, nazwiska jego rodów, a co już najdziwniejsze, przejęło żywcem rysy starych nieboszczyków?

Zygmunt odparł:

— Wszak nie swoje osobiste wygłaszam zdanie, nie jestem tak śmiesznie zarozumiały, abym miał mieć własne zdanie w rzeczach tak doniosłych i tak trudnych; powtarzam tu tylko ostatnie wyniki niemieckiej nauki. Jest rzeczą dowiedzioną, że cywilizacja narodu bywa zawsze wynikiem usposobienia właściwego rasie przeważającej w tym narodzie, a cywilizację epoki znamionują cechy tej rasy, do której należą narody przewodnie. Rasy posiadają bardzo rozmaite uzdolnienie, najwyższe przypadło w udziale Aryom, ale dzielność rasy zmniejsza się w miarę tego, jak ulega zmieszaniu

z inemi rasami. Ludy mieszane tracą wszelką twórczość i wszelką samodzielność; bywają tylko zdolne do myślenia, jak to powiadają, za panią matką—wedle przepisanej im z góry a narzuconej recepty, a tak dalece nie mogą się wznieść po nad powszednią rzeczywistość zmysłową, że nawet wyobrażenia ich religijne przybierają postać ziemską, doczesnie praktyczną. Takie ludy biorą najwyższe aspiracje ducha ludzkiego za coś, czemu zmysłowa rzeczywistość odpowiada, do czego można się zastosować, w nadziei osiągnięcia ziemskiego celu i zmysłowej korzyści. Wierzą naprzykład, że Bóg, to jakiś osobisty, potężny monarcha, zasiadający na niebie, otoczony liczną niebieską biurokracją i wojskiem anielskim, a karzący wszelkie nieposłuszeństwo piorunem, albo za pośrednictwem duchów niebieskich; wyobrażają sobie żywot pośmiertny, jako dalszy ciąg zmysłowego życia na ziemi i są przekonani, że rozmaite na ziemi spełnione czynności mogą być dobrym interesem, ze względu na pośmiertne stosunki, że naprzykład jałmużna dana ubogiemu wróci się w niebie z lichwą stokrotną. Takie wyobrażenia ras niższych, bywają powodem tysiąca omyłek popełnianych w życiu, powstrzymują conajmniej, czasem uniemożliwiają, badanie przyrody, pokonanie przeciwności rzeczowych i osobistych przeciwników, słowem wszelki postęp na ziemi. Rasy niższe poniekąd od Aryów, jak naprzykład Semici, których reprezentantami są w nowożytnym społeczeństwie Żydzi, mają podobne wyobrażenia, z tą jednak różnicą, że umieją te wyobrażenia samodzielnie wyrobić, i potem, w sposób dla siebie korzystny, biernym mieszanym rasom narzucić. Takim to sposobem Żydzi mają własną, materyalistyczną religię, prawo religijne, przepisujące drobnostkowo wszystko co Żyd ma robić na ziemi, ale to prawo, którego celem bynajmniej nie ukrywanym, jest zapewnienie jaknajwiększej pomyślności narodowi żydowskiemu; gdy się zaś Aryowie starożytni pomieszali za państwa rzymskiego z rozmaitemi rasami niższymi, potrafili Żydzi narzucić tej biernej mieszaninie ludów religię materyalistyczną, na jaką wpływem swoim przerobili chrześcijaństwo, a ta religia posiada wprawdzie znakomitą organizację, zapewniającą dotychczas katolicyzmowi panowanie nad niezliczonymi milionami, ale tym milionom wskazuje cele nibyto rzeczywiste i praktyczne, a w istocie swojej urojone i przeto uludne i zdolne tylko wiernych utrzymać w niewoli, mogące jedynie powstrzymać rozwój rasy wyższej istotnie, jeśli, wskutek okoliczności historycznych, przyjęła taką materyalistyczną, pozytywną formę chrześcijaństwa, poddała się kierownictwu hierarchii katolickiej.

— Znowu wykładasz mi najczystszy ateizm—zawołała Mania.— Dziwnie jesteś niekonsekwentny, nie rozumiem co się w tej twojej głowie dzieje. Powiadasz zawsze, żeś wierzący chrześcijanin—a na-

wet katolik—choć przytem dodajesz, że to drugie tylko jako Polak—czego znowu nie rozumiem, nie wiedząc, co narodowość ma z religią do czynienia, i jak co innego może być prawdą dla Polaka a co innego dla Niemca? Ale teraz, jako chrześcijanin, twierdzisz wyraźnie, że Bóg urojeniem, nieśmiertelność duszy bajką, rządy Opatrzności i sprawiedliwości wieczną mrzonką. Że kto wierzy w to, iż źle wyjdzie na występku a dobrze na cnocie, jest głupcem, któremu ta wiara bywa największą przeszkodą w życiu; że człowiek rasy wyższej, Arya, czy jak go tam nazywasz, powinien działać bez względu na jakiegokolwiek prawo moralne, na jakikolwiek obowiązek, tak, jak to jemu osobiście dogadza; powinien kłamać, oszukiwać, kraść, rozbijać, truć, mordować, jeśli to mu tylko korzyść namacalną, praktyczną, przynieść może, i jeśli sądów i kryminałów uniknąć potrafi. Gadasz same okropne rzeczy, w które sam nie wierzysz, a którychbyś nie powtarzał, gdybyś rozumiał to co gadasz. Tylko, żeś ty zanadto mądry i zanadto zaczytany, abyś swoje własne mógł rozumieć słowa.

Zygmunt odpowiedział z naciskiem, ale spokojnie:

— To ty, Maniu, nie masz dość filozoficznego i naukowego wykształcenia, abyś mnie zrozumieć mogła. Bynajmniej chrześcijaństwu nie przeczę, ani nie złorzeczę i owszem, uważam chrześcijaństwo za najwyższą formę religii, za religię absolutną, bez której ludzkość obejść się nie może. jeśli się ma cieszyć prawdziwą cywilizacją i prawdziwym postępem. Chrześcijaństwo jest zwłaszcza religią naturalną Germanów, jedynych prawdziwych, istniejących dziś jeszcze Aryów. Bo widzisz, prawdziwi, czyści Aryowie — zatem dziś Germanowie, nie przyjmują narzuconej sobie religii, nie ulegają zewnętrznie obowiązującemu prawu moralnemu, tylko religię i z nią nierozłącznie związane prawo moralne, wysnuwają sami z siebie, z wnętrza duszy swojej, spragnionej wszystkiego, co piękne i szlachetne i prawdy moralnej, wyższej nad prawdę zmysłową. Germanin prawdziwy wie doskonale, że niemasz żadnego prawa moralnego, któreby wśród zmysłowej obowiązywało rzeczywistości, że niemasz Opatrzności, któraby sprawami ziemskimi kierowała, wiodąc je do pięknego i górnego celu, że nie masz wreszcie wiekuistej sprawiedliwości, któraby występki karała, cnotę wynagradzała. Wie o tem wszystkim i wie, że władnie światem rzeczywistym, ślepa, mechaniczna, albo psychologiczna konieczność, której prawa zbadać trzeba do której praw trzeba się zastosować, chcąc działać skutecznie, czy to w życiu prywatnem, czy to w ciągu dziejów. Więc bada prawdę tuteczną, bez złudzeń metafizycznych, bez względu na to, czy się świadectwo zmysłów i rozumu praktycznego zgadza lub nie zgadza, czy to z literą jakiegoś pisanego objawienia, czy to z głosem sumie-

nia, odzywającym się w duszy szlachetnego człowieka. Ale pragnienie samej tylko doczesnej, rzeczywistej pomyślności, wydaje się Germaninowi obrzydliwością, od której się ze wstrętem odwraca; celem jego jest dążenie do ideałów urojonych, którym żadna rzeczywistość nigdy odpowiadać nie może, a dla których w każdej chwili gotów się ze wszystkim poświęcić. Starożytni Heleni i Italicy byli czystymi Aryami, nie pomieszanymi z krwią podlejszą. Wielkie tedy idealne w dziejach spełnili zadanie. Grecy dążyli do wytworzenia doskonałej piękności, zaludnili Olimp rzeszą cudnie pięknych bogów, o których w gruncie rzeczy wiedzieli doskonale, że są tylko wymysłem poetów; świata na wzór urojonej piękności przetworzyć nie potrafili, ale poczucie piękna domieszali do poziomej rzeczywistości, i w ten sposób stworzyli pierwszą cywilizację, wyrwali siebie najpierw a potem całą przez siebie wychowaną Europę, z toni zmysłowego, chciwego, sprośnego barbarzyństwa. Idealem Rzymian było panowanie prawa moralnego na ziemi; tego panowania utwierdzić na prawdę rzeczywistość nie zdołali, w świecie, który z istoty swojej całkiem innym, niemoralnym prawom ulega, ale system prawa stworzyli imponujący, przekazali ten system potomnym i nową znów idealną treścią napelnili dzieje. Najwyższy ideał wniósł do dziejów Chrystus. Mówił o sobie, że jego królestwo nie z tego jest świata, że panem tego świata, to jest wszelkiej rzeczywistości, jest książę ciemności, szatan. Dawał rady a raczej przekazania, zupełnie sprzeczne z rozumem praktycznym, takie, które niepowodzenie sprowadzić musiały niechybnie, polecając swoim uczniom, aby nie dbali o dzień jutrzejszy, oddawali koszulę temu, który płaszcza od nich zażąda, podawali lewy policzek temu, który ich w prawy uderzy, statecznie dobrem za złe płacili. Naukę swoją zapieczętował życiem zgodnem z tą nauką, a wreszcie dobrowolnie poniesioną śmiercią krzyżową, którą śmierć i grzech, to jest rozum ziemski, ostatecznie przewyciężył. Taką to religię ułożył Chrystus i ta religia stała się istotnie zbawieniem świata, wniósłszy między narody skostniałe już, albo barbarzyńskie, jeszcze iskrę światła, która mimo wszystkie nieporozumienia, przemieniła żywot narodów europejskich, uczyniła je niezrównanie wyższymi od ludów trwających w starem pogaństwie, albo wyznających nową, lecz zmysłową i poziomą naukę Mahometa, mieści w sobie wreszcie zarodki nieskończonego dziejowego postępu u chrześcijan, skoro im nakazano, aby się stali doskonałymi, jak Ojciec, który jest w niebiesiach i modlili się co dzień o to, aby się królestwo Boże stało. Narody chrześcijańskie dążą tedy bez ustanku do doskonałości, którą sobie inaczej w każdym pokoleniu wyobrażają i której nigdy nie osiągną, budują ustawicznie królestwo Boże, które nigdy na ziemi powstać nie może,

są idealistami na wskroś, ale wiedząc, że prawa przyrody i dziejów przyrodzone, z prawami moralnymi i z ideałami religijnymi nie mają wspólnego, umieją w sposób najbardziej realistyczny, a zatem najskuteczniejszy, służyć swemu idealizmowi; ideał pozostanie dla nich po wieki wieków nieosiągniętym ideałem, ale rzeczywistość umieją skutecznie tak nagiąć, aby się do ideału choć trochę zbliżała, sami szczęście wyższe od zmysłowego znajdują w pracy około spełnienia rzeczy praktycznie możliwej.

— To znaczy—wtrąciła panna Mania—że twojem zdaniem narody chrześcijańskie dążą w sposób praktyczny do celów niepraktycznych, robią głupstwo największe w sposób najmądrzejszy i najskuteczniejszy. W tem właśnie dopatrujesz się niezrównanej wyższości narodów chrześcijańskich nad pogańskimi i mahometańskimi, które dążą do celów zupełnie rozsądnych i praktycznych, ale w sposób mniej skuteczny. Pocięchą wreszcie dla ciebie przeświadczenie, że straszliwe głupstwo, do którego chrześcijanie dążą, jest głupstwem tak ogromnem, że się nigdy nie da spełnić, mimo całej doskonałości środków przemądrych, których w najniedorzeczniejszym używają celu. Powiedz, czym ciebie teraz przynajmniej dobrze nie zrozumiiała?

Tym razem zniecierpliwił się Zygmunt i zawołał:

— Ależ szczególniejszy posiadasz talent karykaturalnego przekręcania zdań przezemnie wypowiedzianych! Powinnaś się wstydić. Patrz, jak się obaj starsi panowie z ciebie śmieją! Ledwo przez grzeczność potrafią głośny śmiech w sobie zdławić. Lepiej pozwól, żebym się do końca wygadał. Otóż widzisz, ani Żydzi, którzy naukę Chrystusa po świecie roznieśli, ani bierna mieszanina narodów, zaludniająca ówczesne państwo rzymskie, która sobie dała tę cnotę przez Żydów narzucić, nie byli w stanie treści chrześcijaństwa zrozumieć, i ze wspaniałej, idealnej nauki, zrobili jakiś zakon dogmatyczny, podobny do żydowskiego, a o tyle błędniejszy, że kazał się zmysłowych skutków ze zmysłowych czynów w nadzmysłowym spodziewać świecie. Z zakonu żydowskiego odnosi korzyść praktyczną naród żydowski, jako całość, z nowego zakonu katolickiego nie odniosła mieszanina ludów żadnej zgoła korzyści, praktycznie wykorzystwała nową religię tylko hierarchia, która odtąd opanowała chaos konającej starożytności i średnich wieków—i dla celów świeckiej potęgi wyzyskała najszlachetniejszy, najwznioślejszy, najbardziej ziemi obcy religijny idealizm. Dopiero wtedy, kiedy plemię germańskie dojrzało, znalazły się narody zdolne zrozumieć naukę Chrystusa, która zatem zapromieniała naprawdę, całym swoim precudnem, nadprzyrodzonym światłem, dopiero za czasów nowożytnych, i dalej promienieć będzie, jak długo duch germański zachowa swoją niezłomną potęgę.

— Ależ, Zygmunciel — prosiła się panna Mania — dajże mi już pokój ze swoim gadaniem! Powiedziałeś paradoks, czy też poprostu mówiąc, głupstwo, jakoby naród włoski z czasów renesansu był wymarł co do nogi, i jakoby jakiś naród podlejszy był zajął jego miejsce. Myślałam zrazu, że mi powiesz, iż to turyści Niemcy, tu osiedli, tu się rozmnożyli, i Włochów tubylców, za pomocą jakiejś komisji kolonizacyjnej wytępilli, wywłaszczyli, a odtąd sami gadają po włosku, włosy sobie poczernili i koniec końcem mocno wyprzystojnieli. Pokazuje się teraz, że to chyba Chińczycy, albo Hotentoci—bo Niemcy, to doskonałość sama. Kto nie jest Niemcem, powinien się tego wstydić i powinien się na Niemca jaknajprędzej przerobić, jeśli chce być chrześcijaninem i dostąpić zbawienia wiecznego.

-- Niestety—powiedział Zygmunt poważnie—to właśnie bieda, że nie każdy może się na Niemca przerobić, że można po niemiecku mówić, a Niemcem wcale nie być, albo przeciwnie, ani słowa nie umieć po niemiecku, a być Niemcem. Tu chodzi o rasę, o pochodzenie, wcale nie o narodowość. Tu rozstrzygają byt czaszki, może farba włosów, a w każdym razie własności po przodkach odziedziczone. Niemcy wcale renesansowych Włochów nie wytępilli, tylko na odwrót owi wielcy, dawni Włosi byli Niemcami, a wyginęli, albo mieszawszy się z tubylcami, utonęli w biernej masie. Zadnych Chińczyków, albo Hotentotów nie trzeba było sprowadzać do Włoch, aby genialne niegdys tutejszego narodu zdolności wytępić; starczyło na to owej mieszaniny biernej ludów, stanowiącej, od czasów cesarstwa Rzymskiego tło i masę tutejszej ludności. Ona to pochłonęła potomków Franków i Longobardów, czystych Aryów, zdolnych niegdys do wydawania dzieł istotnie wiekopomnych. Już za czasów Konstantego Wielkiego Germanie byli jedynymi czystymi Aryami; najazd barbarzyńców zaszczepił Aryjską arystokrację w krajach Romańskich; jej zawdzięczały te kraje swoją dawną wielkość, a dziś nie niezdolne są już do niczego, ponieważ stały się demokratycznymi, ponieważ potomkowie germańskich najeźdźców, albo zostali zepchnięci z wielkiej dziejów widowni, albo też—co nierównie gorsze—mieszały się z tubylcami, i dawną swoją dzielność ze wszystkim stracili. U nas i ogółem w Słowiańszczyźnie szlachetna krew germańska, czy też jeśli kto woli Aryjska, mieszała się od dawien dawna w sposób najopłakaniejszy z krwią niekzemniejszą Czudów i Mongołów. Ogół Słowian, to niestety, bierni, wszelkiej samodzielności pozbawieni mieszańcy; ledwo garstka indywiduów i rodzin szlachetniejszej rasy wnosi od czasu do czasu pomiędzy słowiańskie narody zarzewie wyższej cywilizacji; zapłonie światło myśli, odezwie się pieśń wspaniała, pozostanie mąż wielki stanu i można przez chwilę myśleć, że się ten lub ów naród

słowiański z prawdziwie cywilizowanymi zrówna społeczeństwami, ale wnet okaże się marność tego złudzenia, przeważą stanowczo bezwładne u Słowian żywioły, płomyk ducha zgaśnie i wszystko stanie się na powrót zgoła nieproduktywnym, zdolnym tylko do życia zgodnego z rutyną, odziedziczonego obyczaju, albo, co gorsza, do bezmyślnego, a tem samem zgubnego naśladowania pozorów obcej cywilizacji. Tylko u Germanów, a przedewszystkiem w Niemczech i może w Skandynawii, przeważa dotąd krew szlachetna, postępową, z podlegszą niezmięszaną. Wszędzie zresztą żyją i mrowią się sami mieszańcy, dziś, podobnie jak za czasów konającej starożytności, a tacy mieszańcy nic zgoła dzielniejszego z siebie wydać nie mogą. Dlatego to narody Germańskie stanęły na czele cywilizacji, bez zaprzeczenia największą posiadły dziś polityczną potęgę, w zachodniej przynajmniej Europie i w Ameryce; dlatego to niemiecka nauka przoduje niezaprzeczenie, a cały świat niemieckie instytucje naśladuje, w sposób niemiecki urządza szkoły, wojsko, stosunki robotnicze; dlatego to wreszcie żadnej wagi nie przywiązują do tego, co kardynał z Kuzy pisał, jak się zdaje, przed wiekami, a słowiańscy poeci i publicyści powtarzają skwapliwie od stu lat już blisko. Zawsze tylko Aryowie najczystszej, z niczem nie zmieszanej krwi, przewodzili dziejom, a jeśli dawni Helleni i Rzymianie zeszli z widowni, to dlatego tylko, że u tych narodów pierwotna arystokracja z pokolenia Aryów wymarła bezpotomnie, albo pomieszawszy się z innymi rasami, zwyrodniała. Dziś jedynie Germani są Aryami, im się przyszłość należy. Jeżelibyśmy nawet przypuścili, że wskutek nieustannej ewolucji istot żyjących i walki o byt, będącej prawem wszelkiego życia, powstanie rasa od dzisiejszej germańskiej doskonalsza, rasa ta może się tylko wyłonić z pośrodku narodów germańskich, przenigdy zaś ze słowiańskich mieszańców. Nie mamy wszelako prawa przypuszczać, że się taki nadzwyczajny postęp, wbrew wszelkiej dotychczasowej analogii dziejowej kiedyś spełni; wogóle wiara naiwna w postęp konieczny, dziejowy, została dziś uznana, jako rzecz wcale nie naukowa. Prawdopodobnie typ Germanina jest to już najdoskonalszy organizm, jaki na naszym planecie istnieć może, a temu typowi grozi zewsząd zagłada, której podobno uniknąć nie zdoła; ustąpią Germani z widowni dziejowej; ale nie gwoi nowemu, wyższemu postępowi, tylko na znak, że postępową epoką dziejów już do końca dobiegła, i że ma nastać długi zastój, podobny do tego jaki już zapanował tu we Włoszech i po innych romańskich a katolickich krajach, i który występuje najwyraźniej w Hiszpanii, gdzie inkwizycja święta krew germańską prawie ze wszystkiem wytępiła. Mieszańcy mnożą się szybciej od ludzi szlachetnej rasy, podobnie jak się zwierzęta proste zazwyczaj

szybciej od uszlachetnionych rozmnażają; grozi to zatem zalewem zupełnym nowego barbarzyństwa, tem niebezpieczniejszym, że ustawy demokratyczne i pojęcia przez rewolucyę francuską spaczono, zachęcają potomków rodów szlchetnych do zawierania małżeństw z plebejuszami. Za sto, dwieście lat, nie będzie już może na świecie szlchetniejszej rasy ludzkiej, a zmniejszenie się liczby Aryów czystej krwi wśród narodów germańskich nawet, tłómaczy niebezpieczne a widoczne postępy zestarzałego katolicyzmu, Żydów i przez Żydów forytowanego socjalizmu. Wraz z zanikiem ludzi czystej a szlchetnej krwi, muszą także zanikać górne ideały, a dla mieszańców religia prawdziwa nie jest dostępną; oni mają tylko do wyboru pomiędzy zmysłowo pojętem chrześcijaństwem, a zatem ortodoksyą katolicką, a zupełnym brakiem religii, należącym do istoty socjalizmu. Żydzi, jakkolwiek rasa żydowska z germańską mierzyć się nie może, górują nad takimi mieszańcami odwiecznem swojej, bądź co bądź energicznej rasy, ustaleniem i charakterem swojego po ziemsku praktycznego zakonu; panowanie ich nad chrześcijańskimi narodami utwierdza się z dniem każdym, w sposób usprawiedliwiający najżywsze obawy. Walkę o panowanie nad mieszańcami podjąć może z Żydami jedynie hierarchia katolicka, u której doskonałość organizacyi zastępuje ustalenie rasy, a której kanony i dogmata także przystosowano znakomicie w ciągu wieków do potrzeb pospolitej natury ludzkiej. W innej wprowadzie myśli mawiam, że każdy Polak powinien być katolikiem, ale teraz wpadło mi na myśl, że właśnie jako mieszańcy nie jesteśmy zdolni do religii indywidualnej, za czem przemawia między innymi powszechny u nas wstręt do wszelkiej filozofii. Rzymszczyki, Żydzi i socjaliści są zarówno śmiertelnymi wrogami germańskiej rasy i germańskiego ducha—przyczem rozumiem pod Germanami wszystkich ludzi czystej a szlchetnej rasy, żyjących dotąd w Europie. Być może, iż Germanowie ulegną w walce ze swoimi, coraz liczniejszymi a zuchwalszymi nieprzyjaciołmi. Jest to nawet rzeczą prawdopodobną, skoro prawa rzeczywiste przyrody i dziejów są wprost przeciwne idealnym dążeniom duszy szlchetnej. Należy jednak zwalczać te obozy wsteczne z całą siłą i tym sposobem wyratować może zagrożoną cywilizacyę, a jeżeli nie, to opóźnić chwilę jej ostatecznego upadku. Tę walkę prowadzić będą najskuteczniej i najdłużej narody germańskie, a przedewszystkiem Niemcy; w ich tedy ręku spoczną losy ludzkości.

Zygmunt skończył, widać było po nim, że więcej już nic nie miał do powiedzenia, a spojrział na Manię wzrokiem, z którego wyglądało niezachwiane przeświadczenie o własnej, niezmiernej wyższości.

Ale niepoprawna panna Mania nie wyglądała wcale tak, jakby jej mądrość Zygmunta zaimponowała. Śmiejąc się prawie, rzekła:

— Nagadałeś, Zygmuncie, dziwa niesłychane! A teraz bądź mi łaskaw powiedzieć, dlaczego mam temu wszystkiemu wierzyć? jakie niezbite masz dowody prawdziwości takich zadziwiających a dla mnie niesłychanych, i przyznam się w dodatku, że gorszących i niepokojących twierdzeń?

Zygmunt aż osłupiał na to pytanie, którego się widocznie, nie spodziewał. Zawołał:

— Wszak mówiłem, że wcale nie swoje osobiste wygłaszam zdania, tylko ostatnie wyniki nauki.

— To znaczy — dodała panna Mania — powtarzasz to, coś w jakiejś niemieckiej książce przeczytał. Nic mnie twoje ostatnie wyniki nauki nie imponują, bo choć żyję krótko, przekonałam się już z rozmów z mądrymi ludźmi, że te „ostatnie wyniki“, zmieniają się z nadzwyczajną szybkością i przeczą sobie nawzajem; że to co dziś ma być nibyto prawdą niezawodną, okaże się jutro głupstwem i bajką wierutną. Wczorajsze niezawodne lekarstwo, bywa dziś zabójczą trucizną i na odwrót. Przypominam sobie doskonale to, coś mi przed trzema laty rozповідаł, jako „ostateczne wyniki nauki“. Były to także rzeczy gorszące i dziwaczne, ale pod niejednym względem wprost przeciwne temu, co teraz mówisz. Więc powiedz mi, dlaczegożbym tobie i tej tak zwanej nauce wierzyć miała, kiedy sprzeciwia się religii, rozsądkowi i sumieniu? Gdy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, przewrócił do góry nogami wyobrażenia współczesnych ludzi i zrobił niezmiernie ważne odkrycie, któremu wierzyć musi każdy człowiek będący przy zdrowych zmysłach. Ale Krzysztof Kolumb mógł każdego zawieść do Ameryki i przekonać tym sposobem, że nie gada conceptów, lecz mówi prawdę. Gdy Cuvier obwieścił światu, że zwierzęta, jakich dziś niema, żyły niegdyś na ziemi, w niemale wielu wprawił zdumienie; kto jednak chce, może oglądać kości i szkielety tych zwierząt; musimy tedy przyznać, że Cuvier miał rację. Ale na wszystko, coś mi teraz powiedział, najmniejszego nie ma dowodu; rzeczy to dla mnie wstrętne; nie wiedziałabym nawet, jakby się do nich w życiu zastosować, gdybym w nie uwierzyć musiała. Zdaje mi się tedy, że wszystko coś mi powiedział, to puste słowa, żeś mi wcale tego nie wytłómaczył, dlaczego zgasł obecnie geniusz, który tu niegdyś takim jasnym zapłonął światłem, żeś właściwie nawet nie dał mi odpowiedzi, a gadałeś, tylko nikt na pewno nie wie o czem.

— Dobrze—żeś taka mądra — odpowiedział Zygmunt z przekąsem — ja jestem skromniejszy i nie śmiem ostatnich wyników nauki zarozumiale podawać w wątplenie.

— I to właśnie źle! — zawołał profesor — panna Mania ma słuszność, zdrowemu rozsądkowi dała wyraz, a pan grzeszysz poprostu, panie Zygmuncie, gdy przyjmujesz ze ślełą wiarą to, co pierwszy lepszy Niemiec wymyślił, byle koncept wydawał się nowym i paradoksalnym, a sprzeciwiał się katechizmowi i przekonaniom wyrobionym przez długowieczne doświadczenie ludzkości. Oddawna czułem ze słów pańskich, że jesteś pod wpływem książki Chamberlaina: „O podstawach dziewiętnastego wieku“ (*Die Grundlagen des neunzehnten Jahrhunderts*). Książka to bardzo ciekawa, bo zniemczyły Anglik wypowiedział to wszystko, co się teraz po niemieckich głowach kręci, z otwartością, na jaką tylko Anglik zdobyć się mógł, książka to w najwyższym stopniu charakterystyczna dla przesilenia duchowego, przez które protestanckie Niemcy przechodzą i świadcząc o tem, że protestantyzm wydał już z siebie wszystko co mógł, a teraz musi ustąpić wraz z wytworzoną przez siebie cywilizacją, innej religii i innej cywilizacji, że niebawem musi zapanować jedno z dwojga: albo powrót do prawowiernego chrześcijaństwa i nastanie epoki wierzącej we wszystkie tradycje kościoła demokracji chrześcijańskiej, albo ateizm brutalny i wraz z nim panowanie socjalizmu bezwyznaniowego. Zasady katolickie i materyalistyczne trwają obok siebie w duszy Niemiec nowożytnych i w duszy Chamberlaina, walczą o panowanie nad cywilizacją niemiecką i całą cywilizacją nowożytną, a protestantyzm i społeczeństwo, jakie jest dziś, nie wiedzą co zrobić z dwoma zapaśnikami i usiłują bałamutnie przekazać chrześcijaństwu jakiś kącik idealny w duszy ludzkiej i w kościele, a życie i szkołę urządzić w sposób materyalistyczny. Do tego, w Niemczech specjalnie inne jeszcze przychodzą bałamutne wpływy; megalomania wynikła ze zwycięstw nad Francją odniesionych, ze wszystkim niemieckie zawraca głowy. Bałamuctwo w wyobrażeniach narodu upojonego powodzeniem, najlepiej bałamutna wyraziła książka, i dla tego książka Chamberlaina jest tak ważną i znamioną. Streściłeś ją pan teraz dokładnie, i muszę pana pochwalić za to, że rzecz w streszczeniu jest jaśniejszą, nie jest tak bałamutną jak w grubej książce, w której wyniki konieczne filantropijnego idealizmu uczniów Kanta, religijnego racjonalizmu szkoły Schleiermachersa i materyalizmu, do którego doszła dawno wykształcona i uczona nawet część pospółstwa niemieckiego — nie mogą się pogodzić, zupełnie tak jak w narodzie niemieckim, z chrześcijaństwem, zaliczonym niby między bajki a władającym zawsze jeszcze w głębi sumienia.

Zygmunt zarumienił się z lekka — bo mówiłem przecie, że to był skromny i nieśmiały młodzieniec — i przyznał półgłosem, że istotnie

czepał z książki Chamberlaina ostatnie wyniki nauki, przez siebie przed chwilą wygłoszone.

— I dobrześ pan zrobił—podjął znów profesor—bo nigdzie nie mogłeś znaleźć lepszego streszczenia opinii różnych, obwoływanych dziś w Niemczech, jako ostatnie wyniki nauki. Tylko to zrobiłeś pan źle, żeś pan takim opiniom uwierzył, nie poddawszy ich wpierw samodzielnej krytyce, a tembardziej boleję, żeś tak zrobił, iż zadokumentowałeś tem samem powszechnie znów, wśród naszej wykształconej publiczności, a uwłaczające nam usposobienie, bezmyślną pokorę, czy też występne lenistwo, z którem każdą niedorzeczną na Zachodzie, a przedewszystkiem w Niemczech, wymyśloną nowinkę przyjmujemy, jako wyrocznię nieomylną. A teraz pozwól pan, że idąc za przykładem panny Mani, spytam się o to, co pana skłoniło do dania wiary Niemcom, twierzącym, że do wytworzenia cywilizacji zdolna jest jedynie czysta rasa blondynów o podłużnej czaszce i błękitnych oczach i że tą rasą są Germani, a nie Anglikom, którzy twierdzą uporczywie że najzdolniejszymi pod każdym względem są rasy mieszane, albo Francuzom, którzy równie głoszą uporczywie, że jedynie rasa śródziemnomorska o podłużnej wprawdzie czaszce, ale o śniadej cerze, czarnych oczach i włosach, obdarzyła świat wyższą cywilizacją i jest zdolna tę cywilizację przechować; dlaczego pan, który masz wyraźnie okrągłą czaszkę, jesteś tak skromnym, że nie przekładasz nad inne zdania wielu kraniologów i etnografów, dopatrujących się najdzielniejszego typu ludzkiego u tak zwanych brachycefalów, to jest u ludzi mających czaszkę podobną do pańskiej? Nie pojmuję jakim sposobem tak zwane ostatnie wyniki niemieckiej nauki, a właściwie zaślepionego niemieckiego szowinizmu, mogły pana tak zahypnotyzować? Anglicy na poparcie swojego twierdzenia mogą się odwołać na przykład Babilończyków, Rzymian, Francuzów i swój własny wreszcie, a zatem mogą wskazać narody, które niezawodnie powstały wskutek pomieszania różnorodnych plemion i niezawodnie niepospolitą rolę wśród dziejów odegrały; za Francuzami przemawia ta okoliczność, że twórcy i odnowiciele cywilizacji europejskiej, Grecy i Włosi należeli i należą dotychczas przeważnie do śniadej rasy śródziemnomorskiej, że znakomici poeci, artyści, myśliciele Włoch za renesansu, posiadali bardzo wybitny typ tej rasy śniadej, który posiadali zresztą także Szekspir na przykład i Cervantes. Nie wiem doprawdy na co się Niemcy odwołać mogą? Na swoją własną wielkość, której bynajmniej przeczyć nie myślę? Z trudnością! skoro antropometryczne pomiary, powzięte w Niemczech i w innych krajach, wykazały, że ludzi typu nibyto germańskiego niema w protestanckich nawet częściach Niemiec, ani mniej, ani więcej, jak we Francji na przykład, albo

w Polsce i że wszędzie stanowczo pozostają w mniejszości. Jakiś zwolennik szerokich czaszek dowiódł Niemcom, ku niemałemu ich zgorzeniu, że dwaj najwięksi bohaterowie protestanckiego germanizmu, Luter i Bismark, byli wybitnymi brachycefalami o typie, który Niemcy z lekceważeniem Słowianom przypisują. Zresztą żadnej niema ludzkiej racyi, dla którejby Niemców miano uważać za naród o czystej rasie. Sądząc po kościotrupach, spoczywających w grobach przedhistorycznych, człowiek o łbie kwadratowym, o typie przeważającym dotychczas stanowczo w południowych Niemczech, w Niemczech tak jak w całej Europie uprzedził Aryjskich zdobywców, lecz wcale przez nich wytępionym nie został. Ale odkładając na bok zawsze niepewne i dowolne przedhistoryczne domysły, jest rzeczą niezawodną, iż dzisiejsi Niemcy powstałi z mieszaniny Germanów, Słowian, Celtów, Rzymian i t. d., że taką mieszaniną byli już prawie od początku. Wolno twierdzić, że Grecy i Rzymianie byli zrazu ludźmi rasy czystej, płowej, długogłowej, że się potem dopiero z niższemi rasami zmieszali i że wskutek tego swoją dzielność umysłową stracili; ale tego nikt dowieść nie potrafi i owszem fakta przemawiają przeciw temu, skoro wiemy że Pelazgowie, Frygowie i Etruskowie mieszałi się na samym początku dziejów z Grekami i Rzymianami i że to były plemiona o wcale odmiennym typie etnograficznym, tak że zwycięscy pod Salaminą i pod Zamą nie byli ani mniej, ani więcej mieszańcami od Greków i Rzymian, żyjących pod berłem Konstantego Wielkiego. Zanim uwierzę twierdzeniu niemieckiej nauki, że upadek inteligencyi włoskiej został tem spowodowany, iż rody germańskiego pochodzenia pomieszały się dopiero w ciągu czasów nowożytnych z potomkami późnych Rzymian, trzeba by, aby mnie przekonano za pomocą dokumentów, że ludzie tacy, jak Leonardo da Vinci, Dante albo Pico della Mirandola pochodzili z rodzin frankońskich albo longobardzkich, które przez tysiąc lat przestrzegały zazdrośnie czystości swojej rasy, co się wydaje rzeczą tembardziej nieprawdopodobną, a nawet wprost niepodobieństwem, iż każdy kto zna dzieje Franków i Longobardów, wie o tem, że mieli to sobie za zaszczyt, jeśli mogli zawierać małżeństwa z potomkami Rzymian. A już ze wszystkiem byłoby rzeczą niezrozumiałą, gdyby prawdą było, że Germanie są rasą wyższą, że oni dopiero mogli chrześcijaństwo zrozumieć, z żydowskich i starorzzymskich oczyścić naleciałości, zamienić w bodziec do postępu, w religię narodów cywilizowanych, skoro faktem jest że ci Germanie byli grubymi barbarzyńcami przez dwa tysiące lat prawie, kiedy się romańscy i greccy mieszańcy, świetniejszą czasem, czasem przyćmioną, ale zawsze rzetelną cywilizacją przez cały ten czas cieszyli. Narody germańskie

przyjęły zrazu jakieś chrześcijaństwo wolne od wpływów rzymskich, Aryanizm, całkowicie narodowo zabarwiony, a mimo to nietylko nie umiały rozwinąć cywilizacji opartej na „wolności ducha“, ale popadły w gruby zabobon, a głównie wyższa oświata duchowieństwa katolickiego, sprawiła, że te ludy od Aryanizmu odstąpiły. Zagadką to także, jeśli wyższość przyrodzona czystej krwi germańskiej jest prawdą, dlaczego rozkwit cywilizacji nowszej, wcale się nie rozpoczął, ani w Niemczech, ani w Skandynawii, tylko we Włoszech, gdzie tej czystej germańskiej krwi było z pewnością bardzo niewiele, jeśli w ogóle istniała? Dlaczego narody, mieszanego oczywiście pochodzenia, Francuzi i Anglicy, długo jeszcze potem posiadali we wszystkim niezaprzeczone w Europie pierwszeństwo, a Niemcy potrafili się z nimi zrównać, nie prędzej jak w drugiej połowie osiemnastego wieku? Skoro dotąd tylko narody rasy białej albo żółtej, samodzielne cywilizacje wytworzyć zdołały, pojmuję iż ktoś może twierdzić, że to dziś rasy wyższe od reszty rodzaju ludzkiego, od murzynów na przykład i czerwonych Indian, choć co do murzynów rzecz mi się dowiedziona nie wydaje; ale wszelkie dalsze hipotezy co do liczby i względnej wartości rasowych odmian, pośród ludzi białych jak dotąd żadnej zgoła nie przedstawiają wartości naukowej, a budować na tak niepewnej podstawie filozofię dziejów może tylko pycha niemiecka, upojona powodzeniem i zarozumiałość narodowa, tak wygórowana i tak zaślepią, że najpotężniejsze nawet plemię musi przyprawić o klęski straszliwe i nieobliczone szkody. Ta sama pycha, to samo zaślepienie, z jednej strony podniecone protestanckim fanatyzmem, z drugiej strony podrażnione żydowską arogancją i żydowskim wyzyskiem, mogły niemiecką naukę, czyli to, co się w Niemczech nauką czasem przezywa, a jest tylko błagą, skłonić do wygłoszenia twierdzenia, że śmiertelnymi wrogami i grabarzami cywilizacji są Żydzi i kościół katolicki. Historia temu głupstwu najoczywistszy kłam zadaje. Żydzi bowiem wydali wspaniałą literaturę w czasie, w którym cała Europa była jeszcze w zupełnym pogrążona barbarzyństwem; współplemienni z Żydami Fenicyanie, którzy w dodatku tym samym mówili językiem, zawieźli do Europy pierwsze cywilizacji zarodki, a w czasach nowożytnych można wspaniały poczet wielkich mężów plemienia żydowskiego wyliczyć, którzy na różnych polach największe przysługi cywilizacji oddali. Kościół zaś katolicki wyratował pośród powodzi barbarzyńskiej szczątki cywilizacji starożytnej, przechowywał je i rozwijał starannie, zdołał dziec germańską w cywilizowane zamienić narody; pod jego przewodem rozwinęła się wspaniała, a pod niejednym względem niedościgną cywilizacja renesansu.

Chce się człowiekowi śmiać, kiedy się o tem pomyśli, że nowożytni germańscy antysemita, chodzą na pasku żydowskiej myśli, służą odwiecznym żydowskim nienawiściom, kiedy się zabierają do zwalczania katolicyzmu zapomożą rzekomego oczyszczenia chrześcijaństwa od żydowskich naleciałości. Radbym wiedział, jakim sposobem myślą germańscy chrześcijanie dowiedzieć się o tem, czego im ewangelie i listy apostołskie o Chrystusie nie podały? To są jedyne źródła, z których poważny historyk może wiadomości jakiegokolwiek o osobie Zbawiciela i o Jego ziemskim żywocie zaczerpnąć. Innych źródeł nikt nie szukał i nie znajdzie, kto tedy te źródła lekceważy i kto sobie usiłuje wytworzyć niezawisłe od nich, a może sprzeczne z niemi wyobrażenie o Chrystusie i o Jego nauce, bo bawi się w dowolne kombinacye, ten puszcza wodze wyobraźni, albo usiłuje prawdę siłą uwag przekonać, tak, aby dogadzała jego namiętnościom, albo jego widzimisiom. W każdym razie bluźni religii, a jeśli swoją niebezpieczną zabawkę naukową przeżywa robotą, bluźni także nauce.

Na tem skończył profesor, a ledwo zamilkł, podjąłem sprawę mówiąc:

— Ja się pana, panie Zygmuncie, o coś innego zapytam, co mnie się jeszcze ważniejszem wydaje, a mianowicie o dwie rzeczy: Czyś pan sobie zdał sprawę z tego, do czego doprowadzić musi głoszenie tak zwanego idealizmu religijnego? I jakie mogą być poważne powody do zaprzeczenia działaniu Opatrzności w dziejach? A nawet odpowiedzi od pana się nie spodziewam, bo gdybyś był w stanie odpowiedź dać—tego co twierdziłeś przed chwilą, z pewnością nie byłbyś twierdził, temubys z pewnością nie był uwierzył, co ci się ostatnim wynikiem nauki wydało. Obydwa pytania są w ścisłym związku. Zaprzeczenie istnieniu Opatrzności, twierdzenie, że rzeczywiste prawa materialnego i duchowego świata w niczem od praw moralnych nie są zawisłe, że są od nich różne, o ile im nie są wprost przeciwne, wygłoszone podobno najpierw przez owego najstraszliwszego we francuskiej literaturze szkodnika, Ernesta Renana, zgodne z materialistycznym zaślepieniem dzisiejszej nauki i dzisiejszego społeczeństwa, i dlatego właśnie powtarzane dziś chóralnie i z ciężką emfazą przez całą rzeszę uczonych i publicystów niemieckich, to powiadam rozpaczliwe twierdzenie odsyłające wiarę w Boga, w nieśmiertelność duszy—w wolność woli i wieczną sprawiedliwość między przestarzałe bajki, albo samo sprośną bajką okazać się musi, albo musi sprawić, że możliwą zostanie tylko religia idealna i religia podmiotowa, o której pan lubisz mówić za przewodem Niemców dzisiejszych. Ze słów pańskich wynika wyraźnie, że religią idealną, jest wiara zalecana przez uczniów Kanta, którzy swego mistrza może dobrze nie zrozumieli.

U człowieka, posiadającego religię idealną, prawdy chrześcijańskie, albo jakiś dowolnie obrany ułamek tych prawd, są tylko postulatem zmysłu moralnego. Wyraziłem się po niemiecku i pan mnie zrozumiałeś, ale panna Mania z pewnością nie, a przez nią chcę także być zrozumianym, więc powtórzę myśl po polsku i powiem, że religię idealną posiada ten, który mniema, że wie na pewno, iż wszelkie nauki religijne są nieprawdą, iż przekazania moralne są absolutnie niepraktyczne, czyli poprostu mówiąc głupie, że wiara w jakikolwiek świat nadprzyrodzony i w jakiegokolwiek moralne obowiązki jest zabobonem, a który poprostu wmawia w siebie, że w to wszystko wierzy, gdyż inaczej nie mógłby sam przed sobą uzasadnić postępowania zgodnego z przekazaniem dawnej moralności. Otóż wyjątkowi może ludzie, bardzo szlachetni, ale na ogół doprawdy tylko ludzie w dawnej wierze wychowani, przez rodziców po dawnemu a wcale nie idealnie religijnych, mogą czuć wstręt tak przemożny do moralnej nikczemności i bezwzględego samolubstwa, iż zechcą się religią idealną okłamywać, narażając się przytem samowiednie na najdotkliwsze szkody. Ale niech stara religia pozytywna zaginie, niech się młode pokolenie w idealnej tylko, a nibyto o tyle doskonalszej religii wychowa, a ludzie nie byłiby ludźmi, gdyby całego chrześcijaństwa wraz z wszelką w ogóle religią nie zdegradowali między mity estetycznie tylko zajmujące. Będą ludzie mówili o Chrystusie, o Matce Boskiej i o przekazaniu miłości, jako o wierzeniach pięknych—nic więcej, a skoro celem religii będzie tylko dogodzenie swoim popędom moralnym, albo niemoralnym, każdy taką religię, albo raczej taki brak religii będzie miał, jaki sam zechce. Większość ludzi jest z natury swojej zmysłową i samolubną, jeśli nie wprost zawistną i złośliwą. Rzadkie tylko Don Kiszoty będą się tedy trzymali dawnej cnoty, dla tego że im z tem dobrze będzie; ogromna większość tak wykształconych, jak nie wykształconych, wyswobodzona od wszelkiej nadziei albo obawy kar nadprzyrodzonych, będzie żyła zewszystkiem samolubnie, a będzie pod tym względem ta tylko między ludźmi zachodzić różnica, że jedni, rozumniejsi, będą działać z obliczeniem, w sposób zapewniający przyszłe korzyści, a drudzy, nierównie liczniejsi, posłuchają zawsze chwalebego popędu chwilowej chuci. Ci zatem idealisci o podmiotowej religii, będą się z dniem każdym pozbywać znamion, różniących człowieka od bydła, panowania nad sobą i myśli skierowanej ku rzeczom nadzmysłowym, a skoro ich wyobraźnia zardzewieje, ich zdolność do myśli oderwanych zaniknie, szlachetni Germanie o czystej rasie, obroniwszy się przed zakusami Rzymszczyków, zabrną w błoto zynsłowe powyżej uszu; wybuchnie pomiędzy nimi niczem już nie hamowana walka wszystkich ze wszystkimi, wśród tej najwyższej cywili-

zacy stanie się człowiek człowiekowi naprawdę wilkiem zawsze żarłocznym, zazwyczaj podstępny, gdy się sposobność nadarzy, brutalnie krwiożerczym. Naród, który tylko idealną mieć będzie religię, sam siebie pożre, zmarnieje, przepadnie koniecznie, a jeśli prawdą to, że żadnej niema Opatrzności, że żadna moc rodzaju ludzkiego ku wiecznym a nadmysłowym nie wiedzy celom, nie należy tej prawdy, głosić, owszem należy tę prawdę przed własnym narodem jaknajstaranniej ukrywać, a cieszyć się chyba tem, że inny, nieprzyjacielski naród zatruwa się przeświadczeniem o tej prawdzie. Ale zapytam się pana, skąd pan wiesz, że ta niepocieszna nibyto prawda, jest prawdą istotnie? Bo ja się dowodu na to dopatrzeć nie mogłem, a jeśli pan taki mądry i uczony, żeś na to dowód albo wyczytał, albo sam znalazł, wdzięcznym będę, gdy mnie pan o tem pouczysz. Żem lis chytry, sekretu przed nikim nie zdradzę i pana namówię, abyś o tem milczał; owszem, obaj będziemy, ze względu na własne bezpieczeństwo, udawać świętoszków, a zresztą damy zupełną folgę wszystkim swoim instyktom, bo zdaje mi się, że ja wtedy pana przekonam z łatwością, iż jedyną idealną a podmiotową religią, którą mieć warto, jest udana ortodoksalna religijność wobec drugich, a dla siebie samego bezwzględne, nie przebijające w środkach samolubstwo. Ale przestrzegam pana, że mnie nie łatwo przyjdzie przekonać. Ja na przykład jestem przekonany, że postać każdego człowieka, sposób w który wzrasta, właściwości zmysłowe i umysłowe, tudzież zdolność do działania, którą z czasem nabiera, są wykonaniem wiecznego a mądrego zamiaru, którego władanie i dokonywanie się konieczne wśród całej przyrody, nazywam rządami Opatrzności. W wypadku, o którym teraz wspominałem, a niemniej przy rozwoju każdej zwierzęcej i roślinnej jednostki, zamierzonym jest odtworzenie pewnej organicznej postaci, która się dokonuje celowo. Dowiedz mi pan, że tak nie jest, że pan się rozwinął, albo że się rozwinął najmarniejszy robak, nie wskutek wszechwładzy woli, która odwieczny powzięła zamiar, tylko wskutek gry owych mechanicznych a ślepych praw przyrody, którymi się zajmują fizyk i chemik a dam się może przekonać, że niemasz na świecie rządów Opatrzności, której wołą jest, aby wszystko było doskonałem. Boć o to przecie sprzeczać się nie będziemy, że lepszym jest organizm wedle praw postaci swojej rozwinięty—od kaleki, albo od kupy piasku. Ale ja się nie zadowolnię domysłami i porównaniami! Na nic mi się nie przyda gadanie, że coś mogło tylko być dokonaniem, wśród nieznanych nam okoliczności, albo przez nieskończenie długi szereg czasu. Ażeby miał odstąpić od mojego przekonania, tak oczywiście nasuwającego się, że jest na-

turalnem zdaniem wszystkich ludzi myślących a nie zbałamuconych i onieśmiałonych przez natarczywą dogmatykę nowożytnych materyalistów, trzeba abyś mi pan tak jasno i niewątpliwie wyłożył powstanie ciała, wskutek działania sił władających martwą przyrodą, jak pan mi potrafisz wyłożyć powstanie i układ pociągu, którym jedziemy. Jeśli się na prawdę wie, jak coś powstaje, umie się tę samą rzecz zrobić. Więc jeśli mnie pan odeszlesz po informację do zawodowych fizyologów, zaprosimy kongres fizyologów z całego świata do Florencyi, oddamy na ich usługi najzręczniejszych chemików i mechaników i poprosimy aby sfabrykowali, nie już człowieka, ale choćby pchłę, albo grzyb. Jeśli znają mechanizm życia, sztuki tej dokażą. Ale pan sam wiesz doskonale o tem, że się próby nie podejmą, z czego wynika znów oczywiście, że blagują, ilekroć twierdzą, iż tajemnice organizmów już zbadali. Badają tylko i natrafiają na coraz nowe celowo doskonale dziwa, które głośno za mojem przemawiają przekonaniem. To samo co się tyczy rozwoju każdego żyjątka, tyczy się tembardziej powstania i rozwoju rodzajów i postaci tak zwierzęcych, jako też roślinnych, następstwa faun i flor różnych, a coraz piękniejszych i rozmaitszych, które na naszym planecie, za czasów geologicznych istniały. Tryumfował materyalizm, kiedy się przez chwilę zdawać mogło, że Darwin odkrył fizyologiczne prawdy, dla których nowe postacie organiczne się wyłaniały z dawnych, wskutek ślepej konieczności, a nie dla wykonania jakiegokolwiek zamiaru; tryumfował, myśląc że odtąd może zaprzeczyć istnieniu jakiegokolwiek planu przyrody. Obwołano zasadę powolnej ewolucyi, opartej na drobnych zmianach indywidualnych, przekazanych potomkom, a ustalonych przez walkę o byt i przez dobór płciowy, jako pewnik i jako prawo wszelkiego życia, stosowano ją do językoznawstwa i do polityki, do dziejów religii, do wszystkiego, nie pytając się o to, jak dalece trzeba zasadę przekreślić, aby do jakiegoś przedmiotu, choć pozornie przystać mogła; twierdzono, że całe życie umysłowe człowieka, jest wynikiem ewolucyi; jakiś dowcipny Francuz podobno odkrył, że nawet śmierć nastąpiła wskutek ewolucyi! Gniewano się długo na każdego, który wykazywał niedostatki i wewnętrzne sprzeczności Darwinizmu. Jedni zakrzyczeli wszelkie obiekty, bo śpieszno im było pogrzebać wszelką religię, wszelką wiarę w Opatrzność i wszelką moralność obowiązującą bezwzględnie; inni wierzyli dogmatowi ewolucjonistów, aby iść z postępem, aby się przynajmniej wstecznikami nie wydać. Gdyby jakiś młody człowiek, podobny do pana, był przed dwudziestoma laty usiłował wytłómaczyć zgodnie z „ostatycznymi wynikami nauki“ powody dawnej wielkości umysłowej Włoch i tego że przeminęła, byłby się niezawodnie posługiwał formu-

łami ewolucjonistów, tak jak jego znów ojciec byłby w takim wypadku siadł na heglowski młynek logiczny i jeździł na tezie, antytezie i syntezie. Teraz zaledwo potrafięś kilkoma słowami o coś co ewolucyę przypomniało z daleka, bo ta naukowa moda już przeminęła, a ci którzy się jej u nas jeszcze trzymają, podobni do tych Niemców którzy za napoleońskich jeszcze wojen z harcapem chodzili. Trudności się namnożyło tyle, że najzapalczywsi nawet ewolucyoniści musieli jedno stanowisko po drugim opuszczać. Teraz będą już podobnie ewolucyę chować urzędowo, a jej miejsce zastąpi mutacya i mutacyą wszystko tłómaczyć będą, nie wytłómaczywszy samej tylko mutacyi. Wiemy dziś już na pewno, że nowe postacie organiczne powstają nagle z nasienia innych postaci. Taką mutacyę dostrzegł holenderski uczony de Vriys na pewnej postaci wiesiołków, zwanej po łacinie *Oenothera Lamarchii*, która popadła z niewiadomych zupełnie przyczyn w okolice Utrechtu, w jakiś kryzys nadzwyczajny i wydała z siebie w przeciągu kilku lat aż siedem nowych roślinnych postaci i to wcale nie odmian, tylko prawdziwych postaci, niemogących się już z postacią matką krzyżować. Teraz wydaje się rzeczą prawdopodobną, co więcej niemal pewną, że szczer wędrowny i pustynnik, dwie postacie zwierzęce, które się w przeciągu ostatnich dwóch stuleci nagle zjawiły, to nowopowstałe stworzenia, specyficznie różne potomki innych jakichś szczerów i kur; bo trzeba wiedzieć, że nowopowstała postać mnoży się z nadzwyczajną szybkością, a ma oprócz tego przez czas jakiś skłonność usilną do wydawania z siebie potomstwa, znowu po części specyficznie odmiennego. Wobec tego jest dla mnie rzeczą jasną, że niegdyś wielkie jaszczury przedpotopowe wydały z siebie nagle pierwotnych ssaków i potem wymarły. Rodzaje powstają z powodów nam zupełnie nieznanych, odrazu; odrazu może się przemienić fauna i flora jakiegoś kraju, albo całej ziemi, w chwili przeznaczonej wyda liście, kwiaty albo owoce. Te zmiany odbywają się celowo, podług z góry zakreślonego planu, bo choć żadne zwierzę ssące australskie od żadnego azjatyckiego albo amerykańskiego pochodzić nie mogło, powtórzył się w Australii, lubo w sposób mniej doskonały, plan ujawniony w innych częściach świata i Australia posiada swojego wilka, swoją kunę, wiewiórkę, swojego niedźwiedzia i t. d. W miarę wykonania tego planu, w sposób, który nie da się wytłómaczyć działaniem znanych nam sił przyrody, stawał się świat coraz piękniejszym, coraz doskonalsze i piękniejsze rośliny, coraz doskonalsze i zmysłniejsze zwierzęta zaludniały ziemię, aż stała się przybytkiem godnym człowieka i aż człowiek zjawił się wśród przyrody. Od tej chwili począwszy, postęp moralny i duchowy, postęp dziejowy stał się rzeczą nierównie ważniejszą od postępu organiczne-

go; dzieje planety stały się przedewszystkiem dziejami ludzkości. I znów żadnemi prawami, nie już mechanicznemi, ale ekonomicznemi albo psychologicznemi nie da się wytłómaczyć, dlaczego wprawdzie nieznaczące, albo zupełnie nawet nieznanne narody, mnożyły się albo mnożą nagle, z nieprzepartą siłą i wysuwają się na pierwszy plan dziejów? Dlaczego przybywa im sił umysłowych, a wskutek tego: oświaty, bogactwa, potęgi? Dlaczego, przeciwnie, inne potężne i sławne ludy głupieją, ubożeją, wymierają. Któż powie dlaczego wielcy ludzie, w tym lub owym dziejowym okresie, temu właśnie, a nie owemu przywodzą narodowi? Dlaczego się zjawiają w pewnych okresach czasu i w pewnych krajach nagle świetne plejady hetmanów i polityków, albo uczonych i myślicieli, poetów i artystów? Jedno tylko da się dostrzedz, że jedynie naród który od sofizmatów stroni, który wierzy w ideał i w religię, nie podmiotowe wcale, ale rzeczywiste i tym przekonaniom swoim służy, w prostocie ducha i z zupełnem zaparciem się swojego samolubstwa i zarozumiałości indywidualnej—rośnie, mnoży się, wielkich mężów wydaje i że cała ta okazałość gąśnie nagle, skoro braknie narodowi prostoty ducha i czynem okazanej wiary we wspólne dogmata religijne i moralne. Powiadam, to jedno da się rozpoznać; ale to następstwa kolejnego narodów i cywilizacji nie wytłómaczy. Nie domyślisz się praw, wedle których wielcy rodzą się ludzie, a jeśli się znaleźli uczeni, którzy dziejowemu znaczeniu wielkich ludzi przeczyć chcieli, wszystko bezwiednemu działaniu mnogich rzesz przypisywali, byli to ludzie umyślnie zaślepieni, bo dzieje świadczą temu aż nadto wyraźnie, że gdzie wielkich ludzi braknie, tam rzesze niczemu nie podolają, upadają, chińszczeją, najświetniejsze pomysły i instytucje przekazane przez przodków, zamieniają się w marne formuły, wszelkiego pozbawione znaczenia. Za pomocą praw, skądinąd znanych, nikt nie potrafi pochodów dziejów wytłómaczyć; kto się na to sili, aby wypadki dziejowe wyprowadzić z fizycznej, albo innej jakiejś ekonomicznej na przykład, lub jakto powiadają socyologicznej konieczności, ten gada od rzeczy, w sposób dowcipniejszy, albo mniej dowcipny. Gdyby taki wielki uczony znał istotnie przyrodnicze, mechaniczne, że tak powiem, prawa dziejowej konieczności, przepowiedziałby akuratnie co się stanie za rok, za lat dziesięć i za lat sto, a niemasz nikogo, ktoby się we wszystkich przewidzeniach politycznych, na racjonalnej jedynie rachubie opartych, grubo nie mylił. Tok dziejów urąga wszelkim prawom przyczynowym tylko a nie celowym. Kto nie wierzy w działanie Opatrzności kierującej dziejami, ten okaże się jeszcze najrozsądniejszym, jeśli powie, że w dziejach ślepy władnie przypadek. Ależ, pytam się, któż naprawdę w takie głupstwa uwierzy? któż przypuści, że przypadkowi,

a zatem rzeczy najgłupszej jaka jest, mamy zawdzięczać cały nieustanny rozwój cywilizacji, całą pracę geniuszów, kolejne narodów i szczepów następstwo, które mimo błędów i grzechów ludzkich i mimo nieprzemожonej mierności wielkich rzesz, prowadziły jednak nieustannie do większego uznania godności ludzkiej, do większego braterstwa pomiędzy ludźmi i pomiędzy narodami, do bezwzględniejszego opanowania przyrody, do wyższej oświaty i do poglądów coraz wznioślejszych. Zaiste, ja mogę w to tylko wierzyć, że iści się w dziejach zamiar Opatrzności! Jeśli kto chce prawa dziejów poznać, niech je odgadnie z tego jak się dzieje rozwijają, niech się domyśla celów do których dążą, niech o przyszłości narodów sądzi podług tego, jakie w nich siły kiełkują, nie wskutek przemądrej ludzkiej rachuby, ale nieraz wbrew tej rachubie. Może o rozwoju życia i rozwoju dziejów coś do rzeczy powiedzieć ten tylko, kto w Opatrzność wierzy; bez niej niczego zrozumieć nie mogę, więc do idealnej religii nie mam najmniejszej ochoty się zwrócić, a przedtem tylko przestrzegam, że nigdy jeszcze naród nie zakwitł, który taką idealną tylko religię wyznawał, podmiotową tylko miał moralność.

Na tem skończyłem, bo pociąg zajechał na dworzec we Florencji; trzeba było wysiadać z wagonu i panie do hotelu odprowadzić.

VII.

Nazajutrz rano Zygmunt i ja zerwaliśmy się najwcześniej. Wypiwszy razem kawę w traktynie hotelowej, poszliśmy razem na przechadzkę, aby wypełnić czas, który nas dzielił od godziny dziesiątej przed południem, bo dopiero o tej porze bywają zbiory florenckie przystępne, a kościoły zwiedzać najlepiej po południu, skoro się wtedy nabożeństwu nie przeszkadza, i skoro także najlepsze światło bywa, ponajwiększej części w chwili, kiedy się słońce ma ku zachodowi, a jedyne może pod tym względem wyjątki stanowią kościoły *Santa Trinita* i *Badia*, które należy zatem w rannych godzinach odwiedzać.

Zrazu szliśmy milcząc, Zygmunt widocznie mocno był zajęty myślami, widocznie chciał jakąś rozmowę rozpocząć, a nie wiedział, jak się do tego wziąć. Dopiero gdyśmy się dostali na Lung Arno, przerwał milczenie, mówiąc:

— Panowie obaj starsi gniewacie się na mnie, ilekroć wygłaszam zdanie zaczerpnięte z niemieckiej nauki, a potem na tę naukę

wyrzekacie, nie chcecie jej wartości żadnej przyznać, utyskujecie nad tem, że nasze społeczeństwo ulega wpływowi niemieckiej myśli, żądacie odemnie, abym przystępował krytycznie do twierdzeń tej nauki, która wreszcie nie jest niemiecką tylko, ani nawet europejską, lecz jest własnością wszystkich nowożytnych narodów i abym nie przyjmował tego wszystkiego na co sama największy nacisk kładzie, abym wszelką nową a śmielszą myśl, przez niemieckich, czy też przez zachodnich uczonych wyrażoną, odrzucał i uważał z góry za rzecz mylną i nawet za rzecz szkodliwą, jeśli na poparcie swych twierdzeń nie przytoczą dowodów tak pewnych jak to, że mam parę rąk i parę nóg i że oddycham powietrzem, albo przynajmniej jak to, że silny prąd elektryczny puszczony w naczynie wypełnione tlenem i wodorem, wytworzy, przy sprzyjających zresztą okolicznościach, wodę. Przywykłem do tego, że nasze panie zatykają sobie uszy, kiedy mówię rzeczy, które im się bezbożnymi wydają i niejeden poważny, ale niepoświęcający się nauce ziemianin, przestrzegał mnie przed tem, co nazywał niemiecką filozofią — chociaż dawna filozofia wyszła już w Niemczech prawie ze wszystkim z mody, a ja wierzę tylko w wyniki nauk przyrodzonych i historycznych. Na to wszystko nie zważałem; zdawało mi się, że się u pań przesądne odzywa zacofanie, że owi panowie, to albo ludzie jednostronnie praktyczni, do wszelkiej teorii z góry uprzedzeni, albo ludzie, którzy z powodów narodowych spoglądają niechętnie na wszystko, co choćby z daleka Niemcem trąci. Ale pan i profesor jesteście obydwaj mężami poważnej nauki, a gdy słyszę, że obaj zajmujecie to samo prawie stanowisko, co owe panie i owi zasłużeni może, ale nieuczni obywatele, doprawdy nie wiem jak mam o tem sądzić? Przecież pan niemożesz być tego zdania, że należy nam stronić od wszystkiego, co cywilizacya zachodnia stworzyła, że prawdziwy Sarmata winien się wszelkiej wystrzegać nauki, pozostawiając Niemcom szpargały, jako rzecz niegodną porządnego człowieka? Nie przypuszczam także, abyście panowie należeli do owych fantastów, którzy twierdzą, że narody słowiańskie mają dopiero ze wszystkim nową wytworzyć cywilizacyę, i że przeto powinny szczelnie zamknąć oczy, zatkać uszy na wszystko, co się na szerokim świecie dzieje, zapomnieć o wszystkim, czego się kiedykolwiek od narodów ościennych nauczyć mogły? Więc proszę mnie pouczyć, proszę mi powiedzieć, czego się mam trzymać?

Odpowiedziałem:

— Rad jestem, że możemy o tem wszystkim spokojnie, we dwojkę pogadać. Otóż masz pan zupełną słuszność, kiedy nie przypuszczasz, abym był nieprzyjacielem zachodniej cywilizacyi, a raczej cywilizacyi w ogóle, bo cywilizacyą naprawdę mienię to tylko, co

Grecya stworzyła, Rzym rozpowszechnił a chrześcijaństwo uświęciło. I owszem, mamy się dźwżyć silnie tej cywilizacji, której owocem jest wszystko to, co słusznie u narodów zachodnich podziwiamy, która nasze także społeczeństwo wytworzyła i która nam dała wspaniałą przeszłość, moralną wartość, te dostatki jakie u nas są, oświatę naszą, naukę, literaturę i sztukę, któremi my także szczyścić się możemy. Aby tę, nie inną, a fantastyczną jakąś cywilizację, której być nie może, aby powiadam swoją cywilizację wzmódz i potwierdzić, mamy się uczyć wielu rzeczy u Anglików, Francuzów i także u Niemców, którzy nas o kilka wieków wyprzedzili, a teraz pod niejednym względem stanęli na czele ludzkości. Ale nie wszystko co jest w Niemczech, jest godne naśladowania, a naszym obowiązkiem jest upatrywać rozumnie to, co się u naszych sąsiadów zachodnich święci, przyjmować to, co dobre i godne naśladowania, a da się wśród naszych odmiennych stosunków naśladować, a unikać tego, co dla każdego narodu szkodliwym być musi, i tego, co w Niemczech ma swoją rację bytu, a u nas żadnej racji mieć nie może. Przedewszystkiem uczmy się u Niemców pilności, akuratności, skrzętności i sumienności zawodowej, uczmy się u niemieckiego mieszczaństwa zapobiegliwej pracy i rozumnej oszczędności, uczmy się także naukowego rolnictwa, metod wytwórczych, technicznej na wszystkich polach biegłości, aby się wzbogacić, bo dziś naród który się bogacić nie potrafi, na żadnym się nie ostoi polu, skoro moc pieniądza dawną moc oręża zastąpiła w dziejowej walce cywilizowanych społeczeństw. Ale już przy zastosowaniu wytwórczych metod niemieckich należy nam być samodzielnymi rozważyć ostrożnie, czy się dadzą u nas z dobrym skutkiem zastosować.

— A zatem -- spytał Zygmunt -- uznajesz pan tylko materialną stronę nowożytnej cywilizacji, a jej strony duchowej, intelektualnej nie widzisz, czy też nie chcesz widzieć? Każesz nam pan naśladować przemysł niemiecki, rolnictwo niemieckie, handlowe i kredytowe urządzenia Niemców, a stronić od niemieckiej nauki, może także od niemieckiej, czy też wogóle od nowożytnej literatury i sztuki? Trudno przyjdzie cały naród, a zwłaszcza młode pokolenie, skłonić do takiego poziomego poglądu na życie, a obawiałbym się, aby naród pozbawiony wszelkiej idealnej i naukowej strawy, nie zeszedł na poziom naszych Żydów prawowiernych, zapatrzonych jedynie w zysk, albo kupczących nieustannie Ormian i Lewantyńców tureckich.

Odparłem:

— Bynajmniej nie myślę naszego narodu skłaniać do tego, aby się zaparł ideałów, bez których musiałyby rychło zginąć, lecz nakłaniam

go owszem usilnie, aby nie tylko przez ojców przekazane ideały przechowywał, ale żeby u obcych zapożyczał wszystko, co treść jego żywota idealną wzmódz może; takich rzeczy mnóstwo znajdzie w dziejach cywilizacji zachodniej, a gdy potrafi się uwolnić z pod jarzma księgarzy wystawiających z upodobaniem ua sprzedaż same paradoksalne, niezasadnione niczem a niebezpieczne nowinki, znajdzie zdrowej, idealnej strawy poddostatkim w wydawnictwach dzisiejszego Zachodu, w książkach angielskich, a od niejakiego czasu także francuskich, a niekiedy, choć nierównie rzadziej, także w dziełach niemieckich. Ale te rzeczy mogące istotnie służyć do podniesienia ducha, nie są bynajmniej wyrazem nowożytnych cywilizacji, nie są zgoła tem, co nazywają w Niemczech i u nas także, ostatecznymi wynikami nauki; to wszystko wyobrażenia, zaczerpnięte ze skarbcza dziejów, chrześcijańską, starodawną myślą przesiąknięte, a przystosowane tylko do stosunków nowożytnych. Mam na myśli same dzieła, które w nowej może tylko formie, stare głoszą prawdy; poczęści takie, bez których żadne społeczeństwo przez dłuższy czas ostać by się nie mogło, a po części te, które były siłą poruszającą postępowej cywilizacji europejskiej, już od wielu wieków, dobrze znane w teorii, choć może w praktyce zapoznane. To są same rzeczy, które młodzieńca nie zadziwią, przypomną mu nauki rodziców, ani nowością, ani nadzwyczajnością go nie pociągną, a zatem mu się nie podobają; to są same rzeczy, na które zwyczajny recenzent machnie pogardliwie ręką, oświadczając, że to stare komunały. Ale jeśli pod cywilizacją nowożytną mamy rozumieć wytwory protestanckiego i rewolucyjnego ducha, angielskiego utylitaryzmu i niemieckiej krytyki, trudno doprawdy doszukać się w niej idealnej strawy; można znaleźć trucizny, które w najlepszym razie rodzą wątplenie hamletowskie, odbierają wszelką wiarę i wszelką ochotę do czynu, a zwyczajnie wprost wszelki ideał wytępiają i popchną gotowe nasze społeczeństwo do czynów wprawdzie, ale do czynów samobójczych; albo też można znaleźć emfaticzne bałamuctwa, które pod osłoną naukowej niby frazeologii zbyt uważnego czytelnika od wszelkiej jasnej odzwyczajają myśli.

— Więc—rzekł Zygmunt—pan przeczysz naukowemu postępowi, a wierzysz tylko w materyalny?

Odpowiedziałem:

— Pan mnie źle zrozumiałeś, i tego z moich słów wcale nie można wywnioskować. Postęp techniczny może tam tylko istnieć, gdzie jest postęp naukowy, a jeśli się mamy rozwijać pomyślnie, musimy, każdy w swoim zawodzie, wiedzieć dokładnie o tem, co się dzieje zagranicą, a mianowicie w Niemczech, pod względem badań tyczących się zawodu. Profesor twierdził, że dziś każdemu narodowi niezbędny

rozwój ekonomiczny, znamionujący cywilizację dzisiejszej doby, może być tylko przez protestantów w pełni osiągnięty. Że protestantyzm społeczeństwo do takiej właśnie formy cywilizacji nakłania, to pewne, ale skoro jakieś społeczeństwo katolickie pozna potrzebę ekonomicznego postępu, może protestanckim sprostać, może je nawet przewyższyć, bo nie będzie się swoich naukowych marnować na spekulacje zabierające wiele czasu, zawracające głowy a dochodzące do rezultatów bałamutnych, wątpliwych, albo nawet szkodliwych. Że tak być może, tego dowodem niektóre kraje katolickie, jako to Francya, Belgia, prowincye nadreńskie Niemiec, a nawet północne Włochy i Katalonia, które pod tym względem protestanckim w niczem nie ustępują. Ale na to, żeby tak było, trzeba aby naród zrozumiał, czem jest istotny postęp naukowy, aby sobie ten postęp przywłaszczył, sam nabył dostatecznego wykształcenia do robienia samodzielnych, naukowych odkryć. W Niemczech przywiązują zbyt wielkie znaczenie do wykształcenia teoretycznego, w Anglii lepsze jeszcze osiągnęły rezultaty tem, że kto ma się praktycznemu zawodowi poświęcić, zabiera się bardzo wczesnie do pracy tej, której ma pilnować całe życie, i myśmy raczej Anglików, a nie Niemców naśladować powinni, myśmy więcej powinni dbać o tęgość praktyczną, którą celują Anglicy i Amerykanie, niż o teoretyczne wykształcenie, w którym się prym bezsprzecznie Niemcom należy. Ale teoretyków każdy naród mieć musi, jeśli ma brać udział skuteczny w pracy postępowej nowożytnej ludzkości. Trzeba badać prawa przyrody, aby mózdz przyrodę opanować. I nie tylko sama przyrodnicza nauka przynosi największe rodzajowi ludzkiemu korzyści, należy podobnież badać naturę ludzką i naturę społeczeństwa, zbierać jaknajwiększą ilość faktów dotyczących się tego, jak każdy rodzaj, jak każda postać rzeczy w pewnych okolicznościach się zachowuje. Uprawiajmy pilnie, za przykładem Niemców, Francuzów i Anglików, wszystkie zawodowe nauki, bo inaczej w żadnym zawodzie nie potrafimy nic zdziałać pożytecznego i wkrótce ustąpimy z pośród żyjących narodów.

Zygmunt westchnął:

— Rozumiem. Każda nauka zawodowa jest zdaniem pańskim dla narodu potrzebna, a bez dzielnych zawodowców nie masz dzielnego, nie masz dziś nawet żyjącego narodu. Nie potrzeba tylko ogólnej naukowej syntezy, nie potrzeba myśli przewodniej, któraby wszystkie nauki w organiczną całość powiązała, cele tym naukom wskazała, drogi dla nich zakreśliła, zapowiadała z góry do jakich prawd ostatecznych poznania winniśmy dążyć, jak się każdy człowiek, jak się ludzkość cała zachowywać winny. Wolno się liściom pojedynczym rozwijać, byle z pnia wspólnego nie wyrastały i byle się we

wspólną nie zaokrągliły drzewa koronę. Same niepowiązane ze sobą szczegóły mają być naszą naukową sławą. Ważną jest rzeczą umiejętność obchodzenia się z każdym zawodem, służącym potrzebom człowieka, ale nie potrzeba o tem myśleć, jakie mają być cele człowieka! Nie, panie, mam dla pana największe poważanie, ale muszę oświadczyć stanowczo, że ani rozum, ani sumienie nie zezwolą mi na to, abym się tak zapatrywał na zadania narodowej oświaty! Gdybyśmy za pańskim poszli głosem, mnóstwoby u nas było rzemieślników biegłych; ale ludzi wykształconych, ludzi c a ł y c h, darmoby przyszło w naszym szukać narodzi!

Ująłem Zygmunta za rękę, spojrzałem mu w oczy i zatrzymawszy się przy brzegu rzeki, rzekłem poważnie:

— Właśnie, panie Zyguncie, o to mi chodzi, abyśmy mieli w naszym narodzie ludzi całych, ludzi wszechstronnie a samodzielnie wykształconych. Radbym w panu takiego powitać człowieka, radbym się doczekać obfitych plonów z pańskiej pracy. Dotąd nie wiem, i pan sam napewno nie wiesz, na jakim będziesz pracował polu. Długie, zbyt długie teoretyczne studia, na które naszą młodzież skazujemy i okoliczności, wśród których żyjemy, sprawiają, że nie wiedzą u nas jeszcze młodzi ludzie w pańskim wieku, jakim sposobem będą służyć sobie i społeczeństwu, jakiemu się oddadzą zawodowi? Ale, czy będziesz pan pracował nad wzmoczeniem społecznego dostatku, czy wstąpisz do urzędu—mniejsza o to—będziesz posiadał wykształcenie znaczne i będziesz zawsze ciekaw tego, co się w naukowym i literackim świecie dzieje.

Tu przerwał mi Zigmunt, mówiąc nieśmiało:

— Ja mam wielkie zamiłowanie do nauki, myśl o urzędzie wydaje mi się wstrętną—a czuję, że jestem zbyt niepraktyczny, abym się mógł z powodzeniem wytwórczej jać pracy.

Odpowiedziałem, opuściwszy już rękę Zygmunta i krocząc dalej wzdłuż Arna:

— Potrzeba nam bardzo i to wielu, wykształconych istotnie i poważnie pracowników praktycznych, trzeba nam także pewnej ilości teoretyków. Więc dajmy na to, że się cały poświęcisz nauce! Tu dopiero musisz znaleźć sobie zawód specjalny, w którym przedsięwzięmiesz badania samodzielne. O innych gałęziach nauki będziesz miał wiadomości ogólne, i w tem nie wiele będziesz się różnił od ludzi praktycznych, bo dziś fabrykant albo rolnik muszą być gruntownie obznajomieni z częściami nauki, które się tyczą ich zawodu, a jeśli chcą być, jak pan powiadasz, ludźmi całymi, trzeba, aby wiedzieli jak nauka w ogóle stoi. Otóż każdy sądzi odkrycie naukowe, w swoim zrobione zawodzie, wedle tego, czy podało ludziom wiadomości, na

które się spuścić, do których się zastosować można, nie narażając ani siebie, ani drugich na szkodę, zapewniając owszem i społeczeństwu i jednostkom nowe korzyści. Bywa, że uczony teoretyk oddaje się badaniom, z których praktycznego skutku na razie nie będzie i takie właśnie badania bywają częstokroć dla uczonych najbardziej zajmujące. Wtedy jednak powiem, że nie o domysł chodzi, tylko o pewnik naukowy, istotnie zdobyty, kiedy, zastosowawszy się do wskazówek nauki, będziesz mógł z pewnością oczekiwać skutku przewidzianego z góry. Gdy skutek zawiedzie, wiesz, że twierdzenie naukowe w czemś jeszcze było niedokładne, jeśli nie było przypadkiem ze wszystkim mylne; a rozmaite odkrycia zrazu zupełnie niepraktyczne, doprowadzą kiedyś wreszcie do wielkiej, ale na pewnych podstawach opartej syntezy i wydadzą w życiu narodów skutki obfite. Badaniom nad prężnością gazów zawdzięczamy maszyny parowe, a zrazu wszelkiego praktycznego zastosowania pozbawione badania nad elektrycznością oddały ludziom w ręce oręż, którym niebawem oblicze świata ze wszystkim przemienią. Ale pamiętać należy o tem, że jeśli istotnie zadziwiający postęp został dzięki takim badaniom osiągnięty, to tylko dla tego, że nigdy nie zawierzano domysłowi, póki go skutek nie zatwierdził. Zawodowemu chemikowi nie wpadnie na myśl podjąć się zadań psychiatrii albo geometrii; ale, niestety, widzimy ciągle a z konieczności bałamutne usiłowania, zastosowania praw odkrytych w jednej naukowej specjalności i obowiązujących w pewnym gatunku zjawisk, do zupełnie odmiennych badań naukowych i do odmiennych zagadnień, a co najgorsza, zapanowała w nauce nowożytnej wielce nienaukowa manja tłumaczenia wszystkich zjawisk wszechświata, przyrodniczych zarówno, jak duchowych i społecznych, za pomocą jakiejś jednej naukowej recepty, filozoficznie usposobionego aptekarza, albo drogmistrza. Istotne pewniki chemii nie dadzą się zastosować do mechaniki i na odwrot. Więc tą powszechną receptą, mającą wszystkie wyobrażenia ludzkie przerobić, tą receptą wskutek której mają odtąd zgodnie z życzeniem pańskim, liście kapusty i róży z jednego pnia wyrastać i wspólnie zaokrąglić się w koronę lipy—nie może być nic uchwytnego. Na to się żaden pewnik naukowy nie przyda, do tego może tylko niepewna posłużyć hipoteza, domysł, którego żaden skutek dotąd w tej nawet specjalnej nie potwierdził nauce, w której się począł, domysł, podług którego niktby się nie ważył ani lekarstwa zrobić, ani młyna postawić, ale podług którego umysł niecierpliwy świat przerabia, przecząc wszelkiej religii, wszelkiej moralności, a nawet najoczywistszym skądinąd powodom, aby tylko wszystko na jedno przerobić kopyto. Tym sposobem nie wska-

z tje się bynajmniej celów nauce, lecz bałamuci się tylko narody, niewyrabia się ludzi całych, lecz prowadzi się tylko łatwowiernych na najniebezpieczniejsze manowce. A przed taką, dziś aż nazbyt zwyczajną praktyką, dość silnie pana przestrzedz nie zdołam.

Zygmunt powiedział na to z namysłem:

— Mówiłem już papu, że nie poczuwam się do praktycznych zdolności. Wiem o tem, że nauki matematyczne i przyrodnicze zdobyły dla siebie w ciągu przeszłego wieku pierwszeństwo, a to z tego powodu, że za ich pomocą robią ludzie coraz nowe, coraz bardziej zadziwiające wynalazki, przeistaczające warunki życia ludzkiego i oblicze ziemi, wytwarzające nagle w ręku niektórych ogromne majątki, oddające potęgę i znaczenie w ręce najbardziej przedsiębiorczych. Może właśnie dla tego, że owoce tych nauk są tak namacalne, nie czuję do nich pociągu. Zajmują mnie na prawdę tylko nauki w istocie swojej zupełnie niepraktyczne, w których każdy osiągnięty skutek nie może dowieść prawdy domysłu, nauki historyczne, społeczne i filozoficzne, te które rzucają światło na istotę człowieka i społeczeństw. Staram się znać wyniki przyrodniczych badań, aby mózdz zrozumieć tak doniosłe dziś filozoficzne pisma przyrodników. Zresztą wiem, że bez wiadomości przyrodniczych nie można się dziś oddawać ze skutkiem, ani badaniu duszy ludzkiej, ani socyologii, że bez nich nie można sobie zgoła poglądu na wszechświat wyrobić. Więc czytuję także dzieła przyrodnicze i usiłuję zrozumieć ogólne dziejowe poglądy przyrodników, choć muszę przyznać, że mi nieraz trudno zrozumieć to co czytam o psychofizyce, o hipotezie atomistycznej i o hipotezie powszechnego falowania; bardzo mi to nawet wielką przykrość sprawia, skoro wiem, że te trzy gałęzie nauki na spekulatywną myśl nowożytną największy wpływ wywierają, wzmagając tem samem nauk przyrodniczych przewagę. Nie dość na tem, że to są jedyne nauki, które praktyczne przynoszą korzyści, i to korzyści tak ogromne jak te, na które patrzymy ze wzmagającym się codziem podziwem, ale także teoretyczne myślenie ludzkości ulega ich przemożnemu wpływowi.

Tu wpadłem Zygmuntowi w słowo, wołając:

— I wtedy dopiero, gdy społeczne i filozoficzne nauki ulegają na oślep wpływowi hipotez przyrodniczych nie popartych żadnemi faktami, albo faktami odnoszącemi się do zupełnie innych dziedzin wiedzy, stają się istotnie niepraktycznemi! Gdy zaś bywają rozumnie i naukowo uprawiane—nauki te posiadają doniosłość praktyczną, nierównie większą od wszystkich dyscyplin matematycznych i przyrodniczych. Ważniejszą też jest nauka, jak trzeba się brać do tego, aby człowiek był dzielnym, enotliwym i szczęśliwym, niż jak zbudować maszynę lub strzelbę najdoskonalszą. Ważniejszymi rze-

czami są zgoda społeczna, spokój i zadowolenie różnych warstw ludności, zdrowie i siła narodu, niżeli konstrukcyja mostów i kanałów. Wszystkie zdobycze techniki mają o tyle tylko wartość istotną, o ile kto je potrafi zastosować umiejętnie do potrzeb człowieka i społeczeństwa ludzkiego. W ręku ludzi pozbawionych humanistycznego, a zatem także filozoficznego wykształcenia—jeśli słowo filozofia ma jakiegokolwiek poważne znaczenie—wszystkie te wynalazki wyjdą tylko na szkodę i na straszliwą zgubę ludzkości. Więc nie może być ważniejszego praktycznie zadania, jak badanie tych dziedzin wiedzy, którym pan, jak się zdaje, chcesz się poświęcić. Społeczeństwo składające się z samych przyrodników i techników, któreby nie posiadało nauki o społeczeństwie i o naturze ludzkiej i przekonań zgodnych z wynikami tej nauki, byłoby kupą barbarzyńców, której na nieszczęście oddano w ręce najstraszliwszej skuteczności narzędzie, tak jak dziecku ogień albo nóż; takie społeczeństwo wnet podpali dach nad własną głową, albo popełni samobójstwo. Tylko, chodzi o to, aby badanie natury człowieka i społeczeństwa było poważne. Bardzo wiele prawią dziś o przystosowaniu metod przyrodniczych do nauk humanitarnych, a czem więcej o tem prawią, tem bardziej oddalają się wszędzie, a może najbardziej w Niemczech, od tych metod obowiązujących dla każdej nauki, którym nauki przyrodnicze zawdzięczają swoje zadziwiające postępy. Eksperymentów na ludziach i społeczeństwach robić się nie godzi i dla tego uprawa nauk humanistycznych jest trudniejszą, postępy ich są powolniejsze. Ale to wcale nie uprawnia do wymyślania hipotez na chybił trafił, jak to dziś robią powszechnie. Miejsce eksperymentu powinna zająć obserwacyja sumienna, zdawanie sobie sprawy z tego, jak się ludzie zwykli w pewnych, coraz ściślej określonych okolicznościach, zachowywać. Że nikt sam wszystkiego doświadczyć nie może, musi nieraz wiarogodne świadectwo, osobiste zastąpić doświadczenie, a historia krytycznie rozważona mnóstwo takich świadectw nam o pojedynczych ludziach podaje, sama jedna może nas pouczyć o mnogich doświadczeniach społecznych. Możemy, nagromadziwszy dostateczną sumę wiadomości, rozróżnić zjawiska dotyczące się rozwoju człowieka i społeczeństwa, od zjawisk które mam ochotę nazwać statycznymi i które powtarzają się regularnie u ludzi i społeczeństw wogóle, albo u ludzi i społeczeństw pozostających w pewnej fazie rozwoju. Społeczne zjawiska statyczne dają się prawie zawsze wytłómaczyć prawami stanowiącymi o postępowaniu pojedynczych ludzi. Można zatem z góry przewidzieć, jak się społeczeństwo w danych okolicznościach zachowa, choćby to były okoliczności od innych historycznych różne, wnioskując na podstawie znajomości natury ludzkiej. Wnioski te tylko dlatego nie posiadają

zupelnej mechanicznej pewności, ponieważ prawa rozwoju społecznego nie są nam dokładnie znane, a konieczne dojrzewanie albo znikanie narodów, konieczne dojrzewanie rodzaju ludzkiego, mogą spowodować zjawiska niespodziewane, pokrzyżować najmędrszą rachubę polityka, realisty. Zadaniem nauki jest zatem takie badanie praw rozwoju pojedynczych narodów i całej ludzkości. O ile chodzi o wzrost i upadek narodów, nagromadziła historia tyle już wiadomości, że odnośne prawa są już w wielkiej mierze znane; zjawiska przy rozwoju i zaniku narodowym dają się ponajwiększej części wytłómaczyć prawami natury ludzkiej, ale pozostaje zawsze reszta, pozostają zajścia zupełnie niespodziane, wypadek rozstrzygający o losie bitwy stanowczej, wymarcie dynastyi, zjawienie się wielkich ludzi, nagłe pomnożenie się plemienia, albo wymieranie tegoż, które jedni przypisują działaniu Opatrzności, a drudzy ślepemu przypadkowi. Mówiłem już panu wczoraj, w wagonie, dlaczego ja w tem wszystkiem spełnienia zamiaru Opatrzności dopatrywać się muszę, skoro z tych wszystkich przypadków wynika postęp rodzaju ludzkiego, dokonywający się ustawicznie i dążący do wytworzenia stanu rzeczy jaknajdoskonalszego. Tu bywa znowu poważnej nauki zadaniem rozpatrzenie tego, jak się ten postęp dotąd zwykł był dokonywać, a na podstawie powszechnego prawa analogii, wolno nam, z małą szansą błędu, przypuszczać, że podobne znaki, podobny a zawsze ku lepszemu skierowany zwrot spowodują. Fatalizmowi optymistycznemu albo pesymistycznemu nam się jednak z tego powodu oddawać nie wolno, bo historia uczy nas również, że pomyślne, albo nieszczęśliwe zwroty w dziejach narodów nigdy nie zachodzą bez tych narodów świadomego współdziałania, bez ich zasługi, lub winy. Nie myślę wykładać na przechadzce całej metodologii naukowej, którą pan zresztą sam sobie łatwo uzupełnisz, za pomocą swoich wiadomości. Ale wracam z naciskiem do twierdzenia, że nauki humanistyczne są ważniejszymi od przyrodniczych, w tej samej mierze, w jakiej są od nich trudniejszymi; że praktyczna ich doniosłość góruje niezmiernie nad doniosłością matematyki, fizyki, chemii a nawet biologii. Ale chcąc te nauki dobrze uprawiać, nie wolno praktycznego celu tracić z oczu, trzeba o tem pamiętać ustawicznie, że nauka tyle warta, ile się przyczyni do uszczęśliwienia człowieka albo narodu. Zadaniem nauk humanistycznych jest tedy badać, w jakich okolicznościach człowiek, albo naród, czuje się szczęśliwy, kiedy bywa niezadowolony albo wprost udręczony, jakich środków trzeba używać, aby od nich nieszczęście odwrócić, aby im największą możliwie miarę szczęścia zapewnić?

Gdym skończył mówić, widać było po Zygmuncie, że mój wywód wcale go nie zadowolił. Milczał czas dłuższy, poświstując, jak

to zwykł czynić człowiek zadumany. Odezwał się wreszcie w te słowa:

— Pan wszystko na praktyczne obracasz cele. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że pan uwłaczasz tym sposobem nauce.

— Czy pan wypadkiem chcesz, aby nauka była zabawką tylko, nie wiodącą do żadnego celu?

— Niel — zawołał Zygmunt — w ten sposób nauce bluźnić nie myślę, abym ją miał przezywać zabawką. Nauka nie wydaje mi się czemś niższem od zajęć praktycznych, tylko czemś nierównie wyższem. Kto naukę godzien uprawiać, dla tego sama powinna być celem. Nauka jest rodzajem religii, jest świętością, a kto jej nie uprawia bez celów ubocznych, nie godzien być jej kapłanem, nie godzien progu świątyni przestąpić. Śmieszna bywa mama, która córkom zaleca różne nauki, mówiąc, że potrzeba, aby umiały w towarzystwie rozmawiać; głupim jest student, który mniema że się uczy na to tylko, aby zdać egzamin; pożałowania godny jest profesor, który swoją naukę tylko dla chleba uprawia. Trudno z tymi ludźmi porównać uczonego, uprawiającego naukę na to, aby się przysłużyć społeczeństwu albo bliźnim; ale jednak, zdaje mi się, że i ten uboczny cel, mimo całej swojej wartości moralnej, jakąś makułę na uczonym pozostawi, sprawi, że nauka mniej dlań będzie łaskawą. Rzekłem już, że dla mnie nauka jest rodzajem religii, której winienem się poświęcić, nie pytając się dla czego? Potrzebą ducha mojego jest wzbić się ponad wszelkie rzemiosło, jakkolwiekby się nazywało, śladem wielkich myślicieli Niemiec, w eter najwyższej spekulacji i poglądów obejmujących całość życia i istnienia. Niegdyś bujali transcendentalni filozofowie po wyżynach myśli, nie uwzględniając wiedzy na doświadczeniu opartej i to sprawiło, że się ich spekulacje tak dziwnie szybko przestarzały, że poszły dziś już prawie w zapomnienie. Taka nauka, jaką pan polecasz, cała oparta na niezawodnym doświadczeniu, niezmiernie ostrożna, a mająca zawsze na oku skutek praktyczny, nie zostanie zapewne zaniechaną, a jej wyników nie wyprą się przyszłe pokolenia. Mimo to pozostanie jakąś nauką połowiczną, kawalkiem drogi niczem niezakończonym; braknie jej wyższego namaszczenia, umysłów z wyższym połotem pociągać nie będzie. Dzisiaj zaniechano w Niemczech prawie zupełnie dawnych zdawkowych spekulacji, ale za pomocą danych, zaczerpniętych z przyrodniczych nauk, stawia duch niemiecki znówu wielkie budowy, w których się mieści cała wiedza ludzka i które umysłowi najwyższe sprawiają zadowolenie.

Podjąłem znowu:

— I pan chcesz takie stawiać budowy? Ja panu tego nie bronię, choć przestrzegam, że nasze społeczeństwo mało uwagi na pańskie zwróci pomysły. Spogląda ono niechętnie na niemieckie spekulacje i słabe tychże polskie naśladowanie i zasłużyło wskutek tego — mojem zdaniem niesłusznie — na nazwę społeczeństwa pozbawionego wszelkich zawiązków zmysłu filozoficznego. A tymczasem ta obojętność jest dowodem umysłowego zdrowia, którego gadanie niepraktyczne a nie podające pokarmu wyobraźni, zająć nie może. Niech ktoś swoją spekulację zwróci ku zagadnieniom, które na losy tego społeczeństwa wpłynąć mogą, a zaraz znajdzie czytelników i zwolenników zapalonych. I to mojem zdaniem dobra wróżba dla przyszłego rozwoju myśli polskiej, która, rozpoczynając i kończąc na moralnych lub społecznych a zatem postępowych zagadnieniach, nie popełni tego błędu, który pana zachwyca, nie będzie chciała życia ludzi i społeczeństw z przyrodniczego wyprowadzić domysłu, jakim jest naprzykład wpływ przemożny rasy na losy narodów, myśl ludzką wyprowadzi może z błędnego koła, w którym się obecnie obraca. Jeśli pan chcesz tak uprawiać naukę, jak się sztukę uprawia, nie bronię panu tego i owszem chwalebę, bo ten tylko stanie się pożytecznym pracownikiem naukowym, kto swą naukę ukocha i kto w badaniu swoim dozna umysłowej rozkoszy. Ale przestrzegam znowu, że także filozoficznej spekulacji praktycznych względów z oka tracić nie wolno. Może swoich zwolenników pokrzepić i uszlachetnić na duchu, rzucić w społeczeństwo hasła, które to społeczeństwo podźwigną, a wtedy bywa pożyteczną i zbawienną — choć zapewne chwilowo równego nie otrzyma rozgłosu, skoro będzie się z konieczności opierała na podstawach pradawnych, na zasadach, bez których żadne społeczeństwo żyć nie może i które zatem każdemu społeczeństwu są znane. Ale ta spekulacja pańska, gdy zboczy na niebezpieczne manowce, gdy uniesiona śmiałością zuchwałej myśli, albo zamiłowaniem w krytyce dla krytyki, zaprzeczy właśnie tym zasadniczym prawdom, narobi więcej złego od szarańczy, od morowego powietrza, albo od najazdu dziczy, sprowadzi powszechne jednostek zwyrodnienie, usposobienie ludzi, w którym wszyscy muszą być nieszczęśliwi a nareszcie powolny zgon narodu, wymierającego wśród gnuśnego samolubstwa, jak dawni Rzymianie za czasów cesarstwa, albo straszliwe narodowe samobójstwo, na które się może zanosi u dwóch wielkich szlachetnych, niezmiernie zasłużonych narodów, jakimi są Niemcy i Francuzi, którzy zawikławszy się w spekulacyjne paradoksa, chcąc nie chcąc, praktyczne z nich dobywają wyniki. We Francyi zawiązała się liga francuskiej ojczyzny, należą do niej najzdolniejsi pisarze i najdzielniejsi myśliciele fran-

cusczy, a ta liga postawiła sobie zadanie zwalczania groźnych paradoksów, bronięcia prawd koniecznych. W Niemczech, część katolicka narodu poczuła się wreszcie do duchowej samodzielności, zorganizowała się naukowo i toczy walkę z tem, co życie społeczne podkopać musi, przeciwstawiając hasłom przewrotu i materyalizmu hasła chrześcijańskiej demokracji i prawdziwego duchowego postępu. Więc być może, że te dwa wielkie i szlachetne narody zło u siebie przezwyciężą, dalej kwitnąć będą, ku powszechnemu ludzkości pożytkowi. Ale kto u nas filozofię chce uprawiać, ten winien się bacznie wystrzeżać wszystkiego, coby naród mogło pozbawić tych moralnych i religijnych przekonań, które mu siły dodają. Godziwą u nas jest spekulacja taka tylko, która prawdy zbawienne dla narodu utwierdza, oczyszcza, doskonali ich zrozumienie. Bo nam zaiste sił marnować nie wolno!

— Więc — rzekł Zygmunt — zdaniem pańskim nauka zawsze i nieodmiennie praktyczne ma cele, do praktycznych względów stosować się winna; nie wolno jej nigdy swoim własnym być celem, a nasza wiedza powinna zawsze dążyć do rezultatów, leżących poza zakresem teorii. Zwłaszcza w naszym położeniu nie wolno nam pozwalać sobie zbytku uprawiania nauki dla samej tylko nauki. Duch ma być zawsze skrępowany względami na skutek, na poziomą rzeczywistość. Jeśli chce zażyć swobody, jeśli chce swoich sił użyć w pełni niczem nie skrępowanej, musi się uciec do sztuki — której istotą jest niepraktyczność.

— Znowu — odparłem — nie zrozumiałeś mnie pan, a może to raczej ja jeszcze niewypowiedziałem tego wszystkiego w czem się nie zgadzam z wyobrażeniami dziś rozpowszechnionemi, a wsiąkającemi do nas głównie przez sito niemieckie. I sztuce nie pozwolę być niepraktyczną, w sposób którego się pan domagasz, a na hasło obwołujące sztukę dla sztuki zgodzę się, pod temi samemi tylko warunkami i z temi samemi zastrzeżeniami, jak na hasło, żądające nauki dla nauki. Obydwa te hasła mają swoje uprawnienie, ale to uprawnienie wcale nie zwalnia ani nauki ani sztuki od ustawicznego oglądania się na skutki praktyczne, które jedna i druga wyrzucić mogą. Znam wielu ludzi poważnych, którzy są tego samego zdania co nasza pani profesorowa i uprawianie sztuki, pod jakąkolwiek postacią, uważają za rzecz niebezpieczną, tak dla jednostek jak i dla społeczeństwa, którzy głoszą, że uprawianie sztuki jest już dowodem narodowego upadku. Na takie zdanie się nie piszę, a świadczę się całą historią, że każdy naród cywilizowany wydawał arcydzieła właśnie w czasie, w którym był w pełni sił swoich i u szczytu swego rozwoju, że naród który żadnych jeszcze nie miał wielkich artystów, a zwłaszcza wiel-

kich poetów, nie był nigdy cywilizowanym narodem, a może nawet nie był nigdy narodem, lecz był tylko ludem. Istnienie narodowej sztuki a zwłaszcza narodowej poezji, jest warunkiem niezbędnym życia narodowego, pełń tego życia wzmaga się wraz z rozkwitem i ze wzrastającą wielostronnością sztuki narodowej, a upadek sztuki jest dowodem poczynającego się sił narodowych zaniku. Ta rola sztuki w życiu narodów, nadaje jej już niepospolite znaczenie praktyczne i każe sztuką nie gardzić. A jednak, gdy spojrzę w około na rzeczy coraz częściej mianem sztuki w nowożytnym świecie chrzeczne, pojmuję, że poważni ludzie mogą się przed sztuką żegnać jakby przed złym duchem, wiodącym narody na najgorsze pokuszenie, że wołając „Zbaw nas ode złego!“ proszą Boga o to, aby nas od takiej sztuki ochronić raczył. Sztuka nie tylko jest godziwą, ale jest zbawienną, a dla życia społeczeństw oświeconych wprost niezbędną, gdy doskonałością formy wyrabia w ludziach smak, sąd i uwagę, gdy jasnością myśli i bogactwem treści ćwiczy rozum, któremu obfity daje pokarm a prócz tego uzmysławia to czem być powinny czem są w myśli twórczego rozumu, rzeczy, których zmysły nasze nigdy w doskonałej pełni na ziemi dostrzedz nie mogą. Sztuka jest rzeczą nieocenioną, gdy nas odrywa od myśli samolubnych, gdy, ucisza burzę naszych namiętności, gdy pobudza do miłości i gdy zapał wznieca potężny, a nie skuteczniej od sztuki nie może w naród idealów zbawiennych zaszczerpić, nie może narodu na przeznaczone dlań sprowadzić koleje. Ale zdrożnością, ohydą i grzechem śmiertelnym jest sztuka tych narodów, których rozumek pyszałkowaty pozabawił wiary w Opatrzność i w porządek nadprzyrodzony, wyższy nad nasze uprzykrzone, powszednie samolubstwo. Tak zwany artysta własną nikczemnością zaraża wszystkich i staje się niebezpieczniejszym od psa wściekłego, odzwyczajają społeczeństwo od jasnej myśli niejasnością straszliwą utworów usypiających na podobieństwo morfiny, potępia rozum, poniewiera rozumem, aby wynieść na stolicę coś, co przeżywa czasem uczuciem, a teraz w sposób — przyznaję właściwszy — nastrojem, to jest zamiast miłości, męstwa i zapału, chaos pragnień nienasyconych, smutków nieokreślonych i zwierzęcych, zmysłowych chuci. Ja także nauce nie odmawiam znaczenia niezawisłego od osiągnięcia zewnętrznych skutków. Owszem, nabywanie wiedzy uważam za cel sam w sobie człowieka doskonalący, byle o istotną wiedzę chodziło, a nie o urojenia. Ale sztuka narodowa o tyle jest niezbędniejszą społeczeństwu od samodzielnej narodowej nauki, o ile nauka dopomaga bezpośrednio tylko rozwojowi intelektu a sztuka doskonalą od razu wszystkie potęgi ducha, nie tylko rozum, ale także uczucie i wolę. W tej samej jednak mierze, w jakiej sztuka jest pię-

kniejszą. w tym stosunku, w jakim prawdziwa sztuka jest dzielniejszą oł nauki wychowawczynią pokoleń, o tyle sztuka zmysłowa i bezmyślna, osłabiająca wolę a rozkapruszająca ku samolubstwu namyślnie skłonięte uczucia, jest rzeczą najzgubniejszą, jaką sobie człowiek wyobrazić może.

Opuściliśmy teraz Lung Arno i szliśmy na *Via Tornabuoni*, dążąc powoli ku kościołowi świętego Wawrzyńca, chcieliśmy bowiem obejrzeć grobowce Medyceuszów, wykonane przez Michała Anioła w Nowej Zakrystyi, przy tym kościele. Zygmuntowi wywody moje wcale nie przypadły do smaku, bo sprzeciwiały się zanadto nabytym przyzwyczajeniom jego myśli i twierdzeniom rozpowszechnionym, którym wielu nadaje dziś aksjomatyczną wartość, głosząc, że są rzeczywiste i nie dopuszczając przeto dyskusyi o ich znaczeniu i walorze. Gdy kto słyszy zdania sprzeciwiające się fundamentom, na których dźwignął cały gmach swoich przekonań, nie umie przytoczyć argumentów przeciwnych, nie umie także własnych przekonań uzasadnić, skoro przyjął je na wiarę i nigdy o to się nie spytał, co te nauki niby oczywiste istotnie znaczą, a tem mniej nie szukał dowodów na poparcie rzeczy głównych tak stanowczo, że mu się aż wydały oczywistemi, że mu się wydały nietykalnemi dogmatami, o których wątpić, o których rację się pytać jest zawstydzającym głupstwem, jeśli nie grzechem i świętokradztwem. Mógł tedy Zygmunt taką tylko mi przeciwstawić objekcyę, w formie zapytania:

— A gdzie się podzieją piękność i prawda, gdy badanie naukowe i twórczość artystyczną skrępujemy względem na pożytek społeczny i na moralne zdrowie jednostki? Sztuka zamieni się w rzemiosło, policyjne pełniące przysługi, a doświadczenie dziejowe świadczy temu stanowczo, że oficjalna sztuka, wysługująca się tendencyom rządowym, była zawsze martwą i bezduszną.

O odpowiedź nie było mi trudno, więc rzekłem:

— Pytasz się pan gdzie się podzieje piękność, kiedy się sztuce nie pozwoli natury ludzkiej koszlawić? Wtedy dopiero będzie sztuka piękną! Jeśli pan się domagasz dla sztuki wolności mącenia rozumów, osłabienia woli i koszlawienia uczuć, żądasz pan poprostu aby sztuce i poezyi wolno było być brzydkiem. Może się komu podobać haszysz albo morfina, ale ani haszysz, ani morfina nie staną się przez to zdrowym, ani istotnie smacznym pokarmem. Tak samo może się ludziom albo pokoleniom całym podobać dziwactwo ogłupiające, albo rozstrajające umysł i uczucie, ale takie dziwactwo nie będzie przeto pięknem, nie przestanie owszem być rzeczą brzydką. Słowo „piękność“ ma dwa znaczenia, jedno ściślejse a drugie szersze, pokrewne jednak z sobą. W ściślejsem znaczeniu pojęcia odróżniamy piękność

od innych rzeczy budzących upodobanie, przeciwstawiamy to co piękne, temu co wzruszające albo wzniosłe, nawet temu co zajmujące, malownicze albo przejrzyste ładem, a tem bardziej temu, co się jedynie dla tego tylko podoba, ponieważ dogadza zmysłem albo zmysłowej wyobraźni, a wtedy piękną jest rzecz, która jest taką, jaką być powinna, gdyby wśród warunków najkorzystniejszych, najdoskonalszego dostąpiła rozwoju. Proszę sobie przypomnieć piękne drzewo, pięknego konia lub człowieka, piękny obraz albo piękny poemat a zrozumiesz pan od razu to, co wypowiadam. Zresztą pisałem o tem obszernie i niedawno w rozprawie, zatytułowanej „Rzecz o uczuciach ludzkich“, która wyszła osobno we Lwowie i do której pana odsyłam. Domagając się jednak piękności od dzieła sztuki, mamy na myśli obszerniejsze tego pojęcia znaczenie i nazywamy piękną rzecz każdą, która jest zdolną wzbudzić w umyśle naszym myśli, uczucia i zamiary, takie, jakie być powinny, a zatem piękne. Taka tylko sztuka zasługuje na podziw, i bywa podziwianą przez wszystkie pokolenia, a sztuka, pochlebiająca jakiemuś spaczeniu rozumowemu lub uczuciowemu, może się podobać chwilowo, zapomocą sztucznej reklamy, może się przez czas jakiś ogromnem cieszyć powodzeniem, ale jeśli nie posiada zalet istotnie pięknych, pójdzie niebawem w zapomnienie. Nie żądam bynajmniej od sztuki, aby była tendencyjną. To jej wolno, ale pod tym jedynie warunkiem, aby sama tendencya była piękną. Jako przykład sztuki tendencyjnej, przytoczę całe niezrównane malarstwo i rzeźbiarstwo renesansu włoskiego, które we wszystkich prawie swoich głównych arcydziełach służyło prawdzie religijnej. Biorąc rzecz ogółem, tendencyjność bywa raczej dla sztuki niebezpieczeństwem, czyni ją służebnicą jakiejś rządowej pychy, albo politycznych namiętności, i skazuje ją tem samem na brzydotę. Ale sztuką wielką jest tylko sztuka, która uczy myśleć jasno i czuć szlachetnie. Do takiego tylko celu dążyli — nieświadomie czy świadomie — nieśmiertelni mistrze, których cała ludzkość podziwia, tacy naprzykład poeci, jak Homer, Sofokles i Szekspir. A proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie myślę bynajmniej, aby ci poeci mieli zamiar pisania utworów dydaktycznych, chcieli jedynie stworzyć rzeczy piękne, a pięknymi mogły ich utwory być wtedy tylko, kiedy ćwiczyły rozum, podnosiły i doskonaliły uczucie i wolę. Pani Roza obeszła się kiedyś tu niemiłosiernie z Goethem, a lubo mi się zdaje, że poszła w krytyce swojej zadaleko, nie da się zaprzeczyć, że Goethe nie umie wstrząsać uczuciem że przez swój bezwzględny brak moralności może razić, a stoi niżej od takiego naprzykład Szekspira, który nie umiał nie być moralnym — a co najwięcej, bywał i to bardzo nieprzyzwoitym. Ale Goethe mimo to posiada wartość wieczystą, bo potężnie działa na rozum, nie tylko

doskonałością swojego twórczego języka i wiersza nieraz niezrównanego, ale jasnością obrazów brzemiennych w myśl głęboką. Taką samą jasnością myśli, rozumem takim samym podziwu godnym, jaśnieje nasz Mickiewicz, a wyższym jest od Goethego, bo nie samemu tylko rozumowi podaje strawę, wzrusza także szlachetnie, roznieca w piersi miłość potężną, hartuje wolę chrześcijańską wiarą w Opatrzność Bożą wszechmocną, niezglębioną, ale zawsze pełną miłosierdzia.

Zygmunt spojrział na mnie teraz takim wzrokiem, jakby mu coś było do przekonania trafiło, jakby był dostrzegł poraz pierwszy prawdę oczywistą, a dotąd przed jego wzrokiem zakrytą; nie przyznał mi jednak racji, a rzekł tylko:

— Dałeś mi pan odpowiedź co do piękności. Ale proszę mi powiedzieć czy nauka tendencyjna, mająca wyłącznie na celu udoskonalenie i uszlachetnienie ludzi, może dojść do poznania prawdy, istniejącej bez względu na nasze potrzeby i nasze życzenia? Pan przecie temu nie zaprzeczysz, że powinnością człowieka jest szukać prawdy, a że niegodną rzeczą wmawiać w siebie, iż coś jest prawdą, dla tego, że takie nam zapatrywanie dogadza, zamykać zaś oczy przed przykrą dla nas oczywistością.

— To ostatnie pańskie zdanie podpisuję oburącz. Ale mam ochotę zabawić się w Ponckiego Piłata i spytać się pana o to, co to jest prawda? Wiem, że pan mi na to pytanie żadnej pewnej, stanowczej nie dasz odpowiedzi, że darmoby ktoś we wszystkich dziełach nowożytnych myślicieli takiej odpowiedzi szukał. A jednak odpowiedź leży na dłoni. Prawdą jest to, co się sprawdza. Prawda ma wyłącznie praktyczne znaczenie, daje wskazówkę, jak należy postępować, chcąc pewien skutek osiągnąć, albo pewnego skutku uniknąć. Nieprawdą, omyłką albo błędnem przekonaniem jest to, czemu zawierzemy, własnem postępowaniem swoje udaremnimy zamiary. Prawdą jest, że Rzym leży na południowy wschód od Florencyi, a nieprawdą, żeby na północ od niej leżał, bo jak pójdziesz, czy pojedziesz stąd na południowy wschód, możesz dotrzeć do Rzymu, a zwróciwszy się na północ, do Rzymu na żaden sposób nie trafisz. Prawdą jest, że ogień pali, nieprawdą aby ciała w swoim wnętrzu przechowywał, bo gdy polano do ognia wielkiego włożysz, spłonie i zamieni się w popiół, a gdy drogą pamiątkę włożysz do ognia, celem jej pewniejszego przechowania, będziesz głupcem, postąpisz w sposób niegodny człowieka, jak każdy, który bezwzględnie i szczerze prawdy nie szuka i do niej się zastosować nie chce. Prawdą są prawa mechaniki niebieskiej przez Kopernika i Newtona odkryte, ponieważ chcąc jaką pla-

netę znaleźć, musisz jej szukać na tem miejscu, na którem wedle tych praw być powinna. I tam planetę znajdziesz istotnie, na każdym innym miejscu szukałbyś jej daremnie. Prawdą jest wreszcie to, że Juliusz Cezar władzę cesarską w Rzymie ustanowił, bo badając późniejsze od Cezara dzieje, szukając starożytności, czytując autorów, a nawet rozpatrując się po świecie dzisiejszym, spotkasz się z mnóstwem rzeczy, które tylko wskutek tego czynu Cezarowego powstać mogły, nie takiego nie znajdziesz, co by z następstwami tego czynu mogło być w sprzeczności. Więc powtarzam z naciskiem, człowiek i naród prawdy szukać, do prawdy się stosować powinni, bo inaczej przepadną z kretesem, szczęścia chwili nie zażyją, siłę potrzebną do życia postradają, staną się pastwą gnuśnych albo rozpasanych namiętności i wreszcie zginąć muszą. Więc w dziedzinie spekulacji, której pan chcesz się poświęcić, są prawdy polityczne i społeczne, do których społeczeństwo musi się stosować, jeśli się nie chce rozpaść, albo jeśli nie chce się stać pastwą nieprzyjaciół, i do których jednostka ludzka powinna się stosować, nie chcąc się na najcięższe klęski i zawody narazić. Niema rzeczy niedorzeczniejszej, jak nie chcieć tych prawd dostrzedz, dla widzimisie, dla wygody, albo dla dogodzenia zastarzałym nałogom. Dla tego, że Rzeczpospolita polska nie chciała w osiemnastym wieku tej oczywistej znać prawdy, iż państwo aby się ostać, musi mieć rząd silny, wykonywający ustanowione prawo, a prócz tego wojsko, skarb bogaty i dyplomacyę, musiała Rzeczpospolita z własnej runąć winy. Ilekroć Irlandczycy nie chcą widzieć tej prawdy, że w walce orężnej z Anglią muszą uleść, i taką wznawiają walkę, spadają na Irlandyę nowe klęski, z winy umyślnych zaślepieńców; ilekroć człowiekowi zdaje się, że jest silniejszym od całego społeczeństwa, i ilekroć się ten człowiek wskutek tego jawnie ustawom obowiązującym sprzeciwia, sam sobie jest winien, jeśli się dostanie do więzienia, albo na szubienicę. Tak samo okłamuje się człowiek, który przecząc Bogu, a zatem rządowi jakiegokolwiek Opatrzności, czy to na tym, czy na tamtym świecie, wmówi w siebie, za pomocą pozornych dowodów, że względ na własną, ziemską pomyślność, albo też posłuszeństwo dla przyrodzonych uczuć wystarczą, aby go uczynić moralnym, a przynajmniej porządnym, honorowym i szczęśliwym człowiekiem. Taki człowiek nie wyciąga częstokroć wniosków praktycznych ze swoich teoretycznych przekonań, a tem samem dowodzi, że istotnie w to nie wierzy, co twierdzi, co w siebie wmawia, albo że przynajmniej przypuszczając możność prawd przeciwnych, sądzi, iż rzeczą bezpieczniejszą do nich się stosować. Ale jeśli zawierzy istotnie swoim niby rozumowym dowodzeniom, jeśli ze sceptycznej niepewności przyjdzie do przekonania, że nie

masz Boga, ani życia pośmiertnego, ani moralności, mającej na celu coś innego nad dogodzenie swojemu samolubstwu, oszuka się srodze; albo będzie niespokojnie szperał w swoich uczuciach, póty, póki duszy swojej do najsrozszej nie doprowadzi rozterki, albo, mając bardziej na zewnątrz zwrócone usposobienie, będzie się starał osiągnąć bogactwo, wygodę, władzę albo sławę, nie przebierając w środkach, a skoro celu jakiego dopnie, wzmoże swoje troski, bo nowego będzie pragnął nabytku, a będzie się lękał utraty tego co już posiadał. Wśród powodzenia nigdy spokoju nie dozna, nie dozna szlachetniejszej rozkoszy, a gdy go nieuniknione spotka niepowodzenie, będzie ginął w marnej a gniewliwej rozpacz. Jeszcze bardziej i srożej ten sam siebie okłamuje, kto na prawdę uwierzy sofistom, twierdzącym, wbrew rzeczywistości, że człowiek nie posiada wolnej woli, że każdy jego czyn, każda jego myśl jest wynikiem ślepej fizykalnej konieczności. Człowiek, który w to naprawdę uwierzy, a nie poprzestanie na twierdzeniach słownych, którym własne zaprzeczają postęпки, przestanie walczyć ze swojemi namiętnościami, da się każdej unieść chuci, da się każdym złamać zniechęceniom, stanie się nikczemnikiem niezdolnym wreszcie do rozumnego działania, najnieszczęśliwszą ślepych losów igraszką—przestanie być człowiekiem, a nie umiając być ani rzeczą martwą, ani bezmyślnem bydlęciem, istotnie przejdzie za życia przez piekło, ale przez piekło prawdziwe, beznadziejne. I człowiek i naród okłamują się niegodziwie, pędzą na oślep na własną zgubę, naśladowając ćmę nocną, która do płomienia wpada, jeśli spodziewają się cudu z niebios, zrobionego umyślnie dla ich wygody, jeśli siebie mają za osobnych wybrańców Bożych, czy to wśród zawrotnego szczęścia, czy to wśród ciężkiej próby, zapominając o tem, że są prawa niezmiennne, które rozstrzygają o losie wypadków i że rozum na to jest nam dany, abyśmy się do tych praw stosować umieli; kuszając Boga, uwłaczają rozumowi, czynią rzeczy jawnie nierozsądne, oczekując niemożliwego cudu, sprawionego przez wszechmoc Bożą, w nedorzecznym celu dogodzenia osobistej albo narodowej namiętności i wykazania, że ludziom nie potrzeba ani rozumu, ani badania prawdy. Nie lepszymi jednak od takich zaślepieńców, wzywających imię Pańskie za darmo, niby mistycznie nabożnych, a w istocie ubóstwiających tylko samych siebie, są narody tak strasznie trzeźwe i rozumne, że podobnie jak ów samolub, o którym pierwiej mówiłem, przestaną wierzyć w konieczne religijne prawdy, a ubóstwiając sofistykę, którą nauką przezwali, każą każdemu wierzyć w to, w co się jemu wierzyć podoba. W taki stan zwykły popadną narody, które dojdą do szczytu oświaty i potęgi, a stracą wśród wygody zmysł rzeczywistości, świadomość osobistej odpowiedzialności. Musi u takiego narodu powstać

Babel zdań przeciwnych a nie rozumiejących się nawzajem, musi się zerwać straszliwa zawierucha bezwzględnych zwalczających się samolubstw, musi zamrzeć chęć do życia, ustawicznymi okupionego ofiarami; więc potęga runie, cywilizacya zmarnieje a sam naród, w którym nikt już nie zechce podjąć się trudów, połączonych z założeniem rodziny, wymrze. Tak zginęły już w starożytności Hellada i Rzym, a nie wiele różnemu losowi uległy świetne za renesansu Włochy; dziś wydawać się może czasem, iż taki sam los grozi całej zachodniej cywilizacyi. Ale wbrew zaprzeczeniom wszystkich na świecie sofistów, Opatrzność istnieje i wie dzie rodzaj ludzki do coraz doskonalszych przeznaczeń. Zawsze sprawiała i znów niezawodnie sprawi, że obok tych, którzy stanąwszy u szczytu potęgi, samochcący lecą w przepaść zapoznając wieczne a najważniejsze prawdy, pozostaną narody albo stany dotąd pomyślnością i wygodą nie zepsute, społeczeństwa młodsze, które dotąd nie wypowiedziały w dziejach stanowczego słowa, narody, które wolną mają wolę. Więc jeśli jakie młode społeczeństwo ulegnie świetnej pokusie, przejrzałych posłucha przykładu, zginie przed czasem i śladu po sobie w dziejach nie pozostawi. Ale znajdują się zawsze tacy, którzy posiadają wolę uporczywą i wiarę silną, rozumu zamącić nie dadzą, miłości w sobie nie zgaszają, nie przelekną się ani ofiar, ani długiej, skromnej, cierpkiej pracy. Tych nie minie nagroda, staną na czele dziejów, poprowadzą ludzkość do wyższej, doskonalszej cywilizacyi. Zadaniem spadkobierców doby dzisiejszej będzie zbudować nowy a wspanialszy od dawnych gmach ideału, kościół Boży a przybytek miłości bliźniego, z olbrzymiego materiału wiedzy i wynalazków technicznych, nagromadzonych w dzisiejszej dobie. Nie wiem komu przeznaczono być robotnikami przyszłości, ale wiem, że obowiązkiem każdego narodu, każdego społeczeństwa, które o swoim jutrze myśli, wszystkie czynić wysiłki, aby zachowawszy wiarę i nabywszy rozumu i cnoty, ile się dało, przysposobić się do ujęcia dziejowego spadku.

Zygmunta zajęła teraz moja mowa widocznie. Wysłuchawszy mnie rzekł:

— Sądzę, że pana zrozumiał. Ale pozwól pan, abym jedno jeszcze postawił pytanie, w którym może mieści się najistotniejsza treść tego, o czem rozprawiamy. Prawdą, powiadasz pan, jest to, co się sprawdza — i lepszego chyba nie znajdę określenia tej przynajmniej prawdy, o którą przy dociekaniach naukowych chodzi. Dowodzisz pan prawdy tradycyjnych religijnych przekonań, błogosławionym ich skutkiem dla jednostek i narodów, a temu skutkowi nie przeczę. Rozwojem organizmów, planety i dziejowym rozwojem rodzaju ludzkiego, dowodzisz pan istnienia Opatrzności, a zatem także Boga;

przyznaję chętnie, że rozumnie działa kto wierzy w postęp, a zatem w Opatrzność dziejową, że rozumnie bada, kto wierzy w rozumny ład stworzenia iszczącego odwieczne zamiary. Więc, jeśli jest prawdą to, co pan prawdą nazywasz, a na co się godzę, jest prawdą i to równie, że Bóg światem włada. Wreszcie, wbrew wszystkim wywodom filozofii, każdy człowiek musi tak działać, jakby miał wolną wolę, a zatem prawdą jest, że ma wolną wolę. Jestem przekonany, że żaden człowiek i żaden naród szkody nie poniesie, zawodu nie dozna, działając zgodnie z temi tradycyjnymi przekonaniem religijnymi, że owszem każdy nieocenioną korzyść odniesie. Więc przyjmuję wiarę w Boga, w Opatrzność, w wolną wolę, jako przekonania zgodne z prawdą. Ale to wszystko istotnej treści rzeczy nie wyczerpuje. Treścią religii pozytywnej, która ludzi najwięcej obchodzi, na nich najwięcej działa, to wiara w nieśmiertelność duszy, to ta nadzieja, że człowiek w sprawiedliwszym, w doskonalszym świecie odniesie nagrodę za wszystkie cierpienia, których doznał w życiu, służąc wytrwale cnotcie, kochając Boga i bliźniego, że ten, który się wśród doczesnej tuteczności, miłości własnej wyparł, który według słów Chrystusowych swoją duszę znienawidził, będzie za to wśród wieczności oglądał Boga i w tem niezmiernej, nieopisanej dozna rozkoszy. Od tego, czy to prawda zależy wszelkiej religii pozytywnej prawdziwość. A cóż będzie, jeśli to się nie sprawdzi? Czy nam wolno siebie i drugich nakłaniać do dźwigania najcięższych brzemion doczesnych, do cierpliwości i zgody z wolą Bożą, głoszeniem nauk religijnych, na to tylko, aby ich po śmierci na najsroższy zawód narazić?

Spytałem Zygmunta nawzajem:

— A kogóż to na zawód narazimy? Któż się zawiedzie? Któż nam złorzeczyć będzie, jeśli za grobem nie ma nic? Chyba nikt, a o niczyj zawód i niczyje złorzeczenie niewiele dbać będziemy. Pan przecież nie możesz ani przez chwilę przypuszczać, aby istniał prócz porządku tutecznego, jakiś świat tameczny a wieczny, zły, niesprawiedliwy, w którymby ktoś po śmierci mógł doznać zawodu, doświadczywszy tego, że tam niegodziwych nagradzają a karzą cnotliwych. Myśl to tak ohydna, że w niczyjej nie postoji głowie, każdy ją zaraz między wstrętne a niedorzeczne bajki zaliczy, dla tego, że się sprzeciwia jawnie sprawiedliwości Bożej, w którą każdy w głębi serca wierzy niezachwianie, czy się do tego przyznaje, czy nie, czy chce, czy nie chce. Więc zawód, który pana niepokoi, nikogo tyczyć się nie może, a zatem istnieć wcale nie może. Ale teraz pytam się pana, czy ta sama konieczna wiara w Opatrzność sprawiedliwą, poświęcona rozwojem planety, ludzkości i każdego źdźbła trawy, tak samo nie broni przypuszczenia, że dla każdego z nas wszystko się

kończy na ładzie tutecznym, zmysłowym, w którym tak pełno krzywdy i występku? Zresztą, jeśli mi odpowiesz, że oparta na wierze w sprawiedliwość Bożą wiara w żywot wieczny, jest to domysł tylko, jakkolwiek prawdopodobny, ale mający ten niedostatek, że się potroszę w błędnem obraca kole, dowodząc sprawiedliwością Bożą, to bez czego Bóg nie byłby sprawiedliwy—nie dam za wygraną, choć w tej chwili nie wdam się w zbyt długie wywody, któreby mogły dowieść, że tu koła błędne niema. W życiu każdego prawie człowieka zdarzyły się wypadki, w których miał wrażenie, że obcował z umarłymi, a okoliczności tym wypadkom towarzyszące, były nieraz takie, że o złudzeniu albo o omyłce mowy być nie mogło, takie wypadki stwierdzono sądownie, a uczone towarzystwa mnóstwo takich zdarzeń zarejestrowały. Gdyby jakiegokolwiek sprawy fizykalne, albo zjawiska zoologiczne były równie dobrze zaświadczone, niktby nie śmiał wątpić o prawdziwości tych zjawisk. Ale że tu chodzi o rzecz ogromnej wagi, o życie pośmiertne, którego jedni pragną koniecznie, a drudzy lękają się nad miarę, więc spór toczy się o to zacięty, a wielu śmieje się do rozpuku z łatwowierności tych, którzy jakąkolwiek wagę do takich zdarzeń przywiązują. Zważywszy, że wielu szalbierzy nadużywa łatwowierności ludzkiej, wywołując nibyto duchy, a wyprawiając w istocie proste tylko sztuki kuglarskie, zważywszy, że i halucynację trudno nieraz od rzeczywistości odróżnić, że tak zwane objawienia duchów po kółkach spirytystycznych nie tylko są często sprzeczne ze sobą, ale prócz tego bywają niekiedy w najwyższym stopniu niedorzeczne i nawet sprośne, zważywszy wreszcie, że gorące pragnienie nieśmiertelności może w wielu, którzy mniemają iż obcowali z umarłymi, sąd spaczyć i nawet pamięć w błąd wprowadzić—nie będę się dziwił gdy pan nie uznasz dowodowej siły wszystkich cudownych zdarzeń o których słyhać za dni naszych, albo które historia poświadczyła. Ale z tego wszystkiego wynika tylko wniosek, że rozumowanie i doświadczenie dotychczasowe nie wystarczają, aby nieśmiertelności duszy w sposób niezbity dowieść. Przyznasz pan niezawodnie, że nikomu nie udało się dowód przeciwny, że niemasz życia pośmiertnego. A teraz powiem na zakończenie krótkie zdanie, zanim wstąpimy do zakrystyi nowej — bo oto już wejście, które prowadzi do arcydzieł Michała Anioła. Powiadasz pan, że na pewno nie wiesz, czy tym, którzy wierzyli w nieśmiertelność duszy nadzieja się ziściła? Tylko tyle, bo zgodziliśmy się już na to, że zawodu żadną miarą doznać nie mogli, Więc jeśli pan nie wiesz—jak dotąd, nie znam na to rady. Ale wiesz pan za to, co się stać musi tym, którzy na prawdę są przekonani, że życia tamecznego i tamecznej sprawiedliwości niema. Wszak mówiłeś pan sam, że dla nich religia wszelką wartość straciła, nie będą już.

cierpliwie krzywd ziemskich znosili, goniąc namiętnie za pomyślnością zmysłową, nie będą się hamowali w niczem, nie będą przebierali w środkach, słowem staną się owymi samolubami, nieszczęśliwymi koniecznie, o którychśmy mówili przed chwilą. Więc wiesz pan napewno, że ci którzy stanowczo twierdzą, iż wszystko kończy się na doczesnem i zmysłowem życiu, zawiodą się na tem życiu koniecznie, wiesz pan zatem także, że są w błędzie i że twierdzą nieprawdę. Otóż wiara w życie wieczne i jej przeczenie są tak zwanemi sprzecznemi twierdzeniami; skoro zaprzeczenie życiu wiecznemu, nadzmysłowemu życiu w Bogu, żywotowi nadziemskiemu, okazało się błędem, stwierdzenie tego życia musi być prawdą.

Za chwil kilka stanęliśmy w białej, grobowej kaplicy, wśród niezrównanych arcydzieł. Na dwóch sarkofagach leżały nagie marmurowe postacie, rzeźbione tak przedziwnie, iż się zdaje, że w każdej chwili mogą przemówić, iż się zdaje prawie, że się ruszają, że oddychają. Przedstawiają parami zorzę wieczorną i poranek—dzień i noc. Poranek, to mąż młody, ale brodaty już i silny, który się budzi do życia, i który się ogląda niespokojnie za trudem, jaki go czeka; dzień, to tytan o olbrzymiej sile, pełen znoju i niepokoju, a od niepokoju drgają wszystkie mięśnie na jego olbrzymiem ciele. Młoda a cudnie piękna dziewczyna, zorza wieczorna—usypia, znużona, zboliała nieznośnym trudem żywota, a na jej twarzy maluje się smutek tak, iż znać, że śnie nawet osłody się nie spodziewa. Noc, to niewiasta młoda jeszcze, ale niewiasta która już dzieci rodziła; usnęła snem ciężkim, lecz niespokojnym, bo wie że zbrodnia i rozpusta święte kalają ciemności. Nad rankiem i zorzą wieczorną siadł młody hetman, w smętnej pogrążony zadumie, a drugi hetman młody zasiada naprzeciwko nad dniem i nocą i ogląda się niespokojnie, aby dostrzedz skąd wróg nadciąga? Przy innej ścianie siedzi Bogarodzica w powłóczystej odzieży a Chrystusik tuli się do piersi matki, jakby przerażony widokiem udręczonej doczesności. Matka wie, co jej przecierpieć przyjdzie, ale na jej pięknem obliczu spoczął jakiś niewysłowiony spokój Boży, który smutek przewycięża, i taki sam spokój, jakby nadprzyrodzony, całą zapełnia kaplicę, tchnieniem swoim niepokalanem.

Długośmy stali milcząc i patrząc, a serce drgało nam w piersi dziwną jakąś, nieopisaną, intelektualną a przecie mistycznie religijną rozkoszą. Wreszcie rozwarły mi się usta, jakby same, i cichym a powolnym głosem, w te słowa przemówiłem do Zygmunta:

— Mocą samolubstwa żyjemy docześnie, świat tworzymy w około siebie udręczony, a miarą czasu nekającego, który zbyt powoli się wlece, a jednak zbyt chyżo uchodzi, te chucie i namiętności, które nas doprowadzają do rozpacz, a do których lgniemy jednak całym ser-

cem, z któremi nie chcemy się za żadną cenę pożegnać, biorąc je mylnie za istotę żywota; a pragnienie ziemskiej mocy, służącej samolubnym celom—kresem i miarą naszej wiecznie gruchotanej, wiecznie w niwecz obracanej niemocy. Dopóki lgniemy do samolubstwa i doczesności samolubstwem wytworzonej, a mierzonej tylko następstwem godzin niespokojnych,—przebywamy w męce. Dla tych, którzy wątpią, albo chcą wierzyć i kochać, ale nie umieją, życie bywa czyścem w którym świeci z daleka iskra nadziei, dla tych, którzy zaprzeczyli, aby istniało co innego nad zmysłową doczesność i samolubny niepokój, życie jest piekłem, w które się sami pograżyli, z którego niema wyjścia. Ale uwierz raz, że przed tym porządkiem nienawiści i gniewu doczesnym, jest inny porządek wieczny miłości i spokoju, a uwierz tak silnie, aby wiara czyni rodziła sama z siebie — a zaiste nie doznasz zawodu. Ujrzysz na oczy, że czas jest złudzeniem a świat niczem, cierpienie twoje przestanie być cierpieniem, a Bóg daleki zestąpi do serca twego, tak, iż go przez chwilę ujrzysz najwyraźniej wzrokiem doskonalszym od zmysłowego i uczujesz się na łonie wieczności, wśród królestwa niebieskiego. Minie chwila uniesienia, opadnie cię znów niepokój, który te marmurowe tu dręczy tytany, boś na ziemi jeszcze, boś w czyścju jeszcze, ale już się nie będziesz pytał, czy ci, którzy gardzą cierpieniem i śmiercią, bo ufają Bogu, nie doznają zawodu? Będziesz wiedział, że takich zawodów nie masz, że niczem doczesność i śmierć także niczem, a wzgardziwszy doczesną dla siebie mocą, osiągniesz dopiero moc do służby rodzaju ludzkiego, tę, która góry z posad swoich rusza, z miejsca przenosi. Szczęśliwy, kto choć przez chwilę za życia był naprawdę w niebie, bo ten się już nie pyta, ten wie już, ten już nie zwątpił!

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

K O N I E C.

Władysław Syrokomla.¹⁾

(1823—1862).

X.

MIEDZY BOREJKOWSZCZYZNĄ A WILNEM (1854 — 1856).
TWÓRCZOŚĆ W KOLORYCIE HISTORYCZNYM.

Czyż ja przez skromność zataić mogę,
Co trzeba pisać łzami wdzięcznemi,
Że piosnki moje znalazły drogę
Do wszystkich kątów rodzinnej ziemi?
Wy, którym duszy mojej głąb znany!
I wy, wrogowie! powiedzcie sami:
Gdym był spotwarzan i zapoznany,
Czem się broniłem? memi pieśniami...

pisał Syrokomla we wstępie do „Wielkiego Czwartku“; dając zaś przedmowę do zbioru Wincentego Korotyńskiego: „Czem chata bogata“, prosił:

O dobrzy ludzie litewskiej włości
Przyjmijcież piewcy dar niebogaty.
I ja przyszedłem do was przed laty
Bez żadnych zasług, okrom miłości;

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 252; — marcowy, str. 481; — kwietniowy, str. 153.

Mnie spotkał uśmiech waszego oka,
Waszem współczuciem dotąd się pieszczę...

.

Pozyskany przez Kondratowicza, dzięki I-mu tomowi „Gawęd“, a zwłaszcza „Dęborogowi“, rozgłos, sprawił, iż odtąd poeta oddał się głównie twórczości oryginalnej. W okresie lat 1854 — 1856 (do pierwszej podróży do Warszawy) stworzył nasz lirnik więcej, niż przez całe ubiegłe dziesięciolecie. Fatalność przecież zawisła nad jego lutnią. Dawniej, w Załuczu, prace, więcej mechaniczne, pochłaniały go niemal całkowicie, poezya zaś musiała grać rolę kopciuszka. Obecnie inne zagroziło jej niebezpieczeństwo. Borejkowszczyzna leżała zbyt blisko Wilna, a w dodatku trakt pocztowy biegł tuż nieopodal dworku pieśniarza. Koło stosunków się rozszerzało, zaglądano do Syrokomli często, a i sam poeta częściej może przesiadywał w mieście, niż w wiejskim swem schronisku. Płacono mu teraz po dwa złote od wiersza (za „Stellę Fornarinę“ nawet po pół rubla), cienkie tomiki jedne po drugich w świat wylatywały. Cóż, gdy robota była często zapaśnieszna, gdy brakło autorowi należytego skupienia. Pozostawał zwykle pod naciskiem konieczności. Bywały chwile, iż dwadzieścia jedna głodnych gąb wyglądały pożywienia z rąk opiekuna swego. Rodziców wygnano ¹⁾ z dzierżawionej przez nich od lat dziesięciu Tulonki bez grosza i chleba; trzeba było ich wspierać, a po śmierci ojca trzeba było wziąć do swego domu i matkę, i dwie ciotki i t. d. Trzeba było pomagać i dalszej rodzinie. Towarzyskie usposobienie Kondratowicza prowadziło poniekąd do wyczerpywania się ulotnemi, albumowemi wierszami „dobrym towarzyszom gwoli“. Sypał on niemi bez potrzeby i nawet bez prośby niczyjej. Wspominaliśmy już, jak to posyłając do Chodźki „odstawną pegazicę i pegaziat dwoje“, załączył olbrzymi list wierszowany. Charakterystyczny jest z tegoż względu list do Feliksa Rumbowicza, pisany w pierwszych tygodniach pobytu w Wilnie w r. 1853, z prośbą o przysłanie... samowara. A czego tam niema w tej swobodnej i dowcipnej igraszce! Serdecznie uśmieć się można, patrząc na postać Eneasza, jak to on kiedyś

Zaproszon od Dydony na szklanekę herbaty

.

Włożył Jowisza w kieszeń a ojca na barki,

¹⁾ W r. 1854.

I przewiesił przez plecy posiłek sowity,
 Z Pryamowskiej gorzelni flaszkę okowity,
 A kurząc z krótkiej fajki tabakowe liście,
 Na tyryjskie salony wkroczył posuwicie.

Syrokomla oddychał wprost rymami. Zapewne to przelewanie się ich przez brzegi nie wyrządzało samo przez się szczególnej szkody, ale też zdarzało się, że poeta zaprzęgał się nieraz do pisania np. jakiegoś libreta, jakiejś pieśni pod muzykę i t. p. Pośpiech i wielka łatwość wierszowania miały ten niekorzystny skutek, iż autor nieopracowywał należycie swych pomysłów, i styl jego często bywał zupełnie zaniedbany. Spadały też od czasu do czasu na Syrokomlę to choroba, to nieszczęście, co znów wymagało później pracy wytężonej i gorączkowej, sprowadzając nań zarzuty, często ostre i bolesne, np. ze strony Juliana Bartoszewicza, który wprost czuł się uprzędnym względem lirnika wioskowego. Syrokomla na to gorzko odpowiedział ¹⁾:

Kiedy nam życie pędem ucieka,
 Gdy niespełnione, co rozpoczęte,
 Mówi „Warszawska Biblioteka“
Festina lentel

.

Kiedy nakarmić nędzę potrzeba
 I powinności dopełniać święte,
 Radź zgłodniałemu, co prosi chleba,
Festina lentel

Pierwsze lata w Borejkowszczyźnie były jednak stosunkowo pogodniejsze, kulminacyjnym zaś punktem uznania słuchaczy był rok 1856, kiedy poeta odbył pierwszą swą wycieczkę do Warszawy. Zgotowano mu tu owacyjne przyjęcie, co zresztą zdarzało się zawsze, ilekroć Kondratowicz wychylał się ze swego zakątka litewskiego; Później wiele cierni wplotło się w życie, zachwiała się równowaga, której poeta już nigdy nie odzyskał, zdrowie przyszło do zupełnego

1) W liście do K. Wł. Wójcickiego w d. 24 maja 1856 r.

upadku. Załączu, okresowi cichej pracy i potajemnego, niewidocznego wzbierania sił, zawdzięcza poeta najszcześniejsze godziny swego życia. I poezya polska zaciągnęła względem Załączu dług niespłacony. Prawda, „Janko Cmentarnik“, i „Ułas“, i „Szkolne czasy“, napisane były w późniejszych latach; utwory te przecież były płodem duchowej pracy, która już dawniej była dokonana, a owoce jej były złożone w „Dęborogu“, w „Lalce“, w „Hetmanie polnym“ i t. p. Nowych koncepcyi, wyższego, a choćby odmiennego stosunku do świata, do ludzi, do przyrody, już nie spodziewajmy się. I pomysły szczegółowe powtarzają się. D z i e ła powstawać jeszcze będą, ale nurty p o e z y i toczyć się będą wyżłobionem już łożyskiem, już utraciwszy zdobywczy swój rozpęd. „Janko Cmentarnik“ zresztą rozpoczęty był już w Załączu, „Szkolne czasy“ to uzupełnienie tylko (w pewnym, wyłącznym kierunku) „Dęboroga“. „Ułas“ również pomysłany był, a nawet rozpoczęty w Załączu — odczytajmy urywek: „Czartowy bród“ z r. 1851. I dopiero w ostatnich niemal godzinach dogorywającego w „drucianem więzieniu“ słowika, po ciężkich doświadczeniach i wobec roztwierających się już wrót nieskończoności, pieśń jego nabiera jakichś szczególnych, dziwnie przejmujących, głębokich a oryginalnych tonów. Lecz o tem niżej.

Pamiętamy, że praca Syrokomli nad przeszłością wytknęła pewien historyczny kierunek wyobraźni poety. Już jeden z pierwszych utworów, legenda o „Błogosławionym Sadoku“ znamionuje te upodobania. Z kierunku wskazanego wypłynął całkowicie „Kanonik Przemyski“, do podań odwołuje się poeta i w „Korsaku“, i w „Kojcu z kurczęty“, w „Dęborogu“ i „Hetmanie polnym“. Zwolniony od ślęczenia nad kronikami, w obszerniejszym zakresie rozwinię tę stronę swojej twórczości, której celem było powołać do życia umarły świat. Niestety, niema tu ani jednej nieśmiertelnej stronicy, i zapewne, nawet być nie mogło. Tylko czasem jakaś postać umiłowana występuje wyraziściej, jak Skargi w „Starych wrotach“. Brakło przecież odpowiedniego polotu wyobraźni, brakło samoistnej koncepcyi w poglądach na przeszłość. Mylimy się może, bo przecież było coś samoistnie przeczutego, co wyraziło się, jak pamiętamy, w „Hetmanie polnym“ i epilogu „Dęboroga“. Ze Skargi wtedy wziął swoje motto: „gdy doma lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami“. Ale z kielka tego nie wyrosło żadne drzewo, któreby w głębinę korzenie zapuściło, okrywając się u góry zielonym, gwarzącym radośnie listowiem; myśl ta nie sączy się ożywczą strugą poprzez żaden większy utwór, ledwie przeblyskując tu i owdzie, jak w „Filipie z Konopi“, który wnosi projekt:

Równość w obliczu prawa, *jak w obliczu Boga,*
 Jeden statut dla wszystkich, zobopólna rada,
 Miejsce w izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada,

za co srodze został porąbanym.

Osnową historycznych poematów i utworów dramatycznych tego kroju bywa zwykle ogólnikowe cokolwiek bohaterstwo, poświęcenie się dla kraju, lub odwrotnie, kara za sprzeniewierzenie się. Dodajmy, iż bohaterowie Syrokomli są zazwyczaj niemożliwie płaczący (jako przykład jaskrawy, wskażemy tu „Królewskich lutnistów“), że koloryt czasu jest zawsze jednostajny, czy mowa o Sasach, czy o Zygmuncie III, czy o Jagiellonach, że malowidło nie zawiera nigdy żadnych wybitniejszych rysów, a zrozumiemy poniekąd, dla czego ani jeden utwór omawianej kategorii nie wywiera silniejszego wrażenia, dla czego dzieła te dawały powód do takich nietościwych sądów, jak J. Bartoszewicza, który nie cofnął się przed zarzutem, iż poeta rymuje artykuły dziennikarskie (o „Staroście Kopanickim“). Bohaterstwo u Syrokomli jest zazwyczaj natury duchowej, i jest przeważnie bierne. Nie bywa czynem, lecz „poświęceniem się“. Karliński płaci życiem dziecka za Olsztyn, Starosta Kopanicki nie chce uznać Augusta III, gdyż przysiągł prawnie obranemu Leszczyńskiemu, i karku jego nie złamią żadne katusze; Zofia Olelkowiczówna oddaje rękę Januszowi Radziwiłłowi, by zapobiedz wojnie domowej, a Chodkiewicz umie powściągnąć swą boleść i na stronę się usuwa („Możno władcy i Sierota“). Tylko w „Margierze“ i „Córce Piastów“ przyglądamy się czynom bojowym, obrazom niezwykłych wysileń, dziarskości rycerskiej i t. p. Jeżeli autor pozwala upaść swym bohaterom, upadek ich jest również natury moralnej. Szeliga, ulegając złym przykładom na dworze Krzysztofa Radziwiłła, przeniósł widoki ambicji i korzyści osobistej nad dobro kraju. W „Noclegu hetmańskim“ szlachetny w gruncie, lekkomyślny jednak młodzieniec, nie żołnierz, lecz żołdak, miłował obóz, nie miłował ojczyzny, więc w strasznej chwili nie znalazł w sobie dość mocy, by zapłacić życiem własnym za bezpieczeństwo swoich. Został zdrajcą.

Zakładając istotną treść swych utworów historycznych na uwydatnieniu duchowych przejęć swych bohaterów, autor tem samem brał na siebie obowiązek oświetlenia swych postaci od wewnątrz, obowiązek szczególnej pieczołowitości i subtelności w malowaniu przejęć owych, a wciąż na tle pewnej szczególnej doby, więc tak, by charaktery ukazywały się nam, jako zjawiska indywidualne, swoiste,

odbijające jednak w sobie odrębny, zamaryły świat wyobrażeń, usposobień i t. p. Cóż... w tym drugim, przedmiotowym kierunku brakło Syrokomli jasnowidztwa; w pierwszym tragizm rozplywa się w konwencyonalnej a czułościwej deklamacyi. Nie zawsze też poeta był dość szczęśliwy w dobieraniu odpowiednich położeń. Każę on działać swym bohaterom w czasach zamieszek wewnętrznych, kiedy brat stawał przeciw bratu, kiedy różnica między mrokiem a światłem nie rzucała się w oczy jaskrawo, a wybór, dokonywany przez sympatyę nasze, zgoła nie jest dość stanowczy. Na tem tle ofiarne czyny bohaterów Syrokomli maleją, niestety. Karliński poświęca swe dziecko, gdy nieprzyjaciel idzie do ataku, a to by Niemiec, Maksymilian, nie wziął góry nad Szwedem, Zygmuntem. Niezbyt porusza i legalizm Ponińskiego („Starosta Kopanicki“), któremu, zda się, chodzi o formalność prawnego wyboru Augusta, czy Stanisława. Ani też do uwielbienia nie przyniewala księżna Słucka, która oddaje siebie (i swe dziedzictwo, bo o to głównie chodzi!) w nagrodę za przełanie krwi bratniej. Albo zatrzymajmy się na „Filipie z Konopi“. Śmiesznością okryto człowieka szlachetnego, który wyrwał się „nie w porę“, bronił bowiem Żydów od napaści, marzył o nadaniu chłopom praw obywatelskich, a przywróceniu ludzkich, uszczęśliwił kochającą się parę, sam usuwając się na stronę i t. p. Trudno jednak przejąć się temi wszystkimi szlachetnemi czynami, tyle jest w sposobie przedstawienia retoryki i konwencyonalizmu. Nadomiar złego, rycerz z Konopi oczom współczesnego słuchacza ukazuje się w świetle, odrobinę komicznym, boć wiemy dziś, że Filip (Pyłyp), to zgoła nie szlachcic na dziedzicznej wsi Konopie, to po prostu takie same „chrzestne“ imię mająca, wyskakującego z konopi przed konie, jak Miszka dla niedźwiedzia, jak u Francuzów niegdyś *maître Renart* dla lisa.

Najudatniejsze wogóle u Syrokomli w zakresie historycznym są rzeczy drobne, w których autor przenosi nas do czasów bliższych („Kaprał Tereferę“), albo w których rzekomo tylko odsuwa działanie w przeszłość. W „Trędzłowie“ np. miał nam Syrokomla udowodnić, iż, jakkolwiek „służebnością ginął świat, zaściankowy podłał brat“, bądź co bądź

. . . nieraz mierny stan
 Z panem zęby gryzł do dziąsł,
 I nielatwo jasny pan
 Zaściankową bracią trząsł.
 Mimo hardej swej postaci,
 Musiał w braci uznać braci.

W istocie przecież jest to gawęda ku „zbudowaniu szlacheckiemu“ na dzień dzisiejszy.

Piękna jest w „Starych wrotach“ postać Skargi, co

....., wśród synów Lojoli
 Wyrósł, zestarzał i wierzył w ich cnoty,
 W ręce obłudy dał się nieobłudnie.

Najbardziej jednak wrażają się w pamięć te ustępy, gdzie znakomity kaznodzieja gwarzy ze swym woźnicą o powszednich troskach ubogiej rzeszy, ustępy, w których autor przestaje widzieć w Skardze postać historyczną, przenosząc go bodaj do zagrody współczesnego zaściankowego szlachcica.

Poszukując tematów w przeszłości, Kondratowicz powodował się nie wyłącznie swojemi osobistemi upodobaniami; działała tu nie tylko okoliczność, iż los zdarzył poecie długo obcować z postaciami Skargi, czy Zygmunta, czy Klonowicza. I dzisiejsze, nam współczesne, gorączkowe życie nie dotyla pochłania naszą energię i uwagę, byśmy na długo od przeszłości oderwać mogli oczy. Do dziś dnia najłatwiej zasłużył sobie na rozgłos szerszy książka, obrazująca, jak to było. Mamy na myśli badania historyczne, lecz i powieść nie uchyla się od tego prawa. Tem bardziej prawo to władało w dobie, kiedy energia duchowa niemal całkowicie musiała się zużywać w obrębie ścian domowych, a widma przeszłości natarczywiej stawały przed wzrokiem ówczesnych pokoleń. I jeżeli gawędy historyczne za bezpośrednią swą przyczynę miały dawniejsze prace, poufalące wyobraźnię poety z obrazami ubiegłych wieków, to przecież atmosfera powszechna dla rozwoju tego rodzaju twórczości odpowiednio stwarzała warunki; a i te poprzednie zresztą zajęcia literackie czyż znowu nie miały poniekąd za swe źródło owej atmosfery upodobań współczesnych? „O, Boże moich ojców, coś jeszcze z przed wieka... kazał kochać ziemię, gdzieśmy na świat przyszli, i prochy prapradziadów“... rozpoczyna poeta rzecz swą o „Kanoniku przemyskim“.

Och! wyrzył się twój zakon, dany po ojcowsku,
 Na miękkim sercu mojem, jak gdyby na wosku,
 Ja pokochałem przeszłość i praocjów twarze,
 I często je wspominam, często o nich marzę!

Nie on jeden te słowa powtarzał

Sądy o losach dziejowych kraju, ujawniane przez poetę w jego historycznych poematach, lub utworach dramatycznych, nie uderzają nas swą głębokością, ani oryginalnością. Mieliliśmy jednak już sposobność zaznaczyć, że ukochanie jego nie było nigdy zaślepieniem, nigdy nie pragnął idealizować przywar charakteru narodowego, dla tego tylko, że były częścią składową ogólnego pojęcia przeszłości. A jeżeli kiedy przeszłość tę stawiał za wzór potomnym, to nie dla tego, by potępić ich wysilenia w sferze umysłowej, czy moralnej, jak to inni czynili, lecz że kiedyś

. . . w każdym czynie było ziarno ducha,
Ducha Bożego miłości i wiary.

W wirze wypadków, sejmu albo wojny,
Z jakich się przedła nić ojców żywota,
Wypływa na wierzch jakiś mąż dostojny,
Wybłyska jakaś bohaterska cuota.

Zbliża się do grobów ze czcią i miłością, a dostrzegając na sercach śpiących, z żalem i bólem ich dotyka. Kto wie, może to jedyny punkt, z którego wolno potomnym oglądać czyny pradziadów swoich:

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie!
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwolił
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzeć się mgławy,
I nie poczytuj nas za świętokradce,
Nie miej za winnych synowskiej obrazy,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na jej obliczu odkryjemy skazy.

Jak widzimy z tego ułamku, może poeta karcieć będzie surowo, boleć raczej, gdy dojrzy winę, ale szydzić nie będzie. Nie był satyrykiem względem współczesnych, nie mógł być nim i dla praojców, a podnosząc do wyżyn zasady te właściwości swego usposobienia, zgani nawet, acz nieśmiało, Klonowicza, wkładając mu w usta wyznanie:

Gdy święcone jej ¹⁾ struny *skalał śmiech mój zimny,*
Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny.

Ktokolwiek zaś harfę ową w spadku otrzyma,

Niech ją samą miłością rozkołysa szczerze,
Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze.

.

Niech nektar niesie braciom, a zółć sam wypija.
Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!

Czy nie był lirnik nasz właśnie spadkobiercą tamtoczesnego pieśniarza mieszczańskiego? Czy równie, jak tamten, nie „upoił się aromatem macierzystej niwy“? Czy nie własne uczucia przypisuje Roxolanii, każąc mu wołać:

Och, gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściślej.
I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli.

Czy, jakby proroczem jasnowiedzeniem zdjęty, nie rzuci w dośpiewku tej przepowiedni:

Kraj, który patrzył zimno, gdy zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.

¹⁾ Harfy.

Kierunek upodobań Syrokomli, dotyczący różnych stosunków doby współczesnej, dostarczał mu nieraz, epizodycznie przynajmniej, oparcia w krytycznym wejrzeniu na szczegóły dziejowe. W czym np. znajduje dla Klonowicza usprawiedliwienie tej goryczy, która zamąciła czystość tonów jego myśli i pieśni? Oto

*Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
Zarazili mi serce niechęcią do braci...
Gdyby mnie otaczali wyrobniicy prości,
W dniach bym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości,
Nie bluźnił Panu Bogu*

Roztaczając obraz zagouów szwedzkich i zdrady możnych panów, parokrotnie przypomina

*Tylko gdzieniegdzie trzyma się na wodzy
Kupa mieszczanów, lub szlachta ubodzy.*

Albo:

*Biedny mieszkaniec zaściankowej chaty
Spojrzał dokoła i ręce załamał,
A obcy pychy poszeptom zdradzieckim
Przysiągł nie zdradzić króla i swej ziemi.*

Ale to wszystko przygodne szczegóły, na całość budowy i na koloryt utworu nie wpływające. Najoryginalniejsze i z największym zacięciem wyśpiewane nuty, słyszymy dopiero w „Marcinie Studzińskim”¹⁾, i właśnie tam, kędy autor usiłuje wprowadzić nas między ową „kupę mieszczanów”, którzy posiadają dumne poczucie swej samoistności, przed szlachtą nie radzi się unizają, i nie dają się jej ubiedz w ofiarności dla kraju. Niestety, w najwyższym stopniu niecierpliwiąca ślamazarność p. Marcina — szlachcie, umizgający się do wdzięcznej mieszczki — i ten poemat spycha na poziom tyłu innych.

¹⁾ 1858 r.

Braku idealizacji dostrzegamy również i w dziedzinie historycznej, w której zresztą lirnik nasz nie umiał obracać się raźnie. W miarę oddalenia malał, zdaje się, urok wielkich przewodników romantycznych. Nim nadejdzie czas potężniejszego ich wpływu, najlotniejsze i najświetniejsze ich koncepcje, jakby znużywszy się daleką drogą, traciły skrzydła swe w mglistym powietrzu litewskim i opadały na ziemię. I gdy jeden z ognistych duchów, z nadobłocznej obejmując wyżyny przeszłe i przyszłe koleje ludzkości, wołał ostrym, orlim krzykiem: „Ty nie szukaj w ojcach winy“, gdyż winą była zaśługa, była odwrotną stroną opatrnościowych zadań narodu, wtedy szary, nadniemeński skowronek, unosząc się tuż nad ziemią, posiadał tyle trzeźwości, by głosić

Piękna ziemico! zgubionaś sto razy!

.

Nie drżysz przed Szwedem, ani Zaporozem,
Lecz sama własnym zabijasz się nożem.

.

Nie winuj obcych, co z chciwym zapalem
Biegną ku tobie, czując twe niezdrowie:
Tylko narzędziem Pańskim są krukowie,
Co lecą martwem nasycić się ciałem ¹⁾.

Wśród epicznych i dramatycznych utworów Syrokomli o tematach, z historii zaczerpniętych, odrębne wyznaczyć należy stanowisko „Margierowi“ i „Córce Piastów“. Poematy te dotyczą dziejów Litwy, treścią ich jest albo nieubłagana walka z Krzyżakiem, albo znowu braterstwo, zawarte między Litwinami a Polakami, braterstwo, któremu drogę torują „Córy Piastów“. Czasy te były tak odległe, a stosunki tak odmienne w porównaniu z naszymi, że poeta mógł całkiem zapomnieć o teraźniejszości, o grzechach obywatelskich tej czy innej warstwy. Ulegając ogólnym dążnościom naszego romantyzmu, umiejscawiającego swe wyłączone sympatyje po kolei na Litwie, na Ukrainie, na Podolu, na Mazowszu, umyślił w „Margierze“ stworzyć narodowy epos litewski. Znalazł się jednak w sferze przyciągania Konrada Wallenroda i poddał się przemożnemu działaniu tej po-

¹⁾ „Stare wrota“, 1856.

teżnej gwiazdy. Oprócz barw, z tego poematu zaczerpniętych, tworzywem Syrokomli była fantastyczna mitologia Narbutta. Własne badania nie mogły mu dostarczyć żadnej pomocy. „Nie dosyć wtajemniczeni w ducha Litwy — wyznaje autor — obraliśmy formę Wergiliuszową, której okrągłe kontury, przyzwoite poważnemu epos, uwolniamy (?) od drobiazgowych studyów“. A zatem, co do tła, Syrokomla z góry był skazany na naśladownictwo i ogólnikowość, obracał się w próżni poniekąd. Jakże też w próżni owej czuć się będą jednostki z ich osobnemi celami, namiętnościami, sympatjami, lub wstrętami? „Nie mając nadziei trafnego określenia Litwy i Litwinów..., kreśliliśmy ludzi w ogólności“. Jak zaś wyglądają u Kondratowicza owi bohaterscy „ludzie w ogólności“, wiemy już cokolwiek. To też nie będziemy się dziwili, że nadzieje autora, pokładane w „Margierze“, zawiedzione zostały boleśnie. A było to umiłowane dziecię jego ducha, był to najwyższy w jego mniemaniu punkt, do którego natchnienie jego wzbić się miało. Nie będziemy wdawali się w szczegółowy rozbiór poematu, zaznaczając tylko, że najobszerniejsze to dzieło autora „Dęboroga“ jest chybione.

XI.

DRAMAT I LIRYKA W EPOSIE.

Wspomnieliśmy już przygodnie o dramatycznych utworach Syrokomli. Szereg ich otwiera pierwsza część „Chatki w lesie ¹⁾ i bodaj czy nie najudatniejsze to dzieło z tej kategorii. Niespodzianka, którą sprawiono autorowi, wystawiając utwór na scenie (prywatnej), i powodzenie gry zachęciły poetę do dalszych prób w tym kierunku. „Chatka“ posiada kilka przesadnie i z gruba zarysowanych, nie mniej wybornych charakterów; w rozmowie poety Henryka i księgarza Czcionki dopatrzeć też możemy parę rysów pierwszorzędnej piękności. Charakteryzują one znakomicie owoczesne stosunki wydawnicze, a w każdym razie są owocem własnych gorzkich doświadczeń Syrokomli, satyrycznym zabarwiającym pierwiastkiem niejedną kartę utworu. Z wykroczenia tego autor natychmiast się usprawiedliwia,

¹⁾ Maj, 1855 r.

obiecując poprawę. Istotnie, w drugiej części „Chatki“, w końcu tegoż 1855 r. napisanej, każe nam Syrokomla wierzyć w duchowe odrodzenie kapryśnej i wietrznej bohaterki, z radością pozostającej w odludnej „Chatce“. Nie będzie jej zresztą źle w tych arkadyjskich warunkach, w jakich poeta-autor osadził poetę-bohatera. „Chatkę“ uważał Syrokomla tylko za „dziwaństwo dramatyczne“ i za „dyalogowe kartki“, za pierwszą zaś próbę dramatyczną dopiero „Hrabiego na Wątorach“¹⁾, uscenizowane przysłowie, rozwinięte, podobnie jak „Filip z Konopi“, na tle (rzekomo) historycznym. Pewien odcień komizmu, spoczywający na głównej postaci, ocala utwór, nie zasługujący zresztą na głębszą uwagę, chyba tem, iż stał się kamieniem obrazy dla miejscowych hrabiów Wątorskich. W gruncie demokratyzm utworu był zgoła niewinny, bo... co komu do hrabiów na Wątorach?

Wielki rozgłos, zdobyty przez Syrokomlę „Gawędami“, wprowadził na scenę te i inne dramaty²⁾, należące do kategorii historycznych: „Kasper Karliński“³⁾, „Możnowładcy i sierota“⁴⁾, „Wyrok Jana Kazimierza“⁵⁾, ułamek „Marka“⁶⁾. Dzieła te ulegają wszystkim tym ogólnym zarzutom, jakie poczynić można utworom Syrokomli, do których czerpał tematy z dziejów. Co do „Możnowładców i sieroty“ zaznaczmy, iż dramat był napisany w przeciągu dziesięciu dni, z powodu naglenia „ze strony osoby zainteresowanej, pragnącej mieć ten utwór na benefis“.

„Wiejscy politycy“ są drugą po „Chatce“ próbą, w której autor usiłował pochwycić istniejące wśród współczesnego mu ogółu usposobienia. Są tu szczęśliwe karty; jest zwłaszcza jedno z pierwszych odbicie myśli, która niebawem szersze miała roztoczyć kręgi, myśli, wprawdzie pojętej ciasno i zawartej w szczupłym kole interesów osobistych, ale już przedstawiającej się w kształcie wyrozumowanego systemu: otrzyma on wkrótce miano pracy organicznej. System ten uosabia w dramacie postać Leszczyca. Niezbyt sympatycznie przedstawia się nam p. Podkomorzy, który chciałby w sposób nowożytny a przemysłowej zasadzie wycisnąć pańszczyźnianego chłopca, o ile się tylko da. Względem prądu, który w takiej wyraża się formie, budzi się w Syrokomli nieufność, bardzo wyraźna.

1) 1856 r.

2) Oprócz „Polityków wiejskich“.

3) 1857 r.

4) 1858 r.

5) 1859 r.

6) Przeróbka „Ułasa“ w r. 1859.

Znamienny jest w tej mierze wiersz do Antoniego Kolankowskiego ¹⁾:

Brnie w *materyalizm społeczność nasza*,
A bieda biedę galopem goni,
Postęp zwycięstwo swoje ogłasza,
Panie Antoni.

Czy jeszcze wierzyć w serce, co bije,
I lepszą dolę światu wyloni,
Czy w *polityczną ekonomiję*,
Panie Antoni?

.

Czy znamię krzyża upaść nam nie da,
Na którym Chrystus krew swoją roni?
Czy zbawi ludzkość szalku i kreda,
Panie Antoni?

Poeta, tak później chwalony za swą trzeźwość, za swe duchowe pokrewieństwo z pozytywizmem ²⁾, zapewne przyłączyłby się do tego chóru, który potępiał „wiek nowy“ za zmateryalizowanie, za wiarę w szalkę, w kredę, w ekonomię polityczną...

Pomimo pewnych dodatnich stron „Polityków wiejskich“, zwykły sentymentalizm kochanków, a nadewszystko chwiejność podstawowej myśli (uwolnienie i uwłaszczenie włościan), wyznaczają utworowi temu pośredniejsze miejsce wśród innych dzieł poety. Jak wiemy z listu do Chęcińskiego, przed napisaniem dramatu autor „studyował“ sprawę włościańską, a wynikiem tego była pewna lęklivość postulatów. Dobra jest zupełna swoboda, dobry jest i czynsz, byle tylko nie rozpędzać się zbyt; na razie trzeba działać dobrym przykładem, wspólna praca tymczasem dobroczynne swe okaże skutki i t. p. Gdy postępowy panicz zapytuje wręcz wójta: „czy lepsza dla wieśniaka pańszczyzna, lub czynsze?“, ten nie odpowiada ani tak, ani nie, a wreszcie konkluduje:

¹⁾ W r. 1860.

²⁾ Spasowicz, Kościółkowska.

Lat dziesięć będąc wójtem, wiem, że w naszej włości
 Nie trzeba pobłażania, lecz sprawiedliwości. \

*Wymagać od nas pracy, dać nam dosyć chleba,
 A gdzie warto pokarać, to i karać trzeba,*

A zresztą, przebacz, panie, że wieśniak pobredzi:
 Częściej panom i chłopom chodzić do spowiedzi.

Poznanie zaś „korzyści oświecenia i swobód“ odkłada się *ad calendas graecas*. Na szczęście, nie jest to ostatni głos Syrokomli w tej sprawie.

Na ogół ustaliło się przekonanie, że Kondratowiczowi brakowało uzdolnień w kierunku dramatycznym. Spostrzegliśmy już to w utworach epickiego kroju, iż mocna strona jego talentu nie polegała na dokładności i wyrazistości rysów pojedynczych osób. W dramacie, gdzie mają występować ściśle określone charaktery, lub indywidualne uczucia, gdzie trzeba ruchu i stopniowego rozwoju w zależności od powyższych czynników, gdzie wszelka ogólnikowość jest zabójczą — w dramacie braki musiały przeważać nad zaletami, niezależnie nawet od specjalnej umiejętności przystosowania się do warunków scenicznych, niezależnie od przewagi pierwiastków lirycznych, od większej, czy mniejszej dbałości o ustosunkowanie efektów i t. p. A jednak kilka ułamków, pochodzących z lat 1860 — 1862 dowodzą, iż postęp w wytkniętym kierunku był bardzo znaczny. Lecz wówczas wszystko już miało pozostać ułamkiem.

Obok dramatów i poematów historycznych, Syrokomla po dawnemu uprawia najbardziej plenną u niego niwę „Gawęd“, obrazujących życie i troski szarej gromady. Kiedy poecie czyniono zarzuty, iż sprzeniewierza się swemu właściwemu powołaniu, bronił się w ten sposób:

Gdy ten obrazek ¹⁾ błahy, wioskowy,
 Już był powierzon drukarskiej prasie,
 Jedna gazeta w tym samym czasie
 Pisała o mnie takimi słowy:
 Żem czyniąc drobne próbki dramatu
 Na inną drogę wszedł nowocześnie;

1) T. j. „Wielki Czwartek“.

Żem zdradził wiarę sielskiemu światu,
 Że chcę porzucić ludową pieśnię...

.

Ale lirniczą gardząc ozdoba,
 Jabym popełnił niewdzięczność srogą
 Pieśni wioskowa

.

A jażbym teraz, mocny mój Boże!
 Miał złamać flet mój niewdzięczną ręką?
 O, jak miłości z serca nie złożę,
 Tak cię nie rzucę, moja piosenko...

Z rzeczy większych w tym czasie (obierając za kres rok 1856), wypada wspomnieć o najwcześniejszym „Kęsie chleba“¹⁾, o „Wielkim Czwartku“ i „Janku Cmentarniku“. „Wielki Czwartek“, tak surowo przez Siemieńskiego zganiony, posłużył nam już dawniej do charakterystyki ludowych sympatyj poety.

Znana jest dobrze geneza „Kęsa chleba“. W r. 1854 wygnano Aleksandra Kondratowicza z dzierzawionej przez niego Tulonki, pozbawiając całą rodzinę środków utrzymania. Wypadek ten stał się pobudką i treścią utworu. Podobnie jak dawniej w „Zaścianku Podkowa“, tak i w tem nowem dziele Syrokomli, krzywda staje się przekleństwem: nikt bezkarnie nie spożyje „kęsa chleba“, pokropionego gorzką łzą ludzką. Z tego właśnie poematu wyjęliśmy obszerniejsze ustępy, przesiąknięte miłością dla przyrody i tęsknotą wspomnień.

Co było jeno cząstką składową w „Kęsie chleba“, staje się treścią całego utworu w „Janku Cmentarniku“. Wysłuch go poeta z jednego tylko uczucia — z tęsknoty. Przędza tak skąpa, a tkanina tak niepożyta! Jak w „Kęsie chleba“ zaklęta była słona łza skrzywdzonego człowieka, tak w „Janku Cmentarniku“ zaklął poeta swą rzeźną i tęskną, miłującą duszę śpiewaczą:

Rok dawno zbiegły dziwne ma wdziękil
 Bo to rówieśnik naszej jutrzeńki;
 A tamci ludzie dla tego mili,
 Że w naszym życiu świadkami byli

1) 1854 r.

Pierwszej pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
 Ku niewidomym celom lecieli...

.....

Święta jutrzeńko mojego rana!
 Tyś była chmurna i oplakana,
 Ot taka sama i w każdym względzie,
 Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie,
 Ot jednak nie wiem i skąd? i po co?
 Nad twem wspomnieniem światła migocą,
 Ot przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
 Lubię oglądać dawniejsze twarze,
 Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie...

.....

I patrzę czasem, i gonię rzewno
 Za ową barwą mglistą, niepewną...

.....

Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
 Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
 Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem...

W „Ewangelinie“ Longfellowa spotykamy dziwnie przejmującą i szarpiącą chwilę. Przypomnimy tu czytelnikowi osnowę tej pieśni. Jest w Północnej Ameryce zakątek, zwany Arkadyą, który nie mógł zapomnieć pod władztwem Anglii związku swego z dawną metropolią, Francją. Wtedy szlachetna dusza angielska użyła tego wypróbowanego środka, do którego uciekali się niegdyś krwiożerczy Salman-Assarowie i Nabu-kudur-ussurowie. Niesfornych, w liczbie coś kilkunastu tysięcy, przesiedlono gdzieindziej. Wyrok ten zaskoczył jakąś wiosczynę, gdzie właśnie miała kojarzyć się para na wzór Hermana i Doroty. W zamęcie Ewangelina i Gabryel trafili na różne okręty, i okoliczność ta rozdzieliła ich setkami mil. A gdy szukali siebie wzajemnie, gdy się już znajdowali o kilkanaście kroków od siebie wśród szuwarów, rozminęły się ich łodzie, i los rzucił znowu między nimi setkę mil. Cisza była w powietrzu i pogoda, i żaden anioł nie podał głosu ostrzegawczego. Znalazła jednak swego ukochanego Ewangelina, znalazła w szpitalu na łożu śmiertelnem. W poemacie Syrokomli kochanką jest rodzinna wioska Janka. Ale panu było potrzeba hajduka, i oto jesteśmy gdzieś w górach Tatrzańskich na świetnym, rojnym dworze. Fala wypadków pochwyciła i pana i sługę, też fala wypadków przerzuciła ich nad Niemen:

„Pędem piorunu potok się leje“,
Tak o tej chwili pisały dzieje...

a tymczasem Janek, którego już zawiało powietrze rodzinnych stron, woła niecierpliwie: „zółw nas prześcignie w takim pochodzie“. I teraz krok po kroku zbliża się do umiłowanego zakątka ziemi. Liczymy wraz z nim ubywającą przestrzeń. Mil dwadzieścia... już tylko ośm... już dwie może... Tak, spotka się ze swą ukochaną, ale gdy już sam nad mogiłą się pochyli, gdy Cmentarnikiem zostanie i z umarłymi tylko gwarzyć mu będzie wolno, bo dziś jeszcze muszą w karpackie góry, gdzie

Świetny dwór pański, dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałośnie wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głucho milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne technienie,
A hufiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami
Z pogadankami, ze wspomnieniami,
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

Janek, co przez trzydzieści lat nie odstępował swego pana-przyjaciela, który w wiosce własnej został cmentarnikiem, bo na cmentarzu byli jego rówieśnicy i kochanie, — niestety, zapijać się poczynił, jak ów grajek w „Wielkim Czwartku“. I oto czymś oczom się zdało, iż autor „odziera postać moralną swego bohatera urok po uroku ze wszystkich złudzeń serdecznych, ze wszystkich świętości wspomnień...“ i stąd „myśl gawędy śmiertelna, upadła“. Dziwnymi, zaprawdę, drogi chadza niekiedy rozumienie ludzkie. „Bracia w kapocie“ — skarżył się boleśnie śpiewak:

Bracia w kapocie i bracia w siermiędze,
.....

Ot, ogadali waszego lirnika:
 Że bratnie serca dla tego przenika,
 Ażeby potem roztrąbić po świecie,
 Że wy się kochać, że czuć nie umiecie...

.....
 Że zamiast słowa miłości prawdziwej...

.....
 Lirnik przyczajon w zdradzieckim zamiarze
 Octem i żółcią obryzgał wam twarze...

Spostrzeżliśmy już to, iż najpiękniejsze urywki „Kęsa chleba“ mają liryczny charakter. W podziw to wprawić może, dla czego bezpośrednio wylewy osobiste, niemal zawsze ustępują w sile i szczerości tym przygodnym, zda się, wynurzeniom. Ustępują im przede wszystkim w subtelności. Pochodziło to poniekąd stąd, iż poeta nieraz utożsamiał siebie ze swymi bohaterami, lub chwilowo widział siebie w ich sytuacjach. Czyż nie nasunie się to przypuszczenie, kiedy damy na to w „Zgonie Acerna“ odczytujemy takie oto gorzkie słowa:

Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać swe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawą zdradziecką,
 To przyprowadź je tutaj i opowiedz wiernie
 O żebraczym szpitalu i biednym Acernie.

Ostatnie te słowa dopisywał poeta w Borejkwoszczyźnie w lipcu 1855 r. Jeszcze wówczas zgotowana dlań „cierni korona“ nie spoczęła całkiem na jego głowie, dolegały mu jeszcze tylko zwykłe drobniaki, kłopoty, lub zmartwienia powszedniego życia. Co do Klonowicza, wiemy dziś, że w szpitalu nie umarł i nie żebrał, że nie przypa-
 dło mu w udziale „przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga“¹⁾.

Nie możemy przenieść na siebie, byśmy nie przytoczyli jeszcze paru ustępów, prawdziwych błysków jasnowidzenia duszy.

1) T. j. Jezuitów, których autor „Worka Judaszowego“ boleśnie dotykał.

Dziwna jest kolej czasów, gdy nam serce boli,
 Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
 Miesiąc przemknie nad głową, jak chmurka niestała,
 A godzina, a chwilka, to jak wieczność cała.

Albo:

W każdym niebieskiej jutrzeńki rozświcie
 Kończy się życie i poczyna życie:
 Kwiat stugodzinny i człowiek stuletni,
 I historyczna tysięcy lat era,
 Czy słońce świeci posępnie, czy świetnie,
 Za każdą chwilą rodzi się — umiera.

.

I oto takie błyski z trudnością odnajdujemy we właściwych
 poezjach lirycznych.

A. DROGOSZEWSKI.

ROZMAITOŚCI.

Z LISTÓW PREZESA RZECZYPOSPOLITEJ KRAKOWSKIEJ

(STANISŁAWA HR. WODZICKIEGO).

Po Stanisławie hr. Wodzickim, prefekcie departamentu krakowskiego za czasów Księstwa Warszawskiego, a wreszcie prezesie senatu byłej Rzeczypospolitej Krakowskiej i senatorze-wojewodzie Królestwa Polskiego, pozostały wydane w roku 1873 „Wspomnienia z przeszłości (1768 — 1840)“ i wydane w roku 1888 „Pamiętniki“, dwa dzieła, składające się niejako na generalną spowiedź z życia, wypełnionego żywym udziałem w dziejowych wypadkach i katastrofach ze schyłku XVIII wieku, oraz w przewrotach pierwszego dziesięciolecia XIX wieku, potem uczciwą i ofiarną pracą dla dobra sprawy publicznej w Rzpltej Krakowskiej, tej dzwacznej kreacyi kongresu wiedeńskiego, wreszcie szeregiem boleśnych rozczarowań i przykrości, zamkniętym niegodziwie wymuszoną abdykacją, której gorzkie wspomnienie dopiero u kresu życia ofiary niewdzięcznej ludności zatarte zostało uroczystą rehabilitacją w formie medalu, wybitego przez reprezentację dogorywającej już Rzpltej Krakowskiej dla pierwszego i najlepszego prezesa swojego. W „Pamiętnikach“ Stanisława Wodzickiego nawet forma nosi cechę generalnej spowiedzi politycznej, gdyż książka zaczyna się od apostrofy do dzieci, i pisana jest w tonie takiego szczerzego zwierzenia się z intencji, aby dzieci miały autentyczny komentarz do działalności ojca w jej najważniejszym a zarazem i najburzliwszym okresie. Żalować wypada, że Wodzicki tak zacieśnił ramy swoich pamiętników, że, pisząc je, nie poczuł wyższych aspiracji dziejopisarskich. Wyniesiony bowiem na stanowisko naczelnego dygnitarza kraiku, który losami swojemi najcisłej był złączony z Królestwem Polskiem, zaszczycony nietylko zaufaniem, lecz i sympatią osobistą cesarza Aleksandra I, której wymowne dowody otrzymał tak w liście tego monarchy, jak i w ostatniem zetknięciu się, ceniony wysoko i szanowany przez hr. Metternicha i Nowosilcowa, z którymi korespondował o sprawach uniwersytetu krakowskiego w chwili, gdy sprawy te przybierały cha-

rakter zajścia krytycznego zarówno dla Rzpltej Krakowskiej, jak i dla Królestwa Polskiego, wreszcie, połączone węzłami pokrewieństwa i przyjaźni z wielu wybitnymi w Królestwie Polskiem osobistościami (z ministrem Marcinem Badenim, z generałem Józefem Załuskim i in.), z którymi, w czasie swojej prezydentury, ożywioną prowadził korespondencję, był Stanisław hr. Wodzicki, jak nikt inny, powołany do napisania takich pamiętników, któreby stanowiły pełny historyczny obraz spraw i wypadków Rzpltej Krakowskiej i Królestwa Kongresowego, w latach 1815 — 1830. Żałować wypada dalej, że M. Kępieński, którego monografia o Stanisławie hr. Wodzickim¹⁾ wyprzedziła ogłoszenie Pamiętników, a oparta jest tak na rękopisie tych Pamiętników, jak i wszystkich listach politycznych, pisanych do Wodzickiego i przez Wodzickiego, nie rozszerzył ram swojej pracy poza te cele, jakie sam Wodzicki swoim Pamiętnikom zakreślił.

Stanisław hr. Wodzicki tak był oddany służbie publicznej, tak zaabsorbowany sprawami krajowemi, że nawet w prywatnej korespondencji swojej, nawet wtedy, gdy celem listu było załatwienie interesów majątkowych, o sprawach tych rozpisywał się szczegółowo, zwłaszcza w czasie, gdy, za wpływem zjazdów monarszych w Opawie, Lublanie i Weronie, wskutek zacieśniających się coraz więcej węzłów święto-sprzymierzeńczych, zasepiać się zaczął widnokrąg polityczny Rzpltej Krakowskiej i Królestwa Polskiego, a między społeczeństwo polskie i cesarza Aleksandra I coraz więcej wciskać się zaczęły wpływy nieprzychylne tych czynników, dla których liberalne kreacye Kongresu wiedeńskiego były od pierwszej chwili solą w oku. Kilkanaście listów tej kategorii posiada w swoich zbiorach rękopiśmiennych Biblioteka Ossolińskich we Lwowie²⁾. Pisane były te listy do przyjaciela (według wskazówki katalogowej do hr. A. Stadnickiego) w latach 1817 — 1824. Ponieważ hr. Stadnicki, zamieszkały w Galicyi, ówczesną cenzurą Metternichowskiego rygoru od świata odciętej, nie mógł prenumerować dzienników politycznych, przeto hr. Wodzicki w każdym liście, po omówieniu interesów prywatnych, komunikował swojemu przyjacielowi wszystko, co w danej chwili było ciekawego, nie tylko w krajowej, lecz i zagranicznej polityce. Najwięcej rozpisywał się oczywiście o Krakowie i Warszawie, skąd odbierał poufne listowne relacye od osób, wtajemniczonych nawet w zakulisowe wypadki. To też niektóre ustępy tych listów, które poniżej przytoczymy, dziś jeszcze nie są pozbawione pewnego interesu, jako przyczynek do charakterystyki czasów, stosunków i ludzi z tej doby.

¹⁾ Ob. Biblioteka Warszawska* z r. 1883 (t. IV) i z r. 1884 (t. I i II).

²⁾ Rp. № 1,430.

Już w pierwszym liście z 10 października 1820 r. przebija świadomość, że wybryki młodzieży akademickiej w Krakowie, nieposkramianej powagą rektora Litwińskiego, któremu, jako głównemu antagoniście Wodzickiego, wybryki te mogły być nawet pożądane, doprowadzić mogą, jak to się później rzeczywiście stało, do zawikłań, niebezpiecznych, nie tylko dla samego prezesa, lecz także i dla Rzpltej Krakowskiej. Tem żywszą była ta świadomość, że już wtedy w omijaniu Rzpltej przez podróżującego cesarza Aleksandra I dostrzedz się dawało oziębienie jego dawnej sympatii dla Krakowa, o czym świadczy poniższy ustęp listu Wodzickiego:

Dnia 16-go bieżącego miesiąca przejeżdża świta cesarska, udająca się wprost do Opawy, kiedy monarcha kołuje na Częstochowę, aby nie zawadzić o Rzpltą naszą. Nowosilcow zatrzymać się ma kilka dni dla zgłębienia interesu uniwersyteckiego. Jakby na złość, niesforna młodzież liceów, mimo zaostrzonej karności, pod boki rektora, na rynku, założyła klub i przez dwa dni miała swoje obrady. Dostrzegłszy to polityca, nie chcąc, wedle statutu, sama przez siebie działać, przestrzegła o tem rektora i profesorów, którzy, przez półtora dnia deliberując, nie umieli wniknąć do deliberujących, i dopiero się tam udali, kiedy ostatni salę opuścił; a było ich 78. Domyśleć się możesz, w jakim położeniu znajdzie się sala przy tak niedołęznej szkolnej zwierzchności. Sam nie mogę działać z mocy statutu, a jestem za wszystko głową odpowiedzialny. Nic zaś w tym czasie więcej sąsiadów naszych nie razi, jak tajemne zgromadzenia. Tłómaczyli oni w nocy do rektora, że zamiar ich był literacki, pisania dziejów krajowych, co jest tem śmieszniejszą rzeczą, że żaden z tych panów listu bez omyłek pisowni nie potrafi napisać. Sam jestem między młotem a kowadłem. Wstręt mam nieprzewyciężony do wyjawienia przed dworami tego, co się dzieje. Wstrzymałem się do tego czasu, szukając łagodniejszych środków i układów domowych, które się nie udają. Bezpieczeństwo zaś miasta, ocalenie przyszłego pokolenia, wola senatu i głos światlejszej publiczności o to wołają; wstrzymuje jednak bojaźń kałania własnego gniazda i uprzedzania obcych przeciw charakterowi narodowemu. W tym duchu przez pięć lat unikałem wszelkiej skargi, a teraz czekam tylko na Nowosilcowa, czy on swoim przełożeniem nie skłoni dobrowolnie akademików do potrzebnej reformy. Pierwsza to jest gorycz w dzisiejszem urzędowaniu mojem, ale dużo mojego zdrowia kosztująca.

W trzy dni później, 23 października, Wodzicki komunikuje przyjacielowi swojemu otrzymane z Warszawy wiadomości, które go tylko utwierdzić mogły w smutnych przewidywaniach przyszłości:

Mowa imperatora—pisze—przy zawarciu sejmu wszystkich nas przeraziła. Przed samym wyjazdem kilkunastu posłów było u niego z pożegnaniem, do których mówił długo i z otwartością, jakiej w nim dotąd nie znano. Co z pamięci złapać można było, to jeden z nich mi nie powtórzył prosząc, aby się to nie bardzo rozchodziło, gdyż cesarz, spostrzegłszy się sam, że nadto może wiele powiedział, ostrzegł nazajutrz posłów, żeby tego nie drukowali. Były to napomnienia ojcowskie do dzieci, które wszystkich rozrzewnuły. Zaprzeczyć nie można, że w drażliwym, z przyczyny sprzyjania nam, zostaje położeniu, a my mu w jego zamiarach, nam niewiadomych, pomagać powinniśmy. Tyle tylko mu zarzucić można, że nieprzystępny, a zatem prawdy rzeczywistej nigdzie się nie dowie, bo te dwie, lub trzy osoby, którym ucha pozwala, wspólnego z narodem nie mają interesu, a Rosyanie, malując mu nasze położenie, fałszywych dobierają kolorów, aby mu obrzydzić sprawę naszą Świta cesarska przez Kraków trzema kolumnami przejeżdżała, nie rachując tych, co jechali na Częstochowę. Nikt się z tych panów nie zatrzymał, ani się widzieć dał. Więcej znajomi byli Capodistria z Matuszewiczem i Gorczakowem, Ożarowski, Mężykow, Uwarow, Czerniszew, adjutanci.

Następny list, z 3 listopada 1820 r., różni się w tonie znacznie od poprzedniego. Przebija z niego, nie jak z poprzednich, smutne przewidywanie, że przeważać zaczynają wpływy, zniechęcające cesarza Aleksandra do Polaków, lecz, owszem, otucha, że wpływy te tylko pozornie górują, a sympatya cesarza, na której Wodzicki opierał nietylko przyszłość Rzpltej Krakowskiej, lecz wogóle jej istnienie, nie uległa żadnej zmianie. Na dowód przytacza Wodzicki dosłownie jeden ustęp z listu, otrzymanego od swojego powiernika warszawskiego. Powtarzamy za nim ten ustęp:

Cesarz, podlegany od tych, których miłość własna została upokorzona, kilkakrotnie starał się wynagrodzić, co w mowie jego było surowego. Nietylko deputacyi, ale i osobom prywatnym powtarzał, że nie było jego celem zasmucić, ale poprawić, zapewniając, że serca swego względem Polski nie odmienił. Mówiąc z delegacją, powiedział między innemi: *J'aime les Polonais—mais que dis-je, je les aime et je les aimeraï toujours.* Uważano, że gdy mówił do deputacyi, łzy mu się zakręciły. Namietnością jego jest być kochanym, i stara się o to, a w tem mu Pan Bóg pobłogosławił, przynajmniej w Polsce. Nigdy tak hojnie, jak tą bytnością, łaskami nie szafował, zwłaszcza dla wojska, które go ubóstwia. Przyznaje, że wiele było lekkości w nieprzyjęciu statutu organicznego, ale złego nie było przedsięwzięcia, a cho-

ciaż sejm był nieczynny, wyniknął przecież i z niego niejedyn dla kraju pożytek. Cesarz bowiem przekonał się o marnotrawstwie i samowładności urzędników, i dla tego wielkie mają zajęć odmiany. Nie wiem, czy wiesz, że Niemojewskiemu zarzucono dekret kryminalny za sekundowanie w pojedynku Walewskiego z Wichlińskim. Cesarz przed rugami ułaskawił go, aby między posłami się utrzymał. Gdy z natchnienia dworu wyrozumiewano go, dlaczego jest tak gorliwym członkiem opozycji, wmawiając osobiste urazy, odpowiedzieć miał, że jako Niemojowski, świeżem dobrodziejstwem ujęty był, a jako Polak, dla łaskawego monarchy krwi swojej nie szczędziłby, ale, powstając przeciwko zgwałceniom konstytucyi, rozumie, że tem samem broni własnego monarchy dzieła.

W korespondencji zachodzi teraz kilkunastumiesięczna przerwa, którą położyć należy na karb niekompletności zbioru. W korespondencji tej bowiem omawiane są ciągle interesa i sprawy majątkowe, w których Wodzicki zupełnie polegał na dyspozycjach swojego przyjaciela w Galicyi, a w których wątek zostaje przerywany.

Pierwszy po tej przerwie list, z 2 kwietnia 1822 r., brzmi znowu pouuro. Nieszczęsa sprawa tajnych związków studenckich, któremi najwięcej straszono cesarza Aleksandra, aby go utrzymać w węzłach świętego przymierza, przybrała formę drażliwą:

W niezmiernych jestem urzędowych kłopotach—pisze Wodzicki. — Wypadło podobno dworom, przed rozpoczęciem wojny rosyjskiej, straszyć i tak lękliwego o ducha czasu imperatora, i w tym celu stworzono w Berlinie trzy nowe studenckie spiski: dwa niemieckie, pod imieniem: „Arminia“ i „Freunde“, które miały mieć za cel połączenie wszystkich Niemców w jeden naród i nadanie liberalnej konstytucyi, trzeci zaś, polski (berliński), który miał mieć w zamiarze wywrócenie istniejącego rządu polskiego i z tamtymi dwoma towarzystwami się znosił. Wskutek tego w Prusiech aresztowano 44 osób, a do ostatniej poczty w Warszawie 67, dla których objęcia aż klasztor Paulinów wypróbniono. Nie dosyć na tem; rezydent pruski podał wczwanie o badanie rozmaitych osób w Krakowie i zasuspendowanie jednego z najlepszych naszych sędziów, co inni rezydenci poparli. Dotąd się u nas nic nie pokazało, a ja jestem między młotem a kowadłem, muszę być zgubnem dla polskiej polityki narzędzem, w mocnem przekonaniu, że to są figle, i że Rzplta nasza, a może cała Polska, ich ofiarą padnie. Domyślisz się, jak muszę być zgryziony. Oprócz studentów, wielu urzędników młodych w Warszawie aresztowano.

Najważniejszy i w treść najobfitszy list nosi datę 5 lutego 1823 r. i polecony jest szczególnej dyskrecyi adresata wypisanem na czele: soli!

Jest to właściwie dokładna relacya o wzrastających trudnościach całego położenia politycznego i o najważniejszych sprawach bieżących:

Donosiłem Ci dawniej — pisze Wodzicki — że od trzech prawie miesięcy, gdy cesarz wyjeżdżał na zjazd Weroński, nie było tygodnia, żeby jakie nowe z Warszawy urządzenie nie obarczyło naszej Rzpltej, wbrew traktatom i konstytucyi naszej. Poczęto od wymagania w najgroźniejszym sposobie, aby wszyscy zbiegli, choć nie nosili broni, wydawanymi byli. Kazano rezydentowi spisywać zimujących w Krakowie Polaków, tak z Królestwa, jak z odpadłych dawniej do Rosyi prowincyi. Soli nam nie chciano sprzedawać, dla uniknięcia defraudacyi, jak za certyfikatami, że kupujący z Krakowa jest rodem, i nie większą ilość, jak tę, którą na potrzebę 100,000 ludności wystarcza. Domagano się zwrotu zastarzałych z jednostronnych rachunków pieniężnych pretensyi. Utrudniano przejazdy partykularnym i wstrzymywano młodzież, udającą się na nauki do Krakowa. Zakwestyjonowano nam nominacye do beneficjów, które traktat dla nas zachował. Zakrojono nawet na przywłaszczenie instytucyjowych dóbr duchowieństwa naszego, w Polsce leżących. Nie przyjmowano certyfikatów na płody rzemieślnicze, jeśli się nie dowiodło, że każda część towaru, aż do nici i drewna, tudzież wszystkie pierwsze materye, były rodem z Krakowa, czego nigdy nie można było dostatecznie dowieść, a tem samem ustawało dobrodziejstwo cesarza, jakiem się cieszyła Rzplta przez lat 7. Nakoniec nowe celne urządzenie i zębna taryfa zamknęła nam wszelkie z Polską komunikacye i trzyma Kraków w kwarantanie. Ta nagła zasądź zmiana, bez dania najmniejszego do tego powodu, po dobroczynnem aż do tego momentu cesarza z nami postępowaniu, wszystkich zastanawiała, na tę myśl naprowadzając, że ostatnia na zjeździe Werońskim wybiła dla Rzpltych istnienia godzina.

Tymczasem cesarz, jadąc do Włoch przez Częstochowę, nie wiedzieć dla jakiej przyczyny, postanowił wracać przez Chrzanów, nie będący na drodze, wskutek czego wezwany senat musiał dwie nowe przez lasy do wyboru otwierać kamienne drogi i stawiać most na Wiśle. Wkrótce po przejeździe cesarza (do Włoch), rezydent rosyjski wezwał mię ustnie, abym udzielił mu myśli moich względem zmian, potrzebnych w konstytucyi, aby ją zastosować do okoliczności, w których się teraz znajduje Europa. Wystawisz sobie łatwo, przyjacielu, jak to było rzeczą ambarasującą. Zdawało mi się w tem widzieć łapkę, dążącą do przekonania Kongresu, że Krakowianie ze stanu rzeczy nie są kontenci, coby przyspieszyło rozwiązanie tejże Rzpltej. A że wezwanie nie było na piśmie, nie kwapiłem się z odpowiedzią. Przejeżdżający później Nesselrode wspomniał podobnie o tem. Biłem się tymczasem z myślami, jeżeli przez milczenie moje nie zrobię co gorsze-

go i jeżeli nie mają zatrzeć istnienia tego kraiku, sami nie będą mogli uczynić tych zmian i do niepoznania nie skaleczą konstytucyi. Przejeżdżający później generał Ożarowski utwierdził mię w tem mniemaniu, wstręt jednak nie ustawał, żadnego bowiem do tego upoważnienia od narodu nie miałem. W odpowiedzi przeto wytknąłem, że sklaniam się ze wstrętem do jego wezwania, gdyż cały kraj kontent z konstytucyi, szczęśliwy pod nią i błogosławi jej dawców, a że mogą się w niej znajdować wyrazy wątpliwe i miejsca, dwoistemu tłumaczeniu podpadające, takowe wytykam nie jako urzędnik, ale jako partykularny, względem czego, żeby nie zachodziła jaka wątpliwość, odpowiedzi mojej nie podpisałem. Dotknąłem zaś jedynie te przedmioty, o których zmianę ciągle na sejmach proszono, jako dające powód do kollizyi i nieporządków, w czasie, gdzie nam się klócić nie przystało, gdy na tę sierotkę wszystkie monarchów zwrócone były oczy, a samo rozwinięcie konstytucyi i statuta, sobie przeciwne, przez komisję organizującą zaprowadzone, zdawały się innego nie mieć celu (stanowiąc cztery władze udzielne), jak żeby ta mała Rzplta wystawiała Europie obraz nieładów, a może i ta myśl interesowana, powzięta przez niemieckich urzędników, że Polak, do cywilnej służby nie mający zdatności, przez cudzoziemców w kraju swoim zastąpiony być musi. Odpowiedzi od dworu austriackiego i petersburskiego już przyszły, tylko na pruską już dawno oczekujemy.

Wracam się teraz do posłuchania, jakie miałem u monarchy. Komunikowaną była senatowi przez rezydenta marszruta, w której wyraźnie stało, że cesarz w Chrzanowie będzie miał nocleg. Sejm przeto upoważnił mię, abym przedstawił monarsze w Chrzanowie dolegliwości nasze.

Tymczasem plan pierwotny uległ zmianie, bo nocleg cesarski przeniesiono na terytoryum Królestwa Polskiego. Podążył tam Wodzicki, ale uzyskanie audyencyi u cesarza Aleksandra natrafiło na takie przeszkody, że trzeba ją było niejako przebojem zdobywać. Naprzeciw swity cesarskiej wyjechał z Warszawy, z polecenia W. Księcia Konstantego, pułkownik Fensch, i tak nastroił towarzyszącego cesarzowi ministra, księcia Wołkońskiego, że ten kategorycznie odmówił Wodzickiemu audyencyi, zasłaniając się tem, że cesarz jest zagniewany na Rzpltę Krakowską za wybryki studenckie, a na jej prezesa za nieuszanowanie incognita cesarskiego. Niedowierzając tym argumentom, Wodzicki oświadczył, że w takim razie w chwili wyjazdu cesarza stanie ze swoim pismem pośród ludności zgromadzonej, do czego, jako senator Królestwa Polskiego wobec swojego monarchy jest uprawniony, a nawet obowiązany. Dopiero pod takim naciskiem ks. Wołkoński wpuścił Wodzickiego do cesarza Aleksandra, który, słysząc o tych trudnościach w uzyskaniu audyencyi, był zdziwiony, i przyjął Wodzickiego tak uprzejmie, że, jak mówi w liście swoim, wyrazy usłyszane „wstydy mu było powtarzać“.

Cały nadzwyczaj łaskawy przebieg tej audyencji w Sławkowie i rozmowę z cesarzem Aleksandrem opisał Wodzicki w swoim liście do przyjaciela tak samo, jak później w Pamiętnikach swoich i jak potem opowiedział to M. Kępiński w powyżej przytoczonej monografii swojej. Opuszczamy zatem ten opis, a przytaczamy tylko te dalsze ustępy, które zawierają nowe szczegóły:

Po mnie — pisze Wodzicki — miał Grodzicki krótkie posłuchanie, na którym, jako marszałka sejmku i komisarza rządowego przy akademii, o te dwa pytał (cesarz) przedmioty. Gdy zadawając odebrał odpowiedź, powiedział mu: *Soyez toujours sage, ce sera la meilleure garantie de votre existence.* — Teraz tłumaczę mój domysł względem niegrzeczności Wolkońskiego. Musiałeś słyszeć o kilku popełnionych bezprawiach w niebytności cesarza w Warszawie. Interesem Wielkiego Księcia było, aby się o szczegółach od nikogo w drodze nie dowiedział, zanim się z nim zobaczy, i to snadź było przyczyną, dlaczego polecił mu, aby nikogo do brata nie dopuszczał.

Tutaj przytacza Wodzicki owe bezprawia, znane z historycznego obrazu stosunków, które poprzedziły powstanie listopadowe, i tak pisze dalej:

Wypadało przeto Wielkiemu Księciu nie dopuszczać nikogo, od kogoby się (cesarz) o szczegółach tych zdarzeń dowiedzieć mógł, aby tylko z ust jego mógł się pierwszy o tem dowiedzieć, wiedząc, że w Warszawie nikt się mówić o tem z cesarzem nie odważy. Mógł się jednakże być spodziewać, że cesarza zatrudniać nie będą rzeczami, obcemi mojemu urzędowaniu. Stało się więc, jak sobie życzył, a cesarz, jednostronnie rzecz wystawioną wysłuchawszy, wszystko pochwalił. Nie dosyć na tem, ale, nie cierpiąc wolnego Krakowa, wystawił go (W. Książę) bratu, jako gnazdo rewolucjonistów, zapewniając, że z aktów śledztwa okazało się, iż profesorowie niebezpieczne polityczne zasady z katedr rozsiewali, i że pierwsze burszowstwo w naszym mieście się zawiązało, potem Polskę zaraziło i powodowało do prześladowania młodzieży, wskutek czego cesarz uznał akademie naszą za zagraniczną i oddalił się z niej polskiej młodzieży nakazal po skończonym kursie. Wielki Książę większą jeszcze temu dając rozciągnięć, czego nie było w dekrete, przydał do tego licea i prywatne na pensjach edukacye, dodawszy, aby w kilku dniach te dzieci Kraków opuściły. Aczkolwiek cesarz zdawał się być spokojnym po mojem zaręczeniu, tymczasem, we dwa dni po swoim przybyciu do Warszawy, podpisał niniejszy wyrok. Zarzuty tak oczywiste są fałszywe, że sam Wielki Książę doskonale jest o tem przekonany. Ale jakże nieprzystępnego cesarza uwiadomić o prawdzie, jak ułagodzić samego Wielkiego Księcia, nie wiedząc, o co się gniewa, jak się odwoływać do własnych jego aktów dla zadania fałszu oczywistego zarzutowi? Nad tem radzi-

my z przyjaciółmi warszawskimi, i podobno agent dla wyrozumienia z blizka interesu, t. j., jak się wziąć do niego mamy, do Warszawy pojedzie.

W później pisanych Pamiętnikach wspomina Wodzicki, że wskutek jego pisma, na audyencyi wręczonego, cesarz w Warszawie zalecił złagodzenie rozporządzenia, co do uczącej się młodzieży. Tak było istotnie. Co do dezyderatów ekonomicznych, pismo Wodzickiego przyniosło dobry skutek.

Z wiadomości, otrzymanych od przyjezdnych z Warszawy, komunikuje Wodzicki w tym liście przyjacielowi swemu następujące:

Cesarz chciał dla każdego zaprowadzić województwa sąd doraźny. Stefan Grabowski, zastępujący ministra sekretarza stanu, przekładał, że, pomijając konstytucyę, gdy żadnego spisku jeszcze nie odkryto i wszystko było posłuszne, nie widzi tego potrzeby, a samo zaprowadzenie takowych sądów w błędny wprowadziło Europę i odwróciło serca poddanych. Zniecierpliwiony cesarz rzekł do niego: „Pamiętaj WPan, że szlify nosisz!” — a on na to: „Właśnie też dla tego powinienem być wierniejszym, a radą dobrą chcę odwrócić, co honorowi narodu i dobru kraju byłoby przeciwne”. Przestał cesarz na tem i projekt zawieszono do czasu. — Szpiegowstwo do tego przyszło stopnia, że nikt się na miejscach publicznych nie pokazuje, a brat w bracie, przyjaciel w przyjacielu widzi donosiciela. Książd Łętowski następujący swój opowiedział mi przypadek: Pułkownik Guszowski u starego przyjaciela codzień był w domu przyjmowany. Jednego dnia Książd tamże zaproszony był na obiad. Kilku dobranych było przyjaciół, którzy, w szczerości serca, o okolicznościach dzisiejszych mówili ze sobą. Wraca pułkownik wieczor na wista, a wyciągając chustkę, upuszcza papier, nie spostrzegłszy zaś zguby, po skończonej partyi wychodzi. Ktoś podnosi leżące na ziemi pismo, ale jakież wszystkich było zdziwienie, gdy w niem wierny znaleźli raport tego, co każdy z nich w poufałości powiedział.

W ostatnim z omówionego tutaj zbioru liście, pisanym d. 16 stycznia 1824 r., Wodzicki komunikuje swojemu przyjacielowi następującą wiadomość, otrzymaną, jak z naciskiem zaznacza, z bardzo pewnego źródła:

Castlereagh był pierwszym, który cesarzowi Aleksandrowi dał o Krakowie szkodliwe wyobrażenie, twierdząc, że jest punktem korespondencyi radykalnych angielskich z polskimi karbonarami, że listy angielskie, tu adresowane w sekretnym Komitecie, na polski język przełożone, do najodleglejszych punktów przesyłane bywają. Tymczasem, prócz dwóch kobiet i jednego mężczyzny, mówiących tym językiem, niema nikogo w Krakowie, któryby gazetę zrozumiał, a dopieroż był w stanie utrzymywać

angielską korespondencją. Trzech rezydentów i mrowie płatnych szpiegów, komitetu takiego nie wykryło. Listy angielskie, przez kraj pruski i austriacki przechodząc, byłyby otwierane i posłużyłyby prawie za dowód przeciwko nam. Do tego w samym pocztamcie krakowskim rezydenci mają prawo przetrząsać listy, zatem takowa znowu z największą łatwością odkryłaby się przez te dwa lata. Mimo to, nic z błędu monarchy wyprowadzić nie może, i, ile wiem, dotąd zostaje w tem uprzedzeniu. Inkwizytoryat warszawski przez kilka lat nie odkryć nie mógł, prócz związku burszów po wszystkich akademiach, dotąd tolerowanego, a stąd sądzę, że coś podobnego pokaże się i w Wilnie.

Zapewne nie skończyła się na tych tylko listach korespondencya Wodzickiego z galicyjskim przyjacielem. Po dacie ostatniego listu uczuwał on zapewne częściej i więcej, niż dotąd, potrzebę zwierzenia się ze swoich trosk i udręczeń. Zwiększały się one bowiem niemal z dniem każdym, wskutek intrygi i knowań malkontentów, którym rezydenci przypatrywali się obojętnie, albo raczej z wewnętrznem zadowoleniem, że się przygotowuje sytuacja, dogodna do sprzątnięcia z karty europejskiej „wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego Krakowa“. Pierwszym krokiem do tego celu było obalenie roztropnej i oględnej prezydentury Wodzickiego. To też w chwili, gdy tego dokonać miała (w styczniu 1831 r.) zrewoltowana rzesza malkontentów, rezydenci, tak zresztą skorzy do mieszania się w spory wewnętrzne Krakowa, byli bierni, a rezydent tego mocarstwa opiekuńczego, które od pierwszej chwili patrzyło na Rzpltą Krakowską z największą pożądlivością, jako na zdobycz, należną mu w bliższej, lub dalszej przyszłości, bo już podczas Kongresu wiedeńskiego omal nie zagarniętą, rezydent Austrii (Lorenz) zachował się, według Pamiętnika Wodzickiego, tak, jak gdyby rewolcie ułatwić chciał jej występne zadanie.

DR B. Ł.

PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER KRAUSHAR: Dziennik podróży ks. Stanisława Staszica (1777—1791). Warszawa 1903. Tomów 2

W bibliotece publicznej w Warszawie, wydawca odnalazł rękopisy Staszica, dotąd uważane za zaginione i niektóre z nich, a mianowicie autobiografię Staszica i jego dzienniki podróży ogłosił drukiem. W krótkiej, ale niezmiernie interesującej autobiografii, Staszic opowiada, że dziad jego był przez lat 30, zgodnemi głosami miasta Piły, wybierany na burmistrza i wycierpiał wiele prześladowań od starosty Cińskiego. Ten naruszył bowiem prawa miasta, odebrał mu własność propinacyi, wielką część miejskich gruntów, leżących obok, za to narzucił miastu piaski i wydmy. Dwadzieścia lat wiodło miasto ze starostą proces. Dziad Staszica, jako pierwszy zastępca dobra miasta, był wystawiony na wszystkie groźby i złości przemożnego. Wytrwał w pełnieniu obowiązków i w bronieniu dobrej sprawy, doprowadził ją do szczęśliwego końca i odzyskał dekretem miastu własność. Następnie ojciec Staszica wybierany był przez lat dziesięć na burmistrza miasta Piły i przez czas urzędowania swego wystawiony był na srogości Drewicza, który męczył go przez kilka miesięcy, aby zmusić tym sposobem miasto do złożenia okupu. O ojcu swym powiada Staszic, że był to człowiek wiele posiadający nauki, osobliwie w prawach rzymskich, i biegły w klasycznych rzymskich autorach. Matka była pełna ludzkości, nadzwyczajnie do swych dzieci przywiązana, mająca wiele religii, ale z nią i przesady. Staszica, jako najmłodsze, słabego zdrowia dziecko, matka przeznaczyła do stanu duchownego. Ojciec ulegał słabości matki, nie zrażał syna do tego stanu, ale kierował jego wychowaniem i zachęcał do nauki. W tym celu radził mu, aby po skończonej krajowej edukacji wyjechał za granicę do uniwersytetów niemieckich, albo do którejś akademii francuskiej.

Staszic, kierując się radą ojca, zwiedził uniwersytety w Lipsku i Getyndze, zatrzymał się również dwa lata w Paryżu przy kolegium francuskim. Najgorliwiej oddawał się Staszic nauce fizyki i historii naturalnej, zabrał znajomość z Buffonem, który uawczas wydał dzieło p. t. „Epoki natury“. Wśród częstej z nim o tem dziele rozmowy, powziął Staszic myśl przyswojenia go rodzinnej literaturze. Jednakże następnie zwiedzanie gór Alp i Apenin przekonało go, że teoria epok jest dowcipna, ale z naturą nie zgodna. To spostrzeżenie zwracało coraz więcej uwagę Staszica na rozpoznanie ziemiorodztwa Karpatów. W tym zamiarze zaczął zbierać wszelkie uwagi geologiczne, tak we własnym kraju, jako też przy powtórnem zwiedzaniu Włoch, Alp, Apenin, Wezuwjusza i Etny. Nakoniec przez lat kilka zwiedzania Karpatów, Staszic przystąpił do wydania dzieła o ziemiorodztwie Karpatów i ziemi dawnej Sarmacyi. Przy pierwszym zaraz wstępie do życia, uderzyło to Staszica, iż znalazł dla siebie zapory nieprzystępne w każdym stanie: w duchownym, wojskowym i cywilnym. Zrodzony z tak cnotliwych rodziców, z ojca tak zasłużonego i kraj miłującego, przecież wszędzie musiał się wstydzić swego pochodzenia, wszędzie je znalazł okryte wzgardą, odsunięte od urzędów i od ziemi. Powyższy objaw stał się powodem, że Staszic począł się zastanawiać nad przyczynami owego zбочzenia i pokrzywdzenia społeczeństw ludzkich. W tym czasie nastąpił podział kraju i te dwie okoliczności takie na nim uczyniły wrażenie, iż przedsięwziął pędzić życie od ludzi odosobnione, unikając o ile możności obcowania z nimi. W osamotnieniu poświęcał czas na rozpoznanie gruntowne wad, szkodliwych ogólnej, ludzkiej rodzinie, zbierał uwagi, dotyczące powstawania i upadania cywilizacyi narodów, a rezultatem czterdziestoletnich jego zastanawiań się był poemat dydaktyczny p. t.: „Ród ludzki“.

W samotnych rozpamiętywaniach przyszedł Staszic do tego przekonania, że tylko ten postępuje najlepiej ku celom wytkniętym przez Stwórcę, kto przez ciąg swojego życia poprawia los i powiększa szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś kto przez swoje życie poprawi lub udoskonali los współczesnych lub przyszłych pokoleń, ten dopełnia całkowicie swojego istnienia na ziemi, czyli urzeczywistnia te zamiary, jakie najwyższe jestestwo w jego stworzeniu założyło. W tem przekonaniu postanowił Staszic całe życie poświęcić na to, aby mógł kilku lub kilkudziesięciu familii los poprawić i swobodniejszem uczynić ich życie. W tym celu wcześniej i stale przez całe życie ograniczał swoje potrzeby, aby z swych oszczędności módz zrobić dla potrzebniejszych ofiarę. Szczupły majątek jaki miał i to co przez całe życie mógł zebrać, wszystko z największą starannością obracał ku po-

wyższemu celowi. Był stały w przedsięwzięciu i raz obranego sposobu życia nie zmienił aż do śmierci. Z pięćdziesięcioletnich oszczędności kupił też Staszic włość Hrubieszowską i urządził ją dla szczęścia kilkuset familii, nadawszy im grunta z prawem dziedzictwa. W końcu swej autobiografii Staszic dziękuje Opatrzności, że jeszcze za jego życia doprowadziła społeczeństwa do tego postępu i cywilizacyi, iż każdy człowiek może zostać właścicielem ziemi.

Powróciwszy z uniwersytetów niemieckich i z Francyi do kraju, Staszic był wezwany przez Andrzeja Zamoyskiego do zajęcia się edukacją jego synów. W częstych rozmowach z tym „najnotliwszym“ obywatelem, nieskończenie do swej ojczyzny przywiązanym, a przez długie doświadczenie i przez biegłość w prawach, znającym wszystkie wady społecznej zasady kraju naszego, skłoniony został Staszic aby je wystawić narodowi stojącemu nad przepaścią i wskazać ostatni moment do ratunku i naprawy. W tym celu wydane zostały przed wolnym sejmem konstytucyjnym: „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego“, a podczas sejmu: „Przestrogi dla Polski“. Taki jest rzetelny rys mego życia — pisze Staszic — i pobudki moich główniejszych pism i czynów.

Z obszernych „Dzienników podróży“, trudno nawet pobieżnie zdawać sprawę. Staszic trzymał się bowiem systemu opisywania swych wrażeń podróżniczych, jaki dziś spotykamy w Bedeckerach. Wszystko, co tylko znajdujemy w danej miejscowości godnego widzenia, to Staszic opisuje, o ile możności najdokładniej i najszczegółowiej, a ponieważ zwiedził Austryę, Niemcy, Hollandyę, Anglię, Francyę, Szwajcaryę i Włochy, przeto w „Dzienniku podróży“ musiało się znaleźć takie bogactwo szczegółów, że o streszczeniu ich jakimkolwiek mowy być nie może, zwłaszcza, że Staszic zwracał uwagę nie tylko na objawy kulturalne i cywilizacyjne, ale interesowały go również właściwości przyrody, którą gruntownie badał. Poza tem jednak Staszica zajmowały urządzenia państwowo-administracyjne wszystkich krajów i właściwości psychologiczne ludów je zamieszkujących. Pod tym względem znajdujemy w „Dzienniku podróży“ nie jedną uwagę prawdziwie interesującą i świadczącą o szerokich horyzontach umysłu Staszica.

Pierwszym krajem, który Staszica do pewnego stopnia przynajmniej wprawil w zdumienie, była Hollandya. Uważa on ją za ogród Europy i podziwia zmysł ekonomiczny ludności oraz prawidłową i wygodną komunikację „batami“. Narodowi całemu jednak wystawia Staszic nie zbyt chlubne świadectwo. Powiada on, że holendrzy o ile są delikatni w mieszkaniu, tyle około siebie i w wewnętrznym charakterze są grubi, nieobyczajni i niechędożni. Chciwość i łakomstwo każdemu handlowemu narodowi właściwe, w Hollendrach naj-

jaśniej się wydaje. Milionowy negocyant kontent jest, jeśli cały dzień pracując, złoty zarobi. Cudzych nie zwiedzają krajów, w samym zanurzeni handlu, nie znają wesołych godzin, zabawek miłych i uczciwych rozrywek. Chociaż wiele jest funduszów dla ubogich, przecież wiele ich jest po ulicach, aż do uprzykrzenia. W powszechności niema w Amsterdamie, tylko albo bardzo ubodzy, albo bardzo bogaci. Próżniaków w Amsterdamie wielka gromada. Lada szarlatan tysiące zastanowi i kilka godzin na ulicy bawić ich będzie. Anglię nazywa Staszic rajem wszystkich oszustów, we wszystkich kunsztach i profesyach, ale swoją drogą podziwia czułość społeczeństwa angielskiego dla poratowania nędznych i ubogich. Czuję anglik co jego bliźni cierpi i ratuje go z hojnością często szkodliwą przemysłowi. Opisując rząd angielski, przychodzi Staszic do przekonania, że niema kraju na świecie, gdzieby wolność i bezpieczeństwo osób i majątku obywatelów, lepiej zrozumiane, jaśniej opisane i mocniej ugruntowane były, gdzieby między częściami, najwyższy rząd składającymi, tak proporcjonalnie waga podzielona była. Warto jest—pisze Staszic—aby Polak, własną chlubny wolnością, a wszystkie narody za niewolnicze mający, wyszedł z uprzedzenia swojego i poznał, że w Europie jest jeszcze naród wolny a Polakom imię tylko wolności zostawione. W równoważności widzi Staszic wysmienitość narodu angielskiego. Dzięki owej równoważności, pospółstwo trzyma ciągle na wodzy szlachtę, szlachta nawzajem pospółstwo, a król szlachtę i pospółstwo, nie pozwalając na najmniejsze władzy wykonywającej uszczuplenie.

W Anglii—jak pisze Staszic—zadecydowanem zostało, że narody nie należą do królów, ale królowie są dla narodu, że Bóg poddał króla, jako i innych ludzi, pod prawa niewzruszone, któremi świat się rządzi. Ten środek niegdyś w Polsce zachowany, wolnymi ich czyni od nieszczęść, które ciągnie za sobą bezkrólewie każde i panami będąc określenia prawa sukcesyjnego, sami sobie niejako obierają króle. Z ogólnego widoku angielskiej formy rządu, daje się widzieć, że cokolwiek tylko ludzka roztropność do trwałości jej przyczynić się mogła, nic opuszczouem nie zostało. A jeśli mimo wszelką ostrożność prawa kardynalne wolności angielskiej mają być kiedykolwiek poruszone i rząd tak sławny upaść, będzie to skutek tej słabości, która jest przywiązana do spraw ludzkich, że nie na świecie prawdziwie stałego niema. Zastanawiając się nad „Habeas corpus“ czyli poręką, Staszic powiada, że niema kraju gdzieby osobista wolność obywatelska lepiej obwarowana była jak w Anglii. Pisząc o przysiężnikach czyli przysięgłych, zaznacza on, że wolność każdego Anglika głównie na tem polega, że nie jest w mocy sędziego osądzić winnym tego, kogo ży-

czyłby znaleźć winnym. Bez przysięgłych sędzia mógłby być ministrem zemsty monarszej. Anglik też strzeże tego przywileju, jedynego na świecie, jak żrenicy oka swego i broni tej władzy sędziemu, która samemu królowi jest odmówiona.

Paryż nie wywarł na Staszicu tego wrażenia co Londyn, ani Francya tego co Anglia. W ogóle nie spotyka on w społeczeństwie francuskim tej imponującej samodzielności, co w angielskim. W Paryżu za to poznał osobiście Franklina i zaznacza, że jest równie głębokim politykiem w negocyacyach, jak fizykiem w eksperymentach. Jest to pożyteczny, oświecony i wielki literat. Przed wyjazdem Staszica z Paryża umarł Wolter. O tym wypadku pisze Staszic: „Pełen chwały i hańby jak żył tak i umarł, wedle terażniejszej, filozoficznej mody, bez pokuty i Sw. Sakramentów, zupełną umysłu przytomność do zgonu swego zachowawszy“. Wkrótce po Wolterze zmarł Rousseau, o tem wspominając Staszic, pisze, ten (Rousseau) po różnych życia swojego przypadkach, sprzykrzywszy literackie swary, nakazał sobie samemu milczenie, niczem się więcej nie zajmując w Paryżu, jak przepisywaniem dzieł muzycznych, czem na życie zarabiał. Nieznajomy wszystkim, żadnej od nikogo pensyi ani podarunku nie przyjmując, wyjechał on był o 10 mil od Paryża, do swego przyjaciela Girardin, aby się zajmować botaniką, około której na starość zaczął był chodzić. Śmierć go i w botanicznym schwytała ogrodzie.

Charakter ludu francuskiego wydaje się Staszicowi płochy i chępliwy, ale grzeczny i miły, osobliwie dla cudzoziemców, królowi wierny, na wojnie mężny, do nauk sposobny, w kunsztach przemyślny. O rządzie francuskim nie powziął Staszic dokładnych wiadomości, ale nadmienia, że chociaż to królestwo zdaje się być bogatem, część jednak najszlachetniejsza obywatelów, to jest wieśniaków, rolę bawiących się, jest najuboższa i dość jednego roku nieurodzaju, aby Królestwo poczuło głód, od którego o ile możności, rząd terażniejszy broni, mając w pogotowiu w magazynach publicznych zboże. Po wielu miejscach są pańszczyzny, podatki strasznie wielkie, akcyzy równie wielkie, celników w Królestwie kilkadziesiąt tysięcy, którzy jak pijawki biednego chłopca wysysają. Urządzenia administracyjne francuskie, zwłaszcza pocztę, chwali Staszic, ale wogóle w badaniu stosunków francuskich, nie ujawnia tej pilności i gruntowności, jak wówczas, gdy się angielskiemi zajmował.

W Wiedniu uderzył Staszica ustrój feodalny społeczeństwa i stare przywileje stanowe. Na Praterze ujrzał on to szczególnie głupstwo, że do pojazdu o sześciu koniach miał prawo książę, do czterech hrabia, a baron i szlachcic tylko do dwóch, reszta do piechoty. U nikogo nie okazuje się więcej despotyczny rząd tego kraju, jak

w domu Kaunitza, który gdy każe gościom przyjść do siebie na obiad bierze z półmisków pierwszy, a potem dopiero innym roznoszą. Potem on pół godziny zęby i głowę myje przy stole a drudzy muszą siedzieć i patrzeć na to. Następnie wstawszy najpierwej, siada na stolcu dla robienia swoich potrzeb, a wszyscy koło niego przechodzić muszą. Oto czem jest człowiek w oczach jednego wezyra, a przecież gdy wezyr zaprosi na obiad, każdy to sobie uważa za szczęście. Że się publiczność niemiecka nie czuje urażona na Kaunitza, to okazuje Niemców nieczułość i do niewoli zwykłość, co Staszica mocno dziwi. Nawet sam Staszic musiał niekiedy w Wiedniu przybierać minę barona, aby nie być lekceważonym i docisnąć się do ciekawszych widowisk. Wenecya nie zrobiła na Staszicu wielkiego wrażenia. Opisuje on ją treściwie i bez zachwyty w słowach: miasto nieregularne, zamurwane, śmierdzące. Zamyśliwszy się nad niem, ta myśl nawija się pierwsza: Po co ci ludzie na morzu osiedli i tak dobrowolnie obrali więzienie? Zdaje się że Wenecya jest świadkiem gwałtu między narodami. Prócz pałacu Rządu i Dożów, innych pałaców nie wiele. Jeden z nich najpyszniejszy—Pisani. Za to oczarowany został Staszic pięknoscą Rzymu. Odwiedzając domek św. Piotra stanął w zdziwieniu. Te ogromne i niezliczone kolumny naokoło, plac rozległy w pośrodku dwa całe źródła nieustannie w powietrze wyrzucane z góry na dół spadają, a przed nimi na dwóch lwach stojąc, potężny obelisk w czworogran. Na końcu tak wspaniałego placu ukazują się wspaniałe kościoły. Takie w mojej duszy uczynił wrażenie kościół św. Piotra—pisze Staszic—ledwie się nim zaduma umysł zachwycony, a już zmysły ciekawość obraca na świątynię. Poczucia piękna, czyli zmysłu artystycznego nie posiadał Staszic, wrażenia więc jego z podróży włoskiej nie są zbyt cennymi dla czytelnika. Przytem Staszic w głębi duszy religijny, nie może się zdobyć na pobłażliwość dla rządów świeckich, a nawet kościelnych, Papieży i przeplata swój Dziennik podróży uwagami surowymi i pozbawionymi wyrozumiałości.

W każdym razie, Kraushar zasłużył sobie na wdzięczność ogólną za wydrukowanie Dziennika podróży. Już sama autobiografia Staszica, rzucająca dużo światła na działalność tego szlachetnego doktrynera, wynagrodzi czytelnika „Dziennika podróży“. Zresztą w opisach rządów państw i charakterów narodowych, znajduje się nie jedna trafna i cenna uwaga, która Dziennikowi zapewni trwałą wartość.

FRANCISZEK BUJAK: *Żmiąca, wieś powiatu limanowskiego, Kraków, Gebethner, 1903.*

Pan Bujak jest w nauce tym rzadko się spotykać dającym okazem człowieka „zasłużonego a szczęśliwego“, bo w młodym wieku zdołał swemi monografiami wsi Maszkienice, Limanowej, a obecnie wsi Żmiąca, wytworzyć sobie poważne w świecie naukowym stanowisko. Nie trzeba się nad tem rozwodzić, jak dalece takie monografie są rzeczą potrzebną. Zdaje się nam, że znamy doskonale nasz kraj, nasz lud i nasze wsie, tymczasem nie znamy dosyć, bo nie rozpoznajemy na pierwszy rzut oka różnic i lokalnych właściwości; dużo niezmiernie charakterystycznych szczegółów uchodzi naszej uwagi, a że stosunki i zwyczaje wiejskie codziennie w naszych oczach się zmieniają, więc już może w przyszłej generacji nikt nie będzie mógł zdać sobie dokładnie sprawy z gospodarczego i kulturalnego stanu wiejskiego ludu. Za inicjatywą *Le Play*'a wydaje towarzystwo reformy społecznej we Francji już od pół wieku niezliczoną ilość monografij, przedstawiających z fotograficzną ścisłością warunki gospodarcze rodzin robotniczych francuskich; u nas przed pół wiekiem jeszcze zainicjował Ludwik Górski badania monograficzne swoimi obrazami powiatów rawskiego i czerskiego (*Roczniki gospodarstwa krajowego*). Przykład ten nie znalazł naśladowców przez kilka dziesiątków lat i dopiero świeżo dał nam p. Wiercieński „statystyczny opis gubernii lubelskiej“, a p. Stanisław Dzierzbicki opracował plan takich monograficznych wydawnictw i rozesłał odpowiedni—według p. Bujaka niezupełnie odpowiedni—kwestyonaryusz.

Pod względem układu i metody badania jest *Żmiąca* rzeczą znakomitą. Opis zaczyna się od położenia wsi, jej gleby, klimatu, rozległości, potem mamy nader ciekawy i barwny szkic historyczny, dalej idzie omówienie stosunków spadkowych, uprawy roli, chowu bydła, stosunków zarobkowych, handlu i przemysłu, stosunków kredytowych i oświaty. Jak dalece z monografii niniejszej można wyciągnąć wnioski ogólnej natury, wskazuje np. kwestya zaludnienia. *Żmiąca* należała do klasztoru Klarysek w Starym Sączu, przechowały się więc spisy czynszów i ludności z różnych epok, począwszy od fundacyi klasztoru w r. 1283, zwłaszcza zaś obszerne i — jak zdawać by się mogło — dokładne inwentarze z XVII wieku. Tymczasem autor dochodzi, na podstawie spisu łąnow i chałup, do wniosku, że ludność *Żmiącej* wynosiła pod koniec XVII wieku trzy razy więcej, niż poda-

wały urzędowe spisy dla poboru podatku pogłównego sporządzone Dr. Bujak sądzi, że cyfry urzędowe mają znaczenie konwencyonalnej stopy podatkowej, nie przedstawiają zaś rzeczywistego stanu. Przepisywano je bez bliższych badań ze starych do nowych spisów, Sejm uchwalał bowiem zawsze tylko jednorazowy pobór podatku, a wybrani przez sejmik ziemski dwaj poborcy, nie mieli absolutnie czasu, żeby wszędzie dokładne zestawienia ułożyć, trzymali się więc ślepo starych wykazów i nie uwzględniali przybytku ludności. W sprawie tej zajmuje więc autor odmienne stanowisko niż prof. Czerkawski, w swej „Metodzie statystyki historycznej polskiej“, który ma w ogólności do dawnych spisów podatkowych zupełne zaufanie.

Niemniej interesującym jest obraz wzajemnego stosunku dwóch ciężarów, które ponosili poddani klasztoru, mianowicie czynszu i robocizny. W XVI wieku czynsz równa się dziesięcinie, a robocizna niewielką odgrywa rolę. W początkach wieku XVII-go czynsz wzrasta w czwórnasób, ale tylko nominalnie, równocześnie bowiem wartość pieniądza znacznie się obniża. Natomiast obowiązek świadczenia robocizny staje się coraz bardziej dolegliwym. Według inwentarza z r. 1698 mają kmiecie odrabiać właścicielowi bydłem pięć dni w tygodniu, zagrodnicy świadczyć robocizną pieszą również pięć dni na tydzień, chałupnicy jeden do trzech dni, z wyjątkiem szewca, który ma robić pięć dni, tak jak zagrodnik. Nadto mieli kmiecie dostarczać kolejno na każde żądanie podwód, dawać klasztorowi po dwa kapłony i dwadzieścia jaj rocznie, tudzież z włókna pańskiego prząść po sztuce płótna, zagrodnicy i chałupnicy po pół sztuki. Autor przypuszcza, że klasztor to płótno sprzedawał, bo nie był w stanie tak wielkiej ilości zużyć.

Jeżeli już prestacye drobiu i jaj były niewątpliwie łatwe do ponoszenia, to inne uboczne świadczenia były jeszcze lżejsze, a bardzo charakterystyczne. Chałupnicy mieli konwentowi dostarczać popiołów do bielienia płótna, komornicy dawać „ziele do święcenia, różę polną, poziomki, kmin i barszcz“. Leśny miał dostarczać grzybów, a jeden chałupnik, któremu pola dużo udzielono, dwie faski miodu. O rozwoju sadownictwa świadczy fakt, że według inwentarza z roku 1738, przy jednej zagrodzie był sad z 310 śliw się składający. I dziś jeszcze gdzieś tam utrzymały się takie sady w okolicy, np. w położonej o kilka mil od Żmiącej wsi Leszczyna powiatu wielickiego. Śliwy zastępowały wówczas ziemniaki, mamy dowody, że w XVII wieku pojawia się nawet wyrób piwa lub wódki w kotłach na robienie powideł przeznaczonych. O rozwoju bartnictwa świadczy fakt, że kary — jakbyśmy dziś powiedzieli — pieniężne, świadczone w postaci wosku do kościoła.

Sądownictwo spoczywało w rękach sądu, złożonego z 7 wybranych przysiężników pod przewodnictwem wójta, później przewodniczy dzierżawca lub administrator wsi. Jako publiczni oskarżyciele występują zaprzysiężeni rugownicy. Drobne sprawy załatwia sam wójt. Na sądach rugowych „dobrzy byli chwaleni, mierni gawieni, źli zaś plagami okładani“, jak mówią urzędowe zapiski. Liczba plag wynosiła 10 do 300, karano stu różgami cudzołóstwo, którego chłop dopuszczali się często (w r. 1742 dwanaście wypadków w tej jednej wsi, liczącej nie więcej jak 250 mieszkańców razem z dziećmi), karano także cieleśnie gospodarza za „niedozór czeladzi“, gospodynię za „niepostrożność“. Zdarza się czasem kara wygnania, o karze śmierci niema żadnej wzmianki.

Przejdźmy do stosunków społecznych. P. Bujak podaje mnóstwo charakterystycznych szczegółów i wyrazów gwary ludowej skąd inuąd mało znanych. Przedstawia dokładnie bonitację i rozmiar gruntów prywatnych i gminnych, sposób uprawy roli, zwyczaje spadkowe, ceny ziemi i robotnika. „Gospodarze uważają się nie za rzeczywistych, niczem nieograniczonych właścicieli, ale tylko za użytkowników, którzy mają pewne obowiązki względem przekazywanego z pokolenia w pokolenie gospodarstwa. Zamożny gospodarz zmięcki nie mógłby się pogodzić z myślą, ażeby na tym samym gruncie miało po nim gospodarować dwóch lub więcej następców. Niejednemu z nich wydaje się nie do pojęcia, żeby można gospodarować na mniejszym kawałku ziemi, niż on ma. Córki dziedziczą grunt zamiast synów, jeśli cały majątek był własnością żony gospodarza (str. 66), czasem także wtedy, jeśli obdłużone gospodarstwo nie dałoby się w rękach synów utrzymać, podczas gdy córka znajduje zamożnego męża. „Spłaty bywają zawsze drobne, nigdy nie wynoszą więcej jak $\frac{1}{3}$ część wartości tego spadku, któryby przypadł przy równym podziale, z reguły nie dochodzą nawet $\frac{1}{4}$ części“ (str. 71, por. jednak str. 111). Położenie niedziedziczącego rodzeństwa jest znacznie pomyślniejsze, niżby to można przypuszczać. Zadłużonych gospodarstw jest 23% na łączną sumę 50,000 koron, oszczędności ma 29% gospodarstw w łącznej sumie 62,000 koron, na jedną obdłużoną zagrodę wypada przeciętnie półtora tysiąca koron długu, a przeciętna kwota zaoszczędzona wynosi nieco wyższą sumę. Stopa procentowa, na którą sąsiad pożyczycza sąsiadowi, wynosi normalnie 10, czasem 8%, pieniędzy jednak nie wypożycza nikt na czas dłuższy, bo są one przeznaczone na posag dla córek. Chaty są kurne, bez kominów, dwuizbowe, chat z kominami jest dotąd zaledwie dziesięć, bydło mieści się w izbie mieszkalnej.

Karczmę wprawdzie niedawno zniesiono, ale młodzież składa się na trunek i pije w chatach komorniczych, grając przytem w karty. Dla ubogiego ma mieszkaniec Zmiącej serce otwarte. Według zapewnień autora, było we wsi do niedawna czterech żebraków, którzy tak obfitą dostawali jałmużnę, że nie chodzili wcale do wsi sąsiednich, kaleków do niedawna przyjmował każdy gospodarz na pewien czas do siebie i odstępował potem sąsiadowi.

Wesela bywają huczne, muzyka gra arye, które możnaby nazwać lokalnemi, poszczególne wsie mają bowiem swoje własne arye. Do niedawna trwało wesele cztery dni, starostów z żonami było po 4—6 par z każdej strony, a dyalog między starostami i wesołe przemowy należały do niezbędnych formalności. „Zwykle dopiero w pół roku po ślubie zamieszkują małżonkowie razem“ (str. 126). Akuszeryą i rudni się chłop zamieszkały w sąsiedniej wsi, który swą praktykę wykonywa na podstawie książki Jana Różańskiego, p. t. „Sztuka babienia, dzieło bardzo potrzebne odbierającym po wsiach dzieci przy połogu“. Warszawa 1786. Książkę tę autor widział i utrzymuje, że korzystanie z książki medycznej z przed 120 lat, nie jest najgorszem złem, z którym się można spotkać na wsi, w sprawie opieki nad chorymi.

Powinienbym na tem skończyć streszczenie książki, komplementów autor nie potrzebuje, rzecz przemawia sama za siebie. Niech mi jednak będzie wolno na chwilę odłożyć pióro recenzenta, żeby dodać parę własnych spostrzeżeń. Piszący te słowa mieszka od lat kilkunastu w okolicy Zmiącej i nieraz bywał nie tylko prywatnie, ale jako członek rady i wydziału powiatowego, nawet w urzędowym charakterze w najbliższej okolicy. Tem wyżej stawia książkę p. Bujaka, że przyznać musi, iż wskutek niej dopiero zwrócił uwagę na niejeden, dawniej niedostrzeżony moment. Ze słów p. Bujaka tryska gorąca miłość kmiecego społeczeństwa, które się w tym zapadłym między górami zakątku utrzymało podobnem do tego, jakim było przed kilkuset laty, to każdy czytelnik dostrzega, równie jak i to, że autor podnosi tak złe, jak i dobre strony naszego społeczeństwa. Czy jednak nie uogólnia gdzieś nadto poszczególnych faktów, czy przyzwyczajony w historii do metody wstecznej, nie ucieka się do niej także w terażniejszości, to mi wydaje się cokolwiek wątpliwe. Takie robią na mnie wrażenie niektóre ustępy pracy. Np. (str. 140): „Za mszę wotywną o powodzenie trzeba obecnie ofiarować ciele, bo pierwsza tego rodzaju ofiara, złożona przed kilku laty przez jednego z kmieci zmięckich, tak się spodobała plebanowi, że ogłosił ją z ambony za obowiązującą zasadę“. Str. 127: „Zmięcanie mają wielką niechęć do szukania sprawiedliwości w sądzie, choć są najgłębiej

przekonani o słuszności swej sprawy, bo nie mają zaufania do sądów które podejrzewają o niedbalstwo i przekupstwo". Str. 105: „Zmiećcanie nie chodzą na jarmarki dla rozrywki, bez potrzeby załatwienia, ważnego interesu, brak im bowiem czasu, a roboty mają zawsze wiele". Tu należałoby też może zamieścić ową wzmiankę, że małżonkowie zwykle dopiero w pół roku po ślubie zamieszkują razem, wzmianki o nienawiści do żydów, o umiarkowanych procentach, o litości nad żebrakami i kilka innych. Nie zarzucamy autorowi niedokładności, ani się z nim nie śmiemy spierać, o ile jednak możemy mówić na podstawie dokładnej znajomości gmin sąsiednich, to ujemne strony postępu i nowoczesnej kultury, wsiąkają codziennie pełnymi porami do tego górskiego zakątka. Kobiety wiejskie idą o dwie mile na jarmark, żeby sprzedać trzy jaja żydówce, która się usadowiła na gościńcu przed miasteczkiem. Nieufność do żyda jest, bo jest do każdego i nieraz przed niejednym niebezpieczeństwem chroni, zawsze jednak do żyda ma włościanin mniej nieufności, niż do kogokolwiek-bądź. Żebrakowi rzuca grosz na jarmarku z przesądu, żeby dobrze załatwić interes, ale miłosierdzia chrześcijańskiego dla niego nie ma. Na sądy słyszeć skargi można często, ale żeby gospodarz przekonany o słuszności swej sprawy, nie udawał się do sądu, żeby np. zdał się na orzeczenie sędziego polubownego, to może się zdarzyć tylko jako najrzadszy wyjątek. Niech wreszcie czytelnik nie sądzi, że i nadal jeszcze całe generacje przychodzić będą na świat na podstawie książki medycznej z XVIII-go wieku, władze rządowe ścigają nielitościwie tych, co praktykują wolno na podstawie takich książek, a władze autonomiczne wydają tysiące na stypendya i pensye, aby w każdej większej wsi były osoby fachowe i egzaminowane, które przyszłych obywateli Żmiećcej przyjmą w mniej odpowiadającą tradycyi, ale za to pewniejszą opiekę.

DR. ANTONI GÓRSKI.

ARTUR GRUSZECKI: „Tam, gdzie się Wisła kończy”, powieść w 2-ach tomach. Warszawa, 1903.

Twórczość belletrystyczną p. Artura Gruszeckiego oceniać można z dwóch założeń, niezależnych od siebie, a zawisłych od rodzaju, gatunku literackiego, do jakiego je zaliczymy.

„Krety“, „Hutnia“, „W starym dworku“, „Pruski huzar“, „Tysiąc lat“, „Zwyciężeni“, „Tam, gdzie się Wisła kończy“ — wszystkie

powieści tego typu mogą być w miarę potrzeby zaliczone do publicystyki. Każda z nich porusza sprawę, będącą na dobie, sprawę, która w chwili obecnej wzbudza wzmożone wśród inteligentnego ogółu zajęcie, o której chętnie się pisze, a jeszcze chętniej czyta. Jako takie, utwory p. Gruszeckiego dochodzą do wysokiej skali wartości; wszystkie bowiem elementy, z których składa się godna praca publicystyczna, a więc: walor wewnętrzny, doniosłość tematu, oświetlenie osobiste, zamierzony cel i sprawność literacka, — wszystkie owe pierwiastki doprowadza autor „Tuzów“ do tego stanu, w którym motyw obywatelski łączy się z podatnością czytelniczą w harmonijną, godną całość. Gdybyśmy chcieli wspólną cechą zharmonizować wszystkie poszczególne wysiłki i wszystkie jego intencje, to trzeba by użyć wyrazu: „szlachetność“ na sprawiedliwe oddanie wrażenia. Nie sądzę, abym musiał szerzej uzasadniać moje przekonanie. Wystarczy przebiegnąć wspomnieniem treść książek, podanych powyżej, aby odczuć żywo serce gorące i czujące, serce, oddane zawsze temu, kto cierpi niesłusznie. Los górnika sosnowickiego, zapracowanego do rozpacz, — męczonogo przez Madziarów Słowaka, niedoświadczony dramat Kaszuba, ginącego w odmęcie germanizacji i uciemionego Ślązaka — zajmie zawsze wyobraźnię Gruszeckiego i popchnie go do wszechstronnego oświetlenia jego sprawy. I z chwilą, gdy sprawa ta przedostaje się pod pióro Gruszeckiego, może mieć zapewnioną ilustrację niepomierne zajmującą, podaną w sposób dostępny zarówno dla tych, którzy pracą autora pragną sprawdzić swoje wyrobione już opinie, jak i dla tych, którzy z książki jego dowiedzą się po raz pierwszy o danej materji. Ta rozciągłość pożytku — oto pierwsza ważna cnota publicystyczna p. Gruszeckiego. Mam przeświadczenie, stwierdzone zresztą przykładami, że np. tacy „Zwyciężeni“, jaśniej i silniej przemówili do wielu ludzi, od setki artykułów bardzo nawet znacznych, rozsypywanych po dziennikach w sprawie śląskiej. W tym samym stosunku dokonają swego: „Pruski Huzar“ i „Tam, gdzie się Wisła kończy“. Los biednego chłopca śląskiego, oddanego do szeregów pruskich, opowiedziany jaskrawie, to znaczy z wyciągnięciem wszystkich punktów oskarżających oficera, czy wachmistrza hakatysty, musi przecież przejąć tych, do których należy mówić w sposób najtwardszy i najbardziej dopowiedziany. Zwyczajne argumenty i uogólnienia dziennikarskie przeobrażają się w utwory p. Gruszeckiego w sceny o charakterze epickim. Pojęcie „chłopa polskiego dręczą w koszarach“, rozszerza się do szeregu opowiedzianych przykładów, a te dla większego zainteresowania łączą się w całość organiczną. Metoda to uświęcona powodzeniem wielu dzieł dydaktycznych, wśród których możnaby wyliczyć długi wyciąg

pierwszorzędnych. Na tym pomysłe ilustracyjnym powstawało „Życie Telemaka“, przedostawały się do ogółu wiadomości z historii, z dziejów sztuki (jak „Gawędy florencie“ Klaczki, lub „Odrodzenie“ hr. Gobineau) — tę samą technikę uprzystępniania przenosi autor „Pruskiego huzara“ dla celów publicystycznych. Formą belletrystyczną ujmując uwagę czytelnika, aby przemówić do jego serca w sprawie bohaterów. A ci bohaterowie jego, to zawsze ludzie żyjący i ludzie potrzebujący powszechnej uwagi. To nie znaczy, aby taki Stach Urbaniak z powieści p. t. „Tam, gdzie się Wisła kończy“ był istotnie figurą autentyczną, ale jest jednym z tysiąca takich samych, jak on, młodych Kaszubów. Autor pracy rysuje go umyślnie w konturach, przydatnych dla każdego innego chłopaka z jego środowiska i obdarza go sferą takich atrybutów psychologicznych, wśród których nie wiele możnaby było zaliczyć do jego osobistych, odróżniających go od tysiąca współbratymców. Skutkiem takiej intencji, ów Urbaniak staje się niemal bezimienną częścią sprawy, która dała autorowi temat, nietyle jest on tu Stachem, narzeczonym ładnej dziewczyny, osobnikiem, przechodzącym takie a takie procesy wewnętrzne, ile przede wszystkim Kaszubem, a potem rybakim, następnie rybakim pragnącym dla swoich braci postępu. Barwa jego społeczna pokrywa i zakrywa psychiczną.

Okoliczność ta sprawia jednak, że gdy te same prace zechcemy rozpatrywać z artystycznego wymagania, wtedy należy przeciw nim wytoczyć szereg zarzutów.

Niema i nie może być kanonu, iż dzieło literatury pięknej musi się zajmować psychologią człowieka wyłącznie, — traktować mu wszak wolno o wszystkim, zarówno o zwierzęciu, naturze, czy o najrozmaitszych złożonych objawach. To prawda. Ale warunkiem *sine qua non*, obowiązkiem tej literatury jest zawsze wyszukiwanie duszy, jeżeli nie pojedynczego człowieka, to czynu ludzkiego, procesów psychicznych, duszy zbiorowisk ludzkich, duszy konfliktów, czy objawów złożonych, duszy, czyli tego najbardziej zasadniczego motoru, który sprawia, że wszystkie owe tematy stać się mogą treścią artystycznie podażną. I w tem pojęciu powieść staje się historią psychologii zarówno pojedynczego człowieka, jak masy ludzkiej, psychologii objawów, konfliktu i t. d. Im więc psychologia owa powźmie rozleglejsze zadanie, im pod analizę piszącego więcej podpadnie nici wewnętrznych, splotów, tworzących dane zjawisko, tem metoda badania artystycznego musi być ściślejsza. Im postać powieściowa więcej od talentu autora bierze t. zw. rysów charakteru, więcej widomych znaków duszy, im w dalszych i pozornie najdalszych oscyluje krańcach, tem staje się prawdziwszą i żywszą.

Postacie p. Gruszeckiego wykazują wręcz przeciwne raczej tendencje. Każda z nich powstała z minimalnej ilości linii psychicznych. Weźmy tego pisarza powieść p. t. „Zwycięzcy“. Mowa w niej o dramacie duchowym pewnego oficera armii pruskiej, Polaka, który w r. 1870 musi z rozkazu wojskowego bombardować pałac ukochanej, a potem ją samą na śmierć skazać. Osoby, działające w powieści — to oficerowie, generałowie, adjutanci i t. d. Można ich wszystkich podzielić na dwie zasadnicze grupy: charaktery zwierzęce i charaktery niemal anielskie. Do pierwszej należą wszyscy oficerowie Niemcy, na drugą składają się dwie postacie: ów bohater-pułkownik i jego adjutant p. Stanisław. Obaj Polacy. Po za tem, że obaj są szlachetni ludzie — nieda się o nich nic powiedzieć, jak o tamtych tylko — potwory. To ich cechy pierwsze i ostatnie.

„Zwycięzcy“ — to niewątpliwie powieść t. zw. felietonowa, pisana w tym celu, aby w czytelniku obudzać przedewszystkiem zmysł ciekawości. Nie przypuszczam, aby sam autor zaliczał ją do najstarszych swoich utworów; — atoli i „Tam, gdzie Wisła się kończy“, utwór jeden z najlepszych p. Gruszeckiego, wykazuje przecie tę samą dążność ubożenia psychologii. Dążność to bynajmniej nie bezwiedna, raczej przeciwnie: wynikła ze świadomej teorii.

Teoryą tą jest zasada t. zw. realizmu. „W postaciach ludzkich, działających w powieści, nie należy odgadywać żadnych stanów psychologicznych — notować jedynie te, które się dadzą skontrolować oznakami zewnętrznymi.“ Wedle zasady tej powieść ma się więc stać tem, czem jest np. przedstawienie dramatu w teatrze; albo lepiej: protokołem artystycznym przedstawienia. Ma być dokładnie i trafnie określone — nietylko wszelkie powiedziane słowo, ale każdy gest, ruch i spojrzenie każde, tak, aby z nich wolno było domyśleć się reszty człowieka.

W metodzie tej — nazywać ją najlepiej psychofizyologiczną — można dojść i dochodzono do doskonałości, jak i w każdej innej. Nie trzeba jednak dodawać, iż z większym trudem, aniżeli w każdej innej. Autor rezygnuje przy niej ze wszystkich środków pomocniczych, które mają na celu wyświetlenie życia wewnętrznego, osobowości bohatera. Marzenie, myśl skryta, uczucie nieprzejawione i cały obszar najciekawszych, najszczerzych, bo skrytych przed zwykłym badaniem stanów duchowych, odpada w analizie tego rodzaju. Pozostaje człowiek tylko taki, jakim pragnie być — a to nie zawsze analogia człowieka istotnego.

Drogą tej samej techniki powstawały osobistości z owej wioski pomorskiej, z Jastarni, w „Tam, gdzie się Wisła kończy“. Widzimy ich pracujących, kłócących się, modlących, łowiących ryby, wiecują-

tych, a jednak ich doprawdy nie znamy. Żadne z nich niema swego osobistego życia. Kasia podobna do Marysi, a do Michała Karol. Autor co najwyżej dba o cnotę Kasi, a o siłę Wawrzyńca. Po przeczytaniu książki znamy wiele niezmiernie ciekawych szczegółów z życia wioski pomorskiej; wiemy, czem się tam trudnią, gdzie jeżdżą z rybami, jakie mają zwyczaje, jakimi imionami chrzczą dzieci, doskonale odmalowany krajobraz morski, tylko że w całej wsi niema ani jednego osobnika. Karol, czy Michał, Marysia i Kasia, to równa prawie cząstka tej całości zbiorowej, dla której pisano powieść, to cząstka Jastarni, a nawet nie zindywidualizowany element walki o wędzarnię. Bo podtytuł powieści winien tak brzmieć: Walka o wędzarnię.

Stach Urbaniak, młody chłopak z Jastarni, z tej kaszubskiej rybackiej wioszczyny, powraca do domu z „Maryny“, ze służby wojskowej na okręcie. Dużo świata widział, nie jednej nowej rzeczy się przypatrzył. W Anglii i Holandyi zapoznał się z postępowym układem spółek rybackich, które daleko odbiegły od archaicznych form życia rybackiego w Jastarni i Pomorzu wogóle. Przyjeżdża do wsi rodzinnej, pełen palących pomysłów nowatorskich. Chce skłonić tujsze maszoperye, t. j. spółki wytwórcze rybackie do wynajęcia większego statku i do połowu ryb na pełnym morzu, chce namówić rybaków do założenia wędzarni ryb, aby przetworzony produkt z większym zarobkiem sprzedawać, chce, jak młody, wiele, wiele. Nie obliczył się jeno z zachowawczością starych. Ci ani chcą słyszeć o nowinkach Stacha. Rozpoczyna się walka młodych ze starymi. Młodzi wyruszają statkiem na pełne morze, starzy po swojemu na łodziach łowią przy brzegach. Poszczęściło się młodym; nietylko spędzą zimę z większym, aniżeli ojcowie, zasobem grosza, ale jeszcze założą upragnioną wędzarnię, a Stachowi dostaje się nadto, jako słuszną nagrodą, najpiękniejsza we wsi dziewczucha za żonę. Warto iść z postępem!

Na tej osnowie powstać może tyle utworów, ilu jest powieściopisarzy. Każdego z nich zajmie inna strona bajki. Może to być romans serc, przed którym ustąpi na plan dalszy i wędzarnia i pełne morze i walka pokoleń; może to być studjum artystyczne nad duszą Stacha, nad tem milionem odruchów serca i myśli, zrodzonych w gorącej chęci dobra, zawodu, goryczy, energii lub apaty; innego znów zajmie sceptyczna niewiara w intencje społeczne Urbaniaka; po drodze powieści stać może nawet tragiczny traf, tak boleśnie znany rybakom całego świata: przyjdzie jedna złośliwsza fala i zatopi zarówno Stacha Urbaniaka z jego wracą od górnych myśli głową, jak i zrezygnowanych w doli -- niedoli starych konserwatystów. W po-

wieści p. Gruszeckiego, bohater utworu z apostołską skromnością ustąpił miejsca zagadnieniom zawodowym, rybackim, a raczej nie ustąpił, lecz ustąpiłby: — bo, o ile można odczuć z toku czytania — bajka owa cała o Urbaniaku, o „maszoperyach“, „hokorkach“, o zasłużonej rezygnacji starych, o gorączce szlachetnej młodych — to jeno basis, na której autor stawia swoją alegoryę:

„Tam, gdzie się Wisła kończy,“ u morza żyje plemię polskie. Żyje w nieświadomości narodowej. Otoczone, jak wyspa, zewsząd morzem. Od północy morzem fizycznym, z trzech pozostałych — morzem obcej, wrogiej kultury. Morze istotne, — ta zła otchłań wody zabiera z dnia na dzień obiadę ofiarną z ludzi; zabiera żonom mężów, ojców sierotom, tak giną pokolenia całe, ginęły od wiek wieków. A tamto morze alegoryczne, morze germanizacji, pochłania z równą potwornością całe powiaty i wsie, że została tylko wysepka, taka niewielka Jastarnia z dziesiątkiem, setką, czy tysiącem zrezygnowanych rodzin, bezsilnych wobec przemocy morza. Aż musi przecie przyjść pokolenie młode, dzielne, które uwierzy w Boga i w wiarę swoją i rozpocznie bój z m o r z e m. I nie przepadną wysiłki takich Urbaniaków, wrócą z boju szczęśliwi i spokojni na przyszłość, jak z pełnego przestworu wrócił do brzegu Stach, pełen na zimę otuchy.

A. GRZ. SIEDLECKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

P. Edmund Jankowski, redaktor „Gospodarza,” poruszył niedawno na łamach „Gazety Polskiej” bardzo ważną sprawę „Pogadanki dla ludu wiejskiego.”

Co to są takie „pogadanki?” i do czego zmierzają?

Są one, a raczej mają być popularnymi wykładami z dziedziny rolnictwa, a zmierzają do podniesienia kultury rolnej w kraju.

Pod tym względem stoimy, na ogół biorąc, źle i postępujemy bardzo powoli. Włościanin nasz wiedzy rolniczej nie posiada, ma tylko tradycyjną rutynę. Ponieważ zaś lud czytuje mało, a ilość nieumiejących czytać wciąż jeszcze znacznie jest większą od umiejących, przeto nauka rolnictwa drogą słowa drukowanego przenika na wieś jeszcze bardzo trudno. Więcej działa tu naśladownictwo, przykład żywy, promieniejący na okolicę z majątków „dworskich”, dobrze zagospodarowanych. Tą drogą przedostała się np. do włościan uprawa konioczyn, łubinu, seredelli, oraz rozpowszechniają się wolno, choć z trudem — ulepszone odmiany ziemniaków. Wszakże o istotnym postępie mówić będzie można dopiero wówczas, kiedy konserwatyzm chłopski zostanie złamany przez jasne i trzeźwe pojmowanie korzyści, płynących z ulepszeń i zdobyczy na polu rolnictwa. Tego zaś dokonać może tylko nauka, umiejętnie podawana i szerzona wśród włościan.

Kraje zachodnie — mówi p. Jankowski, rozwijając swoją myśl zasadniczą — posiadają licznych instruktorów objazdowych i nauczycieli wędrownych, mających obowiązek peryodycznego objeżdżania swoich okręgów i dopomagania włościanom radami i objaśnieniami, tak przy samej uprawie, jako też przy nabywaniu narzędzi i nasion, a wreszcie przy zbywaniu wytworów, produkowanych ponad własną potrzebę. Ten system w Belgii, Francji, Danii wydał już błogie skutki — a dodać należy — zaczyna je wydawać i w Galicyi, gdzie instruktorowie, wysyłani przez Wydział Krajowy, stali się już popularnymi i dobrze widzianymi gośćmi na wsi.

Dla nas takie nauczanie byłoby tem potrzebujsze i tem więcej pożądanę, że „szachownica“ stanowić już dziś zaczyna nietylko przeszkodę w rozwoju rolnictwa, ale zarazem przeszkodę w wyżywieniu coraz liczniejszej ludności. Niema co! Z ziemi trzeba wydobywać także coraz więcej.

Przed niedawnym czasem ministeryum rolnictwa ogłosiło właśnie przepisy, pozwalające na wykłady rolnictwa i nauk z niem związanych, w kraju naszym, w języku polskim, dla ludności wiejskiej, pod kontrolą i za pozwoleniem władz, a głównie miejscowych zarządów dóbr państwa lub gubernatorów. Z pozwolenia tego skorzystało pierwsze T-wo ogrodnicze warszawskie. Uzyskało ono pozwolenie na wygłoszenie pogadanek z owocarstwa i warzywnictwa w pięciu miastach powiatowych gub. warszawskiej. Do wypowiedzenia ich wskazany i upoważniony został p. Stanisław Brzozowski, znany ogrodnik.

Pierwsza z tych pogadanek odbyła się d. 10-go kwietnia w Grodzisku. Ponieważ pozwolenie na nią nadeszło d. 8-go kwietnia, więc nie było czasu na rozlepianie ogłoszeń. Jedynie ksiądz dziekan grodziski powiedział o niej z ambony. A przecież słuchaczyw zebrało się kilkuset. Słuchali oni pilnie, a co ważniejsza — zarzucili następnie prelegenta pytaniami tak dalece, że wykład przeciągnął się do 3 godziu. Gdy następnie przyszło do rozdania paruset paczek nasion wyborowych, zbiła się tak gęsta ciżba około rozdającego, że go „wprost na ręku noszono“.

Przykład ten jest bardzo wymowny.

„Zachęczone tak dobrym początkiem — pisze p. Jankowski — Tow. ogrodnicze będzie pracowało dalej w tym kierunku, o ile na to pozwolą fundusze. Lecz to dopiero mała część pracy. Może ona jedynie nauczyć ogrodnictwa, a gdzież cała uprawa roślin gospodarskich, hodowla zwierząt domowych, mleczarstwo i tyle innych nauk, bez których włościanin nasz często, a zwłaszcza po lecie złem, jak zeszłe, lub na przednówku, przymiera głodem?

Niechże więc teraz Towarzystwa rolnicze pomyślą o urządzeniu pogadanek z zakresu całej umiejętności rolnej, o ile ona może być podana włościaninowi. Nie będzie to nauka zupełna. Szkoły one, ani pracy na wzorowym folwarku nie zastąpi — to pewna, ale — „na bezrybiu i rak ryba“. Niech włościanie z ust umiejętnych usłyszą zachętę do postępowej pracy, niech się dowiedzą o lepszych metodach uprawy, zobaczą dobre i tanie narzędzia i sposób ich użycia, niech się nauczą zrzeszać w celach handlowych i hodowlanych, niech dostaną próby wyborowych nasion i ziemniaków — a będzie to bodźcem do nowej pracy..

Niezmiernie też ważną dla nich rzeczą będzie możność pytania się i znajdowania rady na te rozliczne wątpliwości i niepowodzenia, których tyle doznaje każdy rolnik, a zwłaszcza rolnik mały, ciemny i nieumiejętny.“

Tyle słów p. Jankowskiego. Wezwanie w dobrej sprawie zostało rzucone. Nie wątpimy też, że znajdzie ono rychły oddźwięk w Towarzystwach, a nawet w kółkach i spółkach rolniczych, objawiających tyle żywotności i świadomego dążenia do światła.

*

*

*

Od pewnego czasu sprawa szpitalnictwa jest u nas na porządku dziennym, a jest dlatego, że należy ona do rzędu bolących i niezalążonych kwestyi, których Warszawa posiada cały szereg. Przytem ze względu na swoje pierwszorzędne znaczenie społeczne, wysuwa się ona na czoło zagadnień chwili. Omawia ją też prasa specjalna i ogólna, omawiają lekarze i publicyści, dyskutuje nad nią Towarzystwo higieniczne. Coraz głośniej objawia nadto swoje niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy cała masa szarej ludności miejskiej, która korzysta ze szpitali warszawskich. Wszystko to dowodzi, że jest naprawdę źle.

Dlaczego?

Odpowiedź na to znajdujemy w sumiennem i wielostronnem opracowaniu tej kwestyi w „Gazecie Lekarskiej“. Pozwolimy też sobie zaczerpnąć stamtąd niektóre dane, dla czytelników naszych najciekawsze.

Jak wiadomo, od r. 1870 szpitale warszawskie są pod zarządem Rady Miejskiej Dobroczynności publicznej. Odebrała ona szpitale od dawnej Rady Głównej opiekuńczej w stanie kwitującym, dziś zaś szpitalnictwu grozi poprostu bankructwo, a deficyt 7 szpitali w końcu r. 1902 wynosił aż 190,293 rb. Niewątpliwie ludność miasta wzrosła znacznie i wzmogły się wymagania lecznictwa, ale równocześnie wzrosła i wartość majątków szpitalnych. Według obliczeń dra Jakimiaka, kapitały instytucyi dobroczynnych w Warszawie wynosiły w r. 1870 — 1,644,504 rb., a ogólny ich majątek 4,691,422 rb.; w r. 1901, czyli po trzydziestu latach, cyfry te wynosiły 2,498,330 rb. i 8,860,450 rb. Różnica nielada.

Zwiększenie majątku szpitali w ciągu powyższego okresu trzydziestoletniego pochodzi z naturalnego zwiększenia się wartości własności nieruchomości, bo zapisy publiczności i zaufanie jej zmniejszyły się w tym samym czasie znacznie.

Od r. 1871 do 1901 ogół zapisów na rozmaite instytucje w Warszawie wynosił 1,270,647 rb., z czego przypada na szpitale tylko 579,808 rb., reszta zaś przeważnie na t. zw. instytucje prywatne, t. j. bardzo luźno związane z rałą miejską dobroczynności publicznej. Tu staje się widocznem, że „instytucje dobroczynne mogą wówczas tylko liczyć na ofiarność publiczną, gdy płacąca publiczność będzie miała swój głos w tych instytucjach“.

Z tych, czy z innych powodów majątki szpitali nie wystarczyły na zaspokojenie ich potrzeb i trzeba było szukać dochodów nowych. Ale zastosowane środki zaradcze, jak rublowy podatek szpitalny i podniesienie opłaty szpitalnej od osób nieopodatkowanych — zawiodły. A mianowicie, gdy w r. 1895 z podatku szpitalnego wpłynęło 204,000 rb., w r. 1898 już tylko 170,092 rb., a w r. 1903 — 168,308 rb. Spadek ten nie jest uzasadniony ruchem ludności robotniczej, ale raczej dość fantastycznym ściąganiem tego podatku, od którego broni się ludność, która ze szpitali korzystać nie będzie i na który niechętnem okiem patrzą ci, co wiedzą, że wobec chronicznego braku miejsc w szpitalach, nawet opłaciwszy podatek, nie nabędą prawa bezwarunkowego korzystania z leczenia bezpłatnego. Jest tu przytem jeden jeszcze fakt znamieny, domagający się podkreślenia — oto niepomierny wzrost wynagrodzenia policji za ściąganie podatku szpitalnego. Wynagrodzenie to dochodzi obecnie do poważnej kwoty 12,000 rocznie.

Na fakt ten zwrócono uwagę i Rada wydelegowała komisję do ponownego rozpatrzenia sprawy podatku szpitalnego, ale komisya ta zwróciła uwagę przeważnie na sposób ściągania podatku i zaproponowała powierzenie tego zadania Magistratowi.

Tymczasem należało także zwrócić uwagę i na niejasne opracowanie ustawy o tym podatku: Tak np. wiele pozostawia do życzenia pod względem jasności określenie osób, podlegających opłacie podatku i interpretacya zwolnienia od niego nieletnich. Ustawa mówi, że osoby, nie mające lat 17, są wolne od podatku, mając tu na myśli, że podatek powinien być za nie opłacany przez rodziców. Ale przecież w Warszawie jest ogromna masa służących i terminatorów poniżej lat 17, którzy nie posiadają rodziców w Warszawie; jeżeli ci chcą płacić podatek, to nie mówi im nikt, że są wolni od niego, ale że nie mają prawa płacić. W razie leczenia takiego nieletniego ściągają się z jego pracodawców, rodziny, gminy, słowem, gdzie się da

opłatę w ilości 50 kop. do 1 rb. dziennie. Mieszkańcy okolic podmiejskich, które szpitala nie posiadają, są tu traktowani na równych prawach z przyjezdnymi z najdalszych okolic.

Idźmy teraz dalej. Jak zachowuje się magistrat m. Warszawy wobec tych deficytów?

Odpowiedź jest tylko jedna—o bojętnie, a obojętność tę najwymowniej stwierdzą porównawcze zestawienia cyfrowe: Berlin, posiadający $2\frac{1}{2}$ raza więcej mieszkańców, niż Warszawa, wydaje na utrzymanie szpitali i innych instytucji dobroczynnych 9 mil. rubli, podczas gdy w budżecie naszego miasta na r. b. odnośna pozycja wynosi — 194,157 rb.! Według dra Polaka wydatek miast na instytucje dobroczynne, obliczywszy we frankach, na jednego mieszkańca wynosi: w Berlinie 13,5 fr., w Paryżu 13, w Poznaniu 8, w Moskwie 7,6, we Wrocławiu 7,5, w Petersburgu 6,2, w Rydze 6,2, w Odesie 6, w Warszawie 4,6, w Kijowie 2,7 w Łodzi—0,04 (!). Wiadąc z tego, że Warszawa zajmuje jedno z ostatnich miejsc, a z owych 4,6 fr. wydatkowanych na 1 mieszkańca — 4 fr. przypada na radę miejską dobroczynności publicznej, a tylko 0,6 na magistrat.

Udział magistratu w wydatkach szpitalnych jest tak mały, że zwróciło to nawet uwagę ministeryum spraw wewnętrznych i w związku z tem zapewne wyznaczono w r. b. 75,000 rb. na szpitale z funduszu zapasowego miejskiego. Tu jednakże stwierdzić należy, że magistrat niema dziś bezpośredniego wpływu na organizację i zarząd szpitalnictwem, jakkolwiek Rada miejska dobroczynności publicznej gotowa jest w zasadzie zrezygnować ze swego stanowiska i oddać szpitale na rzecz miasta. Czy to będzie lepiej? Dr. Dunin twierdzi w swoim odczycie o tej kwestyi, że tak—„ponieważ miasto ma środki na prowadzenie szpitali, jakich niema Rada miejska dobroczynności publicznej, złożona przeważnie z ludzi, nie znających się na szpitalnictwie, nie interesujących się niem i nie mających wpływów, ani styczności ze społeczeństwem“.

Autor artykułu w „Gazecie lekarskiej“ również mniema, że o ile szpitale przejdą pod zarząd miasta, to nie poskąpi ono na nie grosza, czyni wszakże przytem taką uwagę: „Polepszenie bytu szpitali pod zarządem magistratu nastąpi tylko wówczas, jeżeli do komitetu, mającego zarządzać sprawami szpitalnemi, powołani zostaną ludzie rzeczywiście dokładnie obznajmieni ze szpitalnictwem i jeżeli społeczeństwu uprzystępniony będzie szerszy udział w sprawach szpitalnych.“ Przedewszystkiem udział ten wziąć powinni lekarze, którzy dziś prawie zupełnie są usunięci od jakichkolwiek wpływów na kierowanie sprawami szpitalnemi, co naturalnie jest nietylko niewłaściwe, ale wprost niepożądane.

Stwierdzenie tego faktu pozwala nam przejść do słabych stron gospodarki wewnętrznej szpitali warszawskich.

Jedną z reform wewnętrznych, przedsięwziętych w ostatnich czasach przez Radę miejską dobroczynności publicznej jest zamiana pokojów oddzielnych w szpitalu Dzieciątka Jezus na t. zw. miejsca pensjonarskie, z opłatą 2 rb. 50 kop. lub 1 rb. 50 kop. dziennie. Zdaniem lekarzy, zamiana ta nie jest wcale pożądana. Pokoje oddzielne przeznaczone są i przeznaczone być powinny dla chorych świeżo operowanych, zanieczyszczających się lub wreszcie zakażonych, o ile niema dla nich osobnego pawilonu. I tak pojęte, jednak nie spełniają swego przeznaczenia.

Chory odosobniony wymaga daleko troskliwszej opieki, niż leżący w sali ogólnej; tymczasem ta kategoria chorych najczęściej jest pozostawiona samym sobie — szczególnie w nocy, gdy na 40—50 chorych, t. j. na cały oddział, dyżuruje jedna osoba, najczęściej śpiąca gdzieś w kącie.

„W innych szpitalach — czytamy w „Gazecie lekarskiej“ — jeżeli nie całą, to przynajmniej znaczną część nocy dyżurują Siostry miłosierdzia; w szpitalu Dzieciątka Jezus z powodu zbyt małej liczby Sióstr, jest to niemożliwe. Zabiegi i prośby ordynatorów, aby polepszyć byt służby, powiększyć liczbę sióstr — były daremne. W nocy służba jest bez dozoru, choremu niema kto podać lekarstwa, zastrzyknąć kofeiny lub kamfory, nawet podać kawałka lodu, czy wody. Musimy widocznie czekać z dodaniem Sióstr, aż stanie się skandal głośny“.

Trzeba przyznać, że nie zachęca ten brak dozoru do korzystania ze szpitali tych, którzy nie są do tego zmuszeni.

Zobaczymy teraz, jak stoi sprawa budżetów szpitalnych?

Układane są one przez lekarzy naczelnych i intendentów — to prawda, ale ulegają w następstwie przeróbkom i zmianom, wprowadzonym do nich przez radę miejską dobroczynności publicznej, która przesyła je szpitalom w formie ostatecznej dopiero w maju lub w czerwcu.

Wynikiem tego jest niemożność oryentowania się w budżecie i stosowania go przez 5—6 miesięcy. Stąd też pochodzą w części przynajmniej przekroczenia budżetowe. Jako środek przeciw tym przekroczeniom wydano przepis, na mocy którego zarządy szpitalne winny nieustannie pilnować wysokości wydatków i zanim jakaś pozycja przekroczona zostanie — mają sobie polecone wnosić do rady podanie o powiększenie tej pozycji. W innym cyrkularzu czytamy: „zarządzający oddziałami mają sprawdzać i pod osobistą odpowiedzialnością podpisywać recepty, zapotrzebowania jedzenia, materia-

łów aptecznych, środków opatrunkowych i innych rzeczy niezbędnych dla chorych, bacząc przytem, by wymieniane zapotrzebowania były w zupełnej zgodzie z budżetem i by w nich zawsze była zachowana prawidłowość i należyta oszczędność." Lekarze mają tu więc być urzędnikami, dozorującymi tego, co się mieści w granicach budżetu, a nie tego, co jest potrzebne chorym.

Na pierwszy rzut oka można mniemać, że ten dość dziwny przepis wywołany został nadmierną rozciągliwością budżetów. Tymczasem wcale tak nie jest. W Magdeburgu, w szpitalu miejskim, leczącym 600 łózek, pozycja budżetowa, przeznaczona na nabywanie nowych instrumentów i przyrządów oraz utrzymanie starych wynosi 3550 rub., gdy w równym co do ilości łózek szp. Dzieciątka Jezus ta sama pozycja wynosi 100 rb. Jak to wygląda? I co byłoby, gdyby ordynatorowie, dbali o swoje oddziały, a posiadający odpowiednie środki, nie zaopatrywali szpitala w rzeczy najniezbędniejsze na własny koszt?

Jeszcze jeden fakt rzuca charakterystyczne światło na gospodarke finansową szpitali warszawskich. Oto dom wychowawczy przy szpitalu Dzieciątka Jezus ma własne krowy, które idą na sprzedaż, gdy przestają dawać mleko. Ale dzieje się to według ścisłych przepisów, przez licytację i wymianę papierów, które wszędzie odleżeć się muszą i często krowy, przeznaczone na sprzedaż, stoją po pół roku, zjadając przez ten czas w paszy znaczną część swojej wartości.

Ostatnią plamą na „słońcu“ szpitalnictwa warszawskiego jest znana już poniekąd czytelnikom naszym, bo omawiana przez nas w roku zeszłym na tem miejscu, sprawa asystentów szpitalnych.

Liczba takich asystentów powinna odpowiadać liczbie pawilonów. Chodzi mianowicie o to, aby ci asystenci mieszkali w pawilonach i mieli nad niemi stałą pieczę, aby byli ściśle związani ze szpitalem i mogli nieść pomoc po za godzinami dziennych wizyt lekarskich. Tymczasem przy wprowadzeniu tej reformy do Szpitala Dzieciątka Jezus—spaczono ją w zarodku, dając lekarzom—asystentom pomieszczenie w gmachu administracyjnym lub na mieście.

„Ze sprawą asystentów—czytamy—stało się to samo, co z reformą ambulatoryów, z reformą służby szpitalnej, z dezynfekcją, z całą masą innych reform, których projektowanie i motywowanie pochłonęło lekarzom masę czasu, kosztowało dużo zapалу i dobrych chęci, a przyniosło ordynatorom w rezultacie zniechęcenie, szpitalowi zaś w zysku prawie zero.

Tak się przedstawia „sprawa szpitalnictwa“ w oświetleniu „Gazety lekarskiej“. Dodać należy, że zaczerpuliśmy stamtąd tylko

rzeczy najważniejsze i najbardziej charakterystyczne. Widać z nich aż nadto dobrze, że dalsze trwanie tych stosunków ze względu na dobro i pożytek społeczny, jest niemożliwe. Potrzeba tu reformy szybkiej i radykalnej, żadne bowiem środki połowiczne do celu nie doprowadzą, przedłużą tylko obecną „wegetację“ szpitali i zwiększą ich niedobory finansowe do tego stopnia, że nastąpi kiedyś dzień prawdziwego bankructwa. Aby temu zapobiedz należy przede wszystkim postawić, jako postulat konieczny—przejście szpitali pod zarząd miasta, co zbliży je niewątpliwie do społeczeństwa. Wówczas magistrat będzie miał obowiązek pomyśleć o zdobyciu środków, odpowiednich do postawienia szpitali warszawskich na poziomie obecnych potrzeb ludności i nauki, czy to drogą wstawienia odpowiednich kredytów do własnego budżetu, czy drogą ustanowienia specjalnego powszechnego podatku szpitalnego. Dodać należy, że obok reformy szpitali już istniejących, potrzeba także szpitali nowych, oraz przytułków—pensjonatów dla nieuleczalnych, którzy obecnie są nieraz przez lata całe pacjentami szpitalnymi i powodują słynny „brak miejsca“. Rada dobroczynności publicznej nic na to nie poradzi—to wiemy już z doświadczenia—a miasto poradzić może, więc niech miasto prowadzi szpitale.

*

*

*

W chwili, kiedy piszemy słowa niniejsze, rozpoczynają się wybory do władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a przed tygodniem dopiero (1), t. j. dnia 11 kwietnia, ogłoszone zostały w piśmiech codziennych odpowiedzi Dyrekcji głównej na wnioski stowarzyszonych.

Pośród tych wniosków był jeden, który budził szczególne zainteresowanie wśród wszystkich, nie obojętnych na sprawy Towarzystwa. Wniosek ten dotyczył podzielności funduszu rezerwowego.

Zobaczymy, jakie wobec niego stanowisko zajęła Dyrekcya Główna i czy jej odpowiedź może zadowolnić wnioskodawców.

Odpowiedź ta brzmi, jak następuje:

„Ze strony stowarzyszonych (sześciu) okręgów wyszła porażdru gi propozycja, ażeby zgodnie z ogólnem życzeniem posiadających pożyczki, kwestya podziału funduszu rezerwowego była rozstrzygnięta w najkrótszym czasie.

Należy zwrócić uwagę, że oświadczenie tych stowarzyszonych nie może być uważane za wyraz opinii ogółu posiadających pożyczki, ponieważ równocześnie na innych zebraniach okręgowych przedstawiono oświadczenia wprost przeciwne, domagające się utrzymania zasady niepodzielności funduszu rezerwowego.

Projekt podziału funduszu rezerwowego między stowarzyszonych wydaje się widocznie niezmiernie wygodnym dla niektórych z nich, skoro znajduje poparcie pośród pewnej liczby członków, ale zadanie władz T-wa polega na popieraniu interesów całego T-wa, a nie wyjątkowych korzyści, mogących być udziałem poszczególnych jednostek.

Narady w tej sprawie, całkowicie rozpatrzonej na zebraniu ogólnem władz T-wa w r. 1900, dały rezultat następujący: z 36 obecnych członków władz—32 oświadczyło się przeciw podziałowi funduszu rezerwowego.

Motywy, któremi kierowała się tak znaczna większość zgromadzenia, były następujące:

1-o) W danej chwili, po 78 letnim istnieniu T-wa, dokonanie podziału funduszu rezerwowego pomiędzy majątki w stosunku do obciążających je pożyczek byłoby niewątpliwie niesprawiedliwem, przynosząc niezasłużoną korzyść tylko stowarzyszonym, którzy za ledwie zdążyli kupić majątki, albo też w przewidywaniu podziału wzięli znaczne pożyczki. Tymczasem tym członkom, którzy w ciągu wielu lat za pomocą płaconych kar przyczynili się przeważnie do stworzenia funduszu rezerwowego, reforma ta nie przyniosłaby najmniejszej korzyści, skutkiem przejścia ich majątków w obce ręce.

2-o) Wogóle stowarzyszeni nie osiągnęliby żadnych korzyści praktycznych skutkiem podziału funduszu rezerwowego, ponieważ podział ten miałby faktycznie tylko znaczenie teoretyczne, na co zgadzają się nawet projektodawcy. Faktyczny zysk osiągnęliby tylko ci, którzy występują z T-wa, rozdrabniając swoje majątki. Tymczasem, zadanie władz polega na tem, ażeby bronić interesów T-wa, a nie popierać dążności spekulacyjnych, przynoszących korzyść jedynie opuszczającym szeregi T-wa.

3-o) Jeżeli władze T-wa z tym samym zawsze zapalem i równie wytrwale broniły ciągle niepodzielności funduszu rezerwowego, to czyniły to dla tego, że istnienie funduszu powyższego jedynie jako całości niepodzielnej dawało im możność dokonywania różnych reform, dających Tow-u bardzo znaczne ulgi, do których zaliczyć należy: zezwolenie ministra finansów na umieszczenie części funduszu rezerwowego w listach zastawnych. w celu łatwiejszej i tańszej konwersyi,

4½% listów zastawnych na 4% w r. 1898 i niejednokrotne przeznaczenie części funduszu rezerwowego na niesienie szerokiej pomocy w latach klęskowych stowarzyszonemu, którzy podlegli klęskom i potrzebowali ulg co do opłaty rat; dalej zezwolenie ministra finansów na złagodzenie stowarzyszonemu warunków natychmiastowego uzupełniania funduszu rezerwowego w ciągu każdego półrocza bieżącego do normy przepisanej przez prawo. Dobroczynne następstwa tej reformy stowarzyszeni mogli najlepiej ocenić podczas ostatniego podwyższenia rozmiarów pożyczek, ponieważ inaczej byliby zmuszeni wносить składkę na wydatki administracyjne w wysokości może dziesięciokrotnie przewyższającej obecną. Wreszcie — zaufanie, które zdobyliśmy na rynkach zagranicznych, że T. K. Z. wykonywa swoje zobowiązania pieniężne we właściwym czasie, zaufanie, które utrzymuje kurs listów zastawnych na pewnym poziomie.

Wobec tego zwracanie się stowarzyszonych do władz T-wa z podobnym wnioskiem staje się jeszcze bardziej niewłaściwym, jeżeli zestawić ten wniosek z równoczesnem domaganiem się zwiększenia normy pożyczek. A według przepisów r. z. 1903 zwiększenie pożyczek pociąga za sobą znaczne zwiększenie ilości listów zastawnych, potrzebujących umieszczenia, a co za tem idzie — zmusza do użycia wszelkich środków w celu podtrzymania na rynkach pieniężnych koniecznego zaufania do tych listów.

Konieczność istnienia funduszu rezerwowego uznają i sami projektodawcy, a różnica między nimi, a powyższymi zapatrywaniami władz, polega jedynie na tem, że zdaniem projektodawców zastosowanie zasady podzielności funduszu rezerwowego i udzielanie z niego na rzecz występujących z T-wa takich sum, jakie im się należeć będą, nie zmniejszy tego funduszu, podczas, gdy władze są najzupełniej przekonane, że możliwość spekulowania wspólnym funduszem stowarzyszonych przyciągnęłaby szybko wiele osób, dążących tylko do skorzystania z zysków danej chwili, skutkiem czego można przypuszczać zupełnie napewno, że fundusz rezerwowo uległby znacznemu zmniejszeniu.

4-o) Takie zmniejszenie funduszu rezerwowego pociągnęłoby za sobą także zmniejszenie dochodów T-wa, do których on się przyczynia. Skutkiem tego powstały niedobór trzebaby pokryć przez odpowiednie powiększenie grosza administracyjnego. Następstwem tego byłoby położenie, w którym za korzyści, osiągnane faktycznie tylko przez stowarzyszonych występujących, musiałoby płacić całe To-wo.

5-o) Nakoniec najważniejszym motywem przemawiającym przeciw podzielności funduszu rezerwowego jest następujący: nieuniknio-

nym skutkiem podziału byłoby to, że wszyscy przystępujący do T-wa z nowymi pożyczkami, lub biorący dodatkowe, musieliby wносить opłaty 6% od przyznanych im pożyczek na uzupełnienie funduszu rezerwowego, co przy zwiększonej formie pożyczek stanowiłoby nowy ciężar dla wszystkich członków Tow-a.

Wobec tego władze Towarzystwa uważają:

a) że, ażeby reformę tę wprowadzić w wykonanie i podzielić $\frac{1}{3}$ funduszu rezerwowego między członków T-wa, należałoby najpierw doprowadzić go do zupełnej normy, ale przez to stowarzyszeni pozbawiliby się tych korzyści, które zapewnia im wyjednanie zatwierdzenie przez Ministra Skarbu d. 3 czerwca 1900 r. zmiany ustawy o funduszu rezerwowym, która to zmiana zezwała na powiększenie go częściowe;

b) że reforma, proponowana przez wnioskodawców w 4 punkcie, zapewniałaby korzyść otrzymania części funduszu rezerwowego tylko tym majątkom, które spłacają pożyczkę w całości;

c) że obowiązująca obecnie ustawa przeznaczą przewyżkę ustanowionej normy funduszu rezerwowego na zmniejszenie rat;

d) wreszcie, że niezależnie od tej okoliczności, wobec konieczności zaufania kapitalistów do nienaruszalności rezerw T-wa, utworzenie w funduszu rezerwowym trzech osobnych części byłoby środkiem bardzo niebezpiecznym dla spraw T-wa, prowadzącym do nieporozumień i komplikacji prawnych.

Takie jest stanowisko władz T-wa wobec powyższego wniosku. Niewątpliwie jest ono uzasadnione, aczkolwiek w kilku punktach podlegać może i powinno jeszcze dyskusji. Zapytajmy się jednak teraz, czy stowarzyszeni, otrzymując powyższą odpowiedź, jak w Okręgu Warszawskim—na dziesięć zaledwie dni przed wyborami, mogli się do takiej dyskusji przygotować? Czy nie należało im przesłać tej długiej litanii motywów przynajmniej na kilka miesięcy przed terminem zebrania wyborczego, aby dać możność zainteresowanym czy to wspólnie omówić tę sprawę, czy naradzić się nad pozycją, jaką zająć należy w przyszłości. Tego wszystkiego w danym wypadku stowarzyszeni uczynić nie mogli, a szkoda, bo taktyka, jaką obrała Dyrekcyja Główna—prowadzi nie do rozwiązania sprawy, ale do przewlekania jej w nieskończoność, gdyż trudno przypuszczać, aby wnioskodawcy, których było 14 w okręgu radomskim, 11 w suwalskim, 41 w kaliskim, 30 w łomżyńskim i 49 w siedleckim, ogółem zaś 145—tak łatwo zrzekli się swojego wniosku i pozwolili pogrzebać go w archiwum. Sądźmy też, że sprawa ta wypłynie jeszcze na wi-

downię, jeżeli nie w czasie tegorocznych, to w czasie przyszłych, najbliższych wyborów i dla tego nie uważamy jej za ostatecznie rozwiązaną i załatwioną.

*

*

*

Ciężki jest los naszych czasopism naukowych, które walczyć muszą z obojętnością ogółu i opierają się wyłącznie na dobrej woli i ofiarności jednostek, zamiast stałą znaleźć podporę w społeczeństwie, dla którego istnieją i którego honoru bronią wobec całego świata. Tam praca naukowa posuwa się ciągle naprzód, rozszerza się i pogłębia, cieszy i rozkwita nowymi zdobyczami — u nas boryka się ciągle z przeciwnościami i, poprostu, walczy o byt, o istnienie. Smutnel

Oto w pierwszym tegorocznym zeszycie „Wisły”, redakcja tego miesięcznika skarży się właśnie w słowach pełnych goryczy na ciężkie warunki materyalne, w których znajduje się obecnie.

„Wstępując w rok 18-y istnienia — czytamy w tej skardze — już nie poraz pierwszy stajemy wobec pytania: „Być albo nie być?”

„Nie będąc pismem, założonem dla zysku, nie mając, oprócz ideowych, żadnych innych celów, nie mamy też powodu tąpić przed czytelnikami istotnego stanu rzeczy, nie mamy powodu udawać, jakoby warunki materyalne naszego wydawnictwa były lepsze, aniżeli są istotnie. Przyznajemy, że są one bardzo trudne i mimo względnie bardzo nieznacznych kosztów wydawnictwa, mimo, że nie obciążają go ani wynagrodzenie pracy redaktorskiej, ani najem lokalu redakcyjnego, gdyż jedno i drugie ma bezpłatnie, że zatem koszty te redukują się niemal wyłącznie do honoraryów, papieru i druku — obecna ilość prenumeratorów, nawet tych kosztów pokryć nie jest w stanie. Gdy zaś instytucya, która nas dotychczas popierała (Kasa im. Mińskiego — przyp. red. B. W.), a na której poparcie pismo o charakterze takim, jak „Wisła” liczyć ma zupełnie prawo, obecnie zawodzić się zdaje nasze własne oczekiwania, — nasz dalszy byt zależy wyłącznie od dobrej woli i — śmiemy mniemać — od stopnia uświadomienia naszych czytelników.

Najważniejszą pracą prawniczą zmarłego, jest „Ustawa postępowania sądowego cywilnego 1869 r.“ ze zmianami, zaprowadzonymi przez ustawę z d. 17 lutego 1875 r. Praca ta, obejmująca cztery wielkie tomy, wydana została staraniem „Biblioteki umiejętności prawnych“ (1879—1880). Jest to najpierwsza—i przyznać trzeba—świetna próba komentarza procedury cywilnej, obowiązującej w Cesarstwie i Królestwie.

Nadto ś. p. Nowakowski brał udział w wydawnictwie Karola Hubego p. t. „Prawo cywilne, obowiązujące w Królestwie polskiem“, w języku rosyjskim, w którym to wydawnictwie opracował ustawy hipoteczne z lat 1815 i 1818, ustawę notaryatu i część kodeksu handlowego.

W r. 1900 i 1901, a więc już jako starzec, będąc w wieku, który jest zwykle dobą zupełnego wypoczynku i spokoju, ś. p. Nowakowski przetłumaczył i dopełnił słynną pracę C. Demolomba (tomów 4) „O spadkach“, wydaną nakładem Kasy Mianowskiego w 5 tomach.

Na stanowisku prezesa Dyrekcyi Tow. kredytowego m. Warszawy, zmarły był do ostatka czynny i pracował z całą gorliwością, posiadając tam mir i szacunek powszechny. Śmierć jego jest też dla instytucyi tej stratą niepowetowaną. Społeczeństwo straciło w nim nadto zacnego człowieka, a świat prawniczy — znakomitego znawcę stosunków administracyjnych, światłego i doświadczonego pracownika na niwie naukowej i jednego z ostatnich przedstawicieli doby „znakomych prawników“ starszego pokolenia.

Cześć jego pamięci!

*

*

*

We Lwowie zmarł dnia 22 kwietnia r. b. ś. p. dr Piotr Chmielowski. Żałobną tę wieść otrzymaliśmy już w chwili oddawania zeszytu niniejszego pod prasę, obszerniejsze więc omówienie tej ciężkiej dla nauki polskiej straty, zmuszeni jesteśmy odłożyć na później. Tu zaznaczamy tylko, że przedwczesna śmierć prof. Chmielowskiego nie tylko jest bolesną dla Uniwersytetu lwowskiego, który traci w zmarłym jedną z wybitniejszych sił profesorskich, ale i dla całego ogółu polskiego, któremu zgasły uczony służył długoletnią, wytrwałą, pełną poświęcenia pracą.

Głęboko zamilowany w swoim przedmiocie, posiadający rozległe wykształcenie filozoficzne, historyczne i literackie, obdarzony umysłem jasnym i bystrym, pełen przytem zalet osobistych, ś. p. Chmielowski budził dokoła siebie nie tylko szacunek, ale i tę rzadką na świecie rzecz — mi ło ś ć. Ceniono w nim uczonego i obywatela, kochano w nim człowieka. Podziwiano jego mądrość, schylano czoła przed jego sercem, przed jego prawością wyjątkową, która była najpierwszem hasłem jego sztandaru. Z tem hasłem przeszedł przez życie, które po brzegi wypełniła mu praca naukowa i pedagogiczna, praca wyteżona i bogata w owoce, zmierzająca zawsze ku jednemu tylko celowi — ku p r a w d z i e.

W dziejach krytyki literackiej u nas zajął Chmielowski stanowisko wyjątkowe, przypadło mu bowiem w udziale rozpocząć nową jej epokę — pchnąć ją na tory badań przedmiotowych i zastosować do niej ścisłą metodę analizy naukowej. O tem, co w tej mierze uczynił, jakie są jego zasługi i zdobycze, pisać będzie pióro kompetentniejsze — tu składamy tylko hołd pamięci męża, którego śmierć wywołała głęboki i powszechny żal w całym społeczeństwie. Niech odpoczywa po trudach i znoju żywota!

*

*

*

W Krakowie zmarła w d. 30 marca r. b. ś. p. Wanda z Grabowskich Władysławowa Żeleńska, kobieta wielkich zalet umysłu i serca łącząca w sobie wysokie wykształcenie obok słodczy charakteru, ujmującej prostoty w obejściu i niezrównanego taktu towarzyskiego.

Zmarła pochodziła ze znanej w Warszawie rodziny Grabowskich. W domu ojca jej, ś. p. Jana, panowała podniosła atmosfera umysłowa i głębokie zrozumienie będących na dobie spraw społecznych. Nie dziw więc, że w tem otoczeniu najbliższem młodociany umysł dziewczęcy rozwijał się szybko i wchłaniał w siebie pierwiastki czyste i szlachetne, które w następstwie przypadło rozwijać i pielęgnować takiej mistrzyni, jak Gąbryela (Narcyza Żmichowska) — Wanda Grabowska bowiem, wspólnie z siostrami swemi, Julią Tetmajerową (matką poety Kazimierza), Maryą Władysławową Kwietniewską i Zofią, znaną z licznych prac literackich — była uczennicą i przyjaciółką Żmichowskiej. Ścisły związek duchowy z tak niepospolitą,

jak autorka „Poganki“, kobietą, pozostawił głębokie ślady wduszy uczennicy i pchnął ją, jeżeli nie na drogę samodzielnej twórczości, której wszakże próbowała niejednokrotnie, to na drogę żywego zainteresowania się ruchem literackim i bacznego śledzenia jego tętna. S. p. Żeleńska interesowała się zwłaszcza poezją i rozległe w tym kierunku posiadała wykształcenie. Jej to zawdzięczamy przyswojenie językowi polskiemu znakomitego studjum Gerwinusa „O Szekspirze“. Już sam wybór tej książki do tłumaczenia, świadczy, jaki był pokarm, którego szukał dla siebie umysł zmarłej.

Późniejsze obowiązki żony i matki nie pozwoliły jej całkowicie poświęcić się ulubionej pracy tak, jak tego pragnęła. Zawsze jednak znajdowała czas na to, aby wiedzieć o wszystkim, co na to zasługiwało, a trafny, wolny od uprzedzeń, sąd jej o poezji współczesnej, był ceniony przez wszystkich, którzy mieli sposobność bliżej z nią obcować.

Zgasła, przekroczywszy zaledwie 60-ty rok życia, pozostawiając po sobie głęboki żal wśród licznych przyjaciół.

Cześć jej pamięci!

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Dnia 4 marca b. r. odbyło się posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce, pod przewodnictwem prof. M. Sokółowskiego.

P. Tomkiewicz podał wiadomość o śladach wyrobów majolikowych w Krakowie.

P. Muczkowski przełożył następnie kolorowane rysunki, odtworzące dawną dekorację izby radzieckiej w ratuszu krakowskim. Jest to szereg owalnych portretów w popiersiu królów polskich, przypominających po części znane ich wizerunki, po części zupełnie fantastycznych, malowanych przez Kaspra Koryandera w r. 1676.

P. Julian Pagaczewski dał w końcu referat o zabytkach, znajdujących się w skarbcu klasztoru PP. Klarysek przy kościele św. Andrzeja w Krakowie. Skarbiec ten jest, po katedralnym i maryackim, najwięcej interesujący ze względu na wartość i różnorodność mieszczących się w nim dzieł sztuki. Na baczniejszą uwagę zasługuje przedewszystkiem kolekcya kilkunastu relikwiarzy od XIII — XIX w., wśród których wysoką wartość archeologiczną posiada mały relikwiarzyk św. Barbary o formach wczesnogotyckich z XIII w., nie wolnych jeszcze od romańskich reminiscencyi, dalej relikwiarz z XIV w., ozdobiony na stopie i nodusie emaliami, wreszcie bardzo zgrabna szkatułka na relikwie, pokryta srebrną siatką. Skarbiec zaopatrzone jest w cenne tkaniny i hafty, jak np. szpalery z velours-de-Gênes, sprawione przez księżę, Eufrozyne Stanisławską, w 1639 r., ornaty z XVII w., antepedya z XVII i XVIII w., koronki etc. Referent odnalazł również oryginalny mosiężny tłok najstarszej pieczęci klasztoru PP. Klarysek w Skale z 1259 r., oraz tłok nieznaney dotychczas pieczęci opackiej z XV w., z wizerunkiem bł. Salomei. P. Pagaczewski illustrował swój referat 32 zdjęciami fotograficznymi.

Przewodniczącym Komisji na rok następny wybrano prof. dra Maryana Sokołowskiego, zastępcą przewodniczącego p. Leonarda Lepszego, sekretarzem zaś na dwa lata następne dra Jerzego Kieszkowskiego.

NOWE KSIAŻKI:

— NA POWODZIAN. Księga zbiorowa prac literackich i artystycznych, wydana pod kierunkiem literackim Stanisława Graybnera. Warszawa. Nakładem Lilpopa et Comp. 1904. Tytuł tej grubej księgi, o 349 stronach, starczy za wszelkie pochwały. Treść jej jest istotnie interesującą i filantropia nie tu nie traci; za rb. 1 kop. 50 czytelnik znajduje mnóstwo ciekawych artykułów i pięknych ilustracyj. Nazwiska autorów, jak: Orzeszkowa, Konopnicka, Wyspiański, Tetmajer (Włodzimierz i Kazimierz), Przybyszewski, Or-ot, Kasprowicz, Lutosławski, Gomulicki, Jeż, Koźmian St. i t. d., i t. d.; artystów, jak: Brandt, Kostrzewski, Lenc, Malczewski, Żmurko, Makowski, Wityg i wielu innych, są rękojmią, że księga „Na Powodzian” jest zbiorem, mającym trwałą wartość, i powinna rozejść się w tysiącnych egzemplarzach, niosąc czytelnikom podwójne zadowolenie bogatą swą treścią i tem przeświadczeniem, że kupno każdego egzemplarza przyczynia się do zmniejszenia strasznej niedoli włościan, nawiedzonych klęską zeszłoroczną.

— KRAKÓW, jego kultura i sztuka. W Krakowie, 1904. Nakładem Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa.

Witamy z wielką radością świetne i okazałe wydawnictwo, którego potrzeba oddawna czuć się dawała. Wspaniałe zabytki Krakowa, architektoniczne, malarskie i rzeźbiarskie, doczekały się wszechstronnego i fachowego opracowania. Prof. Stanisław Krzyżanowski poprzedził dzieło właściwe Wstępem historycznym, kulturę Krakowa skreślił umiejętnie dr Tomkiewicz, dr A. Chmiel opowiedział zwięźle organizacją cechów krakowskich, dr F. Kopera dał historię architektury, a prof. K. M. Górski krótko naszkicował architekturę XIX w. Historią rzeźby w Krakowie podał p. Józef Muczkowski, a p. Leonard Lepszy skreślił historię malarstwa, przemysłu artystycznego i handlu. Wszechstronnie zatem i bardzo umiejętnie skupiono tu w jednej, wspaniałe w drukarni „Czasu” wytłoczonej księdze wszystko, co zasługiwało na uwydatnienie w obyczajowych i artystycznych dziejach Krakowa.

Inicyatywę całego przedsięwzięcia dał prof. Stanisław Domański, wykonaniem zajęło się Towarzystwo miłośników historii i zabytków miasta Krakowa. Zadanie było trudne, bo wymagało nietylko wielkiego nakładu pracy i starań, ale także odpowiednich funduszy.

Wydział Towarzystwa uzyskał zasilki pieniężne na to wydawnictwo od miasta Krakowa, Wydziału Galicyjskiego i Rządu. Z naukową pomocą pospieszyły instytucje takie, jak Muzeum Narodowe i Muzeum im. hr. Czap-

skich, Muzeum ks. Czartoryskich i Akademia Umiejętności. Fotografij pomników Krakowa udzieliłi ze swych zbiorów pp.: Tomkowicz, E. Świekowski i Z. Jaworski. Przeważnej ilości rysunków dostarczył p. J. Gumowski. Wśród ilustracyj licznych wyróżniają się dokładnością i artystem zdjęć fotograficzne p. Tadeusza Jabłońskiego.

Zbiorowemi siłami dokonano pięknego i pożytecznego dzieła, którego nie braknie w żadnym domu, gdziekolwiek nazwa Kraków nie jest pustym dźwiękiem. Jest to księga pamiątek najpiękniejszych, księga, pouczająca na każdej swej stronie. Kto się interesuje rozwojem drukarstwa w Polsce, znajdzie tu podobizny najstarszych druków łacińskich, polskich i ruskich („Triod“ z r. 1491), opraw, pieczęci radzieckich, przywilejów cechowych, pierścieni i t. d. Dla historyków sztuki księga ta stanie się nieodzownym podręcznikiem w dziedzinie architektury kościelnej i świeckiej, rzeźby i malarstwa. Wobec tego, że księga zawiera trzysta pięćdziesiąt ilustracyj (niektóre bardzo kosztowne heliograviury), na doskonałym papierze, cena egzemplarza jest umiarkowana (15 koron). Okładka jest ślicznie wykonana i naśladuje średniowieczną oprawę; ozdoby jej są reprodukcją okucia drzwi katedralnych. Redakcyja „Krakowa“ może z zasłużoną chlubą patrzeć na dzieło pomnikowe.

— KOBIETA WSPÓŁCZESNA. Książka zbiorowa. Warszawa, 1904, str. 364. Nakładem „Bluszcza“ ukazał się duży tom, zawierający artykuły, wyjaśniające rolę społeczną i znaczenie kobiety w dzisiejszych stosunkach nie tylko u nas, ale i zagranicą. Uwzględniono tu wszechstronnie działalność kobiety na różnych polach oświaty, gospodarstwa, przemysłu, higieny i t. d. Z większych artykułów wymieniamy tu prace: hr. Cecylii Plater-Zyberkówny („Gospodarstwo wiejskie jako cywilizacyjny czynnik“), dr Tomaszewicz-Dobrskiej („Główne zasady zachowania zdrowia“), J. M. („Opieka nad kobietami, poszukującemi pracy“), St. Karpowicza („Kobieta jako wychowawczyni“), „Kobieta w Niemczech“, J. M. („Kobieta w Danii“), J. Kallenbachowej („Kobieta szwajcarska“), H. Wiercieńskiego („Z dziedziny statystyki“), bezimiennego autora („Szkoly dla kobiet“), bezimiennie: „Cośmy winne domownikom?“, „O stosunku pań do służ“, B. M. Wiesiołowskiej („Zdobnictwo w stylu ogólnopolskim“ i w. i.

— LA REVUE w zeszytcie z d. 1 kwietnia b. r. dała artykuł hr. A. Wodzińskiego, p. t.: „*Les jeunes romanciers polonais*“. Jest to ciąg dalszy rozpoczętego w lipcu z. r. studyum. W poprzednim artykule scharakteryzował autor Reymonta, teraz dał Francuzom sylwetkę Stefana Żeromskiego, a głównie analizę „Popiołów“. Podawszy w przekładzie kilka ważniejszych ustępów trzynomowej powieści, hr. A. Wodziński nie skąpi pochwał, ale też ostrzega przed pesymizmem bolesnym, który nie rozwiązuje zagadki bytu.

— W tym samym zeszycie podała *Revue* w przekładzie p. M. Rakowskiej utwór Żeromskiego, p. t.: „*Godzina*“.

— KATALOG RĘKOPISÓW BIBLIOTEKI GDAŃSKIEJ. Przed dwunastu laty wydał A. Bertling tom pierwszy „Katalogu rękopisów Biblioteki gdańskiej“. Niedawno ukazał się tom drugi, opracowany przez dra O. Günthera. Staranny index alfabetyczny wykazuje znaczną ilość rękopisów, dotyczących dziejów politycznych i obyczajowych Polski, zwłaszcza XVII i XVIII wieku. Z tego względu polecamy Katalog ten uwadze uczonych naszych.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA.

Wiktor Cathrein, S. J.: Filozofia moralności. T. II. („Bibl. dz. chrześcijańskich“, marzec, 1904), str. VIII + 259 + Notatki bibliograficzne.

Ks. M. Godlewski: W obronie Kościoła. Polemika, prowadzona z pastorami luterskimi. Warszawa, 1904, str. 144.

PRZYRODA. — HYGIENA.

Ginekologia. Miesięcznik, poświęcony chorobom kobiecym i położnictwu. Redaktor Czesław Stankiewicz. Marzec, 1904, str. 72.

Sprawozdanie Komisji Fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu r. 1901, oraz materyały do fizyografii krajowej. Tom trzydziesty siódmy. Z 4-ma tablicami i 2-ma rycinami w tekście. Kraków. Nakł. Akad. Umiejętności, 1903, str. XXV + 216 + 175 + 243.

Aleksander Makowski: Wywóz polny w gubernii Siedleckiej. 1898 — 1900, Warszawa. Druk P. Laskauera i Sp. Nowy Świat 41, 1904, str. 44.

Prof. dr Józef Nusbaum: Studya porównawcze nad regeneracją. II. O odradzaniu się przedniej części ciała u wazonkowców (*Enchytraeidae*), Lwów. Czcionkami drukarni Ludowej, 1904, str. 25.

Dr J. Stark: Rozkład i zmienność atomów chemicznych z upoważnienia autora przełożył dr L. Bruner. Warszawa, nakł. księg. E. Wende i Sp., 1904, str. III + 67.

Wyszedł *Kosmos*, zeszyt II — III czasopisma Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika (Lwów); zawiera rozprawy i artykuły

następujące: 1) Protokół XXXIII Walnego Zgromadzenia członków Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika. — 2. Spis członków Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika. — 3. Sprawozdanie z prac matematycznych polskich z r. 1901, opracowali S. Dickstein, S. Kępiński i Z. Krygowski. — 4. O rodzaju Studniczka (*Niphargus*). Cz. II. Historia literatury, dotyczącej rodzaju *Niphargus*, napisał Mieczysław Grochowski. — 5. W sprawie *Spirifer mosquensis* i *supramosquensis* (?) sprostowanie, napisał Mieczysław Limanowski. — 6. Sprawozdania z literatury przyrodniczej, przez W. Friedberga, M. Wendego, M. Krajewską, M. Radwańską, St. Opolskiego. — *Wiadomości* bieżące.

HISTORIA.

Edward Bogusławski: Einführung in die Geschichte der Slaven. Aus dem Polnischen übersetzt von Waldemar Osterloff. Verlagsbuchhandlung von H. Costenoble, Jena, 1904, str. VIII + 135.

Dr Ludwik Finkel: Bibliografia historii polskiej. Wspólnie z dr H. Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwow. Cz. III. Zesz. I. Kraków, 1904, Nakł. Akad. Umiej. Zawiera: Historia polityczna: a) powszechna, b) Słowiańszczyzny, c) Polski, str. 1,143 — 1,414.

Ks. Aleksander Jełowicki: Moje wspomnienia. Z portretem autora. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółki. 1904, str. 210.

Dr Kazimierz Rakowski: Dzieje W. Księstwa Poznańskiego w zarysie (1816 — 1900). Z portretem autora i mapką Poznańskiego. Kraków. Gebethner i Sp., 1904.

Rozprawy Akademii Umiejętn. Wydział Historyczno-Filozoficzny. Serya II. Tom XX. Kraków. 1903. Str. 356. *Treść*: 1. S. Zakrzewski: Malowidła w podziemnej bazylice św. Klemensa w Rzymie. 2. S. Zakrzewski: Opactwo benedyktyńskie śś. Bonifacego i Aleksego na Awentynie w latach 977 — 1085. 3. W. Kętrzyński: O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada (z mapą). 4. S. Kutrzeba: Starostowie, ich początki i rozwój do końca XIV wieku. 5. W. Kętrzyński: Ziemia Michałowska. Przyczynek do historii fałszerstw krzyżackich (z mapą).

Dr W. Sobieski: Szkice historyczne. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1904. Str. 11 + 317. *Treść*: Żałobny hetman. — Pierwszy protektor Samozwańca. — Rola Jezuitów w dziejach Rzeczypospolitej polskiej. — Upadek rodziny Starzechowskich. — Zapomniany bohater śląski. — Z historyzozofii niemieckiej.

Maryan Wawrzeniecki i Szczęsny Jastrzębowski: Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem w sierpniu 1902 r. z 6-ma tablicami. Kraków. 1904. Str. 14. (Osobne odbicie z Materyałów Komisji antropologiczno-archeologicznej i etnograficznej. Tom VII. Dz. I. Akademii Umiejętności.

HISTORIA LITERATURY. — FILOLOGIA.

Andrzej Baumfeld: Andrzej Towiański. Dwa odczyty. Lwów. 1904. Nakładem „Odrodzenia“, str. 35.

Antoni Gustaw Bem: Studya i szkice literackie. Wydanie pośmiertne. Ze słowem wstępem Ignacego Chrzanowskiego. Z portretem autora. Warszawa. 1904. Nakładem księgarni naukowej i przedpłatcieli. Str. 316 + II.

Aleksander Brückner: Literatura religijna. Tom III. Legendy i modlitewniki. Szkice literackie i obyczajowe. Warszawa. 1904. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“), kwiecień, 1904, str. 187 + Notatki bibliograficzne, str. 49 — 64.

K. Estreicher: Szwargot więzienny. Kraków. Nakł. księg. D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp., 1903, str. 177.

Józef Kallenbach: Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812 — 1838). Lwów, 1904. Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Tom pierwszy (str. XVI + 363). Z portretami: Zygm. Krasińskiego (z r. 1826), Jana i Wincentego Krasińskich, Maryi Krasińskiej i rodowodem Z. Krasińskiego. Tom drugi, str. 447. Z portretami: pani Żaluskiej, pani Bobrowej i Z. Krasińskiego z r. 1833.

Pamiętnik Literacki: Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury Polskiej, wydawane przez Towarzystwo liter. im. A. Mickiewicza. Rocznik III. Zeszyt I. 1904. Str. 1 — 184. *Treść zeszytu*: Rozprawy: Piotr Chmielowski: Jeszcze o celu w sztuce (Z powodu książki J. Matuszewskiego: „Twórczość i twórcy“); Wal. Gostomski: Tragiczność w życiu i w poezyi; Przem. Mączewski: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Szkic literacki; Wilhelm Bruchnalski: Mickiewicz—Niemcewicz. Studium historyczno-literackie. — Notatki: Al. Brückner: Z teki bibliograficznej. VII. Volumina miscellanea; Teod. Wierzbowski: Ze studyów nad Kochanowskim. I. Pieśń: „Czego chcesz od nas, Panie...“ II. Szachy; Franc. Krček: W sprawie towarzystwa, założonego w r. 1811, pod nazwą Sfinksa; Stan. Dobrzycki: Kilka uwag o tłumaczeniu Schillera: „Don Carlosa“ przez Mickiewicza; Leopold Méyet: Drobiazg Mickiewiczowski; Art. Górski: J. Słowackiego uwagi na marginesie broszury Gołembiewskiego. — Materyały: A. M. Kurpiel: Kilka szczegółów do żywota i twórczości I. Krasickiego; Wiktor Hahn: List Józefa Korzeniowskiego do Antoniego Pöumanna; Bronisław Czarnik: Głos współczesny o pierwszym przedstawieniu „Żydów“ Korzeniowskiego na scenie lwowskiej (1843). — Recenze i sprawozdania: A. I. Sobolewskij: Pierwodnaja literatura Moskowskoj Rusi XIV — XVII w. (A. Brückner). Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. T. X (R. Abicht; Życiorys A. Zbylitowskiego; Z. Celichowski: Polskie indeksy książek zakazanych; A. Karbowiak: Wizyta szkół gimn. w Departamencie Księstwa Warszawskiego w roku 1810; A. M. Kurpiel: Pięć listów L. Górnickiego; R. Plenkiewicz: Akta sądowe z XVI w., użyte jako materyał do życiorysu J. Kochanowskiego; I. Twardowski: Wizyta jeneralna szkół w gubernii Mińskiej, odbyta w roku 1819 przez J. Twardowskiego) (Al. Brückner). Al. Suszko: Piotr Skarga w oficjalnij rosyjskij nauce. Epizod z żytyja P.

Skargi (St. Kossowski). P. Skargi kazania sejmowe. wyd. I. Chrzanowski (Al. Brückner). Pisma Fr. Zabłockiego wydał dr B. Erzepki (Wład. Jankowski). J. Tretiak: Słowackiego przekład Makbeta (W. Hahn). J. Magiera: W. Anczyz, jako dramaturg ludowy (W. Hahn). Wł. Kozłowski: Dekadentyzm współczesny, jako geneza i filozofia (P. Chmielowski). Wal. Gostomski: Z przeszłości i terażniejszości (P. Chmielowski). — Bibliografia literacka czasopism polskich za rok 1902, zestawił Stan. Kossowski.

Rozprawy Akademii Umiejętn. Wydział Filologiczny. Serya II. Tom XXI. Kraków. 1904. *Treść*: 1. S. Windakiewicz: Teatr ludowy w dawnej Polsce. 2. Ka. dr J. Fijałek; Jan Argyropul (Przyczynek do dziejów humanizmu włoskiego w XV wieku). 3. T. Sinko: De Romanorum viro bono. 4. C. Morawski: Ovidiana. 5. L. Sternbach: Nicolai Callielis Carmina. 6. A. Miodoński: Ph. Callimachi et Gregorii Sanocei Carminum ineditorum corollarium. Str. 417.

Józef Tretiak: W obronie własnej książki. (Odpowiedź prof. Chmielowskiemu). Kraków. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1904. Str. 24. Odbitka z „Czasu“.

Aleksander Tyszyński: Pisma krytyczne. Staraniem rodziny ogłoszone drukiem. Z portretem autora (heliograviura) i podobizną jego podpisu. Zebrał, ułożył i zarysem bibliograficzno-literackim poprzedził Piotr Chmielowski. T. I. Pisma do r. 1866 (str. LX + 478 + II). Tom II. Pisma od r. 1876 (str. 833 + II). Kraków — Petersburg, 1904.

HISTORIA SZTUKI.

Dr Klemens Bąkowski; Kościół Ś-go Krzyża w Krakowie. Z ilustracyami. Kraków. Nakł. Tow. miłośników hist. i zabytków Krakowa. 1904. Dodatek: Sprawozdanie Towarzystwa miłośników hist. i zabytków Krakowa. Str. 20. Cena 50 hal.

Mathias Bersohn; Dawna zbrojownia Książąt Radziwiłłów w Nieświeżu. Z 3 tablicami i 15 rysunkami w tekście. Warszawa. Druk Piotra Laskauera i Sp., 1904, str. 27.

Prof. R. Muther; Historia malarstwa. II. Mistycy i marzyciele. Malarstwo germańskie w epoce reformacji. Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, Jan Fiszer, str. 170.

Styl Zakopiański. Zeszyt I. Pokój jadalny. *Tablice*; Stanisława Barabasza, W. Brzegi, W. Gosienieckiego, St. Witkiewicza. *Tekst*: Stanisława Witkiewicza. 1904. Lwów. Wydawnictwo H. Altenberga. Str. 16 + tablic 25.

Sztuka Polska. Malarstwo. Rok I. Zeszyt IV. Marzec. 1904. *Zawiera*: Chełmońskiego: Na folwarku. Tekst Stanisława Witkiewicza. — F. Ruszczyca: Most. Tekst T. Żuka Skarszewskiego. — Axentowicza: Święcenie wody. Tekst W. Mitaskiego. — W. Weissa: Portret. Tekst prof. K. M. Górskiego. — Zeszyt piąty. *Kwiecień*. Zawiera: Kossaka (Jul.): Pod Samosierrą. Tekst prof. K. M. Górskiego. — J. Chełmońskiego: Trójka. Tekst K. Mokłowskiego. — St. Maślowskiego. Zima. Tekst F. Jabłczyńskiego. — J. Mehoffera:

Portret. Tękst K. M. Górskiego. — Prenumerata roczna rb. 12. Zeszyt oddzielny 1 rb. 50 kp.

POWIEŚĆ. — POEZJA.

L. Andrejewa: Milczenie i inne nowele. Tłómaczyli z rosyjskiego Henryk i Jan *Zbierzchowski*. Lwów. Nakł. Księg. H. Altenberga, 1904. str. 159.

Deotyma: Sobieski pod Wiedniem. Cz. I. Warszawa. 1904. („Bibl. Dz. Wybor.“, № 324), str. 185. Z przedmową Ignacego Balińskiego.

— Część II. Warszawa, 1904, str. 140. („Bibl. dz. wybor.“, № 325.

Anatol France: Wybór pism. I. Pisma krytyczne. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. 1904, Str. VIII + 273. Tłómaczył Jan *Sten*.

Z. Hartinghowa: Z tajników dworu austriackiego. Warszawa. Wydawnictwo Kasy Warszawskich Pomocników Księgarskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, str. 282.

Józef Maciejowski: Opowiadania. Kraków. 1904. Gebethner i Sp., str. 87.

Antonina Gedroic Matuszewicowa: Kobieta. Studium duszy. Lwów, 1904. Księgarnia H. Altenberga. str. 272. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp

Zygmunt Niedźwiecki: Erotyki. Lwów. 1904. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i Sp.

Edward Paszkowski: Jasne wody. Lwów. Nakł. Tow. wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1904, str. 211.

T. Prażmowska: Romans Gąski. Powieść współczesna. Warszawa. Nakł. i druk synów St. Niemiry. Plac Warecki 4. 1904, str. 327.

Savonarola. Powieść historyczna przez autora Ireny. T. I, str. VI + 324. Tom II, str. 232. Tom III, str. 232. Lwów, 1903. Nakładem i drukiem drukarni Ludowej. Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Wacław Sieroszewski: Na daleki Wschód. Kartki z podróży. (Przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii. — Piąta wystawa powszechna w Japonii. — Dwie wycieczki. — Kawatek Japonii. — Polowanie na wieloryby. — Taku-tien-Tsin. — Rekin. — Szang-haj). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904, str. 299.

Adam Stodor: Z cichych tragedyj. Lwów, 1904. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp.

Iwan Wazow: Wybór nowel. Przekład i przedmowa Józefy z Zagórowskich Anc.

Oskar Wilde: Salome. Dramat w jednym akcie. Przekład Jadwigi Gąsowskiej. Monachium. MCMIV. Nakładem księgarni p. f. Marchlewski et Comp. Główny skład na Galicyę. W księgarni H. Altenberga we Lwowie. Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i Sp. w Warszawie, str. 83. Rysunki Franciszka Siedleckiego. Papier czerpany.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Prof. dr M. Hahn: O wyborze zawodu. Praca zawodowa a właściwości organizmu. Przełożył dr Zygmunt *Szymanowski*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp., 1904, str. 61.

Dr Wł. Starkiewicz: Ochrony prowincjonalne. Odczyt na posiedzeniu Wydziału Hygieny ludowej. Warszawa, 1903, str. 36.

XXV Księga Jubileuszowa „Kuryera Porannego“ 1877 — 1902, przy współpracownictwie 112 osób. Wydana z powodu 25-lecia pisma pod redakcją Feliksa *Fryzego*. Nakładem „Kuryera Porannego“. Skład główny u Gebethnera i Wolfa, 1903, str. III + 318. Z portretem Feliksa *Fryzego*.

SPROSTOWANIE.

W zeszyście kwietniowym „Biblioteki“ na str. 88, w poezyi Maryi Kononickiej p. t.: „Z cyklu: „Życie“, w wierszu 10-tym od dołu, zamiast: k r z y k i, czytać należy: *krzyż*.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

NIEZNANY UTWÓR SŁOWACKIEGO.

(LIST APOSTOLSKI).

Pomiędzy wcale dotąd nieznanymi światu autografami Słowackiego, których użyczył mi łaskawie prof. Małecki do mojej pracy o Słowackim, znajduje się zeszyt złożony z czterech arkusików bardzo cienkiego papieru listowego i cały zapisany (z wyjątkiem ostatniej stronicy) własnoręcznem pismem poety. Z przekreślań i poprawek można wnioskować, że to jest pierwszy brulion. Rzecz cała podzielona jest na dwa rozdziały, ale na początku niema cyfry, oznaczającej rozdział pierwszy. Z tego braku, jakoteż z pierwszych słów autografu, możnaby się domyślać, że utwór, o którym mowa, jest fragmentem, że mianowicie brak mu jakiegoś początkowego ustępu. Autograf bowiem zaczyna się tak:

„Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich—ale młodzieniec jesteś i wizye twoje są jeszcze pełne blasków latających... Oto usiedliśmy przy nogach Pana naszego Chrystusa, na progu u bramy z jednej perły—i radujemy się poraz pierwszy, jako aniołowie, którzy widzą jednocześnie i czują“.

Z tego ustępu należałoby wnioskować, że przedtem jakiś młodzieniec rozwijał swoje na świat poglądy przed mistrzem-apostolem, którym jest sam poeta, i że tych słów młodzieńca, zawartych w początkowym ustępie utworu, brak w autografie. Ale rozczytując się w korespondencyi Słowackiego, doszedłem do odmiennego poglądu: utwór nieznanany, o którym mówimy, nie jest fragmentem bez początku, ale całkowitym utworem; „hymnem“ wspomnianym na początku, jest pewien list Zygmunta Krasińskiego do Słowackiego, a młodzieńcem, „którego wizye są jeszcze pełne blasków latających“ jest nie kto inny, jak autor *Irydyona*. Mistrz i młodzieniec usiedli na progu bramy z jednej perły, to znaczy wedle słów *Objawienia św. Jana* u pro-

gu nowego Jeruzalem, które zstąpiło z nieba, a którego każda brama jest z jednej perły, czyli odrzucając symbolikę, u progu nowej nauki, którą ma podać młodzieńcowi poeta.

Ale o tym młodzieńcu dalej niema już wcale wzmianki i cała dalsza nauka poety zwraca się już wogóle do „braci naszych“. (Napi-szmy oto na złotej płycie skały ewangelię prawdy dla braci naszych). Ta nauka, podzielona na krótkie ustępy, bardzo się zbliża i tym podziałem i tonem do prozy biblijnej: sam poeta w tylko co przytoczonym ustępie nazwał ją „ewangelią prawdy“, ten więc tytuł możnaby postawić na czele utworu. Wszakże sądzę, że właściwiej jest nazwać ten utwór „*Listem apostołskim*“, niż ewangelią prawdy, bo ten ostatni tytuł jeżeli jakiemu utworowi Słowackiego godzi się nadać, z jego wychodząc stanowiska, to tylko „*Genesis z Ducha*“, którą on uważał za alfę i omegę świata. Otóż nieznaną utwór w takim mniej więcej zostaje stosunku do „*Genesis*“, w jakim listy apostołskie do ewangelii. Jest to w istocie, jakby list apostołski Słowackiego do Polaków.

Poeta wychodzi z tej zasady, że wszelkiemu złu, wszelkiej nędzy doczesnej, nie Bóg jest winien, ale duchy, tak te, które są zamknięte w ciałach, jak i te, które się unoszą nad światem, a oddziaływają na ludzi. Duchy te są różnej jakości, różnego stopnia; od najniższych do najwyższych ciągnie się niezmiernie długa drabina hierarchiczna, a nad wszystkimi duchami, jako siła najwyższa, unosi się sakramentalna siła Chrystusa. Prawdziwy postęp świata polega na wyzwaniu się z pod wpływu niższych duchów a dążeniu ku owej najwyższej sile; a dążyć ku niej nie można, nie mając wiedzy prawdziwej, wiedzy o tem, że wszystko na świecie jest z ducha i dla ducha. To też narody, ubiegające się o materyalną potęgę i zdobywające ją, są nieszczęśliwsze od narodu polskiego i Bóg okazał się dobrotliwszym dla tego ostatniego, niż dla tamtych: gdyby go bowiem nie skazał był na cierpienia, nigdyby Polacy „nie usłyszeli ogromnego głosu w duchach swoich“, głosu, który im wiedzę prawdziwą odkrył.

W porównaniu z tą wiedzą, wszystko to, co kościół i nauka świecka podaje, jest tylko opinią, wszystko to jest wiedzą powierzchowną, nie docierającą do jądra przyczyny i stąd chwiejną, budzącą wątpliwości. Słowacki widocznie stosuje się tu do platońskiego podziału poznawania ludzkiego na *ἐπιστήμη* i *δύξις*, które znajdował w *Republice* Platona i „duchem świętym się świadczy“, iż nic z opinii nie mówi, a wszystko ze źródła wiedzy prawdziwej wyprowadza. A wyprowadza czasem dziwne rzeczy, jak np. że „sakramentalna była półmiesięczna chmura mahometańskiego ludu... a póki pili z niej moc... zwyciężali świat...“

i że „nie jest przeklętą moc żadna, ale jest przez najwyższą sakramentalną siłę rządzoną...”

Lecz najgodniejszym uwagi w liście apostołskim Słowackiego jest to, co on mówi o sobie, o swoim stanowisku wobec narodu, o swoich nadziejach i o swoim stosunku do Chrystusa. Ażeby to zrozumieć, ażeby wogóle zrozumieć genezę tego utworu, trzeba przed odczytaniem jego poznać dwie rzeczy: pewną halucynację, której uległ Słowacki na kilka miesięcy przed pisaniem listu apostołskiego i odnowioną korespondencję jego z Krasińskim w początku 1846 r.

I.

Do czasu owej halucynacji, t. j. do r. 1845 Słowacki miał tylko wizye senne, t. j. sny tak wyraziste, że i po przebudzeniu się zostawały mu w pamięci z całą świeżością barw i rysów. Był też oddawna skłonny wierzyć w ich prorocze znaczenie. Tak jeszcze w r. 1831, niedługo po przyjeździe do Paryża z Londynu, pisał do matki: „Wiecie, iż teraz snom wierzę i mam przekonanie, powzięte z doświadczenia, iż niektóre są prawdziwe.

W domu, gdzie mieszkałem w Anglii, jednej nocy obudził mnie sen okropny: było to 16 augusta; zdawało mi się, że należę do zaburzeń. Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy, i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugim widzeniem“. Tak więc, jeżeli możemy zupełnie zaufać słowom poety, przeczuł on we śnie demagogiczne rozruchy i egzekucye warszawskie, które poprzedziły upadek stolicy. ¹⁾

W siedem lat później, bawiąc we Florencyi, miał sen o matce, jakby zwiastujący mu ciężkie przejścia, przez jakie wówczas przechodziła jego matka, przez jakiś czas więziona z powodu sprawy Szy-

¹⁾ P. Meyet w przypisku do tego ustępu (Listy I, 63) objaśnia, że Słowacki stosuje swoje słowa do „zaburzeń i silnych rozruchów ulicznych w Londynie i Bristolu“ z powodu odrzucenia billu o reformie parlamentu. P. M. podaje nawet wiadomość o dalszych losach tego billu, ale na objaśnienie jego zgodzić się niepodobna, bo cóż za związek pomiędzy tym billem a sferą przeczuć Słowackiego!

mona Konarskiego. Pisał o tym śnie z Paryża, znacznie później, w takich słowach: „Osiem temu miesięcy, przyjaciel mój Zygmunt, przyjechawszy z daleka, doniósł mi, że ty, droga, nowych doznałaś i niezasłużonych nieszczęść; a choć w sny nie wierzę, sen jednak dziwniejszy nad wszystko, miesiącem przed tą wiadomością, pokazał mi ciebie wypadającą z powozu, wywracającego się nad brzegiem przepaści, w głębi której płynęła przezroczysta rzeka... Ja zostałem na górze i widziałem ciebie zsuwającą się szybko po stromym brzegu przepaści, nareszcie widziałem, jak upadłaś w wodę, jak szaty Twoje nabrzmiały, jak szłaś coraz dalej i dalej i nareszcie zniknęłaś w głębinie. Sen ten... chwila ta była mi jak wieczność długa, a gdy ciebie straciłem z oczu, przebudziłem się w ciemności i usiadłszy na łóżku, płakałem... Odtąd co dnia wyglądałem czegoś złego“.¹⁾

Podkreślone przezemnie zdania zostają w sprzeczności z sobą, ale pogodzić się dają w ten sposób, że poeta rozumem biorąc rzeczy, w sny nie wierzył, a jednak mimo woli i rozumu przykładał do nich wagę. Ale do czasów transfiguracyi, sny takie, które zwracały na siebie uwagę poety, miewał on bardzo rzadko, przynajmniej należy tak sądzić z listów jego. Inaczej było począwszy od r. 1842. Jeszcze na parę miesięcy przed transfiguracją miał on sen o „kochance pierwszych dni“, o Ludce, który z właściwym sobie wdziękiem stylu, bardzo szczegółowo opisał we współczesnym liście do matki. Dziękując matce za wiadomość o Ludce (która to wiadomość może nawet była pierwszym potrąceniem tej fali w myślach, co mu obraz kochanki we śnie przyniosła) tak pisał: „Niedawno miałem o niej sen śliczny... zdawało mi się, żeśmy się spotkali u stóp wielkich, olbrzymich wschodów, w przysionku jakiegoś pałacu... Wiedziałem, że ją tam spotkam, zebrawszy więc całą moc i energię, przystępowałem do niej i spojrzawszy na twarz jej, niestety, już zmienioną, założyłem ręce i chciałem do niej mówić... Ale zaledwo pierwsze słowa wyrzekłem, buchnął mi z piersi płacz gwałtowny i padłem na wschody, jak Dante przed Franceską... Wtenczas ona stojąc nademną z litością, ręką zdjęła ze swej twarzy tę niby maskę mglistą, która ją była odmieniła, i piękniejsza niż dawniej, przez kilka chwil patrzyła na mnie. Potem zaczęła iść po wschodach zwolna... i słyszałem echo jej chodu, coraz wyżej niknące, aż nareszcie znikło zupełnie. Lecz ten gest, którym ona z twarzy swojej zdjęła odmianę całą lat i smutków, był zadzi-

¹⁾ Listy II, 113.

wiającej piękności. Tak, sen jest czasem cudownym malarzem i moralistą".¹⁾

Łatwo się zgodzić z poetą, że sen był tym razem cudownym malarzem, ale dlaczego moralistą? Jaką naukę, jakie znaczenie przypisywał mu Słowacki? W obszernym liście (z 16 maja 1842), z którego ten obraz snu wyjęty, niema nic, coby posłużyć mogło za wskazówkę do rozwiązania tej zagadki. Ale gdybyśmy chcieli z naszego oddalenia dziejowego w śnie tym proroczej szukać alegoryi, tobyśmy ją łatwo znaleźli. Wszak ten sen wysnuł mu się na parę miesięcy przed nagłym a głębokiem przeobrażeniem jego duchowem, więc był jakby zwiastunem zbliżania się tej przemiany. Olbrzymie wschody, wiodące do jakiegoś pałacu, to transfiguracya, która go zawiodła do gmachu anielstwa, a Ludka, zdejmująca mglistą maskę, aby z pod niej ukazać twarz piękniejszą, niż była dawniej, to jakby symboliczne przedstawienie tej przemiany w pojęciu o piękności, jaka zaszła w Słowackim po transfiguracyi.

Ale nie bawiąc się w tłumaczenie szczegółów, można za poetą śmiało powtórzyć, że sen bywa czasem cudownym moralistą, a to w ten sposób, że w fantastycznych obrazach wydobywa z głębi nieświadomych stanów i stawia przed spojrzeniem ducha ludzkiego to, co w świetle świadomości ludzkiej na jawie znika, jak znikają gwiazdy na firmamencie, gdy go słońce rozjaśni. I ten sen, mojem zdaniem, należy tak rozumieć: był to wyraz fantastyczny tych nieświadomych stanów duszy, które poprzedziły i przygotowały wielki a nagły przełom duchowy w poecie. Nie przeczy to temu, co powiedziałem wyżej, że może wiadomość o Ludce wpłynęła na ukazanie się jej postaci we śnie.

Od czasów transfiguracyi Słowacki począł zwracać baczną uwagę na sny swoje i upatrywać w nich tajemniczych znaków dla siebie ze świata ducha. Zaraz w pierwszym liście do matki, gdzie jej napomykał o wielkiej zmianie wewnętrznej, jaka w nim zaszła, opisywał jej sen swój, który miał dla niego znaczenie wróżby. „Śniło mi się niedawno, że chodzę z Tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomień pieców ceglanych i słyszę Bazylijańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek. Ten sen tak jest porządny w zmianach, że obwinić go nie można o niepodobieństwo... Cóżbyś ty, droga, zrobiła, widząc mnie u nóg twoich... na ławie domku twego? Na samą myśl taką łzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangelię i łącz się ze mną modlitwą“.

1) Listy II, 156.

Cóż znaczyły te słowa? Oto, że poeta widział we śnie owym wróżbę prędkiego a szczęśliwego powrotu do kraju. Były to przecież czasy, kiedy Towiański zapowiadał wojnę wielką, która emigrację miała zaprowadzić do Polski, a miało to się stać tak prędko, że w oczekiwaniu jej radził podobno emigrantom, aby nie kupowali od razu funta świec, dosyć po jednej¹⁾. Ten błogi optymizm odbił się i w powyżej zacytowanym ustępie z listu Słowackiego.

Z początkiem roku 1844, zamknąwszy się w gmachu anielstwa, poeta, im więcej oddalał się od ludzi, tem głębiej zanurzał się w sobie, w świecie mar, które snuła jego wyobraźnia, czy to na jawie, czy we śnie, i tak pilną zaczął zwracać uwagę na sny, że zapisywał je w swoim, na niedługo przedtem kupionym, notatniku w czerwonej oprawie. Na karcie 47-ej książki znajdujemy następującą notatkę: „Myślałem 6 stycznia 1844 r. o matce, ile łez wylała, i miałem sen o niej, że ją widzę na Czerczej Górze, na samym wierzchołku skał, jak fontannę w kształcie szerokiego namiotu ze spadającej srebrnej wody. Cudny namiot łez, abym się podeń schronił i był okryty“. Nie zaniedbał też opisać tego snu matce w liście, o miesiąc późniejszym (2 lutego) i do opisu dodał wyjaśnienie: „Wytłómaczyłem sobie, że to jest prawdziwy namiot schronienia się z łez, wylanych nade mną“²⁾.

Jakże się mylił poeta w tym wykładzie snu, ale jakże wiernie się scharakteryzował w tej omyłce! Sen w istocie był symboliką, pełną znaczenia. Wszakże było to w czasach, kiedy matce zdawało się, że straciła swego dawnego Julka, którego tak kochała, tak dobrze rozumiała i z którego tak dumną była, i że miejsce syna-jedynaka zajął ktoś inny, do tamtego wcale nie podobny, i kiedy, zastraszona pogroźką syna („garść prochu mego i puste echo“), nie śmiała nawet z trwogi się swojej przed nim wynurzać. Jakaż to fontanna łez musiała w owych czasach w milczeniu płynąć z oczu matki, i jaki wyrzut dla siebie powinien był znaleźć syn w tej symbolice, którą mu sen przynosił, zaczerpniętą z głębi nieświadomych stanów jego duszy. Ale on, zgodnie z wiarą w swoje anielstwo, znalazł tam tylko pomyslną dla siebie wskazówkę, i fontanna łez matki zamieniła się w wyobraźni jego w namiot anielski.

Niebawem poeta przeznaczą osobne miejsce w notatniku (od karty 27 do 29-ej) do zapisywania snów, i to nietylko swoich, ale i cu-

¹⁾ Ob. list Mickiewicza do Ignacego Domejki. Korespondencye Adama Mickiewicza, I, 259; a także Władysława Gołembiewskiego: Mickiewicz odśloniony i Towiańszczyzna, Paryż. 1844, str. 67.

²⁾ Listy II, 194.

dzych. Zapiski następują po sobie chronologicznie, przyczem zwykłe dokładne daty snów są podawane. Pod datą 8 marca 1844 r. czytamy taką notatkę: „Śnił mi się nieboszczyk Xiążę Orleanu, jak gdyby wchodził na wschody Tuilleryjskie i mówił ze mną, a potem imię moje zapisał do pugilaresu... Miałoby to być, że mię ten duch chce do swego zboru przyciągnąć? Uderzył mię po ramieniu i pytał, czy się tem dotknięciem nie obrażam; odpowiedziałem mu wierszem Calderona, że król nie może urazić“. Następna notatka brzmi: „Dnia z 3 na 4 kwietnia (1844), sen o łabędziach, których białość mnie zdziwiła. Wstawszy myślałem, że jest rozkaz, abym poszedł do Tuillierów, gdzie łabędzie pływają. Jakoż skoro nad sadzawką stanąłem, ptaki te z drugiego końca płynęły do mnie, i w takiej zupełnie pozycji zatrzymały się, jak owe, we śnie widziane — ale nic więcej. Wieczorem dopiero zrozumiałem, że to jest przypomnienie się duchów Julii i Jasia ¹⁾, bo Julia łabędzie miała i karmiła“.

W snach Słowacki widział coś więcej, jak wskazówkę, jak potrącenie ze świata duchów: widział także i odblask, przypomnienie przeszłych, przeżytych żywotów. Mamy tego dowód w następującej notatce, bezpośrednio pod snem o łabędziach napisanej: „Opowiadała mi pani R... (prawdopodobnie pani Reitzenheim) o swoim śnie, że widzi zawsze niby zamek starożytny, gdzie jej pokazują szufladę, pełną starych pieniędzy, i mówią, że to do niej należy — potem ją fale porywają, z którymi ona walczy. Cudne wspomnienie; pewnie była dziecięcim pieszczeniem, bogatem, które rodzice psuli, pieniądze jej pokazując — potem utopiła się może w podzamkowej rzece, może ją w wodę zbójcy rzucili... Teraz ta pani, cudnej piękności, młoda, zupełnie jak gdyby za expiacją, z nędzą walczy, dziatki sama wychowuje i przyznaje się, iż w sercu tęskni za majątkiem... że jej się zdaje, iż z pieniędzmi byłaby szczęśliwą — i sen ów przemawia do niej napróżno, albowiem z trudnością poddać się jej woli Bożej przychodzi“.

Sny, które uznawał za znaczące, najczęściej go nawiedzały — jak to z notatek wywnioskować można — na wiosnę, osobiwie w kwietniu. Z sześciu snów własnych, zapisanych w r. 1844, cztery pochodzą z tego miesiąca. Do tych ostatnich należy i sen z 14 na 15 kwietnia, wprowadzony przez poetę do dramatu p. t.: *Agezilausz*. Do snu tego w notatniku nie dodał poeta objaśnienia, ale w dramacie ów sen daje „rzeczy tajemnych widzenie“, jest dla bohatera, króla Agisa, znakiem, że ma wkrótce zginąć. Rzecz to godna uwagi, że Słowacki, gdy nie mógł snu swojego wprost do siebie stosować, stosował go

¹⁾ Julia Michalska, która poślubiła wuja poety, Jana Januszewskiego.

przynajmniej do bohatera, z którym poczuwał się do solidarności duchowej.

W roku 1845, którym się obecnie zajmujemy, jeden sen tylko zapisał w pamiętniku, ale ten sen ma również datę kwietniową. Na karcie 28 (str. 6), pod datą 15 kwietnia 1845 r., czytamy: „Sen dziwny — niby mnóstwo koni białych, jak srebro, nad dachem zamku wielkiego ulatywało w powietrzu, ciągnąc niby w szafirowy błękit gromadą łabędzią — lecz te konie, unieść się nie mogąc, zleciały wielką chmurą na dół, na ziemię, i podniosły kurzawę grubą, w której zniknęły z całym obrazem“.

I do tego snu nie dodał poeta objaśnienia, ale nie można wątpić, że i w nim upatrywał jakieś tajemnicze znaczenie. Dla nas ten sen godnym jest uwagi z tego względu, że obrazem swoim wiąże się z dawnym wspomnieniem, przywołanem przez poetę w liście do matki, o parę miesięcy wcześniejszym, mianowicie, jak Najśw. Panna (Berdyczowska) przeniosła nad nim „sto dzikich koni, niby na skrzydłach anielskich, aby był żyw dotąd i służył Bogu“. Kiedyż to się stało? Sięgając w przeszłość poety, tak dobrze nam znaną z listów i pamiętników, znajdujemy jeden tylko wypadek, który mógł służyć za podstawę do owego wspomnienia. W pamiętniku, pisanym w lipcu 1832 r. w Paryżu, opowiada Słowacki swój pierwszy przyjazd do Warszawy w lutym 1829 r. Jechał przez Nowy Świat sankami i oglądał się w koło. „Zdaleka ujrzałem konie unoszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, w których jechałem, zatrzymują się, powoźnika, obróciwszy się, już nie ujrzałem za sankami, a nademną tuż, tuż leciały rozhukane dwa konie, schyliłem się w sankach i w tejże chwili oba konie przeskoczyły przeze mnie i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zczepiły się, upadły. Przyszedłszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni“. I już wtedy widział w tem Słowacki jakąś wróżbę dla pobytu swojego w Warszawie.

Otóż mamy tu przykład, jak wyobrażenia Słowackiego, mistycznie nastrojona, przekształcała i wyolbrzymiała obrazy dawnych wspomnień, jeżeli w nich odpowiedni do swego nastroju znajdowała materiał. Dwa unoszące konie, wzięte z rzeczywistego wypadku, zamieniły się w sto dzikich koni, ulatujących jakby na skrzydłach anielskich; to, co miało być tylko jakąś wróżbą dla pobytu poety w Warszawie, zamieniło się po piętnastu latach w wyraźną interwencję Najśw. Panny, i to nie innej, jak Berdyczowskiej, co można tylko w ten sposób zrozumieć, że Słowacki miał z sobą podczas wypadku z końmi Jej wizerunek, dany na drogę z błogosławieństwem przez matkę.

Ale nie na tem koniec. W wypadku warszawskim, to jest we wspomnieniu, jakie po sobie zostawił, możnaby widzieć pierwsze ziarno owego „snu dziwnego“, który poeta zanotował w swojej książce czerwonej; można przypuszczać, że obraz stu dzikich koni, jakby na skrzydłach anielskich ulatujących, który poeta wysnuwał z dalekiego wspomnienia, pisząc znany nam list do matki, tak żywo się w jego wyobraźni zarysował, że w parę miesięcy potem odbił się we śnie, w owym obrazie mnóstwa koni, białych jak srebro, ulatujących w błękit i spadających potem na ziemię.

Tak więc mamy tu przykład, jak wrażenia świata rzeczywistego przetapiały się w Słowackim naprzód na fantastyczne marzenia, a z tych marzeń potem w wizye senne.

Poświęciłem snom poety tyle uwagi dla tego, że w jego życiu ówczesnem odgrywały one rolę ważniejszą od wypadków zewnętrznych, t. j. miały ważniejsze dla niego znaczenie. Cóż go obchodziło teraz to, co się działo na ulicy, na świecie, w literaturze, jego, który miał słońce prawdy, ukryte przy sobie, i na ludzi patrzył z politowaniem, jak na dzieci, budujące domki z kart? Czegóż się mógł od nich dowiedzieć? Przeciwnie, sny przynosiły mu tajemnicze znaki ze świata duchów, który jedynie był dla niego rzeczywistym, w snach znajdował poeta rady, wróżby i przestrogi dla siebie. Zresztą dopiero na tle tych wizyj sennych można dobrze zrozumieć, czem była i jakie miała znaczenie dla Słowackiego owa cudowna wizya na jawie, o którą nam tu przedewszystkiem chodzi.

Było to w nocy z d. 20 na 21 września, w kilka dni po owym śnie o białych koniach. Wiemy od samego poety, że cisza nocna i koloryt nocy działał zawsze niezmiernie podniecająco na jego wyobraźnię. Jeszcze przed dziesięciu laty ze Szwajcaryi pisał, że zawsze się lęka odczytywać rano nocą pisanego listu. „W nocy nieraz zdolnybym był zginąć, jak Agis, król Spartański. Kilka godzin snu dziwnie zmieniają człowieka, ciało bierze przewagę nad duszą i myślą. Rano nieraz sprzedałbym swoje pierworodzeństwo za miskę soczewicy“. Łatwo zrozumieć, że w czasach pogrążenia się w mistycyzmie, podniecenie, wywołane nocną porą, musiało być jeszcze większe. Poeta siedział w swojej cichej pracowni, rozjaśnionej tylko światłem jednej świecy i dumał. Wiemy nawet, o czem; o tem, co było wówczas głównym przedmiotem jego rozmyślań: o *Genezis z Ducha*, a zapewne także i o swoim „wodzostwie narodu“, co zresztą jedno z drugim wiązało się bardzo ściśle. Jako ten, który uważał się za niezaprzeczonego wodza narodu, sądził Słowacki, iż obowiązek mu nakazuje zaraz ogłosić narodowi tę księgę, w której on znajdzie rozwiązanie wszystkich tajemnic świata, a zarazem i drogę swego zbawienia. Ale

jakiś instynkt wewnętrzny, powiedziałbym, samozachowawczy, opierał się temu rozumowaniu, była to jakby tajemna obawa, że wystawienie Alfya i Omegi świata na widok publiczny, na publiczne sądy, a może i szyderstwa, zburzy, a przynajmniej zamąci ten spokój anielskiego, którym się poeta otoczył, w którym mu było tak błogo, a którego lekkie nawet naruszenie sprawiało mu przykrość.

Wiemy, jak sobie wyobrażał zwycięstwo prawdy, zawartej w *Genesis*: że „spokojnie przez samo anielskie rozjaśnienie świata powinna go zdobyć“. Ale czy świat, a przedewszystkiem naród polski, dojrzał do jej przyjęcia, do tego, aby się spokojnie rozjaśnić tą prawdą? „Kieżyż nastanie taka cisza, że Polska to usłyszy, co ja słyszę?“ — wołał Słowacki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, a i teraz nie był pewny, czy taka chwila nadeszła.

Więc się wahał, czy ma ogłosić *Genesis*, czy to światło trzymać jeszcze pod korcem. W tej niepewności czekał jakiejś wskazówki, jakiegoś natchnienia z góry. Przed dziewięciu laty, kiedy go także trapiła wielka niepewność, czy ma puszczać się w dalszą i trudną podróż na Wschód, której mu wujowstwo odradzali, szukał jakiej wskazówki w Biblii, i ta, „otworzona losem“, rozstrzygnęła niepewność, bo na wybranej w ten sposób karcie znalazł Słowacki słowa: „Kościóły Azyjskie pozdrawiają was“. Jeżeli wtedy, więcej jako fatalista, niż jako chrześcijanin, odwoływał się do Biblii, to cóż dziwnego, że i teraz, kiedy był cały obrócony twarzą w świat ducha, szukał tam także rozwiązania dla swej niepewności. Tylko tym razem, sądzę, nie spuszczał się na los, ale sam sobie wybrał z Biblii ustęp, ażeby w nim znaleźć to, czego pragnął.

Tym ustępem był pierwszy rozdział ewangelii św. Jana, ten, do którego pierwszych słów, jak wiemy, nawiązywał Słowacki swoją teorię świata. W tym ustępie, zdawało mu się, najodpowiedniej jest szukać — w niepewności, dotyczącej wydania *Genesis* — jakiegoś ukrytego znaku, tajemniczego skinienia dla siebie. I oto kiedy doszedł do 18-go wersetu, znalazł tam takie słowa:

„Boga nikt nigdy nie widział; on jednorodny syn, który jest w łonie ojcowskiem, ten nam opowiedział“.

„Boga nikt nigdy nie widział!“ — te słowa uderzyły poetę miśtyka. A cóż gdyby to, co nigdy nie było, stało się w nadzwyczajnych czasach, jako łaska dla „najwyższego i najczystszonego“ ducha na ziemi? Poeta od świecy, która mu rozjaśniała karty Biblii, podniósł głowę do góry, i stało się nagle coś cudownego. Górna część pokoju jego uciekła gdzieś wysoko, zamieniając się w kopułę niebios, ogniami objętą, i ten widok napęlił go przerażeniem, a zarazem pewnością, że oto ma stać się to, czego dotąd nigdy nie było na świecie, że,

wywołany gorącym jego pragnieniem, ma mu się ukazać Ten, którego dotąd nigdy nikt nie widział. Jakkolwiek przerażony tem widzeniem, oczu jednak nie odwracał, ale owszem, przesywał wzrokiem wijące się ognie, aby przyjąć łaskę, jakiej żaden z ludzi dotąd nie doznał, aby ujrzeć Tego, którego te ognie zwiastowały, i tylko w przerażeniu szeptał: „Boże ojców moich, zmiłuj się nade mną! Boże ojców moich, bądź mi litościwy!“.

Ale wpatrującym się w ognie oczom poety nic się z poza nich nie ukazało, coś tylko błysnęło, niby miesiąc biały w górze, i widzenie znikło, zostawiając poetę w chwilowem osłupieniu i w niewzruszonej wierze, że mu się sam majestat Boski w tych ogniach objawił.

A teraz wypada przytoczyć mi dowody, że cały ten tutaj przeze mnie odmalowany obraz, nie jest w niczem wymyślony, ale cały wysnuty z różnych, skombinowanych ze sobą, i stosownie objaśnionych świadectw samego poety. Zdania, w których te świadectwa są mniej widoczne, podaję różstrzelonemi czcionkami.

Więc oto naprzód, co znajdujemy w czerwonej notatkowej książce poety na karcie 28 (b), zaraz pod owym snem o białych koniach: „Z d. 20 na 21 kwietnia. Widzenie na jawie ognia ogromnego nad głową, kopuły niby niebios, całej ogniami napełnionej, tak, że w okropnym przestachu mówiłem: Boże ojców moich, zmiłuj się nade mną—i niby z chęcią widzenia Chrystusa przesywałem wzrokiem te ognie, które się odsłaniały — i coś, niby miesiąc biały, ukazało się w górze — nic więcej“. „Boże ojców moich, bądź mi litośny!“.

To samo widzenie obszerniej opisał na osobnej kartce, która się przechowała w papierach pośmiertnych poety, a opis ten, przeznaczony dla narodu, miał być, jak się zdaje, przyłączony do *Genesis z Duchą*, o której wydaniu wówczas poeta zamyślał: „O Polsko moja, kiedyś się wahał z wydaniem tej księgi, a był właśnie w połowie tej ewangelii, która jej ostatnie karty zamyka — coraz mocniej przerażony odpowiedzialnością przed Bogiem, oświecony zostałem ogniami niebieskimi w nocy z d. 20 na 21 kwietnia, i w stanie zupełnie spokojnym, bez najmniejszego krwi poruszenia, ani rozegrzania, przerażony zostałem mocą Chrystusa, już na ten świat nadchodzącego, przymuszony wymówić słowa, których pierwej nigdy w życiu nie używałem. Szelestem ogni tych, wichrem niby bożym zewsząd owiany i zagrożony, prawie umarły... a za zniknięciem onych w jednym okamgnieniu powrócony zimnej rozwadze... i przytomności... Mówię to po rozwadze głębokiej, a nie dla chwały własnej, bo cóż jest chwałą robaczka, którego Chrystus Pan raczył mocą niebieską przerazić? mówię, abym nie zataił przed światem mocy Bożej, pewny, że to wyznanie w wieku dzisiej-

szym ujmie mi cześć (*sic!*) w obliczu świata, który chętnie one te rzeczy szalbierstwu, albo chorobie zwykł przypisywać, sądząc, że ujmuję powagi rozumowi, stając na drodze cielesnym i ciągle idącym w górę usiłowaniom narodów...“.

O jakiejże to księdze mówi poeta w tym opisie i jaka to ewangelia zamyka ostatnie karty tej księgi? Żeby to zrozumieć, trzeba odczytać ostatni ustęp *Genesis z Ducha*, ustęp, który był widocznie dopisany dodatkowo już po owem widzeniu cudownem: „Ojczy Boże... według świadectwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi nie widziany, a który teraz przez krwawe i udręczone tłumy kształtów Genezyjskich, ciemną dla formy, ale łaskawą i sprawiedliwą względem Duchów i Ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zbliżoną twarzą spojrzaleś. Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń: droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy Słońcami.. i lud twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do Królestwa Bożego zaprowadziła“.

Z tego zakończenia wyraźnie wynika, że ową księgą, z której wydaniem wahał się poeta, jest *Genesis z Ducha*, że przez ewangelię, która jej ostatnie karty zamyka, rozumiał poeta pierwszy rozdział ewangelii św. Jana, gdzie się znajduje wspomniane w zakończeniu świadectwo Chrystusa o tem, że Boga nikt jeszcze nie widział na ziemi; „krwawe i udręczone tłumy kształtów genezyjskich“, przez które Bóg „niby zbliżoną twarzą“ spojrział na poetę, to są ognie, które mu się ukazały i przeraziły swoim blaskiem krwawym i szumnym. Z zestawienia też podanych świadectw wynika, że opis na osobnej kartce jest późniejszy od dodatkowego zakończenia *Genesis*.

Zachodzi teraz pytanie, co z tej wizyi wywnioskował poeta, jak ona oddziaływała na jego zamiary i wyobrażenia? Przed wizyą wahał się z wydaniem *Genesis*, jakież rozkaz, jakąż wskazówkę przynosiła mu w tym względzie wizya? Z przytoczonego tylko co, a już po wizyi dodanego zakończenia tej księgi, możnaby myśleć, że Słowacki rozumiał z początku wizyę, jako skinienie z góry, aby wydawał *Genesis*. A przecież nie wydał jej ani wtedy, ani potem. Trzeba zatem przypuścić, że pierwotne tłómaczenie cudownego zjawiska ustąpiło niebawem innemu, wręcz przeciwnemu, że w ogniach, które mu się ukazały, a tak go przeraziły, domyślił się przestrogi przed przedwczesnem wydaniem księgi tajemnic świata.

Ale, jeżeli miał jakie wątpliwości, jak wizyę uważać: za rozkaz, czy zakaz wydawania *Genesis*? to był najświęciej przekonany, że wizya jest uroczystem zatwierdzeniem ze strony Niebios tego wszystkiego, co roił o sobie i o genezie świata. Stała się ona dla niego źród-

dłem nieznanym mu dotąd rozkoszy, płynących z tej umocnionej cudem pewności, iż jest wybrańcem Bożym i zostaje pod bezpośrednią opieką Bożą. Jego gmach anielstwa poświęcony został przez samego Boga; teraz nic mu nie pozostawało, jak po tym gmachu w szatach świętości chodzić do końca życia, a po śmierci w postaci tryumfującego anioła ulecieć w świat czystego ducha.

Echa tych rozkosznych uczuć poety znajdujemy we współczesnych listach do matki. We dwa, lub trzy tygodnie po wizyi (w maju 1845 r.) pisał do niej: „Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholii, którą, wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mój obrócił się całą twarzą naprzód... w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wewnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołów, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłómaczę ten wzrost nagły i to odmienne we mnie pojęcie naszego życia na ziemi... jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?.. Módl się, moja droga, stojąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć dawniej nawet nie umieliśmy“¹⁾.

Poeta nie śmiał tu jeszcze opowiadać szczegółowo matce swojej wizyi; może bał się, aby tem opowiadaniem nie popełnić grzechu, może lękał się niedowierzania matki i wuja. Ale przy końcu listu, o którym mowa, jeszcze raz wspomniał o wizyi, a raczej o jej znaczeniu, o przekonaniu, jakie ta wizya w niego wlała, i to przekonanie usilnie pragnął przelać w matkę. Więc, nawiązując do tego, co matka mu w ostatnim liście o swoich snach mówiła, tak pisał: „Te sny, które mówisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają... dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchów, którego my jesteśmy członkami, a raczej tylko narzędziami, nic nie wiedzącymi... Takim narzędziem byłem długo ja sam... narzędziem wichrów i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty rozumiesz to wszystko?..“. „Jaśniej tłómaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwie to pojąć mogą zmysły moje. Proszę cię, wiarę miej, bo na tem wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mnie w łonie swoim niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie nieśmiertelnej natury Słowa...“

1) Listy, II, 230 — 231.

a nic ci nie piszę z myśli, ani z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wewnętrznej¹⁾.

Otóż w *Listach Apostolskim* Słowackiego są często alluzye do tego widzenia na jawie, a najważniejsze z nich są te słowa, pod koniec listu umieszczone: „Nie mówiłbym, gdyby nie płomienie i nie chrzest przez ogień... Lecz teraz mówię w Panu Jezusie Chrystusie, ufając, że nie grzeszę...“. Świadczą one, że Słowacki nie byłby pisał owego *Listu*, i nie występował w nim w roli apostoła, wybrańca Bożego, gdyby wizya nie była dla niego niezbitym dowodem, że Bóg go obrał za swoje szczególne narzędzie.

II.

A teraz przypatrzmy się drugiej rzeczy, której poznanie jest niezbędne do zrozumienia genezy *Listu apostolskiego*, to jest odnowionej z początkiem roku 1846, korespondencji Słowackiego z Krasińskim.

Zygmunt Krasiński po wydaniu w Paryżu *Psalmów przyszłości*, odjechał do kraju, ale niezadługo, bo już w początkach grudnia 1845 zjawił się z całym taborem rodzinnym na wybrzeżu włoskiem, gdzie miał przepędzić zimę. Narzekania na swój los w listach jego do przyjaciół i teraz były na porządku dziennym, ale było i co innego jeszcze, co nas tu szczególnie obchodzi, mianowicie dowiadywanie się, jakie wrażenie wywarły jego *Psalmy przyszłości* na emigracyi, dla której w szczególności były przeznaczone. Chodziło mu najbardziej o zdanie Mickiewicza i Słowackiego, a także co mówi demokracja emigracyjna o *Psalmach*. Dopytywał się o to i Małachowskiego i Sołtana, a najwięcej Gaszyńskiego.

Ale *Psalmy* nie wywarły żadnego wrażenia w emigracyi. Jeden tylko *Dziennik Narodowy* podał ich recenzję, lecz ta była niezmiernie naiwną i śmieszną. *Trzeci Maj* nie znalazłszy w nich nic, co by się na młyn dynastyczny obrócić dało, nie wspominał nawet o nich, *Demokrata polski* pociski, wymierzone przeciw jego propagandzie, pozostawił bez odpowiedzi. Głos Mickiewicza nie rozlegał się już z katedry Collège de France, zajętej przez Cyprjana Roberta, więc Kra-

1) Listy do matki, II, 234.

siński i stamtąd nie miał nadziei usłyszenia czegoś o swoich *Psalmach*. A chciało mu się bardzo wiedzieć, jakim echem odezwały się jego słowa poetyckie w sercach współbraci, szczególnie tych, którzy je zdolni byli lepiej, niż Władysław Plater, autor recenzji w *Dzienniku Narodowym*, zrozumieć i ocenić. I to było, jak mi się zdaje, główną pobudką dla Krasińskiego do nawiązania zerwanej przed trzema laty korespondencji ze Słowackim. O zdanie Mickiewicza może mu jeszcze więcej chodziło, ale z Mickiewiczem trudno mu było nawiązać korespondencję z powodu, że już latem tego roku próbował to uczynić i na list swój żadnej nie otrzymał odpowiedzi. ¹⁾

Z Nicei 4 stycznia 1845 wyprawił aż dwa listy do Paryża, aby się wywiedzieć, czy obecne usposobienie Słowackiego nie staje na przeszkodzie do zawiązania z nim korespondencji, i co myśli Mickiewicz o jego *Psalmach*. Do Gaszyńskiego pisał: „Daj mi radę, czy mam się odezwać do Juliusza po trzech latach milczenia? Czy mi odpisze? Czym nie stał się przed jego mądrością jako infusorium, któremu nie warto odpowiadać? Co tylko wiesz, napisz mi i pisz do mnie często“. A w końcu dodawał: „O panu Adamie staraj się dowiedzieć, co powiedział o naszej dziewczynie“. ²⁾ Małachowskiego zapytywał: „Czy nic nie powiedział ci (Mickiewicz) o *Psalmach*? Jeśli się z nim widzieć będziesz, nawiedź na to rozmowę“. I zaraz potem przechodził do Słowackiego: „Powiedz mi, czy mam do Juliusza napisać? Jak sądzisz, czy mi odpisze? Może stałem się dla niego mikroskopicznym żyjątkiem, niegodnym przerywania mu medytacji? Jednak radbym listownie się z nim rozmówić“. ³⁾

Gaszyński, stosując się do życzeń przyjaciela, odwiedził Słowackiego, z którym się od roku nie widział, ażeby wybać stan ducha jego i usposobienie dla dawnego przyjaciela. O wierszu *Do autora*

¹⁾ Na zachętę w tym kierunku ze strony Małachowskiego odpowiedział Krasiński (20 stycznia 1846). „Cóż ty chcesz, drogi, bym napisał do pana Adama? Już bez odpowiedzi została moja odezwa w lecie, a w niej wszystkom powiedział, co tylko można.“ Listy Z. Krasińskiego do Małachowskiego 41. Odezwy tej nie znamy, jak nie znamy także powinszowania, które otrzymał Krasiński na nowy rok w imieniu Towiańskiego. Być może iż Mickiewicz uważał to powinszowanie za rodzaj odpowiedzi na odezwę otrzymaną od Krasińskiego w lecie.

²⁾ Listy Zyg. Krasińskiego T. I. 245. Dziewczyną przez właściwą sobie ostrożność nazywał ostatni swój poemat.

³⁾ Listy Zyg. Krasińskiego do Stan. Małachowskiego. Kraków 1886, str. 37.

Trzech psalmów, który już był napisany, ale nie drukowany, widocznie jeszcze Gaszyński nic nie wiedział. Stanęli naprzeciw siebie ludzie, pod względem nastroju psychicznego biegunowo przeciwni: z jednej strony marzyciel, żyjący poza światem, drażliwy jak mimoza i po brzegi wypełniony myślą o wielkości swego posłannictwa, z drugiej człowiek bez pretensyi, rozsądny, spokojny, leniwy trochę, jeden z najtrzeźwiejszych ludzi na emigracyi. Było to właśnie w tym czasie, kiedy Gaszyński pisał swój szkic satyryczny „*Pan Dezycery Boczko i jego sługa Pafnucy*“, w którym doskonale uwydatnił pewne słabe strony życia emigranckiego.

Jakie wrażenie ci ludzie podczas owych wywiadowczych odwiedzin wywarli na siebie wzajem, możemy o tem powziąć dość dobre wyobrażenie z pewnego nieco późniejszego listu Słowackiego do Kraszińskiego: „Po rocznem ze mną niewidzeniu przyszedł do mnie Gaszyński — zbiedzony, wyschły, kościany (to pisze Słowacki, nierównie więcej „wyschły i kościany“ od Gaszyńskiego) usiadł przy kominie i dał uczuć całą kamiennosc swego ciężaru, między innymi zaś rzeczami, powiedział mi, że jest szczęśliwy mocno z przyjazdu pewnego przyjaciela, a ten przyjaciel jest to jeden z Montalambercistów, jezuitów naszych, od których mi wiele zła teraz idzie, choć niewidomym sposobem... Wytrzymałszy tę rozmowę przez pół godziny, skoczyłem na mego poetę — łajac go serduszczie za to, że napiwszy się herbaty poeta jest — a potem między ludzi chodzi nie w wieńcu bluszczowym natchnienia, ale w szlafmocy, sen rozdaje, siebie samego w natchnieniu wstydzę się, albo też naśladować lęka się — mówiłem mu nareszcie o idei — a nareszcie uściskałem go ze łzami prawie, mówiąc: „przebac mi, żem się rozkrzyczał, ale nie mogłem“. Cóż się stało?.. Poczciwy G. poszedł odemnie do klubu i zwykłym sposobem żartownisia powiedział przy obiedzie, że Sł. kompletnie zwaryował... Jezuiti byli przytomni — w kilka więc dni potem jeden z przyjaciół moich spotkał się z wieścią już przez różnych powtarzaną, żem istotnie zwaryował“. ¹⁾

Tak więc Słowackiemu wydał się Gaszyński jako nieczuły, ciężki, śpiący i sen sprowadzający kamień, Słowacki Gaszyńskiemu jako nie przy zdrowych zmysłach lunatyk. Pomimo takiego wrażenia wzajemnego Gaszyński wywiązał się z danego sobie polecenia z dobrym skutkiem. Powiedział Słowackiemu, że Krasziński dopytuje się o niego listownie, a na odpowiedź Słowackiego, że wina zerwania ko-

¹⁾ Nieznane listy Juliusza Słowackiego wydane przez prof. J. Kallenbacha. *Czas* z 3, 4 i 5 lutego 1902.

respondencyi jego z dawnym przyjacielem jest po stronie tego przyjaciela, wyszedł, mówiąc: „za dziesięć dni zapewne będziesz miał list od Zygmunta“.

Ta chęć Krasińskiego nawiązania korespondencyi zerwanej ze Słowackim po wszystkim, co zaszło między nimi, zadziwiła, ucieszyła i zaniepokoiła zarazem naszego poetę. Zdawało mu się zapewne, że nadeszła chwila, w której będzie mógł pozyskać dla swojej idei tego, którego przedtem daremnie ciągnął ku niej. Ale na drodze do zupełnej harmonii leżało wiele gruzu, który trzeba było uprzętnąć. Otóż Słowacki zaraz gorączkowo zabrał się do tego. Natychmiast po wizycie Gaszyńskiego, tego samego dnia jeszcze, nie czekając na zapowiedziane pismo Krasińskiego, napisał list do niego.

W tym liście nie chodziło mu tylko o uprzętnienie gruzu, ale i o nadanie tonu przyszłej korespondencyi. „Postanowiłem ten list twój uprzedzić—pisał Słowacki—do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jej“. Znaczyło to, że Słowacki dzisiejszy nie jest Słowackim z przed czterech, pięciu lat, że z dziecka, jakim był wtedy, a które potrzebowało strojenia i podnoszenia ducha, stał się człowiekiem strojonym tylko przez Aniołów. Ale zaznaczywszy obecną wysokość swego tonu i stanowiska, czynił ustępstwo dla dawnej przyjaźni, aby się usprawiedliwić przed Krasińskim z tego, czem go mógł urazić.

„Przed tobą wszakże, jedynym moim niegdyś w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha nieraz podnosił i stroił... muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez Anioły dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada“.

I tu następowało obszernie, gorące, obrazowe tłumaczenie się poety z napisania i wydania *Księdza Marka*. Po uprzętnieniu tego gruzu, poeta wyznawał, że przyszło mu ono ciężko: „*Bolesne rwanie się tego listu*” zaświadczy ci—ale ty jesteś wielki duch Boży i jeden z Aniołów narodu naszego... zakrwawiać ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać, byłoby grzechem przeciwko Duchowi światła. Zdejm więc z siebie ciężar—ja ci dopomagam—kochaj mnie, mówię ci, wart jestem... Więcej nadto żadnemu człowiekowi odemnie się nie należy“.

„Bolesne rwanie się listu“ zaznaczone przez samego poetę, widoczne jest i w dalszym jego ciągu. „Odezwanie się twoje przez Gaszyńskiego—czytamy tam—choć ustne, dowiodło mi, żeś wyższy już nad zwyczajność... Uprzedzam Cię więc i pierwszy krok czynię, abyś się zaczęciem ze mną korespondencyi w oczach cielesnych dotąd ludzi nie poniżył...; jako duch, nic nie rozpocząłem, ty masz do rozpoczęcia,

przełamania w sobie wszelkiego ja, które ci do czystej miłości przeskadza“.

„Bez miłości prawdziwej nic nie pisz, bo zakrwawił byś serce moje jakim wyrazem mimowolnym“.

„Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział—nietylko, iż ci to z ducha wymazuję—ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwiązujący sumienia. Wszystko potrzeba rozwiązać“.

„Możesz słyszał, że m mocno był chory, teraz jestem zdrów do czasu... a żyję póki chcę, bo mi to Bóg zostawia — w rękę mi dał nic żywota mojego—nie bez łez, jak widzisz, puszcza ją, aby szła jeszcze... Mocno byłem strudzony...“

„Alleluja znów!—wiosna—(list pisany 12 stycznia)—przydad mi promienie do złotych dni, które mi świtać zaczynają... Ukochaj mnie...“

Co znaczyło to wszystko i skąd pochodziło owo „bolesne rwanie się listu“? Poeta, pisząc list, trapiiony był niepokojem, który płynął z dwóch różnych źródeł. Pierwszem była trudność utrzymania wobec przyjaciela tego tonu, jaki odpowiadał wyobrażeniu poety o sobie, jego stanowisku wodza narodu i posiadacza alfy i omegi świata. Nie miał dość śmiałości, aby wobec człowieka, który był niegdyś jego mistrzem, odgrywać z kolei rolę mistrza, a tej roli zaniechać nie mógł, bo nią tylko żył, bo za jej obrębem nawiązanie stosunku z Krasińskim, nie miało dla niego żadnej wartości. Drugiem źródłem niepokoju było uprzątnięcie gruzu z drogi do harmonii dusz, czyli rozwiązanie sumień, jak się wyrażał Słowacki. A do uprzątnięcia było wiele, i to nietylko tego, o czem Krasiński wiedział, t. j. w *Księdzu Marku*, ale i tego, o czem nie wiedział, t. j. w wierszu *Do autora Trzech psalmów*, który, niedawno napisany, spoczywał w tece poety.

Cóż miał teraz zrobić z tym wierszem? Miałże go się zaprzec, może nawet zniszczyć ten cudowny kwiat poetycki? Czy też go posłać przyjacielowi i na oścież otworzyć przed nim sumienie? Ani na jedno, ani na drugie nie mógł się zdobyć Słowacki i dla tego trapił go niepokój w ciągu pisania listu. Czuł on, że na drodze do zupełnej harmonii pozostanie ten najcięższy kamień, trudny do usunięcia a dla Krasińskiego dotychczas niewidzialny. Więc przynajmniej w ogólnikowych wyrazach musi ostrzedz przyjaciela o istnieniu tej zawady. I dlatego to w post-scriptum dodawał takie przestrogi.

„N. B. Powiem ci prosto, a może rzecz najważniejszą, iż mi się sprzeciwia terażniejsza czynna i głośna dążność twoja — patrz, czy przeciwnika możesz ukochać—a nie możesz nie przerósłszy go w sumieniu. Oberwałem się ze wszystkiego—zostaje tylko ziarno“.

Jakie wrażenie wywarł ten list Słowackiego na Krasińskim, możemy powziąć o tem pewne wyobrażenie z odpowiedzi Krasińskiego na list Gaszyńskiego, komicznie opisujący scenę wiadomych odwiedzin. „Z odebranego listu od Juliusza—pisał Krasiński do Gaszyńskiego z Nicei 21 stycznia 1846—widzę, że prawdę masz, parlamentarskości się rozmówili, jak lordowie lub posły angielskie; małom nie pękł ze śmiechu wczoraj, czytając opis tej sceny w twoim liście. Odpisałem zaraz do niego, i to szczerą prawdę, starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z naturami tak dalece rozdrażnionemi. Najstraszniej u nas grasujące dwie morowe zarazy — próżność i lenistwo — gubią nas wszystkich; cnoty zaś dwie nasze — gotowość do poświęcenia i zmysł doskonały do przejmowania natchnień przyszłości, natchnień bożych, wchodzących w świat. Gdyby nie próżność, doskonalebyśmy ukochać umieli piękno i dobro Boże w świecie; gdyby nie lenistwo, doskonalebyśmy je potrafili urzeczywistnić! Ale te dwa demony psują wciąż nasze usiłowania, zamiary: karłują nasze postaci, przygarbacając je, aniołów przétwarzają w pulcinellów, bohaterów w pijaków, szaleńców lub błaznów“. ¹⁾

W tem niezmiernie trafnem uchwyceniu głównych wad i zalet narodowych, czynił Krasiński alluzję i do Słowackiego i do siebie i po części do Gaszyńskiego. Mówiąc o gotowości do poświęcenia miał na myśli wszystkich trzech, zmysł do przejmowania natchnień przyszłości, przypisywał zapewne Słowackiemu i sobie, zarzut lenistwa mógł stosować i do siebie i do Gaszyńskiego, choć lenistwo jednego było zupełnie inne niż drugiego. Ale mówiąc o próżności, miał na myśli tylko Słowackiego. Próżność widział w nim dawniej, jeszcze wtedy, gdy mu dawał naukę o dumie i pokorze, ale wtedy Słowacki nie był jeszcze natchnieniami przyszłości przejęty, jak teraz. Z ostatniego listu jego przekonał się, że pomimo owych natchnień, próżność nie ustępowała ze Słowackiego, tylko przybierała inny kierunek.

Wiedząc, z jak rozdrażnionym człowiekiem miał do czynienia, Krasiński napisał do niego list ciepły, serdeczny, w którym łagodnie, jak wiemy, dotykał ran jego ducha. Listem tym wywołał odpowiedź Słowackiego, długą, bardzo zajmującą i charakterystyczną. W tej odpowiedzi odbiło się oblicze poety w nieco odmiennem oświetleniu,

1) Listy Zyg. Krasińskiego, T. I, str. 248.

niż we współczesnych listach do matki, a to z powodu, że w rozmowie z dawnym swym mistrzem, Słowacki z jednej strony więcej się hamował w akcentowaniu swego anielstwa i wodzostwa, z drugiej, poruszał kwestye, przechodzące zakres wyobrażeń matki. Pod względem tonu, list był niepodobnym do poprzedniego, panował w nim spokój i treść widocznie z góry — przynajmniej w głównych liniach — była obmyślana.

Pierwsza część listu Słowackiego była odpowiedzią na pytania przyjaciela: co robi i co robić zamysła? Mówił więc tu poeta tylko o sobie, tłumaczył siebie i swoje obecne położenie. „Pytasz mnie z czułością prawie matki lub siostry — tak się list zaczynał — czy ja cierpię? — dawno już nie słyszałem głosu takiego — bo ludzie, którzy się do mnie przybliżali — to tak, jakgdybym ja był koniem w karach najemnych — każdy widział spracowane boki moje i krew z obdartych skór moich, a każdy (sic) nie umiał nic powiedzieć, jedno słowo, które sądził, że jest zachętą i bodźcem do pracy, to słowo: *czemu nie ciągniesz?* A sami nie chcieli się i palcem dotykać brzemiion moich, ale odchodzili, roznosząc po świecie, zem samotnik, tetryk, ludziom już niepotrzebny, we własnej dumie pogrążony — zaczęli wreszcie na mój karb wkładać słowa, sądy i nawet pisma nie moje ¹⁾, próbując, jak głęboko leży we mnie ta spokojność, którą, jak ty sam nawet sądzisz, włożyłem przez dumę na czoło moje niby maskę, noszoną z potrzeby na tej ostatniej reducie tegoczesności“.

„Spokojność moja prawdziwą jest, nie jest jednakże bez cierpienia“.

„Cierpię — bo mam cel wielki przed sobą, a sił mi braknie.. Wystaw sobie, że ludzkość jest dziecięciem mojem, a to dziecko chore jest i w konwulsjach — a ja wiem o pewnem lekarstwie uzdrawiającem, lecz myśl moja, zmęczona boleścią, nie chce mi na usta położyć nazwiska zioła onego, o którym wczoraj wiedziałem z pewnością jak największą — wyobraź sobie stan taki ojca, a zrozumiesz, czem jest odosobnienie się moje i nad czem pracuje myśl, na inne rzeczy już obojętna...“

Trzeba się domyslać, że Krasiński w swoim liście musiał dotykać towianizmu i określać go w sposób, nie odpowiadający wyobraże-

¹⁾ Stosuje się to zapewne do utworu p. t. „Dwa akty“, lichej ramoty poetyckiej Siemieńskiego, o której autorstwo — nie znając jeszcze tego utworu, zapewne na podstawie jakichś pogłosek — posądzał Krasiński Słowackiego.

niom Słowackiego. Jakby odpowiedzią na te określenia Krasieńskiego były następujące słowa autora *Genesis z Ducha*:

„Dziwię się, drogi mój, że po tylu latach nie urodziło się w tobie nawet przecuciowe pojęcie sprawy tu zaczętej; nie jest ona ani idejką ani zbiorem idejek nowych o świecie, ani dogmatycznym mistycyzmem, ani przepowiedniami, ani człowiekiem, lecz jest prawdziwym poczuciem świata nowego w cierpiących dawno matczynych duchach ludzkości. Nie patrz ty, mój drogi, na sceniczną wystawę tej idei—ani tajemnicy ducha szukaj w literze—ale uwierz mi, iż ta idea jest niby klucz nowy, rozwiązujący wiedzę w człowieku. Oskarżają nas o mglistość mistyczną— a tu przeciwnie, myśmy w sobie uczuli poniszczenie tajemnic; cóż my winni, że świat woli dotychczas hamletować się? Dwie drogi są, któremi ta sprawa spełnioną będzie: pierwsza żywa, a tę przedsiębrali bracia moi—jeżeli ich Bóg podniesie i z wielu charakterowych ludzkich niedostatków wybawi, to rozpoczną nową epokę świata, i tę epokę od sposobu działania nazwiesz *Sanctu*. Jeżeli nie spełnią, to Sokratesowym sposobem będzie uczyniona rewolucya—powolna, bez żadnej doczesnej sławy dla rewolucjonisty—epoka taka sama, co do wypadków, ale z wielkim dla mocy uczuciowych uszczerbkiem—epoka *Sacra*...”

„Żałuj człowieka, któryby musiał na upadku pierwszych, drugą rozpocząć. Nie dziw się, że człowiek ten stoi na stronie, oczyma przeraża zwicniętych, trzyma chylącą się tam i tu Sanktuaryuszów gromadę, a wszakże modli się za nich—im sprzyja, a sam się od brzemion swoich Bogu wyprasza... Biednażby to była sprawa, gdyby jej jedno pióro i kalamarz służyło...”

„Spytasz mię, dlaczego na pierwszej drodze nie pracuję—odpowiem ci prosto: ciało mi nie służy... a bez ciała nie mam potrzebnej energii, braknie mi tej skry codziennej w oczach, któraby piorunowała krzywo idące, bracią moją; braknie mi tych lwich podrzutów, które są potrzebne do walki z usypiającą, sektarską niektórych ludzi gawędą... Trzebaby wziąć kij ostrugany w rękę—chodaki na nogi i pójść między młodzież pruską—ja nie mogę...”

„Przez trzy lata walczyłem o to, abym ciało moje postawił na nogi—a nie używałem do tego ani lekarstw, ani doktorów, owszem, na wspak radom doktorskim, jechałem po trzykroć nad morze—mocowałem się z falami, z wichrem, stołom obfitym kazałem przechodzić w krew moją—słońce piłem oczyma i ustami. Nic nie pomogło; ta jesień była ciężką dla mnie, ludzie jeszcze większym, niż jesień, ciężarem—z obojętnymi rozbrat wziąłem—jeżeli mi Bóg nowych nie nadeszle, samotnym zostanę bez skargi...”

„Oto masz szczerą odpowiedź moją na to zapytanie, co robię i co robić zamysłam“.

W ten sposób starał się Słowacki przedstawić swemu dawnemu przyjacielowi a niedawnemu przeciwnikowi, swój stosunek do koła Towiańczyków i do idei-matki, „rozwiązującej wiedzę w człowieku“. Przedstawiał, obracając się w ogólnikach, i mgłą przysłonił swoją walkę z kołem Towiańczyków i swoje przekonanie, iż został wodzem narodu, ale jedno i drugie zlekka się przez mgłę zarysowywało, bo w przeciwieństwie epoki *sacra* do *sancta* wyobrażał Słowacki swój stosunek do Mickiewicza i Koła. Tylko idei głównej, wspólnej obu epokom, obu obozom, jak przed trzema laty, tak i teraz Słowacki przyjacielowi nie wyjaśnił, nie próbował nawet wyjaśnić. Dlaczego? przecież ona była tak pokrewną teoryom Krasieńskiego, tak łatwo przez niego mogła być zrozumiana? Dlatego zapewne, że bał się tej świętości, na której się opierał cały gmach jego anielstwa, narażać choćby na najlżejszą krytykę. Więc mówił o niej, czem ona nie jest, ale czem jest, nie powiedział. Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że aby pozyskać kogoś dla jakiejś idei, trzeba mu ją przecież pokazać? czy zostawiał to umyślnie na później? Trudno odpowiedzieć na to.

Ale co jest ciekawą i nową rzeczą w tym ustępie, to tłumaczenie się Słowackiego, dlaczego nie pracował na drodze, którą nazwał *sancta*, a przez którą rozumiał drogę propagandy, drogę działania na ludzi w duchu idei. Za przyczynę, jak wiemy, podawał brak zdrowia. Otóż w dotychczasowych wynurzeniach Słowackiego nigdzie o tem nie znajdujemy wzmianki, ani w listach do matki, coby nie było rzeczą dziwną: ani w licznych a niczem niekrępowanych notatkach pamiętnikowych. Widocznie po napisaniu wiersza *Do autora Trzech psalmów*, po uwielbieniu rewolucjonizmu społecznego, jako naturalnego objawu „wiecznego rewolucjonisty ducha“, po zaliczeniu się do tych „świętych i młodych“, którzy mają walczyć z konserwatyzmem, Słowacki zastanawiał się nad tem, czy wszystko godzi się z jego stroniem od ludzi, z zamknięciem się w twierdzy anielskiej i starał się we własnych oczach usprawiedliwić brak działania ze swojej strony — brakiem zdrowia. Działanie zaś wyobrażał sobie jako propagandę swoich idei między młodzieżą, na gruncie, który wydawał mu się najprzystępniejszym tj. w Poznańskim. Znał on jednego z tej młodzieży w Paryżu, Jana Nepomucena Rembowskiiego, który tam studyował prawo, a dał się właśnie pociągnąć nauce Towiańskiego, ale po usunięciu się Słowackiego z Koła, nie zerwał stosunków z poetą i bodaj czy go nie zachęcał do przybycia w Poznańskie, czyli „między młodzież pruską“.

Jak w pierwszej połowie listu Słowacki przedstawiał i tłumaczył Krasińskiemu własny stan ducha, tak w drugiej z wielką ostrożnością i delikatnością, która tak dalece odbiegała od szorstkości zwrotów do przyjaciela w wierszu polemicznym — starał się zmierzyć i ocenić jego ducha i nastroić przychylnie dla siebie i swoich tajemnic. Tych tajemnic i tutaj nie odsłaniał i przyznawał się do nieśmiałości w tym względzie, ale dawał przyjacielowi różne wskazówki, które go, według rozumienia dającego, powinny były do tych tajemnic doprowadzić. Wogóle jak w pierwszej połowie listu, tak i w drugiej doskonale się maluje ówczesna nieśmiałość, zakłopotanie Słowackiego wobec człowieka, którego niegdyś uznawał za swego mistrza, a którego teraz wypadło mu traktować, jak swego ucznia.

„Pozwólże teraz, że ciebie spytam, Zygmuncie mój—tak się zaczęła druga połowa listu—jakie są twoje cele ostateczne?..

„Żaden Anglik nie mówi sobie: „wynajdę machinę, lepszą od wszystkich machin wynalezionych“ i nie skupuje materyałów wprzód, nim siłę jaką nową ruchu wymyśli... Bo każdy wie, iż samo przystosowywanie do siebie drewna, żelaza, sprężyn, sznurów, nic nie utworzy. Choćbyś miliony wydał na materyały — a w duchu nie widział już, ku czemu służyć mają różne członki zebrane, nic nie uczynisz—poczęcie winno poprzedzić urodzenie... Czułbym, gdybyś już miał przyszłą Polskę w sobie“.

I tutaj Słowacki, widocznie z myślą o sobie, o swojej twórczości poetyckiej z czasów mistycyzmu, o swoim *Księdzu Marku*, *Zawiszy Czarnym* i innych utworach, tak pisał dalej: „Już z niewinnością prawdziwą Anioła wskrzesitelnego przedsiębrałbyś mnóstwo środków, wiodących ku temu celowi — a z każdego drewnianka, ostruganego przez ciebie, mądry domyśliłby się celu. Już tu i tam ręka artysty malowałaby myśl twoją — czasem lepiej niż broszura albo gazetiany artykuł, czasem na jakim dawnym grobie podniósłby się posąg kamienny i zastraszyłby ożyciem grobowca. Dlaczegoż myśl twoja, piękna i ognista jak sen, nie rozleje się nad całą martwością, nie otumani Polski... Wybacz mi, co powiem... Oto mi się zdaje, że za wcześnie zmateryalizowałeś środki twoje — i ująłeś żywotności siłom twoim — jeszcze trochę trzeba było iść na oślep, a iść tak, aż pókiiby rzeczywiście jasny dzień ci nie błysnął... tyś wybrał półświat (widoczna alluzya do *Przedświtu!*) i nie zaufałeś do końca kapryśnym duchom natchnienia... Żleś zrobił Zygmuncie — bo ja cię wiem, kto jesteś — i znam się z duchami twymi... te same dawały już ludziom więcej niż korony... Nie dziw się, że ich ręce są pełne kamelii, perel i dyamentów. Żleś uczynił, żeś w bogactwo peruańskie nie uwierzył. Tyś je miał w nowej ojczyźnie odkopać.“

Była to więc krytyka stanowiska, jakie zajął Krasiński w *Przedświcie* i *Psalmach*, poetyczna, niejasna, tajemnicza, nieśmiała, pełna uwielbienia dla przyrodzonych darów autora *Irydyona*, ale krytyka analogiczna do tej, jaką znajdujemy w wierszu *Do autora Trzech psalmów*. Tylko to, co tam jest wyrażone z otwartem oburzeniem i pasją:

Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łożo
Nowe fale—rzeki boże;

tutaj nazywa się delikatnie „przedwczesnem zmateryalizowaniem środków“, „ujęciem żywotności siłom swoim“, potrzebą dalszego dążenia na oślep, dalszego zaufania „kapryśnym duchom natchnienia“.

Po tej krytyce następowała wskazówka dla Krasińskiego, jaką drogą ma dojść do prawdy, „do tajemnic ducha“, wskazówka, która się wiązała z teorią bardzo oryginalną i rzucającą dużo światła na tego, który ją dawał. Krytyka obca a czasem przypadkowe własne spojrzenie krytyczne, odkrywało rażące plamy na jego szacie anielskiej, gmach samoubóstwienia chwiał się w posadach, ale poeta miał na to wyrozumowaną radę: zamknąć coprędzej oczy na to, co go we własnych oczach upokarzało i chwycić się oburącz wiary w swoje anielstwo. Otóż Słowacki tę teorię, którą podpierał gmach swego anielstwa, posyłał teraz przyjacielowi w podarunku. „Wiesz, co to jest prawidło filozofii dawnej: *poznaj siebie samego*... Nie jest to przestroga ani zachęta, abyśmy poznawali moralną naszą naturę, błędy i wady charakterowe, owszem, poznanie takich wad szkodziłoby człowiekowi... Nie powinien na nie patrzeć — ani przypadkiem w odkrytych rozglądać i lubować się nad nimi — ale owszem, powinien sam sobie zaprzeczyć że je ma — a przeciwną, wiarę w anielstwo swoje urodzić... Przestroga ta filozofów ściągała się do ducha tajemnic... Miałżeby obcy człowiek odkrywać je tobie?“

„Ważę ciebie wysoko — i dlatego pracowałem często nad tobą i wiem wiele o tobie... Wszakże wiesz sam, — iż takie rzeczy w złą godzinę przychodzą — a na nieprzygotowanego trafiwszy człowieka, wyszłyby na pośmiewisko... podobnie jak tajemnice świata całego, teraz wydrukowane, ubliżyłyby prawdy majestatowi...“

„O jedną cię więc rzecz proszę... Wynajduj sercu swojemu ofiary — te ofiary składaj Bogu, aż cię rozkwilona twoja natura zacznie

uczyc, jak dziecko swoje własne, widząc, iż się ono dzieciątko obdarło z koszuli i z trzewiczków się wyzuło, a drży na zimnie...”

„Ty może nie zrozumiesz prośby mojej i głosu mego... Wtenczas wybacz mi, a ja zamilknę”.

Czy Krasiński mógł zrozumieć wszystko, o czem tu z nim mówił Słowacki? Niewątpliwie musiał dobrze zrozumieć radę szukania we własnej duszy klucza do tajemnic świata, i wskazówkę, że ofiary, składane Bogu, wyjednávają mu prędzej ich odkrycie. Ale, nie znając *Genesis z ducha*, nie mógł wiedzieć, jak wielkie znaczenie przywiązywał Słowacki do ofiary, tajemniczo też brzmieć mu musiały takie wyrażenia, jak „pracowałem wiele nad tobą” lub „wiem wiele o tobie”.

Podobnie tajemniczych wyrażeń, w których się ukrywało przekonanie poety o swoim wielkim powołaniu, jest więcej w zakończeniu listu. „Wielkiby kamień spadł z ducha mego, gdybym ujrzał i uczył wielkiego człowieka—odrazu, jako łuk rozprężony, rozpuściłbym moce moje — odetchnął — i rozradował się, jakby przez aniołów tysiące otoczony. Bądź nim, albo go wywołaj — tego chcę po tobie, a prawie ci to rozkazuję... mówiąc, jak człowiek, który już nic nie ma z ziemią do rozwiązania”.

„A nie tylko teraz, ale po śmierci nie spuszcze ci — ani oka nie spuszcze z ciężaru, który ty podług obrachowania mego masz nieść i dźwigać... bo czuję, żeś silny jest i za milion ludzi poniesiesz”.

„Nie sądz mnie pokaleczonym przez ludzi — ale sądz dźwigającym...”

„I słów moich nie przypisuj dumie, i stylu mego konwulsyom — tak będzie pisała kiedyś Polska, z myśli idąca ku formie, nie formą chłoszcząca się, aż myśl wytryśnie... Między anielstwem światła a szataństwem ognia ta jest tylko różnica”.

„Wreszcie, jak ja cię sądzę—sądz mnie nawzajem w duchu miłości, a ja przyjmę wszystko z pokorą i z miłością — wskaż mi cele Boże i nie idącego ku tym celom łaj — albo iść ku nim rozkazuj — a pójdę, albo na sądzie duchów stanę, jako dezertier”.

„Jedną rzecz wszyscy sprawujemy—i stąd każdy z nas ma własną rozkazywania—lecz mocy musi dostać z wysokiego świata—aż od celów Bożych...”

„Ja te cele widzę—ale jeszcze do nich powołać nie śmiem, bom nie jest dość silny, abym doprowadził...”

„Oto jest list—oto jest jedna z kar piekielnych — litera martwa i papier martwy, pomiędzy duchem a duchem”.

Zdaje się, że i podpis z obciętą końcówką nazwiska nie był bez szczególnego znaczenia. Słowacki, który tak wielką wagę przywiązywał do etymologii nazwisk, dawał tu jakby tajemniczą wskazówkę przyjacielowi, że niedaremnie jego nazwisko pochodzi od wyrazu „słowo“, który w ewangelii św. Jana jest nazwą Najwyższej myśli twórczej.

Krasiński jednak widocznie nie zwrócił uwagi, ani na tę wskazówkę, ani na inne, a może ujęty trochę pochlebnyymi o sobie wyrazami, napewno ujęty pięknnością stylu, cały list uznał za rozumny i głęboki. „Miałem list drugi od Jula — pisał 6 lutego 1846 do Gasyńskiego—rozumny i głęboki, żadnych mi facecyj, sekretów, szaleństw nie pisze; jedno to samo, co wiek nasz cały chce, żąda, głosi, do czego wieki szły wszystkie, a ten wiek szczególnie, choć często się błąka! Chyba on puszcza często szmermele, by widzieć, czy nie otumani drugich, inaczej nie pojmuje różnicy, która zachodzi między tem, co on pisze, a tem, co tobie i wojewodzie (Małachowskiemu) mówi. Zresztą, Bóg ich wie wszystkich!“ ¹⁾

Podobnie o tym liście pisał i do Małachowskiego (3 lutego). „Od Juliusza wczoraj list miałem. Nic mi takich rzeczy nie gada nigdy, jak tobie; o żadnych sekretach na wytrucie szczerów, czyli rodu ludzkiego, nie wspomina, owszem, piękny i głęboko rozumny list był, w którym pod symbolicznemi upostaciowaniami, pisał to samo mniej więcej, co wiek nasz cały myśli, mówi lub pisze, czyli to, co się w jego wnętrzach wyrabia i ma kiedyś w kształt się ubrać, w czyn wybuchnąć. Zdaje się z pewnych jego listu zwrotów, że on nawet na sektarzy (t. j. Towiańczyków) się gniewa z powodu nieznośnej ich pedanteryi w pewnych formach i dziecinnego przywiązania do liter umarłych.“ ²⁾

Uznawszy list Słowackiego za rozumny i głęboki, Krasiński pośpieszył zaraz z odpowiedzią. Nie zachowała się ona, ale treść jej wyrozumieć można, przynajmniej częściowo, z następnego listu Słowackiego. Rozwijał tam Krasiński to, co było dobrze znane Słowackiemu z *Przedświu*, ideę o Polsce, jako siostrze Chrystusa (Jak im Syna niegdyś dałem—Tak im, Polsko! daję ciebie), a z drugiej strony nacierał na przyjaciela, za to, że nie chce idei, które nosi w duszy, o których napomykał, objawić światu, i dowodził, że powinien to uczynić, ponieważ ludzkość chce wiedzy—oczekiwa—gotowa jest i godna

¹⁾ Listy Zyg. Krasińskiego, I, 250—251.

²⁾ Listy Zyg. Krasińskiego do St. Małachowskiego str. 48—49.

wiedzy". Teorii ewolucyjnej, której niejasne zarysy ukazywały się w *Synu cieniów*, a wyraźniejsze echo odezwało się w *Psalmie miłości*, a któraby go najwięcej mogła zbliżyć do stanowiska Słowackiego, o ile można sądzić z odpowiedzi tego ostatniego—nie poruszał wcale.

Słowacki, przeczytawszy list Krasińskiego i nie znalazłszy w wyrażonej tam syntezie jego dążeń i pojęć nic ponad to, co było w *Przedświcie*, uczuł się tak wysoko stojącym ponad stanowiskiem swego dawnego mistrza, że pewne uczucie zadowolenia ze swej wyższości i lekceważenia przyjaciela, mimowoli odbiło się w jego następnym liście. Horyzont wyobrażeń przyjaciela wydał mu się niezmiernie zacieśniony, to, co Krasiński uważał za całą prawdę, w którą wierzył, do której dążył, wydało się Słowackiemu, w porównaniu z jego alfą i omegą świata, tylko cząstką, okruczem prawdy, wyrwanym z całości i nierozwiązanym z nią. Dla takiej cząstkowej prawdy, w odróżnieniu od prawdy, opartej na alfie i omedze świata, dobrał on, jak wiemy, nazwę: *opinia*, i gotów zawsze doszukiwać się tajemniczego znaczenia w nazwiskach, cieszył się, że w nazwie głównego majątku Krasińskich *Opinogóra*, znajdował podobieństwo do wyrazu *opinia*.

„List twój do mnie—pisał—od początku do końca prawdą jest—bo ja go mogę jako gałązkę, wyrastającą z drzewa rajskiego, na ziemi posadzić i osądzić, którym jest listkiem—więcej powiem, już go za owoc uważam słodki i dobry. To mię jedynie smuci, że go inni ludzie muszą tylko wziąć z wierzchu, jakoby był *opinią*, bo z opinii wyszedł“.

„Prawdziwy ty pan na Opinogórze, na górach bowiem świętojańskich zbierasz żniwa ¹⁾, a z wiatrem natchnień zasiewasz (daruj mi ten kallambur), jaśniej się wytłómaczę“.

„Gdy mi jeden z księży katolickich pisze list, zupełnie według *Creda* ułożony i pyta, zaliż nie tak jest? zaliż to, co piszę, nie jest prawdą?—odpowiadam mu to samo, że dla mnie prawdą jest, a dla niego *opinią*“.

„Więcej powiem, gdyby mi który z umarłych starożytnych napisał dziś list, zapytując: nie mamże uważać za Boga Saturnowe wyobrażenie, a wierzyć w Deukaliona i w Prometeusza, i w Danae, i w porwanie Romulusa cielesne do nieba? to samobym odpowiedział, bo te rzeczy, z rozwiązanej wiedzy człowieka inaczej pojęte, stają się prawdami i są siostrami młodszemi prawd ewangelicznych“.

„Tak twoja Siostra Chrystus-Ojczyzna“.

1) Alluzya do ewangelii św. Jana.

„Bo wyznaj, iż człowiek w twoją ideę, jako w dogmat, uwierzyć musi — to jest przyzwolić na to rozumem, a potem po rycersku łamać kopie za opinię, która wiarą się stała...”

„Lecz z tą opinią, chcąc być doktorem, trzeba się uczyć doktorstwa u Brussego ¹⁾ chemikiem? u Śniadeckich — astronomem? u Aragów — politykiem nawet chcąc zostać, trzeba konstytucyjne rządy i formy przyjąć za nauczycielki. Słowem: ta biedna Polska-Chrystus zasypana byłaby pod puklerzami nie Chrystusowych rycerzy — tak, jak Chrystus był kiedyś w Rzymie, ubrany w formy pogańskie, wpuszczony niby z łaski do przedpokojów filozoficznych”.

„A wszakże to, co mówisz, prawdą jest, ale taką, iż powinna cię uczynić i naturalistą i doktorem i chemikiem i astronomem i pierwszym z polityków. Wtenczas będziesz prawdziwym przyszłym Polakiem”.

Cóż to znaczyło? Oto, że messyaniczna idea Krasieńskiego, rozwinięta w *Przedświcie*, w oderwaniu od prawd zasadniczych, złożonych w *Genesis z Ducha*, jest bezsilną wobec „mądrości terażniejszej świata”, że natomiast kto, jak on, posiadał te prawdy zasadnicze, ten góruje nad całą mądrością świata i niczego się od niej nie potrzebuje dowiadywać, bo sam wszystko wie lepiej od największych uczonych.

Ale jakkolwiek z pogardą i politowaniem patrzył na współczesną mądrość świata, bardzo żywo przecież zajmowały go odkrycia naukowe, bo służyły mu za materyał porównawczy do jego fantastycznych wyobrażeń o świecie. Właśnie wtedy wielkie wrażenie w świecie naukowym sprawiły odkrycia Faradaya, znakomitego fizyka angielskiego, mianowicie odkrycie wpływu elektryczności i siły magnetycznej na światło, a także hipoteza o przemianie jednej siły w drugą. W notatniku czerwonym Słowackiego znajduje się współczesna notatka, świadcząca, że poeta w *Constitutionnel'u*, jednym z najpoważniejszych pism codziennych ówczesnych, znalazł jakiś wyciąg z *Revue scientifique* o tych badaniach naukowych i widział w nich potwierdzenie swojej wiedzy wewnętrznej ²⁾.

¹⁾ Broussais Franciszek, sławny lekarz francuski.

²⁾ Notatka, umieszczona na karcie 41 pamiętnika, brzmi: „Potwierdzenie nauk, 26 stycznia 1846. Constitutionnel-*Revue scientifique* odkrycie Faradaya działania elektryczności i siły magnetycznej na światło — nawet przemienienie się tych sił jednej w drugą. Francuz kończy, iż może to posłużyć do odkrycia fenomenów elektro-magnetyzmu — dureń! posłuży ci do odkrycia ducha twego sił — i powie, czem jesteś”.

O tych to badaniach i o wrażeniach, jakie one w nim wywoływały, pisał w dalszym ciągu listu do Krasińskiego: „Wierz ty, że najstraszniejszy dreszcz trwogi, który przebiegł przez żyły moje, było to w tych dniach, gdy na Akademii nauk paryskiej wniesiono tysiącno-funtowe żelazo, aby nim poruszyć jeden słońca złotego promyczek i z drogi go zawrócić... Słyszając o tem, nie odechnąłem, aż wówczas, gdy na końcu tej eksperymentacji usłyszałem wniosek ostateczny Francuzów: posłuży to nam do odkrycia praw elektro-magnetyzmu. Chwała Bogu — Chrystus cało uszedł z rąk rzymskich żołądaków, lecz jak blisko byli Jego przeświętej natury! Jak straszliwie przerazili mnie, że odkrywają to prawo, które ja od czterech lat naprzód noszę w duchu moim, a czekam aż godzina wielka uderzy — albo też gotów jestem z sobą wziąć w świat Ducha, jeśli sumienie moje przeciw roztajemniczeniu wiedzy ludzkiej będzie zawsze trwało w oporze.“

Dlaczegoż Słowacki zamiast ucieszyć się, jakby się należało spodziewać, że ludzie byli tak blisko prawdy, rozjaśniającej tajemnicę świata, przeraził się tego? Jeżeli zaś to przerażenie było skutkiem niewygasłej żądzy sławy, dlaczego nie śpieszył z odkryciem alfy i omegi świata? To wahanie i wstrzymywanie się Słowackiego od ogłoszenia *Genezis z Ducha* można objaśnić instynktowną trwogą przed krytyką, któraby mogła zburzyć, a przynajmniej zachwiać gmach jego anielstwa. W liście, o którym mowa, Słowacki daje inne objaśnienie Krasińskiemu, który w tem ukrywaniu się ze swemi prawdami przed ludźmi, widział dumę i niezasłużoną nieufność względem ludzi.

„I ty przypisujesz to dumie?... Wystaw sobie, że który z wielkich autorów (myślę o Chrystusie i siłach Ducha świętego), napisał i z wielkim kosztem przygotował dramat bardzo zajmujący, tak natężony w intrydze, iż ostateczna scena jego, jak wulkan, wybuchnąwszy z ziemi, ma poruszyć całym narodem. Lecz autorowi trzeba pięciu aktów, trzeba całego natężenia umysłów pięciogodzinnego... Wtem zjawia się drugi poeta, który rozwiązanie dramatu w sobie samym odkrywa — i stanąwszy na ławkach, w prozaicznych słowach, przed sztuką jeszcze, sztukę całą parterowi tłómaczy... a wtenczas głupce parterowi, nie będąc uniesieniem poezyi z natur swoich odarci¹⁾, odzywają się w większości:

1) Wyrażenie „z natur swoich odarci“ trzeba w ten sposób rozumieć, że egzaltacja poetycka zdolna jest ducha ludzkiego z grubej natury cielesnej odzierać, t. j. wywyższać go ponad zwykły poziom dążeń, uczuć i wyobrażeń.

„Więc to tylko to? dramat ów zapowiedziany? Idźmyż spać do domów, a nie nudźmy się przez pięć godzin, siedząc na twardych ławkach parteru“.

Słowacki zatem obawiał się, że tajemnice świata, których on był posiadaczem, odkryte ludziom bez odpowiedniego przygotowania do ich przyjęcia, mogą nie wyrzucić silnego wrażenia, nie wstrząsnąć, nie poruszyć całej ludzkości, a przedewszystkiem narodu polskiego, a on chciał, aby te prawdy, wydobyte z pochwy tajemnic, tak wszystkich olśniły odrazu, jak on sam był olśniony niemi, gdy one padając z ust Andrzeja Towiańskiego, po raz pierwszy zabłyśły w jego duchu i aby taki przewrót wywołały na świecie, jaki się był przed czterema laty dokonał w jego duchu. „Drugim poetą“, o którym pisał w liście tym, który miał prozą z ławek podać słuchaczom treść wielkiego dramatu stworzenia, to był on, Słowacki, autor *Genesis z Ducha*, a szydercze przyjęcie ze strony słuchaczy tego streszczenia, byłoby strasznym ciosem dla poety.

„Mówisz—pisał dalej—że ludzkość chce wiedzy — oczekiwana — gotowa jest i godna wiedzy. Ja ci faktami odpowiadam... Wszyscy mnie opuścili, choć przysięgam ci, że jestem zmieniony na dobre, rozkwilony, jak dziecko — bliższy ludzi, niż kiedykolwiekbądź przedtem—sługa ich...“ I tu na dowód, że ludzkość nie jest jeszcze gotowa do przyjęcia prawdy, opowiadał znaną nam już wizytę Gaszyńskiego u siebie i plotkę, jaka stąd urosła, poczem dodawał: „Poznaj sposób postępowania ludzi i gotowość świata do przyjęcia prawdy. Oto największa część ludzi czyni tak, jak owi jezuici — sami nie skłamią, ani wymyślą rzeczy... lecz usłyszawszy tę rzecz, w tonie żartów mówioną, rozchodzą się po mieście, smutne biorą twarze i powtarzają: zwaryował; a gdy pytasz: „czy doprawdy?“ — odpowiadają: „słyszeliśmy od jednego z jego przyjaciół“.

Jeżeli o ludziach wogóle Słowacki miał wyobrażenie, że jeszcze nie dorosli do uznania prawd zasadniczych, to w sądzie o Krasińskim był względniejszy i jeszcze nie tracił nadziei, że ten, który niegdyś sam jeden wbrew całej emigracyi wielbił jego poezję fantastyczną, da się teraz pozyskać dla jego teoryi, rozwiązującej tajemnicę bytu. Znaleźć w Krasińskim dla swojej alfy i omegi świata herolda, wydawało mu się zapewne rzeczą bardzo pożądaną, ale sam czuł, że to nie była rzecz łatwa. Przedewszystkiem spostrzegł, że porozumiewanie się przez listy nie doprowadzi do pożądanego celu, że do tego, aby zapalić przyjaciela ogniem swojej wiary, trzeba osobistego zetknięcia się, bezpośredniej wymiany tonów ducha.

Więc zaznaczywszy, że w listach może tylko przesłać pół ducha swego, tak pisał dalej: „Dlatego, mój Zygmuncie, trzeba, abyśmy sobie jasno w oczy spojrzeli, ścisnęli się za ręce — a potem, jeżeli się zognią dusze nasze jednym dla sprawy Bożej zapalem, abyśmy, choćby na skałach nadśrzedziemnego (sic) morza, zatknęli kij, monument braterstwa wiecznego — i poszli każdy w swoją stronę, pamiętni na ów związek i miejsce rozpoczęcia. Dlatego to już mi się śni o jakiejś podróży w bliskie tobie strony, a czekam tylko na czas lepszy i jaśniejszy..., bo terazbym kilka nocy w dylizansach przepędzić nie chciał... Nie uczynię jednak i tego bez twego współczucia, a nawet może zupełnie nie uczynię, pomny na straszną przemianę, jaką idea robi w człowieku — przez żalność jakąś, któraby mnie zdjęła, gdybym cię widział rzucającego twój otęczowany świat — dla srogiej i twardej służby — jaka się nareszcie od każdego ducha Bogu należy. Dlatego cię pytam szczerze i otwarcie, abyś mi powiedział, czy jesteś szczęśliwy tak, jak jesteś? Niech listy twoje nie będą o nieśmiertelności ducha, ani o innych skrzydlatościach idei — bo tak czyniąc, korespondencya nasza stałaby się zamianą rzeczy wiadomych, albo takich, o których sam duch z siebie dowiedzieć się powinien; lecz niech listy będą zamianą t o n ó w naszych, dźwięku ducha naszego, a tak będziemy mogli na podobieństwo szalek ważyć się wzajemnie i podnosić w górę...”

„Szczerze, Zygmuncie, jako człowiek, ty jeden jesteś nadzieją moją...”

„Jednej ci rzeczy tylko niedostaje, a to masz we spółnictwie ze światem całym — a m b i c y i, która wychodzi nawet z granic ziemi, a o całym świecie się pyta i drży i dzień dzisiejszy półwiedzy za ostatni uważa... ufając, iż jutro który jej z braci pomoże, a rozwiązaniem małej niteczki ostatecznie rozwiąże.”

Cóż rozumiał tu Słowacki przez ambicyę, której brak uczuwał w Krasińskim? Rozumiał to właśnie, co mu nadawało poczucie niezmierniej wyższości nad Krasińskim, mianowicie, że w rozwiązywaniu zagadnień bytu myśl jego nie zamykała się ani w granicach narodu, ani w granicach ludzkości, ani nawet w granicach kuli ziemskiej, ale ogarniała wszechświat. Mesyanizm Krasińskiego wobec *Genezys z Ducha* był w oczach Słowackiego drobnym tylko listkiem, oderwanym z niebotycznego drzewa wiedzy.

Ukończywszy list, Słowacki spostrzegł, że zamało jeszcze wyjaśnił przyjacielowi powody, które go powstrzymują od ogłoszenia światu prawd, rozwiązujących tajemnice bytu i postanowił w dodatku do listu dokładniej przedstawić różne wątpliwości, wpływające na to

jego ociąganie się. „Jeszcze biorę tę ćwiartkę papieru, aby dłużej z tobą pomówić—powiedz mi święcie i sumiennie, czy Polska zdolna jest wyprzeć się tego słowa: chcę umieć, a zacząć od: wiedzieć chcę... to jest umiejętność analityczną wymienić na mądrość wewnętrzną, widzącą? Znasz terazniejszych Polaków—powiedz więc, czy te natury młode nie będą mocniejsze, skorsze do czynu, działające tylko instyktownie—od tychże samych natur, gdybyśmy je dziś od *a* do *z* zaczęli odbudowywać z wiedzy dawnej... Jam takie budownictwo odbył w przeciągu lat czterech, a oni, dziś zacząwszy, wieleby lat potrzebowali? Nie byłoby to grzechem nam zacząć?”

„Dziekiem jest Hamletowe wahanie się w porównaniu z tem, jakie ogarnia duchy, czujące w sobie ojcostwo narodu. Usta się im pozamykają, błyskawic nawet z oczu rzuconych lękać się będą — otoczają się kołem wieków i cichością czasów przyszłych obalsamują się—trupami je nazwą terazniejsi, w nich wszakże będzie żywot prawdziwy...”

„Powiedz: nie lepiejże młodzież zostawić pod Quinetowymi i Micheletowymi retorykami? ¹⁾ nic uie ma w tych ludziach harmonijnego, ale jest spirytusowy pierwiastek, niech więc exaltuje krew — trzeba nam..., trzeba mas jakkolwiek stworzonych. — — Dla nas nieśmiertelnych czas przyjdzie... teraz może milczeć wypada?”

„Oto są, Zygmuncie, powody mego milczenia i schowania się, a to jest dobrowolne, bo gotowe i napisane są rzeczy, do których napisania sumienie mnie wiodło, równie jak dziś sumienie tylko od wykonania wstrzymuje. Czekam, aż żądza wiedzy obudzi się, aż wiara w to, że Bóg da Polakom broń nową i moc nową, wstanie w upokorzonych umysłach. Jakże mówić do ludzi, którzy sądzą, że wszystko, co wiedzieć ludziom potrzeba, już jest odkryte, a w dalsze rewelatorstwo prawdy wiary nie mają. Jakże ubogi chłopek, oddalony od braci swoich (Słowacki chce tu pokornie mówić o sobie) może im w pomoc garścią brylantów sypnąć, kiedy wie, iż oni to za szkło czeskie wezmą, i szukać nawet w piasku nie będą, a mineralogów niema między nimi, nawet prostych, mówię, uczonych mineralogów ²⁾ niema—ani jednego nie widzę. Gdyby byli, poznałbym ze słowa jednego...”

¹⁾ Dla lepszego zrozumienia tego ustępu, trzeba wiedzieć, że na kilka miesięcy przed datą listu, w sierpniu 1845, młodzież francuska czyniła wielkie owacye trzem ulubionym profesorom, których twarze umieściła razem na jednym medalionie: Mickiewiczowi, Quinetowi i Micheletowi.

²⁾ Uczonych mineralogów nazywa prostymi w przeciwstawieniu do natchnionych wiedzą genezyjską.

„Nie myśl, że utyskuję na to. Nie, uznaję w tem prosty porządek świata, który chce, aby duchy same z siebie odkopywały prawdy, na dnie ducha każdego złożone i miały stąd zasługę“.

W końcu ubolewał nad tem, że od czasu Chrystusa wiedza prawdziwa, chrześcijańska, ani na krok nie posunęła się naprzód. Za najlepszy dowód służył mu Goethe, najwyższy szczyt inteligencji europejskiej, ten Goethe, do którego wysokości tak pragnął niegdys wspiąć się Słowacki, a który teraz tak poziome w oczach jego zajmował stanowisko. „Patrz, Goethe sam dziwi się z największą powagą, że wąż ma dowcipne oczy, a Bóg jemu nóg odmówił... ten sam Bóg, który Goethego z łaski swej, nogami i oczyma i dowcipem obdarzył! Powiedzże mi, jak tu nędznemu człowiekowi powiedzieć, że Goethe będzie musiał na ławce w pierwszej klasie, w Polsce przyszłej, od pierwszego bakałarza dowiadywać się, dlaczego wąż nóg niema“. W tej końcowej uwadze było jakby drobne uchylenie zasłony, zakrywającej tajemnice świata, aby olśnić i zaciekawić przyjaciela ukradkowym ich blaskiem i wskazać mu kierunek, w jakim myśl jego ma dążyć na spotkanie myśli Słowackiego.

Krasińskiemu ten ostatni list Słowackiego nie wydał się już rozumny i głęboki, jak poprzedni, a jego dziwaczne, niezrozumiałe dla Krasińskiego skoki myśli pobudziły autora *Przedświata* do rozmyślań, w których starał się to, co dlań było dziwaczem w liście przyjaciela filozoficznie wytłómaczyć, jako naturalny objaw przejściowej epoki. „Od Juliusza list miałem bardzo długi, pisał wkrótce potem do St. Małachowskiego. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu, najwyższe tam prawdy dziki kształt przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W tej bójce między życiem a śmiercią świata, odbywającej się w każdym rozumie i sercu, nie dziw, że dziwy się rodzą. Przejście każde pewnych potworności musi być rodzicem; p r z e j ś c i e samo w sobie jest niejako potwornością, a nie harmonią; gdyby było harmonią, nie byłoby p r z e j ś c i e m do niej! I w naturze gatunki, łączące rodzaj poprzedni z następnym, zawsze noszą barwę jakąś dziwaczną: pół-rośliny, pół-zwierzęta, pół-ptaki, pół-czworonożce“, planeta cały, gdy się ma przemienić fizycznie, doznaje potopu, lub trzęsien ziemi, które mu potworną postać narzucają na chwilę. Rewolucye w porządku społecznym są potwornościami; zatem i w duszach, opuszczających świat umysłowo stary, by nowy odkryć, muszą podobne kataklizma idealnie się odbywać. To bezprawie prawem jest!“.

Tak objaśniając dziwaczność poglądów Słowackiego, zajmował Krasiński stanowisko ewolucyjne, do pewnego stopnia pokrewne stanowisku Słowackiego, i gdyby z tą krytyką zwrócił się był wprost do niego, możeby go nią lepiej uraczył, niż tem wszystkim, co mu pisał o różnych „skrzydłatościach idei“. Co się tyczy osobistego spotkania się ze Słowackim, Krasiński donosił Małachowskiemu: „Odpisałem mu, że jeśli to ma być z jego dobrem, tom rad widzeniu się z nim. Lecz trzeba poczekać, aż mój ojciec stąd wyjedzie, co dopiero za miesiąc nastąpi, bobym nie miał czasu pasować się z Juliuszem“¹⁾.

Taka odpowiedź była świadectwem dla Słowackiego, że Krasiński zostaje ciągle pod silnym wpływem ojca i że trudno spodziewać się, aby dał się z pod tego wpływu wyciągnąć, i oderwać od swego „otęczowanego“ świata i stać się apostołem i heroldem Alfya i Omegi świata. Już przedtem uważał go za człowieka, którego trzeba dźwigać z upadku, i w owym liście „rozumnym i głębokim“ pisał, jak wiemy: „nie sądz mnie pokaleczonym przez ludzi. ale sądz dźwigającym“, ale w tym liście było tyle pochwał dla Krasińskiego, że nie zwrócił on uwagi na tę przestrożę przyjaciela, może nawet nie zrozumiał, że do niego się odnosi. Inaczej było, kiedy Słowacki wyraźnie wypowiedział się przed Małachowskim, że pragnie podźwignąć Krasińskiego, i kiedy Małachowski doniósł o tem interesowanemu. Wtedy, odpowiadając na tę wiadomość, Krasiński pisał: „Miło mi jest, że na cokolwiek zdałem się Juliuszowi, zostaw mu myśl, że on mnie dźwiga, jeśli ta myśl jego wydźwignąć może“²⁾. Z obu więc stron nie było ochoty do prowadzenia dalszej korespondencji, zwłaszcza, że w owym czasie właśnie nadeszły przerażające wieści o rzezi galicyjskiej i pochłaniały powszechną uwagę.

¹⁾ Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego, str. 54 — 55.

²⁾ Tamże, str. 59.

III.

W taki to sposób urwała się, i to na zawsze, odnowiona korespondencya Słowackiego z Krasińskim. Słowacki bardzo prędko stracił nadzieję „podzwignięcia“ Krasińskiego, i już w pierwszych dniach maja 1846 r. mówił o nim przed Gaszyńskim, jako „o duchu obłąkanym i upadłym“¹⁾. Ale, zanim to nastąpiło, była chwila, kiedy zdawało mu się, że poruszy i zjedna dawnego przyjaciela dla swojej wiary, jeżeli przemówi do niego z namaszczeniem apostołskim i ukaże mu pojedyncze promienie genezyjskie, owinięte cudowną mgłą swego stylu, mgłą, która miała tyle uroku dla Krasińskiego. I wtedy napisał to, co nazywam *Listem Apostolskim*, a co brzmi, jak następuje:

(LIST APOSTOLSKI).

„Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich, ale młodzieńiec jesteś i wizye twoje są jeszcze pełne blasków latających... Oto usiedliśmy przy nogach Pana naszego Chrystusa, na progu u bramy z jednej perły, i radujemy się po raz pierwszy, jako aniołowie, którzy widzą i jednocześnie czują...

Oto braterstwo nowe uczuliśmy dla świata, braterstwo wszystkiego, co tylko żyje i oddycha — cóż bowiem jest ono ukochanie natury, które się rodziło w ludziach... owe głosy harmonijne, które się do nas odzywały chórem niewysłowionym...

A oto drugi świat duchów nad nami, skąd przychodziły poetom błyskawice i głosy, objawił się nam, jakoby siła sakramentalna nad nami...

I usłyszeliśmy w przeszłości niby odgłos kroku ojców naszych, którzy szli i zbliżali się ku Bogu... na szablach swoich już niosąc błyskawice, od tej nowej Jerozolimy odstrzelone... i na czołach radość aniołową...

Jakże nam łatwo teraz obcować z ludźmi i uszanować chociażby błęd w człowieku dobrego sumnienia — wiedząc, że duch jest wie-

¹⁾ Ob. listy Krasińskiego do Gaszyńskiego i Małachowskiego z maja 1846 r.

czny, a błąd czasowy, samą nareszcie zniszczoną harmonią ducha z ciałem zostanie poprawiony.

Choćbyśmy nawet błędzili, to duch świata, idący za Chrystusem, nie dozwoli nam długo opierać się prawdzie — ale nas zmęczonych, i niby roztrzaskanych cielesnie, i zbitych nieszczęściami na drogę prawdziwą twarzą obróci...

Prośmy teraz, ażeby duch Boży przez nas działał i mówił, i napiszmy oto na złotej płycie skały ewangelią prawdy dla braci naszych...

Wszystko w tem słowie jest, że Bóg jest względem duchów nieśmiertelnych *s p r a w i e d l i w y* — a duchy winne są wszelkich ciał i wszelkiej nędzy doczesnej.

I winne są sakramentalnych sił, które się unoszą nad światem, karmiąc różnemi naturami duchów różne ziemskie braterstwa.

Każdy za żywota sobą chciał nabalsamować duchy, i po śmierci otrzymał władzę, większą lub mniejszą, podług mocy, którą miał, i wielkości.

Gdzież teraz moc uwolnić się duchowi od niższych, a zaczerpnąć siły aż z najwyższej sakramentalnej potęgi Chrystusa, która wszystkim siłom panuje, a jest podniesiona nad wszystkie.

Bo oto zabójca i mocarz niesprawiedliwy znalazł tych, którzy go uwielbili, i schodzą się po nocy w imię Jego, obrawszy noc ciemną i błyskawicową świętem jego... A on duch zwołany nieczystych miłością schodzi i działa zaklęty, przez noc, burze i błyskawice.

Więc ciała się rodzą podług owych usakramentowanych duchów, siłą nie świętą i nie święte duchy zajmują znów miejsca najpierwsze między żywemi...

O! jakiej pracy... jakich wieków, o! Panie, dziełem będzie przywrócenie porządku wiekuistego na świecie, aby hierarchia duchowa została nareszcie hierarchią widzialną w ciałach na ziemi...

Aby najwyższy ziemski rodził się najczystszym duchem niebieskim... a najniższy ziemski z prawdziwej pokory ducha niskiego uczuł się duchem usługującym.

Daj siły, o! Panie nasz... abyśmy ku temu porządkowi szli ciągle, i przez ofiarę postępowali, rosnąc w prawdziwą moc Chrystusową.

Bracia moi, jeżeli w sumieniu nie znajdziecie zaprzeczenia, to nie zaprzeczajcie ustami, albowiem jest to grzech przeciwko Duchowi Świętemu, który w sercu waszem chce świadczyć, i dać wam żywot nieśmiertelny... Jakże nam Bóg da ojczyznę i moc nową, jeżeli nie przez swą mądrość i wiedzę rzeczy ostatecznych, nagle w duchu obudzona, która ducha podnosi nad wszelkie niższe istoty...

Skądże ruch, jeżeli celu nie obaczycie przed sobą i szelestem skrzydeł wewnętrznych nie będziecie do lotu zaproszeni...

Jeżeli więc naród który ma na celu podbicie świata siłą cielesną... to oto jutro, podbiwszy ziemię całą, stanie i zaumrze.

A jeżeli panowanie na morzu, to podobnież morza podbite obaczywszy i okrętom swoim uległe, zatrzyma się i omdleje.

Albowiem cielesny wszelki cel do pewnego tylko czasu żywot obudza, a potem od większych duchów bywa wzgardzony.

A te większe duchy, rycerzy i filozofów, szukają innej ziemi i doskonalszych ras, z którymi rozpoczynają pracę nową.

Lecz wy oto, ku celom nieśmiertelnym dążąc, wstaniecie jako Chrystus, odwalający moglię...

A On ją odwalił duchem, jakoby odrzucał liść uwiedły, który mu we śnie z oliwnych drzew był na włosy strzęsiony.

Więc, nieśmiertelni, choćbyście morza i ziemię posiadli, to jeszcze w celach ostatecznych nową pracę znajdziecie...

Duchem świata podnieconym łamać prawa materyą rządzące i sprowadzić Bożą słoneczność i Nową Jeruzalem, która jest obiecaną...

Zmierzcie się teraz z narodami i uznajcie, że Pan ojców waszych jest dobrotliwy.

Gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duchach waszych.

Lecz teraz duchy się jako pioruny odzywają, i myśli wasze jako błyskawice nad światem.

Gdzie jest opinia ludzka, któraby się ostała przed mądrością Bożą? Gdzież są ludzie zaprzeczeń?..

Jedną niech powiedzą pewność... a my jej nie zaprzeczymy, ale ją wyniesiemy na stolicę Bożą...

Lecz oto mają naukę ciał, a nie mają przyczyny i nie na wiedzy budują, ale na opinii.

Opinią bowiem jest, że Bóg stworzył świat, że obrotem planet ciągle kieruje, że szatanowi kusić dozwala, że czyśćcem, lub piekłem skuszone karze, a niebiosami wiecznemi dobre nagradza.

Opinią jest, lub, wyborowi zostawiona wiara, którą człowiek wyznawać powinien, a każdy wyznawca wątpi i poddaje się smutkowi, nie wiedząc, skąd niezaprzeczonej prawdy i wiary ma dostać...

Lecz oto Duchem Świętym się świadczę, iż nicem z opinii wam nie mówił, alem z jednego źródła wiedzy wyprowadzał wszelkie słowo...

Żądając, aby chwalony był Bóg, który, komu chce, wiedzy udziela...

Albowiem były chwile, że mi wszelka moc widzenia prawdy w rzeczach ludzkich była odjęta, a jam był upokorzony przed niewiadomością własną...

Lecz gdy dla chwały Bożej czynić i wypowiadać zapragnął, wrócona mi została wiedza i otworzone usta moje...

ROZDZIAŁ II.

Od sakramentalnej siły ducha prowadzone są nieraz zórawie po niebiosach i długie girlandy ptaków wędrownych, a chłopek czuje, że z duchem przylatują.

Sakramentalna była półmiesięczna chmura Mahometańskiego ludu... a póki pili z niej moc... zwyciężali świat...

A nie jest przekłętą moc żadna, ale jest przez najwyższą sakramentalną siłę Chrystusa rządzoną... a on ją po wiekach wchłania w łono swoje...

Są więc uświęcenia w duchu Chrystusowym najwyższe, i są uświęcenia w duchu Ojczyzny...

A jako bez pokarmu dzień jeden żyw być i działać możesz... tak bez owej siły sakramentalnej obejdziesz się jeden żywot twój, który jest niby dniem jednym wiecznego żywota...

Wytrysnąłeś na wiatr źródło mocy twojej — i spaliłeś, jako garść kądzieli, ognisko czucia twego...

Przygotuj się więc, że jako szkielet wejdiesz na teatr widzialnego żywota, czy między gwiazdy, czy tu — nieszczęsny samobójco duchowy...

Ogłodziłeś dom wnętrza twego i żebrakiem wyjdiesz z pałacu własnego ciała, który się rozpadnie, choćby ze złota był i z dyamentów... drogością piękności wiecznej ozdobiony...

A przecz, budząc się na nowo bez serca i bez wiedzy, pytasz się Boga, dla czego cię upokorzył?

Święty duch świata wyplunął cię z łona swego — i sakramentalna siła Chrystusa ze świętości swoich wyrzuciła, abyś był na woli wichrowych władz... które tu kręcą zwichrzonym tłumem ludzi, niby szpaków girlandą...

A sakramentalna siła Chrystusa ciągnie wszystkie duchy do jednego celu i usposabia je do zlania się w jedną nareszcie moc czucia i w jedną prośbę świata całego o przemienienie. Przezeń codziennie przybliża się Królestwo Boże i dzieje się Sprawa Boża...

Obaczcie teraz, co są sakramenta... że oto w pięciu chwilach życia waszego duch Chrystusowy przelewa się do waszej natury...

Jako ów dzban cudowny oliwy, który Elizajasz prorok dał ubogiej wdowie, a ona zeń wszystkie dzbany, u ludzi pożyczone, napełniła, i lała zeń, dopóki dzbanów nie zabrakło, podobnie z Chrystusowego ducha napełnione są wszelkie ciała, pożyczone u grzesznych, i dostają mocy jednej i ognia jednego.

On małżonków duchy uświęca i czyni je niby snycerzami nowych dzbanów z alabastru czystego, w których nie inne duchy, jedno znające już Chrystusa, mieszkać mogą...

Chrystus więc jest jako architekt, który do planu swego doprowadza powoli idącą ludzkość, aby się nareszcie według jednej myśli Bożej wybudowała...

Sakrament więc małżeństwa niszcząc, zatrzymujecie doskonałość i jedność przyszłą ducha, a zaprowadzacie nieporządek, i ciał rozzerwanie, i różnicę...

Pogańskie bowiem ciało zadrży na Chrystusowym duchu, kiedy mu trzeba będzie iść na ukrzyżowanie... a ciało, od Chrystusowych wzięte, w pracy duchowi niedoskonałemu dopomoże.

Z tej siły więc sakramentalnej pijmy, ofiarowawszy się Bogu na służbę nieśmiertelną, pewni będąc, że z najczystszymi połączy Pan wszystkie siły sakramentalne Słowa...

A jako nieśmiertelni, mówmy, że nie dzień jeden, ale aż do skończenia pracy, Słowa służebnikami jesteśmy.

Prowadząc ciała nasze jeżeli przez śmierć, to przez śmierć, jeżeli przez ogień, to przez ogień, jeżeli przez wichurę urągania ludzkich, to pomimo urągania...

W ostatecznem rozmiłujmy się zwycięstwem i rozkochajmy się w rozświetleniu ziemi, i przeciwko niedoskonałości ciał zapalmy się gniewem ducha, i pod nogami miejmy bunt wszelki krwi naszej.

Taka jest piękność nieśmiertelnych.

Oto wybudowałem wam z ducha świat prawdziwy od początku aż do końca, a wy obaczcie się, gdzie jesteście, abyście nie byli oszukiwani przez śmierć... gdy myśl wszelka ustanie, a duch czuciem się w sakramentalnych siłach uczuje...

Jako boleść i strach — albo jako wesele i miłość...

Póki łódź płynie, chociażby przez spokojne powietrze, to żagle płócienne drżą i szelest wydają, a duch, póki w ciele jest... to się uczuciem nieśmiertelności ciągle sprzeciwia ciału i rzeczom skończonym, które go otaczają...

Lecz skoro zatrzyma się łódź, a przeciwieństwo wszelkie ustanie, nie nadymają się więcej ani szeleszczą żagle napięte... także i myśl wasza ucichnie w duchu i ustanie, jako zegar zatrzymany.

Teraz albowiem powiada w tobie duch nieśmiertelny: oto tu jestem, a obejrzawszy się na ciało, pyta się: gdzie jutro być mogę?..

I w ciągłej jest niby naradzie z mocami cielesnymi, które go ograniczyły w potęgę... A ta sprzeczność nieskończonego w nim uczucia z ciałą ograniczoną potęgą, jest owym szelestem, który wy myślą zowiecie ¹⁾. Lecz po śmierci uczuje się jako siła, nową formą i czynem chcąc się objawić, jeżeli żebrakiem, to żebrakiem, jeżeli niewiastą, to niewiastą, jeżeli mężem, to mężem... jeżeli światem, to jedną z nowych gwiazd... między gwiazdami...

Albowiem mówi Chrystus, że wiele miejsca i mieszkania jest u Ojca mego na Niebiesiech, a ty wiedz, że światy tworząc, mieszkamy w Ojcu naszym...

I dziś w Ojcu mieszkamy, jako najemniki, pracujące około ziemi przemienienia...

A ile razy powiesz, że ci już dobrze jest... i nie chcesz większej mocy twórczej i doskonałości wyższej... to cię niedoskonałość dzisiejsza nieszczęściem ciała w dalszą drogę popędzi...

Idziesz więc, albo wracasz, bo stać na miejscu nikomu nie dano...

Dzieciątka wam umierają i płaczą... niesprawiedliwość wam czynią ludzie i skarżycie się, miłości nie znachodzicie i przeklinacie świat. A ojciec wasz, który wie, iż wszystko wam poddał, nie lituje się skarg i płaczu waszego...

Ale owszem, chcąc, abyście prędzej królestwa Bożego na ziemi dostali... ciśnie was ziemią całą... i całym niby światem przywała ducha każdego...

Aby się uczuł nieśmiertelnym... i płomieniami miłości rozwałił formy niedoskonałe.

Ojczyznami umarłymi przywała was Ojciec wasz... i czeka, co uczynicie?

Wszelki bowiem czyn widzialny synom duchom zostawił, a sam żadnej się formy nie dotknął, ale czeka, aż duch zeń siłę weźmie i Bogiem tworząc... wszystko nowe stworzy...

Jako stwórczytel widzialności, trwasz w Ojcu twoim. Jako miłość synowska, objawiasz się w każdej pracy twojej... A prace są ró-

¹⁾ Jest w tem jakby echo słów Sokratesa w *Teetecie* Platona: „Zdaje mi się, że dusza, gdy myśli, nie robi nic innego, jeno rozmawia, pytając siebie i odpowiadając sobie, twierdząc i przecząc”. Por. X. Pawlicki: *Historia filozofii greckiej*, t. II, cz. I, str. 450.

żne, ale sprawa ducha jedna jest... i grzech jeden... wszelki czyn przeciwko Sprawie Bożej...

Chrystus przykazał zostać na ziemi Janowi, aż sam powróci... a sam przyrzekł wrócić, aż gdy przyjdzie Królestwo Boże...

I rzekł, że owocu winnej macicy ani chleba jeść nie będzie, aż przyjdzie n o w y...

A jakoż ty sądzisz... żeć natychmiast wezmą do Niebios aniołowie i uwolnią od wszelkiej pracy... i od wszelkiego braterstwa...

Jeżeli Jan Święty nie uwolnion jest... i tęskliwie oczekuje wspólnie z duchy naszemi na przyjscie Chrystusa...

Aby się znowu obaczył na łonie pańskim, na wieczerniku z Apostołami... zaśpiewawszy radośnie, że śmierć zwyciężona jest... i pokój ducha panuje... a nawet Judaszowi przebaczone jest... i miejsce dano mu u stołu...

Albowiem nie na wieki zatracony jest człowiek... a nie mści się Pan... ale forma się mści za własne stworzenie... 1).

I cierpiący jest... póki nie odboli swego grzechu, a w jednej chwili odkupić cię może, uczuciem wiekowej boleści...

Nie widzieliście to... pomiędzy sobą ludzi, którzy, pomimo zewnętrzznego szczęścia... cierpieli, jakoby kaźden włos na głowie gadem był, a kaźda myśl mieczem, przez serce przechodzącym!..

A kaźdej kary nie mają, oprócz bojących ducha wnętrzości. Ci są, którzy pokutują za dawne.

A ci, którym Chrystus rzekł w wieczerniku: pokój mój daję wam... pomimo cierpień i nędzy w głębokościach ducha z pokojem niebieskim... zachowali dar Chrystusowy.

Oto jeden z tych, którzy pokoju nareszcie dostąpili, mówi do was, a po śmierci technienie swoje do słów przyłączy, aby serca otwierały się na prawdę Pańską i radość z odjętej tajemnicy była powszechną...

Albowiem zwyciężon jest ostatecznie świat, i wszystkie wiary, zgromadzone 2) w jedno podług szczebli, nie zaprzeczają się, ale łączą w sakramentalnej sile Chrystusa.

Gdzież są herezye, gdy zniszczone są tajemnice?.. Gdzież zaprzeczenia, gdy oto wiara z głębi czucia w duchu się kaźdym objawia całkowicie... a kaźdy duch bierze z niej wedle swojej potrzeby:

1) Pierwotnie zamiast: „ale forma i t. d.“, poeta napisał, a potem przekreślił te słowa: „ale się duch sam mści nad własną naturą“.

2) W tem miejscu przekreślone słowa: „w Chrystusie, a kaźda sobie nie zaprzecza, ale kaźda wdycha ku celom ostatecznym“.

Nauki chciw, to naukę — Lotu niebieskiego, to lot — Siły, to siłę — wszystko, o coby prosił, będąc na drodze Bożej...

A w śmierci się rozmiłowywa, wiedząc, że z niej chcącemu więcej mózdz, niż może, pomoc jest ¹⁾ od Boga i przyśpieszenie.

Gdy mię więc ujrzyś nad siły pracującym, o Panie! to odejmiesz mi te ręce, które nic nie mogą, i to serce zbolące i zużyte... i zagasisz bladą słoneczność dni dogasających, a dasz jasny ranek nowego żywota... i południe ogniste, owocami sypiące, i znów porwiesz w błyskawicy, gdy ²⁾ czynami zasłużę, abys mię wyższą mocą i czynnikiem stworzycielem uczynił.

Abym już nie był jako ciało, duchem ożywione, ale stał się jako ciało, duchem ożywiające, najstraszniejszy kształt mocarza na ziemi...

Za czemże tęsknić będę, gdy wszystko jest w przyszłości. Umilowanie świata, i przemienienie serc, i współnictwo radości, i zmnożenie sił, i odjęcie boleści...

Polsko! Ojczyzno moja! wzywam cię na ten wieczernik ostatni, abym się przepasał prześcieradłem śmiertelnem i umywał krwawe nogi twoje...

Schylony będąc aż ku ziemi przed każdym chłopkiem twoim... umywając mu nogi łzami mojemi...

Rozkazu Chrystusa dopełniam, a nie tak, jak ludzie dopełniają cieleśnie, ale z ducha dopełniam rozkazu... pokorę okazując Ojczyźnie mojej i służbę, i miłość.

A wiem, że wszystkie nogi umyte za mną pójdą, a żaden z tych, którzy ³⁾ przeszli przez cierpienia świata i poznali jego naukę, nie zostanie na drodze przeciwnej...

Ostatnia noc bez miłości... i ostatni wieczernik, gdzie sobie ludzie wzajemnie jadło wrywali, już się kończy...

Ostatni świecznik wiary niepewnej i nie wszechmiłosnej zagasa...

Ale już oto różana jutrzienka w wieczerniku jest i rumiane światło zorzy na obrusach ⁴⁾ zaświeciło...

Dziękujmy Bogu, żeśmy się chlebem wzajemnie nie potruli i bez wiedzy w ciemności będąc, nie pozabijali się nożami naszymi.

Dziękujmy stróżom, którzy nie zasnęli, i cierpieniom, które się nie dały pocieszyć...

1) Przekreślone: „i zdjęcie bezsilności“.

2) Przekreślone: „westchnę o moc nową i wskrzesitelność“.

3) Przekreślone: „mają serce“.

4) Przekreślone: „się zapłomienilo“.

Przez to albowiem, żeśmy niezupełnie umarli, powstajemy dziś do pełnego żywota... przez pierwiastek ognia i czucia ożywieni.

Raduj się, Polsko, albowiem ci, którzy odchodzą przez krzyż bolesny, nie opuszczają ciebie, i ¹⁾ nowonarodzeni z ukrzyżowanych są...

Nie mówiłbym, gdyby nie płomienie i nie chrzest przez ogień... ²⁾.

Lecz teraz mówię w Panu Jezusie Chrystusie, ufając, że nie grzeszę...

Usprawiedliwienie moje zostawiwszy władzom sakramentalnym na niebiosach, które mię też zawstydzą, jeżeli na hańbę zasłużył.

Lecz wierzę, iż duchy, które chcą sprawy Bożej i ratunku ludzkości, dopomagają słowom tej księgi... i rozwiną z niej nieprzewidziane następstwa.

Tak, że będzie otwarta droga duchowi duchów, aby szedł na ziemię i przez ludzi zwyciężał:

Puszczając strach na fałszywe, zły woli i przewrotnego sumnienia złodzieje... jako ogień szeleszczący... jako drzenie, płomieniem ogarnięciem sprawione... jako śmierć w porwaniu duchowem, przez ciało przelatująca...

Aby wyznali z głębi sumnienia, żem znalazł w nich potwierdzenie słów Pańskich... i zrozumienie ewangelii z ducha nowego, takie jak moje...

Przez które urodzon jest świat nowy i wiara nowa, na pewnem świadectwie nieśmiertelności oparta...

W przeszłości bowiem jest świadectwo, którego nie szukano i w literach Genezyjskich napisana historia Chrystusa.

Który jest Stworzycielem i Synem Bożym, przez Ducha Świętego z Ojcem złączony, Ojcem czyniący sprawę świata i wszelką widzialność.

Który nas duchem natchnął i przysposobił na synów Bożych, abyśmy byli jako On w Ojcu i przez Ojca stworzycielami.

I dał moc, abyśmy wszelkie stworzenie podnieśli, wzdychające za owem to przysposobieniem i synowstwem Bożem, które się z wiarą w każdym duchu poczyna... ³⁾.

¹⁾ Przekreślone: „którzy nowi przychodzą“.

²⁾ Pierwotnie miało być: „gdybym przez płomienie nie był ochrzczony“, następnie: „od zjawienia nie był powitany jednym z ochrzczonych“.

³⁾ Potem następują słowa przekreślone, które pierwotnie miały być końcowemi: „I na wieczność trwa. Amen“.

A raz poczęte, jest pierwiastkiem nowej natury w człowieku, czyniąc go stwórcą, na obraz i podobieństwo Boże stworzonym...

Jak w ogniu, tak i teraz: Boże Ojców moich, zmiłuj się nademną!

Płomień twój wskrzeszający nad Ojczyzną moją! Amen“.

Jeżeli zestawimy treść tego mistycznego pisma z podaną wyżej korespondencją Słowackiego z Krasińskim z początkiem r. 1846, a w szczególności z listem jego z 17 lutego, to dostrzeżemy ścisłego związku między temi rzeczami. Związek ten przede wszystkim wydatnia się w tem, że jak w *Liście Apostolskim*, tak i w liście prywatnym z 17 lutego, wielki nacisk jest położony na zaczerpniętą z filozofii platońskiej różnicę pomiędzy wiedzą a opinią, różnicę, która, podług wyobrażenia Słowackiego, dzieliła go od dawnego przyjaciela i pozwalała mu występować wobec niego w roli mistrza i apostoła. Ważną jest także wskazówką początek *Listu Apostolskiego*: „Wyższego hymnu spodziewałem się z ust twoich“, który treścią i tonem swoim zupełnie odpowiada początkowi listu z 17 lutego, i do nikogo innego, prócz Krasińskiego, nie może być odniesiony.

I sam wyraz „hymn“ jest tu użyty nie bez pewnej aluzji do autora *Przedświtu*. Krasiński w zakończeniu tego poematu głosił, że

modlitwa jedyna

Co godna Stwórcy, od h y m n u się wszechyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału...

i jeszcze silniej akcentował ten wyraz, kończąc nim cały poemat:

Aż skonam zwrotką — w poświęcenia h y m n i e!

Słowacki w wierszu *Do autora trzech psalmów*, wskazując Krasińskiemu, jak ma śpiewać, jaki ton ma obrać, używa także tego wyrazu: „W takim h y m n i e, wieszczu, stój!“. Trudno wątpić, że i tutaj ten wyraz użyty jest z aluzją do *Przedświtu*.

Ostatecznie genezę *Listu Apostolskiego* można sobie w ten sposób wyobrazić. Słowacki, wezwany przez Krasińskiego do wypowiedzenia swoich idei kierowniczych i zachęcony zapewnieniem, że ludzkość czeka na wiedzę prawdziwą, nie śmiał mu w liście zwyczajnym odkrywać swoich tajemnic i swego cudownego stosunku z Bogiem,

i użył do tego formy biblijnej. Zaczynając pisać, nie miał gotowego planu, gotowego podziału owego pisma, więc też nie postawił na czele liczby, oznaczającej rozdział pierwszy; ale kiedy w ciągu pisania wypadło mu mówić o sakramentalnej sile, która na niego spłynęła i uczyniła go apostołem, uważał, że cały ten dalszy ustęp trzeba wyodrębnić, i oznaczył go jako: Rozdział II. Utwór ten zapewne miał odczytać przyjacielowi podczas zamierzonego spotkania się z nim na brzegumorza Śródziemnego, ale bardzo prędko przyszedł do przekonania, że o takim spotkaniu się niema co myśleć, a to wtedy, kiedy Krasieński wydał mu się „duchem upadłym i obłąkanym“. Stąd też można dość szczegółowo oznaczyć datę powstania *Listu Apostolskiego*; nie mógł on być napisany wcześniej, jak około połowy lutego 1846 r., ani później, jak przy końcu kwietnia tegoż roku. Można jeszcze więcej ścieśnić granicę tego czasu, a to przypuszczając, że *List* nie mógł być napisany po nadejściu Hiobowych wieści z Galicyi, bo te w przeciwnym razie odbiłyby się w nim jakimś echem; to jest, że mógł być napisany tylko albo w drugiej połowie lutego, albo w pierwszej połowie marca 1846 r.

PROF. JÓZEF TRETIK.

A gdy w głąb duszy wnikiemy...¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXVIII.

Cicho, lekko otwiera się to okno, jakby jakieś skrzydło myśli Anki załopotano do niego i otworzyć mu się kazało.

Cień człowieka zjawia się w świetle.

Jasno odziany, srebrnowłosa, pochyla się tak, jakby szukał kogoś, wyczuwał, że i ta drżąca istota ku niemu się garnie.

— Anko!

Z narcyzów, z bratków, wysuwa się ku niemu biała postać kobieca.

Podchodzi do okna.

— Wiedziałem, że jesteś blisko — mówi Stalewski — praca mi była łatwiejsza...

— Praca?

— Tak... tak... pracuję ciągle... chodź pani do mnie... zobacz, co zrobiłem.

— Podaje jej ręce.

Anka lekko wspina się po murze i za chwilę jest w pracowni.

Poczepiały się jej szat nasturcyje o zamkniętych uśpionych kielichach i szerokich, jasnych liściach.

Oplotły ją zwojami zieleni i przystroiliły wdzięcznie ni to ondyne, ni to dziewczynę, idącą do trumny.

— Patrz! — mówi Stalewski — oto co zrobiłem.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240; — grudniowy str. 464 (1903); — styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455; — kwietniowy, str. 39; — majowy, str. 221.

Mówi nieśmiało, jest blady, wycieńczony, okryty potem.

Na wielkiem, białem płótnie podmalowane ściernisko. Równina wielka, bezkresna i beznadziejna. Równina taka, jaką się widzi na Rusi, gdzie od tyfusu głodowego ludzie mrą, a po drogach chylą się krzyże pod sosnami, wygiętymi w kształt lir.

Słońce już zapadło i niebo przybrało barwę ołowiu. Niema uic, ani nawet echa, ani śladu, że była jakaś jasność, bodaj krwawa, bodaj tragiczna we wspaniałości swojej.

I na tem ściernisku, z którego wykwitają tylko jak las maluchnych gromnic, żdźbła zmarzłe, wyrasta jedna postać, niemal nadnaturalnej wielkości, owiana czarną, o białych odcieniach, płachtą.

Jeszcze w tym ogólnym zarysie rozpoznać nie można, kim jest ta ona, żalobna, ze ściągniętymi fałdami kirowej opony dokoła ciała. Jest w tem jednak takie bezdno rozekłania, roz tęsknienia i beznadziejnej melancholii, że w umyśle patrzącego powstaje obraz zwichniętych przeznaczeń, starganych sił i tragicznych chwil tych, którzy nie mają... przyszłości.

Anka nie mówi nic, tylko patrzy, i mocą wyobraźni przechodzi w tę czarną marę ugonną, jak drogowskaz na samobójczej mogile.

I jest nią w tej chwili milczenie.

I zna jej tajnie.

I zna jej twarz.

I wie, że objęcie jej przytulne i smutne, jak objęcie chmury, co ogarnia wierch, z którego kosodrzewinę wichry stargały.

I osnuwa się kirem jej szat, ona biała i jasna.

Bo ten kir rozprzestrzenia się nad nią, jak nocna ciemnia rozciąga się nad seunemi koronami kwiatów.

Wie, że ta czarna postać nie zejdzie z tego beznadziejnego ścierniska, wie, że jej tak trwać sądzono i czernić coraz żalobniej, i coraz silniej otulać się w kiry.

Bo ona jest Dolą ludzi, którzy nie mają nawet krwawych zachodów, ani Poświaty słonecznej nie biorą na szarość swego życia w zapadłe i zmęczone źrenice.

Jest ona Dolą ludzi, która wykwita w ostatnich godzinach wtedy, gdy kłosy zżęte i do śpichrza zwiezione.

Teraz ziarnem z nich tuczyć się będą inni, ci, którzy z pogardą myślą o pracy, jaką miał ten, który uprawiał pole, pożyczając pługów, strojąc swe zasiewy w kąkol, aby pole jego było piękniejsze i barwniejsze, niż pole sąsiada.

Po zżęciu kłosów pozostaje beznadziejne, smutne ściernisko.

Włóczy się po niem perz, włóczą się resztki ziarn, lecz nie już nie kwitnie, nic się nie zazieleni.

Jesiennem wyciem przeciągnie wichur, załka, zegnie żdźbła-
skielety i rozplynie się w dal...

Czasem trup chomika zastygnie w martwocie maluchnego
dziecka.

I szaro, i pusto, i głucho...

Wtedy na pustkę, na głuszę, na szarość przywieje czarna, wy-
niosła postać i stanie na straży.

W źrenicach jej bezsłoneczne niebo, w opuszczeniu widmowych
rąk beznadziejne jutro.

.

Obok Anki Stalewski niespokojny śledzi wrażenie.

Nie może się pozbyć jeszcze zupełnie dawnych przyzwyczajzeń.
Troszczy się drobiazgami.

— Prawda? — pyta — są błędy w rysunku?

Anka nic nie odpowiada.

— Bez modelu... trudno mi... przywykłem.

Łagodnym ruchem przerywa mu Anka.

— Czemu się troszczyć o powierzchnię — mówi — troska po-
winna sięgać głębi.

Stalewski utkwiał niespokojne oczy w Ankę.

— Zdawało mi się... — wyrzekł przyciszonym głosem — że do-
byłem ją z głębi swej duszy.

Anka, cała zamieniona w źrenice, zwróciła się ku niemu dziwnie
wzruszona.

— Tak... — wyrzekła — to całe spłynęło z duszy pana.

Wielka, ogromna radość ogarnęła Jana.

Rozbłysł nią cały, jak gdyby wewnątrz niego ktoś zapalił lampę
przejasnego szczęścia.

— I przyznasz to za swoje przed światem?

— Przyznam — na chwilę. Gdy znajdą w tem dość siły i młodo-
ści, ujawnimy nazwisko pana.

Lecz on wstrząsnął głową.

— Nie, nie. Skoro uznajesz to za godne twej twórczości, niech
to już tak pozostanie. Zeszłoby dzieło moje do dziedziny złośliwego
figla. Nie darowanoby mi tego nigdy. Ja to pragnę nie dla nich, lecz
chęć to odczuć dla siebie. Chcę sam nabrać przekonania, że coś wart.
Sam — rozumiesz mnie, Anko?..

Teraz ona rozbłysła całą radością. Uczuła, iż ten człowiek zrzucił ze siebie zupełnie szatę pajaca, skoro brzydzi się już błyskotliwością tryumfu, jaki mógł odnieść nad swymi wrogami.

Zaczął rozumieć wartość wewnętrznych wzruszeń, pragnął mieć je dla siebie.

Wnikał w głąb własnej duszy..

Zwróciła ku niemu swoją twarz rozjaśnioną, a w pełnem świetle olbrzymich, pracownianych lamp, zwieszających się od stropu, zdawała się być oblana całą blaskiem i jasnością. I wyciągnawszy ku niemu ręce, uśmiechnęła się szlachetnie i pięknie, a z uśmiechu tego, jak kwiat z pomiędzy liści, rosą sperlonych, wykwitło jedno śliczne i na wskroś kobiece słowo:

— Dziękuję!..

Pochylił się ku tym rękom i oczami do nich przyglądał.

Ustami — nie śmiał.

Były mu dobre, przyjazne i drogie, chłodziły rozpalone powieki i wnikały mu we wnętrze źrenic, jakby z eteru wypromienione.

Przed nimi, na ściernisku, czerniała smutna, żałobna, owita w kiry, Dola tych, którzy... przyszłości nie mają.

XXIX.

— Waryat!.. Waryat!..

— Gdzie?.. gdzie?..

— W oknie... w hotelu, na pierwszym piętrze... chodził chodził..

Wybuchy śmiechu — radość. Pędzą ludzie o zwierzęcych twarzach. Kupa ich czarna, jak robactwo nieczyste, tłoczy się pod oknami hotelu. Niektórzy włączają na dorożki, które ściągają jak do pożaru, lub przed knajpy o nocnej porze. Przeważają kobiety, sługi z koszami prezentują zczerniałe nad rądlami pyski, wykrzywione błogim uśmiechem. Wszyscy pootwierali usta. Patrzą w górę. Ujawniają czarne podniebienia złych psów i spróchniałe zęby.

— Ol.. ol.. teraz znów staje w oknie!..

— W koszuli tylko pod paltem...

— Cylinder ma... widzi pani... cylinder.

— I w kaleszonach... to skandal.

— Coś gadał..

— Cicho...

Zamknięto bramę hotelu. Zarządca, zły ze skandalu, szuka kluczy do drzwi, łączących numerą. Wejściowe od korytarza są zamknięte na wewnątrz. Nie sposób się dostać. Waryat nie chce otworzyć. Wczesnym rankiem porwał się z łóżka. Otworzył okno i teraz ma przemowę do tłumu, wyjącego z uciechy na ulicy.

— Obywatele wyborcy!.. Obdarzony przez was zaszczytnem zaufaniem, pragnę, ażebyście zrozumieli, kim jestem... i jak szeroko pojmuję... zakres...

Gwizdy, piski—przerywają mu mowę. Lecz on, błąd jak płótno, tragiczny, z rozpiętą na piersiach koszulą, przechyla się poza ramy okna i znów zaczyna:

— Obywatele wyborcy!.. Obdarzony przez was...

Po tłumie przebiega aż dreszcz rozkoszy. Widowisko dobre i miłe. Coś z cyrkowych aren. Dzikie zwierzę szalu wpiło się w mózg człowieka. Zanurza weń kły, zmusza do tych konwulsyjnych skurczów, któremi czepia się okna. Tłum, dawniej zalewający swem zbiorowem cielskiem kamienne kręgi cyrku, teraz tłoczy się cuchnący i brzydki na dole, podnosi łeb i przeżuwa w sobie dreszcze.

Ściągają tu nie dla tego, że przeczuwają niecodzienne zdarzenia, w którym chcą wziąć jakiś udział, wynoszący ich na chwilę po nad równię szarości dni zwykłych, lecz gnają w potrzebie wyładowania pewnej seryi gestów i grymasów, które są wynikiem stanu ogłupienia i oderwania się od myśli własnych, a stan ten, wedle ich określenia, „wesołością“ się nazywa. Więc są „weseli“, tłocząc się na tym chodniku, mając po nad sobą tę białą twarz starca, jego rozwichrzoną brodę, jego źrenice, których męt jest całą głębią szalonych, drgających światłów, jego rasowe ręce, na które wybiegły siecią postronki żył.

— Obywatele wyborcy!..

To jedno słyhać coraz słabiej, coraz chrapliwiej. Oczy waryata coraz krwawsze, z ust ciecze ślina. Tłum śmiechem zagłusza go. On gestykuluje, pragnie przekonać, że przyjmuje wybór i usprawiedliwi zaufanie. Prąd szaleństwa płynie od niego ku nim. Ktoś go poznał. Rzucił jego nazwisko. I nagle tłum rozkołysał się tem szlacheckiem mianem z wyciem i gwizdem:

— Zagrodzki... Zagrodzki...

Jakby nawoływali psa, lub rzucali kamieniami w rzekę, tak ci skają jego mianem w przestrzeń.

On słyszy to. Dziękuje. Rękę przykładą do serca. Zdaleka pojawia się wreszcie policya. Lecz tłum jeszcze nie widzi tych, którzy zakłócają mu igrzysko. Teraz najlepsza wre zabawa. Zagrodzki, podniecony, upojony sukcesem, szaleje coraz więcej.

Wyciąga ręce ku niebu... przysięga tłumowi bronić jego praw politycznych i zdobywać nowe.. Wyrzuca z piersi potoki tych mów, tych wniosków, tych interpelacyi, które nagromadził w sobie latami całemi, i nie mógł nigdy wydać ze siebie, dławiąc się niemi w musowem milczeniu. Teraz to wszystko zieje na głowy tłumu lawiną, kaskadą bełkotu wśród kłębów śliny, ociekających mu brodę. Ku niemu coraz usilniej wznoszą się spocone gorącym i podnieceniem twarze tłumu. Nie są ciekawi nawet tego Straszego, tej niezbadanej Tajemnicy, która otoczyła sobą człowieka, wepchniętego nagle w świat uludy, który jest obecnie dla niego światem rzeczywistym, nie — oni się bawią.

Szeroko się bawią.

Nagle w pokoju stać się musiało coś niezwykłego, bo oto zakłębiło się przy oknie poza starcem. Kilku ludzi rzuciło się na niego z tyłu i rwą go do wnętrza pokoju. Dobrali snać klucze. Tłum zawył, jakby żałośnie, że mu wydzierają zabawkę, która mu nerwy łaskocze.

Lecz oto już ma inną.

Placem biegnie młoda kobieta w ciemnej sukience, biegnie szalonym pędem ku hotelowej bramie. Roztrąca ludzi, oczy ma wlepione w okno, w którym widać waryata, szamocącego się ze służbą hotelową. Kobieta ma wypieki purpurowe na twarzy, usta rozwarte... Wpada w tłum, rozpycha, szarpie tych, którzy jej drogę tamują.

— Puśćcie mnie, puśćcie!..

— No... czego się panna rozpycha?

— Chce panna w pysk?

— Waryatka!.. ol!..

Część tłumu zwraca się ku Ance, zaczynają ją szarpać, popychać. Ona ich nie widzi. Wpija w nich kurczowo palce, patrzy ciągle w okno.

Odrzucają ją od bramy, nie pozwalają jej postąpić, otoczyli ją żelaznem kołem.

— Widzicie, przyleciała teraz i chce widzieć.

— Pcha się do pierwszego rzędu!.. — śmieje się jakiś kapelusz Panama.

— Ulicznica!

— Puśćcie mnie!..

Lecz ci, którzy nie wiedzą, co się dzieje koło bramy, aż ryczą z uciechy.

Oto szalenięć uczepił się rękami szyldu fryzyera, który dosięgał do jego okna, i stawia opór, wstrząsając tablicą, z poza której wała się gruzy.

Policya już jest przed hotelem.

— Ustąpcie!.. ustąpcie!..

— Wodą go! — krzyczy tłum.

Ktoś ze służby właśnie w tej chwili cały dzban wody wylewa na waryata. Zachłysł się, porwał za głowę. Wycie tłumu odpowiedziało mu z dołu... W zamieszaniu zapomniano o Ance. Dopadła do bramy, wstrząsa nią.

— Puście mnie do ojca!

Zagrodzki rwie się jeszcze do szyldu, lecz deska, oderwana z haków, wali się na dół z hukiem i łomotem. Tłum na chwilę się cofa. Służba hotelowa opanowuje gesta Zagrodzkiego, odciągnęli go od okna. Słychać przeraźliwy krzyk.

Tłum powraca falą na chodnik. Rzuca się ku spadłemu szyldowi. Zbiera gruzy, haki, wykonywa całą seryę bezmyślnych czynów.

Krzyk ponawia się.

— O!.. biją go!.. wiążą!..

U bramy Anka kaleczy sobie palce o żelazne liście i kwiaty, pokrywające pół szyby.

Zdaleka słychać trąbkę.

— Pogotowie.

Ktoś ze służby zamyka okno. Lecz nikt się z miejsca nie rusza. Widowisko nie skończone. Będą jeszcze szaleńca wieźli do szpitala, więc możność ryczenia, pędzenia za karetką, wycia, jak stado psów dzikich na stepie zbłąkanych.

Ktoś wewnątrz hotelu poznał Ankę.

Otwierają bramę ostrożnie, jakby w chwili oblężenia.

— Proszę pani... prędzej... ojciec pani zwaryował.

— Wiem... wiem...

Tłum z całym impetem rzuca się ku bramie. Chcą wpaść do wnętrza. Rozzuchwalają się. Wszak tam, wewnątrz, rozegrywa się tragedia. To przecież nie ma prawa pozostać w zamknięciu. To do tłumu należy. Lecz stróże hotelowi, uderzeniami pięści po twarzach, wyrzucają tych, którzy za Anką wtargnęli do bramy.

— Co to jest?

-- Biją!

— Policya, biją!..

Oburzenie, huk groźny. Ruch na ulicy zatamowany. Przed cieliskiem czerwonym tramwajów nikt ustąpić nie chce. Cała teorya wagonów stoi, czekając opamiętania i swobody.

Wewnątrz hotelu wre. Goście gromadami stoją na schodach. Dzwonki bezustannie dzwonią. Służba biega bezradna. Lękliwsi po-

zamykali się w numerach. Jakaś pani dostała spazmów, inna żąda rachunku i chce natychmiast hotel opuścić.

Zarządca hotelu biegnie naprzeciw Anki.

— Śliczna historyał.. — rzuca się ku niej z wściekłością — jak pani nam mogła ojca zostawić?

Ona nie odpowiada nic, nie wie, nie może. Spadło to na nią tak niespodzianie. Wiedziała, że jest zdenerwowany, ale przecież nie szalony...

I teraz nie wierzy.

Usuwa zarządcę, wpada do pokoju. Widzi ojca, leżącego na ziemi, związanego ręcznikami, zlanego wodą. Usta ma przewiązane ręcznikiem, aby zatamować jego krzyk. Oczy wyszłe z orbitów, straszne, krwiste, jak dwa czerwone rubiny. Nad nim pochyleni klęczą parobcy. Przytrzymują mu ręce i spętane nogi. Rozkrzyżowali go tak na jasnych różach dywanu, pomiędzy aksamitem liści, i nie nie zdoła określić tragizmu tej postaci, winkrustowanej w kwiaty najstraszniejszą grozą i lękiem. Ludzie z r ó w n o w a ż e n i powalili i ujarzmili istotę, która się wykoleiła nagle z szyn, i jak wir podwodny zamąciła bieg unormowanych z wysiłkiem fal. Zbity, stłuczony, związany, zlany własnym potem, śliną, wodą, zwalany kałem, leży szmat ciała, nad którym duch się pastwi siłą swą rozpętaną i rozhukaną nagle w zrzuconiu tryumfalnem jarzma.

Na kolana, jak przed ołtarzem najwyższej boleści, upadła przed ojcem Anka.

I znów, jak zwykle, mówi:

— Ojczel.. to ja!..

Dzieje się cud wielki, a przecież niezrozumiały dla tych, którzy wnikać w głąb codziennych cudów nie chcą, czy nie mogą.

I dla tego parobcy, klęczący nad szaleńcem, goście, cisnący się ku drzwiom — nikt nie wnika w przyczynę, dla czego z tych zakrwawionych źrenic szaleńca, na szept córki, ustępuje na chwilę groźny męt.

Krwawość ich przysłania jakby mgłą opalowa i przeogromny smutek, jaki wypływa z czarnych, martwych miejsc górskich, gdzie słońce nigdy nie dochodzi, zdaje się wiać aż ku rozpalonej twarzyczce Anki.

Anka ten smutek odczuwa tak strasznie, że dusza jej zanosi się łkaniem wichru, dzwoniącego po ugorach śmiertelne hymny.

Wyciąga ręce ku ludziom.

— Rozwiążcie go!..

— Aha... żeby nas pozabijał?

— Nic wam nie zrobi... rozwiążcie mu przynajmniej usta. On się dusił..

Zarządca się zbliża.

— Pani daruje, on krzyczy. Gości nam wystrasza. Panie po numerach mdleją ze strachu...

— Ależ on jest teraz spokojny! Prawda, ojczy, będziesz spokojny?..

Z krwawych źrenic szaleńca, po trupiej twarzy, płyną dwie wielkie łzy.

— Patrzcie, on płacze... on cierpi... rozwiążcie go!

Sama się rzuca, zdejmuje ręcznik z ust opuchłych. Pochyla się, ociera łzy, pot, wodę, którą jest zlany.

— Ojczy, poznajesz mnie?

I znów ten wyraz bezdenne go smutku, który w niej zdaje się targać najgłębszą strunę ducha. Tak, ten człowiek chory, ten człowiek, który utracił spójnię równowagi swych części składowych, z których jego istota do tej chwili się tworzyła, zwracał się światem swych uczuć ku przedłużeniu swego normalnego istnienia w formie drugiej, oderwanej od niego istoty — ku dziecku swemu.

I ten świat uczuć musiał widocznie najdłużej i najsilniej panować ponad innymi światami, w których istota ludzka przebywa, bo zwalczył ich wir i szal, i wypłynął cały w bezgranicznej melancholii oczów waryata, w tych łzach, płynących po zmarszczkach skroni, i w tem milczeniu, w jakie nagle popadły przed chwilą rozkrzyczane w bezładnej męce dźwięków usta.

Ginąca część istoty zdawała się z pokorą poddawać na usługi tej, która wstawiała ku słońcu, młoda, siła pełna, władająca myślą, duchem, ciałem swem z równowagą zupełną.

Do ciemni wciskała się masa komórek, niezdolnych już do samoistnego bytu, a duch zrzucił, jak pokrowiec, poszarpane włókna, cuchnące i poruszające się z trudem. Ni ruchu, ni ciepła, ni wstrząsnień świętych, lub niskich, tylko pośpiesznym tempem zgnilizna i unieruchomienie dobrze ułożonego na wiorach trupa.

Lecz przedtem taki smutny łańcuch, wiążący z tem, co pozostanie, jakby żal, jakby niepewność, czy zdoła to drugie „ja“ odczuć, gdzie prawda i spokój, choć pozorny.

— Czy potrafisz być mną innym? — pytały źrenice szaleńca.

— Uspokoisz się i znajdziesz we mnie tę błogość z poznania w sobie samym skarbów najwyższej i najdoskonalszej szczęśliwości. Będziesz tym, który starczy sam sobie i przeżywa ciche a cudowne chwile, w których cierpienie wydaje się nam źródłem nieprzebranych rozkoszy. Będziesz tym, który spokojnie czekać będzie, aż się wypelni

całe przeznaczenie twoje, i wracać będziesz myślą do chwil dobrych i szlachetnych, a nie do tych, w których los zmusił cię opuścić prawy spokój pierwotnej natury twojej! I potrafiśz odczuć czar mgły porannej i pierwszą słoneczną strzałę, i ostatni jego blask, i wchłoniesz w siebie widmo słoneczne, co się kładzie na rżyskach olbrzymim dyamentem, migocącym siedmiobarwną tęczą. I zrozumiesz, że poszum jednej akacyi, która o czerwonym południu rozbieli się śniegiem swego kwiecica, zagłuszyć może wycie całego tłumu drwiących z ciebie istot. I wejdę ja, a za mną ty, na ścieżkę, na której po obu stronach stoją milczące Archanioly, z rękami, założonemi na piersiach, miłosne i dobre. Wtedy zaznasz rozkoszy usunięcia się w cień, a patrzenia w słońce, i przestanieś walczyć z losem, a wejdiesz z nim w przyjazny układ, który ci da możność doskonalenia się pod razami przeznaczenia, i odzyskasz swobodę i piękność gestów instynktu, które jedynie są twej naturze drogie i konieczne. I zaznasz szczęścia... bo będzie ono zawisłe jedynie od ciebie samego!..

.

To mówią źrenice Anki, wpatrzone w skrwawione oczy ojca.

U drzwi szum, szelest kroków.

Szybko wchodzi młody człowiek, ciemno odziany.

— Lekarzu!.. psychiatra...

Badawczo potoczył wzrokiem po pokoju.

— Proszę podnieść chorego z ziemi... niech zbyteczne osoby wyjdą. Kto pani?

— Córka.

— Proszę zostać i kilku ludzi na wypadek niech stoi przy drzwiach. Co panu?

Zagrodzki widzi twarz obcą, przychylną, inteligentną.

Opuchłemi ustami szepcze:

— Jestem wybrany... partya kontrkandydata rzuciła się na mnie... nie dała przemówić do tłumu.

— Tak, tak... — odpowiada doktor, patrząc badawczo w twarz starca — właśnie mówiono mi o tem. Ale partya zwalczona rozeszła się. Nic już panu nie zrobią.

— Chciałbym jednak...

— Przyjechałem po pana, mamy pana zawieźć do ratusza. Tam czekają na pana.

— A... to dobrze, dobrze...

- Niechże się pan ubierze...
 Z trudem Zagrodzki dźwiga się z łóżka, na którym go położono.
 — Dużo się moich zeszło? — pyta gorączkowo.
 — O! cała partya. Będzie pan mówił, ile pan zechce. Przedtem wstąpimy do komitetu wyborczego.
 — Gdzież on?
 — Niedaleko. Wynajęliśmy na ten cel osobny lokal, zaciszny i spokojny. Nikt nas nie wyśledzi...
 Doktor zwraca się do służby hotelowej:
 — Pomóżcie panu radcy ubrać się!
 Skinął na Ankę, odprowadził ją ku oknu:
 — Gdzie zawieźć ojca? — zapytał — czy macie środki na zakład prywatny?
 Anka czuła, że blednie trupio.
 — Do... zakładu?
 — No tak. To trudno! W domu go trzymać nie można. To manja polityczna, która jest równoważna z manją wielkości. Nieuleczalna. Wolę pani powiedzieć całą prawdę. Więc... do zakładu?..
 — Tak.
 — Sam go odwiozę.
 — Może... ja...
 — Nie, nie. Bardzo być może, iż zacznie się rzucać, krzyczyć. Kobiety się denerwują i denerwują nie tylko chorych, ale i całe otoczenie.
 Mówił szybko, energicznie. Widać było, iż potrafił wywalczyć w sobie nadzwyczajną siłę, którą się odznaczają pogromcy dzikich zwierząt w cyrkach.
 — Pani mi tylko podyktuje nazwisko ojca, wiek, zatrudnienie. Wyjął notatkę, zapisywał.
 Przy stole drżąc, chwiejąc się, stał Zagrodzki, na pozór ubrany, w palcie, jasnych spodniach, w krawacie, związanym na nocnej koszuli, z cylindrem i laską w ręku.
 Straszny był, siny, z krwawymi plamami na twarzy i rękach.
 W chwili, gdy doktor zwrócił się ku niemu, położył laskę i cylinder na stole i zaczął pośpiesznie zbierać leżące na serwecie papiery.
 — Moje wyznanie wiary... wszystko przygotowane... muszę zabrać...
 — Bardzo, bardzo słusznie — przyświadczał zbliżając się doktor.
 — Pan ma ładną laskę! — wymówił, biorąc laskę w rękę i oglądając ją na pozór uważnie.

Potrzymał chwilę laskę i korzystając z tego, że Zagrodzki zajęty był papierami, podał ją Ance.

— Proszę to schować.

Zbliżył się jeszcze więcej do szaleńca i delikatnie ujął go za wiązający krawat.

— To nie ładna krawatka. Stara, zniszczona. Wyborcy czuliby się dotknięci, że pan tak zaniedbany do nich przychodzi. My wstąpimy do sklepu i kupimy nowy krawat.

Szybko rozwiązał krawat i oddał go Ance.

— Mógłby się udusić — rzucił jej szeptem. I nagle zapytał ją półgłosem:

— Czy ma sztuczne zęby?

— Tak, górną szczękę.

Doktor już znów układnie stanął przed Zagrodzkim.

— Pan mówi niewyraźnie... to źle... mowę trzeba powiedzieć dobitnie i tak, żeby ją każdy słyszał... Co panu w ustach...

Zagrodzki bełkotać zaczął:

— Ścisnęli rącznikiem...

— Nie, nie. Tam jest coś w jamie ustnej. Pan pozwoli obejrzeć. Jedna chwila nieufności ogarnęła Zagrodzkiego.

Cofnął się i z pod brwi ściągniętych patrzył na doktora.

Lecz ten nie zmieszał się ani na chwilę.

— Pan ma źle wprawione zęby — wyrzekł swobodnie — dla tego pan źle mówi. Niech no pan pokaże.

Zagrodzki cofał się ciągle dumny i nieufny. W oczach migotały iskierki.

— Widzi pan — zaczął półgłosem doktor — ja to radzę panu dla pańskiego dobra... Jeżeli wyborcy nie zrozumieją pana, mogą jeszcze zrzucić wybór pana. Bóg wiel! Niech się pan śpieszy... kareta czeka, dalej, dalej, komitet się niecierpliwi.

Sięgnął ręką ku ustom waryata. Szybko, zręcznie, jak laskę, jak krawat, usunął z ust steroryzowanego Zagrodzkiego fałszywą szczękę, którą rzucił na łóżko.

— A teraz w drogę!

Anka zrobiła ruch, jak gdyby chciała się do ojca zbliżyć, doktor zatrzymał ją stanowczym gestem.

— Niech pani zostanie... służę panu!

Ujął szaleńca pod rękę i poprowadził ku drzwiom. Na schodach stały milczące grupy ludzi. Zagrodzki na ich widok zatrzymał się znów nieufny, jakby przecuciem zdjęty.

— Proszę! — mówił doktor — niech pan idzie śmiało, to są zwolennicy pana. Proszę!..

Zagrodzki wyprostował się dumnie. Uśmiechnął się bezzębnymi ustami i z miną rasowego wielkiego pana, który doszedł tam, dokąd całą siłą zmierzał, zaczął, podtrzymywany przez doktora, schodzić po wschodach, wysłanych dywanem.

XXX.

Rozpachło się, rozsloneczniło tak, że istota ludzka nie była po prostu w stanie wchłonąć w siebie tego złota, tej woni, tego blasku.

Rankiem wyszła Anka na ganek i stoi, i patrzy, i chłonie, i kocha, i obejmuje a tuli miłościwie tę cudowność, która się przed nią roztacza, wnika w nią, z pod stóp tryska, owiewa kłębem woni, płynię strugami z wyżyn szafiru. A drzewa szumią leciuchno, trawa nieruchoma na pozór, a życia taka pełna... A tam, w oddali, baldachim lasu, obramowany srebrną ścieżką wrzosów.

I las leciuchno szumi, delikatnie przesyłając ku Ance ten szum, pełen rozkosznej tajemnicy rozwiniętego w pełni życia.

I zapomina Anka, że na tej ziemi ojcowskiej przysiadła chmura posesorskiej bandy.

Pozostawiła za sobą wspomnienie czarnych, żalobnych chałatów i oliwkowej cery, wśród której żarzą się węgle oczów, nie pomni już o swym pokoju dziewczęcym, pokoiku, w którym rozwijał się kwiat jej duszy, kwiat jej ciała, a teraz czerwieni się purpurą brudnych perkalików stopy betów na małżeńskich łożach, gdzie śpią płodne pary posesorskich potomków. Pomnąć o tem nie chce i gna że siebie wrazenie gorzkie, jakie ścisnęło jej sercem, gdy w pokoiku narożnym, gdzie umarła powoli i cicho, jak umiera zraniony gołąb, jej matka, zasrebrzyły się przed nią ociekłe mlekiem blaszanki mleka i uderzyła w nią woń gnijącej w beczie kapusty. Całą noc, którą przebyła w naprędcie uprzągniętym dla niej pokoju, to rozprzestrzenienie się brutalne, dławilo ją i sen z oczu spędzało. Przyjechać musiała. Kontrakt z dzierżawcą się kończył. Ojciec w sanatorium. Miano wyznaczyć kuratora. Obecność jej na tej wsi była konieczna. I oto zdręczona, pełna żaloby, wobec nieszczęścia, jakie ją dotknęło, wpadła w tę otchłań sprofanowanych pamiątek, rozdeptanych szczątków jej dzieciństwa. Cała religia pamiątek, jaka w jej sercu rosła kultem nieprzebranych skarbów, druzgotała się w proch siłą faktów i mocą tej rozbieganej, czarnej hordy, która poganiała garstkę zuchwałej i har-

dej służby folwarcznej, równie chudej i smutnej, jak te konie biedne „posesorskie“, bandą o Zachodzie przygnane do studni i pod żórawiem zbite.

Gdy jednak ruch przedziwny zaświtał i rozspiewało się ptactwo na krzakach, pod oknami rosnących, Anka porwała się z łóżka i wodą zimną obmyła, smukła a jasna, w słońce i zieleń wybiegła.

Z ganku uszedłszy, okrążyła gazon, na którym ciemniały kępy bratków, przez nią jeszcze sadzone. Po środku ogromny krzak róży białej rozwiewał swoje śnieżne kwiaty. Płatki białe wichher strząsał na werweny liliowe i rezedy wolne. A wszystko to rosło już tak mocą nałogu, mocą przyzwyczajenia. Bo nikt z pośród chałatów przy tych kwiatkach nie ukląkł, i dłoni miłosnej, a do pielęgnowania skorej, nie wyciągnął.

Rosło, wdzięczyło się to słońcu, Bogu, sobie, rozpiętej kopule szafirowego nieba, nie dbając, że byli tu zbyt liczni ci wonni goście w aksamitnych szatkach. Trzymali się gruntu i nie pytali się o nic, zjawiając się ze słońcem letniem, gdy od polnych kwiatów płynęły ku nim hasła i nawoływania.

Anka ogarnęła wzrokiem ten klomb, przy którym modliła się tyle razy staraniem około piękności kwiatu, spojrzała w dal na wyniosłe brzozy parku, co drżały, delikatnie rozsypane na tle szafiru.

Wszystko było tak piękne, świeże, wonne i jasne, jak poprzednio.

Ankę coś wewnątrz ducha zabolalo w odczuciu tej niezmiennej świeżości. Stała jak wryta i smutek powlókł jej twarzyczkę. Chwilowa radość znikła. Zaczynało jej być gorzej moralnie, niż tam, u Żydów, w domu, gdzie się tyle zmieniło.

I nie wiedziała już, gdzie lepiej, czy tam, gdzie się wszystko zmienia, czy tam, gdzie z biegiem rzeczy strasznych nie zmienia się przecież nic.

Od drogi, w białej płótniance, szło zjawisko, brzydkie, ohydne, straszne.

Taczało się to, podrygiwało, powracało w zwykłą linię. Białe odziane kształty kobiece. Twarz, owinięta chustami, straszna, o ceglastej barwie. Przez plecy przewieszona torba.

Anka poznała ją natychmiast.

Sługa żydowska z karczmy — pocztę, jak zawsze, nosi.

Podchodzi ku niej, list z torby wyjmując, pijackim gestem uklon składa.

Nieprzenikniona ironia aż bije od tej córy ziemi, która, zda się, grobowę cerą w łono ziemi wpraszać.

Anka odbiera od niej list i jakieś drzenie przebiega jej ciało.

Poznaje pismo Stalewskiego.

Odjeżdżając pozwoliła mu, a nawet prosiła, aby pisywał. Tłómaczyła się przed sobą, że nie chce zerwać kontaktu duchowego, jaki się między nimi wytworzył, że mu to konieczne do nabrania siły i wytrwałości, a przecież lekkie zmieszanie ogarnia ją teraz, gdy list ten trzyma w ręku. I zmieszanie to nie pochodzi od niej samej. Przeciwnie, ono płynie z tego listu. To one, te ćwiarteczki, złożone i uwięzione w kopercie, przejmują ją niepokojem, bo z niepokojem musiały być w dal rzucane.

Jak to źle! — myśli Anka — jak to źle!.. czego on siebie i mnie niepokoi, czego?

Idzie w głąb parku, gdzie lipy ogromne dźwigają się z szeregów brzoź, a dęby samotnie, wyniosłe, pośród zapuszczonych trawników się wznoszą.

Alejami zarosłemi idzie wolno Anka ku żerdziom, które odgraniczają park od pól, wezbranych złotem żyta. Idzie wolno, czyta list:

Anko!

Dzieło moje prawie skończone. Patrzę w ten kąt płótna, gdzie położyłaś swój podpis, a który tak zazdrośnie kryję jeszcze przed oczami ludzi. Z tych kilku liter, z tej „Anki“ bije ku mnie cała twa siła, wielka i niespożyta. I patrzę na to, co tworzę, a troską moją największą to jest niemożność dostrojenia się do twej czystej, nieskalanej prostoty, jaka jest podwaliną twego Dzieła. Anko, obraz mój coraz więcej staje się mną, a ja staję się nim samym. Ja go nazwałem: „Moje dzieło“, nic więcej, tylko Dzieło, a to będzie wszystko. I tragizm mój życiowy, i rozstępiona modlitwa dni obecnych. Ja nie wiem, com stworzył, Anko, ale to było moje i we mnie lata całe, To wiem jedno, że poczęte jest chyba w duszy, bo wyczerpało mnie do dna. Ale nie fizycznie. Tamte dzieła moje odbierały mi siłę w mięśniach, to każe mi chwilami omdlewać i stawać się pustym i chłodnym, jakby we mnie źdźbło myśli kiełkować już więcej nie mogło. Lecz tyś miała słuszność, Anko. To jest najlepsze, co jest wewnątrz nas, to, co przechodzi zewnątrz do wewnętrżności, przemawiać może. Ku tobie się zwracam myślą i sercem... Widzę cię jasną, białą, w twych lekkich sukniach przywianą o nocnej ciszy do mej pracowni. Jesteś tak piękną, Anko, oczy twe mają jaśń dyamentów, które nie skalał jeszcze żaden wzrok

nikczemny. Wywołuję cię z mgły i myślę, jak mogłem tak długo żyć bez ciebie i twojej siły? Gdzie byłaś do tej chwili ty, której oczy stały mi się tak potrzebne, a linia zjawiska tak droga...

Z rąk Anki wysunął się list Jana i upadł na obramowanie sukni.

Niepokój jej wzrastać zaczął.

Tu, między temi drobnymi liniami, wiją się, jak węże, jakieś inne myśli, inne pragnienia. Tu coś nieokreślonego kierowało tą ręką i układało te zdania, lecz to coś idzie dalej, a raczej osuwa się w jakieś bezdnie, do których i Ankę za sobą wlecze.

Oparta o żerdź stoi Anka i na twarz jej wystąpiły dwa rumieńce.

Zdaje się jej, że Jan jest tuż przed nią, że chłonie w siebie jej oczy, linię jej ciała, i w tem odnajduje siłę. Tak pisze... Tak on pisze... Lecz może jest to tylko pomyłka z jej strony. Ten niepokój, to zwykły stan zdenerwowania po tylu ciężkich przejściach. Może krzywdzi Jana i siebie...

Podejmuje z ziemi list i czyta dalej.

Rzeczywiście — już same sprawy technicznej natury.

Dalej, wiadomości o ojcu, którego Jan odwiedził dwukrotnie w zakładzie. Zagrodzki ma się względnie dobrze. Je, śpi mało, ale jest o wiele spokojniejszy. Objawy jego szału nie są ostre, mania polityczna nie jest hałaśliwa. Przeważnie pisze artykuły wstępne. Ma ciągle jeden monotony gest... jakby coś rozrzucał w powietrzu. Mówi dosyć, ale wymowa jego jest utrudniona. Dwa razy był karany i zawiązywany w kaftan.

Oto wszystko.

.

I z oczu, z myśli Anki, znika już w tej chwili Jan, jego Dzieło, niepokój, którym list jest przesiąknięty. Pozostaje jej tylko to odczucie strasznego bólu na myśl, że tam, o przestrzeń pewną, ojciec jej, spowity w pęty „kaftana“, głową siwą bije powoli o kwadrat poduszki, a z gardła jego wydobywają się charkliwe, okropne dźwięki.

A pod czaszką jego chaos krwawy, ból, szum myśli płomien-nych, jego, cudzych i tych, które całym łańcuchem trącały o jego

wyobrażenia, aby wydał ze siebie ów dźwięk, który rozdzwonił się nad nim hymnem strasznego pogrzebu.

To wszystko daleko... tam...

A tu zieleń, woń, złoto.

I to jest właśnie jego ziemia, jego drzewa, jego kwiaty. Dzieckiem biegł w cień lipy, a kwiecie białe i wonne spadało mu na jasne włosy. On patrzył tak, na skraju parku, na pola, wezbrane chlebem, i cieszył się do słońca, i kochał dziecięcą duszą zieleń tych drzew, biel kwiecia, szum gałęzi w słońcu, lub ich nieruchomość w księżycowej topieli.

I ona, Anka, dzieckiem tak samo wmadlała się w to Piękno rozkwitłych zbóż i oddawała swą duszę całą w tę modlitwę. Zdawało się jej, że każda brzoza zna jej myśl, że każda werwena uśmiecha się do niej łaskawie. Były to jej druchy i siostry. Cała ta zieleń wiosenna, to złoto letnie, ta miedź jesienna, ta biel zimowa — to było to, co jej sercu najmiłsze, najdroższe i najbliższe.

Zdawało się jej, że gdy zboliała przybiegnie do brzoź po pociechę, to w ich szumie znajdzie dźwięk współczucia. Inaczej być nie mogło. Przyroda nie mogła być niewdzięczną. Ona w jesienne wichry, gdy z jękiem gięły się ku ziemi drzewa, a mróz warzył zapóźnione bukiety bratków, ona cierpiała smutna i biedna. Gdy spóźniała się wiosna, słała ku czerniącym się żalobnie gałązkom gorącą myśl, chcąc dodać im siły do przebycia dni smutnych. A gdy skwar lata chylił ku ziemi liście i trawy, dziecięcym sercem wymadlała czarną chmurę i załzawionymi oczyma patrzyła na słońce, chcąc mgłą tych łez przysłonić żar piekący...

Więc ona żyła z przyrodą i w niej samej. Bolała jej bolem, znała jej cierpienia.

Dziś przyszła zdręczona życiem, obolała i smutna. Oprócz bólu miała jeszcze na dnie duszy niepokój jakiś wielki. Drżało w niej to, co było lepsze, drżało i mdało.

I po latach kilku tak zmieniona, z bolem, z krzyżem swym na ramionach, stanęła wobec werwen i róż, weszła pod baldachim dębów i lip, pod kaskadę gałęzi brzoź, ona, teraz aż drżąca cała od wicherów zimnych, co ją ku ziemi gięły.

I przyszła, i stanęła zdziwiona, widząc, że te brzozy, te dęby, te werwenty, te pola, jednako rozkwitły, rozpachły, rozwiały się przepychem i krasą nad jej żalobą, czy nad jej uśmiechem. Jednak na wiosnę roztuliły się pąki młode i wystrzeliły w niebo zielenie delikatne i czyste, jeduako trawa młoda pokłon słońcu nosła, jednako rozszumiał się dąb i zagwarzył chmurą zbudzonych ptaków.

Czy chodził po tych alejach czarny chałat, wrogi jaśni i zieleni, czy snuło się dziecko jasnowłose, dokola którego biegały motyle, czy szła ona z tragedją swoją i ojca w sercu -- to było jedno.

Rozszumiało się, rozpachło, rozświecało tak, że zdawało się, iż istota ludzka nie zdoła wchłonąć w siebie tego blasku i tej woni.

Ankę ogarnął bunt i żal.

Obojętna, głucha, samolubna, szła swą tryumfującą drogą Przyroda, nie dbając o nic, o to, że krwią ocieknięta dusza ludzka przed jej majestatem upada i o współczucie błaga.

I wtedy Anka zrozumiała wreszcie, że ci, którzy mówią, iż ukoić można ból ducha i smutek w litości Przyrody, kłamią.

Albowiem oni tylko przynoszą przed jej tron swój ból, lecz równocześnie i siłę swą wewnętrzną na ukojenie tego bólu.

A piękno przyrody jest pozorem, na którym opierają tę siłę wiecznie odnawiającego się nawet w swym bólu ducha.

Bo on jest najpotężniejszą i najdoskonalszą już cząstką, która do wyzwolenia i powrotu w jedność zmierza.

Duch ludzkil..

A jemu podległe duchy drzew, kwiecica, ziemi.

Podległe — i on sam.

I jego części.

Tak!

XXXI.

Telegram wezwał ją do miasta.

Wracała jak szalona.

Telegram był krótki:

Ojciec ciężko chory — przyjeżdżać.

J a n.

Prosto z dworca zajęła Anka do zakładu, gdzie był umieszczony jej ojciec.

Czyste, gładkie ściany kurytarzy. Cisza tak wielka, że aż dreszcz przejmuje. I gdy się tu wejdzie, jedna ciągnęła myśl. Dla czego tak cicho? Jak ją uzyskać można tu właśnie?

Przez okna kurytarzy widać zieleń drzew. Akacje anemiczne i smutne. Pod nimi snują się milczące postacie.

W oddali gwizdże kolej, czasem słyhać świergot wróbla.

Anka, prowadzona przez lekarza, idzie szybko po białym, płóciennym chodniku.

Zdaje się jej, że tu żyją wszyscy. Żyją, czują, chodzą, poruszają się, a przecież to już jakieś inne życie, jakaś wielka, odrębna moralna egzystencja...

Minęli ją posługacze. Twarze obojętne, skronie nabiegłe żyłami. Niektóre ręce wielkie, jak gałęzie drzew, odrąbane ku dołowi. Palce zagięte, jakby ciągle gotowe do podniesienia jakiegoś ciężaru. I bary silne, narosłe mięśniami.

— Pani ojciec coraz częściej dostaje napadów szału. Uznaliśmy za stosowne zawiadomić panią o tem — mówi lekarz.

— Czy i teraz?

— Nie, w tej chwili jest spokojniejszy. Ale to tylko ułuda. Wiem, że to powróci. Pan Stalewski mówił mi, iż pani w liście swym wyraziła życzenie, ażeby nie używać kaftana. Proszę pani! co my mamy począć?.. Nie nadużywamy, ale używać musimy.

Anka zatrzymała się na środku kurytarza.

— Czyż niema innego środka? — zapytała błagalnie.

— Jak do tej chwili—niema. To w interesie samych chorych. Powtarzam pani, że nie nadużywamy. Ojciec pani jest dotknięty ostrą formą manji politycznej. Forma ta zaostrza się ciągle. Zawody były zbyt silne. Szkoda człowieka. I nie pojmuję, że pani nie powstrzymała ojca na tej fatalnej drodze.

Szybko i jasno mówił ten doktor o dużych, wyrazistych oczach, które bystro z pod brwi na Ankę patrzyły.

— Bo niech pani pomyśli, ile sił społecznych marnuje się w politykowaniu płaskiem a daremnie, w pościgu za urzędami o marnej płacy a jałowej pracy... Jaka szkoda, że społeczeństwo nasze nie zwraca raczej myśli ku wyrobieniu tęgich sił — ludzi, którzy, gdziekolwiek ich losy rzucą i życie poniesie, wszędzie potrafią znaleźć grunt pod nogami i wszędzie zbudować swą przyszłość, przymnożyć pośrednio, czy bezpośrednio, dorobku krajowi! Co? prawda?..

Ogłuszył Ankę lawiną słów. Czuli, że miał rację. Lecz jej ból i cierpienia wypowiedziały to już dawno milczeniem swem tragicznem i rozpaczy pełnem.

— Ot... ojciec pani! — ciągnął dalej lekarz, wskazując na zamknięte szczelnie drzwi, przed którymi stali — ot, wytężał swą myśl w zaczarowanym kole politycznych targów i wyścigów. I zniszczył

nietylko swą harmonię, ale i harmonię pewnego odłamu społeczeństwa.

Anka oparła się o futrynę drzwi i patrzyła posępnie przed siebie.

Zdawało się jej, że nagle stanął przed nią jakiś prokurator i formuje cały akt oskarżenia. Nie dość było bólu i cierpienia odosobnionego. Teraz jeszcze występowało z prawami swemi społeczeństwo, nie to, które, kamieniami ciskając, wyło: „hamaj Kiciu!“, lecz to, dla którego dobra...

— Niech pani nie sądzi — mówi dalej lekarz — że ja jestem przeciwny polityce. Ona musi być. My musimy dojrzeć politycznie, ale tu właśnie u steru muszą być ludzie głębszych uczuć, rozumu przenikliwego, ludzie, pragnący dobra a rozmaicie patrzący na polityczne ukształtowanie się życia... Ja jestem przeciw kramarstwu u politycznemu, rozumie pani, przeciw kramarstwu...

Wybiłał to słowo i oczy jego przybrały wyraz surowy.

Ujął już za klamkę drzwi, ale się jeszcze ku Ance zwrócił.

— Gdyby ojciec pani pragnął utrwalić dzielność, a właściwie samodzielnosć swego charakteru, zanim się wziął do polityki, nie byłby doszedł do tych rezultatów. A teraz — służę pani.

Otworzył drzwi i postać „kramarza“ politycznego ukazała się w całym blasku.

.

Stał przy stoliku odziany szaro, za ledwo w koszulę i spodnie płócienne.

Tło ściany było szare, jak i kocyk, kryjący łóżko i mur, na który wychodziło zakratowane okno.

Anka stanęła na progu, jak martwa.

Byłże to jej ojciec?

Rysy ściągnięte dziwnie, oczy szklane, rozwichrzona broda, włosy długie w kosmykach, ręce drżące.

Był to jakiś starzec, który zdawał się przychodzić z bardzo daleka, starzec nieznanym, nieufnym i wichrami stargany.

Naokoło niego, na stoliku, na ziemi, leżały sinawe ćwiartki papieru, szare od gryzmołów, czasem przecięte jakimś gzygzakiem, jakąś linią.

Ujrawszy wchodzących, Zagrodzki czempredziej karteczki zgarnął i na środek pokoju postąpił.

— Wyz...na...nie wiary!.. — bełkotał z trudem — wyz...na...nie wiary!.. po...li...tyczne wyznanie...

I sennym, dziwnym gestem kartki te drobne rozrzucać przed siebie począł.

A był to senny gest, powolny, cichy gest, co wznosił starca dłoń...

Szarością tłało wkół, szarością smutnych dni.

A ponad szarość snu ta wyschła, starcza dłoń rozrzuca widmo-siew, rozrzuca widmo-ziarn.

A był to szary dzień... Przesmutny szary dzień!.

.

Z jękiem cichym Anka przywarła się do ściany, wtula się w swój ból.

To jej słowa, jej myśl. To teraz drażni ten biedny, chory mózg. Może zaznałby trochę spokoju. W obrazie, przez nią nasuniętym, jest ów mus, który go katuje. Anka przypomina sobie tę scenę w hotelu, gdy wykonała ręką ów gest rozrzucającego na wichry Siewca, a on go pochwycił, powtórzył.

Otworzyła oczy. Patrzy znów na ojca. Wyczerpany jest, znużony. Pot mu z czoła spływa.

Lecz ciągle, ciągle jeden gest... ten senny, smutny gest!..

— O! widzi pani, rozrzuca polityczne swe przekonania... — mówi doktor.

— Nie, paniel — odpowiada Anka — to dla niego symbol... Ten gest co innego znaczy.

Lekarz czuje się obrażony.

— Pani daruje... ja znam moich chorych. Rozpolitykowanie ogarnia go i teraz.

— Panie... on wniknął w swą duszę. On dobywa z niej widma tych przejawów, które miał w sobie i rozrzuca je na wicher, na pustkę, na nicość.

— Niech będzie... ale przyzna pani, że ten gest jest denerwujący. On sam się nim szalenie denerwuje. Musimy go unieruchomić. Wkładamy mu kaftan.

— Ależ on tym gestem nikomu nie szkodzi.

— Sobie przedewszystkiem.

— Lecz skoro założycie na niego kaftan, wtedy wpada w szal.

— Naturalnie. Jest jednak wtedy nieszkodliwy.

Anka ręce łamie.

— Więc po co! po co!

— Trudno, musimy zapobiegać.

— Czy mogę do niego podejść?

— Naprawdę. Nie pozna. Wszak pani widzi, iż patrzy na panią, jak obcy.

To zimne, krótkie słowo.

— Obcy!..

I patrzy na nią, jak obcy, ten smutny, szary starzec, który sieje przed siebie ciągle siwe ziarna swych myśli, przejawy i odruchy tego co w nim myślało i szło, zda się, wytkniętą drogą do celu.

.

Kurytarzem, po białej ścieżce chodnika, wlecze się Anka.

Idzie wolno, oddycha ciężko.

Lekarz pożegnał się z nią i wszedł do sąsiedniego pokoju. Smutna, zgnębiona, ciernie ma na ramionach, ciernie ma dokoła siebie.

Na nią, u końca kurytarza, czyhają dwie postacie, rosłe, silne, z rękami zagiętymi haczykowato, jakby do dźwigania ciężarów.

Stoją ci ludzie i patrzą obłeśnie w załzawione oczy dziewczyny. Czekają, łaszą się w nadziei dobrego napiwku, dbali jedynie o siebie, bez żadnego wniknięcia w majestat bólu, jaki mają przed sobą.

Anka, pogrążona w swej żalobie, przechodzi mimo. Otuliła się w skrzydła i nie widzi, że do nich dobiegają się chciwe ręce.

Przeszła.

Obłeśne uśmiechy znikły, zmieniły się we wrogie, fatalne spojrzenia.

Brutalność rozpasanych zwierząt zionęła ze złych twarzy.

— Widzisz ją... bez napiwka!..

— Niech ją zatłucze.

— Poczkał szelmo!

— Stary zapłaci.

— Grzbietem.

— O!.. słysz... wyjel..

Wprawne uszy posługaczy poza drzwiami rozróżniają każdy jęk, każdą skargę obłąkańców.

— Pewnie znów...

— Dam ja jemul! Rano robiłem porządek... Poczkał, stare próchno.

I kilka jeszcze słów cuchnących, na ludzką tragiczną nędzę rzuconych.

A potem ciężkie kroki szybkie ku pokojowi Zagrodzkiego.

Otwarcie drzwi, wtargnięcie gwałtowne, serya przekleństw, łomot, krzyk i cisza.

Wielka, szpitalna — cisza.

Anka w tej chwili wychodzi z gmachu i myśli:

— Jak oni uzyskują tę ciszę?.. jak oni uzyskują taką wielką ciszę *tu* właśnie?

XXXII.

Przejeżdżając koło gmachu Wystawy, Anka zauważa duży ruch.

Wnoszą paki, z tylnego wejścia drzwi szeroko otwarte, jakby na przyjęcie gości. Jacyś posłańcy niosą obraz, starannie osłonięty. Za nimi wlecze się kilku uliczników. Przed gmachem grupa wyrostków z „głowami bajecznymi“, o gwałtownie oryginalnym wyglądzie. Pomiędzy nimi malarka w czerwonym berecie na zbyt dużej głowie i dziecinnej zakopiańskiej guńce. Anka poznaje „młodych“, i to ich przybieranie póż, zapożyczone od „starych“, zagranicznych, działa na nią przykro. Stoją tak przed gmachem, pozując dla tłumu przycięciem szczeciny włosów, jaskrawą odzieżą, rozwiewając sztandar zewnętrzności.

— Dziś nasze święto!..

A dzieła ich zakryte szczelnie przed oczami tłumu.

Tylko ci, co pobrękną trochę centów, mieć będą dumne prawo ujrzeć, co ta młodość w duszy swej rozpała.

Dla całej reszty młodość swój płomień reprezentuje szopą włosów, beretem, krzykiem i grubiaństwem słów.

I Anka marzy o takiej „wystawie“ młodych, na którąby miał wstęp każdy, kto pragnąłby u źródła młodego piękna ożywić się i sił nabrać do dalszej egzystencji.

Byłoby to, jak owe święta jabłoni lub kwiecia, o wiosennych dniach kryształnych, w które wolno każdemu poić się pięknem rozkwitłego kwiecia i chłonać w siebie jego świeży czar.

I byłoby to rzeczywiście święto Młodych, święto piękna ich dusz... ich dzieł...

Ich święto!

Gdy Anka mija gmach, przypomina sobie, że i ona bierze udział w tem zamkniętem, zacieśnionem gronie wystawowem.

Ona — nie ona.

Jej dzieło — nie jej dzieło.

Wydobyła je swoją duszą z głębin nie swojej duszy.

Nie stworzyła, a przecież była twórcą.

Nazwisko jej, rzucone na płótno Stalewskiego w chwili odjazdu i starannie przez niego ukryte, teraz się ujawnia na szarem tle ścian i staje się własnością ogółu.

To, co było nicią, brylantami tkaną, ich dwojga, poszło pod zimne, stalowe światło dni codziennych.

Sądzą, komentują, rozbierają grudki farby, liczą centymetry...

A czy wnikają w głąb duszy?

W tych myślach pogrążona, dojechała Anka do willi Stalewskich.

Na razie nie miała innego schronienia.

Pusto było za kratami.

Pustka w oknach, na werandzie, w ogródku.

Jakieś zimno ścisnęło serce Anki.

Na jej dzwonek do kraty powoli wyszła służąca.

Prowadząc ją na górę, objaśniła, iż pani odwiozła dzieci „na lato“ do matki, a sama wróci lada chwila.

Pana niema w domu.

Dziś odnieśli obraz pana na Wystawę.

Anka o zachodzie słońca pozostała sama.

I dzieje się z nią coś dziwnego.

Była poza temi murami krótko, dni może parę, a przecież stały się dla niej jakieś obce, wystygłe, jakby pomiędzy nią, która tu żyła, a tą nią, która żyje, był cały rozdział, przełom jakiś...

I ta niepewność gruntu, coś jakby się z murów czaiło, jakby ze wszystkich kątów wyglądała ku niej katastrofa fatalna a nieunikniona...

Przedewszystkiem to zmieszanie, ten niepokój, który przywiał ku niej list Stalewskiego i który zdawał się tu szeptem w powietrzu rozchwyiany.

Upadła na łóżko i długo leżała jak martwa, bez słowa, bez myśli, bez czucia.

W ciemni już szarej, wieczornej, nagle zbudziło ją dotknięcie zgorączkowanej dłoni.

Ktoś ją ujmował za rękę.

— Anko! ty!.. ty!..

Wyczuła w tej chwili Stalewskiego.

To on był w istocie.

Wszedł cicho i teraz budził ją z odrętwienia.

— Wiesz... twój obraz, nie, n a s z obraz... już tam! już w sali!

Głos mu drżał. Anka poczuła w jego oddechu lekką woń wina.

I ten drobny fakt przejął ją bolem i lękiem.

Dlaczego? Czy stając się „młodym“ dziełem swoim musiał i on?..

Usunęła się, lecz on ręk jej nie puszczał.

— Krążyłem dokoła gmachu — mówił — nie miałem odwagi wejść. Oni tam stali wszyscy zuchwali, pewni siebie. Gdym spotkał ich wzrok, uciekłem. Zdawali się mówić: „Zasie, stary niedołęgol.. czego tu chcesz, trupie?.. Tu my, tu nasze królestwo! Panowanie siły świeżej, skrzydeł młodych!..“. Tak oni zdawali się mówić.. Nie wiedzieli.. nie wiedzieli.. że właśnie i ja... i moja siła świeża jest pomiędzy nimi. Ha! ha! pomiędzy nimi!..

Tryumfem brzmiał mu głos. Anka czuła, jak płonął cały w dziwnym podnieceniu. Mimowoli i ją ten dreszcz przejmować zaczął.

— Mów mi pan o Dziele, mów mi pan o tem, co stworzyłeś... nie mów o nich.

— Tak... Dzieło, moje Dzieło... nie wiem... nie wiem. Całe w duszy, w liniach... Oni staną zdziwieni. Będą wyć... bo oni „wyją“, gdy się dziwią. Co?.. Tak się mówi po młodemu. Plunąłem im w oczy. Teraz we mnie pustka. Wydałem ze siebie wszystko lepsze i oni muszą wyć.

— Ciągłe pan mówisz o nich, zapomnij! powiedz mi lepiej, czy doznajesz szczęścia na myśl, żeś mógł się wreszcie w y p o w i e d z i e ć tak, jak pragnąłeś.

Chwilę nie było odpowiedzi.

Stalewski puścił ręce Anki i stał milcząc, w ciemności niemal zupelnej.

— Tak... jestem szczęśliwy... — wyrzekł wreszcie, lecz nuta przekonania nie dźwięczała istotnie w jego głosie.

Na dole zazgrzytała dorożka, szmer kroków w willi, dzwonek u furtki i cichy okrzyk pokojowej.

— A... Wielmożna Pani!..

I szelest sukni, śmiech nieszczerzy Stalewskiej, zdejmowanie pakunków, przywitanie, rozkazy, ten cały aparat zbyt szybkiego powrotu do domu osoby, władzę dzierżącą.

Stalewski ku drzwiom się skierował.

— Coś musiało się stać... coś musiało się stać... — mówił pośpiesznie, drzwi zamykając.

Za chwilę słyhać było, jak na progu willi witał żonę.

— Cóż się stało?

Lecz ona przerwała mu z obłudnym uśmiechem.

— Stęskniłam się... po cóż miałam dłużej siedzieć?..

Reszta słów zginęła.

Weszli do willi.

W godzinę później, przy stole, nakrytym huculskim obrusem, siedzieli we troje przy herbacie.

Na środku stołu pod lampą nie konał żaden kwiat.

Story były spuszczone, bo Stalewska nie miała ochoty produkować pośpiesznej zastawy stołu oczom przechodniów.

W świetle lampy wszyscy troje przedstawili swoje piętna dni ubiegłych, piętna zniszczenia, które przeszło przez ich twarze, jakby ogień stłumiony.

Stalewski przedewszystkiem zdawał się być spalony na węgiel.

Na wychudłe policzki wystąpiły plamy, oczy szafrowe nabrały dziwnego blasku.

Widocznie wysiłek straszny, jakim wydobywał ze siebie zastygłe potęgi twórcze prawdziwego Piękną, wprowadził go w stan straszego wyczerpania, które jeszcze nie popadło w reakcję. Upił się młodością i był jeszcze ciągle pijany, a teraz biło z niego to sztuczne podniecenie luną niezdrovia i niepokoju.

Uporeczywie patrzył w Ankę. Jej twarz miała delikatną błądź istot, którym brakuje tchu od wewnętrznego łkania, którem jęczy ich dusza. Piękniejszą była jeszcze, niż dawniej, bo cierpienie nadało jej rysom linie twarzy aniołów, strzegących wejść do opuszczonych grobowców. Siedziała milcząca, z powiekami, opadłemi na źrenice. Czuła dziwny ciężar, krążący ponad głowami. Nie miała już dość siły, aby odosobnić się i nie brać udziału w tym ciężarze.

Lecz ze wszystkich, najwięcej zewnętrznych zmian, ujawniało się w Stalewskiej.

Postępowanie Jana w ostatnich dniach, jego zupełne usunięcie jej od swych prac, wyłamania się z jarzma, ten bunt, który chwiał ich sztucznie lepioną egzystencją, były dla tej kobiety katastrofą straszną, równającą się największemu życiowemu nieszczęściu.

Stalewski odrzucił kilka portretów i dziś zostali zaskoczeni prawie niemożnością spłacenia raty za willę, po raz pierwszy od chwili, gdy egzystencja ich weszła na unormowane tory.

Dla tego to Stalewska przyśpieszyła powrót ze wsi, aby móżdż stanowczo wpłynąć na męża i zmusić go niejako do wejścia w jarzmo. Wrzała cała z gniewu. Złość ta strawiła jej problematyczną urodę. Ciągle zdawała się coś przeżuwać, jakiś potok słów i myśli. Poczerniała prawie, zwiędła, pomimo podkładu pudru. Miała wygląd wołyżerki, której koń, wybornie wytresowany, nagle odmówił posłuszeństwa; szpicruty użyć nie dozwala przyzwoitość, lecz pozostaje ukryta... ostroga.

Krwi pod czaprakiem nie dojrzy nikt.

Tymczasem — wszyscy troje milczą.

Lecz to milczenie ciąży ołowiem. Wszyscy czują, iż przerwać się musi, bo jest nie do zniesienia.

I rozlega się grzechoczący głos Stalewskiej:

— Cóż z wystawą młodych?

Nie odpowiada nikt.

Ona przecież patrzy wprost na Ankę.

— Cóż?.. czy bierze pani w niej udział?..

Anka zapomina o układzie, mocą którego obraz Jana uchodzi za jej obraz.

— Nie... nie... — odpowiada — nie dałam nic.

Lecz Jan przerywa sztucznym śmiechem.

— Jakto nic? co pani mówi? Czy D z i e ł o liczy pani za nic?

— Dzieło?

— No... obraz, który pani dziś posłała?

— Al.. takl..

Szkarłatny rumieniec pokrywa twarz Anki. Czuje, iż Stalewska wpiła się w nią oczami.

— Więc pani posłała obraz i zapomniała? — śmieje się żona malarza.

— Panna Anka ma wiele innych zmartwień, nic dziwnego! — tłumaczy z jakąś układnością Jan.

— Tak... tak... ojciec paui!.. ale zawsze...

Zwraca się do męża.

— No, a cóż wy, s t a r z y?.. Zapewne odpowiecie tym młokosom. Właśnie nadarza się sposobność. Całą drogę na kolei myślałam nad tem, że należy urządzić wspaniałą okrężną wystawę waszych dzieł z odpowiednią nazwą. Będzie to wyborną odpowiedzią, a zara-

zem zniszczycie wrażenie, które oni mogą uczynić... Przyjdziecie bowiem po nich... A potem, cóż te błazny mogą wyprodukować?..

Zmrużonymi oczami patrzyła na Ankę, mszcząc się kilkoma słowami za te całe tygodnie niepokoju, w którym teraz żyła.

— Nowatorzy... bazgraczeli.. kajeciki małego Munia!.. smarkaczeli.. Tabliczki im szyfrowe, a nie płótno. Chustki do nosa dla otarcia nosków, a nie obrazy...

Śmiała się, pokazując kły, jak mops, wprowadzony w złośliwe usposobienie.

— Pędzła to w rękę utrzymać nie umie takie coś... a zdaje mi się, iż może już wystawę wypełniać... A do szkoły! a do szkoły!..

Zwróciła się znów do męża.

— Spodziewam się, żeś żadnej swojej uczennicy nie pozwolił wziąć udziału w tem błazeństwie? — spytała.

— Nie — odparł Jan — żadna z nich nie posłała.

— Wiedziałam. To są dobrze wychowane i rozumne dziewczęta.

Lecz Stalewski szybko jej przeciął:

— Nie, bo żadna z nich nie mogła wziąć udziału. Na to trzeba być artystą, a to są właśnie kajeciki Munia, o których przed chwilą mówiłaś.

— Przepraszam! Kajeciki Munia, to są rozmaite syntezy... Ja wiem, co mówię.

Lecz nagle uderzenie pięścią w stół przerwało jej słowa.

— Dość o tem! — krzyknął Stalewski — zebraliśmy się tu nie po to, aby dać upust jadowi i złości.

Stalewska pobladła. Po raz pierwszy usłyszała ten ton ze strony męża. Oczy jej biegać zaczęły. Chwilkę zdawało się, że oniemiała ze zdumienia i złości.

Wreszcie zwróciła się ku Ance.

— Dziękuję pani!.. — wyrzekła, wykrzywiając usta.

Anka zrozumiała wybornie znaczenie tego podziękowania.

Stalewski powstał od stołu.

— Sobie podziękuj!.. wpadłaś tu, jak furja. Co ciebie obchodzi wystawa młodych! Zostaw ich z Bogiem. Każdy może żyć pod słońcem.

Stalewska także zerwała się z miejsca.

— Cóż za ewangeliczna słodycz! — zaśmiała się, odstawiając nerwowo krzesła — szkoda tylko, że i oni nie uprawiają tej cnoty. Zdaje mi się, że „Pajac“, to chyba nie gałązka oliwna, którą w twoją stronę posłali.

Stalewski uczynił ruch gwałtowny, lecz teraz ona nie pozwoliła mu nic powiedzieć, nagle przejęta siłą rozpiętanej złości.

— Tak... tak... Pajac!.. stary Pajac!.. Tak ci plunęli w oczy przyjaciele panny Anki! I będziesz nim, i zostaniesz nim w oczach ogółu, bo nie chcesz nic zrobić, aby zatrzeć wrażenie, wywołane ich słowami! Dobrze ci tak! Dobrze ci tak... Dawałam ci sposobność taką wystawą uderzyć ich po łbach, ale ty pozujesz teraz na ewangeliczną słodycz!.. ty wolisz patrzeć, jak się w gruzy wali wszystko, i twoja przeszłość, i moja, i dzieci przeszłość!..

Stalewski wyciągnął rękę, jakby chciał w gardło jej wtłoczyć ten potok słów, lecz ona dalej zionęła skrzykiem i jadem.

— Pan nie ma czasu pracować... pan odrzuca portrety... pan gardzi zarobkiem, bo maluje arcydzieła przy drzwiach zamkniętych, chowa się z nimi, kryje przed własną żoną. Tak!.. tak!.. ale przyjacielkom je pokazuje... przyjacielkom!.. egerjom!..

Stalewski zawahał się, jakby chciał z ust rzucić jakąś straszną obelgę w stronę żony i nagle rzucił się ku drzwiom pracowni. Otworzył je, wpadł do wnętrza i zatrzasnął drzwi za sobą.

Słychać było łoskot, ruchy przekręcanego klucza.

W jadalni obie kobiety pozostały same.

Anka siedziała ciągle ze spuszczonei oczami. Ogarniał ją straszny wstyd; za to, że i ona bierze udział w tej brzydkiej, popolitej scenie. Aż dławilo ją od wzruszenia, które przepelniało jej serce. Miała ochotę rzucić się ku Stalewskiej, porwać ją za rękę, zacząć całować, błagać, aby przestała, aby nie sprowadzała tych smutnych wstrętów w jej życie.

Lecz tamta, bezlitosna, była w swem rozdrażnieniu.

Czuła się w „prawie“ i wiedziała, że każdy p r z e c i ę t n y u c z c i w y c z ł o w i e k jej rację przyzna i żalowi jej tamy kłaść nie będzie.

Czuła za sobą cały legion tych, którzy ją podpierali niejako duchowo zsolidaryzowani wspólnością interesów.

Niewysłowioną pogardą obrzuciła Ankę.

— Bratnie duszel.. — syknęła, wybiegając do sypialni.

Anka pozostała sama.

Po dwóch stronach miała teraz zamknięte drzwi, poza które oboje Stalewscy unieśli swój gniew i rozżalenie.

Ta jasno oświetlona jadalnia, migocąca od sreber i kwitnąca ja-skrawością talerzów, porozwieszanych na ścianach, wydała się teraz Ance przepaścią, która rozdzielała tych dwoje nieprzebytą głębią.

A na dnie tej przepaści, dreszczem przejęta, strwożona i zbola-ła była... ona!

(D. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.

Ze stosunków wileńskich w okresie 1816—1823.

Ruch społeczny i naukowy wśród młodzieży wileńskiej, w drugim i trzecim dziesiątku lat zeszłego wieku, nie został do dziś dnia wystarczająco zbadany.

Na pozór wydawać by się mogło, że jest inaczej, liczne pamiętniki z tej epoki, listy a nawet dokumenty urzędowe, sporo zawierają materiału faktycznego, wyświetlającego niejedną kwestyę.

Brak nam atoli dotychczas informacji wiarogodnych, źródeł nie zamęczonych sądem stronnictwem lub niedość ścisłym. Główna uwaga opisujących ówczesną epokę skupia się na ostatnim akcie, „chmurnie“ zamykającym okres stowarzyszeń młodzieży litewskiej w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Brak nam również świadectw ze strony najpowołanszej, ze strony uczestników i głównych działaczy w tych stowarzyszeniach z przed lat 1823—24.

Część największa owych dowodów zginęła dla nas niepowrotnie, zniszczona ręką samych twórców, część pozostała niedokładne zaledwie pojęcie daje o pracach stowarzyszonych. Do ujawnionych przedtem przyczynków pragniemy dorzucić niektóre uzupełnienia na podstawie dokumentów. Wyjaśnił może one choć niektóre szczegóły z życia „górnego“ tego środowiska, w którym żył, obracał się i skąd czerpał natchnienie największy wieszcz nasz—Mickiewicz.

Myśli przewodnie i cele związków młodzieży wileńskiej zaczerpnięte zostały niewątpliwie z Niemiec, będących ówczesnie w okresie tworzenia wielkiej poezji romantycznej, w tej powtórną „Sturm und Drang-Periode“ życia umysłowego i politycznego. W jakim stopniu i o ile wpływały stowarzyszenia niemieckie na utworzenie związków wileńskich, trudno orzec. Duchowe jednak oddziaływanie istniało nie wątpliwie. Silny pierwiastek narodowy, etykę obyczajową, zapal

do nauki, odnajdujemy zarówno w płomiennych poezjach Teodora Körnera, pismach Ernesta Arndta, jak i w młodzieńczych odach Mickiewicza.

Utwory niemieckich liryków, z okresu „wojny o niepodległość“ znane były niewątpliwie młodzieńcom wileńskim. Zasady Fichtego o unarodowieniu wychowania przedostawały się na Litwę wraz z burszowską pieśnią Karola Sanda, przetłómaczoną poetycko przez Mickiewicza. Powstałe z dawnego „Tugendbundu“ burszenszafty zaszczytną odegrały rolę w dziejach duchowego i politycznego odrodzenia Niemiec, przeobraziły całą niemal młodzież ówczesną, powoływały ją drogą cnoty i obowiązku pod wzniosłym hasłem: „Tugend, Wissenschaft, Vaterland!“ i godnie usprawiedliwiły słynną maksymę wybitnego męża stanu pruskiego, Steina: „Durch Leitung der Literatur und der Erziehung dahin zu wirken, dass die öffentliche Meinung rein und Kräftig erhalten werde“. Czyste jak kryształ w samej zasadzie, choć później mocno spaczony w zastosowaniu, hasła twórców związków niemieckich: szlachetnego a przyjaznego nam Wilhelma Snella, Hoffmanna, Arndta, Fichtego i w. in., znalazły oddźwięk u filomatów i filaretów. Nawet organizacja stowarzyszeń wileńskich zbliżoną była, choć bez porównania węższą, do burszenszaftów¹⁾. Dążąc atoli do pokrewnych celów, młodzież wileńska umiała nadać swym związkom charakter odmienny, nawskroś swojski i zastosowany do warunków miejscowych.

Nie wdając się tutaj w szczegółowe roztrząsanie dziejów towarzystw młodzieży wileńskiej, narazie pragnęlibyśmy z wydobytych przez nas materyałów przedstawić niektóre celniejsze momenty, rzucające pożądane światło na pewne strony zasadnicze ówczesnych stosunków młodzieży wileńskiej.

Dokumentem wagi pierwszorzędnej jest w tym względzie zeznanie Józefa Jezowskiego, prezesa towarzystwa filomatycznego, złożone przed wileńską Komisją śledczą d. 19 kwietnia (1 maja) 1824 r.

¹⁾ Por. A. Lehmann: Der Tugendbund. Berlin, 1867. Meinecke: Die deutschen Gesellschaften u. der Hoffmann'sche Bund. Stuttgart, 1891. Keil: Die Gründung der deutschen Burschenschaft in Jena. Jena, 1865 — i in. Pisma T. Körnera, E. Arndta („Von Bildung deutscher Gesellschaften als dem vorzüglichsten Mittel, Liebe zum Vaterlande und alle ans dieser Liebe entspringenden Tugenden, in allen deutschen Männern u. Frauen, Jünglingen und Jungfrauen, Knaben u. Mägdelein zu fördern, zu stärken u. in Kindlicher Reinheit auf die spätesten Zeiten zu vererben. Zum Besten der Waisen deutscher Landwehrmänner. Deutschland, 1814“ i in.) i w. in.

„Cele zatrudnienia towarzystwa filomatów — tak brzmiało dosłownie obszernie i nader szczegółowe zeznanie Jeżowskiego — nie były od początku aż do końca zupełnie jednostajne. Abym mógł w tej mierze dostatecznie się wytłómaczyć, przebiegnę historycznie egzystencję filomatów, która to historia jaśniej da poznać naturę tego towarzystwa, niżeliby dać mogło szczegółowe opisywanie organizacji, porządków i trudnych do pamiętania drobnostek. Jeszcze w r. 1816, ja, Adam Mickiewicz, Tomasz Zan i Onufry Pietraszkiewicz obcując ze sobą bliżej, rozprawiając o naukach, o autorach, o książkach, składaliśmy dość ścisłą między sobą kompanię, czyli towarzystwo. Obcowanie to tak było przyjemne, tak szybko czas nam zabierało, że częstokroć zapominaliśmy o różnych przykrościach, mianowicie z niedostatku pochodzących. Przypominam, że nieraz żartobliwie mówiliśmy sobie, że składamy towarzystwo przeciw troskom, towarzystwo rozpędzające troski. Żeby jednak ta nasza konwersacya nie była przyjemnem tylko próżnowaniem, rzucana była różnemi czasy myśl, aby przepisać jakikolwiek porządek, aby przyjąć postać rzetelnego towarzystwa. Razu jednego Tomasz Zan i Adam Mickiewicz przychodzą do mnie i przynoszą projekt do ustawek, oświadczając oraz, że chcą, abym był prezydentem. Nie odmówiłem im tego, przejrzałem ustawki, a że ułożone były w tonie lekkim i bardziej do zabawy, niż do nauki i pożytku prowadziły, starałem się nadać im więcej powagi i mocniej zobowiązać niemi do pracy. Zgodziliśmy się na to, aby przyjąć tytuł towarzystwa filomatycznego, aby każdy w przeciągu miesiąca wypracował jedno piśmko własne i jedną recenzję pisma cudzego, aby posiedzenia odbywały się co tydzień dla czytania pism wygotowanych, aby wartość pisma oznaczać większością głosów czyli wotów. Nastąpiło to z końcem roku 1817¹⁾. Należy zwrócić uwagę na znaczenie tego nowego szczegółu chronologicznego, dotychczasowe bowiem badania kładą rok 1817 za datę powstania towarzystwa filomackiego, opierając się głównie na świadectwie filomaty Kazimierza Piaseckiego, którego opowiadania spisał jego siostrzeniec, Ignacy Zdanowicz w swym „Pamiętniku o filomatach i filaretach“¹⁾. Zarówno Nowosilcow w urzędowym raporcie do W. Ks. Konstantego, jak i inni potwierdzają tę datę. Z powyższego zeznania Jeżowskiego widzimy, iż pierwsza myśl powstała o rok wcześniej, w 1816. Jestto szczegół interesujący i z tego względu, iż zbliża chronologicznie inicjatywę wileńską z zaznaczonymi wpływami niemieckimi, wybujałymi głównie w 1813—14 r. W r. 1816 zawiązuje

1) „Biblioteka ludowa polska“, Paryż, 1860, t. LX.

się również „na wzór Tugendbuudu“ tajne towarzystwo wśród oficerów siemionowskiego pułku w Petersburgu. Do towarzystwa tego przyjmowano ludzi „zalet duchowych, o surowej moralności“ a głównem zadaniem jego było „usunięcie cudzoziemców od udziału w rządzie i uwolnienie włościan od pańszczyzny“¹⁾.

„Przyjęliśmy następnie osoby — ciągnie dalej Jeżowski:—Franciszka Malewskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Czczota, Józefa Kowalewskiego, Jana Sobolewskiego, Ignacego Domeykę, Wincentego Budrewicza. Zatrudnienia nasze z początku szły ochoczo, regularnie i stosownie do przepisów, niedługo wszakże ten porządek potrwał. Pokazało się naprzód, że pisma w przedmiocie fizyki i matematyki nie interesowały członków oddających się innym naukom i nawzajem. Ta niedogodność dała powód do podzielenia towarzystwa na dwa wydziały: fizyczno-matematyczny i literacki. Oba odbywały posiedzenia oddzielnie i oba dostały osobnych naczelników; w jednym był naprzód Pietraszkiwicz potem Zan, w drugim naprzód Mickiewicz, potem Malewski. Tym sposobem z natury rzeczy wynikło, aby prezydent i naczelnicy wydziałów składali dyrekcję towarzystwa, czyli rząd jego. Przeznaczeniem tego rządu było: ułatwiać wszelkimi sposobami zatrudnienia naukowe członków i zobowiązywać ich przykładem własnym i dozorem do dobrego postępowania. Lecz jeżeli podział towarzystwa na dwa wydziały z jednej strony dobre, tedy z drugiej szkodliwe pociągnął skutki. Przez ten podział albowiem w jednym i drugim wydziale pokazała się liczba bardzo szczupła, a ztąd większy ciężar dla każdego członka, stało się więc, że posiedzenia niegdyś tygodniowe, odbywane były ledwo co 2 tygodnie, potem we trzy, a potem i na dłuższy jeszcze czas zawieszane były. Również pisma, które według ustaw co miesiąc powinny były być od każdego podawane, we dwa i we trzy nie były gotowe. Dodajmy, że nowość towarzystwa przestała być nowością, a przytem pomnażały się każdego z członków zatrudnienia prywatne, bądź z lekcyi akademickich, bądź z obowiązków pochodzące. To wszakże było jeszcze bodźcem do ciągnięcia jakkolwiek zatrudnień, że oba wydziały we trzy miesiące powinny były zdawać sprawę ze swoich czynności przed prezydentem, na wspólnem obu wydziałów posiedzeniu. Osłabienie towarzystwa widocznem się pokazało mianowicie z początkiem roku 1819. Lecz jeżeli ustawały zatrudnienia naukowe filomatów i niknęła postać towarzystwa, jako towarzystwa, nie ustawała przyjaźń i obcowanie ze sobą członków. Owszem, pierwsza połowa 1819 r., od stycznia do

1) Pt. „Russkaja Starina“, 1904, I, 481 — 515.

lipca, stanowi okres rozwijających się wielkich życzeń, chęci i projektów towarzystwa filomatycznego. W tym okresie prezydent i naczelnicy usiłowali poprawić i rozszerzyć ustawy i do nauki, dawniejszego celu towarzystwa, dołączyli wyraz: „dobro kraju“, nie wchodząc bynajmniej ani określając na czem by to dobro zależeć miało. W tymże okresie toczyły się rozprawy na przechadzkach, na wieczorach i w całym ze sobą pożyciu, mianowicie prezydenta i naczelników o różnych projektach, jako nadmienilem. Aby zaś zeznanie moje nie zostało żadnej wątpliwości, sądzę, że winienem objaśnić, jakie to mogły być nasze wielkie życzenia, chęci i projekta. Obdarzeni od natury ochotą do nauk, lecz przechodząc przez ręce niesposobnych lub niedość troskliwych nauczycieli, czuliśmy bardzo mocno i żywo skutki tego losu; doświadczyliśmy, jak wiele czasu drogiego młodości nadaremnie tyrać się zwykło, jak przez brak książek i innych pomocy naukowych, przez niedostateczny plan w nabywaniu nauk, nietylko należyty nie odnosi się pożytek, ale nawet częstokroć nabywają się fałszywe o różnych rzeczach wyobrażenia, które z czasem prostować lub zapominać potrzeba. Postrzegaliśmy z żalem, że podobnego losu i inni z młodzieży doświadczali; widzieliśmy niekiedy, że zbawienne dobroczynnego Rządu dla dobra instrukcyi krajowej zakłady nie dosyć dopinają swego celu, równie, jak zaufanie rodziców bądź w prywatnych nauczycielach, bądź w publicznych, często zawodzone bywa. Przejęci więc równie wdzięcznością dla Rządu, jak życzliwością dla rówieśników i wszystkich krajowców, tworzyliśmy zamiary zapobiegania wadom, słabościom, lub jakimkolwiek niedostatecznościom instrukcyi krajowej. A że dobroć wychowania naukowego zależy po wielkiej części od dobroci książek i nauczycieli, zamiarem więc było naszym w obu tych względach czynić zadosyć, w miarę możności naszej, potrzebom krajowym. Zaczęliśmy byli obeznawać się z lepszymi książkami elementarnymi w różnych językach, aby one z czasem albo tłómaczyć, albo stosownie do potrzeb szkół krajowych przerabiać. Lecz i najlepsza książka bez dobrego nauczyciela nie wiele pomoże, stąd było staraniem naszym sposobić się na nauczycieli, poznawać ważność tego powołania, obudzać do niego ochotę i zamiłowanie i przekonywać się nawzajem, że nauczyciel nie dlatego jest nauczycielem, aby miał z tego placu sposób do życia, lecz, że ma staraniem swemu poruczoną pierwszą i najważniejszą część życia ludzkiego, że od pierwotnego wychowania człowieka los jego dalszy, jego cnoty lub wady, jego użyteczność dla drugich lub szkodliwość po największej części zależą. Te były w nas myśli panujące pod względem instrukcyi krajowej. Lecz nie dosyć na tem. Wychowani w ubóstwie lub ścisłej oszczędności, doświadczając ciągle niedostatku, ucząc się potrzeby życia zaspaka-

jać ekonomicznie, musieliśmy czuć w całej mocy zbytki krajowe. Bolało to nas, że mnóstwo pieniędzy wychodzi za granicę na towary obce, gdy tymczasem własna ziemia bogata jest w produkta przyrodzone, mogące niemal wszystkie, a przynajmniej główne, zaspakajać potrzeby mieszkańców, byleby chcieli i umieli korzystać z darów przyrodzenia, przerabiać płody surowe, podnosić przemysł, zakładać fabryki, rzemiosła, rękodzieła i t. d. Było więc zamiarem naszym to samo przekonanie wlewać w młodzież, mianowicie majątniejszą i zachęcać ją do wspierania z czasem przemysłu krajowego, a zdatniejszych z młodzieży uboższej zachęcać, aby się sposobili na technologów, mechaników, agronomów i t. d. Nadto, obdarzeni sercem czułem, napojeni od dzieciństwa zasadami czystej moralności i religii, doświadczając wreszcie sami nieszczęść, nauczyliśmy się czuć mocno nędzę bliźniego, mianowicie włościan pobliskich prowincyi. Z przykrością przychodziło patrzeć nieraz na właścicieli, obchodzących się ze swojemi włościanami, jak z bydłętami, lubo takie postępowanie, nietylko przeciwne jest moralności i religii, ale idzie wbrew ojcowskiemu Rządowi zaleceniom w tej mierze i przepisom. Było więc także życzeniem naszym obudzać w dzieciach rodziców majątniejszych uczucie ludzkości i skłaniać, aby zostawszy z czasem właścicielami, nie uciemiężali włościan swoich, udzielali im pomocy i podnosili rolnictwo. Ale zdaje się, że sam Bóg karze niekiedy właścicieli, dając im tę ślepotę, przez którą nie postrzegają, że niszcząc włościan sami sobie ruinę przyspieszają, że wydatkując więcej nad intratę, przywołują się o bankructwo. Ztąd otwiera się szerokie pole do pieniactwa, pozostaje niemal powszechne w niem zamiłowanie i wyszukiwane bywają wybiegi od sprawiedliwości i prawa. Zamiarem więc jeszcze było naszym obudzać wczesnie sumienie w młodych, ugruntować uczucia cnoty i sprawiedliwości, aby, gdy z czasem zostaną urzędnikami, sędziami, adwokatami, nie pomnażali złego, lecz starali się pomniejszać. Wszystkie zaś nasze życzenia, chęci i myśli mieliśmy nietylko bezpośrednio udzielać osobom najbliższym, lecz oraz upowszechniać własnym pismem peryodycznym, które także do naszych projektów należało. Tym sposobem tedy mieliśmy pracować dla dobra kraju, czyli dla dobra ojczyzny. Ostrzedz tu jednak muszę, że jeżeli był nam niekiedy w myśli i ustach wyraz ojczyzna, tedy jednak nie przywiązywaliśmy do niego takiego znaczenia, jakie mu nadawać zwykli zapaleńcy lub półgłówki. Ojczyzna w przekonaniu naszym niczem innym nie była, jak ziemią, na której kto się urodził, uważana łącznie z jego rodzeństwem, przyjaciółmi, językiem, prawami, obyczajami, gospodarstwem szczególnem i powszechnem, przemysłem, handlem i t. d. Kto w którymkolwiek z tych względów usłużnym jest

dla większej lub mniejszej liczby krajowców lub dla całego kraju, ten usłużnym jest dla Ojczyzny, przykłada się do szczęścia Ojczyzny. Wyrażenie więc w zapytaniu prześwietnej Komisji: „myśli o szczęściu zgasłej już ojczyzny“ nie może stosować się do sposobu myślenia towarzystwa filomatów, chyba może do jakiego w niem indywiduum. Opisane zaś życzenia, chęci, zamiary panowały mianowicie, jak wyżej powiedziałem od stycznia 1819 do lipca tegoż roku. W tym czasie nastąpił rozjazd wszystkich członków, a od miesiąca października Mickiewicz wyjechał do Kowna na nauczyciela, a Malewski zajął się całkiem sposobieniem się do stopnia magistra i egzaminami. Z początkiem zaś r. 1820 podobnie przedsięwzięli zatrudnienia Zan, Łoziński, Sobolewski, Budrewicz i Domeyko, ja zaś zacząłem coraz bardziej zapadać na zdrowiu. I w tym stanie osłabienia, albo raczej zupełnego rozwiązania się, pozostało towarzystwo do końca roku szkolnego, czyli do miesiąca lipca. Tu zuowu nastąpił innych rozjazd, a moja silniejsza choroba. Z końcem września wyjechałem na wieś, a gdy powróciłem na czas krótki ostatnich dni grudnia nie znalazłem już wcale towarzystwa imienia filomatów, albowiem świeżo powstałi Promieniści i Filareci pochłonęli w siebie resztki mojego towarzystwa. Taka jest historia filomatów, którą przekonany jestem, iż prześwietna komisja przyjmie za rzetelną i jej zawierzy. Zdaje mi się, że w niej zawarłem wszystko cokolwiek było potrzebnem do dania poznać natury towarzystwa filomatów. Lecz ponieważ dla porządku i związku myśli lub dla jasności tłómaczenia się, niektóre punkta znajdujące się jeszcze w zapytaniu, zdało mi się opuścić, przeto opuszczenie to teraz dopełnię. Pisma czytane były na posiedzeniach w przedmiotach różnych nauk, w jednym wydziale były pisma zwyczajnie matematyczno-fizyczne, w drugim w przedmiotach literatury. Ponieważ ja byłem ciągle prezydentem, a dla tego jednak nie byłem wolny od obowiązków każdego członka i nadto przykładem własnym zachęcać powinienem był do pracy, przeto pisałem podobno najwięcej, a pisma moje główniejsze były następnej treści: a) o dziełach Sofoklesa, b) śmierć Achillesa, przekład z greckiego, c) o trubadurach, czyli śpiewakach w wiekach średnich, w południowej Francyi, d) o potrzebie doskonalenia w równym stopniu rozumu i serca, e) o potrzebie pewnego porządku planu w nabywaniu nauk, f) o logice, z pisarza angielskiego Stewarta ¹⁾, g) recenzja tłómaczenia Herodota przez Kowalewskiego i tłómaczenia Plutarcha przez tegoż, wreszcie nie

¹⁾ Dugalda Stewarta (1753 — 1828): „Elements of the philosophy of the human mind“, lub: „Outlines of moral philosophy“.

pamiętam. Mowy właściwe nie miały miejsca, jako mniej potrzebne w gronie niewielu osób, dobrze się rozumiejących i ściśle przyjaźnią połączonych. A jeżeli kto mówił kiedy, bądź prywatnie, bądź na posiedzeniu, bądź ustnie, bądź na piśmie, mianowicie w czasach skąbnienia towarzystwa, tedy przedmiotem takich mów było tylko zachęcanie do wytrwałości w pracy i przedsięwzięciach. W tym guście mówiłem ja z parę razy, czy zaś inni mówili, nie pamiętam. Rozumiem, że ta historia towarzystwa naszego zdolna jest przeświadczać, żeśmy nie występowali z granic przyzwoitości, biorąc to słowo w sensie moralnym. A jeżeli mieliśmy chęci lub zamiary wyższe nad siły, albo wiek nasz, jeżeli było wiele myśli a mało rzeczy, wielkie projekta a żadne skutki: tedy, czy to nazwiemy próżnością, czy nierozwagą, zawsze należeć to będzie do błędów rozbujającej imaginacyi, nie zaś do wykroczeń, jakich zabrania przyzwoitość i uczciwość moralnego człowieka. Owszem, jeżeli przez towarzystwo nasze nikomu nie staliśmy się użytecznymi, tedy byliśmy dla siebie samych, zachęcając się nawzajem do pracy, do nauki, do dobrych obyczajów i postępów. I to tylko uważać można za skutki towarzystwa naszego, o których takż w zapytaniu jest wzmianka“.

Zeznanie Jeżowskiego należy oczywiście brać *cum grano salis*. Opowiada on o towarzystwie, nie zapominając wszakże w jakim czyni to celu. Dlatego brak tu pewnych informacji, w szczególności zaś o roli filomatów podczas istnienia towarzystwa filareckiego ¹⁾.

Znamiennym rysem w słowach Jeżowskiego jest uderzający i nad wiek rozważny sposób, w jaki odwołuje się do pierwotnych intencji cesarza Aleksandra I, ujawnionych dobitnie w mowie tronowej warszawskiej 1818 r., również szczegół o włościanach niezawodnie wyraźnym jest echem, jakie w szerokich kołach wywołała uchwała sejmikowa obywateli gubernii wileńskiej 1818 r. o uwolnieniu włościan. Na obradach sejmikowych bywali w charakterze słuchaczy studenci uniwersytetu. Raz zdarzył się nawet następujący wypadek, który wielkie sprawił na wszystkich wrażenie:

„Gdy wniesiona została d. 22 grudnia materya o zniesieniu poddaństwa włościan— pisze rektor Malewski do ks. Adama Czartory-

¹⁾ Głos Jeżowskiego znajduje uzupełnienie w zeznaniu Mickiewicza z d. 20 kwietnia (2 maja) 1824 r. („Biblioteka Warszawska“, 1888, II, 28 — 30), i raporcie Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z d. 13 (25) maja 1824 r. („Warszawska uniwersytecka zapiski“, 1897, VIII, IX), wreszcie w pamiętnikach Domejki, Zdanowicza i innych.

skiego d. 21 lutego 1818 r. ¹⁾—, wszczęły się w izbie szlacheckich obrad spory, czyli raczej roztrząsania tej materji dosyć żywe i jeden z delegatów JP. pułkownik Paszkowski (delegat powiatu oszmiańskiego), który zabierał wiele czasu swojemi głosami tamującymi postanowienie zgromadzenia szlacheckiego w tej materji, wielu miał nieukontentowanych przeciw sobie i mówią, że wtedy widziana była momentalnie z tyłu przypięta mu kartka z napisem: „szubienica“, co dało powód, że wice-gubernator JP. Plater zamknąć kazał salę obrad i przerwać sejmikowanie; wdaną została w to policya, czynione były śledzenia dla wynalezienia autora tej kartki, później obrady sejmikowe pozwolono dokończyć, ale raporta poszły do ministrów i do samego Monarchy o tem zdarzeniu. JW. Korsakow ²⁾ powrócił z Moskwy mając polecenie dokładniej tę rzecz wyegzaminować i w Warszawie, dokąd wkrótce wyjeżdża, przedstawić Monarsze.

Rzecz ta z siebie w Wilnie mała, bo żadnego rozruchu nie pościągła, ale w raportach powiększona, nazwana została niebezpieczną.

W raportach, towarzystwa francmasonów i szubrawców zacytowane są za sprawców tego zdarzenia, tu zaś w ustnem gadaniu mieszali i studentów uniwersytetu, którzy przez ciekawość na obradach sejmikowych bywali“.

Energiczne śledztwo prowadzone przez rektora i prokuratora. Botwinkę sprawców nie wykryło. Przekonanie o skutecznieniu tego przez studentów, utrzymało się atoli i nadal. Hasła rzucone przez inteligentnych obywateli wileńskich, znalazły przyjazny oddźwięk na całej Litwie.

Zgromadzona w kwietniu 1819 r. szlachta czterech powiatów: białostockiego, sokólskiego, drohiczyńskiego i bielskiego, składających wówczas obwód białostocki, idąc, jak wyrażała się sama, „za głosem ludzkości i wewnętrznego przekonania“ oraz za przykładem sąsiednich gubernii, jednomyślnie postanowiła znieść nazawsze poddaństwo, „jako przeciwne ustawom Boskim i samej ludzkości“ i włożyła na obwodowego marszałka, Dominika Ciecierskiego, obowiązek zanieśienia o to w jej imieniu prośby do tronu, aby ta, „stawiać nas w rzędzie najucywilizowańszych narodów Europy, świeżym była jeszcze dowodem, że Polak w żadnej obywatelskiej cnotcie upośledzić się nie da“.

¹⁾ Archiwum kks. Czartoryskich. Korespondencya rektora Malewskiego z ks. A. Czartoryskim. Vol. I, Nr 42.

²⁾ Generał-gubernator wileński.

Marszałek Ciecierski uchwały sejmikowe, zawierające również inne jeszcze postanowienia głębokiego znaczenia politycznego, podał do tronu d. 9 sierpnia 1819 r.

Przekonania szlachty litewskiej w zupełności podzielał książę kurator. W miarę możliwości starał się o polepszenie fatalnego położenia włościan, podległych zarządowi uniwersytetu.

„W wielu miejscach — pisze do Malewskiego d. 14 (26) marca 1849 r. ¹⁾— sposób wybierania podatków skarbowych jest bardzo niedogodny, częstokroć dowolny i połączony z niemalym dla włościan uciskiem. Dobrze byłoby, aby troskliwość komitetu ekonomicznego (z zarządu uniwersytetu p. a.) zwróciła się na ten przedmiot, w celu zapobieżenia mogącym się zdarzyć nadużyciom, aby rozkład podatków do wybrania z włościan, nie zależał od arbitralności bądź rządów dóbr, bądź posesorów, aby nie wybierać więcej niż należy, a jeśli co pozostanie od składki, aby gromadom zwracać, zdając przed nimi rachunek z użytych pieniędzy“.

Wyznaczony komitet ekonomiczny z ramienia Rządu uniwersytetu, w uwagach swych nad projektem urządzenia dóbr do gimnazjum wołyńskiego należących (z d. 2 lutego 1819 r.) ²⁾, zawarł niejedyn interesujący i zdrowy pogląd na sprawę włościańską. Proponując zaczynszowanie gruntów włościanom, w ten sposób motywuje swój projekt.

„W terażniejszym położeniu rzeczy krajowych, kiedy usiłowania rządu połączone z chęcią większej liczby właścicieli ziemi, dążą wspólnie do nadania włościanom osobistej wolności, najlepszy bezwątpienia jest środek, uprzedzając te odmiany, zawierać wcześniej umowy z włościanami na opłaty czynszowe, uwalniając ich przez to od znieawidzonej przez nich pańszczyzny, którą oni podług swego powszechnego pojęcia, za istotną poczytują niewolę“. „J. O. X. Kurator w r. 1817—czytamy dalej w „Uwagach“ komitetu—przepisując komisjom edukacyjnym правило dla urządzenia dóbr, przewidział wcześniej terażniejszy wypadek i w punktach 8 i 9 przepisów od siebie danych, zawieranie umów z włościanami na opłaty pieniężne w szczególności zalecił. Komitet ekonomiczny przy uniwersytecie ustanowiony, przywodząc do skutku zamiary ks. kuratora porobił już umowy z zamożniejszymi wioskami, które od zarabiania pól dwornych odłączyć i na opłaty pieniężne obrócić można było. Dla tych zaś

¹⁾ Archiwum kks. Czartoryskich. Korespondencya Malewskiego z kuratorem. V. I Nr 42.

²⁾ L. c.

włościan, którzy przy zarabianiu dwornych krescencyi pozostali, stara się przynieść wszelkie ulgi, już to przez wprowadzenie wydziałowej roboty, już przez zniesienie rozmaitych z dawnych inwentarzów pozostałych przykrych dla włościan powinności“.

Ks. Kurator nie zgadzał się na natychmiastowe oczynszowanie włościan w dobrach beneficjalnych, obawy swe opierał na powszechnem ubóstwie i niezaradności włościan.

W liście do rektora z d. 28 lutego 1819 r., pisze: „Rzecz pewna, że radząc tylko i obawiając się ciągle, nigdy do celu nie dojdziem. Wreszcie nie wystawiam tu uniwersytet na wielkie straty, bo biorę na próbę dwa tylko folwarki, bo i w tych jeszcze niezrazu, ale stopniowo i krok za krokiem zaczynszowanie chcę wprowadzić, po gorliwości WMPana spodziewając się wyboru dobrych posesorów, ani wątpię, że nasz zamiar pomyślny uwieńczy skutek, to pewno, że danym przez to przykładem i krajowi oddałby uniwersytet ważną przysługę i ściągnąłby na siebie uwagę Rządu a nawet samego Monarchy, którego znana nam jest dosyć o polepszenie bytu włościan ojcowska troskliwość“. Nie zgadzał się również książę na projekt Malewskiego nadania wszystkich gruntów włościanom.

„W ogólnem krajowem gospodarstwie — pisze do rektora d. 21 lutego (5 marca) 1819 r. z Puław — potrzebne są różnej wielkości podziały gruntowe. Mamy szlachtę czynszową, mamy dzierżawców, którzy po zaczynszowaniu włościan będą musieli wziąć się do gospodarowania najemnikami, lub czeladzią domową.

„Oprócz tego rozdanie całkowite gruntów między włościan, w dzisiejszym ich stanie byłoby dla nich ciężarem. Chociaż to się nam udało we włości Poleukowskiej i Kronsztauskiej. Wiadomość o uiszczeniu się mieszkańców tych włości, przyniosła mi prawdziwą radość.

„Chciałbym mieć szczegółowe opisanie ich urzędzenia dla podania do gazet. W moich dobrach także się jedna wieś z podobną chęcią oświadczyła. Takie przykłady może zachęcą drugie“.

Umyślnie dłużej zatrzymaliśmy się nad tą sprawą, aby wykazać, w jakim stopniu prądy postępowe, nurtujące ogół oświecony, wpływały na urabianie pojęć i przekonań młodzieży ówczesnej.

Z powyżej cytowanych dokumentów poznajemy jedną jeszcze, mniej znaną stronę działalności księcia Adama Czartoryskiego, który wszędzie i zawsze miał dobro społeczne na celu, a szedł ku niemu drogą nie gwałtownych przewrotów, lecz drogą rozumnej a wytężonej pracy.

Młodzież zrozumiała zamiary księcia, podnosiła gorąco hasła, które on w życie usiłował wprowadzić.

Chciał on mieć zdolnych nauczycieli, urzędników, fachowców we wszystkich gałęziach wiedzy — i młodzież szła w tym kierunku z głęboką wiarą w pożyteczność szlachetnej inicjatywy.

Nietylko kwestya włościańska interesowała księcia. Pragnął on również podniesienia przemysłu krajowego, rozwoju nauk technicznych i społeczno-ekonomicznych. W tym celu pisze do rektora Malewskiego w lipcu 1820 r.:

„Tej młodzieży, która ze szkół powiatowych po kancelaryach i palestrach się rozchodzi, należałoby dać kierunek do handlu, fabryk i rolnictwa. Szkoły mechaników i rolnictwa posłużą nam do tego, ale dla handlu nic jeszcze nie uczyniono. Już to dawniej w piśmie mojem o szkołach powiatowych nadmienilem, aby dawano w nich naukę rachmistrzostwa i buchalteryi. Tę naukę szczególnie do handlu profesor stosowaćby powinien. Na ten koniec potrzebne jest dzieło elementarne, do którego przeszlę W Panu wkrótce programma“.

Dla osiągnięcia wyższego wykształcenia, starali się filomaci o wysyłanie zdolniejszych z pośród siebie zagranicę. I w tych zamiarach znaleźli gorące poparcie kierownika okręgu. Czartoryski sam polecał „na wojaż“ uczniów uniwersytetu, o ile przekonał się o ich zdolnościach.

Na Zachodzie wrzały tymczasem nowe hasła, powstawały nowe teorye społeczne i filozoficzne. Filomaci chciwie chwyтали echa, płynące z zagranicy, szczególnie z Niemiec, gdzie najlepsze siły ogniskowały się w burszenszaftach i związkach tajnych.

Obawy zawleczenia do Wilna „niemieckiej zarazy“, dały powód do ścisłej obserwacji prądów, nurtujących młodzież. W zleceniu sekretnem z d. 3 (15) listopada 1821 r., danem rektorowi Malewskiemu ¹⁾, kurator, ks. A. Czartoryski, wyraża obawę przeniesienia hasel zachodnich na wszechnicę wileńską. Poleca więc ściśle dawać baczenie na młodzież, tak jednak, „aby nietrafnem okazaniem podejrzenia nie dać początku i ciała myślom, które może bez tego byłyby się nie skleiły, a małym, nie nie znaczącym, odosobnionym i przypadkowym uczynkom, przez niełagodne, głośnie, lub raptowne skarcenie, nie nadać wzrostu i wagi“.

Dzięki takiemu stanowisku władz, usiłowania wyjazdu, czynione przez Mickiewicza, Jezowskiego i innych, spęły na niczem. Udzielono jedynie pozwolenia na podróż synowi rektora, Franciszkowi Malewskiemu, oraz Maryanowi Piaseckiemu i Michałowi Fry-

1) Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. VI, 223.

czyńskiemu ¹⁾, pierwsi dwaj na studia prawne, ostatni na agronomiczne. Wszyscy trzej udali się do Niemiec.

Malewski został wysłany na koszt uniwersytetu, Piasecki i Fryczyński na koszt liceum krzemienieckiego, którego byli wychowawcami.

Wyjazd Malewskiego pozbawił filomatów jednego z najruchliwszych członków, ciągle narzekania na brak „Jarosza“, z którym „i rozum z Wilna do Berlina na wojaż pojechał“ — spotykamy w listach do niego przez przyjaciół pisanych ²⁾.

Donoszono Franciszkowi o najdrobniejszych szczegółach z życia wileńskiego, nie zawsze atoli z zachowaniem należytej ostrożności, gdyż Mickiewicz w listopadzie 1822 r. tak do niego pisze: „List jeden od Józefa (Jeżowskiego) do ciebie podarłem, bo bardzo długi i pisany jak gdyby z Wilna do Europy, a mógłby bardzo drogo nas kosztować. Dlatego i list Tomasza (Zana) przeczytałem“ ³⁾.

Dopiero pod wrażeniem aresztowania syna pastora ewangelickiego w Wilnie, b. studenta wileńskiego, Reczyńskiego, który był czas jakiś na uniwersytecie w Marburgu i tam należał do związków studenckich — większą zachowywano ostrożność w działaniach i listach, które jedynie przy wyjątkowo „zręcznej okazji“ przesyłano.

W tego rodzaju „okazyjnych“, a szczęśliwie zachowanych listach, znajdujemy niejedną cenną wskazówkę, rzucającą światło na wewnętrzne pożycie ruchliwego światka filomackiego.

¹⁾ Franciszek Malewski był wice-prezesem towarzystwa filaretów i oczywiście filomatą. Maryan Piasecki, również filomata, był przewodniczącym białego grona filaretów. (Towarzystwo filaretów, niższy niejako stopień filomatów, dzieliło się na grona, oznaczone barwami i kierowane przez filomatów; białe składało się z prawników). Fryczyński prawdopodobnie też należał do filomatów. Po powrocie z zagranicy mianowany został nauczycielem agronomii w Krzemieńcu, stamtąd powołany w r. 1829 na uniwersytet wileński przez senatora Nowosiłcowa na profesora agronomii praktycznej. Pt. Bieliński: Uniwersytet wileński, III, 173.

²⁾ Mickiewicz w liście do Fr. Malewskiego pisze: „Józef (Jeżowski) nudzi po Tobie, i nikt miejsca twójego nie zastąpi w jego sercu. Każdy list kończy wykrzyknikiem: nie masz Franciszka!“ (Korespondencya Adama Mickiewicza, Lwów — Paryż, 1880, I, 6).

³⁾ Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 6.

Sporo takich szczegółów zawierają między innymi listy, pisane do Franciszka Malewskiego przez Kazimierza Piaseckiego ¹⁾, Jana Czeczota ²⁾ i Teodora Łozińskiego ³⁾.

Praca naukowa stanowiła główne zadanie młodzieży. W tym więc celu wyznaczyli filomaci specjalny komitet naukowy, który miał urządzać kursa przygotowawcze i pomocnicze do studyów uniwersyteckich dla filaretów. Z rękopiśmiennego zeznania Kazimierza Piaseckiego, złożonego przed komisją śledczą d. 5 (17) listopada 1823 r., dowiadujemy się bliższych szczegółów o tym Komitecie. Składał się on zarówno z filomatów, jak i filaretów. Reprezentant komitetu zasiadał w Izbie dozorczej ⁴⁾; wydawane stamtąd polecenia składał w Komitecie jako wniosek, który wtajemniczeni, czyli filomaci, mieli poprzeć i przeprowadzić. W czerwcu 1821 r. komitet składali: Franciszek Malewski, (po jego wyjeździe obrano Czeczota), Kozakiewicz Stanisław, Piasecki Kazimierz, Kowalewski Józef i Morawski Stanisław.

Miano brać płatnych „metrów“ do poszczególnych przedmiotów, którzy jednak nie mieli wiedzy o stowarzyszeniu; był również projekt założenia czytelnicy naukowej i biblioteki.

W liście K. Piaseckiego ⁵⁾ znajdujemy interesującą wzmiankę o instrukcyi dla komitetu naukowego, jaką dał Teodorowi Łozińskiemu „Garbus“. Tym bowiem „Garbusiem“ najprawdopodobniej był Gotfryd Ernest Groddeck, znakomity profesor filologii klasycznej na uniwersytecie wileńskim. Karol Kaczkowski we „Wspomnieniach“ swych ⁶⁾ twierdzi, że całą duszą pokochał Groddeck młodzież, i że wiedząc o istnieniu Promienistych (późniejszych filaretów), łączność młodzieży w pracy, jako nowe zjawisko w uniwersytecie i ż r ó d ł o,

¹⁾ Kazimierz Piasecki ukończył uniwersytet wileński w r. 1821 ze stopniem kandydata utriusque juris, następnie był adwokatem wileńskich izb sądowych. Po wyjeździe Maryana Piaseckiego był przewodniczącym białego grona filaretów. (Życiorys jego w „Księdze pamiątkowej na uczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza“. Warszawa, 1898, II, 77 — 85).

²⁾ Jan Czeczot, filomata, przewodniczący literackiego, błękitnego grona.

³⁾ Filomata, przewodniczący różowego grona filaretów, składającego się z matematyków.

⁴⁾ Izba dozorcza stanowiła zarząd stowarzyszenia filaretów; składali ją: prezes i rady (przewodniczący) poszczególnych gron.

⁵⁾ Do Fr. Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r.

⁶⁾ Karol Kaczkowski: Wspomnienia, Lwów, 1876, I, 124 — 126.

skałd początek wzięła, bardzo pochwalał i do wytrwałości zachęcał. O pracach naukowych młodzieży wiedział dobrze, kierował niemi zarówno z katedry, jak i w stosunkach prywatnych ze swymi uczniami.

Najwybitniejsi filomaci: Mickiewicz, Jeżowski, Kowalewski, Wiernikowski i inni, należeli do najzdolniejszych i najulubieńszych jego uczniów ¹⁾.

Skład filomackiego komitetu niewątpliwie był mu znany; instrukcja, dana Łozińskiemu, zawierała zapewne wskazówki, w jaki sposób komitet ten miał działać.

Najsamprzód zorganizowano wykłady hodegetyki, czyli nauki o sposobach metodycznego odbywania studyów naukowych. Wykładał ją w r. 1821 — 1822 Józef Jeżowski ²⁾, wówczas już kandydat filozofii.

„Rektor pozwolił sali na prośbę Żegoty ³⁾ i Nowickiego — pisać Kazimierz Piasecki do F. Malewskiego ⁴⁾. — „Ośmdziesiąt osób napęłniały salę przez dwie lekcye w najlepszym porządku“.

Wykłady cieszyły się nadspodziewanem powodzeniem, aż zwróciło to uwagę profesorów. Groddeck odezwał się raz do Kontryma ⁵⁾:

¹⁾ Jocher: *Obraz bibl.-hist. liter. i nauk w Polsce*. Wilno, 1840, I, 208 sqq., oraz Z. Węclewski: *Wiadomość o życiu i pismach Grodka*. Kraków, 1876.

²⁾ Myśl o „potrzebie pewnego porządku i planu w nabywaniu nauk“ rzucił był sam Jeżowski jeszcze na jednym z posiedzeń filomackich. Pt. wyżej zeznanie J. Jeżowskiego z d. 19 kwietnia (1 maja) 1824 r.

³⁾ Ignacego Domejki.

⁴⁾ D. 7 (19) grudnia 1821 r.

⁵⁾ Uważamy za właściwe podać choć na tem miejscu krótki życiorys Kontryma, skreślony na podstawie własnych poszukiwań, oraz informacyi z pamiętników Michała Pełki Polińskiego, profesora uniwersytetu wileńskiego, łaskawie nam udzielonych przez p. Lucyana Uziębłą. Znany działacz na polu oświaty na Litwie i przyjaciel młodzieży, Kazimierz Kontrym, urodził się w r. 1776. W r. 1792, będąc uczniem w szkole podwydziałowej w Wilnie, w klasie piątej otrzymał srebrny medal. D. 25 lipca 1795 r. wstąpił Kontrym do służby cywilnej do litewskiego głównego Rządu, oddziału kryminalnego, w stopniu regenta. W r. 1796 zamianowano go sekretarzem w gubernialnym Rządzie wileńskim, a w 1797 r. przeniesiono na archiwistę litewskiego nadwornego sądu, w 1799 — do wileńskiej Cenzury na sekretarza; w r. 1803, przy przyłączeniu Cenzury wileńskiej do Uniwersytetu, obrano go buchalterem w tymże Uniwersytecie. W r. 1805 został Kontrym pomocnikiem bibliotekarza, w sto-

„Hodegetyka to bardzo sucha nauka, co to jest, że na nią ma 50 słuchaczy pan Jeżowski“.

Na jednym wykładzie był nawet rektor uniwersytetu, Szymon Malewski: „Wszedł na to — pisze K. Piasecki ¹⁾ — kiedy Jeżowski wykładał zamiar uczenia się w najkorzystniejszy sposób; mówił o tem baczeniu na kraj, jakie każdy obywatel mieć powinien. Zaledwo pe-ryod ukończył, aż zdziwiony starzec zaczął przepatrywać uczniów, zrobił uwagę, że najpilniejsi uczniowie są słuchaczami Jeżowskiego i że taka jest ich liczba. W rzeczy samej był zdziwiony, bo wśród największej cichości zastał wszystkich, gdy się spodziewał sześciu, zastał dziewięćdziesiąt osób najpilniej słuchających. Wielkiego spodziewam się pożytku z hodegetyki“.

Mickiewicz pisał do Franciszka Malewskiego ²⁾: „Słyszałeś zapewne o hodegetyce i historii. Nasz mrukawy (Jeżowski) przeszedł moje, jakkolwiek dobre, o nim nadzieje, rozprawia płynnie i wybor-

pnin adjunkta Uniwersytetu; w 1808 r. pełnił obowiązki sekretarza Rządu Uniwersytetu, w następnym zaś roku został sekretarzem. Równocześnie wydawał z Grodkiem „Gazetę powszechną literacką wileńską“. D. 15 października 1807 r. Rada Uniwersytecka uchwaliła poruczyć Kontrymowi pisanie Historii Uniwersytetu, z płacą 200 rs., z obowiązkiem okazywania co rok swej pracy. Kontrym brał czynny udział w ówczesnem życiu umysłowem i społecznem, bądź jako redaktor „Dziennika wileńskiego“ i „Dziejów dobroczynności krajowych i zagranicznych“, bądź jako energiczny członek towarzystwa „szubrawców“, loży masonskiej, towarzystwa pomocy dla niezamożnych uczniów i t. p. Wszystkie niemal pisma, wychodzące na Litwie, dzięki jego natchnieniu i poradzcie zawiązane zostały, znacznie też przyczynił się do wskrzeszenia „Pamiętnika warszawskiego“ w r. 1815, umyślną w tym celu do Warszawy przedsięwziąwszy podróż. Był serdecznym przyjacielem młodych, zachęcał ich do pisania, słusznie też nazwany został „ojcem młodzieży“. W r. 1824, uważany przez senatora za „główną sprężynę szkodliwego systemu“ (Raport senatora Nowosilcowa do W. Ks. Konstantego z d. 19 (31) grudnia 1824 r., Nr 1,958), podał się do dymisji i czas jakiś zamieszkał na wsi, pod Wilnem. W październiku 1829 r. otrzymał od ministra finansów Królestwa Polskiego, ks. Lubeckiego, posadę redaktora „Biblioteki handlowej“, wychodzącej przy banku warszawskim, z pensją 6,000 złotych. Zmarł w lipcu 1836 r. w Szydłowie, na Żmudzi.

¹⁾ Do Fr. Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r.

²⁾ W liście bez daty, z Wilna. Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 7.

nie, wzorowo. Lekcja ta byłaby jeszcze pożyteczniejszą, gdyby cokolwiek bardziej była popularną¹⁾.

Prócz wykładów hodegetyki i historii, oraz posiedzeń filareckich, na których omawiano kwestye naukowe i literackie, postanowili filomaci opracować zbiorowo statystykę kraju, gdyż bez niej „nauki administracyjne, w kraju naszym wykładane, będą nie dla nas, lecz dla Anglików, Holendrów, Francuzów; urzędnik będzie chwiał się w swoich czynnościach, a dobrze myślący, gorliwy obywatel, nieświadomy stanu swojego kraju, chęciom swoim pożytecznego nie nada kierunku“.

W tym celu Tomasz Zan ułożył instrukcyę do opisów statystycznych, p. t.: „Opis jeograficzny“²⁾, wzorowany na „Instrukcyach do układania po Gimnazyach i Szkołach powiatowych zapisów w przedmiotach różnych nauk, wydanych od Rządu Głównego Szkół i ogłoszonych drukiem roku 1812“. (W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1817).

W myśl instrukcyi Zana, każdy filareta, wyjechawszy na wakacje, obowiązany był wypracować dokładny opis swej okolicy, a nawet powiatu, lub gubernii.

„Opis jeograficzny“, tajnie wydrukowany w drukarni bazylińskiej w Wilnie, w dwustu egzemplarzach³⁾, zawierał najszczegółowsze wskazówki, dotyczące statystyki, stanu ekonomicznego i moralnego ludności w danej okolicy.

Niektóre ustępy „Opisu“, wymownie świadczące o tendencyach obywatelskich filomatów, zostały należycie zużytkowane podczas wielkiego procesu w latach 1823 — 1824.

Niektórzy filareci przygotowali takie opisy swych stron rodzinnych i takowe odczytywali na posiedzeniach.

Np. Józef Kraskowski przygotował opis obwodu białostockiego, Teodor Łoziński opis Wołynia i t. d.⁴⁾.

Działalność filomatów nie ograniczała się jedynie do Wilna. Mamy pewne dowody, że sięgała znacznie dalej.

1) Por. Domejko: Pamiętnik o filomatach i filaretach. Poznań, 1872.

2) Wiadomość tę czerpiemy z rękopiśmiennego zeznania Czeczota, złożonego przed wileńską Komisją śledeczą d. 17 (29) stycznia 1824 r.

3) „Opis jeograficzny“ wydany został w formie małej ósemki, bez oznaczenia miejsca i roku.

4) Arch. do dz. lit. i ośw. w Polsce, IX, 177.

W zeznaniu Jana Jankowskiego przed Komisją śledczą z d. 22 października (3 listopada) 1823 r. ¹⁾, znajdujemy wiadomość o zawarciu przez Zana towarzystwa, na wzór wileńskiego, w liceum krzemienieckim. Opiekować się niem miał Karol Jentz, profesor w Krzemieńcu.

Aczkolwiek Jankowski odwołał później tę rewelację i Jentz został z braku dowodów uwolnionym od odpowiedzialności, jednakże wiadomość ta wydaje się wielce prawdopodobną. Wzmianka w liście Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z d. 19 (31) grudnia 1821 r. o korespondencji Teodora Łozińskiego z Rafałówką ²⁾, w sprawach organizacyjnych zdaje się potwierdzać nasze domysły.

W Rafałówce bowiem mieszkał podówczas Narcyz Olizar, który w r. 1819 był w uniwersytecie wileńskim i czynny brał udział w ówczesnym ruchu literackim wśród młodzieży, pisywał sporo w „Tygodniku wileńskim“ i prawdopodobnie był filomatą; z nim przeto zapewne korespondował Łoziński ³⁾.

Wiemy również skądinąd o podobnej akcji filomaty Michała Rukiewicza i o utworzeniu przez niego organizacyi, zbliżonej do filareckiej („Zorzanie“) w Białymstoku.

Tymczasem filomaci się rozpraszali. Mickiewicz był w Kownie, Franciszek Malewski i Maryan Piasecki zagranicą, prezes, Józef Jezowski, otrzymał posadę nauczyciela filozofii u benedyktynów trockich ⁴⁾.

Kierownictwo w stowarzyszeniu spadło na barki Zana, Czeczota i Łozińskiego.

Franciszek Malewski nieustannie wstawiał się za przyjaciółmi przed ojcem. Szymon Malewski utrudniał korespondencyę syna i miał mu za złe zajmowanie się sprawami kolegów. Na list z d. 6 stycznia

1) Arch. do dz. lit. i ośw. w Polsce, IX, 169.

2) Miasteczko nad Styrem, w Łuckim powiecie.

3) W Rafałówce istniała loża masonska, wykryta w r. 1826. Kierownikiem jej był, jak się zdaje, Narcyz Olizar, człowiek nader czynny i wpływo-
wy; odegrał on wybitniejszą rolę w r. 1831, jako senator i kasztelan Królestwa Polskiego. Nader zdolnym i sprężystym był również brat jego, Gustaw, o lat cztery młodszy, sądzony w r. 1826 za współudział z dekabrystami. Interesujące o nich szczegóły, patrz Bajkow: Z kartek pamiętnika rękopiśm. (1824 — 1829), Lwów, 1893, oraz: Pamiętniki Gustawa Olizara (1798 — 1865), Lwów, 1892.

4) Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, Poznań, 1890, I, 109, 110, 119.

1822 r., w którym Franciszek wstawia się za Jeżowskim i Mickiewiczem, prosząc o protekcję do kuratora, rektor odpowiedział ostro synowi: „Źle jest — pisze — że zajmujesz się protekcją dla swojego Mickiewicza, Zana, Jeżowskiego etc., gdy sam jeszcze protekcji potrzebujesz; nic nie mam przeciwko tym osobom, ale, wyjąwszy Zana, Mickiewicz i Jeżowski źle sobie radzą i pretensye ich są bez sensu. Lepiejbyś zrobił, abyś o sobie najprzód pomyślał. Prosisz, aby ci pisali, co się na nic nie zda, tylko dla powiększenia expensy. Ja powtarzam, że rektorstwo składam, a zatem i ubieganie się o moją protekcję ustanie, tak rzeczy idą na świecie. Ja jestem twoim ojcem, życzę ci najlepiej, ale ostrzegam, że trzeba być ostrożnym z oświadczeniem protekcji, bo to jest rzeczą delikatną, a często niewczesną i zawoządzącą“ ¹⁾).

Filomaci usiłowali zawładnąć wybitniejszymi stanowiskami w szkołach i gimnazyach, aby w ten sposób oddziaływać na młode pokolenie. Fr. Malewski w listach do ojca popierał kandydaturę Mickiewicza na profesora literatury w Krzemieńcu ²⁾, stanowisko to uważano za jedno z najważniejszych ³⁾).

W trakcie tych starań i zabiegów, w kwietniu i maju 1822 r., wszczęto z rozporządzenia ks. A. Czartoryskiego śledztwo w sprawie Towarzystwa „Przyjaciół pożytecznej zabawy“, znanych też pod nazwą „Promienistych“. Towarzystwo rozwiązano, a Zana, Mickiewicza i Łozińskiego oddano pod szczególny dozór władz uniwersyteckich.

Stosunki w uniwersytecie zmieniły się na niekorzyść filomatów i stawiały ich w niezmiernie trudnem położeniu ⁴⁾).

¹⁾ L. c., I, 87, 88.

²⁾ Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, I, 82, 83, 87, 95, 104, 105, 111.

³⁾ Temi zapewne pobudkami kierowali się filomaci, wysyłając na koszt własny Karola Kaczkowskiego, filaretę, na posadę lekarza do Krzemieńca. Pt. Kaczkowski: Wspomnienia, I, 152 — 153.

⁴⁾ Filareta, Jan Michalewicz, w następujący sposób charakteryzuje ówczesne stosunki uniwersyteckie w liście z Wilna d. 24 paźdz. (5 listopada) 1822 r. do ks. Macieja Brodowicza (z rękopisu): „...Dawne nasze przyjemności zupełnie zaginęły (zebrania i wycieczki promienistych *p. a.*), ani pomysłu o nich nie można... Pełno podejrzeń, pełno czuwań i podsłuchów. Szpiegowstwo niesłychane. Siedzim więc spokojnie i wyglądamy tego dobra, które Włochy i Niemcy mają nam narodzić“ (w uniwersytecie wileńskim wielu było wówczas profesorów cudzoziemców — *p. a.*).

„Jestem między młotem i kowadłem — pisze T. Łoziński do Fr. Malewskiego d. 14 (26) grudnia 1822 r. — młot chce, żebym jemu mówił wszystko, co wiem o kowadłe, a ja wiem, że dla kowadła źle być może, więc nie chcę.. Stoję nad przepaścią, widzę, i już znacznie w nią pochylony“.

W listach przyjaciół znajdujemy interesujące szczegóły z życia młodzieży ówczesnej, o obchodach imienia T. Zana, o zabawach wileńskich w t. zw. „Kasynie“ i t. p.

Wzmianki o Lubeckim, do którego uciekano się protekcji, łącznie z ciekawym ustępem w podanem powyżej zeznaniu Jeżowskiego o potrzebie podniesienia przemysłu, muszą zwrócić na siebie uwagę, okazują mianowicie, że młodzież wileńska musiała dość żywo reagować na ten urok żywej i owocnej energii, jaki wychodził z działań ks. Lubeckiego, tego bądź co bądź bliższego współrodaka-litwina, w pierwszej chwili objęcia przez niego ministerium skarbu.

W życiu młodzieży pierwszorzędny brał udział Adam Mickiewicz. Kochany i wielbiony przez współkolegów, był on uosobieniem wszystkich cnót i szczytnych haseł młodzi wileńskiej. „Wielka jama, gdy niema Adama“ powtarzał Zan, i w rzeczy samej brak Mickiewicza dotkliwie dawał się odczuwać filomatom.

Gdy spotkał go zawód bolesny, w sercach przyjaciół serdecznie znalazł poeta współczucie. Zaopiekowano się nim, roztoczono czułą opiekę nad umiłowanym twórcą „ody do młodości“. Zajęto się wydaniem pierwszego tomu poezyi, rozprzedają, podjęto wreszcie starania o umożliwienie mu wyjazdu zagranicę. W listach komunikowano Franciszkowi Malewskiemu nowe utwory Adama.

Kazimierz Piasecki pisze d. 19 (31) grudnia 1821 r.: „Adam się polepsza, jakoż wydaje, wkrótce będzie się drukowało dziełko jego ¹⁾, wiele przydał wierszy, a szczególnie posyłam następne“. Tu następuje wiersz, zatytułowany „Cztery toasty chemika“. Po raz pierwszy spotykamy go w druku w 1828 r. w piśmie warszawskim „Motyl“ p. t. „Cztery toasty Franklina“; w wydaniu poznańskim „Poezyi A. Ma.“ z r. 1828—32 nosi tytuł „Cztery wiwaty“, w wydaniu paryskim z r. 1828 „Toasty“, który to tytuł utrzymał się w późniejszych wydaniach. W wydaniu paryskim z 1844 r., przejrzanem przez autora, nosi datę „Kowno 1822“, z listu Piaseckiego widzimy, iż napisany został wcześniej. Tekst przesłany Fr. Malewskiemu zawiera kilkanaście drobnych odmian znanego.

¹⁾ Pierwszy tom „Poezyi Adama Mickiewicza“, wydany głównie staraniem Czeczota, ukazał się w Wilnie, na początku czerwca 1822 r.

Najczynniej zaopiekował się Mickiewiczem szkolny jego kolega Jan Czeczot. W listach do Fr. Malewskiego ciągle zajęty jest myślą o jego poezjach, zdrowiu, wyjeździe etc.

W liście z d. 23 stycznia (4 lutego) 1822 r., zapytuje Malewskiego, który się był zatrzymał w Warszawie, jadąc do Berlina: „Co sprzedaliście Adamowych biletów ¹⁾, i przez Guta dowiedzcie się ile sprzedali Bansemer i Brzozowski, którym po sześć biletów zosta-wiłem.

Chcemy tu nawiasowo zwrócić uwagę na pewien interesujący szczegół. Z powyższych słów Czeczota widzimy, że on, a więc i filomaci, mieli stosunek z Bansemerem, duszą związków młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie, za pośrednictwem Gutta. Nie wiemy, o którym Gucie wspomina Czeczot. Było ich bowiem dwóch. Jeden, Ferdynand, niewątpliwie należący do filaretów (w r. 1823 ukończył uniwersytet ze stopniem doktora medycyny), i stałe z nimi trzymający stosunki ²⁾; drugi, Edward, student, może brat poprzedniego, był przez władze podejrzewanym o udział w pracach stowarzyszonych.

Dwudziestoletni Jan Marcin Bansemer odznaczał się wybitnymi zdolnościami i gorącym sercem. Po r. 1831 był czynnym pomocnikiem w przedsięwzięciach Klaudy Potockiej ³⁾.

Fakt stosunku z nim wybitniejszych przedstawicieli młodzieży wileńskiej jest nader interesującym i rzuca pewne światło na charakter stowarzyszeń wileńskich.

W dalszym ciągu Czeczot zapytuje Malewskiego: „Ile więc się zebrało pieniędzy, abym mógł wiedzieć, ile dodać i odesłać potrzeba będzie? Krasieński ⁴⁾ ile oddał za książeczkę? Uczyńcie rachunek ścisły swoich skarbów. Istotnie, nie wiemy, co począć z Adamem i z druko-

¹⁾ Pierwsze wydanie „Poezyi Adama Mickiewicza“ rozprzedano w znacznej części w drodze prenumeraty.

²⁾ Bieliński: Uniwersytet wileński, III, 399.

³⁾ Patrz życiorys J. M. Bansemera w czasopiśmie paryskim p. t. „Trzeci maj“, z d. 27 lutego 1841 r., str. 29 — 30.

⁴⁾ Waleryan Skorobohaty Krasieński, znany jako autor „Historji reformacyi“, ukończył uniwersytet wileński w 1822 r., wyjechał następnie do Warszawy, gdzie otrzymał urząd w Komisji wyznań i oświecenia publicznego. Posiadał rozległe stosunki w sferach literackich stolicy, zajmował się szczerze rozprzedażą poezyi Mickiewicza, których ukazanie się powszechny obudziło entuzjazm w Warszawie. Pt. Encyklopedia Orgelbranda (większa), t. XV. Wł. Mickiewicz: Żywot Adama Mickiewicza, I, 112, 139.

waniem jego poezyi. Zasadziliśmy go tu, jak w detencyę, za jego kowieńskie skargi i psotki. Mało czynny, mało też ma przyjemności życia. Sam nie w dostatkach, patrzy i cierpi niedostatki innych Ani wygod, ani zabaw, ani zatrudniań. I to i owo boli, zęby wrywa, a i to bieda. Dobrzeby to było wyprawić go choć na kilka miesięcy na przejażdżkę. Możeby się tak rychło, jak wy, nie znudził, możeby mu to pomogło do zdrowia? Poezyi wreszcie jego tu wydrukować nie można będzie, jest ksiądz w „Dziadach“, są „w imię Ojca, Syna, Ducha“, „Zdrowaś Marya“ etc., których tu dyabli wiedzą, i pobożni i fanatycy na sucho nie przepuszczą. Wreszcie koszt nie mały, prenumeratę (sic!) publicznie ogłaszać nie podobna (i nie do rzeczy, i ty-leby tu znalazło się uszczypliwych szyderstw).

Trzebaby tedy i z tego względu zaprobować, czy nie kupiłby za część egzemplarzy i gotowych pieniędzy Gligzberg ¹⁾. Wartoby więc wyprawić do Warszawy Adama, a stamtąd, do końca wakacyi przynajmniej, jeśli najdalej nie można, niechby przynajmniej odwiedził z wami Berlin ²⁾.

Ale tu sęk, pieniędzy nigdzie a nigdzie niema. Ani z prenumeraty, ani z pożyczki nie prawie zebrać nie przyjdzie. Będziemy wszakże próbować, a nuż się uda? Donieście więc i o czasie wyjazdu, i o tem, ile na wasze finanse spuszczać się można. Wreszcie z doświadczenia obliczcie kosztą życia i wskażcie, z jaką kwotą wyprawować Adama? A z tem nie marudźcie. Trzeba także dowiedzieć się (najlepiej przez jakąś akredytowaną osobę) u Gligzberga, czy on manuskrypta kupuje i jak płaci? Co u niego arkusz druku na papierze, jak Trembecki, kosztuje. I o tem oznajmić. Wiersze tam bardzo lubią, może też i poplatne. Co Brodziński wziął za swoje? Obaczym, jak się ten handel powiedzie. Czekamy rychłej odpowiedzi“.

W drugim liście z d. 14 (26) lutego 1822 r. posyła Czeczot wiersz swój o Zofii Chrzanowskiej, oraz „Upiöra“ mickiewiczowskiego, jeszcze naówczas nieogłoszonego drukiem.

1) Glücksberg, księgarz warszawski.

2) Por. list Mickiewicza do Fr. Malewskiego (z Wilna, bez daty): „myślę sam udać się do Warszawy, bo tu, zwłaszcza Nowych Dziadów, drukować nie podobna“. Koresp., I, 8. Obawy okazały się płonne. Po usunięciu w jesieni 1822 r. z urzędu cenzora surowego, ks. Kłagiewicza, wybrany na jego miejsce Lelewel wydał d. 21 lutego 1823 r. pozwolenie na wydrukowanie II-go tomu poezyi. Pt. Tretiak: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, Lwów, 1884, t. II, 204 -- 204.

„Siedzę w stancyi — pisze Czeczot — Onufr ¹⁾ przyszedł i ka-
zał dać do przepisania dla ciebie Adamowego „Upiora“, który będzie
niejako służył za objaśnienie i przemowę do IV-ej części „Dziadów“ ²⁾
i mój śpiewek, napisany dla Zosi“.

Zosią tą była młodsza córka rektora Malewskiego. Liczyła się
ona — mówi Otton Ślizień w swych pamiętnikach ³⁾ — do królowych
młodego, romantycznego społeczeństwa. Była celem niejednych pla-
tonicznych i nieplatonicznych wzdychań. Między innymi zajmował się
nią czule Aleksander Chodźko i wielbiciel wszystkich pańienek, Jan
Czeczot“. Znał ją również bardzo dobrze Mickiewicz, i Zosia z „Dzia-
dów“, według twierdzenia prof. Tretiaka, to panna Zofia Ma-
lewska ⁴⁾.

„Ponieważ w stancyi siedzę — ciągnie dalej Czeczot — sam się
podjąłem przepisania i z kilka słów piszę do Ciebie. „Dziady“ ci po-
dobno znajome, jeszcze się urodziły za twojej bytności ⁵⁾; a choćby
Ci nie były znajome, nie można Ci ich przesłać, jakkolwiek ściśle pi-
sanych, bo długie. Po niedzieli zaczniesz się drukować, jak tylko wyj-
dzie z druku, natychmiast ci przeszlę. Jeśli już wówczas wyruszysz
do Getyngi, a Moryc ⁶⁾ tam nie ma swoich relacji, to odeszle do Ber-
lina, a stamtąd prosz, aby twój buchhandler odesłał do Getyngi“.

Dalej przytacza Czeczot wiersz Mickiewicza p. t. „Upiór“, któ-
ry to składa się z dwudziestu pięciu czterowierszowych zwrotek, we
wszystkich zaś wydaniach poezyi Adama z dwudziestu czterech zwro-
tek. Wiersz ten w odpisie Czeczota, prócz kilku drobnych odmian
znanego tekstu, zawiera następujące nowe zwrotki:

Po czterowierszu dziesiątym czytamy u Czeczota:

1) Pietraszewicz, sekretarz Towarzystwa filaretów.

2) Jak wiadomo, „Upiór“ w pierwszym i następnych wydaniach poezyi
Mickiewicza umieszczony jest przed drugą częścią „Dziadów“. Por. Tretiak:
Mickiewicz w Wilnie i Kownie, III, 21, 28.

3) Pamiętnik Tow. liter. im. A. Mickiewicza we Lwowie, t. II.

4) Tretiak: Dwie Zosie, „Świat“, Kraków, 1890, str. 320. W Bibliotece
im. Ossolińskich we Lwowie znajduje się pierwsze wydanie poezyi A. E.
Odyńca z następującą własnoręczną dedykacją autora: „Zofii Malewskiej,
w dowód najwyższego szacunku ofiaruję. Ant. Edw. Odyniec“.

5) Por. Korespondencya Adama Mickiewicza, III, 5 — 6.

6) Moritz, księgarz wileński, przesyłał Fr. Malewskiemu do Berlina
pierwszy tom poezyi Mickiewicza.

Lecz do zbawienia ten środek jedyny,
Taka zrządzeniem najwyższem pokuta,
Za twoją czułość i za moje winy
W epoce przeznaczeń kuta.

Następnie kładzie Czeczot zwrotkę XI-tą i t. d. („Żebyś cię znalazł, muszę...“ i t. d.), jak w wydaniu z r. 1823 i inn.

Wreszcie, zamiast dwóch ostatnich zwrotek, XXIII i XXIV, znanych w druku, Czeczot kładzie następujące (XXIV i XXV):

Może ktoś także cierpliwy do końca
Zechce podziemnej przysłuchać się mowie,
I wzrok młodzieńczy przywykły do słońca
Na trupiej zatrzymać głowie.
I patrząc zważy, co mu w młode lata
Wyroczone pismo katechizmu rzekło,
Że ten nie grzeszy, kto używa świata,
Pomniąc na śmierć, sąd i piekło.

Dalej przytacza Czeczot wiersz swój o oblężeniu Trembowli i Zofii Chrzanowskiej, poprzedzony rymowaną dedykacją Zosi Małewskiej.

„Notabene — dodaje później — napisałem jeszcze śpiewki o Mniszchównie, o Radziwiłównie, o Jabłonowskiej, o Jadwidze, o Małgorzacie Zębocińskiej, może nawet trochę od tego lepsze, tylko ten z primogenitury ma swoją prerogatywę. Chcę wszystkie sławne Polki z niepamięci wydobyć, a potem przejść do litewskich bohaterów“¹⁾.

Wiersz o Zofii Chrzanowskiej odznacza się nader pospolitą myślą i nieudolnym rymowaniem.

Tymczasem sprawa wyjazdu Mickiewicza w ciągłym była zawieszaniu, zdrowie jego stale się pogarszało, budząc nieustanne obawy w kolegach. Złożono wprawdzie kilkaset rubli w celu wysłania poe-

¹⁾ Śpiewki Czeczota, zawarte w kilku oprawnych tomikach, znajdują się w posiadaniu p. Władysława Mickiewicza. Pt. Wł. Mickiewicz: Żywot A. Mickiewicza, I, dodatek XVIII.

ty zagranicę, mianowicie ks. Adam Czartoryski, jak się zdaje, złożył bezimiennie 300 rb. ¹⁾, Michał Fryczyński, „wielki przyjaciel Adama“, jak nazywa go Malewski, ofiarował 200 rb., ze sprzedaży poezyj spodziewano się osiągnąć około 300 rb. ²⁾, ale wszystkie te zasoby wydawały się niedostatecznymi. O trudnościach w otrzymaniu dla Mickiewicza pasportu w następujący sposób opowiada Czeczot w zeznaniu swem, złożonem d. 17 (29) stycznia 1824 r. przed Komisją śledczą ³⁾: „Adam od marca ⁴⁾ o pasport się starał, lecz gdy z przyczyny formalności w uzyskaniu uwolnienia zachodzących, gdy od prefekta do dyrektora, od dyrektora do uniwersytetu, od rektora do rządu, czy też rady uniwersytetu, a stąd do kuratora pisma przechodzą i po uwolnieniu dopiero rekwizycya o pasport, a to wszystko nie rychło się dzieje — odwlekało się jego zyskanie, a odmieniony porządek zyskiwania pasportów, który utrudzać się nieco zdaje ich pozyskanie; były powody do wniosku, iż go dostać jest rzeczą przytrudną i wątpliwą, to jest niezupełnie pewną. Do wzięcia mnie do więzienia wiem, że nie otrzymał. Zdrowie jego zbyt pogorszone, a życie w mieście niedogodne dla słabego zdrowia i kosztowne przy szczupłym sposobie do utrzymania się, skłoniło mię — pisze dalej Czeczot — że proponowałem mu przemieszkanie czasu jakiego na wsi u pana Michała Rukiewicza, a troskliwy o zdrowie przyjaciela, prosząc dla niego o pobyt, wyraziłem nadzieję moją, iż nie dozna u niego nieprzyjemności, abym ją mógł dla niego zapewnić“. Powyższe słowa były odpowiedzią na zapytanie Komisji śledczej, zadane z powodu listu, znalezione go przy rewizyi u Michała Rukiewicza. Zanim list ten podamy, pragniemy choć w paru słowach scharakteryzować mało dotychczas znaną osobę Rukiewicza. Michał Rukiewicz, ur. w 1795 r., pochodził z rodziny szlacheckiej. Ojciec jego miał majątek Hoźna w pow. Białostockim, obwodu białostockiego. Po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku wstąpił w r. 1816 na uniwersytet wileński, który ukończył d. 1 lipca 1820 r. ze stopniem kandydata praw ⁵⁾. Przyjęty do grona filomatów w r. 1819, powszechnie był przez kolegów

1) Por. Korespondencya Adama Mickiewicza, I, 23.

2) L. c., III, 5.

3) Rękopis.

4) Odpowiednie podanie do Rządu Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu złożył Mickiewicz d. 25 marca 1823 r. Pt. Wierzbowski: Mickiewicz w Wilnie i Kownie, „Biblioteka Warszawska“, 1888, II.

5) Wiadomości powyższe czerpiemy z rękopiśmiennego zeznania Rukiewicza, złożonego przed Komisją śledczą w d. 10 (22) listopada 1823 r.

kochany; był to ów „białostoczanin“, którego fizyognomię Domejko doskonale pamiętał, nie mógł jednak nazwiska przypomnieć ¹⁾. Jan Jankowski w swej rewelacyi wymienił również Rukiewiczza, jako filaretę, usiłującego stworzyć towarzystwo w Białymstoku; Rukiewicz był przez Komisję badany, został atoli uwolniony dla braku dowodów. W latach 1824 — 1826 trzymał w dzierżawie folwark skarbowy Zawyki, położony nad Narwią o cztery mile od Białegostoku. W tym samym czasie zorganizował w Białymstoku w gimnazjum towarzystwo „Zorzan“, w wojsku zaś towarzystwo „Przyjaciół wojskowych“. Dzieje tych towarzystw, mających bezpośredni związek z dekabrystami, postaramy się w przyszłości wyjaśnić ²⁾.

Powracamy do listu Czeczota. Podajemy go na tem miejscu w całości:

1823. 7-bra 13. Wilno.

Panie Michale,

Adam uwolniony od obowiązków dla słabości zdrowia, ciężko podupadły na zdrowiu i teraz nawet chory, już od marca czeka tentowanego pasportu, i podług wszelkiego podobieństwa, jeśliby nawet (co także bardzo wątpliwe) otrzymał pasport, tę zimę przebyć w kraju musi. Zbyt niedogodne i kosztowne, a niewiele przyjemności dla niego obiecujące, byłoby mieszkanie ciągle w mieście, proponowałem tedy jemu, ażeby, pomieszkawszy tu czas niejaki, do ciebie na jakiś czas pojechał. Przykro mu zapewne wycierać choć przyjacielskie kąty, i propozycya ta, lubo dla niego nie bardzo smaczna, jednak podług najlepszej rachuby musi zostać dobrą; a bez żadnych komplementów, przyjaciel u przyjaciela może znaleźć przytułek i przykrości nie czynić ani sobie, ani jemu.

Spodziewam się nawet, że, mając tam familię i znajomych, potrafiysz dla niego zrobić wiele przyjemności, które życie jego, tak stargane, a tak dla nas drogie i miłe, pokrzepić zdołają.

Przyjdzie może kiedyś pora, że ci to odwzięczyć potrafić i przyjemnościami jakimi nagrodzić. Donieś więc,

¹⁾ Ignacy Domejko: Pamiętnik o filomatach i filaretach, 9.

²⁾ Część dokumentów w tej sprawie ogłosił Z. Wasilewski w IX tomie „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“. Kraków, 1897.

jak ta ci propozycja spodoba się. Wszak dla siebie jeść gotujesz i stacją palisz, nie więcej przeto zachodu mieć będziesz z przyjacielem. Na list mój, który niedawno pocztą do ciebie pisałem, czekam odpowiedzi i odesłania pieniędzy. Bądź zdrów.

Jan.

List ten posyłam przez pocztyliona, więc donieś, czy doszedł. Czekam jak najprędzej odpowiedzi. De rebus publicis, musicie słyszeć, co się tu dzieje, pisać nie chcę ¹⁾. Jenerał-Gubernator, kurator, X-żę wielkorządca Poznański, wszystko to jedzie, mając się widzieć z Monarchą ²⁾.

Odpowiedzi Czeczot już nie otrzymał. Rozpoczął się wielki proces filaretów.

HENRYK MOŚCICKI.

¹⁾ Od maja do października trwały śledztwa w sprawie wypadków w gimnazyum wileńskim.

²⁾ Zamierzony zjazd odbył się w Brześciu litewskim, we wrześniu 1823 r. Pt. Szilder, Imp. Aleksander I, tom IV, 282—283. Jenerał-gubernatorem wileńskim był podówczas ks. Rimskij-Korsakow, kuratorem wileńskim — ks. Adam Czartoryski, wielkorządca poznańskim — ks. Antoni Radziwiłł.

TEORYA LAMARCKA I NEOLAMARKIZM

w biologii spótczesnej.

W r. 1809 ujrzała światło „Philosophie Zoologique“ J a n a B a p t y s t y L a m a r c k a—jedno z tych dzieł epokowych, które nigdy przeżyć się nie są zdolne, z których duch ludzki czerpie zawsze, jak z krynicy życiodajnej, natchnienia ku nowym porywom. Pisma takie są jak gwiazdy na sklepieniu niebios, ku którym zawsze i odwiecznie kieruje wzrok swój żeglarz, jak gór szczyty, ku którym spogląda zbłąkany w nizinach wędrowiec. Ku nim powraca zawsze umysł ludzki, przebiegłszy wielki obszar po nowych dziedzinach i czerpie z nich siłę młodzieńczych ku dalszej pracy na polu wiedzy, nieskończonej w swych zadaniach, niedoścignionej w celach.

Siódmy rozdział I-go tomu „Filozofii zoologii“, nosi tytuł: „De l'influence des Circonstances sur les actions et les habitudes des Animaux, et de celle des actions et des habitudes de ces Corps vivans, comme causes qui modifient leur organisation et leurs parties“ („Wpływ okoliczności na działania i zwyczaje zwierząt oraz działania i zwyczaje tych ciał żyjących, jako przyczyny zmieniające ich budowę i ich części). Przyjmując stopniowy rozwój świata organicznego, zdolność gatunków do przekształcania się w biegu ich rozwoju rodowego, Lamarck starał się wykryć czynniki, które powodują owe przekształcenia i uznał wpływ „okoliczności“, czyli wyrażając się ściślej, wpływ warunków otaczających—za najważniejszy czynnik odnośny. Ale działanie to, jak twierdzi on, nie jest bezpośrednie, lecz wywołuje naprzód u organizmów zwierzęcych pewne potrzeby, potęguje pewne czynności, a te ze swej strony powodują już odpowiednie zmiany w organizacyi.

Jeżeli pewne nowe okoliczności (circonstances)—mówi Lamarck—stają się trwałymi dla jakiejś rasy zwierząt, wówczas powodują one w tych ostatnich nowe przyzwyczajenia, t. j. nowe działa-

nia, które stają się zwykłymi, a wskutek tego w pewnych przypadkach niektóre części ciała bywają przeważnie używane niż inne, w innych natomiast są zupełnie nieużywane, gdyż stały się zbytecznymi.“

Rzecz interesująca, że Lamarck widzi w sposobie działania owych „okoliczności“, czyli czynników zewnętrznych, zasadniczą różnicę ze względu na świat roślinny i zwierzęcy. U roślin, twierdzi on, gdzie „niema żadnych przyzwyczajzeń we właściwym znaczeniu tego wyrazu“ wpływy zewnętrzne nie wywołują tą drogą zmian organicznych, ale tutaj „wszystko się odbywa przez zmiany w odżywianiu się, w objawach pochlaniań i oddychania, w działaniu ciepła, światła, powietrza, wilgoci! U zwierząt zatem Lamarck przyjmuje niejako pośrednie działanie czynników zewnętrznych; u roślin natomiast bezpośrednio—pogląd, nie wytrzymujący, rzecz prosta, ścisłej krytyki. Jeżeli bowiem zupełnie usuniemy nienaukowe i nieścisłe pojęcie „przyzwyczajenia“, lecz będziemy mówili wprost tylko o czynnościach organizmów, czynnościach jednorazowych lub stale się powtarzających, to nie znajdziemy żadnej zgoła różnicy pomiędzy roślinami a zwierzętami ze względu na kształtujące działanie warunków zewnętrznych. Tu i tam czynniki otaczające mogą wpływać i wpływają istotnie na modyfikacje pewnych czynności, a równocześnie ze zmianą funkcji z powstawaniem pewnych nowych, odmiennych objawów funkcjonalnych, ulegają też modyfikacji dane narządy, budowa bowiem i czynności narządu są ściśle z sobą związane i zmiana ostatej prowadzi zawsze do modyfikacji pierwszej.

Dla zilustrowania swoich twierdzeń i dowiedzenia ich prawdziwości, uczony francuski przytacza liczne przykłady, a niektóre z nich są tak wybitne, że przez nie dopiero staje się istotnie zupełnie jasną idea jego.

Wpływ bezpośredni warunków zewnętrznych na organizm roślinny jest, zdaniem Lamarcka, powszechnie znany; dowodzą go niezliczone przykłady z życia codziennego. „Wiosna np. bardzo sucha powoduje, iż zioła na łąkach słabo się rozrastają, są suche i wiotkie, a często kwitną i owocują, nie osiągnąwszy bynajmniej zwykłej wielkości. Natomiast wiosna, w której naprzemian następują po sobie dni gorące i deszczowe, wydaje zioła znacznych rozmiarów, a zbiór siana jest wtedy doskonały“. Skoro zaś wpływy korzystne lub nieodpowiednie działają na długi szereg pokoleń, wywołać one muszą odmianę, różniącą się od swego szczepu. „Jeżeli np. nasiona jakiejś rośliny stepowej zostaną przeniesione przez wiatr na miejsce wyniosłe, suche, piaszczyste, kamieniste, wystawione na częste wichry, i jeżeli będą tu kiełkowały, wówczas rośliny, mogące żyć w takiej miejsco-

wości, będą się zawsze źle odżywiały, a osobniki przez nie wyprodukowane wydadzą wreszcie —po pewnej liczbie pokoleń— odmianę różną istotnie od szczepu stepowego. Osobniki tej nowej rasy będą wogóle drobne, słabe, przyczem jednak pewne ich narządy będą może więcej rozwinięte niż inne, tak, że stosunki okażą się swoiste.“ Podobnie też wszystkie nasze rośliny uprawne, hodowane dla kwiatów lub owoców, nasze zboża, jarzyny, jakże różnią się od swych pierwotnych dzikich szczepów, jakież odmienne i typowe rasy stanowią one, a owe różnice osiągnięte zostały, zdaniem Lamarcka, jedynie i wyłącznie przez to, że dane rośliny znalazły się w innych warunkach że hodowane przez długi szereg pokoleń, w ogrodach lub na polach, podlegały swoistym wpływom zewnętrznym. O idei doboru sztucznego—mającego, jak wiadomo, tak doniosłe znaczenie w kulturze roślin i zwierząt—Lamarck zupełnie nie wspomina, czynnik ten był mu bowiem wcale nie znany.

Także co do powstawania ras zwierząt domowych, Lamarck widzi jedynie czynnik działawczy w zmianie warunków. „Ileż to ras bardzo różnych—mówi on—pośród naszych kur i gołębi domowych wytworzyliśmy dlatego, że poddaliśmy je działaniu różnych okoliczności (circonstances) w rozmaitych krajach.“

„Te z nich (zwierząt domowych), które są najmniej zmienione, powstały niewątpliwie przez domestykację mniej dawną i przez to, że nie zamieszkują klimatu im obcego, a w częściach ich ciała nie wytworzyły się znaczne różnice, dzięki nowym przyzwyczajeniom. Tak np. kaczki i gęsi domowe mają swój typ w kaczkach i gęsiach dzikich; lecz domowe utraciły zdolność wzlatywania na znaczne wysokości i przebywania w locie znacznych przestrzeni; wreszcie wystąpiła rzeczywista zmiana w ich częściach ciała w porównaniu ze szczepami pierwotnymi.“ „Kto nie wie—mówi dalej filozof francuski—że ptaki naszego klimatu, trzymane w klatce przez pięć lub sześć lat, a później wypuszczone na wolność, nie umieją latać tak, jak ich bracia, którzy zawsze byli wolni? Lekka zmiana okoliczności u tych osobników wywołała tylko zmniejszenie się zdolności lotu, nie powodując przytem żadnej zmiany w kształtach ich części. Lecz jeżeli długi szereg pokoleń tych osobników trzymalibyśmy w ten sposób w niewoli, nie ulega wątpliwości, że ich części ciała uległyby modyfikacyom znacznym. A gdyby nietylko sama niewola, ale i inne okoliczności wpływały na te osobniki, jak np. zmiana klimatu, a nadto gdyby przyzwyczajały się też one do innego rodzaju pokarmu oraz do nowych działań w celu uzyskania tego ostatniego—wówczas okoliczności te, zespolone i utrwalone, spowodowałyby z pewnością powstanie nowej rasy, bardzo swoistej.“

Co się tyczy „okoliczności“, które mogą zmieniać narządy ciał żyjących—mówi dalej Lamarck—to największy wpływ wywiera niewątpliwie różnorodność środowiska, w którym one przebywają; oprócz tego istnieją i liczne inne, które działają też w podobny sposób. Wiadomo, że cała powierzchnia ziemi naszej przedstawia, co do natury i rozkładu materii, w różnych jej punktach różnorodność warunków, związaną wszędzie z różnorodnością ciała zwierząt, a niezależną od różnorodności szczegółowej, wynikającej z postępu w komplikacji ich budowy“. W każdym atoli miejscu, które zwierzęta mogą zamieszkiwać, warunki pozostają przez bardzo długi czas takie same, i zmieniają się chyba tylko tak powoli, że człowiek nie może ich zauważyć bezpośrednio. Tylko dowody pośrednie, np. geologiczne, przekonywują go, że zmieniły się one, że nie były zawsze takie same, a co zatem idzie, że i w przyszłości ulegną zapewne modyfikacji. „A więc i rasy zwierząt, żyjące w każdej z tych miejscowości, muszą też zachowywać, przez równie długi czas zwyczaje swoje; i dlatego to pozornie wydaje nam się, że rasy są stałe, czyli że stałem jest to, co obejmujemy nazwą gatunku (espèce); stąd też błędny pogląd, że owe rasy, tworzące dany gatunek, są równie stare, jak i cała przyroda“.

Lecz w różnych punktach powierzchni globu naszego—rozumuje dalej Lamarck—okoliczności czyli warunki zewnętrzne mogą być jaknajbardziej rozmaite. Zwierzęta przeto, zamieszkujące te różne miejscowości, muszą się różnić pomiędzy sobą nie tylko ze względu na skład budowy w każdej rasie, lecz nadto i ze względu na przyzwyczajenia, jakich osobniki każdej rasy musiały nabyć“.

Na podstawie tego, co wyżej powiedziano, badacz francuski stawia niejako trzy następujące tezy: „1-o Każda, znaczniejsza nieco zmiana, dotycząca okoliczności, w jakich znajdują się odnośne rasy zwierząt, wywołuje na tych ostatnich zmiany realne, co do ich potrzeb. 2-o Każda zmiana w potrzebach zwierząt, wywołuje u nich inne działania w celu zadosyćczynienia nowym potrzebom, a tem samem i innym przyzwyczajeniom. 3-o Każda nowa potrzeba, wywołująca nowe działania w celu zadosyćczynienia im, zmusza dane zwierzę albo do częstszego używania tych części, których przedtem mniej używało, powiększając je i rozwijając, albo też do używania nowych części, które owe potrzeby stopniowo zrodziły, przez siły wewnętrznego czucia (les efforts de sentiment intérieur)“. Tę ostatnią myśl autor wyjaśnia na przykładach, które później przytoczymy.

Podstawą myśli Lamarcka jest nader trafna idea, że naprzód dany organ zaczyna się zmieniać czynnościowo, funkcyjonalnie, a dopiero ze zmianą czynności, jako skutek jej, modyfikuje się też budo-

wa i postać narządu. Ideę tę wypowiedział Lamarck jeszcze dawniej w dziele swem p. t. „Recherches sur les corps vivans“ (str. 50); brzmi ona, jak następuje:

„Nie narządy, nie natura i postać części ciała zwierzęcia wytworzyły jego zwyczaje i zdolności poszczególne, lecz przeciwnie, zwyczaje, sposób życia oraz okoliczności, w jakich znajdują się osobniki, wytworzyły z biegiem czasu postać ciała, ilość i stan narządów i wreszcie uzdolnienia zwierzęcia.“

Wszyscy biologowie późniejsi twierdzili również jednogodnie, iż modyfikacja czynności idzie przed zmianą morfologiczną, strukturalną danego narządu. Pojęcie „przystosowania“ wprowadzone przez Darwina do biologii zawiera w sobie również ową ideę pierwszeństwa czynności, akcji; organizm zaczyna się przystosowywać, dajmy na to, do nowych warunków oświetlenia, oczy jego—jeżeli zamieszkuje np. podziemia—są nieczynne, a ta zmiana funkcjonalna prowadzi do stopniowego zaniku lub wysokiego anatomicznego uwstecznienia narządów odpowiednich.

Otóż ideę tę głęboko zrozumiał, jeden z pierwszych, Lamarck, a niektóre przykłady, przezeń przytoczone, wskazują, jak świetnie zdawał on sobie sprawę z procesów ewolucyjnych, które zachodzą w rozwoju rodowym organizmów. Tak, powiada on, między innymi, że wszystkie niemal zwierzęta ssące posiadają zęby, które należą niejako do planu ich organizacyi, ale liczne walenie czyli wieloryby nie mają ich; zęby zanikły u nich, wskutek przyzwyczajania się tych zwierząt do innego sposobu pobierania pokarmu w środowisku wodnym, czyli, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, wskutek przystosowania się ich do pewnych odmiennych warunków, a że zęby istniały niegdyś rzeczywiście u waleni, a właściwiej u prarodzciców tychże, na to mamy dowód—mówi Lamarck—w obecności zawiązków zębowych u płodu wieloryba: fakt, spostrzeżony poraz pierwszy przez Geoffroy'a, a stwierdzony później wielokrotnie. Lamarck pojmował więc doskonale znaczenie narządów szczątkowych, tymczasowych (prowizorycznych) dla teoryi ewolucyi. Wspomina on o fakcie, że u ślepca (*Aspalax*), żyjącego, jak kret, pod ziemią, zanikły w znacznej mierze oczy, wskutek nieużywania, tworząc tu tylko szczątki („vestigés“) ukryte pod skórą, a to samo zachodzi też u odmienca czyli proteusza, zamieszkujące ciemne groty Krainy. Fakta te objaśnia Lamarck przez nieużywanie, „nie ćwiczenie“ narządów wzrokowych. „Światło—mówi on—nie przenika wszędzie; a więc zwierzęta, które żyją zwykle na miejscach, gdzie brak tegoż, nie mają sposobności ćwiczenia swego narządu wzrokowego, o ile przyroda zaopatrzyła je w ten narząd. Zwierzęta tedy, zbudowane według planu organizacyi

w którym oczy są konieczne, muszą je posiadać w związku. Jeżeli więc znajdujemy pomiędzy niemi takie, które nie używają tych organów, a u których występują one jako szczątki ukryte i przysłonięte, wynika z tego najoczywściej, że uwstecznienie lub nawet zanik tych organów—to wynik stałego ich nieużywania.“

Jak doniosłe znaczenie ma używanie organów dla kształtowania się rakowych, tego dowodzą, zdaniem uczc nego francuskiego, liczne bardzo przykłady. Przedewszystkiem uderza nas fakt, że już jeden osobnik, używając w pewnym kierunku danego narządu, może go rozwinąć w ten lub ów sposób, lub też naodwrot, nie ćwicząc pewnych narządów, może je doprowadzić do wysokiego stopnia zaniku. Lamarck przytacza, między innymi, spostrzeżenia M. Tenon'a, który badając przewód pokarmowy u ludzi, oddających się nałogowi pijaństwa, stwierdził, że tenże jest u nich w wysokim stopniu skrócony. Pochodzi to, mniema on, stąd, że pijacy nałogowi pobierają mało stonkowo pokarmu stałego, pożywienie zaś płynne, a zwłaszcza alkohol, nie pozostaje długo ani w żołądku, ani w jelitach, a przeto przewód pokarmowy nie bywa u nich należycie rozciągany przez pokarmy. Jeżeli używanie lub nieużywanie pewnego narządu wywiera nań wpływ modyfikujący w ciągu życia jednego osobnika, to jakież znaczenie ma ten czynnik, gdy działa on na liczne pokolenia osobników! Lamarck przyjmował jako rzecz, nie podlegającą nawet dyskusyi, że właściwości, nabywane w ciągu życia osobnika przenoszą się drogą dziedziczności na potomstwo, i dlatego to zasadę używania narządów, odgrywającą ważną rolę w życiu indywiduum, poczytywał on, najmniejszej nie widząc w tem trudności, za doniosły czynnik ewolucyjny. W dziełach jego nie znajdujemy nawet cienia wątpliwości co do tego, ażali wszelkie właściwości nabywane stają się dziedzicznymi; uważał on to za tak oczywiste, że wszelkie roztrząsania odnośne, wydawały mu się całkiem zbyteczne. A jednak dzisiaj, jak zobaczymy, ten kardynałny punkt teoryi dziedziczności, uległ komplikacyi, a mianowicie po pracach Weismanna, który zakwestyjonował w wielu wypadkach możliwość odziedziczenia właściwości, nabywanych przez zwierzę w ciągu życia indywiduałnego.

W jaki sposób zasada używania w związku ze zmianą przyzwyczajenia i funkcyi pod wpływem zmienionych warunków (okoliczności) modyfikuje organizację zwierząt—ilustruje to Lamarck za pomocą licznych, nader interesujących przykładów.

Ptaki, np. zmuszone do unoszenia się na wodzie w celu poszukiwania zdobyczy, rozszerzają palce nóg swoich, gdy pragną uderzać o wodę i poruszać się po jej powierzchni. Skóra, łącząca te palce przy ich podstawie, otrzymuje przez to ustawiczne rozszerzanie pal-

ców właściwość rozciągania się; a więc z biegiem czasu ukształtowały się tym sposobem szerokie błony, łączące palce u kaczek, łabędzi i innych pływaków. Podobne usiłowania w celu unoszenia się na wodzie i pływania spowodowały powstanie błon pomiędzy palcami u żaby, żółwia morskiego, wydry, bobra i t. d. Ptaki natomiast, które żyją na lądzie, które mają zwyczaj siadania na gałęziach i obejmowania tychże palcami nóg swoich, otrzymały w skutek takiego sposobu życia palce długie, silne oraz pazury wydłużone. Ptaki zerujące na bagnach i błotach lub brodzące po płytkich wodach w celu szukania tu zdobyczy „usiłują ze wszech miar unieść swe ciało,” a wskutek tego nogi ich wydłużyły się, stały się szczudłowate, przyczem szyja musiała się bardzo wyciągnąć i wydłużyć, aby podczas brodzenia dziób dosięgnąć mógł zdobyczy.

Sposób objaśnienia powyższych faktów zawiera wobec naszego dzisiejszego pojmowania rzeczy—nieco elementu metafizycznego, wydaje się cokolwiek naiwnym, a pochodzi to stąd, że Lamarck wprowadza owo nieszczęśliwe pojęcie przyzwyczajenia, wnosi jakiś element psychiczny, mówi o *usiłowaniach* danych zwierząt do wykonania pewnych czynności w jakimś określonym celu. Nadaje to cechę nieco metafizyczną tokowi jego rozumowania i nie zadawalnia nas z powodu nie zupełnie mechanistycznego sposobu traktowania czynników rozwoju organicznego. Wszystkie atoli przykłady i dowodzenia Lamarcka byłyby nas zupełnie zadowolniły, gdyby mówił on wprost o *przystosowaniu* się zwierząt do danych warunków; faktem jest, że np. ptaki pływające przystosowane są w całej organizacyi swojej do życia w wodzie; ich pletwy między palcami, krótkie nogi, obecność gruczołu łojowego, którym maszczą swe pióra, puch, ogrzewający ich ciało, dziób, służący do pobierania i cedzenia namułu wodnego, słowem każda część ciała pływaka odpowiada doskonale sposobowi jego życia, warunkom środowiska jego, czyli przystosowana jest do tychże. Pojęcie przystosowania mieszają niektórzy z pojęciem zmienności lub doboru naturalnego, nawet w dziełach Haeckla znajdujemy bardzo często zupełnie niewłaściwie użyty wyraz: „przystosowanie.” Otóż to ostatnie jest objawem najogólniejszym, bez względu na to, jak sobie będziemy tłumaczyli jego powstanie. Darwin przypisuje, jak wiadomo, genezę przystosowania w przyrodzie głównie działaniu walki o byt i doboru naturalnego, który zachowuje przy życiu osobniki, odznaczające się zboczeniami najbardziej korzystnymi dla nich w danych warunkach. Lamarck natomiast przyjmuje, że fakt przystosowania się organizmów do danych warunków jest wynikiem bezpośredniego wpływu tychże na zmianę pewnych funkcji u zwierząt, zmiana zaś czynności wywołuje też

odpowiednią stopniową modyfikację w budowie i postaci ciała organizmów.

Myśl tedy przewodnia Lamarcka jest bardzo głęboka i najzupełniej się zgadza z naszymi dzisiejszymi, mechanistycznymi poglądami ewolucyjnymi, błąd zaś tkwi niejako w sposobie przedstawienia myśli tej, we wprowadzeniu pewnych pomocniczych nie zupełnie jasnych pojęć, które gmatwając myśl główną, stały się przyczyną, że przykłady, za pomocą których badacz francuski usiłował zilustrować ideę swoją, przytaczane były często przez późniejszych przyrodników (po Darwinie) z pewnem lekceważaniem.

Toć przecie powszechnie są znane, a dozą komizmu zabarwiane przykłady, jako ilustracye poglądów Lamarckowskich, iż żyrafa, zamieszkująca gaje i usiłująca zawsze dosięgnąć liści na wysokich drzewach, otrzymała „wskutek takiego przyzwyczajenia i usiłowania“ długą szyję i wysokie nogi, że mrówkojad, mając „przyzwyczajenie“ zjadania mrówek i „usiłując“ je wydostawać z mrowisk, otrzymał długi bardzo i giętki język! Klasyczny jest przykład, który dotyczy się zwierząt ssących roślinożernych; tutaj idea przystosowania występuje w całej pełni, jakkolwiek Lamarck mówi wciąż o przyzwyczajeniach i usiłowaniach. Przytaczam go w dosłownym prawie przekładzie: „Zwierzę czworonożne, u którego okoliczności i potrzeby... wywołały oddawna zwyczaj skubania trawy, chodzi tylko po ziemi i musi pozostawać większą część życia swego na czworakach..., używa więc ono nóg swoich tylko do podtrzymywania ciała na ziemi, do chodzenia lub biegania, nigdy zaś do wspinania się i łążenia po drzewach“. Wskutek zwyczaju pobierania codzien wielkich mas pokarmu oraz ruchów powolnych podczas popasania..., „zwierzęta te stały się wielkie, o ciężałe, jak np. słonie, nosorożce, bawoły, byki, konie i t. d.“ „Zwyczaj zaś podtrzymywania ciężkiego ciała na czworakach i chodzenia przez cały dzień po ziemi, spowodował, że palce nóg pogrubiały, skróciły się, pokryły się bardzo grubą pochwą rogową (kopyta, racice), a ponieważ palce służą tu tylko do chodzenia, a nie np. do obejmowania przedmiotów (gałęzi, pni), przeto niektóre zupełnie zanikły, tak, że zachowały się u wielu ssaków kopytne tylko w liczbie dwóch, a nawet jak u konia, w liczbie jednego palca, pokrytego obszernem kopytem“, a znakomicie się nadającego do stąpania po ziemi, trawą pokrytej, np. po stepie. Myśl zasadnicza Lamarcka jest tu bardzo głęboka; choć moglibyśmy ją wyrazić w ten sposób, że zwierzęta kopytne doskonale są przystosowane do warunków, wśród których żyją, zwłaszcza zaś do sposobu pobierania pokarmu swego.

Jak dalece atoli Lamarck opanowany był przez ideę swego „usiłowania“, i jak nie mógł on pozbyć się pewnego spekulatywnego sposobu zapatrywania się, dowodzi tego nader wymownie uwaga o genezie rogów przeżuwaczy: „Zwierzęta przeżuwające—powiada on—mogą używać nóg swoich jedynie do podtrzymywania ciała i mają mało sił w szczękach swoich, ponieważ te ostatnie wyćwiczone są tylko w zrywaniu i żuciu ziół; wskutek tego zaś, zwierzęta te mogą walczyć tylko przez uderzania, zadawane głową, kierując wierzchołek tejże ku przeciwnikowi. W przystępie zaś zaciekłości—co często się zdarza—zwłaszcza u samców, ich uczucie wewnętrzne (sentiment intérieur), wskutek owych usiłowañ, kieruje energiczniej soki ku tej części głowy, a powstaje tu przeto wydzielanie się (sécrétion) materii rogowej w jednych wypadkach, lub też rogowej, zmieszanej z kostną, w innych, wywołując wyniosłości twarde—zawiązki rogów.“ Widzimy zatem, że Lamarck przypisuje w pewnych przypadkach owym „usiłowaniom“, owym popędom wewnętrznym, czyli czynnikom psychicznym wprost twórcze, organizujące właściwości, przyjmuje możność przekształceń morfologicznych pod wpływem niejako czynników woli.

Oto poglądy Lamarcka na czynniki rozwoju organicznego. Idee wielkiego uczonego szeroko zostały uwzględnione przez jego następcę w dziedzinie teorii ewolucyi, Karola Darwina. Ten ostatni uważał, jak wiadomo, za główny czynnik rozwojowy walkę o byt i dobór naturalny, opierając się na zjawiskach doboru sztucznego, stosowanego oddawna przez człowieka świadomie lub bezwiednie w kulturze roślin i hodowli ras zwierzęcych. Rzecz interesująca, że i Lamarck i Darwin wzięli za punkt wyjścia rasy domowe, widząc w nich przedewszystkiem niezbity dowód plastyczności form organizowanych, zmienności ich oraz rozbieżności cech u postaci potomnych w porównaniu ze szczepami pierwotnymi. Gdy jednak Lamarck ową zmienność cech, oraz wytwarzanie się ras odmiennych, przypisywał wyłącznie zmianie „okoliczności“ czyli warunków, wśród których u różnych ludów i w różnych okolicach globu naszego kształtowały się owe rasy, to Darwin przyjmował, jako czynnik najdonioślejszy, dobór sztuczny, świadomy lub bezwiedny.

Wszelako, jeżeli wogóle za istotny czynnik, przyjmowany przez Lamarcka, uważać będziemy zasadę używania lub nieużywania organów w łączności z warunkami zewnętrznymi—to z czynnikiem tym napotkamy się również w dziełach Darwina, jakkolwiek ten ostatni przypisywał mu tylko rolę dodatkową, podrzędną w obec doboru naturalnego (oraz płciowego), który uznał za główny. Najklasyczniejszy pod tym względem przykład w dziele Darwina „O powstawaniu

gatunków", tyczy się owadów, które zamieszkując pewne wyspy oceaniczne, utraciły skrzydła. Na wyspach tych panują silne wiatry, ku morzu wiejące; owady zatem, które wiele latają, zanoszone są często przez wiatr na morze i giną tam, te zaś, które częściej przesiadują w zaroślach, w kryjówkach, które rzadziej wogóle latają, mają znacznie większe szanse pozostania przy życiu. Dobór zachowuje tu zatem postaci w jaknajmniejszej zdolności do lotu, a tak w ciągu długiego szeregu pokoleń powstały na wyspach tych przeważnie owady bezskrzydłe lub mające skrzydła szczątkowe. Ale jednocześnie działała tu zasada nieużywania, te bowiem owady, które najmniej latały, nie używały należycie skrzydeł, co doprowadziło do uwstecznienia lub zaniku tych organów. Darwin sam zwraca na to uwagę i powiada, że w tym przypadku działać mógł dobór naturalny łącznie z zasadą nieużywania, a nadto w związku z danymi warunkami zewnętrznymi, w tym razie—wiatrami, ku morzu wiejącymi. Mamy tu zatem zjednoczenie, zespolenie idei Darwinowskiej z Lamarckowską, zasady doboru naturalnego z czynnikiem używania lub nieużywania organów. I w wielu innych miejscach dzieł swoich Darwin zwraca uwagę na doniosłość czynnika Lamarckowskiego, a zapominają snąć o tem bardzo często ci krytycy i komentatorowie Darwina, którzy całkiem błędnie przypisują myślicielowi angielskiemu, iż dla niego istnieje tylko jeden czynnik ewolucyjny—dobór naturalny (a także dla wytłómaczenia ornamentacyjnych właściwości zwierząt—dobór płciowy). Do kwestyi stosunku lamarkizmu do darwinizmu powrócimy jeszcze niżej. Idee Darwina tak zaprzątnęły umysły badaczy w szóstym i siódmym dziesięcioleciu minionego wieku, że przeważna większość zoologów, zwłaszcza młodszych, ulegając tymże, widziała w doborze naturalnym jedyny niemal motor ewolucyjny; zasada natomiast Lamarcka coraz bardziej traciła urok swój. Wszelako niektórzy biologowie, uznając niedostateczność doboru, przeciwstawiali mu zasadę bezpośredniego wpływu warunków zewnętrznych, a tem samem skłaniali się do poglądów Lamarckowskich. Jednym z tych był v. N a e g e l i, który w r. 1884 w słynnym swoim dziele „O mechaniczno-fizyologicznej nauce o rozwoju,“ zwalczał zasadę doboru naturalnego, starał się wykazać pewne słabe jej strony, a zarazem przyjmował, że rozwój organiczny odbywa się pod wpływem w e w n ę t r z n y c h sił, tkwiących w materji, organizowanych i uwarunkowanych przez budowę tejże i czynności fizyologiczne, a także pod wpływem b e z p o ś r e d n i e g o działania w a r u n k ó w z e w n ę t r z n y c h, np. klimatu, światła, natury gruntu i t. d., pod którym to względem hołdował w znacznej mierze idei Lamarcka.

Owo pojęcie przyczyn „wewnętrznych“, sprężyn ukrytych (innere Kräfte, innere Entwicklungstriebe), popędów niejako samorzutnych, tkwiących w materji organizowanej, stanowiących jakby jedną z koniecznych właściwości jej bytu i zmienności w szeregu pokoleń—pojęcie to zaprzętało umysły wielu biologów ku końcowi ubiegłego stulecia. Ale było to tylko omówienie czegoś niewiadomego; tam gdzie brak określonego pojęcia, nauka stawia często wyraz, który jest jednak wówczas pustym tylko dźwiękiem. Takim był też ów termin: „przyczyny wewnętrzne“.

Naegeli wyobrażał sobie, że t. z. idioplazma t. j. zaródź będąca podścieliskiem wszelkich znamion dziedzicznych i warunkująca wszelkie właściwości gatunku i osobnika, ma określoną budowę hypotetyczną (metastrukturę), że składa się z drobnych, organizowanych cząstek, nazwanych micellami, które są zbiorami drobin fizycznych. Pomiędzy owymi micellami działają siły swoiste, warunkujące wszelkie objawy życiowe ustroju. Sądził on, że micelle są ułożone szeregami, tworząc jakby nici, które ciągną się przez całe ciało, po przez komórki, a zależnie od tego, jakie siły międzymicellarne kombinują się z sobą ku danemu miejscu, powstaje tu taka lub inna właściwość ustroju. Podczas rozwoju i życia osobnika, owe szeregi micellarne nie zmieniają jakoby wzajemnej konfiguracji, t. j. na przecięciach poprzecznych układ wzajemny szeregów tych w plazmie (idioplazmie) jest stały. Ale w rozwoju rodowym, dzięki siłom tkwiącym w samej idioplazmie, w związku z wpływami zewnętrznymi, owe szeregi micellarne zmieniają konfigurację swoją, pomiędzy dawne bowiem szeregi wstawiają się inne, nowe, a wskutek tego i nowe też muszą następować kombinacje sił międzymicellarnych, czyli nowe zjawiać się właściwości i znamiona organiczne. Tym sposobem, według Naegelego, podobnie jak z jaja rozwija się osobnik danego gatunku, dzięki siłom wewnętrznym, tkwiącym w idioplazmie jaja, a podczas rozwoju zarodka następuje szereg zmian w ściśle określonym kierunku, prowadzących do wytworzenia danej postaci—tak samo też i w rozwoju rodowym odbywa się w pewnym kierunku szereg zmian, z których każda następująca jest wynikiem poprzedzającej, a które warunkują zmienność postaci organicznych w szeregu pokoleń, czyli rodową ich ewolucję. Tak pojmował Naegeli działanie owych sił wewnętrznych, owych potęg kierowniczych w rozwoju świata organicznego.

Genialna idea Naegelego, że w jaju mieści się właściwie cały gatunek, że np. jajo kury nie jest mniej różne od jaja kaczego ani-

zeli knra od kaczki, albowiem i w jednym i w drugim zawarte są niejako zawiązki wszelkich znamion dziedzicznych jednego lub drugiego gatunku—idea ta miała doniosłe bardzo znaczenie dla kwestyi owych wewnętrznych czynników rozwoju organicznego. Wiadomo, że rozwój zarodka zależy od różnych warunków, a przedewszystkiem od stosunków odżywiania się tegoż w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, głównie atoli zawisły jest od określonych tendencji dziedzicznych, tkwiących w idioplazmie (podścielisku cech dziedzicznych) jaja. Dlatego też z jaja każdego gatunku powstaje zawsze osobnik tegoż gatunku, a dzięki różnym warunkom zewnętrznym otrzymywać on może tylko pewne właściwości indywidualne, jakkolwiek większość tych ostatnich dziedzicznie się przenosi od przodków. Tak więc w ogólności mówić możemy o wewnętrznych i zewnętrznych czynnikach rozwoju osobnikowego; ugruntowanie tych pojęć należy się głównie, zdaniem mojem, Naegelemu.

Otóż w embryologii, nauce o rozwoju osobnikowym, owo pojęcie sił wewnętrznych jest zupełnie jasne, mamy tu bowiem na myśli czynniki dziedziczne, którym przeciwstawiamy postronne, modyfikujące te ostatnie, a oznaczone nazwą zewnętrznych. Rzuca to pewne światło na istotę wewnętrznych czynników rozwoju rodowego, genealogicznego. Każdy gatunek jest produktem całego szeregu innych gatunków, które poprzedzały go w rozwoju rodowym, Jeżeli więc gatunek, dajmy na to, *a* posiada pewien zasób znamion, to te ostatnie są wynikiem całego szeregu znamion u jego przodków, np. *b, c, d, e*. Przy odpowiednich warunkach zewnętrznych, a zarówno też i przy działaniu doboru naturalnego, gatunek *a* może się zmienić w pewien sposób swoisty, ale natura tej zmiany zależną będzie od tego, jakie rodowo dziedziczne właściwości posiada ów gatunek *a*. Jeżeli np. *a* jest produktem życia gatunków *b, c, d, e*, które stopniowo się przekształcały, a *a'*—wynikiem życia gatunków *b', c', d', e'*, które przekształcając się również w określony sposób, wydały *a'*, to przy jednych i tych samych zmienionych warunkach inaczej zmodyfikuje się *a*, a odmiennie *a'*, inaczej zareaguje na zmienione warunki zewnętrzne *a*, inaczej zaś *a'*, bo jeden i drugi zawiera inne dziedziczne właściwości. Tak np. wyobraźmy sobie, że pewne warunki zewnętrzne, łącznie z działaniem doboru, wywołują u pewnych zwierząt niezdolność do lotu; otóż inaczej zareaguje na to np. organizm ptaka, a inaczej ustrój owada; u pierwszego pewne kości szkieletu (skrzydeł) ulegną wstecznemu rozwojowi a wraz z nimi i pewne określone grupy mięśni, naczyń i nerwów; owad zaś, tracąc skrzydła, pozbywa się organów zupełnie odmiennego charakteru, u niego ulegną uwstecz-

nieniu pewne fałdy skórne, zmieni się pokrycie chitynowe, słowem znajdą w nim zmiany zupełnie innej natury anatomicznej. Tak więc należy rozumieć owo kombinowanie się czynników wewnętrznych i zewnętrznych przy rozwoju rodowym, owo współdziałanie sił wewnętrznych i akcyi zewnętrznych, zależnych od zmiany warunków otoczenia w najszerszym znaczeniu tego wyrazu.

Ponieważ atoli podczas życia każdego osobnika bezustannie działają pewne warunki, a życie jest ciąglem przystosowywaniem się ustroju do tych ostatnich, możemy przeto powiedzieć, że co z czasem stało się wewnętrznem, t. j. stało się dziedziczną właściwością ustrojów, to było niegdyś uwarunkowane przez czynniki zewnętrzne. Gdyby na ziemi naszej panowały inne zupełnie warunki ciężenia, ciśnienia, oświetlenia, inne stosunki ciepłoty, napięcia elektrycznego i t. d. to niewątpliwie ustroje globu naszego byłyby bardzo odmienne od tych, jakie dziś napotykamy; rozwój rodowy świata organicznego poszedłby niewątpliwie zupełnie inną drogą. Ostatecznie zatem tak czynniki wewnętrzne, dziedziczne, jako też zewnętrzne, po za organizmem działające, sprowadzić można do warunków, wśród których odbywał się i obecnie się jeszcze odbywa rozwój świata organicznego.

Oto drogą jakich rozumowań biologowie dzisiejsi doszli do wniosku, że jednym z najważniejszych środków do zrozumienia przemiany form organicznych jest dokładna znajomość wpływu na nie warunków, przyczem przez te ostatnie pojmujemy sumę bezpośrednich czynników tak zewnętrznych, jako też i ukrytych w samym organizmie. Ponieważ zaś już Lamarck, jak widzieliśmy, nadawał ogromne znaczenie temu czynnikowi, rozbiarał wpływ zmienionych „okoliczności“ na organizm roślinny i zwierzęcy, uwzględniał—wprawdzie w sposób niejasny i nie zawsze ścisły—stosunek pewnych wewnętrznych bodźców do owych okoliczności zewnętrznych—przeto ów kierunek w dzisiejszej biologii ochrzczony został przez niektórych badaczy mianem neolamarckizmu.

Neolamarckiści posługują się w wielu przypadkach metodą o wiele ściślejszą niż niektórzy inni teoretycy-biologowie, dociekający czynników rozwoju. Albowiem obok obserwacji czyli spostrzegania, wprowadzili też oni metodę eksperymentalną czyli doświadczalną, a wielka doniosłość tej ostatniej polega na tem, że możemy wyłączać pewne czynniki, wprowadzać sztucznie zmiany w warunkach i w ten sposób ściślej określać zależność pewnych modyfikacji w ustroju od określonych reakcyi zewnętrznych. Ale i tutaj wnioski wyprowadzamy przeważnie na podstawie analogii, pod którym to

względem i sama obserwacya daje wyniki niemniej zadawalniające, a mianowicie o ile posilkuje się ona metodą porównawczą. To podobieństwo metody porównawczo-obszawacyjnej oraz sposobu wnioskowowania na jej podstawie doświadczalnego badania zjawisk, był już zauważył genialny Jerzy Cuvier. A mianowicie, dzielił on umiejętności przyrodnicze, ze względu na dokładność ich metod, na trzy stopnie: „sciences de calcul“, do których zaliczał matematykę, astronomię i pewne części fizyki, „sciences d'expériment“, do których zaliczał chemię i fizykę doświadczalną, oraz „sciences d'observation“, t. j. opisowe nauki przyrodnicze. Ale oto powiada on, że i te ostatnie można przez pewną metodę, a mianowicie porównawczą, podnieść do wyższego rzędu i uczynić je „science d'expériment.“ Podobnie jak fizyolog w laboratorium—mówi Cuvier—tak też i przyroda umieszcza swe zwierzęta w różnych warunkach, jedne wystawia na jasne światło, inne w bezustannej więzi ciemności, jedne trzyma pod silnem ciśnieniem atmosferycznem, inne pod słabem i t. d. i podobnie jak fizyolog skraca albo usuwa ten lub ów narząd, tak też i u zwierząt na łonie przyrody jedne organa silniej się rozwijają, inne zanikają. Przyroda zatem tworzy gotowe „espèces d'expériment;“ należy tylko porównywać i uwzględniać różne warunki życiowe i czynności, aby stąd wyciągać właściwe wnioski.

Neolamarckiści, jak powiedzieliśmy, posługują się w znacznej mierze eksperymentem. Jeżeli pod wpływem jakiegoś sztucznie wprowadzonego bodźca, działającego przez szereg pokoleń, powstanie swoista modyfikacya w budowie danych postaci zwierzęcych, i jeżeli z drugiej strony na łonie przyrody napotkamy analogiczną modyfikacyę oraz bodźce do pierwszego podobne lub identyczne, będziemy mogli wówczas twierdzić, że znacznym bardzo stopniem prawdopodobieństwa, że na łonie natury dana modyfikacya w budowie powstała jako wynik określonego bodźca lub tych albo innych warunków. Rzecz naturalna, że wnioski takie zyskają na pewności, jeżeli doświadczenie będzie ściśle przeprowadzone i jeżeli obserwacya porównawcza w znaczeniu tej, o jakiej mówi Cuvier, potwierdzi również wyniki eksperymentu.

Jako przykład, wskazujący, ile może zdziałać metoda doświadczalna, oraz jak ważne i pewne osiągnąć ona może wnioski—służyć może szereg badań doświadczalnych nad wpływem temperatury, podczas rozwoju poczwarek, na postać, ubarwienie i rysunek motyli. Nad kwestyą tą pracowało w nowszych czasach wielu badaczy, a sądzą, że nieco szczegółowsze przedstawienie wyników odnośnych da czytelnikowi właściwe pojęcie o charakterze neolamarckistów oraz

o stosunku doświadczeń i wniosków z nich wyprowadzanych do zagadnień teoretyczno-ewolucyjnych.

Już w r. 1845 ogłosił D o r f m e i s t e r pracę, w której doszedł do wniosku, iż przy powstawaniu odmian motyli daleko ważniejszą rolę odgrywa klimat, a zwłaszcza temperatura, aniżeli jakość pokarmu lub krzyżowanie. Doświadczenia jego wykazały, że u wielu motyli, poczwarki, podlegające działaniu wyższej temperatury rozwijają się w motyle o jaśniejszem, żywszem ubarwieniu, natomiast te, na które działa niższa, dają motyle o wyraźnie ciemniejszej barwie skrzydeł. Wkrótce potem A. W e i s m a n n odkrył t. z. dwukształtność (d y f o r m i z m) s e z o n o w ą, t. j. zjawisko, polegające na tem, że pewne gatunki naszych motyli występują w dwóch postaciach różnych pod względem ubarwienia i rysunku, t. z. letniej i zimowej. Tak up. jedna z pospolitych naszych rusalek występuje jako t. z. *Vanessa levana*, rozwijająca się z poczwarek, które prezimowały, te ostatnie zaś są potomstwem postaci, które latają w lecie, t. z. *Vanessa prorsa*. Motyl ten ma podwójną nazwę gatunkową *Vanessa levana prorsa*, a to z tego powodu, iż dawniejsi badacze, nie znając owej dwukształtności sezonowej, przypuszczali, że postaci zimowe i letnie przedstawiają dwa całkiem różne gatunki, zwłaszcza, iż istotnie wyglądają bardzo odmiennie. Widzimy zatem, że podczas gdy *V. levana* rozwija się w zimnej porze roku, *prorsa*, przeciwnie osiąga swój rozwój podczas ciepłych miesięcy. Otóż, Weismann zadał sobie pytanie, ażali różnice temperatury nie wywołują odmiennego ubarwienia i rysunku u obu odmian. Przedsięwziął też szereg doświadczeń; a mianowicie próbował przez sztuczne podwyższenie temperatury w zimie otrzymać z potomstwa *V. prorsa* znów *V. prorsa*, naodwrot zaś przez obniżenie ciepłoty podczas lata—otrzymać z potomstwa *V. levana* znów pokolenie *V. levana*. Pierwszy szereg doświadczeń udał się tylko połowicznie, z czterdziestu bowiem poczwarek *V. prorsa*, hodowanych w temperaturze 12 do 25° R, tylko trzy wylęły się na wiosnę jako znówu *V. prorsa*, większość zaś miała ubarwienie *V. levana*. Natomiast drugi szereg doświadczeń, a mianowicie próba otrzymania postaci *V. levana* z tejże odmiany--uwieńczone zostały lepszym znacznie wynikiem. Poczwarki hodowane były w lodowni raz przy 8°—10° R, drugi raz przy 0°—1° R. W pierwszym przypadku, gdzie temperatura użyta do doświadczeń, okazała się jeszcze za wysoką, otrzymał Weismann zamiast *V. prorsa*, (która wedle stosunków w naturze zachodzących powinna być powstać) jedną postać przejściową pomiędzy *V. levana* i *V. prorsa*, w drugim zaś, na 20 poczwarek—aż 15 postaci przejściowych, z których kilka było ładnąco podobnych do *V. levana*. Lepiej udały się doświadczenia z pospo-

litym motylem bielinkiem (*Pieris napi*). Postaci letnie i zimowe tego motyla, latające u nas jedna latem druga wiosną, udało się wytworzyć zoologowi frejburskiemu przez sztuczną zmianę ciepłoty, w której legły się poczwarki.

W nowszych czasach napotykamy cały szereg badań w tym kierunku; poszukiwania Dorfmeistra, E. Fischra (*Transmutation der Schmetterlinge infolge Temperaturänderungen. Experimentelle Untersuchungen über die Phylogese der Vanessen. 1894*), Frings'a, a zwłaszcza M. Standfussa (*Experimentelle zoologische Studien mit Lepidopteren. 1898*), A. Weismanna (*Neue Versuche zum Saisondimorphismus der Schmetterlinge 1895*) i wielu innych nagromadziły całą skarbnicę niezmiernie interesujących faktów, które dowodzą bezpośredniego wpływu temperatury na powstawanie różnych odmian motyli, napotykanych w przyrodzie. Jest to jedna z najbardziej interesujących dziedzin zoologii doświadczalnej, stanowiąca ważny przyczynek dla neolamarckizmu współczesnego.

Szczególniej ważne są poszukiwania Standfussa, któremu udało się przez działania ciepła i zimna przeobrazić postaci lokalne pewnych gatunków motyli w odmiany właściwe okolicom południowym, względnie północnym. Tak np. przekształcił Standfuss postać *Papilio podalirius* z Walii przez działanie ciepła w odmianę *zanclus*, latającą w stanie naturalnym w Neapolu i na Sycylii. A to samo powtórzył później Frings z poczwarkami tegoż gatunku w Niemczech, otrzymawszy przez hodowlę tych poczwarek w wyższych temperaturach, odmiany południowe. Podobnie też udaly się doświadczenia z poczwarkami znanego motyla środkowo-europejskiego, zwanego „jaskółczym ogonem“ (*Papilio Machton*), a mianowicie otrzymano z nich przez działanie ciepła odmiany południowo-europejskie, syryjskie i turkestańskie. Z drugiej zaś strony przez hodowlę w niższej temperaturze poczwarek rusałki pokrzywowej (*Vanessa urticae*) z Zurichu otrzymano odmianę, latającą w Japonii (*Van. polaris*), podczas gdy tenże gatunek pod wpływem wyższej temperatury przekształcił się w odmianę znaną w Korsyce i Sardynii (*Vanessa urticae* var. *ichnusa*). Także poczwarki wielu innych, znanych powszechnie na szczytach rusałek dziennych, np. admirała, pawika, żalobnika, rozwijają się w odmiany, właściwe krajom północnym, względnie południowym, zależnie od tego, czy poddajemy je sztucznie działaniu wyższej, czy też niższej temperatury.

Powyzsze doświadczenia mają ogromną doniosłość dla teorii ewolucyi. Okazuje się z nich, że temperatura jest w danym wypadku owym czynnikiem zewnętrznym, który wywołuje pewne zboczenia

w ubarwieniu i rysunku skrzydeł, a co ważniejsze, że postaci klimatu umiarkowanego przekształcają się pod wpływem tego czynnika w południowe lub północne. Prosty z tego wniosek, że i na łonie natury, postaci pochodzące od wspólnych przodków, w miarę jak osiedlały się w krańcach bardziej północnych lub południowych, jak podlegały działaniu wyższych lub niższych temperatur w różnych klimatach, przeobrażały się w formy swoiste, znane dziś jako odmiany południowe, względnie północne. A wniosek ten możemy z tem większą wyprowadzić pewnością, iż badania Standfussa i Fischera wykazały nadto, że cechy nowonabyte pod wpływem owego sztucznie wprowadzonego czynnika, są *d z i e d z i c z n e*, czyli że się przenoszą na potomstwo; odmiany o charakterze postaci południowych lub północnych, otrzymane doświadczalnie z form klimatu umiarkowanego, przenoszą na potomstwo znamiona swoje. Fakt ten nie tylko przemawia w wysokim stopniu za prawdopodobieństwem powstania odmian rzeczonych przez bezpośrednie działanie klimatu, ale ma też znaczenie ogólniejsze, bo stanowi nowy dowód przeciwko przypuszczeniu Weismanna, jakoby cechy nabywane w życiu indywidualnem nie były nigdy dziedziczne. W przypadku bowiem przez nas omawianym widzimy, że przeciwnie, znamiona nabyte przez rodziców w ich życiu osobnikowem, a mianowicie pod wpływem zmienionych warunków, przenoszą się na potomstwa.

Dla teorii neolamarckistycznych, przyjmujących za najważniejszy czynnik ewolucyjny: działanie warunków otoczenia na szeregi pokoleń danych ustrojów — dla teorii przytoczone wyżej wyniki mają ogromne znaczenie, a nadto doskonałe, sędzę, ilustrują doniosłość eksperymentu w dzisiejszym neolamarckizmie i wykazują zarazem możność wyprowadzania wniosku, co do pochodzenia pewnych postaci w przyrodzie na podstawie wyników eksperymentalnych.

Nie wszystkie wprawdzie fakta odnośne są dla nas dotychczas zupełnie jasne ze stanowiska teorii ewolucyi. Tak np. Fischer przekonał się, że poczwarki rusałki pokrzywowej (*V. urticae*), hodowane w temperaturze $+ 38^{\circ} \text{C}$, rozwijają się w odmianę południowo-europejską (*var. ichtusa*), gdy natomiast trzymane w wyższej jeszcze temperaturze, a mianowicie $+ 40$ do 41°C ., dają początek odmianie podobnej do postaci północnej (*v. polaris*). Doświadczenie to poucza nas, że zbyt wysokie temperatury działają na rozwijające się poczwarki równie hamująco, jak i zbyt niskie i że w rezultacie w obu tych przypadkach powstają postaci polarne, wynik niewątpliwie bardzo interesujący, ale nieco trudny do wyjaśnienia. Z doświadczeń podobnych okazuje się, że wogóle działanie chłodu i wielkiego mro-

zu jest jednakowe, lecz wpływ ciepła i gorąca jest odmienny, ostatnie bowiem działa w taki sam sposób, jak temperatura bardzo niska. Inną trudność nastrocza fakt, iż w pewnych przypadkach zbyt wysokie ciepło lub zimno powoduje powstawanie postaci, które w naturze napotykać się bardzo rzadko. Tak np. poczwarki żałobnika, hodowane w niskich temperaturach, rozwijają się w postaci pozbawione oczu. Fakt ten trudno sobie objaśnić, ale ostatecznie jest on niezmiernie interesujący w obec tego, że widzimy tu bezpośredni wpływ temperatury na zanik pewnego organu.

Nieco szczegółowiej zatrzymaliśmy się nad powyższemi pracami, aby dać czytelnikom właściwe wyobrażenie o kierunku prac neolamarckistów w pewnych dziedzinach zoologii, i aby wykazać, ile światła rzucają doświadczenia tego rodzaju na różne problemata w dziedzinie teorii rozwoju.

Badania powyższe, jak i liczne inne, podobne, bezpośrednio dowodzą wpływu warunków zewnętrznych na przemianę postaci organicznych. Neolamarckiści opierają się jednak nadto na licznych innych zdobyczach współczesnej biologii, zwłaszcza zaś t. z. mechaniki rozwojowej, które pośrednio dowodzą owego wpływu.

Pomiędzy rozwojem zarodka i rodu istnieje wielka analogia. Podobnie jak w rozwoju osobnika, punkt wyjścia stanowi jedna komórka (jajo), które dzieląc się, wytwarza skupienia komórek, różnicujących się na pewne określone grupy i podobnie jak przez ową zasadę różnicowania się powstają kolejne etapy rozwojowe, o coraz to większej komplikacji—tak też i w rozwoju rodowym z istot jednokomórkowych wytworzyły się postaci wielokomórkowe, pośród których drogą ciągłego różnicowania się występowały postaci o coraz większej komplikacji w budowie. T. z. prawo biogenetyczne stwierdza nawet w bardzo wielu przypadkach, że kolejne zmiany pewnych narządów embryonalnych odbywają się taką samą drogą, jak w rozwoju rodowym, że kolejne etapy rozwojowe u osobnika i w rodzie mniej lub więcej sobie odpowiadają.¹⁾ Jak to już powiedzieliśmy wyżej, w rozwoju osobnika odróżnić możemy dwa szeregi czynników rozwój ten markujących: wewnętrzne i zewnętrzne („die inneren und die äusseren Factoren der organischen Entwicklung“, jak je nazywają badacze niemieccy). Wewnętrzne — są to czynniki dziedziczne, przywiązane do materii, stanowiącej podścielisko znamion przenoszących się w spadkobierstwie z przodków na potomków, zewnętrzne są uwarunkowane przez wpływy otoczenia, wśród którego zarodek się rozwija, zwłaszcza zaś

1) Pt. „Szlakami wiedzy“ 1904. Rozdz. p. t. „Prawo biogenetyczne.“

przez różne bodźce (Reize), które ustawicznie działają na ustrój i wywołują w nim rozmaite reakcje czynnościowe i strukturalne. Otóż, wobec wielkiej analogii pomiędzy procesami rozwoju osobnikowego i rodowego, neolamarkiści przypuszczają, że i ten ostatni uwarunkowany jest przez czynniki wewnętrzne i zewnętrzne, przez przyczyny tkwiące w samej materii organizowanej oraz przez wpływy warunków zewnętrznych, bodźce świata otaczającego. Biologia lat ostatnich dostarczyła bardzo wielu faktów, dowodzących, że na rozwój osobnika wywierają wpływ doniosły czynniki zewnętrzne; fakta te stanowią tedy pośredni dowód na korzyść neolamarckizmu.

Tak np. stwierdzono, że rozwój barwika w skórze zwierząt, warunkującego koloryt tychże, zależy w wielu bardzo przypadkach bezpośrednio od stosunków oświetlenia, działanie zaś to bywa bardzo rozmaite w zależności od natury danych organizmów, a więc od wewnętrznych ich właściwości biologicznych, dziedzicznie nabytych. Ubarwienie zatem można uważać z tego względu za rezultat współdziałania czynników wewnętrznych i zewnętrznych. Niewątpliwie wszakże w rozwoju jego odgrywał także ogromną rolę dobór naturalny i płciowy, które to czynniki pozostawiamy jednak w tej chwili na uboczu, zaznaczając tylko doniosły ich współdział. Oto niektóre fakta odnośnie. Według badań Flemminga i Fischela młodociane postaci jaszczurów (salamander), trzymane w półcieniu, stają się silniej zabarwione, hodowane zaś w świetle, otrzymują barwę bladą, a to wskutek tego, że barwik w tym ostatnim wypadku słabiej się rozwija, a komórki barwikowe skóry (zawierające ziarenka barwika) stają się drobne i pozbawione wyrostków. U niektórych zarodków ryb powstają pod wpływem światła liczne, czarne i czerwone komórki barwikowe, które czynią zwierzątko zupełnie nieprzezroczystem. Liczne zwierzęta, zamieszkujące ciemne miejsca, tracą barwik, np. pewne pająki jaskiniowe lub odmienne (proteusze) w grotach Postojny (Adelsbergu). Te ostatnie świeżo z grot wydobyte są bezbarwne, cieliste, ale wystarczy hodować je przez kilka tygodni, albo niekiedy w oświetlonych naczyniach szklanych, aby przybrały barwę ciemno-brunatną, prawie czarną.¹⁾ Fakta takie przemawiają w wysokim stopniu za tem, że w biegu rozwoju rodowego pewne swoiste ubarwienia zwierząt rozwinęły się również pod wpływem bez-

¹⁾ Takiej barwy odmienne posiadam w laboratorium swoim we Lwowie, gdzie żyją lat kilka w oświetlonych akwaryach; przywiezione, były całkiem bezbarwne.

pośredniego działania światła, pod działaniem pewnych swoistych warunków oświetlenia.

Nader interesujący szereg faktów przytoczyć można ze względu na warunki odżywiania, na skład chemiczny pokarmów. Botanicy znają niezliczoną ilość przykładów odnośnych; natura gruntu, chemiczny skład gleby, działają modyfikująco na rośliny, powodują znaczne nieraz zmiany w ubarwieniu liści, grubości tychże, w ogólnym wyglądzie roślin, dotyczącym ich rozmiarów i ustosunkowania w rozwoju poszczególnych organów. Co się tyczy zwierząt, to przytoczymy, dla przykładu, następujące fakta. Koch próbował przyzwyczaić gąsienice pewnych motyli—prządek do innego pokarmu, aniżeli zwykle pobierają. Próby uwieńczone zostały bardzo pomyslnym skutkiem, a okazało się przytem, że motyle wylęgnięte z poczwerek, których gąsienice odmiennym żywiły się pokarmem, miały też ubarwienie bardzo różne od zwykłego. Możemy tedy przypuścić, że gdy pewne zwierzęta, zniewolone np. głodem, przenoszą się do innych miejscowości i tu przystosowują się do odmiennego pokarmu, ten ostatni może między innymi wpłynąć na zmianę ubarwienia zwierząt tych. I inne zresztą fakta wskazują na możliwość zmiany kolorytu pod wpływem różnego pożywienia. Tak np. krajowcy w nadbrzeżnych okolicach rzeki Amazonki, karmiąc zwykłą tam papugę zieloną, *Chrysotis festiva*, tłuszczem wielkich ryb sumowatych powodują pojawianie się na ciele tej papugi plam czerwonych i żółtych. Wallace opisuje, że Indianie Ameryki południowej zmieniają barwę piór wielu ptaków, zaszczepiając do świeżej rany mleczną wydzielinę skóry małej ropuchy tamtejszej; pióra otrzymują często błyszczącą barwę żółtą. We wszystkich tych przypadkach zmiana ubarwienia występuje pod wpływem pewnych swoistych związków chemicznych, wprowadzanych przez pokarm lub przez zaszczepienie do krwi danych zwierząt. Środki chemiczne mogą także modyfikować pewne procesy rozwojowe. Herbst np. wykazał, że jeżeli do wody morskiej, w której znajdują się zarodki jeżowców, dodamy małej ilości soli litowych, wówczas listek zarodkowy wewnętrzny (entoderma), tworzący jelito larwy, nie pozostanie jak zwykle, wpuklony do wnętrza, lecz wypuklił się na zewnątrz; są to postaci, nazwane przez niego „Lithium—Larven.“ Znamy też cały szereg innych jeszcze faktów analogicznych, świadczących wymownie o bezpośrednim, kształtującym znaczeniu różnych środków chemicznych. Możemy stąd wyciągnąć wniosek, że jeżeli dane środki chemiczne, zawarte np. w glebie lub w wodzie, działać będą na pewne organizmy w ciągu bardzo długiego szeregu pokoleń, wywołają one w budowie ustrojów tych, pewne znaczne modyfikacje, które stać się mogą

wreszcie dziedzicznymi. Oto przykłady pośrednich niejako dowodów, przemawiających na korzyść teorii neolamarckistycznych.

Nie mogę wreszcie pominąć jeszcze jednego przykładu z dziedziny dzisiejszej mechaniki rozwojowej, znakomicie ilustrującego nam, w jaki sposób fakta tej ostatniej zastosować się dają do teorii neolamarckizmu. Jaja różnych kręgowców zawierają rozmaitą ilość t. z. żółtka odżywczego czyli deutoplazmy, stanowiącej materiał pokarmowy dla zarodka i zachowującej się podczas rozwoju tegoż zupełnie biernie, w przeciwstawieniu do czynnej protoplazmy. W jaju np. ssaków deutoplazma występuje w stosunkowo bardzo małej ilości, przyczem jest ona równomiernie rozmieszczona (w postaci drobnych ziarenek) wewnątrz protoplazmy; w jaju żab jest jej znacznie więcej i zajmuje ona przeważnie jeden biegun, podczas gdy drugi zajęty jest przeważnie (nie wyłącznie) przez protoplazmę. W jajach gadów, ryb i ptaków żółtka odżywczego jest bardzo wiele i znajduje się już ono jedynie na jednym biegunie jaja, podczas gdy drugi zajęty jest wyłącznie przez protoplazmę. Od różnego sposobu rozmieszczenia materiału odżywczego wewnątrz jaja, zależy sposób dzielenia się (brózdowania) tegoż podczas rozwoju zarodka. Żółtko odżywcze jest zawsze cięższe niż protoplazma, dlatego też jajo układa się zawsze biegunem żółtkowym do dołu, twórczym zaś do góry. Tak tedy i jaja żabie układają się w skrzeku, do wody złożonym, biegunami odżywczymi ku górze. Skoro umieścimy jaja żabie w maszynie odśrodkowej (centryfugalnej) i zaczniemy je szybko obracać, wówczas wskutek siły odśrodkowej możemy wywołać całkowite odgraniczenie obu rodzajów zawartości jajowej t. z. deuto—i protoplazmy, jako substancyj posiadających różny ciężar gatunkowy. W ten sposób można sztucznie przez to rozmieszczenie przekształcić jajo żabie w podobne do rybiego lub gadziego, gdzie obie substancje są całkowicie od siebie odgraniczone, a jajo takie rozwija się pod wielu względami w odmienny sposób, ponieważ inaczej się dzieli (brózdkuje). Otóż, Oskar Hertwig, który wykonał to doświadczenie, wyprowadza stąd wniosek, że gdyby ziemia nasza była planetą znacznie większą, aniżeli jest istotnie, a więc gdyby i siła ciężenia była na niej większą, wówczas jaja niektórych zwierząt, jak np. żab, przekształciłyby się musiały (jak w powyższym doświadczeniu z maszyną odśrodkową, gdzie siłę ciężenia zastępuje—odśrodkowa) w jaja podobne do gadzich lub rybich, a przeto i rozwój tych zwierząt przebiegałby musiał inną drogą. Tak więc mamy dowód pośredni, że nawet budowa jaj i rozwój ich zawisłe są od takiego czynnika zewnętrznego, jak siła powszechnego ciężenia, że w ewolucji świata organicznego ten czynnik odgrywać musiał bezpośrednie działanie na

kształtowanie się postaci zwierzęcych, podobnie zresztą jak stwierdzono to również ze względu na rośliny, gdzie działanie to występuje jeszcze znacznie wybitniej.

Przytoczone wyżej przykłady bezpośrednich oraz pośrednich doświadczeń w dziedzinie neolamarckizmu wystarczą, sądzę, aby dać czytelnikowi właściwe pojęcie o kierunku odnośnych badań. Z kolei musimy jeszcze rozpatrzyć nieco bliżej stosunek neolamarckizmu do darwinizmu w ściślejszem znaczeniu tego wyrazu czyli do teorii doboru naturalnego. Otóż darwinizm objaśnia, jak wiadomo, genezę pożytecznych przystosowań w przyrodzie organicznej; wszelka zmiana, która okazuje się korzystną dla osobników w walce o byt, zachowywaną jest i potęgowaną przez dobór naturalny, natomiast indywidua z modyfikacjami niekorzystnymi ulegają w walce tej, giną. Tak powstają liczne, pożyteczne przystosowania organizmów, które, jako pojawiające się przy pośrednictwie doboru, nazwać możemy przystosowaniami pośrednimi. Widzieliśmy atoli, że liczne właściwości ustrojów powstają także niewątpliwie pod wpływem bezpośredniego działania warunków zewnętrznych; jedne z tych właściwości mogą być zupełnie obojętne dla życia organizmów, np. pewne plamki barwikowe u motyli powstające pod wpływem odmiennego sposobu odżywiania się gąsienic; inne atoli mogą być szkodliwe lub naodwrot pożyteczne w walce o byt. Tego rodzaju przystosowania można oznaczyć nazwą bezpośrednich, ze względu na ich genezę, a o ile okazują się one korzystnymi dla osobników, podlegają dodatkowo też działaniu doboru. Można by powiedzieć, że dobór zapewnia egzystencję tym osobnikom, które pod wpływem warunków zewnętrznych lub oddziaływań współczynnych wewnątrz samego ustroju, otrzymały pewne bezpośrednio przystosowania pożyteczne. Darwin, jak już zaznaczyliśmy wyżej, przyjmował możliwość takich przystosowań bezpośrednich, np. nie wyłączał ewentualności, że gęste futro wielu zwierząt polarnych mogło być wywołane przez bezpośrednie działanie chłódów, które pobudzały w ciągu wielu pokoleń skórę danych gatunków do pewnych czynności; sądził on atoli, że prawdopodobniej w przyrodzie występują przystosowania pośrednie, osiągnane na drodze doboru naturalnego. W dziele Darwina o zmienności zwierząt i roślin pod wpływem udomowienia, czytamy np. ustęp: „Możliwym jest, że łapy naszych psów wodolazów oraz owych psów amerykańskich, które wiele biegają po śniegu, dlatego w części opatrzone są błoną łączną, iż na palce ich działał wciąż bodziec, który je rozstawał... ale któż dociecze, o ile gęste futro zwierząt polarnych oraz białe ich ubarwienie zależy od bezpośredniego działania ostrego kli-

matu, o ile zaś od zachowywania się osobników najodpowiedniej uposażonych w ciągu długiego szeregu pokoleń?

Wielu bardzo, a bodaj czy nieznaczna większość biologów współczesnych przyjmuje również, a nawet w większym jeszcze stopniu niż Darwin, powstawanie bezpośrednich przystosowań. Prof. L. Plate („Ueber die Bedeutung des Darwin'schen Selectionsprincipis und Probleme der Artbildung.“ 1903) wyraża się o tej kwestyi w sposób następujący: „Zdaje mi się, iż niepodobna wątpić o istnieniu przystosowań bezpośrednich, jakkolwiek w wypadkach poszczególnych nie można nigdy stanowczo orzec, czy dana modyfikacja odbyła się drogą bezpośrednią, czy też pośrednią... Błona lotna u workolota (*Galeoptihacus*) mogła powstać przez bezpośredni bodziec, współczynnik występujący wskutek rozstawiania ramion podczas skoków. U wielorybów woda mogła bezpośrednio działać na skórę i na podskórną tkankę łączną, wywołując utratę włosów i rozwój warstwy tłuszczowej. Dla świata roślinnego wykazał G. Bonnier, że jeżeli pewną grupę gatunków równinowych uprawiać będziemy w Alpach, to otrzymają one w krótkim czasie znaną, celową budowę, właściwą roślinom górskim. Liście staną się mniejsze, grubsze, mocniejsze, o budowie bardziej spoistej, uboższe w powietrze, obfitsze w zieleni barwy ciemno-zielonej. W tym samym czasie będą one rozkładały znacznie więcej dwutlenku węglowego, aniżeli odpowiednie narządy u roślin równinowych. Będą one doskonale przystosowane do wspinałego światła i krótkiego lata alpejskiego. Hulton (1899) podaje, że dydelf z Tasmanii, przeniesiony na południową wyspę Nowej Zelandyi, otrzymał gęstsze owłosienie wskutek klimatu chłodniejszego. Prof. Plate przyjmuje wszelako, że bardzo złożone przystosowania nie mogły powstać na tej drodze, na co najzupełniej należy się zgodzić. Wprawdzie już Naegeli (*Mechanisch-physiologische Abstammungslehre*, 1884) oraz później G. Pfeffer (*Die Umwandlung der Arten auf Grund des Ueberlebens eines verschieden gearteten Durchschnitts je nach dem Wechsel der Lebensbedingungen*, 1894) próbowali objaśnić złożone przystosowania przez bezpośrednie działanie warunków, np. Naegeli przyjmował, że bardzo złożone wzajemne przystosowania w budowie kwiatów i owadów powstać mogły przez bezpośrednie oddziaływanie wzajemne jednych na drugie—wszelako objaśnienia tego rodzaju nie wytrzymują ścisłej krytyki. Dotychczas tedy jedyne, do pewnego stopnia zadawalniające wytłómaczenie owych skomplikowanych, pożytecznych urządzeń czyli przystosowań w przyrodzie, daje nam tylko teoria doboru naturalnego.

Wszelako niektórzy biologowie dzisiejsi, będący bezwzględny mi wyznawcami darwinizmu (t. j. teorii doboru naturalnego), nie

przyjmują po większej części przystosowań bezpośrednich. Do nich należą np. August Weismann, Wallace, Spengel i inni. Są to t. z. neo-darwiniści, albo raczej ultra-darwiniści. Doskonale formułuje odnośny swój pogląd Prof. Spengel w świetnym szkicu p. t. „Zweckmässigkeit und Anpassung“ (Giessen. 1898). Oto pisze on np.: „Oczywiście, ani pojawienie się pokładu tłuszczowego, ani zanik sierści u wieloryba nie mogły być wywołane przez wpływ wody morskiej na te części, ani też przez używanie... Udało się wprawdzie, w ostatnich zwłaszcza czasach, przez zastosowanie systematycznych doświadczeń, wykazać pewne stałe i w części bardzo złożone działania wpływów zewnętrznych. Przypuszczam więc nawet, że liczne właściwości zwierząt i roślin powstają zawsze i stałe tylko na tej drodze. Jeżeli pewne wpływy trwają podczas rozwoju zwierzęcia lub zostają zastąpione przez inne, to wskutek tego odpowiedni osobnik pod pewnymi względami różni się od innych osobników gatunku swego. Lecz przystosowania nie tworzą się na tej drodze. Nie mamy żadnej podstawy do przyjęcia tego.“ Podobnego zdania jest też Weismann, który twierdzi, że pewne bezpośrednie bodźce i wpływy zewnętrzne, działają przez długi czas na t. z. plazmę zarodkową t. j. substancję będącą przenosicielką cech dziedzicznych, mogą zmieniać plazmę tę i spowodować pewne modyfikacje w organizacyi zwierząt i roślin, ale że zmiany te nie są po największej części właściwemi przystosowaniami, noszącemi znamiona urządzeń pożytecznych; te ostatnie bowiem powstawać mogą jedynie drogą pośrednią, przez działanie doboru naturalnego. Weismann i zwolennicy jego poglądów upatrują dalej szkopuł w teorii neolamarckizmu w tem, że ta ostatnia przyjmuje bez zastrzeżeń odziedziczenie cech nabywanych w ciągu życia osobników, bo skoro przyjmujemy, że np. pewien stały bodziec zewnętrzny modyfikuje w ciągu pokoleń organizację danego gatunku, to tem samem musimy przypuścić, iż każda drobna właściwość nabyta przez osobnik wskutek wpływu owego bodźca, staje się odrazu dziedziczną i przenosi się na potomstwo. Weismann atoli sądzi, że takie zmiany nabywane w ciągu życia osobnika nie są po większej części dziedzicznymi, bo modyfikacje pewnych organów lub części tychże, nie udzielają się plazmie zarodkowej, głęboko ukrytej w organizmie, w jego komórkach rozrodczych. Podobnie jak okaleczenia lub zranienia zadawane osobnikowi, nie odbijają się na jego plazmie zarodkowej i nie udzielają się przeto potomstwu, tak i inne też modyfikacje organiczne, nabywane przez indywiduum, nie są po większej części dziedzicznymi. To twierdzenie Weismanna nie jest jednak dotychczas dowiedzionem; owszem, pewne

fakta wykazują jaknajdowodniej możność odziedziczania zmian nabywanych, a stanowczo przyjęć już musimy dziedziczne przenoszenie się cech, które powstały przez bardzo długotrwałe działanie pewnych bodźców w ciągu nader długiego szeregu pokoleń. Wkraczamy tu zresztą w dziedzinę jednego z największych problemów dzisiejszej teorii dziedziczności, którego ostateczne rozwiązanie należy do przyszłości. Ona też wykaże ściślej stosunek neolamarckizmu do darwinizmu.

Prof. D-r JÓZEF NUSBAUM.

TWÓRCA i TŁUM.

Wyrobiło się pojęcie o zasadniczym, nieomal wrogiem przeciwnieństwie między twórcą i tłumem. Z głosów, które się w tej sprawie odzywają, z określenia zobopólnych stanowisk i dążeń, zdawałoby się mogło, iż są to dwa wrogie gatunki, skazane na walkę ze sobą na śmierć i życie, bez nadziei zresztą ostatecznego i decydującego zwycięstwa.

Oczywiście, pojęcia w tej sprawie są ogromnie poplątane, nie tyle może z powodu istotnych różnic w zapatrywaniach, ile z nieustalenia poprostu takich pojęć, jak tłum lub twórca. Dla tego też, chcąc choć w przybliżeniu ocenić wzajemny ów wrogi stosunek, należy odnaleźć istotne różnice we właściwościach tych dwóch sił i ich przeciwieństwach.

Tę sprawę, nie siląc się zresztą na sięgnięcie do ostatecznego rdzenia rzeczy, który może nie dałby się zgłębić, spróbuję rozpatrzyć, roztrząsając właściwości obojga grup, by na zasadzie tych właściwości wynaleźć punkty styeczne i wzajemność oddziaływania.

Cóż to jest twórca? Nie zamykając się na razie w granicach twórczości artystycznej, odnaleźć chcę właściwości stałe organizacyi twórczej, jako warunku, która wytwarza różnice gatunkowe wśród ludzi.

Sądzę, iż właściwością organizacyi twórczej nie jest nic innego, tylko spotęgowana siła intelektualna, tak, iż różnice w rzeczywistości są tylko ilościowe, a dopiero warunki zewnętrzne otoczenia wpływają na wytwarzanie się różnic jakościowych. Każda istota żywa posiada w granicach, koniecznych do jej istnienia, pewną siłę intelektualną, w której znów mieści się cząsteczka, stanowiąca ów pierwiastek twórczy. Mniejsza w tej chwili o nazwę przyrodniczą, jakoby należało ową zdolność oznaczyć. Przechodząc od zwierząt do człowieka, widzimy już doskonale wpływ i znaczenie owego pierwiastku w stanie gromadnym, przebiegając myślą znaczenie i udział ras i epok w rozwoju cywilizacyjnym i kulturalnym. Widzimy, oceniając na zasadzie osiągniętych rezulta-

tów, rasy małowórcze, jak gdyby złodowaciałe w stanie przewlekłego biologicznego bezwładu, dalej rasy średniotwórcze i rasy genialne, przepojone niby żywicą, swoją bujnością twórczą. Analizując je jednak i zestawiając między sobą, nie odnajdujemy pomimo to żadnych różnic jakościowych. Przechodząc z kolei do jednostek, w dalszym ciągu dostrzegamy tylko te same różnice ilościowe w organizacji intelektualnej. Przeciętą energią intelektualną człowieka, ta, która mu pozwala zająć wszechwładne stanowisko nad wszelkiem innym stworzeniem ziemi, właśnie na zasadzie swej przewagi ilościowej, stanowi ów poziom konieczny do utrzymywania się na stopniowo zdobytym stanowisku zwierzchniczem. Przeciętny umysł, nawet w środowisku najbardziej kulturalnym i genialnym może doskonale utrzymywać się na powierzchni bez wysiłku, a właściwie z tym niewielkim wysiłkiem, jakiego trzeba, by ogarnąć złożone już nieco warunki społecznej walki o byt. Ów przeciętny intelekt ma zadanie nadzwyczaj łatwe zasorbować wszystko, co mu do jego warunków bytu jest potrzebne, z gotowego, poprzednio już zdobytego materiału, rozrzuconego naokół przez umysły twórcze i przerobionego już w granicach korzyści praktycznych przez masy. Od tego poziomu idzie spadek w dół, gdzie się szeregują umysły, niedosięgające średniego poziomu, aż do kretynizmu i aberacji zupełnej, i druga linia skośna w górę aż do granic, gdzie jest panowanie geniuszów. Owe nazwy „flistrów“, „snobów“, „wyborców“, albo „dobrze poinformowanych“ i t. p., złośliwie i dowcipnie tworzone w naszych czasach, są właściwie słupami etapowymi w tej skośnej linii ku górze, która znaczy stopniowanie intelektu.

Jak rzekłem, pewna domieszka pierwiastku twórczego daje się odszukać w każdym umyśle, lecz tworzy ona typ twórczy dopiero wtedy, gdy ilością swoją przeważa w ogólnej ilości umysłowej. Umysłem twórczym będzie ten, który w bogactwie intelektualnym spotrzebowywa tylko cząstkę energii myślowej na cele egoistyczne, praktyczne, jednym słowem na cele życia i zachowania gatunku, lwiej części używając, jako siły oderwanej, działającej po za sferą praktycznego instynktu życiowego i po za granicami wytkniętych do tego kątów widzenia.

Siła twórcza umysłu działa w abstrakcyi, poza sferą interesów związanych z potrzebami gatunku. Ztąd pochodzi brak wszelkiego związku między doczesnymi potrzebami i interesami a wysiłkiem intelektualnym czystej twórczości czy to w filozofii, czy też w nauce lub sztuce. Geniusz twórczy daje się niejako zobrazować przez orła, co przy każdej okazji skałę swą i gniazdo opuszcza, by wznieść się w niezmierzone błękity, które nie znają granic i z których wysokości jego skały i gniazda nawet dojrzeć nie można.

Siły intelektualne natur twórczych z konieczności tylko zatrzymują się na zbiegu ciasnego dla nich kąta spraw codziennych, wymagających nie lotności, lecz cierpliwości, i zacieśnienia pojęć przy codziennych pospolitych trudnościach materyalnych życia, które natomiast wypełniają całą sferę myślenia i absorbują wszystkie władze umysłów małych. Herkules w pogoni za lwem i centaurami, jakże mało ma czasu i ochoty do uganiania się za zającem lub przepiórką, choć upomina się o to jego żołądek. To też zjawiskiem zwykłym życia jest, że w bezpośredniej walce o byt doraźnymi zwycięzcami są umysły małego lotu, umiejące się skupić około celów dotykanych i praktycznych.

Umysł twórczy podobny jest tworowi, któremu potężne loty czynią wstrętne chodzenie po ziemi, a umysł mały—istocie o muskularnych nogach, przywiązujących go do ziemi. Ztąd sferą panowania pierwszych są nieograniczone przestrzenie abstrakcyi, sferą panowania drugich—mocny grunt mniej lub więcej egoistycznego bytowania.

U pierwszych pierwiastek twórczy wypełnia prawie całe pole ich intelektualnego istnienia z małym ułamkiem na rzecz materyalnych potrzeb. U drugich intelektualne życie samo przez się, w oderwaniu od spraw codziennych, prawie że nie istnieje. Ztąd też umysł twórczy *wyodrębnia się*, czyli stwarza sobie swój świat oddzielny, *indywidualny* gdy przeciwnie wszelkie inne umysły starają się upodobnić swą sferę intelektualną dla oszczędzenia wysiłku myśli i osiągnięcia przez to tem większych korzyści praktycznych. Oczywiście obrachunek korzyści praktycznych okazuje takie rezultaty tylko pozornie, jedynie przy bilansie doraźnym, gdyż rzeczywisty obrachunek wykaże, iż wszystkie najbardziej nawet praktyczne korzyści ludzkość osiągnęła jedynie dzięki właśnie tym bezinteresownym i „niepraktycznym“ zaciekaniom umysłów twórczych w sferę abstrakcyi. A owa mityczna postać Prometeusza, który, nie dbając o siebie, zadarł z Olimpem i wykradł ogień, jest symbolem wieczyście powtarzających się porywów myśli w sfery otaczających ludzkość tajemnic.

*

*

*

Wyraz tłum sam przez się nie stanowi żadnego ścisłego określenia. Używamy go, chcąc wyrazić przeciwstawienie m a s y j e d n o s t c e, o ile ta jednostka sama przez się stanowi w pewnym wy-

padku zamknięty w sobie świat indywidualny i odrębny w stosunku do gromady nie zróżniczkowanej indywidualnie.

Jest w naturze wszystkich istot żywych skłonność do zwierania się w gromady w przeczuciu spotęgowania tem swej siły w walce o byt. To zwieranie się, w świecie zwierzęcym znane jako instynkt stadny, komplikuje się w stosunkach ludzkich o tyle, że jest uświadomione, i w złożonych warunkach życia, złożone przybiera formy. Więc naprzód, jako akt przystosowania się w granicach wspólnych praw i obyczajów, stanowi mocne węzły w postaci poczucia społecznego. Dalej zaś, różniczkując nieco najogólniejsze łączniki tych uczuć wspólnych, łamie się na klasy, powiązane w gromady, na zasadzie pewnej równości kulturalnej, umysłowej, albo majątkowej. Żadna z tych grup jednak nie stanowi już, dziś zwłaszcza, masy ściśle zwartej pod każdym względem, ukrywając pod zasymilowaną dla oka powierzchnią różnice indywidualne, różnice w znaczeniu skali intelektualnej niezmiernie. Lecz arystokratyzm ducha i umysłu oznaki swoje ukryte ma bardzo głęboko, potęga twórcza działa w ciszy i odosobnieniu, rzadko tylko zarysowując się widomie na zewnątrz. Dla tego też granic intelektualnych, granic, oddzielających plebs ducha od żywiołu twórczego, zakreślić wyraźnie nie sposób. Można być szewcem a filozofem, skromnym bakałarzem a uczo-ny-m, rzemieślnikiem a artystą.

A będą to właściwości mózgowe nie stanowe, ni zawodowe, i dla tego też w stopniu odwrotnym można z każdej z tych właściwości intelektualnych uczynić sobie zawód i ubierać się w nie dla świata, a jednak być i pozostać—tłumem. Bo tłum nie ma klasy, ani stanu, tak jak nie ma go umysł twórczy. Zasadniczą cechą przynależności do tłumu jest słabość i zależność intelektualna. Myśl człowieka-tłumu oderwana od gromady, przestaje istnieć. Jak chód małego dziecka, nie czuje się dość silną, bez podparcia, by kroczyć w kierunku z siebie wytworzonym, bo nie ma w sobie zarodków ani kierunku, ani rzutu. Dla tego też myśl tłumy trzyma się mocno i bezkrytycznie przeszłości, i w instynkcie zachowawczym chroni się przed każdym nowym powiewem idejowym.

Umysł twórczy zaczyna wtedy dopiero istnieć, gdy jest sam, gdy siła rzutu jego, zrodzona z ośrodków indywidualnych, popycha go w przestrzenie niewiadomego. Umysł-tłum żyje ciągle pod grozą niewiadomego i dąży całą siłą do zatracenia swych pierwiastków indywidualnych i stopienia szczątków swej siły twórczej z bezwładem myślowym gromady.

Umysł twórczy bezwiednie odosobnia się od tłumy przez wyłączność absorbujących go celów olbrzymich, które dla tłumy nie mają

przez to samo żadnego znaczenia. Tłum zamyka się w najbliższych drobiazgach życia i mnożąc je przez swą liczbę, nadaje im w iloczynie doniosłość pierwszorzędnego znaczenia dla życia. Tłum jest niewolnikiem swego bezwładu, twórca niewolnikiem swej siły.

Tłum nieświadomie uciska twórcę i nakłada mu pęta, czasem zaś w dobrej wierze zwraca się przeciw niemu, widząc w nim wroga swego bezwładu, a w bezwładzie podstawę swego istnienia. Bo tłum nie uświadamia tego, co odczuwa twórca, iż życie jest ciąglem parciem w nieskończoność i ciągłą przemianą w formy coraz to doskonalsze i szersze, a bezwład jest nicością i niebytem.

*

*

*

Jak powiedziałem, tłum niema stanu, ani klasy, tak jak niema ich twórca. Biblijny Hiob-nędzarz jest twórcą, a możni przyjaciele jego—tłumem. Twórcą jest Ezop niewolnik, włóczęga-pieśniarz Homer, rozpustny pieczeniarsz Sokrates, albo żebrak Dyogenes. Wszechwładny Krezus jest tłumem wobec Solona; twórcą jest Hans Sachs, szewc-poeta, i mnich pokorny Fra Angelico; tłumem—uczeni, sztydzący z Kolumba, i najwyższa rada papieska, zmuszająca Galileusza do wyrzeczenia się swych twierdzeń.

W nowszych czasach wraz z rozgałęzieniem się umiejętności i rozwojem specjalizacji w danych jej gałęziach, ów tłum w znaczeniu ideowem formuje się w kadry bardziej zdecydowane i spoiste. Takie kadry formują się w każdym oddzielnem ognisku twórczości, tworząc zwarty pierścień między twórcami i masą ludzką. Z racji swego zawodu uzurpują sobie prawo pośrednictwa i sądu, i zaprawdę ów ciśniejszy, zgrupowany tłum bardziej jeszcze zaciera wszelkie nici łączności między twórcą i masami.

Wszystkie właściwości tłumy: egoizm stadny, bezwład żywej myśli i lęk przed ogromem niewiadomego, trzymają pod panowaniem swym ich ducha, nieposiadającego dość siły do przewyciężenia tej niewoli.

Miast bijącego źródła-twórczości, sadzawka cierpliwie nagromadzona wiedzy zawodowej, mechanicznie z zewnątrz zebranej, służy tu jako surogat siły twórczej. Materiał, rozrzucony wokoło przez żywioły twórcze i w gotowych odlany już formach, pozwala im brać z tego i kłaść na się maski twórców wobec bezkrytycznego tłumy,

a poczucie nicości duchowej zwiera ich w gromadę o wspólnych chwilowych hasłach i dążeniach. Taki tłum bezpośrednio otacza zwartym pierścieniem odosobnione i samotne z natury swej indywidualności twórcze, zasłaniając ich od oczu mas swą ilością, i czujnością wobec znanych sobie instynktów i porywów gromady. Zaś nieświadomym może, lecz instynktowo przeżywającym dążeniem mas jest chęć zrównania poziomu intelektualnego gromady. Chęć, która nie mogąc w żaden sposób zrealizować się przez podniesienie poziomu, prac w kierunku najsłabszego oporu, dąży do poniżenia umysłów wielkich w celu podniesienia małych.

Ideał, nigdy oczywiście nie zrealizowany. Dążenia, naruszające w posadach najkardynalniejsze prawa natury, które gdyby nawet naruszone być mogły, stałyby się wyrokiem zagłady i powrotem ludzkości do stanu pierwotnego. Prawo walki o istnienie jest równie stałe i mocne w sferze życia intelektualnego, jak i zwierzęcego, i na niem opiera się prawo nieustającej w obszarach materii i myśli ewolucji. Zrównanie umysłów ku dołowi byłoby zarazem występieniem wszelkiej twórczości intelektualnej, bo twórczość ta istnieje tylko przez wyższość swoją i jest z gruntu arystokratyczna. Ów tłum uświadomiony, tworzący otoczkę ognisk twórczych, sam przez się jednak zupełnie jałowy stanowi właśnie ten niebezpieczny materiał niwelacyjny między tłumem i twórcą. Stosunek między tłumem i twórcą jest zdawna ustalony i wyraźny. Przestrzeń martwa i nieprzebyta, która te dwa żywioły duchowo dzieli, wypełniona jest nie tyle nienawiścią, ile obcością. Obcą jest żywa i nieogarnięta dusza twórcy dla bezwładnej i małej duszy tłumy. W tej obcości przewijają się jednak nici podziwu i uroku, jakie zawsze obudza w tłumie siła wielka i tajemnicza w swej żywiołowości, którą on instynktownie przeczuwa, gdy znów z kolei tajemnicze łączniki rodzą się w duszy twórczej pod wpływem choćby drobnych i niewyraźnych objawów pokrewieństwa, połyskujących w przekrojach szarej gleby gromadnej duszy, skrywającej we wnętrzach swoich drobne żyłki szlachetnych pierwiastków, zaoszczędzonych od zużycia w walce o chleb. Tą drogą strzępy żywej myśli odrywają się i wsiąkają w tłum powoli, lecz bezpośrednio, odnajdując sobie asymilacyjne łączniki.

Historia, ta życia mistrzyni, na każdej karcie zawiera przykłady, że w walce ducha i myśli, tej nieustannej walce o byt duchowy, rację ma zawsze mniejszość, przeciwstawiająca się większości; że w imię tej racji zwycięstwo z góry jest rozstrzygnięte, choć zwycięzca pada u stóp zwyciężonych. Idea, poczęta w jednostce, powoli przesiąka w tłumy i z czasem staje się własnością mas i ich hasłem, jest

bowiem szerokim i jasnym wyrazem tego, c6 w drobnych kryształkach nieuświadomione spoczywało w bezwładnym umyśle tłumu.

Tłum się opiera, bo tak mu każe instynkt zachowawczy gatunku; tłum się broni, bo każdy nowy objaw twórczy wstrząsa w posadach jego bezwładem, lecz oba te zjawiska, stałe i niezmienne, są niejako dobroczynną ochroną przed wstrząśnieniami zbyt raptownymi. Droga mas nie może iść linią łamaną, nie może się cofać i zawracać, jak powietrzna droga natur twórczych.

Ten opór jednak niema jeszcze cech wrogości i nie tu należy szukać owych momentów tragicznych, które tak stale wytwarzają się na punktach zetknięć.

Jak powiedziałem wyżej, masy zupełnie bezwładne nie biorą udziału czynnego w tej akcji. Przeciwstawiają one wszelkiemu ruchowi ogrom swojego bezwładu, w którym powoli i niewidocznie siła twórcza wytwarza proces zamiany materii. Lud naprzykład wchłania i asymiluje w sobie tylko w granicach swej istotnej żywotnej pojemności. „Księgi, które zblądzą pod jego strzechy“, wszelka myśl nowa, wszelka forma nowa, bądź przesiąkają w pory jego, gdy grunt jest właściwy, bądź zastają go obcym i odbijają się od twardej bezwładnej jego masy, a twórca mówi: nie jestem jeszcze ustami dla tych uszu!

Walka zawzięta i wroga, walka podstępna i sprowadzana często aż na niziny egoizmów, zaczyna się dopiero na pozycjach, zajętych z mocy przywilejów zawodowych przez ową skrajną warstwę tłumu, i oto największą zaporą i źródłem tragedii twórczej staje się ta warstwa pośrednia, maskowana na typ twórczy, przystosowany do wymagań i uciechy mas. Władza nad tłumem jest taką rozkoszą, korzyścią z łask tłumu płynące tak wielkie, że to samo musi być magnesem zbyt kuszącym dla tłumu o pozorach twórców, zwłaszcza, że biorąc gotowe formy od twórców, formy dawne dobrze już opatrzone i na zimno wypełniając czerpanym z zewnątrz surogatem, wydają tak mało, iż całą prawie siłę mózgową zwrócić mogą równocześnie w kierunku praktycznym, gdy natomiast twórca, mówiąc słowami Dantego, tworzy, niby przyroda: w ogniu, co więcej, tworzy bezwiednie, posłuszny prawu wewnętrznemu, które mu kierunek wskazuje. Ów tłum z twórczości uczynił zawód zarobkowy; zaś powołanie wewnętrzne każe mu czuć i myśleć wraz z tłumem, jeno bez jego prostoty i szczerości. Ztąd poszła sztuczność dróg, po której się toczy dzisiejsza twórczość, podpierana szczudłami umiejętności nabytej, otamowana szeregiem względów, zasad i wymagań. Te czcze żywioły, wdarłszy się do filozofii, do poezji i sztuki, dążą do uczynienia z nich igraszki tłumu, do zepchnięcia twórczości pod nogi sytej bezmyślności. Co gorsza, w pogoni

za powodzeniem i oklaskiem deprawują tłum i odzierają go z jego naiwności i prostoty. Chwalą jego wszechmoc i potęgę, jak Neronowi biją nieszczerze oklaski, podnosząc wielkość jego na arenie życia. Czy dziwić się, iż tłum uśmiecha się mile do swych chwalców, swych trefnisiów i bazarzy, usypiających go do snów spokojnych. Wszak umieją oni chodzić koło niego tak cicho, nie dotknąć nigdy garbu, ni tłuścioci brzucha, nie trącić w żadną ranę przyschniętą; tak zręcznie umieją przysłaniać, przytem zwierciadło życia, w którym przypadkiem mogłaby się odbić prawda. Czyż dziwić się, że tłum ufnie przytula się do nich, onieśmielony hardością szczerych twórców, że mierząc jednych drugimi, uczuwa bliskość krewną do tych, co go bawią i chwalą? Wszak występują oni zawsze, jako obrońcy ludu, bogów i nświęconych podwalin przeszłości. Zaś po linii prostej szczerze i śmiało rzuca strzałę swej myśli twórca. Po linii prostej przebija swą drogę, nie bacząc, czy droga ta nie zawadza o drzewo, na którym wyryte dawnego życia nierozumiane już znaki, czy nie przecina pól i pól, do których zdawna nawykła była już gromada, bo on widzi cel swój daleki i drogę do niego najkrótszą.

Lecz tylko najbliżsi widzą z nim cel jego, a tłum dostrzega jeno draśnięte drzewo, złamany płot, podeptane pole. Skrajne warstwy drą wtedy szatę, wprowadzają tłum w bezwładne przerażenie i napełniają kubek nową porcją cykuty.

*

*

*

Nieprawdą jest, by właściwy tłum-ogół wrogi był twórcom. Nie odczuwa tylko w sobie jego siły i przez to utrzymuje się w bezwładzie obojętności, aż siła rzucona nie przesiąknie do wnętrza jego. Twórca żyje sam w sobie, lecz przeciwagę swej myśli twórczej opiera na otoczeniu. On wie, że te masy nie współczują z nim przez swój bezwład, w sobie tedy szuka mocy, by ich z bezwładu wytrącić. Nie zniża się do tłumy i nie łączy, lecz chce go ku sobie ruszyć, by go zdobyć nie dla siebie, lecz dla złożenia w nim swego ducha. Mocując się z sobą i zwyciężając siebie, wierzy w przyszłe swe zwycięstwo i nawet w grób wzgardzonym i nieznanym schodząc z życia, jeszcze w obliczu ma wyraz zwycięzcy. Bo bez wiary w zwycięstwo, nie można być twórcą.

Lud nie jest wrogiem twórcy; jest on tylko bezwładnym łonem, które twórca na przyszłe owocowanie zapładnia. A któż jest wrogiem

jego; kto stwarza te tragedye tworzenia, te trucizny dla ducha i ciała, to szarpanie się aż do pierwszego brzasku zwycięstwa; kto podszczuwa i torturuje za życia, by po śmierci okradać i żywić się ciałem i krwią twórców? Każdy życiorys prawdziwego twórcy odpowie nam na to; każdy bez wyjątku jest obrazem rozpaczliwego oganiania się przed rozżartą zgrają tego zamaskowanego tłumu z patentami na twórczość, tego rzeczywistego tłum u w świątyni ducha. Co innego są starcia o ideje, walki tytanów, które twórcy raz po raz staczają między sobą. „Za błękitami jest bój i zwycięstwo“, bój o królowanie ducha w imię prawdy, by po walce rozejść się „jak dwa na słońcach swych przeciwnych—bogil“ Lecz tłum nie odczuwa nawet znaczenia takich starć, on rozumie tylko walkę o chleb i powodzenie, taką, w której nagrodą są poklaski i zysk, a spryt życiowy bronią. I tu jest właśnie pięta achillesowa twórców. Każdy z nich również potrzebuje względnej niezależności materialnej, zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb życiowych. Innemi słowy, potrzeba mu tego rubla lub franka, dla których zdobycia Mickiewicz zastawiał nieraz kopertę od zegarka, a Chopin szarpał sobie nerwy lekcjami w domach prywatnych. Czy można obliczyć, ile w tej rabunkowej gospodarce, która od wieków do dzisiejszej chwili ani na włos nie uległa zmianie, zmarnowało się najczystszych ziarn szlachetnych, ile płonek wdeptano w ziemię lub nadłamano w rozwoju.

Smutnem jest i zarazem dziwnem, że te sprawy od tak dawna znane, tak stale się powtarzające i równie, a może więcej właściwe naszym czasom niż innym, nie budzą poruszenia i zgrozy. Odrobinka sentymentalizmu, jako literacki dodatek do życiorysów różnych twórców, niema żadnego znaczenia i każdy czytając to, kiwa głową, mówiąc: znamy, znamy! Pytanie tkwi w tem: czy to jest zjawiskiem koniecznem? Pytanie tem ważniejsze, że w czasach dzisiejszych, w epoce ciągłego wzmaganania się „amerykanizmu“, t. j. tendencji do ograniczenia życia duchowego na korzyść wygody i pożytku, stosunek ów, stosunek twórców do mas, stawać się będzie coraz trudniejszym i zawilszym. Instynktem mas, biegnąc w tym kierunku, przystosowywać się muszą do coraz ciaśniejszego pojmowania sfery życia duchowego.

Z hasłami „panem et circenses“ rozwijać się będą tem szerzej kadry surogatów twórczych, tych producentów dla uciechy, zabawy i schlebiana. Produkcya tego gatunku wzrasta z dnia na dzień, tania, dostępna, wyposażona w coraz to giętszą zdolność trafiania do przelotnej łaski mas. Zdolność do walki o byt wzmagać się wśród nich będzie wraz z rozmnażaniem i wzmagającym się zbałamuceniem mas. Co stać się musi z tym szczerym żywiołem twórczym, który w tej walce na coraz dalsze odpychany będzie plany? Jest to pytanie

doniosłe, choćby dla tego, że ludzkość nie może się obyć bez żywiołu twórczego; że istotna przyszłość narodu związana jest z tem bardziej niż z rozwojem ekonomicznym. Nie chodzi tu o „snobów“, o całą tę sferę „dobrze poinformowanych“, która w istocie jest pustą i mało zaważy na przyszłości. Tu chodzi o całość, o masy, których wydać nie można na pastwę tłumu snobów.

Na szczęście wśród szeregu zjawisk, które można w stosunkach twórców do tłumu odszukać, jest i n s t y n k t p r a w d y u m a s. Ten instynkt zdaje się być obroną, wobec zdobywczego impetu tłumu, impetu czerpanego z zewnątrz, urodzonego z chęci zysku i sztucznej kultury. Nici łączne między twórcami a masą muszą się wznódz przez ów instynkt prawdy i uproszczenia warunków życia. W przyszłości twórca musi odszukać sobie nowe warunki istnienia i bodaj wróć się czasy, kiedy filozof i myśliciel kładł na się gunię prostaka jak Sokrates; kiedy poeta pracował w szewkim warsztacie, jak Hans Sachs, albo brał lirę podróżną, jak Homer, kiedy artysta zamykał się w celi klasztornej, jak Fra Anglico, albo wpisywał się do cechu, jak Wit Stwosz. Tworzenie jest rozkoszą, nie dość, tworzenie jest potrzebą i koniecznością twórców i prawdziwy twórca wyrzeczce się wszystkich uciech świata, by nie oddawać swej duszy twórczej na zabawę tłumu. Wtedy nikt mu nie stanie na drodze do duszy narodu i nikt nie będzie mocen wpływać na jego warunki istnienia.

STEFAN POPOWSKI.

Władysław Syrokomla.¹⁾

(1823—1862).

XII.

SYROKOMLA W WARSZAWIE (1856 r.).—DZIENNIKARSTWO.—
TEATR. — MIŁOŚĆ. — STAN MORALNY I FIZYCZNY (1857 — 1860).

Jeszcze w r. 1853 (jak się o tem dowiadujemy z listu do Kraśzewskiego) miał Kondratowicz propozycję objęcia redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“. Propozycję czynił księgarz Wolff, który brał na siebie wydawnictwo pisma. Poeta odmówił. „Karyery nie potrzebuję — pisał — a mam już do syta przenosin i marzeń o poprawie losu. Gdzieś się przeniósł, pomimo nieżyźnego gruntu i atmosfery plotkami przesyconej, czuję, że serce moje wrastać i wkorzeniać się zaczyna“. Motyw ten zupełnie się godzi z wyobrażeniami o naturze uczuciowej Syrokomli. Tacy ludzie, jeśli tylko spostrzegą, że ich serce „wkorzeniać się zaczyna“ z pewnością odtrącają od siebie najświetniejsze widoki. Dziwimy się tylko poniekąd, dlaczego powyższe słowa wypłynęły z ust poety w lipcu 1853, kiedy był względem Wilna tak rozżalony? Czy to poprostu może przemówiła w nim natura Janka, który na samą myśl o rozstaniu się z rodzinnem powietrzem i niebem już naprzód doznaje napadu tęsknoty? Jakkolwiekbądź, sytuacja powyższa w trzy lata później dokładnie się powtórzyła. Znowu projekt redaktorstwa i wkorzenie się serca. W r. 1856 Aleksander Przeździecki wezwał Syrokomlę do Warszawy, proponując mu objęcie kierownictwa nabytej przez się

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 252; — marcowy, str. 481; — kwietniowy, str. 153.

„Gazety Codziennej“¹⁾, i prosząc o dokończenie „Historii literatury“ Wiszniewskiego. Byłby to zatem dalszy ciąg pracy, której Syrokomla oddał kilka lat swego życia. Wobec otwierającej się perspektywy nie mógł służyć pocie za hamulec inny węzeł, tylko ten, który właśnie zadzierzgnął się między nim a Wilnem. Długo oczekiwane zatwierdzenie „Komisyi archeologicznej“ wreszcie uzyskane zostało. Po przedwstępnych krzątaniach się otwarto „Muzeum starożytności“ 17/29 kwietnia 1856 r. Uroczystość tę poeta uczcił wierszem, z innego zaś wiersza, w kilka dni potem pisanego, dowiadujemy się, że:

„U nas świątynię pamiątek odkryto,
A od soboty jestem w niej lewitą“.

Pojechał więc Syrokomla w jesieni 1856 r. do Warszawy, gdzie mu zgotowano przyjęcie „huczne, gościnne, przyjacielskie, toastowe“ (słowa Kraszewskiego). Wydano obiad w Resursie Kupieckiej, wystawiono „Hrabiego na Wątorach“ w teatrze Rozmaitości. Bawił poeta w Warszawie cały miesiąc i zdążył napisać dwie gawędy („Cieśla“ i na gawędzie o Zabłockim wzorowana „Garść pszenna“). Za przyjęcie był wdzięczny, lecz gwarne miasto nie upodobał i zwyczajem swoim, czulek, zwinął się w sobie cały. Nadto Antoni Lesznowski, redaktor „Gazety Warszawskiej“, której Syrokomla oddawa już był współpracownikiem, podał mu korzystne warunki—i skończyło się na tem, że lirnik podążył z powrotem do Wilna i Borejkowszczyzny. W czasie swego pobytu w Warszawie zawarł Kondratowicz przyjazne stosunki z artystą i autorem dramatycznym, Janem Chęcińskim. Zachęcony powodzeniem „Chatki“ i „Hrabiego na Wątorach“, a czując swe braki w znajomości sceny, umyślił napisać wspólnie z Chęcińskim sztukę p. t. „Wielcy i mali“. Zamiar długo zajmował poetę, aż wreszcie po opornie postępujących próbach uległ przedawnieniu, temat zaś, opracowany przez Chęcińskiego samodzielnie, przyoblekł się w utwór tegoż: „Szlachectwo duszy“.

Sama przez się podróż do Warszawy była drobnym epizodem, i nie byłoby powodu dla niej obierać roku 1856 za przełomową datę, do której stosowaliśmy się poniekąd, jeżeli nie w charakterystyce twórczości Kondratowicza, to w opowiadaniu kolei jego życia. Wycieczka owa uwydatnia, jak poeta coraz bardziej wciąga się w wir

1) Później „Gazeta Polska“.

stosunków dziennikarskich, jak najmniej dla poezji korzystnych. Rzeczywiście, przeglądając korespondencję jego z tego czasu, uderzeni będziemy mnogością wskazówek, dotyczących żywego zainteresowania się lirnika faktami bieżącymi, wielką ilością nici, wiążących dawnego Załuczańskiego samotnika ze światem. Przeraził się hu-cznej Warszawy, nie uchronił się mniej rojuego wprawdzie Wilna. W listach spotykamy wiadomości o projektach coraz to innego pisma peryodycznego, a w każdym projekcie Kondratowicz żywy bierze udział. Tak w styczniu 1856 r. krząta się około pisma zbiorowego „Barcie“, którego ma być redaktorem, upraszając o współpracownictwo Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Ant. Pietkiewicza (Adama Pługa), Deotymę, Pola, Ign. Chodźkę, Kaczkowskiego. Drużyna niełada. Przedsięwzięcie zostało zaniechane, jak i późniejsze wydawanie „Tygodnia naukowo-literackiego“, o którym pisze do swego surowego krytyka i prześladowcy, Juliana Bartoszewicza, z prośbą o udział w zamierzonym piśmie: „Adam Kirkor, posiadający najdostateczniejszą kwalifikację, zasoby materyalne i niezmordowaną gorliwość, będzie redaktorem odpowiedzialnym, a my tutaj wszyscy, starsi i młodsi, śpieszymy z chętną pomocą...“ Znajomość z uczonym archeologiem pozostawiła dawniej jeszcze ślad w ulotnym wierszu ¹⁾: Do autora „Bułki“ (niedrukowana powieść Kirkora). W jego domu skupiało się przez wiele lat artystyczno literackie towarzystwo Wilna, tu Syrokomla poznawał się z wielu osobami ze świata literackiego i artystycznego, z którymi później wszedł w ściślejsze stosunki, niekiedy — zgubne... Co do krzątań się swoich, wyda o nich poeta sąd w liście do Chęcińskiego we wrześniu 1857 r. „Nie pytaj co robię, pracy po uszy, ale takiej niewdzięcznej, takiej zmuanej, że ci nie wypowiem. W chwilach wytchnienia mam i rzeczy miłsze dla serca, ale tych chwil wytchnienia tak mało! Skończyliśmy druk pierwszego tomu naszej „Teki“, który ci posyłam, znajdziesz tu parę rzeczy moich...“ Wspomniana „Teki“, urzeczywistniająca sobą dawniejsze pomysły wydawnicze, wychodziła pod redakcją Jana ze Śliwina (A. H. Kirkora) w przeciągu kilku lat ²⁾. Ale udział Syrokomli w „Tece“ był tylko przygodny. W r. 1860 wchodzi on do składu redakcji „Kuryera Wileńskiego“, obok A. H. Kirkora, Odyńca, Wincentego Korotyńskiego, Malinowskiego i Wacława Przybylskiego, który miał w parę lat później wydatną grać rolę w Warszawie. Uskarżał się

¹⁾ 24 czerwca 1854 r.

²⁾ W r. 1857 i 1858 sześć tomów i dwa tomy jako „Pismo Zbiorowe“ w r. 1859 i 1861.

wprawdzie autor „Dęboroga“, iż dzielą go z redakcją różnice programowe, mimo to pozostawał na stanowisku, a w razie potrzeby podejmował obronę pisma zwykłą sobie mową — wierszem, („Fragment z r. 1860). Kondratowiczowi wyznaczono w piśmie dział: „Przegląd miejscowy“. Już kilka miesięcy temu, rozmawiając z piórem swym w „Myśli“, zapytywał:

„Pióro, moja ty socho!
Twe pole wielkie, żyzne,
Czyż się zapiszesz płocho
W tygodniową pańszczyznę?
O nie, nikt cię nie zmusza
Stanąć w szereg rozumny,
Pod sztandarem arkusza,
Gazeciarskiej kolumny...

Zapisał jednak swe pióro w tygodniową pańszczyznę.

Dziennikarstwo zresztą, to dopiero jeden z wielu szczegółów, które się składały na ogólny fakt — ciągłej gorączki i rozproszenia. Oto inny pierwiastek tejże kategorii — teatr. W jego sprawach, w sprawach artystów, których nieraz opieką swą otacza, bierze poeta udział stały i gorący. Związki z teatrem uwidoczniły się już w roku 1853 żartobliwymi wierszami, kiedy poeta za przedmiot drwiny obrał jakiegoś lichego aktora, o którego toczono walkę w salonach wileńskich. Był to przygodny wybryk dowcipu, ale „Chatka w lesie“, rozpoczynająca szereg utworów dramatycznych, świadczy, iż światło kinkietów rozpoczyna wywierać na poetę swój hypnotyzujący wpływ. Jakkolwiek Syrokomla w tym rodzaju twórczości nie był zupełnie szczęśliwym, trudno jednak uczynić stąd wniosek, jakoby teatr tem właśnie wyrządził lirnikowi dotkliwą krzywdę, iż odrywał go od pracy na właściwym mu polu; nie możemy sobie wyobrazić, że gdyby poeta jednym ciągiem pisywał gawędy, wszystkie one miałyby się odznaczać temi zaletami, co „Dęboróg“, „Szkolne czasy“, „Janko Cmentarnik“ i t. d. W pracy duchowej, jak każdej innej, niezbędną jest płodozmian, a zwłaszcza w tej, gdzie autor z siebie wysnuwać musi swą przędzę. Krzywda jednak i niebezpieczeństwo trwonienia natchnień istniały niewątpliwie, ale tkwiły w ludziach, a raczej w sła-

1) Maj 1855 r.

bej oporności poety. „Wiódł on — powiada Wł. Spasowicz — życie luźne w Wilnie, w kółku aktorsko-literackim“. Wiemy, że hart woli nie był znamięm charakteru Kondratowicza; wiemy, że sobie wystarczać nie umiał, że do ludzi go ciągnęło. Ale gdy w Załuczu uciekał do sąsiednich dworków, lub otaczali go „bracia w kapocie“, i „bracia w siermiędze“, co ostatecznie ciszy wiejskiej nie mąciło i równowagi nie zakłócało, natomiast wir „luźnego życia“ i nerwowej atmosfery, rozbił na atomy czas i powietrze przesycał miazmatami gorączki. Przypominamy tu sobie konieczność wytężonej pracy, bo *pane caréo*, zawsze obecną groźbę jutrzejszego dnia, kiedy może nie będzie co włożyć w otwarte głodne usta, zupełne zaniedbanie roli, która miała być podstawą bytu rodziny. Czynniki te, krzyżując się i potęgując wzajemnie, podniecały system nerwowy aż do zupełnego wyczerpania. „Bohemia“, cyganerya wciągała stopniowo skromnego lirnika w otchłań. Powoli też ogarniać go zaczyna smutny nałóg. W żartobliwym testamencie, zupełnie w stylu Syrokomli pisany, znalazło się wspomnienie o... szynkarzu w Borejkwoszczyźnie.

Czuję, iż kiedy skończę kres mego żywota,
Nieborak Kaciukiewicz zostanie sierota.

Testament ów jest apokryfem, gdyż Syrokomla z widzenia nawet nie znał oberżysty, a ten znów ani nogą nie stąpił na próg folwarku. Znamienne jednak, iż takie wiersze miał powód ktoś umieszczać w „testamencie“. Dziwny los! Przez całe życie lirnik gorąco pożądał, by zaorano drogę od wioski do gospody, ze wstrętem odwracał oczy od widoku kominów gorzelanych, a sam się stał przedmiotem drwiny: mniejsza nawet własnej czy cudzej. W „Wielkim Czwartku“ wyprorokował sobie własną przyszłość, może ogarnęło go przeczucie. A przynajmniej—przezuciem był powód szybkiego rozrostu tego zgubnego przyzwyczajenia...

Jeszcze w końcu 1856 r., po wycieczce do Warszawy, nie uważamy w Syrokomli żadnych zmian usposobienia, zwykle tylko skargi na kłopoty i umartwienia, wyczerpujące wprawdzie zasoby energii, będące jednak chorobą przewlekłą. Własna słabość tylko, owa „niepraktyczność“ poety, wciąż mu była największym nieprzyjacielem. Ale... i teraz właśnie dobijamy do przełomowej daty. Zbliżaliśmy się już do niej zresztą parokrotnie, gdyśmy mówili o wileńskich stosunkach poety i o teatrze. Otóż na początku, jak się zdaje, 1857 r., przez ścieżkę żywota lirnika przeszła kobieta. Odtąd rozpoczyna się ostry

kryzys, powodujący widoczny rozkład ducha i ciała, kryzys, który pochłonął pieśń i piewcę. Spustoszenie to poczyniło nie uczucie samo przez się, lecz cały szereg okoliczności z nim skojarzonych, a nade wszystko to, iż zatruty kiełek padł na grunt już podkopany, nie umiejący się zdobyć na odruchy samozachowawcze.

Wszystkie, bardzo skąpe zresztą świadectwa, dotyczące tego tragicznego okresu w życiu Syrokomli, obciążają winą — jak się zdaje — jedną tylko stronę. Przedmiotem uczucia była p. K., osoba zameźna, związana z teatrem, ówczesna gwiazda Wileńska. „Tam, gdzie uśmiech go witał, i gdzie go kaprys czyjs lub próżnostka wabiła, jemu się zdało, że go wiekuiste ciągnie przywiązanie, że go ofiar pełna chwyta miłość“, powiada Kraszewski. A i sam poeta wołał z rozpaczą: „Czuję, że powinienem napisać pogardzą, a ja kocham, ja kocham, nad świat, nad siebie, nad wszystko“. I od razu zaczyna spożywać owoce tego niespodziewanego uczucia. „Prawdziwym byłby zbawcą—pisał do Chęcińskiego na początku 1858 r.--zbawcą moim, ktoby mi w tym razie podał rękę, bo i mnieby wskrzesił, i zdołał uczynić pożyteczniejszem to pióro, które z ręki zmartwiałej teraz wypada, tę głowę, która bezczynnie zwisa na piersi, nie mogąc się zdobyć na nic więcej, niż na rojenia, to serce, które tylko boleć bezpożytecznie potrafi“. Ta okoliczność, że zarówno on, jak i ona, mieli swe obowiązki, była sama przez się pierwiastkiem moralnego udręczenia, wprowadzającym do duszy ciągły zamęt. A z tą przyczyną łączyła się inna, bolesna, niewiara w serce kobiety, połączona z upokarzającą świadomością niemocy. „Co miałbym pisać—usprawiedliwia się przed Chęcińskim—zbołały, wyzuty z wiary we wszystko, bo moje wszystko podnosiło, ożywiało je jedno uczucie“¹⁾. Poeta był ugodzony w najczulsze struny swej duszy. „Jam sierota na ziemi, serca mi trzeba, trzeba mi jak gałązce powoju — podpory“, skarży się Pileckiemu (lekarz Kondratowicza). „Boleść, żal do drugich, wyrodziły we mnie zasklepienie się w sobie; po całych dniach marzący, bezczynny, siedziałem na wsi, nie mając nawet tyle siły, aby dopomódz biednej matce w jej kłopotach“. Później, gdy to wszystko już odejdzie w przeszłość, całą treść tego okresu zamknie poeta w słowach: „Ostatnie trzy lata były dla mnie dniami okropnemi: niema moralnego cierpienia, którego bym nie przeżył, a które na wrażliwem sercu mojem, wypaliły każde po jednym. niezgłodzonym krzyżu“. (List do Kraszewskiego w lutym 1861 r.)

¹⁾ Z r. 1859.

Znaliśmy Syrokomłę, jako człowieka przede wszystkim towarzyskiego i tą właściwością tłómaczyliśmy pewną ruchliwość jego, chętne wychylanie się za ściany domu, gdzie snąć obowiązki, jeśli nie ciążyły mu, to przynajmniej nie posiadały siły do miejsca przykuwającej. Obecnie jakby niepokój jakiś przesiedla go z miejsca na miejsce, a najmniej uspokajającym schronieniem była teraz rodzina. Przerzuca się z miasta na wieś i odwrotnie, odbywa dalsze podróże, jakby chciał uciec od samego siebie. Ucieka, tymczasem jednak niezwalczone uczucie każe mu się zbliżać do przedmiotu męki i udręczenia. W r. 1857 powtórna wycieczka do Warszawy, przedsięwzięta dla p. K. W listopadzie tegoż roku i w marcu następnego, słyszyny o projekcie podróży do Włoch. Zamiar ten musiał się rozbić o brak środków materyalnych, a pozostawał zapewne w jakimś związku z tą okolicznością, że p. K. opuszczała w tym czasie Wilno, w liście bowiem do Chęcińskiego ¹⁾, znajdujemy taką wzmiankę: „W t e j c h w i l i potwarze, jakie na mnie miotano, c h w i l o w o przynajmniej się s k o ũ c z ą“. W maju 1858 r. dochodzi do skutku nagła wycieczka w Poznańskie, trwająca około dwóch miesięcy. Przybywszy na miejsce, poeta ukrył się gdzieś na razie, nim go wyszukano i urządzone prawdziwie tryumfalny pochód. Odegrano na Bazarze poznańskim „Chatkę“, zaznajomiono ze wszystkimi znakomitościami miejscowemi, poczynając od arcybiskupa Przyłuskiego. Wracał przez Kraków. Co go tu przywiodło? Czy chęć poznania starożytnego grodu, jego odwiecznych pamiątek? Zapewne. Ale już po powrocie, w jesieni ²⁾, w Borejkwoszczyźnie, spowiada się ze swoich dawnych nadziei spędzenia części zimy w Warszawie, części w K r a k o w i e. Wspominając zaś o letargu, w który był zapadł, dodaje: „Postanowiłem nic nie pisać, i byłbym w tej śmierci moralnej umarł naprawdę, gdyby nie napisano mi z Krakowa że potrzebują sztuki na benefis. Zerwałem się ze, śmiertelnego letargu i w dni dziesięć napisałem K s i ę ż n i c z k ę S ł u c k ą...“ Po „Możnowładcach“ znowu powróciło odrętwienie, aż chcąc się uwolnić od tego nieznośnego stanu, przenosi się Syrokomla do Wilna, upatrzwszy sobie ciche mieszkanie na przedmieściu. Pisał tu wśród ciszy „Marcina Studnickiego“, pisał „Karlińskiego“. A jednak szukał dla siebie lekarstwa w tem, co już oddawna było dlań trucizną. „Gdyby nie teatr i nie towarzystwo naszego reżysera, Surewicza, który mię kocha i pieści jak dziecko, w łebnym

¹⁾ Z Kowna, d. 15 grudnia 1857 r.

²⁾ 1858 r.

sobie palnął z braku elementów życia“. „Kielich gorzały“, do którego skromnie się przyznaje, nieraz bywał spory. „Powolnym samobójstwem doszedł do mogiły“, mówi Kraszewski.

Ostry kryzys mijał powoli. W środku r. 1859 napisze poeta do Chęcińskiego: „Przebolełam wiele, ale dziś nic już nie cierpię“. W parę miesięcy potem (w listopadzie) wyznanie to powtórzy się. Już przyjaciel będzie mógł pozartować — ukazując nadzieję nowego zakochania się. W styczniu następnego roku, kiedy wstępował do odświeżonej redakcyi „Kuryera Wileńskiego“, czuje się poeta „wzmocnionym na duchu“. Jeżeli atoli ból tępiał, a może powoli szedł w zapomnienie, nie dawały się przecież, niestety, usunąć skutki bolesnego przełomu. Długotrwała rozterka zużyła poetę moralnie, wyczerpała jego energię, wyłobowała głębokie ślady w usposobieniu i przyzwyczajeniach, zachwiała siłami organizmu. Łatwo się zachwiać, ale później wrócić do równowagi życia, o! jak trudno, niepodobna nawet, jeżeli dłoń zycziwa nie dopomoże, nie wesprze. Powiem ci prawdę, że dzisiaj już nie cierpię, ale wpadłem w stan apatyj, gorszy od cierpienia ¹⁾. „Ja wegetuję. Ciosy w życiu takie, jakie otrzymałem, nie dają tak prędko zasklepić się ranie“ ²⁾.

Do skutków, które pozostawiły po sobie tragiczne lata, nie policzyliśmy jeszcze dla usposobienia Syrokomli najboleśniejszych i najdotkliwszych. Było to zwolnienie serdecznej spójni pomiędzy lirnikiem a jego słuchaczami, widoczne oziębienie otaczającej go atmosfery. Wpływały na to, rozumie się, wieści o „luźnym życiu“, smutny nałóg, który wziął już w moc swą biednego poetę. Zaważyło jednak głównie na szali zgorzenie, wywołane zachwianiem się moralnym człowieka, który stał na widowni, a zaniedbał swoich obowiązków, lekceważąc i cudze. Ogół nasz miewał zawsze katońskie usposobienie, a raczej może szeroko rozwinięte poczucie przyzwoitości. Poeta i w tym kierunku, jak w każdym innym, nie był dość praktyczny, więc musiał za to odpokutować, jakby już w swoim sercu, w swoim poczuciu, nie ponosił ciężkiej, nad siły jego wielkiej kary. Na oznakach publicznych holdów nie zbywało wprawdzie Syrokomli. Na przedstawieniach „Karlińskiego“, „Polityków wiejskich“ ławki i krzesła w teatrze nieraz były szczególnie zapełniane. A jednak widział i odczuwał, jak najbliżsi od niego odsuwać się zaczęli, jak powoli wytwarzała się naokół niego pustka. Ledwo nazajutrz po odbytej podróży do Wielkopolski, po owacyjnym przyjęciu w Krakowie, mógł spo-

¹⁾ Do Chęcińskiego, 30 lipca 1859 r.

²⁾ Do tegoż, 25 czerwca 1859 r.

strzedz, że jeśli dalecy rodacy, znający go tylko, jako pieśniarza, okazują mu swe uznanie i uwielbienie, to w bezpośrednim otoczeniu objawiać się poczyna widomy ostracyzm. Uskarżając się na długie milczenie przyjaciela, woła rozżalony: „Wstydź się! czyś ty podobny do reszty ludzi, którzy, gdym był szczęśliwy, nawiedzali mnie osobiście i pismami, a teraz tak rzadkiego mam gościa taki rzadki list, że sto razy na dzień, rwąc włosy, pytam siebie: czy ja już doprawdy na nic nikomu niepotrzebny? czy już nikt do mnie nie tęskni?“¹⁾ Później wyrwie się z jego piersi rozpaczliwy poprostu krzyk: „Na zdrowiu okropnie upadam, ledwie widzę, co piszę, tak mi wzrok osłabnął. *Solum mihi superest sepulchrum* (tylko mi grób pozostaje). Przynajmniej po śmierci niech błotem nie obrzucają mego grobu, społeczeństwu i przyjaciołom służyłem jak mogłem, winy (jeżeli nazwać je winami) leżą na mnie, a karę, aż nadto srogą, sam w sobie odnoszę, a le grzechów społecznych nie mam i nie zasługuję na to, aby mię traktowano, jak trupa. Waryuj! Och, jak mi pilno, Janie, wypłakać się na twojej piersi“. Niestety, życzeniu poety nie miało stać się zadość, na trumnę nieszczęśliwego rzucono garść błota. Znamienny jest los „Stelli Fornarinę“. Napisana w 1858 r., miała być niejako rehabilitacją stosunku między Rafaelem a Fornariną—w tak idealnym świetle był przedstawiony ów stosunek; miała być pośrednim usprawiedliwieniem się autora i jego Stelli. „Ona natchnieniem była Rafaela“. Skutek był taki, że według słów Tyszyńskiego „matki nie dawały go (poematu) córkom do ręki, osoby idealniejsze nie rozerznęły w nim kartek“. Zdaniem ogółu, poemat był idealizacją występku, „manifestacją cyniczną jego stosunków własnych“. Była to nadszłość, smutnie świadcząca, że zasada chrześcijańskiej miłości i przebaczenia, zbyt rzadko staje się czynnikiem kielkującym i istotnie żywym uczuciem naszej duszy. Nawet Kraszewski, ulegając poddawczemu działaniu opinii, a domyślając się, iż „może przedmiot był narzucony mu myślą obcą i cudzą wolą“, wytyka „Fornarinie“, że jest „jako temat fałszywą“, że z „błędu tworzyć systemat jest zawsze rzeczą oburzającą“. Tymczasem o „Fornarinie“ to tylko powiedzieć należy, iż jako utwór artystyczny jest chybną, lecz że ponadto w szczegółach nie zawiera nic gorszącego, owszem, aż ckliwa z nadmiaru cnotliwości, w myśli zaś ogólnej nie była zgoła idealizacją występku, raczej bolesną skargą, że ludzie nie chcą nigdy wierzyć czystości uczuć i pobudek.

1) Do Chęcińskiego, w końcu 1858 r.

„Potwarz i zawiść przysły z każdej strony,
Puściły na nich swój jad utajony.
Nadto skalani, by we święłość wierzyć
Skwapliwiej czarne chwyтали pozory“.

Nad Rafaela wiekową mogiłą
Znów czarnych kruków zleciało się grono,
Widmo potwarzy na nowo odżyło,
Nieszczęsnej Stelli znowu złorzeczono.

Takie były moralne owoce niemożliwego powikłania. Nie mniej fatalnym w skutkach, bo fizycznie uniemożliwiającym odrodzenie, był osad przebytego wstrząśnienia w postaci rozstroju cielesnego. Materialne podłoże duszy ulegało rozkładowi, i żadne wysiłki lekarzy powstrzymać go nie mogły, zwłaszcza wobec smutnych przyzwyczajęń poety i wobec niemożności wytworzenia dlań przyjaźniejszych warunków i zapewnienia odpowiednich wygod. Naprózno szukał ratunku w Druskienikach ¹⁾ i Birsztanach ²⁾. „Skutkiem przejść gwałtownych zdrowie krzepkie zachwiało się, artretyzm odebrał mi władzę nóg (naprózno próbowałem dzielności wód Birsztańskich i Druskienickich) teraz mam zdeklarowane rozszerzenie wątroby i śledziony, z siłą spadłem do ostatka“ ³⁾. Co do krzepkiego jakoby dawniej zdrowia, jest w tem nieco przesady. Współcześni mówią o „wątlęciu“ poety. W dawniejszych czasach często nawiedzały go kilkumiesięczne nawet choroby. Lecz idealizacja poprzedniego stanu zdrowia wymownie świadczy o tem, jak obecnie czuł się poeta. Nawiedzała go i choroba płuc, wzrok był nadwerężony: „ledwie widzę, co piszę...“ Na początku 1860 r. czytamy w liście do Chęcińskiego: „Co do mnie, wzmocniony na duchu, zapadłem ogromnie na zdrowiu, rozwinął mi się ból w piersi, kaszel, odjęło zupełnie władzę w nogach, nie są to suchoty, ale coś bardzo do nich podobnego“. A dalej:

¹⁾ Latem 1859 r.

²⁾ W r. 1860.

³⁾ Do Kraszewskiego, luty 1861 r.

„Oto masz wszystkie wiadomości, nie piszę o karnawałowych, bo cóż obchodzą ich płąsy mnie, który zaledwie kilka kroków po pokoju przejść mogę? Co ich maskarady, kiedy maska zbolenia i przedwczesnej starości na glucho mi do twarzy przyrosła?“

Tymczasem nie było sposobu chorować. Trzeba było ze znużonego ciała i chorej duszy wydobywać chleb codzienny dla siebie i dla rodziny, trzeba było wytwórami osłabionego mózgu ogrzewać ją i odziewać. „A tymczasem rodzina czeka na mnie, pięćdziesięciu żydów drzwi oblega, z jednymi się kłóczę, z drugimi godzę, i tak sobie życie ubiega...“ ¹⁾ „Nie mogę, pisał ktoś w grudniu 1860 r. do Kraszewskiego, przepuścić płazem obrazu dotkliwego stanu poety. Zjarmione bólem i słabością ciało, napróżno dusza sili się jeszcze pracować dla teatralnej nagrody od publiki, ziębnie prawie przy piecu, ciężar na nogach, bezsenność, przeklętych cygar nie rzuca, lubo doktor ujął napój gorętszy wszelki. Synek biedny z miną Sobieskiego, chory na koklusz, żona czuwaniem znużona, niedostatek w potrzebach życia, gdyż praca i talent żywiły go z rodzeństwem tak dalece, że jeszcze pomagał wciąż siostrze z dziećmi. Pobyt w mieście bez żadnej siedziby na wsi, przy obecnej tutaj drożyźnie, toć cząstka wyobrażenia stanu tego pisarza“. Otrzymałszy taki list, Kraszewski posyła Kondratowiczowi zasilek na rachunek prac przyszłych. Honorarya „trafiły w chwilę kiedy nie tylko nie było czego nagotować na obiad, ale nawet czem naniecić ogniska“. Jednocześnie owacyowano poetę na przedstawieniu jakiejś jego sztuki, ofiarowywano mu wieńce. Dziwny splot uwielbienia i obojętności. Bo i kto mógł się zatroskać o biednego lirnika, oprócz zacnych lekarzy: Pileckiego, Wikszemskiego, Zdanowicza, którzy wytrwale przy łożu boleści stawali? „U nas bratnia szlachta goła, boleje tylko nad losem gryziپیوری, ale zaradzić mu nie zdoła, tak zwana zaś arystokracja nie godna tego, aby miała wiedzieć o naszych potrzebach, zresztą zanadto wyszafowana to na zagraniczne podróże, to na karnawałowe zbytki... Księgarze zaś... dajmy im pokój!“ ²⁾ Owa „arystokracja“ właśnie nie chciała „Fornariny“ rozcinać... Jej to nasz lirnik takie pisywał nagrobki:

Bił chłopów pałką

• Poł gorzałką, i. t. d.

1) We wrześniu 1859 r.

2) Do Chęcińskiego w 1858 r.

Otaczały zaś poetę swą sympatyą sfery uboższe, nie posiadające wpływu w towarzyskim układzie sił, nie umiejące się zdobyć na inicjatywę. A zresztą, jak to często bywa, przyjaciele nieraz bywają niebezpieczniejsi od nieprzyjaciół. „Dźwignąwszy się nieco z choroby, Boże, jaki straszliwy zamęt znalazłem nietylko w głowie, ale w książkach, w papierach, w interesach. Łaskawi odwiedzający, kiedym był w łóżku, trzęśli biurko, szukając, co napisałem nowego, brali z szaf książek bez liku... Nie pracując, a mając do utrzymania aż dwa domy, wpadłem w spore długi, załamałem ręce i znowu obeszilony padłem na łóżko, a Wikszemski i Pilecki pojąc nazajutrz nie mogli, że zostawiwszy mnie wczora prawie uzdrowionego, znaleźli wszystkie symptomata choroby w powiększonym stopniu“. Jedyny ratunek dla poety był w pracy, tej pracy, którą uniemożliwiały, najprzód rozstrój moralny, potem stan zdrowia, tryb życia niehygieniczny i właśnie owa, w każdej chwili nad głową zawieszona, groźba dnia jutrzejszego... „Myśl i krew w piersiach funkcjonują mi bardzo leniwo...“, wyznaje. „Cierpienie odbiera swobodę myśli i co za tem idzie możność umysłowej pracy. Stagnacya staje się mimowolnie, roboty zalegają, kawał chleba szczupleje, a wydatki się mnożą... Nie chciałbym prędko umierać, bo wiele, bardzo wiele obowiązków“¹⁾. Fatalne koło, wzajemnie warunkujących się okoliczności, a wyjścia zeń nie było...

XIII.

TWÓRCZOŚĆ KONDRATOWICZA W OKRESIE 1857—1860 R. I STOSUNEK KRYTYKI. — POEZJA SYROKOMLI, JAKO KARTKA ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

Do tego fatalnego koła wszedł jeszcze pewien szczegół, nadzwyczaj dla poety bolesny. W miarę, jak twórczość zaczęła objawiać coraz liczniejsze oznaki pośpiechu i wyczerpania, mnożyły się zarzuty krytyki, a te znowu miały podwójny skutek. Pierwszy ten, iż potęgowały wrażenie chłodu, co od pewnego czasu mroziło moralną istotę poety. Powtórne, nieprzychylne odezwy obniżały wprost rynkową

¹⁾ Do Chęcińskiego w 1860 r.

cenę wydawnictw, imieniem Syrokomli naznaczonych, pogorsząc jego położenie i znowuż utrudniając wzmożenie się osłabionego potoku twórczości. W odwiecznym procesie między krytyką a autorem bardzo często na krytykę wkładają ciężar wszelkich możliwych grzechów, jakby nie była ona rodzajem sumienia publicznego, a jej przedstawiciele byli szczególnym jakimś fizyologicznym czy antropologicznym gatunkiem, jakby nie podlegali na równi z autorami lub słuchaczami oddziaływaniu umysłowych i moralnych prądów społeczności swej i swego czasu, nie mieli upodobań i przekonań i t. d. wspólnych, już to z całą swą dołą, już to przynajmniej z pewnymi grupami społeczeństwa. Wśród tych grzechów, przypisywanych bądź nierozumowi, bądź złej woli, jest jeden szczególny—to szkody moralne, czy materyalne, autorom wyrządzane... Jakgdyby na krytykę wolno było wkładać jakieś obowiązki filantropijne! I w omawianym obecnie wypadku, można stwierdzić tylko istnienie fatalności, lecz znowu, mimo wszelkiego współczucia dla doli poety, niepodobna z pomienionego względu oburzać się na współczesną Syrokomli krytykę. Skądinąd przyznać wypada, iż przywilej sumienności i nieomyłności na nikogo nie spływa wskutek tego jedynie, iż przedsięwzięcie oceniać i sądzić czyjeś wysiłki twórcze. Jeżeli Siemiński nie dojrzał nic, prócz fałszywej idealizacji w „Wielkim Czwartku“, i wogóle w całym kierunku poezji Syrokomli, usprawiedliwić go możemy odmiennym zupełnie poglądem na pewną kategorię zjawisk i stosunków społecznych, co zaostrzało mu wzrok na słabe strony a utrudniało wzniesienie się do tego punktu, z którego jedynie można było objąć istotne znaczenie piosnki lirnika wioskowego. Miał też poniekąd słusność i Bartoszewicz, gdy mówił o zbytniej łatwości „odlewania wierszy“. W zgryźliwości swej jednak właściwego punktu wejrzenia nie osiągnął. „Posiada Syrokomla twórczość niższego rodzaju. Treść jego poematów bardzo uboga i pospolita“. Cóż jednak mówić o tych, co w „Jan-ku Cmentarniku“ dojrzeli ujemny w autorze cel—odarcia swego bohatera ze wszelkich blasków poetycznych? Albo o tych, co w „Szko-nych czasach“ mieli jeno powód do zdziwienia „jakim sposobem pisarz, takim obdarzony talentem, może pisać podobne bła h o s t k i“. „Nie godzi się świętego powołania poety obracać w rzemiosło“, wołał, przejęty świątobliwą gorliwością moralista. Łatwo sobie wyobrazić, jak to wszystko działało na drażliwego zawsze poetę, zwłaszcza w obecnym jego usposobieniu. „Lekceważące a zawsze stronne zdania krytyków waszych o pracach, które kosztowały kilka miesięcy czasu i kilka funtów krwi z pod serca, przyprowadzają mnie o rozpacz... Biorę się za głowę, za serce, i przekonywam się, że pomimo cierpień przeżytych, jestem jeszcze ten sam, co dawniej. Czego chcą odemnie

nie pojmuję¹⁾. „Ręka mi odrętwiała, pióro z rąk wypadło“, pisał w rok potem do tegoż. „Powiedziałem sobie: niech raczej dzieci głód cierpią, niż mam być codzien chłostany od ulicznego pismaka, który twój mózół kilkomiesięczny zbędzie słówkiem lekceważenia... Więc rzekłem sobie: może i miałem kiedy talent, ale czym przez moją winę, czy przez niedolę—stracił... Jak zobaczysz którego z krytyków waszych, to mu powiedz, że dopięli celu, że mnie z niwy spędzili“. Sam jednak poeta wielokrotnie stwierdzał w sobie upadek natchnienia, sięgający stopnia zupełnego bezwładu duchowego. „W chorem sercu w zbolałej głowie taki bezład, że niepodobna mi nawet zażyć na cierpienia ducha lekarstwa — pracy. Pióro z rąk wypada“²⁾. W kilka miesięcy potem napisze³⁾: „W stanie obecnym mojej duszy nie mogę być pewny, czy zdołam napisać coś sumiennie dobrego. Księgarz, licząc na moje imię, da pieniądze i na lichotę, ale uczciwość nie pozwala szydzić z publiczności, duma nie pozwala szlachetnego powołania zniżyć do rzemiosła“. Nie potrzebował więc Syrokomla tych nauk moralnych, których mu z trójnoga udzielano. Wiemy już, że w jesieni 1858 r. zerwał się ze śmiertelnego letargu, by napisać w ciągu dziesięciu dni „Księżnę Słucką“. I znowu: „Mam pomysłów pełną głowę, ale ta głowa dotąd jeszcze rozmarzona, niemal pijana“⁴⁾. I jakby koroną tych wszystkich bolesnych wyznań jest uczynione Kraszewskiemu w lutym 1861 r.: „Wśród tego zamętu boleści ducha i ciała, głowa ani mogła się zdobyć na jakąkolwiek uwagę, umysł przywykły do opracowywania myśli, łamał się z cierpieniami, mam aż siedem myśli rozpoczętych, ale żadnej z nich nie mam siły wykończyć. Korzystam z chwil swobodniejszych od bólu i pracuję w łóżku, zaledwie mogąc utrzymać pióro“.

Spójrzmy więc na to, co powstało w stanie ducha, przez samego poetę w ten sposób ocenianym. Z góry musimy uczynić przypuszczenie, iż rok 1857 będzie względnie najpomyślniejszym. Z tego czasu mamy obszerny „Nocleg hetmański“, w osnowie swej zresztą będący powtórzeniem „Starych wrót“. W dalszym ciągu idzie „Kasper Karliński“, „Starosta Kopanicki“, a nadewszystko, cokolwiek krótszy od pomienionych, lecz najcelniejszy „Ułas“, krystalicznie przejrzysta „sielanka bojowa“, w której się stopiły rzewne łzy wspomnień dziecinnych, tęsknota do sielskiej przyrody, gorąca wiara poety w dostoj-

1) Do Chęcińskiego, 30 listopada 1859 r.

2) Do Chęcińskiego, 15 listopada 1857 r.

3) Marzec, 1858 r.

4) 25 czerwca 1859 r.

ność duszy ludzkiej, wybuch oburzenia na społeczne krzywdy. Jeden tylko chyba szczegół może nas niezadawać, to zbyt sentymentalizm przedostatniej sceny (w chacie „Ułasa“). Natomiast szpieg żyd, odmalowany jest tak czarno, że pomówić by można nieledwie poetę o antysemityzm, zwłaszcza, że znękanemu lichwą nie jedno jeszcze z ust wyrwie się sarknięcie, gdyby nie takie obrazki, jak „Księgarz uliczny“, gdyby nie postać „przyjaciela całej szkoły“, Arona, w „Szkolnych czasach“, gdyby nie fakt, że Syrokomla podarował księgarzowi ulicznemu (Kinkulkinowi), pierwsze wydanie swych „Dwu gawęd“ („Garść pszenna“ i „Cieśla“).

Rok ten z następnym łączą „Dni doroczne na Litwie“, nic wybitnego nie okazujący opis zwyczajów i obrzędów, związanych z pewnymi dniami i „Polityk wiejski“ (pierwotny tytuł) rozpoczęty w jesieni 1857 r., a w marcu następnego jeszcze nie ukończony, gdyż poeta „studycował“. Podróż z r. 1858 odbiła się we „Wrażeniach Pielgrzyma“, wykończonych w r. 1859. Najściślej z okolicznościami życia związana „Stella Fornarina“ i „Możnowładcy“ także tu należą. Ale jak poprzednio „Ułas“, tak obecnie „Szkolne czasy“ przede wszystkim zwracają na siebie uwagę. Snać poeta w ciężkich chwilach ¹⁾ uciekał myślą do lat dziecięcej swobody i w tym z martwych obudzonym świecie szukał pogody, której mu rzeczywistość dać nie mogła. A później, gdy znękanie jeszcze nie minęło, choroba już objęła ciało poety we wszechmożne swe władanie. „Marcin Studziński“, „Wyrok Jana Kazimierza“ i „Natura wilka wyciąga z lasu“ ²⁾ zawdzięczają swe istnienie poczęści nałogowi pracy, głównie jednak konieczności pisania choćby w łóżku, choćby martwiejącą ręką, choćby nadwężone oczy liter rozróżnić nie mogły. Że jednak w takim stanie zdrowia i umysłu płynęły wciąż jedne szeregi wierszy za drugimi, w rzetelne to może nas wprawiać zdumienie. Oto mamy np. w r. 1860 „Dziewiczy wieczór“, tryskający niemal taką werwą, jak dawniejsze „Trędzłowe“. Nie było to przechwałką, gdy odpowiadając serdecznie na serdeczne przyjęcie w Piotrkowie, poeta mówił:

„Gdy moje żniwo za ledwie w połowie,
Gdy się południe za ledwie rozżarza,

1) Jesień 1858 r.

2) Wszystkie z r. 1859.

Wam się spodoba, serdeczni ziomkowie
 Pod snopem żyta dać ucztę zniwiarza

.... do uczy niemam jeszcze prawa,
 Bo widzę jeszcze mój łan niedożęty...

O tak, jeszcze przed poetą rozwinąć się mógł długi szlak żywota i pracy owocnej, gdyby w porę mu rękę podano, ochroniono zdrowie a dostarczono ciszy, gdyby mu usunięto z przed oczu wciąż obecne a groźne widmo nędzy. Bo jeśli kto kiedy zasłużył na dar narodowy, to wśród nich chyba pierwszy Syrokomla...

Właśnie gdy gwiazda jego żywota błyskawicznym niemal lotem zniżała się ku zachodowi, na arenie publicznej toczyły się już z groźnym pomrukiem fale wypadków, które miały wstrząsnąć społecznością do dna. W osobistych losach poety odbiło się to również pustelnicznym trybem życia w Borejkwoszczyźnie w r. 1861. Ale nade wszystko wielkim zbliżało się krokiem rozwiązanie sprawy włościańskiej. Gdy rząd odwołał się do społeczeństwa, a przedmiot dotychczas zakazany z dziedziny marzeń i rozważań teoretycznych przechodził w zjawisko o znamionach realnych, natychmiast zarysowały się dwa prądy, jeden sprzyjający zniesieniu poddaństwa i uwłaszczeniu, drugi — przeciwny tym zmianom. I jak zwykle, podział nastąpił według pokoleń: „my“ i „wy“, „starzy“ i „młodzi“. Zupełnie wrogich reformom, jak mówi naoczny świadek a namiętny szermierz sprawy włościan, wcale było niewielu, ale „środkowych“ była ilość bardzo znaczna i młodzież staczała z nimi walki, dochodzące czasem do wzajemnego rzucania na siebie nożów u stołu. Byłam świadkiem scen gwałtownych z tego powodu nieraz między ojcami i synami, albo rodzonymi braćmi...“ Literatura, będąca wynikiem przewiewów, przenikających atmosferę umysłową, odgrywała, jak zwykle, rolę kondensatora, dawała wyraz świadomym i nawpół świadomym dążeniom, potęgowała ich siłę, rozszerzała ich zakres. „Powieści chłopskie Kraszewskiego czytane były, rozrywane, rozważane. Rozbitek Kaczkowskiego miał posłuch... ale najsilniejsze wrażenie tu na Litwie sprawiały poezye Syrokomli“¹⁾. Inaczej też być nie mogło. W jego

¹⁾ Szczegółów powyższych raczyła nam udzielić łaskawie p. Eliza Orzeszkowa. Pozwolimy sobie uczynić tu przygodną uwagę. Pan W. Feldman w niedawno wydanej „Literaturze“ ostatniego okresu, zapewnia, że Orze-

utworach nie szukano jakiegoś skończonego systemu społecznego; wszelka filozofia, wszelkie uogólnienie, jak wiemy, nie były silną stroną umysłowości lirnika litewskiego. Lecz natomiast włożył on w pieśń swą duszę, objętą wiecznie żywym uczuciem braterstwa ludzi, i z tego uczucia i przeświadczenia wypłynęły wszelkie dalsze konsekwencye. Od owych uaiwnych, na wpół dziecięcych marzeń towarzyskiego porównania stanów, od owej arkadyi, kędy młoda żniwiarka i syn sultana, dziarski parobczak obok księżnej, tworzą dobrane pary, aż do „Ułasa“, aż do córki chłopca, otrzymującej za swe poświęcenie kulę w piersi z ręki bratniej — tem jednym uczuciem poezya Syrokomli oddychała. Jedyna rzecz wyrozumowana była zarazem rzeczą słabą, w której słamazarny marzyciel, Stefan, nie zrzuci palącej koszuli Dejaniry, lecz chwytą się półśrodków: oczynszowanie, ba, a może i pańszczyzna, byle panowie i chłopci częściej do spowiedzi chodzili. A jednak w perspektywie widniała wolność, a jednak i ten utwór, wystawiony i entuzyastycznie przyjmowany, robił swoje. Nawet pod wpływem osobistych bolesnych przeżyć, wzmagająca się gorycz zabarwiała utwory poety pierwiastkiem, wywierającym przyciągający wpływ w chwilach namiętnej obustronnej walki. Gwałtowne odruchy powstawały zapewne w młodych sercach, kiedy oko padało na takie słowa kontraktu obywatela z arendarzem: „Wszyscy moi chłopkowie tu upiją się wódką“.

A gdzieindziej czytano:

Pan kielich pienisty chyli,
Wart trzech dni chłopskiej pańszczyzny,
W pasztecie zamorskim spożył
Cztery dni pieszych szarwarków... ¹⁾

Albo:

Ceną łokcia tej tkaniny
Wioska płótnem się okryje.

szkowa potępiała niegdyś pewne zjawiska społeczne, gdyż „boi się wybuchów u c z u c i a... boi się młodzieży fanatycznej...“ etc. I to się mówi o sercu „na miarę niewidzianą i niesłychaną spalonem od uczuć wiecznych“, powtarzając słowa Żeromskiego i tak się określa stosunek Orzeszkowej względem przyjaciół jej wczesnej młodości

¹⁾ „Dni doroczne“.

Spotykamy teraz rzeczy, wprost przejawskrawione, jak ta, gdzie

..... archanioł już woła
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła:

a to dla tego, że strzelec nie chciał sprzedać zwierzyny za dwa złote, mogąc wziąć sześć, pan zaś ją kupił, i oto uboga matka ubogiego chłopczyny nie mogła mieć rosołu. Umarła. Nie filantropijny, lecz społeczny był powód innego namiętnego wiersza: „Wyzwolenie włościan“. Większość zachowawcza komitetu wileńskiego, którego wiceprezesem był Ign. Chodźko, głosujący za utrzymaniem pańszczyzny, chciała całą sprawę, przez rząd podjętą, zamknąć w obrębie pewnych reform w stosunku między dworem a chłopem pańszczyźnianym ¹⁾ Był to jedyny wprawdzie przykład w guberniach litewskich, a miał tylko ten praktyczny skutek, że włościanie stracili całkiem ufność w dobrą wolę obywateli, i od lutego 1861 do wiosny 1863 r. przyszło w gubernii Wileńskiej zaledwie do jednej umowy dobrowolnej o wykup gruntów ²⁾. Wówczas to w sercu „wiejskiego polityka“ wybuch zranionego uczucia zburzył poprzedni dyplomatyczny rozmysł:

Myslałem sobie: Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas nie darmo szlachetnymi zwano;

.

I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlacheć, że mam herb w pieczęci.

.

¹⁾ W r. 1859.

²⁾ Zob. przypisek W. Korotyńskiego do wiersza Syrokomli, T. VII, str. 317 — 318.

Przecież się stało... kraju mój rodzony!
 Wieniec twej cześci odarty w tej chwili.
 Ojcowie twoi własnymi imiony
 Kajdany ludu pismem utwierdzili!
 Podali dziejów ohydnej pamięci
 Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
 O, wstyd mi Wilna! nie chcę być Litwinem!
 I hańba mojej herbowej pieczęci!

Wiersz był drukowany w zbiorowym wydaniu „Poezyl“ dopiero w r. 1872. Ale wówczas „poezya ta kursowała w rękopisach, w mnóstwie odpisów; deklamowali ją na imieninowych i innych zebraniach młodzi, a widziałam raz, jak po tej deklamacyi, kilku starych i przedtem dość opornych, płacząc, deklamatorkę w ręce całowali...“¹⁾

Zaiste, należał się skromnemu piewcy nadniemeńskiemu dar narodowy... Ale skądinąd poezya owa nie była już „przechwalaniem zalet ludowych“, jak się wyraził J. Laskarys w nlotnym wierszyku. To nie był sentymentalny „Wielki Czwartek“, choć i ten zbyt drażliwych kłuł w oczy. I nawet nie „Ułas“, z którego przegląda bezdenny żal. To była otwarta, gorąca napaść, w gorącej wykonana chwili. Sympatye jednej części społeczeństwa równowazyły się niechęcią drugiej, wpływowszej. Tem skwapliwiej wglądano w prywatne życie poety, tem ostrzejsza spotykała go cenzura za osobiste jego winy, i za Stellę, i za „życie luźne“, i za szukanie pociechy w kieliszku.

Powiedzieliśmy wyżej, że gdyby nie wstrząśnienie moralne, gdyby nie choroba przedewszystkiem, co przedwczesną zgotowała poecie mogiłę, rozwinałby się mógł przed nim długi jeszcze szereg lat życia i twórczości. Niepodobna wszakże nie uznać, iż w pewnym względzie poezya lirnika dobiegła swego kresu i zadanie swe społeczne spełniła do ostatniej kropli. Do dziś pozostała ona świeżą i młodzieńczą, gdyż płonie w niej święty ogień tego uczucia, które jest najwyższem dla życia ziemskiego przykazaniem: kochaj bliźniego twego. I dopóki człowieka od człowieka dzielić będą różnice zewnętrzne, działanie poezyi Syrokomli ustać nie może. Lecz poezya ta związana była również z pewnymi pierwiastkami czasowemi, które wolą prawodawcy skończyły swe istnienie. Zamiast stosunków zale-

¹⁾ Słowa E. Orzeszkowej.

żności i niewoli, miały wystąpić stosunki sąsiedztwa. Jedna z głównych sprężyn, pobudzających dotąd natchnienie Syrokomli, została usunięta. I sam poeta, jakby zamknął i miniony okres kultury, i własną twórczość w pominiętym kierunku słowami powitania „nowej epoki czasów“, które spotykał „z chlebem i solą“:

Kmłotek litewski, co orząc łany,
 Żył i umierał na cudzej grzędzie,
 Dziś uroczyście został wezwany
 Zając swe miejsce w społecznym rządzie...

.

. Rolniku bracie,
 Ziemia twych ojców twoją być może,
 Szlachcic ją zdobył krwią swego przodka,
 Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym...

.

Starą nienawiść do starszej braci
 Niech zapomnienie wieczne przygniecie;
 Trzeba przebaczyć, że są bogaci,
 Dziś bogatymi zostać możecie!

.

Dziady szlacheckie z dziady waszemi
 Przeżyły wieki doli, niedoli;
 Wnuki z wnukami na tejże ziemi
Obywatelska miłość zespoli...

Urzeczywistniły się napozór młodzieńcze rojenia o młodej żniwiarce i synu sułtana. Społeczeństwo postąpiło o krok w swym rozwoju. Do braci prośba za braćmi spełniona. I pieśń, która cała prośba taką była, musiała wznieść się do wyższych lotów... Ale siły jej brakło. Czuł poeta chwilowe „przebudzenie“, ale tylko chwilowe

Calunem jednych marzeń spowity,
 Torturą jednych wspomnień łamany,
 Straciłem z oczu syońskie szczyty,
 Przestałem kochać świat mój kochany.

.

Wśród burzy na mnie zleciała wiara,
 By uratować rozbitka w łodzi,
 Znowu się do mnie uśmiecha praca,
 Znów czuję w piersi pieśni oddźwięki.
 Boże mój, Boże, czuję, że wraca
 Spokój do serca, pióro do ręki ¹⁾).

Ta wiara i spokój były już tylko rzadkimi chwilami złudzeń.

XIV.

POEZYJE OSTATNIEJ GODZINY (1861 — 1862).

Pamiętamy, iż poeta szukał ratunku u wód w Druskienikach i Birsztanach. Zdawało się, że pobyt w miejscowościach leczniczych pokrzepił ciało i ducha. W Wilnie ogarniał go natychmiast gwar ruchliwej ulicy (Niemieckiej), boleśnie szarpiący napięte nerwy. Z tego czasu ²⁾ pochodzi prześliczna a bolesna „Śmierć słowika“, w drucianem zamkniętego więzieniu:

Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
 Ten śpiewać już musi. .

.

Przypomnił swe chwile dawniejsze wesela,
 Swe chwile swobody.

Przypomnił swój gaik i lube wieczory
 Pod gęstą kaliną.

Przypomnił serdeczne, długie rozmowy
 Ze swoją jedyną,

Jak budząc się ze snu przed jutrznią, przed słońcem
 W mgłę rannej lał trele

¹⁾ Z r. 1861.

²⁾ Z r. 1859.

I głosem królując nad ptactwa tysiącem
 Był zawsze na czele!
 Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
 Pomimo hałasul
 Do wyższej, do wyższej nastroję się miary —
 Tak myślał syn lasu.
 Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmiać krocie,
 Bruk miejski wciąż dudni...

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
 Ci sobie, on sobie,
 Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
 W ostatniej swej próbie.
 Daremnie w drobnouchne skrzydełka szeleszcze,
 Chwieje się i ślania,
 Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
 Lecz taktem skonania ..

A oto wymowny komentarz: „Mieszkając w środku miasta, w gwarnej, brudnej ulicy, przy zbiegu czterech ulic, czułem od świtu do północy, jak mi mózg kipi od gwaru dorożek i napędza do głowy ból niewypowiedziany. A wybrnąć z tamtej jaskini nie mogłem, bom kwaterował u Żyda, któremu winien byłem i komorne, i sumę rękodajną“ ¹⁾. W jesieni 1860 r. wydobył się wreszcie biedny słowik z więzienia, przeniósł się na ulicę ustronną, gdzie wiejską niemal miał ciszę, ale kroczącej tuż śladem śmierci, wymknąć się nie umiał. „Choroba, zewsząd choroba, czuję ją w nogach, w piersiach, w mózgu, w sercu“. Zdaje się w końcu marca 1861 r., pomimo odradzań Kraszewskiego, w ucieczce swej przed śmiercią podążył Kondratowicz do Warszawy. „Z oblicza tego osmutniałego — pisze Kraszewski — wyzółkłego, z oczu wpadłych i przyćmionych, z ruchów powolnych widać było przeddzień śmierci“. Lekarze wprawdzie nie rozpaczali o wyzdrowieniu, ale za konieczny warunek podawali „spokój, dyetę, regularne życie, usunięcie się od pracy“. Jak chorobliwa żądza jakaś przygnała Łazarza do Warszawy, tak ona znowu wzbudzała w nim gwałtowną chęć powrotu do swego kąta. Wypadło mu zamknąć się w Borejkwoszczyźnie, gdy tymczasem „gospodar-

¹⁾ Do Chęcińskiego, listopad, 1860 r.

stwo i wszystkie jego przybory piśmienne były przewiezione do Wilna" według informacyi, którą znajdujemy w przypisach do „Poezji“, przez W. Korotyńskiego poczynionych. W jednym z ówczesnych listów do znajomego w Suwałkach pisze w czerwcu: „Z powodu osłabionego zdrowia, doktor... przepisał mi kozie mleko, z zabronieniem przyjazdu do Wilna, gdzie powietrze jest niezdrowe“. Przyczynę osiedlenia się w Borejkwoszczyźnie możemy opowiedzieć za Wincentym Korotyńskim, który w r. 1884 umieścił w „Tygodniku Powszechnym“ swe „Obrazy z pobrzeża Niemna“ (№ 25). Otóż wycieczka Kondratowicza do Warszawy odbyła się bez legalnego pasportu, a co gorsza, za pasportem cudzym. W Wilnie zdaje się puszczono wyskok ten płazem. Ale w powrocie z Warszawy na Kowno, poeta „niebacznie pozwolił, że go uroczyście podejmowano w kilku miejscach, przyczem nie obeszło się bez gorących mów i wierszy“. Więc oto z Suwałk odprowadzono Kondratowicza do Wilna pod konwojem. Tu, gdy mu groziła dalsza podróż, dr Julian Titius (idziemy za wskazówką p. Lucyana Uziębły) przekładał ówczesnemu generał-gubernatorowi Nazimowowi, że dla chorego poety droga dalsza byłaby zabójczą, że należy wybaczyć zdenerwowanemu człowiekowi jego stan podniecenia i t. p. (A. H. Kirkor, o którym pisze W. Korotyński, w staraniach tych nie brał udziału, nie widując nawet nigdy gen. Nazimowa). W skutek wstawiennictwa najwyższej władzy miejscowej, uwolniono poetę pod warunkiem, iż zamieszka w Borejkwoszczyźnie i bez specjalnego pozwolenia do Wilna zaglądać nie będzie. Nowinę tę zwiastował mu sam Nazimow, odwiedzający go w celi, jak o tem dowiadujemy się z listu Kondratowicza do żony ¹⁾.

W samotności niespodziewanej nie napisał poeta już nic większego. Stworzył tu jednak prawdziwym humorem okraszoną gawędę o „Dokumentach“, pełną wycieczek satyrycznych. Tu również w żartobliwej i łzawej zarazem sielance opisuje siebie, jako „Owidyusza na Polesiu“. Tu nawiedzało go „Przebudzenie“, ale tu także wypłynęła ze znękanej piersi modlitwa: „*Cupio dissolvi*“:

Na có mi, Panie, ta suknia z ciała,
Co mi swobodną duszę skowała?

¹⁾ Z d. 23 kwietnia st. st.

W ziemskich warunkach ciała i kości
 Spada korona niezależności;
 Duch musi stawać na ziemskiej mierze,
 Ziemska namiętność swe prawa bierze,
 Wysokie żądze giną bezpłodne,
 Wzamian rozkoszy, co mnie niegodne,
 Głód i pragnienie, zimno i spieka
 Dają poczucie nędzy człowieka.
 Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,
 Próżność piersiową klatkę wydyma,
 Nienawiść ręce uzbraja w noże,
 Miłość zbydlęca, co było Boże.
 Tak, nawet miłość, uczuć królowa,
 Tutaj świętości swej nie dochowa...

.

Po ogłoszeniu wiersza tego w „Kuryerze Wileńskim“ ¹⁾, posypało się „siła protestacyj wierszem i prozą, nadsyłanych do redakcyi „Kuryera“. Chciano, aby żył poeta, żyć mu rozkazywano... i „nie więcej“, dodaje tu gorzki komentarz Winc. Korotyński.

W Borejkwoszczyźnie wreszcie powstały „Melodye z domu obłąkanych“, gdzie poetaze śmiechem i łzami opisuje własny pogrzeb. Podobnie, jak niedokończone (a równie tu pisane) fragmenty dramatyczne, „Melodye“ owe, to ułamki tylko, nie związane nawet jednością myśli. Ten sam jednak w nich koloryt, ta sama drga nuta utajonego, zrezygnowanego żalu, tę samą wyczuwa się w nich lotność słów i myśli.

Posłuchajmy, choćby tego wstępnego akordu:

Ja jestem panem całego świata,
 Co chodzi, pływa, czołga się, lata,
 Niebo i ziemia — *to wszystko moje!*
 Ja się ich stracić nie boję.
Bo jasne niebo kluczem zamknąłem,
A ciężką ziemię sznurami spiąłem;

¹⁾ R. 1861.

*Klucz do kieszeni, a końca nici
Już z mojej ręki nikt nie wychwyci.*

.....

Niech będzie cisza, bo mię sen mroczy,
Przygaście słońce, bo kole w oczy,
A gdy za wiele blasku w przestrzeni,
To mu ogólcie głowę z promieni,
*Jak ogolono mnie moją głowę,
Za to, żem rzucił światło różowe.*

Nie zważajmy na świadomie użyte przez Syrokomłę zgrzyty. W tej mowie obłąkańca, tak, niewątpliwie obłąkańca, czuć przecież taką świadomość twórczej potęgi, taką szczerłość technienia, śmiałość wyobraźni, taką giętkość słowa, a poza tem taką głębię, jakiej nie znaleźmy w skromnej, ziemi trzymającej się, a rzewne uczucia wyrażającej pieśni Syrokomli. „Umysł jego — według pięknych słów p. Wł. R. Korotyńskiego — osiągnął już mądrość boleści, nad uczuciami zapanował majestatyczny spokój, słowo naginało się do myśli z chyżością ptaka, z wyrazistością rzeźby, z barwnością malarstwa”.

Oprócz poezyj swoich, oprócz studyów nad Heinem, lub Chodźką, posyłał też Kondratowicz ze swego ustronia do „Kuryera Wileńskiego” i „przeglądy miejscowe”, do których dostarczano mu materiałów.

Niemal po roku mógł Kondratowicz, dla poratowania zdrowia, przenieść się do Wilna, bo już w dniu 13 lutego 1862 r. wpisuje czterowiersz do „pamiętnika” Zyg. Gutta. Te kilka miesięcy do września przyniosły zaledwie setkę wierszy w ogólnym rachunku, a najpłodniejszym był właśnie wrzesień, w którym powstaje gawęda o „Błogosławionym Świętosławie”¹⁾. Syrokomla, uderzając w legendowy ton, jakby wiązał koniec swojej twórczości z początkiem („Błogosławiony Sadok”). Koło zamykało się. Ale zarazem jest to, jakby drganie nowej linii. Po rozwiązaniu sprawy ludu wiejskiego, dla którego wskazuje teraz szkołę i pracę kulturalną²⁾, lirnik przenosi swój wzrok na lud miejski, wyrobniczy.

1) W innym kształcie utwór ten rozpoczęty był jeszcze w Borejkowszczyźnie na początku roku.

2) Przed kilku miesiącami właśnie powstała w Borejkowszczyźnie gawęda o „Szkoła”.

Wszystkie stany bez różnicy
 Pan przytuła do łona,
 I wy, polscy wyrobnicy,
 Macie w niebie patrona.

Obszerny mają zakrój niedokończone „Dwa obrazy”. Ale już pióro wypadło z martwiejącej dłoni. Umysł jednak był czynny do ostatniej chwili, a zstępując do grobu, jeszcze się poeta oddaje złudzeniom. W marcu zamyśla o zbiorowym wydawnictwie „Czeladź literacka”. W sierpniu, gdy Kraszewski w piśmie, przez siebie redagowanym ¹⁾, wspomniał o beznadziejnym stanie poety, Syrokomla z pewną goryczą pośpieszył zaprzeczyć tym przewidywaniom. By dopomóc biednemu Łazarzowi, zakrzętnął się Kraszewski około wydawnictwa nowych utworów Syrokomli. Zbiorek wyszedł już po śmierci poety pod nap.: „Poezye ostatniej godziny”. Tytuł ten był wyrazem powszechnego żalu, ale w istocie poezyi „ostatniej godziny” książka nie zawierała, mieściło się nawet w niej parę utworów, przed dziesiątkiem jeszcze lat napisanych. Poeta czynnie zajmował się wydawnictwem, coraz to wydobywał coś ze swych papierów napisał wierszowaną przedmowę, z której Kraszewski dał tylko urywek, gdyż „myśl pod koniec splątała się, ręka, którą usiłował po papierze nakreślić słów kilka, przykre robiła wrażenie ostygłej już napół tchnieniem grobowem”.

Czujny grajek przy lutence
 Z czeczotkowym kijem w ręce,
 Od komina do komina
 Swą wędrówkę rozpoczyna...

.
 Zawsze bardon ma strojony...

Przypomina to dawno złożoną obietnicę: „skonam, grając na lirze”.

1) „Gazeta Polska” z dawnej „Codziennej”.

Na godzinę przed śmiercią podyktował jeszcze Syrokomla do Kraszewskiego kilka bezładnych słów, wśród których mieściły się i te: „Drogi Józefie, com obiecał, ściśle dotrzymuję. Słodką nadzieję, iż w pełnym zdrowiu sztandar pracy rozwinę... Kapitalik się rozszedł, z głodu nie zginę, ale co widzę przed sobą? Czarną przyszłość...”.

D. 15 września, na parę dni przed ukończeniem trzydziestego dziewiątego roku życia, lirnik wioskowy spoczął na wieki. „Pogrzeb — czytamy u Kraszewskiego — był wspaniały, z tysiącem ludu w orszaku, z bijącymi sercami młodzieży, z laurem na zżółkłej skroni, z mogiłą usypaną dłoni gorących natłokiem; nie zbrakło mu nic, nawet rozgłośnej obelgi, rzuconej na trumnę... Koleją odzywały się dzwony i modlitwy po wszystkich niemal kościołach; gorętsi rzucali grosz wdowi składki dla rodziny, a zacna szlachta kowieńska na zebraniu w Nowo-Aleksandrowsku (Jezioranach) wniosła przez usta p. Klimañskiego projekt narodowego daru, kawałka tej ziemi, którą tak kochał, dla osieroconych dzieci”. Mimowoli przychodzi na myśl prorocтво, przed siedmiu laty wyśpiewane w „Zgonie Acerna”.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba;
Trup, co leżał w szpitalu na łożu Hioba,
Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
Obitą aksamitem, frendlami srebrnemi,
Na trumnie leży harfa z porwanemi struny,
Cały kościół obito w grobowe całuny

.

Kraj, który patrzył zimno, jak zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza

.

.

*

*

*

Od chaty do chaty, do grobowej deski,
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.

Witały go dwory, witała go strzecha,
 Wtórzyły mu wdzięcznie, zabląkane echa...
 Bo z jego lirenki leciały piosenki,
 Jak szare skowronki wzlatały z pod ręki,
 Pod sercem się lęły, pod sercem prostaczem,
 Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem...

Udanem weselem nie zabił żalości,
 Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości,
 I przegryzł mu serce, żalością przepoił,
 I oną udaną swobodę rozbroił...

Spoczywaj, lirniku, nasz bracie wioskowy,
 Spoczywaj, lirniku, a ziola nadgrobnie
 Niech szemrzą nad tobą, jak struny żałobne,
 Wzruszone powiewem ojczystej dąbrowy.
 Spoczywaj, lirniku, nasz bracie wioskowy!

Temi rzewnemi nutami pożegnał lirnika litewskiego, jego brat
 z ducha — lirnik mazowiecki.

*

*

*

Staraliśmy się określić, w miarę sił, czem była poezja Syrokomli dla jego czasu. Była chlebem powszednim, ale zdrowym i pożywnym, zawierała w sobie rzeźwiący napój dla ducha, zmęczonego codziennym znojem.

Czemże jest dla nas?

Zostało w niej dla nas kilka obrazków pogodnych. Przegląda się w niej wiecznie młoda i wiecznie droga ziemia, i niebo, często smutne i zamglone. A nadewszystko promienieje z niej zaklęta w dźwięki miłość ku ludziom, która była istotą duszy słowika nadniemeńskiego i która splotła z dźwięków owych kilka nieśmiertelnych akordów. I to uczucie miłości, którem jest przesiąknięta, wsączy

się wraz z pieśnią przedewszystkiem w młode serca i młodziutkie wyobraźnie, nie mogące jeszcze podążyć za górnemi lotami Konopnickiej lub Kasprowicza, i uczyć je będzie, że człowiek dla człowieka powinien być bratem. Nauka taka będzie im potrzebna, bo realne stosunki rzeczywistości co innego im wskażą, zwłaszcza w zakresie dla oczu dziecinnych najdostępniejszym.

A. DROGOSZEWSKI.

K O N I E C.

PIŚMIENNICTWO.

X. PIOTRA SKARGI. SOC. JESU: Kazania Sejmowe z pierwodruku r. 1597 wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanowski. Warszawa 1903 (Biblioteka dzieł chrześcijańskich.)

Z obszernej i wyczerpującej przedmowy dowiadujemy się, że gdy w r. 1588 Zygmunt III powołał Skargę na kaznodzieję dworu i sejmu, prymas Karnkowski już siódmy krzyżyk na barkach swoich dźwigał a Stanisław Sokołowski, prawie boski kaznodzieja Stefana Batorego, był słabego zdrowia. Józef Wereszczyński przy całej swej żarliwości, sercu złotem i uczuciu gorącym, nie posiadał szerokiego na świat poglądu. Jan Dymitr Solikowski miał i głowę mocną i dar wymowy, ale tylko gładkiej, nie porywającej. Jeden Skarga miał wszystko: i serce wielkie i umysł szeroki i dar wymowy taki, o jakim nie słyszano nigdy w Rzeczypospolitej. Kazaniami natchnionemi zasłynął już był we Lwowie, i w Pułtusku, i w Jarosławiu, i w Wilnie, i w Połocku, i w Rydze i w Krakowie, miał już za sobą uczone i poważne pisma. Stawszy się w r. 1588 kaznodzieją sejmu i dworu, Skarga zaczął już prawdopodobnie przemawiać na nabożeństwach sejmu koronacyjnego, na pewno zaś wiadomo, że nazajutrz po zamknięciu sejmu, w niedzielę d. 31 stycznia 1587 r., a więc na nabożeństwie, odprawionem wobec rozjeżdżających się posłów, wygłosił na Wawelu w obecności króla kazanie dziękczynne, z powodu zwycięstwa pod Byczyną. Jest to pierwsze znane nasze, chociaż tylko z lichego przekładu łacińskiego, kazanie polityczne. Już w tem kazaniu przyrównywa ojczyznę do okrętu, a jej synów wyrodnych do tych głupców, co, gdy okręt tonie, o swoich jedynie tłumokach myślą, nie pomui, że jak okręt zatonie, i oni wszystko co mają, potracą. Odtąd nie opuścił Skarga ani jednego sejmu; od r. 1588 do roku śmierci jego (1619) osiemnaście odbyło się sejmów i jak świadczy Birkowski w swej przemowie pogrzebowej, wszystkie wymową swoją oświecał, nie bojąc się przymówek ludzkich.

W wieku XVI coraz to częściej gromią kaznodzieje grzechy przeciwko moralności społecznej i politycznej i to nietylko w kazaniach sejmowych, ale nawet i w postylach. Skarżył się Wujek, że nawet Turcy każdemu i najlichszemu wnet sprawiedliwość uczynią, a u nas jej drudzy ani dowołać, ani dopłakać, ani dokupić nie mogą. Nie taili grzechów politycznych i społecznych kaznodzieje protestanci, jak np. Grzegorz z Żarnowca, który w postyli swojej narzeka na swawolę w Polsce. Takich i tym podobnych upominań pełno w kaznodziejstwie XVI w., lecz są one jeszcze przygodne jedynie, nie stanowią bynajmniej głównej treści kazań i nie nadają im cechy wybitnie politycznej. Bez porównania więcej zbliżają się do tego typu kazania łacińskie Stanisława Sokołowskiego, który też niewątpliwie musi być uznany za jednego z poprzedników Skargi. Wprawdzie głoszoną ich treść stanowi obrona katolickiego kościoła i walka z różnowierstwem, lecz broni Sokołowski katolicyzmu, nie tylko jako teolog, ale i jako polityk, dowodząc szczegółowo, że religia katolicka tak jest prawdziwą religią i prawdziwą podstawą moralności chrześcijańskiej, jak jest pewną i niezawodną, mocną podstawą państwa. Albowiem wolność katolicka jest wolnością prawdziwą, polegającą na tem, aby żyć zgodnie z rozumem, szanować zarząd, czcić króla, pomazańca Bożego, świadczyć posłuszeństwo prawom. Prócz tego Sokołowski występuje przeciw Konfederacji Warszawskiej z r. 1573, którą nazywa uprawnioną sankcją bezbożności, obstaje za przywróceniem jurysdykcji biskupów, potępia tak nazwaną kompozycję, broń dziesięcin, a różnowierstwo poczytuje za grzech śmiertelny, nie tylko względem Boga, ale i względem państwa.

Ścisłejsze pokrewieństwo zachodzi jednak między kazaniem Skargi a kazaniem Hieronima Powodowskiego. Już w r. 1573, ukażały się dwa jego kazania sejmowe, wypowiedziane po łacinie, ale wydane po polsku. W pierwszym kazaniu przyrównywa Powodowski Rzeczpospolitą do wieży Babilońskiej, którą z powodu różności wiar trzeba będzie niedokończoną pozostawić. Są jednak kazania Powodowskiego więcej o charakterze politycznym, jak np. kazanie panegiryczne, wypowiedziane w dzień Ś-go Stefana, na sejmie w obecności króla. W kazaniu powyższem za najcięższy grzech narodu polskiego poczytuje Powodowski zerwanie dawnej jedności religijnej. Ale są grzechy świeckie: brak sprawiedliwości przede wszystkim, dalej lichwy, zdrady, oszukaństwa, chciwości, pogwałcenie świętych praw i przywilejów kościelnych. Krzywdy, jakie duchowieństwu katolickiemu wyrządzają różnowiercy. Nie zapomina Powodowski o rządzie świeckim, oświadczając, iż Polska zapadła na chorobę sejmową „morbus comitalis“. Większość bowiem praw nowych uchwa-

lono nie zgodą powszechną, ani rozmysłem dojrzałym, lecz bystro i niebacznie. Ustawy te, zapłodnione uchwałami stronnictw sejmików, poczęły i dźwigały w swem łonie brzemień choroby i jako jaja zmijowe, sączyły z siebie kropla po kropli jad niezgody, a potem na sejmach walnych rodzić zaczęły przy pomocy nienawiści i sporów burzliwych i porodziły nieprawość. W innym kazaniu Powodowski piętnuje krzywdy społeczne. Trzy są stany w Polsce, powiada on, jeden który pracuje, dwa które w pracy ludzkiej nie są. Pierwszy stanowią chłopci, którzy we dnie i w nocy, czasem nawet w dni świąteczne, bez wytchnienia, głodem i biedą wszelaką nękanymi, z bydłem pospołu, trudy od egipskich cięższe ponoszą; drugi szlachta i magnaci, którzy uciskają chłopów, trzeci kupcy i rzemieślnicy, o których mówi prorok: „W mnóstwie nieprawości twych i w nieprawości kupiectwa swego splugawiłeś poświęcenie twoje“. Można przyrównać tę Rzeczpospolitą naszą do owego Nabuchodonozora posągu, który miał wprawdzie głowę złotą, pierś srebrną, brzuch miedziany, nogi żelazne, ale podstawę z ziemi i błota ulepioną; gdy ją zgruchotano, runęła cała machina. Powodowski był niezawodnie poprzednikiem Skargi, twierdzić jednak nie można, że on, a nie Skarga, stworzył w literaturze naszej typ kazania politycznego.

Kazania sejmowe Skargi ogłoszone po raz pierwszy drukiem w r. 1597, są zdaniem autora przedmowy, najdoskonalszem i najczytszem zwierciadłem jego jasnej, pięknej, wspaniałej duszy, jego płomiennej miłości ku Bogu, kościołowi katolickiemu i ojczyźnie, jego głębokiego rozumu. Powstały one pod wpływem wzrastającego rozstroju państwa polskiego w pierwszych latach panowania Zygmunta III. Jedną z przyczyn rozstroju była sprawa religijna. Odziedziczyli innowiercy po Stefanie Batorym jego słynną ordynację dla Krakowa przeciwko tumultuantom, ale za to podczas obrzędu koronacyjnego nie pozwalało duchowieństwo Zygmuntovi III złożyć przysięgi, jeżeli projekt obwarowania konfederacyi wykona. Na sejmie w r. 1590 zdołali innowiercy przeprzeć ustawę o tumultach na cztery miesiące, co nie zażegnało jednak nowych tumultów w Poznaniu i w Krakowie. Pogłębiała nieprawość wyznaniową literatura satyr, broszur, paszkwilów, stronnictwa, gwałtowna, namiętna, deprawująca serca i bałamucąca głowy, a zachowanie się wobec tumultów króla, nie mogło mu pozyskać miłości dyssydentów. Zamęt ogólny wzrastał z powodu braku sprawiedliwości, bo prawa choć były, ale nie miały egzekucyi, tymczasem szlachcic był przekonany, że na całym świecie Bożym nie było państwa, któreby się lepiej rządziło niż Polska, a wolność rozumiał jako „móc żyć, jako kto chce.“ Na zarzut, że w Polsce nie rząd coraz gorzej panuje, szlachcic odpowiadał: Polska nierządem

stoi, i obawiał się wszelakich reform, jako niemożliwych do przeprowadzenia.

W przedmowie do pierwszego wydania swych kazań Skarga oświadcza: „I do rady, i senatu, i rycerstwa, i na sejmach i na zjazdach odprawowałem Panie Zbawicielu poselstwo Twoje,... groziłem im jakoś rozkazał, gniewem Twoim, zgubą i pożarciem ich od nieprzyjaciół i spustoszeniem i przeniesieniem królestwa ich do innych narodów. Ukazywałem, jako miecz pogański nad nimi wisi, który sąsiedzkie zdrowia i majątności pożera. Cóżem dalej czynić miał mój Panie?“ Przedmowę powyższą umieścił Skarga na czele r. 1595 wydanych: „Kazań na niedziele i święta“, czyli że już przed tem mówił w kazaniach sejmowych o tych samych przedmiotach i w tym samym duchu, co później, a co w zupełności zgadza się z jego własnem wyznaniem w kazaniu wiślickiem: „Już to piętnaście sejmów za panowania szczęśliwego pana i króla naszego odprawilo się, na każdym zem mówił i przekładał.“ Kiedy się czyta niektóre ustępy różnych kazań na niedziele i święta, niepodobna nie nabrać przekonania, że one są częścią kazań, wygłoszonych nie dla wszystkich wiernych, ale dla posłów i senatorów, lub dla króla i jego dworu. O jednym kazaniu na drugą niedzielę postu, wiemy napewno, że jest sejmowe, czego niezbitcie dowodziły słowa następujące: „Teraz zwłaszcza, gdyście się na ten sejm zjechali, jako wodzowie ludu Bożego, jako świece ich ciemności“ i t. d. i t. d. O pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, t. j. o braku prawdziwej miłości ku ojczyźnie, mówił już Skarga w kazaniu na siedmnastą niedzielę po świętkach. Że niezgoda prowadzi państwa do upadku, o tem mówił Skarga w kazaniu na piątą niedzielę po Trzech Królach, to była druga choroba Rzeczypospolitej. O trzeciej, o różnowierstwie, mawiał często, w kazaniu na dziesiątą niedzielę po Świętkach, albo na czwartą i piątą po trzech Królach, a nadewszystko w kazaniu na trzecią niedzielę postną. Że najlepszą postacią rządu jest monarchia, tego dowodził w kazaniu na drugą niedzielę po Wielkiejnocy. Tę samą myśl wypowiada w kazaniu na czwartą niedzielę po Świętkach. Obowiązek poszanowania majestatu królewskiego przekładał Skarga w kazaniu dziewiątem po Świętkach, a całą część pierwszą kazania na 22 niedzielę po Świętkach, poświęcił wykładowi o urzędzie świeckim, wogóle dowodził, że sam Pan Bóg go ustanowił. W kazaniu na pierwszą niedzielę Adwentu mamy pogląd, że fundamentem pokoju dobrego, ludzkiego, jest sprawiedliwość. Na niekarność grzechów jawnych często powstawał Skarga, najsilniej w kazaniu na dziewiątą niedzielę po Świętkach.

Kazania sejmowe, ogłoszone drukiem w r. 1597, nie są streszczeniem poglądów i myśli, nawoływań i upominań, wypowiedzianych

w kazaniach dawniejszych, ale przeciwnie są ich rozwinięciem, uzupełnieniem, wyjaśnieniem i połączeniem w jedną logiczną i artystyczną całość. Złożyły się na nie całe lata działalności kaznodziej-skiej Skargi i wskazówki, które pozwalają dość ściśle określić czas pracy nad ich pisaniem, a przynajmniej nad ostatecznym wykończe-niem. Ostatnią rękę do „Kazań Sejmowych“ przyłożył Skarga do-piero po Sejmie r. 1597 i w tymże roku ogłosił je drukiem przy końcu drugiego wydania kazań na niedzielę i święta. Teraz ich geneza przedstawia się jasno: na sejmie tym miano dokonać ważnych reform, pomiędzy propozycjami od tronu, miano wnieść na obrady i te, aby wzmocnić powagę uchwał sejmowych, Wówczas to Skarga posta-nowił skupić w całość wszystkie na poprzednich sejmach wypowiedziane, myśli i poglądy na Stan Rzeczypospolitej i jej naprawę, i w ten sposób powstało ośm kazań sejmowych. Czy wygłosił je Skarga na nabożeństwach sejmowych w r. 1597? Pewności niema, oświadcza Chrzanowski, lecz nic, ale to literalnie nic, nie przeszkadza temu przy-puszczeniu. Pozornie sprzeciwiają się temu trzy ustępy, dotyczące już skończonego sejmku, a więc przekonywające, że kazania, w któ-rych je zamieszczono, odbyć się mogły jedynie po sejmie. Były jesz-cze prócz tego inne zarzuty, podnoszące tę okoliczność, że o tem, aby przed sejmami wygłaszał mowy czy kazania Skarga, milczał Dyarjusz ówczesny. Że Dyarjusz milczy, to rzecz bardzo naturalna, przecie nie podczas obrad sejmowych przemawiał Skarga, tylko na nabożeń-stwach w kościele.

Prócz tego prof. W. Zakrzewski był zdania, że sama przedmowa Skargi zdaje się świadczyć, przeciwko przypuszczeniu, iż kazania były wygłoszone na sejmach. W dedykacji królowi Skarga wciąż mu powia-da, co w tych kazaniach znajdzie. Gdyby je król przedtem słyszał, chy-baby jednym słowem kaznodzieja o tem nie napomknął. Podobnego zdania jest i prof. Brückner, który utrzymuje, że z własnego wyzna-nia Skargi dawno się domyślano, że Skarga kazania te pisał tylko i przed żadnem gronem sejmowem ich nie wygłaszał. Poważne to nieporozumienie płynie stąd, że obaj uczeni powołują się na przed-mowę do kazań o siedmiu sakramentach, o przygodnych, wydanych wraz z sejmowemi w r. 1600, które to wydanie przez czas długi w oczach wielu uchodziło za pierwsze wydanie kazań sejmowych. Tymczasem po raz pierwszy ukazały się kazania sejmowe w drugim wydaniu kazań na niedzielę i święta w r. 1597 i posiadają przedmowę, będącą dosłownym przedrukiem przedmowy do pierwszego wydania tychże kazań niedzielnych i świątecznych z r. 1595, w tej zaś przed-mowie niema ani jednego słowa, które mogłoby podzielać zdanie pomienionych uczonych. Prof. Zakrzewski utrzymuje prócz tego,

że sam układ i rozkład, systematyczność i porządek w przeprowadzeniu całego przedmiotu, utwierdzać musi w przekonaniu, że to opracowano w spokoju z rozmysłem, porządkując gorące słowa, do których podobne, albo nawet te same płynęły przedtem z ust wyborne go kaznodziei, ale bardziej dorywcze, nie tak obmyślane i w niezupełnie tym samym związku z innemi. Pytamy, pisze Chrzanowski, dla czego układ i rozkład, systematyczność i porządek, nie mogły być owocem spokojnej, pełnej rozmysłu pracy przed sejmem? skąd pewność, że dopiero po sejmie przystąpił Skarga do tej pracy? czy nie o wiele prawdopodobniejszem, bo i z świadectwem Birkowskiego i z jego własnem przyznaniem się do trudności pisania kazań przygodnych, jest przypuszczenie, że na sejmie z ust wymownego kaznodziei, słowa nie płynęły dorywczo, że były głęboko obmyślane i że kazania miały z góry ułożony plan i związek wzajemny, słowem, że były napisane już przed sejmem.

Zdaniem prof. Brücknera, przeciwko przypuszczeniu, że Skarga naprawdę wygłosił swoje „Kazanie sejmowe“ przemawia choćby to jedno, że w nich specjalnych okoliczności na oku wcale nie miał, lecz zwracał się do stanów sejmujących i do ich zadania niby in abstracto bez zastosowania do jakiejś chwili bieżącej. Chrzanowski oświadcza, że nie brak w kazaniach alluzji do wypadków konkretnych, choć istotnie kazania Skargi możnaby wygłosić na każdym sejmie za Zygmunta III. Gdyby jednak Skarga nie wygłaszał kazań in abstracto, dopieroż powstałaby wrzawa, że jakiś tam mnich z Grójca śmie krytykować postępowanie obecnych postów i senatorów. Skarga, mający poselstwo od Boga, mógł sobie pozwolić co najwyżej na kilka i odległych alluzji. Następnie znajdujemy w Przedmowie Chrzanowskiego streszczenie wszystkich sejmowych kazań, i zestawienie zasadniczych politycznych myśli, zawartych w kazaniach sejmowych, które dadzą się sprowadzić do tych samych trzech myśli zasadniczych, przyświecających całej jego działalności. Polska powinna powrócić do jedności religijnej, pomyślność narodu zakwitnąć może jedynie na gruncie moralności chrześcijańskiej w ogóle, a patryotycznej w szczególności, państwo polskie potrzebuje koniecznie reformy. Każda z tych trzech myśli Skargi pozostaje w ścisłym związku z literaturą naszą XVI wieku.

Jeden Skarga, zdaniem Chrzanowskiego, miał odwagę publicznie napiętnować rząd „popularitatis“, obnażając tym sposobem najcięższą i najniebezpieczniejszą ranę państwa, decentralizację; on jeden bez żadnych osłonek wykazał, do czego taki rząd doprowadzić musi, on jeden nie zawahał się w epoce osłabienia władzy i zdyskredytowania powagi królewskiej, wezwać koło poselskie, aby zlecało rządy

królowi polskiemu i jego radzie. Kazanie o monarchii, to korona tej literatury XVI wieku, która budziła w społeczeństwie świadomość koniecznej potrzeby zaprowadzenia silnego rządu, jako najgłówniejszego warunku, już nie potęgi, ale wręcz istnienia państwa. To jedno kazanie, przez pierwszorzędną wagę podjętej w niem sprawy, przez mądrość głęboką i niesłychaną odwagę w jej wyświetlaniu, należy do najznakomitszych utworów całej naszej literatury, nawołującej do naprawy Rzeczypospolitej. Czy zaś program umocnienia rządu i zapobieżenia wzrostowi decentralizacji, powstał w umyśle Skargi pod wpływem nauki jego braci zakonnych o silnej władzy królewskiej, czy całego stronnictwa politycznego, czy też jest owocem jego własnej mądrości i trzeźwości, a na świat i własny kraj poglądu, tego nie wiemy, ale wiemy, że nikt odważniej nie wypowiedział programu, który był wówczas jedynym skutecznym i jedynym zbawiennym.

Inne myśli wypowiedziane w kazaniach sejmowych, choć nie mniej żywotne i mądre, nie mają już tej doniosłości. Zasługą jego pozostanie, że w czasach, kiedy w społeczeństwie coraz to więcej zanikała myśl reformy, on o niej przypominał. Nie wyczerpał wszystkich praw niesprawiedliwych, to prawda, ale wystąpił przeciwko najgorszym: krzwiącym bezkarność zbrodni, plugawiającym ziemię krwią niewinną i uprawniającym ciężką krzywdę społeczną. A pojęcie prawa, jego podstawę etyczną i społeczną, określił i uzasadnił lepiej od wszystkich współczesnych prawników. Nie zapomniał i o sądach, przelotnie dotknął skarbu i wojska i fortec, słowem rozumiał, że cała Rzeczpospolita potrzebuje naprawy. Ta szerokość programu politycznego na większe jeszcze zasługuje uznanie oraz tem jaśniejszego w oczach naszych nabiera blasku, jeśli zważymy, że Skarga nie był mężem stanu, tylko księdzem, który nigdy żadnego państwowego nie piastował urzędu. Nie tylko szerokością poglądów, ale nad wielkością pisarzy politycznych XVI w. góruje Skarga niepodejrzaną uczciwością pobudek, nieposzlakowaną czystością intencji, a nad wszystkimi, niesłychaną odwagą cywilną.

Logiczność rozumowania i wogóle całego wykładu, łączy się w kazaniach sejmowych z istic klasyczną jednością, a tę stwarza nie tylko styl jasny i nie tylko jasna, przejrzysta budowa kazań, ale nadto sama metoda wykładu, polegająca na wyjaśnieniu słuchaczom każdej myśli, choćby ona, jak słońce jasną była, oraz na ułatwieniu im pracy umysłowej, dokładnego i gruntownego zrozumienia nauki. Ale i jasność nie wystarcza jeszcze Skardze. Aby tem mocniej podziałać na swoich słuchaczy, posługuje się on po mistrzowsku środkami stylistycznymi, t. j. kontrastami; aby przykuć do siebie uwagę słuchaczy, ucieka się co chwila do metody akroamatycznej, ciągle się do nich

zwracając i używając często pytań retorycznych, na które sam niekiedy odpowiada, aby wszelkie wątpliwości usunąć i możliwe zarzuty uprzędzić. Niezrównanym mistrzem jest Skarga w uwydatnieniu swoich myśli, za pomocą odpowiedniej budowy zdań i okresów, szeregując np. poszczególne części zdania w porządku, odmiennym od z wyłogo, wysuwając mianowicie myśli, na które pada nacisk, na plan pierwszy. Gdzie niema potrzeby silniejszego uwydatnienia jakiejś jednej myśli, tam budowa zdań jest inna, zwykła. Czasem piękna forma przychodziła do kazań sejmowych sama, nie proszona, nie szukana, jako nieodłączona towarzysząca umiejętności przemawiania do duszy ludzkiej, umiejętności, którą Skarga w najwyższym posiadał stopniu. Że tak było istotnie, za tem przemawia klasyczna prostota stylu Skargi, która nie jest i nie może być owocem, choćby najpilniejszej i najumiejętniejszej roboty artystycznej, ale jest wynikiem indywidualnym pisarza, jego jasnego, trzeźwego umysłu i szlachetnego, czystego serca.

Skargę nazywano tyranem dusz ludzkich. Birkowski mówił, że serca ludzkie trzymał w rękę swym i obracał niemi, kędy chciał, przez dziwną a jemu tylko daną wymowę. W kazaniach sejmowych obraca sercami ludzkimi, w swoich wspaniałych zaklęciach i apostrofach, w których uderza nie w jedną i nie w dwie, ale we wszystkie struny ludzkiego serca. Ale największym mistrzem jest Skarga w odwoływaniu się do uczuć patryotycznych swoich słuchaczy. Kazanie też o miłości, to korona kazań sejmowych, jako niewysłowiona rzewność i wyjątkowa równowaga pomiędzy pierwiastkami rozumowymi a uczuciowymi i doskonała harmonia czynników artystycznych. Kazanie o zgodzie, to podbija wzniosłym nastrojem, to przeraża groźbą straszliwą, to zadziwia głębszą znajomością duszy polskiej. W kazaniu o monarchii podziwiamy głęboką mądrość umysłu politycznego Skargi i siłę jego argumentacji. Proroctwa Skargi są niewątpliwie w ścisłym związku z nastrojem ogółu i z całą literaturą XVI wieku, są one najwspanialszym i najgłośniejszym wyrazem tego dręczącego niepokoju o przyszłość, który ogarniał najszlachetniejszych i najrozumniejszych ludzi XVI wieku, na widok wzrastającej anarchii. Każde kazanie Skargi znajduje się na swoim miejscu, wszystkie zaś razem ujęte, stanowią jednolitą i spójną całość. Pod tym względem ze stanowiska całości, kazania sejmowe są skończonem arcydziełem architektoniki kaznodziejskiej, opartej na poczuciu artystycznym na logice i znajomości duszy ludzkiej. Budowa poszczególnych kazań daleką jest od pedanterii i jednostajności, a w kazaniach sejmowych jest patos i to najwyższy, najszlachetniejszy patos, do jakiego wznieść się może wymowa ludzka, ale części patetycznych niema, bo

patoz Skargi płynie z serca, serce zaś nie uznaje reguł retoryki i bije wtedy mocno, gdy bić musi.

Ostatecznie Chrzanowski przychodzi do przekonania, że pod jakimkolwiek względem, będziemy rozpatrywać kazania sejmowe Skargi, jako dzieło sztuki kaznodziejskiej, czy pod względem umiejętności przemawiania do rozumu i serca, czy związanej z nią piękności stylu i potęgi słowa, czy budowy artystycznej—zawsze dojdziemy do przekonania, że są one skończonem arcydziełem wymowy kaznodziejskiej. Przedmowa Chrzanowskiego przybrała rozmiary pełnego i samoistnego studium, które nas zapoznaje szczegółowo z polityczną doniosłością i kaznodziejską, artystyczną pięknością kazań sejmowych. Autor przedmowy zapoznał nas z poprzednikami Skargi na polu sejmowego kaznodziejstwa, a naukę polityczną Skargi przedstawił na bogatym tle literatury politycznej XVI wieku. Ocena kazań sejmowych, jaką nam podał w swej przedmowie Chrzanowski, jest gruntowną i wyczerpującą. Jeżeli wszyscy nasi polityczni pisarze XVI w. począwszy od Modrzewskiego, znajdują w literaturze zachodnio-europejskiej równych sobie a nawet większych od siebie—Skarga, jako kaznodzieja sejmowy czy to jako mędrzec polityczny, nie znajdzie sobie równego w żadnej literaturze zachodniej. Nauka polityczna, którą w jego kazaniach sejmowych znajdujemy, zdobywa przekonania swą głębokością zdumiewającą, swą nieprzepartą logiką polityczną.

W ogóle Skarga opierał się na powagach politycznych z ubiegłych wieków i stał na gruncie obowiązującego prawa państwowego, co nie pozbawiało jednakże jego myśli politycznej wysokiej samodzielności, zwłaszcza gdy podawał sposoby zaradzenia złemu, i odrodzenia poczucia obywatelskiego. Samodzielność jego myśli politycznej i posilkowanie się źródłami największej powagi, spotykamy najwyraźniej w poglądach Skargi na władzę monarchiczną. W XVI w. Dominikanie, a zwłaszcza Jezuici, stworzyli nową naukę o władzy monarchicznej, skierowaną przeciwko pisarzom reformacyi, którzy chcąc sobie zdobyć względne poparcie monarchów i książąt panujących, nadawali zdaniu „wszelka władza pochodzi od Boga“ zbyt rozszerzone i uogólnione znaczenie. Szkoła t. z. jezuickich pisarzy wystąpiła z nauką, wytykającą powyższej zasadzie pewne racjonalne i na konieczności politycznej oparte granice. Aby jednak zwyciężyć przeciwne przekonania, pisarze jezuickiej szkoły dowodzili, że tylko władza duchowna pochodzi bezpośrednio od Boga, a władza monarchów w prawach natury bierze początek i jedynie pośrednio ma Boski początek. Ale nietylko ów wzgląd miał wpłynąć na obniżenie znaczenia monarchów świeckich w porównaniu z władzą papieską.

Monarchowie zdaniem owych pisarzy, otrzymywali od ludu owe zwierzchnictwo i gdy takowe wykonywali, wbrew pierwotnej, naturalnej umowie, przeistaczali się w tyranów, którym lud mógł odebrać zwierzchnictwo i karać surowo, bo nawet królobójstwem. Podług Suarez'a, najzdolniejszego i najprzenikliwszego z tej szkoły, król jest wyższym od całej Rzeczypospolitej (Rex superior tota Respublica), ale przeciwko tyranowi może powstać cała Rzeczpospolita (tota respublica posset insurgere), albowiem wówczas cała rzeczpospolita większą jest od króla (tota respublica superior est Rege). Ostatecznie więc polityka jezuickiej szkoły doszła prawie do tych samych rezultatów, co i szkoła monarchomachów. Władza monarchiczna była zarówno przez pierwszych jak i drugich mocno zachwiana, dzięki nieokreślonemu pojęciu tyrana, którego można było dopatrzeć w każdym monarsze nieulegającym danemu stronnictwu. (Gierke. Johannes Althusius und die Entwicklung der naturrechtlichen Staatstheorien str. 156.)

Skarga nie przejął jednak w swych kazaniach sejmowych nauki politycznej, a przedewszystkiem poglądów na władzę monarchiczną swego zakonu. Zbliży się on daleko więcej do nauki Ś-go Tomasza z Akwinu; i nie czyni władzy monarchicznej igraszką namiętności politycznych. Skarga nie występuje jawnie przeciwko elekcyom królów, ale wytykając nadużycia, jakie z bezkrólewia wypływają, pozwala się dorozumiewać, że razem z Ś-ym Tomaszem z Akwinu większem darzy zaufaniem monarchię dziedziczną. Monarchów polskich nie pozwala pomawiać o dążenie do tyranii i nie radzi, pod tym obłudnym tytułem ograniczać ich władzę rządzenia. Ograniczenie władzy monarchicznej, którego się domagają posłowie, przeistacza królestwo w demokrację, która jest w rządach ludzkich najgorsza i najszkodliwsza. Skarga pojmuje należycie, że tak wielkie i obszerne państwo, jak rzeczpospolita polska nie może mieć władzy wykonawczej, spoczywającej w rękach króla zbyt skrepowanego i zależnego od izby poselskiej. Zaklina też sejmujących, aby nie czynili z Królestwa Polskiego rzeskiego miasta, ani czynili malowanego króla, jako w Wenecyji, bo weneckich rozumów nie mają, a w jednym mieście nie siedzą. Nie pozostaje im, jak tylko zlecać królom wszystkie rządy, wszak się mają kogo radzić, wszak mają prawa, z których najmniej nie występują. Tyranami samymi sobie są jedynie sejmujący sami, zwłaszcza posłowie, którzy dążeniem do zbytnej, dyabelskiej wolności stwarzają ogólny bezrząd, na których się ma nibyto wspierać Rzeczpospolita. Wszystko, co tylko Skarga wypowiedział w kazaniach sejmowych o powadze majestatu, o posłannictwie władzy

królewskiej, ma niespożytą siłę, ma wiekuiętą powagę mądrości politycznej.

Skarga zgodnie z nauką polityczną współczesną, upatrywał w państwie organizm podobny do ludzkiego. Nie zaszedł on tak daleko, jak później Hobbes, aby państwo miał uważać za człowieka sztucznego (*homo artificialis*), ale z licznych porównań, rozproszonych po jego kazaniach sejmowych, widać, że pogląd organiczny pozwala mu najplastyczniej objaśnić wszystkie choroby państwowe, przedwczesne zestarzenie się i śmierć politycznego organizmu, który państwo stanowi. Przytem jednak nie pomija Skarga obowiązującego prawa i porządek stanowy umiejętnie łączy z organicznym. Stany bowiem w Koronie, uważa jako członki w ciele. Wyliczając pięć stanów, oświadcza on, że tak się to ciało zrosło z tych pięciu członków, jak ta ręka z tymi pięciu palcami urodziła się i uchwalała i zmocniła. Zaznaczyć jednak należy, że podział na stany, z jakim Skarga występuje, odmiennym jest od tego, jaki znajdujemy o prawie państwowem polskiem. W ustroju Rzeczypospolitej polskiej uznanem były tylko trzy stany t. j.: 1) Król, 2) Senat i 3) izba poselska. Do końca XVI wieku, t. j. dopóki w sejmach zasiadały, można było i miasta królewskie uważać za stan uprzywilejowany, ale włościanie nie mieli nigdy znaczenia i organizacyi stanu, a miasta utraciły je w XVII wieku. Wbrew temu urzędowemu niejako podziałowi, Skarga stawia odrębny, niejako organiczny, do którego wchodzi stany: duchowny, senatorski, żołnierski, miejski i oracki. Nawet w Niemczech, gdzie stany dzieliły się zasadniczo na stany nauczające, broniące i odżywiający (Lehr-Wehr-Nährstände), rzadko gdzie znajdujemy włościan, mających organizację prawno-państwową stanu. Skarga jednak i oraczy, czyli kmieci, chce uważać za stan, aby tym sposobem ocalić ich od ucisku, jako ludność nie mającą przywilejów i organizacyi stanu. Etyka polityczna, czyli nauka o obowiązkach obywatela względem kościoła, monarchy, kraju i dobra publicznego, dalej uzasadnienie wszystkich obowiązków obywatelskich, nie mają sobie nic równego w literaturze XVI wieku. Przekonywając sejmujących o konieczności zgody wewnętrznej, o niebezpieczeństwach płynących z waśni, zdaje się, że Skarga czerpał wiekuiętą mądrość polityczną od mędrca ze Stagiry, ucząc ich o powadze majestatu, natchnionym zdawał się być przez Ś-go Tomasza z Akwinu, a wskazując niesprawiedliwe prawa, żywym poczuciem sprawiedliwości przypominał Ś-go Augustyna. Mądrość polityczną ubiegłych stuleci, przetopił Skarga swym potężnym in-

dywidualizmem w zupełnie oryginalne „kazania sejmowe“, a niekiedy wznosił się ponad ową mądrość i prorocze natchnienie stało się jego udziałem.

A. R.

MARYA RODZIEWICZÓWNA: Światła. Nowele. Warszawa 1904.

Autorka „Dewajtisa“ ma więcej u czytelników uznania, niż u krytyków i nie bardzo martwi się zapewne, że nie jest odwrotnie. Zwłaszcza ostatnim jej powieściom zarzucano wiele. „Po co — wołano — zapuszcza się autorka w krainy, których nie zna? Co za fantazyja przyszła tej serdecznej miłośnicy „Szarego Prochu“, wielbicielce cichej, wytrwałej, bohaterskiej walki o łąn i lasy, wdawać się z „Błękitnymi“ i „Magnatami“ staczać bezowocne dysputy ze studentami i emancypantkami, szukać „Kwiatu lotosu“ lub tak miękko i pobłażliwie rozwikłać sprawę „Nieoswojonych ptaków“? Czyż nie wystarczy jej być sobą? Czyż koniecznie nęca ją laury Orzeszkowej? Jej umysł więcej plastyczny, fantazyja lotna i żywa, mniej refleksyjna — nie powinna by usposabiać do rozwijania w formie powieści zawikłych społecznych kwestyi — zwłaszcza, że brak jej mocnego i twardego kryterium do ich rozsądzania, a bez tego nie podobna zdobyć się na moc oburzenia, gniewu, wzdargy, ironii, szyderstwa i nienawiści — tych żywiołów, bez których ani sposób walczyć z przewrotnościami współczesnej doby. Optymistka, kocha bagna, łąny i bory poleskie, odczuwa piękno przyrody i duszy ludzkiej, umie zapalać się bohaterstwem wytrwałej pracy — i w tem jej siła, której wierną powinna zostać.

A przytem szkoda, wielka szkoda, że w polocie fantazyji, w pogoni za efektowną fabułą, za dekoracyjnością niekiedy aż operetkową i nazbyt jaskrawą, w natłoku przygód, intryg, awantur, nadzwyczajności — tak mało czasu poświęca na psychologiczne pogłębienie zazwyczaj grubo szkicowanych sylwetek, na gruntowniejsze uzasadnienie zdarzeń, na rozszerzenie podłoża przedmiotowej obserwacji. Jej nerwowy pośpiech i niecierpliwość wyraża się nawet w stylu: w zdaniach urwanych i krótkich, a pełnych pytań, wykrzykników, antytez.

Wbrew tym zarzutom czytelnik chętnie i z pożytkiem bierze do rąk każdą nową powieść tej autorki. Rodziewiczówna umie być zajmującą, umie stworzyć żywą i prawdopodobną akcję, a to dziś należy

do rzadkości, ona nie nuży opisami, analizą abstrakcyjną, morałem i uczonością, ona nie błądzi w labiryntach symbolizmu, igraszek słownych, mistycyzmu i nastrojów udanych i sztucznie wyrafinowanych. Nie, i to mało! Ona ma szczery zapał artystyczny, nie przekonywa rozumem, za to przykuwa uwagę, porywa, potrafi zapalić wyobraźnię i wzruszyć uczucie. Przytem nie zniechęca do świata, ludzi i ideału, nie ciska jadem cynicznego rozczarowania i zniechęcenia, wbrew nadziei ma nadzieję, pomimo natłoku niedoli—nie rozpacza i wierzy, wierzy w tryumfy pracy, w zwycięstwo dobra w odwiecznej ze złem walce. I to jej kryterium. Nie wszystkim to się podoba, szczęście, że jest więcej takich, którym się podoba.

I to klucź musi w oczy niektórych, że w zagadnieniach bieżącej doby jest umiarkowaną, nie popada w skrajności, trzyma się na wodzy. Smaga próżniaków i zjadaczy chleba, uposażonych bez własnej zasługi od losu, lecz im z ust nie wydziera tłustych kąsków, nie wydziedzicza, głosząc (w Klejnocie) wzajemne wszystkich braterstwo, pojmuje uposiedzenie kobiety w prawach, nawet wierzy w wyższość kobiet pod względem woli, szlachetności i czystości uczuć, w potęgę ich wpływu na mężczyzn i na życie społeczne (Taida Skarszewska w „Kądzieli“, Basia i Nika w „Klejnocie“, Magda Domuntówna w „Jerychonce“), lecz nie waha się także objawów emancypacyjnego spaczenia krytykować. Ceni światło wiedzy, lecz rozumie, że oprócz wiedzy istnieją inne jeszcze objawy zdrowej kultury, jak szczerłość, poezya, szczęście życia prostego, owo błogosławieństwo ubogich w duchu.

Zapewne! Ani „Jerychonka“ (1897), ani „Klejnot“ (1898), ani „Nieoswojone ptaki“ (1900), ani „Magnat“ (1901), ani „Wrzos“ (1903) nie są arcydziełami. Żadna z tych powieści nie zdobyła sobie nawet tego rozgłosu i powszechnego uznania, co „Dewajtis“ i „Szary proch“. Lecz zgoła nieuzasadniony i mylny byłby stąd wniosek, że talent autorki wysycha, że się już znużyła i wyczerpała, we wszystkich bowiem jest pełno świetnych przebłysków talentu, sylwetek rysowanych z brawurą i życiem.

O ile nam się zdaje, Rodziewiczówna szuka nowych dróg, próbuje: Oddziaływa na nią także współczesny estetyzm. Lecz zbyt silnie autorka wierzy, kocha i pragnie, aby w nim ślepo i bezużytecznie utonąć, aby pięknu poświęcić w ofierze ideę dobra i prawdy. Jeżeli zaś pragnie w swej twórczości ściślej te trzy bóstwa zbratać, to tylko wypada powiedzieć: Szczęść Boże!

„Światła“, najnowszy zbiór jedenastu nowel, zdaje się wskazywać, że jest na dobrej drodze. Niestety, trzech z nich trudno nie uznać za blade, sztywne, chybione. Mam na myśli zbyt przejryste

i bajecznie naiwne, acz szlachetne w treści alegorye: „Wydaleni“, „Skrzypce“ i „Drwał“.

W pierwszej z nich—świat nowy, bez Boga, bez przesądów, bez baśni i bez pieśni, świat fabryk, liczby i rozumu. Samowładnie rządzi w nim i sędzi despota, który wędrowców starego wieku: kobietę (uosobienie baśni), starca z wytartą na piersi księżczyzną (sługę Boga) i pacholę ze skrzypcami: wydała w niedostępne góry, wtrąca do więzienia i po raz drugi wydała na wygnanie. Lecz ci wydalani i więzieni zwolna zdobywają sobie cześć i miłość tłumów. Pokryjomu zatrzymują się przed oknami ich kaźni dzieci, aby słuchać bajek kobiety, ci, których dręczy sumienie, ci, którym straszno, z pokorą i wdzięcznością przyjmują z rąk starca wonną lilię, ci, którym smutno i tęskno, z rozkoszą słuchają nieuczzonej gry pacholęcia. Nareszcie ta wzgardzona zrazu trójca tyłu ma wyznawców: iż mało kto słucha despoty. Tendencya jasna, szkoda, że alegorya zbyt naiwna. W jej ciasnej formie zbyt sztywno i niewygodnie pięknej i głębokiej myśli.

„Skrzypców“, przypominających w tendencji „Zaczarowane koło“ Rydla, nie ocalał nawet owe wzruszające kozice, które z gór zstępują dla słuchania gry pustelnika, ani zlatujące się orły, ani skrzydlatych roje pacholąt. Niezrównana naiwność „mistrza na świat cały sławnego i królom grającego“, który wierzy w czarodziejstwo lipowych skrzypek pustelnika—podobno nie zbuduje już nawet dzieci. Od pewnego czasu stały się one wobec bajek bardzo niedowierzające i gotowe w kłopot wprawić zapytaniem: „Czy to doprawdy piękniej gra się nie umiejąc, choć czując, niż czując i umiejąc?“ lub: „Czyjaż gra jest cenniejsza, czy mistrza, który ludzi wszystkich zachwycił, czy pustelnika, który grać tylko umiał kozicom i orłom?“ Jeżeli jednak autorka zamierzała wyrazić myśl znieważania artyzmu przez światowe żądze—to wykonanie celu chybiło.

„Drwał“ w formie bajki zawiera znaną i umiłowaną ideę autorki o doniosłości wytrwałej i cichej pracy. Tylko to bajka ani zajmująca, ani pocieszająca, choć szlachetna. Morał jej da się krótko wyrazić: Pracuj w nędzy, zwątpieniu, pogardzie i pocie czoła, a dostaniesz za to koronę niebieską. Czemuż tych biednych drwałów nie pokrzepiła autorka chociażby widokiem postępu ich krwawej pracy nad rubieżą, nie dała im zadowolenia wewnętrznego za życia, ani tego przeświadczenia, które wyraził poeta w okrzyku: „I ten szczęśliwy, co padł wśród zawodu, jeżeli...“: i t. d. Wogóle drwał marzący tylko o zapłacie materyjalnej, mało nadawał się na alegorycznego wyobraźciela idei bardzo podniosłej.

W „Pięciu koronach“, z werwą, siłą i zapalem skreślony obraz bohaterskiej śmierci Jazłowieckiego w walce ze Szwedami. Tu próba dopisała niemal świetnie. Tu autorka odnalazła swój entuzjazm. Obrazek byłby doskonały, gdybyśmy zarówno w rysach psychicznych, jak w szczegółach obyczajowych widzieli swojskie rysy. Bitwa z „Maryi“ Małczewskiego, dowodem, że do tego nie potrzeba kilkotomowych powieści.

Inne nowele wyłącznie z życia ludu; z tych niektóre istotnie bardzo piękne, zwłaszcza „Zachód“. Cacko to, w którym Rodziewiczówna okazuje się prawdziwą artystką, żyje się i zespala z przedmiotem, nawet rozkoszuje się szczegółami, więzi uwagę prawdą i pięknem. Wyborne to chłopię 12-letnie, ów Nazar, źle wyzimowany, (podobnie, może gorzej od bydła, które ma paść) chudy, kołtunowaty, z twarzą bezmyślną, barwy brudnego wosku od dymu kurnej chaty i nieustannej febry, nigdy nie leczonej, którego wczesną wiosną z bydłem wysyłają zdala od wsi na wyspę dookoła zalaną wodami. Pasterskie życie tego domorosłego Robinsona poleskiego (lub może trafniej Kima?), stanowi zajmujący wątek noweli. Co za wiosna, jaka prawda w obrazie przyrody, jak żywo czuje się i widzi ową wilgoć wód, to zmaganie się zimy z latem, te błyski pierwszej zieleni „czarnohołowia“, „pławuszki“, sitowia, jaskrów, grzybieni! te roje komarów i błotnego ptactwa! Nazar zdziczał nakształt błotnego ptaka. Jak kot upatrywał gniazd, stawał przynęty na ryby, jaja pstre i sine bił na jajecznicę. W febrze wysechł, zwinność tylko kota dzikiego rozwinął – i dobrze mu było, jak tym z „Dna nędzy“ na tundrach.. Piękna także w swej prostocie i naturalności znajomość jego z 8-letnią Ohapą, ich krótkie, urywane rozmowy. Pewnego razu Ohapa nie przyszła nad zatokę. Nawoływał – tylko echo odpowiadało. Po paru dniach zwabiony w przepaściste trzęsawisko beczaniem bąka, ujrzał straszny widok: „Z wody czarnej, z pośród liści grzybienia, wyzierała głowa ludzka nieruchoma, straszna, a dokoła niej... szmery, płuśkania, ruch topieli. Głowa była zielono-czarna, z usty rozwartemi, obrzmiała potwornie i patrzyła szklanemi oczyma... Ohapa!“

I w innych nowelach (zwłaszcza w „Surmie“), są dowody obserwowania życia i psychologii ludu. – Tu już umie autorka zbratać rzeczywistość z fantazją twórczą, odczuwa bez sentymentalizmu całą groźbę ciemnoty. Nie napróżno pierwszą zatytułowała wyrazem „Światła!“ Mieści się w tym tytule krzyk trwogi, obrazy tak są wymowne, że każąc faktom mówić za siebie, mogła bez uszczerbku, owszem z artystyczną korzyścią, trzymać na wodzy własne myśli i uczucia.

Oto Paraska (w „Złem“), materyał na dzielną, pracowitą żonę, wyroduje pod wpływem fatalnych stosunków: tego sknery ojca, zakopującego w komorze ruble i zeniącego się na starość ze swarliwą babą, tego lekkoducha, hulaki i dzikusa (pyszny typ!) Seweryna, który zwodzi ją i namawia do kradzieży, a po śmierci ojca zeni się dla owych rubli z jej macochą. Obłąkana, goni po okolicy, wreszcie podpala chałupę wraz z macochą i zwodzicielem.

W noweli „Na tokach“, stary, zdradzony mąż, Szymon, zabija w przystępie wścieklej zemsty gacha, plwa na umierającego, znęca się nad nim nieludzko. I nikt go nie wyda we wsi, choć wszyscy wiedzą o mordzie. „I był wśród całego stworzenia plamą i fałszem i szpetotą i rzeczą chybioną i krwawą“ — dodaje autorka, zapewne w obawie, aby czytelnicy nie podzielali etyki jelenich rogów i cietrzewiowych pazurów.

W „Skręcie“ cała wieś wierzy w czarodziejskie gusa, sprawca skrętu schnie i wiesz się wzgardzony.

W „Nocy“ majowej, tak czarownie, soczysto i barwnie skreślonej, tragedia małżeńska. Jakóbowi po raz trzeci już zbiegła z domu zalotna żona, po raz trzeci ma odwiedzić ją do domu. Tą razą nie odwiedzie: wybuchnie żalem, skargą namiętą, całym bólem wzgardzonej miłości i wymierzy sobie sprawiedliwość, rzuci niewierną w topiel, choć wie, że siebie nie zleczy i pójdzie w świat od starej matki... na katorgę duszy i ciała.

Smutne obrazki, podobnie jak inne w ostatnich czasach z życia ludu. Tylko autorka nie jest pesymistką, jak inni i nie gubi się ani w drobiazgowych szczegółach, ani w nudnych opisach, nie karykaturuje także gwary ludu, trafnie chwytając jej obrazowość i prostotę. Obserwuje przyrodę i duszę włościan w rysach grubych i zasadniczych, a to w ciasnej ramie noweli wystarcza. Próby powiodły się, życzyć wypada autorce powodzenia na tem polu.

MIKOŁAJ MAZANOWSKI.

MARYAN GAWALEWICZ: Dla ziemi, powieść w dwóch tomach. Warszawa 1904. Jan Fiszer.

Akt wyzbycia się stanu posiadania bywa z a w s z e wypadkiem prawnym, a tylko n i e k i e d y—artystycznym.

Artystycznym w znaczeniu materiału np. epickiego, dramatycznego i t. p.

Materyałem dramatycznym stać się może pośrednio, gdy takiemu wyzbywaniu towarzyszy przymus silniejszy od sentymentu posiadania, a więc choćby przemoc rzeczywistości materialnej. O ile konfliktu powyższego nie ma, o tyle w z w y k ł y c h w a r u n k a c h nie staje też miejsca i na przedziwo artystyczne. Rejent, nie artysta, zabiera głos w sprawie.

Atoli są i warunki n i e z w y k ł e.

Przypuśćmy naprzykład, że jakiś baron, Duńczyk, odwieczny dziedzic ziemi w Schleswigu, sprzedaje swój majątek dlatego, że nie lubi gospodarować na wsi. Sprzedaje kilka, czy kilkanaście tysięcy hektarów sąsiadowi Niemcowi. Sprzedaje dobrowolnie, bez przymusu. Normalnie biorąc, spełnia więc czyn wyłącznie prawny — tak? Na dramat osobisty niema tworzywa psychicznego, bo cały proces nie wychodzi z granic obliczeń obojętnych i pozauzuciowych. Co się dalej dzieje? Oto w całej Danii, w całej Jutlandyi, Fionii, Laalandzie i Bornholmie niema ani jednej gazety, któraby nie zamieściła notatki p. t. „Zdrada“: „Baron X. w Schleswigu sprzedał majątek swój Niemcom. Tego samego dnia nie będzie ani jednego marynarza, rybaka, żołnierza, kupca i rolnika, któryby notatki owej nie przeczytał, a nazwiska barona nie powtarzał z goryczą i serdeczną pretensją.

Słusznie, czy niesłusznie, baron staje się zdrajcą, wyrodnym symem społeczeństwa. Czyn jego, jako taki, nadaje się przedewszystkiem do analizy publicystycznej, ale ta suma zbiorowego uczucia, która go otoczyła, omotała, która się przedostała do jego motywów wewnętrznych—oto podłoże i przyczyna, dlaczego wypadek pozornie tylko prawny może stać się materiałem artystycznym.

Na podobnych warunkach niezwykłych osnuł swą powieść ostatnią p. Maryan Gawalewicz.

„Słońce zapadło w Puszczańskie lasy, które na nizinach, wzdłuż cichej a rwącej Wręty, płynącej ku granicy pruskiej, rozciągląm zielonym wałem stały od wieków u podnóża dość wyniosłej góry

na szczycie której¹⁾ wznosi się pałac w Zastawach, dziedzicznym majątku Wielkoszów, możnej niegdyś i rozgałęzionej rodziny, posiadającej liczne włości i kapitały, nadszarpywane za króla Sasa i za króla Stasia, ale jeszcze w niedogryzionych resztkach, stanowiące zaszarganą, lecz milionową fortunę“.

Obecnym właścicielem tych majątków nadwrętańskich jest pan Wielkosz. Młody jeszcze człowiek, ale z rodu niezdolnych do energii. Poznajemy go w tym momencie, kiedy fortunie jego grozi ruina. Lada dzień — a będzie musiał sprzedać ziemię, lasy, pałac, wszystko. Jest tak źle, że nie staje kilku tysięcy na ratę bankową. Bardzo źle.

Uczuć obywatelskich, a raczej świadomości obywatelskiej, dziedzica Puszczy i Zastawów, nie znamy dobrze. Nie wiemy, czy opinia narodowa dobiłaby go, czy nie; bądź co bądź, człowiek to w całym słowa znaczeniu szlachetny, uczciwy. Taki musi czuć, że kto trzyma w ręku podobny majątek, jak Zastawy, temu nie wolno go z rąk wypuszczać. Stanisław August powiedział był swojego czasu jego pradziadowi: „Trzymaj Zastawy i Puszcę, mości marszałku, bo słyszę że się waćpanu z rąk wymykają, a byłby dyshonor dla szlachcica zostać na starość z gołemi rękoma!“ O ileż większy dyshonor byłby — dziś — dla prawnuka sprzedać to, co się ostało po marszałku Wielkoszu! Gdzieby się właściwie mógł podziać, choćby nie z gołemi rękami, człowiek, który utracił swe włości nad Wrętą! Więc p. Roman instynktem czuje, iż na ziemi pozostać t r z e b a, iż na niej pozostać m u s i, za wszelką cenę.

Dla ziemi!

W tem miejscu naturalnym byłby opis długiej i męczącej walki, trudu, wysiłków, niedospanych nocy, niewytechniętych dni, nadludzkiej energii, pracy, którą p. Roman kładzie w podniesienie ojcowizny, wszystkich możliwych ofiar, śmierci nawet — dla ziemi. Śmierć bowiem, czy wygrana — to jednakowo piękny koniec w bohaterstwie i jednakowo piękny wieniec nagrobny. Opis ten jednak byłby tylko fantazją na temat innej zupełnie powieści. P. Gawalewicz poprowadził swoją rzecz innym torem. Roman Wielkoszyc do końca powieści nie robi dla swej ziemi nic, ani jednego czynu, bo nawet bogaty ożenek, który sytuację ratuje radykalnie — i ten przyszedł pod presją energicznej panny.

Dla ratunku ziemi pośpieszyli wszyscy, oprócz niego. Pośpieszył kuzyn Kurkowski — dobrymi chęciami, pani Kurkowska — zmar-

¹⁾ ...na której szczycie.

twieniem nad losem Zastawów, sąsiad — zubożały ksiązę Janusz, ten w ręce Wielkosza oddaje ostatni grosz, — półmilionowa Kluczkówna, najdzielniejsza, najrozsądniejsza i najlepiej w świecie zbudowana dziewczyna, wreszcie stary lokaj Antoni, który w tajemnicy przed panem jedzie zapłacić złowrogą ratę własnymi oszczędnościami. Dobra i poczciwa to figura ten Antoni, jedyną jego wadą jest, że za młodu naczytał się napewno romansów, w których występował zawsze nieodmienny typ szlachetnego służącego, marszałka lub burgrabiego — i zmanierował się na nich. Tak samo burczy na swego chlebobawcę, jak oni — i tak samoby życie za niego oddał, ten sam kult dla nieboszczyków dziedziców.

Czy prawdopodobne są te wszystkie poświęcenia się bliźnich? Bez wątpienia: — tak. Wszakże w tym wypadku, gdy po Danii rozeszła się wieść o wyrodnym baronie ze Schleswigu, nie jeden z mieszkańców Jutlandyi, czy Laalandu, nie jeden poczciwy kamienicznik z Kopenhagi dałby chętnie rigsdalera, czy kilka, byleby tylko wykupić z powrotem majątek z rąk kolonizacyi niemieckiej. A coby się dopiero działo wtedy, gdyby w Schleswigu zastosowano tę samą ustawę, którą proponują np. dla Wielkopolski, ustawę, wedle której ziemia raz oddana w ręce kolonizacyi, nie może już wrócić do rąk duńskich. Wszakże wtedy żebracze oery sypałyby się na składkę, byleby tylko przy sprzedaży przelicytować Niemców!

Więc zrozumiała rzecz, że i nad Wrętą może zająć podobny zapal poświęcenia. Nie jeden rad odda Wielkoszowi zaoszczędzony grosz — byleby tylko przy nim ziemia została. Po tych zagonach puszcząńskich szedł trud i znój pradziadów, tam ich kości próchnieją.

Prawdopodobieństwo życiowe, to jednak nie ostateczny argument artystyczny. Oskar Wilde twierdzi, że twórczość to wogóle kłamstwo, a co nie jest kłamstwem, przestaje być sztuką. *Epatet les lecteurs* — bezwątpienia ta myśl osiadła na dnie przekonania Wilde'a, zbić je zdoła stare platonowskie twierdzenie: „sztuką jest wszystko, co sprawia, że rzeczy nieistniejące istniejącemi się stają“; tak, to wszystko prawda: ale nie da się też zaprzeczyć, że powieść, złożona z samych dokumentów, może być tylko albo paszkwilem, albo... przeraźliwą nudą.

P. Gawałewicz jest pisarzem zanadto estetycznie urobionym, aby tego nie wiedział. Wie też doskonale, iż fakt takiej solidarnej obrony kawałka ziemi lepiej wygląda w kilkuwierszowej notatce, niż w powieści, że, użyty za motyw epicki, stoi na pograniczu z sentymentalizmem, a „rozwałkowany“ wytwarza sytuację, podobną do położenia człowieka, którego w towarzystwie na głos wychwalają uprzejmie — i zbyt długo. Aby bohaterów swoich uratować od ró-

wnie niezręcznego momentu, pomieszał ich dobre czyny ze szczyptą egoizmu.

Książę Janusz daje ostatni grosz Romanowi — ale ten Roman jest synem kobiety, którą kochał przez całe życie — i czcił bezgranicznie, —

Joasia Kluczkówna oddaje dla ratunku Zastawów swoje pół miliona, ale za cenę... wyjścia za mąż za pana Romana, dla którego dailipan nie czuje odrazy, —

Może jeden Antoni, stary sługa, wykupuje swojego pana z biedy bez doraźnego interesu: ot, żeby uratować piwnice jaśnie wielmożnych, Panie świeć nad ich duszami — bo by się prochy ich poruszyły w trumnach na wieść o takiej zniewadze. Pomoc ta jego — to tylko odwleczenie chwilowe i kroplą jest w morzu wobec czerwieńców dzielnej panny Joasi.

Kochana Joasia bardzo wiele rozprawia o potrzebie trzymania się do ostatniego tchu, w obywatelskość jej postanowienia uwierzyłbym jednak dopiero wówczas, gdyby p. Wielkosz był naprzykład garbusem.

Zart na stronę. Małżeństwo z bogatą kobietą, a do tego budzącą uczucia miłości, nie rozwiązuje ideowego zagadnienia, jak nie rozwiązują go też miliouy panny Kluczkówny, oddane na hypotekę osobistego szczęścia, i zadowolenia życiowe. Dla ziemi nie zrobił nic ani p. Roman, ani jego Joasia. Dla ziemi poświęcił swój grosz tylko ów liryczny Antoni. Ci załatwiali się tylko z obowiązkami względem samych siebie.

Czy to jest zarzut? Bynajmniej. To tylko ostateczny wniosek nad rodzajem powieści. Ideową ona nie jest, bo nie stawia ludzi w stosunek ideowy. Jest romansem, szeregiem zdarzeń, prowadzących po przez zawady psychologiczne do ołtarza. Referować ją należy z tego założenia.

Jako romans, historia serc—utwór p. Gawalewicza nie obfituje w bujną akcyę zewnętrzną. Wypadków, kolizyj—mało. „Przeszkodą dramatyczną” jest tylko oryginalne wywrócenie porządku powieściowego: nie o n się o nią stara, lecz o n a o niego, ona się oświadcza, ona dostaje odkosza, ona jedzie do niego próbować następnie jeszcze raz szczęścia — pod pozorem pożegnania. Oto cała zaprawa akcyi.

Życie wewnętrzne tych ludzi?... Dużo o niem napisano w powieści. Często spotykamy się z zapewnieniem autora: „pan Roman był zasmucony”, „pana Romana to przygnębiło”, „Joasię zadziwiła powyższa okoliczność” i t. d. Tak jest, bezwarunkowo autor powieści myśli bez wytchnienia o ich psychologii — myślenie to nie

udziela się jednak czytelnikowi. Dlaczego? Oto dlatego, że przez cały czas powieści nie mam wybitnego wyniku ich życia wewnątrznego. Powieść p. Gawalewicza opowiada o nich, ale nie ukazuje bohaterów w czynie. Nie stawia słupów przydrożnych na szlaku mej pamięci.

Powieści p. Gawalewicza brak tych plastycznych ataków na wrazenie czytelników, tych uderzeń, po których się poznaje dusze osób działających w utworze.

Osoby z „Dla ziemi“ — to dusze poprawne, że tak powiem. Nic im się zarzucić nie da. W miarę szlachetni, w miarę impulsywni, w miarę dobrzy, źli. Nie mówią wiele o sobie, jak przystało na jednostki dobrze wychowane, nie zaprzatają nas swoją figurą. Oryginalną i bardzo piękną postacią jest ów książe Janusz.

Język, styl powieści wykwinny, salonowy.

A. GRZ. SIEDLECKI.

ESTEWA: Wspomnienia z Riviery. Powieść. Warszawa. E. Wende i Sp. 1904.

Jest pewien rodzaj literatury powieściowej, który uajśnadniej da się nazwać *felietonowym*. Jego cechy: łatwy, potoczny styl, dużo opisanych zdarzeń, miłośna historia jeszcze raz: nic nie szkodzi. Zadanie: nie męczyć czytelnika wymaganiem uwagi. Autorkę „Wspomnień z Riviery“ powinno się u nas szanować, jako utalentowaną przedstawicielkę twórczości tej kategorii. Nie wiele ludzi pisze po polsku zajmąco. A z tych duży odsetek niżej pobleźliwej miary artystycznej.

„Wspomnienia z Riviery“ nie dają wrażenia pierwszej pracy literackiej. Technika budowania charakterów, zresztą nie nazbyt złożonych — dość pewna, nie rozbiegająca się na strony. Treścią książki — romansik młodej mężatki z jakimś rivierowym donżuanem. Pierwszy z jej strony, a zapewne setny z jego. Temat, nie tracący nigdy wdzięcznych czytelników.

SdL.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wojna na dalekim Wschodzie już ma swoje konsekwencje. Ledwie się zaczęła, ledwie przyszło do pierwszych poważniejszych starć na lądzie, a oto w kole trybowem, obracającym wielką maszynę współczesnego przemysłu i handlu poczynają odzywać się złowróżbne zgrzyty, napełniające obawą ekonomistów. Ponure słowo „zastój“ przechodzi z ust do ust, staje się tematem rozpraw i roztrząsań, zjawia się na łamach pism i grozi dobrobytowi powszechnemu klęską, której przedslanniki zjawiły się już tu i owdzie w postaci ograniczenia produkcji, spadku kursów giełdowych, podniesienia stopy procentowej i t. d.

Tak np. według alarmujących artykułów „Rozwoju,“ wychodzącego w Łodzi, w ciągu dwóch miesięcy % w łódzkich instytucjach finansowych z 5 do 6½ podskoczył na 8 do 9½ %. Objaw to istotnie niepomysłny.

Wogóle Łódź, jako największe u nas ognisko przemysłu fabrycznego, najdotkliwiej odczuwa wojnę. Inne sfery gospodarstwa narodowego nie zostały jeszcze przez nią dotknięte tak silnie, aby to dać mogło pochop do poważniejszego zastanowienia się nad ewentualnymi środkami zaradczyimi. Ale nasz przemysł tkacki i przędzalniany w samej rzeczy stanął nad krawędzią przesilenia.

Widać to z następujących doniesień:

„Przemysłowcy łódzcy—pisze „Rozwój“—niezmiernie oględnie obchodzą się z kredytem, udzielanym kupcom pozamiejscowym. Wszystkie przeważnie interesy robią się obecnie tylko za gotówką. Wysyłkę towarów do Cesarstwa ograniczono tak dalece, że zamiast 150 wagonów, które przeciętnie z ładunkami opuszczały codziennie stację towarową kolei fabryczno-łódzkiej, obecnie wysyłają zaledwie około 20.“

Wielkie fabryki nie zawiesiły wprawdzie jeszcze robót, ale uciekły się do zwykłego w takich warunkach środka—ograniczenia godzin pracy i zmniejszenia ilości robotników, pewna wszakże ilość

fabryk drobniejszych, t. zw. podwórkowych stanęła zupełnie. Wskutek tego znaczna ilość robotników w Łodzi pozostała bez zajęcia, co wywołało potrzebę rozpoczęcia szybkiej akcji ratunkowej.

Ze sprawozdania z posiedzenia zarządu Towarzystwa Dobroczynności w Łodzi, zamieszczonego w „Rozwoju“, dowiadujemy się, że przewodniczący, p. Juliusz Kunitzer, przedstawił zebránym listę kilkunastu fabrykantów, którzy przyrzekli, że na rzecz robotników bez zajęcia, ofiarują jednorazowo sumę w stosunku 25 kop. od każdego pracującego w fabryce robotnika. Zarząd przewiduje, że z tego źródła utworzy się fundusz w sumie kilku tysięcy rubli. Według oświadczenia p. Kunitzera, fabrykanci wyrobów wełnianych i bawelnianych przyrzekli, iż w razie przedłużenia się zastoju w przemyśle łódzkim, gotowi są złożyć na rzecz biednych robotników składki w takim samym stosunku, niezależnie od zadeklarowanych ofiar. Zarząd ma nadzieję zgromadzić tą samą drogą jeszcze pewien fundusz, gdyż p. Kunitzer przyrzekł, że zaangażuje sprawę w szerszym kole fabrykantów. Wszystko to jednak będzie prawdopodobnie kroplą w morzu potrzeb, rosnących z dnia na dzień.

Pomimo to wszakże przykład i przezorność Łodzi godne są naśladowania. Podnosząc to, „Gazeta handlowa“, tak pisze między innymi:

„Łódź zakrzętnęła się dość energicznie około zaradzania złemu, wywołanemu brakiem pracy w fabrykach. Przesilenie robotnicze nie znalazło wprawdzie i tam radykalnego rozwiązania, bo o to trudno, lecz bądź co bądź zorganizowano już pomoc dobroczynną dla robotników bez zajęcia, a nadto postanowiono kosztem 90,000 rb. zabrać się do przerobienia lasu miejskiego na park, aby przynajmniej części robotników dostarczyć pracy. Co prawda i w Łodzi znaleźli się przedsiębiorcy, bierne a nawet obojętne stanowisko w całej tej sprawie zachowujący, ale na ogół zrozumiano konieczną potrzebę złagodzenia złego.

„Tymczasem u nas, w Warszawie, zachodzi również brak pracy, a usiłowania, aby złemu zaradzić, są prawie żadne. Tylko zarząd gmin starozakonnych podjął inicjatywę, żeby obiadami bezpłatnymi nasycić najgłodniejszych, lecz pozatem o staraniach samych przemysłowców, o wytworzeniu stosownej organizacyi, nic nie słyszeliśmy.

„Sądzymy, że jakąś inicjatywę społeczną podjąć koniecznie należy. Zaznaczyliśmy już, że w takich razach środkiem najstosowniejszym byłoby zbiorowe objęcie kilku dostaw rządowych, które są obecnie ogłaszane z powodu różnych zapotrzebowań na cele wojenne, jak np. dostawy na dostarczanie płóciennych worków, beczek i t. d. Do wykonania takich prac możnaby powołać ręce, pozbawio-

ne zajęcia, co złagodziłoby przesilenie robotnicze. Zapoczątkowanie należeć powinno do tych przemysłowców, którzy z powodu kryzysu produkcyjnego zmuszeni byli ograniczyć własną wytwórczość.

Tę samą sprawę omawia w „Słowie“ p. A. D., jeden z najwytrawniejszych naszych publicystów i dochodzi do wniosku, że wszyscy powinni zawczasu myśleć o tem, jak złemu zaradzić, a przede wszystkim—zarządy miast i gminy wiejskie, od których inicjatywy zależy bardzo wiele. Na jakiegokolwiek „roboty rządowe“ liczyć nie można, wojna bowiem całkowicie pochłania uwagę, siły i środki władz rządowych, można jednak i należy, sądzi sz. autor, pomyśleć o robotach miejskich i gminnych.

„Gdybyśmy—pisze dalej p. A. D.—mieli dobrze zorganizowane biura pośrednictwa pracy, mianowicie przy Towarzystwach rolniczych dla robót na roli, możeby wielu robotników, nie znajdujących obecnie zajęcia w przemyśle, zwróciło się do robót polnych. Taka robota możeby im nawet fizycznie wyszła na dobre, choć z drugiej strony przetrzucenie podobne robotników nie jest rzeczą łatwą. Robotnicy na ogół liczyć dokładnie nie umieją; wiedzą wprawdzie, że 75 kopiejek jest więcej niż 50, gdy jednakże przy obliczeniu zarobków inne rzeczy w rachubę wchodzi, mianowicie różne wynagrodzenia w naturze, zupełnie się w tem nie orientują; aż nadto często mieliśmy sposobność stwierdzić to np. w życiu praktycznym, aby nas prosta argumentacya odmienna przekonać mogła. Trzeba tedy szukać dla robotników robót, zbliżonych do tych, jakie mieli dotychczas, a więc dla tych robotników, którzy płacę otrzymywali w gotówce, tak samo płatne zajęcia.

Otóż w tym względzie miasta nasze powinny pójść za przykładem Łodzi, a przede wszystkim Warszawa. Wiemy, że Warszawa nie tylko zaprojektowała szereg wielkich robót, lecz już ma na nie gotowe pieniądze. Musimy stwierdzić, że bardzo szczęśliwą myśl mieli ci, którzy wcześniej pomyśleli o pieniądzach na te przedsięwzięcia, bo niewątpliwie dziś nie otrzymanoby ich na tak korzystnych warunkach. Gdy zaś gotówka ta leży w bankach, przynosi miastu na czysto stratę. Mieszkańcy Warszawy mają tedy prawo domagać się, aby ten czas strat trwał jaknajkrócej. Przecież, jeżeli zaciągnięto ściśle określoną pożyczkę na poszczególne roboty, projekty musiały być już jako tako przygotowane“.

Takie są głosy prasy w sprawie przesilenia w dwóch największych ogniskach przemysłowych—w Łodzi i w Warszawie. Jednocześnie i z dalszych okolic kraju nadchodzą wiadomości niepokojące. Tak np. w Kaliszu, wskutek wstrzymania 130 maszyn hafciarskich

400 robotników zostało bez zajęcia. Postanowiono więc zbierać ofiary dobrowolne, urządzać przedstawienia teatralne i szukać dla robotników pracy. Niektórzy fabrykanci i obywatele zobowiązali się płacić na rzecz biednych pewną sumę miesięcznie, a robotnicy z fabryki Wienera w Zduńskiej Woli postanowili składać 25% od pobieranego zarobku. Są to objawy niewątpliwie bardzo dodatnie, ale—kwestyi zażegnać nie mogą, zwłaszcza, że znajduje się ona dopiero w swoim stadium początkowym i kto wie, jakie przybierze rozmiary wobec dalszego rozwoju wypadków wojennych, co do których dziś nie można jeszcze nic pewnego powiedzieć. Niewiadomo nawet, czy wojna skończy się tej jesieni, czy dopiero za dwa lub trzy lata, a względ ten powinien skupić uwagę całego społeczeństwa na pierwszych objawach zastoju ekonomicznego i obudzić usilną czujność w kierunku obmyślenia środków zaradczych, które nawet w razie prawdziwej klęski mogłyby ją zmniejszyć i ograniczyć. To też dyskusya publiczna w tej mierze jest nad wyraz pożądana i pilna.

*

*

*

Jedna z najważniejszych spraw higieny—sprawa kąpeli ludowych—do niedawna tak u nas jeszcze zaniedbana, w ostatnich latach uczyniła duży krok naprzód. Widać to ze sprawozdania dorocznego wydziału kąpeli, istniejącego przy W. T. higienicznem od lat 6-iu i spełniającego gorliwie swoje zadania. Najwymowniej zresztą świadczą o tem cyfry, którym warto przyjrzeć się bliżej.

W zakładach kąpielowych wydziału wydano w r. 1898 kąpeli 24,474—mówi sprawozdanie—a w roku 1903 ni mniej, ni więcej tylko 67,422. Każdy przyzna, że postęp to olbrzymi. Dodać przytem należy, że za staraniem wydziału, oprócz kąpeli w łaźnience Chałubińskiego na Pradze, oraz w łaźnience „Janina“ przy ul. Stawki, wydano bezpłatnie kąpiele dzieciom zakładów W. T. D. i innych filantropijnych instytucji, a mianowicie: 1) przy zakładzie dla rekonwalescentów (ul. Dzika № 67), założonym przez H. Lewego, wydano 17,095 kąpeli; 2) za staraniem d-rów Tchórznickiego i A. Natanson, w łaźnienkach przy fabryce braci Pfeiffrow (Smocza № 43/45)—3157 i w fabryce Bormana i Szwedego—2773 kąpeli. Nadto właściciel łaźni parowej przy ul. Czerniakowskiej № 70, p. Maurycy Wizeł, ofiarował kąpiele bezpłatnie dla ubogich z przytułku no-

clegowego na tej ulicy położonego i kąpeli tych w roku sprawozdawczym wydał 932. Zatem na dobro wydziału zapisać należy ogólną liczbę kąpeli, użytych przez ludność ubogą Warszawy, w cyfrze 91,378. Na wielotysięczną ludność miasta nie jest to wiele, bądź co bądź jednak znamionuje znaczne polepszenie się stosunków w tym względzie.

Ze szczególnem zadowoleniem sprawozdanie zaznacza szybko wzrastającą liczbę dzieci, które korzystają z kąpeli ludowych w zakładzie Chałubińskiego na Pradze, w zakładzie „Janiny“ na Stawkach, oraz w wymienionych powyżej zakładach prywatnych, które wydziałowi kąpeli ludowych przychodzą z czynną pomocą. Dzieci te, wyszedłszy na pracowników samodzielnych, wyniosą z praktyki kąpielowej dzisiejszej — nawyknięcie i potrzebę czuwania nad czystością ciała. Zakres zaś działalności w tym kierunku wydziału kąpeli ludowych niewątpliwie rozszerzać się nie przestanie. Dotychczas nie wszyscy opiekunowie ochron, sal zajęć i innych podobnych zakładów uznawali możliwość i potrzebę korzystania z ofiarowanych przez wydział usług; praktyka jednak pokonywa powoli brak zaufania. Oczekiwać też można, że wszystkie instytucje wychowawcze W. T. D. i inne dobroczynne zakłady dla dzieci uznać z czasem muszą potrzebę korzystania z bezpłatnych kąpeli. Oto dziś już kierownicy „ogródków Rau'a“ powzięli zamiar posyłania dzieci do tych zakładów kąpielowych.

W rozwinięciu programu systematycznego kąpania dzieci z zakładów dobroczynnych warszawskich, wydział kąpeli ludowych dwie napotyka trudności: jedną stanowi ubóstwo dzieci, stąd niedostateczne zaopatrzenie ich w ciepłe ubranie, co sprawia, że w miesiącach zimowych drobiazg z ochron tylko wyjątkowo kąpeli używać może. Drugą trudność stanowi konieczność ścisłego dozoru nad dziećmi, biorącymi kąpiel. Kąpiel niedozorowana, to jest bez czynnej i dostatecznej opieki, mogłaby nie tylko nie przynieść tych pożytków higienicznych, jakich od niej oczekujemy, ale nawet stać się szkodliwą. Dziecku po kąpeli dopomódz trzeba w wytarciu ciała, dziewczętom dopomódz w ułożeniu włosów, dozorować nad należytem ubraniem się dziecka i wreszcie czuwać przez cały ten czas nad obyczajnością przy rozbieraniu, kąpaniu i ubieraniu się. Tak, jak w szkole jeden nauczyciel wystarcza na kilkanaście, a nawet więcej dzieci, ażeby je uczyć i nad obyczajnością ich czuwać, podobnież i w kąpielach jedna osoba wystarcza na kilkanaście a nawet i więcej dzieci, ale osoba taka musi posiadać instynkt i wyrobienie pedagogiczne, a nadto mieć uczucie ludzkie wobec ubogiego dziecka i postępować po macierzyńsku. Jest

to niewątpliwie poświęcenie niemałe ze strony osób, które się podjął zechcą dozoru nad dziećmi kąpiącymi się.

W dalszym ciągu wdzięcznie wspomina sprawozdanie kobiety, które przez całe ubiegłe dwa lata służbę tę wykonywały, oddając na ten cel jeden lub dwa dni w tygodniu po kilka godzin. W miarę jednak, jak liczba kąpiących się dzieci wzrastać będzie, a na szczęście ma się właśnie ku temu, przybywać musi i dozoreczny nad kąpiącymi się. Z góry tu oświadcza sprawozdawca, że dozoreczni ochrony lub sali zajęć nie wystarczą; naprzód jedna na całą ochronę lub salę zajęć to mało, a powtóre ochroniarki i dozoreczynie są to kobiety tak umęczone całodzienną pracą z dziećmi, tak tą pracą wyczerpane, że poprostu nie są zdolne podjąć tego filantropijnego obowiązku, którego spełnienie do nich też nie należy. Ochroniarka spełni dostatecznie swój obowiązek, gdy dzieci z ochrony do łazienki przyprowadzi, należy się jej za to podziękowanie, a tej z nich, która przyjąć zechce, należy się kąpiel wannowa, którą zakład chętnie bezpłatnie jej ofiaruje. Skoro zaś, jak wyżej powiedziano, ochroniarka dozoru nad kąpiącymi się dziećmi spełniać nie może, wydział zmuszony jest przeto odwołać się do dobrych serc niewieścich i liczyć musi na to, że zarząd ochron, sal zajęć, ogrodów Rau'a, oraz opiekunki pomienionych zakładów postarają się o zjednanie pomocy odpowiedniej w tym względzie i to pomocy rekrutowanej z pośród osób, które podejmą się tego obowiązku bezinteresownie, ze względu na jego doniosłość społeczną, a które mają tkliwe, macierzyńskie uczucie dla ubogich dzieci.

Przechodząc do strony finansowej „kąpeli ludowych“, sprawozdanie stwierdza, że niedobory coroczne są dotąd dość znaczne. Jednocześnie jednak majątek ogólny wydziału kąpeli z roku na rok rośnie, o czem świadczy poniższe zestawienie liczb:

W r. 1898	majątek ten wynosił	22,500	rb. —
W r. 1899	"	36,982	" 20 kop.
W r. 1900	"	44,996	" 30 "
W r. 1901	"	58,157	" 94 "
W r. 1902	"	75,989	" 19 "
W r. 1903	"	78,367	" 85 " czyli

w ciągu lat sześciu wzrósł prawie czterokrotnie. Objaw to bardzo pomyślny.

Wogóle, jak to już zaznaczyliśmy na wstępie, ze sprawozdania widać, że sprawa kąpeli ludowych jest na dobrej drodze. Wprawdzie daleko nam jeszcze pod tym względem do Japończyków, ale zamięłowanie czystości powoli zaszczepia się i u nas wśród warstw ubogich, co pozwala wnosić, że jeżeli dotychczas tonęły one w brudzie i zaniedbaniu, to nietylko z przyczyny ciemnoty i „barbarzyństwa“, na co swojego czasu wskazywali lubiący paradoksy publicyści, ile z braku odpowiednich, tanich i dostępnych urządzeń kąpielowych. Znana to i stwierdzona wielokrotnie rzecz, że największym wrogiem postępu społecznego we wszelkich dziedzinach jest nędza, a więc i w tej dziedzinie stanowiła ona i stanowi przeszkodę do przewyciężenia najtrudniejszą. W miarę wszelako powstawania bezpłatnych lub niewielką tylko opłatę pobierających łaźni publicznych, bez wątpienia wzrośnie wśród mas zamięłowanie do kąpeli, a tem samem podniesie się i ogólna zdrowotność społeczeństwa, która dziś tyle jeszcze pozostawia do życzenia. Nie trzeba tylko ustawać w pracy i w wysiłkach.

*

*

*

D-r. Stanisław Kozicki wydał świeżo broszurę p. t. „Kredyt krótkoterminowy dla włościan“. Broszura ta dotyka jednej z najbardziej palących kwestyi ekonomicznych kraju i dlatego warto zapoznać się bliżej z jej treścią.

Autor wskazuje przedewszystkiem na fakt znamieny, że więcej niż połowa całej przestrzeni Królestwa Polskiego znajduje się w posiadaniu włościan. Są gubernie, jak np. Łomżyńska i Suwalska, gdzie $\frac{3}{4}$ wszystkich gruntów do nich należy, w innych zaś stale wzrastająca parcelacja powiększa własność włościańską. Ze względu więc na to, na liczebność swoją, a także na stały wzrost kultury wśród warstwy włościańskiej, staje się ona ważnym, pierwszorzędnym niemal czynnikiem w życiu społecznym naszego kraju. W pewnej części prasy naszej niejednokrotnie też wyrażono już z tego powodu obawy co do przyszłości naszego rolnictwa. D-r Kozicki sądzi wszakże, że w sprawie tej unikać należy sentymentalizmu, który do niczego nie doprowadza, ale—stwierdziwszy fakt wzrostu znaczenia włościan w kraju naszym, w tym kierunku wszelkie wyteńczyć usiłowania, by warstwie włościańskiej takie stworzyć warunki

życiowe i gospodarcze, jakie są dla jej wszechstronnego rozwoju konieczne.

Wiele jest pod tym względem do zrobienia, bo gospodarstwo rolne u włościan, gospodarstwo, na którem opiera się całe życie naszego chłopca, w złym bardzo znajduje się stanie. Powierzchnowa obserwacja wystarczy, by spostrzedz, jak wielka różnica zachodzi między folwarkami, a wioskami chłopskimi. Licha uprawa ziemi, brak potrzebnych narzędzi rolniczych, niedostateczne nawożenie, siew pośledniego ziarna, liche i lichy karmione inwentarze—oto obraz większości naszych gospodarstw włościańskich. Przyczyny takiego stanu rzeczy odnaleźć nie trudno. Serwituty, szachownice, rozdrobnienie gruntów, brak taniego i dogodnego kredytu, złe funkcjonowanie gospodarki gminnej, wreszcie niski stan wiedzy fachowej i oświaty ogólnej—wszystko to składa się na ponury obraz, jaki nam się przedstawia. Część braków powyższych można usunąć tylko przez zmiany prawodawcze lub pomoc państwową, wiele jednak można również zrobić na drodze samopocy społecznej, w ramach istniejących ustaw i przepisów. Do rzędu takich spraw zaniedbanych należy właśnie dostarczanie włościanom taniego i dogodnego kredytu. Intensywność gospodarstw musi wzrastać, na to zaś trzeba ciągle nowych nakładów pieniężnych. Więksi właściciele mają Tow. Kred. Ziemskie, mają liczne instytucje wzajemnego kredytu—chłop zaś jest tego wszystkiego pozbawiony i skazany na lichwiarskie pożyczki prywatne i kasy gminne. Pieniądzy zaś w kraju nie brak, dość przytoczyć, że w rządowych kasach oszczędności było w dniu 1 stycznia 1900 r. 23 miliony rubli i że dużo pieniędzy przechowują włościanie w różnych skrytkach, nie pobierając od nich żadnego procentu. Ci, którzy zakładali towarzystwa drobnego kredytu, ze zdziwieniem przekonywali się, jak znaczne ilości pieniędzy znajdują się w rękach włościańskich. Leżą one jednak bezużytecznie w skrzynkach lub kasach oszczędności, wskutek nieuregulowania sprawy drobnego kredytu.

Uruchomienie tych kapitałów może więc pchnąć kraj na tory normalnego i zdrowego rozwoju.

Zastanawiając się nad tem, jak tego dokonać i biorąc przykład z zagranicy, gdzie Towarzystwa typu Schultzego z Delitzsch i Raiffeisena takie ogromne przyniosły korzyści sprawie unormowania stosunków kredytowych na wsi, wnosi d-r Kozicki, że i u nas ta droga jest obecnie najodpowiedniejszą, co zresztą wymownie stwierdza działalność istniejących dotychczas stowarzyszeń.

Oto kilka cyfr: 13 towarzystw kredytowych, których sprawozdania miał autor pod ręką, liczyły w dniu 1 lipca 1902 r. 7170 członków z otwartym kredytem do 930,710 rb. Kapitały ich wyno-

sily: zakładowy 49,300 rb. (w tem 25,000 rb. wyasygnowanych przez Bank Państwa) i zapasowy—6,868 rb. Przyjętych wkładów było 432,880 rb., pożyczek wydano—472,859 rb. Rezultaty zupełnie pomyślne, a ramy ustawowe tych stowarzyszeń są tak dogodne, że mogą się one rozwijać pomyślnie. Przy zakładaniu ich radzi jednak autor zwrócić uwagę na względy następujące:

Przedewszystkiem na to, aby okręg działalności stowarzyszenia był możliwie mały i obejmował tylko gminę lub parafię. W Galicyi na przykład, uważają okręg z ludnością od 500 do 3,000 głów za najodpowiedniejszy. Przy małym okręgu może działalność stowarzyszenia sięgnąć głębiej, objąć więcej ludzi; tylko mając blisko kasę, mogą mieszkańcy należycie z niej korzystać i bez kosztów i straty czasu zaoszczędzony grosz składać w kasie, lub brać pożyczkę. Zarząd stowarzyszenia zna wówczas dokładnie wszystkich, mieszkających w obrębie jego działalności i łatwo może odróżnić tych, którzy zasługują na kredyt, nadto interesa stowarzyszenia są wówczas mniej zawile i łatwiejsze do prowadzenia, wreszcie, więcej ludzi ma sposobność brania udziału w bezpośredniem prowadzeniu tych interesów i wyrabianiu w sobie samodzielności. W naszych warunkach jednak trzeba się liczyć ze stanem społecznego wyrobienia naszego społeczeństwa, z tem, że mały tylko procent z pośród tego społeczeństwa dostatecznie swoje obowiązki społeczne rozumie, a przecież w zarządzie Towarzystwa musi być choć kilku ludzi, którzyby potrafili, bądź co bądź dość skomplikowane interesy prowadzić i którzyby swój czas i pracę na to poświęcić chcieli.

Wśród włościan naszych—mówi d-r Kozicki—chętnych do pracy znaleźćby można wszędzie, lecz na palcach dałoby się policzyć obecnie takich, którzyby samodzielnie sprawy podobne w swoje ręce ująć mogli, inteligencya zaś nasza prowincjonalna, a więc księża, obywatele ziemscy, lekarze, adwokaci i t. d. po miasteczkach, o ile z dotychczasowego doświadczenia wnosić można w nielicznych tylko powiatach dostarczy ludzi chętnych więcej, niż potrzeba na założenie jednego towarzystwa na powiat cały. Rachując się więc z takimi okolicznościami, sądzić należy, że obecnie okręgi działalności towarzystw z konieczności muszą być większe i obejmować cały powiat, a dopiero, gdy ze sfer, bezpośrednio w całej sprawie zainteresowanych wytworzy się szereg ludzi do samodzielnego prowadzenia interesów zdolnych i rozumiejących swe obowiązki społeczne—wówczas będzie można pomyśleć o powiększeniu ilości towarzystw w powiecie.

Drugiem zastrzeżeniem autora broszury jest nieprzyjmowanie do towarzystw kredytowych żydów, ci ostatni bowiem, wskutek

większej przedsiębiorczości i ekonomicznego wyrobienia, zwykle opowiadają ster spraw towarzystwa, kapitałów swoich w niem nie lokują, lecz temi, które przez włościan złożone zostały, dowolnie obracają, a tak się nawet zdarzało, że wypożyczają je chłopom na wyższy procent. Odstraszającym, w tej mierze jest przykład Galicyi, gdzie istnieje kilkaset stowarzyszeń żydowskich, będących istną plagą najbiedniejszych i najciemniejszych powiatów wschodnich. Na ten jaskrawy fakt przed kilku miesiącami zwróciliśmy właśnie uwagę, pisząc na tem miejscu o rozwoju stowarzyszeń zaliczkowych i gospodarczych w tej dzielnicy. Obawy przed tem tłómaczą też całkowicie d-ra Kozickiego z uczynionych zastrzeżeń, które na pozór mogą się wydać dziwne i nieodpowiednie.

Kończąc ten krótki przegląd zajmującej pracy o „kredycie krótkoterminowym dla włościan“ pozwalamy sobie polecić ją gorąco uwadze inteligencji prowincjonalnej, której obowiązkiem społecznym jest otoczyć opieką tę ważną sprawę i pracować nad przyswojeniem naszemu ludowi idei samopomocy ekonomicznej, która jest jedynie dźwignią prawdziwego dobrobytu, wytwarzającego majątek narodowy.

*

*

*

Nadesłano nam „Sprawozdanie z czynności Warszawskiego Chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet w Warszawie za rok 1903.“

Powstanie, cele i zadania tej instytucji są czytelnikom naszym znane, w swoim czasie bowiem pisaliśmy o tem dość obszernie i ze szczerem uznaniem dla inicjatywy, która powołała do bytu to nowe humanitarne Towarzystwo. Obecnie pozostaje nam więc tylko rozejrzeć się w tem, co Towarzystwo dotychczas potrafiło zdziałać i poznać jego zamiary na przyszłość.

Na wstępie należy zaznaczyć, że przy organizacyi okazała się potrzeba utworzenia aż 10 wydziałów poszczególnych, z których wszystkie istnieją dotychczas, ale nie wszystkie są czynne.

Pierwszy z nich nosi nazwę „Opieka nad dziećmi“; do dn. 31 grudnia 1903 r. pozostawał on pod kierownictwem p. Wandy Korytyńskiej. Opiekowano się 38 dziewczętami, umieszczonemi częścią na koszt p. Korytyńskiej, częścią na koszt Towarzystwa, częścią bez-

płatnie u osób, godnych zaufania. Tu sprawozdanie z żalem nadmieniam, że pomimo starań, nie zawsze udaje się wyrwać dzieci z otoczenia domowego, które zagraża ich moralności. Niektórzy bowiem rodzice i opiekunowie niechętnie zgadzają się na oddanie dziecka, a nawet gdy je oddadzą, po kilku tygodniach odbierają z powrotem, przekonawszy się, że zysków z tego źródła ciągnąć nie można.

Praca w tym kierunku jest więc ciężka, ale może być bardzo owocną.

W y d z i a ł d r u g i: „Dostarczanie pracy“ w r. 1902 i 1903 nie był czynny dla braku odpowiednich środków i kierowników. Dopiero w lutym r. b. w domu przy ul. Mazowieckiej pod № 11 Towarzystwo otworzyło wydział, który ma za zadanie dostarczanie pracy uczciwej u moralnych pracodawców wszystkim dziewczętom i młodym kobietom moralnego prowadzenia się.

W y d z i a ł t r z e c i: „Ochrona młodych kobiet w podróży“, na kolejach, statkach parowych etc. był w latach sprawozdawczych w okresie organizacyi. Przedewszystkiem zawiązano stosunki z tego rodzaju towarzystwami za granicą. Na żądanie tych towarzystw—War. Tow. zajęło się kilkakrotnie przyjęciem młodych podróżnych, poleconych bezpośrednio T-wu. Wydano listy polecające do innych Towarzystw dla osób, udających się z Warszawy za granicę. Uzyskano od władz pozwolenie na noszenie przez delegatki T-wa, zajmujące się przyjmowaniem przyjezdnych na kolejach i t. p.—kokardy biało-błękitnej. Uzyskano w Warszawie współdziałanie pań czł. czyn. Tow. Ochr. Kobiet, które podjęły się brania przyjezdnych pod opiekę, a na prowincyi—współdziałanie pań czł. czyn. Tow., które podjęły się zaopatrywania wyjeżdżających młodych podróżnych w odpowiednie rekomendacje i zawiadamiania wydziału 3-go o dniu przybycia podróżnych do Warszawy. Wydział ochrony młodych podróżnych mieści się przy ul. Mazowieckiej № 11.

W y d z i a ł c z w a r t y: „Przeciwdziałania handlowi żywym towarem“ mógł działać tylko w pojedynczych wypadkach, zwracając się w razie otrzymanych wiadomości do władz z prośbą o odpowiednią pomoc. W ten sposób uwolniono kilka dziewcząt z miejsc podejrzanych, w których je przetrzymywano. Po otrzymaniu od Tow. petersburskiego wiadomości, że znany handlarz żywym towarem wyjechał z Buenos Ayres do Królestwa po świeży połów, T-wo umieściło odpowiednie odezwy we wszystkich pismach miejscowych i wielu zamiejscowych, oraz zwróciło się za pośrednictwem biskupów do dziekanów i proboszczów z prośbą o ostrzeżenie dziewcząt nieświadomych o grożącym im niebezpieczeństwie, oraz o współdziałanie

w celach T-wa wogóle. Odezwy te znalazły oddźwięk, liczba bowiem członków czynnych powiększyła się, a idee Tow-a rozeszły się szeroko.

W y d z i a ł p i ą t y: „Działalność Towarzystwa w szpitalach“. W latach sprawozdawczych zajęto się doraźnie kilku młodemi choremi, które umieszczono w zakładach, zajmujących się nakłanianiem do życia moralnego, zorganizowano wszakże działalność wydziału dopiero w początkach roku 1904. Zyskano współdziałanie pań czł. czyn., które podjęły się za zgodą lekarzy naczelnych i z pomocą siostr miłosierdzia, zając się młodemi choremi w czasie przebywania ich w szpitalu i dostarczyć im uczciwego zajęcia po opuszczeniu szpitala.

W y d z i a ł s z ó s t y: „Ochrona w słowie i druku“ ma na celu rozprzestrzenianie idei T-wa. Na wydawnictwa własne T-wo zdobyć się nie mogło, korzystało jednak z łaskawości pism miejscowych, które zawsze chętnie umieszczały artykuły w kwestjach, związanych z działalnością Towarzystwa.

W y d z i a ł s i ó d m y: „Ułatwienia poprawy upadłym“ ma na celu umieszczanie dziewcząt i młodych kobiet upadłych w zakładach poprawczych. W tym kierunku działano o tyle, o ile wymagała tego konieczność, stosując się do środków pieniężnych T-wa. Chcąc zapewnić sobie miejsca wolne, zarząd T-wa porozumiał się z zarządem zakładu św. Małgorzaty w Piasecznie, który zobowiązał się przyjmować przysyłane przez Towarzystwo dziewczęta za opłatą 8 rb. na miesiąc. Dziewczęta te zgłaszały się bądź same, bądź też były kierowane do T-wa przez ludzi dobrej woli. Umieszczono dziewcząt 12, które przybyły 1209 dni instytucyjowych, a kosztich utrzymania wynosił 322 rb. Jest to jedyny wydział Tow. Ochr. Kobiet, zajmujący się kobietami upadłymi.

W y d z i a ł ó s m y: „Schronień czasowych“. W r. 1902 zwrócił się do T-wa ks. prałat Siemiec z propozycją otwarcia schronienia czasowego dla młodych pracownic igły, poszukujących pracy. Wobec tego zarząd opracował odpowiednią instrukcję i przedstawił ją do zatwierdzenia władzom. Zatwierdzenie instrukcji tej uzyskano poczem nastąpiło otwarcie zakładu pod wezwaniem św. Anny, przy ul. Oboźnej № 7. Na kuratora przedstawiono ks. prałata Siemca, gdy jednak w czerwcu ks. Siemiec zmuszony był ustąpić, przedstawiono do zatwierdzenia Maryę hr. Przeździecką, która dotąd pełni te obowiązki. Przez czas od stycznia do czerwca brakujące na utrzymanie fundusze łożył ks. Siemiec i grono opiekunek. Od czerwca schronienie przeszło na koszt T-wa. Grono pań opiekunek przyczynia się ofiarami do utrzymania tego schronienia.

Wydatki na to utrzymanie w r. 1903 wynosiły 3742 rb. 83, Towarzystwo zaś wydatkowało na ten cel tylko 1246 rb. 57 kop. Pozostała suma powstała więc z ofiar, specjalnie na ten cel składanych, oraz z pracy dziewcząt, umieszczonych w zakładzie. W r. 1903 przebywało w Schronieniu 58 dziewcząt od 16 do 36 roku życia, które przebyły 3850 dni instytucyjnych, przyczem dzień instytucyjowy wypadł po kop. 60. I Schronienie czasowe św. Anny mieści się obecnie przy ul. Zielnej № 29.

Nadto zarząd pragnie jeszcze otworzyć schronienie czasowe dla pozbawionych pracy kucharek, praczek, służących, a także dla robotnic fabrycznych, dotąd wszakże nie posiada na to funduszków.

Odpowiednio do swej ustawy T-wo otwiera zakłady oddzielne dla każdego wyznania chrześcijańskiego. Ponieważ I-e schronienie czasowe św. Anny utworzono dla katoliczek, przeto T-wo z radością przyjęło inicjatywę grona osób wyznania ewangelickiego i postanowiło otworzyć takie same schronienie czasowe dla ewangeliczek. Zakład uzyskał od gminy ewangelickiej (augsburskiej) lokal, w którym urządzone zostało wzorowe schronienie. O pozwolenie na otwarcie schronienia Zarząd T-wa wystąpił do władz we wrześniu 1903 r. i otrzymał zatwierdzoną instrukcję w lutym 1904 r. Zakład obecnie urządzony, otwarty został w kwietniu r. b. i utrzymywany będzie z ofiar powyżej wspomnianego grona osób.

Wydział dziewiąty: „Ognisk domowych“. Ogniska domowe są to schronienia stałe, mające na celu dostarczanie młodym kobietom, pozbawionym w Warszawie ognisk rodzinnych, mieszkania, utrzymania całkowitego lub częściowego za umiarkowaną opłatą, oraz opieki moralnej. Sprawa to pierwszorzędnej wagi, nie skąpieno więc dobrej woli w kierunku zadosyćuczynienia ważnej potrzeby tego rodzaju zakładów. W początkach r. 1903 z inicjatywy p. Buchwaldówny podjęto starania o zatwierdzenie I Ogniska dla nauczycielek, pracownic biurowych etc. Zarząd opracował instrukcję, która uzyskała zatwierdzenie władz 23 maja 1903 r. P. Buchwald dostarczyła lokalu z kompletnem umeblowaniem.

W dniu 30 maja dokonano otwarcia zakładu. W ten sposób I ognisko domowe w r. 1903 funkcyonowało przez miesiące 7. W tym czasie przebywały czas dłuższy lub krótszy w Ognisku 32 panie, które przebyły 2092 dni instytucyjnych. Na mieszkanie i utrzymanie wydatkowano 1344 rb. 64 kop., czyli że dzień instytucyjowy kosztował 64,6 kop. Nadmienić należy, że niedobór pokryty został przez kuratorkę, p. Buchwald.

Ognisko mieści się przy ul. Boduena № 1. W ostatnich czasach zostało rozszerzone. Pobiera 20—35 rb. za mieszkanie i całodzienne utrzymanie.

W r. 1903 T. O. K. zamierzało otworzyć drugie jeszcze Ognisko domowe, przeznaczone dla szwaczek, z opłatą 12 rb. miesięcznie. Ognisko to zostało jednak otwarte dopiero w r. b.

Obok ognisk domowych dla katoliczek, Zarząd T. O. K. wyjednał także pozwolenie na otwarcie Ogniska dla ewangeliczek. Ognisko to mieści się przy schronieniu czasowem dla ewangeliczek w gmachu gminy ewangelicko-augsburskiej i utrzymywane będzie z ofiar osób wyznania ewangelickiego.

Wydział dziesiąty: „Sal rozrywek i zajęć dobrowolnych“. Towarzystwo ograniczyło się, jak dotąd, jedynie opracowaniem instrukcyi dla przyszłych sal, bez czego nie mogły one być otwarte.

Oto w krótkich zarysach sprawozdanie z działalności zarządu w ciągu roku 1903. Byłoby ono niezupełne, gdyby nie wspomnieć, że zarząd dokładał wszelkich starań w kierunku uzyskania funduszków dla T-wa i zjednania mu członków. Wszakże skutek zwykłej u nas obojętności—do 1 stycznia 1904 roku zaledwie 128 osób zsolidaryzowało się z działalnością T-wa, z tych zaś zaledwie 91 pomagało T-wu pieniądze.

„Smutny to objaw—czytamy—gdyż cele T-wa są tak ważne, tak dla społeczeństwa nieodzowne, że obojętność świadczyłaby o niezrozumieniu wzniosłej idei ochrony kobiety, gdyby nie dobra wola grona osób, które przyjąwszy ideę T-wa, spieszą mu z czynną pomocą. Dzięki tylko dobrej woli tych członków T-wo mogło rozpocząć działalność swych wydziałów i zakładów.“

Pozostaje nam jeszcze spojrzeć na cyfry, które mówią o wpływach i wydatkach T-wa w roku sprawozdawczym.

Wpływy składały się z następujących pozycji: składki członków rb. 685; ofiary na cele ogólne T-wa 755 rb., % za 1902 r. od sum, złożonych w kasie oszczędności 9.97; za kupony od 4½% listów zastawnych m. Warszawy (2 po 500 rb.)—42.75.; ofiary doraźne na poszczególne instytucje T-wa rb. 2329.71; wkłady kuratorki na rzecz I ogniska domowego rb. 340.45; dochód z I czasowego schronienia św. Anny 167.84; z opłat w pensyonach I ogniska domowego—rb. 1004. 19; podniesione z kasy oszczędności 1500 rb. Dodając do tego *saldo* kasowe z 1 stycznia 1903 r. otrzymamy razem kwotę 7388.01.

W rubryce wydatków widzimy kwotę 7112.42, przeto na rok 1904 pozostało w kasie gotówką 275 rb. 59 kop. Jest to bardzo mało, jak na obszerne cele Towarzystwa i tą szczupłość środków mate-

ryalnych zdaje się stanowi najsłabszą stronę instytucji i tamować będzie jej swobodny dalszy rozwój. Zarząd też powinien podwoić swoje starania w kierunku zjednania T-wu większej ilości członków i powiększenia jego źródeł dochodowych, inaczej bowiem będzie dużo pięknych zamiarów w programie, a zamało owocnej pracy dla samej sprawy, która przecież naprawdę godna jest zachodu.

*

*

*

Tocząca się od pewnego czasu w instytucjach sądowych sprawa stutysięcznego legatu ś. p. Adama Śmigielskiego na rzecz Instytutu głuchoniemych, bierze—według informacji, zaczerpniętych przez „Gazetę Polską“ ze źródeł właściwych—pomyślny dla tej instytucji obrót i wkrótce zapewne Instytut będzie mógł wejść w posiadanie zapisanego mu kapitału.

W toku procesu wyjaśniła się też kwestya różnicy pomiędzy sumą ogólną kapitałów legowanych, wskazanych w testamencie, a rzeczywistym ich stanem, różnicy poważnej, bo wynoszącej 22,500 rb. Zgodnie z brzmieniem testamentu. zapisodawca przeznaczył kapitały, lokowane wyłącznie w papierach T. Kred. Ziem. i T. Kred. Miejskiego, a w tychże instytucjach deponowane w sumie ogólnej 97,500 rubli, na „fundusz żelazny dla Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, od którego procenty obracone być mają na utrzymanie wychowalców rzeczzonego Instytutu“. Przytem w dalszym ciągu testamentu nadmienia: „Oprócz wyżej wyszczególnionej ilości rubli dziewięćdziesiąt siedem tysięcy i pół, jeżeli okaże się, że jest jaka przewyżka, która z oszczędności przybyła, przewyżkę tę li tylko w papierach procentowych przeznaczam także na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie, jako fundusz żelazny, który do ogólnej sumy włączony być ma. Nadmieniam wreszcie, że fundusze stąd czerpane użyte być mają na utrzymanie wychowalców wyznania rzymsko-katolickiego.“

Nieoznaczoną tę sumę dodatkową później testator określa ściśle, pisząc:

„Obecnie w depozycie dyrekcji T. K. M. złożona jest suma 28,000 rb. za № 5044 z daty 12 (25) lipca 1900 r., którą to sumę wraz z innemi, wyżej wymienionemi, przeznaczam jako fundusz żelazny na rzecz Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.“

Z tego wypadaloby więc, że całość zapisu, dokonanego na utrzymanie wychowawców instytutu głuchoniemych i ociemniałych wyznania rzymsko-katolickiego, wynosi 97,500 + 28,000 rb. = 125,500 rb., tymczasem w rzeczywistości okazało się, że suma ta jest mniejszą i wynosi 103,000 rb., co wyjaśniło się w ten sposób, że testator przed swą śmiercią, która nastąpiła dn. 9 kwietnia 1901, wycofał pewne sumy, o czym jednak już w testamencie żadnej wzmianki nie uczynił. Z tem wszystkim zapis ś. p. Adama Śmigielskiego jest największy, jaki kiedykolwiek warszawski Instytut głuchoniemych otrzymał od osoby pojedynczej.

W testamencie jest wszakże mowa o „dozorze“ instytutu, które to ciało właściwie nie istnieje. Wobec tego „Gazeta Polska“ zwraca zupełnie słusznie uwagę na to, że rada pedagogiczna instytutu, powinna „dozór“ taki wytworzyć dla opieki nad zapisem.

*

*

*

Znów nauka polska poniosła stratę ciężką.

Dn. 24 kwietnia r. b. zmarł w Zakopanem ś. p. Władysław Folkierski, inżynier, uczony matematyk, autor cennych prac w tej dziedzinie, człowiek niezwykłych zdolności i prawego charakteru.

Urodzony w Warszawie w r. 1842 z ojca Piotra, właściciela wsi Radonie pod Gródziskiem, ś. p. Folkierski kształcił się początkowo w rodzinnem mieście, gdzie ukończył gimnazjum, poczem przeniósł się na politechnikę do Karlsruhe. Otrzymałszy stopień inżyniera, wyjechał na dalsze studia do Paryża. Tam brał czynny udział w wydawnictwie „Pamiętnika“, będącego organem Towarzystwa przyjaciół nauk ścisłych, założonego w Paryżu przez Jana Działyńskiego, a skupiającego młode naukowe siły polskie, znajdujące się podówczas w stolicy Francji. W tym „Pamiętniku“ zamieścił Folkierski dwie cenne swoje prace: „O równaniach różniczkowych częściowych“ i „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego.“ Ta ostatnia praca urosła potem w dwutomowe dzieło, które stało się chlubą naukową młodego matematyka.

Jednocześnie Folkierski oddał się inżynieryi i podczas wojny francusko-pruskiej w r. 1870 pracował nad ufortyfikowaniem Paryża, za co otrzymał w następstwie krzyż legii honorowej.

W r. 1873 opuścił Paryż i udał się do Peru, gdzie podówczas inżynier polski, Ernest Malinowski budował kolej przez Andy. Zatrudniony przy budowie tej kolei Folkierski, nie przestawał wszakże pracować naukowo, a zdolności jego były tak wybitne, że wkrótce zwrócił na niego uwagę fakultet filozoficzny uniwersytetu w Limie i ofiarowawszy mu doktorat honorowy nauk matematycznych, zaprosił na katedrę mechaniki. Odtąd zaczęła się profesorska działalność Folkierskiego, która trwała do r. 1889.

Podczas wojny rzeczypospolitych Peru i Chili, Folkierski dopomagał do ufortyfikowania Limy i Callao, a po wojnie został członkiem głównej rady robót publicznych i dyrektorem dróg żelaznych południowych, łączących brzeg oceanu z jeziorem Titikacha.

W r. 1889 Folkierski wrócił do Europy i do kraju, za którym tęsknił przez długi szereg lat. Zmuszony osiąść w Galicyi, nie znalazł tam stanowiska, na którym mógłby służyć społeczeństwu najlepiej swoją wiedzą i zdobytem doświadczeniem. W politechnice lwowskiej i na obu uniwersytetach katedry były zajęte, w Wydziale krajowym nie było odpowiedniego dlań urzędu. Przyjął więc miejsce inżyniera oddziałowego na budowanej drodze z Chabówki do Zakopanego, a po jej ukończeniu osiadł w Zakopanem na stałe, prowadząc roboty około wodociągu przemysłowego w Kuźnicach.

Zmarł w 62-im roku życia, pozostawiając po sobie trwałe imię w nauce i ogólny żal w sercach wszystkich, którzy go znali, jako człowieka. Cześć jego pamięci!

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Dnia 18 maja bieżącego roku odbyło się w Krakowie doroczne uroczyste posiedzenie Akademii Umiejętności w gmachu jej przy ulicy Sławkowskiej. W wielkiej sali zgromadzili się dostojnicy i goście. Z uderzeniem godziny 12-ej wszedł na trybunę zastępca protektora, J. E. p. minister dr Julian Dunajewski, i zajął krzesło przewodniczącego zebrania; obok niego zasiadli na trybunie: prezes Akademii, J. E. Stanisław hr. Tarnowski; jeneralny sekretarz, prof. dr Bolesław Ulanowski i prelegent, prof. dr Napoleon Cybulski.

Około trybuny zajęli miejsca członkowie Akademii z Krakowa, Warszawy i Lwowa. Z Warszawy przybyli: Tadeusz Korzon, Aleksander Jabłonowski, prof. dr Józef Kallenbach i Samuel Dickstein, Ze Lwowa członkowie czynni: prof. dr Władysław Abraham, prof. Oswald Balzer, radea dworu Jan Franke, dyrektor Wojciech Kętrzyński i dr Leon Piniński, b. namiestnik; członkowie korespondencji: prof. dr Bronisław Dembiński, ks. dr Jan Fijałek, dr Aleksander Hirshberg, dr Henryk Kadyi i prof. Stanisław Schneider. Z Wiednia szef sekeyi, dr Ludwik Œwikliński.

Naprzeciw trybuny, w pierwszym rzędzie krzesel, zasiadli: ks. kardynał Puzyna, ks. biskup Nowak, J. E. namiestnik Andrzej hr. Potocki, marszałek kraj. Stanisław hr. Badeni, J. E. Ignacy Zborowski, prezydent sądu wyższego Hausner i wiceprezydent Stebelski, delegat Fedorowicz, wiceprezydenci miasta Leo i Chyliński, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Krzymuski, dyrektor Akademii sztuk pięknych Fałat, prezes Towarzystwa rolniczego krakowskiego Zdzisław hr. Tarnowski i inni.

Posiedzenie zagał dr Julian Dunajewski, poczem prezes Akademii, hr. Stanisław Tarnowski, wygłosił mowę, z której podajemy końcowy ustęp:

„Na swoim ostatniem zebraniu jesiennem uchwaliła Akademia przedsięwzięcia duże a potrzebne. Prace jej przeznaczone są głównie dla nauki, dla niezonych; ale rezultat tych prac powinien dochodzić do wszystkich, wszystkich wykształconych. W tym celu postanowiła Akademia wydać *Encyklopedyą rzeczy polskich*, która ma obejmować wszystkie działy nauki i pokazywać, do czego każda z nich w naszych czasach w Polsce doszła. Można by zauważyć słusznie, że to nie jest właściwie zadaniem ciał naukowych. W innych krajach, szczęśliwszych i bogatszych, podejmują je zwykle wielcy wydawcy. U nas często ten, kto jest, musi zastępować tych, których brak, przekraczać to, co jest jego ścisłem zadaniem. Tak i Akademia. Widzi praktyczną potrzebę i pożytek, i bierze się do dzieła, którego inni nie podejmą. Dzieło naturalnie wymagać musi dużo czasu, dużo pracy, dużo współpracowników, i lata przejdą, zanim będzie dokonane. Ale jest podjęte. Jego program, układ, porządek i rozmiary materyi, rozkład pracy między współpracownikami, jest przedmiotem narad osobnej Komisji, złożonej z reprezentantów wszystkich gałęzi nauki.

Rok 1905 będzie czterechsetnym od urodzenia Mikołaja Reja. Akademia postanowiła obchodzić tę rocznicę zjazdem historyczno-literackim, jak obchodziła rocznicę Długosza i Kochanowskiego. Pisarz, pierwszy w szeregu znakomych pisarzy we własnym języku, wyobraziciel doskonały oświaty swego czasu, jego pojęć religijnych, moralnych i politycznych, typ może natury polskiej na dalsze czasy, a pociągający wdziękiem pierwotnego umysłu i pierwotnego jędrnego słowa, miał prawo do tego dowodu czci i wdzięczności. Oprócz zamierzonego zjazdu, poświęca Akademia tej rocznicy nowe krytyczne wydanie *Zwiercia dla* i monografię o Reyu, której podjął się prof. Brückner. Zbiorowe wydawnictwa, poświęcone Reyowi, lub jego czasom, są w toku: jedno we Lwowie, drugie w Warszawie“.

Prof. dr Ułanowski, jenerałny sekretarz, poświęcił żałobne wspomnienie zmarłym członkom Akademii: prof. d-rowsi Franciszkowi Kasparkowi, prof. d-rowsi Piotrowi Chmielewskiemu i Janowi Karłowiczowi. Drukowane, rozdane uczestnikom, sprawozdanie, obejmuje przegląd prac naukowych, dokonanych w ubiegłym roku w łonie Akademii, lub za jej sprawą. Pod prasą znajduje się kilkanaście tomów, których część ukaże się niebawem w handlu księgarskim. W ciągu zeszłego roku dotacya krajowa Akademii została podwyższona o 18,000 kor. rocznie, za co wdzięczność należy się Sejmowi. Wstawiona do preliminarza budżetu państwowego na rok 1904 podwyżka dotacyi dla Akademii w kwocie 10,000 kor. niema, niestety, praktycznej korzyści z powodu nieuchwalenia dotąd budżetu przez Radę państwa.

Dzięki energii mecenasa Antoniego Osuchowskiego, zrealizowany został legat ś. p. Malwiny Jankowskiej, w sumie blisko 54,000 koron, przeznaczony na stypendya. P. Lubomir Gadon złożył na rzecz

stacyi paryskiej kwotę, wynoszącą około 80,000 koron, zastrzegając dla siebie dożywotne pobieranie procentów i postanawiając, że w razie, gdyby stacya paryska z tego funduszu nie potrzebowała zaopatrzenia, służyć on ma na wydawnictwa, odnoszące się do rzeczy polskich. Tak zawsze życzliwy dla Akademii mecenas Osuchowski złożył bez bliższego określenia celu, kwotę 4,000 marek, w akcyach Banku ziemskiego w Poznaniu; kwota ta została wcielona do funduszu żelaznego. P. Antoni Czerwiński przesłał sumę 1,000 rubli, przeznaczając ją na nagrodę konkursową za napisanie historii sztuki w Polsce.

Działalność naukowa Akademii rozwija się w sposób bardzo pomyślny. Prócz zwykłych wydawnictw, Akademia podjęła trzy publikacye, obliczone na bardzo szeroką skalę, a to:

- 1) Krytyczne wydanie ustaw polskich, począwszy od XV-go wieku, pod redakcją prof. Balzera.
- 2) „Ubiory ludu polskiego“, którego to wydawnictwa zeszyt pierwszy ukazał się niedawno.
- 3) „Słownik Staro-polski“, do którego prace przygotowawcze, przerwane od lat kilku, prowadzi obecnie z całą energią prof. Jan Łoś. Są widoki, że tego „Słownika“ przynajmniej część pierwsza ukaże się w ciągu najbliższych lat czterech.

W ostatniej chwili Akademia otrzymała wiadomość, że z prywatnej a bardzo poważnej inicjatywy wyszła myśl zawiązania „Towarzystwa popierania prac i wydawnictw Akademii“. Podobno już nawet zgłosiła się znaczniejsza liczba członków, których dotychczasowe, całkowicie wniesione wkładki, mają wynosić 40,000 kor. Objaw to bardzo pocieszający.

W roku zeszłym Akademia powzięła dwie ważne uchwały: zwołania Zjazdu historyczno-literackiego imienia Mikołaja Reja w ciągu roku 1905 i ogłoszenia „Encyklopedyi rzeczy polskich“ w opracowaniu naszych najwybitniejszych uczonych. Zagraniczne ekspedytury Akademii, to jest ekspedycya rzymska i stacya naukowa w Paryżu, funkcjonowały w roku zeszłym normalnie.

Następnie sekretarz generalny ogłosił listę nowych członków Akademii. Jest ona następująca:

I. Wydział filologiczny: Członek czynny krajowy: dr. Creizenach Wilhelm, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego; członek czynny zakrajowy, dr Cwikliński Ludwik, szef sekeyi w ministerstwie oświaty w Wiedniu.

II. Wydział historyczno-filozoficzny: Członkowie korespondenci: 1) Pastor Ludwik, prof. Uniwersytetu w Insbrucku i dyrektor austriackiego historycznego instytutu w Rzymie; 2) dr Krzymuski Edmund, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

III. Wydział matematyczno-przyrodniczy: Członek korespondent: dr Nussbaum Józef, prof. Uniwersytetu we Lwowie.

Ogłoszono w końcu przyznanie nagród z fundacji ś. p. Probusa Barczewskiego. Nagrodę za najlepsze dzieło historyczne przyznano prof. Aleksandrowi Brücknerowi, za jego dwutomowe dzieło: „*Dzieje literatury polskiej*”. Nagrodę za najlepsze dzieło malarskie przyznano prof. Leonowi Wyczółkowskiemu za portret własny.

Oprócz tego przyznano nagrody z fundacji imienia Niemcewicza: 1) d-rowsi Wacławowi Tokarzowi z Krakowa 2,000 franków za dzieło historyczne o Kołłątaju; 2) d-rowsi Jerzemu Kieszkowskiemu z Krakowa 1,000 koron, z tej samej fundacji za monografię rodziny Szydłowickich. Wreszcie nagrodę 675 rb. z funduszu imienia Lindego p. Adamowi Antoniemu Kryńskiemu za poprawne wydanie gramatyki języka polskiego i za jego działalność.

Na zakończenie prof. dr Napoleon Cybulski wypowiedział odczyt o witalizmie i mechanizmie, za który podziękowano mu hucznymi oklaskami.

NOWE KSIĄŻKI:

— Monografi F. Hoesicka o *Chopinie* wyszedł zeszyt V i VI (str. 433 — 881), tworzące razem z poprzednimi tom pierwszy. Oba te zeszyty obejmują rozdział czwarty: „Przyjaciele i znajomi”, następnie księgę czwartą z nagłówkiem: „W przededniu sławy (1829 — 1831). Znajdujemy tu ważne i ciekawe szczegóły o pierwszej wycieczce Chopina za granicę, o pobycie w Wiedniu i Antoninach, pierwszym „ideale” miłosnym, pannie Gładkowskiej, pierwszych koncertach w Warszawie, wreszcie drugim wyjeździe do Wiednia. Bardzo szczegółowo opowiada autor o losach Chopina w roku 1830 — 1831. W rozdziale końcowym p. t.: „Pierwszy okres twórczości”, ocenia F. Hoesick utwory Chopina, skomponowane do roku 1831 włącznie, daje w końcu przegląd analityczno-krytyczny wszystkich dzieł z tej pierwszej epoki.

Tom drugi obejmie drugą połowę życia Chopina od przyjazdu jego do Paryża do śmierci (1831 — 1849).

— Popularne wydawnictwo M. Arcta w Warszawie pod tytułem: „Książki dla wszystkich”, ogłosiło ostatnimi czasy następujące tomiki: G. Stanley Hall: Znaczenie studyów nad dziećmi, streścił z niemieckiego K. Król. Wydanie drugie (20 kop.). — I. Moszczeńska: Dobre i złe wychowanie w przykładach (20 kop.). — I. Moszczeńska: Jak rozmawiać z dziećmi o kwestyach drażliwych. Wskazówki dla matek. — Neumayr: Ziemia i jej stanowisko we wszechświecie (20 kop.). — Zenon Pietkiewicz: Z naszych stosunków ekonomicznych: Kapitały obecne w przemyśle polskim. Cło. Artele (20 kop.). — Antoni Miecznik: O Serbii i Serbach (20 kop.). — Feliks Urbanowicz: Zwierzęta pod wzglę-

dem budowy ciała. — Wald. Osterloff: Zarys historii literatury niemieckiej. Część trzecia. Od Göthego do Schillera (15 kop.). — Felicyan: Franczeska z Rawenny. Wydanie drugie (10 kop.). — Giovanni Verga: Rycerskość wieśniacza. Przełożył i przedmową o weryzmie opatrzył Adolf Strzelecki (10 kop.). — Homer: Iliada. Streścił A. Wrzesień (25 kop.).

— Nakładem i drukiem Księgarni Feliksa Westa w Brodach wychodzą od roku 1902 „Arcydziela polskich i obcych pisarzy“, w opracowaniach profesorów gimnazjalnych. Wyszło dotychczas zeszytów czternaście: Malczeskiego „*Maryą*“ opracował Władysław Dropiewski, — „*Grążyne*“ dr Konstanty Wojciechowski, — „*Treny*“ Kochanowskiego Zygmunt Paulisz, — Słowackiego „*Mazepe*“ Kazimierz Zimmermann, — Mickiewicza *Ballady* i *Romanse* Henryk Kopia, — Szekspira „*Hamlet*“ w przekładzie Józefa Paszkowskiego a opracowaniu P. Chmielowskiego, — Kochanowskiego „*Odprawę posłów greckich*“ opracował K. Zimmermann, — „*Antygonę*“ Sofoklesa w przekładzie K. Kaszewskiego P. Chmielowski.

KONKURSY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI:

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs na stypendyum imienia Adama Mickiewicza, w kwocie 2,000 koron, z fundacyi ś. p. P. Radziwińskiej.

O stypendyum powyższe mogą się ubiegać kandydaci, którzy otrzymali stopień naukowy na Uniwersytecie Jagiellońskim, a pragną studia swoje dopełnić w pewnym szczegółowym kierunku za granicą. Pomiędzy kandydatami, posiadającymi równe kwalifikacye, pierwszeństwo mieć będą kandydaci, pochodzący z Królestwa Polskiego.

Podania, zaopatrzone należytemi załącznikami, wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 15 czerwca 1904 roku.

Stypendyum powyższe wypłaci Kasa Akademii w dwóch równych ratach za kwitami osteplowanymi, a mianowicie pierwszą ratę dnia 1 października 1904 roku, drugą zaś dnia 1 kwietnia 1905 roku. Wypłata drugiej raty zależną jednak będzie od wyniku sprawozdania z przebiegu studyów za pierwsze półrocze, które to sprawozdanie kandydat ma nadesłać do Akademii przed końcem marca 1905 roku.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem konkurs imienia Mikolaja Kopernika na dwa następujące tematy:

a) Temat pierwszy:

„Opracować stosunki klimatyczne Galicyi, ze szczególnem uwzględnieniem wpływu Karpat na wiatry i opady“.

Nagroda wynosi 1,000 koron.

Termin konkursu po koniecie lutego 1906 roku.

b) Temat drugi:

„Zbadać metodą, wskazaną przez St. Schustera (patrz czasopismo „Terrestrial Magnetism“, 1898), lub podobną, o ile okresy zmian szerokości geograficznych, podane przez Chandlera, Kimurę i in. są istotne — czy nie“.

Nagroda wynosi 1,000 koron.

Termin konkursu 31 grudnia 1908 roku.

Autor pracy, uwieńczonej nagrodą, zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody, pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczyni to sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samym godłem.

BIBLIOGRAFIA.

F I L O Z O F I A.

Immanuel Kant: Krytyka czystego rozumu. Przełożył z oryginału Piotr Chmielowski. Pod redakcją Henryka Struvego. Z dodaniem Wstępu i Objasnienia tłumacza, oraz Skorowidza nazwisk i wyrazów naukowych. Cena rb. 1 kp. 50. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1904. (Wydanie z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego), str. XL+782.

D. Mercier: Metafizyka ogólna. Warszawa, 1903. (Biblioteka neoscholastyczna, tom V). Warszawa, 1904. Nakładem „Przeglądu Filozoficznego“.

Juliusz Mastelski: Filozofia przyrody w zarysach. Część szosta. Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., s. 198. Cena rb. 1 kp. 50.

Ks. Jan Nuckowski: Kilka uwag o nowym podręczniku Logiki. Chyrów. Nakładem autora, str. 50.

H I S T O R Y A.

Szymon Askenazy: Wezasy historyczne. Tom drugi. Warszawa. 1904. Str. 495. *Treść*: Francya a Polska. — Rozbiory. — Z czasów Stanisła-

wa Augusta. — Książę Denasów. — Alfieri. — Sprawy gdańskie. — Rosya w Galicyi wschodniej. — Emigrant w Polsce. — Henryk Sybel. — Albert Sorel. — O krytyce naukowej. — Aleksander Kłobukowski. — Przypisy.

Willhelm Depping: Japonia. Warszawa. 1904. Tom pierwszy. Str. 151. (Biblioteka dzieł wyborowych, № 326).

Dr Władysław Kosiński: Materiały etnograficzne, zebrane w różnych okolicach Galicyi zachodniej. Część druga. Wierzenia i przesady. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności, 1903, str. str. 86.

Adam Skalkowski: Jan Henryk Dąbrowski (1755 — 1818). Część pierwsza. U schyłku dni Rzeczypospolitej (1755 — 1795). Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1904. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy). Z przedmową Sz. Askenazego. Str. XII + 392 + 2 tabl. genealog.

Jsn Zahorski: Tablica chronologiczna do dziejów Polski. Warszawa, 1904. Nakładem G. Centnerszvera i S-ki. Marszałkowska № 143.

P R A W O.

Teodor Dydyński: Historia źródeł prawa rzymskiego. Z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Cena rb. 2. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., 1904. Str. II + 434.

SPRAWY SPOŁECZNE. — PRZEMYSŁ I HANDEL.

Władysław Grabski: Historia Towarzystwa rolniczego (1858 — 1861). Warszawa. Gebethner i Wolff. 1904. Tom pierwszy. Historia rozwoju rolnictwa i sprawy włościańskiej w pierwszej połowie XIX wieku. Str. 2 nlb. + XXIX + 633. Tom drugi, str. XLV + 482.

Adam Świętochowski: Drogi żelazne w dużych miastach wogóle i w Warszawie w szczególności. Odbitka z „Przeglądu Technicznego“. Warszawa, 1904. Na dochód Kasy wzajemnej pomocy i przezorności dla osób, pracujących na polu technicznym.

Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie za rok 1902. Kraków, 1904, str. XVI + 317.

J. Szczepański i J. Siemiradzka: Kursa handlowe żeńskie J. Siemiradzkiej. Sprawozdanie 1896 — 1903. Warszawa, 1904. Str. 37.

POEZJA. — POWIEŚC. — DRAMAT.

Grazia Deledda: Po rozwodzie. Przekład z włoskiego W. Z. Kościalkowskiej. Część druga. Warszawa, 1904, str. 139.

Mieczysław Hertz: Ananke. Baśń dramatyczna, zaszczytnie odznaczona na konkursie łódzkim imienia Henryka Sienkiewicza, 1904. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Alfred Konar: Oazy. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904. Str. 405.

Hanna Krzemińska: *Fatum*. Studium psychologiczne. Warszawa. 1904. Jan Fiszer. Okładka Kompozycyi K. Stabrowskiego. Ośm ilustracyj Konstantego Gorskiego. Str. 241.

Karol Łaganski: *Znużonym*. Warszawa. Druk P. Laskauera i Sp. 1904. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, str. 83.

Adam Stodor: *Atlantyda*. Fantazyja liryczna. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i Sp. MCMIV, str. 37.

Stefan Żeromski: *Utwory powieściowe*. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczem. — Tabu. — Cienie. — Kara. Legenda o bracie leśnym). Wydanie trzecie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 214.

Tenże: *Promień*. Wydanie trzecie. Warszawa. 1904. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 214.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Kwartalnik Teologiczny. Rocznik drugi. Zeszyt czwarty. Warszawa. 1903. Str. 192 + 48. *Treść*: X. Syski: Nasze szkolnictwo elementarne. — X. Prałat Chotkowski: Powrót i powtórne zniesienie Jezuitów w Galicyi (1820 — 1848). — Rurals: Z praktyki pasterskiej. — X. Sobalski: Biskupa Karnkowskiego: Listy znakomitych mężów wieku XVI-go. — X. prof. dr Gąbryl: Realizm i nominalizm w dziejach filozofii. — X. Wład. Szczepański: Prawomocność ustawy *Tametsi* na ziemiach, zamieszkałych obecnie przez Polaków. — X. M. Godlewski: Wiek XX i katolicy. — X. W. Rozadowski: Ku czei Baranka. — X. L. Jarosiński: O godności stanu kapłańskiego. — Feliks hr. Grabowski: Echa z ostatniego konklawe. — X. Jul. Gołąb: O tłumaczeniu Nowego Testamentu przez X. Jakóba Wujka. — X. A. Szaniawski. Księga praw najstarsza w świecie. — Krytyka i Bibliografia.

Fotograf Warszawski, miesięcznik, poświęcony fotografii i naukom, z nią związanym. №№ 1 — 4. Styczeń — kwiecień. 1904, str. 64. Organ Towarzystwa Fotografów Warszawskich, pod kierunkiem redakcyjnym J. Heuricha, Lebedzińskiego i Szalaya.

Wyszedł z druku zeszyt drugi tomu siódmego *Herbarza Polskiego*, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od „Granczewski—Gran“ do „Grochowscy“.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z ROKU 1904.

HISTORIA.

	Str.
JÓZEF KS. PONIATOWSKI, — przez prof. Szymona Aske- nazego	1
ZE STOSUNKÓW WILEŃSKICH W OKRESIE 1816 — 1823, — przez Henryka Mościckiego	504

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

KARTKI ZE LWOWA. (W sprawie uprzemysłowienia Galicji), — przez Henryka Radziszewskiego	61
RELIGIJNE ŻYCIE LONDYNU, — przez T. Filipowicza	246

LITERATURA.

A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Gabryelę Za- polską	39, 221 i 474
Z CYKLU „ŻYCIE”. (Poezje), — przez Maryę Kono- pnicką	84

STUDYA I SZKICE LITERACKIE
I ARTYSTYCZNE.

	Str.
GDZIE ARNO PLYNIE (dalszy ciąg i dokończenie), — przez Wojciecha Dziędużyckiego . . .	90 i 309
DRAMAT I OPERA, — przez W. Bogusławskiego . . .	127
WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. Drogoszew- skiego (ciąg dalszy i dokończenie) 153, 355 i 565	565
PRACE I DNIĘ LUDU POLSKIEGO W „CHŁOPACH“ REYMON- TA, — przez H. Gallego.	290
NIEZNANY UTWÓR SZOWACKIEGO. (List apostolski), — przez prof. Józefa Tretiaka	429
TWÓRCA I TŁUM, — przez Stefana Popowskiego . . .	536

NAUKI PRZYRODNICZE.

METEORYTY, — przez Stanisława Janiszewskiego	267
TEORIA LAMARCKA I NEOLAMARKIZM W BIOLOGII WSPÓŁ- CZESNEJ, — przez prof. d-ra Józefa Nusbauma	531

ROZMAITOŚCI.

Z listów Prezesa Rzeczypospolitej Krakowskiej (Stanisława hr. Wo- dzickiego), — przez d-ra B. Ł.	375
---	-----

KRYTYKA.



<i>Zygmunt Gloger</i> : Encyklopedia staropolska ilustrowana. Tom I — IV. Warszawa, 1900 — 1903, — przez prof. A. Brücknera	180
<i>Dr E. Stempfe</i> : Polenfrage und Ansiedelungs-Kommission. Darstellung der staatlichen Kolonisation in Posen-West- preussen und Kritische Betrachtungen ueber ihre Erfolge. Berlin, 1902, — przez A. R. . . .	189
<i>Aleksander Kraushar</i> : Dziennik podróży Stanisława Staszica (1777 — 1791). Warszawa, 1903, Tomów dwa, — przez A. R.	385

<i>Franciszek Bujak</i> : Żmiąca, wieś powiatu Limanowskiego. Kraków, Gebethner, 1903, — przez d-ra Antoniego Górskiego	391
<i>Artur Gruszecki</i> : Tam, gdzie Wisła się kończy. Powieść w 2-ch tomach. Warszawa, 1903, — przez A. Grz. Siedleckiego	395
<i>Ks. Piotr Skarga Soc. Jesu</i> : Kazania sejmowe z pierwodruku r. 1597, wydał i przedmową poprzedził Ign. Chrzanowski. Warszawa, 1903 („Bibliotekadzieł chrześcijańskich“), — przez A. R.	595
<i>Marya Rodziewiczówna</i> : Światła. Nowele. Warszawa, 1904, — przez Mikołaja Mazanowskiego	606
<i>Maryan Gawalewicz</i> : Dla ziemi. Powieść w dwóch tomach. Warszawa, 1904, — przez A. Grz. Siedleckiego	611
<i>Estewa</i> : Wspomnienia z Riviery. Powieść. Warszawa, E. Wende i Sp., 1904, — przez Sdl.	615

KRONIKA MIESIĘCZNA.

KWIECIEŃ:

Spółki rolnicze włościańskie. — W sprawie zabaw dla ludu. — Wykup czynszów wieczystych. — Rozwój czytelnictwa. — Oddziały prowincjonalne Towarzystwa technicznego. — Walka z alkoholizmem i projekt p. W. Szukiewicza. — Dom, w którym umarł Mickiewicz. — Ś. p. Tadeusz Kowalski. — Ś. p. Wacław Zeremba	197
---	-----

MAJ:

Pogadanki dla ludu wiejskiego, — Sprawa szpitalnictwa w Warszawie. — Z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. — „Być albo nie być?“. — Działalność budowniczego J. Hussa. — Ś. p. Władysław Nowakowski. — Ś. p. prof. dr Piotr Chmielowski. — Ś. p. Wanda z Grabowskich Żeleńska	401
---	-----

CZERWIEC:

Skutki ekonomiczne wojny. — Kąpiele ludowe w r. 1903. — Kredyt krótkoterminowy dla włościan. — Działalność warszawskiego chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet. — Zapis ś. p. Adama Smigielskiego na rzecz instytutu głuchoniemych i ociemniałych. — Ś. p. Władysław Folkiński	616
---	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE
I BIBLIOGRAFICZNE.

	Str.
KWIECIEŃ	214
MAJ	420
CZERWIEC	633

WYJAŚNIENIE, — przez ks. A. Brykczyńskiego 219

